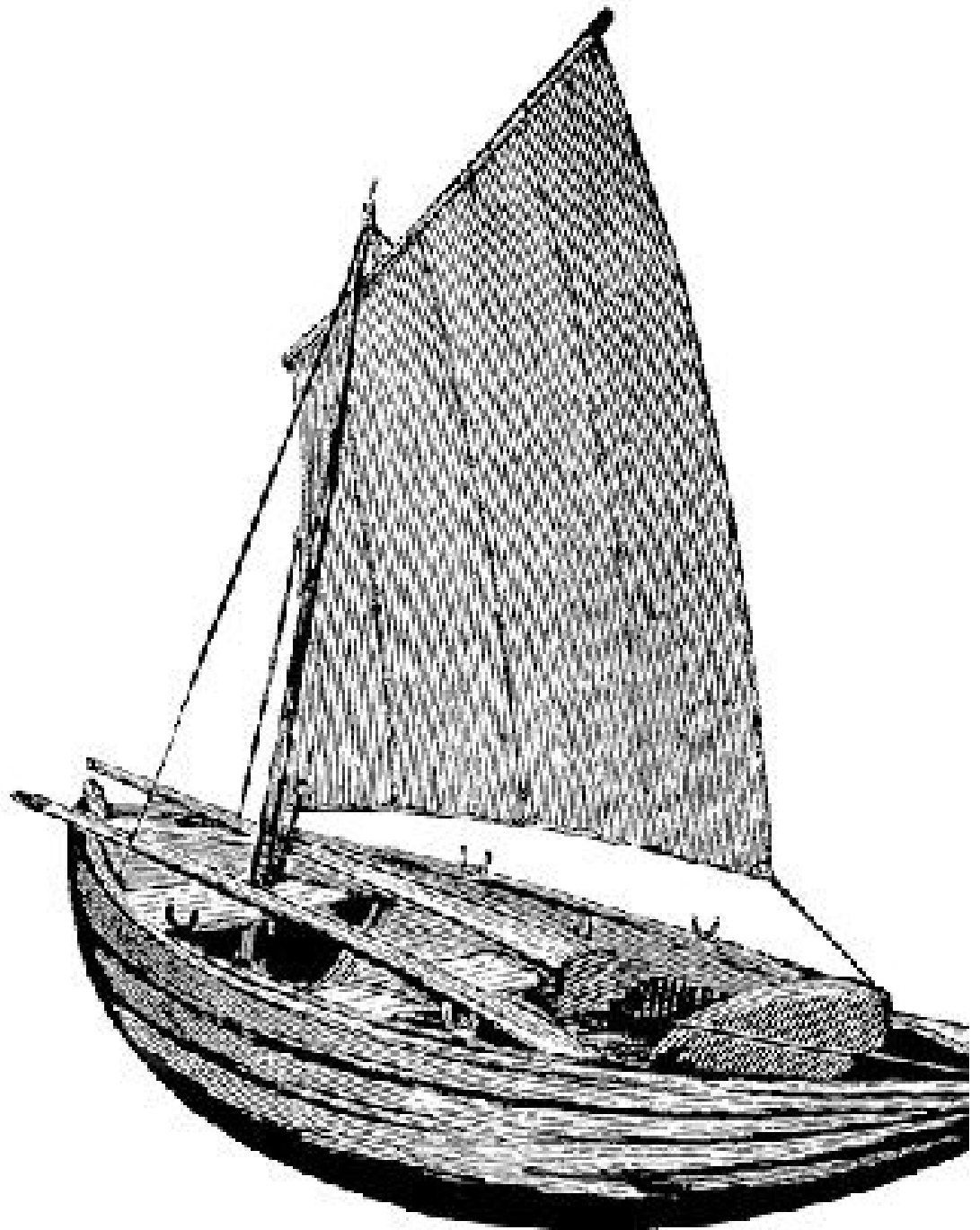


Ursula K.
Le Guin

Rybak znad Morza
Wewnętrzznego



Rybak znad Morza Wewnętrzznego



THE WIND'S TWELVE QUARTERS: Copyright © 1975 by Ursula K. Le Guin A FISHERMAN OF THE INLAND SEA:
Copyright © 1994 by Ursula K. Le Guin FOUR WAYS TO FORGIVENESS: Copyright © 1995 by Ursula K. Le Guin
THE BIRTHDAY OF THE WORLD AND OTHER STORIES: Copyright © 2002 by Ursula K. Le Guin THE TELLING:
Copyright © 2000 by Ursula K. Le Guin
Published by arrangement with Macadamia Literary Agency and Curtis Brown, Ltd.

The moral rights of the author have been asserted

Projekt okładki

Dark Crayon/Piotr Cieśliński

Redaktor prowadzący Joanna Maciuk

Redakcja
Renata Bubrowiecka
Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8097-803-4

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

LeGuin Ursula K.

Guin

Wszystkie strony
świata



Przełożyli
Zofia Chrynowska-Hanasz
Lech Jęczmyk

Z dala, od zmroku i poranka, Ze wszystkich świata stron Przyniosło tę materię, która,
Związana tu, jest ze mną.

Więc – póki tak na tchnienie czekam, A nie rozwiał mnie wiatr, Prędko, daj rękę i
zrzuc z serca Ciężar, co na nie spadł.

Przemów, a na to ja odpowiem.

Jak ci dopomóc? Mów.

Albo na wszystkie świata strony W bezkres odlecę znów.

A.E. Housman, *Chłopak z Shropshire*¹

¹ Przełożyła Ewa Życieńska.

Naszyjnik Semley

Opowiadanie to, napisane w 1963 roku, opublikowane w roku 1964, a potem w roku 1966 jako prolog do mojej pierwszej powieści *Świat Rocannona*, jest właściwie moim ósmym opublikowanym utworem. Mimo to umieszczam je jako pierwsze w tej książce, gdyż uważam, że jest najbardziej charakterystyczne dla moich wczesnych utworów fantastycznych i fantastycznonaukowych, najbardziej romantyczne. Rozwój mojego stylu polegał na odchodzeniu od jawnego romantyzmu powoli i stopniowo; od tego opowiadania do ostatniego opowiadania w tomie, *Dzień przed rewolucją*, napisanego w roku 1972. Nadal jestem romantyczką, nie ma co do tego wątpliwości, i jestem z tego zadowolona, ale naiwność i prostota *Naszyjnika Semley* stopniowo przekształciły się w coś twardszego, mocniejszego i bardziej złożonego.

Jak odróżnić legendę od prawdy na tych światach oddalonych o tyle lat, na bezimiennych planetach, zwanych przez swoich mieszkańców po prostu światami, planetach bez historii, gdzie przeszłość to sprawa mitu, gdzie powracający badacz stwierdza, że jego czyny sprzed kilku lat stały się gestami Boga? Niezgåębiona ciemność wypełnia przepaść czasu, której dwa brzegi łączą nasze światłowce, a w owym mroku plenią się jak zielsko niepewność i zachwianie wszelkich proporcji.

Ktoś, kto chce opowiedzieć historię człowieka, zwykłego uczonego Ligi, który udał się przed niewielu laty na jeden z takich bezimiennych, na wpół poznanych światów, czuje się jak archeolog wśród tysiącletnich ruin, przeciskający się przez gąszcz liści, kwiatów, gałęzi i pnączy, by nagle natknąć się na przejrzystą geometrię koła lub polerowanego narożnika; a potem wchodzi w jakieś zwyczajne, oświetlone słońcem drzwi, by w ciemnym wnętrzu ujrzeć nieoczekiwaną iskierkę ognia, błysk klejnotu, ledwie widoczny gest kobiecej ręki.

Jak odróżnić fakt od legendy, prawdę od prawdy? W opowieści *Rocannona* powracają błękitne błyski klejnotu. Zacznijmy ją od tego:

8 Strefa Galaktyczna, N. 62: Fomalhaut II

Istoty rozumne (gatunki poznane):

Gatunek I.

A. Gdemiar (lp. Gdem): Wysoce inteligentni, w pełni człekokształtni jaskiniowcy. Wzrost 120–135 cm, skóra jasna, włosy ciemne. W momencie kontaktu ci troglodycy posiadali wyraźnie rozwarstwione oligarchiczne społeczeństwo typu miejskiego, zmodyfikowane przez zjawisko kolonii telepatycznych, oraz technologicznie zorientowaną kulturę okresu

wczesnej stali.

Skok technologiczny do kultury przemysłowej, poziom C, na skutek wypraw Ligi w latach 252–254. W roku 254 oligarchowie okręgu Kirien otrzymali automatyczny statek zapewniający połączenie z Nową Południową Georgią. Status C.

B. Fiia (lp. Fian): Wysoce inteligentni, w pełni człekokształtni, tryb życia dzienny, średni wzrost około 130 cm. Wśród obserwowanych osobników przeważał typ jasnoskóry i jasnowłosy. Sporadyczne kontakty wskazywały na społeczeństwo typu koczowniczej i osiadłej wspólnoty, częściową telepatię kolonialną z pewnymi oznakami krótkodystansowej telekinezy. Rasa sprawia wrażenie antytechnologicznej o minimalnych płynnych wzorcach kulturowych. Kontakt bardzo utrudniony. Nieopodatkowani. Status E?

Gatunek II.

Liuar (lp. Liu): Wysoce inteligentni, człekokształtni, tryb życia nocny, średni wzrost około 170 cm. Mieszkają w grodach obronnych, społeczeństwo typu klanowego, technologia zablokowana na epoce brązu, kultura rycerska. Horyzontalny podział społeczeństwa na dwie pseudorasy: a) Olgyior – ludzie średni – jasnoskórzy i ciemnowłosi; b) Angyar – panowie – bardzo wysocy, ciemnoskórzy i jasnowłosi...

– To ona – powiedział Rocannon, spoglądając znad *Małego kieszonkowego przewodnika po istotach rozumnych* na bardzo wysoką, ciemnoskórą i jasnowłosą kobietę, która stała w głębi długiego korytarza muzeum. Stała nieruchomo, wyprostowana, w koronie złotych włosów, wpatrzona w gablotę. Wokół niej kręciło się czterech niespokojnych brzydkich karłów.

– Nie wiedziałem, że Fomalhaut II ma oprócz troglodytów tyle tych ludów – powiedział Ketho, kurator.

– Ja też. Tu są nawet wymienione „niepotwierdzone” gatunki, z którymi nie doszło do kontaktu. Czas chyba na jakąś gruntowniejszą ekspedycję do nich. Dobrze, że przynajmniej wiemy, kim ona jest.

– Dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, kim jest naprawdę...

Pochodziła ze starego rodu pierwszych królów angyarskich i mimo ubóstwa włosy jej błyszczały szczerym złotem dziedzictwa. Mali ludzie, Fiia, kłaniali się na jej widok, nawet gdy jeszcze jako dziecko biegała boso po polach z płomienną kometą włosów rozjaśniającą mroczną atmosferę Kirien. Była wciąż jeszcze bardzo młoda, kiedy Durhal z Hallanu ujrzał ją, poprosił o jej rękę i zabrał ją ze zrujnowanych wieżyc, w których hulał wiatr, do swego wysokiego domu. W Hallanie na zboczu góry też nie było wygod, choć przetrwało bogactwo. Okna nie miały szyb, kamienne podłogi były nagie; w zimnej porze roku można się było rano obudzić i ujrzyć długie języki nawianego w nocy śniegu pod każdym oknem. Młoda żona Durhala stawiała szczupłymi bosymi stopami na zaśnieżonej podłodze, zaplatając pozą swoich włosów i śmiejąc się do młodego małżonka w srebrnym lustrze zdobiącym ścianę jej pokoju. To lustro i ślubna suknia matki, wyszyta tysiącem drobniutkich kryształków, stanowiły cały jego majątek. Niektórzy z pomniejszych krewniaków nadal posiadali całe skrzynie brokatowych szat, pozłacane meble, srebrne rzędy dla swoich wierzchowców, srebrem zdobione zbroje i miecze, drogie kamienie i biżuterię, na którą młoda małżonka Durhala zerkała z zazdrością, oglądając się za

wysadzonym kamieniami diademem lub złotą broszą, nawet gdy ich właścicielki przystawały, by przepuścić ją z szacunku dla jej urodzenia i pozycji męża.

Durhal i jego żona Semley zasiadali podczas wielkiej uczyty na czwartym miejscu, tak blisko pana na Hallanie, że starzec często sam nalewał wina Semley oraz rozmawiał o łowach ze swoim bratankiem i następcą Durhalem, spoglądając na młodą parę z ponurą, pozbawioną nadziei miłością. Nadzieja była wielką rzadkością wśród Angyarów z Hallanu i całej Zachodniej Krainy od czasu, gdy pojawili się Władcy Gwiazd ze swymi domami skaczącymi na kolumnach ognia i straszliwą bronią, która rozbijała góry. Naruszyli oni stare obyczaje czasów pokoju i czasów wojny i choć sumy były niewielkie, honor Angyarów cierpiał, że musieli płacić podatki, daninę na wojnę, jaką Władcy Gwiazd mieli stoczyć z jakimś dziwnym wrogiem gdzieś w pustych przestrzeniach między gwiazdami, kiedyś na końcu czasu. „To będzie także wasza wojna” – mówili, ale już całe pokolenie Angyarów siedziało w daremnym wstydzie w swoich wielkich komnatach, patrząc, jak rdzewieją ich długie miecze, jak ich synowie dorastają, nie zadawszy ciosu w bitwie, a córki wychodzą za biedaków lub nawet ludzi średnich, nie mając w posagu bogatego łupu godnego męża szlachetnego rodu. Pan na Hallanie z zasepioną twarzą spoglądał na jasnowłosą parę, słuchając ich śmiechu, kiedy pili cierpkie wino i weselili się w zimnej, zrujnowanej, okazałej fortecy swojej rasy.

Twarz Semley też tężała, gdy rozglądała się po sali i widziała na miejscach znacznie poniżej swego, nawet daleko wśród mieszkańców i ludzi średnich, lśnienia i blaski drogocennych kamieni na tle białej skóry i czarnych włosów. Ona nic nie wniosła mężowi w posagu, ani jednej srebrnej szpilki. Suknię z tysiącem kryształków schowała do skrzyni na ślub córki, jeżeli będą mieć córkę.

Mieli córkę i nazwali ją Haldre, a kiedy jej mała brązowa główka porosła już nieco dłuższymi włosami, zabłysło na niej szczerze złoto, dziedzictwo wielkich przodków, jedyne złoto, jakie kiedykolwiek będzie jej własnością...

Semley nie wspominała mężowi o tym, co jej doskwiera. Przy całej dobroci, jaką ją obdarzał, Durhal w swojej dumie żywił tylko pogardę dla zawiści i próżnych zachcianek, a Semley bała się jego pogardy. Zdradziła się jednak przed siostrą Durhala, Durossą.

– Moja rodzina miała kiedyś wielki skarb – powiedziała. – Był to szczerozłoty naszyjnik z ciemnobłękitnym kamieniem, to się chyba nazywa szafir, pośrodku.

Durossa pokręciła głową i uśmiechnęła się, również niepewna nazwy. Była późna ciepła pora, jak północni Angyarowie nazywają lato swego osiemsetdniewego roku, licząc cykl miesięcy na nowo od każdego zrównania, co Semley uważała za dziwaczny kalendarz, odpowiedni chyba tylko dla ludzi średnich. Jej rodzina dożywała kresu, ale była starsza i miała czystszy krew niż wszystkie te rody z północno-zachodnich kresów, które zbyt często mieszały się z Olgiorami. Siedziała z Durossą w słońcu na kamiennej ławie podokiennej, wysoko w Wielkiej Wieży, gdzie mieszkała starsza kobieta. Młodo owdowiała i bezdzietna, Durossa została po raz drugi zaślubiona panu na Hallanie, swemu stryjowi. Ponieważ było to drugie małżeństwo dla nich obojga i byli spokrewnieni, Durossa nie

miała tytułu pani na Hallanie, który pewnego dnia miała otrzymać Semley, ale zasiadała ze starym panem na wysokim siedzisku i rządziła wraz z nim jego włościami. Starsza od swego brata Durhala, lubiła jego młodą żonę i uwielbiała ich jasnowłosą córeczkę Haldre.

– Kupiono go – opowiadała Semley – za cały okup, który mój przodek Leynen dostał po zwycięstwie nad Księstwami Południa. Pomyśl tylko, wszystkie pieniądze z całego królestwa za jeden klejnot! Na pewno przyćmiłby wszelkie klejnoty Hallanu, nawet te kryształowe jak jajka kooba, które nosi twoja kuzynka Issar. Był tak piękny, że dostał własne imię. Nazywano go Oko Morza. Nosila go moja prababka.

– A ty nigdy go nie widziałaś? – spytała starsza kobieta od niechcienia, spoglądając w dół na zielone zbocza, gdzie długie lato wysyłało swoje gorące, wiecznie niespokojne wiatry na lasy i białe drogi ciągnące się hen, aż na brzeg morza.

– Zaginał przed moim urodzeniem. Mój ojciec powiedział, że klejnot został ukradziony przed przybyciem Władców Gwiazd na nasze ziemie. Nie chciał mówić na ten temat, ale pewna stara kobieta ze średnich ludzi, znająca mnóstwo opowieści, powtarzała mi nieraz, że Fiia wiedzą, gdzie jest klejnot.

– Ach, chciałabym zobaczyć tych Fiia! – westchnęła Durossa. – Tyle się o nich słyszy w pieśniach i opowieściach... Dlaczego nigdy nie zaglądają w nasze strony?

– Zbyt tu wysoko i zbyt chłodno zimą, jak sądzę. Oni lubią słoneczne doliny południa.

– Czy są podobni do Gliniaków?

– Gliniaków nigdy nie widziałam. Trzymają się od nas z daleka tam, na południu. Podobno są nieforemni i biali jak ludzie średni. Fiia są piękni, wyglądają jak dzieci, tylko są szczuplejsi i mądrzejsi. Tak, ciekawe, czy wiedzą, gdzie jest naszyjnik, kto go ukradł i gdzie schował! Pomyśl, Duroso, gdybym tak mogła wejść do Wielkiej Sali Hallanu i usiąść obok mojego męża z równowartością królestwa na szyi, przyćmiłabym inne kobiety tak, jak on przyćmiewa wszystkich mężczyzn!

Durossa pochyliła głowę nad dzieckiem, które oglądało z zainteresowaniem swoje brązowe stópki, siedząc na skórze między matką a ciotką.

– Semley jest niemądra – szepnęła do dziecka. – Semley, która błyszczy jak spadająca gwiazda, Semley, której mąż nie kocha innego złota poza złotem jej włosów...

A Semley, zapatrzona w stronę dalekiego morza, milczała.

Minęła zimna pora i Władcy Gwiazd znowu przybyli po daninę na wojnę z końcem świata – tym razem używając jako tłumaczy pary karłowatych Gliniaków i obrażając w ten sposób wszystkich Angyarów, co groziło rebelią. Potem minęła następna pora ciepła, Haldre wyrosła na uroczą rozgadaną dziewczuszkę i Semley przyniosła ją któregoś ranka do słonecznego pokoju Durossy w wieży. Semley miała na sobie stary błękitny płaszcz, jej włosy okrywał kaptur.

– Zaopiekuj się Haldre przez kilka dni – powiedziała szybko i spokojnie. – Jadę na południe do Kirieny.

– Chcesz odwiedzić ojca?

– Chcę odnaleźć swoje dziedzictwo. Twoi kuzyni z Hagretu pokpiwali z Durhala. Nawet ten mieszaniec Parna może mu dokuczać, bo jego żona, ta kluchowata czarnowłosa flądra, ma aksamitną narzutę na łożę, diamentowy kolczyk i trzy szaty, a żona Durhala musi chodzić w łatanej sukni...

– Durhal jest dumny ze swojej żony, nie z jej sukien.

Ale Semley była niewzruszona.

– Panowie Hallanu stają się biedakami we własnym zamku. Przywiozę swojemu panu posag godny moich przodków.

– Semley! Czy Durhal wie, że wyjeżdżasz?

– Mój powrót będzie szczęśliwy, to możesz mu powiedzieć – odparła młoda Semley, wybuchając beztroskim śmiechem. Potem schyliła się, żeby pocałować córkę, odwróciła się i zanim Durossa zdążyła się odezwać, znikła, jakby podmuch wiatru przemknął po zalanej słońcem kamiennej podłodze.

Zamężne kobiety angyarskie nie jeżdżą wierzchem dla rozrywki i Semley nie opuszczała Hallanu od czasu zamążpójścia, toteż teraz, sadowiąc się w wysokim siodle swojego wiatrogona, poczuła się znowu jak panna, jak szalona dziewczyna, która na skrzydłach północnego wiatru ujeżdżała półdzikie wierzchowce nad polami Kirieniu. Zwierzę unoszące ją teraz ze wzgórz Hallanu było szlachetniejszej krwi: pasiasta skóra ciasno obciągała puste, lekkie kości, zielone oczy mrużyły się od wiatru, lekkie, ale potężne skrzydła były powietrze po obu stronach Semley, na przemian odsłaniając i przesłaniając chmury nad jej głową i wzgórz pod stopami.

Na trzeci dzień rano przybyła do Kirieniu i stanęła na zrujnowanym dziedzińcu. Jej ojciec pił całą noc i tak jak dawniej poranne słońce, wpadające przez dziurawy dach, drażniło go, a widok córki rozjątrzył go jeszcze bardziej.

– Po co wróciłaś? – warknął, nawet nie zwracając w jej stronę zapuchniętych oczu. Płomień jego włosów przygasł, siwe kosmyki wiły się na czaszce. – Czy młody Halla nie ożenił się z tobą i teraz wracasz chyłkiem do domu?

– Jestem żoną Durhala. Przyjechałam, żeby odzyskać mój posag, ojcze.

Stary pijak znów warknął z irytacją, ale Semley roześmiała się tak łagodnie, że krzywiąc się, musiał jednak na nią spojrzeć.

– Czy to prawda, ojcze, że Fiia ukradli naszyjnik zwany Okiem Morza?

– Skąd mogę wiedzieć? Stare bajdy. Ten przedmiot zaginął chyba przed moim urodzeniem. Lepiej bym się wcale nie rodził. Spytaj Fiia, jak chcesz wiedzieć. Idź do nich albo wracaj do męża, ale mnie zostaw w spokoju. Kirien nie jest miejscem dla kobiet, złota i innych takich rzeczy. Kirien jest skończone, to ruina, puste mury. Synowie Leynena nie żyją, a ich bogactwa znikły. Idź swoją drogą, dziewczyno.

Opuchnięty i szary niby pajak gnieźdzący się w ruinach, ruszył niepewnym krokiem do piwnic, by ukryć się przed blaskiem dnia.

Prowadząc pasiastego wiatrogona z Hallanu, Semley opuściła swój dawny dom, po czym zjechała ze stromego wzgórz przez wieś ludzi średnich, którzy pozdrawiali ją z posępnym szacunkiem, minęła pola i pastwiska, gdzie pasły się ogromne półdzikie herilory z podciętymi skrzydłami, aż dotarła do doliny zielonej jak malowana miska i wypełnionej po brzegi słonecznym blaskiem. W głębi doliny leżała wioska Fiia i kiedy Semley zsiadła ze swego wierzchowca, drobni ludzie wybiegli ku niej ze swoich chat i ogrodów i wśród śmiechu wołali cichymi, wysokimi głosami:

– Witaj, żono Halla, pani Kirieniu, ujeżdżająca wiatr piękna Semley!

To były miłe słowa i słuchała ich z przyjemnością, nie zwracając uwagi na śmiech, bo śmiali się ze wszystkiego, co mówili. Ona też tak robiła, mówiła i się śmiała. Stała wysoka, w długim błękitnym płaszczu wśród zamętu ich powitania.

– Witajcie, słoneczni Fiia, przyjaciele ludzi!

Zaprowadzili ją do wsi i zaprosili do jednego ze swoich przewiewnych domów, a wszędzie

towarzyszyła im gromadka małych dzieci. Wieku dorosłego Fiana nie sposób określić, trudno ich w ogóle rozróżnić, a że krążyli nieustannie niczym ćmy wokół świecy, nie wiadomo było, czy mówi się do tego samego osobnika. Wydawało się jednak, że jeden z nich rozmawiał z Semley, podczas gdy inni karmili i głaskali jej wierzchowca oraz przynosili jej wodę do picia i naczynia z owocami z karłowatych sadów.

– To nie Fiia ukradli naszym panów Kirieniu! – wykrzyknął człowieczek. – Co Fiia robiliby ze złotem, pani? My mamy słońce w ciepłej porze, a w zimnej porze jego wspomnienie, mamy złote owoce, złote liście przy zmianie pór, złote włosy naszej pani z Kirieniu. Nie trzeba nam innego złota.

– Więc to jakiś średni człowiek ukradł klejnot?

Odpowiedzią był długi zwiewny śmiech.

– Jaki średni człowiek miałby odwagę?... O, pani na Kirienie, jak skradziono wielki klejnot, nie wie żaden śmiertelnik, ani człowiek, ani średni człowiek, ani Fian, ani nikt spośród siedmiu ludów. Tylko zmarli wiedzą, jak on przepadł, dawno temu, kiedy Kireley Dumny, twój pradziad, wędrował samotnie do jaskiń nad morzem. Ale może klejnot znajdzie się u Wrogów Słońca.

– U Gliniaków?

Nieco głośniejszy nerwowy wybuch śmiechu.

– Usiądź wśród nas, Semley słonecznowłosa, która wróciłaś z północy.

Usiadła z nimi do posiłku i cieszyła się ich wdziękiem, tak jak oni jej obecnością. Kiedy jednak ponownie usłyszeli, że pójdzie do Gliniaków odzyskać swój posag, ich śmiech ucichł i stopniowo robiło się wokół niej coraz puściej. Wkrótce została sam na sam z jednym Fianem, zapewne z tym, z którym rozmawiała przed posiłkiem.

– Nie chodź do Gliniaków, Semley – powiedział i na chwilę odwaga ją opuściła.

Fian przesunął powoli dłońmi po oczach i powietrze wokół nich nagle pociemniało. Owoce na talerzu nabrały barwy popielatej, woda znikła ze wszystkich naczyń.

– W dalekich górach dawno temu Fiia i Gdemiarowie rozdzielili się – mówił cicho drobny Fian. – Przedtem byliśmy cichym drobnym ludem. Oni są tym, czym my nie jesteśmy. My jesteśmy tym, czym oni nie są. Pomyśl o słońcu, trawie i drzewach rodzących owoce. Pomyśl, że nie wszystkie drogi, które prowadzą w dół, prowadzą również w górę.

– Moja nie prowadzi ani w dół, ani w górę, mój miły gospodarzu, ale prosto do mojego posagu. Pójdę tam, gdzie on jest, i wrócę wraz z nim.

Fian skłonił się ze śmiechem.

Za wioską Semley dosiadła swego wiatrogona i odpowiedziawszy okrzykiem na pożegnania, wzniosła się na przedwieczornym wietrze i odleciała na południowy zachód w stronę jaskiń na skalistych brzegach morza Kirien. Obawiała się, że będzie musiała wędrować daleko w głąb jaskiń, żeby znaleźć tych, których szukała, gdyż mówiono, że Gliniaci nigdy nie wychodzą ze swoich podziemi na światło dzienne, że boją się Wielkiej Gwiazdy i księżyców. Była to daleka droga i wylądowała raz, żeby jej wierzchowiec mógł zapolować na szczury drzewne, a ona zjeść trochę chleba ze swojej torby. Chleb był już twardy i suchy i przeszedł zapachem skóry, ale zachował coś ze swego smaku i przez chwilę, jedząc go samotnie w cieniu południowego lasu, słyszała cichy głos Durhala i widziała jego twarz zwróconą ku niej w blasku świec Hallanu, widziała surową i żywą młodą twarz i wyobrażała sobie, co powie Durhalowi, kiedy wróci do domu z równowartością królestwa na szyi: „Chciałam mieć dar godny mego męża, o panie...”.

Wkrótce ruszyła dalej, ale kiedy dotarła do wybrzeża, słońce już zaszło i Wielka Gwiazda szła w jego ślady. Złośliwy wiatr nadbiegł z zachodu, gwałtowny i zmienny, i wiatrogon, walcząc z nim, opadł z sił. Pozwoliła mu wylądować na piasku. Natychmiast złożył skrzydła i podwinął pod siebie grube, lekkie łapy z pomrukiem zadowolenia. Semley stała, otulając się ciasno płaszczem i głaszcząc szyję wierzchowca, który położył uszy i nie przestawał mrużyć. Jego ciepłe futro było przyjemne w dotyku, ale wokół jak okiem sięgnąć było tylko szare niebo ze strzępami chmur, szare morze, ciemny piasek. Nagle tuż nad piaskiem przemknęło jakieś ciemne stworzenie, potem drugie, cała grupka, przystając i przysiadając. Przywołała biegnących okrzykiem. Chociaż poprzednio jakby jej nie dostrzegali, teraz w jednej chwili znaleźli się wokół niej. Trzymali się na dystans od wiatrogon, który przestał mrużyć, a sierść zjeżyła mu się lekko pod dłonią Semley. Chwyciła go za uzdę, ciesząc się z obrony, lecz obawiając się jednocześnie wybuchu wściekłości zdenerwowanego zwierzęcia. Dziwne istoty stały, patrząc w milczeniu, ich masywne bosc stopy jakby wrosły w piasek. Nie ulegało wątpliwości: byli wzrostu Fiia i we wszystkim innym stanowili ich cień, czarny obraz tamtych roześmianych istot. Nadzy, przysadziści, niezgrabni, mieli proste włosy i białoszarą skórę, wilgotną niby skóra robaków, a oczy jak kamienie.

– Czy jesteście Gliniakami?

– Jesteśmy Gdemiarami, ludźmi panów Królestwa Nocy – nieoczekiwanie donośny i niski głos zabrzmiał pompatycznie wśród słonego wiatru i mroku, ale podobnie jak było z Fiia, Semley nie potrafiła określić, który się odezwał.

– Pozdrawiam was, panowie nocy. Jestem Semley z Kirieniu, żona Durhala z Hallanu. Przybyłam do was w poszukiwaniu mojego posagu, naszymi zwanego Okiem Morza, który zaginął dawno temu.

– Dlaczego szukasz go tutaj, o pani? Tutaj są tylko piasek, sól i noc.

– Szukam go tutaj, bo w głębokich miejscach wiedzą o rzeczach zaginionych – odparła Semley, nie lękając się pojedynku na słowa – i dlatego że złoto, które pochodzi z ziemi, ciągnie z powrotem do ziemi. A czasem, powiadają, rzecz wraca do tego, kto ją zrobił.

Tym ostatnim argumentem strzeliła na chybił trafił i wcelowała w dziesiątkę.

– To prawda, że znamy naszego Oko Morza z imienia. Był zrobiony w naszych jaskiniach dawno, dawno temu i sprzedany Angyrom. Ten błękitny kamień w naszymi pochodził z kopalni naszych krewniaków ze wschodu. Ale to są już bardzo dawne opowieści, o pani.

– Czy mogę ich posłuchać w miejscach, gdzie się je opowiada?

Przysadziści ludzikowie milczeli przez chwilę, jakby się zastanawiali. Szary wiatr dął nad piaskiem, ciemniejac jeszcze, ponieważ zaszła Wielka Gwiazda. Odgłos morza to cichł, to narastał. Wreszcie głęboki głos znów się odezwał:

– Tak, pani, możesz wejść do Głębokich Komnat. Chodź z nami teraz.

Głos był zmieniony, jakby udobruchany, ale Semley nie zwróciła na to uwagi. Ruszyła za Gliniakami po piasku, trzymając krótko za uzdę swego pazurzastego wierzchowca. U wejścia do jaskini, bezzębnej, ziejącej paszczy, dyszącej ciepłem i stęchlizną, jeden z Gliniaków powiedział:

– Latające zwierzę nie wejdzie.

– Wejdzie – stwierdziła Semley.

– Nie – zaoponowali przysadziści.

– Tak. Nie zostawię go tutaj. Nie mam prawa go zostawić. Nie zrobi wam krzywdy, dopóki go trzymam za uzdę.

– Nie – powtórzyły niskie głosy, ale inne wtrąciły: – Jak chcesz – i po chwili wahania wszyscy ruszyli dalej.

Ogarnęły ich takie ciemności, jakby paszcza jaskini zatrzasnęła się za nimi. Posuwali się gęsiego. Wkrótce mrok się rozjaśnił i zbliżyli się do wiszącej pod stropem kuli słabego białego ognia. Dalej była następna i jeszcze następna, a między nimi wiły się po ścianach długie czarne robaki. Im dalej szli, tym więcej było ognistych kul, aż wreszcie cały tunel wypełniło zimne światło.

Przewodnicy Semley zatrzymali się u zbiegu trzech korytarzy zamkniętych żelaznymi wrotami.

– Tu zaczekamy, pani – powiedzieli i ośmiu pozostało z nią, a trójka otworzyła jedne drzwi i weszła do środka. Wrota zatrzasnęły się za nimi z hukiem.

Nieruchoma, wyprostowana córka Angyarów stała pod ostrym światłem lamp. Jej wierzchowiec przysiadł obok, bijąc końcem pasiastego ogona, a jego wielkie zwinięte skrzydła drgały raz po raz, zdradzając chęć ucieczki. Za plecami Semley ośmiu Gliniaków przysiadło na piętach, mamrocząc niskimi głosami w swoim języku.

Ze zgrzytem otworzyły się środkowe wrota.

– Wprowadźcie Angyarkę do Królestwa Nocy! – zawołał nowy głos, dudniący i napuszony.

Stojący we wrotach Gliniak miał coś na kształt odzieży na krępy szarym ciełe.

– Wejdz i podziwiał cuda naszej krainy, dzieła rąk panów nocy! – powiedział, zapraszając ją gestem.

Semley bez słowa szarpnęła za uzdę swego wierzchowca i weszła, schylając głowę w drzwiach zrobionych dla karłowatego ludu. Otworzył się przed nią nowy rozjarzony korytarz z wilgotnymi ścianami skąpanymi w białym świetle, tylko tym razem na podłodze zamiast chodnika leżały dwie lśniące żelazne belki ciągnące się równoległymi liniami i niknące w dali. Na belkach stał jakiś wózek na metalowych kołach. Posłuszna gestom swego nowego przewodnika, Semley bez wahania i bez cienia zdziwienia zajęła miejsce w wózku i skłoniła wiatrogona, żeby przysiadł koło niej. Gliniak usiadł z przodu, gdzie manipulował jakimiś dźwigniami i kółkami. Rozległ się hałas, metal zazgrzytał o metal i ściany korytarza poczęły uciekać do tyłu. Umykały coraz szybciej, aż wreszcie ogniste kule nad głową zlały się w jedno pasmo, a ciepłe stęchłe powietrze zmieniło się w cuchnący wiatr, który zrzucił jej kaptur z głowy.

Wózek się zatrzymał. Semley weszła za przewodnikiem po bazaltowych schodach do rozległego przedsionka, a stamtąd do jeszcze większej sali, wyłobionej przed wiekami przez wodę, a może wykutej w skale przez Gliniaków. Mrok, którego nigdy nie naruszyło światło dzienne, rozjaśniał niesamowity zimny blask ognistych kul. W otworach wyciętych w ścianach obracały się wielkie śmigła, wysysając stęchłe powietrze. Rozległa zamknięta przestrzeń huczała i wibrowała hałasem: donośnymi głosami Gliniaków, zgrzytem, piskiem i szumem pracujących wentylatorów i kół, wielokrotnym echem tych dźwięków odbitym od skał. Tutaj wszyscy przysadziści Gliniaci mieli na sobie stroje naśladujące Władców Gwiazd: spodnie, miękkie buty i bluzy z kapturami, chociaż nieliczne kobiety, pośpiesznie przemykające karlice, były nagie. Wśród mężczyzn przeważali żołnierze noszący przy boku broń wyglądającą jak straszne miotacze światła

Władców Gwiazd, ale Semley zauważyła, że są to tylko żelazne pałki. Wszystko to widziała, nie patrząc. Szła, dokąd ją prowadzono, nie zwracając głowy w lewo ani w prawo. Kiedy zbliżyła się do grupki Gliniaków noszących na czarnych włosach żelazne obręcze, jej przewodnik stanął, skłonił się i zahuczał:

– Panowie Gdemiaru!

Było ich siedmiu i wszyscy spoglądali na nią z taką butą, że miała wielką ochotę roześmiać im się w ich z gruba ciosane szare twarze.

– Przybywam do was w poszukiwaniu zaginionego skarbu mojej rodziny, o władcy królestwa mroku – rzekła jednak z powagą. – Szukam nagrody Leynena, Oka Morza. – Jej głos zabrzmiał słabo w hałasie wielkiej krypty.

– Tak nam donieśli posłańcy, o pani Semley.

Tym razem zauważyła, kto mówi – Gliniak niższy jeszcze od pozostałych, sięgający jej ledwie do piersi, z białą, srogą twarzą.

– Nie mamy przedmiotu, którego szukasz.

– Mówią, że kiedyś był w waszym posiadaniu.

– Różne rzeczy mówią na górze, tam, gdzie pali słońce.

– A wiatr roznosi słowa wszędzie, dokąd dociera. Nie pytam, w jaki sposób naszyjnik zginał i wrócił do was, którzy go kiedyś zrobiliście. To dawne opowieści, dawne pretensje. Chcę tylko znaleźć go teraz. Nie macie go, ale może wiecie, gdzie jest.

– Tutaj go nie ma.

– Zatem jest gdzie indziej.

– Jest tam, dokąd nigdy nie dotrzesz. Chyba że my ci pomożemy.

– Więc pomóżcie mi. Proszę o to jako wasz gość.

– Powiedziane jest: Angyarowie biorą, Fiia dają, Gdemiarowie dają i biorą. Jeżeli zrobimy to dla ciebie, co za to dostaniemy?

– Moje podziękowanie, panie nocy.

Stała wśród nich wysoka i jasna, uśmiechnięta. Wpatrywali się w nią z zazdrością i podziwem, z ponurą tęsknotą.

– Posłuchaj, Angyarko, prosisz nas o wielką rzecz. Sama nie wiesz, jak wielką. Nie potrafisz tego zrozumieć. Należysz do rasy, która nie chce rozumieć, która umie tylko ujeżdżać wiatrogony, uprawiać zboże, wymachiwać mieczami i krzyczeć chórem. Ale kto robi wasze miecze z jasnej stali? My, Gdemiarowie! Wasi panowie przychodzą do nas, kupują miecze i odchodzą, nie oglądając się za siebie, nie rozumiejąc. Ale ty jesteś tutaj, ty będziesz patrzeć, możesz zobaczyć kilka z naszych niezliczonych cudów, światła, które palą się wiecznie, wóz, który sam jedzie, maszyny, które robią ubrania, gotują pożywienie, odświeżają nam powietrze i służą nam we wszystkim. Wiedz, że wszystkie te rzeczy są dla ciebie nie do pojęcia. I wiedz, że my, Gdemiarowie, żyjemy w przyjaźni z tymi, których wy nazywacie Władcami Gwiazd! Byliśmy z nimi w Hallanie, w Reohanie, w Hul-Orrenie, we wszystkich waszych zamkach, żeby pomóc im w rozmowach z wami. Książęta, którym wy, dumni Angyarowie, płacicie daninę, są naszymi przyjaciółmi. Świadczymy sobie nawzajem przysługi! Czymże jest dla nas twoje podziękowanie?

– To wy musicie odpowiedzieć na to pytanie, a nie ja – odparła Semley. – Ja zadałam pytanie. Odpowiedz mi, panie.

Siedmiu Gliniaków naradzało się przez chwilę słowami i milczeniem. Spoglądali na nią, odwracali się, mamrotali coś i milkli. Powoli zbierał się wokół nich tłum, aż wreszcie

Semley stała otoczona przez setki czarnych kudłatych głów, a cała wielka hucząca grotą z wyjątkiem wąskiego kręgu wokół niej zapełniła się Gliniakami. Wiatrogon drżał ze strachu i zbyt długo powstrzymywanego gniewu, a jego oczy zrobiły się wielkie i jasne jak oczy zwierzęcia zmuszonego do lotu w nocy. Semley pogłaskała ciepłe futro na jego głowie, szepcząc:

– Spokojnie, mój dzielny, mądry pogromco wiatru...

– Pani, zabierzemy cię do miejsca, gdzie jest skarb – zwrócił się do niej Gliniak o białej twarzy i z żelazną koroną na skroniach. – Więcej nie możemy dla ciebie zrobić. Udasz się z nami tam, gdzie jest naszyjnik, i zażadasz klejnotu od tych, którzy go przechowują. Latające zwierzę musi tu zostać, pojedziesz sama.

– Jak daleka będzie podróż, panie?

Jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

– To bardzo daleka podróż, o pani. Ale potrwa tylko jedną długą noc.

– Dziękuję wam za waszą życzliwość. Czy zaopiekujecie się moim wierzchowcem przez tę noc? Nie chcę, żeby mu się zdarzyło coś złego.

– Będzie spał do twojego powrotu. Kiedy znowu zobaczysz to zwierzę, będziesz miała za sobą jazdę na potężniejszym wiatrogonie! Czy nie spytasz, dokąd cię zabieramy?

– Czy prędko wyruszymy? Nie chcę być zbyt długo z dala od domu.

– Wyruszymy wkrótce. – I znów szare wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

Tego, co się działo w ciągu kilku następnych godzin, Semley nie potrafiłaby opowiedzieć: pośpiech, hałas, niezrozumiała krzątanina. Podczas gdy trzymała łeb swego wiatrogoną, jeden z Gliniaków wbił w jego pasiasty zad długą igłę. Omal nie krzyknęła na ten widok, ale jej wierzchowiec tylko drgnął, po czym, mrużąc, zasnął. Zabrała go grupa Gliniaków, którzy wyraźnie musieli zmobilizować całą swoją odwagę, żeby dotknąć jego ciepłego futra. Później musiała znieść widok igły wbijanej we własne ramię. Pomyślała, że może robią to po to, żeby wystawić na próbę jej odwagę, gdyż zdawało się jej, że nie zasnęła; pewności nie miała. Były chwile, że musiała jechać wózkami na szynach, mijając setki żelaznych wrót i sklepionych pieczar. Raz wózek przejechał przez jaskinię, która ciągnęła się po obu stronach toru bez końca i cały jej mrok wypełniały ogromne stada herilorów. Słyszała ich ochryple nawoływania i widziała, jak migwały w blasku lamp na przedzie wozu; potem zobaczyła je wyraźniej w białym świetle i zauważyła, że wszystkie są bezskrzydłe i ślepe. Na ten widok zamknęła oczy. Ale dalej były znów tunele i wciąż nowe grotty, nowe szare niekształtne ciała, srogie twarze i huczące chełpliwe głosy, aż wreszcie wyprowadzono ją nagle na otwartą przestrzeń. Była noc; Semley z radością uniosła oczy ku gwiazdom i księżycowi, małemu Heliki, jaśniejącemu na zachodzie. Nadal jednak otaczali ją Gliniaci, którzy kazali jej wejść po schodkach do innego wozu czy jaskini – nie umiała określić, co to jest. Wnętrze było ciasne, pełne mrugających jak świecek światełek, bardzo wąskie i lśniące po wielkich wilgotnych grotach i gwiazdzistej nocy. Znowu ukłuto ją igłą i powiedziano, że musi zostać przywiązana do czegoś w rodzaju spleśzonego fotela.

– Nie dam się związać – powiedziała.

Kiedy jednak zobaczyła, że czterej Gliniaci, którzy mieli być jej przewodnikami, pozwalają się przywiązać, zgodziła się i ona. Wszyscy inni wyszli. Rozległ się ryk, potem zapanowała cisza i przygniótł ją wielki niewidoczny ciężar. A potem nie było ciężaru, nie było dźwięków, niczego.

– Czy ja umarłam? – spytała Semley.

– O nie, pani – odpowiedział głos, który się jej nie spodobał.

Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą białą twarz, grube wargi rozciągnięte w uśmiechu, oczy jak kamyki. Więzy opadły z niej, zerwała się z miejsca. Czowała się nieważka, bezcielesna, jak obłoczek strachu na wietrze.

– Nie zrobimy ci krzywdy – odezwał się ponury głos czy też głosy – ale pozwól nam się dotknąć. Chcielibyśmy dotknąć twoich włosów. Pozwól nam, pani, dotknąć twoich włosów...

Okrągły wóz, w którym się znajdowali, zadrżał lekko. Za jego jedynym oknem panowała czarna noc, a może była to mgła albo w ogóle nic? „Jedna długa noc”, powiedzieli. Bardzo długa. Semley siedziała bez ruchu, znosząc dotyk ciężkich szarych dłoni na włosach. Później dotykali jej dłoni, stóp i ramion, a raz dotknęli jej szyi; wówczas zacisnęła zęby i wstała. Gliniacy odstąpili.

– Nie zrobiliśmy ci krzywdy, pani – powiedzieli.

Pokręciła głową.

Kiedy dali jej znak, położyła się z powrotem w fotelu, a gdy za oknem błysnęło złociste światło, zapłakała, gdyby nie to, że wcześniej zemdląca.

– Dobrze – powiedział Rocannon – że przynajmniej wiemy, kim ona jest.

– Dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, kim jest naprawdę – mruknął kustosz. – Ona chce czegoś, co mamy w muzeum, jeżeli dobrze zrozumiałem tych troglodytów.

– Nie nazywaj ich troglodytami – zaproponował Rocannon; jako etnograf kosmiczny miał obowiązek przeciwstawiać się podobnym określeniom. – Nie są piękni, ale to nasi sojusznicy klasy C... Ciekawe, czemu Komisja wytypowała do rozwoju właśnie ich? I to jeszcze przed nawiązaniem kontaktu ze wszystkimi istotami rozumnymi? Założę się, że Komisja była z Centaura. Oni zawsze popierają istoty prowadzące nocny tryb życia i jaskiniowców. Ja bym raczej postawił na gatunek II.

– Wygląda na to, że troglodyci są nią zachwyceni.

– A ty nie?

Ketho zerknął na wysoką kobietę, zaczerwienił się i wybuchnął śmiechem.

– W pewien sposób niewątpliwie. Przez te osiemnaście lat tutaj, na Nowej Południowej Georgii, nie widziałem tak pięknej rasy. Prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej kobiety. Wygląda jak boginka.

Rumieniec dotarł do czubka jego łysej głowy, gdyż Ketho był nieśmiałym kustoszem i rzadko sięgał do hiperboli. Ale Rocannon poważnie skinął głową.

– Szkoda, że nie możemy z nią porozmawiać bez tych trog... Gdemiarów jako tłumaczy. Ale nic na to nie poradzimy.

Rocannon podszedł do gościa, a kiedy Semley zwróciła ku niemu swoją cudowną twarz, skłonił się bardzo nisko, przyklękając na jedno kolano z opuszczoną głową i przymkniętymi oczami. Nazywał to interkulturalnym dygiem na każdą okazję i wykonywał nie bez pewnego wdzięku. Kiedy wstał, piękna kobieta uśmiechnęła się i przemówiła.

– Ona mówić powitanie, Władco Gwiazd – zadudnił jeden z jej przysadzistych

przewodników w uproszczonym języku galaktycznym.

– Witaj, pani – odpowiedział Rocannon. – Co nasze muzeum może dla ciebie zrobić?

Jej głos wzniósł się ponad dudnienie troglodytów jak powiew srebrzystego wiatru.

– Ona mówić, bardzo prosić dać z powrotem naszyjnik, własność ojców jej ojców, dawno, dawno.

– Który naszyjnik? – spytał Rocannon, a ona zrozumiała i wskazała eksponat w centrum gabloty, przed którą stali.

Była to wspaniała sztuka, łańcuch z złotego złota, masywny, ale bardzo misternej roboty, ozdobiony wielkim pojedynczym jaskrawobłękitnym szafirem. Rocannon uniósł brwi, a Ketho za jego plecami szepnął:

– Ma dobry gust. To jest naszyjnik z Fomalhauta, słynne dzieło sztuki.

Semley uśmiechnęła się do dwóch ludzi i znów przemówiła do nich ponad głowami troglodytów.

– Ona mówić, o Władcy Gwiazd, starszy i młodszy opiekunowie Domu Skarbów, ten skarb jej własność. Długi, długi czas. Dziękuję.

– Jak ten przedmiot do nas trafił, Ketho?

– Poczekaj, sprawdzę w katalogu. Mam go tutaj. Dostaliśmy to od tych troglo... trollów czy jak im tam. Tu jest napisane, że mają obsesję handlową. Musieliśmy pozwolić im „kupić” ten statek, AD-4, na którym przybyli. Klejnot był częścią zapłaty. To ich robota.

– Założę się, że nie potrafią już robić takich rzeczy, odkąd skierowano ich na drogę przemysłową.

– Wygląda, że uważają tę rzecz za jej własność, a nie swoją lub naszą. To musi być ważne, skoro poświęcili tyle czasu, żeby zająć się jej sprawą. Przecież obiektywna różnica między nami a Fomalhautem musi być niemała!

– Niewątpliwie wynosi kilka lat – powiedział etnograf, któremu nieobce były poślizgi czasowe. – Nie tak wiele. Niestety, ani *Podręcznik*, ani *Przewodnik* nie podają liczb pozwalających na dokładniejszą ocenę tej różnicy. Te gatunki ludzi nie były w ogóle porządnie zbadane. Może ci mali faceci wyświadczać jej zwykłą grzeczność, a może od tego cholernego klejnotu zależy wybuch wojny między gatunkami. Może spełniają zachcianki Semley, bo uznają jej wyższość, albo mimo pozorów ona jest ich więźniem i używają jej na wabia. Co my o nich wiemy?... Czy możesz oddać ten przedmiot, Ketho?

– Tak. Wszystkie exotica są teoretycznie wypożyczone, gdyż czasem wypływają podobne roszczenia. Zwykle ustępujemy. Pokój ponad wszystko, dopóki nie wybuchnie wojna...

– Proponuję więc, żeby jej to oddać.

– Z przyjemnością – uśmiechnął się Ketho. Otworzywszy gablotę, wyjął złoty łańcuch i w swojej nieśmiałości podał go Rocannonowi ze słowami: – Ty jej to daj.

W ten oto sposób błękitny klejnot znalazł się najpierw przez chwilę w dłoni Rocannona.

Nie myślał o nim. Zwrócił się z dłonią pełną błękitnego ognia i złota wprost do pięknej nieziemskiej kobiety. Semley nie wyciągnęła do niego rąk, tylko pochyliła głowę, a Rocannon włożył jej naszyjnik, który zabłysnął ogniem na złotobrazowej szyi. Posłała mu znad niego spojrzenie tak przepełnione dumą, radością i wdzięcznością, że Rocannon stał bez słowa, a mały kustosz szeptał pośpiesznie w swoim języku:

– Bardzo proszę, bardzo proszę.

Semley skłoniła złotą głowę przed nim i Rocannonem, potem odwróciła się, skinęła swoim przysadzistym przewodnikiem – a może strażnikiem? – i otuliwszy się znoszonym

błękitnym płaszczem, odeszła, niknąc w perspektywie długiego korytarza. Ketho i Rocannon odprowadzili ją wzrokiem.

– Mam wrażenie... – zaczął Rocannon.

– Jakie? – spytał Ketho zdławionym głosem po dłuższej chwili.

– Mam czasami wrażenie... wiesz, przy spotkaniach z mieszkańcami światów, o których wiemy tak niewiele... wrażenie, że natknąłem się na strzęp legendy albo tragicznego mitu, których nie rozumiem...

– Tak – odezwał się kustosz, odchrząknąwszy. – Ciekawe... ciekawe, jak ona ma na imię.

Piękna Semley, Semley złotowłosa, Semley z naszyjnikiem. Narzuciła swoją wolę Gliniakom, a nawet Władcom Gwiazd w tym okropnym miejscu, do którego zabrali ją Gliniaczy, w tym mieście na krańcu nocy. Nawet oni ustąpili i chętnie oddali ze swego skarbcza jej klejnot rodzinny. Ale wciąż jeszcze nie mogła się otrząsnąć z nastroju tych jaskiń, gdzie skały nawisały nad głową, nie wiedziało się, kto mówi ani co się dzieje wokół, gdzie dudniły głosy i wyciągały się szare ręce... Dość tego. Zapłaciła za swój naszyjnik, i bardzo dobrze. Teraz jest jej. Co przeszło, minęło.

Jej wiatrogon wyczołgał się z jakiejś zagrody z mętnym okiem i futrem pokrytym szronem i początkowo, kiedy wyszli z gdemiańskich jaskiń, nie chciał wzlecieć w powietrze. Teraz już jakby wrócił do formy i płynął przez jasne niebo na łagodnym południowym wietrze ku Hallanowi.

– Szybciej, szybciej – przynaglała go Semley, odzyskując radość, w miarę jak wiatr oczyszczał jej umysł z ciemności. – Chcę jak najrychlej zobaczyć Durhala...

Lecieli szybko i przybyli do Hallanu o zmierzchu drugiego dnia. Jaskinie Gliniaków wydawały jej się zeszlórocznym złym snem, kiedy jej wiatrogon pokonywał tysiąc stopni Hallanu i Most nad Przepaścią, gdzie las zapadał się nagle na setki metrów. W złotym świetle wieczoru zsiadła ze swego wierzchowca na dziedzińcu i weszła po schodach między nieruchomymi rzeźbami bohaterów i dwoma strażnikami, którzy skłonili się przed nią, nie mogąc oderwać wzroku od pięknego ognistego przedmiotu na jej szyi.

W sieni Semley zatrzymała przechodzącą dziewczynę, bardzo piękną dziewczynę, z wyglądu jedną z krewniaczek Durhala, chociaż nie mogła sobie przypomnieć jej imienia.

– Czy znasz mnie, panienko? Jestem Semley, żona Durhala. Czy nie zechciałabyś pójść do pani Durossey i powiedzieć jej, że wróciłam?

Semley lękała się stanąć od razu twarzą w twarz z Durhalem i chciała prosić Durosę o pośrednictwo.

Dziewczyna spojrzała na nią z dziwnym wyrazem twarzy, ale wyjąkała:

– Tak, pani... – I pobiegła do Wieży.

Semley stała, czekając w połączanej zrujnowanej komnacie. Ani żywego ducha. Czyżby wszyscy siedzieli przy stole w Wielkiej Sali? Panowała niepokojąca cisza. Po chwili Semley ruszyła w kierunku Wieży. Naprzeciwko niej spieszyła po kamiennej posadzce stara zapłakana kobieta i wyciągając ramiona, wołała:

– Semley, Semley!

Semley cofnęła się, gdyż nigdy jej nie widziała.

– Kim jesteś, pani?

– Jestem Durossa.

Semley stała w milczeniu, bez ruchu, podczas gdy Durossa obejmowała ją z płaczem i pytała, czy to prawda, że Gliniaci schwytali ją i trzymali przez tyle długich lat pod zaklęciem, czy też może były to sztuczki Fiia? Potem, odstąpiwszy o krok, Durossa przestała łkać.

– Jesteś nadal młoda, Semley, jak w dniu, w którym odjechałaś. I masz na szyi naszyjnik...

– Przywiozłam posag mojemu mężowi Durhalowi. Gdzie on jest?

– Durhal nie żyje.

Semley znieruchomiała.

– Twój mąż, a mój brat Durhal, pan na Hallanie, zginął w bitwie siedem lat temu. Władcy Gwiazd nie przyjeżdżają już więcej. Wdaliśmy się w wojnę ze Wschodnimi Zamkami, z Angyarami z Logu i Hul-Orrenu. Durhal zginął w walce, przeszyty włócznią średniaka, gdyż miał marną zbroję dla ciała i żadnej dla ducha. Leży pochowany na polach koło orreńskich bagien.

Semley się odwróciła.

– Pójdę zatem do niego – powiedziała, dotykając ręką łańcucha ciężącego jej na szyi. – Zaniosem mu mój dar.

– Zaczekaj, Semley! To córka Durhala, twoja córka, piękna Haldre!

Była to dziewczyna, którą Semley zatrzymała i posłała po Durossę, lat około dziewiętnastu, o oczach ciemnoniebieskich jak oczy Durhala. Stała obok Durossy, wpatrując się tymi oczami w kobietę, która była jej matką i rówieśniczką. Były w tym samym wieku, miały takie same złote włosy i były równie piękne. Tylko Semley była nieco wyższa i miała błękitny klejnot na piersi.

– Weź to, weź to. Przywiozłam to z krańca długiej nocy dla Durhala i dla ciebie! – wykrzyknęła Semley, schylając głowę, żeby zdjąć ciężki łańcuch, i upuściła go na kamienie. – Weź go, Haldre! – krzyknęła jeszcze raz, a potem z głośnym płaczem odwróciła się i wybiegła z Hallanu. Przebyła most, potem długie, szerokie schody i niby umykające dzikie stworzenie rzuciła się ku lasom porastającym zbocza gór. I zniknęła.

Przełożył Lech Jęczmyk

Kwiecień w Paryżu

Jest to pierwsze opowiadanie, za które mi zapłacono, drugie opublikowane, a być może trzydzieste czy czterdzieste, jakie w ogóle napisałam. Pisałam wierszem i prozą od chwili, kiedy mój brat Ted, znużony towarzystwem pięcioletniej siostry analfabetki, nauczył mnie czytać. Mając lat dwadzieścia, zaczęłam moje utwory wysyłać do wydawców. Wydrukowano mi kilka wierszy, ale prozę zaczęłam wysyłać systematycznie, dopiero kiedy dobiegałam trzydziestki. I systematycznie mi ją odsyłano.

Kwiecień w Paryżu był pierwszym opowiadaniem należącym do genre'u, który można określić jako wyraźnie fantastyczny czy też fantastycznonaukowy – pierwszym, jakie wyszło spod mego pióra od roku 1942, kiedy to napisałam historyjkę z rodzaju „o początkach życia na Ziemi” dla magazynu „Astounding”, który z niezrozumiałych przyczyn ją odrzucił (nigdy nie mogłam znaleźć wspólnego języka z Johnem Campbellem). W wieku lat dwunastu z niekłamaną przyjemnością odebrałam prawdziwy druczek odrzucający, ale w wieku lat trzydziestu dwóch z niekłamaną przyjemnością odebrałam czek. Profesjonalizm nie jest cnotą; profesjonalista to po prostu ktoś, komu płacą za to, co amator robi z miłości. Ale z punktu widzenia ekonomicznego fakt, że za coś płacą, znaczy, że wykonana praca wchodzi w obieg, że będzie czytana; staje się środkiem porozumienia, co stanowi dążenie każdego artysty. Cele Goldsmith Lalli, która kupiła ode mnie to opowiadanie w roku 1962, jest chyba najbardziej przedsiębiorczym i bystrym wydawcą, jakiego kiedykolwiek miały pisma fantastycznonaukowe. Jestem jej wdzięczna za to, że uchyliła przede mną te drzwi.

Profesor Barry Pennywither siedział na zimnym, mrocznym poddaszu, wpatrzony w stojący przed nim stół, na którym leżały książka i okruchy chleba. Chleb był jego obiadem, książka – dziełem życia. Jedno i drugie było suche. Doktor Pennywither westchnął i się wzdrygnął. Mimo że mieszkania położone na niższych piętrach starego domu były zupełnie eleganckie, pierwszego kwietnia tak czy siak wyłączono ogrzewanie. Teraz był drugi kwietnia i padał deszcz ze śniegiem. Gdyby doktor Pennywither uniósł nieznacznie głowę, zobaczyłby ze swego okna dwie kwadratowe wieże Notre Dame, wyniosłe, majaczące niewyraźnie w mroku, tak bliskie, że – zdawać by się mogło – miał je w zasięgu ręki. Wyspa Świętego Ludwika bowiem, na której zamieszkał, była jak mała barka holowana przez wyspę Cité, na której stoi Notre Dame. Ale profesor nie uniósł głowy. Było mu za zimno.

Potężne wieże pograżyły się w ciemności. Doktor Pennywither pograżył się w ponurym nastroju. Z pogardą spoglądał na swoją książkę. Zawdzięczał jej roczny pobyt w Paryżu: „Wydadzą ci albo przegrałeś” – powiedział dziekan wydziału. Wydano mu, w nagrodę za co dostał roczny urlop od swojej pracy nauczycielskiej – bezpłatny. College Munsona nie mógł sobie pozwolić na to, żeby płacić nieuczącym nauczycielom. Za skromne oszczędności przyjechał do Paryża, by znów pożyć na poddaszu jak student, wertować w bibliotece piętnastowieczne manuskrypty i napawać się widokiem kwitnących kasztanowców, którymi wysadzone były aleje. Ale nic z tego nie wychodziło. Pennywither miał już czterdziestkę i był za stary na samotne poddasza. Deszcz ze śniegiem zwarzy z pewnością kasztanowe kwiecie w pąkach. A on miał już serdecznie dość swojej pracy. Kogo obchodziła jego teoria, teoria Pennywithera, dotycząca tajemniczego zniknięcia poety François Villona w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym trzecim? Nikogo. Bo mimo wszystko jego teoria dotycząca biednego Villona, największego młodocianego przestępcy wszech czasów, była jedynie teorią, niemożliwą do udowodnienia, szczególnie po upływie pięciuset lat. A zresztą nie ma rzeczy możliwej do udowodnienia. Poza tym co za różnica, czy Villon skończył na szubienicy Montfaucon, czy, jak utrzymywał Pennywither, w lionskim burdelu w drodze do Włoch? Nikogo to nie obchodziło. Nikt oprócz niego nie kochał Villona do tego stopnia. Nikt też zresztą nie kochał doktora Pennywithera, nawet sam doktor Pennywither. Bo dlaczego miałby kochać? Nietowarzyski, nieżonaty, kiepsko zarabiający pedant – siedzi tu samotnie na nieogrzewanym poddaszu czynszowej rudery, usiłując napisać kolejną nienadającą się do czytania książkę.

– Nie jestem realistą – powiedział głośno, znów westchnął i się wzdrygnął.

Wstał, zdjął z łóżka koc, zawinął się w niego i tak opatulony usiadł z powrotem przy stole, próbując zapalić gauloise’a bleue. Na próżno pstrykał zapalniczką. Raz jeszcze westchnął, wstał, przyniósł puszkę ohydnie śmierdzącego francuskiego płynu do zapalniczek, usiadł, od nowa owinał się w swój kokon, napełnił zapalniczkę i znowu pstryknął. Dokoła pełno było porozlewanego płynu. Zapłonęła zapalniczka i zapłonął doktor Pennywither, aż po przeguby rąk.

– Do diabła! – wrzasnął, bo z jego kłykci buchały błękitne płomyki.

Podskoczył, wymachując dziko rękami i wykrzykując raz po raz: „Do diabła!”, wściekły na przeznaczenie. Nic nigdy mu się nie udawało. Po co to wszystko. Była dwudziesta dwanaście drugiego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku.

W zimnej, wysoko sklepionej izbie siedział nad stołem pochylony mężczyzna. Za oknem za jego plecami majaczyły w wiosennym zmroku dwie kwadratowe wieże Notre Dame. Przed nim na stole leżał kawał sera i potężna, opatrzona żelaznymi okuciami ręcznie pisana księga. Księga zatytułowana była (po łacinie) *O prymacie ognia nad pozostałymi trzema pierwiastkami*. Autor patrzył na nią z pogardą. Nieopodal, na niewielkiej żelaznej kuchence perkotała mała retorta. Jehan Lenoir machinalnie przysuwał co chwila krzesło do kuchenki, usiłując się ogrzać, ale jego myśli zajęte były problemami znacznie głębszej natury.

– Do diabła! – wykrzyknął w końcu (w późnośredniowiecznej francuszczyźnie), zatrzasnął księgę i wstał.

A jeśli jego teoria była fałszywa? Jeśli to woda jest najważniejszym pierwiastkiem? Jak można czegoś takiego dowieść? Musi przecież być jakiś sposób, jakaś metoda, żeby człowiek mógł być pewny, absolutnie pewny jednego przynajmniej faktu! Tylko że każdy fakt prowadzi do innego faktu, tworząc monstrualne kłębowisko, poza tym autorytety naukowe się ścierają, a zresztą... kto będzie czytał jego książkę? – przecież nie ci przekłęci pedanci z Sorbony, którzy wszędzie węższą herezję. Po co więc to wszystko? Co mu z życia spędzonego w biedzie i samotności, z życia, w którym nie nauczył się niczego, tylko zgadywał i teoretyzował? Miotał się wściekły po poddaszu, aż nagle znieruchomiał.

– Dobrze – powiedział pod adresem przeznaczenia. – Bardzo dobrze! Nie dałeś mi niczego, to sam sobie wezmę, co będę chciał.

Podszedł do jednej ze stert książek, pokrywających niemal całą podłogę, wyszarpnął tom z samego dołu (zarysowując skórzaną oprawę i obcierając sobie kłykcie, kiedy reszta runęła lawiną), położył go energicznie na stole i zaczął studiować. Następnie z pełną determinacją miną buntownika naszykował niezbędne przybory: siarkę, srebro, kredę... Mimo że pokój był zakurzony i pełen śmieci, mała pracownia wyglądała schludnie i porządnie. Jeszcze chwila i Lenoir był gotów. Wstrzymał się jednak na moment.

– To śmieszne – mruknął, wyglądając przez okno w ciemność, gdzie dwóch kwadratowych wież Notre Dame można się już było jedynie domyślać.

W dole ulicą przeszedł nocny strażnik, oznajmiając wołaniem godzinę ósmą, a jego głos niósł się daleko w chłodnym, czystym powietrzu. Panowała taka cisza, że Lenoir słyszał plusk fal Sekwany. Wzruszył ramionami, zmarszczył brwi i kawałkiem kredy narysował na podłodze koło stołu zgrabną gwiazdę pięcioramienną. Następnie wziął do ręki książkę i zaczął czytać czystym, ale dość niepewnym głosem:

– *Haere, haere, audi me...* – było to długie zaklęcie i brzmiało dość nonsensownie. Głos mu się załamał. Podniósł się, znużony i zakłopotany. Śpiesznie dopowiedział ostatnie dwa słowa, zamknął książkę i oparł się ciężko o drzwi, gapiąc się z rozdziawionymi ustami na wielką bezkształtną postać, która stała pośrodku gwiazdy, oświetlona jedynie przez błękitne migotanie trzepoczących ognistych szponów.

Barry Pennywither opanował w końcu sytuację. Ugasił ogień, kryjąc ręce w fałdach koca, w który był spowity. Niepoparzony, ale wyprowadzony z równowagi, usiadł z powrotem. Spojrzał na swoją książkę. Przyjrzał jej się bliżej. Nie była już cienka ani szara, a jej tytuł wcale nie brzmiał: *Ostatnie lata Villona: analiza możliwych wersji*. Była gruba i brązowa i nosiła tytuł *Incantatoria Magna*. Na jego stole? Bezcenny manuskrypt z tysiąc czterysta siódmego roku, którego jedyny zachowany egzemplarz znajdował się w Mediolanie w Bibliotece Ambrozjańskiej? Powoli rozejrzał się dokoła. Opadła mu szczeka. Zauważył pracownię chemika i kilkadziesiąt stosów niewiarygodnych, oprawnych w skórę foliałów, okno, drzwi... Jego okno, jego drzwi... Tyle że skulone przy tych drzwiach stało jakieś niewielkie stworzenie, czarne, bezkształtne, które sucho grzechotało.

Barry Pennywither nie grzeszył odwagą, ale był człowiekiem myślącym racjonalnie. Uznał, że postradał zmysły, wobec czego zapytał zupełnie spokojnie:

– Czy jesteś diabłem?

Postać wzdrygnęła się i znowu zagrzechotała.

Tytułem próby, spoglądając w stronę niewidocznej Notre Dame, profesor zrobił znak krzyża świętego. Na to postać szarpnęła się – nie wzdrygnęła, tylko szarpnęła – a następnie przemówiła, cichutko, ale w nienagannej angielszczyźnie, nie, raczej w nienagannej francuszczyźnie, skąd – raczej w dziwnej francuszczyźnie:

– *Mais vous estes de Dieu.*

Barry wstał i zaczął się przyglądać przybyszowi.

– Kto ty jesteś? – zapytał, na co gość uniósł zupełnie ludzką twarz i odparł potulnie:

– Jehan Lenoir.

– A co robisz w moim pokoju?

Na chwilę zaległa cisza. Lenoir podniósł się z klęczek i stanął, prezentując całe swoje pięć stóp i dwa cale wzrostu.

– To jest mój pokój – powiedział w końcu, aczkolwiek bardzo grzecznie.

Barry rozejrzał się po książkach i retortach. Znow zapanowało milczenie.

– To w takim razie skąd ja się tu wzięłem?

– Przywołałem cię.

– Jesteś doktorem?

Lenoir z dumą skinął głową. Cała jego postawa się zmieniła.

– Tak, jestem doktorem – powiedział. – To ja cię tu przywołałem. Skoro natura broni przede mną swoich tajemnic, zwyciężę samą naturę, jestem zdolny dokonać cudu! Do diabła więc z nauką. Byłem kiedyś uczonym... – Spojrzał na Barry'ego spode łba. – Dość tego dobrego! Nazywają mnie głupcem, heretykiem, ale, na Boga... jestem czymś znacznie gorszym. Jestem czarownikiem, uprawiam czarną magię, jestem Jehan Czarny! Magia działa, prawda? A skoro działa magia, to nauka jest tylko stratą czasu. Ha! – zakończył, ale na jego twarzy wcale nie malował się triumf. – Wolałbym jednak, żeby nie działała – dodał ciszej, przechadzając się między książkami.

– Ja też – rzekł gość.

– A kim ty jesteś? – Lenoir spojrzał na Barry'ego wyzywająco, mimo że był niższy prawie o całą stopę.

– Barry A. Pennywith. Jestem profesorem francuskiego w College'u Munsona w Indianie. Mam teraz urlop, który spędzam w Paryżu, pogłębiając swoją znajomość późnośredniowiecznego fr... – urwał. Właśnie dotarło do niego, z jakim akcentem mówi Lenoir. – Który mamy rok? Który wiek? Doktorze Lenoir, proszę pana...

Francuz był wyraźnie zmieszany. Znaczenia słów się zmieniają, tak jak zmienia się ich wymowa.

– Kto rządzi tym krajem?! – wykrzyknął Barry.

Lenoir wzdrygnął się, wzdrygnął się po francusku (niektóre rzeczy się nie zmieniają).

– Panuje Ludwik – odparł. – Ludwik Jedenasty. Ohydny stary pajak.

Przez jakiś czas stali, wpatrując się w siebie nawzajem jak drewniane figurki Indian. Lenoir odezwał się pierwszy.

– To znaczy, że jesteś człowiekiem, tak?

– Tak. Ale wydaje mi się, że twoje czary... że musiałeś coś sfuszerować.

– Najwyraźniej – odparł alchemik. – Czy jesteś Francuzem?

– Nie.

– Czy jesteś Anglikiem? – Lenoir spojrzał na niego zezem. – Plugawym odstępcą?

– Nie, nie. Jestem z Ameryki. Pochodzę... pochodzę z twojej przyszłości. Z dwudziestego

wieku Anno Domini. – Barry się zaczerwienił. Zabrzmiało to głupio, a Pennywither był skromnym człowiekiem. Wiedział jednak, że nie ulega złudzeniu. Pokój, w którym się znajdował, jego pokój, był nowy. Nie miał pięciuset lat. Nie był zamieciony, ale nowy. I egzemplarz Albertusa Magnusa koło jego kolan był nowy, oprawny w miękką cielecą skórę ze lśniącymi złotymi literami. A przy tym wszystkim stał przed nim Lenoir w czarnym fartuchu, nie w ubraniu, wyraźnie u siebie w domu...

– Proszę, niech pan siada – mówił właśnie Lenoir. Po czym dodał z wyszukaną, choć pełną roztargnienia kurtuazją biednego uczonego: – Czy jest pan zmęczony podróżą? Mam trochę chleba i sera. Sprawi mi pan zaszczyt, dzieląc ze mną ten skromny posiłek.

Usiedli przy stole, posilając się chlebem i serem. Lenoir usiłował przede wszystkim wyjaśnić gościowi, dlaczego spróbował czarnej magii.

– Miałem już tego dosyć – powiedział. – Tak, dosyć! Mordowałem się w samotności od dwudziestego roku życia. W imię czego? Dla wiedzy. Żeby osiąść niektóre tajemnice natury. Ale one są nie do odkrycia.

Wbił nóż na jakieś pół cala w stół i Barry podskoczył. Lenoir był mały i chudy, ale wyraźnie obdarzony potężnym temperamentem. Miał bardzo piękną, choć bladą i chudą twarz: inteligentną, bystrą, żywą. Barry’emu przypominał pewnego sławnego fizyka atomowego, którego zdjęcia widywał w pismach do roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego. Pod wpływem tego skojarzenia powiedział:

- Niektóre są, Lenoir. Niemało się dowiedzieliśmy z wielu dziedzin...
- Na przykład czegoż takiego? – zapytał alchemik.
- No cóż, nie jestem uczonego...
- Potraficie robić złoto? – Lenoir uśmiechał się, zadając mu to pytanie.
- Nie, nie sądzę, ale na przykład otrzymuje się diamenty.
- Jak?
- Wydaje mi się, że z węgla – w wysokich temperaturach i pod ciśnieniem. Diament to też węgiel, ten sam pierwiastek.
- Pierwiastek?
- Mówiłem już, że nie jestem...
- A który pierwiastek jest najważniejszy?! – wykrzyknął Lenoir z ogniem w oczach i nożem w ręce zawieszony w powietrzu.
- Istnieje ich około stu – odparł Barry chłodno, usiłując ukryć przerażenie.

W dwie godziny później, wycisnąwszy z Barry’ego, co się dało z dziedziny chemii w zakresie szkoły średniej, Lenoir wybiegł w ciemność nocy i wkrótce potem wrócił z butelką w ręce.

- Mistrzu! – wykrzyknął. – I pomyśleć, że ja cię podjąłem jedynie chlebem i serem!
- Burgund był przyjemny, ze zbiorów z tysiąc czterysta siedemdziesiątego siódmego, a był to dobry rok. Po szklance wina Lenoir powiedział:
- Gdybym mógł ci się w jakiś sposób odwdziżyć...
 - Możesz. Znasz poetę, który nazywa się François Villon?
 - Owszem – odparł Lenoir nie bez zdziwienia. – Ale on pisał tylko te francuskie śmiecie, rozumiesz, nie po łacinie.

– Czy wiesz może, jak i kiedy umarł?

– A owszem. Został powieszony tutaj, w Montfaucon, w sześćdziesiątym czwartym czy sześćdziesiątym piątym, z bandą takich samych nicponi jak on. A bo co?

Dwie godziny później butelka była wysuszona dokładnie, ich gardła też, a strażnik nocny obwołał godzinę trzecią zimnego pogodnego świtu.

– Jehan, jestem wykończony – powiedział Barry. – Odeślij mnie z powrotem.

Alchemik był zbyt grzeczny, zbyt wdzięczny, a być może i zbyt zmęczony na to, żeby się z nim sprzeczać. Barry stał sztywno wewnątrz gwiazdy pięcioramiennej – wysoka, koścista postać otulona w brązowy koc, z gauloise'em bleue w zębach.

– *Adieu* – powiedział Lenoir smutno.

– *Au revoir* – odparł Barry.

Lenoir zaczął czytać tekst zaklęcia. Świeca zamigotała, jego głos przycichł:

– *Me audi, haere, haere* – czytał, po czym westchnął i podniósł wzrok. Pośrodku gwiazdy nie było nikogo, świeca migotała. – Ale przecież ja się tak niewiele dowiedziałem! – wykrzyknął Lenoir do pustego pokoju, a następnie, waląc pięściami w otwartą książkę, dodał: – I taki przyjaciel... prawdziwy przyjaciel...

Zapalił jeden z papierosów, które mu Barry zostawił, gdyż od razu poczuł pociąg do tytoniu. Kilka godzin przespał, siedząc przy stole. Kiedy się obudził, rozmyślał przez chwilę, wreszcie zapalił świecę, sięgnął po drugiego papierosa, otworzył *Incantatoria* i zaczął głośno czytać:

– *Haere, haere...*

– Och, dzięki Bogu – powiedział Barry, wychodząc śpiesznie z gwiazdy i ściskając Lenoirowi dłoń. – Wiesz co, Jehan? Wróciłem tam i patrzę: ten sam pokój, ale stary, koszmarnie stary, i pusty. I sobie pomyślałem: „Boże, co ja zrobiłem? Sprzedałbym duszę, żeby móc do niego wrócić. Na co mi to wszystko, czego się od niego dowiedziałem? Kto mi uwierzy? Jak to udowodnię i komu, do diabła, powiem? Kogo to obchodzi?”. Nie mogłem spać. Siedziałem i przez godzinę płakałem...

– Zostaniesz?

– Zostanę. Zobacz, wziąłem to na wypadek, gdybyś mnie znów przywołał. – Barry nieśmiało wyciągnął osiem paczek gauloise'ów, kilka książek i złoty zegarek. – Może być sporo wart – wyjaśnił. – Wiedziałem, że papierowe franki nie na wiele nam się zdadzą.

Na widok drukowanych książek Lenoirowi zalśniły oczy, ale nawet nie drgnął.

– Przyjacielu – powiedział – mówiłeś, że sprzedałbyś duszę, żeby tylko... rozumiesz... ja tak samo. Ale nie sprzedaliśmy. Jak to się mimo wszystko stało, że obaj jesteśmy ludźmi, a nie diabłami? Żadnych cyrografów krwią pisanych. Dwaj mężczyźni, którzy żyli w tym pokoju...

– Nie mam pojęcia – odparł Barry. – Później do tego dojdziemy. Mogę tu trochę zostać, Jehan?

– Czuj się jak u siebie w domu – powiedział Lenoir, wdzięcznym ruchem wskazując pomieszczenie: stosy książek, retorty, dogasającą świecę.

Za oknem, szare w szarości świtu, wznosiły się dwie potężne wieże Notre Dame. Był to świt trzeciego kwietnia.

Po śniadaniu (na które złożyły się okruchy chleba i okrawki sera) wyszli na miasto i wdrapali się na wieżę południową. Katedra wyglądała tak samo jak zawsze, tyle że mury były jaśniejsze niż w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku, ale widok, jaki się z niej roztaczał, wstrząsnął Barrym. Spoglądał z góry na małe miasteczko. Dwie niewielkie wyspy pokryte zabudowaniami. Na prawym brzegu rzeki, otoczone warownym murem, widniało gęste skupisko budynków, na lewym kilka uliczek wiło się wokół kolegium i to wszystko. Na rozgrzanych przez słońce kamieniach pomiędzy rzygaczami gruchały gołębie. Lenoir, dla którego ten widok nie był nowością, wyrył na parapecie datę (rzymskimi cyframi).

– Musimy to uczcić – powiedział. – Wybierzmy się na wieś. Od dwóch lat nie ruszałem się z miasta. Wybierzmy się dokładnie o, tam. – Wskazał na rysujące się mgliście zielone wzgórze, na którym majaczyło kilka chat i wiatrak. – Na Montmartre, zgoda? Podobno tam są dobre gospody.

Początkowo Barry czuł się nieswojo na małych, zatłoczonych uliczkach, ale w czarnej szacie pożyczonej od gospodarza niczym się nie wyróżniał poza wzrostem. Był prawdopodobnie najwyższym mężczyzną w całej piętnastowiecznej Francji. W związku z niskim poziomem życia wszy były nieuniknione, ale Barry nigdy nie pragnął specjalnie wygod i jedyną rzeczą, której mu naprawdę brakowało, była kawa na śniadanie. Kiedy kupili łóżko i brzytwę – Barry zapomniał swojej – a następnie poinformowali właściciela domu, że monsieur Barrie jest kuzynem Lenoira z Owernii, uznali, że są całkowicie urzędzeni. Zegarek Barry’ego przyniósł im fortunę – cztery sztuki złota – a więc dość, by mogli żyć spokojnie przez rok. Sprzedali go jako najnowszy wspaniały chronometr z Ilirii i kupiec, dworski szambelan poszukujący jakiegoś upominku godnego króla, spojrzawszy na wygrawerowany napis „Bracia Hamilton, New Haven, 1881”, mądrze pokiwał głową. Niestety, zanim zdążył sprezentować królowi zegarek, został zamknięty w jednej z cel w Tours, przeznaczonych specjalnie dla niesubordynowanych dworzan, i być może zegarek do dziś tkwi gdzieś wśród ruin Plessis za jedną z cegieł. Ale to wszystko nie miało żadnego znaczenia dla dwóch uczonych. Rano snuli się zwykle po mieście, oglądając Bastylię i zwiedzając różne kościoły albo składając wizyty rozmaitym pomniejszym poetom, którymi interesował się Barry. Po południowym posiłku dyskutowali na temat elektryczności, teorii atomowej, fizjologii i innych spraw, które z kolei interesowały Lenoira, albo przeprowadzali niewielkie doświadczenia chemiczne i anatomiczne, zwykle bez powodzenia. Po kolacji zaś po prostu rozmawiali. Były to długie swobodne pogawędki, w których przebiegali całe wieki, ale które zawsze znajdowały kres tutaj, w mrocznym pokoju, z oknem otwartym na wiosenną noc, w ciepłe ich przyjaźni. Po upływie dwóch tygodni czuli się tak, jakby się znali całe życie. Byli szczęśliwi, choć wiedzieli, że nic im nie przyjdzie z tego, czego się nawzajem od siebie nauczyli. No bo jak miał Barry w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku dowieść swojej wspaniałej znajomości starego Paryża, a z kolei Lenoir w roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym drugim – słuszności metody naukowej? Nigdy też właściwie nie oczekiwali, że będzie ich ktokolwiek słuchał. Po prostu byli żądni wiedzy.

Poczuł się więc po raz pierwszy w życiu rzeczywiście szczęśliwi, tak szczęśliwi, prawdę powiedziawszy, że zaczęły się w nich budzić pewne pragnienia, stłumione dotychczas przez głód wiedzy.

– Zastanawiam się – powiedział pewnego wieczoru Barry, siedząc przy stole z Lenoirem

– czy myślałeś kiedykolwiek o małżeństwie?

– Nie – odparł przyjaciel niepewnie. – To znaczy przyjąłem niższe święcenia i uważałem, że mnie to nie dotyczy...

– No, a poza tym to kosztowna sprawa. Zresztą w moich czasach żadna szanująca się kobieta nie wyszłaby za mąż za kogoś, kto żyje tak jak ja. Amerykanki cholernie lubią stabilizację, to takie sprawne, wytworne, przerażające istoty...

– A tutejsze kobiety są małe, czarne jak żuki i mają zepsute zęby – rzekł Lenoir ponuro.

Tego wieczora nie rozmawiali więcej o kobietach, ale nazajutrz temat powrócił i następnego dnia też, a na trzeci dzień, uroczyście oblewając udane wypreparowanie centralnego układu nerwowego ciężarnej żaby, wypili dwie butelki Montrachet rocznik siedemdziesiąty czwarty, które uderzyły im do głowy.

– Wiesz co, Jehan, przywołajmy kobietę – powiedział Barry lubieżnym basem, uśmiechając się jak maskaron.

– A jeśli tym razem zjawi się diabeł?

– Uważasz, że to wielka różnica?

Zarykując się ze śmiechu, narysowali gwiazdę pięcioramienną.

– *Haere, haere* – zaczął Lenoir, a kiedy dostał czkawkę, zastąpił go Barry i doczytał ostatnie słowa zaklęcia.

Poczuli prąd zimnego powietrza, cuchnącego bagnem, i pośrodku gwiazdy pojawiła się postać z dzikim błyskiem w oczach, długimi czarnymi włosami, naga jak ją Pan Bóg stworzył i krzycząca.

– Jak Boga kocham, kobieta – powiedział Barry.

– Rzeczywiście?

Rzeczywiście była to kobieta.

– Masz, weź mój płaszcz – rzekł Barry, bo biedaczka popłakiwała i dygotała z zimna.

Zarzucił jej płaszcz na ramiona, a ona machinalnie otuliła się nim, mruczając pod nosem:

– *Gratias ago, domine*.

– Łacina! – wykrzyknął Lenoir. – Kobieta mówiąca po łacinie?

Znacznie dłużej przychodził do siebie po wstrząsie, jakim było dla niego to spotkanie, niż Bota. Była niewolnicą podprefekta północnej Galii, który miał siedzibę na mniejszej wysepce błotnistego wyspiarskiego miasta Lutetia². Mówiła po łacinie z wyraźnym akcentem celtyckim i nie wiedziała nawet, kto jest w jej czasach cesarzem rzymskim. Prawdziwa barbarzynka, zawyrokował z pogardą Lenoir. I rzeczywiście – była ciemną, potulną, małomówną dzikuską ze zmierzwionym włosiem, o białej skórze i czystych szarych oczach. Została wyrwana z głębokiego snu. Kiedy ją wreszcie zdołali przekonać, że to już nie sen, uznała najwyraźniej, że padła ofiarą jednego z wybryków swego cudzoziemskiego i wszechpotężnego pana, i pogodziła się z sytuacją bez dalszych oporów.

– Czy mam panom służyć? – zapytała pokornie, bez dąsów, przenosząc wzrok z jednego na drugiego.

– Nie mnie – burknął Lenoir i zwracając się do Barry'ego, dodał po francusku: – Nie krępuj się, ja będę spał na stryszku. – I po tych słowach wyszedł.

Bota podniosła wzrok na Barry'ego. Nikt z Galów i tylko niewielu Rzymian odznaczało się równie wspaniałym wzrostem, ale ani Galowie, ani Rzymianie nie wyrażali się tak grzecznie.

– Pana lampa (była to świeca, ale Bota nigdy nie widziała świecy) już się prawie

wypaliła – powiedziała. – Czy mogę ją zdmuchnąć?

Za dodatkowe dwa sole rocznie gospodarz pozwolił im używać stryszku, który został zamieniony na drugą sypialnię, i od tej pory Lenoir znów sypiał sam w głównym pomieszczeniu poddasza. Obserwował idyllę przyjaciela z pełnym zadumy, ale pozbawionym zazdrości zainteresowaniem. Profesor i niewolnica kochali się z zachwytem i czułością, a ich szczęście wywoływało u Lenoira przypływ opiekuńczej radości. Bota prowadziła dotychczas zwierzęce życie, traktowana zawsze jak kobieta – nigdy istota ludzka. W ciągu jednego krótkiego tygodnia rozkwitła więc, ujawniając naturę wesołą i inteligentną.

– Robi się z ciebie prawdziwa paryżanka – usłyszał pewnej nocy Lenoir wyrzut Barry’ego (ściany poddasza były cienkie).

– Gdybyś wiedział, co to dla mnie znaczy nie musieć się bez przerwy bronić... Dawniej żyłam wiecznie w strachu, w samotności... – odpowiedziała.

Lenoir usiadł na łóżku i zaczął się zastanawiać. Około północy, kiedy wokół zapanowała cisza, wstał, bezszelestnie przygotował szczyptę siarki i srebra, narysował gwiazdę pięcioramienną i wyciągnął księgę. Na jego twarzy malowała się obawa. Bardzo cichutko odczytał tekst zaklęcia.

W gwieździe pojawił się biały piesek. Cofnął się z podkulonym ogonem, a następnie nieśmiało podszedł do Lenoira, obwąchał jego rękę i spoglądając na niego wilgotnymi oczyma, zaskomlał błagalnie. Zagubione szczenię... Lenoir pogłaskał pieska. Zwierzę polizało mu rękę i skoczyło na niego z ulgą i radością. Na obróżce z białej skórki wisiał srebrny medalik, na którym wygrawerowano: „Jolie, Dupont, Paryż VI, rue de Seine 36”.

Uporawszy się z sucharem, który dał jej Lenoir, Jolie poszła spać, zwinięta w kłębek pod jego krzesłem. Alchemik zaś znów otworzył księgę i zaczął czytać, w dalszym ciągu cicho, ale już bez wahań, bez obawy, ponieważ wiedział, co się stanie.

Rano, wyłoniwszy się ze swojej zaimprovizowanej miodomiesięcznej stryszkosypialni, Barry stanął w drzwiach jak wryty. Lenoir siedział na łóżku i pieścił białe szczenię pogrążony w rozmowie z siedzącą w nogach łóżka wysoką rudowłosą kobietą ubraną na srebrno. Piesek zaszczekał, a Lenoir powiedział:

– Dzień dobry!

Kobieta uśmiechnęła się urzekająco.

– Rany Julek! – mruknął Barry (po angielsku), a następnie dodał: – Dzień dobry. Skąd się pani wzięła?

Wyglądała jak wyidealizowany obraz Rity Hayworth... może jak Rita Hayworth i Mona Liza razem wzięte?

– Z Altaira, około siedmiu tysięcy lat w przód, licząc od teraz – wyjaśniła, uśmiechając się jeszcze bardziej urzekająco. Mówiła po francusku z akcentem gorszym niż student pierwszego roku, który się dostał na uczelnię jako stypendysta klubu futbolowego. – Jestem archeologiem. Prowadziłam prace wykopaliskowe w ruinach Paryża trzeciego. Przepraszam, że tak źle mówię po francusku, ale znamy ten język tylko z inskrypcji.

– Pani pochodzi z Altaira? Z tej gwiazdy? Ale przecież pani jest człowiekiem... wydaje mi się...

– Nasza planeta została skolonizowana przez Ziemiaków jakieś cztery tysiące lat temu, to znaczy za trzy tysiące lat, licząc od teraz. – Roześmiała się czarująco i spojrzała na Lenoira. – Jehan mi to wyjaśnił, ale w dalszym ciągu wszystko mi się miesza.

– Ta ponowna próba, Jehan, była bardzo ryzykowna – zbeształ go Barry. – Mieliśmy naprawdę wyjątkowe szczęście.

– Nie – odparł Francuz – to nie żadne szczęście.

– Tak czy siak, igrasz z czarną magią. Zaraz... ale ja nie wiem, jak się pani nazywa, madame.

– Kislk – odparła.

– Kislk – powtórzył Barry bez zająknięcia. – Musicie mieć niesłychanie rozwiniętą naukę. Jak wobec tego znaleźliście miejsce na magię? Czy ona w ogóle istnieje? Czy można rzeczywiście pogwałcić prawa natury, tak jak my to robimy?

– Nigdy nie słyszałam o potwierdzonym przypadku magii.

– No to co się wobec tego dzieje?! – ryknął Barry. – Dlaczego to stare, głupie zaklęcie funkcjonuje, jeśli chodzi o Jehana, o nas, właśnie to jedno jedyne zaklęcie, właśnie tutaj, nigdzie indziej, w stosunku do nikogo innego z pięciu... nie, z ośmiu... nie, z piętnastu tysięcy lat zapisanej historii? Dlaczego? Dlaczego? I skąd się wziął ten cholerny szczeniak?

– Szczeniak się zgubił – wyjaśnił Lenoir, a jego ciemna twarz przybrała poważny wyraz – gdzieś w pobliżu tego domu, na Wyspie Świętego Ludwika.

– A ja sortowałam akurat skorupy naczyń – powiedziała Kislk też bardzo poważnie – w ruinach jednego z domów. Wyspa dwa, stanowisko czwarte, sekcja D. Był cudowny wiosenny dzień, a ja go nienawidziłam. Czulałam do niego wstręt. Do dnia, do pracy, do ludzi, wśród których się znajdowałam. – Znowu obrzuciła wychudzonego alchemika spokojnym, przeciągłym spojrzeniem. – Usiłowałam to Jehanowi wyjaśnić w nocy. Poprawiliśmy rasę. Jesteśmy wszyscy wysocy, zdrowi i piękni. Zęby mamy nieplombowane. A wszystkie czaszki pochodzące z okresu wczesnoamerykańskiego mają plomby w zębach... Niektórzy z nas są brunatni, niektórzy biali, inni mają skórę złocistą. Ale absolutnie wszyscy są piękni, zdrowi, wspaniale przystosowani, przebojowi i dobrze im się powodzi. Zawód i stopień powodzenia każdy z nas ma z góry zaplanowany w Państwowych Domach Przedszkolnych. Ale czasem zdarza się skaza genetyczna. Jak w moim wypadku na przykład. Wykształcono mnie na archeologa, ponieważ nauczyciele stwierdzili, że właściwie nie lubię ludzi. To znaczy żywych ludzi. Ludzie mnie nużą. Z wyglądu wszyscy są tacy sami jak ja, ale jeśli chodzi o ich wnętrza – wszyscy są mi obcy. Kiedy wszystko dokoła jest takie samo, które miejsce można nazwać domem? I wreszcie zobaczyłam brudny, niedograny pokój. Zobaczyłam katedrę nie w ruinach. Spotkałam żywego mężczyznę, niższego ode mnie, z zepsutymi zębami, bardzo nieopanowanego. Tu jest mój dom! Tu mogę być sobą, tu już nie jestem samotna!

– Samotna... – powiedział łagodnie Lenoir do Barry'ego. – Samotność, co? To samotność jest magią, samotność silniejsza niż... rzeczywiście nie ma w tym nic niezgodnego z naturą.

Zza drzwi zerknęła Bota. Twarz miała zarumienioną pośród czarnych pukli włosów. Uśmiechając się nieśmiało, powiedziała gościowi grzecznie dzień dobry po łacinie.

– Kislk nie zna łaciny – wyjaśnił Lenoir z bezgraniczną satysfakcją. – Musimy nauczyć Botę trochę francuskiego, zwłaszcza że francuski to język miłości, co? No, chodźcie,

pójdziemy kupić chleba. Jestem głodny.

Kisłk ukryła swoją srebrną tunikę pod praktycznym anonimowym płaszczem, Lenoir zaś włożył czarną, nadjedzoną przez mole szatę. Kiedy Bota cesała włosy, Barry w zamyśleniu drapał się w szyję pogryzioną przez wszy. Po tych przygotowaniach wyruszyli kupić coś na śniadanie. Alchemik i archeolog międzygwiazdny szli pierwsi, rozmawiając po francusku, galijska niewolnica i profesor z Indiany za nimi, rozmawiając po łacinie i trzymając się za ręce. Wąskie ulice skąpane w słońcu były zatłoczone. Ponad nimi Notre Dame wznosiła ku niebu swoje dwie kwadratowe wieże. Nieopodal cicho pluskała Sekwana. Był kwiecień w Paryżu i nad rzeką kasztanowce stały w kwiatkach.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

[2](#) Lutetia – nazwa Paryża w czasach rzymskich; później nazywał się Lutetia Parisiorum (przyp. tłum.).

Mistrzowie

Mistrzowie to moje pierwsze opublikowane, prawdziwe, autentyczne, typowe opowiadanie fantastycznonaukowe. Mam tu na myśli rodzaj utworu, w którym – czy dla którego – istnienie i osiągnięcia nauki mają zasadnicze znaczenie. A przynajmniej taki mam pogląd na fantastykę naukową w poniedziałki. We wtorki miewam inny.

Niektórzy autorzy science fiction nie cierpią nauki, jej ducha, metod i produktów, inni ją lubią. Jedni są przeciwko technice, inni ją wielbią. Mnie na przykład nuży skomplikowana mechanika, fascynują natomiast biologia, psychologia i hipotetyczne problemy astronomii i fizyki, na tyle oczywiście, na ile je pojmuję. Postać uczonego pojawia się dość często w moich opowiadaniach; zwykle jest on samotnym, odizolowanym ryzykantem, dotykającym granic rzeczy.

Do tematu tego opowiadania wróciłam jeszcze raz, kiedy byłam znacznie lepiej przygotowana. Jest jednak w *Mistrzach* jedno ważne zdanie: „Usiłował zmierzyć odległość między ziemią a Bogiem”.

W ciemności stał człowiek, samotny, nagi, z kopcącą pochodnią w dłoni. Jej czerwony blask oświetlał przestrzeń i ziemię w promieniu zaledwie kilku stóp; dalej była niezmierna ciemność. Od czasu do czasu zrywał się wiatr, ledwie dostrzegalnie błyskały czyjeś oczy i potężny głos mamrotał: – Trzymaj ją wyżej!

Mężczyzna usłuchał, chociaż pochodnia drżała w jego rękach. Uniósł ją wysoko ponad głowę, a ciemność rzuciła się na niego, bulgocząc, zamykając go w swoim uścisku. Wiatr wiał coraz zimniejszy, czerwony płomień migotał. Zesztywniałe ramiona mężczyzny zaczęły drżeć, a potem podskakiwać spazmatycznie. Jego twarz lśniła, tłusta od potu. Ledwie słyszał ciche, potężne mamrotanie: – Podnieś wyżej, wyżej, podnieś wyżej!...

Bieg czasu się zatrzymał. Tylko szept się nasilał, nasilał, aż przeszedł w wycie, ale on w dalszym ciągu – o zgrozo! – nie czuł żadnego dotyku, nic się nie pojawiło w kręgu światła. – A teraz idź! – ryknął potężny głos. – Idź przed siebie!

Trzymając pochodnię nad głową, postawił nogę na ziemi, której nie widział. Bo jej tam nie było. Runął, wołając o pomoc. Wokół niego były ciemność i błyskawice, a w oczach miał ogień pochodni, której nie wypuścił z rąk.

Czas... czas i światło, i ból – wszystko zaczęło się od nowa. Przycupnął na czworakach w jakimś rowie, w błocie. Twarz go piekła, oczy, porażone ostrym światłem, zasnuła mgła. Ze swej zbrukanej błotem nagości podniósł wzrok ku stojącej nad nim świetlistej postaci. Światło opromieniało wspaniale siwe włosy, fałdy długiej białej szaty. Oczy spojrzały na

Ganila, a głos przemówił: – Leżysz w grobie. Leżysz w grobie nauki. Tak jak leżą twoi przodkowie pogrzebani na zawsze pod popiołami ogni piekielnych! – Głos przybrał na sile: – Człowieku upadły, wstań!

Ganil zdołał się podnieść. Biała postać wskazała ręką pochodnię.

– To jest światło ludzkiego rozumu. Przyprowaździło cię ono do grobu. Rzuć je.

Ganil zorientował się, że w dalszym ciągu trzyma powalaną błotem czarną pochodnię, upuścił ją więc na ziemię.

– A teraz powstań! – wykrzyknęła biała postać w uroczystym uniesieniu. – Powstań z ciemności, by chodzić w świetle dnia powszedniego!

Wyciągnęły się do Ganila ręce, pomagając mu dźwignąć się z dołu.

Ganil zobaczył klęczących ludzi, którzy podsuwali mu miski z wodą i gąbki; inni wycierali go mocno ręcznikami, aż wreszcie czysty i rozgrzany, w szarej szacie zarzuconej na ramiona, stanął w jasnej przestronnej sali wśród gwaru, śmiechów i krzątaniny. Jakiś łysy mężczyzna położył mu rękę na ramieniu.

– Chodź, czas na przysięgę.

– Czy... czy wszystko poszło dobrze?

– Wspaniale! Tylko że strasznie długo trzymałeś w górze tę cholerną pochodnię. Już myśleliśmy, że będziemy tak sterczeć w ciemnościach, urągając ci cały dzień. No, chodź.

Poprowadzili go czarnym chodnikiem pod bardzo wysokim sklepieniem o jasnych belkach do niezwykle białej zasłony, długości trzydziestu stóp od sufitu do ziemi, która opadała w kilku prostych fałdach.

– Zasłona tajemnicy – wyjaśnił ktoś Ganilowi rzeczowo.

Śmiechy i rozmowy ucichły; wszyscy stali dokoła niego w milczeniu. W ciszy zasłona się rozsunała. Ganil zamglonym wzrokiem widział wysoki ołtarz, długi stół i starca w bieli.

– Kandydacie, czy powtórzysz z nami słowa naszej przysięgi?

Ktoś trącił Ganila i podpowiedział mu szeptem:

– Powtórzę.

– Powtórzę – wyjąkał Ganil.

– Przysięgajcie więc, mistrzowie obrządku!

Starzec uniósł srebrny przedmiot: krzyż w kształcie litery X na żelaznym trzonku.

– Na Krzyż Dnia Powszedniego przysięgam nigdy nie zdradzać obrządków i tajemnic mojej loży...

– Na Krzyż... przysięgam... obrządków – mamrotali zebrani dokoła, aż zachęcony kolejnym kuksańcem Ganil zaczął powtarzać za nimi.

– Żyć dobrze, pracować dobrze, myśleć dobrze...

Kiedy Ganil skończył, jakiś głos szepnął mu do ucha:

– Nie przysięgaj.

– Unikać wszelkich herezji, oddawać w ręce sądów kościelnych wszystkich czarnoksiężników i być posłusznym wielkim mistrzom mojej loży od tej chwili aż do śmierci...

Mamrotanie, mamrotanie. Jedni powtarzali długą frazę, inni nie. Ganil, zdezorientowany, mruknął jedno czy dwa słowa, po czym zamilkł.

– I przysięgam nigdy nie uczyć żadnego z niewtajemniczonych tajemnic maszynerii. Przysięgam na Słońce.

Zgrzytliwy łoskot mało nie zagłuszył ich słów. Powoli, chybotliwie odsunęła się część

dachu, ukazując żółtoszare, pochmurne letnie niebo.

– Patrzcie na światło dnia powszedniego! – wykrzyknął triumfalnie starzec w bieli i Ganil spojrział w górę.

Mechanizm najwyraźniej się zaciął. Zanim niebo ukazało się w całości, rozległ się głośny zgrzyt kół zębatach, po czym zaległa cisza. Starzec podszedł do Ganila, ucałował go w oba policzki i powiedział: – Witaj, mistrzu Ganilu, na wyższym stopniu wtajemniczenia.

Ceremonia inicjacji była zakończona. Ganil stał się mistrzem swojej loży.

– Masz tu paskudne oparzenie – powiedział łysy mężczyzna, kiedy wychodzili razem z sali.

Ganil uniósł rękę i stwierdził, że lewy policzek i skroń ma obdarte ze skóry, obolałe.

– Całe szczęście, że oko ocalało.

– Mało cię nie oślepiło światło rozumu, co? – odezwał się cichy głos.

Rozejrzawszy się dokoła, Ganil zobaczył jasnego mężczyznę o włosach ciemnoblonde i oczach tak absolutnie błękitnych jak u kota albinosa albo ślepego konia. Odwrócił się natychmiast, żeby nie patrzeć na to upośledzenie, ale mężczyzna ciągnął cichym głosem, a był to ten sam głos, który w czasie przysięgi szepnął mu do ucha: „Nie przysięgaj”.

– Jestem Mede Fairman. Będę razem z tobą mistrzem w pracowni Lee. Wstąpimy na piwo?

Wilgotne, ciężkie od oparów piwa powietrze tawerny stanowiło dziwny przeskok w stosunku do przerażającej, groźnej atmosfery, w jakiej odbywały się ceremonie. Ganilowi kręciło się w głowie. Mede Fairman wypił pół kufła piwa, z wyraźną satysfakcją wytarł usta z piany i zapytał: – Co myślisz o inicjacji?

– Była... była...

– Upokarzająca?

– Tak – zgodził się Ganil. – Naprawdę upokarzająca.

– Nawet poniżająca – dodał błękitnooki.

– Tak. To wielka... wielka tajemnica.

Zmieszany Ganil patrzył w kufel piwa. Mede uśmiechnął się i powiedział łagodnie: – Wiem. Wypij. Uważam, że jakiś cyrulik powinien obejrzeć tę oparzelinę.

Ganil posłusznie wyszedł za nim.

Był wieczór. Na wąskich uliczkach roili się przechodnie, wozy zaprzężone w konie i woły, terkoczące wózki motorowe. Na rynku budki rzemieślników zamykano właśnie na noc, a wzdłuż ulicy Głównej wielkie wrota pracowni i łóż były już zaryglowane. Tu i tam pochylone, ściśnięte domy przedzielała ślepa żółta fasada świątyni, oznaczona wypolerowanym kołem z brązu. W mętym, krótkim letnim zmierzchu pod nieruchomymi chmurami ludzie dnia powszedniego tłoczyli się, śmiali, snuli, popychali, rozmawiali i przeklinali, a Ganil, otepiały ze zmęczenia, bólu i mocnego piwa, trzymał się blisko Mede'a, jak gdyby – mimo świeżo nabytego mistrzostwa – ten błękitnooki nieznajomy był jego jedynym przewodnikiem.

– XVI plus IXX – powiedział zniecierpliwiony Ganil. – Co, do diabła, nie umiesz dodawać, chłopcze?

Czeladnik się zaczerwienił.

– A więc nie jest to XXXVI, mistrzu Ganilu? – zapytał nieśmiało.

W odpowiedzi Ganil wepchnął na miejsce jeden z prętów, które chłopiec wykonał do remontowanego właśnie modelu maszyny parowej. Był o cal za długi.

– To przez mój duży palec, który mi służył za miarkę. Jest bardzo gruby – odparł chłopiec, pokazując masywne dłonie. Rzeczywiście, jego kciuk był niezwykle gruby.

– To prawda – rzekł Ganil. Jego ciemna twarz jeszcze pociemniała. – Bardzo ciekawe. Ale to nieważne, jak długi jest twój cal, jeśli używasz tej miary konsekwentnie. Ważne jest, durniu jeden, że XVI i IXX nie było, nie jest i nie będzie nigdy w świecie XXXVI, ty ciemny ignorancie.

– Tak jest, mistrzu. To bardzo trudno spamiętać, mistrzu.

– To ma być trudno spamiętać, czeladniku Wannu – odezwał się głęboki głos. Należał do starszego pracowni, tłustego mężczyzny o potężnej klatce piersiowej i żywych, czarnych oczach. – Chodź no tu na chwilę, Ganilu. – Prowadząc go w spokojniejszy koniec wielkiej pracowni, Lee podjął wesoło: – Jesteś trochę niecierpliwy, mistrzu Ganilu.

– Wannu powinien znać tabliczkę dodawania.

– Nawet mistrzom zdarza się zapomnieć dodawania od czasu do czasu. – Lee po ojcowsku poklepał Ganila po ramieniu. – Przez chwilę miałem wrażenie, jakbyś oczekiwał od niego, że to obliczy. – Roześmiał się wspaniałym basem, a w jego oczach widać było wesołe ogniki i niezmierną mądrość. – Nie przejmuj się, to wszystko... Rozumiem, że przyjdiesz na kolację w wigilię Święta Ofiary?

– Pozwoliłem sobie...

– Świetnie, świetnie! Rośnij w siłę. Chciałbym, żeby sobie wzięła takiego dobrego, spokojnego człowieka jak ty. Ale ostrzegam cię lojalnie: moja córka jest postrzelona i samowolna. – I znów mistrz się roześmiał, a Ganil uśmiechnął się trochę smutno.

Córka starszego pracowni, Lani, owinęła sobie dokoła palca nie tylko większość młodych ludzi z warsztatu, ale i ojca. Bystra, ruchliwa niby żywe srebro dziewczyna na początku właściwie przestraszyła Ganila. Nie od razu zauważył, że do niego jednego zwracała się z pewnym onieśmieleniem, a nawet jak gdyby z przymilną nutą w głosie. Zebrał się więc na odwagę i poprosił jej matkę o zaproszenie na kolację, co było ogólnie uznane za pierwszy etap zalotów. Stał teraz dokładnie w tym samym miejscu, gdzie go zostawił Lee, i wspominał uśmiech Lani.

– Ganilu, czy widziałeś kiedyś słońce? – odezwał się niski, suchy, ale przyjemny głos.

Ganil odwrócił się i napotkał spojrzenie błękitnych oczu swojego przyjaciela.

– Słońce? Oczywiście, że widziałem.

– Kiedy je widziałeś po raz ostatni?

– Zaraz, chwileczkę. Miałem wtedy dwadzieścia sześć lat. Cztery lata temu. A ciebie nie było w tym czasie w Edunie? Pokazało się późnym popołudniem. Tej nocy rozbłysły też gwiazdy. Pamiętam, że naliczyłem osiemdziesiąt jeden, zanim się niebo skryło.

– Objałem właśnie wtedy moją pierwszą pracownię, było to na północy, w Kelingu. – Mówiąc to, Mede opierał się o drewnianą barierkę ciężkiej wzorcowej maszyny parowej. Jego jasne oczy, odwrócone od gwarnej pracowni, patrzyły przez okno na miarowy drobny deszcz późnej jesieni. – Słyszałem dopiero co, jak beształ młodego Wannu... „Ważne jest, że XVI i IXX nigdy nie było XXXVI...”. „Kiedy miałem dwadzieścia sześć lat. Cztery lata temu... naliczyłem osiemdziesiąt jeden gwiazd...”. Jeszcze trochę i zaczniesz rachować, Ganilu.

Ganil zmarszczył brwi, machinalnie pocierając białawą bliznę na skroni.

– No dobrze, Mede, ale przecież nawet niewtajemniczeni wiedzą, ile to jest XXX mniej IV!

Mede uśmiechnął się blado. Zniżył liniał, który trzymał w ręce, i narysował nim na zakurzonej podłodze kolisty kształt.

– Co to jest? – zapytał.

– Słońce.

– W porządku. Ale to również... cyfra. Liczba. Cyfra oznaczająca nic.

– Tak.

– Można jej także używać w tabliczce odejmowania, na przykład II minus I jest I, prawda? A ile jest II minus II? – Zawiesił głos. Postukał miarką w kółko. – To.

– Oczywiście. – Ganil patrzył na kółko, na święty wizerunek Słońca, ukrytego światła, twarzy Boga. – Czy to jest nauka kapłańska?

– Nie. – Mede wpisał w koło X. – To jest nauka kapłańska.

– To wobec tego czyją jest nauką ta cyfra na oznaczenie niczego?

– Niczyją. Albo raczej każdego. To nie jest żadna tajemnica.

Ganil zmarszczył brwi, zdumiony tym oświadczeniem. Rozmawiali ściszonymi głosami, stojąc blisko siebie, jakby dyskutowali jakiś pomiar na liniale Mede'a.

– Po co liczyłeś gwiazdy, Ganilu?

– Bo... bo chciałem wiedzieć. Zawsze lubiłem liczyć, interesowały mnie liczby, tabele. Dlatego jestem mechanikiem.

– Tak. Masz trzydzieści lat, prawda? I od czterech miesięcy jesteś mistrzem? Czy pomyślałeś kiedy, Ganilu, że być mistrzem to znaczy posiadać całą wiedzę swego zawodu? Od tej chwili aż do śmierci nie nauczysz się już nic więcej. Bo już nie ma czego.

– No, ale starsi pracowni...

– Starsi pracowni znają po prostu tajne znaki i hasła – wyjaśnił Mede cichym, suchym głosem – i oczywiście mają władzę, ale nie wiedzą więcej niż ty... Myślałeś pewnie, że wolno im rachować. Otóż nie, nie wolno.

Ganil milczał.

– Ale są rzeczy, których się można nauczyć, Ganilu.

– Gdzie?

– Na zewnątrz.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Ja tego nie mogę słuchać, Mede. Nie wspominaj o tym już nigdy więcej. Ja cię nie zdradzę.

Ganil odwrócił się i odszedł zły. Całą siłą woli starał się skierować tę niejasną złość przeciwko Mede'owi, człowiekowi równie szpetnemu psychicznie, jak i fizycznie, złemu doradcy, utraconemu przyjacielowi.

Wieczór się udał: Lee był jowialny, jego tłusta żona – opiekuńcza, a Lani – nieśmiała i promienna. Młodzieńcza powaga Ganila prowokowała ją do zaczepek, ale nawet w tych zaczepkach była jakaś nuta uległości, poddania; jeszcze chwila – wydawało się – i cała jej werwa zamieni się w czułość. Kiedy podawała mu przy stole potrawę, jej ręka na moment dotknęła jego dłoni. Do tej chwili czuł to miejsce: z boku prawej dłoni, w pobliżu przegubu – jedno delikatne muśnięcie. Jęknął z rozkoszy, leżąc samotnie w łóżku w swoim pokoju

nad pracownią w mieście spowitym nocą. O, Lani, miękki dotyk twojej ręki, twych warg – o Boże, Boże! Zaloty to długa historia, co najmniej osiem miesięcy, krok po kroku, tak przynajmniej należy postępować z córką mistrza. Musi przestać rozpamiętywać tę niesłychaną słodycz. Nie myśl o niczym... Ale o niczym też można było myśleć!... Kółko. Okrągłe puste kółko. Ile jest I razy 0? Tyle samo, ile II razy 0. A jeśli przed 0 postawisz I – co to będzie za liczba? 10?

Mede Fairman siadł na łóżku. Ciemnoblond kosmyk spadał mu na zaspane błękitne oczy. Starał się skoncentrować na postaci, która mamrocząc coś, tłukła się po pokoju. W oknie pojawił się pierwszy brudnożółty promień światła.

– Dziś Święto Ofiary – burknął. – Wynoś się, jestem śpiący.

Mglista postać nabrała kształtów Ganila, a mamrotanie okazało się szeptem.

– Mede – szeptał Ganil. – Popatrz!

Podsunał Mede'owi pod nos tabliczkę.

– Popatrz, popatrz, co można zrobić z tą cyfrą oznaczającą nic...

– Och, to – odparł Mede.

Odepchnął od siebie Ganila razem z tabliczką, wstał, wsadził głowę do stojącej na komodzie miski z lodowatą wodą i potrzymał chwilę. Ociekający wodą wrócił i usiadł na łóżku.

– Pokaż, zobaczymy.

– Popatrz, można przyjąć za podstawę dowolną liczbę. Ja wziąłem XII, bo jest wygodna. Wtedy XII odpowiada 10, widzisz, XIII – 11, a jak dojdiesz do XXIV...

– Szsz...

Mede studiował tabliczkę. Wreszcie powiedział:

– Zapamiętasz to? – A kiedy Ganil skinął głową, jednym ruchem starł rękawem poprzednie, gęsto wypisane cyferki. – Nie przyszło mi do głowy, że można przyjąć jakąś podstawę... Ale spróbujmy na przykład wziąć X – zaraz ci powiem dlaczego – o, tu jest urządzenie, które nam to ułatwi. Teraz X jest 10, XI – 11, a XII oznaczmy tak – i napisał na tabliczce 12.

Ganil patrzył na liczbę. W końcu powiedział dziwnym, niepewnym głosem:

– Czy nie jest to jedna z czarnych liczb?

– Owszem, jest. Doszedłeś do czarnych liczb kuchennymi drzwiami, Ganilu.

Ganil siedział koło Mede'a w milczeniu.

– Ile jest CXX razy MCC? – zapytał Mede.

– Tablice nie obejmują aż tak wysokich liczb.

– Popatrz.

Mede napisał na tabliczce:



a następnie, kiedy Ganil nie spuszczał z niej oczu:

0000

2400



Znów zapadło długie milczenie.

– Trzy nic... XII pomnożone przez siebie...

– Daj mi tabliczkę – mruknął Ganil, a następnie, po chwili ciszy przerywanej jedynie skrzypieniem kredy, dodał: – Jak wygląda czarna liczba na oznaczenie VIII?

Do zmroku tego zimnego świątecznego dnia Mede pokazał Ganilowi wszystko, co tylko mógł. A właściwie Ganil zaszedł nawet dalej i Mede nie był w stanie za nim nadążyć.

– Musisz poznać Yina – powiedział. – On cię nauczy tego, co ci jest potrzebne. Yin zna kąty, współrzędne, jednostki miar. Dzięki tym swoim sposobom potrafi zmierzyć odległość między dwoma punktami, punktami nieosiągalnymi. Jest wielkim uczonym. Liczby stanowią jądro jego wiedzy, jej język.

– I mój też.

– Tak. Ale mój nie. Ja nie lubię liczb dla nich samych. Muszą czemuś służyć. Na przykład wyjaśnianiu pewnych zjawisk... Powiedzmy, rzucasz piłkę... Co sprawia, że ona leci?

– Fakt rzucenia. – Ganil uśmiechnął się. Był biały jak prześcieradło, znacznie bielszy od prześcieradeł Mede'a, z głową nabitą matematyką, którą chłonał od szesnastu godzin z przerwą jedynie na posiłki i sen. Wyzbył się całkowicie strachu, wszelkiej pokory. Jego uśmiech był uśmiechem króla, który powrócił z wygnania.

– Zgoda – rzekł Mede. – Ale dlaczego ten ruch nie ustaje?

– Bo... bo powietrze podtrzymuje piłkę?...

– To wobec tego dlaczego piłka w końcu spada? Dlaczego posuwa się po krzywej? Widzisz teraz, do czego mi są potrzebne te twoje liczby? – Teraz z kolei Mede wyglądał jak król, rozgniewany król mocarstwa tak wielkiego, że nie jest w stanie nad nim zapanować. – I oni mówią o tajemnicach – parsknął – w tych swoich małych pracowniach za żaluzjami. No, chodź, zjemy jakąś kolację i odwiedzimy Yina.

Wsparty o mur miejski stary wysoki budynek spoglądał oprawnymi w ołów okienkami na dwóch młodych mistrzów zbliżających się ulicą. Siarczany późnojesienny zmierzch wisiał nad spadzistymi dachami krytymi dachówką lśniąca w deszczu.

– Yin był mistrzem maszyny jak my – wyjaśniał Mede Ganilowi, kiedy czekali przed zaryglowanymi żelazną sztabą drzwiami. – Teraz jest już na emeryturze, sam zresztą zobaczysz dlaczego. Przychodzą tu do niego ze wszystkich łóz: cyrulicy, tkacze, murarze. Nawet niektórzy rzemieślnicy. Jeden rzeźnik. Kraje zdechłe koty. – Mede mówił z pobłażliwym rozbawieniem, z jakim zwykle fizycy wyrażają się o biologach. W pewnym momencie drzwi stanęły przed nimi otworem i pojawił się w nich służący, który zaprowadził ich na górę, gdzie w wielkim kominku płonęły polana, a z dębowego krzesła o wysokim oparciu podniósł się na ich powitanie mężczyzna.

Ganilowi natychmiast skojarzył się z wielkim mistrzem jego loży, postacią, która wołała do niego, gdy był w grobie: „Powstań!”. Yin też był stary i wysoki i nosił białą szatę wielkich mistrzów. Był jednak przygarbiony, a twarz miał zmęczoną i pełną zmarszczek niczym stare psisko. Na powitanie wyciągnął lewą rękę. Prawa kończyła się w przegubie dawno zagojonym błyszczącym kikutem.

– To jest Ganil – mówił właśnie Mede. – Opracował dziś w nocy system dwunastkowy. Niech popracuje trochę dla mnie nad matematyką krzywych, mistrzu Yin.

Yin roześmiał się cichym, starczym śmiechem.

– Witaj, Ganilu. Od tej chwili możesz tutaj przychodzić, kiedy zechcesz. Wszyscy tu jesteśmy czarnoksiężnikami, uprawiamy czarną magię. A przynajmniej próbujemy... Przychodź, nie krępuj się zupełnie, w dzień czy w nocy. I odchodź, kiedy chcesz. Jeśli nas zdradzisz... trudno. Musimy mieć do siebie nawzajem zaufanie. Tajemnica nie należy do nikogo, my zresztą też jej nie strzeżemy. Uprawiamy sztukę. Rozumiesz?

Ganil skinął głową. Słowa zawsze sprawiały mu trudność, odwrotnie niż liczby. A poczuł się ogromnie wzruszony, co go jeszcze bardziej krępowało. To nie była uroczysta, mająca symboliczne znaczenie inicjacja z przysięgą; po prostu stary człowiek zwyczajnie mówił cicho do niego.

– Dobrze – rzekł Yin, jakby uznał skinienie Ganila za zupełnie wystarczające. – Napijecie się wina, moi młodzi mistrzowie, czy piwa? Ciemne piwo udało mi się w tym roku wyjątkowo. A więc lubisz liczby, Ganilu...?

Wczesną wiosną Ganil nadzorował w pracowni czeladnika Wannu, który liniałem dokonywał właśnie pomiarów modelu maszyny ciągnącej. Ganil zmienił się w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Wyglądał poważniej, bardziej stanowczo, surowiej. Cztery godziny snu na dobę i wynalazek algebry mogą człowieka zmienić.

– Mistrzu Ganilu? – odezwał się nieśmiały głos.

– Powtórz ten pomiar – polecił Ganil Wannu, a następnie popatrzył na dziewczynę.

Lani też się zmieniła. Twarz miała jakby zatroskaną, smutną i odzywała się do Ganila z prawdziwym onieśmieleniem. Przeszedł przez drugi stopień zalotów, polegający na złożeniu trzech wieczornych wizyt, i pochłonięty swoją pracą u Yina nie posunął się dalej. Jeszcze żaden mężczyzna nie poniechał Lani w trakcie starań. Żaden mężczyzna nie patrzył przez nią dosłownie na wylot, tak jak to robił teraz Ganil. Ale cóż on takiego wtedy widział? Szalała, żeby się tego dowiedzieć, żeby osiąść jego sekret, żeby osiąść jego samego. Ganil wiedział o tym i żał mu było Lani, a jednocześnie się jej bał.

Obserwowała Wannu.

– Czy oni... czy wy kiedykolwiek zmieniacie te wymiary? – zapytała, żeby nawiązać rozmowę.

– Zmiana modelu to herezja wynalazku.

I na tym koniec.

– Ojciec prosił, żebym wam powiedziała, że jutro pracownia będzie nieczynna.

– Zamknięta? Dlaczego?

– Akademia ogłosiła, że zrywa się zachodni wiatr i jutro może się pokazać słońce.

– Dobrze. Ładny początek wiosny, co? Dziękuję. – I Ganil znów odwrócił się do modelu.

Kapłani przynajmniej raz się nie pomylili. Przepowiadanie pogody, na którym spędzali większość czasu, było niewdzięcznym zajęciem. Ale mniej więcej raz na dziesięć udawało im się złapać słońce i to był właśnie jeden z tych szczęśliwych przypadków. Do południa

deszcz ustał, chmury zbladły, zaczęły się kotłować i powoli odpływać w kierunku wschodnim. Wczesnym popołudniem wszyscy mieszkańcy Edunu wylegli na ulice i place, poobsiadali kominy, dachy i mury i wysypali się na pola poza murami miasta – patrzyli, jak na wielkim dziedzińcu akademii kapłani rozpoczynają taniec rytualny, kłaniając się i przeplatając szeregi. W każdej świątyni kapłani czekali w pogotowiu. Należało w porę pociągnąć za łańcuchy i unieść dachy, tak żeby promienie słoneczne padły na kamienne ołtarze. I wreszcie późnym popołudniem niebo się otworzyło. Pomiedzy poszarpanymi, dymiącymi krawędziami żółtoszarych chmur pojawił się skrawek błękitu. Z ulic, placów, okien, dachów i murów miasta dobiegło westchnienie, cichy, potężny szept: – Niebo, niebo...

Szczelina w chmurach się poszerzyła. Na miasto spadła ulewa, zacinając ukośnie w podmuchach rześkiego wiatru. Krople deszczu zalśniły nagle niby pochodnia nocą, ale blask, jaki się w nich odbijał, był blaskiem słońca. Ukazało się w zachodniej części nieboskłonu, samo na niebie, oślepiające.

Ganil gapił się wraz z innymi z zadartą głową. Na policzkach, na bliźnie pozostałej po oparzeniu czuł ciepło. Patrzył w słońce, dopóty oczy nie zaczęły mu łzawić... krąg ognisty, oblicze Boga...

– Czym jest słońce?

Był to łagodny, niezapomniany głos Mede'a. Pewnego mroźnego zimowego wieczoru siedzieli z Mede'em, Yinem i innymi u Yina w domu przed kominkiem i rozmawiali. Czy słońce to koło, czy kula? Dlaczego przemierza niebo? Czy jest bardzo duże i bardzo odległe? I pomyśleć, że kiedyś, by zobaczyć Słońce, wystarczyło zadrzeć głowę...

Wibrowały dźwięki fletów i bębnow – wesoły odgłos, dochodzący gdzieś z dali, z akademii. Od czasu do czasu strzępy chmur przesłaniały nieznośną twarz i wtedy świat od nowa spowijały szarość i chłód, a flety milkły, ale zachodni wiatr rozganiał chmury i znów ukazywało się słońce – coraz to niżej. Tuż przedtem, zanim zatoneło w pędzącym kłębowisku ciężkich chmur na zachodzie, poczerwieniało i można było w nie patrzeć bez bólu. W tych chwilach oczom Ganila z pewnością jawiło się nie jako dysk, lecz jako ogromna, spowita w mgłę, wolno spadająca piłka.

Wreszcie spadło, zniknęło.

W górze prześwitywał jeszcze czysty zielonkawy błękit. A potem na zachodzie, w pobliżu miejsca, gdzie zaszło słońce, na krawędzi wznoszącej się chmury, rozbłysnął jasny punkt: gwiazda wieczorna.

– Popatrzcie! – wykrzyknął Ganil, ale niewielu odwróciło głowy.

Słońce zaszło – cóż wobec tego znaczyły gwiazdy! Żółtawa mgła, część całunu chmur, który płaszczem pyłu i deszczu spowijał ziemię przez czternaście pokoleń, od czasów Wielkiego Ognia Piekielnego, przesłoniła gwiazdę, wymazując ją z firmamentu. Ganil westchnął, potarł kark, zdrętwiały od ciągłego zadzierania głowy, i wraz z innymi ludźmi dnia powszedniego ruszył do domu.

Tej nocy został aresztowany. Od strażników i współwięźniów (cała jego pracownia z wyjątkiem starszego pracowni Lee znalazła się w więzieniu) dowiedział się, że jego zbrodnia polega na tym, iż zna Mede'a Fairmana. Bo Mede został oskarżony o herezję. Widziano go na polach z instrumentem wycelowanym w słońce, z przyrządem, który – jak mówią – służy do mierzenia odległości. Usiłował zmierzyć odległość między ziemią a Bogiem.

Czeladników wkrótce zwolniono. Trzeciego dnia przyszli po Ganila strażnicy i wyprowadzili go na jeden z zamkniętych dziedzińców akademii. Była wczesna wiosna i mżył deszcz. Kapłani niemal cały czas żyli pod gołym niebem i dlatego wielki kompleks zabudowań akademii eduńskiej stanowił jedynie zgrupowanie mizernych baraków otaczających pozbawione dachu dziedzińce sypialne, modlitewne, jadalne oraz takie, które służyły do pracy czy wreszcie do sprawowania sądów. Właśnie na jeden z takich dziedzińców wprowadzono Ganila, zmuszając go do przejścia między rzędami ludzi ubranych w szaty białe i żółte. Kiedy stanął przed nimi, zobaczył pustą przestrzeń z ołtarzem i długim stołem lśniącym od deszczu, a za nim kapłana w złocistej szacie Wielkiej Tajemnicy. U szczytu stołu stał inny mężczyzna, tak jak Ganil w otoczeniu straży. Mężczyzna patrzył prosto na Ganila, zimno i obojętnie, a przecież były to te same oczy błękitne jak niebo nad chmurami.

– Ganilu Kalsonie z Edunu, jesteś podejrzany o znajomość z Mede'em Fairmanem, oskarżonym o herezję wynalazku i rachowania. Czy byłeś przyjacielem tego człowieka?

– Byliśmy obaj mistrzami...

– Właśnie. Czy mówił ci kiedykolwiek o pomiarach dokonywanych bez pomocy liniału?

– Nie.

– A o czarnych liczbach?

– Nie.

– O czarnej magii?

– Nie.

– Mistrzu Ganilu, po trzykroć odpowiedziałeś „nie”. Czy znasz rozkaz mistrzów-kapłanów tajemnicy prawa, dotyczący podejrzanych o herezję?

– Nie, nie znam.

– Rozkaz ten mówi: „Jeśli podejrzany czterokrotnie odpowie »nie« na zadawane mu pytania, należy mu te pytania powtarzać z zastosowaniem prasy ręcznej aż do uzyskania odpowiedzi”. A teraz będę powtarzał pytania, chyba że odwołasz jedno ze swoich „nie”.

– Nie odwołam – odpowiedział Ganil oszołomiony, rozglądając się po stłoczonych wokół siebie, pozbawionych wyrazu twarzach, po wysokich murach. Kiedy wnieśli niski kwadratowy drewniany przyrząd i umieścili w nim jego prawą rękę, w dalszym ciągu był bardziej oszołomiony niż przestraszony. Co miał oznaczać cały ten ceremoniał? Przypominał trochę uroczystość inicjacji – kiedy to za wszelką cenę usiłowali go przestraszyć. I wtedy im się udało.

– Jako mechanik – mówił właśnie złocisty kapłan – znasz zasadę działania dźwigni. Czy cofasz negatywną odpowiedź?

– Nie – odparł Ganil, marszcząc z lekka brwi. Zauważył, że jego prawa ręka jak gdyby się kończyła w przegubie, podobnie jak u Yina.

– W porządku.

Jeden ze strażników położył dłonie na dźwigni wystającej z drewnianej skrzynki i złocisty kapłan rzekł: – Czy byłeś przyjacielem Mede'a Fairmana?

– Nie – odparł Ganil.

Odpowiadał „nie” na wszystkie kolejne pytania, nawet gdy przestał już słyszeć słowa kapłana, aż dotarł do niego jego własny głos, zmieszany z grzmiącym echem odbijającym się od murów dziedzińca: nie, nie, nie.

Światło dnia zabłysło i zgasło, zimny deszcz, który zrosił mu twarz, ustał. Ktoś usiłował

pomóc mu wstać. Jego suknia cuchnęła – z bólu dostał torsji. Na samo wspomnienie cierpienia znowu zwymiotował.

– Spokojnie – szeptał mu do ucha strażnik.

Nieruchome szeregi białych i żółtych postaci nadal go otaczały, ale ich zacięte twarze i oczy zwrócone już były nie ku niemu.

– Heretyku, czy znasz tego człowieka?

– Byliśmy obaj mistrzami.

– Czy mówiłeś mu o czarnej magii?

– Tak.

– Czy uczyłeś go czarnej magii?

– Nie. Próbowałem tylko. – Głos Mede'a łamał się trochę. Nawet w ciszy dziedzińca, zagłuszony jedynie przez delikatny szum deszczu, był ledwie słyszalny. – Okazał się za głupi. Nie miał odwagi ani nie był w stanie niczego się nauczyć. Nadaje się doskonale na starszego pracowni. – Zimne, błękitne oczy patrzyły prosto na Ganila bez współczucia, bez wyrazu.

Złocisty kapłan zwrócił się do zebranych:

– Nie ma żadnych dowodów przeciwko podejrzanemu Ganilowi. Podejrzany może odejść. Przyjdź tutaj jutro w południe, aby być świadkiem wykonania wyroku. Niestawienie się zostanie uznane jako dowód twej winy.

Zanim Ganil zrozumiał, o co chodzi, strażę wyprowadziły go z dziedzińca. Puściły go przy bocznym wejściu do akademii, ze szczękiem ryglując za nim drzwi. Stał w miejscu przez chwilę, po czym przykucnął na bruku, przyciskając do boku pod szatą poczerniałą, pokrytą zakrzepłą krwią rękę. Dokoła niego szeptał deszcz. Poza nim nie było nikogo.

Dopiero o zmierzchu Ganil podniósł się i poszedł przez miasto krok za krokiem – mijając ulicę za ulicą i dom za domem – do Yina. W mroku bramy poruszył się jakiś cień.

– Ganilu!

Zatrzymał się.

– Ganilu, mnie to nie przeszkadza, że jesteś podejrzanym. To nie ma dla mnie znaczenia. Chodź ze mną do domu. Mój ojciec przyjmie cię z powrotem do pracowni. Przyjmie cię, jeśli go o to poproszę.

Ganil milczał.

– Chodź ze mną. Czekałam na ciebie. Wiedziałam, że będziesz tędy szedł. Idę za tobą już od dawna. – Jej nerwowy, radosny śmiech zamarł nagle.

– Puść mnie, Lani.

– Nie. Po co przyszedłeś do starego Yina? Kto tu mieszka? Kim ona jest? Chodź ze mną, musisz, mój ojciec nie przyjmie podejrzanego do pracowni, chyba że ja...

Dom Yina nigdy nie był zamknięty. Ganil odsunął ją i wszedł do środka, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Nie powitał go żaden służący. Wnętrze było pogrążone w ciemnościach i w ciszy. Wszystkich zabrali, wszystkich uczonych, by ich wypytywać, torturować, a w końcu pozabijać.

– Kto tam?

Na podeście schodów stał Yin; lampa rzucała ostry blask na jego białe włosy. Podszedł do Ganila i pomógł mu wejść na górę. Ganil mówił bardzo szybko: – Ktoś tu przyszedł za mną, dziewczyna z pracowni, córka Lee. Jeśli mu o tym powie, Lee się zorientuje i naśle na ciebie strażę...

– Trzy dni temu odesłałem stąd wszystkich. – Na dźwięk głosu Yina Ganil zatrzymał się, spojrzał na pomarszczoną twarz starca i powiedział jak dziecko: – Popatrz – wyciągnął prawą rękę – popatrz, jest taka sama jak twoja.

– Tak. Chodź, siądź, Ganilu.

– Skazali go. Mnie nie. Mnie wypuścili. Powiedział im, że nie mógł mnie niczego nauczyć, bo byłem za tępy. Żeby mnie ratować...

– I twoją matematykę. Chodź, siadaj.

Ganil wreszcie wziął się w garść. Yin położył go i jak umiał, opatrzył mu rękę. Następnie usiadł pomiędzy Ganilem a kominkiem, na którym tlił się ogień, i świszcząco westchnął.

– No cóż – powiedział – jesteś podejrzany o herezję. Ja jestem podejrzany o nią od dwudziestu lat, przyzwyczaisz się... Nie martw się o naszych przyjaciół. Ale jeśli dziewczyna powie ojcu i twoje imię zostanie skojarzone z moim... będziemy musieli opuścić Edun. Osobno. I to już dzisiaj.

Ganil nie odezwał się słowem. Opuścić pracownię bez zezwolenia starszego pracownika oznaczało zostać wyklętym, utracić mistrzostwo. Zostanie wykluczony z własnego cechu. Co zrobi z taką okaleczoną ręką? Gdzie się uda? Nigdy w życiu nie opuszczał Edunu.

Zalegająca dom cisza ścieliła się nad nimi i pod nimi. Ganil nasłuchiwał odgłosów z ulicy – kroków straży, która przyjdzie go aresztować. Powinien stąd pójść, uciekać, jeszcze dzisiaj...

– Nie, ja nie mogę – powiedział nagle. – Muszę jutro w południe być... w akademii.

Yin wiedział, co Ganil ma na myśli. Znów zamknęła się wokół nich cisza. Kiedy wreszcie starzec się odezwał, jego głos był schrypnięty i bardzo znużony: – Pod tym warunkiem cię zwolnili, tak? W porządku. Idź. Nie chcesz chyba, żeby cię ścigali przez Czterdzieści Miast jako heretyka. Bo podejrzanych nie ścigają, tylko skazują na wygnanie. Z dwojga złego to już lepsze. A teraz się prześpij, Ganilu. Zanim wyjdę, powiem ci, gdzie mnie znajdziesz. Uciekaj jak najszybciej, tylko nie bierz ciężkiego bagażu...

Kiedy jednak nazajutrz późnym rankiem Ganil wychodził z domu, miał coś z sobą – był to ukryty pod szatą rulon papierów. Każdy arkusz od brzegu do brzegu pokrywało wyraźne pismo Mede'a Fairmana: trajektorie, szybkość spadających ciał, istota ruchu... Yin wymknął się z domu przed świtem i poczłapał z miasta spokojnie na szarym osiołku. „Zobaczymy się w Kelingu” – tylko tyle powiedział Ganilowi na pożegnanie.

Ganil nie widział żadnego z uczonych. W mętym świetle południa na wielkim dziedzińcu akademii zebrali się niewolnicy, żebracy, służba, wagarujący sztubacy oraz kobiety ze służącymi i popłakującą dzieciarnią. Jedynie hołota i obiboki przyszli zobaczyć, jak umiera heretyk. Jeden z kapłanów rozkazał Ganilowi stanąć na samym przedzie, przed tłumem. Wielu gapilo się na niego ciekawie, kiedy tak stał samotnie w swojej szacie mistrza.

Po drugiej stronie placu dostrzegł stojącą również przed tłumem dziewczynę w fioletowej sukni. Nie był pewny, czy to Lani. Po co miałyby oglądać śmierć Mede'a? Przecież nawet nie wiedziała, czym jest to, czego nienawidzi ani co kocha. Miłość, która chce tylko brać, posiadać, jest potworna – pomyślał Ganil. Kochała go, a dzieliła ich teraz tylko szerokość placu. Nigdy nie zrozumie tego, że to przez nią są rozdzieleni, przez jej postępek, przez niewiedzę, przez wygnanie, przez śmierć.

Przed samym południem przyprowadzili Mede'a. Ganilowi mignęła jego twarz: była bardzo blada, co podkreślało jeszcze jego upośledzenie – wrodzone odbarwienie skóry

włosów i oczu. Nie przedłużano ceremonii; odziany w złocistą szatę kapłan uniósł skrzyżowane ramiona, zwracając się tym gestem do słońca, które stało, niewidzialne, w zenicie, przysłonięte całunem chmur. Skoro tylko opuścił ręce, do stosów drewna otaczających pal przytknięto pochodnie. Buchnęły w górę kłęby dymu szarozółtego jak chmury. Okaleczoną ręką, zawieszoną na temblaku, Ganil przyciskał pod szatą rulon papierów, powtarzając cicho: – Niech go ten dym przedtem zadusi...

Ale drewno było suche i zajęło się błyskawicznie. Poczuł gorąco na twarzy, a w szczególności na oparzonej skroni. Obok niego młody kapłan usiłował się cofnąć, lecz tłum napierał na niego, gapił się, wzdychał, tkwił więc w miejscu, chwiejąc się lekko i z trudem łapiąc powietrze. Dym zgęstniał, kryjąc płomień i stojącego wśród nich człowieka. Ganil jednak słyszał jego głos, nie cichy już teraz – głośny, prawie krzyk. Słyszał go, zmuszał się do słuchania, ale jednocześnie w duchu chłonał inne ciche słowa: „Czym jest słońce? Dlaczego przemierza niebo?... Widzisz, do czego są mi potrzebne twoje liczby?... XII można napisać 12... To też jest cyfra, cyfra na oznaczenie niczego...”.

Krzyk ucichł, ale tamte słowa brzmiały nadal.

Ganil uniósł głowę. Tłum zaczął odpływać; młody kapłan klęczał koło niego na chodniku, modląc się i głośno szlochając. Ganil spojrział w ciężkie od chmur niebo i ruszył samotnie ulicami miasta, a potem przez bramę miejską, na północ, na wygnanie, ku swemu domowi.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

Skrzynka ciemności

Kiedy moja córka Karolina miała trzy lata, przyszła do mnie któregoś dnia, ściskając w rączkach drewnianą szkatułkę, i powiedziała: „Zgadnij, co tam jest”. No więc zaczęłam zgadywać: gąsienica, myszy, słonie i tak dalej. Karolina kręciła główką, aż wreszcie z niebywale tajemniczym uśmiechem uchyliła odrobinę wieko, tak żebym mogła zajrzeć do środka, i odparła: „Ciemność”.

I stąd wzięła się ta historia.

Brzegiem morza szedł po miękkim piasku, nie zostawiając żadnych śladów, mały chłopiec. W jasnym, bezsłonecznym niebie krzyczały mewy, ze słodkowodnego oceanu wyskakiwały pstrągi. Daleko na horyzoncie spośród fal wyłonił się na moment w siedmiu potężnych lukach wąż wodny i z rykiem zniknął. Dziecko gwizdnęło, ale wąż, zajęty polowaniem na wieloryby, nie wychynął więcej. Malec szedł dalej między wodą a skałami, nie rzucając cienia, nie zostawiając śladów na piasku. Przed nim wznosił się porośnięty trawą przylądek, na którym wsparta na czterech nogach stała chatka. Na widok chłopca wspinającego się ścieżką pod górę chatka zaczęła podskakiwać, zacierając przednie łapy jak mucha albo jak pokątny doradca. Znajdujący się wewnątrz zegar wskazywał dziesięć po dziewiątej, ale jego wskazówki ani drgnęły.

– Co ty tam masz, Dicky? – zapytała matka, dodając jednocześnie pietruszkę i szczyptę pieprzu do potrawki z królika, która perkotała w tyglu.

– Szkatułkę, mamo.

– Gdzie ją znalazłeś?

Pieszczoch mamy zeskoczył z obwieszonych festonami cebuli krokwi i, owinąwszy się wokół jej szyi jak kołnierz z lisa, odparł:

– Nad morzem. – I kiwnął głową. – To prawda. Morze ją wyrzuciło.

– A co tam jest w środku?

Pieszczoch nie odezwał się słowem, tylko zaczął mruścić. Czarownica spojrzała w okrągłą twarz syna.

– Co tam jest w środku? – powtórzyła.

– Ciemność.

– O? Pokaż, zobaczymy.

Kiedy się schyliła, żeby zajrzeć do szkatułki, pieszczoch, nie przestając mruścić, zamknął oczy. Tuląc szkatułkę do piersi, bardzo ostrożnie uchylił wieko.

– Rzeczywiście – powiedziała matka. – Schowaj ją gdzieś, żeby się nie poniewierała. Ciekawe, co się stało z kluczem. A teraz biegnij umyć ręce. Stoliczku, nakryj się!

Kiedy chłopak machał ciężką rączką pompy na podwórku, ochlapując sobie twarz i ręce, chata rozbrzmiała dzwonieniem zlatujących się talerzy i sztuców.

Po posiłku, kiedy matka zapadła w poranną drzemkę, Dicky zjął z półki ze swoimi skarbami wybieloną przez wodę, zapiaszczoną szkatułkę i pomaszerował z nią przez wydmy, trzymając się z dala od morza. Po piętach deptał mu wytrwale, przedzierając się przez szorstkie trawy, czarny pieszczoch – jedyny jego cień.

U szczytu przełęczy ksiązę Rikard obrócił się w siodle, aby ponad pióropuszcami i proporcami swoich zastępów, ponad długą, prowadzącą w dół drogą spojrzeć na wyniosłe mury miasta swojego ojca. Pod bezsłonecznym niebem leżało na równinie, filigranowe i pozbawione cienia, mieniając się jak perła. Kiedy je takim ujrzał, poczuł, że jest niezdobyte, i jego serce wezbrało dumą. Dał sygnał swoim kapitanom i spiął konia ostrogami. Zwierzę stanęło dęba, a następnie puściło się galopem. Gryf księcia, pikując co chwila, skrzeczał mu nad głową. Igrał w ten sposób z białym rumakiem – to spadał prosto na niego, kłapiąc dziobem, to w ostatniej chwili robił unik. Koń, bez uzdy, zgrzytał wściekle zębami, usiłując dosięgnąć wężowego ogona swego dręczyciela, albo stawał dęba, zamierzając się na niego kopytami zbrojnymi w srebrzyste podkowsy. Gryf chichotał wtedy, porykiwał i zataczając koła nad wydmami, z krakaniem spadał od nowa na rumaka, powtarzając bez końca swoją sztuczkę. Zaniepokojony, że ulubieniec wyczerpie swoje siły przed bitwą, Rikard uwiązał w końcu gryfa, który od tej pory, mrucząc i poćwierkując, frunął obok niego spokojnie.

Przed nimi rozciągało się morze. Gdzieś niżej, pod osłoną skał czaił się nieprzyjaciel pod wodzą ksiązęcego brata. Droga, coraz bardziej piaszczysta, wiła się w dół, a morze, coraz bliższe, połyskiwało to z lewa, to z prawa. Nagle droga skończyła się jak nożem uciął, koń skoczył z dziesięciostopowego urwiska i pogalopował przez plażę. Kiedy przebył wydmy, Rikard zobaczył na piasku przed sobą długi szereg mężczyzn, a za nimi trzy czarnodziobe okręty. Jego ludzie tymczasem gramolili się z urwiska, brnąc przez wydmy. Ich błękitne flagi furkotały na wietrze, a głosy ledwie było słyhać w szumie morza. Bez żadnego ostrzeżenia, bez żadnych wstępnych pertraktacji starły się wrogie siły – miecz skrzyżował się z mieczem, mąż zwarł się z mężem. Ze skrzekliwym wrzaskiem gryf wzbil się w górę, wyszarpując linewkę z ręki księcia, a następnie z nadstawionym dziobem i szponami spadł jak sokół na szaro odzianego wysokiego mężczyznę – wodza przeciwników. Ale mężczyzna trzymał już miecz w pogotowiu. Kiedy żelazny dziób chwycił jego ramię, by zwierż mógł dosięgnąć gardła, potężnym ciosem rozplatał atakującemu potworowi brzuch. Gryf wywinął w powietrzu kozła i spadł na ziemię, zamachem ogromnego skrzydła strącając jeźdźca z konia i barwiąc piasek krwią. Mężczyzna podniósł się, odciął łeb i skrzydła gryfa i na wpół oślepiiony piaskiem i posoką, odwrócił się w samą porę, by stawić czoło Rikardowi. Bez słowa uniósł dymiący miecz, chcąc odparować cios brata. Mierzył w końskie nogi, ale na próżno – rumak to cofał się, to stawał dęba i nacierał, podczas gdy z góry spadały ciosy. Ramię wysokiego męża stawało się coraz cięższe, oddech coraz krótszy. Ale Rikard nie ustawał. Raz jeszcze jego przeciwnik uniósł miecz i zrobił wypad do przodu, lecz w tej samej chwili miecz brata ze świstem spadł prosto na jego uniesioną twarz. Wysoki mężczyzna runął bez słowa. Brunatna fontanna piasku, wzniecona

kopytami białego rumaka, spadła na jego ciało, kiedy Rikard spał ostrogi, zawracając w gąszcz walki.

Napastnicy walczyli uparcie, coraz mniej liczni i coraz bardziej spychani ku morzu. Kiedy została ich garstka, zaledwie dwudziestu, załamali się wreszcie i w panicznej ucieczce rzucili do okrętów. Zanurzeni po piersi w wodzie, spychali je i wdrapywali się przez burty. Rikard wezwał swoich ludzi. Brnęli ku niemu przez piach, potykając się o porąbane trupy, ciężko ranni pełzali na czworakach. Wszyscy ci, co mogli chodzić, stłoczyli się w zagłębieniu za wydumą, na której stał Rikard. Za nim zepchnięte na głęboką wodę kołysały się, utrzymywane w równowadze przez wiosła, trzy czarne okręty.

Książę usiadł samotny na szczycie wydmy w wilgotnej trawie, zwiesił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Koło niego stał, niby wykuty z kamienia, biały rumak. Poniżej zebrali się milczący ludzie. Z tyłu widać było wysokiego mężczyznę rozkrzyżowanego na piasku tuż obok gryfa, z obliczem powalonym krwią; inni polegli leżeli wpatrzeni w niebo, na którym nie było słońca.

Powiał łagodny wiatr. Rikard uniósł twarz, mimo młodego wieku bardzo poważną. Dał znak kapitanom, wskoczył na konia i omijając wydmy, ruszył kłusem w stronę miasta, nie czekając, aż czarne okręty podpłyną do brzegu, by zabrać niedobitków, nie czekając na własną armię, by ruszyła za nim w szyku. Kiedy gryf znów zaczął z wrzaskiem pikować nad jego głową, Rikard uniósł ramię. Z uśmiechem patrzył, jak potwór sadowi się na przegubie jego odzianej w rękawiczkę dłoni, trzepocąc skrzydłami i mrużąc jak kocur.

– Ty nic dobrego! – rzekł. – Leć w tej chwili, kwoko jedna, do swoich małych!

Obrażony gryf kłapnął dziobem i pożegłował na wschód w kierunku miasta. Wojsko Rikarda pięło się olbrzymim węzłem w górę między wzgórzami, nie zostawiając za sobą żadnego śladu. Za nimi ścieliła się jedwabista, nieskazitelna gładź brunatnego piasku. Czarne okręty z rozpiętymi żaglami zdążyły już wypłynąć na pełne morze. Na dziobie pierwszego z nich stał odziany na szaro wysoki mężczyzna o ponurej twarzy.

Łatwiejsza droga do domu, którą obrał Rikard, wiodła nieopodal czworonogiej chaty na przylądku. W drzwiach stała, pozdrawiając go, czarownica. Puścił się galopem w jej stronę i ściągając cugle w bramie małego obejścia, przyjrzał się młodej wiedźmie. Była świetlista i czarna jak węgiel, a jej ciemne włosy powiewały na wietrze. Patrzyła na księcia w białej zbroi i na białym koniu.

– Książę – powiedziała – pójdziesz na wojnę o jeden raz za dużo.

Roześmiał się.

– A co mam zrobić? Pozwolić, żeby mój brat oblegał miasto?

– Tak. Pozwól mu na to. Miasto jest niezdobyte.

– Wiem o tym. Ale mój ojciec, król, wygnał go. Nie wolno mu postawić stopy na naszym brzegu. Jestem żołnierzem mego ojca i wypełniam jego rozkazy.

Czarownica spojrzała najpierw w stronę morza, a potem znów na młodego człowieka. Rysy jej ciemnej twarzy zaostrzyły się: nos i broda zrobiły się spiczaste jak u staruszki, oczy zapłonęły.

– Służ i niech ci służą – powiedziała – rządz i niech tobą rządzą. Twój brat nie chciał ani służyć, ani rządzić... Posłuchaj mnie, książę, i bądź ostrożny. – Jej twarz znów była ciepła, które przywróciło jej całe piękno. – Dziś rano morze ofiarowuje dary, wieje wiatr, kryształę pękają. Uważaj.

Książę poważnie skłonił głowę w podzięcie, a następnie zawrócił konia i odjechał podobny

do białej mewy na tle długiego łańcucha wydym.

Czarownica wróciła do chaty, obrzucając wzrokiem jedyną izbę, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu: nietoperze, cebula, kociołki, dywaniki, miotła, bazaltowe kamyki, kryształki (popękane), cieniutki sierp księżycy zawieszony na kominie, książki i piesszoch. Raz jeszcze rzuciła na to wszystko okiem, po czym wybiegła z chaty i zawołała:

– Dicky!

Zachodni wiatr dmuchał teraz chłodem, przyginając do ziemi szorstkie trawy.

– Dicky!... Kici, kici, kici!

Wiatr wyrwał jej słowa z ust, poszarpał na kawałki i uniósł. Strzeliła palcami. Z chaty z furkotem nadleciała miotła, a sama chata podskoczyła w podnieceniu.

– Zamknijcie się! – warknęła czarownica i drzwi zatrzasnęły się posłusznie.

Dosiadłszy miotły, wiedźma wzbija się lotem ślizgowym i pomknęła ponad plażą w kierunku południowym, wołając od czasu do czasu:

– Dicky!... Do mnie, kici, kici, kici!

Młody książę, dogoniwszy swoich ludzi, zsiadł z konia i szedł razem z nimi pieszo. Kiedy dotarli do przełęczy i zobaczyli u swoich stóp rozłożone na równinie miasto, poczuł, że ktoś go ciągnie za szatę.

– Książę...

Przed nim stał wystraszony chłopczyna, tak mały, że jeszcze po dziecięcemu pulchny i puciołowaty, i unosił w jego stronę rozlatującą się zapiaszczoną szkatułkę. Obok niego siedział, uśmiechając się od ucha do ucha, czarny kot.

– Morze to przyniosło... To jest dla księcia... Ja wiem, że dla księcia, proszę to przyjąć.

– A co tam jest w środku?

– Ciemność, panie.

Rikard wziął szkatułkę i po chwili wahania nieznacznie uchylił wieko, dosłownie ciut-ciut.

– Ona jest po prostu w środku pomalowana na czarno – powiedział z surowym uśmiechem.

– Nie, książę, nie, naprawdę. Proszę otworzyć ją szerzej!

Rikard ostrożnie uniósł wieko, tym razem na cal albo dwa, i zajrzał do środka. Następnie zamknął szkatułkę szybko, dokładnie w momencie, kiedy dziecko powiedziało:

– Ostrożnie, książę, żeby wiatr tej ciemności nie wywiał!

– Dam szkatułkę królowi.

– Ale ona jest przeznaczona dla księcia...

– Wszystkie dary morza należą do króla. Ale dzięki ci za tę szkatułkę, dziecko.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem: pulchny chłopczyk i wyniosły, wspaniały młodzieniec. Następnie Rikard odwrócił się i pomaszerował przed siebie, Dicky natomiast zaczął schodzić ze wzgórz, milczący i posepny. Słyszał dolatujące gdzieś z daleka nawoływania matki i usiłował jej odpowiedzieć, ale wiatr unosił jego głos w stronę łądu, a piesszoch gdzieś znikł.

Kiedy wojsko zbliżyło się do miasta, brązowe wrota otwarto na oścież. Psy podniosły jazgot, strażę wyprężyły się, stając na baczność, a ludność gięła się w ukłonach, kiedy książę Rikard, dzwoniąc uprzężą swego rumaka, jechał pełnym galopem marmurowymi ulicami prosto do pałacu. Znalazłszy się na dziedzińcu, spojrzął na wielki brązowy zegar

na dzwonnicy, najwyższej spośród dziewięciu białych wież. Nieruchome wskazówki pokazywały dziesięć po dziewiątej.

W sali audiencyjnej oczekiwał go ojciec – surowy starzec w żelaznej koronie z rękami opartymi na poręczach tronu w kształcie chimer. Rikard przykląkł i ze schyloną głową, której przez cały czas nie śmiał unieść, opowiedział ojcu o sukcesie swojej wyprawy.

– Wygnaniec został zabity, większość jego ludzi też. Reszta uciekła na okrętach.

Głos króla przypominał zgrzyt żelaznych drzwi na dawno nieużywanych zawiasach.

– Dobrze się spisałeś, książę.

– Przynoszę ci, królu, dar morza.

W dalszym ciągu nie podnosząc głowy, Rikard wyciągnął w stronę króla szkatułkę. Z gardła jednego z rzeźbionych potworów tronu wydarł się niski pomruk.

– To jest moje – powiedział król tak szorstko, że Rikard na sekundę spojrzał w górę i zobaczył obnażone zęby chimer i migotliwe oczy króla.

– Przynoszę ci więc tę szkatułkę, o panie.

– Ona jest moja, sam ją dałem morzu! A morze wypłuka mój dar! – Zaległo milczenie, po czym król odezwał się już nieco łagodniej: – No dobrze, zachowaj tę szkatułkę, książę. Morze jej nie chciało i ja też jej nie chcę. Jest twoja. Trzymaj ją... zamkniętą. Trzymaj ją zamkniętą, książę!

Rikard, nie wstając z kolan, zgiął się jeszcze niżej na znak podziękowania i poddania, a następnie wstał i wycofał się przez długą salę, nie podnosząc oczu. Kiedy znalazł się w połyskliwym holu, obstąpili go oficerowie i wielmoże, jak zwykle gotowi rozprawiać o bitwie, śmiać się i popijać. Minął ich bez słowa czy choćby jednego spojrzenia i udał się do swoich komnat, ostrożnie niosąc oburącz szkatułkę.

Każdą ze ścian jego jasnego, pozbawionego cienia i okien pokoju zdobiło złoto wysadzone topazami, opalami i kryształami, ale blask wszystkich klejnotów przyćmiewały nieruchome płomienie świec w złotych kinkietach. Rikard postawił szkatułkę na szklanym stole, zrzucił płaszcz, odpiął miecz i usiadł z ciężkim westchnieniem. Z jego sypialni wyleciał gryf i ze zgrzytem pazurów hamując na posadzce, położył potężny łeb na jego kolanach, domagając się, by Rikard podrapał go w pierzastą grzywę. Po pokoju buszował też kot, czarny i lśniący, ale Rikard nie zwrócił na niego uwagi. W pałacu roiło się od zwierząt: kotów, psów, małą, wiewiórek, hipogryfów, białych myszy i tygrysów. Każda dama miała swojego jednorożca, każdy dworzanin – z tuzin ulubieńców. Książę miał tylko gryfa, ślepo posłusznego przyjaciela, który zawsze walczył u jego boku. Drapał go w grzywę, to spoglądając w okrągłe, złociste, pełne oddania i miłości oczy, to popatrując ku leżącej na stole szkatułce. Brakowało klucza, żeby ją zamknąć.

Z jednej z odległych komnat dochodziła cicha muzyka, która w swej nieustannie powracającej nucie przypominała szmer fontanny. Książę obrócił się do kominka, żeby spojrzeć na zegar – kwadratowy, ozdobny, ze złota i błękitnej emalii. Było dziesięć po dziewiątej. Czas przypiąć miecz, wezwać ludzi i ruszać w bój. Wracą wygnaniec szturmować miasto, odebrać swoje dziedzictwo i prawo do tronu. Trzeba odeprzeć daleko w morze jego czarne okręty. Bracia muszą walczyć i jeden z nich musi w tej walce zginąć, by miasto mogło ocaleć. Rikard wstał, a gryf skoczył natychmiast, wymachując ogonem, gotów do boju.

– No dobrze, chodź! – powiedział Rikard, ale jego głos zabrzmiał zimno.

Wziął miecz i przypiął wysadzaną perłami pochwę do pasa, a gryf zaskomlał w

podnieceniu, ocierając się dziobem o rękę księcia. Rikard nie reagował na te pieszczoty. Był zmęczony i smutny, za czymś tęsknił... Ale za czym? Za muzyką, która przebrzmiała? Za rozmową z bratem, zanim znów się zmierzają?... Nie wiedział. Jako spadkobierca i obrońca musiał być posłuszny.

Włożył srebrny hełm i sięgnął po rzucony na krzesło płaszcz. Gdy się obracał, wysadzana perłami pochwa brzęknęła o coś z tyłu. Rikard obejrzał się i zobaczył leżącą na podłodze otwartą szkatułkę. Kiedy tak patrzył na nią tym zimnym, nieobecnym wzrokiem, zebrała się koło niej jak mały obłok dymu ciemność. Rikard schylił się i podniósł skrzynkę, a ciemność przelała mu się przez rękę.

Gryf cofnął się, skomląc. Wysoki, w białej zbroi i srebrnym hełmie na jasnych włosach stał książę w migotliwym, pozbawionym cienia pokoju, trzymając otwartą szkatułkę i patrząc, jak po trochu wycieka z niej gęsta ciemność. Teraz wszystko dokoła niego i poniżej jego rąk stało się półmrokiem. Rikard stał chwilę bez ruchu, a potem wolno uniósł szkatułkę nad głowę i odwrócił ją do góry dnem.

Ciemność chlusnęła mu na twarz. Rozejrzał się dokoła, ponieważ odległa muzyka umilkła zupełnie i zrobiło się bardzo cicho. Płonęły świece, rzucając złote cętki i fioletowe błyski na ściany i sufit. Ale we wszystkich kątach zalegała już ciemność, za każdym krzesłem czaił się mrok. Kiedy zaś Rikard obrócił głowę, wzdłuż ściany pomknął jego cień. Rzucił się wtedy gwałtownie, upuszczając szkatułkę. W jednym z ciemnych kątów bowiem dostrzegł czerwony blask dwojga wielkich ślepi – gryfa oczywiście. Rikard wyciągnął rękę i przemówił do ulubieńca. Gryf jednak ani drgnął, wydał tylko dziwny metaliczny skrzek.

– No, chodźże. Boisz się ciemności? – powiedział książę i nagle sam się zląkł.

Wyciągnął miecz, ale nic się nie poruszyło. Cofnął się więc o krok w stronę drzwi – i wtedy potwór skoczył. Rikard zobaczył tylko na tle sufitu czarne rozpostarte skrzydła, żelazny dziób i pazury: zwierzę runęło na niego, zanim zdążył zadać cios. Książę wił się, czując, jak dziób zamyka się na jego szyi, jak szpony szarpią mu ramiona i pierś, aż wreszcie zdołał uwolnić rękę z bronią i zadać cios. Odskoczył i znów ciał mieczem. Tym razem bez mała odrąbał gryfowi głowę. Potwór runął na ziemię, wstrząsany drgawkami pośród plam cienia i okruchów szkła, po czym znieruchomiał.

Miecz Rikarda ze szczękiem upadł na podłogę. Ręce księcia były lepkie od jego własnej krwi; nie widział prawie nic. Trzepotem potężnych skrzydeł gryf poprzewracał i pogasił wszystkie świece – z wyjątkiem jednej. Macając w ciemności, Rikard dotarł do krzesła i usiadł. Ciągle jeszcze zdyszany, zrobił to samo co wtedy po bitwie: skłonił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Panowała kompletna cisza. Jedyna świeca migotała w kinkiecie, a jej płomień odbijał się słabo w topazach na ścianie. Rikard uniósł głowę.

Gryf leżał bez ruchu. Jego krew tworzyła kałużę, czarną jak pierwsza ciemność, która wyciekła ze szkatułki. Żelazny dziób był otwarty, a wytrzeszczone oczy przypominały dwa czerwone kamienie.

– Nie żyje – odezwał się cichy głos i kot czarownicy, ostrożnie stawiając łapki, przeszedł pomiędzy szczątkami rozbitego stołu. – Raz na zawsze. Posłuchaj, książę! – Kot usiadł, zgrabnie owijając ogonem łapy.

Rikard stał teraz nieporuszony, nic nie rozumiejąc, aż wreszcie drgnął pod wpływem nagłego dźwięku. Cichego dźwięku dzwonu. Gdzieś blisko. A potem z góry, z wieży, rozległo się potężne, głuche uderzenie dzwonu, pulsujące wśród kamiennych posadzek, w jego uszach, we krwi. Zegary biły dziesiątą.

Ktoś łomotał do drzwi, a krzyki odbijały się echem w pałacowych korytarzach, mieszając się z nieprzebrzmiałym jeszcze do końca biciem dzwonów, głosami przestraszonych zwierząt, wołaniami, rozkazami.

– Spóźnisz się na bitwę, książę – powiedział kot.

Rikard zaczął macać pośród plam cienia i krwi w poszukiwaniu miecza. Wsunął go wreszcie do pochwy, narzucił płaszcz i podszedł do drzwi.

– Dziś będzie jeszcze popołudnie – powiedział kot. – I zmierzch, a potem zapadnie noc. Z zapadnięciem nocy jeden z was wejdzie do domu, do miasta: ty albo twój brat. Ale tylko jeden z was, książę.

Rikard przez chwilę stał w miejscu.

– Czy teraz na dworze świeci słońce?

– Tak, świeci... teraz.

– Wobec tego warto – powiedział młody człowiek, otworzył drzwi i wyszedł w sam środek tumultu i paniki panujących w prześwieconych słońcem salach. Za nim kroczył jego czarny cień.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

Magiczne słowo

Dwa najbliższe opowiadania są efektem mojego odkrycia „równoległego świata” Ziemiomorza, o którym później napisałam trzy powieści. Z początku niewiele o nim wiedziałam i czytelnicy obznajmieni z moją trylogią zauważą niewątpliwie, że w pewnym momencie trolle w Ziemiomorzu wymierają i że historia smoka Yevauda jest odrobinę niejasna. (Musiał istnieć kilkadziesiąt czy nawet kilkaset lat temu na wyspie Sattins, zanim Ged go znalazł i zaczarował na wyspie Pendor). Ale czego się można spodziewać po smokach, które nie poddają się jednokierunkowym przyczynowo-skutkowym wymogom historii i będąc mitem, nie podlegają czasowi i nie wpływają na czas?

Prawo imion zajmuje się przede wszystkim zasadniczą kwestią działania czarów w Ziemiomorzu. *Magiczne słowo* stanowi zapowiedź zakończenia ostatniej części trylogii, *Najdalszego brzegu*, i dotyczy wyobrażeń świata zmarłych. Ujawnia ono także obsesję drzew, która zdaje się narastać w całej mojej twórczości. Jestem chyba najbardziej „drzewnym” autorem fantastyki naukowej. Dla was, którzyście zeszli na ziemię, wykształcili przeciwstawne kciuki, przyjęli postawę pionową i tak dalej, nie jest to takie ważne. Są jednak wśród nas tacy, którzy w dalszym ciągu huśtają się na gałęzi.

Gdzie się znajduje? Podłoga jest twarda i oślizła, dokoła czarno i cuchnąco, a poza tym nic, pustka. Tylko ból głowy. Leżąc płasko na lepkiej podłodze, Festin jęknął i powiedział:

– Róźdzka!

A kiedy jego czarodziejska róźdzka z olchowego drzewa nie przyszła do ręki, zrozumiał, że jest w niebezpieczeństwie. Usiadł i w braku róźdzki, która zapewniłaby mu odpowiednie oświetlenie, skrzesał iskrę palcami i wymamrotał Słowo. Z iskry strzelił błękitny ognik i potrzaskując, zaczął żeglować leniwie w powietrzu.

– W górę! – rozkazał Festin i ognista kulka chwiejnie uleciała w górę, przepalając drzwi zapadowe lochu, hen, wysoko, tak że Festin, który wysłał wraz z nią swego ducha, ujrzał na moment czterdzieści stóp pod sobą własną twarz w postaci jasnej plamki na ciemnym tle. Światło nie odbijało się w wilgotnych ścianach, w magiczny sposób utkanych z nocy. Festin połączył się znów ze swoim ciałem i powiedział: – Zgaśnij. – Kula zniknęła.

Siedział w ciemności, wyginając palce, aż mu trzeszczały stawy.

Ktoś go musiał wziąć czarem od tyłu, przez zaskoczenie, bo ostatnie, co zapamiętał, to spacer wśród własnych lasów i wieczorna pogawędka z drzewami. W latach samotności, mniej więcej w połowie życia, przytłoczony poczuciem marnotrawionej, niewykorzystanej

siły, chcąc ćwiczyć cnotę cierpliwości, opuścił osady ludzkie i oddał się rozmowie z drzewami, takimi jak dęby, kasztany i szare olchy, których korzenie pozostają w ścisłej łączności z podziemnymi wodami. Już sześć miesięcy minęło od chwili, kiedy po raz ostatni rozmawiał z człowiekiem. Pochłaniały go sprawy natury zasadniczej – nie zajmował się magią, nie niepokoił nikogo. Któż więc rzucił na niego czar i uwięził go w tym cuchnącym lochu?

– Kto? – zwrócił się z pytaniem do ścian, patrząc, jak przez swe kamienne pory i zarodniki pokrywającego je grzyba wypacają powoli imię, które spływa w postaci gęstej czarnej kropli: „VOLL”.

Na moment Festin sam pokrył się zimnym potem. Po raz pierwszy usłyszał o Vollu Fellu bardzo dawno temu. Mówiono o nim, że jest czymś więcej niż czarodziejem, a mniej niż człowiekiem. Chodził od wyspy do wyspy po Obszarze Zewnętrznym, psując całą robotę starożytnych – pozbawiając ludzi wolności, wycinając lasy, niszcząc pola uprawne i zamykając w podziemnych grobowcach każdego czarodzieja czy maga, który usiłował mu się przeciwstawić. Wszyscy rozbitkowie ze zrujnowanych wysp opowiadali zawsze tę samą historię: że przybywa od morza z ciemnym wieczornym wiatrem, a w ślad za nim zjawiają się na okrętach jego niewolnicy. Tych widziano, ale nikt nie widział Volla... Lecz na wyspach było wielu ludzi i wiele innych istot złej woli i Festin, młody czarodziej zajęty swoim treningiem, nie przywiązywał specjalnej wagi do opowieści o Vollu Fellu. Ocalał jakoś tę wyspę – pomyślał i postanowił powrócić do swoich dębów i olch z poszumem wiatru w listowiu, z rytmem wzrostu tętniącym w walcowatych pniach, konarach i gałązkach, ze smakiem słońca na liściach i ciemną wodą gruntową omywającą korzenie. Ale gdzież się podziały te drzewa, jego starzy przyjaciele? Czyżby Voll zniszczył lasy?

Rozbudzony w końcu zupełnie i już na nogach Festin wykonał zeszywniałymi rękami dwa szerokie zamachy, wykrzykując głośno Słowo, które miało moc otwierania wszystkich zamków i drzwi wykonanych przez człowieka. Ale te ściany, przesycone nocą i silne imieniem swojego budowniczego, nie zareagowały najmniejszym drgnieniem, nawet go nie usłyszały. Słowo wróciło do niego echem – rozbrzmiało Festinowi w uszach i rzuciło go na kolana. Trwał z głową ukrytą w ramionach, dopóki echa nie zamarły w kamiennych sklepieniach gdzieś nad nim. Wstrząśnięty, wciąż jeszcze siedział pogrążony w rozmyślaniach.

Cóż, Voll jest potężny. Tutaj, na jego terenie, w wyczarowanym przez niego lochu magia Volla oprze się każdemu bezpośredniemu atakowi, a Festin bez swej różdżki był o połowę słabszy. Ale nawet tak potężny ciemżyciel nie odbierze mu zdolności właściwych tylko jemu: wychodzenia z siebie i przeobrażania się. Potarłszy więc podwójnie teraz bolącą głowę, Festin uległ metamorfozie. Cicho, łagodnie jego ciało rozpląnęło się w obłok delikatnej mgły.

Snując się leniwie, mgła uniosła się z podłogi i popłynęła do góry wzdłuż oślizłych ścian, by wreszcie w miejscu, gdzie sklepienie styka się z murem, znaleźć cieniutką jak włos szczelinę i wyciec przez nią kropelka po kropelce. Kiedy już prawie cała wydostała się na zewnątrz, uderzył w nią gorący podmuch wiatru, niby żar z pieca, rozdmuchując ją na drobinki i wysuszając. Mgła pośpiesznie wessała się z powrotem do środka, spiralnym lotem opadła na dół i tam, przybrawszy pierwotną postać Festina, legła na dnie, ciężko dysząc.

Proces przeobrażania się to wielki wysiłek emocjonalny dla czarodziejów introwertyków

w rodzaju Festina. Kiedy do takiego napięcia dołączy się jeszcze groźba okrutnej śmierci w przybranej właśnie postaci, cała sprawa staje się koszmarem. Festin leżał więc przez chwilę bez tchu. Był przy tym zły na siebie. Próba ucieczki pod postacią obłoku mgły była oczywiście naiwnością z jego strony. Każdy idiota znał tę sztuczkę. Voll najprawdopodobniej miał już z góry przygotowany gorący wiatr.

Festin skurczył się do rozmiarów czarnego nietoperza, uleciał do sklepienia, przeobraził się z kolei w cieniutki strumyk czystego powietrza i przesączył się przez szczelinę.

Tym razem wydostał się na dobre i płynął sobie właśnie przez salę w kierunku okna, kiedy nagle poczuł zagrożenie. Przedzierzgnął się więc w pierwszy mały sensowny przedmiot, jaki przyszedł mu do głowy – w złotą obrączkę. Co za różnica. Arktyczny wichur, który by jego powietrzną postać zdmuchnął bez śladu, w tej sytuacji po prostu lekko go zmroził. Kiedy minął huragan, Festin leżał przez chwilę na marmurowej posadzce, zastanawiając się, pod jaką by tu postacią najszybciej wydostać się przez okno.

Zaczął się toczyć, ale za późno. Wielki troll z obojętną miną zbliżał się już do niego nieuchronnie niczym kataklizm. Zatrzymał się, złapał szybko toczącą się obrączkę potężną łapą, wyciosaną jak gdyby w wapieniu, podszedł do drzwi zapadowych, uniósł je za żelazny uchwyt, wymamrotał jakieś zaklęcie i cisnął Festina w ciemną czeluść. Nieszczęśnik spadł z wysokości czterdziestu stóp prosto na kamienną posadzkę z głośnym stuknięciem – stuk!

Przybrał swoją prawdziwą postać i usiadł smutny, rozcierając stłuczony łokieć. Dość tych sztuczek o pustym żołądku. Ogromnie odczuwał brak różdżki, która zapewniłaby mu dowolną ilość jedzenia. Mógł wprowadzić bez niej przeobrażać się i dokonywać pewnych czarów – brak różdżki nie pozbawiał go wszelkich możliwości – ale nie był w stanie ani przeobrazić, ani przywołać do siebie żadnego przedmiotu czy zjawiska, jak kotlet z jagnięcia czy błyskawica.

Cierpliwości, powiedział sobie i kiedy odzyskał dech, zamienił się w nieskończenie delikatne wonne olejki, przypominające do złudzenia woń smażącego się kotleta z jagnięcia. Raz jeszcze uleciał przez szczelinę. Zaczajony troll podejrzliwie pociągnął nosem, ale Festin zdążył już przybrać postać sokoła i śmignąć prosto do okna. Troll rzucił się za nim, chybił o kilka jardów i ryknął potężnym, lodowatym głosem:

– Sokół! Łapcie sokoła!

Wznosząc się ponad zaczarowanym zamkiem i szybując w stronę lasu, który rysował się ciemną ścianą na zachodzie, oślepiiony blaskiem słonecznym i migotaniem morskich fal, Festin dosiadł wiatru i pomknął jak strzała. Ale dosięgła go strzała jeszcze szybsza. Wydał okrzyk i spadł. Słońce, morze, wieże – wszystko to zawirowało wokół niego i... znikło.

Znów obudził się na dnie wilgotnego lochu. Ręce, usta i włosy miał lepkie od własnej krwi. Strzała zraniła mu skrzydło jako sokołowi, ramię jako człowiekowi. Leżąc bez ruchu, wymamrotał zaklęcie, które miało zasklepić ranę. Mógłby bowiem wtedy usiąść i przystąpić do poważniejszej, bardziej czasochłonnej magii leczenia. Stracił jednak sporo krwi, a wraz z nią siły. Był przemarznięty do szpiku kości i nawet czar leczniczy nie mógłby go rozgrzać. W oczach miał mrok, chociaż skrzeszał błędny ogień i zapalił cuchnące powietrze; ciągle widział tę samą ciemną mgłę co wtedy, kiedy leciał ponad lasem, ponad osadami własnej krainy.

Chronić tę krainę – oto jego zadanie.

Nie ma mowy, żeby znów próbował ucieczki. Był na to zbyt słaby i zmęczony.

Przeciwnie swoje możliwości, stracił za wiele siły. I teraz każda postać, jaką mógł przybrać, będzie naznaczona piętnem słabości i zostanie pokonana.

Dygocąc z zimna, siedział skulony i patrzył, jak ognista kula strzela w ostatnim paroksyzmie, w ostatnim podmuchu metanu – gazu błotnego. Ten zapach wywoływał w jego wyobraźni rozległe bagna ciągnące się od ściany lasu aż do morza – jego ukochane bagna, gdzie nie powstała ludzka stopa, gdzie pośród stojących wód bajerek i porośniętych trzciniami wysepki wiją się strumyki w drodze do morza. Ach, być rybą w jednym z tych strumyków, najlepiej w jego górnym biegu, u źródeł, w lesie; pod osłoną drzew, w czystym brunatnym rozlewisku u korzeni olchy odpoczywać w ukryciu...

Ale to by już wymagało potężnej magii. A Festin nie miał w tym względzie większych możliwości niż pierwszy lepszy człowiek na wygnaniu czy w niebezpieczeństwie, stęskniony za ziemią ojczystą i za jej wodami, oglądający oczyma duszy upragniony stół, przy którym jadał, i gałęzie drzew za oknem pokoju, w którym sypiał. Wszyscy jednak, poza wielkimi czarownikami, tylko w snach przeżywają cud, jakim jest powrót do domu. Ale w nerwy i żyły Festina sączył się chłód z samego wnętrza jego istoty; Festin stał pośród czarnych ścian, mobilizując swoją wolę, aż zabłysła w ciemnościach jego ciała niby płomień świecy, rozpoczynając ciche dzieło wielkiej magii.

Zniknęły ściany. Znalazł się w ziemi, której kośćmi są skały i żyły granitu, woda gruntowa – krwią, a korzenie roślin – nerwami. Jak ślepy robak drążył ziemię, prąc powoli na zachód w ciemności, która była za nim i przed nim. A potem nagle poczuł wzdłuż krzyża i brzucha chłód – miłą, łagodną pieśczętę. Bokami chłonał wodę, czuł jej prąd, a bezpowiekimi oczyma widział przed sobą głębokie brunatne bajoro pomiędzy potężnymi, powykęcany korzeniami olchy. Śmignął przed siebie, srebrzysty, w cień. Uwolnił się. Był w domu.

Z kryształowego źródła bezustannie tryskała woda. Leżał na piaszczystym dnie bajorka, pozwalając prądowi silniejszemu od jakiegokolwiek gojącego czaru koić ranę i swoim chłodem wymywać lodowate zimno, jakie się w niego wdarło. Leżąc tak i zażywając wypoczynku, poczuł nagle i usłyszał drżenie ziemi i odgłos kroków. Któż to chodzi po jego lesie? Zbyt znużony na to, by kolejny raz się przeobrazić, ukrył swoje połyskliwe ciało pstrąga pod łukiem potężnego korzenia olchy i przyczajony czekał.

Z gruba ciosane szare paluchy gmerały w wodzie, mącąc ją. W mroku nad wodą to majaczyły, to znów znikwały rozmazane twarze, puste oczy. Sieci i ręce szukały – chybiły, znów chybiły – aż wreszcie złapały i uniosły trzepocącego się pstrąga w górę. Festin usiłował przybrać z powrotem normalną postać, ale na próżno – krępował go własny czar powrotu do domu. Wił się w sieci, rozpaczliwie łapiąc suche, oślepiające, koszarne powietrze, dusząc się. Nic do niego nie docierało poza świadomością tej męki.

Po pewnym czasie stopniowo zaczął sobie zdawać sprawę, że znów jest w ludzkiej postaci. Do gardła wlewano mu jakiś gryzący płyn. Upłynęło sporo czasu, nim stwierdził, że leży twarzą do ziemi na wilgotnej podłodze lochu. A więc znów znalazł się we władzy swego prześladowcy. I mimo że mógł oddychać, był bliski śmierci.

Znów czuł chłód.

Trolle pozostające na służbie u Volla musiały zmasakrować delikatną łuskę pstrąga, w którego się wcielił, bo kiedy drgnął, klatkę piersiową i jedno ramię przeszył mu ostry ból. Złamany, wyzuty z sił, leżał na dnie czarnej studni. Niezdolny do dalszych przeobrażeń, nie miał już wyjścia – poza jednym.

Leżąc w kompletnym bezruchu, Festin rozmyślał: Dlaczego mnie nie zabił? Dlaczego mnie trzyma tu żywego? Dlaczego zawsze jest niewidzialny? Jakimi oczami można go zobaczyć? Po jakiej ziemi chodzi? Boi się mnie, chociaż jestem bez sił. Podobno wszyscy czarodzieje i ludzie potężni, których uwięził, żyją zamknięci w takich lochach, spędzając lata na obmyślaniu sposobu ucieczki... A gdyby tak zrezygnować z życia?

Festin dokonał wyboru. Jego ostatnią myślą było, że jeśli się pomylił, ludzie uznają, iż był tchórzem. Nie rozpamiętywał tego zbyt długo. Obrócił głowę na bok i zamknął oczy, po raz ostatni głęboko zaczerpnął tchu i wyszeptał magiczne słowo, które wymawia się tylko raz.

Nie było to przeobrażenie. Nie zmienił się. Jego ciało – długie nogi i ramiona, sprawne ręce, oczy, które tak lubiły patrzeć na drzewa i strumienie – wszystko to leżało niezmienione, tyle że bez ruchu, zupełnie bez ruchu, przeniknięte przez chłód. Ale ściany zniknęły. Zniknęły lochy wzniesione czarodziejską mocą, komnaty i wieże. Zniknęły też las i morze, i wieczorne niebo. Wszystko przestało istnieć, a Festin zaczął wolno schodzić z łagodnego zbocza pod nowymi gwiazdami.

W życiu był obdarzony wielką siłą – nie zapomniał o tym i teraz. Niby płomień świecy poruszał się w ciemnościach tej rozległej krainy, cały czas wykrzykując imię swojego wroga:

– Voll!

Bezsilny wobec tego wyzwania, Voll zjawiał się jako mętny blady kształt widoczny w świetle gwiazd. Kiedy Festin do niego podszedł, Voll cofnął się z krzykiem jak oparzony. Festin podążył za nim, deptając mu po piętach. Długo trwała ta pogoń – poprzez zastygłe jezory lawy dawno nieczynnych wulkanów, wznoszących swe wierzchołki ku bezimiennym gwiazdom, przez szczyty milczących wzgórz, poprzez doliny porośnięte krótką ciemną trawą, przez nieoświetlone ulice miast, pomiędzy domami, gdzie w oknach nie było widać żadnych twarzy. Na niebie błyszcząły gwiazdy – nie wschodząc i nie zachodząc. Wszystko trwało bez zmian. Nie było następnego dnia, ale oni nie ustawiali. Festin cały czas pędził Volla przed sobą, aż dotarli do miejsca, gdzie kiedyś, dawno temu płynęła rzeka kraju żywych. W jej wyschniętym łożysku wśród kamieni leżało martwe ciało: stary człowiek, nagi, pustymi oczyma wpatrujący się w gwiazdy nieświadome śmierci.

– Wejdz w to – rozkazał Festin.

Voll-cień zaskowytał, ale Festin podszedł do niego. Voll cofnął się, skulił i wszedł w otwarte usta własnego martwego ciała.

W tej samej chwili trup zniknął. Suche kamienie, bez skazy, bez jednej plamki, lśniły w świetle gwiazd. Festin stał jeszcze przez chwilę, po czym usiadł wśród potężnych skał, żeby odpocząć. Odpocząć, nie spać, ponieważ musiał czuwać dopóty, dopóki ciało Volla, odesłane do grobu, nie obróci się w pył, tracąc złe moce, dopóki wiatry tych prochów nie rozwieją, a deszcze nie spłuczą do morza. Musiał pełnić straż tutaj, w tym miejscu, gdzie kiedyś śmierć znalazła drogę do innego świata.

Cierpliwy więc, teraz wręcz bezgranicznie cierpliwy, czuwał Festin pośród gładów, gdzie już nie popłynęła żadna rzeka, w samym sercu krainy, która nie ma wybrzeża morskiego.

Gwiazdy stały nad nim nieruchome i kiedy na nie patrzył, powoli, bardzo powoli zaczął zapominać szmer strumieni i szum deszczu na liściach lasów krainy życia.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

Prawo imion

Pan Podgórski wyszedł spod swojej góry uśmiechnięty, dysząc ciężko. Za każdym razem z jego nozdrzy buchały dwa obłoczki pary, śnieżnobiałe w porannym słońcu. Pan Podgórski spojrział w grudniowe roziskrzzone niebo i uśmiechnął się szerzej niż zwykle, ukazując śnieżnobiałe zęby, a następnie zszedł do miasteczka. „Dzień, panie Podgórski” – mówili ludzie, kiedy przechodził wąskimi uliczkami koło ich domów o stożkowatych dachach, przypominających mięsiste czerwone kapelusze muchomorów. „Dzień, dzień!” – odpowiadał każdemu (bo pozdrowienie kogoś całym „dzień dobry” mogłoby przynieść pecha; samo stwierdzenie, że jest dzień, wystarczało w zupełności w miejscu tak silnie poddanym wpływom, jak wyspa Sattins, gdzie lekkomyślnie zastosowany przymiotnik może zmienić pogodę na cały tydzień). Wszyscy z nim rozmawiali – jedni życzliwie, inni z łagodnym lekceważeniem. Niewielka wysepka nie posiadała innego czarodzieja, pan Podgórski zasługiwał więc na szacunek. Ale jak tu szanować pięćdziesięcioletniego tłuściocha, który człapie sobie, kolebiąc się jak kaczka, wydmuchując nosem obłoczki pary i uśmiechając się? Nie był też nadzwyczajnym fachowcem w swojej dziedzinie. Jego fajerwerki cieszyły się nawet dość dobrą opinią, ale eliksiry na przykład były kiepskie. Brodawki, które usuwał, często pojawiały się znowu po trzech dniach, zaczarowane przez niego pomidory wyrastały nie większe niż melony, a w tych rzadkich przypadkach, kiedy do portu Sattins zawinął jakiś obcy statek, pan Podgórski nie wychodził nigdy spod swojej góry – ze strachu, jak wyjaśniał, przed złym okiem. Był więc, krótko mówiąc, czarownikiem w takim stopniu, w jakim zezowaty Gan – cieślą. Obaj partaczyli. Mieszkańcy miasteczka przyzwyczaili się już do źle działających zawiasów czy sfuszerowanych czarów, ale odbijali to sobie, traktując pana Podgórskiego poufale, jak pierwszego lepszego sąsiada. Zapraszali go nawet czasem na kolację. Kiedyś zresztą i on zaprosił na kolację kilka osób, podejmując je wspaniale – srebro, kryształ, adamaszki, pieczona gęś, perlisty Andrades rocznik 639 i pudding śliwkowy z gęstym sosem – ale przez cały posiłek był tak zdenerwowany, że właściwie zepsuł zupełnie nastrój, nie mówiąc o tym, że po półgodzinie mniej więcej każdy znów był głodny.

Pan Podgórski nie lubił, żeby ktokolwiek odwiedzał jego grootę, nawet sionkę, poza którą, prawdę powiedziawszy, nikt nigdy nie został wpuszczony. Kiedy wiedział, że ktoś zbliża się do jego góry, wybiegał zwykle naprzeciw. „Siądźmy sobie tutaj pod sosnami” – proponował z uśmiechem, wskazując sosnowy lasek, a jeśli padał deszcz, mówił: „Może byśmy tak poszli na kufel piwa do gospody?” – chociaż każdy wiedział, że pan Podgórski nie pija nic mocniejszego od wody źródlanej.

Czasem miasteczkowe dzieciaki, które korciła wiecznie zamknięta grota, robiły tam

wypadu, myszkując i usiłując dostać się do środka, kiedy gospodarza nie było w domu, ale małe drzwi, wiodące do wewnętrznej izby, były zamknięte w sposób czarodziejski i przynajmniej ten czar wydawał się skuteczny. Pewnego razu dwaj chłopcy, przekonani, że czarodziej przebywa na Wybrzeżu Zachodnim, gdzie kuruje chorego osła pani Ruuny, przyszedli z łomem i toporkiem, ale w odpowiedzi na pierwszy cios wymierzony w drzwi we wnętrzu jaskini rozległ się potężny ryk wściekłości i na zewnątrz buchnęła chmura szkarłatnej pary. Pan Podgórski wrócił wcześniej do domu. Chłopcy uciekli. Czarodziej nie wyszedł z grotty i chłopcom nic się nie stało, ale opowiadali, że ktoś, kto tego nie słyszał, nie jest w stanie sobie wyobrazić, jak potężne wycie, ryk, syk i huk potrafi wydać z siebie ten mały tłusty człowieczek.

Dziś pan Podgórski miał do załatwienia w miasteczku następujące sprawy: kupić trzy tuziny świeżych jaj i funt wątróbki, a ponadto wstąpić do kapitana Fogena, aby ponowić czary dokonane na oczach starca (mimo że jego zaklęcia okazały się zupełnie bezskuteczne w przypadku odklejenia siatkówki, pan Podgórski nie dawał za wygraną), no i wreszcie pogadać ze starą Goody Guld, wdową po wytwórcy harmonii. Przyjaciółmi pana Podgórskiego byli przeważnie ludzie starzy. Silni, młodzi mężczyźni onieśmialali go, a dziewczęta się go wstydziły. „Jestem w jego obecności zawsze zdenerwowana, za dużo się uśmiecha” – mawiały, składając buzie w ciup i kręcąc na palcach jedwabiste loczki. „Zdenerwowany” było słowem nowomodnym i matki odpowiadały wtedy surowo: „Zdenerwowana! Mój Boże, raczej niemądra, należałoby powiedzieć. Pan Podgórski to bardzo przyzwoity czarodziej!”.

Po wyjściu od Goody Guld pan Podgórski przechodził koło szkoły. Tego dnia lekcje odbywały się na błoniach. Ponieważ wszyscy na wyspie Sattins byli analfabetami, nie było książek, by się z nich uczyć czytać, ławek, by na nich rzeźbić inicjały, tablic, by je ścierać, krótko mówiąc, nie było w ogóle budynku szkolnego. W dni deszczowe dzieci spotykały się na poddaszu stodoły gminnej, skąd wychodziły zawsze ze źdźbłami siana w majtkach. W dni słoneczne nauczycielka, Palani, zabierała je tam, dokąd akurat miała ochotę. Dziś właśnie w otoczeniu trzydziściorga bardzo ważnych maluchów w wieku poniżej dwunastu lat i czterdziestu zupełnie nieuważnych owiec w wieku poniżej lat pięciu miała lekcję przedmiotu, który w programie szkolnym zajmował istotne miejsce – prawa imion. Pan Podgórski, uśmiechając się nieśmiało, przystanął, żeby posłuchać i popatrzeć. Palani, pulchna, ładna dwudziestolatka, stojąca pod bezlistnym dębem w otoczeniu owiec i dzieci i mająca za tło piaszczyste wydmy, morze oraz blade niebo, stanowiła w zimowym słońcu uroczy obrazek. Mówiła poważnym tonem, zarumieniona od wiatru, bardzo przejęta:

– Znacie więc już, dzieci, reguły imion. Istnieją dwie, takie same dla wszystkich wysp na świecie. Możecie podać pierwszą?

– Niegrzecznie jest pytać kogokolwiek o imię! – wyrwał się tłusty bystry chłopak, któremu przerwała wrzaskliwie mała dziewczynka:

– A moja mama mówi, że nie należy podawać nikomu swego imienia!

– Masz rację, Suba. Dobrze, Popi, ale nie wrzeszcz tak, kochanie. Słusznie. Nikogo nie pyta się o imię. I nie mówi się swojego. A teraz zastanówcie się chwilę i powiedzcie mi, dlaczego nazywamy naszego czarodzieja panem Podgórskim. – Uśmiechnęła się ponad kędzierzawymi główkami i kudłatymi grzbietami do pana Podgórskiego, który rozpromienił się i nerwowo ścisnął woreczek pełen jaj.

– Bo mieszka pod górą! – odpowiedziała połowa dzieci.

– Ale czy to jest jego prawdziwe imię?

– Nie! – odparł tłusty chłopak, a za nim wrzasnęła jak echo mała Popi:

– Nie!

– A skąd wiecie, że nie?

– Bo przyszedł tutaj sam i nie było nikogo, kto by znał jego prawdziwe imię i je nam powiedział, a on nie mógł...

– Bardzo dobrze, Suba. Popi, nie krzycz. Tak jest. Nawet czarodziej nie może zdradzić swojego prawdziwego imienia. Kiedy wy, dzieci, skończycie szkołę i dokonacie przejścia, rozstaniecie się ze swoimi dzieciennymi imionami, a zatrzymacie prawdziwe, o które nie należy nikogo pytać i których nie wolno nikomu zdradzać. Dlaczego stało się to prawem?

Dzieci milczały. Owce pobekiwały z cicha. Na pytanie odpowiedział pan Podgórski:

– Bo imię to własność – odparł nieśmiałym, cichym, ochryplym głosem – a prawdziwe imię to prawdziwa własność. Powiedzieć imię to tyle, co oddać swoją własność w cudze ręce. Prawda, proszę pani?

Nauczycielka uśmiechnęła się i dygnęła, najwyraźniej lekko zakłopotana wtrącaniem się pana Podgórskiego, który podreptał z powrotem w stronę swojej góry, tuląc do piersi woreczek z jajkami. Jakoś dziwnie zgłodniał, obserwując Palani i dzieci. Pośpiesznym zakłębieniem zamknął za sobą wewnętrzne drzwi, ale widać niedokładnie, bo wkrótce pusta sionka jaskini wypełniła się smaczkowym zapachem smażonych jajek i skwierczącej wątróbki.

Tego dnia wiał rzeński zachodni wietrzyk, który w południe przygnał na połyskliwych falach do portu Sattins niewielką łódkę. Skoro tylko wychynęła z za przylądka, dostrzegł ją bystrooki chłopak. Znając jak wszystkie dzieci na wyspie każdy żagiel i maszt każdej z czterdziestu łodzi miejscowej floty, puścił się biegiem ulicą, wołając:

– Jakaś obca łódź! Jakaś obca łódź!

Samotną wyspę niezmiernie rzadko odwiedzały łodzie z innych, równie samotnych wysp Obszaru Wschodniego czy śmielsi kupcy z Archipelagu. Kiedy łódź przybiła do nabrzeża, wyległo z pół miasteczka, żeby ją powitać: rybacy towarzyszyli jej aż do miejsca cumowania, pastuszkowie, poławiacze małży i zbieracze ziół z wywieszonymi językami biegli przez skaliste wzgórza, dążąc w stronę portu. Tylko drzwi pana Podgórskiego pozostały zamknięte.

Na pokładzie łodzi był jeden jedyny człowiek. Stary kapitan Fogeno, kiedy mu o tym powiedziano, ściągnął siwe miotełki brwi nad niewidzącymi oczyma.

– Ten, kto wypuszcza się samotnie na wody Obszaru Zewnętrznego, musi być albo czarodziejem, albo magikiem, albo magiem.

Gnali więc bez tchu mieszkańcy miasteczka, by chociaż raz w życiu zobaczyć maga, jednego z potężnych białych magów z bogatych, pełnych wież zatłoczonych wewnętrznych wysp Archipelagu. Byli zawiedzeni – podróżnik okazał się zupełnie młodym, przystojnym, czarnobrodym mężczyzną, który pozdrowił ich wesoło z łódki i zeskoczył na brzeg jak każdy żeglarz rad z tego, że zawinął szczęśliwie do portu. Przedstawił się też zaraz jako komiwojażer. Ale kiedy powiedziano kapitanowi Fogenowi, że ma on dębową laskę, stary pokiwał głową.

– Dwóch czarodziejów w jednym mieście – powiedział – to niedobra sprawa. – I zamknął usta jak stary karp.

Ponieważ przybysz nie mógł podać swojego imienia, nazwali go na poczekaniu

Czarnobrodym, poświęcając mu wiele uwagi. Mężczyzna przywiózł niewielki ładunek towarów mieszanych: tkanin, sandałów, piórek piswi do obszywania płaszczy, taniego kadzidła, lekkich kamieni, cennych ziół i wielkich szklanych paciorków z Venway – zwykły asortyment każdego komiwojażera. Wszyscy mieszkańcy wyspy Sattins przyszli popatrzeć i pogadać z gościem, a nawet i coś kupić. „Ot tak, na pamiątkę!” – zachichotała Goody Guld, jak wszystkie kobiety i dziewczyny z miasteczka urzeczona jego męską urodą. Chłopcy też się do niego garnęli, aby słuchać o podróżach na dalekie obce wyspy Obszaru czy opowieści o wielkich bogatych wyspach Archipelagu, Szlakach Wewnętrznych, portach białych od żagli i złocistych dachach Havnoru. Mężczyźni chętnie słuchali jego historii, ale jednocześnie dziwili się, że kupiec żegluje tak samotnie, i z zadumą patrzyli na jego dębową laskę.

A pan Podgórski przez cały czas nie wychodził spod swojej góry.

– Pierwszy raz widzę wyspę bez czarodzieja – powiedział pewnego wieczoru Czarnobrody do Goody Guld, która zaprosiła jego, swego siostrzeńca i Palani na cieką ziołową herbatkę. – Co robicie, jak rozboli was ząb albo krowa przestanie dawać mleko?

– Jak to? Mamy pana Podgórskiego! – odpowiedziała stara kobieta.

– Wielka mi z niego pociecha – mruknął jej siostrzeniec Birt, a następnie zaczerwienił się i rozlał herbatę. Birt był rybakiem, dużym, dzielnym młodym milczkiem. Kochał się w nauczycielce, ale najśmielszym wyrazem jego miłości było znoszenie kucharce jej ojca koszy świeżych makreli.

– Aha, więc jednak macie czarodzieja? – zapytał Czarnobrody. – Czy on jest niewidzialny?

– Nie, po prostu bardzo nieśmiały – odparła Palani. – Pan tu jest dopiero od tygodnia, a do nas tak rzadko zagląda ktoś obcy... – Ona też zarumieniła się trochę, ale herbaty nie rozlała.

Czarnobrody się uśmiechnął.

– To dobry, stary, poczciwy mieszkaniec Sattins, co?

– Nie – odpowiedziała Goody Guld. – Nie lepszy od pana. Nalać ci jeszcze herbaty? – zwróciła się do siostrzeńca. – Tylko tym razem nie wylej. Nie, mój drogi, on przybył w małej łódeczce ze cztery lata temu... Prawda? Dokładnie dzień po zakończeniu wędrówek złotośledzi. Tak, pamiętam, bo wtedy zastawiano sieci w Strumieniu Wschodnim, a pastuch Pondi właśnie tego ranka złamał nogę. Tak, to musiało być pięć lat temu. Nie, cztery. Nie, pięć, bo to był ten rok, kiedy nie wyrósł czosnek. No więc przypłynął na tej swojej małej skorupinie wyładowanej pudłami i skrzynkami i mówi do kapitana Fogena, który jeszcze wtedy nie był ślepy – chociaż, Bóg mi świadkiem, tak stary, że już ze dwa razy mógłby oślepnąć – no więc: „Słyszałem taką gadkę – powiada – że nie macie tu żadnego czarodzieja ani maga. Może potrzebujecie?”. „Owszem – kapitan Fogeno na to – tylko niech to nie będzie czarna magia”. I zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć słowo „mątwą”, pan Podgórski osiedlił się w grocie pod górą i zabrał się do leczenia parchów kota Goody Beltow. Tyle że temu kotu zaczęła odrastać szara sierść, chociaż był zawsze pomarańczowy. Bardzo potem dziwnie wyglądał. Zdechł zresztą tej zimy na przeziębienie. Goody Beltow, biedactwo, strasznie przeżyła jego śmierć – rozpacziała więcej niż wtedy, kiedy jej mąż się utopił w Long Banks tego roku, co to były takie długie wędrówki śledzi, a mój siostrzeniec Birt robił jeszcze w pieluchy.

W tym momencie Birt znów rozlał herbatę, a Czarnobrody uśmiechnął się, ale to

zupełnie nie spieszyło Goody Guld, która gadała dalej aż do zmroku.

Nazajutrz Czarnobrody siedział w porcie i długo wymieniał spaczoną deskę w swojej łodzi, jak zwykle wciągając małowównych mieszkańców Sattins w pogawędkę.

– Która z tych łodzi należy do waszego czarodzieja? – zapytał. – A może tak jak niektórzy chowa ją do łupiny orzecha, kiedy nie jest mu akurat potrzebna?

– Nie – odpowiedział jeden z flegmatycznych rybaków. – Trzyma ją w swojej grocie pod górą.

– To zataszczył tę łódź do swojej groty?

– Tak. Tam na górę. Sam mu pomagałem. A cięższa była od ołowiu. I pełna wielkich skrzyń, a te skrzynie pełne ksiąg czarnoksięskich, sam mi mówił. Tak, cięższa niż ołów.

I flegmatyczny rybak odwrócił się, wzdychając flegmatycznie. Siostrzeniec Goody Guld, który nieopodal reperował sieć, spojrział znad swojej roboty i również flegmatycznie zapytał:

– A może chciałbyś się spotkać z panem Podgórskim, co?

Czarnobrody wpatrywał się długą chwilę czarnymi bystrymi oczyma w niewinne błękitne oczy Birta, po czym uśmiechnął się i powiedział:

– Tak. A zaprowadzisz mnie pod tę górę, Birt?

– Dobrze, jak to skończę – odparł rybak.

I kiedy sieć była gotowa, ruszyli razem uliczkami ku wysokiej zielonej górze wznoszącej się nad miasteczkiem. Ale gdy przeszli przez błonia, Czarnobrody rzekł:

– Poczekaj no chwilę, przyjacielu. Zanim spotkam się z waszym czarodziejem, chciałbym ci opowiedzieć pewną historię.

– Mów – powiedział Birt, siadając w cieniu młodego dębu.

– Jest to historia, która się rozpoczęła sto lat temu i jeszcze się nie skończyła, chociaż skończy się szybko, i to bardzo szybko... Otóż w samym sercu Archipelagu, gdzie na wyspach roi się od ludzi jak od much na miodzie, jest mała wysepka zwana Pendor. Zanim nastąpiła Liga, morscy władcy Pendoru byli bardzo potężni. Napływały do nich szerokim strumieniem łupy, daniny i okupy, tak że z czasem zgromadzili wielkie skarby. Aż kiedyś nagle z daleka, z Obszaru Zachodniego, gdzie na wyspach wulkanicznych żyją smoki, przybył smok bardzo potężny. Nie był to żaden z tych przerośniętych jaszczurów, które wy tutaj na Obszarze Zewnętrznym nazywacie smokami. Był to wielki, czarny, uskrzydłony potwór, mądry i przebiegły, silny i wyrafinowany, i jak wszystkie smoki wielbiący złoto i drogie kamienie. Zabił on władcę Pendoru i jego żołnierzy, a mieszkańcy nocą puciekali na swoich statkach. Smok został, zwinięty w kłębek, w wieży Pendoru, gdzie przebywał przez sto lat, ocierając się pokrytym łuską brzuchem o szmaragdy, szafiry i złote monety i wychodząc tylko raz czy dwa razy do roku, żeby się najeść. W tym celu urządzał wyprawy na sąsiednie wyspy. A wiesz, czym się żywią smoki?

Birt skinął głową i wyszeptał:

– Dziewicami.

– Tak jest – odrzekł Czarnobrody. – Oczywiście trudno było znieść to wiecznie, tak samo jak to, że siedział na skarbach. Kiedy więc Liga okrzepła w siłę i Archipelag nie był już tak zajęty wojnami i piractwem, zdecydowano się przypuścić atak na wyspę Pendor, wygnać smoka i odzyskać złoto i klejnoty dla Ligi, która wiecznie potrzebowała pieniędzy. Zebrała się więc ogromna flota z pięćdziesięciu wysp, a na dziobach siedmiu najpotężniejszych okrętów stanęło siedmiu magów i pozęglowali w stronę Pendoru...

Przybili do portu. Ani śladu życia na wyspie. Domy stały puste, naczynia na stołach pokryte były stuletnim kurzem. Na dziedzińcu i schodach pałacu walały się kości poległego władcy i jego żołnierzy. A wszystkie komnaty wieży cuchnęły smokiem. Ale smoka nie było. Nie było też skarbu – ani śladu diamentu, choćby wielkości ziarnka maku, ani jednego srebrnego paciorka... Zdając sobie sprawę z tego, że nie stawi czoła siedmiu magom, smok umknął. Wytropili go jednak i stwierdzili, że pofrunął na północ, na opuszczoną wyspę zwaną Udrath. Ale cóż tam znaleźli? Znów kości. I to kości smoka. A skarbu w dalszym ciągu ani śladu. Widać zmierzył się z potworem w pojedynkę jakiś czarodziej nieznanany, który przyszedł nie wiadomo skąd i sprzątnął Lidze skarb sprzed nosa!

Rybak słuchał uważnie, ale obojętnie.

– A musiał to być czarodziej potężny i bardzo bystry, skoro nie tylko zabił smoka, ale jeszcze uciekł, nie zostawiając śladu. Wielmoże i magowie Archipelagu nie mogli go w żaden sposób wytropić: nie wiedzieli, skąd przyszedł ani dokąd umknął. Mało brakowało, by dali za wygraną. Było to wiosną. Wróciłem właśnie z trzyletniej podróży po Obszarze Północnym, kiedy mnie poproszono, żebym pomógł w poszukiwaniu nieznanego złodzieja. I postąpiono bardzo mądrze. Sam bowiem jestem nie tylko czarodziejem, jak zapewne niejeden z tutejszych półgłówków się domyślił, ale także potomkiem władców Pendoru. Skarb należy do mnie. I wie o tym, że do mnie należy. Ci głupcy z Ligi nie mogli go znaleźć, ponieważ nie mają do niego prawa. Należy on do domu Pendoru, a wielki szmaragd, ozdoba kolekcji, Inalkil Zielony, zna swego pana. Popatrz. – Czarnobrody uniósł dębową laskę i wykrzyknął głośno: – Inalkil!

Czubek laski załśnił zielono, zapłonął ostrym szmaragdowym blaskiem, oślepiającą poświatą w kolorze kwietniowej trawy, i w tym samym momencie laska przechyliła się w ręce czarodzieja, skłaniając się powoli, aż wskazała prosto na zbocze wznoszącej się przed nim góry.

– Tam w Havnorze nie lśniła tak jaskrawo – mruknął Czarnobrody – ale wskazywała prawidłowo. Inalkil odpowiedział na moje wołanie. Klejnot zna swego pana. A ja znam złodzieja. I pokonam go. To potężny czarodziej, skoro zabił smoka. Ale ja jestem jeszcze potężniejszy. A chcesz wiedzieć dlaczego, prostaczku? Bo znam jego imię!

W miarę jak ton głosu Czarnobrodego stawał się coraz bardziej agresywny, Birt miał coraz bardziej zakłopotaną minę. W pewnej chwili jednak usta mu drgnęły, zamknął je i wpatrzył się w przybysza z Archipelagu.

– A skąd... skąd ty to wiesz? – zapytał bardzo wolno.

Czarnobrody uśmiechnął się i nie odpowiedział.

– Czarna magia?

– A cóż by mogło być innego?

Birt, blady jak liść, nie odezwał się słowem.

– Jestem władcą Pendoru, tępaku, i odzyskam złoto, które zdobyli moi ojcowie, klejnoty, które nosiły moje matki, i Zielony Kamień! Ponieważ one należą do mnie. Możesz tę całą historię opowiedzieć tym swoim głupkom z miasteczka, jak już się rozprawię z waszym czarodziejem i odjadę. A teraz zaczekaj tutaj. Zresztą możesz iść ze mną i popatrzeć sobie, jeśli się nie boisz. Już nigdy więcej nie będziesz miał okazji zobaczyć wielkiego czarodzieja w całej jego potędze.

Czarnobrody odwrócił się i nie patrząc za siebie, ruszył w stronę góry, prosto do grotty.

Bardzo powoli Birt poszedł za nim. W sporej odległości od wejścia przystanął, usiadł pod krzakiem tarniny i patrzył. Przybysz z Archipelagu zatrzymał się – wyprostowana ciemna postać stała samotnie, bez ruchu, na tle zielonego wzniesienia przed ziejącym otworem groty. Nagle Czarnobrody podrzucił laskę wysoko nad głowę i kiedy oblała go szmaragdowa poświata, krzyknął:

– Złodzieju skarbu Pendoru, wychodź!

Rozległ się trzask, jakby ktoś upuścił gliniane naczynie, i z groty buchnął obłok kurzu. Birt, przestraszony, odskoczył. Kiedy znów spojrział w tamtą stronę, Czarnobrody w dalszym ciągu stał bez ruchu, a u wylotu groty, osypany kurzem i rozchełstany, ukazał się pan Podgórski. Wydawał się dziwnie mały i żalony ze stopami zwróconymi jak zwykle do środka, z pałkowatymi nogami obleczonymi w czarne rajtuzy i bez laski. Ale przecież on nigdy nie miał laski – pomyślał nagle Birt. Wreszcie pan Podgórski przemówił:

– Kim jesteś? – zapytał Czarnobrodego ochrypłym, cichym głosem.

– Jestem władcą Pendoru, złodzieju, i przyszedłem odzyskać mój skarb!

Na te słowa pan Podgórski powoli poczerwieniał jak zwykle, kiedy ludzie byli wobec niego nieuprzejmi. Ale nie tylko poczerwieniał. Zrobił się też żółty. Włos mu się zjeżył, wydał kaszlący ryk i w jednej chwili stał się płowym lwem, który łyskając białymi kłami, skoczył z góry na Czarnobrodego.

Ale Czarnobrodego już nie było. Zamiast niego bowiem szykował się właśnie do skoku na lwa ogromny tygrys koloru nocy i błyskawicy.

Lew znikł, a poniżej groty pojawiła się nagle wysoka kępa drzew, czarna w zimowym słońcu. Tygrys zatrzymał się w pół skoku; nim się zagłębił w cień drzew, strzelił w powietrzu płomieniem i jako ognisty jęzor spadł na suche gałęzie.

Ale tam, gdzie przed chwilą rosły drzewa, trysnął ze zbocza góry wodospad, który srebrzystym łukiem rwącej wody runął na ogień. Ogień jednak znikł...

W jednej chwili na oczach osłupiałego rybaka wypiętrzyły się dwie góry – zielona, którą znał, i nowy nagi brunatny szczyt, gotów wchłonąć masy wody. Wszystko to jednak znikło tak szybko, że Birt zamrugał tylko, a potem znów zamrugał i jęknął, bo to, co teraz zobaczył, było znacznie gorsze. Tam, gdzie dopiero co szalał wodospad, unosił się teraz smok. Ciemne skrzydła przesłoniły wzgórze, stalowe pazury sięgały po ofiarę, a z czarnej, pokrytej łuską paszczy buchał ogień na przemian z dymem.

Pod monstrualnym stworem stał Czarnobrody i śmiał się.

– Przyjmij postać, jaką ci się tylko podoba, maleńki panie Podgórski! – naigrawał się. – I tak stawię ci czoło. Ale przyznam, że już mi się nudzi ta zabawa. Chcę zobaczyć mój klejnot, mój Inalkil. Przyjmij więc, wielki smoku, mały czarodzieju, swoją prawdziwą postać. Zaklinam cię na twoje prawdziwe imię – Yevaud!

Birt nie był w stanie się poruszyć, nie drgnęła mu nawet powieka, kurczył się tylko w sobie, czekając, co się stanie. Widział smoka zawieszzonego w powietrzu nad Czarnobrodym. Widział języki ognia wydobywające się z pokrytego łuską pyska i parę buchającą z czerwonych nozdrzy. Widział, jak twarz Czarnobrodego blednie, robi się biała jak kreda, a okolone brodą usta zaczynają drżeć.

– Twoje imię brzmi Yevaud!

– Tak – odparł potężny, ochrypliwy, syczący głos. – Moje prawdziwe imię jest Yevaud, a to moja prawdziwa postać.

– Ale przecież smok został zabity. Na wyspie Undrath znaleziono jego kości...

– To był inny smok – odparł Yevaud i spadł na Czarnobrodego niby sokół z wysuniętymi szponami.

Birt zamknął oczy.

Kiedy je na powrót otworzył, niebo było czyste, a zbocze góry puste, poza wydeptanym czerwono-czarnym miejscem i śladami pazurów na trawie.

Rybak Birt zerwał się na równe nogi i rzucił do ucieczki. Biegł przez błonia, roztrącając owce na prawo i lewo, a potem przez miasteczko prosto do domu ojca Palani. Dziewczyna pielęła właśnie w ogrodzie nasturcje.

– Chodź ze mną! – rzucił bez tchu.

Palani spojrzała zdumiona. Birt chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Piszcziała trochę, ale się nie broniła. Dobiegli do przystani, gdzie Birt wepchnął ją do swojej łodzi rybackiej o nazwie „Królowa”, odwiązał cumę i zaczął wiosłować jak szalony. Mieszkańcom Sattins pozostał tylko w oczach żagiel oddalający się w kierunku zachodnim, w stronę najbliższej wyspy.

Wydawało się, że nigdy nie będzie mieć końca gadanie o tym, jak to siostrzeniec Goody Guld zupełnie stracił głowę i odpłynął z nauczycielką w siną dal tego samego dnia, kiedy to komiwojażer Czarnobrody zniknął bez śladu, pozostawiając wszystkie swoje piórka i paciorki. Ale gadanie się skończyło, i to trzy dni później. Nadarzył się bowiem inny temat: pan Podgórski wyszedł wreszcie ze swojej groty. Uznał, że skoro jego prawdziwe imię przestało być tajemnicą, może równie dobrze zrezygnować z przebrania. Poza tym cóż... chodzić jest znacznie trudniej, niż latać, a zresztą już bardzo, ale to bardzo dawno nie najadł się do syta.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

Królowa Zimy

Kiedy pisałam to opowiadanie na rok przed rozpoczęciem powieści *Lewa ręka ciemności*, nie wiedziałam, że mieszkańcy planety Zimy, czyli Gethen, są hermafrodytami. Zanim opowiadanie zostało wydrukowane, dowiedziałam się, ale było już za późno, żeby poprawić takie wyrażenia, jak „syn”, „matka” i tak dalej.

Lewa ręka ciemności zmartwiła lub rozgniewała niektóre feministki, ponieważ w stosunku do hermafrodytycznych istot użyłam tam form rodzaju męskiego. Przygotowując opowiadanie do nowego wydania, dostrzegłam szansę skorygowania owego uchybienia. W tej wersji używam rodzaju żeńskiego dla wszystkich Getheńczyków. Może to z kolei rozzłościć osoby niebędące feministkami, ale wymagała tego sprawiedliwość.

Hermafrodytyzm postaci ma niewielki wpływ na wydarzenia w tym opowiadaniu, ale zmiana rodzaju gramatycznego podkreśla, że zasadniczy, paradoksalny stosunek rodzica i dziecka nie jest – jak to się mogło wydawać w pierwszej wersji – jakimś odwróconym kompleksem Edypa, ale czymś mniej znajomym i bardziej wieloznacznym. Widocznie podświadomie od początku wiedziałam o Getheńczykach więcej. Moja podświadomość stale płata mi takie figle.

Kiedy w rzece czasu pojawiają się wiry i historia okręca się wokół jakiegoś zatopionego pnia, tak jak w niecodziennej kwestii następstwa tronu w Karhidzie, wówczas wielce pomocne są obrazy: zdjęcia, które można zestawiać, porównując rodzica z dzieckiem, starą królową z młodą, zdjęcia, które można przekładać i tasować, aż lata zaczną płynąć normalnie. Albowiem mimo wszystkich cudów błyskawicznej łączności międzygwiazdnej i podróży z prędkościami podświetlnymi czasu, jak zauważył ambasador Axt, nie można zawrócić, a śmierci nie można oszukać.

Zatem, chociaż najbardziej znane jest ciemne zdjęcie młodej królowej stojącej nad starą, która leży martwa w korytarzu oświetlonym tylko łuną płonącego miasta, odłóżmy je na chwilę. Spójrzmy najpierw na młodą królową, chlubę swego narodu, tak mądrą i szczęśliwą, jak to tylko możliwe w wieku dwudziestu dwóch lat. Kiedy jednak robiono to zdjęcie, młoda królowa znajdowała się w rozpaczliwej sytuacji. Była brudna, cała drżąca, a twarz miała nieprzytomną i wykrzywioną szaleństwem, ponieważ straciła owo minimum zaufania do świata, które nazywa się zdrowiem psychicznym. W myśli powtarzała w kółko, tak jak to robiła od wielu godzin czy może lat: „Włożę koronę. Włożę koronę. Włożę koronę”. Przed oczami miała czerwone ściany pałacu, wieże i ulice Erhenrangu w padającym śniegu, piękną równinę Niziny Zachodniej, białe szczyty Kargavu – i

wyrzekła się tego wszystkiego, całego swojego królestwa. „Włożę koronę” – powtórzyła w myśli, a potem krzyknęła na cały głos, kiedy postać w czerwono-białym stroju zbliżyła się, już nie po raz pierwszy, ze słowami:

– Najjaśniejsza pani! W Szkole Rzemiosł odkryto spisek na twoje życie.

Odezwało się ciche brzęczenie. Królowa osłoniła głowę ramionami i szepnęła:

– Wyłączcie to, błagam, wyłączcie.

Ale brzęczenie stawało się coraz wyższe, głośniejsze, bliższe i bardziej bezlitosne, aż stało się tak przenikliwe, że wdarło się w jej ciało, wyrывая nerwy z ich kanałów i zmuszając kości, żeby tańczyły i dzwoniły w jego rytm. Królowa cała podrygiwała i dygotała, nagi szkielet zawieszony na cienkich białych nitkach, płakała suchymi łzami i krzyczała:

– Macie ich... Macie ich... Oni muszą... Straceni... Zatrzymani... Zatrzymać!

Cisza.

Osunęła się na podłogę – szczękająca zębami, dygocąca kupka nieszczęścia. Na jaką podłogę? Nie były to ani czerwone kafle, ani parkiet, ani zalany uryną cement, tylko drewniana podłoga pokoju w wieży, małej sypialni, gdzie była bezpieczna, gdzie mogła się nie bać swojej groźnej rodzicielki, zimnej, szalonej, nieczułej królowej, gdzie mogła bawić się w kocią kołyskę z Piry lub siedzieć przy kominku na ciepłych kolanach Borhub, przytulnych i rozległych jak sen. Teraz jednak nie było schronienia, nie było bezpieczeństwa i snu. Ktoś ubrany na czarno przyszedł nawet tutaj, podtrzymywał jej głowę, unosił na cienkich, białych nitkach powieki, które chciała zamknąć.

– Kto ja jestem?

Spoglądała na nią pusta, czarna maska. Młoda królowa, łkając, walczyła z sobą, gdyż wiedziała, że wkrótce znowu zacznie się dusić: nie będzie mogła złapać tchu, póki nie wymówi imienia, właściwego imienia.

– Gerer!

Mogła oddychać. Wolno jej było oddychać. Zdążyła rozpoznać czarną postać.

– Kto ja jestem? – odezwał się inny łagodny głos i młoda królowa poddała się natychmiast tej silnej osobowości, która zawsze przynosiła jej sen, spokój, pocieszenie.

– Rebade – szepnęła. – Powiedz mi, co mam robić...

– Zaśnij.

Posłuchała. Zapadła w głęboki sen, bez widziadeł, bo prawdziwy. Teraz zwidy przychodziły na jawie. Nierzeczywisty, przerażająco suchy czerwony blask zachodu palił jej otwarte oczy i znów stała na zamkowym balkonie, patrząc w dół na pięćdziesiąt tysięcy czarnych dziur, które się otwierały i zamykały. Z dziur wyrывały się rytmiczne erupcje dźwięku, przenikliwe, rytmiczne czkanie. To było jej imię. Wbijano jej w uszy własne imię jak obelgę, jak szyderstwo. Uderzyła dłońmi o wąską mosiężną poręcz i krzyknęła do nich:

– Ja was uciszę!

Ale nie dosłyszała własnego głosu. Słyszała tylko ich, wstrętne ryki tłumu, który z nienawiścią wykrzykiwał jej imię.

– Chodźmy stąd, najjaśniejsza pani – odezwał się głos i Rebade odciągnęła ją z balkonu w głąb obszernego, czerwonościennego zacisza sali posłuchań. Wrzask ucichł jak nożem uciał. Oblicze Rebade wyrażało jak zawsze opanowanie i zrozumienie.

– Co teraz zrobisz, pani? – spytała łagodnie.

– Ja... włożę koronę...

– Nie – przerwała jej Rebade spokojnie. – To nie jest właściwy krok. Co zrobisz?

Młoda królowa milczała. Przebiegały ją dreszcze. Rebade pomogła jej usiąść na żelaznej ławie, gdyż ściany pociemniały i zbiegły się, zamykając ją w ciasnej celi, jak się to już nieraz zdarzało.

– Wezwiesz...

– Wezwę straż królewską. Każę im strzelać do tłumu. Trzeba tym ludziom dać nauczkę

– powiedziała młoda królowa szybko i dobitnie, głosem donośnym i wysokim.

– Bardzo dobrze, najjaśniejsza pani, mądra decyzja! Słusznie. Wszystko skończy się dobrze. Najjaśniejsza pani dobrze robi. Proszę mieć do mnie zaufanie.

– Ufam ci. Zabierz mnie już stąd – szepnęła młoda królowa, chwytając Rebade za ramię, lecz jej przyjaciółka zmarszczyła czoło.

Widocznie to nie było słuszne. Znów wypędziła Rebade, a wraz z nią nadzieję. Rebade odchodziła z żalem, ale spokojna, nie bacząc na to, że młoda królowa błaga ją, żeby została, żeby wróciła, bo cichy dźwięk odezwał się znów: szarpiące mózg zawodzące brzęczenie. I już postać w czerwieni i bieli zbliżała się po czerwonej bezkresnej posadzce.

– Najjaśniejsza pani! W Szkole Rzemiosł odkryto spisek na twoje życie...

Wzdłuż ulicy Staroportowej aż do samej wody latarnie płonęły grobowym blaskiem. Strażnik Pepenerer podczas swego obchodu, nie spodziewając się nic zobaczyć, spojrzała wzdłuż skośnego snopu światła i ujrzała, że coś zatacza się w jej kierunku. Pepenerer nie wierzyła w wodnice, ale teraz jednak widziała przed sobą wodnicę pokrytą morskim szlamem, chwiejącą się na pletwiastych stopach, kurczowo wciągającą suche powietrze, skomlącą... Po chwili marynarskie bajdy wywietrzały jej z głowy i zobaczyła pijaczkę, wariatkę albo ofiarę napadu, zataczającą się między wilgotnymi, szarymi murami magazynów.

– Hej tam! Stać! – krzyknęła już w biegu.

Półnaga pijaczka o dzikim spojrzeniu wydała okrzyk strachu i rzuciła się do ucieczki, ale poślizgnęła się na oszronionych kamieniach i runęła jak długa. Pepenerer wyciągnęła broń i użyła półsekundowego ładunku obezwładniającego, żeby pijaczkę nieco uspokoić. Potem kucnęła przy niej i przez radio wezwała wóz.

Obie ręce, rozrzucone bezwładnie i pokornie na zimnym bruku, były upstrzone śladami po zastrzykach. A więc nie pijaczka, lecz narkomanka. Pepenerer pociągnęła nosem, ale nie poczuła żywicznego zapachu orgrewy. Ofiara została znarkotyzowana, zatem rabusie lub rytualna zemsta rodowa. Rabusie jednak nie pozostawiliby złotego pierścienia na ręce, ciężkiego, misternego klejnotu przykrywającego prawie cały człon palca. Pepenerer pochyliła się, żeby lepiej się przyjrzeć. Potem spojrzała na zmaltretowaną, nieprzytomną twarz, odcinającą się profilem od bruku w świetle latarni. Wyjęła nową ćwierćkoronówkę z sakiewki i porównała profil. Wreszcie, słysząc pomruk elektrycznego wozu skręcającego z Długiej w Staroportową, schowała monetę i mruknęła pod nosem:

– Przeklęta wariatka.

Królowa Argaven była wówczas, jak się okazało, w górach na polowaniu, gdzie spędziła dwa tygodnie; tę informację podawały wszystkie biuletyny.

– Widzisz – powiedziała doktor Hoge – możemy być prawie pewni, że dokonano zabiegu na jej umyśle, ale to nam nic nie daje. Mamy zbyt wiele wytrawnych inżynierów dusz w Karhidzie i w Orgoreynie także. Nie jakichś tam przestępczyni, do których policja mogłaby trafić, ale szacownych mentalistek i lekarek, które mają legalny dostęp do wszystkich leków. Jeżeli zaś chodzi o wyciągnięcie czegoś od niej, to każdy fachowiec potrafi zablokować racjonalny dostęp do wszystkiego, co zrobił. Ślady zostaną zatarte, sygnały wywoławcze głęboko ukryte i po prostu nie będziemy wiedziały, o co ją pytać. Nie ma sposobu, żeby nie niszcząc jej mózgu, przebadać wszystkie jego zakamarki: nawet w hipnozie lub pod działaniem narkotyków nie można odróżnić wszczepionych myśli i uczuć od jej własnych. Może nieziemcy potrafiliby tu coś zdziałać, chociaż wątpię, czy ich mentaliści naprawdę robią te wszystkie cuda, które im się przypisuje. Zresztą to i tak nierealne. Możemy mieć nadzieję tylko na jedno.

– Na co? – spytała pani Gerer flegmatycznie.

– Królowa jest inteligentna i zdecydowana. Na początku, póki jej nie złamali, mogła się zorientować, co z nią robią, i stworzyć sobie jakąś blokadę czy obronę, zabezpieczyć drogę odwrotu...

Głos Hoge brzmiał coraz mniej pewnie, aż wreszcie zawisł w ciszy wysokiej, czerwonej, mrocznej komnaty. Nie doczekała się odpowiedzi od starej Gerer, która stała, cała w czerni, przed ogniem.

Temperatura tego pokoju w królewskim pałacu w Erhenrangu wynosiła dwanaście stopni tam, gdzie stała pani Gerer, i pięć stopni w połowie drogi między dwoma wielkimi kominkami. Na dworze lekko prószył śnieg, był prawdziwie wiosenny dzień, zaledwie kilka stopni poniżej zera. Ognie w obu krańcach komnaty huczały czerwienią i złotem, pożerając kłody grubości uda. Wspaniałość, zgrzebny luksus, krótkotrwały splendor. Kominki, fajerwerki, błyskawice, meteory, wulkany – takie rzeczy cieszyły mieszkańców Karhidu na planecie zwanej Zimą. Mimo to nigdy i nigdzie poza arktycznymi koloniami powyżej trzydziestego piątego równoleżnika nie założyli centralnego ogrzewania w żadnym budynku przez wszystkie stulecia swojego wieku techniki. Na komfort pozwalali sobie z rzadka. Było to coś pożądanego, ale niespecjalnie oczekiwanego; jak dar, jak radość.

Osobista służebna królowej, siedząca przy jej łożu, odwróciła się do lekarki i kanclerki i chociaż nie powiedziała ani słowa, obie natychmiast podeszły. Na szerokim twardym łożu ze złożonymi kolumnami, obwieszonymi czerwienią zdobionych zasłon i kap, ciało królowej spoczywało prawie na poziomie oczu. Gerer pomyślała o figurze na dziobie okrętu. Przez nieruchome, rozległe wody ciemności młoda królowa płynie w mrok, w strach, w lata. Po chwili stara kanclerka przestraszyła się, spostrzegłszy, że Argaven ma oczy otwarte i wpatruje się przez na wpół zasłonięte okna w gwiazdy.

Gerer lękała się szaleństwa, zidiocenia, sama nie wiedziała czego. Hoge ją ostrzegła: „Królowa nie będzie zachowywać się normalnie, pani Gerer. Przeżyła trzynaście dni udreki, zastraszania, cierpienie fizycznych i manipulacji psychicznych. Może mieć uszkodzenie mózgu, na pewno też wystąpią uboczne i długotrwałe skutki zażywania narkotyków”. Ale ani obawy, ani ostrzeżenia nie uchroniły Gerer przed szokiem, kiedy

jasne, udręczone oczy Argaven zwróciły się ku niej i zatrzymały obojętnie na moment, a potem ją dostrzegły. I Gerer, chociaż nie mogła ujrzeć odbicia czarnej maski, zobaczyła nienawiść, przerażenie, zobaczyła swoją młodą, bezgranicznie ukochaną królową, dławiącą się w szaleńczym strachu, szamoczącą się ze sługą, z Hoge i z własnym osłabieniem, żeby uciec stąd, uciec przed Gerer.

Stojąc w zimnym środku komnaty, gdzie podobny do dziobu okrętu szczyt łóżka zasłaniał ją przed królową, Gerer usłyszała, jak uspokajają Argaven, układają z powrotem. Jej głos był słaby, dziecinny, proszący. Stara królowa Emran w ostatnim przystępie szaleństwa też mówiła jak dziecko. Wreszcie cisza i tylko huczenie dwóch wielkich kominków.

Korgry (osobista obsługa królowej) ziewnęła i przetarła oczy. Hoge wciągnęła coś z ampułki do strzykawki. Gerer stała zrozpaczona. Moje dziecko, moja królowo, co z tobą zrobili? Tak wielkie nadzieje, tyle zaufania, wszystko stracone, stracone... I ona, która wyglądała jak na wpół obrobiona bryła czarnej skały, twarda, bezwzględna, szczywana wyga dworska, rozpaczała teraz i serce w niej pękało, gdyż miłość do młodej królowej i możliwość służenia jej były dla niej wszystkim na świecie.

– Moje dziecko... – powiedziała Argaven.

Gerer drgnęła, słysząc słowa jakby wyrwane z jej umysłu, lecz Hoge, niespętana uczuciem, zrozumiała i odpowiedziała półgłosem:

– Księżniczka Emran ma się dobrze, najjaśniejsza pani. Jest wraz ze swymi ludźmi w zamku Warrever. Utrzymujemy z nią stały kontakt. Wszystko u niej w porządku.

Gerer usłyszała spazmatyczny oddech królowej i podeszła nieco bliżej, choć nadal pozostawała zasłonięta wysokim wezglowiem.

– Czy byłam chora?

– Nadal nie jesteś zdrowa, o pani – odpowiedziała lekarka spokojnie.

– Gdzie...

– W swojej komnacie, w pałacu, w Erhenrangu.

Gerer zbliżyła się o krok i wciąż niewidoczna dla królowej powiedziała:

– Nie wiemy, gdzie byłaś, pani.

Gładkie oblicze Hoge skrzywił grymas niezadowolenia, ale chociaż jako lekarka miała władzę nad nimi wszystkimi, nie ośmieliła się skierować tego grymasu pod adresem kanclerki. Głos Gerer nie zdenerwował królowej, która zadała znów kilka pytań, logicznych i krótkich, a potem leżała spokojnie. Upłynęła jeszcze chwila i Korgry, czuwająca przy królowej od czasu, kiedy przyniesiono ją do pałacu (poprzedniej nocy, potajemnie, bocznym wejściem, jak haniebną samobójczynię za poprzedniego panowania, tylko wszystko na odwrót), dopuściła się obrazy majestatu: skulona na wysokim zydlu opuściła głowę na skraj łoża i zasnęła.

Zmiana warty przy drzwiach odbywała się szeptem. Przybywali urzędnicy i szeptem otrzymywali najświeższe komunikaty o stanie zdrowia królowej: zmożona atakiem febry na polowaniu w górach Kargavu królowa została przywieziona do Erhenrangu i stan jej zdrowia się poprawia. Nadworna lekarka Hoge rem ir Hogeremme oświadczyła, co następuje, i tak dalej, i tak dalej. „Niech koło obróci się szczęśliwie dla naszej królowej” – mówili z przejęciem ludzie w wiejskich domach, rozpalając święty ogień, na co starsi, siedzący wokół ogniska, dorzucali: „Wszystko z tych jej nocnych wędrówek po mieście, wspinania się na góry i innych szalonych pomysłów” – ale radia trzymali włączone, żeby

złapać następny komunikat. Gromady ludzi zbierały się na placu przed pałacem, kręcąc się bez celu, wymieniając uwagi, obserwując wchodzących i wychodzących, spoglądając na pusty balkon. Wciąż jeszcze było ich kilka setek, stojących cierpliwie na śniegu. Argaven XVII cieszyła się miłością swoich poddanych. Po tępym okrucieństwie rządów królowej Emran, zakończonych w mroku szaleństwa i bankructwa kraju, przyszła kolej na nią: nad podziw młodą, reprezentacyjną, reformującą wszystko, rozsądną i bystrą, ale i wspaniałomyślną. Miała w sobie ogień, gest, które podobały się ludziom. Była siłą napędową i ośrodkiem nowego wieku: nareszcie właściwa królowa we właściwym państwie.

– Gerer.

Był to głos królowej i Gerer pospieszyła sztywnym krokiem przez ciepło i chłód komnaty, przez jasność i cień.

Argaven siedziała. Ramiona jej drżały i oddech wiązał w gardle, oczy płonęły w mroku. Przy jej lewej ręce, tej z sygnetem dynastii Harge, spoczywała twarz śpiącej sługi, rozpogodzona, beztroska.

– Gerer – powtórzyła królowa wyraźnie, choć z wysiłkiem – zwołaj Radę. Powiedz im, że włożę koronę.

Tak zwyczajnie, tak po prostu. A więc wszelkie narkotyki, zastraszenie, hipnoza, parahipnoza, stymulacja neurogenowa, kojarzenie synaptyczne, opisane przez Hoge, wszystko po to, żeby uzyskać tak prostacki efekt? Ale nie pora na rozważania, trzeba zyskać na czasie.

– Pani, kiedy wrócisz do zdrowia...

– Zwołaj Radę natychmiast, Gerer!

I załamała się jak pęknięty łuk, bełkotała coś w przypiływie gniewu i strachu, który nie znajdował uzasadnienia ani siły, żeby przyoblec się w ciało. Wierna sługa spała przy niej głucha na wszystko.

Na następnym zdjęciu rzeczy mają się jakby lepiej: widzimy królową Argaven XVII w dobrym zdrowiu i w pięknych szatach, jak kończy obfite śniadanie. Rozmawia z najbliższą dziesiątką spośród czterdziestu czy pięćdziesięciu osób uczestniczących – w różnym charakterze – w posiłku (monarchowie często bywają samotni, ale rzadko sami), a całe otoczenie obejmuje swoją łaskawością. Wygląda, to wszyscy stwierdzają, zupełnie jak dawniej. Ale chyba nie jest całkiem taka sama; czegoś jej brakuje – młodzieńczej pogody, pewności siebie, które zastąpiła podobna, lecz mniej przekonująca cecha, jakby pewne oddalenie. Królowa zdradza na nim inteligencję i ciepło, ale zawsze wraca do tego mroku, który ją wciąż i czyni obojętną: strach, ból, determinacja?

Pan mobil Axt, ambasador pełnomocny Ekumeny Znanych Światów na planecie Zima, który spędził sześć dni w drodze, usiłując swoim elektrowozem przekraczać szybkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę na trasie z Mishnory w Orgoreynie do Erhenrangu w Karhidzie, przespał śniadanie i przybył do sali posłuchań wprawdzie na czas, ale o pustym żołądku. Stara przewodnicząca Rady, krewna królowej, Gerer rem ir Verhen, przyjęła niezemca u wejścia do wielkiej sali i przywitała go zawiłą formułą grzecznościową Karhidu. Ambasador odpowiedział najlepiej jak umiał, wyczuwając w elokwencji Gerer pragnienie przekazania jakichś informacji.

– Słyszałem, że królowa całkowicie wyzdrowiała – oświadczył – i mam szczerą nadzieję, że to prawda.

– To nie jest prawda – zaprzeczyła stara kanclerka głosem nagle głuchym i bezbarwnym. – Panie Axt, mówię to, ufając pańskiej dyskrecji. Prawdę zna mniej niż dziesięć osób w całym Karhidzie. Królowa nie wyzdrowiała. Królowa nie była chora.

Axt skinął głową. Oczywiście dotarły do niego plotki.

– Czasami wychodzi samotnie na miasto, nocą, w zwykłej odzieży, spaceruje, rozmawia z ludźmi. Stresy królowania... Ona jest bardzo młoda. – Gerer umilkła na chwilę, walcząc z emocjami. – Pewnej nocy, sześć tygodni temu, nie wróciła. Wiadomość o tym przyniesiono mnie i drugiej członkini Rady o świcie. Wiedziałyśmy, że jeżeli ogłosimy zniknięcie królowej, zginie, lecz jeżeli odczekamy pół miesiąca w milczeniu, wróci cała i zdrowa. Milczałyśmy, okłamywałyśmy Radę, wysyłałyśmy fałszywe komunikaty. Trzynastej nocy znaleziono ją błakającą się po mieście. Była narkotyzowana i przeszła pranie mózgu. Ciągłe nie wiemy, kto to zrobił. Musimy działać w największej tajemnicy. Nie możemy podważyć zaufania ludu do niej i jej wiary w siebie. Sprawa jest trudna: ona nic nie pamięta. Ale co z nią zrobiono, wiemy. Złamano jej wolę i skierowano jej umysł na jeden tor. Jest przekonana, że musi włożyć koronę.

Głos Gerer pozostawał cichy i bezbarwny, ale jej oczy zdradzały udrękę. Odwróciwszy się nagle, ambasador ujrzał odbicie tej udręki w oczach młodej królowej.

– Opóźniasz audiencję, kuzynko?

Królowa uśmiechnęła się, ale był w tym uśmiechu sztylet. Stara kanclerka spokojnie przeprosiła, skłoniła się i odeszła, cierpliwa, niezgrabna postać niknąca w perspektywie długiego korytarza. Argaven wyciągnęła do ambasadora obie ręce w powitaniu równych sobie, gdyż w Karhidzie Ekumena uznawana była za siostrzane królestwo, choć nikt jej nie oglądał na oczy. Ale jej słowa nie zapowiadały uprzejmej rozmowy, jakiej Axt oczekiwał. Powiedziała jedynie gniewnie:

– Nareszcie!

– Wyruszyłem natychmiast, gdy tylko otrzymałem wiadomość. Drogi we wschodnim Orgoreynie i na Nizinie Zachodniej są jeszcze pokryte lodem i nie mogłem jechać szybciej. Ale przybywam z wielką przyjemnością. Z przyjemnością też wyjechałem. – Axt uśmiechnął się przy tych słowach, gdyż i on, i młoda królowa czerpali radość ze wzajemnej szczerości. Czekał, żeby się dowiedzieć, co się kryje za zaproszeniem Argaven, obserwując nie bez pewnego rozbawienia jej ruchliwą, piękną, hermafrodytyczną twarz.

– „W Orgoreynie lęgną się fanatycy, tak jak w trupie lęgną się robaki”, mawiała jedna z moich przodkiń. Cieszę się, że powietrze Karhidu jest panu milsze. Proszę tędy. Gerer powiedziała panu, że zostałam porwana i tak dalej? Tak. Wszystko odbyło się zgodnie ze starymi regułami. Porwania to u nas tradycja o ustalonych zasadach. Gdyby zrobiła to jedna z grup ksenofobów, którzy myślą, że wasza Ekumena zamierza ujarzmić Zimę, to mogliby zlekceważyć zasady. Myślę raczej, że był to jeden ze starych klanów, usiłujących za moim pośrednictwem odzyskać władzę, jaką mieli za poprzedniego panowania. Ale jeszcze nie jesteśmy pewni. To dziwne wiedzieć, że się ich widziało twarzą w twarz, i nie móc ich rozpoznać. Kto wie, może widuję ich codziennie? Ale z takiego myślenia nie ma żadnego pożytku. Zatarli wszystkie ślady. Jestem pewna tylko jednego: to nie oni kazali mi włożyć koronę.

Królowa i ambasador szli obok siebie długą, niezwykle wysoką komnatą ku podwyższeniu i krzesłom na jej końcu. Okna były tylko wąskimi szczelinami, jak zwykle na tej zimnej planecie; złotawe pasy słonecznego światła padały z nich ukośnie na

czerwoną posadzkę, cień i błysk w oczach Axta. Podniósł wzrok na twarz młodej królowej w tym ponurym, zmiennym oświetleniu.

– A więc kto? – spytał.

– Ja.

– Kiedy, pani, i dlaczego?

– Kiedy mnie mieli w ręku, kiedy mnie przerabiali tak, żebym tańczyła, jak mi zagrają. A dlaczego? Żeby nie móc tańczyć tak, jak mi zagrają! Proszę pomyśleć, panie Axt, gdyby chcieli się mnie pozbyć, zabiliby mnie. Oni chcieli, żebym żyła, rządziła, była królową. Jako królowa miałam wypełniać rozkazy wyciśnięte w moim mózgu, realizować ich zamierzenia. Jestem ich narzędziem, ich maszyną, która czeka, aż ktoś ją włączy. Jedyne sposoby, żeby temu zapobiec, to... wyrzucić maszynę.

Axt zrozumiał natychmiast. Była to podstawowa cecha wysłannika Ekumeny; poza tym znał dobrze zwyczaje i sprawy Karhidu, napięcia i walki wewnętrzne tego królestwa, w którym zawsze coś się działo. Mimo wielkiej odległości dzielącej Zimę od reszty ludzkości zarówno fizycznie, jak i fizjologicznie, jej największy naród, Karhidyjczycy, pozostawał lojalnym członkiem Ekumeny. Raporty Axta omawiano w centrali Ekumeny, oddalonej o osiemdziesiąt lat świetlnych; równowaga całości zależy od wszystkich części.

– Ale jeżeli ustąpisz, pani, oni nie będą nawet musieli włączać maszyny – powiedział Axt, kiedy zasiedli w wielkich twardych krzesłach na podwyższeniu przed ogniem.

– Jeżeli oddam władzę swojemu dziecku i wybranemu przez siebie regentowi?

– A może – zauważył Axt ostrożnie – to oni wybrali regenta za ciebie, pani?

Królowa zmarszczyła czoło.

– Myślę, że nie – powiedziała.

– O kim myślałaś, pani?

Zapanowało dłuższe milczenie. Axt widział, jak napinają się mięśnie szyi Argaven, która stara się wydobyć z siebie słowo, imię, pokonując blokadę, ostry skurcz. Wreszcie zduszonym szeptem wyrzuciła:

– Gerer.

Axt skinął głową zaskoczony. Gerer była regentką przez rok między śmiercią Emran a wstąpieniem na tron Argaven. Ambasador znał jej uczciwość i najwyższe oddanie młodej królowej.

– Gerer nie jest związana z żadną frakcją – powiedział.

Argaven pokręciła głową. Robiła wrażenie wyczerpanej. Po chwili spytała:

– Czy wiedza waszych uczonych mogłaby przekreślić to, co tamci ze mną zrobili?

– Bardzo możliwe. W instytucie na planecie Ollul. Ale gdybym jeszcze dziś wieczorem posłał po specjalistę, przybyłby on tutaj za dwadzieścia cztery lata... Jesteś więc pewna, że twoja decyzja o abdykacji...

Ale służąca, która weszła bocznymi drzwiami, umieściła właśnie przy krześle ambasadora mały stolik, zastawiając go jarzynami, owocami i srebrnymi pucharami z piwem. Argaven zorientowała się, że jej gość nie zdążył zjeść śniadania. Chociaż pożywienie na Zimie, przeważnie jarzyny, i to na ogół surowe, wydawało się Axtowi pozbawione smaku, tym razem zabrał się do jedzenia z wdzięcznością. A ponieważ poważna rozmowa nie przystoi przy posiłku, Argaven zmieniła temat:

– Kiedyś powiedział pan, że chociaż pan i ja różnimy się i chociaż nasze ludy różnią się od siebie, to jednak jesteśmy związani więzami krwi. Czy chodziło panu o fakt moralny,

czy fizyczny?

Axt uśmiechnął się, słysząc to bardzo karhidyjskie rozróżnienie.

– I jedno, i drugie, pani. Z tego, co wiemy, a znamy tylko zakurzony kąć na strychu wszechświata, wszystkie napotkane dotychczas cywilizacje są ludzkie. Ale pokrewieństwo sięga milionów lat wstecz, do prehistorii Hain, kiedy to starożytni Hainowie zasiedlili setki światów.

– My nazywamy starożytnymi czasy przed rządami mojej dynastii. Siedemset lat temu!

– My też nazywamy czasy okupacji starożytnością, a było to niecałe sześćset lat temu.

Czas rozciąga się i kurczy, zmienia w zależności od obserwatora, od wieku, od gwiazdy. Jednego tylko nie może: zawrócić biegu... ani się powtórzyć.

– Dążeniem Ekumeny jest zatem przywrócenie tej prawdziwie starożytnej jedności, powtórne zebranie wszystkich ludów ze wszystkich światów przy jednym ogniu?

Axt skinął głową, żując chlebowe jabłko.

– A przynajmniej ustalenie między nimi pewnej harmonii. Życie lubi poznawać siebie aż do najdalszych swoich granic, a uświadomienie sobie własnej różnorodności jest jego największą przyjemnością. Piękne w nas jest to, co nas różni od innych. Dopiero wszystkie światy z ich różnymi formami, sposobami myślenia i życia utworzyłyby wspaniałą harmonijną całość.

– Żadna harmonia nie trwa długo – zauważyła młoda królowa.

– Nigdy dotychczas jej nie osiągnięto – odparł ambasador. – Cała przyjemność polega na tym, żeby próbować. – Opróżnił swój puchar i wytarł palce w plecioną serwetkę.

– Była to i moja przyjemność jako królowej. Teraz już nie.

– Czy...

– To już skończone. Proszę mi wierzyć. Będę tu pana trzymać, dopóki mi pan nie uwierzy. Potrzebna mi jest pańska pomoc. Pan jest figurą, o której tamci gracze zapomnieli! Musi mi pan pomóc. Nie mogę złożyć korony wbrew woli Rady. Ona jednak nie zgodzi się na abdykację, zmusi mnie do panowania, a tym samym do służenia moim wrogom! Jeżeli pan mi nie pomoże, pozostanie mi tylko śmierć.

Mówiła spokojnie i logicznie, ale Axt wiedział, ile kosztuje Karhidyjczyka samo wspomnienie o samobójstwie, czynie otaczanym największą pogardą.

– Trzeciego wyjścia nie ma – zakończyła młoda królowa.

Ambasador szczerzej otulił się grubym płaszczem. Było mu zimno. Było mu zimno, odkąd tu przybył przed siedmioma laty.

– Pani – powiedział. – Jestem obcy na waszej planecie, rozporządzam garstką współpracowników i niewielkim urządzeniem, które pozwala mi porozumiewać się z innymi nieziemcami w odległych światach. Reprezentuję wielką siłę, ale sam nie mam żadnej. Jak mogę ci pomóc, pani?

– Ma pan statek na wyspie Horden.

– Tak, obawiałem się tego – rzekł ambasador z westchnieniem. – Ten statek może dotrzeć do planety Ollul odległej o dwadzieścia cztery lata świetlne. Czy wiesz, pani, co to oznacza?

– Ucieczkę z mojego czasu, w którym stałam się tylko narzędziem zła.

– Nie ma ucieczki – powiedział Axt z nagłą pasją. – Nie, pani. Wybacz, ale to niemożliwe. Nie mógłbym się zgodzić...

Lodowaty wiosenny deszcz bił o kamienne ściany wieży, wiatr zawodził w załomach dachu. Pokój był cichy i mroczny. Jedno małe osłonięte światło płonęło przy drzwiach. Niańka spała, pochrapując cicho w swoim łóżku, dziecko leżało w kołysce buzią w dół, pupką do góry. Argaven zatrzymała się przy kołysce. Rozejrzała się po pokoju, właściwie zobaczyła go, poznała bez patrzenia. Ona też tu sypiała jako dziecko. Tu było jej pierwsze królestwo. Tutaj też wykarmiła swoje dziecko, swoją pierworodną. Siedziała przy ogniu, podczas gdy małe wargi skubały jej pierś. Nuciła maleństwu kołysanki, którymi kiedyś Borhub ją usypiała. Tu było centrum, ośrodek wszystkiego.

Bardzo ostrożnie i łagodnie wsunęła dłoń pod ciepłą, wilgotną, pokrytą puchem główkę dziecka i włożyła mu łańcuch, na którym wisiał ciężki pierścień z wyrytym herbem panów na Harge. Łańcuch był zdecydowanie za długi i Argaven skróciła go węzłem, w obawie, że dziecko może się weń zaplątać i udusić. Uwalniając się od tego lęku, usiłowała usmierzyć wypełniające ją większy lęk i przygnębienie. Schyliła się, aż policzkiem dotknęła policzka dziecka, i szepnęła bezgłośnie:

– Emran, muszę cię opuścić, nie mogę cię zabrać z sobą. Musisz za mnie panować. Bądź dobra, Emran, żyj długo, rządź mądrze, bądź dobra, Emran...

Argaven wyprostowała się, odwróciła, wybiegła z komnaty w wieży, ze straconego królestwa.

Znała wiele sposobów na wydostanie się z pałacu tak, żeby nikt jej nie zauważył. Wybrała najpewniejszy i skierowała się przez jasno oświetlone, smagane mokrym śniegiem ulice do nowego portu zupełnie sama.

Tutaj zdjęcia nie ma: nie widać jej. Jakie oko może obserwować proces o jedną stumilionową procent wolniejszy od prędkości światła? Argaven nie jest teraz królową, nie jest nawet człowiekiem; jest przekazywana. Trudno bowiem nazwać bratnią istotą kogoś, dla kogo czas płynie siedemdziesiąt tysięcy razy wolniej niż dla nas. Jest bardziej niż samotna. Mogłoby się wydawać, że jej w ogóle nie ma, że istnieje w nie większym stopniu niż nieprzekazana myśl; że zmierza, tak jak myśl, donikąd. Ale ona podróżuje, podróżuje z prędkością prawie równą światłu. Ona sama jest podróżą. Szybka jak myśl. Jej wiek się podwoi, kiedy przybędzie o niecały dzień starsza do zakątka przestrzeni zwiniętej wokół drobiny zwanej Ollul, czwartej planety żółtawego słońca. I wszystko to w całkowitej ciszy.

Teraz z hukiem, z ogniem, wśród meteorycznych błysków, które zadowolilyby zamiłowanie Karhidyjczyków do wspaniałości, przemyślny statek schodził do lądowania, żeby usiąść w kłębach ognia dokładnie w tym samym miejscu, z którego wystartował przed pięćdziesięciu pięciu laty. Po chwili wystawiona na spojrzenia, niepokazna, niepewna młoda królowa zejdzie z pokładu i stanie na chwilę na pochylni, osłaniając oczy przed blaskiem obcego gorącego słońca.

Axt oczywiście uprzedził o jej przybyciu za pomocą ansibla dwadzieścia cztery lata albo siedemnaście godzin wcześniej, zależnie od tego, jak na to patrzeć, więc przedstawiciele Ekumeny byli na miejscu, żeby ją powitać. Ci gracze nie przeocząli w swojej wielkiej grze nawet pionków, a ten Getheńczyk był przecież królem. Wyznaczony urzędnik przez jeden

rok z tych dwudziestu czterech uczył się karhidyjskiego, żeby Argaven miała z kim rozmawiać.

– Jakie są wieści z mojego kraju? – spytała od razu na wstępie.

– Pan mobil Axt i jego następcy systematycznie nadsyłali sprawozdania oraz różne osobiste komunikaty dla pana. Wszystkie materiały znajdzie pan w swojej kwaterze, panie Harge. W wielkim skrócie, regencja Gerer upłynęła spokojnie. W pierwszych dwóch latach panował zastój gospodarczy, w czasie którego wyludniły się osiedla arktyczne, ale obecnie gospodarka jest ustabilizowana. Pański potomek objął tron w wieku lat osiemnastu i panuje od siedmiu lat.

– Rozumiem – odpowiedział ktoś, kto zeszłej nocy całował tego rocznego potomka.

– Kiedy tylko uzna pan za stosowne, panie Harge, specjaliści z naszego instytutu w Belxit...

– Jak panowie uważacie – odparł pan Harge.

Wkroczyli do jej umysłu niezwykle łagodnie, bardzo precyzyjnie otwierając drzwi. Do drzwi zamkniętych posiadali subtelne instrumenty, które zawsze znajdowały właściwą kombinację; wówczas usuwali się i puszczali ją przodem. Znaleźli osobę w czerni, i nie była to Gerer, oraz dobrą Rebade, która nie była dobra; stali z nią na pałacowym balkonie i wspinali się po urwiskach koszmaru do jej pokoju w wieży. Wreszcie ta, która miała być pierwsza, postać w czerwieni i bieli, zbliżyła się do niej ze słowami: „Najjaśniejsza pani! Spisek na twoje życie...” – i pan Harge ocknął się z okrzykiem straszliwego przerażenia.

– Tak, to był zapalnik. Sygnał uruchamiający dalsze instrukcje i określający przebieg choroby: wszczepionej paranoi. Bardzo piękna robota, trzeba przyznać. Proszę, niech pan to wypije, panie Harge. Nie, nie, to tylko woda. Mógłby pan zostać wyjątkowo złośliwym władcą, coraz bardziej ulegającym obsesji zamachów i spisków, coraz bardziej odrywającym się od swego narodu. Nie z dnia na dzień, oczywiście. Na tym polega właśnie całe piękno. Dopiero po kilku latach stałby się pan prawdziwym tyranem, choć niewątpliwie przewidziano jakieś wzmocnienia bodźca po drodze z chwilą, gdy stwierdzono by, że Rebade zdobyła... zdobyła niespostrzeżenie pańskie zaufanie... Tak, teraz widzę, dlaczego Karhid ma tak dobrą opinię w Centrum Wymiany. Przepraszam za obiektywizm, ale podobna cierpliwość i umiejętności to prawdziwa rzadkość... – ciągnął monolog lekarz, naprawiacz umysłów, owłosiony, szarawy, jednopłciowy osobnik ze świata zwanego Cetia, dając w ten sposób pacjentowi czas na odzyskanie równowagi.

– Zatem postąpiłam słusznie – przemówił na koniec pan Harge.

– Tak jest. Abdykacja, samobójstwo lub ucieczka to były jedyne istotne decyzje, które mógł pan podjąć z własnej woli. Liczono na weto pańskiego sumienia przeciwko samobójstwu i weto pańskiej Rady przeciwko abdykacji. Ponieważ jednak sami byli opętani ambicją, zapomnieli o możliwości rezygnacji, zostawiając panu tę jedyną furtkę. Furtkę, z której skorzystać mógł tylko, wybaczy mi pan dosłowność, ktoś o bardzo silnej psychice. Muszę zainteresować się tą drugą waszą techniką psychologiczną... Jak to się nazywa...? Wróżbiarstwo? Myślałem, że to jakieś okultystyczne bzdury, ale widocznie... No dobrze, spodziewam się, że teraz, kiedy uporządkowaliśmy pana przeszłość, będą chcieli porozmawiać z panem w Centrum Wymiany na temat pańskiej przyszłości.

– Kiedy uzna pan za stosowne – powiedział pan Harge.

Rozmawiała z różnymi ludźmi w Centrum Wymiany dla Światów Zachodnich i kiedy jej zaproponowano pójście do szkoły, zgodziła się chętnie, ponieważ wśród tych łagodnych

ludzi, których podstawową cechą wydawał się chłodny, głęboki smutek, nie do odróżnienia od ciepłej, głębokiej radości, była królowa Karhidu poczuła się barbarzyńcą, kimś ciemnym i nieokrzesanym.

Zaczęła uczęszczać na Uniwersytet Ekumeny. Mieszkała w barakach koło Centrum Wymiany w Vaxtsit wraz z dwiema setkami różnych nieziemców, z których żaden nie był hermafrodytą ani była królową. Nie posiadając nigdy wielu rzeczy należących tylko do niej ani zbyt wielu chwil samotności, Argaven nie cierpiała na skutek życia w barakach. Okazało się również, że przebywanie wśród istot jedнопłciowych nie jest tak straszne, jak myślała, choć ich stan ciągłego kemmeru był dla niej dokuczliwy. Znosiła wszystko bez szemrania, studiując rzetelnie i z zapałem, lecz jednocześnie z jakimś chłodnym dystansem, jak ktoś, kto myślami jest daleko. Jediną niedogodnością był upał, straszliwy upał Ollul, wzrastający czasami do trzydziestu pięciu stopni podczas rozpalonej, niekończącej się pory roku, kiedy przez dwieście dni nie spadał ani jeden płatek śniegu. Nawet gdy wreszcie przyszła zima, Argaven oblewała się potem, gdyż temperatura na dworze rzadko spadała poniżej dziesięciu stopni, a w barakach panował żar – w każdym razie dla niej, bo inni studenci chodzili stale w grubych swetrach. Spała bez przykrycia, nago i rzucała się niespokojnie, śniąc o śniegach Kargaru, zamrożonym starym porcie, o lodzie pokrywającym piwo w zimne poranki, o miłym i przejmującym chłodzie Zimy.

Dowiedziała się wiele. Dowiedziała się już, że jej Ziemię tutaj nazywano Zimą i że Ollul tutaj nazywano Ziemią: takie fakty wywracają wszechświat na nice jak skarpetkę. Dowiedziała się, że dieta mięsna powoduje u ludzi nieprzyzwyczajonych do niej biegunkę. Dowiedziała się, że jedнопłciowi osobnicy, o których usilnie starała się nie myśleć jako o zboczeńcach, sami usilnie starali się nie traktować jej jak osoby zboczonej. Dowiedziała się, że kiedy wymawia Ollul jako Orrur, niektórzy się śmieją. Próbowwała oduczyć się bycia królową. Z chwilą gdy Uniwersytet wziął ją w swoje ręce, nauczyła się wielu rzeczy i oduczyła jeszcze więcej. Dzięki wszystkim maszynom, urządzeniom, doświadczeniom i – co najprostsze i najtrudniejsze – słowom, jakimi rozporządzała Ekumena, pojęła, czym mogłoby być zrozumienie ducha i historii królestwa istniejącego ponad milion lat i obejmującego tryliony kilometrów kwadratowych. Kiedy zaczął do niej docierać bezmiar tego królestwa ludzkości oraz ciągle cierpienie i wciąż powtarzające się marnotrawstwo jego historii, zaczęła również widzieć to, co leżało poza jego granicami w czasie i przestrzeni, wśród nagich skał, płonących słońc i rozjarzonej pustki ciągnącej się bez końca; dostrzegła źródła radości i pogody, niewyczerpane ich zasoby. Poznała wiele faktów, liczb, mitów, eposów, proporcji, stosunków i tak dalej, a poza granicami tego, czego się dowiedziała, ujrzała znów wspaniałe bezkres czegoś innego. To rozszerzenie horyzontów było źródłem wielkiego zadowolenia Argaven, ale ona pozostawała wciąż niezaspokojona. Nie zawsze pozwalano jej zagłębiać się tak dalece, jak chciała, w pewne dziedziny, w matematykę, w ceteńską fizykę.

– Późno pan zaczął, panie Harge – mówili. – Musimy budować na istniejących fundamentach. Poza tym chcemy się skupić na przedmiotach, które mogą się panu przydać.

– Przydać? Do czego?

Oni (w danej chwili reprezentował ich etnograf, mobil Gist) spojrzeli na nią ironicznie.

– Czyżby uważał się pan za człowieka bez przyszłości?

– Tak uważam – odparł w nagłym przypiływie gniewu opanowany zazwyczaj pan Harge.

– Król bez królestwa – powiedział Gist z bezbarwnym terrańskim akcentem – banita z własnej woli, uznany za zmarłego, ma prawo czuć się trochę niepotrzebny. Ale po co w takim razie zawracaliśmy sobie panem głowę?

– Z dobroci.

– O, dobroć... Choćbyśmy byli nie wiem jak dobrzy, nie możemy zapewnić panu szczęścia. Z wyjątkiem... No cóż, każde marnotrawstwo jest grzechem. Byłby pan bez wątpienia właściwym królem na Zimie, w Karhidzie, przydatnym dla Ekumeny. Ma pan poczucie równowagi. Mógłby pan nawet doprowadzić do zjednoczenia planety. Na pewno nie rządziłby pan terrorem i nie zmierzał do rozbicia kraju, jak to robi obecny król. Cóż za marnotrawstwo! Niech pan tylko zważy nasze nadzieje i potrzeby, panie Harge, a także swoje kwalifikacje, zanim zacznie uzalać się pan nad swoją bezużytecznością. Ma pan przecież przed sobą czterdzieści do pięćdziesięciu lat...

Ostatnie zdjęcie w promieniach obcego słońca: wyprostowana postać nieokreślonej płci w szarym płaszczu haińskiego kroju stoi, spływając potem, na zielonym trawniku obok Generalnego Przedstawiciela Ekumeny na planety zachodnie, stabila Hoalansa z Alb, który może (jeżeli zechce) ingerować w losy czterdziestu światów.

– Nie mogę kazać panu tam wracać – mówi stabil. – Pańskie sumienie...

– Dwanaście lat temu zrezygnowałem z królestwa na rzecz sumienia. Dostało, co mu się należało. Starczy tego dobrego – mówi Argaven Harge.

Potem nagle wybucha śmiechem, zarażając nim stabila. Rozstają się w zgodzie, jaką starają się zaszczepić między ludźmi władze Ekumeny.

Wyspa Horden u południowych wybrzeży Karhidu została oddana Ekumenie za panowania Argaven XV. Nikt tam nie mieszkał. Co roku nowe pokolenia wodołazów wczołgiwały się na nagie skały, składały i wysiadywały jaja, karmiły młode i prowadziły je gęsiego z powrotem do morza. Ale raz na dziesięć czy dwadzieścia lat ogień osmalał skały, morze wokół wyspy kipiało i wodołazy, które znalazłyby się wówczas na wyspie, musiałyby zginąć.

Kiedy morze przestało się gotować, podpłynął kuter ambasadora. Kosmolot przerzucił ażurowy stalowy trap na pokład kutra i dwie istoty wkroczyły nań z dwóch końców, żeby spotkać się pośrodku, w połowie drogi między wodą a lądem.

– Ambasador Horrsed? Jestem Harge – powiedziała ta, która weszła z kosmolotu, lecz istota z kutra padła już na kolana, wołając głośno po karhidyjsku:

– Bądź pozdrowiona, Argaven z Karhidu! – Powstając, ambasador dodał pośpiesznie szeptem: – Przybywasz, pani, pod własnym imieniem. Wyjaśnię rzecz przy pierwszej sposobności.

W dole za jego plecami stała na pokładzie kutra spora grupa osób, wpatrujących się z napięciem w nowo przybyłą postać. Wszystkie były Karhidyjkami, sądząc z wyglądu; wiele w podeszłym wieku.

Argaven Harge stała przez minutę, dwie, trzy, wyprostowana i doskonale nieruchoma, chociaż jej szary płaszcz trzepotał na zimnym morskim wietrze. Potem spojrzała raz na

zachód, na matowe słońce, raz na północ, na szary ląd za wodą, wreszcie znów na milczące postacie zebrane w dole na pokładzie i ruszyła wprost przed siebie tak nagle, że ambasador Horrsed musiał w pośpiechu usunąć się z drogi. Argaven podeszła prosto do jednej ze starszych osób na pokładzie.

– Czy jesteś Ker rem ir Kerheder?

– Tak jest.

– Poznałam cię po suchej ręce, Ker – mówiła płaskim głosem, nie sposób było odgadnąć jej uczuć. – Nie potrafiłabym po sześćdziesięciu latach poznać cię z twarzy. Czy znałam jeszcze którąś z was? Jestem Argaven.

Milczały. Patrzyły. Nagle jedna z nich, wysuszona i osmalona wiekiem jak drewno, które przeszło przez ogień, zrobiła krok do przodu.

– Pani, jestem Bannith ze straży pałacowej. Uczyłam cię. Ja byłam instruktorem, a ty małym dzieckiem. – Siwa głowa skłoniła się gwałtownie, w hołdzie, a może żeby ukryć łzy.

Potem wystąpiła druga osoba, trzecia. Skłaniające się głowy były siwe lub łyse; pozdrawiając królową, drżały. Ker z suchą ręką, Ker, którą Argaven znała jako nieśmiałego trzynastoletniego pazia, odezwała się z ogniem do tych, którzy jeszcze stali bez ruchu:

– To jest królowa. Mam oczy, które widziały i widzą teraz. To jest królowa!

Argaven przesunęła spojrzeniem po wszystkich twarzach, tych pochylonych i niepochylonych.

– Jestem Argaven – powiedziała. – Byłam królową. Kto teraz rządzi Karhidem?

– Emran – odpowiedział czyjś głos.

– Moje dziecko Emran?

– Tak, pani – odparła stara Bannith.

Większość z nich nie zdradzała żadnych uczuć, lecz Ker swoim pełnym napięcia drżącym głosem zawołała:

– Argaven, Argaven włada Karhidem! Dożyłam powrotu lepszych dni. Niech żyje królowa!

Jedna z młodszych spojrzała na pozostałe i rzuciła z determinacją:

– Niech tak będzie. Niech żyje królowa!

I wszystkie głowy schyliły się w pokłonie.

Argaven przyjęła ich hołd niewzruszona, lecz gdy tylko znalazła się sam na sam z ambasadorem Horrsedem, spytała:

– Co to ma znaczyć? Co się stało? Dlaczego wprowadzono mnie w błąd? Powiedziano mi, że mam tu przyjechać do pomocy panu jako przedstawicielowi Ekumeny...

– To było dwadzieścia cztery lata temu – powiedział ambasador tonem usprawiedliwienia. – Ja jestem tu zaledwie od pięciu lat, o pani. Bardzo źle się dzieje w Karhidzie. Królowa Emran w zeszłym roku zerwała stosunki z Ekumeną. Nie wiem, jaki cel przyświecał stabilowi, kiedy panią tu wysyłał, ale teraz grozi nam utrata Zimy. Dlatego też Hain zaproponował, abyśmy wysunęli własną królową.

– Ale ja umarłam – powiedziała Argaven. – Umarłam sześćdziesiąt lat temu!

– Król umarł – powiedział Horrsed. – Niech żyje król.

Zbliżyła się grupa Karhidyjek i Argaven podeszła do burty, odwracając się od ambasadora. Szare fale pieniały się i uciekały wzdłuż boków statku. Ląd mieli teraz z lewej

strony, szarość z plamami bieli. Dzień był chłodny: początek zimy w epoce lodowcowej. Maszyny kutra mruczały z cicha. Argaven przez dwanaście lat nie słyszała pomruku silnika elektrycznego; był to jedyny rodzaj napędu stosowany w powolnym i stabilnym wieku techniki w Karhidzie. Odgłos ten sprawiał jej wielką przyjemność.

– Dlaczego płyniemy na wschód? – spytała, nie odwracając głowy, jak ktoś przywykły od dziecka do tego, że zawsze otrzyma odpowiedź.

– Udajemy się do Kermu.

– Dlaczego do Kermu?

Jedna z młodszych osób w orszaku pospieszyła z odpowiedzią:

– Ponieważ ta część kraju zaczęła bunt przeciwko... przeciwko królowej Emran. Ja jestem z tamtych stron: Perreth ner Sode.

– Czy Emran jest w Erhenrangu?

– Erhenrang został zajęty przez Orgotów sześć lat temu. Królowa przebywa na wschód od gór w nowej, a właściwie w starej stolicy Rer.

– Emran straciła Nizinę Zachodnią? – spytała Argaven, odwracając się całym ciałem do młodej, krępej szlachcianki. – Straciła Nizinę Zachodnią? Straciła Erhenrang?

Perreth cofnęła się o krok, ale odpowiedziała bez zwłoki:

– Od sześciu lat kryjemy się za górami.

– Orgotowie w Erhenrangu?

– Królowa Emran pięć lat temu podpisała z Orgoreynem traktat oddający im prowincje zachodnie.

– Haniebny traktat, najjaśniejsza pani – wtrąciła stara Ker głosem jeszcze bardziej drżącym i pełnym napięcia niż zwykle. – Traktat głupoty! Emran tańczy tak, jak jej w Orgoreynie zagrają. My wszyscy tutaj jesteśmy buntownikami, wygnańcami. Ambasador też jest na wygnaniu. Ukrywa się!

– Nizina Zachodnia – powiedziała Argaven. – Argaven I zdobyła ją dla Karhidu siedemset lat temu... – Przesunęła po otaczających ją twarzach swoim dziwnym, bystrym, ale nieobecny spojrzeniem. – Emran... – zaczęła i urwała. – Jaką siłą rozporządzacie w Kermie? Czy Pomorze jest z wami?

– Większość klanów południa i wschodu jest po naszej stronie.

Argaven umilkła na chwilę.

– Czy Emran miała dzieci?

– Nie wydała ani jednego ze swego łona, najjaśniejsza pani – odpowiedziała Bannith. – Spłodziła sześcioro.

– Wyznaczyła następczynią tronu Girvry Harge rem ir Orek – dodała Perreth.

– Girvry? A cóż to za imię? – powiedziała Argaven. – Królowe Karhidu noszą tylko imię Emran i Argaven.

Następne zdjęcie jest ciemne, zrobiono je przy blasku ognia, ponieważ elektrownie w Rer są zdewastowane, linie wysokiego napięcia poprzecinane, a pół miasta objęte jest pożarem. Pada gęsty śnieg, błyskając czerwono przez chwilę, zanim stopi się w powietrzu z cichym sykiem.

Śnieg, lód i oddziały partyzanckie utrzymywały wojska Orgotów na zachód od gór

Kargavu. Nikt nie pospieszył na pomoc starej królowej Emran, kiedy kraj powstał przeciwko niej. Jej strażę rozbiegły się, jej stolica płonie i teraz, na koniec, ona sama znalazła się twarzą w twarz z uzurpatorką. Ale zachowała do końca coś z nieokiełznanej rodzinnej dumy. Nie zwraca uwagi na buntowników. Patrzy na nich niewidzącymi oczyma, leżąc w mrocznym korytarzu, oświetlonym odblaskiem dalekich pożarów w lustrach, a w dłoni trzyma jeszcze pistolet, z którego się zabiła.

Pochyliwszy się nad ciałem, Argaven unosi tę zimną dłoń i zaczyna zsuwać ze zniekształconego wiekiem palca masywny złoty pierścień. Ale w końcu rezygnuje.

– Zatrzymaj go sobie – szepcze – zatrzymaj.

Na moment schyla się jeszcze niżej, jakby szeptała coś do martwego ucha albo chciała przyłożyć policzek do zimnej, pomarszczonej twarzy. Potem prostuje się i stoi przez chwilę, wreszcie rusza przez mroczne korytarze, mijając okna ukazujące obraz zniszczeń. Idzie doprowadzić swój dom do porządku: Argaven, królowa Zimy.

Przełożył Lech Jęczmyk

Udana wycieczka

Opowiadanie to zostało opublikowane, kiedy wiele mówiono i pisano o narkotykach, i reakcją na nie było posądzenie, że usiłuję wykorzystać modny temat. Rozbawiło mnie to, gdyż mam nieomylny instynkt przegapienia fali, na której płyną wszyscy modni ludzie – a także dlatego, że właściwie cały sens opowiadania polega na tym, że Lewis nie odbywa swojej wycieczki dzięki środkom chemicznym, lecz samodzielnie... przy pewnej pomocy kolegi.

Ale nie jest to również opowiadanie antynarkotyczne. Mój jedyny zdecydowany pogląd w sprawie narkotyków (marihuany, proszków, alkoholu) sprowadza się do tego, że jestem przeciwko prohibicji, a za uświadamianiem. Muszę przyznać, że ludzie, którzy rozszerzają świadomość za pomocą życia, a nie narkotyków, zwykle mają ciekawsze rzeczy do opowiedzenia. Ale sama jestem niewolnicą nałogu (tytoń) i byłoby głupio z mojej strony chwalić albo potępiać kogoś za podobne niewolnictwo.

Skoro tylko to połknął, zrozumiał, że nie powinien był tego robić. Wiedział to z całą pewnością, jak kierowca wie, że wali na niego rozpędzona ciężarówka; wiedział nagle, dogłębnie, ostatecznie. Jego krtań zwarł skurcz, splot słoneczny zwinął się jak ukwiał. Za późno. Już poszło, gorzki cukierek, kropla kwasu, ognista pigułka energii żłobiąca za sobą wąski wypalony ślad wzdłuż całego przełyku, połknięty żywcem trujący ślimak. Wszystko przez ten strach. Bał się i nie wiedział o tym, a teraz było już za późno. Nie można sobie pozwolić na strach. Strach wszystko rujnuje i to przez niego nieliczni pechowcy, znikomy procent, lądują w domu wariatów, gdzie kryją się po kątach i nigdy nic nie mówią...

Nie należy bać się niczego prócz strachu³.

Tak jest. Rozkaz, panie prezydencie.

Trzeba się rozluźnić. Przywołać dobre myśli. Jeśli gwałt jest nieunikniony...

Patrzył, jak Rich Harringer otwiera swój mały pakiecik (proszek starannie zmieszany i higienicznie opakowany przez dwóch gości zarabiających na studia na wydziale chemicznym ulubioną amerykańską metodą prywatnej inicjatywy, wprawdzie nielegalnej, ale też nie dziwi to w Ameryce, gdzie tak mało rzeczy jest zgodnych z prawem, że nawet dziecko można urodzić nielegalnie) i połyka drobnego kwaśnego ślimaka z ceremonialną radością. Jeżeli gwałt jest nieunikniony, rozluźnij się i staraj się osiągnąć maksimum przyjemności. Raz na tydzień.

Tylko czy jest coś nieuniknionego oprócz śmierci? Czy musi się rozluźniać i czekać na przyjemność? Będzie walczył. Nie da się wyciągnąć na złą wycieczkę. Będzie walczył z narkotykiem świadomie i z determinacją, nie w panice, ale planowo, i zobaczymy, kto

wygra. W tym narożniku Tybetański Huragan LSD/alfa, sto mikrogramów, w zwykłym papierze. W przeciwnym narożniku, proszę państwa, Beksa z Sonomy, LSD, osiemdziesiąt kilogramów, białe spodenki, czerwone walizy i silne torby policzkowe. Chcę do domu, chcę do domu! Gong!

Nic się nie stało.

Lewis Sydney David, człowiek trojga imion, zapędzony w róg żydowski Celt, rozejrzał się ostrożnie. Wszyscy trzej jego koledzy wyglądali normalnie. Widział ich wyraźnie, nawet jeżeli oni czuli się niewyraźnie. Nie mieli rąk. Jim leżał na zapluskwionej kanapie z pismem „Ramparts” – chciał może odbyć wycieczkę do Wietnamu albo do Sacramento. Rich sprawiał wrażenie zasnętego, nawet kiedy wydawał darmowe posiłki w parku. Alex zaś brzdąkał na gitarze. Jeżeli dźwiga wszędzie gitarę, to dlaczego nie potrafi zagrać żadnej melodii? Nie. Irytacja jest oznaką utraty samokontroli: opanować się. Opanować wszystko. Cenzor, cenzor. Naprzód, chłopcy, naprzód!

Lewis wstał, odnotowując z satysfakcją skwapliwe posłuszeństwo swoich reakcji oraz nieomyślne poczucie równowagi, i nalał sobie szklanekę wody nad brudnym zlewem. Włosy po goleniu, wypluta pasta do zębów, rdza i okrawki rzodkiewek, zlew niegodziwości. Dlaczego mieszka w takiej norze? Po co zaprosił Jima i Richa, i Alexa, żeby przyszedli tu ze swoimi cukierkami? I tak wyglądało tu obrzydliwie, choć nie była to melina narkomanów. Wkrótce mieszkanie będzie zasłane bezwładnymi ciałami; oczy wypadną i jak szklane kulki potoczą się pod łóżko, w czające się tam kurz i zgniliznę. Lewis podszedł ze szklanką do okna, wypił połowę wody, a resztą zaczął podlewać sadzonkę drzewka oliwnego w sklezionej doniczce za dziesięć centów.

– Wypij sobie na mój rachunek – powiedział, przyglądając się drzewku z bliska.

Miało pięć cali wysokości, ale wyglądało zupełnie jak dorosłe drzewo, poskręcane i krzepkie. Japońskie bonsai. Banzai! A gdzie jest satori? Gdzie jest sens, rozszerzenie świadomości, wszystkie kształty, kolory i znaczenia, gdzie zaostrenie percepcji? Ile czasu trzeba, żeby to świństwo zaczęło działać? Siedziało przed nim drzewko oliwne. Ni mniej, ni więcej. Nierozszerzone, nic nieznaczące. Ludzie krzyczą: „Pokój! Pokój!” – a spokoju nie ma. Nie starcza gałązek oliwnych z powodu eksplozji demograficznej. Czy to jest percepcja? Nie, każdy dureń mógłby coś takiego wypercypować bez pomocy narkotyków. No dobrze już, zatruj, zatruj mnie. Przybądź, halucynacjo, przybądź, żebym mógł z tobą walczyć, przeciwstawić ci się, odrzucić cię, a potem przegrać walkę i zwariować cichutko.

Jak Isobel.

To dlatego mieszkał w tej norze i dlatego zaprosił Jima i Richa, i Alexa, i dlatego był z nimi na wycieczce, na wczasach wędrownych, na wakacjach w starym malowniczym Nigdzie. Usiłował dogonić żonę. Kiedy się widzi, jak żona wariuje, najgorsze jest to, że nie można jej towarzyszyć. A ona oddala się coraz bardziej, nie oglądając się za siebie. Długie zejście w milczenie. Człowiek stoi za szklaną ścianą normalności jak ktoś, kto z terminalu lotniczego obserwuje katastrofę. Woła: „Isobel!” – ale ona nie słyszy. Samolot rozbił się w ciszy. Nie słyszała, jak ją wołał. Nie mogła też nic odpowiedzieć. Teraz dzieliła ich ściana z cegły, bardzo masywna, i mógł robić, co chciał, ze szklanym domkiem swojej normalności. Mógł rzucać kamieniami. Pigułkami. Brzdęk, łubudu.

LSD/alfa nie robi z człowieka wariata, oczywiście. Nawet nie narusza chromosomów. Po prostu otwiera furtkę do wyższej rzeczywistości. Schizofrenia, jak podejrzewał, robi to samo, ale kłopot polega na tym, że nie można się porozumieć, nie można opowiedzieć co i

jak.

Jim opuścił czasopismo. Siedział upozowany i się zaciągał. Miał zamiar dobrać się do rzeczywistości niczym prawdziwy lama. Był zdeklarowanym wyznawcą i skupił się teraz całkowicie na doświadczeniu z LSD jak religijny mistyk na swoich praktykach. Ale czy można to uprawiać raz na tydzień przez lata? Kiedy się ma trzydziestkę? Czterdzieści dwa? Sześćdziesiąt trzy? Życie jest okropnie monotonne i pełne przeciwności; człowiek tęskni za klasztorem. Jutrznie, nony, nieszpory, cisza, ściany dokoła, grube, solidne mury. Żeby się odseparować od niższej rzeczywistości.

Przybądź, halucynogenicie, zrób z tym porządek. Halucynogenuj, halucynogenizuj. Rozbij szklaną ścianę. Zabierz mnie tam, dokąd poszła moja żona. Poszukuje się osoby, wiek: dwadzieścia dwa lata, wzrost: sto sześćdziesiąt centymetrów, waga: czterdzieści osiem kilo, włosy kasztanowe, rasa ludzka, płeć żeńska. Nigdy nie była dobrym piechurem. Potrafię ją dogonić ze spętanymi nogami. Zabierz mnie tam, dokąd ona poszła... Nie.

– Dojdę tam sam – powiedział Lewis Sydney David.

Skończył podlewać korzenie drzewka oliwnego, podniósł głowę i wyjrzał przez okno. Za brudną szybą widać było Mount Hood, odległość – czterdzieści mil, wysokość – dwie mile, stożek wulkaniczny wyposażony w pogodną symetrię charakterystyczną dla stożków wulkanicznych, uśpiony, ale jeszcze oficjalnie niewygasły, pełen sennych ogni, otoczony własną atmosferą i z klimatem różnym od tego, jaki panuje niżej: śnieg i czyste światło. To dlatego Lewis mieszka w tej norze. Bo kiedy wyjrzy się z niej przez okno, widzi się wyższą rzeczywistość. Wyższą o trzy tysiące trzysta pięćdziesiąt dwa metry.

– Niech mnie diabli – powiedział Lewis na głos, czując, że znalazł się na skraju, na progu zrozumienia czegoś naprawdę ważnego. Ale takie uczucie miewał dość często i bez pomocy środków chemicznych. Na razie była to góra.

Kupa świństwa – autostrad i byle jakich biurowców, wysokościowców i wyburzonych placów pod nowe osiedla, neonowych słoni myjących neonowe samochody kropkowanymi strugami neonu – dzieliła go od góry, której podstawa tonęła w bladym smogu, przez co szczyt jakby unosił się w powietrzu. Lewis miał wielką ochotę zapłakać i wypowiedzieć głośno imię żony. Ale zdławił w sobie tę chęć, tak jak robił to od trzech miesięcy, od maja, kiedy to oddał ją do zakładu po miesiącach milczenia. W styczniu, zanim nastął okres milczenia, dużo płakała, czasem przez cały dzień, i zaczął się bać jej łez. Najpierw łzy, potem milczenie. Niedobrze. O Boże, uwolnij mnie od tego! Lewis zrezygnował, przestał walczyć z nieuchwytnym wrogiem i błagał, żeby go puścił wolno. Zachęcał narkotyk w swoich żyłach do działania, żeby coś zrobił, pozwolił mu płakać, widzieć kolory, zwariować, wszystko jedno co.

Nic się nie stało.

Skończył skrapiać korzenie drzewka oliwnego, podniósł głowę i rozejrzał się po pokoju. Była to nora, ale duża, i miała dobry widok na Mount Hood, a w pogodne dni także na ząb mądrości Mount Adams. Nic się tutaj nie zdarzy. To tylko poczekalnia. Zdjął swój płaszcz z połamanego krzesła i wyszedł.

Był to dobry płaszcz, z podpinką z owczej wełny, kapturem i wszystkim co trzeba. Siostra i matka złożyły się, żeby mu go kupić na Gwiazdkę. Czuł się w nim jak Raskolnikow. Ale dzisiaj nie zamorduje żadnej starej lichwiarki. Nie będzie nawet pseudozabójstwa. Na schodach minął malarzy z drabinkami i wiadrami, idących odnawiać jego pokój, trzech pogodnych czterdziestolatków. Biedne skurczysyny, co oni zrobią ze

zlewem? Z trzema elesdesiakami, Richem, Jimem i Alexem, którzy odżywiali się nektarem i rosą niebiańską? Z notatkami na temat Le Nôtre'a, Olmsteda i McLarena, z siedmioma kilogramami zdjęć japońskiej architektury mieszkalnej, z deską kreślarską i przyborami wędkarskimi, z *Dziłami zebranymi* Theodore'a Sturgeona w sensacyjnej kartonowej oprawie, z niedokończonym aktem olejnym niedożywionej dziewczyny, dwadzieścia na dwadzieścia pięć, pędzla kolegi, któremu firma wypożyczająca samochody zajęła obrazy za długi, z gitarą Alexa, z drzewkiem oliwnym, z kurzem i gałkami ocznymi pod łóżkiem? Ich sprawa. On nadal schodził po stopniach cuchnących starym kocurem wsłuchany w dziarski stuk swoich alpinistycznych butów. Miał wrażenie, że wszystko to już się kiedyś zdarzyło.

Wydostanie się z miasta zajęło mu sporo czasu. Ponieważ ludzie w jego stanie nie mogli korzystać z komunikacji miejskiej, nie pojechał autobusem, który wywiózłby go za miasto, na pół drogi. Ale czasu miał dużo. W letni wieczór długo będzie jasno, mógł na to liczyć. Łagodne i miłe są długie zmierzchy strefy umiarkowanej; nie monotonia tropików i nie krańcowość Arktyki, lecz zima długich cieni i lato długich zmierzchów: gradacje i gamy jasności, rozproszone oświetlenie, subtelność i spokój światłocieni. Dzieci zapełniające zielone parki i długie boczne ulice Portlandu, wszystkie grające w tę samą grę, grę dzieciństwo. Tylko tu i ówdzie jakieś dziecko szło samo, grając w samotność o wyższe stawki. Niektóre dzieciaki to urodzeni gracze. Chwilami ciepły wiatr poruszał śmieci, które gromadziły się wzdłuż rynsztoków. Nad całym miastem unosił się potężny, smutny odgłos, jakby lwy ryczały, chodząc po klatce, i smagały złociste boki złocistymi pędzlami ogonów, rycząc, rycząc. Słońce zaszło gdzieś za dachami, ale nie dla góry, która nadal płonęła białym ogniem, daleka i wysoka. Kiedy Lewis zostawił za sobą ostatki miasta i wszedł w przyjemniejszy krajobraz, pagórkowaty i dobrze uprawiony, wiatr zaczął nieść zwiastujący noc chłodny, złożony z wielu woni zapach wilgotnej ziemi; a dalej był mrok pod wielkimi, gęstniejącymi borami na stromych zboczach. Ale czasu miał Lewis dużo. Wysoko przed nim wznosił się w słońcu szczyt, biały, lekko podbarwiony na morelowo. Wspinając się długą, stromą drogą, wychodził Lewis z ciemnego boru na polany żółtego światła. Szedł tak, aż znalazł się ponad lasem i ponad mrokiem, na wysokości, gdzie były już tylko śnieg, kamienie, powietrze i wielka czysta, uporczywa jasność.

Ale był sam.

Coś się tu nie zgadzało. Kiedy się to zdarzyło, nie był sam. Miał się tu spotkać z... Był z... Gdzie?

Nie ma nart ani sanek, ani rakiet śnieżnych, ani nawet dętki. Panie Boże, gdybym dostał w dzierżawę ten fragment krajobrazu, przełożyłbym tę ścieżkę. Poświęcić majestatyczne piękno dla wygody? Tylko małą ścieżkę. Żadnych szkód. Tylko małe pęknięcie w Dzwonie Wolności⁴. Tylko mała dziurka w tamie, zapalnik w bombie, robak w mózgu. O, moja szalona dziewczyno, moja milcząca miłości, moja żono, którą sprzedałem do domu wariatów, ponieważ nie chciałaś słyszeć, jak mówiłem: „Isobel, przyjdź i wybaw mnie od siebie!”. Doszedłem w pogoni za tobą tu, gdzie kończą się wszystkie ścieżki, i teraz stoję sam; dalej nie mam dokąd iść.

Zgasło światło dnia i białość śniegu przybrała ponury odcień. Na wschodzie ponad ciągnącymi się bez końca coraz ciemniejszymi łańcuchami gór, nad lasami i bladymi, wciśniętymi między wzgórzami jeziorami świecił Saturn, jasny i posępny. Lewis nie wiedział, gdzie jest schronisko. Gdzieś na skraju lasu. Ale on znajdował się powyżej linii

lasów. Nie zejdzcie. W górę, w górę! Excelsior! Młodzieniec niósł wśród śniegów i lodu sztandar z dziwnymi słowy: „Ratunku. Na pomoc. Jestem więźniem wyższej rzeczywistości”. Wszedł się. Wszedł się na zbocze nietknięte stopą człowieka, zaniedbane, i wspinając się, płakał. Łzy na jego twarzy, on na twarzy góry.

Bardzo wysokie miejsca są straszne, kiedy się jest samemu o zmroku.

Światło go opuściło. Nie miał już dużo czasu. Wyczerpał swój czas. Wyjrzały gwiazdy i patrzyły na niego oko w oko z zatok mroku, ilekroć odwrócił wzrok od wielkiej białej płaszczyzny, tej wyższej płaszczyzny, na którą się wspinął. Po obu stronach miał przepaść upstrzoną gwiazdami. Ale śnieg utrzymywał własne zimne światło i Lewis wspinął się dalej. Przypomniawszy sobie ścieżkę, kiedy się na nią natknął. Bóg albo rząd, albo on sam zrobili tu jednak ścieżkę. Skręcił na prawo i to nie było dobre. Skręcił w lewo i stanął w miejscu. Nie wiedział, w którą stronę ma iść; drżąc z zimna i ze strachu, wykrzyknął głośno do śmiertelnie białego szczytu nad sobą i do czarnych miejsc między gwiazdami imię swojej żony:

– Isobel!

Wyszła na ścieżkę z ciemności.

– Zaczynałam się o ciebie niepokoić, Lewis.

– Doszedłem dalej, niż miałem zamiar – powiedział.

– Tutaj jest tak długo jasno... Człowiek ma wrażenie, że nigdy się nie ściemni.

– Właśnie. Przykro mi, że się denerwowałaś.

– Nie denerwowałam się. Czułam się samotna. Myślałam, że spóźniasz się z powodu nogi. Czy to dobra droga?

– Malownicza.

– Zabierz mnie jutro.

– Źle ci się jeździło na nartach?

Pokręciła głową.

– Bez ciebie źle – szepnęła zawstydzona.

Poszli ścieżką w lewo, niezbyt szybko. Lewis, który naciągnął sobie mięsień i od dwóch dni nie mógł jeździć na nartach, wciąż jeszcze trochę kulał, poza tym było ciemno i nigdzie się nie spieszyli. Trzymali się za ręce. Śnieg, gwiazdy, cisza. Ogień pod nogami, ciemność dokoła; przed nimi kominek, piwo, łóżko. Wszystko we właściwym czasie. Są urodzeni ryzykanci, którzy zawsze wybierają mieszkanie na zboczu wulkanu.

– Kiedy byłam w zakładzie – powiedziała Isobel, przystając, żeby on też stanął, i teraz nie było słychać nawet skrzypienia ich butów na suchym śniegu, żadnego dźwięku prócz jej cichego głosu – miałam taki sen. Strasznie podobny. To był... najważniejszy sen w moim życiu. Mimo to nie mogę go sobie przypomnieć dokładnie, nigdy mi się to nie udawało, nawet na terapii. Ale było właśnie tak. Ta cisza. Wysokość. Cisza ponad wszystko... ponad wszystkim. Było tak cicho, że gdybym coś powiedziała, mógłbyś usłyszeć. Wiedziałam to. Miałam pewność. I we śnie, zdaje się, wymówiłam twoje imię i ty usłyszałeś... odpowiedziałeś mi...

– Powiedz moje imię – szepnął.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Na górze i wśród gwiazd panowała kompletna cisza. Wypowiedziała jego imię. Odpowiedział jej imieniem i wziął ją w objęcia. Oboje drżeli.

– Zimno, musimy schodzić.

Poszli dalej po krawędzi między zewnętrznym a wewnętrznym ogniem.

- Spójrz na tę ogromną gwiazdę.
- To planeta. Saturn, ojciec czas.
- Pożarł swoje dzieci – szepnęła, ujmując go mocniej pod ramię.
- Wszystkie prócz jednego – odpowiedział Lewis cicho.

W dole długiego nagiego zbocza zobaczyli w szarym blasku gwiazd masyw schroniska, niejasne zarysy słupów wyciągu i długą krechę lin.

Zmarzły mu ręce, więc zsunął na chwilę rękawice, żeby rozetrzeć dłonie, ale przeszkadzała mu szklanka wody, którą trzymał. Skończył podlewać korzenie drzewka oliwnego i postawił szklankę przy sklejonej doniczce. Mimo to nadal miał coś w ręku, coś zwiniętego w dłoni jak ściągawka przed szkolnym egzaminem z francuskiego, *que je fusse, que tu fusses, qu'il fût*, mała i przepocona. Rozwarł dłoń i przyglądał się temu przez chwilę. List. Od kogo do kogo? Z grobu do łona matki. Zapieczętowany pakiecik zawierający sto miligramów LSD w cukrze.

Zapieczętowany?

Pamiętał dokładnie i po kolei, jak go otwierał, połykał zawartość, pamiętał jej smak. Pamiętał też równie dokładnie i po kolei, gdzie potem był, i wiedział, że tam nie był.

Podszedł do Jima, który właśnie wydychał głęboko powietrze, które wciągnął, kiedy Lewis podlewał oliwkę. Łagodnym ruchem Lewis wsunął mu pakiecik do kieszeni marynarki.

– Nie idziesz z nami? – spytał Jim z uśmiechem.

Lewis pokręcił głową.

– Mam pietra – mruknął.

Jak miał wyjaśnić, że już wrócił z wycieczki, na której nie był. Zresztą Jim by go nie usłyszał. Był tam, gdzie ludzie nie słyszą i nie mogą odpowiedzieć, za murami.

– Udanej wycieczki – powiedział Lewis.

Wziął swój płaszcz przeciwdeszczowy (brudna popelina, bez futrzanej podpinkii, zaczekaj) i zszedł po schodach na ulicę. Lato dobiegało końca, zmieniała się pora roku. Padało, ale nie było jeszcze ciemno i chłodne poddmuchy miejskiego wiatru niosły zapach wilgotnej ziemi, lasów i nocy.

Przełożył Lech Jęczmyk

³ Z przemówienia prezydenta F.D. Roosevelta.

⁴ Jeden z amerykańskich symboli.

Dziewięć śmierci

Do powstania tego opowiadania przyczynił się – zupełnie zresztą nieświadomie – biolog Gordon Rattray Taylor. Jeden z rozdziałów jego świetnej książki *Biologiczna bomba zegarowa* poświęcony jest klonowaniu. Po przeczytaniu książki napisałam niniejsze opowiadanie. Ze wszystkich moich opowiadań jest ono najbliższe typowej literaturze fantastycznonaukowej. Historia tu przedstawiona stanowi mianowicie ekstrapolację osiągnięć w jednej z dziedzin nauk ścisłych według formuły „co by było gdyby”. Temat jednak ujęłam w aspekcie psychologicznym. W zasadzie element naukowy w mojej twórczości nie stanowi celu samego w sobie, posługuję się nim jako metaforą czy symbolem, sposobem wyrażenia czegoś, co inaczej byłoby niewyraźne.

Dziewięć śmierci ukazało się w „Playboyu” w roku 1968, podpisanych przeze mnie jak zawsze nazwiskiem, pod jakim publikuję: U.K. Le Guin. Redakcja spytała grzecznie, czy mogę użyć tylko inicjałów, na co wyraziłam zgodę. Nie jest zaskakujące, że stopień świadomości „Playboya” był wówczas jeszcze taki niski, dziwi mnie natomiast, że sama tak lekkomyślnie dałam się nabrać. Jest to do tej pory jedyny przypadek, gdy spotkałam się ze strony wydawcy czy redaktora z czymś, co odczułam jako dyskryminację płci, jako uprzedzenie do pisarza kobiety. Wydawało mi się to wtedy tak idiotyczne, tak groteskowe, że nie zauważyłam, jak bardzo jest również ważne.

„Playboy” dokonał w tym opowiadaniu drobnych zmian, z którymi zawsze je przedrukowywał. Ja jednak wolę wersję pierwotną, we wszystkich więc wznowieniach, na które mam jakikolwiek wpływ, ukazuje się wersja poniższa, podpisana moim pełnym nazwiskiem.

Była żywa wewnątrz, ale martwa z wierzchu, jej czarne oblicze pokrywała wypełzła sieć zmarszczek, guzów i pęknięć. Była łysa i ślepa. Wstrząsy powierzchni Libry przypominały poruszaną drgawkami zgniliznę. Pod spodem w ciemnych korytarzach, w podskórnych lochach coś trzeszczało, istniał od wieków jakiś ferment, jakiś chemiczny koszmarny.

– Och, co za cholerna zgangrenowana planeta – mruknął Pugh w momencie, kiedy kopuła się zatrzęsła.

Kilometr na południowy zachód jeden z wrzodów pękł, tryskając srebrzystą ropą prosto w zachodzące słońce. A słońce zachodziło już drugi dzień.

– Chciałbym wreszcie zobaczyć ludzką twarz.

– Dziękuję – powiedział Martin.

– No oczywiście, że twoja też jest ludzka – rzekł Pugh – ale patrzę nanią już od tak dawna, że przestałem ją zauważać.

Komunikator Martina ożywił się nagle sygnałami radiowizualnymi, które zanikły, by powrócić w postaci twarzy i głosu. Twarz wypełniła ekran: nos króla asyryjskiego, stalowoszare oczy samuraja, skóra – brąz; młoda wspaniała twarz.

– To tak wyglądają ludzkie istoty? – zdumiał się Pugh. – Zupełnie zapomniałem.

– Zamknij się, Owen. Słyszają nas przecież.

– Baza Misji Badawczej Libry, zgłóście się, tu „Passerine”.

– Tu Libra. Daję wam promień prowadzący. Schodźcie.

– Będziemy w ciągu siedmiu sekund ziemskich. Czekajcie.

Obraz znikł i ekran zaczął iskrzyć.

– Czy oni wszyscy wyglądają tak jak ten? Wiesz co, Martin, jesteśmy obaj brzydsi, niż myślałem.

– Zamknij się, Owen...

Przez dwadzieścia dwie minuty Martin prowadził sygnałem lądującą szalupę, aż wreszcie przez czystą już teraz kopułę zobaczyli ją na zalanym krwawą łuną wschodzie w postaci małej spadającej gwiazdki. Zeszła gładko, cicho, ponieważ rozrzedzona atmosfera Libry słabo przewodziła dźwięk. Pugh i Martin zamknęli hełmy swoich skafandrów, wyslizgnęli się przez śluzy powietrzne kopuły i pomknęli jak Niżyński i Nuriejew długimi, płynnymi krokami w stronę szalupy. Na wschód od niej zostały wyrzucone w czterominutowych odstępach czasu i w stumetrowej odległości jeden od drugiego trzy pojemniki ze sprzętem.

– Wychodźcie – powiedział Martin przez hełmofon. – Czekamy przy drzwiach.

– Wychodźcie, metan jest w porządku – dodał Pugh.

Otworzył się właz i młody mężczyzna, którego widzieli na ekranie, wyskoczył na sytki pył i żużel Libry ze sprawnością sportowca. Martin uścisnął mu dłoń, ale Pugh stał wpatrzony we właz, z którego wyłonił się następny młody mężczyzna i zeskoczył z tym samym skrętem tułowia, a za nim młoda dziewczyna, która zeskoczyła z identycznym zgrabnym skrętem tułowia, ozdobionym jeszcze dodatkowo węzowym ruchem. Wszyscy byli wysocy, ciemnoskórzy, czarnowłosi, mieli wysoko sklepione nosy, ten sam fałd skóry nad okiem – jednym słowem, tę samą twarz. Właśnie w otworze włazu ukazał się czwarty osobnik, który zeskoczył z tym samym zręcznym skrętem tułowia.

– Martin – powiedział Pugh – mamy klona.

– Istotnie – odparł jeden z przybyszy. – Jesteśmy klonem dziesięciokrotnym. Nazywamy się John Chow. Czy porucznik Martin?

– A ja jestem Owen Pugh.

– Alvaro Guillen Martin – przedstawił się Martin oficjalnie z lekkim ukłonem.

Z szalupy wydostała się następna dziewczyna o takiej samej pięknej twarzy i Martin gapił się na nią, strzygąc okiem jak nerwowy koń. Najwyraźniej nie miał pojęcia o klonowaniu i przeżywał teraz szok techniczny.

– Spokojnie – rzekł Pugh w dialekcie argentyńskim – to po prostu jakby zwielokrotnione bliźnięta. – Stał tuż przy Martinie i był nawet zadowolony z tej bliskości.

Spotkanie z kimś obcym nie jest łatwe. Nawet największy ekstrawertyk przy spotkaniu z nieznanym, choćby i najłagodniejszym, odczuwa pewien lęk, chociaż nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę. A może zrobi ze mnie idiotę? Zniszczy moje mniemanie o sobie?

Zaatakuj mnie, pokona, zmieni? Czy jest inny niż ja? Oczywiście, że tak. I to jest właśnie najgorsze – ta odmienność obcego.

Po dwóch latach spędzonych na martwej planecie, w tym ostatnie pół roku w kompletnej izolacji w dwuosobowym zespole – tylko ja i ten drugi – spotkanie z kimś obcym, niezależnie od tego, jak bardzo wyczekiwany, jest jeszcze trudniejsze. Człowiek odwyka od odmienności, traci łatwość kontaktu – i wtedy odżywa strach, prymitywny niepokój, pradawny lęk.

Klon, składający się z pięciu osobników męskich i z pięciu żeńskich, dokonał w dwie minuty tego, na co zwykły człowiek potrzebowałby dwudziestu. Pozdrowił Pugh'a i Martina, rzucił okiem na Librę, rozładował szalupę i przygotował się do drogi. Kopuła przypominała ul rojący się od złocistych pszczoł. Gwarem i krzątaniem przepłoszyli wszystkie cisze, wypełnili wszystkie wolne miejsca ruchliwą miodowobrazową ludzką obecnością. Martin patrzył osłupiały na długonogie dziewczyny, które uśmiechnęły się do niego trzy naraz. Ich uśmiech był nieco łagodniejszy od uśmiechu chłopców, ale nie mniej promiennie opanowany.

– Opanowany – mruknął Owen Pugh do swojego przyjaciela – to jest właśnie to. I pomyśleć, że jesteś sobą po dziesięciokroć. Dziewięć sekund na każdy ruch, dziewięć głosów w każdym głosowaniu. To by było coś wspaniałego.

Ale Martin spał. Johnowie Chowowie też wszyscy naraz zasnęli. Po kopule niesły się ich spokojne oddechy. Byli młodzi, więc nie chrapali. Martin wzdychał i chrapał, a jego czekoladowa twarz wydawała się rozluźniona w przyćmionym blasku księżyca Libry. Pugh zdjął przesłonę z kopuły, do której zajrzały gwiazdy, a wśród nich Sol, wielka feeria światła, klon wspaniałości. Kiedy wreszcie zasnął, śniło mu się, że jednooki olbrzym goni go przez komnaty piekieł.

Ze swojego śpiwora Pugh patrzył, jak budzi się klon. Wstali wszyscy w ciągu minuty, z wyjątkiem jednej pary, chłopca i dziewczyny, którzy w dalszym ciągu leżeli czule spleceni we wspólnym śpiworze. Kiedy tak Pugh patrzył, coś nim targnęło – głębokie drgnienie, jakby jedno z trzęsień ziemi Libry. Pugh nie uświadamiał sobie tego; widok młodych sprawiał mu przyjemność – na tej martwej, pustej planecie nie było właściwie niczego na osłodę życia. Niech się dobrze wiedzie wszystkim tym, którzy się kochają. Jeden z chłopaków nadepnął na leżącą parę. Obudzili się i dziewczyna usiadła zarumieniona i jeszcze senna, z nagimi złocistymi piersiami. Jedna z sióstr coś do niej powiedziała szeptem – dziewczyna zerknęła w stronę Pugh'a i zniknęła w śpiworze; ktoś obrzucił ją karcącym spojrzeniem, ktoś inny powiedział: – Zwykle mamy osobny pokój dla siebie. Chyba nam pan nie weźmie tego za złe, kapitanie Pugh.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekł Pugh niezupełnie szczerze.

Miał na sobie jedynie krótkie spodenki, w których spał, i wstając, poczuł się jak oskubany kogut – biały, chudy i pokryty gęsią skórą. Nigdy nie zazdrościł Martinowi jego jędrnego, śniadego ciała tak bardzo, jak teraz. Zjednoczone Królestwo wyszło obronną ręką z wielkiego głodu – straciło niecałą połowę ludności: był to rekord, który zawdzięczało bardzo ścisłym rygorom w sprawach żywnościowych. Spekulantów i tych, co gromadzili zapasy, tracono. Dzielono się każdym okruczem. W bogatszych krajach

większość ludzi powymierała, a pozostałej garstce powodziło się dobrze, w Wielkiej Brytanii nie wiodło się dobrze nikomu, ale za to śmiertelność była znacznie mniejsza. Wychudli wszyscy. Ich synowie byli chudzi, wnukowie mali, wątli i nieodporni na wszelkiego rodzaju infekcje. Kiedy cywilizacja zaczęła oznaczać stanie w kolejkach, Brytyjczycy przestrzegali ogonków i dlatego przeżyli nie najsilniejsi spośród nich, tylko praworzadni. Owen Pugh był małym chudzielcem. Ale przynajmniej był.

Chociaż w tym momencie wolałby, żeby go nie było.

Przy śniadaniu jeden z Johnów powiedział:

– A teraz może nam pan wyda dyspozycje, kapitanie Pugh...

– Raczej Owen.

– Owenie, możemy sobie sami opracować program. Czy wydarzyło się coś nowego w kopalni od czasu waszego ostatniego raportu dla Misji? Widzieliśmy wasze sprawozdania, kiedy „Passerine” okrążyła Planetę V, gdzie zresztą i teraz się znajduje.

Martin nie odpowiedział, chociaż odkrycie kopalni i pomysł były jego dziełem, a Pugh tylko pomagał. Trudno było z nimi rozmawiać: jednakowe twarze – każda z wyrazem inteligentnego zainteresowania – pochylone były ku niemu przez stół pod tym samym niemal kątem. I wszyscy jednocześnie kiwali głowami. Nad znaczkiem „Departament Górnictwa” każdy z nich miał na bluzie plakietkę z pierwszym imieniem „John” i nazwiskiem „Chow” oczywiście; różnili się bowiem tylko drugimi imionami. Mężczyźni nazywali się: Aleph, Kaph, Yod, Gimel i Samedh, a kobiety: Sadhe, Daleth, Zayin, Beth i Resh. Pugh próbował posługiwać się tymi imionami, ale szybko dał za wygraną – nie zawsze mógł odróżnić, kto mówi, tak mieli podobne głosy.

Martin posmarował sobie grzanekę masłem i odezwał się dopiero, kiedy ją zjadł.

– Jesteście zespołem, tak?

– Tak – odpowiedzieli jednocześnie dwaj Johnowie.

– Boże, co za zespół! Nie zdawałem sobie sprawy, w jakim stopniu jedno z was się orientuje, co myślą pozostali.

– Szczerze mówiąc, w ogóle – odpowiedziała jedna z dziewcząt, Zayin. Reszta wpatrywała się w nią w typowy dla nich sposób. W spojrzeniach były poczucie własności i aprobata. – Żadna tam telepatia, nic nadzwyczajnego. Po prostu myślimy podobnie. Mamy dokładnie to samo wyposażenie biologiczne. Pod wpływem tego samego bodźca i postawieni wobec tego samego problemu reagujemy w ten sam sposób, znajdując jednocześnie to samo rozwiązanie. Wyjaśnienia nie nastęrczają trudności, najczęściej są w ogóle zbędne. Rzadko kiedy bywają między nami nieporozumienia. To oczywiście ułatwia nam pracę jako zespołowi.

– Jezu, rzeczywiście – powiedział Martin. – Jeśli chodzi o mnie i o Pughę, to w ciągu tych sześciu miesięcy siedem godzin na dziesięć schodziło nam na nieporozumieniach. Jak u większości ludzi. A w niebezpieczeństwie... Czy tak samo dobrze radzicie sobie w sytuacjach nietypowych jak nor... jak zespół składający się z ludzi przypadkowych?

– Według dotychczasowych danych statystycznych tak – odparła Zayin bez namysłu.

Klony muszą być szkolone, pomyślał Pugh, żeby potrafiły sprostać pytaniom, uzasadniać. Wszystko, co dotychczas powiedziały, zabarwione było uprzejmą pobłażliwością i sztucznością właściwą wypowiedziom kierowanym do szerokiej publiczności.

– Nie sypimy może tak wspaniałymi pomysłami jak single i jako zespół nie możemy

korzystać z dobrodziejstw wynikających ze wzajemnego oddziaływania na siebie różnych umysłów, ale za to mamy inne zalety. Klony powstają z najlepszego ludzkiego materiału, z jednostek o najwyższym ilorazie inteligencji i kodzie genetycznym alfa podwójne A i tak dalej. Mamy znacznie bogatsze wyposażenie niż większość osobników.

– I wszystko to jest jeszcze pomnożone przez dziesięć. A kto to jest... kim był John Chow?

– Z pewnością jakiś geniusz – odparł uprzejmie Pugh. Jego zainteresowanie zjawiskiem klonowania nie było ani tak silne, ani tak nienasycone jak Martina.

– Człowiek renesansu – odparł Yod. – Specjalista w dziedzinie biologii i matematyki, oprócz tego wiolonczelista i pletwonurek, interesował się strukturalnymi problemami mechaniki i tak dalej. Zmarł, zanim zdążył opracować swoje najważniejsze teorie.

– To znaczy, że każde z was reprezentuje inny element jego osobowości, inny talent?

– Nie – odrzekła Zayin, kręcąc głową do taktu z kilkorgiem swego rodzeństwa. – W zasadzie mamy to samo podstawowe wyposażenie biologiczne i oczywiście te same skłonności, ale wszyscy jesteśmy inżynierami w zakresie górnictwa planetarnego. Następny klon może być szkolony tak, by rozwinęły się inne elementy wyposażenia podstawowego. To wszystko sprawa szkolenia, substancja genetyczna jest ta sama. My jesteśmy Johnem Chowem, ale zostaliśmy inaczej niż on wyszkoleni.

Martin patrzył osłupiały.

– A ile macie lat?

– Dwadzieścia trzy.

– Mówicie, że John Chow umarł młodo. Czy wobec tego pobrano od niego komórki wcześniej, czy jak to było?

Teraz Gimel przejął inicjatywę:

– Zginął w wieku dwudziestu czterech lat w wypadku lotniczym. Ponieważ nie zdołali uratować jego mózgu, pobrali pewne komórki z jelit i hodowali je do celów klonowania. Komórki rozrodcze się do tego nie nadają, ponieważ posiadają zaledwie połowę chromosomów. Za to komórki z jelit łatwo zmienić w komórki ogólnego rozrostu.

– Niedaleko padło jabłko od jabłoni – powiedział Martin zaczepnie. – Ale jak to jest możliwe, że niektórzy z was są kobietami?

Z kolei odezwała się Beth:

– Bez trudu można zaprogramować połowę całego materiału przeznaczonego do klonowania jako istoty płci żeńskiej. Wystarczy z połowy komórek usunąć gen męski, żeby wróciły do swojej podstawowej żeńskiej formy. Znacznie trudniejsza jest kombinacja odwrotna: trzeba wtedy wszczepić sztuczne chromosomy Y. Wobec tego najczęściej używa się do klonowania osobników męskich, ponieważ klony funkcjonują najlepiej w grupach dwupłciowych.

I znów włączył się Gimel:

– Strona techniczna i problemy funkcjonowania zostały opracowane bardzo starannie. Podatnicy interesują się, co się dzieje z ich pieniędzmi, a klony są oczywiście bardzo kosztowne. Jeśli wziąć pod uwagę całą operację genetyczną plus inkubację w placencie Ngama, plus utrzymanie i przeszkolenie grup przybranych rodziców, koszt jednego klona wynosi około trzech milionów.

– Żeby uzyskać następne pokolenie, musicie się rozmnażać, prawda? – zapytał Martin, w dalszym ciągu nie dając za wygraną.

– My, kobiety, jesteśmy bezpłodne – odpowiedziała Beth z całkowitym spokojem. – Nie zapominaj, że z naszej wyjściowej komórki został usunięty chromosom Y. Natomiast mężczyźni mogą się łączyć z wybranymi singlami płci żeńskiej, jeśli mają na to ochotę. Ale żeby otrzymać Johna Chowa dowolnie wiele razy, stosuje się ponowne klonowanie na podstawie komórek pobranych od nas.

W końcu Martin się poddał. Skinął głową, żując zimną grzanekę.

– No dobra... – powiedział jeden z Johnów i wszyscy zmienili nastrój jak stado szpaków jednym machnięciem skrzydła zmieniające za przewodnikiem kierunek lotu tak szybko, że ludzkie oko nie odróżni, który ptak prowadzi. Byli gotowi do drogi. – Może byśmy najpierw obejrżeli kopalnię. A sprzęt wypakujemy potem. Mamy w łodziach automatycznych piękne nowe modele. Na pewno je chętnie obejrzycie. Zgoda?

Nawet gdyby Pugh i Martin nie podzielali ich zdania, nie mieliby odwagi się przyznać. Johnowie byli uprzejmi, ale jednomyślni, i trudno się było oprzeć ich decyzjom. Pugh, komendant bazy drugiej na Librze, miał skrupuły. Czy może rozkazywać takiej dziesięcioosobowej jedności męsko-damskiej? I jeszcze do tego geniuszowi? Trzymał się blisko Martina, kiedy wkładali skafandry, żeby wyjść na zewnątrz. Żaden z nich nie odezwał się słowem.

Po czworo w trzech potężnych poduszkowcach pomknęli w świetle gwiazd na północ od kopuły, ponad burą, pomarszczoną skórą Libry.

– Strasznie tu pusto – powiedziało jedno z nich.

Z Pughem i Martinem byli chłopak i dziewczyna. Pugh zastanawiał się, czy to tych dwoje spało wtedy razem w jednym śpiworze. Z pewnością nie mieliby mu za złe, gdyby o to spytał. Seks musi być dla nich sprawą tak naturalną, jak oddychanie. Czy to wyście wczoraj oddychali razem?

– Tak – odparł – pusto.

– To nasz pierwszy wyjazd, jeśli nie liczyć szkolenia na Lunie. – Głos dziewczyny był zdecydowanie wyższy i bardziej miękki.

– Jak znieśliście taki długi przelot?

– Zostaliśmy uśpieni. Chciałem spróbować, jak to jest – odezwał się z kolei chłopak, jak gdyby rozmarzony.

Kiedy byli po dwoje, wydawało się, że mają silniejszą osobowość. Czyżby powielenie jednostki osłabiało indywidualność?

– Nie przejmuj się – powiedział Martin, sterując poduszkowcem – nie można zaznać przebywania poza czasem, ponieważ praktycznie go nie ma.

– Kiedyś jednak dobrze byłoby spróbować – odezwało się jedno z nich. – Po prostu żeby wiedzieć, jak to jest.

Góry Merioneth, widoczne na wschodzie i oblane światłem gwiazd, wyglądały jak dotknięte trądem. Po stronie zachodniej ciągnął się za nimi srebrzysty pióropusz marznącego gazu wydobywającego się z rury wydechowej. Pojazd nachylił się ku ziemi. Bliźnięta zapały się jednocześnie w czasie hamowania, starając się nawzajem podtrzymać. Twoja skóra jest moją skórą w sensie dosłownym, bez przenośni, pomyślał Pugh. Ciekawe, jak by to było – mieć kogoś tak bliskiego. Zawsze ci odpowiedzą, kiedy się odezwiesz, nigdy nie cierpisz w samotności. Kochaj bliźniego jak siebie samego... Wreszcie odwieczny trudny problem został rozwiązany. Bo ten bliźni to ty sam – miłość doskonała.

A oto i Wrota Piekieł, kopalnia.

Pugh był głównym geologiem pozaziemskich misji zwiadowczych, a Martin jego technikiem i kartografem, ale kiedy podczas dokonywania pomiarów lokalnych Martin odkrył pokłady uranu, Pugh dał mu wolną rękę w badaniach złóż kruszcu i zaplanowaniu pracy ekipy eksploatacyjnej. Klon został wysłany z Ziemi na wiele lat przedtem, zanim raporty Martina na nią dotarły, i nie miał zielonego pojęcia, co będzie robić, dopóki nie znalazł się na miejscu. Departament Górnictwa po prostu wysyłał zespoły regularnie i kompletnie na ślepo, jak mlecz rozsiewający swoje nasiona, wiedząc, że zawsze znajdzie się dla nich zajęcie – jeśli nie na Librze, to na sąsiedniej planecie albo na jakiejś innej, o której jeszcze nigdy nie słyszeli. Rządowi za bardzo był potrzebny uran, żeby mógł czekać, aż jakieś raporty dotrą do niego poprzez tyle lat świetlnych. Ten pierwiastek był jak złoto – staromodny, ale niezbędny, wart tego, by go wydobywać poza Ziemią i transportować w przestrzeni kosmicznej. Wart swojej ceny w ludziach, pomyślał z goryczą Pugh, patrząc, jak młodzi mężczyźni i kobiety jedno po drugim, migotliwi w blasku gwiazd, znikają w czarnej jamie, którą Martin nazwał Wrotami Piekieł.

Kiedy wchodzili, ich homeostatyczne lampy górnicze się rozjaśniły. Dwanaście kiwających się błysków biegło wzdłuż wilgotnych pobrużdżonych ścian. Pugh usłyszał, jak licznik scyntylicyjny Martina popiskuje, odmierzając dwadzieścia impulsów.

– Uwaga, spadek terenu – odezwał się głos Martina przez hełmofon, zagłuszając sygnał i zakłócając panującą dokoła martwą ciszę. – Znajdujemy się w bocznej szczelinie, przed nami główny pionowy szyb.

Rozwarła się przed nimi czarna czeluść, której kresu nie było widać nawet w świetle lamp.

– Ostatnie wybuchy wulkaniczne wystąpiły tu prawdopodobnie kilka tysięcy lat temu. Najbliższy uskoki znajduje się dwadzieścia osiem kilometrów na wschód w rowie tektonicznym. Ten rejon wydaje się zupełnie asejsmiczny. Tamten potężny bazaltowy potok nad nami wiąże wszystkie warstwy poniżej pod warunkiem, że sam nie pęka. Pokład centralny znajduje się trzydzieści sześć metrów w dół i ciągnie się na północny wschód w postaci pięciu soczew. Jest to żyła cylindryczna rudy o wysokiej zawartości uranu. Widzieliście liczby określające procentową zawartość kruszcu? Wydobycie nie będzie przedstawiało najmniejszego problemu. Wystarczy tylko zdjąć porowaty nadkład.

– Tak jak pokrywkę z garnka. – Chichot. Wszyscy zaczęli mówić, ale był to właściwie jeden głos i hełmofon nie pozwalał go umiejscowić w przestrzeni.

– Trzeba to wysadzić od razu.

– Tak będzie bezpieczniej.

– Ale przecież to jest lity bazaltowy nadkład. Jakiej grubości? Dziesięciu metrów?

– Raport mówi, że od trzech do dwudziestu.

– Rozsadzi nam i rozniesie po całym terenie dobrą rudę.

– Trzeba się dostać tędy, od tej strony, gdzie jesteśmy, wyprostować trochę ten korytarz i zainstalować szyny ślizgowe dla wózków automatycznych.

– Zaimportować osiołki.

– Ale czy mamy dosyć materiału na stemple?

– Jak oceniasz opłacalny ładunek, Martin?

– Od pięciu do ośmiu milionów kilogramów.

– Transportowce przybędą za dziesięć miesięcy ziemskich.

– Trzeba będzie wysyłać uran w stanie czystym.

– Nie, problem masy będą już mieli rozwiązany. Nie zapominaj, że od naszego wyruszenia z Ziemi we wtorek minęło szesnaście lat.

– Tak, zabiorą wszystko i będą oczyszczać na ziemskich stacjach orbitalnych.

– Czy mamy schodzić, Martin?

– Schodźcie, ja byłem na dole.

Pierwszy – Aleph? (po hebrajsku wół, przewodnik) – postawił nogę na drabinie i opuścił się po niej. Reszta poszła w jego ślady. Pugh i Martin stali na skraju otchłani. Pugh nastawił hełmofon na odbiór wyłącznie Martina, przy czym zauważył, że Martin robi to samo. Słuchanie jednej osoby, która myśli głośno dziesięcioma głosami – czy też może słuchanie jednego głosu wyrażającego myśli dziesięciu osób – było odrobinę męczące.

– Wielka kicha – powiedział Pugh, spoglądając w ciemną czeluść, której pożyłkowane i pokryte naroślami ściany daleko w dole chwytaly zabłąkane promienie lamp górniczych. – Flaki wołowe. Zagwożdżona odbytnica.

Licznik Martina zapiszczał jak zbłąkane piskłę. Znajdowali się we wnętrzu martwej, ale epileptycznej planety, oddychali tlenem z butli i byli ubrani w skafandry odporne na wszelkiego rodzaju korozję i szkodliwe promieniowanie, na temperatury, na rozerwanie i na wstrząsy – w granicach tego, ile mogła wytrzymać ich delikatna zawartość.

– Następnym razem – powiedział Martin – chciałbym odkryć planetę, na której nie ma co eksploatować.

– Właśnie odkryłeś.

– Następnym razem nie zabieraj mnie z sobą.

Pugh był zadowolony. Miał nadzieję, że Martin będzie chciał z nim dalej pracować, ale nie mieli zwyczaju mówić o tym, co czują, więc nie zdecydował się zapytać.

– Spróbuję – powiedział.

– Nienawidzę tego miejsca. Owszem, lubię grotę. Dlatego tu przyjechałem. Po prostu w celach speleologicznych. Ale ta jest wyjątkowo wredna. Ohyda. Aż się nie chce złazić. Ale ci sobie poradzą. Znają się na swojej robocie.

– Ostatecznie fala przyszłości – rzekł Pugh.

Fala przyszłości wylewała się właśnie na górę po drabinie, zagarniając Martina do wejścia, trajkocząc do niego, wokół niego.

– Czy jest dość materiału na stemple?

– Tak, jeśli poświęcimy jeden z aparatów wydobywczych.

– A czy wystarczy, jeśli spowodujemy miniwybuch?

– Kaph może obliczyć obciążenia.

Pugh znów przestawił hełmofon, tak żeby ich słyszeć. Patrzył na nich – tyle myśli kłębiło się w tym aktywnym umyśle – i na Martina, który stał wśród nich milczący, na Wrota Piekieł i na pomarszczoną równinę.

– Załatwione! Jak ci się podoba taki program wstępny, Martin?

– To wasza sprawa.

W ciągu pięciu dni ziemskich Johnowie zdążyli wyładować wszystkie materiały, uruchomić sprzęt i rozpocząć odsłanianie złoża. Pracowali z maksymalną sprawnością. Pugh był zafascynowany, ale jednocześnie przerażały go ich wydajność, pewność siebie i

niezależność. Nie był im do niczego potrzebny. Klon, pomyślał, jest chyba rzeczywiście pierwszą naprawdę silną, niezależną ludzką istotą. Osiągnąwszy dojrzałość, nie potrzebuje już niczyjej pomocy. Jest samowystarczalny w sensie fizycznym, seksualnym, uczuciowym i intelektualnym. Każdy z członków klona może liczyć zawsze na wsparcie i aprobatę swoich równych sobie pozostałych osobowości. Nie potrzebuje nikogo innego.

Dwoje przebywało w kopule, prowadząc obliczenia i całą papierkową robotę i dokonując częstych wypadów poduszkowcem do kopalni w celu powtarzania pomiarów i prób. Byli to Zayin i Kaph, matematycy klona. Zgodnie z tym, co mówiła Zayin, wszyscy dziesięcioro przeszli bardzo solidne przeszkolenie matematyczne między trzecim a dwudziestym rokiem życia, ale od dwudziestego pierwszego do dwudziestego trzeciego, kiedy pozostała ósemka zarzuciła matematykę na rzecz takich specjalności, jak geologia, górnictwo, inżynieria, elektronika, robotyka, atomistyka stosowana i tak dalej, ona z Kaphem pogłębiała studia matematyczne.

– Wydaje nam się – powiedziała Zayin – że jesteśmy elementem klona najbliższym tego, czym był John Chow w swoim życiu osobniczym. Ale on był oczywiście przede wszystkim biomatematykiem, a my w tej dziedzinie nie jesteśmy specjalnie zaawansowani.

– Okazaliśmy się szczególnie przydatni jako matematycy – powiedział Kaph z patriotycznym zarozumiałstwem, jakie czasami przejawiali.

Pugh i Martin szybko nauczyli się odróżniać tę parę od reszty; Zayin – po sposobie myślenia, a Kapha – jedynie po przebarwionym paznokciu lewej ręki, w który uderzył się młotkiem jako sześciolatek. Nie ulegało jednak wątpliwości, że istniało między nimi więcej takich różnic, zarówno fizycznych, jak i psychicznych; natura może być identyczna, wychowanie nie. Ale trudno było te różnice uchwycić – w dużej mierze dlatego, że właściwie nigdy nie rozmawiali z Pughem i Martinem poważnie. Żartowali z nimi, zachowywali się grzecznie i poprawnie. Tyle że nic z siebie nie dawali. Ogólnie nie można było narzekać – klon był miły i odznaczał się standardową amerykańską życzliwością.

– Czy ty pochodzisz z Irlandii, Owen?

– Nikt nie pochodzi z Irlandii, Zayin.

– Jest wielu Amerykanów irlandzkiego pochodzenia.

– Oczywiście, ale oni już nie są Irlandczykami. Jeśli się nie mylę, na samej wyspie jest ich zaledwie ze dwa tysiące. Nie stosowali kontroli urodzin, więc bardzo szybko skończyła im się żywność. Kiedy nadszedł trzeci wielki głód, nie było już Irlandczyków, poza duchowieństwem, ale oni wszyscy żyją w celibacie... No, prawie wszyscy.

Zayin i Kaph uśmiechnęli się sztywno. Nie wiedzieli ani co to bigoteria, ani co ironia.

– Kim wobec tego jesteś w sensie etnicznym? – zapytał Kaph.

– Walijszym – odparł Pugh.

– Czy język, którym rozmawiacie między sobą z Martinem, to walijski?

Nie twoja sprawa, pomyślał Pugh, ale powiedział:

– Nie, to jego dialekt, nie mój. Argentyński. Wywodzi się z hiszpańskiego.

– Nauczyłeś się go do celów poufnych? Żeby was nikt nie rozumiał?

– A kto miałby nas tu rozumieć? Po prostu czasami człowiek lubi pogadać w swoim ojczystym języku.

– Naszym językiem jest angielski – powiedział Kaph bez odrobiny zrozumienia.

Dlaczego zresztą miałby je okazywać? Jest to jedna z tych rzeczy, które się ofiarowuje w oczekiwaniu rewanzu.

– A czy Wala jest ciekawa? – zapytała Zayin.

– Wala? Aha, Walia. Tak, Walia jest ciekawa.

Pugh włączył wrębiarkę, której ogłuszający wizg uniemożliwił dalszą rozmowę, a następnie odwrócił się i powiedział brzydkie słowo po walijsku. Tego wieczoru używał dialektu argentyńskiego do celów poufnych.

– Jak myślisz, czy oni się parzą zawsze w tych samych układach, czy zmieniają partnerów co noc?

Martin zrobił zdziwioną minę. Na moment na jego twarzy pojawił się tak obcy mu wyraz pruderii. Ale zaraz znikł. Martin też był ciekawy.

– Ja myślę, że dobierają się przypadkowo.

– Przestań szeptać, bo poznają, że rozmawiamy o czymś nieprzyzwoitym. Myślę, że załatwiają to na zasadzie rotacji.

– Według jakiegoś diagramu?

– Tak żeby nikt nie został pominięty.

Martin stłumił wulgarny śmiech.

– A my? Czy my nie jesteśmy pomijani?

– Pewnie im to nie przyszło do głowy.

– A jakbym tak zaproponował którejś z dziewczyn?

– Powiedziałyby reszcie i zdecydowałyby zespołowo.

– Nie jestem bykiem – odparł Martin urażonym tonem, a jego śniada twarz o grubych rysach oblała się rumieńcem – żeby mnie oceniać po...

– Ugaś pożar zmysłów. Masz zamiar zrobić którejś propozycję?

Martin wzruszył ramionami, nadąsany.

– Niech sobie dalej uprawiają to swoje kazirodztwo.

– Kazirodztwo czy może raczej samogwałt?

– Wszystko mi jedno, bylebym nie musiał na to patrzeć.

Pierwotna skromność klona szybko się ulotniła. Zabrakło motywacji. Ani samoobrona, ani skrzępowanie obecnością innych nie wchodziły w grę. Pugh i Martin co dzień głębiej grzęźli w intymności jego bezustannej wymiany uczuciowo-seksualno-intelektualnej, grzęźli, pozostając jednak poza nawiasem.

– Jeszcze dwa miesiące – powiedział Martin pewnego wieczoru.

– Dwa miesiące do czego? – warknął Pugh. Zrobił się ostatnio drażliwy, a ponury nastrój Martina działał mu na nerwy.

– Do wyzwolenia.

Za sześćdziesiąt dni miał wrócić cały zespół Misji Badawczej ze swojej wyprawy na inne planety systemu. I Pugh o tym wiedział.

– Pewnie wykreślasz dni w kalendarzu, co? – szydził.

– Weź się w garść, Owen.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałem.

Rozstali się źli i obrażeni na siebie.

Pugh wrócił po dniu spędzonym w samotności na Pampasie, wielkiej, pokrytej lawą równinie, której najbliższa krawędź znajdowała się o dwie godziny lotu odrzutowcem na południe. Mimo zmęczenia dobrze mu zrobiło to odosobnienie. Nie było wskazane, żeby odbywali długie samotne podróże, ale ostatnio coraz częściej im się to zdarzało. Martin

siedział pochylony, z ostrym światłem skierowanym na jedną z jego eleganckich mistrzowskich map, którą właśnie kreślił. Przedstawiała całą twarz Libry, twarz rakowatą. Poza nimi dwoma nie było nikogo w kopule, która wydawała się mroczna i rozległa jak dawniej, przed przybyciem klona.

– Gdzie ta złocista hałastra?

Martin odburknął, że nie wie, kreśląc zawzięcie. Po chwili wyprostował się, żeby spojrzeć na słońce, które siedziało niepewnie na wschodzie jak wielka czerwona ropucha, oraz na zegarek, który wskazywał osiemnastą czterdzieści pięć.

– Były dziś duże wstrząsy – powiedział, wracając do swojej mapy. – Nie czułeś ich tam? Aż się skrzynie sypały. Spójrz na sejsmograf.

Igła podrygiwała na rolce i ani na chwilę nie przestawała tańczyć. Taśma zarejestrowała pięć poważniejszych wstrząsów wczesnym popołudniem, a igła dwukrotnie wyszła poza taśmę. Komputer wyrzucił odczyt, który brzmiał: „Epocentrum 61’ na północ i 42’4” na wschód”.

– Tym razem nie w Rowie.

– I wydawało mi się, że było inaczej niż zwykle. Silniej.

– W bazie pierwszej nie mogłem zwykle przez całą noc zmrużyć oka, czułem, jak ziemia podskakuje. Dziwne, jak się człowiek przyzwyczaja.

– Fioła by dostał, gdyby się nie przyzwyczajał. Co jest na kolację?

– Myślałem, że przygotowałeś.

– Czekałem na klona.

Wiedząc, że Martin zaczyna go prowokować, Pugh wyciągnął kilkanaście zestawów kolacyjnych i wsadził dwa z nich na moment do kuchenki.

– Proszę bardzo, masz kolację.

– Zastanawiałem się – powiedział Martin, siadając do stołu – co by było, gdyby któryś z klonów zaczął się sam klonować. Nielegalnie. Gdyby wyprodukował tysiąc duplikatów... dziesięć tysięcy... Całą armię. Mogliby stworzyć potężną siłę.

– Ale czy sobie wyobrażasz, ile milionów kosztowałoby wychowanie czegoś takiego? Ze sztuczną placentą i tymi wszystkimi historiami? Nie utrzymaliby tego w tajemnicy, chyba żeby mieli całą planetę dla siebie... Przed wielkimi głodami, kiedy na Ziemi istniały rządy, mówiło się o tym, żeby rozmnożyć za pomocą klonowania najlepszych żołnierzy, tworząc całe armie. Ale żarcie się skończyło, zanim zaczęli się w to bawić.

Pugh i Martin gadali sobie po przyjacielsku jak zwykle.

– Ciekawe... – powiedział Martin, jedząc. – Wyjątkowo wcześnie dziś rano wyruszyli, prawda?

– Wszyscy z wyjątkiem Kapha i Zayin. Zapowiadali, że dziś wydobędą na powierzchnię pierwszą partię rudy. A co takiego?

– Nie przyszli na lunch.

– Nie bój się, nie umrą z głodu.

– Wyszli o siódmej.

– No to co?

I w tym momencie zaczęło do Pughu docierać: przecież butle tlenowe mogły im wystarczyć tylko na osiem godzin.

– Kaph i Zayin dostarczyli im w tym czasie zapasowe butle. Albo je tam mieli.

– Mieli, ale przywieźli wszystkie do napełnienia.

Martin wstał, wskazując jedną ze stert, które dzieliły kopułę na odrębne pomieszczenia i korytarze.

– W każdym skafandrze jest sygnał alarmowy.

– Ale nie automatyczny.

Pugh był zmęczony i w dalszym ciągu głodny.

– Siadaj i jedz, bracie. Nie bój się o nich, nie zginą.

Martin usiadł, ale nie mógł jeść.

– Był duży wstrząs, Owen. Ten pierwszy. Naprawdę duży, przestraszyłem się.

Po chwili milczenia Pugh westchnął i powiedział:

– No więc dobra.

Bez entuzjazmu wyciągnęli swój dwuosobowy poduszkowiec, który zawsze mieli w pogotowiu, i skierowali się na północ. Długi wschód słońca okrył wszystko jadowicie czerwoną galaretą. Poziome światła i cienie przesłaniały widoczność, wznosząc przed nimi ściany jak gdyby z żelaza i zamieniając wypukłą równinę za Wrotami Piekieł w jedno wielkie rozlewisko krwawej cieczy. Dokoła tunelu wejściowego rozpościerała się dżungla sprzętu – dźwigów, kabli, automatów, kół, koparek, wózków, ślizgaczy, kabin sterowniczych, powywracanych i bezładnie porozrzucanych, zalanych krwawą łuną. Martin wyskoczył z poduszkowca i pobiegł do kopalni. Po chwili wrócił.

– O rany, Owen. Oni są na dole – zakomunikował.

Pugh wszedł do tunelu i zobaczył w odległości pięciu metrów od wejścia lśniąca, wilgotną, czarną ścianę, która zamykała tunel. Świeżo obnażona, przypominała substancję organiczną, tkanę jelita. Wylot tunelu, poszerzony przez eksplozję materiału wybuchowego i poznaczony podwójnymi szynami wózków, wydawał się niezmienny, dopóki Pugh nie dostrzegł tysięcy pajęczych pęknięć na ścianach. Chodnik był lepki od jakiegoś płynu.

– Oni byli w środku – odezwał się Martin.

– Może jeszcze są. Na pewno mieli zapasowe butle z tlenem...

– Owen, popatrz na ten bazaltowy nadkład, na sufit... Czy nie widzisz, co się z nim stało na skutek trzęsienia ziemi? Spójrz.

Niski nawis, stanowiący sklepienie groty, w dalszym ciągu wyglądał nierealnie, jak złudzenie optyczne – jakby się odwrócił, zapadł, tworząc wielką misę, dół. Kiedy Pugh do niej wszedł, dostrzegł, że i bazaltowy nadkład jest poprzecinany niezliczonymi drobnymi szczelinami. Z jednej z nich sączył się jakiś biały gaz, tak że na powierzchni gazowego rozlewiska promienie słoneczne załamywały się niby w wodach mrocznego purpurowego jeziora.

– Ale kopalnia nie leży na uskoku. Tutaj nie ma uskoku!

Pugh podszedł do niego pospiesznie.

– Nie, nie ma uskoku. Słuchaj, na pewno nie wszyscy byli wewnątrz.

Martin poszedł za Pughem. Szukali wśród porozbijanych urządzeń, najpierw powoli, potem coraz energiczniej. Wreszcie dostrzegli poduszkowiec. Skierowany na południe, zarył się pod kątem w kotle erozyjnym wypełnionym pyłem koloidalnym. W poduszkowcu było dwoje pasażerów. Jeden do połowy ugrzązł w pyłe, ale przyrządy jego skafandra funkcjonowały normalnie. Drugim pasażerem była kobieta. Wisiała na pasach, przytroczona do przechylnego poduszkowca. Przez podarty skafander wyzierały połamane nogi; całe ciało było zimne jak lód. Tyle znaleźli. Zgodnie z przepisami i

zwyczajem spalili natychmiast zwłoki za pomocą pistoletów laserowych, które obowiązkowo musieli przy sobie nosić, a których nigdy dotychczas nie używali. Pugh, czując, że za chwilę dostanie torsji, władował rozbitka do dwuosobowego poduszkowca i odesłał go z Martinem do kopuły. Wtedy dopiero zwymiotował, splukał zabrudzony skafander i znalazłszy nieuszkodzony czteroosobowy poduszkowiec, poleciał za Martinem, dygocąc na całym ciele, jakby chłód Libry przeniknął go nagle do szpiku kości.

Uratował się Kaph. Był w głębokim szoku, a ponadto zauważyli opuchnięcie z tyłu głowy, które mogło wskazywać na wstrząs mózgu. Nie dostrzegli jednak żadnego wyraźnego złamania. Pugh przyniósł dwie szklanki koncentratu odżywczego i dwie miarki akwawitu.

– Masz – powiedział.

Siedzieli z Martinem na skrzynkach, sącząc akwawit. Kaph leżał nieruchomo, blady jak wosk, z kruczoczarnymi włosami do ramion, z rozchylonymi w skurczu wargami, oddychając słabo, spazmatycznie.

– Prawdopodobnie stało się to w czasie pierwszego wstrząsu, tego dużego – powiedział Martin. – Cały masyw musiał się trochę przesunąć w bok i zawalić pod własnym ciężarem. W poziomych warstwach skały znajdowały się pewnie jakieś złoża gazu, tak jak w tych formacjach z trzydziestego pierwszego sektora. Ale przecież nic tego nie zapowiadało... – Martin nie dokończył zdania, gdy świat usunął im się spod nóg.

Wszystkie przedmioty dokoła zaczęły podskakiwać, grzechotać, tańczyć, podrygiwać i krzyczeć: „Ha! Ha! Ha!”.

– Tak właśnie było o drugiej – odezwał się niepewnie rozsądek głosem Martina pośród ruiny rozsypującego się świata.

Ale kiedy zamieszanie przycichło i przedmioty przestały harcować, zbudził się ślepy instynkt i wydał przeraźliwy krzyk.

Pugh rzucił się przez kałużę rozlanego akwawitu i przytrzymał Kapha. Muskularne ciało odepchnęło go. Martin całym ciężarem przygwoździł je za ramiona. Kaph krzyczał, rzucał się, dusił. Twarz mu zsiniała.

– Tlen – powiedział Pugh, a jednocześnie, jakby wiedziona podświadomością, jego ręka znalazła w apteczce właściwą igłę. Podczas kiedy Martin nakładał Kaphowi maskę tlenową, Pugh wbił igłę w nerw błędny, przywracając klona do życia.

– Nie wiedziałem, że znasz takie sztuczki – rzekł Martin, ciężko dysząc.

– Ukłucie Łazarza. Mój ojciec był lekarzem. Ale to nie zawsze pomaga – wyjaśnił Pugh.
– Przydałby mi się teraz ten akwawit, który rozlałem. Czy trzęsienie już ustało? Nie mogę się zorientować.

– To wstrząsy wtórne, a nie tylko twoje drzenie.

– Ale dlaczego on się dusił?

– Nie wiem, Owen, zajrzyj do książki.

Kaph oddychał już normalnie i wróciły mu kolory, tylko wargi pozostały sine. Wlali w siebie nową porcję odwagi i usiedli koło niego z poradnikiem medycznym.

– Pod „szok” czy „wstrząs” nie ma niczego o sinieniu ani duszeniu się. A przecież mając na sobie skafander, nie mógł wdychać nic poza tlenem. Nie mam pojęcia, co się stało. Równie dobrze moglibyśmy studiować domowy poradnik zielarski. Hemoroidy odbytnicze, phi! – Pugh chciał rzucić książkę na stół ze skrzynek, ale albo on, albo stół nie odzyskał jeszcze równowagi, więc nie trafił.

– Ale dlaczego nie nadawał sygnału alarmowego?

– Słucham?

– Ta ósemka na dole nie miała po prostu czasu. Ale Kaph z dziewczyną byli przecież na zewnątrz. Może ona znajdowała się u wejścia do kopalni i padła ofiarą pierwszego obsunięcia... On musiał być na zewnątrz w jednej z budek sterowniczych. Wobec tego pobiegł po nią, wyciągnął ją stamtąd, wsadził do poduszki, przypiął pasami i ruszył w stronę kopuły. I przez cały czas nie nacisnął guzika alarmowego w skafandrze. Dlaczego?

– No, miał tego guza na głowie. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że dziewczyna nie żyje. Był nie w pełni władz umysłowych. Ale i tak wątpię, czyby mu przyszło do głowy nas zaalarmować. Oni oczekiwali pomocy tylko od siebie nawzajem.

Twarz Martina przypominała indiańską maskę – z bruzdami w kącikach ust, z oczyma jak matowy węgiel.

– Właśnie. Ale ciekawe, co musiał wobec tego czuć, kiedy zaczęło się trzęsienie ziemi, a on stwierdził, że jest sam na zewnątrz.

W odpowiedzi Kaph krzyknął. Podniósł się z łóżka w konwulsjach człowieka, który się dusi. Młóćąc ramionami, zwałił z nóg Pugh, zataczając się, dobrnął do sterty skrzyń i runął na podłogę, z sinymi wargami i wywróconymi białkami oczu. Martin zawlókł go z powrotem na pryczę i podał mu tlen, a następnie przykląkł przy Pughu, który zdołał tymczasem sięść, i otarł mu z krwi rozcięty policzek.

– Owen, nic ci nie jest? Owen, powiedz... Nic ci się nie stało?

– Chyba nie – odparł Pugh. – Ale dlaczego szorujesz mi tym po twarzy?

Był to kawałek zakrwawionej taśmy komputerowej. Martin wyrzucił taśmę.

– Myślałem, że to ręcznik. Rozciąłeś sobie policzek o tę skrzynię.

– Chyba mu już przeszło?

– Chyba tak.

Patrzyli na Kapha, który leżał sztywno z białą krechą zębów wyzierającą spomiędzy rozchylnych sinych ust.

– Wygląda to jak atak epilepsji. Może jakieś uszkodzenie mózgu?

– A jakbyśmy tak wstrzyknęli mu pełną dawkę meprobamatu?

Pugh pokręcił głową.

– Nie wiem, co było w tym zastrzyku, który mu dałem. Nie chciałbym przedawkować leku.

– Może on to teraz po prostu prześpi.

– Sam chętnie bym to przespał. I on, i trzęsienie ziemi to trochę za dużo jak dla mnie.

– Masz paskudnie rozcięty policzek. No, ja sobie na chwilę usiądę.

Pugh zdezynfekował ranę, ściągnął koszulę i dopiero potem odpoczął.

– Czy jest coś, co moglibyśmy zrobić... to znaczy próbować zrobić...

– Oni wszyscy nie żyją – powiedział Martin z ciężkim sercem.

Pugh położył się na swoim śpiworze, ale już chwilę później poderwał go koszmarny odgłos krztuszenia się. Zerwał się, złapał igłę i po trzykrotnych próbach wkłucia się we właściwe miejsce zaczął masować Kaphowi serce.

– Usta-usta – rzucił w stronę Martina, który usłuchał natychmiast.

Kaph chrapliwie wciągnął powietrze, serce zaczęło mu bić, napięte mięśnie się rozluźniły.

– Jak długo spałem?

– Pół godziny.

Obaj mężczyźni stali zlni potem. Ziemia drgała, kopuła chwiała się i podskakiwała. Libra znów tańczyła swoją upiorną polkę, swój taniec śmierci. Wschodzące słońce wydawało się coraz większe i czerwieńsze. Gazy i pyły, wzniecone trzęsieniem ziemi, musiały wzbić się w rozrzedzoną atmosferę.

– Co jemu jest, Owen?

– Pewnie umiera razem z nimi.

– Z nimi? Ale przecież oni nie żyją, mówię ci.

– Przynajmniej dziewięcioro z nich na pewno. Zostali przywaleni albo się podusili. Oni wszyscy byli nim, a on nimi wszystkimi. Oni już poumierali, a teraz on kona ich śmiercią, jednego po drugim.

– Boże, zmiłuj się.

Następnym razem było prawie tak samo. Za piątym gorzej, bo Kaph rzucał się i bredził, usiłując mówić i nie mogąc znaleźć słów, jakby miał usta zalepione gliną. Potem ataki były coraz słabsze, podobnie zresztą jak sam Kaph. Ósmy nastąpił koło wpół do piątej; Pugh i Martin pracowali w pocie czoła do wpół do szóstej, usiłując za wszelką cenę utrzymać przy życiu ciało, które bez sprzeciwu poddawało się śmierci. Uratowali go i tym razem, ale Martin powiedział: – Następny atak go wykończy.

I rzeczywiście wszystko na to wskazywało, Pugh jednak wtłaczał własny oddech w bezwładne płuca tak długo, aż sam stracił przytomność. Kiedy się ocknął, kopuła była przesłonięta i nie paliły się żadne światła. Nasłuchując, pochwycił oddechy dwóch śpiących mężczyzn. Zasnął więc sam i obudził go dopiero głód.

Słońce stało już wysoko nad ciemnymi równinami i planeta przestała tańczyć. Kaph leżał pogrążony w głębokim śnie. Pugh i Martin, popijając herbatę, spoglądali na niego z triumfem. Kiedy Kaph się obudził, podszedł do niego Martin.

– Jak się czujesz, stary?

Nie było odpowiedzi.

Pugh zajął miejsce Martina i spojrzał w matowe brązowe oczy, które patrzyły w jego stronę, ale nie na niego. Podobnie jak Martin szybko się odwrócił. Podgrzał koncentrat odżywczy i podając Kaphowi, powiedział: – Masz, napij się.

Widział, jak mięśnie szyi młodego człowieka się napinają.

– Dajcie mi umrzeć – wyszeptał Kaph.

– Ale ty wcale nie umierasz.

Kaph mówił jasno i wyraźnie:

– Jestem już umarły w dziewięciu dziesiątych. Zostało we mnie za mało, żeby żyć.

Precyzja tego sformułowania przekonała Pugh'a, który bronił się przed ostatecznym wnioskiem.

– Nie – rzekł stanowczo. – To oni nie żyją. Tamci. Twoi bracia i siostry. A ty to nie oni. Ty żyjesz. Ty jesteś John Chow. Twoje życie jest w twoich rękach.

Młody człowiek leżał bez ruchu, patrząc w jakąś odległą ciemność.

Martin i Pugh na zmianę górniczym ciągnikiem i zapasowymi automatami ściągali z Wrót Piekieł bezcenny sprzęt, zabezpieczając go przed działaniem niszczących warunków atmosferycznych Libry. Dla jednego człowieka była to mozolna praca, ale nie chcieli zostawić Kapha samego. Ten, który zostawał w kopule, wykonywał robotę papierkową, podczas kiedy Kaph siedział albo leżał i patrzył w tę swoją ciemność, nie odzywając się

słowem. Dni upływały w milczeniu.

Radio zachrypiało.

– Tu statek wzywa Misję. Będziemy na Librze za pięć tygodni, Owen. Od teraz licząc, za trzydzieści cztery dni ziemskie i dziewięć godzin. Jak wam leci w kopule?

– Niedobrze, szefie. Ekipa eksploatacyjna zginęła w kopalni, wszyscy poza jednym. Trzęsienie ziemi. Sześć dni temu.

Radio zatrzeszczało i ożywiło się pieśnią kosmosu. W każdą stronę było po szesnaście sekund opóźnienia radiowego. Statek krążył teraz wokół Planety II.

– Zginęli? Poza jednym? Ale tobie i Martinowi nic się nie stało?

– My jesteśmy w porządku, szefie.

Trzydzieści dwie sekundy.

– „Passerine” zostawiła nam tutaj zespół eksploatacyjny. Mogę go wobec tego posłać do Wrót Piekieł zamiast do sektora siódmego. Uzgodnimy to zresztą po wylądowaniu. W każdym razie ty i Martin zostaniecie zwolnieni z Kopuły II. Trzymajcie się. Coś jeszcze?

– Już nic.

Trzydzieści dwie sekundy.

– W porządku. Na razie, Owen.

Kaph słyszał całą tę rozmowę, więc po pewnym czasie Pugh powiedział:

– Szef może sobie życzyć, żebyś został tutaj z nowym zespołem eksploatacyjnym. Ty się już tu orientujesz.

Znając przymusowe sytuacje w przestrzeni kosmicznej, chciał ostrzec młodego człowieka. Kaph nie odpowiedział. Od chwili kiedy oznajmił: „Zostało we mnie za mało, żeby żyć”, nie odezwał się słowem.

– Owen – powiedział Martin przez hełmofon – on ma fioła. Jest stuknięty. Zwariował.

– I tak jest w świetnym stanie jak na człowieka, który umierał dziewięć razy.

– W świetnym? Mniej więcej tak jak wyłączony robot. Jedynym uczuciem, jakie mu pozostało, jest nienawiść. Spójrz na jego oczy.

– To nie jest nienawiść, Martin. Oczywiście, że on w pewnym sensie nie żyje. Ale nie mam pojęcia, co czuje. Wiem tylko, że to nie jest nienawiść. On nas przecież nawet nie widzi. Jest za ciemno.

– W ciemności podcina się gardła. Kaph nas nienawidzi, ponieważ nie jesteśmy Alephem, Yodem czy Zayin.

– Być może. Ale mnie się wydaje, że on się czuje samotny. To prawda, że nas nie widzi ani nie słyszy. Nigdy nie musiał nikogo widzieć. Nigdy dotychczas nie był samotny. Przez całe życie widział dziewięć wersji swojej osobowości i rozmawiał z nimi. On nie wie, jak to jest być samemu. Musi się nauczyć. Daj mu na to czas.

Martin pokręcił potężną głową.

– Fioł – powiedział. – Nie zapominaj, kiedy zostaniesz z nim sam na sam, że może ci skrócić kark jedną ręką.

– Już nieraz miał okazję to zrobić – odparł Pugh, mały człowieczek o łagodnym głosie i rozciętym policzku, i się uśmiechnął.

Stali właśnie przed służą powietrzną na zewnątrz, programując jeden z automatów na reperację rozbitego ciągnika. Widzieli Kapha siedzącego w wielkim jaju kopuły i przypominającego muchę zastygłą w bursztynie.

– Podaj mi tu świeży wkład. Na jakiej podstawie uważasz, że on wydobrzeje?

– Ma niewątpliwie silną osobowość.

– Silną? Okaleczoną. Dziewięć dziesiątych jest martwe, jak sam się wyraził.

– Ale on nie jest martwy. Jest żywym człowiekiem. Johnem Kaphem Chowem. Odebrał dość ekscentryczne wychowanie, ale ostatecznie każdy chłopak musi się kiedyś uzależnić od rodziny. I on to zrobi.

– Nie wydaje mi się.

– Ale pomyśl, Martin. Po co to całe klonowanie? Żeby poprawić rasę ludzką. Nie jest z nami dobrze. Spójrz na mnie. I mój iloraz inteligencji, i mój kod genetyczny to połowa tego, co ma ten John Chow. Mimo to tak bardzo byłem im potrzebny do służby w przestrzeni kosmicznej, że kiedy zgłosiłem się na ochotnika, dali mi sztuczne płuco i skorygowali krótki wzrok. A przecież gdyby mieli pod dostatkiem zdrowych młodych chłopaków, to czy braliby jakichś krótkowzrocznych Walijczyków z jednym płucem?

– Nie wiedziałem, że masz sztuczne płuco.

– No więc mam. Nie blaszane w każdym razie. Ludzkie, wyhodowane z ludzkiej tkanki w specjalnym pojemniku, poprzez klonowanie, jeśli wolisz. W ten sposób produkuje się organy zapasowe – na zasadzie klonowania, tylko tu chodzi po prostu o poszczególne części, kawałki, zamiast całych ludzi. I teraz to już jest moje płuco. Ale zmierzam do tego, że za dużo dziś jest takich jak ja, a za mało takich jak John Chow. Usiłuje się podnieść poziom w genetycznym zbiorniku ludzkim, który od czasu krachu populacyjnego stał się właściwie gnojówką. Wobec tego jeśli ktoś podlega klonowaniu, to znaczy, że jest silny i inteligentny. To logiczne.

Martin burknął coś w odpowiedzi. Automat zaczął warczeć.

Kaph jadł niewiele; miał kłopoty z połykaniem, dławił się, tak że po kilku kęsach dawał za wygraną. Schudł osiem czy dziesięć kilo. Ale po jakichś trzech tygodniach apetyt mu wrócił i pewnego dnia zaczął przeglądać rzeczy klona – śpiwory, torby i dokumenty – które Pugh złożył na porządną kupkę w dalszym końcu alei skrzyń. Posortował wszystko, zniszczył kupę papierów i niepotrzebnych drobiazgów, zrobił zgrabną paczuszkę z tego, co zostało, a następnie popadł w swój zwykły stan apatii. Dwa dni później zaczął mówić. Pugh nie mógł sobie poradzić z wibracją taśmy magnetofonowej, a Martin wyleciał akurat odrzutowcem, żeby posprawdzać mapy Pampasów.

– Do diabła ciężkiego! – zaklął Pugh, na co Kaph odezwał się bezbarwnym głosem:

– Czy chcesz, żebym ja to zrobił?

Owen podskoczył, ale opanował się natychmiast i wręczył Kaphowi magnetofon. Młody człowiek rozebrał go, złożył i zostawił na stole.

– Włóż taśmę – powiedział zajęty przy drugim stole Pugh, udając obojętność.

Kaph włożył pierwszą z brzegu taśmę, jakiś chorał, i wyciągnął się na łóżku. Kopułę wypełniła setka głosów śpiewających unisono. Kaph leżał z twarzą bez wyrazu.

W ciągu kolejnych dni nieproszony wykonał kilka codziennych drobnych prac. Nie zajmował się jednak niczym, co wymagało jakiegokolwiek inicjatywy, a kiedy polecali mu, żeby coś zrobił, wykonywał to bez słowa.

– Z nim już jest dobrze – powiedział Pugh w dialekcie argentyńskim.

– Nie jest. Zrobił się z niego automat. Wykonuje to, na co zostanie zaprogramowany, i na nic innego nie reaguje. Jest z nim gorzej niż wtedy, kiedy nie robił nic. Jest odczłowieczony.

Pugh westchnął.

– Dobranoc – powiedział po angielsku. – Dobranoc, Kaph.

– Dobranoc – odpowiedział Martin.

Kaph nie odezwał się słowem.

Nazajutrz rano przy śniadaniu Kaph sięgnął po grzanekę Martinowi przed nosem.

– Dlaczego nie poprosisz, żeby ci podać? – zapytał Martin z uprzejmością typową dla powściągananej irytacji. – Mogę ci przecież podać.

– Ale ja mogę sięgnąć sam – odparł Kaph martwym głosem.

– No, owszem, poprosić o podanie czegoś, powiedzieć „dobranoc” czy „jak się masz” to wszystko są nieważne drobiazgi, ale przecież jak się do kogoś mówi, to chyba należy odpowiedzieć...

Młody człowiek patrzył obojętnie w stronę Martina; jego wzrok nadal zdawał się nie docierać do osoby, ku której był skierowany.

– A dlaczego miałbym odpowiadać?

– Ponieważ ktoś do ciebie mówi.

– No to co?

Martin wzruszył ramionami i się roześmiał. Pugh nie wytrzymał i włączył wrębiarkę. Nieco później powiedział: – Martin, proszę cię, daj spokój.

– Zachowanie form jest bardzo ważne w małych odosobnionych grupach, JAKICHŚ form, obojętne, jakie wspólnie się przyjmie. Uczono go przecież tego. Każdy w kosmosie o tym wie. Dlaczego on to celowo lekceważy?

– A czy ty sam sobie mówisz dobranoc?

– Co takiego?

– Czy nie widzisz, że Kaph nigdy w życiu nie znał nikogo poza sobą samym?

Martin się zadumał.

– Do diabła, coś jest skopane z tym klonowaniem. Psu na buty. Co nam z tych powielanych geniuszy, skoro nawet nie zdają sobie sprawy z naszego istnienia?

Pugh skinął głową.

– Byłoby może rozsądniej rozdzielać klony i wychowywać wśród zwykłych ludzi. Tylko że w całości stanowią wspaniałą zespół.

– Tak sądzisz? Nie jestem pewien. Gdyby ten zespół składał się z dziesięciu przeciętnych, niezbyt sprawnych inżynierów planetoznawców – czy myślisz, że wszyscy by zginęli? A może było tak, że kiedy zaczęło się trzęsienie ziemi i wszystko się waliło, cały klon poleciał w jedną stronę, powiedzmy, w głąb kopalni, żeby ratować tego, który znalazł się akurat najgłębiej? Przecież nawet Kaph, mimo że był na zewnątrz, wszedł do środka... To są moje domysły, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że gdyby to było dziesięciu zwykłych skołowanych facetów, przynajmniej kilku by się uratowało.

– Nie wiem. Chociaż rzeczywiście bliźnięta jednojajowe potrafią umierać mniej więcej w tym samym czasie, nawet jeśli się nigdy nie widziały. Identyczność i śmierć – to bardzo dziwne...

Dni mijały, czerwone słońce pełzło po ciemnym niebie, Kaph nie odzywał się, kiedy do niego mówiono. Pugh i Martin warczeli na siebie coraz częściej. Pugh zaczął narzekać, że Martin chrapie, wobec tego Martin odsunął swoje łóżko w drugi koniec kopuły i też na jakiś czas przestał się do niego odzywać. Pugh pogwizdywał walijskie pieśni pogrzebowe, co z kolei Martin sobie wyprosił, w wyniku czego Owen przestał z nim rozmawiać. Na dzień przed spodziewanym przybyciem statku Martin oznajmił, że jedzie w góry

Merioneth.

– Myślałem, że mi przynajmniej pomożesz w komputerowych obliczeniach analiz skał. – Pugh poczuł się dotknięty.

– To może zrobić Kaph. Ja bym chciał jeszcze raz rzucić okiem na Rów. Bawcie się dobrze – dodał Martin w dialekcie, roześmiał się i poszedł.

– Co to za język?

– Argentyński. Mówiłem ci już kiedyś przecież.

– Nie pamiętam. – I po chwili Kaph dodał: – Chyba masę rzeczy pozapominałem.

– Ach, to nic ważnego – powiedział Pugh łagodnie, uświadamiając sobie natychmiast, jak ważna jest ta rozmowa. – Pomożesz mi w obsłudze komputera, Kaph?

Kaph skinął głową.

Zostało dużo niewykończonych spraw i robota zajęła im cały dzień. Kaph był dobrym współpracownikiem, szybkim i systematycznym, znacznie lepszym niż sam Pugh. Jego bezbarwny głos, kiedy klon już zaczął mówić, działał Pughowi na nerwy, ale ostatecznie był to drobiazg; dzielił ich jeszcze tylko jeden dzień od powrotu statku ze starą bandą, z kolegami i przyjaciółmi.

Podczas przerwy na herbatę Kaph spytał:

– A co by było, gdyby statek się rozbił?

– Zginęliby.

– Ale z wami co by się stało?

– Z nami? Nadalibyśmy przez radio sygnał SOS i zmniejszylibyśmy sobie racje żywnościowe do połowy, dopóki by nie przybył statek ratowniczy z bazy w Rejonie III. Leży ona w odległości czterech i pół lat ziemskich. Mamy tutaj zapasy dla trzech ludzi na mniej więcej cztery do pięciu lat. Byłoby trochę ciężko.

– A czy po trzech ludzi przysłałiby statek ratowniczy?

– Przysłałiby.

Kaph nie odezwał się więcej.

– Dość niewesołych rozmyślań – powiedział Pugh pogodnie, wstając i zabierając się z powrotem do pracy. Ale w momencie wstawania rzuciło go w bok i nie trafił ręką na krzesło. Wykonał coś w rodzaju piruetu i z całej siły wpadł na ścianę kopuły.

– O rany – powiedział zdziwiony, używając rodzimego idiomu. – A to co?

– Wstrząsy – odparł Kaph.

Filizanki zaczęły podskakiwać na stole z plastikowym klekotem, stos papierów zsunął się ze skrzynki, a pokrywa kopuły wydymała się i zapadała. Z dołu, spod podłogi, dobywał się wibrujący infradźwięk.

Kaph siedział nieporuszony; trzęsienie ziemi nie przeraża kogoś, kto umarł na skutek trzęsienia ziemi. Za to Pugh, biały jak papier, ze zmierzwionymi czarnymi sztywnymi włosami był uosobieniem przerażenia.

– Martin jest w Rowie – powiedział.

– W jakim rowie?

– To takie wielkie pęknięcie. Epicentrum lokalnych trzęsień ziemi. Spójrz na sejsmograf.

Pugh zaczął się szamotać z klapą drgającej jeszcze ciągle śluzy powietrznej, która się zacięła.

– Dokąd idziesz?

– Po niego.

– Martin wziął odrzutowiec. Poduszkowce są niebezpieczne podczas trzęsień ziemi.

Wymykają się spod kontroli.

– Na miłość boską, człowieku, zamknij się.

Kaph wstał.

– Niepotrzebnie po niego idziesz. – Jego głos zabrzmiał bezbarwnie jak zwykle. – To jest zbędne ryzyko.

– Jeżeli odezwie się jego sygnał alarmowy, zawiadom mnie przez radio.

Pugh zamknął hełmofon swego skafandra i pobiegł do śluzy. Kiedy się wydostał na zewnątrz, zobaczył, jak Libra, zebrawszy swoje postrzępione spódnice, wykonuje opętany taniec brzucha, podskakując aż po szkarłatny horyzont.

Kaph śledził z kopuły poduszkowiec, który wzbił się w górę, drżąc jak meteor w mętym czerwonym świetle, i zniknął na północnym wschodzie. Pokrywa kopuły zatrzęsała się, Libra zakasłała. Otwór wentylacyjny położony na południe od kopuły czknął bańką wolno ulatującego czarnego gazu. Na centralnej tablicy rozdzielczej ostro zadźwięczał dzwonek i zapaliło się czerwone światło. Pod światłem pojawił się znak „Skafander 2”, a poniżej „A.G.M.”. Kaph nie wyłączył sygnału. Usiłował nawiązać łączność radiową najpierw z Martinem, potem z Pughem, ale znikąd nie otrzymał odpowiedzi.

Kiedy wstrząsy wtórne ustały, wrócił do pracy i skończył za Pugh'a wszystko. Zajęło mu to ze dwie godziny. Co pół godziny usiłował się z nim połączyć, ale bez skutku – podobnie zresztą jak z Martinem. Po godzinie czerwone światło przestało migać.

Nadeszła pora kolacji. Kaph przygotował jedną porcję, zjadł i położył się spać.

Wstrząsy ustały, od czasu do czasu, z rzadka wyczuwało się tylko lekkie dudniące drgania. Słońce wisiało na zachodzie, spłaszczone, bladoczerwone, ogromne. Nie zapadało się też w sposób widoczny. Panowała zupełna cisza.

Kaph wstał i zaczął się tłuc samotnie po niesprzątanej, zarzuconej paczkami, zagraconej kopule. Cisza trwała nadal. Podeszedł do magnetofonu i włożył pierwszą taśmę, jaka mu wpadła w rękę. Była to muzyka czysta, elektroniczna, bez melodii, bez głosów. Taśma skończyła się. Znów ta sama cisza.

Kurtka od munduru Pugh'a, której brakowało jednego guzika, wisiała nad stertą próbek materiałów. Kaph przyglądał jej się przez chwilę.

Cisza trwała nadal.

Dziecięcy sen: Nie ma nikogo na świecie oprócz mnie. Na całym świecie.

Nisko, na północ od kopuły błysnął meteor. Usta Kaph'a otworzyły się, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale nie wydały żadnego dźwięku. Podeszedł śpiesznie do ściany północnej i spojrzał w galaretowate czerwone światło. Zalśniła mała gwiazda, która po chwili zgasła. Nagle w otworze śluzy pojawiły się dwie postacie. Kaph stał tuż przy niej, kiedy wchodzili. Skafander Martina był pokryty jakimś pyłem, jakby wymalowany ochrą i obsypany brodawkami, i przypominał powierzchnię Libry. Pugh trzymał kolegę za ramię.

– Czy jest pokaleczony?

Pugh wyskoczył ze skafandra i pomógł rozebrać się Martinowi.

– Jest w szoku – wyjaśnił krótko.

– Kawał skały spadł na odrzutowiec – powiedział Martin, siadając przy stole i wymachując rękami. – Ale na szczęście nie wtedy, kiedy ja byłem w środku. Zaparkowałem, a sam poszedłem się pokręcić po obszarze pyłów węglowych, kiedy zobaczyłem, co się zaczyna dziać. Wobec tego stanąłem na kawałku zastygłej lawy, który

zauważyłem z lotu ptaka i który stanowił pewne oparcie dla nóg, a jednocześnie był bezpiecznie oddalony od skalnych wzniesień. I wtedy zobaczyłem, jak odłupany kawał planety przywała mój pojazd, a trzeba wam wiedzieć, że mam tam zapasowe pojemniki z tlenem, więc nacisnąłem sygnał alarmowy. Ale ponieważ radio milczało, co się tu często zdarza w czasie trzęsień ziemi, nie wiedziałem, czy moje sygnały do was docierają. A tymczasem wszystko dokoła mnie podskakiwało, nad głową latały mi kamienie, a w powietrzu unosiło się tyle pyłu, że na odległość metra nie widziałem kompletnie nic. Zacząłem się już zastanawiać, jak sobie poradzę z oddychaniem, kiedy wśród kurzu i latających kamulców zobaczyłem tego wariata nad Rowem. Wyglądał jak wielki ohydny nietoperz...

– Może coś zjesz?

– Oczywiście, że zjem. A ty jak tu przeżyłeś trzęsienie ziemi, Kaph? Nic ci się nie stało? Nie było ono zresztą specjalnie silne, prawda? A co wskazywał sejsmograf? Moja sytuacja była o tyle gorsza, że znalazłem się w samym epicentrum. Epicentrum Alvara. Miałem wrażenie, jakby było z piętnaście stopni w skali Richtera, całkowita zagłada planety...

– Siadaj – przerwał mu Pugh – i jedz.

Kiedy Martin posilił się nieco, opuściła go werwa. Bardzo szybko położył się do łóżka, które w dalszym ciągu stało w drugim końcu kopuły, tam, gdzie je przesunął, obrażony na Owena.

– Dobranoc, ty Walijczyku bez płuca – powiedział.

Tyle usłyszeli od Martina. Pugh przesłonił kopułę, przygasił lampę, tak że rzucała tylko żółtą poświatę, słabszą niż świeca, i usiadł, nie robiąc nic, nic nie mówiąc, zamknięty w sobie.

Cisza trwała nadal.

– Skończyłem obliczenia.

Pugh skinął głową na znak podziękowania.

– Słyszałem sygnał alarmowy Martina, ale nie mogłem nawiązać łączności ani z nim, ani z tobą.

Pugh powiedział z wysiłkiem:

– Nie powinienem był iść. Miał jeszcze tlenu na dwie godziny, nawet gdyby mu została tylko jedna puszka. Kiedy ja wyruszałem, on mógł już być w drodze do domu. W ten sposób stracilibyśmy z sobą łączność. Wpadłem w panikę.

Cisza powróciła, przerywana tylko przeciągłym chrapaniem Martina.

– Czy ty kochasz Martina?

Pugh łypnął okiem.

– Martin jest moim przyjacielem, pracujemy razem. To porządny człowiek. – I po chwili dodał: – Naturalnie, że go kocham. A dlaczego pytasz?

Kaph nic nie odpowiedział, ale patrzył na Puga. Jego twarz się zmieniła, jakby zaświtało mu coś, czego przedtem nie dostrzegął. I głos też mu się zmienił.

– Jak wy możecie... jak wy...

Ale Pugh nie był w stanie mu odpowiedzieć.

– Nie wiem – odrzekł. – To przyzwyczajenie, częściowo. Nie wiem. Każdy z nas jest samotny, z pewnością. Co można zrobić więcej, niż podać rękę w ciemności?

Dziwny wyraz znikł z oczu Kapha, wypalił się we własnym ogniu.

– Jestem zmęczony – powiedział Pugh. – Okropne było szukanie go w tym czarnym pyłe,

w tym błocie, wśród otwierających i zamykających się w ziemi gardzieli... Idę spać. Mniej więcej około szóstej będą do nas nadawali ze statku. – Wstał i się przeciągnął.

– Znów klon – rzekł Kaph. – Przywożą z sobą drugi zespół eksploatacyjny.

– Tak?

– Jest ich dwanaścioro. Przylecieli z nami na „Passerine”.

Kaph siedział w niewielkim kręgu żółtego światła i patrzył gdzieś w bok, jak gdyby na coś, czego się lękał: na nowego klona, powieloną osobowość, którą nie był objęty. Część zdekompletowanej całości, fragment, samotny, więc bezradny, niewiedzący nawet, co to znaczy darzyć miłością innego człowieka... Musiał teraz stanąć wobec absolutnej, całkowitej samowystarczalności klona składającego się z dwunastu osób. Czy to przypadkiem nie za wiele jak na takiego biedaka? Pugh, przechodząc, położył mu rękę na ramieniu.

– Szef na pewno nie będzie wymagał od ciebie, żebyś tu z nimi został. Możesz wracać do domu. Albo, skoro już jesteś w kosmosie, zabrać się z nami. Przydasz nam się bardzo. Nie musisz się spieszyć z decyzją. Zastanów się.

Cichy głos Pugh'a przebrzmiał. Pugh stał, rozpinając marynarkę, przygięty zmęczeniem. Kaph popatrzył na niego i dostrzegł coś, czego nigdy wcześniej nie zauważył. Dostrzegł Owena Pugh'a, tego drugiego obcego człowieka, który wyciągnął do niego rękę w ciemności.

– Dobranoc – wymamrotał Pugh, wślizgując się do śpiwora tak już śpiący, że nie słyszał, jak Kaph po chwili odpowiada mu, powtarzając w mroku słowo: „Dobranoc”.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

Rzeczy

Damon Knight, wydawca Mirabilis, pierwszy wydrukował to opowiadanie w jednym z tomów „Orbity”; ukazało się tam pod tytułem *Koniec*. Nie pamiętam już dzisiaj, jak doszło do tej zmiany; musiał zapewne uznać, że *Rzeczy* przywodzą na myśl to, co oglądamy w telewizji o pierwszej w nocy – jakieś stwory z czerwonymi mackami. Ale ja wróciłam do tego tytułu, ponieważ przynajmniej ci, którzy czytali psychomity, odbiorą go właściwie. Chodzi o rzeczy, których używamy, rzeczy, które posiadamy i przez które jesteśmy posiadani; rzeczy, które budujemy z cegieł, ze słów – domy, miasta i drogi. Ale budynki się rozsypują, a drogi nie ciągną się przecież bez końca. Pozostaje więc przepaść, wyrwa, ten ostatni krok, który należy uczynić.

Stał na brzegu morza, patrząc w dal ponad długimi liniami piany, hen, gdzie wynurzały się z wody lub gdzie można się było ich domyślać – Wyspy.

– Tam – rzekł, zwracając się do morza. – Tam leży moje królestwo.

Morze powiedziało mu to, co morze mówi każdemu. W miarę jak wieczór wynurzał się zza jego pleców i sunął ponad wodą, białe linie piany bladły, wiatr cichł, a bardzo daleko na zachodzie zapłonęła gwiazda – zresztą może to było światło czy tylko wyobrażenie światła.

Późnym zmierzchem szedł znów ulicami swojego miasta. Sklepy i domy sąsiadów robiły teraz wrażenie pustych, opróżnionych, sprzątniętych i spakowanych w oczekiwaniu końca. Większość mieszkańców uczestniczyła właśnie w Wielkim Płaczu w Górnym Zamku albo była z Niszczycielami na polach. Ale Lif nie mógł opróżnić ani uprzątnąć swojej siedziby; jego towary i rzeczy były za ciężkie, żeby można je było wyrzucić, za twarde, żeby je połamać, i za odporne, żeby się dały spalić. Tylko czas mógł sobie z nimi poradzić. Gdziekolwiek je zwalono na stos, upuszczono czy ciśnięto, tworzyły coś, co było, wydawało się lub mogło się kiedyś stać miastem. Dlatego Lif nie próbował pozbyć się swoich rzeczy. Jego podwórko było więc zavalone cegłami, tysiącami cegieł własnej roboty. Piec stał zimny, ale gotowy, a dokoła beczki gliny, zaprawy murarskiej i wapna, szafliki, taczki, kielnie – jednym słowem, wszystkie niezbędne w tym zawodzie narzędzia. Pewien znajomy z ulicy Pisarzy zapytał z ironią:

– Cóż to, zamierzasz z tych cegieł zbudować mur i ukryć się za nim, jak przyjdzie koniec?

Inny sąsiad, idąc do Górnego Zamku, popatrzył przez chwilę na sterty i kupy, zwały i góry kształtnych, doskonale wypalonych cegieł, czerwonożłocistych w żłocistym

południowym słońcu, westchnął, jakby mu wszystkie one zalegały ciężarem na sercu, i rzekł:

– Rzeczy, rzeczy! Uwolnij się od tych rzeczy, Lif, bo ich ciężar ciągnie cię w dół! Chodź z nami, wznies się ponad ten konający świat.

Lif wziął cegłę ze sterty, po czym odłożył ją na miejsce i uśmiechnął się zażenowany. Kiedy już wszyscy przeszli, nie udał się ani do Zamku, ani nie poszedł pomagać w niszczeniu pól i zabijaniu zwierząt, tylko na plażę, na sam koniec kończącego się świata, za którym była już tylko woda. Teraz, kiedy znów znalazł się w swojej chacie przy cegielni w ubraniu przesyconym zapachem soli i z twarzą wysmaganą morskim wiatrem, nie miała do niego dostępu ani destrukcyjna, zaprawiona histerycznym śmiechem rozpacz Niszczycieli, ani podniosła, płaczliwa rozpacz Donosicieli ze Wzgórz; czuł się pusty, głodny. Lif był małym, ale twardym facetem, i morski wiatr, który go przez cały wieczór owiewał na końcu świata, nie ruszył go z miejsca.

– Hej – zagadnęła Lifa wdowa z ulicy Tkaczy, przecinającej jego ulicę w odległości kilku domów – widziałam cię na mieście, a przecież od zachodu słońca nie ma żywego ducha i robi się coraz ciemniej, i jest ciszej niż... – Wdowa nie dopowiedziała, od czego cichsze stało się miasto, tylko zapytała: – Jadłeś kolację? Właśnie wyjmuję pieczeń z pieca. Jest tego tyle, że sami z małym nie zjemy wszystkiego przed końcem świata, a ja nie lubię, jak się dobre mięso marnuje.

– Dziękuję ci bardzo – powiedział Lif, wkładając marynarkę.

Ruszyli ulicą Murarzy na ulicę Tkaczy wśród mroku i wichru od morza, który hulał po stromych uliczkach. W jasnym od światła lampy domu wdowy Lif bawił się z jej malcem, ostatnim dzieckiem, jakie przyszło na świat w mieście, tłustym chłopczykiem, który dopiero zaczynał stawać. Lif postawił dziecko, które – zaśmiewając się – upadło, a w tym czasie wdowa wniosła na wyplatany z grubej trzciny stół parujące mięso i chleb. Usiedli do kolacji razem z małościem, które swoimi czterema zębami wgrzyzało się w twarde kawałek chleba.

– Jak to się stało, że nie jesteś ani na Wzgórzach, ani na polach? – spytał Lif, a wdowa odpowiedziała, jakby rzeczywiście sądziła, że to wystarczy:

– Och, mam małe dziecko.

Lif rozejrzał się po niewielkim domu zbudowanym przez męża wdowy, który był dawniej jednym z jego murarzy.

– Jakie to dobre – powiedział. – Nie miałem w ustach mięsa od ubiegłego roku.

– Wiem, wiem, nikt już nie buduje domów!

– Tak, ani jednego – odparł Lif. – Ani muru, ani kurnika, ani nawet żadnych napraw ludzie nie robią. Ale na twoje tkanie ciągle są chętni, prawda?

– Tak, niektórym do końca zależy na nowym ubraniu. To mięso kupiłam od Niszczycieli, tych, co wyrznęli wszystkie stada mojego pana, a zapłaciłam im pieniędzmi, które dostałam za sztukę cienkiego płótna, utkanego specjalnie na suknię dla córki mojego pana, żeby miała co włożyć, jak przyjdzie koniec. – Wdowa prychnęła ironicznie, ale nie bez współczucia, i podjęła: – Teraz jednak nie ma już lnu ani wełny. Nie ma co prząść, nie ma co tkać. Pola wypalone, trzoda wybita.

– Tak – rzekł Lif, zajadając się smacznym mięsem. – Złe czasy – powiedział. – Najgorsze.

– Skąd wziąć chleb – ciągnęła wdowa – skoro pola wypalone? I wodę, skoro źródła

zatrute? Mówię zupełnie jak ci ze Wzgórz, co płaczą, prawda? Bierz, Lif. Wiosenne jagnię to najlepsze mięso na świecie, twierdził zawsze mój stary aż do jesieni, bo wtedy mówił, że najlepsze mięso na świecie to pieczone prosię. No, weźże sobie porządny kawałek.

Tej nocy w swojej chatce przy cegielni Lif śnił różne sny. Zwykle sypiał równie mocno, jak jego cegły, ale tej nocy cały czas unosił się na wodzie, płynąc ku Wyspom, a kiedy się obudził, stwierdził, że przestały być marzeniem czy wyobrażeniem – jak gwiazda, kiedy światło dnia gaśnie i zamienia się w ciemność – stały się czymś realnym, Lif je po prostu znał. Ciekawe jednak, co to takiego w tym śnie niosło go poprzez morze. Bo przecież nie frunął, nie szedł pieszo, nie płynął pod wodą jak ryba, ale przedostał się jakoś przez szarozielone równiny i owiane wiatrem wzgórzca oceanu do Wysp, słyszał głosy i widział światła miast.

Wyteżył umysł, by odkryć, jak człowiek może unosić się na wodzie. Przypomniały mu się źdźbła trawy niesione prądem strumienia. Przecież można by upleść z trzciny rodzaj maty, położyć się na niej i odpychając się rękami, płynąć. Ale potężne bambusy dogorywały właśnie nad rzeką, a sterty wikliny u wyplataczy koszyków już wcześniej zostały wypalone. Na Wyspach ze swoich snów Lif widział trzciny i trawy wysokie na sto stóp, z brązowymi łodygami tak grubymi, że nie mógł ich objąć ramionami, i bezmiar zielonego listowia, które wyrastało z tysięcy sterczących w górę gałęzi i pięło się ku słońcu. Na takich łodygach można sunąć po morzu. Ale w jego kraju nie rosły takie rośliny ani teraz, ani przedtem, chociaż w Górnym Zamku była ponoć do dziś rękojeść noża zrobiona z jakiegoś matowego brązowego materiału pochodzącego z obcej, nieznannej rośliny zwanej drzewem. Ale przecież nie przebędzie ryczącego oceanu na rękojeści noża.

Nasmarowane tłuszczem skóry też się unoszą na wodzie, ale garbarze od tygodni siedzieli z założonymi rękami; nie było skór na sprzedaż. Lif przestał się więc rozglądać za jakąkolwiek pomocą. Pewnego czystego wietrznego poranka wziął nad morze taczki i największy ze swoich szaflików i umieścił je na spokojnych wodach laguny. Rzeczywiście unosiły się, głęboko zanurzone, ale wystarczyło, by położył na nich rękę, a natychmiast przechylały się, napełniały wodą i tonęły. Są za lekkie, pomyślał.

Wdrapał się więc z powrotem na górę, poszedł do siebie, załadował taczki starannie wykonanymi, bezużytecznymi teraz cegłami i z powrotem zjechał z ciężkim ładunkiem. Ponieważ w ostatnich latach przychodziło na świat bardzo mało dzieci, nie było ciekawskiej młodzieży, by go pytać, co też takiego robi, i tylko jeden czy dwóch Niszczycieli, pijanych po ostatnim święcie zagłady, posłało mu kose spojrzenia z ciemnych bram poprzez jasność poranka. Cały dzień znosił Lif cegły i zaprawę murarską, a nazajutrz, choć tamten sen się nie powtórzył, zaczął na plaży, wśród huku marcowego morza, kłaść cegły, mając pod dostatkiem deszczu i piasku do utwardzenia cementu. Zbudował niewielką kopułę z cegieł, tyle że do góry dnem – owal ze spiczastymi końcami w kształcie ryby – a wszystko to z jednego rzędu cegieł, bardzo sprytnie ułożonych spiralnie. Jeżeli pływa miska czy taczki wypełnione powietrzem, to dlaczego nie miałyby pływać czara z cegieł? A jeszcze do tego będzie mocna. Kiedy więc zaprawa murarska stwardniała, Lif, napinając mięśnie swoich szerokich pleców, odwrócił czarę i zepchnął ją w białą kipieli. Misa wrzynała się jednak coraz głębiej w mokry piach, żłobiąc w nim tunel jak ślimak albo pchła piaskowa. Fale szybko napełniły ją wodą, a kiedy Lif ją opróżnił, napełniły jej wnętrze ponownie, aż na koniec wielki zielony bałwan z białym grzebieniem porwał misę, przewrócił i rozbił na pierwotne elementy, grzebiąc je w zmaconym mokrym

piachu. A Lif stał, zalany aż po szyję, i wycierał oczy ze słonego pyłu. Na zachodzie nie było widać niczego poza falami i szarymi chmurami deszczowymi. Ale one tam były. Lif je znał – z ich ogromnymi trawami, dziesięć razy wyższymi od człowieka, z dziewiczymi złocistymi polami, przeczesywanymi przez morskie wiatry, z jasnymi miastami i biało zwieńczonymi szczytami wznoszącymi się nad morzem, i z głosami pastuchów niosącymi się wśród wzgórz.

– Jestem budowniczym, a nie żeglarzem – powiedział w końcu, rozpatrzywszy swój niemądry postępek ze wszystkich stron.

Wyszedł z wody, zawzięty, wspiął się na skalną ścieżkę i poszedł w deszczu uliczkami miasta po następne taczki cegieł.

Pierwszy raz od tygodnia wolny od swojego idiotycznego snu o pływaniu zauważył teraz, że ulica Skórzana jest zupełnie wyludniona. Garbarnia robiła wrażenie zaśmieconej i opuszczonej. Warsztaty rzemieślników przypominały rząd czarnych ziejących paszcz, a okna sypialni nad nimi były ciemne. Na końcu uliczki stary szewc palił wśród okropnego smrodu niewielką kupkę zupełnie nowych butów. Koło niego stał osiodłany osioł, strzygąc niespokojnie uszami, rozdrażniony cuchnącym dymem.

Ale Lif, nie zwracając na to wszystko uwagi, załadował taczki cegłami. Tym razem, kiedy zjeżdżał na brzeg, hamując z całej siły, żeby zrównoważyć ciężar tacek na stromych uliczkach, i mobilizując siłę swoich potężnych ramion, żeby się utrzymać na krętej górskiej ścieżce wiodącej na plażę – tym razem dostrzegł, że idzie za nim kilku mieszkańców miasteczka. Po jakimś czasie przyłączyło się do nich jeszcze ze dwóch czy trzech z ulicy Pisarzy, a potem kilku z uliczek okalających rynek, tak że kiedy Lif wyprostował wreszcie grzbiet i usłyszał ryk piany u swoich bosych stóp, a na czole poczuł chłód potu, w pobliżu głębokiej koleiny pozostawionej w piasku przez koło jego taczki spostrzegł niewielki tłumek. Ludzie ci snuli się od niechcenia zwyczajem Niszczycieli. Lif nie zważał na nich, chociaż wiedział, że wdowa z ulicy Tkaczy z przerażeniem obserwuje tę scenę z góry.

Dopchał taczkę głęboko w morze, aż woda sięgnęła mu do piersi, wysypał cegły i biegiem uciekł przed falą, ciągnąc za sobą podskakującą taczkę pełną piany.

Tymczasem Niszczyciele zaczęli się już rozchodzić. Wysoki mężczyzna z ulicy Pisarzy, mijając powoli Lifa, rzekł z uśmiechem:

– Dlaczego nie zrzucasz tych cegieł ze szczytu skały, człowieku?

– Bo spadłyby zaledwie na piasek – odparł Lif.

– A ty chcesz je zatopić? Hmm. Czy wiesz, że niektórzy myśleli, że ty tu coś budujesz? Chcieli z ciebie zrobić cement! Uważaj, żeby te cegły były mokre i chłodne, człowieku. – I uśmiechając się, pisarz odszedł, a Lif ruszył pod górę po nowy ładunek cegieł.

– Chodź na kolację, Lif – powiedziała udręczonym głosem wdowa, która stała na szczycie skały, tuląc dziecko, by je uchronić przed zimnym wiatrem.

– Przyjdę – odparł. – I przyniosę bochenek chleba. Odłożyłem sobie kilka, zanim piekarze się wynieśli.

Uśmiechnął się, ale ona nie odwzajemniła uśmiechu. Kiedy szli razem w górę ulicami miasta, zapytała:

– Czy ty zatapiasz swoje cegły w morzu, Lif?

Roześmiał się na to serdecznie i odpowiedział, że tak. Jej twarz przybrała wtedy wyraz, który mógł oznaczać albo ulgę, albo smutek. Ale przy kolacji, w świetle lampy, była

spokojna i pogodna jak zawsze, w miłym nastroju jedli więc ser i czerstwy chleb.

Następnego dnia Lif zwoził cegły, taczki za taczkami, i jeśli nawet Niszczyciele go obserwowali, myśleli, że robi to samo co oni. Plaża opadała stopniowo aż do głębiny, dlatego mógł budować, niewidoczny ponad wodą. Zaczął w czasie odpływu, tak żeby to, co wykonał, zawsze było zakryte. W czasie przyływu sprawa była trudniejsza – kładł cegły pod wodą, niezbyt równo, bo skłębione bałwany oślepiały go pianą i przewalały mu się nad głową. Ale Lif nie dawał za wygraną. Pod wieczór przyniósł żelazne pręty i umocnił to, co zbudował, ponieważ prądy poprzeczne mogłyby mu podmyć drogę w miejscu oddalonym mniej więcej osiem stóp od brzegu. Upewnił się, że czubki prętów są niewidoczne nawet przy odpływie, więc Niszczyciele nie będą mogli się zorientować, że dokonuje jakichś umocnień. Dwaj starsi mężczyźni, którzy wracali właśnie o zmroku z Wielkiego Placzu w Górnym Zamku, mijając jego puste taczki stojące na ulicy, obrzucili je kamieniami; jeden i drugi smętnie pokiwał nad Lifem głową.

– Dobrze jest pozbyć się wszystkich rzeczy – powiedział jeden z nich cicho, a drugi mu przytaknął.

Nazajutrz, mimo że sen o Wyspach się nie powtórzył, Lif dalej budował swoją drogę. W miarę jak się posuwał, piaszczyste dno opadało coraz bardziej stromo. Przyjął więc teraz taką metodę: stawał na końcu drogi i stamtąd wywalał do wody starannie załadowane taczki, a następnie pracował, to zanurzając się, to wynurzając dla zaczerpnięcia powietrza, i tak w kółko, żeby wyrównać cegły i poukładać je pomiędzy osadzonymi wcześniej prętami, a potem znów wychodził na ląd i znów brnął przez szary piach i pod górę, poskrzypując na wybojach cichych uliczek pustymi taczkami – po następny ładunek cegieł.

Pewnego dnia wdowa, spotkawszy go w cegielni, powiedziała:

– A może ja ci będę zrzucała te cegły z góry? To ci oszczędzi trudu.

– Ale ładowanie taczek to nielekka praca – odparł Lif.

– Co z tego – odrzekła wdowa.

– Dobrze, jak chcesz... Tylko że cegły to ciężkie sukinsyny. Nie próbuj udźwignąć zbyt wielu naraz. Dam ci małe taczki. A brzdąc może sobie usiąść na wierzchu – będzie miał przejazdkę.

Pomagała więc Lifowi wdowa w srebrzyste dni, kiedy ranki były mgliste, a morze i niebo czyste przez całe popołudnia i w szczelinach skalnych kwitły chwasty – nie zostało bowiem poza nimi nic, co mogłoby zakwitnąć. Droga wybiegała już teraz na długość wielu jardów w morze, a Lif musiał zdobyć umiejętność, jakiej – jeśli się nie mylił – nie posiadał nikt poza rybą. Unosił się mianowicie na powierzchni wody czy w wodzie, w samej głębi morza, nie dotykając ziemi ręką ani nogą. Nigdy nie słyszał, żeby jakikolwiek człowiek był do tego zdolny, ale nie zastanawiał się nad tym zbyt wiele, za bardzo był zajęty swoją pracą – przez cały dzień tylko z lądu i na ląd, z wody i do wody, wśród piany i baniek powietrza w wodzie lub wody w powietrzu, wśród mgły i kwietniowego deszczu, wśród pomieszania wszystkich żywiołów. Czasami czuł się bardzo szczęśliwy w mrocznym, zielonym, dusznym świecie, zmagając się z dziwnie upartymi, pozbawionymi ciężaru cegłami, pomiędzy ławicami gapiących się na niego ryb – i wtedy tylko konieczność zaczerpnięcia tchu pchała go w górę, ku przesyconemu pyłem wodnym wiatrowi, gdyż zaczynał się dusić.

Lif budował caluteńki dzień – gramolił się na brzeg, żeby pozbierać cegły, które mu

wierna pomocnica zrzucała ze skały, załadować je na taczki i wwieźć na drogę, biegnącą na głębokości stopy czy dwóch pod wodą w czasie odpływu, a czterech czy pięciu w czasie przyływu. Na samym końcu drogi zrzucił cegły do wody, nurkował za nimi i układał je, a następnie ruszał po kolejny ładunek. Do miasta wracał dopiero wieczorem, z oczyma zażawionymi i skórą podrażnioną od soli, głodny jak wilk, by zjeść z wdową i jej synkiem, co było do zjedzenia.

Ostatnio, chociaż nastąpiły łagodne, długie i ciepłe wieczory wiosenne, miasto zalegały ciemność i cisza. Kiedy nie był zbyt zmęczony, żeby to zauważyć, powiedział o tym wdowie, która odparła:

– Och, sądzę, że oni wszyscy się już wynieśli.

– Wszyscy? – I po przerwie Lif dodał: – A dokąd?

Kobieta wzruszyła ramionami, uniosła swoje ciemne oczy i przez chwilę w milczeniu patrzyła na niego poprzez stół w świetle lampy i w ciszy.

– Dokąd? – powtórzyła. – A dokąd prowadzi twoja morska droga, Lif?

Przez jakiś czas Lif milczał, ale w końcu odrzekł:

– Do Wyp – po czym roześmiał się i spojrzał jej w oczy.

Ale ona nie odwzajemniła uśmiechu, tylko powiedziała:

– A czy one są rzeczywiste? Czy to prawda, że Wyspy istnieją?

Spojrzała na śpiące dziecko i dalej przez otwarte drzwi w ciemność późnowiosennej nocy, otulającej swoim ciepłem ulice, po których nikt nie chodził, i domy, w których nikt nie mieszkał. Wreszcie przeniosła wzrok na Lifa.

– Lif, a czy ty wiesz, że już niewiele cegieł zostało? Zaledwie kilkaset. Będziesz musiał dorobić więcej. – A potem zaczęła cicho płakać.

– Do licha! – wykrzyknął Lif na myśl o swojej podwodnej drodze, która ciągnęła się na sto dwadzieścia stóp, i o morzu, które ciągnęło się jeszcze tysiące mil za nią. – Ja tam dopłynę! A ty nie płacz, serduszek. Czyż zostawiłbym cię tutaj samą z tym brzdącem? Po tym, jak mi o mało nie zrzuciłaś tych wszystkich cegieł na głowę, jak nas karmiłaś tymi dziwnymi roślinami i skorupiakami, które wytrwale zbierałaś, jak mi użyczyłaś swego stołu, kominka, łoża i uśmiechu – czy ja bym cię po tym wszystkim zostawił samą płaczącą? No, bądź już cicho i otrzyj łzy. Pozwól, niech pomyślę o jakimś sposobie przedostania się stąd na Wyspy dla nas wszystkich.

Ale Lif wiedział, że nie ma takiego sposobu. W każdym razie nie dla kogoś, kto zajmuje się wyrabianiem cegieł. Robił, co było w jego mocy. A w jego mocy było zbudować drogę, która wybiegała na sto dwadzieścia stóp w morze.

– Czy sądzisz – zapytał po długiej przerwie, w czasie której wdowa sprzątnęła ze stołu i zmyła talerze w źródlanej wodzie, znów czystej teraz, kiedy już Niszczyciele wynieśli się z miasta – czy myślisz, że... że może... – Słowa nie chciały mu przejść przez gardło, ale kobieta czekała cierpliwie, aż skończy, wobec czego musiał powiedzieć – ...że to jednak jest koniec?

Cisza. W oświetlonym lampą pokoju i we wszystkich ciemnych pokojach, i na ulicach, na wypalonych polach i opuszczonych ziemiach – cisza. We wznoszącym się wysoko na szczycie wzgórza zamku – cisza. Cisza w powietrzu, cisza w niebie, cisza wszędzie, niezmacona, głucha. Z wyjątkiem szumu morza i ledwie słyszalnego, choć przecież tak bliskiego oddechu śpiącego dziecka.

– Nie – powiedziała kobieta. Usiadła naprzeciwko niego i położyła ręce na stole, piękne

ręce, ciemne jak ziemia, o dłoniach koloru kości słoniowej. – Nie – powtórzyła. – Koniec to będzie koniec. A to jest w dalszym ciągu tylko czekanie.

– No to dlaczego tu jeszcze jesteście? Właśnie my?

– Cóż – odparła – ty miałaś swoje rzeczy, swoje cegły, a ja dziecko...

– Jutro musimy stąd ruszać – powiedział po chwili.

Wdowa skinęła głową.

Wstali przed wschodem słońca. Nie było już nic do jedzenia, więc kobieta włożyła do torby tylko kilka ubranek dla malca, a na siebie ciepły skórzany płaszcz. Lif zatknął za pas nóż i kielnię, wziął płaszcz po jej mężu i wyszli z małego domku na zimną, mroczną, opustoszałą ulicę.

Szli w dół; on przodem, ona za nim ze śpiącym maleństwem zawiniętym w płaszcz. Lif nie skręcił ani ku drodze, która wiodła brzegiem morza na północ, ani na drogę biegnącą w kierunku południowym, tylko minął rynek, wdrapał się na szczyt góry i stamtąd zaczął schodzić skalistą ścieżką na plażę. Przez cały czas kobieta szła za nim; żadne z nich nie odezwało się słowem. Na brzegu morza Lif się odwrócił.

– Będę cię utrzymywał na wodzie dopóty, dopóki zdołam – powiedział.

Skinęła głową i rzekła cicho:

– Pójdziemy drogą, którą zbudowałeś, dokąd się da.

Wziął ją za rękę i wprowadził do wody. Była zimna. Była lodowata, a chłodne światło ze wschodu, gdzieś spoza nich, oświetlało linię piany, która z sykiem wdzierała się na piasek. Na początku drogi cegły leżały mocno i pewnie, i dziecko z powrotem zasnęło na ramieniu matki, otulone w jej płaszcz. W miarę jak się posuwali, uderzenia fal były coraz silniejsze. Zbliżał się przyływ. Pierwsze fale zmoczyły im odzież, przenikając ich zimnem na wskroś, zalały im włosy i twarze. Tak dobrnęli do końca ciężkim trudem wybudowanej drogi. Niedaleko za nimi leżała plaża – ciemny szmat piasku u stóp skały, nad którą rozpościerało się ciche, błędne niebo. Dokoła szalała spieniona woda. Przed nimi otwierała się wielka otchłań, przepaść.

Nagle uderzyła w nich ciągnąca ku brzegowi fala. Zachwiali się. Dziecko, obudzone silnym uderzeniem, zapłakało – cichutki szloch pośród nieustannego, syczącego pomruku morza, które zawsze mówi to samo.

– Och, nie, nie dam rady! – wykrzyknęła kobieta, ale uchwyciła się mocniej ramienia mężczyzny i szła dalej u jego boku.

Uniósłszy głowę przed ostatnim krokiem pomiędzy tym, co zbudował, a nieistniejącym brzegiem, Lif zobaczył w zachodniej stronie morza jakiś kształt, skaczące światło na wodzie, biały błysk niby pierś jaskółki chwytająca pierwsze promienie słońca. Wydało mu się też, że poprzez szum morza słyszy głosy.

– Cóż to takiego? – powiedział, ale kobieta pochyliła głowę nad maleństwem, usiłując uciszyć szloch, który wzmagił się z potężnym bełkotem morza.

Lif stał bez ruchu i patrzył na biel żagla, na tańczące światło zbliżające się nad falami ku nim i ku większemu światłu, które wyrastało za nimi.

– Czekać! – dobiegło wołanie od strony tego kształtu, który sunął po szarej fali, tańcząc wśród pian. – Czekać! – Głosy brzmiały słodko i kiedy biały żagiel pochylił się nad nimi, mężczyzna zobaczył twarze i wyciągnięte ręce. – Chodźcie, wsiądźcie na statek i płyncie z nami na Wyspy.

– No, śmiało – powiedział łagodnie Lif do kobiety i uczynili ten ostatni krok.

Wycieczka do głowy

Większość ludzi „wiedzie życie w cichej rozpacz” i niektóre opowiadania też się od tego zaczynają. Byliśmy w Anglii, był listopad, ciemno już o drugiej po południu, ukradziono mi w porcie w Southampton walizkę ze wszystkimi rękopisami. Nie napisałam od miesiący ani słowa i nie rozumiałam sklepikarza, a on nie rozumiał mnie, i była to właśnie rozpacz, ale cicha – trzymać fason, rozumiecie. I wtedy właśnie siadłam i zaczęłam bazgrać słowa – bez cienia nadziei. Słowa, słowa, słowa. Doszły do miejsca: „Spróbuj być Amandą – powiedział cierpko ten drugi”, i urwały się. Jakiś rok później (Koleje Brytyjskie, cześć im i chwała, odnalazły skradzioną walizkę, byliśmy u siebie w Oregonie, padało) znalazłam swoje bazgroły, zaczęłam bazgrać dalej i doszłam do końca. W żaden sposób nie potrafiłam znaleźć do tej pisaniny tytułu – zrobiła to, ku memu zadowoleniu, moja agentka Virginia Kidd.

Są opowiadania, które nazwałabym wybijaczami szpuntów. Pisarz z jakiegoś powodu utknął w miejscu, nie może pracować. Wtem zaczyna pisać znowu – piwo z hukiem tryska z baryłki i pieni się na podłodze. To opowiadanie było zdecydowanie takim właśnie wybijaczem szpuntu.

– Czy to jest Ziemia?! – zawołał, gdyż wszystko gwałtownie się zmieniło.

– Taa, to Ziemia – odezwał się jego sąsiad. – Nie oddaliłeś się od niej. W Zambii trenują do lotów kosmicznych, turlając się w beczkach ze zbocza góry. Izrael i Egipt zdefoliowały sobie nawzajem pustynie. Reader’s Digest wykupił większość akcji spółki Stany Zjednoczone-General Mills. Ludność Ziemi wzrasta o trzydzieści miliardów w każdy czwartek, pani Jacqueline Kennedy-Onassis w poszukiwaniu cichej przystani poślubi w sobotę Mao Tse-tunga, a Rosjanie zarazili Marsa rdzą zbożową.

– W takim razie – odpowiedział – nic się nie zmieniło.

– Niewiele – przyznał sąsiad. – Jak powiedział w uroczy sposób Jean-Paul Sartre: „Piekło to inni”.

– Niech piekło pochłonie Jeana-Paula Sartre’a. Chcę wiedzieć, gdzie jestem.

– W takim razie – odezwał się ten drugi – powiedz mi, kim jesteś.

– Jestem.

– No więc?

– Nazywam się.

– Jak?

Wstał, łzy napłynęły mu do oczu, kolana mu drżały. Zrozumiał, że nie zna swojego nazwiska. Był pustym miejscem, zerem, iksem. Był człowiekiem z krwi i kości, ale był

nikim. Miał ciało i wszystko, co trzeba, ale nie wiedział, kto jest ich właścicielem.

Stali na skraju lasu, on i ten drugi. Był to niewątpliwie las, choć listowie miał jakieś bure i nadzarte po brzegach środkami chwastobójczymi. Oddalał się od nich w głąb lasu jelonek, który po drodze zgubił swoją nazwę. Jakieś łagodne oczy spojrzały na nich z ciemności i znikły.

– To jest Anglia! – krzyknął ten, który był zerem, chwytając niesione wiatrem źdźbło, ale ten drugi powiedział: – Anglia zatonąła wiele lat temu.

– Zatonęła?

– Tak. Zapadła się. Został jedynie wierzchołek Snowdon, znany teraz pod nazwą Nowej Rify Walijskiej.

Słyszając to, ten, który był zerem, też się zapadł. Był załamany. Jęczał na klęczkach, chcąc błagać kogoś o pomoc, ale nie mógł sobie przypomnieć, kogo się błaga o pomoc. Kogoś na T, był tego prawie pewien. Zaczął łkać. Ten drugi przysiadł na trawie obok niego i po chwili położył mu rękę na ramieniu.

– Daj spokój – powiedział. – Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca.

Łagodny głos podniósł nieco iksa na duchu. Opanował się, otarł twarz rękawem i spojrzał na tego drugiego. Był nieco do niego podobny. Był drugi. Ale on też nie miał imienia. Jaki był z niego pożytek?

Cień przysłonił mu oczy, kiedy Ziemia obróciła się wokół swojej osi. Cień przesunął się na wschód i w górę, obejmując oczy tamtego.

– Myślę – powiedział iks ostrożnie – że powinniśmy odsunąć się z cienia tego tutaj. – Wskazał pobliskie przedmioty, duże, ciemne od dołu i wielorako zielone od góry, przedmioty, których nazw nie pamiętał. Zastanawiał się, czy każdy z nich ma własną nazwę, czy też wszystkie nazywają się tak samo. A on i ten drugi, czy mają wspólne imię, czy każdy z nich ma własne? – Mam wrażenie, że pamięć mi się poprawi, kiedy się od nich oddalę – wyjaśnił.

– Niewątpliwie – odparł ten drugi. – Ale nie będzie to miało takiego znaczenia jak kiedyś.

Kiedy wyszli na słońce, natychmiast przypomniał sobie, że tamto nazywa się las, a to w nim to są drzewa. Nadal jednak nie mógł sobie przypomnieć, czy każde drzewo ma własne imię. Jeżeli tak, to nie pamiętał ani jednego. Może po prostu nie znał ich osobiście.

– Co robić? – pytał. – Co robić?

– Wiesz co? Możesz się nazwać, jak ci się podoba. Dlaczego nie?

– Ale ja chcę znać swoje prawdziwe imię.

– To nie zawsze jest łatwe. Na razie jednak mógłbyś przykleić sobie jakby etykietkę do celów rozpoznawczych i konwersacyjnych. Wybierz sobie imię, dowolne! – powiedział ten drugi i wyciągnął ku niemu niebieskie pudełko z napisem „Do jednorazowego użytku”.

– Nie – powiedział iks dumnie – wybiorę sam.

– Dobrze. Ale może chcesz chusteczkę.

Iks wziął papierową chusteczkę, wytarł nią nos i powiedział: – Nazwę się... – I urwał przerażony.

Ten drugi obserwował go z łagodnym wyrazem twarzy.

– Jak mogę powiedzieć, kim jestem, skoro nie wiem, kim jestem?

– Jak chcesz się dowiedzieć, kim jesteś?

– Gdybym coś miał... Gdybym coś zrobił...

– ...toby cię powołało do istnienia?

– Oczywiście.

– Nigdy mi to nie przyszło do głowy. No cóż, w takim razie nie jest ważne, jak cię nazywają, każde imię jest równie dobre. Liczy się to, co robisz.

Iks wstał.

– Będę istniał – stwierdził kategorycznie. – Nazwę się Ralfem.

Gabardynowe bryczesy ciasno opinały jego mocarne uda, sztywny kołnierz zachodził wysoko na szyję, pod szopą kędzierzawych włosów zbierał się pot. Ralf uderzał się szpicrutą po cholewach, zwrócony plecami do Amandy, która siedziała w swojej starej szarej sukni w głębokim cieniu orzesznika. On stał w pełnym słońcu, pieniąc się ze złości.

– Jest pani szalona – powiedział.

– Ależ panie Ralfie! – odezwała się miękkim, śpiewnym, południowym akcentem. – Jestem tylko troszeczkę uparta.

– Zdaje sobie pani przecież sprawę, że choć jestem Jankesem, należy do mnie cała ziemia stąd do Weevilville? Cały powiat jest mój! Pani farma nie starczyłaby na ogródek dla jednego z moich Murzynów!

– To prawda. Czy nie zechciałby pan usiąść w cieniu, panie Ralfie? Tam musi być panu okropnie gorąco.

– Dumna wiedźma – mruknął, odwracając się.

Ujrzał ją, białą jak lilia, w znoszonej starej sukni, w cieniu rozłożystego starego drzewa: biała lilia w ogrodzie. Nagle znalazł się u jej stóp, ścisnął jej dłonie. Zatrzepotała w jego mocarnym uścisku.

– Ależ panie Ralfie! – krzyknęła słabo. – Cóż to ma znaczyć?

– Jestem mężczyzną, Amando, a pani jest kobietą. Nigdy nie chciałem pani ziemi. Zawsze chciałem tylko pani, moja biała lilio, moja mała buntowniczo! Chcę pani, Amando! Niech pani powie, że zostanie moją żoną!

– Zostanę – szepnęła ledwo słyszalnie, skłaniając się ku niemu jak kwiat, a wargi ich spotkały się w długim pocałunku.

Ale wszystko to jakoś nie pomagało.

Może należałoby przesunąć akcję o jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat.

– Ty zwyrodniała dziwko – mruknął, odwracając się.

Ujrzał ją zupełnie nagą w cieniu, opartą plecami o pień orzesznika, z podciągniętymi kolanami. Ruszył ku niej, rozpinając rozporek. Zwarli się w pełnym stonóg zielsku. On rzucał się jak ujeżdżany mustang, a ona krzyczała drżącym głosem: – Oooch! Aaach! Już – już – już – ou – ou – ou! O!

I co dalej? Iks stał na skraju lasu i niepokieszony wpatrywał się w tego drugiego.

– Czy ja jestem mężczyzną? – spytał. – A ty, czy jesteś kobietą?

– Nie pytaj mnie – odparł tamten ponuro.

– Myślałem, że to najważniejsza rzecz, jaką mamy do ustalenia.

– To nie jest tak strasznie ważne.

– Chcesz powiedzieć, że to nie ma znaczenia, czy jestem mężczyzną, czy kobietą?

– Oczywiście, że to ma znaczenie. Dla mnie też. Znaczenie ma również, jakim

mężczyzną i jaką kobietą jesteśmy albo też nie jesteśmy. Na przykład Amanda mogłaby się okazać Murzynką.

– Ale płęć...

– O, do diabła! – wybuchnął ten drugi. – Szczecionogi mają płęć, leniwce mają płęć, Jean-Paul Sartre ma płęć... i co z tego?

– Ale przecież płęć to coś rzeczywistego, to posiadanie i działanie w najbardziej intensywnej formie. Mężczyzna, biorąc kobietę, dowodzi swego istnienia!

– Rozumiem. A jeżeli jest kobietą?

– Ja byłem Ralfem.

– To spróbuj być Amandą – odparł ten drugi cierpko.

Na chwilę zamilkli. Od strony lasu pełzły na wschód cienie. Jakieś małe ptaki wołały dżig-dżig-tereu. Iks siedział, obejmując kolana. Ten drugi leżał wyciągnięty, układając wzory z sosnowych igieł, okryty cieniem, zasmucony.

– Przepraszam – powiedział iks.

– Nic nie szkodzi – odparł ten drugi. – Ostatecznie to nie było naprawdę.

– Posłuchaj – zaczął iks, zrywając się. – Już wiem, co się stało! Mam halucynacje. Zażyłem coś i jestem na wycieczce!

I rzeczywiście był na wycieczce. Kajakowej. Płynął długim, wąskim, ciemnym, lśniącem strumieniem. Zamykały go betonowe ściany i strop. Było ciemno. Długie jezioro, strumień czy kanał wyraźnie się wznosiły. On wiosłował pod prąd, w górę. Pracował ciężko, ale kajak posuwał się naprzód równie bezgłośnie jak czarna, lśniąca woda odpływała w tył. Wiosłował spokojnie, wiosło wchodziło w wodę jak nóż w masło. Jego czarna, inkrustowana macią perłową gitara leżała przed nim. Wiedział, że ktoś jest za nim, ale nic nie mówił. Nie wolno mu było odzywać się ani nawet oglądać, więc gdyby coś się stało, to byłaby ich sprawa, nie mogliby mieć pretensji do niego. Wiedział, że nie może zwolnić, gdyż prąd mógłby porwać kajak, a jego wyrzucić za burtę. I jak by wtedy wyglądał? Zamknął oczy i wiosłował, bezgłośnie zanurzenie wiosła, mocne pociągnięcie. Nie słyszał najmniejszego szmeru za sobą. Woda nie wydawała żadnego dźwięku. Beton nie wydawał żadnego dźwięku. Zastanawiał się, czy rzeczywiście posuwa się naprzód, czy tylko wisi nieruchomo, a czarna woda mknie pod nim. Miał wrażenie, że nigdy już nie wypłynie na światło dzienne. Wydostać się stąd, wydostać...

Wydostać się. Ten drugi jakby wcale nie zauważył, że iks był na wycieczce – leżał, układając wzory z igieł sosnowych, i po chwili spytał: – Jak tam twoja pamięć?

Iks przeszukał pamięć, żeby sprawdzić, czy się poprawiła przez czas jego nieobecności; było tam jednak jeszcze mniej niż przedtem. Pustki w kredensie. Tylko dużo wszelkiego śmiecia w piwnicach i na strychu, stare zabawki, dziecinne wierszyki, mity, bajdy, ale żadnego pokarmu dla dorosłych, ani skrawka dobytku, ani okruchu powodzenia. Szukał i szukał, niby głodny, systematyczny, zawzięty szczur. Wreszcie powiedział niepewnie: – Pamiętam Anglię.

– Na pewno. Myślę, że możesz nawet pamiętać Omaha.

– Ale ja pamiętam, że byłem w Anglii.

– Naprawdę? – Ten drugi usiadł, rozsypując igły. – Więc pamiętasz, że byłeś! Jaka szkoda, że Anglia zatoneła.

Znów obaj zamilkli.

– Wszystko straciłem.

Ciemność była w oczach tego drugiego i na wschodnim skraju ziemi zsuwającej się po coraz bardziej stromym stoku nocy.

– Jestem nikim.

– Wiesz przynajmniej, że jesteś człowiekiem.

– I co z tego? Bez imienia, bez płci, bez niczego? Równie dobrze mogę być szczecionogiem lub leniwcem!

– Równie dobrze możesz być Jeanem-Paulem Sartre'em.

– Sartre'em? – powtórzył iks dotknięty do żywego. Zmuszony do protestu z powodu tak odrażającego pomysłu, wstał i oświadczył: – Na pewno nie jestem Jeanem-Paulem Sartre'em. Jestem sobą.

I powiedziawszy to, stwierdził, że jest rzeczywiście sobą. Nazywał się Lewis D. Charles i był tego pewien jak własnego imienia. To był on.

A tam był las w całej okazałości.

Znikł natomiast ten drugi.

Lewis D. Charles zajrzał w czerwone oko zachodu i ciemne oko wschodu.

– Wróć! Proszę cię, wróć! – zawołał głośno.

Źle się do tego zabrał, od końca. Znalazł nie to imię. Odwrócił się i bez najmniejszej troski o bezpieczeństwo zanurzył się w las, odrzucając samego siebie, żeby się dowiedzieć, co odrzuca.

W cieniu drzew natychmiast na powrót zapomniał swojego imienia. Zapomniał również, czego szuka. Co to było? Szedł coraz głębiej w mrok, w gęstwinę, na wschód, przez las, w którym płonęły bezimienne tygrysy.

Przełożył Lech Jęczmyk

Szerzej niż imperia i wolniej

Znów drzewa.

Pamiętam, jak Robert Silverberg, który pierwszy opublikował to opowiadanie w antologii *New Dimensions 1*, spytał bardzo uprzejmie, czy nie zmieniałabym tytułu. Rozumiem, że czytelnik w połowie opowiadania może uznać, że tytuł zbyt wiele zdradza; był jednak zbyt piękny i zbyt trafny, żeby się z nim rozstać, więc pan Silverberg pozwolił mi go zachować. Pochodzi z wiersza Marvella *Do cnotliwej kochanki*.

Szerzej niż imperia i wolniej powinna
Rozrastać się ta nasza miłość roślinna.

Podobnie jak *Dziewięć śmierci* nie jest to psychomit, tylko normalne opowiadanie fantastycznonaukowe potraktowane nie w sposób sensacyjno-przygodowy, lecz psychologiczny. Jeżeli akcja fizyczna nie jest odbiciem akcji psychologicznej, jeżeli czyny nie są wyrazem osobowości, opowiadania przygodowe bardzo mnie nudzą; często ma się wrażenie, że im więcej akcji, tym mniej się dzieje. Widocznie moje zainteresowania obracają się wokół tego, co zachodzi wewnątrz człowieka. Kosmos wewnętrzny i te rzeczy. Każdy z nas kryje puszcę w swojej psychice. To puszcze niezbadane, nieskończone. Każdy z nas błądzi w takiej puszczy co noc samotnie. Wśród listowia ukryty został tutaj mały dowód uznania. Bohater jednego z najlepszych opowiadań fantastycznonaukowych, jakie znam, *Tego, który kształtuje Rogera Żelaznego*, nazywa się Charles Render. Ochrzciałam jego imieniem zespół objawów chorobowych.

Dopiero w pierwszych dziesięcioleciach Ligi Ziemia zaczęła wysyłać statki w nieprawdopodobnie dalekie podróże, poza granice znanego Wszechświata. Miały szukać naprawdę obcych cywilizacji, planet niezasielonych przez ojców założycieli z Hain. Wszystkie Znane Światy były pochodzenia haińskiego i Ziemia, która została nie tylko zasiedlona, ale i uratowana przez Hainów, buntowała się przeciwko tej myśli, chciała oderwać się od rodziny, chciała znaleźć coś nowego. Hainowie, niby do znudzenia wyrozumieli rodzice, popierali ziemskie poszukiwania, dostarczając statków i ludzi, podobnie zresztą jak kilka innych planet Ligi.

Wszyscy ochotnicy do załóg dalekiego zwiadu mieli jedną cechę wspólną: byli

nienormalni.

Bo czyż normalny człowiek wyruszy zbierać informacje, które zostaną odebrane po pięciu lub dziesięciu stuleciach? Momentalna łączność sprawdzała się tylko w zasięgu stu dwudziestu lat świetlnych, bo ciągle nie udało się wyeliminować zakłóceń wywołanych masami kosmicznymi. Członkowie ekspedycji byli więc skazani na odosobnienie. I oczywiście nie mieli pojęcia, co zastaną po powrocie, jeżeli w ogóle wrócą. Żaden normalny osobnik, który poznał na własnej skórze, co to jest poślizg czasowy – choćby kilkudziesięcioletni, jak pomiędzy światami Ligi – nie zgodziłby się na udział w wyprawie z poślizgiem kilkusetletnim. Zwiadowcy byli eskapistami, ludźmi nieprzystosowanymi do życia. Byli stuknięci.

Dziesiątka takich właśnie osobników weszła na pokład promu w porcie Smeming i podjęła nieudolne próby wzajemnego poznania się podczas trzydniowego lotu do statku o nazwie „Gum”. *Gum* to pieszczotliwe ceteńskie słowo znaczące mniej więcej tyle, co „maleństwo”. Wśród załogi było dwóch Ceteńczyków, dwóch Hainów, jeden Beldeńczyk i pięcioro Ziemiaków; kosmolot ceteńskiej produkcji został wynajęty przez Radę Światową Ziemi. Ta zbieranina przedostała się na swój statek przez rękaw łączący, jedno po drugim, jak przemyślnie plemniki, chcące zapłodnić Wszechświat. Prom odbił i nawigator skierował kosmolot ku celowi. Przez kilka godzin „Gum” mknął skrajem naszej przestrzeni, a potem nagle zniknął.

Kiedy po dziesięciu godzinach i dwudziestu dziewięciu minutach albo po dwustu pięćdziesięciu sześciu latach „Gum” pojawił się znów w normalnej przestrzeni, powinien się znaleźć w pobliżu gwiazdy KG-E-96651. Rzeczywiście zobaczyli gwiazdę; przypominała łebek złotej szpilki. Gdzieś w promieniu dwustu milionów kilometrów znajdowała się również zielonkawa planeta. Świat 4470 według ceteńskich kartografów. Kosmolot musiał teraz znaleźć tę planetę. Nie było to takie łatwe, jak by się mogło zdawać, uwzględniając, że stóg siana miał czterysta milionów kilometrów średnicy, a „Gum” nie mógł uwijać się po przestrzeni planetarnej z szybkością podświetlną. Groziło to tym, że gwiazda KG-E-96651, świat 4470 i kosmolot spłoną w jednym rozbłysku. Musieli pełznąć napędem rakietowym z prędkością kilkuset tysięcy mil na godzinę. Matematyk nawigator Asnanifoil wiedział, że zobaczą planetę nie dalej niż za dziesięć ziemskich dni. Tymczasem członkowie grupy zwiadowczej mieli okazję, żeby się poznać bliżej.

– Nie cierpię go – powiedział Porlock, reprezentujący nauki ścisłe (chemia plus fizyka, astronomia, geologia i tak dalej), i na jego wąsach ukazały się kropelki śliny. – Ten facet jest nienormalny. Nie rozumiem, jak mogli go zakwalifikować do zespołu zwiadowców. Chyba że to eksperyment na niezgodność charakterów zaplanowany przez władze, a my jesteśmy królikami doświadczalnymi.

– My zwykle używamy świnek morskich i haińskich gholi – zauważył grzecznie Mannon (psychologia plus psychiatria, antropologia, ekologia i tak dalej), jeden z Hainów. – To znaczy zamiast królików. Pan Osden jest rzeczywiście w pełni wyleczonym przypadkiem zespołu Rendera – odmiany autyzmu dziecięcego, którą uważano za nieuleczalną. Wielki ziemski psycholog Hammergeld uznał, że przyczyną autyzmu jest w tym wypadku przerost zdolności empatycznych, i opracował stosowną kurację. Pan Osden jest pierwszym pacjentem, który ją przeszedł. Prawdę mówiąc, mieszkał u doktora Hammergelda do osiemnastego roku życia. Kuracja okazała się w pełni skuteczna.

– Skuteczna?

- Oczywiście. Przecież nie jest osobnikiem autystycznym.
- Jest osobnikiem niezdolnym.
- No cóż... – powiedział Mannon, patrząc łagodnie na kropelki śliny w wąsach Porlocka.
- To normalna reakcja agresywno-obronna przy spotkaniu dwóch obcych ludzi, powiedzmy, pana i Osdena. Właściwie nie zdaje sobie pan z tego sprawy. Zwyczaj, wychowanie, nieuwaga pozwalają panu ją pokonać. Nauczył się pan ignorować ją do tego stopnia, że może zaprzeczać jej istnieniu. Pan Osden jednak, będąc empatą, czuje ją. Odbiera uczucia pana i swoje i trudno mu odróżnić jedne od drugich. Powiedzmy, że w pańskiej reakcji emocjonalnej występuje normalny element wrogości wobec każdego obcego oraz spontaniczna niechęć do jego wyglądu, ubrania albo sposobu podawania ręki, nieważne. On tę niechęć odczuwa. Ponieważ oduczono go samoobrony autystycznej, ucieka się do mechanizmu agresywno-obronnego, swego rodzaju odpowiedzi na agresję, którą pan nieświadomie skierował ku niemu. – Mannon rozgądał się na dobre.
- Nic nie upoważnia człowieka do tego, żeby być takim skurwielem – zaproponował Porlock.
- Czy on nie może nas wyłączyć? – spytał drugi Hain, biolog Harfex.
- To jest tak jak ze słuchem – wyjaśniła Olleroo, drugi specjalista od nauk ścisłych, malująca właśnie paznokcie u nóg fluorescencyjnym lakierem. – Na uszach nie ma powiek. Nie ma wyłącznika empatii. On słyszy nasze uczucia, chce tego czy nie chce.
- Czy to znaczy, że zna wszystkie nasze myśli? – spytał Eskwana, inżynier, spoglądając na pozostałych z prawdziwym przerażeniem.
- Nie – uciał Porlock. – Empatia to nie telepatia! Telepatia nie istnieje.
- A jednak – powiedział Mannon z lekkim uśmiechem – tuż przed moim odlotem z Hain natknąłem się na ogromnie interesujący raport z jednej z ponownie odkrytych planet. Etnograf kosmiczny Rocannon donosi o czymś, co wygląda na istnienie nauczalnej techniki telepatycznej u zmutowanej rasy pochodzenia ludzkiego. Czytałem tylko streszczenie w „Biuletynie Etnografii Kosmicznej”, ale... – Mannon mówił i mówił. Wszyscy się przekonali, że mogą rozmawiać, podczas gdy on peroruje, a jemu to też nie przeszkadzało, nie tracił nawet nic z tego, o czym inni rozmawiali.
- Ale dlaczego on nas nienawidzi? – spytał Eskwana.
- Ciebie nikt nie nienawidzi, kochanie – powiedziała Olleroo i maznęła różowym lakierem lewy kciuk Eskwany.

Mechanik zaczerwienił się i uśmiechnął niewyraźnie.

- Zachowuje się tak, jakby nas nienawidził – stwierdziła Haito, pełniąc funkcję koordynatora. Była drobną Azjatką o cichym, zaskakująco niskim i zachrypniętym głosie.
- Jeżeli nasza niechęć sprawia mu przykrość, to dlaczego prowokuje ją ciągłymi zaczepkami i obraźliwymi uwagami? Nie powiem, żebym była zachwycona kuracją doktora Hammergelda. Może już autyzm był lepszy... – Urwała, gdyż do głównej kabiny wszedł Osden.

Miał nienaturalnie białą i cienką skórę, pod którą niby wypłowywała czerwono-siną mapę drogową rysowała się sieć naczyń krwionośnych. Jabłko Adama, mięśnie wokół ust, kości i ścięgna dłoni i przegubów – wszystko było wyraźne, jak przygotowane do lekcji anatomii. Włosy miał jasnorude, koloru zeschniętej krwi, brwi i rzęsy były widoczne tylko przy pewnym oświetleniu. Zwykle widziało się kości oczodołów, pożyłkowane powieki i bezbarwne oczy. Nie były czerwone, bo Osden nie był albinosem, ale nie były też

niebieskie ani szare; kolory w jego oczach zniosły się nawzajem, pozostawiając zimną, wodnistą, bezdenną przezroczystość. Nigdy na nikogo nie patrzył wprost. Jego twarz była pozbawiona wyrazu jak rysunek anatomiczny albo odarty ze skóry preparat.

– Zgadzam się – powiedział wysokim, szorstkim głosem – że nawet autystyczne zamknięcie byłoby lepsze od tego smogu tandetnych, wyświechtanych emocji, jakimi mnie otaczacie. Co tak parujesz nienawiścią, Porlock? Nie możesz znieść mojego widoku? Idź, zajmij się autoerotyzmem, tak jak zeszłej nocy, to ci poprawia nastrój. Kto, do diabła, ruszał moje taśmy? Nie dotykajcie moich rzeczy.

– Osden – powiedział Asnanifoil powoli – dlaczego jesteś takim skurwielem?

Ander Eskwana ukrył twarz w dłoniach. Kłótnie napawały go lękiem. Olleroo patrzyła z wyczekiwaniem i zaciekawieniem wiecznego widza.

– A dlaczego miałbym nie być? – spytał Osden. Nie patrzył na Asnanifoila i trzymał się jak najdalej od wszystkich w zatłoczonej kabinie. – Żadne z was nie daje mi powodu do zmiany zachowania.

Harfex, człowiek opanowany i cierpliwy, powiedział:

– Powód jest taki, że mamy spędzić razem wiele lat. Życie dla nas wszystkich byłoby znośniejsze...

– Czy nie rozumiecie, że kicham na was? – Osden zgarnął swoje mikrotaśmy i wyszedł.

Eskwana nagle zapadł w sen. Asnanifoil kreślił palcem w powietrzu zawile linie, mruczając Przykazania.

– Nie można wyjaśnić jego obecności w zespole inaczej niż jako intrygę Rady Światowej. Zrozumiałem to prawie od razu. Ta wyprawa jest spisana na straty – szepnął Harfex do koordynatora, oglądając się za siebie. Porlock gmerał przy rozporku, miał łzy w oczach. – Mówiłem ci, że wszyscy są pomyleni, ale myśleliście, że przesadzam.

Mimo wszystko mieli sporo racji. Zwiadowcy kosmiczni spodziewali się pośród towarzyszy ludzi inteligentnych, dobrze przygotowanych, niezrównoważonych, ale sympatycznych. Musieli pracować razem w ciasnocie i narażeni na niebezpieczeństwa i mieli prawo oczekiwać, że paranoje, depresje, manie i nałogi współtowarzyszy nie przekroczą granic pozwalających na utrzymanie poprawnych stosunków osobistych, przynajmniej przez większość czasu. Może Osden i był inteligentny, ale miał braki w wychowaniu i paskudny charakter. Wysłano go jedynie ze względu na jego unikalny talent: zdolności empatyczne, a mówiąc ściśle, bioempatyczną wrażliwość szerokiego zasięgu. Jego zdolności nie ograniczały się do własnego gatunku; odbierał uczucia lub świadomość wszystkiego, co żyje. Mógł odczuwać pożądanie wraz z białym szczurem, ból z rozdeptanym karaluchem, fototropię z ćmą. Rada uznała, że na obcej planecie przyda się wiedzieć, czy w pobliżu znajduje się coś czującego, a jeżeli tak, to jakie żywi emocje w stosunku do przybyszów. Osden otrzymał nowy tytuł: czujnika wyprawy.

– Co to za uczucie, Osden? – spytała go pewnego dnia w głównej kabinie Haito Tomiko, usiłując nawiązać z nim wreszcie jakiś kontakt. – Co ty właściwie odbierasz dzięki tej swojej empatycznej wrażliwości?

– Łajno – odpowiedział wysokim, pełnym goryczy głosem. – Psychiczne wydaliny świata zwierzęcego. Nurzam się w waszym łajnie.

– Usiłowałam tylko dowiedzieć się czegoś... – Uważała, że powiedziała to z podziwu godnym opanowaniem.

– Nie chodziło ci o to, żeby się czegoś dowiedzieć. Chciałaś mi dokuczyć. Było w tym

trochę lęku, trochę ciekawości i dużo obrzydzenia. Jakbyś trącała kijem zdechłego psa, żeby zobaczyć wijące się w nim robaki. Wbij sobie do głowy raz na zawsze, że nie chcę, żeby mnie ktoś ruszał. Chcę mieć spokój. – Na skórze wystąpiły mu czerwone i sine plamy, głos przeszedł w krzyk. – Idź się tarzać we własnym łajnie, ty żółta suko! – zapał.

– Uspokój się – powiedziała spokojnie, ale natychmiast wyszła do swojej kabiny.

Oczywiście miał rację co do jej motywów; pytanie było przede wszystkim pretekstem, zwykłą próbą zainteresowania go. Ale cóż w tym złego? Czyż taka próba nie wynika z pewnego szacunku dla drugiego człowieka? Zadając je Osdenowi, czuła co najwyżej lekki brak zaufania do niego; głównie było jej żal tego biednego, aroganckiego, złośliwego skurwiela, Pana bez Skóry, jak go nazywała Olleroo. A czego się spodziewał, postępując w ten sposób? Miłości?

– Myślę, że on nie znosi, kiedy ktoś się nad nim lituje – uznała Olleroo, która leżała na dolnej koi i malowała sobie sutki na złoto.

– W takim razie nie ma szans na żadną więź z innym człowiekiem. Ten doktor Hammergeld wyrócił po prostu jego autyzm na lewą stronę...

– Biedaczysko – westchnęła Olleroo. – Tomiko, czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, że Harfex przyjdzie do mnie na noc?

– A nie możesz ty pójść do niego? Stale muszę siedzieć w głównej kabinie z tym cholernym obranym kartoflem.

– Widzę, że go nie znosisz. On to chyba wyczuwa. Ale zeszłej nocy też spałam z Harfexem i Asnanifoil, który z nim mieszka, mógłby być zazdrosny. Wolałabym tutaj.

– Obsłuż ich obu – powiedziała brutalnie Tomiko, urażona w swojej skromności. Jej ziemską wschodnioazjatycką podkultura charakteryzowała się purytanizmem; Tomiko została wychowana w szacunku dla cnoty.

– Lubię tylko jednego na noc – odrzekła Olleroo z niewinną prostotą. Jej Beldene to planeta-ogród, na której nigdy nie wynaleziono koła i purytanizmu.

– To spróbuj Osdena – zaproponowała Tomiko.

Jej głęboka niewiara w siebie, przejawiająca się w dążeniu do samozniszczenia, ujawniła się jak nigdy wcześniej. Zgłosiła się do tego zadania, ponieważ wydawało się całkowicie bezużyteczne.

Mała Beldenka z pędzelkiem w dłoni spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

– Tomiko, to wstrętne, co powiedziałaś.

– Niby dlaczego?

– Bo to byłoby podłe! Osden mi się nie podoba!

– Nie wiedziałam, że to ci robi jakąś różnicę – odparła Tomiko, choć była to nieprawda. Zgarnęła jakieś papiery i wyszła, rzucając na odchodnym: – Mam nadzieję, że ty i Harfex, czy kto to tam będzie, skończycie przed ostatnią wachtą. Jestem zmęczona.

Olleroo płakała. Łzy kapały na jej małe złocone piersi. Często płakała. Tomiko nie zdarzyło się to, od kiedy skończyła dziesięć lat.

Nie był to szczęśliwy statek, ale nastroje się poprawiły, kiedy Asnanifoil i jego komputery odnaleźli planetę 4470. Wisiała w przestrzeni jak ciemnozielony klejnot, jak prawda na dnie studni grawitacyjnej. Nefrytowy krążek rósł w ich oczach, a wraz z nim poczucie wspólnoty pośród nich. Egoizm i wyrachowane okrucieństwo Osdena jednoczyło teraz przeciwko niemu wszystkich pozostałych.

– A może – mówił Mannon – wysłano go jako chłopca do bicia? Ziemianie nazywają to

kozłem ofiarnym. Może jego obecność okaże się mimo wszystko korzystna.

Starali się być tak grzeczni dla siebie, że nikt nie zaprzeczył.

Weszli na orbitę. Nie widzieli żadnych światła po nocnej stronie, żadnych linii czy węzłów, które robią zwierzęta budownicowie.

– Bezludna – mruknął Harfex.

– To jasne – uciał Osden siedzący przy osobnym ekranie z głową w polietylenowym worku. Twierdził, że plastik chroni go przed empatycznym hałasem. – Jesteśmy dwieście lat świetlnych za granicami haińskiej kolonizacji, poza którą nie ma ludzi. Nigdzie. Nie sądzisz chyba, że Stwórca popełniłby dwukrotnie ten sam straszliwy błąd?

Nikt nie zwracał na niego uwagi: wszyscy patrzyli z lubością na rozciągający się pod nimi nefrytowy bezmiar, gdzie było życie, ale nie było ludzi. Nie czuli się dobrze wśród ludzi i widok ten nie oznaczał dla nich pustki, lecz spokój. Nawet twarz Osdena nie była tak pozbawiona wyrazu jak zwykle; marszczył brwi.

Wodowanie w kłębach ognia, zwiad powietrzny, lądowanie. Równina porośnięta czymś w rodzaju trawy. Mięiste, zielone, wiotkie łodygi otaczały kosmolot, ocierały się o wysunięte kamery, pokrywały soczewki pyłkiem.

– Wygląda mi to na świat czysto roślinny – odezwał się Harfex. – Osden, czy odbiera pan coś myślącego?

Wszyscy zwrócili się w stronę czujnika ekspedycji, który odszedł od ekranu i nalewał sobie herbatę. Nie odpowiedział. Rzadko odpowiadał na wypowiedziane pytania.

Pancerz wojskowej dyscypliny nie pasował do tych zespołów stukniętych uczonych; struktura zależności była tu czymś pośrednim między parlamentaryzmem a kolejnością dziobania w stadzie kur i doprowadziłaby każdego kosmonautę służby czynnej do szału. Ale niewytłumaczalną decyzją Rady doktor Haito Tomiko otrzymała tytuł koordynatora i teraz po raz pierwszy skorzystała ze swoich prerogatyw:

– Czujnik proszony jest uprzejmie o udzielenie odpowiedzi.

– Jak mogę odebrać coś z zewnątrz – odparł Osden, nie odwracając się – skoro wokół mnie, niczym robaki w puszcze, wiją się emocje dziewięciu neurotycznych hominidów? Kiedy będę miał coś do zakomunikowania, zrobię to. Pamiętam o swoich obowiązkach czujnika, jeżeli jednak jeszcze raz koordynator spróbuje mi rozkazywać, uznam swoje zobowiązania za niebyłe.

– Bardzo dobrze. Wierzę, że na przyszłość rozkazy nie będą potrzebne. – Niski głos Tomiko był spokojny, ale odwrócony Osden drgnął lekko, jakby fala tłumionej antypatii uderzyła go z fizyczną siłą.

Przecucie biologa się potwierdziło. Kiedy rozpoczęto badania terenowe, nie znaleziono żadnych zwierząt, nawet wśród mikroorganizmów. Wszelkie formy życia korzystały z fotosyntezy lub resztek organicznych, żywiąc się światłem lub śmiercią, nigdy życiem. Rośliny, nieskończone mnóstwo roślin, a wszystkie nieznanne przybyszom z ojczyzny ludzi. Nieskończone odcienie i natężenia zieleni, fioleto, brązu, czerwieni. Nieskończona cisza. Tylko wiatr się poruszał, kołysząc liśćmi i łodygami, ciepły, grający wiatr, brzemienno zarodnikami i pyłkiem, niosący słodki bladozielony obłok nad morzem wysokich traw, wrzosowiskami, na których nie rosną wrzosy, bezkwiety lasami, w których nigdy nie stanęła niczyja noga, których nie ogarnęło niczyje oko. Ciepły, smutny świat, smutny i pogodny. Zwiadowcy, przechadzając się jak na pikniku po słonecznych łąkach niebieskich paprociopodobnych roślin, rozmawiali przyciszonymi głosami. Pamiętali, że ich głosy

naruszają milczenie tysięcy milionów lat, ciszę wiatru i liści, liści i wiatru, który wieje i ucicha, by znów się zerwać. Rozmawiali ściszonymi głosami, ale – będąc ludźmi – rozmawiali.

– Biedaczysko Osden – powiedziała współczująco Jenny Chong, biolog i technik, prowadząc śmigłowiec w locie pomiarowym do bieguna północnego. – Cała ta wymyślna aparatura w jego mózgu na nic. To ci kłapa.

– Powiedział mi, że nie cierpi roślin – wtrąciła Olleroo, chichocąc.

– Powinien je chyba lubić za to, że go nie dręczą tak jak my.

– Nie mogę powiedzieć, żebym sam przepadał za tymi roślinami – powiedział Porlock, spoglądając w dół na fioletowe fale północnego lasu polarnego. – Ciągłe to samo. Żadnej zmiany. Żadnej myśli. Samotny człowiek w tym lesie musiałby chyba zwariować.

– Ale to wszystko żyje – zauważyła Jenny Chong. – A Osden nienawidzi wszystkiego, co żyje.

– On nie jest aż taki zły – powiedziała Olleroo wspaniałomyślnie.

Porlock spojrział na nią z ukosa i spytał:

– Spałaś już z nim?

Olleroo zalała się łzami.

– Wy, Ziemianie, jesteście obrzydliwi – rzuciła.

– Nie spała z nim – pospieszyła jej na odsiecz Jenny Chong. – A ty, Porlock?

Chemik roześmiał się z przymusem. Na jego wąsach zalśniły kropelki śliny.

– Osden nie znosi, jak się go dotyka – dodała Olleroo drżącym głosem. – Kiedyś otarłam się o niego przypadkiem, a on odepchnął mnie jak jakiegoś odrażającego... stwora. Wszyscy jesteśmy dla niego tylko stworami.

– To zły człowiek – powiedział Porlock zmienionym głosem, który przeraził obie kobiety.

– Skończy się na tym, że rozbije nasz zespół, sabotując jego prace w ten czy inny sposób. Zapamiętajcie moje słowa. On nie nadaje się do życia z ludźmi!

Wylądowali na biegunie północnym. Słońce żarzyło się nad niskimi wzgórzami. Połacie niskiej, suchej, zielonkaworóżowej mchopodobnej trawy rozciągały się we wszystkich kierunkach, które były zawsze kierunkiem południowym. Trójka zwiadowców przytłoczona niewiarygodną ciszą rozstawiła swoje instrumenty i przystąpiła do pracy – trzy wirusy podrygujące na skórze nieruchomego olbrzyma.

Osdena nikt nie zapraszał na takie wyprawy jako pilota, fotografa czy protokolanta, on sam też się nie napraszał, rzadko więc opuszczał obóz. Karcił komputery statku zebranych przez Harfexa danymi botanicznymi i pomagał Eskwanie w doglądaniu i naprawach urządzeń. Eskwana zaczął bardzo dużo sypiać, po dwadzieścia pięć godzin i więcej na trzydziestodwugodziną dobę, zapadając w sen w trakcie reperacji radia lub kontroli układów sterowniczych śmigłowca. Koordynator wyprawy Tomiko pozostała w obozie w celu obserwacji. Oprócz nich była tu jeszcze tylko Poswet To, u której wystąpiły ataki epilepsji; Mannon podłączył ją w stanie prewencyjnej katatonii na jeden dzień do automatu leczniczego. Tomiko nagrywała raport dla banku pamięci, mając oko na Osdena i Eskwanę. Minęły dwie godziny.

– Najlepiej użyć ośmiuset sześćdziesięciu mikrowaldów do tego złącza – odezwał się Eskwana cichym, niepewnym głosem.

– Wiem – uciął Osden.

– Przepraszam, ale zobaczyłem, że masz tu osiemset czterdzieści...

– Włożę na miejsce, jak wyjmę osiemset sześćdziesiąt. Jak nie będę czegoś wiedział, inżynierze, poproszę cię o radę.

Po minucie Tomiko się obejrzała. Oczywiście Eskwana spał w najlepsze z głową na stole, ssąc własny kciuk.

– Osden.

Nie odwrócił do niej białej twarzy i nie odezwał się, ale całym sobą wyrażał zniecierpliwienie.

– Zdajesz sobie chyba sprawę z wrażliwości Eskwany.

– Nie odpowiadam za jego psychopatyczne reakcje.

– Ale odpowiadasz za swoje. Eskwana jest niezbędny dla naszej ekspedycji, a ty nie. Jeżeli nie potrafisz zapanować nad swoją wrogością, to musisz go unikać.

Osden odłożył narzędzia i wstał.

– Z przyjemnością! – powiedział mściwym, zgrzytliwym głosem. – Nie potrafisz sobie wyobrazić, co to znaczy odczuwać irracjonalne lęki Eskwany. Uczestniczyć w jego straszliwym tchórzostwie, bać się wraz z nim wszystkiego!

– Chcesz usprawiedliwić swoje okrucieństwo wobec niego? Sądziłam, że masz więcej godności. – Tomiko stwierdziła, że trzęsie się ze złości. – Jeżeli przez swoje zdolności empatyczne uczestniczysz w jego cierpieniach, to dlaczego nie znajdujesz w sobie choćby odrobiny współczucia?

– Współczucie – powiedział Osden. – Współczucie. Co ty wiesz o współczuciu?

Tomiko wpatrywała się w niego, ale nie podniósł wzroku.

– Czy chcesz, żebym ujął w słowa twoje obecne uczucia w stosunku do mnie? – spytał. – Potrafię to zrobić lepiej niż ty sama. Nauczono mnie analizować reakcje, które odbieram. A twoje odbieram.

– Nie spodziewałeś się chyba sympatii w odpowiedzi na swoje zachowanie?

– Co ma do rzeczy moje zachowanie, ty głupia krowo? Myślisz może, że przeciętny człowiek jest studnią dobroci? Mogę wybierać tylko między nienawiścią a pogardą, a że nie jestem kobietą ani tchórzem, wolę nienawiść.

– To głupota. Litowanie się nad sobą. Każdy człowiek ma...

– Ale ja nie jestem człowiekiem – powiedział Osden. – Jesteście wy wszyscy i jestem ja. Ja jeden.

Wstrząśnięta widokiem takiej otchłani solipsyzmu Tomiko milczała chwilę i wreszcie powiedziała bez złości i bez litości, po prostu rzeczowo:

– Możesz się zabić, Osden.

– To twój sposób, Haito – zadrwił. – Nie mam skłonności do depresji i seppuku nie jest w moim stylu. Czym powinienem się zająć?

– Odejdź. Zrób to dla siebie i dla nas. Weź samolot i rejestrator i zajmij się spisem gatunków. W lesie. Harfex nawet jeszcze nie ruszył lasu. Wybierz sobie sto metrów kwadratowych lasu, wszystko jedno gdzie, byle w zasięgu łączności radiowej. Ale poza zasięgiem empatii. Zgłaszaj się codziennie o ósmej i dwudziestej czwartej.

Osden wyniósł się i przez pięć dni nie było od niego żadnych wieści poza lakonicznymi komunikatami, że wszystko w porządku, które nadawał dwa razy dziennie. Nastrój w obozie zmienił się jak dekoracja na scenie. Poswet To wyjęła swoją księżycową lutnię i śpiewała pieśń gwiazd (muzyka doprowadzała Osdena do szału). Mannon, Harfex, Jenny Chong i Tomiko przestali zażywać środki uspokajające. Porlock sporządził coś w

laboratorium i wypił to w samotności. Miał kaca. Asnanifoil i Poswet To odbyli całonocną epifanię numeryczną, mistyczną orgię wyższej matematyki, która jest źródłem największej rozkoszy dla religijnego Ceteńczyka. Olleroo spała ze wszystkimi po kolei. Praca szła dobrze.

Wtedy przybiegł do obozu Porlock, przedzierając się przez wysokie, mięsiste łodygi traw.
– Coś... tam w lesie... – Oczy miał wytrzeszczone, dyszał ciężko, wąsy i ręce mu drżały.
– Coś wielkiego. Ruszało się za mną. Byłem schylony, wbijałem znak orientacyjny. To rzuciło się na mnie, jakby zeskoczyło z drzew. – Patrzył na pozostałych mętными ze strachu i zmęczenia oczami...

– Usiądź, Porlock. Uspokój się. Opowiedz wszystko od początku. Zobaczyłeś coś...
– Niewyraźnie. Raczej sam ruch. Celowy. Nie wiem, co to mogło być. Coś poruszającego się wśród drzew czy drzewopodobnych, jak je nazywacie. Na skraju lasu.

Harfex wyglądał na zatroskanego.
– Nie ma tu niczego, panie Porlock, co mogłoby pana zaatakować. Nie ma tu nawet fauny bakteryjnej. To nie mogło być żadne większe zwierzę.

– Czy nie mogłeś zobaczyć jakiegoś pnącza, które nagle osunęło się z gałęzi za twoimi plecami?

– Nie. To zbliżało się w moją stronę przez gałęzie, szybko. Kiedy się odwróciłem, zaczęło się oddalać z powrotem w górę. Słyszałem też hałas, jakby trzask. Jeżeli to nie było zwierzę, to Bóg jedyny wie, co to mogło być! To było coś dużego, wielkości człowieka przynajmniej. Jakby czerwonawe. Nie widziałem dokładnie, nie jestem pewien.

– To był Osden w roli Tarzana – powiedziała Jenny Chong i zachichotała nerwowo.

Tomiko powstrzymała wybuch śmiechu, ale Harfex się nie śmiał.
– Człowiek dziwnie się czuje w cieniu tych drzewokształtnych – stwierdził grzecznym, opanowanym głosem. – Zauważyłem to. Może właśnie dlatego odkładałem pracę w lesie. Jest coś hipnotycznego w kolorach, w układzie pni i gałęzi, zwłaszcza tych rosnących spiralnie. Wyrzutnie zarodników też są rozmieszczone tak regularnie, że to aż nienaturalne. Ja osobiście czuję się tam bardzo nieswojo. Zastanawiam się, czy nasilenie tego efektu nie może wywołać halucynacji...

Porlock pokręcił głową i oblizał wargi.

– To istniało naprawdę – powiedział. – Poruszało się celowo. Chciało mnie zaatakować od tyłu.

Kiedy jak zwykle punktualnie o dwudziestej czwartej zgłosił się Osden, Harfex opowiedział mu o relacji Porlocka.

– Czy natrafił pan na coś, co mogłoby potwierdzić wrażenie pana Porlocka o istnieniu ruchomej, rozumnej formy życia w lesie?

– Nie. To brednie – syknęło radio niemiłym głosem Osdena.

– Przebywa pan w lesie najdłużej z nas wszystkich – powiedział Harfex z niezmienną uprzejmością. – Czy zgadza się pan z moim odczuciem, że atmosfera działa przygnębiająco i może nawet wywoływać halucynacje?

Syk.

– Zgadzam się, że u Porlocka nietrudno o zaburzenia. Trzymajcie go w laboratorium, tam będzie najmniej szkodzić. Coś jeszcze?

– Na razie to wszystko – powiedział Harfex i Osden się rozłączył.

Opowieści Porlocka nikt nie mógł ani potwierdzić, ani obalić. Trudno było zaprzeczyć, że

jakaś duża istota nie chciała się rzucić na niego zniechęca, bo znajdowali się na obcej planecie i każdy, kto wszedł do lasu, odczuwał dziwny lęk pod drzewami. („Nazwiemy je oczywiście drzewami – powiedział Harfex. – Są właściwie takie same jak nasze drzewa, tyle że zupełnie inne”). Wszyscy się zgadzali, że w lesie czują się nieswojo i mają wrażenie, że są śledzeni.

– Musimy to wyjaśnić – oświadczył Porlock i poprosił, żeby go wysłać tak jak Osdena w charakterze pomocniczego biologa do lasu na badania i obserwacje.

Olleroo i Jenny Chong zgłosiły się pod warunkiem, że pojedą we dwie. Harfex wysłał ich wszystkich do lasu, w którego pobliżu mieścił się obóz, rozległego obszaru zieleni pokrywającego cztery piąte Kontynentu D. Nie pozwolił im wziąć broni. Mieli nie oddalać się bardziej niż na pięćdziesiąt mil, co dotyczyło również Osdena. Wszyscy meldowali się dwa razy dziennie przez trzy dni. Porlock zgłosił, że mignął mu duży, na wpół wyprostowany kształt, poruszający się w zaroślach za rzeką. Olleroo była pewna, że drugiej nocy słyszała, jak coś chodziło koło namiotu.

– Na tej planecie nie ma zwierząt – upierał się Harfex.

Rano Osden nie zgłosił się o wyznaczonej porze. Tomiko odczekała niecałą godzinę i poleciała z Harfexem na miejsce, skąd Osden zgłaszał się ostatnio. Kiedy jednak śmigłowiec znalazł się nad morzem liliowych liści, bezkresnym i nieprzeniknionym, wpadła w panikę.

– Jak my go tu mamy znaleźć?

– Meldował, że ląduje na brzegu rzeki. Niech pani szuka samolotu. Musi mieć obóz w pobliżu, a nie mógł się zbyt oddalić od niego, bo inwentaryzacja gatunków to żmudna praca. O, tam jest rzeka.

– A tam samolot – powiedziała Tomiko, która dostrzegła metaliczny błysk wśród roślinnych barw i cieni.

Zatrzymała śmigłowiec w powietrzu i zrzuciła drabinę. Zeszli oboje z Harfexem i morze życia zamknęło się nad ich głowami.

Gdy tylko jej stopa dotknęła gruntu, Tomiko odpięła kaburę pistoletu, ale spojrzawszy na nieuzbrojonego Harfexa, nie wyjęła broni. Wystarczyło, że oddalili się na kilka metrów od leniwie płynącej brunatnej rzeki, a zapanowały cisza i półmrok. Wielkie pnie wznosiły się w dużych odległościach jeden od drugiego, prawie regularnie, prawie jednakowe; korę miały miękką, niektóre gładką, inne gąbczastą, szarą, szarawobrązową lub brązową, oplatały je liany i pnącza, wyciągając sztywne, splecione pęki wielkich talerzowatych ciemnych liści, tworzących sklepienie grubości dwudziestu do trzydziestu metrów. Ziemia pod stopami sprężynowała jak materac, każdy jej centymetr był przerośnięty korzeniami i obsypany drobnymi, mięsistymi porostami.

– Tam jest jego namiot – powiedziała Tomiko i sama przestraszyła się własnego głosu w tej olbrzymiej wspólnocie milczących.

W namiocie znaleźli śpiwór Osdena, kilka książek, pudło z żywnością. Powinniśmy krzyknąć, zawołać go, pomyślała, ale nawet o tym nie wspomniała. Nie zrobił tego też Harfex. Zaczęli krążyć wokół namiotu, uważając, żeby nie stracić się nawzajem z oczu wśród gęsto nacierającego zewsząd posępnego mroku. Potknęła się o ciało Osdena nie dalej jak trzydzieści metrów od namiotu, naprowadzona na ślad białawą plamą upuszczonego notatnika. Leżał twarzą w dół między dwoma drzewami o potężnych korzeniach. Głowę i ręce miał pokryte krwią, częściowo zakrzepłą, częściowo sączącą się

jeszcze.

Podszedł Harfex, jego blada haińska twarz była prawie zielona w mroku.

– Umarł?

– Nie. Został uderzony. Od tyłu.

Tomiko obmacała skrwawioną głowę, skronie i kark.

– Jakimś narzędziem lub bronią... Pęknięcia nie wyczuwam.

Odwróciła ciało Osdena, żeby je przenieść, i wtedy otworzył oczy. Trzymała go, pochylona nisko nad jego twarzą. Bezkrwiste wargi Osdena wykrzywił grymas. Tomiko poczuła przyływ śmiertelnego strachu. Krzyknęła przeraźliwie kilka razy i próbowała, chwając się i potykając, uciec w przerażający półmrok. Harfex złapał ją i pod wpływem jego dotknięcia i głosu panika zaczęła ustępować.

– Co to? Co się stało? – spytał.

– Nie wiem – odpowiedziała, łkając. Serce nadal jej łomotało i wzrok się mącił. – Strach... wpadłam w panikę. Kiedy zobaczyłam jego oczy.

– Oboje jesteśmy zdenerwowani. Nie rozumiem...

– Już mi przeszło. Chodźmy. Musimy się nim zająć.

Z nieuzasadnionym pośpiechem zanieśli Osdena nad rzekę i obwiązali go pod pachami końcem liny spuszczonej ze śmigłowca; zwisał, kręcąc się jak worek, nad lepkiem, ciemnym morzem liści. Wciągnęli go do helikoptera i wystartowali. Po minucie byli nad otwartym stepem. Tomiko włączyła autopilota. Westchnęła głęboko i spojrzała na Harfexa.

– Byłam tak przerażona, że omal nie zemdlałam. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

– Ja też byłem... bez powodu przestraszony – powiedział Hain i rzeczywiście wyglądał na wstrząśniętego. – Nie tak bardzo jak pani, ale tak samo bez powodu.

– To przyszło, kiedy byłam blisko niego. Kiedy go trzymałam. Na chwilę jakby odzyskał świadomość.

– Empatia?... Mam nadzieję, że będzie nam mógł powiedzieć, co go zaatakowało.

Osden jak połamany manekin, umazany krwią i błotem, pólleżał na tylnych siedzeniach, tak jak go położyli w nerwowym pośpiechu.

Ich przybycie do obozu wywołało panikę. Nieskuteczna brutalność napadu była niewytłumaczalna. Ponieważ Harfex uparcie odrzucał najmniejszą choćby możliwość życia zwierzęcego, zaczęto spekulować na temat inteligentnych drzew, roślinnych potworów i psychicznych materializacji. Utajona fobia Jenny Chong uległa wzmocnieniu i dziewczyna mogła mówić teraz tylko o czarnym drugim ja, które każdy ma za plecami. Ona, Olleroo i Porlock zostali wezwani do obozu, skąd teraz nikt nie miał ochoty się oddalać.

Osden stracił dużo krwi podczas tych trzech czy czterech godzin, kiedy leżał nieprzytomny, a wstrząs mózgu i liczne potłuczenia sprawiły, że długo nie mógł odzyskać świadomości. Kiedy gorączka spadła, kilkakrotnie wzywał proszącym głosem doktora Hammergelda, a gdy po dwóch długich dniach odzyskał przytomność, Tomiko przywołała do jego łóżka Harfexa.

– Osden, czy możesz powiedzieć, co cię zaatakowało?

Bezbarwne oczy nie zatrzymały się na twarzy Harfexa.

– Zostałeś napadnięty – powiedziała łagodnie Tomiko. Rozbiegane spojrzenie Osdena znała do obrzydliwości, ale teraz była lekarzem, opiekowała się chorym. – Może nie pamiętasz... Coś cię zaatakowało, kiedy byłeś w lesie.

Osden krzyknął, oczy mu rozbłysły, a twarz się wykrzywiła.

– Las... W lesie...

– Co w lesie?

Kurczowo łapał oddech. Na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia i po chwili powiedział:

– Nie wiem.

– Czy widziałeś, co cię zaatakowało? – spytał Harfex.

– Nie wiem.

– Przypomnij sobie.

– Nie wiem.

– Od tego może zależeć życie nas wszystkich. Musisz nam powiedzieć, co widziałeś!

– Nie wiem – powiedział Osden, łkając z bezsilności. Był zbyt słaby, żeby ukryć fakt, że nie mówi prawdy, ale zdradzić jej nie chciał.

Porlock przygryzał wąsy, usiłując zza ścianki dosłyszeć, co się dzieje w przedziale Osdena. Harfex pochylił się nad Osdenem i powiedział:

– Musisz nam powiedzieć...

Tomiko była zmuszona interweniować w obronie rannego.

Harfex zapanował nad sobą z wysiłkiem, którego sam widok był trudny do zniesienia. W milczeniu odszedł do swojego przedziału, gdzie niewątpliwie zażył podwójną albo i potrójną dawkę środków uspokajających. Pozostali członkowie wyprawy rozeszli się po obszernym baraku, składającym się z długiej sali głównej i dziesięciu przedziałów sypialnych, nic nie mówiąc, ale ich wygląd zdradzał przygnębienie i zdenerwowanie. Osden nawet teraz robił z nimi, co chciał. Tomiko spojrzała na niego z nienawiścią, która jak żółć podeszła jej do gardła. Ten potworny egotyzm, żerujący na uczuciach innych ludzi, to absolutne sobkostwo gorsze było niż najbardziej odrażające kalectwo fizyczne. Takiego wyrodka nie wolno było pozostawiać przy życiu. Powinien był umrzeć. Dlaczego nie rozwalono mu tej głowy?

Leżał płaski i blady, bezwładne ręce wyciągnięte wzdłuż ciała, bezbarwne oczy szeroko otwarte, i z tych oczu ciekły mu łzy. Usiłował się uchylić.

– Nie – powiedział słabym głosem i próbował rękami zasłonić głowę. – Nie.

Przysiadła na składanym krzeselku tuż obok łóżka i po chwili nakryła dłonią jego rękę. Chciał cofnąć swoją dłoń, ale zabrakło mu siły. Zapadła między nimi długa cisza.

– Osden – powiedziała wreszcie cicho – przepraszam. Bardzo przepraszam. Życzę ci dobrze. Pozwól mi życzyć ci dobrze. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Posłuchaj, ja już rozumiem. To był ktoś z nas, prawda? Nie, nie odpowiadaj, powiedz tylko, czy mam rację, chociaż wiem i tak... Oczywiście, że na tej planecie są zwierzęta. Dziesięcioro. Nieważne, kto to był. Wszystko jedno. Mogłam to być ja przed chwilą. Zdaję sobie z tego sprawę. Nie rozumiałam tego, Osden. Nie możesz sobie wyobrazić, jak nam jest trudno zrozumieć. Ale... gdyby to była miłość, a nie strach i nienawiść... Czy nigdy nie odbierałeś miłości?

– Nie.

– Dlaczego? Dlaczego to nigdy nie bywa miłość? Czyżby ludzie byli aż tak słabi? To straszne. Nie szkodzi, nie przejmuj się, leż spokojnie. Przynajmniej teraz nie wyczuwasz chyba nienawiści? Co najmniej sympatię, troskę, współczucie. Czy czujesz to, Osden?

– Między innymi – powiedział ledwo słyszalnym szeptem.

– Reszta to zapewne zakłócenia z mojej podświadomości. I od pozostałych osób w pokoju... Słuchaj, kiedy cię znaleźliśmy w lesie, kiedy cię chciałam odwrócić, ocknąłeś się

częściowo i poczułam przerażenie. Przez chwilę byłam nieprzytomna ze strachu. Czy ja poczułam twój strach przede mną?

– Nie.

Nadal przykrywała dłonią jego dłoń, Osden rozprężył się i osuwał się w sen jak cierpiący człowiek, któremu dano środki znieczulające.

– Las – wymamrotał. Ledwo go zrozumiała. – Strach.

Nie wypytywała go dalej, tylko – nie puszczając jego ręki – patrzyła, jak zasypia. Wiedziała, co czuje sama, a zatem i to, co musiał czuć on. Była tego pewna: jest tylko jedno uczucie albo stan, które mogą spolaryzować się w jednej chwili. W języku wielohaińskim miłość i nienawiść określana jest nawet tym samym słowem – *onta*. Oczywiście nie była zakochana w Osdenie. Czuła do niego *onta*, spolaryzowaną nienawiść.

Trzymała jego dłoń i płynął między nimi prąd, potężna elektryczność dotyku, którego Osden zawsze tak się obawiał. We śnie krąg mięśni wokół jego ust, widoczny jak na tablicy anatomicznej, rozluźnił się i Tomiko ujrzała na jego twarzy coś, czego nikt z nich nigdy nie widział – cień uśmiechu. Uśmiech znikł i Osden zasnął głęboko.

Był odporny; następnego dnia siadał już i chciał jeść. Tomiko nie pozwoliła go niepokoić. Zawiesiła drzwi arkuszem plastiku, jak często robił to sam Osden.

– Czy to rzeczywiście izoluje od kontaktu empatycznego? – spytała.

– Nie – odpowiedział ostrożnym tonem, jakim się teraz do siebie zwracali.

– Zatem to tylko ostrzeżenie.

– Częściowo. Raczej autosugestia. Doktor Hammergeld uważał, że to pomaga... Może faktycznie nieco...

Była sobie raz miłość. Przerazone dziecko zagubione pośród nawałnicy potężnych uczuć dorosłych, tonące dziecko uratowane przez jednego człowieka. Otrzymało wszystko, całą miłość i opiekę od jednego człowieka. Ojciec – Matka – Bóg w jednej osobie.

– Czy on żyje? – spytała Tomiko, myśląc o niewiarygodnej samotności Osdena i dziwnym okrucieństwie słynnych lekarzy. Była wstrząśnięta, słysząc jego wymuszony, blaszany śmiech.

– Umarł przynajmniej dwa i pół wieku temu. Zapomniałaś, gdzie jesteście, koordynatorze? Wszyscy zostawiliśmy swoje rodziny daleko...

Z drugiej strony plastikowej kurtyny osiem pozostałych istot ludzkich, znajdujących się na pokładzie 4470, krzątało się niepewnie. Rozmawiali pełnymi napięciami, przyciszonymi głosami. Eskwana spał, Poswet To musiała się leczyć, Jenny Chong usiłowała tak zmienić światła w swoim przedziale, żeby nie rzucać cienia.

– Wszyscy się boją – powiedziała Tomiko przestraszona. – Każdy ma jakąś swoją teorię na temat tego, co cię zaatakowało. To jakiś gorylokartofel, to znów olbrzymi zębaty szpinak. Nawet Harfex. Może masz rację, że nie zmuszasz ich do zrozumienia. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby stracili do siebie nawzajem zaufanie. Tylko dlaczego jesteśmy wszyscy tak chwiejni, niezdolni do stawienia czoła faktom? Dlaczego tak łatwo się rozklejamy? Czyżbyśmy naprawdę byli wszyscy nienormalni?

– Będzie jeszcze gorzej.

– Dlaczego?

– Bo tutaj coś jest. – Zaciśnęła usta, mięśnie warg zaznaczyły się wyraźnie.

– Istoty inteligentne?

– Inteligencja.

– W lesie?

Osden skinął głową.

– Cóż to więc jest?

– Strach. – Na jego twarzy znów odmalowało się napięcie i poruszył się nerwowo. – Widzisz, kiedy tam upadłem, nie straciłem przytomności natychmiast. Albo może odzyskiwałem przytomność... sam nie wiem. Było to podobne do paraliżu.

– Byłeś sparaliżowany?

– Leżałem na ziemi i nie mogłem wstać. Twarz miałem zanurzoną w miękkiej ściółce leśnej. Właziła mi do nosa i oczu. Nie mogłem się ruszyć. Nic nie widziałem. Zupełnie jakbym był zanurzony w glebie, jakbym był jej częścią. Wiedziałem, że leżę między dwoma drzewami, choć ich nie widziałem. Widocznie czułem korzenie, pode mną, głęboko w ziemi. Ręce miałem we krwi, czułem to, i ziemia wokół mojej twarzy była zlepiona krwią. Czułem narastający strach. Rósł. Jakby do nich docierało, że ja tam jestem, leżę na nich, pod nimi, wśród nich – rzecz budząca ich lęk, a jednocześnie stanowiąca część ich strachu. Nie mogłem przestać emanować strachem, który wracał do mnie, narastał, a ja nie byłem w stanie się ruszyć, odejść. Traciłem chyba przytomność, ale strach cucił mnie ponownie, a ja nadal nie mogłem się ruszyć. Tak samo jak one.

Tomiko czuła, jak jeżą jej się włosy – włącza się aparat strachu.

– One? Kto to są „one”, Osden?

– One to... nie wiem. Strach.

– O co mu chodzi? – spytał Harfex, kiedy Tomiko opowiadała o tej rozmowie.

Nadal nie dopuszczała do spotkania tych dwóch, uważając, że powinna chronić Osdena przed atakiem silnych, hamowanych uczuć Haina. Niestety, dolewało to oliwy do tłumionego ognia paranoidalnego niepokoju, płonącego w sercu biednego Harfexa, który uznał, że Tomiko i Osden są w zмовie, że ukrywają jakiś doniosły fakt czy może niebezpieczeństwo przed resztą załogi.

– To tak, jakby ślepy chciał opisać słonia. Osden nie widział ani nie słyszał tej... tej istoty, tak samo jak my.

– Ale czuł ją, moja droga Haito – powiedział Harfex z ledwo hamowanym gniewem. – Nie empatycznie, ale na własnej czaszce. To coś przyszło i zważyło go z nóg, uderzając tępym narzędziem. Czyżby zupełnie nic nie widział?

– A co mógł zobaczyć? – zapytała Tomiko, lecz Harfex nie usłyszał znaczącego tonu jej głosu, nawet on zablokował możliwość zrozumienia. To, czego człowiek się boi, jest obce. Morderca jest kimś z zewnątrz, nigdy jednym z nas. Zło jest poza mną! – Pierwszy cios go ogłuszył – powiedziała Tomiko zmęczonym głosem. – Nic nie widział. Kiedy odzyskał przytomność, sam w lesie, poczuł wielki lęk. Nie własny, lecz empatyczny. Osden jest tego pewien. A także tego, że ten efekt nie pochodził od nikogo z nas. Tak więc widocznie nie wszystkie lokalne formy życia są pozbawione inteligencji.

Harfex patrzył na nią przez chwilę ponuro.

– Próbujesz mnie przestraszyć, Haito. Nie rozumiem, po co to robisz. – Wstał i odszedł do swojego stołu laboratoryjnego, krocząc sztywno i powoli jak starzec, a nie człowiek czterdziestoletni.

Powiodła wzrokiem po zebranych. Ogarnęło ją przygnębienie. Jej nowa krucha, ale głęboka więź z Osdenem dała jej, była tego świadoma, dodatkową siłę. Jeżeli jednak nawet Harfex nie potrafił utrzymać nerwów na wodzy, to co mówić o pozostałych? Porlock

i Eskwana zamknęli się w swoich przedziałach, cała reszta pracowała lub była czymś zajęta, ale coś w ich zachowaniu zastanawiało. Tomiko nie potrafiła powiedzieć co, aż w końcu zauważyła, że wszyscy zwróceni są twarzami w stronę pobliskiego lasu. Grając w szachy z Asnanifoilem, Olleroo tak długo przesuwiała się z krzesłem, że siedziała prawie obok niego.

Tomiko podeszła do Mannona, który przeprowadzał sekcję kłęбка splątanych brunatnych korzeni, i spytała, czy dostrzega w tym jakąś prawidłowość. Zorientował się od razu i powiedział z niezwykłą u niego lakonicznością:

– Chcą mieć oko na wroga.

– Jakiego wroga? Co pan odczuwa, Mannon? – spytała z nagłą nadzieją, że jako psycholog pomoże jej na niepewnym gruncie przeczuć i aluzji, wobec których biolodzy byli bezsilni.

– Odczuwam silny niepokój wyraźnie ukierunkowany w przestrzeni. Ale nie jestem empatą, a zatem wyjaśnienia tego niepokoju należy szukać w szczególnej sytuacji stresowej, po ataku w lesie na członka ekspedycji, a także w ogólnej sytuacji stresowej, wynikającej z pobytu w całkowicie obcym środowisku, dla której hasło wywoławcze „las” stanowi naturalną metaforę.

Kilka godzin później Tomiko obudziła się, słysząc, jak Osden krzyczy przez sen. Mannon go uspokoił i znów zapadła w swój mroczny, splątany sen. Rano Eskwana się nie obudził. Nie pomogły środki pobudzające. Wczepił się w swój sen, tonął w nim coraz głębiej i głębiej, bełkocząc coś cicho, aż wreszcie skulił się na boku z kciukiem przy wargach – odszedł całkowicie.

– Dwa dni i dwóch nie ma. Dziesięciu małych Murzynków, dziewięciu małych Murzynków... – odezwał się Porlock.

– A ty jesteś następnym Murzynkiem – ucięła Jenny Chong. – Idź, zrób sobie analizę moczu!

– On nas wszystkich wpędzi w chorobę umysłową – powiedział Porlock, wstając. – Nie czujecie tego? Na litość boską, czy jesteście wszyscy ślepi i głusi? Nie czujecie, co on robi? Tych jego emanacji? To wszystko ma źródło w nim, w jego przedziale, w jego umyśle. Przez niego wszyscy zwariujemy ze strachu!

– Przez kogo? – spytał Asnanifoil, górując swoją wielką kosmatą postacią nad małym Ziemianninem.

– Czy muszę nazywać go po imieniu? No więc Osden. Osden! Osden! Jak myślisz? Dlaczego chciałem go zabić? Dlatego że wy jesteście ślepi na to, co on z wami robi. Od początku sabotował wyprawę, prowokując nas do kłótni, a teraz chce nas wszystkich wpędzić w chorobę umysłową, emanując strach jak potężna radiostacja, która nadaje bez chwili przerwy swój bezdźwięczny program, tak że nie można ani spać, ani myśleć. Haito i Harfex są już w jego władzy, ale resztę z nas można jeszcze uratować. Musiałem to zrobić!

– To nie była dobra robota – przerwał mu Osden, stając półnagi, same żebra i bandaż, w drzwiach swojego przedziału. – Sam potrafiłbym się mocniej uderzyć. To nie ja doprowadzam cię do szału ze strachu, ale to coś, co jest w lesie!

Porlock niezdarnie próbował rzucić się na Osdena, ale Asnanifoil złapał go i trzymał bez większego wysiłku, podczas gdy Mannon zrobił mu zastrzyk uspokajający. Odprowadzany krzyczał o potężnych nadajnikach, ale po chwili zastrzyk podziałał i Porlock zapadł w

niemy bezwład, upodabniając się do Eskwany.

– No dobrze – odezwał się Harfex. – A teraz, panie Osden, niech pan mówi, co pan wie.

– Nie wiem nic – uciął Osden.

Był słaby i zmaltretowany. Tomiko kazała mu usiąść, zanim zacznie mówić.

– Po trzech dniach pobytu w lesie zaczęło mi się wydawać, że chwilami coś odbieram.

– Dlaczego nic nie zgłosiłeś?

– Myślałem, że zaczynam dostawać kota, jak wy wszyscy.

– O tym też miałeś obowiązek zameldować.

– Odwołałabyś mnie do obozu, a tego nie mógłbym znieść. Świetnie rozumiecie, że włączenie mnie do ekspedycji było błędem. Nie jestem w stanie współżyć w zamkniętej przestrzeni z dziewięcioma innymi nerwicowcami. Popełniłem błąd, zgłaszając się do Dalekiego Zwiadu, a Rada popełniła błąd, przyjmując mnie.

Nikt się nie odezwał i Tomiko dostrzegła tym razem już na pewno, jak ramiona Osdena drgnęły i napięły się mięśnie twarzy, kiedy odnotował ich milczącą zgodę.

– Poza tym nie chciałem wracać do domu, bo byłem ciekaw. Nawet gdybym wariował, czy mogłem odebrać sygnał empatyczny, jeżeli nie było istoty, która go nadała? One nie były wrogie, te sygnały. Bardzo niejasne... dziwne. Jak powiew w zamkniętym pokoju, jak poruszenie dostrzeżone kątem oka. Nic konkretnego.

Przez chwilę płynął jakby na ich zasłuchaniu: słuchali, więc mówił dalej. Był zdany na ich łaskę. Jeżeli go nie znosili, musiał być odpychający, jeżeli go przedrzeźniali, stawał się śmieszny, jeżeli go słuchali, mówił. Był bezwolnie podporządkowany wymogom ich uczuć, reakcji, nastrojów. A było ich siedmioro, zbyt wielu, żeby sobie z nimi poradzić, więc stale podawali go sobie jedno drugiemu według swego widzimisie. Nie znajdował spójności. Nawet kiedy mówił i przykuwał ich uwagę, czyjaś myśl mogła powędrować na manowce. Olleroo mogła na przykład pomyśleć, że nie jest pozbawiony uroku, Harfex podejrzewał go o chęć uzyskania jakiejś korzyści osobistej, Asnanifoil, który nie potrafił długo skupiać się na rzeczach konkretnych, uciekał myślą w wieczny spokój liczb, a uwagę Tomiko odwracały litość i strach. Osden zawahał się, stracił wątek.

– Ja... wydawało mi się, że to te drzewa – powiedział i umilkł.

– To nie mogą być drzewa – odezwał się Harfex. – One nie mają ani śladu systemu nerwowego, tak samo jak rośliny haińskie czy ziemskie.

– Nie widzi pan lasu za drzewami, jak mówią na Ziemi – wtrącił Mannon, uśmiechając się chytrze.

Harfex spojrzał na niego zdziwiony.

– A co pan powie o tych kłębach korzeni, nad którymi głowimy się od dwudziestu dni, co?

– A co mam powiedzieć?

– Są to niewątpliwie połączenia, połączenia między drzewami. A teraz przypuśćmy rzecz niemożliwą: że nie wie pan nic o budowie mózgu zwierząt i dostał pan do zbadania jedno włókno nerwowe albo jedną wypreparowaną komórkę mózgu. Czy miałby pan szansę odkryć, co to jest? Czy poznałby pan, że ta komórka jest nosicielem inteligencji?

– Nie. Bo pojedyncza komórka potrafi tylko mechanicznie reagować na bodziec. Nic więcej. Czy chce pan wysunąć hipotezę, że poszczególne drzewa są komórkami czegoś na kształt mózgu?

– Niezupełnie. Wskazuję na fakt, że wszystkie są powiązane, zarówno siecią korzeni, jak

i pnąciami. Jest to sieć niewiarygodnie skomplikowana i rozległa. Przecież nawet trawy stepowe mają powiązania korzeniowe, prawda? Wiem, że rozum czy inteligencja to nie jest rzecz, że nie można jej znaleźć lub analizować, badając komórki mózgu. Jest to funkcja połączonych komórek. W pewnym sensie jest to połączenie, więź. Nie usiłuję twierdzić, że to istnieje. Dopuszczam tylko, że Osden byłby w stanie coś takiego opisać.

Osden włączył się, mówiąc jak w transie:

– Świadomość bez zmysłów. Ślepa, głucha, pozbawiona nerwów i ruchu. Tylko pewna wrażliwość, reakcja na dotyk. Reakcja na słońce, światło, wodę i minerały w ziemi otaczającej korzenie. Coś niezrozumiałego dla zwierzęcego umysłu. Obecność bez umysłu. Świadomość istnienia bez przedmiotu i podmiotu. Nirwana.

– W takim razie dlaczego odbierasz strach? – spytała Tomiko cicho.

– Nie wiem. Nie wyobrażam sobie, skąd mogłaby się wziąć świadomość przedmiotów, innych istot. Ale wyczuwałem jakąś niepewność, a potem, kiedy leżałem między dwoma drzewami i moja krew spłynęła na ich korzenie – twarz Osdena pokryły krople potu – był już strach – zakończył ostrym tonem.

– Gdyby coś takiego istniało – powiedział Harfex – nie potrafiliby wyobrazić sobie poruszającej się materialnej istoty ani reagować na jej obecność. Nie potrafiliby przyjąć do wiadomości nas, tak jak my zupełnie nie potrafimy uświadomić sobie Nieskończoności.

– „Milczenie tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie” – mruknęła Tomiko. – Pascal uświadomił sobie Nieskończoność. Poprzez strach.

– Las – powiedział Mannon – może nas odbierać jako coś w rodzaju pożaru, trąby powietrznej. Coś groźnego. Wszystko, co porusza się szybko, jest dla rośliny niebezpieczne. To, co nie ma korzeni, jest obce, budzi strach. A jeżeli las jest świadomością, wydaje się aż nadto prawdopodobne, że mógł wyczuć obecność Osdena, którego umysł otwarty jest na wszelkie kontakty i który leżał w bólu i strachu w obrębie tamtej istoty, właściwie wewnątrz niej. Nic dziwnego, że poczuła strach...

– Żadna ona – przerwał Harfex. – Nie ma żadnej istoty, żadnego wielkiego stworzenia! Może istnieć najwyższej funkcja...

– Jest to strach – powiedział Osden.

Na chwilę zapanowała cisza i słychać było ciszę na dworze.

– Czy to jest to, co stale czai się za moimi plecami? – spytała niepewnie Jenny Chong.

Osden skinął głową.

– Wszyscy to czujecie mimo waszej głuchoty. Najbardziej to odczuł Eskwana, który ma pewne zdolności empatyczne. Mógłby nadawać, gdyby go tego nauczyć, ale jest za słaby, zawsze będzie tylko medium.

– Posłuchaj, Osden – powiedziała Tomiko – ty potrafisz nadawać. Nadaj więc do lasu, że nie zrobimy mu nic złego. Skoro to wytwarza emocje czy też jest czymś, co my odbieramy jako emocję, to może przetłumaczysz w drugą stronę? Wyślij wiadomość. „Jesteśmy nieszkodliwi, jesteśmy nastawieni przyjaźnie”.

– Musisz wiedzieć, Haito, że nikt nie może wysłać fałszywego komunikatu empatycznego. Nie można wysłać czegoś, czego nie ma.

– Ale my nie chcemy robić krzywdy i jesteśmy nastawieni przyjaźnie.

– Czyżby? A w lesie, kiedy mnie znalazłaś, czy miałaś przyjazne uczucia?

– Nie. Byłam przerażona. Ale to nie był mój strach, to las, rośliny...

– A co to za różnica? To było wtedy twoje jedyne doznanie. Czy nie rozumiesz – w głosie

Osdena zabrzmiało rozgoryczenie – dlaczego ja was nie cierpię, a wy mnie? Nie rozumiesz, że ja odsyłam każdą negatywną i agresywną emocję, jaką odczuliście do mnie od naszego pierwszego spotkania? Zwracam wam zawiązkę waszą wrogość. Robię to z samoobrony. Tak jak Porlock. Ale to tylko samoobrona. Technika wypracowana na miejsce mojej pierwotnej obrony, polegającej na całkowitej izolacji. Niestety, jest to błędne koło, które samo się sobą żywi, samo nasila. Wasza początkowa reakcja na moją osobę to była instynktowna niechęć do kaleki. Teraz to już jest nienawiść. Czy naprawdę nie rozumiecie? Ten myślący las nadaje tylko strach i jedyny komunikat, jaki mogę wysłać do niego, to też będzie strach, bo kiedy stykam się ze strachem, mogę czuć tylko strach!

– Więc co mamy robić? – spytała Tomiko i Mannon natychmiast odpowiedział:

– Przenieść obóz. Na inny kontynent. Jeżeli są tam te roślinne mózgi, nie zauważą nas od razu, tak jak ten tutaj, a może nie zauważą nas wcale.

– Byłaby to wyraźna ulga – zauważył Osden sztywno.

Cała reszta obserwowała go z nowym zaciekawieniem. Otworzył się przed nimi, zobaczyli, jaki jest naprawdę: bezbronny człowiek w pułapce. Może jak Tomiko zrozumieli, że sama pułapka, ten jego ordynarny i okrutny egoizm, była ich dziełem, a nie jego. To oni zbudowali klatkę i zamknęli go w niej, a on jak mała rzucił w nich zza krat odpadkami. Gdyby przy pierwszym spotkaniu obdarzyli go zaufaniem, gdyby mieli dość siły, żeby mu ofiarować miłość – jaką postać by im zaprezentował?

Nikt z nich nie potrafił się na to zdobyć, a teraz było już za późno. Może Tomiko, mając czas i będąc z nim sam na sam, mogłaby stopniowo uzyskać rezonans uczuć, współbrzmienie zaufania, harmonię, ale nie mieli na to czasu, musieli wykonać swoje zadanie. Nie było miejsca na rozwijanie czegoś tak wielkiego; musieli się zadowalać sympatią i litością, odpadkami miłości. Nawet to dawało Tomiko siłę, ale dla niego było to wciąż o wiele za mało. Mogła wyczytać z jego twarzy, jak obłupionej ze skóry, ostrą niechęć do ich ciekawości, nawet do jej litości.

– Idź, połóż się. Ta rana znowu krwawi – powiedziała i Osden posłuchał.

Rano spakowali się, stopili natryskiwany plastikowy hangar i barak mieszkalny. „Gum” wystartował na napędzie mechanicznym i przeniósł ich nad czerwonymi i zielonymi łąkami, nad ciepłymi zielonymi morzami na drugą półkulę planety 4470. Wybrali miejsce na kontynencie G: step, dwadzieścia tysięcy kilometrów kwadratowych traw kołysanych wiatrem. W promieniu stu kilometrów od obozowiska nie było ani lasu, ani pojedynczych drzew czy ich kęp. Roślinność występowała tu jedynie w dużych jednogatunkowych koloniach, nigdy przemieszana, poza pewnymi drobnymi wszędobylskimi saprofitami i zarodnikowcami. Członkowie ekspedycji rozpylili plastikowe pokrycia nad elementami konstrukcji i pod koniec trzydziestodwugodzinnego dnia byli rozlokowani w nowym obozie. Eskwana nadal trwał pogrążony we śnie, a Porlock pozostawał pod wpływem środków uspokajających, ale cała reszta miała jak najlepszy nastrój.

– Tu jest czym oddychać! – powtarzali.

Osden podniósł się i podszedł chwiejnym krokiem do drzwi. Oparł się o nie i patrzył w zapadającym zmierzchu na szarzejący przestwór rozkołysanej trawy, która nie była trawą. W powietrzu utrzymywał się lekki, słodki zapach pyłku; żadnego dźwięku poza

cichym poświstem wiatru. Osden stał bez ruchu przez dłuższą chwilę, przekrzywiwszy nieco obandażowaną głowę. Przyszła ciemność, a z nią gwiazdy, światła w oknach dalekiego domu człowieka. Wiatr ustał, zapanowała cisza. Osden słuchał.

Haito Tomiko słuchała przez całą długą noc. Leżała nieruchomo, słysząc krew w swoich arteriach, wiatr, bieg ciemnych żył, zbliżające się sny, bezmierny szum gwiazd, nasilający się, w miarę jak wszechświat powoli umierał, odgłos kroków śmierci. Wyplątała się z pościeli i porzuciła mikroskopijny azyl swojego przedziału. Tylko Eskwana spał. Porlock leżał w kaftanie bezpieczeństwa, bredząc cicho w swoim egzotycznym języku. Olleroo i Jenny Chong z ponurymi minami grały w karty. Poswet To była podłączona do aparatury leczącej. Asnanifoil rysował mandałę. Trzeci wzór liczb pierwszych. Mannon i Harfex siedzieli z Osdenem.

Haito zmieniła Osdenowi opatrunek. Jego proste rudawe włosy tam, gdzie nie musiała ich zgolić, wyglądały dziwnie. Były teraz przetkane siwizną. Ręce jej się trzęsły przy tej czynności. Nikt się nie odezwał.

– W jaki sposób lęk może być i tutaj? – spytała i jej głos zabrzmiał sztucznie w tej przerażającej ciszy.

– To obejmuje nie tylko drzewa. Widocznie trawy też...

– Ale jesteśmy o dwanaście tysięcy kilometrów od miejsca, w którym byliśmy dziś rano. Zostawiliśmy strach po drugiej stronie planety.

– To jest całość – powiedział Osden. – Jedna olbrzymia zielona myśl. Ile czasu trzeba, żeby sygnał dotarł z jednej półkuli twojego mózgu do drugiej?

– To nie potrafi myśleć. To nie myśli – wtrącił bezbarwnym głosem Harfex. – To tylko sieć procesów. Gałęzie, pnącza, korzenie z tymi węzłami łączącymi osobniki: wszystko to musi przewodzić impulsy elektrochemiczne. Zatem ściśle rzecz biorąc, nie można mówić o indywidualnych roślinach. Nawet pyłek jest niewątpliwie częścią sieci, czymś w rodzaju przenoszonej wiatrem myśli, połączenia międzykontynentalnego. Ale to nie mieści się w głowie. Żeby cała biosfera planety stanowiła jedną sieć połączeń, wrażliwą, irracjonalną, nieśmiertelną, osamotnioną...

– Osamotnioną – powtórzył Osden. – To jest właśnie to! To jest przyczyna strachu. Wcale nie to, że jesteśmy ruchomi czy niebezpieczni, ale to, że jesteśmy kimś innym. Do tej pory nigdy nie było nikogo innego.

– Ma pan rację – powiedział Mannon prawie szeptem. – To nie ma współbraci i nie ma wrogów. Nikogo prócz siebie. Odwieczna samotność.

– Więc jaką funkcję pełni tu inteligencja w walce o przedłużenie gatunku?

– Może żadnej – stwierdził Osden. – Dlaczego popadasz w teleologię, Harfex? Przecież jesteś Hainem. Czyż miara złożoności nie jest miarą wiekuistej radości?

Harfex nie chwycił przynęty. Wyglądał na chorego.

– Powinniśmy odlecieć z tej planety – mruknął.

– Teraz wiecie, dlaczego zawsze chciałem być jak najdalej, jak najdalej od was – powiedział Osden z jakimś przewrotnym rozbawieniem. – Prawda, że to nie jest przyjemne...? Strach innej istoty? Gdyby to była inteligencja zwierzęca! Do zwierząt potrafię dotrzeć. Daję sobie radę z kobrai i tygrysami – wyższa inteligencja zapewnia przewagę. Powinni byli wykorzystać mnie w zoo, a nie w zespole ludzi... Jak tu się porozumieć z tym cholernym tępym kartoflem! Gdyby to nie było tak przygniatająco olbrzymie... Musisz wiedzieć, że wciąż odbieram coś jeszcze oprócz strachu. A zanim to

wpadło w panikę, miało w sobie jakiś spokój, pogodę. Nie potrafiłem wtedy tego pojąć, nie zdawałem sobie sprawy z rozmiarów zjawiska. Czuć wszystkie godziny dnia i nocy jednocześnie, wszystkie wiatry i wszystkie cisze, zimowe i letnie niebo. Mieć korzenie i nie mieć wrogów. Być całością. Rozumiecie? Nie wiedzieć, co to atak. Nie znać innych. Być wszystkim...

Nigdy wcześniej tak nie mówił, pomyślała Tomiko.

– Jesteś wobec tego bezbronny, Osdenie – powiedziała. – Twoja osobowość już się zmieniła. Nie masz przed tym mechanizmu obronnego. Może nie wszyscy z nas zwariują, jeżeli stąd nie odlecimy, ale ty na pewno.

Osden zawahał się, a potem popatrzył na Tomiko, która po raz pierwszy spotkała jego wzrok, spokojny, nieruchomy, czysty jak woda.

– A co ja mam z tego, że jestem normalny? – zapytał drwiąco. – Ale to była trafna uwaga. Chyba masz rację, Haito.

– Powinniśmy odlecieć – mruknął Harfex.

– Może gdybym się temu poddał – zastanawiał się Osden – mógłbym nawiązać kontakt.

– Mówiąc „podać” się – powiedział szybko nerwowym tonem Mannon – masz, jak sądzę, na myśli, że przestaniesz odsyłać informację empatyczną, którą odbierasz od tego roślinnego mózgu: przestaniesz odbijać strach i wchłoniesz go w siebie. To cię albo natychmiast zabije, albo zepchnie z powrotem w autyzm, w całkowitą alienację psychiczną.

– Dlaczego? – spytał Osden. – Treścią jego komunikatu jest odrzucenie, ale dla mnie odrzucenie jest ratunkiem. To nie jest rozumne, a ja jestem.

– Skala jest niewłaściwa. Cóż znaczy pojedynczy ludzki mózg wobec czegoś tak olbrzymiego?

– Pojedynczy ludzki mózg potrafi dostrzec ład na skalę gwiazd i galaktyk – powiedziała Tomiko – i interpretować go jako miłość.

Mannon spoglądał na zmianę na nią i na Osdena. Harfex milczał.

– W lesie byłoby łatwiej – powiedział Osden. – Kto z was mnie zawiezie?

– Kiedy?

– Zaraz. Zanim wszyscy powariujecie.

– Ja polecę – zgłosiła się Tomiko.

– Nikt z nas nie poleci – powiedział Harfex.

– Ja nie mogę – wyjąkał Mannon. – Za bardzo się boję... Rozbiłbym śmigłowiec.

– Zabierz Eskwanę. Jeżeli mi się powiedzie, może nam posłużyć za medium.

– Czy koordynator akceptuje plan czujnika? – spytał Harfex oficjalnie.

– Tak.

– Ja jestem przeciw. Ale polecę z wami.

– Myślę, że nie mamy innego wyjścia – powiedziała Tomiko, wpatrując się w twarz Osdena – odrażającą białą maskę przemienioną teraz, pełną oczekiwania, jak twarz kochanka.

Olleroo i Jenny Chong, grając w karty, żeby odwrócić myśli od koszmarnych snów, od narastającego lęku, szczebiotały jak przestraszone dzieci o strachu z lasu, który chce je zjeść.

– Boicie się ciemności? – wyśmiał je Osden.

– Spójrz tylko na Eskwanę, na Porlocka, nawet na Asnanifoila...

– To nie może wam zrobić nic złego. To tylko impuls przebiegający przez synapsy, wiatr przebiegający wśród gałęzi. To wszystko złudzenia.

Polecieli helikopterem – Eskwana pogrążony we śnie, zwinięty w kłębek na tylnym siedzeniu, Tomiko przy sterach, Harfex i Osden w milczeniu wypatrujący ciemnej linii lasu za szarawym przestworem oświetlonej gwiazdami równiny.

Zbliżyli się do tej linii i minęli ją; teraz pod nimi była ciemność.

Szukając miejsca do lądowania, Tomiko leciała nisko, zwalczając przemożną chęć wzniesienia się i ucieczki. Tu, w lesie, potężną witalność tego roślinnego świata odczuwało się znacznie mocniej. Jego strach pulsował wszechogarniającymi czarnymi falami. Ukazała się przed nimi jaśniejsza plama: nagi szczyt wzgórza nieco wyższy od najwyższych czarnych kształtów wokół niego: tych niby-drzew zrosniętych w jedną całość. Tomiko posadziła śmigłowiec na polanie. Było to dość niezgrabne lądowanie – dłonie na drążku ślizgały się jak posmarowane zimnym mydłem.

Wokół nich wznosił się teraz las, czarny w mroku nocy. Tomiko zasłoniła ręką zamknięte oczy. Eskwana jęczał przez sen. Słysząc było krótki i głośny oddech Harfexa, który siedział sztywno, nawet kiedy Osden sięgnął poprzez niego i otworzył drzwi.

Osden wstał. Jego plecy i zabandażowana głowa były ledwo widoczne w słabym blasku tablicy kontrolnej, kiedy zgarbiony zatrzymał się na chwilę w drzwiach.

Tomiko drżała. Nie mogła unieść głowy.

– Nie, nie, nie, nie, nie, nie – szeptała. – Nie, nie, nie.

Osden ruszył nagle i po cichu. Zeskoczył w mrok i znikł.

– Przychodzę! – odezwał się bezdźwięcznie potężny głos.

Tomiko krzyknęła. Harfex się rozkaszał. Wyglądało to, jakby chciał wstać, ale siedział nadal. Tomiko zebrała wszystkie siły, skoncentrowała się na ślepych oku w głębi brzucha, w samym środku swojej istoty. Poza tym punktem nie było niczego prócz strachu.

Który nagle ustał.

Tomiko uniosła głowę, powoli rozwarła zaciśnięte dłonie. Wyprostowała się. Była ciemna noc i tylko gwiazdy błyszcząły nad lasem. Nic więcej.

– Osden – powiedziała, ale był to niesłyszalny szept. – Osden – powtórzyła głośniejszym swoim groteskowo niskim głosem.

Odpowiedzi nie było. Zaczęło do niej docierać, że coś się dzieje z Harfexem. Próbowała odnaleźć w ciemnościach jego głowę, bo zsunął się z fotela, kiedy niespodziewanie w zupełnej ciszy z tylnego siedzenia śmigłowca odezwał się głos:

– Dobrze.

Był to głos Eskwany. Tomiko włączyła oświetlenie kabiny i zobaczyła inżyniera skulonego we śnie z ustami częściowo przykrytymi dłońmi. Usta poruszyły się i powiedziały:

– Wszystko w porządku.

– Osden...

– Wszystko w najlepszym porządku – powtórzyły cichutko usta Eskwany.

– Gdzie jesteś?

Milczenie.

– Wracaj.

Zerwał się wiatr.

– Zostanę tutaj – powiedział głos.

– Nie możesz zostać.

Milczenie.

– Byłbyś zupełnie sam, Osdenie!

– Słuchaj. – Głos był słabszy, niewyraźny, jakby gubił się w szumie wiatru. – Słuchaj.

Życzę ci dobrze.

Wołała go jeszcze potem, ale bez skutku. Eskwana leżał nieruchomo. Harfex też.

– Osden! – krzyknęła, wychylając się w mrok kołysanej wiatrem ciszy żywego lasu. – Ja wrócę. Muszę zawieźć Harfexa do obozu. Wrócę!

Milczenie i wiatr w gałęziach.

Zakończyli przewidziane programem badania planety 4470. Zajęło to pozostałej ósemce jeszcze czterdzieści jeden dni. Początkowo Asnanifoil i jedna z kobiet wyruszali codziennie do lasu na poszukiwania Osdena w okolicy nagiego pagórka, choć Tomiko w głębi duszy nie była pewna, na którym z nagich pagórków lądowała tamtej nocy w samym sercu strachu. Zostawili Osdenowi zapasy: odzież, narzędzia, namioty, żywność – na pięćdziesiąt lat. Zaprzestali poszukiwań, bo nie sposób było odnaleźć pojedynczego człowieka, który chciał się ukrywać w nieskończonych labiryntach i mrocznych korytarzach oplecionych pnączami i korzeniami. Mogli mijać go na odległość wyciągniętej ręki i nigdy nie odnaleźć.

Ale on tam był, bo nie czuli już strachu.

Racjonalna i ceniąca rozsądek jeszcze bardziej po tak bolesnym kontakcie z nieśmiertelną irracjonalnością Tomiko usiłowała wytłumaczyć sobie, co właściwie Osden zrobił. Ale słowa wymykały się spod kontroli. Osden przyjął w siebie cały strach, przyjął go i pokonał. Oddał siebie obcej istocie i była to bezwarunkowa kapitulacja, niezostawiająca miejsca na zło. Nauczył się darzyć miłością kogoś innego i dzięki temu odzyskał całego siebie. Ale wszystko to nie mieściło się w jej słowniku rozsądku.

Członkowie ekspedycji Dalekiego Zwiadu chodzili pod drzewami, wędrowali przez rozległe połacie życia otoczeni sennym milczeniem, pogrążonym w kontemplacji spokojem, który był częściowo świadom ich obecności i całkowicie ją ignorował. Godziny się nie liczyły. Odległość nie miała znaczenia. Gdybyśmy mieli tylko dość miejsca i czasu... Planeta obracała się między światłem i ciemnością; wiały wiatry zimy i lata, przenosząc pyłek ponad spokojnymi morzami.

„Gum” wrócił po wielu badaniach, po wielu latach i po przebyciu wielu lat świetlnych do miejsca, które przed wiekami było portem Smeming. Nie do wiary, ale powitali ich ludzie, którzy przyjęli sprawozdanie z wyprawy i odnotowali straty: biolog Harfex – zmarł ze strachu, czujnik Osden – pozostał jako kolonista.

Przełożył Lech Jęczmyk

Gwiazdy pod ziemią

W powszechnym mniemaniu fantastyka naukowa to literatura, która bierze sobie za przedmiot jakiś mniej czy bardziej prawdopodobny przyszłościowy cud techniki – soylent green⁵, wehikuł czasu czy łódź podwodną – i na tym żeruje. Oczywiście istnieją właśnie takie utwory fantastycznonaukowe, ale określać na ich podstawie całą fantastykę naukową to mniej więcej tak, jak powiedzieć, że Kansas to Stany Zjednoczone.

Pisząc *Gwiazdy pod ziemią*, uważałam, że wiem, co robię. Podobnie jak we wcześniejszym opowiadaniu *Mistrzowie* nie zajmuję się tu jakimś jednym wynalazkiem, pomysłem czy hipotezą, tylko samą nauką, ideą nauki. I tym, co dzieje się z tą ideą, kiedy napotyka ona całkowicie przeciwne, ale potężne idee reprezentowane przez władzę, tak jak było z siedemnastowieczną myślą astronomiczną i papieżem czy z pracami genetyków i Stalinem w latach trzydziestych. Wszystko to jednak przedstawiłam jako psychomit, historię dziejącą się poza czasem rzeczywistym, przeszłym czy przyszłym – częściowo w celu uogólnienia, a częściowo dlatego, że naukę potraktowałam jako synonim sztuki. Co dzieje się z myślą twórczą, kiedy się ją zepchnie pod ziemię?

Wydaje mi się, że znam odpowiedź na to pytanie. Jest prosta jak przejrzysta alegoria. Ale badanie miejsc podziemnych nie jest takie łatwe. Symbole, które się miało za zwykłe równoznaczniki, znaki, ożywają, nabierają własnych znaczeń, niezamierzonych i trudnych do wyjaśnienia. Długo po tym, kiedy napisałam to opowiadanie, natknęłam się w dziele Junga *Dynamika nieświadomości*⁶ na następujący fragment: „Powinniśmy uważać swoje ja za coś otoczonego milionem maleńkich światłości (...) introspektywnych intuicji (...) zawładnąć tym, co nieświadome: niebem usianym gwiazdami, gwiazdami odbitymi w ciemnych wodach, grudkami złota albo złotego piasku rozproszonymi w czarnej ziemi”. I dalej autor cytuje słowa alchemika: „*Seminate aurum in terram albam foliatam*” – o drogocennym metalu rozsianym w warstwach białej gliny.

Być może to opowiadanie nie dotyczy nauki czy sztuki, tylko umysłu, mojego umysłu, jakiegokolwiek umysłu, który zwraca się do wewnątrz, ku sobie.

Drewniany dom i zabudowania zajęły się szybko, buchnęły płomieniem, spaliły się, ale kopuła wzniesiona z siatki metalowej i gipsu na podmurówce z cegieł nie chciała się zająć. W końcu zwalili w niej pośrodku na kupę porozbijane teleskopy, różnego rodzaju instrumenty, książki, mapy i rysunki, oblali olejem i podpalili. Płomień sięgnął do

drewnianych belek obudowy wielkiego teleskopu i mechanizmów zegarowych. Mieszkańcy miasteczka, którzy przyglądali się temu, stojąc u podnóża pagórka, widzieli, jak kopuła, biaława na tle seledynowego wieczornego nieba, drga i skręca się najpierw w jedną, potem w drugą stronę, a z podłużnej szpary wydobywa się czarno-żółty dym – obraz brzydki i niesamowity.

Robiło się ciemno, na wschodzie pokazały się gwiazdy. Wykrzykiwano rozkazy. Droga nadeszli szeregiem milczący żołnierze, ciemne postacie w ciemnych mundurach.

Mieszkańcy miasteczka stali u stóp wzgórza jeszcze po odejściu żołnierzy. Tam, gdzie nic się nie dzieje, nawet pożar jest świętem. Ludzie jednak nie weszli na wierzchołek wzgórza, tylko z nastaniem ciemności zbili się w ciasną gromadkę. Po chwili zaczęli się rozchodzić do swoich siedzib. Niektórzy oglądali się przez ramię na wzgórze, gdzie nic się już nie działo. Gwiazdy schowały się powoli za czarną kopułę, ale kopuła nie obróciła się wraz z nimi.

Na godzinę przed świtem jakiś mężczyzna podjechał stromą, wijącą się zygzakami ścieżką, zsiadł z konia koło zgliszcz warsztatów i pieszo zbliżył się do kopuły. Przez wywalone drzwi widać było czerwonawą mglistą poświatę; to po całej nocy żarzył się jeszcze przepalony aż do rdzenia potężny bal, niegdyś podtrzymujący sufit. Wewnątrz kopuły było duszno od wiszącego w powietrzu gryzącego dymu. Wysoka postać snuła się tam, a wraz z nią jej cień, widoczny wśród mroku w górze. Brnęła przez pogorzeliśko, to pochylając się, to znów się zatrzymując.

Stojący przy drzwiach człowiek zawołał:

– Guennar! Mistrzu Guennarze!

Mężczyzna wewnątrz kopuły zastygł w bezruchu, spoglądając w stronę drzwi. Właśnie podniósł coś ze sterty rupieci zalegających podłogę. Machinalnie włożył ten przedmiot do kieszeni płaszcza, w dalszym ciągu patrząc w kierunku drzwi, do których w końcu podszedł.

Oczy miał czerwone i zapuchnięte, tak że ledwie widział, oddech chrapliwy i nierówny, włosy i ubranie osmalone i ubrudzone popiołem.

– Gdzie byłeś?

Mężczyzna w kopule wskazał niejasnym gestem coś pod swoimi nogami.

– Tam jest piwnica? To tam byłeś w czasie pożaru? O Boże! Zszedłeś pod ziemię! A ja wiedziałem, wiedziałem, że tu będziesz. – Bord zaśmiał się, trochę dziko, i wziął Guennara za ramię. – Chodź, wyjdźże stąd, na miłość boską. Na wschodzie już świta.

Astronom usłuchał niechętnie. Idąc, zamiast patrzeć na szary wschód, oglądał się na szparę w kopule, przez którą lśniły gwiazdy. Bord wyciągnął go na zewnątrz, kazał mu dosiąść konia i, wzięwszy uzdę do ręki, ruszył w dół szybkim krokiem.

Astronom jedną rękę trzymał na łąku siodła, drugą, którą sobie oparzył, podnosząc metalowy przedmiot rozpalony do czerwoności, przyciskał do uda. Nie był świadom ani tego, co robi, ani bólu. Od czasu do czasu jego zmysły mówiły mu: „Jadę konno” albo „Robi się coraz widniej”, ale te oderwane przekazy nie miały dla niego żadnego sensu. Dygotał z zimna, ponieważ zerwał się poranny wiatr, miotając mrocznym lasem, przez który głęboką, obrośniętą cierniem drogą przedzierał się wraz z towarzyszem. Ale ani las, ani wiatr, ani jaśniejące niebo, ani zimno nie miały dostępu do świadomości Guennara, gdzie panowały jedynie ciemność, zaduch i gorąco pożogi.

Bord pomógł mu zsiąść. Wyszli teraz na światło dnia, które szeroko rozlewało się po

skalach nad doliną rzeki. Bord pociągnął go w stronę ciemnego miejsca. Nie było tam gorąco ani ciasno, tylko zimno i cicho. Kiedy Bord pozwolił mu się zatrzymać, Guennar osunął się na ziemię – nogi odmówiły mu posłuszeństwa – i poparzonymi, pulsującymi dłońmi poczuł chłodną skałę.

– Zszedł pod ziemię, na Boga! – powiedział Bord, rozglądając się w świetle osłoniętej szkłem świecy po żyłkowanych ścianach poznaczonych śladami górniczych kilofów. – Być może wrócę, jak się zrobi ciemno. Ale ty nie wychodź. I nie zapuszczaj się głębiej. To dawna sztolnia, od lat nieczynna. W tych starych tunelach mogą być jakieś zdradliwe miejsca i pułapki. Pamiętaj, nie wychodź! Leż. Kiedy psy sobie pójdą, przeprowadzimy cię jakoś przez granicę.

Bord odwrócił się i odszedł mroczną sztolnią. Długo po tym, jak jego kroki przebrzmiały, astronom uniósł głowę i rozejrzał się dokoła po czarnych ścianach. Zdmuchnął świecę. Ogarnęła go pachnąca ziemią ciemność, cicha i całkowita. Początkowo widział jakieś zielone kształty, ochrowe plamy żeglujące w czerni, ale to wszystko rozplynęło się powoli. Matowa, chłodna ciemność była balsamem na jego rozpalone, bolące oczy, na umysł.

Jeżeli nawet w ogóle myślał, siedząc tam w ciemności, to jego myśl nie przyobekła się w słowa. Trawiła go gorączka z wyczerpania i dymu, którego się nawdychał, i z kilku niewielkich oparzelin, a poza tym jego umysł nie działał normalnie. Ale być może jego umysł, choć jasny i pogodny, nigdy nie działał normalnie. Bo czyż to jest normalne, żeby człowiek spędził dwadzieścia lat, szlifując soczewki, budując teleskopy, patrząc w gwiazdy, dokonując obliczeń, sporządzając listy, mapy i szkice rzeczy, których nikt nie zna i o które nikt nie dba, rzeczy, których nie można osiągnąć, dotknąć czy wziąć do ręki? A teraz wszystko to, czemu poświęcił całe życie, spłonęło. Można więc równie dobrze to, co z niego zostało, pogrzebać, tak jak to właśnie zrobiono.

Ale ta myśl, że może został pogrzebany, nie przyszła mu do głowy. Jedyne, czego był dokładnie świadom, to wielki ciężar gniewu i zgryzoty, ciężar, którego nie potrafił udźwignąć. Przytłaczał on jego umysł, rozsądek. Ale panująca dokoła ciemność zdawała się przynosić mu ulgę. Był przyzwyczajony do ciemności, prowadził nocne życie. Ciężar, który go tu przytłaczał, to tylko skała, tylko ziemia. Żaden granit nie jest tak ostry jak nienawiść i żadna glina tak zimna jak okrucieństwo. Spowiała go czarna niewinność ziemi. Leżał w jej wnętrzu, dygocąc z bólu, a trochę z poczucia ulgi, aż zasnął.

Obudziło go światło. Zjawił się hrabia Bord i za pomocą hubki i krzesiwa zapalił świecę. Twarz Borda była ożywiona: rumieńce i błękitne oczy bystrego myśliwego, czerwone usta, zmysłowe i uparte.

– Są na tropie – powiedział. – Wiedzą, że uciekłeś.

– Ale dlaczego... – zaczął astronom. Jego głos był słaby, a gardło, podobnie jak oczy, w dalszym ciągu podrażnione przez dym. – Dlaczego oni mnie ścigają?

– Dlaczego? Jeszcze ci trzeba tłumaczyć? Żeby cię spalić żywcem, człowieku! Za herezję!

– Błękitne oczy Borda migotały w uspokajającym się powoli płomyku świecy.

– Ale przecież wszystko, czego dokonałem, przepadło, spłonęło.

– Zgoda, tylko że im jest potrzebny kozioł ofiarny. Muszą mieć kozła ofiarnego. Niech mnie wszyscy diabli, jeśli cię wydam w ich ręce.

Oczy astronoma, jasne i szeroko rozstawione, napotkały spojrzenie Borda i wytrzymały je.

– Dlaczego?

– Myślisz, że jestem głupcem? – powiedział Bord z jakimś wilczym uśmiechem, z uśmiechem istoty zaszczutej i szczującej. – Owszem, jestem. Jestem głupcem, że cię ostrzegłem. Ty mnie nigdy nie słuchałeś. A ja byłem głupi, że słuchałem ciebie. Ale lubiłem słuchać, jak mówiłeś o gwiazdach, o torach planet i o granicach czasu. Wszyscy inni mówili ze mną tylko o sianiu kukurydzy i krowim łajnie. Rozumiesz? A ponadto nie lubię żołnierzy i obcych, i procesów, i palenia. Twoja prawda, ich prawda... Cóż ja wiem o prawdzie? Czy ja jestem mistrzem? Czy znam tory gwiazd? Może ty znasz. Może oni znają. Ja wiem tylko, że siedziałeś przy moim stole i mówiłeś do mnie. I ja miałbym patrzeć, jak płoniesz? Mówią, że to ogień boży, ale ty powiedziałeś, że ognie boże to są gwiazdy. Po co pytasz mnie dlaczego? Po co zadajesz głupie pytania?

– Wybacz – powiedział astronom.

– Co wiesz o ludziach? – zapytał hrabia. – Myślałeś, że dadzą ci życie. Myślałeś, że ja ci pozwolę spłonąć. – Popatrzył na Guennara poprzez płomień świecy, a w jego błękitnych oczach dostrzec można było błysk prawdziwego rozbawienia. – My, którzy żyjemy na ziemi, a nie w górze wśród gwiazd...

Bord przyniósł hubkę z krzesiwem i trzy łożowe świece, butelkę wody, placek z mąki grochowej i woreczek chleba. Odszedł śpiesznie, raz jeszcze przestrzegając astronoma, żeby nie wytykał nosa z kopalni.

Tym razem, kiedy Guennar się obudził, własna sytuacja zaczęła go niepokoić – ale nie w taki sposób, w jaki boją się ludzie drżący o własną skórę w jakiejś dziurze; dla niego najbardziej przygnębiające było to, że stracił rachubę czasu. Nie tyle odczuwał brak zegarków, ile brak słodkiego dźwięku dzwonek kościelnych, wzywających ludzi w miasteczkach na poranną i wieczorną modlitwę, drobiazgowej i posłusznej dokładności chronometrów, których precyzji zawdzięczał tyle swoich odkryć. Nie, to nie zegarków mu brakowało, tylko wielkiego zegara.

Nie widząc nieba – jak może ocenić obroty Ziemi? Przebieg czasu – jasny łuk Słońca i fazy Księżyca, taniec planety i obroty całych konstelacji wokół Gwiazdy Polarnej, roczny cykl obrotu gwiazd, ta osnowa, na której zostało utkane jego życie, przestała istnieć. Tutaj nie było czasu.

– O mój Boże – modlił się w ciemności pod ziemią astronom Guennar. – Jak może obrażać Cię to, że jesteś chwalony? Wszystko, co kiedykolwiek zobaczyłem w moich teleskopach, to tylko niewielki odprysk Twojej chwały, maleńki fragment ładu w Twym dziele stworzenia. Nie możesz być wszak o to zazdrosny, o Panie! A i tak przecież tylko nieliczni mi uwierzyli. Czy to zbyt wielka śmiałość z mojej strony pokusić się o opisanie Twego dzieła? I jakżeż mogłem się od tego powstrzymać, o Panie, skoro pozwoliłeś mi zobaczyć nieskończone przestrzenie gwiazdne? Czyż zobaczywszy to wszystko, mogłem milczeć? O Boże, nie karz mnie już więcej i pozwól mi odbudować chociaż ten mniejszy teleskop. Nie powiem nic, nic nie podam do publicznej wiadomości, jeśli tak bardzo niepokoi to Twój święty Kościół. Nie powiem już nic więcej o orbitach planet ani o naturze gwiazd. Nie powiem nic, o Panie, tylko pozwól mi widzieć!

– Do diabła, mistrzu Guennarze, bądź cicho! Słyszałem cię w połowie drogi w tunelu – powiedział Bord i astronom otworzył oczy porażone światłem lampy. – Jest wielka

agonka na ciebie. Obwołali cię czarnoksiężnikiem. Przysięgali, że zastali cię śpiącego, kiedy przyszedli do twojego domu, i zaryglowali drzwi, ale w popiołach nie znaleźli kości.

– Tak, spałem – powiedział Guennar, przysłaniając oczy. – A oni przyszedli, żołnierze... Powinienem być ciebie posłuchać. Wyszedłem korytarzem podziemnym pod kopułą. Zostawiłem sobie ten korytarz, żeby móc w chłodne noce schodzić do kominka. Jak jest bardzo zimno, sztywnieją mi palce i muszę sobie gdzieś ogrzać ręce. – Rozpostarł poczerwiałe, pokryte pęcherzami dłonie i przyjrzał im się niezdecydowanie. – I wtedy usłyszałem ich nad sobą...

– O, tu jest żywność. Co, do diabła? Nic nie jadłeś?

– A ile czasu upłynęło od tamtej pory?

– Noc i dzień. Teraz jest noc. Pada. Posłuchaj, mistrzu: w moim domu są teraz dwaj spośród tych czarnych psów. Emisariusze Rady. Co zrobić, musiałem im udzielić gościny. To moje hrabstwo, a ja jestem hrabią. Trudno mi tutaj przychodzić, a nie chcę przysyłać nikogo ze swoich ludzi. Bo gdyby ich na przykład kapłani spytali: „Czy wiecie, gdzie on jest?”, czyż mogliby przysiąc na Boga, że nie wiedzą? Lepiej, żeby nie wiedzieli. Będę przychodził, kiedy się da. Czy jest ci tu znośnie? Zostaniesz tutaj? Jak tylko się wyniosą, wydostanę cię stąd i przeprowadzę przez granicę. Ale teraz jest ich jak much. Nie mów tak głośno. Mogą zaglądać do tych starych tuneli. Powinieneś schować się głębiej. Ja jeszcze przyjdę. Zostań z Bogiem, mistrzu.

– Idź z Bogiem, hrabio.

Kiedy Bord uniósł lampę i odwrócił się, by odejść, Guennar zobaczył błękit jego oczu i cienie tańczące na z gruba ciosanej powale. I światło, i kolor znikły, kiedy Bord zgasił za zakrętem lampę. Guennar usłyszał jeszcze, jak potyka się i przeklina, szukając po omacku drogi.

Zapalił świeczkę, napił się i posilił trochę. Najpierw zjadł czerstwy chleb i spróbował grochowego placka. Tym razem Bord przyniósł mu trzy bochenki chleba, kawałek solonego mięsa, jeszcze dwie świece, drugi skórzany bukłak wody i gruby wełniany płaszcz. Ale Guennar nie odczuwał zimna. Miał na sobie okrycie, które zawsze w zimne noce wkładał w obserwatorium i w którym często padał nieprzytomny na łóżko o świcie. Był to dobry kozuch, trochę brudny od szperania w zgliszczach kopuły, z osmalonymi na brzegach rękawami, ale ciepły, i Guennar czuł się w nim jak we własnej skórze. Siedział więc w tym kozuchu, jedząc i patrząc poprzez krąg wątego światła w ciemność sztolni. Cały czas miał w uszach słowa Borda: „Powinieneś schować się głębiej”.

Kiedy skończył jeść, zawinął jedzenie w płaszcz, wziął tobolek w jedną, a zapaloną świecę w drugą rękę i ruszył bocznym tunelem, a potem sztolnią w głąb. Uszedłszy kilkaset kroków, natrafił na większy tunel poprzeczny, od którego odchodziło wiele krótkich odnóg, obszernych pomieszczeń i jaskiń. Skręcił w lewo i dotarł do wielkiego przodka położonego na trzech poziomach. Najwyższy poziom wznosił się na wysokości zaledwie pięciu stóp od stropu, w dalszym ciągu solidnie podstemplowanego balami i słupami. W rogu najniższego poziomu, za kwarcową intruzją pozostawioną przez górników jako podpora, założył sobie obozowisko. Rozmieścił jedzenie, wodę, hubkę z krzesiwem i świece tak, żeby mieć je pod ręką, i rozścielił na podłodze z gruzłowatej gliny kozuch, który miał mu służyć za materac. Następnie zgasił świecę, wypaloną już do jednej czwartej wysokości, i położył się po ciemku.

Trzy razy zaglądał do pierwszego bocznego tunelu, nie widząc jednak żadnych śladów bytności Borda, wrócił do swojego obozowiska i zrobił przegląd zapasów. Pozostały mu dwa bochenki chleba, pół butelki wody, solone mięso, którego nie tknął, i cztery świece. Przypuszczał, że od ostatniej wizyty hrabiego musiało upłynąć sześć dni, choć równie dobrze mogło ich być trzy czy osiem. Odczuwał pragnienie, ale bał się pić, dopóki nie odnowi zapasu wody.

Wyruszył więc na poszukiwanie.

Z początku liczył kroki. Doliczywszy się stu dwudziestu, stwierdził, że stemple są krzywe i że w niektórych miejscach opada tłuczeń, blokując przejście. Tak doszedł do pionowego szybu, którym bez trudu po resztkach drabiny opuścił się na niższy poziom, ale tam już zapomniał o liczeniu kroków. Po drodze znalazł złamaną rękojeść kilofa, górniczą obręcz na głowę, a na koniec ogarek świecy zatknięty w oprawkę przeznaczoną do noszenia na czole. Wrzucił go do kieszeni płaszcza i poszedł dalej.

Monotonia z gruba ciosanych kamiennych ścian i belkowania działała na niego otepiająco. Szedł przed siebie, jakby miał iść tak bez końca. Ciemność szła za nim i przed nim.

Świeca dopalała się i na palce pociekł mu parzący strumyk gorącego łożu. Upuścił więc świecę, która zgasła zupełnie. Zaczął macać w nagłej ciemności, która zapanowała, unosząc głowę jak najwyżej, żeby uniknąć smrodu spalenizny. Przed sobą, w oddali dojrzał gwiazdy. Małe, jasne, wąski otwór, niby prześwit w kopule obserwatorium – czarna prostokąt usiany gwiazdami.

Wstał, zapomniał o świeczce i pobiegł ku nim.

Tańczyły jak gwiazdy w polu widzenia teleskopu, kiedy potracił przyrząd albo miał bardzo zmęczone oczy. Tańczyły i jaśniały. Wszedł między nie, a one przemówiły do niego.

Płomienie świec rzucały dziwne cienie na poczerńiałe twarze i z bystrych żywych oczu wydobywały dziwne światła.

– Hej, kto to? Hanno?

– Co tam robisz w tym starym chodniku, bracie?

– Hej, kto tam?

– Kto to, do diabła? Zatrzymaj go...

– Hej, bracie! Czeka!

Pobiegł na ślepo w ciemność, tam, skąd przyszedł. Goniły go światła, a on gonił swój niewyraźny wielki cień uciekający przed nim tunelem. Kiedy dawna ciemność pochłonęła cień i znów zapanowała cisza, Guennar ciągle brnął naprzód, schylając się i wymacując drogę to na czworakach, to podpierając się jedną ręką. Na koniec padł, skulony, pod ścianą, z ogniem w piersi.

Cisza, ciemność.

Znalazł w kieszeni ogarek świecy osadzony w cynowej oprawce, zapalił go za pomocą krzesiwa i przy jego blasku odnalazł w odległości niecałych pięćdziesięciu stóp pionowy szyb. Wrócił do swojego obozowiska. Zasnął natychmiast. Kiedy się obudził, posilił się i wypił resztę wody. Miał zamiar wstać i wyruszyć na jej poszukiwanie, ale znów zasnął czy też zapadł w drzemkę, podczas której przyśniło mu się, że słyszy głos.

– Spokojnie. Nie bój się. Nic złego ci nie zrobię. Mówiłem, że to nie skrzat. Czy kto widział skrzata wielkości człowieka? A zresztą czy kto w ogóle widział skrzata? One są tym, czego się właśnie nie widzi, bracia, przecież mówiłem. A myśmy widzieli człowieka, z całą pewnością, możecie mi wierzyć. „Co więc on robi w kopalni?” – zapytali. „A jeśli jest duchem jednego z tych, których woda zalała w starej południowej sztolni?”. Dobra, powiedziałem, pójdę i sprawdzę. Mimo tego wszystkiego, czego się nasłuchałem o duchach, nigdy nie widziałem ducha na własne oczy. Nie muszę oglądać tego, co nie jest przeznaczone do oglądania, jak skrzaty, ale dlaczego nie miałbym zobaczyć gęby Temona czy starego Tripa? Mało to razy widywałem je w snach, spotniałe od pracy jak za życia? Dlaczego nie? Więc przyszedłem. Ale ty nie jesteś duchem ani górnikiem. Musisz być dezenterem albo złodziejem. A może w głowie ci się pomieszało, co, biedaku? No, nie bój się. Możesz się ukrywać. Znajdź się tu miejsce i dla siebie, i dla mnie. Dlaczego chowasz się przed światłem słonecznym?

– Żołnierze...

– Tak też myślałem.

Kiedy stary mężczyzna skinął głową, światło przytwierdzonej do obręczy na czole świecy zatańczyło na sklepieniu. Górnik przykucnął jakieś dziesięć stóp od Guennara z rękami opuszczonymi swobodnie pomiędzy kolana. Z pasa zwisała mu wiązka świec i kilof na krótkim trzonku – pięknie wymodelowane narzędzie. Jego twarz i cała postać pod roztańczoną gwiazdą płomienia były tylko niewyraźnymi cieniami ziemistego koloru.

– Pozwól mi tu zostać.

– A zostań sobie i witaj! Czy ta kopalnia jest moja? W którym miejscu wszedłeś? Starą sztolnią powyżej rzeki? To szczęście, że ją znalazłeś, i szczęście, że na skrzyżowaniu skręciłeś właśnie tutaj, zamiast iść na wschód. W kierunku wschodnim ten chodnik prowadzi do jaskiń. Tam są wielkie jaskinie... Wiedziałeś o tym? Nikt o nich nie wie poza górnikami. Odkryli je jeszcze przed moim urodzeniem. Zaprowadziła ich tam stara żyła, która przebiegała tędy w kierunku słońca. Widziałem te groty, ojciec mnie tam zabrał. „Musisz je raz zobaczyć – powiedział. – Musisz zobaczyć świat pod ziemią. Wielki pokój bez granic”. Grota głęboka jak niebo i do niej wpadał czarny strumień, za którym światło świecy nie mogło nadażyć, a woda dalej spływała do przepaści. Jej odgłos dochodził z dołu, z ciemności, jak szept bez końca. A za tą grota i pod nią są inne groty. Może jest ich nieskończenie wiele? Kto wie? Grota pod grota, a wszystko migocze od jałowego kryształu. Bezużyteczny kamień. Kruszec wybrano tu już przed laty. Ta dziura, którą sobie wynalazłeś, bracie, daje przynajmniej dobre schronienie, nawet gdybyś się na nas nie natknął. Czego szukałeś? Jedzenia? Ludzkiej twarzy?

– Wody.

– Tego tu nie brakuje. Chodź, to ci pokażę. W niższym chodniku jest pełno źródeł. Skręciłeś w niewłaściwą stronę. Zanim się żyła wyczerpała, pracowałem tutaj po kolana w tej cholernej zimnej wodzie. Ale to już było bardzo dawno temu. No, chodź.

Stary górnik pokazał mu źródło, ostrzegł go, żeby nie szedł z biegiem wody, bo szalunek drewniany jest zbutwiały i wystarczy krok czy nawet dźwięk, żeby się chodnik zawalił, i zostawił go w obozowisku. Wszędzie belki pokrywał tu gruby, migotliwy biały kożuch –

saletry czy grzyba – w każdym razie był to niesamowity widok ponad oleistymi wodami. Guennarowi wydało się, że ten biały tunel pełen czarnej wody i ta wizyta górnika to wszystko sen. Kiedy więc daleko w głębi zobaczył migotanie światełka, przycisnął się za kwarcowym nawisem z wielkim granitowym klinem w ręce, ponieważ cały jego strach, gniew i żal przerodziły się tu, w ciemności, w jedno silne postanowienie: że żadna istota ludzka nie położy na nim ręki. Ślepa determinacja, tępa i ciężka jak odłupana skała, zalegała mu w duszy ciężarem.

Ale był to tylko stary człowiek, który szedł do niego z kawałkiem suchego sera. Usiadł koło astronoma i zaczął do niego mówić. Guennar, którego zapasy już się skończyły, zjadł ser i słuchał, co mówi stary. I kiedy tak słuchał, przytłaczający go ciężar jak gdyby zelżał i astronom zaczął widzieć nieco dalej w ciemności.

– Ty nie jesteś zwykłym żołnierzem – rzekł górnik.

– Nie, byłem kiedyś studentem – odparł Guennar, ale nie powiedział nic więcej, bo nie chciał zdradzić, kim jest.

Stary człowiek wiedział o wszystkim, co działo się w okolicy. Mówił o pożarze okrągłego domu na wzgórzu i o hrabim Bordzie.

– Poszedł z nimi do miasta, z tymi czarnymi. Ma być sądzony, mówią, ma stanąć przed ich Radą. Ale za co? Cóż on kiedykolwiek robił poza polowaniem na dziki, jelenie i lisy? Czy to rada lisów ma go sądzić? Co to wszystko ma znaczyć – to węszenie, wysyłanie żołnierzy, to palenie i sądzenie? Lepiej uczciwych ludzi zostawić w spokoju. A hrabia był uczciwy, na tyle, na ile bogacz może taki być. To dobry pan. Ale takim ludziom nie można ufać. Ufać można tylko tu, na dole. Tym, co schodzą do kopalni, można ufać. Bo co ma taki człowiek, który zszedł tu na dół, poza swoimi rękami i rękami swoich przyjaciół? Co go uchroni przed śmiercią, kiedy zawali się chodnik i odetnie mu odwrót, jak nie ich ręce, łopaty i ich wola odkopania go? Nie byłoby tam w górze, w słońcu srebra, gdyby tu, na dole, w ciemności nie było między nimi zaufania. Tutaj można liczyć na swoich towarzyszy. A nikt poza nami tu nie schodzi. Czy widziałeś kiedy, żeby właściciel w swoich kosztownych koronkach czy żołnierze opuszczali się po drabinach w dół, coraz głębiej, w ciemność szybu? O, nie, to nie oni! Oni są wielcy, kiedy trzeba chodzić po trawie, ale co tutaj, w mroku kopalni, po ich mieczach i krzykach? Chciałbym ja ich zobaczyć, jak tu schodzą...

Następnego razu ze starym przyszedł jakiś drugi mężczyzna. Przynieśli lampkę oliwną i dzban oliwy, a poza tym ser, chleb i jabłka.

– To Hanno pomyślał o lampie – powiedział stary człowiek. – Ma knot konopny. Jak zgaśnie, dmuchnij porządnie, to się znów rozpali. No i masz tu tuzin świec. Młody Per ściągnął ich, ile się dało, kiedy przydzielali je tam w górze, na trawie.

– Czy oni wszyscy wiedzą, że ja tu jestem?

– My wiemy – odparł górnik krótko. – Oni nie.

Jakiś czas potem Guennar poszedł tym samym co wtedy, niżej położonym chodnikiem, wiodącym w kierunku zachodnim, i wreszcie zobaczył płomienie świec górniczych tańczące jak gwiazdy. Tak doszedł aż do przodka, w którym górnicy akurat pracowali. Podzielili się z nim swoim posiłkiem, pokazali mu różne urządzenia w kopalni – pompy i wielki szyb, gdzie były drabiny i bloczki z zawieszonymi na nich wiadrami. Cofnął się gwałtownie, ponieważ wiatr, który wpadł wielkim szybem, miał dla niego zapach spalenizny. Zabrali go więc stamtąd i pozwolili mu pracować z sobą, traktując go jak

gościa, jak dziecko. Adoptowali go. Stanowił ich tajemnicę. Nie warto bowiem przez całe życie spędzać dwunastu godzin dziennie w czarnej norze pod ziemią, jeżeli tam nie ma nic – żadnej tajemnicy, żadnego skarbu, nic ukrytego.

Ale przecież coś było – było srebro. Tylko że tam, gdzie kiedyś pracowało dziesięć brygad po piętnaście osób, gdzie nie cichły postękiwania, brzęk pełnych wiader, podjeżdżających do góry na skrzypiących bloczkach, i dzwonienie pustych, zjeżdżających na spotkanie wózkowych, nadbiegających już ze swoimi wyładowanymi wagonikami – tam właśnie, w tym miejscu pracowała teraz załoga składająca się z ośmiu osób, mężczyzn po czterdziestce, starych mężczyzn, co nie znali się na niczym poza górnictwem. Pozostało już niewiele srebra w twardym gruncie – małe żyłki w płonej skale. Bywało więc, że w ciągu dwóch tygodni posuwali się raptem o jedną stopę. „To była wspaniała kopalnia” – powtarzali mimo to z dumą.

Pokazali astronomowi, jak założyć klin i walić w niego młotem, jak atakować granit dobrze wyważonym, ostrym kilofem, jak sortować urobek, czego szukać, jak wyglądają rzadko rozsiane drobne lśniące żyłki czystego metalu, bogata rozsypująca się skała z kruszcem. Pomagał im codziennie. Kiedy przychodzili, czekał już na nich na przodku i potem zmieniał ich przy łopacie, ostrzeniu narzędzi, pchaniu wózka z rudą po specjalnie żłobionych belkach do wielkiego szybu czy wreszcie przy wyrębie. Ale tam nie dawali mu długo pracować. Nie pozwalały im na to duma i tradycja. „Zostaw, dziobiesz jak drzeworytnik. O, popatrz, to trzeba tak”. A potem przychodził inny i mówił: „Wiesz co, walnij mi tu porządnie w ten klin, o tak”.

Dzielili się z nim swoim nędznym, prostym pożywieniem.

Nocą, sam pod ziemią, kiedy wszyscy już wyszli po długich drabinach na trawę, jak mówili, leżał i myślał o nich, o ich twarzach, głosach, o masywnych, poznaczonych bliznami, powalanych ziemią rękach, rękach starych ludzi, ze zgrubiałymi sinymi paznokciami, obtłuczonymi przez skałę i narzędzia, o tych rękach, mądrych i wrażliwych, które rozdzierały ziemię, znajdując w litej skale lśniące srebro. Srebro, którego nigdy nie trzymali w dłoni, nie posiadali, którym nie mogli płacić. Srebro, które nie należało do nich.

– A gdybyście tak natrafili na nową żyłę, nowe złożę, co byście zrobili?

– Zawiadomilibyśmy właścicieli.

– A dlaczego mielibyście zawiadamiać właścicieli?

– Jak to dlaczego? Człowieku, przecież nam płacą za to, co wydobędziemy. Czy ty myślisz, że wykonujemy tę cholerną pracę z miłości?

– Tak myślałem.

Śmiali się z niego wszyscy jak jeden mąż – głośno, drwiąco, niewinnie. Żywe oczy lśniły w ich twarzach, czarnych od kurzu i potu.

– Ach, gdybyśmy tak znaleźli nową żyłę! Żona mogłaby trzymać świniaka jak kiedyś, a ja, słowo daję, kąpałbym się w piwie! Tyle że gdyby srebro było, tamci znaleźliby je z pewnością. Po to prowadzą roboty tak daleko na wschód. Ale skała tam jest jałowa, a tu już wyeksploatowana, i tyle.

Czas rozciągał się przed nim i za nim jak ciemne chodniki i krzyżujące się tunele

kopalni, wszystkie chwile naraz, gdziekolwiek się znalazł ze swoją małą świeczką. Teraz, kiedy był sam, często błądził po tunelach i starych wyrobiskach – znał już niebezpieczne miejsca, głęboko położone zalane wodą chodniki, obyty z chwiejnymi drabinami, zaintrygowany grą płomienia świecy na skalistych ścianach i płaszczyznach, migotaniem miki, które zdawało się dobywać gdzieś z wnętrza. Dlaczego ono przebija na zewnątrz? Jak gdyby blask świecy wychwytywał coś z głębi lśniącej rozłupanej skały, coś, co mrugało w odpowiedzi, a potem kryło się niby za chmurę czy tarczę niewidocznej planety.

W ziemi są gwiazdy, myślał, trzeba tylko umieć je dojrzeć.

Nieporadny przy kilofie, Guennar zdradzał zrzeczność do wszelkiego rodzaju mechanizmów. Podziwiali jego zdolności i znosili mu narzędzia. Reperował im pompy i kołowroty, dla młodego Pera, który pracował w długim wąskim i ślepym chodniku, sporządził lampę na łańcuchu z reflektorem zrobionym z cynowej oprawki na świecę, wyklepanej na zakrzywioną blaszkę, wypolerowanej drobnym pyłem skalnym i doprowadzonej do połysku własnym kozuchem.

– Przecież to jest cudo – powiedział Per. – Jasno jak w dzień. Tylko że ta lampa, będąc z tyłu za mną, nie gaśnie, kiedy powietrze staje się złe, i nie ostrzega mnie w ten sposób, że powinienem się wycofać i zaczerpnąć tchu.

Bo człowiek może pracować w wąskim tunelu jeszcze jakiś czas po tym, kiedy jego świeca zgaśnie z braku tlenu.

– Powinieneś mieć tutaj zainstalowane miechy.

– Jak to? Takie kowalskie?

– Dlaczego nie?

– Czy ty czasem nocami wychodzisz na trawę? – zapytał Hanno, patrząc w zadumie na Guennara. Był człowiekiem melancholijnym, skłonny do zadumy i o miękkim sercu. – Tak żeby się po prostu rozejrzeć dokoła?

Guennar nie odpowiedział. Poszedł pomóc Branowi w robieniu szalunku – górniczy bowiem teraz sami wykonywali wszystkie prace, które dawniej należały do cieśli, wózkowych czy sortowaczy.

– On się śmiertelnie boi opuścić kopalnię – powiedział Per cicho.

– Żeby po prostu zobaczyć gwiazdy i poczuć tchnienie wiatru – rzekł Hanno, jakby w dalszym ciągu mówił do Guennara.

Pewnego wieczoru astronom opróżnił swoje kieszenie i przyjrzał się temu, co w nich nosił od chwili splonięcia obserwatorium, wszystkim rzeczom pozbieranym w ciągu tamtych dni, które zatarły się w jego pamięci, kiedy to macał w ciemnościach, potykając się wśród tlejących resztek, szukając... szukając tego, co stracił... Ale teraz już nie myślał o tym. Ta sprawa była zapieczętowana mocno w jego świadomości grubą blizną oparzeliny. Przez długi czas ta blizna nie pozwalała mu zrozumieć natury przedmiotów ułożonych teraz na pokrytej pyłem kamiennej podłodze kopalni: zwitka papierów osmalonego z jednej strony, okrągłego kawałka szkła czy kryształu, metalowej rurki, pięknie wyrobionego drewnianego koła zębatego, poskręcanej i poczerńniętej drobno rowkowanej płytki miedzi i tak dalej, i tak dalej – kawałki, odpadki, skrawki. Włożył z powrotem do kieszeni papiery, nie próbując nawet porozdzielać kruchych pozlepianych

kartek i odczytać drobnego pisma. W dalszym ciągu wpatrywał się, od czasu do czasu biorąc je do ręki, w inne przedmioty, a w szczególności w okrągłe szkiełko.

Wiedział, że jest ono okularzem jego dziesięciocalowego teleskopu. Sam szlifował soczewkę. Trzymał ją teraz delikatnie za krawędzie, żeby kwaśny odczyn skóry nie uszkodził powierzchni. Wreszcie zaczął polerować strzępem kozucha. Kiedy była już czysta, uniósł ją i spoglądał przez nią pod wszelkimi możliwymi kątami. Jego twarz była spokojna i skupiona, a jasne, szeroko rozstawione oczy poważne.

Przechylony w jego palcach okular teleskopu odbił płomień świecy w postaci jasnego punktu przy samym brzegu, jak gdyby soczewka po tylu setkach nocy patrzenia w niebo przechowała w sobie gwiazdę.

Zawinął starannie szkiełko w strzępy wełny i w zagłębieniu skały zrobił mu miejsce krzesiwem. A potem, jedna po drugiej, pozbierał pozostałe rzeczy.

W ciągu następnych tygodni górnicy rzadziej widywali zbiega. Często teraz wychodził sam – zbadać, jak wyjaśnił, kiedy go pytano, opuszczone wschodnie rejony kopalni.

– Po co?

– W poszukiwaniu kruszcu – odparł z filuternym uśmiechem, który nadawał mu dość zwariowany wygląd.

– Ależ, chłopie, cóż ty możesz na ten temat wiedzieć? Cała ta skała tutaj jest zupełnie jałowa. Nie ma już w niej srebra, a na wschodzie też nic nie znaleźli. Możesz się najwyżej natknąć na ubogą w kruszec rudę czy żyłę kasyterytu. W każdym razie nic, co warte by było kopania.

– A skąd ty możesz wiedzieć, Per, co się znajduje w ziemi, w skale pod twoimi nogami?

– Po różnych znakach. Któż może je lepiej znać ode mnie?

– A jeśli znaki są ukryte?

– To i srebro jest ukryte.

– Ale wiesz, że ono tam jest, skoro wiedziałeś, gdzie kopać, skoro mogłeś zajrzeć w skałę. Co wobec tego jeszcze może tam być? Znajdujesz metal, ponieważ go szukasz. Ale co mógłbyś znaleźć jeszcze głębiej, gdybyś szukał, gdybyś wiedział, gdzie kopać?

– Skałę – odparł Per. – Skałę, skałę i tylko skałę.

– A głębiej?

– Głębiej? Chyba ogień piekielny. Dlatego w szybach im głębiej, tym goręcej. Tak mówią. Bo po prostu bliżej piekła.

– Nie – odrzekł astronom jasno i wyraźnie. – Nie. Pod skałą nie ma piekła.

– No dobrze, to wobec tego co jest tam pod spodem?

– Gwiazdy.

– Aha – powiedział górnik zdeprymowany. Podrapał się w szorstką, pozlepianą łojem czuprynę i się roześmiał. – A toś mi zabił ćwieka – rzekł i popatrzył na Guennara ze współczuciem i podziwem. Wiedział, że Guennar jest szalony, ale rozmiary tego szaleństwa były dla niego czymś nowym. – Czy wobec tego znajdziesz te gwiazdy?

– Owszem, jeśli nauczę się patrzeć – odpowiedział Guennar tak spokojnie, że Perowi nie pozostało nic innego, jak tylko złapać za szpadel i zacząć ładować wózek.

Pewnego ranka górnicy zastali Guennara pogrążonego we śnie; leżał zawinięty w

zniszczony płaszcz, który zostawił mu hrabia Bord, a obok niego ujrzeni jakiś przedziwny przedmiot, urządzenie zbudowane ze srebrnych rurek, cynowych blaszek i drutów wykonanych ze starych oprawek na świeczki, z ramy powstałej ze starannie poprzycinanych i dopasowanych rękojeści od kilofów, z kółek zębatach i z lśniącego szkieleka. Było w tym przyrządzie, skleconym własnym sumptem, coś tajemniczego, delikatnego i zarazem szalonego.

– A to co takiego, do diabła?

Stali pochyleni i gapili się na ten przyrząd, przybliżając do niego lampy górnicze i tylko od czasu do czasu rzucając na śpiącego migotliwy snop żółtego światła.

– To na pewno jego robota.

– Oczywiście.

– Ale po co mu to?

– Nie dotykaj.

– Nie miałem zamiaru.

Obudzony ich głosami astronom usiadł. Żółte płomienie świec wyłoniły jego twarz, białą na tle mroku. Przetarł oczy i powitał ich.

– A to co takiego, chłopie?

Spostrzegłszy przedmiot ich zainteresowania, wyraźnie się zmieszał. Obronnym gestem położył na nim rękę, choć sam przez chwilę patrzył na niego takim wzrokiem, jakby go nie poznawał. W końcu, marszcząc czoło, powiedział szeptem:

– To jest teleskop.

– A co to jest teleskop?

– Przyrząd, który przybliży oku odległe obiekty.

– W jaki sposób? – zapytał jeden z górników zaskoczony.

Astronom odpowiedział mu, wyraźnie odzyskując pewność siebie:

– Dzięki niektórym właściwościom światła i soczewek. Oko to precyzyjny instrument, ale ślepy na połowę zjawisk wszechświata. Więcej niż połowę. Nocne niebo to ciemność; pomiędzy gwiazdami są nicość i czerń, mówimy. Ale spróbujcie tylko obrócić soczewkę teleskopu na tę przestrzeń pomiędzy gwiazdami, ach, i to jakimi gwiazdami! Zbyt odległymi, by można zobaczyć gołym okiem całe ich szeregi, jeden za drugim, wspaniałość za wspaniałością, hen aż do najdalszych granic wszechświata. Trudno sobie wyobrazić, ale tam daleko, w ciemności, jest światło – słońce w całym swoim splendorze. Widziałem je. Widywałem noc w noc, sporządzałem mapy gwiazd, boskich latarni na rubieżach nocy. I tutaj też jest światło! Nie ma na świecie miejsca, które byłoby pozbawione światła, dobrodziejstwa i jasności boskiego ducha. Nie ma takiego miejsca, które byłoby zapomnianym, wyjętym spod prawa zesłaniem. Nie, nie ma takiego miejsca. Tam, gdzie padł boski wzrok, wszędzie jest światło. Musimy tylko pójść dalej, widzieć dalej! Światło jest, bylebyśmy je tylko dostrzegli. Nie same oczy jednak, ale oczy wsparte zręcznością dłoni, wiedzą umysłu i wiarą serca odkrywają to, co niewidzialne, i odsłaniają to, co ukryte. I wtedy cała spowita w mrok ziemia świeci niby śpiąca gwiazda.

Mówił z mocą właściwą kapłanom, wielkim słowom, jakie wygłaszają w dudniących echem świątyniach. Były one nie na miejscu w tej norze, gdzie ryli, by zarobić na życie, w ustach szalonego zbiega. Później, rozmawiając między sobą na ten temat, kiwali głowami albo stukali się w czoła, a Per powiedział:

– To szaleństwo w nim rośnie.

Hanno zaś dodał:

– Nieszczęśnik!

Mimo to nie było wśród nich ani jednego, który by nie wierzył w to, co mówił astronom.

– Pokaż mi to – rzekł pewnego dnia stary Bran, spotkawszy astronoma samego, głęboko pod ziemią, w jednym ze wschodnich wyrobisk, zajętego swoim skomplikowanym przyrządem. To właśnie Bran pierwszy poszedł za Guennarem, przyniósł mu jedzenie i przyprowadził kolegów.

Astronom chętnie odstąpił od instrumentu i pokazał Branowi, jak go skierować na podłogę tunelu, jak wycelować w określony punkt, wreszcie jak ustawić ostrość. Próbował przy tym wyjaśnić mu zasadę działania przyrządu i uświadomić Brana, co może przezeń zobaczyć. Nienawykły do tłumaczenia ludziom prostym, robił to bardzo niepewnie, nie tracąc jednak cierpliwości, kiedy jego słuchacz czegoś nie rozumiał.

– Nie widzę tutaj niczego poza ziemią – oświadczył stary po długiej, pełnej skupienia obserwacji. – I poza kurzem, i drobnymi kamykami.

– Może blask lampy cię oślepia – odparł astronom skromnie. – Lepiej patrzeć bez światła. Dla mnie to nic trudnego, robię to od dawna. Wszystko jest sprawą doświadczenia, tak samo jak z waszym wbijaniem klinów w skałę – wy sobie z tym świetnie radzicie, mnie się to nigdy nie udaje.

– Być może. Ale powiedz mi, co ty widzisz... – Bran się zawahał. Dopiero niedawno się zorientował, kim musi być Guennar. To, że jest heretykiem, nie przeszkadzało mu w najmniejszym stopniu, ale od kiedy się przekonał, że ma do czynienia z uczonym, nie potrafił się już do niego zwracać „bracie” ani „chłopie”. W tym miejscu, po tym wszystkim nie potrafił też nazywać go mistrzem, choć bywały chwile, kiedy astronom, mimo całej swojej skromności, przemawiał do nich słowami tak podniosłymi, tak chwytającymi za serce, że określenie „mistrz” łatwo przeszłoby mu przez usta – obawiał się jednak, że spłoszy zbiega.

Guennar położył rękę na obudowie swojego urządzenia i rzekł cicho:

– Istnieją... konstelacje...

– A co to takiego konstelacje?

Astronom spojrział na Brana jak gdyby z wielkiego oddalenia i odparł:

– Wielki Wóz, Skorpion, Sierp koło Drogi Mlecznej w lecie – to są konstelacje. Układy gwiazd, gwiazdozbiory, rodziny...

– I ty to wszystko widzisz tutaj za pomocą tego przyrządu?

Patrząc na niego, astronom skinął głową, ale nie powiedział nic, tylko wskazał pod nogi na skałę, na której stali, na z gruba ciosany chodnik.

– A jak one wyglądają? – zapytał Bran ściszonego głosem.

– Mignęły mi tylko przez moment. Ja jeszcze nie posiadałem tej umiejętności, to zupełnie inna sztuka... Ale one tam są, Bran.

Często teraz górnicy, przychodząc do pracy, nie zastawali Guennara, nie pojawiał się nawet na posiłek, mimo że zawsze zostawiali mu jedzenie. Znał już kopalnię lepiej niż którykolwiek z nich, nawet Bran, i to nie tylko żywą kopalnię, ale i martwą, opuszczone wyrobiska i tunele poszukiwawcze, które biegly na wschód coraz głębiej, aż do grot. Tutaj

bywał najczęściej i tutaj go nie szukali. A kiedy zjawiał się pośród nich, byli onieśmieleni i nie wybuchali już śmiechem jak dawniej.

Pewnego wieczoru, gdy szli za ostatnim załadowanym wózkiem do głównego szybu, wyłonił się nagle na skrzyżowaniu, zachodząc ich z prawej strony. Miał na sobie jak zwykle obszarpany kożuch, brudny od gliny i kurzu. Jego jasne włosy zrobiły się siwe, ale oczy były czyste.

– Chodź, Bran – powiedział. – Teraz ci mogę pokazać.

– Co możesz mi teraz pokazać?

– Gwiazdy. Gwiazdy pod ziemią. W jednym z przodków, na starym czwartym poziomie, gdzie biały granit przerzyna się przez czarną skałę.

– Znam to miejsce.

– To właśnie tam, pod ziemią, przy białej skalnej ścianie jest wielka jasność, konstelacja gwiazd. Ich blask przebija się przez ciemność. Są jak twarze tancerek, oczy aniołów. Chodź, to je zobaczysz, Bran!

Obok nich stali Per i Hanno z napiętymi ramionami, gotowi w każdej chwili zahamować ciężki wózek i nie pozwolić mu się stoczyć – pochyleni ludzie o zmęczonych, brudnych twarzach, o wielkich dłoniach, zeszywniałych i stwardniałych od łopaty, kilofa i młota. Byli zakłopotani, pełni współczucia, zniecierpliwieni.

– My już idziemy. Do domu na kolację. Do jutra – powiedział Bran.

Astronom przeniósł wzrok z jednej twarzy na drugą, ale nie odezwał się słowem.

– Wyjdź z nami na górę chociaż ten jeden jedyny raz – rzekł Hanno łagodnym, ochryplym głosem. – Jest ciemna noc i zbiera się na deszcz. To listopad, nie ma żywego ducha. Kto cię zobaczy, jak sobie posiedzisz u mnie przy kominku? Zjesz wreszcie coś ciepłego i wyśpisz się pod dachem, a nie pod tą ciężką ziemią, sam jeden jak palec.

Guennar się cofnął. Kiedy jego twarz schowała się w cień, było tak, jakby zgasło światło.

– Nie – odparł. – Oni wypalą mi oczy.

– Zostaw go w spokoju – rzekł Per i popchnął ciężki, wyładowany rudą wózek w kierunku szybu.

– Zajrzyj tam, gdzie ci powiedziałem – zwrócił się Guennar do Brana. – Kopalnia nie jest martwa. Spójrz własnymi oczyma.

– Tak, pójdę z tobą i obejrzę. Dobranoc!

– Dobranoc – odparł astronom, odwracając się tyłem do bocznego tunelu, którym oddalili się górnicy. Nie miał z sobą ani lampy, ani świecy. Widzieli go jeszcze przez moment, a potem wchłonęła go ciemność.

Rano nie zjawił się, żeby ich powitać. Nie przyszedł. Bran i Hanno szukali go z początku od niechcienia, a potem systematycznie przez cały dzień. Zeszli tak głęboko, jak tylko starczyło im odwagi, aż dotarli do grot. Tam zaczęli nawoływać, chociaż w wielkich grotach nawet oni, urodzeni górnicy, nie śmieli krzyczeć głośno, zdjęci lękiem przed wszechwładnym echem w ciemnościach.

– Zszedł na dół – powiedział Bran. – Jeszcze głębiej. Tak mi mówił. Zejdź głębiej, musisz zejść głębiej, żeby znaleźć światło.

– Kiedy nie ma żadnego światła – szepnął Hanno. – Nigdy nie było. Od stworzenia świata.

Ale Bran był upartym starym człowiekiem, ufnym i biorącym wszystko dosłownie. A Per go słuchał. Pewnego dnia wybrali się więc we dwóch do miejsca, o którym wspominał

astronom, tam, gdzie wielka jasna żyła twardego granitu przerzynała się przez ciemniejszą skałę, uznaną przed pięćdziesięciu laty za jałową. Podstemplowali od nowa strop starego przodka, tam gdzie drewno spróchniało, i zaczęli kopać, ale nie białą skałę, tylko podłoże koło niej. Astronom pozostawił tu znak, coś w rodzaju mapy czy po prostu symbol wyrysowany na kamiennym chodniku kopciem świecy. Na stopę głęboko, pod warstwą kwarcu natrafili na rudę srebra, a pod nią – kując już teraz w ośmiu – obnażyli czysty kruszec: żyły, soczewki i nodule lśniące pośród kryształów rozbitej skały jak gwiazdy, jak całe konstelacje gwiazd, głęboko, coraz głębiej, bez końca – światło.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

[5](#) Odżywka przyszłości produkowana przez korporację Soylent Green z książki Harry’ego Harrisona *Przestrzeni! Przestrzeni!* (przyp. tłum.).

[6](#) Rozdział pod tytułem *Teoretyczne refleksje o istocie psychiczności*.

Pole widzenia

Nie bardzo wiem, co powiedzieć o *Polu widzenia*. Jest to jakby wysublimowany wybuch złego humoru. Gniewny list do redakcji. Pogardliwe prychnięcie.

Shelleya wyrzucono z Oksfordu – zdaje się, że sprawa jest stuprocentowo pewna, ale mniejsza z tym – za to, że wypisał na ścianie ślepego zaułka słowa: „Tędy do nieba”. Uważam, że warto co jakiś czas przypomnieć ten napis.

Ujrzałem zeszłej nocy blask Wieczności, Jak wielki Pierścień przezczystej jasności.

(Henry Vaughan, 1621–1695)

Raporty z „Psyche XIV” nadchodziły regularnie, żadnych rewelacji, i dopiero tuż przed samym powrotem ekspedycji wybuchła bomba. Nagle komandor Rogers zawiadomił, że opuścili powierzchnię, wrócili na pokład statku i rozpoczynają przygotowania do odlotu – na osiemdziesiąt dwie godziny i osiemnaście minut przed terminem. Houston oczywiście zażądało wyjaśnień, ale odpowiedzi z „Psyche” były mętne. Dwudziestosekundowe opóźnienie radiowe nie ułatwiało rozmowy. „Psyche” raz po raz przerywała kontakt. Kiedyś Rogers powiedział: „Musimy sprowadzić ją do bazy natychmiast albo nie zrobimy tego wcale” – widocznie w odpowiedzi na pytanie z Houston, ale zaraz Hughes prosił o dane, a potem było coś o dawce. Słońce zachowywało się hałaśliwie i odbiór był bardzo zły. Kontakt głosowy urwał się bez ostrzeżenia.

Automatyczny strumień informacji ze statku płynął nadal. Odlot przebiegał normalnie. Podczas dwudziestu sześciu dni lotu, który astronauta spędzali w narkozie, podłączeni do kroplówki, nadchodziły normalne raporty. W ekspedycjach „Psyche” nie było monitorów medycznych. Jedyną formą łączności z załogą był kontakt głosowy. Kiedy nikt się nie odezwał na dzień przed lądowaniem, długotrwałe napięcie w Houston zmieniło się w rozpacz. Automaty pokładowe, kierowane przez załogę naziemną, właśnie ustaliły kurs „Psyche” w atmosferze, gdy nagle głucho do tej pory głośniki odezwały się głosem Hughesa: – Houston, czy możecie podać mi namiar? Mam zakłócenia optyczne.

Usiłowali go prowadzić, ale pierwsza próba ręcznej korekty kursu przyniosła katastrofalne skutki, których naprawienie zajęło kontroli naziemnej pięć godzin. Powiedzieli mu, żeby nic nie ruszał, że oni sprowadzą statek. Prawie natychmiast znowu stracili połączenie.

Nad samym Pacyfikiem rozkwitły jasne spadochrony niby róże spadające z nieba. Rozżarzony statek trysnął parą przy zanurzeniu, wypłynął i zakołysał się spokojnie na długiej fali. Kontrola naziemna spisała się na piątkę. Ekspedycja „Psyche” wodowała nie dalej niż o pół kilometra od Kalifornii. Nadleciały śmigłowce, ustabilizowano statek tratwami, otwarto właz. Nikt nie wychodził.

Ludzie weszli do środka i wynieśli załogę. Komandor Rogers siedział w fotelu przypięty pasami, nadal podłączony do kroplówki. Nie żył od jakichś dziesięciu dni i było oczywiste, dlaczego nikt nie otworzył jego skafandra. Kapitan Temski sprawiał wrażenie fizycznie zdrowego, tylko oszołomionego. Milczał i nie reagował na polecenia. Trzeba go było siłą wywlec ze statku, choć nie stawiał czynnego oporu. Doktor Hughes był załamany, ale w pełni przytomny. Wyglądało na to, że oślepl.

- Proszę...
 - Czy pan coś widzi?
 - Tak! Proszę mi zostawić opaskę.
 - Czy widzi pan to światło, doktorze Hughes? Jaki kolor pan widzi?
 - Wszystkie. Białe. Razi w oczy.
 - Proszę pokazać palcem źródło światła.
 - Jest wszędzie. Razi.
 - Pokój jest ciemny, doktorze Hughes. Czy może pan teraz otworzyć oczy?
 - Nie jest ciemno.
 - Hm. Może mamy do czynienia z nadwrażliwością. No dobrze, a teraz? Czy jest dosyć ciemno?
 - Nie. Razi.
 - Proszę nie dotykać oczu rękami. Spokojnie. No dobrze, położymy panu kompres.
- Pacjent przestał się szarpać, gdy tylko zasłonięto mu oczy, i leżał bez ruchu, dysząc ciężko. Jego pociągła twarz, obramowana miesięcznym ciemnym zarostem, błyszczała od potu.
- Przepraszam – powiedział.
 - Spróbujemy ponownie, kiedy pan odpocznie.
 - Proszę otworzyć oczy. Pokój jest zaciemniony.
 - Dlaczego mówi pan, że jest ciemno, kiedy nie jest?
 - Doktorze Hughes, ledwo widzę zarys pańskiej twarzy. Mam tylko małą czerwoną żaróweczkę. Czy pan mnie widzi?
 - Nie, nie widzę nic, bo światło mnie oślepia.
- Lekarz zwiększył moc światła, aż zobaczył dokładnie twarz Hughesa – zaciśnięte szczęki, otwarte nieprzytomne, wystraszone oczy.
- A teraz jest ciemniej? – spytał z ironią wywołaną bezradnością.
 - Nie! – Hughes zacisnął powieki i zbladł jak prześcieradło. – Kręci mi się w głowie. – Spazmatycznie wciągnął powietrze i zaczął wymiotować.

Hughes był kawalerem i nie miał bliskich krewnych. Wiedziano, że jego najbliższym

przyjacielem jest Bernard Decelis. Razem przechodzili szkolenie. Decelis był specjalistą „Psyche XII” podczas ekspedycji, która odkryła marsjańskie miasto, natomiast Hughes – „XIV”. Ściągnięto Decelisa do ośrodka powrotów w Pasadenie i kazano mu porozmawiać z kolegą. Spotkanie oczywiście nagrywano.

D.: Cześć, Gerry. Decelis.

H.: Barnie?

D.: Jak się czujesz?

H.: Dobrze. U ciebie wszystko w porządku?

D.: Jasne. Ale wasza wycieczka nie była przyjemna, co?

H.: Co u Glorii?

D.: Wszystko dobrze.

H.: Gra już *Ciotkę Rhody*?

D.: (śmieje się) O rany, tak. Umie już grać *Zielone rękawki*. W każdym razie tak to nazywa.

H.: Co robisz w tej budzie?

D.: Przyszedłem cię zobaczyć.

H.: Szkoda, że nie mogę ci się odwzajemnić.

D.: Będziesz mógł. Trzech okulistów czy innych oftalmologów zapewniło mnie, że oczy masz w porządku. Trzech oftalmocentów i jeden neurolog. Tworzą tu taki zgodny chórek. Nie mają najmniejszej co do tego wątpliwości.

H.: A więc uszkodzenie jest w mózgu?

D.: W sensie jakiegoś niewłaściwego połączenia, możliwe.

H.: A co z Temskim?

D.: Nie wiem, nie widziałem go.

H.: Co ci o nim powiedzieli?

D.: Na jego temat zespół wokalny nie śpiewa. Powiedzieli tylko, że jest nieco zamknięty w sobie.

H.: Zamknięty w sobie! No myślę! Jeżeli można powiedzieć o kamieniu, że jest zamknięty w sobie.

D.: Temski? Ten kawalarz?

H.: Od niego się zaczęło.

D.: Co się zaczęło?

H.: Tam, na miejscu. Przestał odpowiadać.

D.: Co się stało?

H.: Właśnie to. Przestał odpowiadać. Przestał się odzywać. Przestał zauważać, co się dzieje. Dwight sądził, że to neurastenia. Czy to się nadal tak nazywa?

D.: Wymieniają to jako jedną z możliwości. Czy zdarzyło się tam coś szczególnego?

H.: Znaleźliśmy salę.

D.: A tak, sala. To wszystko było w waszych raportach. Widziałem je, i hologramy, które przywieźliście, też. Fantastyczne. Co to, u diabła, jest, Gerry?

H.: Nie wiem.

D.: Czy to budowla?

H.: Nie wiem. Tak samo jak całe Miasto.

D.: To zostało przez kogoś zbudowane, zrobione. Musiało być.

H.: Skąd wiesz? Skąd możesz wiedzieć, skoro nie wiesz nic o budowniczych? Czy muszla

jest zbudowana? Gdybyś nie wiedział, gdybyś nie miał żadnego przygotowania ani materiału do porównań i zobaczył muszlę i ceramiczną popielniczkę, czy potrafiłbyś powiedzieć, która jest zrobiona? I po co? Co to oznacza? A gdybyś zobaczył ceramiczną muszlę? Albo gniazdo os? Albo geodę?

D.: Dobrze, w porządku. Ale co z tymi rzeczami, tymi... układami, które w raportach nazwaliście szufladkami? Widziałem hologramy.

H.: I co o nich myślisz?

D.: Nie wiem. Są dziwne. Myślałem, żeby przepuścić ich rozkład przestrzenny przez komputer i szukać znaczących regularności... Widzę, że nie jesteś zachwycony?

H.: Nie. Bardzo dobrze. Tylko jak zaprogramujesz znaczenie?

D.: Matematyczne stosunki. Jakikolwiek wzór geometryczny, prawidłowość, kod. Nie wiem. Jak to miejsce wyglądało?

H.: Nie wiem.

D.: Długo tam byłeś?

H. Cały czas, odkąd je znaleźliśmy.

D.: I tam doświadczyłeś pierwszych kłopotów z oczami? Jak to się zaczęło?

H.: Nieostrość konturów. Jak przy zmęczeniu wzroku. Po wyjściu z sali pogarszało się przez kilka dni. Widziałem jeszcze zupełnie nieźle, kiedy wracaliśmy w lądowniku na statek. Ale było coraz gorzej. Pojawiły się rozbłyski światła, po których miałem zupełnie spieprzone poczucie głębi i dostawałem zawrotów głowy. Wspólnie z Dwightem kierowaliśmy lotem, przez większość czasu jeden z nas był na chodzie. Ale z nim było coś nie tak. Nie chciał korzystać z radia ani dotykać komputera pokładowego.

D.: A co mu było?

H.: Nie wiem. Kiedy powiedziałem Dwightowi o moich oczach, wyznał mi, że ma jakby ataki dreszczy. Zaproponowałem, żebyśmy wiali na statek, póki jeszcze możemy. Zgodził się, bo zaczynał naprawdę nawalać. Jeszcze przed startem wystąpiły u niego jakieś ataki, jakby epileptyczne. Po takim ataku był roztrzęsiony, ale przytomny. Pilotował nas na orbitę normalnie, lecz zaraz po dokowaniu miał kolejny atak i każdy następny był dłuższy. W przerwach zaczął miewać halucynacje. Zaaplikowałem mu środki uspokajające i przypiąłem go pasami do fotela. Był wyczerpany. Kiedy się usypiałem, sam nie wiem, może już nie żył.

D.: Nie, umarł we śnie. Prawdopodobnie na jakieś dziesięć dni przed lądowaniem.

H.: Tego mi nie powiedzieli.

D.: Nie mogłeś nic na to poradzić, Gerry.

H.: Nie wiem. Podczas tych ataków przypominał przeciążone urządzenie. Jakby mu się przepaliły wszystkie bezpieczniki. Mówił wtedy. Ale było to coś w rodzaju szczekania, jakby chciał powiedzieć całe zdanie naraz. Epileptycy chyba nie mówią podczas ataków, prawda?

D.: Nie wiem. Epilepsja jest teraz tak opanowana, że prawie się o niej nie słyszy. Stwierdza się skłonność i leczy przed rozwinięciem choroby. Gdyby Rogers miał skłonności...

H.: No tak. To nie trafiłby do ekspedycji. Zaliczył przecież sześć miesięcy w kosmosie.

D.: A ile ty miałeś, sześć dni?

H.: Tak samo jak ty. Jeden skok na Księżyc.

D.: A więc to coś innego. Myślisz, że...

H.: Co?

D.: Jakiś wirus?

H.: Kosmiczna dżuma? Marsjańska gorączka? Tajemnicze starożytne zarazki atakują mózgi astronautów?

D.: No dobrze, może rzeczywiście to brzmi głupio. Ale pamiętaj, że sala była hermetycznie zamknięta. Wygląda na to, że wszyscy...

H.: Dwight ma przeciążenie kory mózgowej. Joe wpada w katatonię, ja mam widzenia. Co tu jest wspólnego?

D.: Układ nerwowy.

H.: Dlaczego każdy z nas miał inne objawy?

D.: Narkotyki też różnie działają na różnych ludzi.

H.: Myślisz, że znaleźliśmy tam jakieś cholerne marsjańskie psychogeniczne grzyby? Tam nic nie ma, to miejsce jest martwą pustynią, jak cała reszta Marsa. Byłeś tam, więc wiesz! Nie ma tam żadnych cholernych bakterii ani wirusów, nie ma życia, żadnego...

D.: Ale mogło być...

H.: Dlaczego tak myślisz?

D.: Znalazona przez was sala. Odkryte przez nas Miasto.

H.: Miasto! Na litość boską, Barnie, mówisz jak jakiś cholerny dziennikarz. Wiesz dobrze, że najprawdopodobniej są to naturalne formacje skalne. Nie ma sposobu, żeby sprawę rozstrzygnąć. Rzecz jest zbyt stara, warunki są zbyt odmienne, brak nam kontekstu. Nie rozumiemy tego, nie potrafimy zrozumieć, jest to coś nieprzeniknionego dla ludzkiego umysłu. Miasta, sale i temu podobne – to tylko wyszukiwanie analogii, próba interpretacji w znanych nam kategoriach. Ale to nie mieści się w naszych kategoriach. Nie ma sensu. Teraz to widzę. To jedyna rzecz, którą widzę!

D.: Jaka rzecz, Gerry?

H.: Ta, którą widzę, kiedy otworzę oczy!

D.: Co to jest?

H.: Wszystko, czego nie ma i co nie ma sensu. Och!

D.: Ostrożnie! Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Zobaczysz, Gerry, wyzdrowiejesz.

H.: (niewyraźne) światło i (niewyraźne) chcę zobaczyć to, czego dotykam, i nie mogę, nie rozumiem i nie mogę (niewyraźne).

D.: Trzymaj się. Jestem przy tobie. Spokojnie, stary.

Hughes, który trafił do programu kosmicznego z astrofizyki, przyszedł z bardzo dobrą, wręcz wspaniałą opinią. Niepokoiło to wielu jego wojskowych przełożonych, dla których inteligencja kojarzyła się z chwiejnością i niesubordynacją. Pracował wzorowo i zachowywał się nienagannie, ale teraz często przypominano sobie, że był intelektualistą.

Trudniej było wytłumaczyć sprawę Temskiego, który był znakomitym pilotem oblatywaczem, kapitanem lotnictwa i kibicem baseballu, a teraz zachowywał się jeszcze dziwniej niż Hughes. Temski bowiem nie robił nic, tylko siedział. Tyle że nie wymagał specjalnej obsługi. To znaczy kiedy był głodny, a miał jedzenie w zasięgu ręki, jadł palcami; kiedy odczuwał potrzebę wypróżnienia się, szedł w kątek pokoju; kiedy był śpiący, kładł się na podłodze i spał. Poza tym cały czas spędzał na siedząco. Był w dobrym stanie fizycznym i zachowywał spokój. Nie reagował na nic, co się do niego mówiło, ani nie interesował się niczym, co się dokoła niego działo. W nadziei sprowokowania jakiejś reakcji z jego strony przyprowadzono mu żonę. Po upływie pięciu minut wyprowadzono ją

we łzach.

Ponieważ Temski nie chciał, a Rogers, jako zmarły, nie mógł nic powiedzieć, było oczywiste, że za jedyną osobę w jakiś sposób odpowiedzialną uważano Hughesa. Nic mu właściwie nie brakowało poza tym, że sprawiał wrażenie dotkniętego czymś w rodzaju historycznej ślepoty. Wobec tego uznano, że powinien odpowiadać na pytania w sposób logiczny i umieć wyjaśnić, co się stało. Czego jednak Hughes nie mógł lub też nie chciał zrobić.

Wezwano konsultanta psychiatrę, znanego specjalistę z Nowego Jorku, doktora Szapiro. Miał się zająć i Temskim, i Hughesem. Oczywiście było nie do pomyślenia przyznanie, że wyprawa poniosła fiasko (słowa „katastrofa” nie używano w ogóle), ale mimo wszelkich środków ostrożności, jakie podjęto, kilka rzeczy przeciekło do prasy. Nieodpowiedzialni dziennikarze domagali się wyjaśnienia, dlaczego załogę ekspedycji „Psyche XIV” trzyma się w odosobnieniu, powoływali się na prawo społeczeństwa amerykańskiego do informacji i tak dalej. Aby zyskać sobie przychylną opinię publiczną, trzeba było wobec tragicznej i nieoczekiwanej śmierci komandora Rogersa opublikować komunikat o aktualnym stanie zdrowia astronautów, którzy spędzili ponad piętnaście dni w przestrzeni kosmicznej, oraz zainicjować całą serię artykułów prasowych, dotyczących planów założenia na Marsie miasta pod kopułą Mała Ameryka. Wtajemniczeni wiedzieli naturalnie, że dalszy ciąg programu „Psyche” jest poważnie zagrożony, i wobec tego nalegali na doktora Szapiro, żeby postawił diagnozę i kurował astronautów najszybciej, jak potrafi.

Szapiro przez pół godziny prowadził z Hughesem swobodną i banalną rozmowę na temat jedzenia w szpitalu czy ostatniego raportu Chińczyków z ich nowej sondy do Alfa Centauri. Na koniec zapytał: – Co widzisz, kiedy otworzysz oczy?

Hughes, który już wstał i był ubrany, siedział przez chwilę w milczeniu. Matowe gogle całkowicie przesłaniały jego oczy, nadając mu agresywny, natarczywy wygląd ludzi noszących ciemne okulary.

– Nikt o to nie pytał – odpowiedział.

– Nawet okuliści?

– Nie, Kray chyba pytał. Wcześniej. Zanim zdecydowali, że jestem psychicznie chory.

– Co mu odpowiedziałeś?

– Że to jest trudne do opisania. Właściwie niemożliwe. Zacząłem widzieć nieostro, potem przedmioty, na które patrzyłem, robiły się przezroczyste, wreszcie traciłem je z oczu. A potem zaczęło się ze światłem. Za dużo światła. Jak prześwietlony film, wszystko ulegało wybielaniu. Ale towarzyszyło temu jakby wirowanie. Zmiana pozycji i wzajemnych układów przedmiotów, perspektyw, ciągłe przemiany. Dostawałem zawrotów głowy. Wydaje mi się, że moje oczy wysyłały sygnały do ucha środkowego, tylko na odwrót. Czy to przypadkiem nie powoduje zakłócenia równowagi?

– To się chyba nazywa choroba Ménière’a. Tak, powoduje. Szczególnie na schodach i pochyłościach.

– Czuję się tak, jakbym patrzył z wielkiej wysokości albo... pod wielką górę...

– Czy miałeś kiedykolwiek kłopoty z wysokością?

– Nie. Nigdy nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia. Co to jest w kosmosie góra i dół? Nie, zrozumiem, ja niczego nie opisuję. Nie ma mowy o żadnym obrazie. Próbowałem patrzeć lepiej, nauczyć się... jak widzieć... ale nic z tego nie wychodzi.

Zapadło milczenie.

– To wymaga odwagi – powiedział Szapiro.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał ostro astronauta.

– No cóż... to bardzo trudna sytuacja, jeśli zmysł najważniejszy dla świadomego umysłu

– wzrok – rejestruje rzeczy nieistniejące i niezrozumiałe, na przekór innym zmysłom, takim jak dotyk, słuch, równowaga i tak dalej – za każdym razem, kiedy człowiek próbuje otworzyć oczy. I nie tylko trzeba z tym żyć, ale jeszcze próbować to badać... Tak, nie wydaje się to łatwe.

– Dlatego prawie cały czas mam oczy zamknięte – powiedział Hughes ponuro. – Jak cholerny struś, który chowa głowę w piasek.

– Ale kiedy je otworzysz i spojrzysz na jakiś przedmiot, o którym wiesz, że tam jest – na własną rękę na przykład – to co widzisz?

– „Cholerny wirujący chaos”.

– William James – rzekł Szapiro z satysfakcją. – O czym on mówił? O postrzeganiu świata przez niemowlę, co? – Szapiro miał przyjemny głos, łagodny, jakby jedwabisty, melodyjny. Trudno byłoby wyobrazić go sobie łającego kogoś czy wrzeszczącego. Pokiwał głową, zastanawiając się nad implikacjami tego, co powiedział Hughes. – Uczyć się widzieć, powiedziałaś. Uczyć się. Tak to odczuwasz?

Hughes zawahał się, a następnie powiedział w wyraźnym przypiływie zaufania: – Muszę. Co innego mogę zrobić? Wszystko na to wskazuje, że już nigdy nie będę... nie będę widział tak jak dawniej, tak jak widzą inni ludzie, ale przecież jakoś widzę. Tyle że nie rozumiem tego, co widzę, nie ma to dla mnie żadnego sensu. Nie widzę żadnych zarysów, żadnej różnicy, nawet pomiędzy tym, co bliższe, i tym, co dalsze. Wiem, że jest coś, tylko nie mogę powiedzieć co, ponieważ to nie są żadne rzeczy, żadne kształty. Zamiast kształtów widzę przemiany, przekształcenia. Czy to w ogóle ma jakikolwiek sens?

– Uważam, że ma – powiedział Szapiro – tylko że wyrażenie takiego bezpośredniego przeżycia w słowach jest niezmiernie trudne. Zwłaszcza gdy jest to doświadczenie nowe, jedyne w swoim rodzaju, przytłaczające...

– ...i irracjonalne. Otóż to. – Hughes mówił teraz z prawdziwą wdzięcznością. – Gdybym tylko mógł ci to pokazać – rzekł w rozmarzeniu.

Obu astronautów trzymano teraz na dziesiątym piętrze wielkiego szpitala wojskowego w Marylandzie. Nie wolno im było opuszczać tego piętra i każdy z odwiedzających musiał przejść dziesięciodniową kwarantannę, zanim mógł wrócić między ludzi – obstawano bowiem przy koncepcji marsjańskiej epidemii. Na skutek nalegań doktora Szapiro pozwolono Hughesowi wyjść do mieszczącego się na dachu ogrodu szpitalnego (po czym winda została starannie wydezynfekowana i unieruchomiona na trzy dni). Zażądano od niego, żeby włożył maskę chirurgiczną, a Szapiro poprosił go, żeby zdjął gogle.

Hughes potulnie wjechał windą na górę z ustami i nosem przysłoniętymi i z odkrytymi, ale szczelnie zamkniętymi oczyma. Przejście z mroku panującego w windzie w gorące, przefiltrowane przez smog lipcowe słońce nie wywarło – jeśli Szapiro się nie mylił – żadnego wpływu na zamknięte oczy pacjenta. Hughes pod naporem światła nie zacisnął ich mocniej, chociaż uniósł twarz, jakby ciepły dotyk promieni na skórze sprawiał mu przyjemność, i poprzez gazę zaczerpnął głęboko powietrza.

– Od marca nie wychodziłem – powiedział.

Była to prawda. Przebywał albo w skafandrze kosmicznym, albo na sali szpitalnej i oddychał albo powietrzem z puszkki, albo klimatyzowanym.

– Czy orientujesz się w stronach świata? – zapytał Szapiro.

– Ani trochę. Na dworze czuję się jeszcze bardziej ślepy. Boję się, że mógłbym stąd wypaść.

Hughes odmówił pomocy przy przechodzeniu przez korytarze i w windzie, bezbłędnie wymacał drogę rękami, a teraz mimo żartu o wypadnięciu zaczął zwiedzać ogród. Był uradowany – jak każdy człowiek wypuszczony z długotrwałego zamknięcia. Szapiro obserwował go w skupieniu. Niskie meble stanowiły dla Hughesa niebezpieczeństwo, ale natychmiast się nauczył, jak je obmacywać. Miał orientację dotykową – jego ruchy odznaczały się harmonią, nawet kiedy błądził po omacku.

– Czy zechcesz otworzyć oczy? – zapytał Szapiro jedwabistym, łagodnym głosem.

Hughes się zatrzymał.

– Dobrze – odpowiedział, ale odwrócił się do doktora i uniósł niepewnie prawą rękę.

Szapiro podszedł i Hughes ujął go za ramię.

Uścisk stał się mocniejszy, kiedy Hughes otwierał oczy. Potem astronauta puścił ramię doktora i cofnął się o krok, wyciągając przed siebie obydwie ręce. Z jego ust wydarł się okrzyk. Sięgnął w przód i w górę z głową odrzuconą do tyłu, z oczyma szeroko rozwartymi, wpatrzony w puste niebo.

– O mój Boże! – szepnął i runął jak pod ciosem młota kowalskiego.

Konsultacja psychiatryczna, 18 lipca. S. Szapiro. Pacjent: Geraint Hughes.

S.: Halo, tu Sidney... Nie zabiorę ci dużo czasu. Wiesz co, to nie był najlepszy pomysł z mojej strony z tym dachem. Przepraszam cię bardzo. Nie spodziewałem się. Ale i nie miałem prawa... Czy wolałbyś, żebym wyszedł?

H.: Nie.

S.: Dobra. Sam jakoś nie mogę usiedzieć na miejscu. Potrzebny mi porządny spacer. Zwykle sporo chodzę. Jakies dwie mile do biura i tyleż z powrotem. No i tyle, co zbieżę z drogi. Cokolwiek by się powiedziało, Nowy Jork to piękne miasto, jeśli chodzi o spacer. Pod warunkiem że człowiek umie sobie wybrać trasy. Wiesz co, z Temskim jest ciekawa historia. A właściwie ciekawy fakt. Czy wiesz, że w jego papierach napisano „głuchota czynnościowa”?

H.: Głuchota?

S.: Tak, głuchota. Wiesz, sam się zastanawiam. Wchodzę i mówię coś do Joego, rozumiesz, dotykam go, usiłuję nawiązać z nim kontakt wzrokowy, jakikolwiek kontakt. Nic z tego. Miałem pacjentów, którzy mówili mi: „Nie słyszę cię”. Metafora. A jeśli to nie jest metafora? Czasem bywa tak z małymi dziećmi – mówi się o nich, że są opóźnione w rozwoju, a potem okazuje się, że mają trzydzieści, sześćdziesiąt, osiemdziesiąt procent utraty słuchu. Cóż, może Joe mnie naprawdę nie słyszy? Tak jak ty mnie nie widzisz.

H.: (czterdziestosekundowa przerwa) Czy chcesz powiedzieć, że on słyszy różne rzeczy? Że słucha?

S.: Możliwe.

H.: (dwudziestosekundowa przerwa) Ale przecież nie można zamknąć uszu.

S.: Ja też tak uważam. W każdym razie byłoby trudno. Ale co innego przyszło mi na myśl: gdyby tak zatkać mu uszy. Włożyć zatyczki.

H.: I tak by cię nie słyszał.

S.: Nie. Ale nic by go nie rozpraszało. Gdybyś ty musiał na przykład cały czas patrzeć na te swoje światła, nie byłbyś w stanie zwracać uwagi ani na mnie, ani na nic innego, prawda? Może z Joem jest podobnie? Może jest jakiś hałas, który zagłusza mu wszystkie inne?

H.: (dwudziestosekundowa przerwa) To byłoby coś więcej niż hałas.

S.: Nie sądzę, żebyś miał ochotę rozmawiać o... tym na dachu... Nie, w porządku.

H.: Chciałbyś, żebym ci powiedział, co widziałem, prawda?

S.: Oczywiście, że bym chciał. Ale wtedy, kiedy będziesz miał na to czas.

H.: Rzeczywiście. Mam tu przecież kupę zajęć poza rozmową z tobą. Tyle książek do przeczytania i te wszystkie piękne kobiety, na które mogę sobie popatrzeć. Wiesz cholernie dobrze, że ja ci w końcu to powiem, bo i tak nie mam nikogo innego, z kim mógłbym porozmawiać.

S.: Do diabła, Geraint (dziesięciosekundowa przerwa).

H.: Gównu. Przepraszam cię, Sidney. Gdyby nie rozmowy z tobą, dostałbym kompletnego fioła. To fakt. Jesteś wobec mnie bardzo cierpliwy.

S.: Bez względu na to, co tam widziałeś, jest to przyczyna twego niepokoju. Dlatego przede wszystkim chcę wiedzieć, co to było. Ale, do diabła, jeżeli sam potrafisz sobie z tym poradzić, to proszę cię bardzo. Słusznie, właściwie to racja. Moja ciekawość to mój problem, nie twój. Posłuchaj: zapomnijmy o gadaniu. Chciałbym ci przeczytać artykuł z „Science”. Dał mi go twój pułkownik Wood i powiedział, że może cię to zainteresować. Mnie zainteresowało. Artykuł dotyczy tego, co znaleziono wewnątrz argentyńskiego meteorytu. Autorzy sugerują, żebyśmy przeczesali Pas Meteorytów w poszukiwaniu szczątków floty międzygwiazdnej, która rozbiła się w naszym Układzie Słonecznym około sześciuset milionów lat temu. Wylądowałiby przede wszystkim na Marsie oczywiście. Czy ci faceci zwariowali?

H.: Nie wiem. No, czytaj ten artykuł.

Temski spał mocno i Szapiro bez trudu wsadził mu do uszu zwykłe woskowe zatyczki, takie same, jakich używają ludzie cierpiący na bezsenność. Kiedy Temski się obudził, z początku nie robił nic niezwykłego. Usiadł, przeciągnął się, ziewnął, podrapał, rozejrzał się leniwie za czymś do jedzenia w sposób, który – jak Szapiro prywatnie uważał – nie przypominał zupełnie zachowania żadnej z psychicznie chorych osób, z jakimi się zetknął, ani właściwie w ogóle ludzkiego zachowania. Temski przywodził mu na myśl zdrowe, spokojne, zadowolone, oswojone zwierzę. Nie szympansa, raczej łagodniejsze, bardziej myślące, orangutana być może.

Ale orangutan zaczął się niepokoić. Temski rozejrzał się dokoła, w prawo i w lewo, nerwowo. A właściwie nie tyle się rozejrzał, ile poruszał głową, usiłując odnaleźć zaginione dźwięki. Zgubiony akord, pomyślał Szapiro. Temski był coraz bardziej niespokojny i czujny. Wstał, w dalszym ciągu kręcąc nerwowo głową. Popatrzył w drugi koniec pokoju. Po raz pierwszy od siedemnastu dni codziennych kontaktów dostrzegł doktora. Jego sympatyczna twarz zdradzała teraz niepokój, oszołomienie.

– Gdzie – powiedział – gdzie...

Jego ręce błądzące przy uszach w poszukiwaniu przyczyny ciszy znalazły zatyczki. Temski wyjął jedną z nich. To wystarczyło.

– Ach – powiedział i się uspokoił. Jego wzrok był w dalszym ciągu skierowany ku doktorowi, którego nie widział. Jego twarz się odprężyła.

Dalsze wysiłki były skuteczniejsze. Początkowo oszołomiony, Temski okazał się skłonny do współpracy, kiedy został pozbawiony słuchu, i odpowiadał z całą gotowością na próby Szapira nawiązania z nim kontaktu przez dotyk, dawanie znaków i wreszcie za pośrednictwem pisma. Po piątej sesji tego rodzaju Temski przystał na dłuższe posiedzenia, z użyciem leku, który za każdym razem porażał zakończenia jego nerwów słuchowych na pięć godzin.

Podczas drugiej z tych długich sesji Temski zażądał widzenia z Hughesem. Szapiro został już do tej pory poinstruowany, żeby w miarę możliwości pozwolić astronautom porozmawiać z sobą. Uważano, że ich swobodna dyskusja dostarczy więcej informacji. Ponieważ Temskiego pozbawiono słuchu, Hughes był zmuszony pisać, a że umiał pisać na ślepo, swój udział w rozmowie realizował za pomocą maszyny do pisania. Nie cały jednak materiał znaleziony w koszu na śmieci dało się skutecznie wkomponować w taśmę z mówioną częścią dialogu – Temskiego. Mężczyźni rozmawiali głównie o locie powrotnym oraz o chorobie i śmierci komandora Rogersa, której Temski nie mógł sobie przypomnieć. Hughes opisał to wszystko tak samo jak przedtem, bez żadnych dodatkowych szczegółów. Nie mówili zupełnie o sali (Stanowisko D) czy swoich upośledzeniach, z wyjątkiem tego, co następuje: T.: To chyba nie jest wewnątrz mnie, co?

H.: Gdyby było, zatyczki w uszach poprawiłyby ci słyszenie.

T.: Więc to jest prawdziwe?

H.: Jak cholera.

T.: Wiesz, jak się po raz pierwszy obudziłem z tymi zatyczkami w uszach, to panowała taka cisza, że byłem naprawdę przerażony. Sporo czasu upłynęło, zanim stamtąd wróciłem. I wcale nie miałem ochoty wracać. Ale kiedy Szapiro zaczął mi mówić, jak długo to trwało, i zorientowałem się, że to jest Ziemia, to rozumiesz, co mnie tak przerażyło – zacząłem podejrzewać, że może to wszystko były jakieś halucynacje. Jezu, pomyślałem, czyżbym dostał fioła? To mnie przestraszyło. Jak gdyby było we mnie dwóch ludzi. Ale poskładałem to wszystko jakoś w końcu do kupy i zobaczyłem, że to nie jest rozdwojenie, tylko...

H.: ...zmiana.

T.: Właśnie, to mnie zmieniło. A więc jest prawdziwe. Bo kiedy słyszę, słyszę właśnie to. A kiedy ty widzisz, widzisz to. Prawda? Innymi słowy, to jest czymś rzeczywistym. Trzeba nas sztucznie oślepić i pozbawić słuchu, żebyśmy tego nie widzieli i nie słyszeli. No, czy nie mam racji?

H.: (Pisane przez Hughesa na maszynie odpowiedzi dotyczące poniższej części dialogu nie dały się odtworzyć z materiałów wyjętych z kosza na śmieci.)

T.: Ach, nie, piękne. Upłynęło dużo czasu, a przynajmniej teraz wiem, że trwało to długo, zanim zacząłem łapać. Z początku nic z tego nie rozumiałem, Jezu, myślałem, że skonam ze strachu. Ty czy Dwight mówiliście coś, a waszym głosem towarzyszyły jakby akordy, jak tęcze pryzmatom, tylko że nawet tego pryzmatu nie widzisz – tak ty to chyba odczuwasz, prawda? Ze mną jest tak samo, tylko że w dziedzinie słuchu, jak gdyby wszystko zamieniało się w tę muzykę, tylko że to nie jest muzyka, to jest... Początkowo,

tak jak powiedziałem, nie wiedziałem, jak mam tego słuchać. Myślałem nawet, że mi nawalił hełmofon. Jezu (śmieje się), nie chwyciłem fraz, rozumiesz, modulacji czy czegoś w tym rodzaju, transformacji. Wszystko było zupełnie inne. Ale człowiek się uczy. Im więcej słuchasz, tym więcej słyszysz. Chciałbym, żebyś mógł to usłyszeć. Mówisz, że minęły dwa miesiące, odkąd opuściliśmy Marsa, i tak dalej, i ja ci, do cholery, wierzę, ale to nie ma żadnego znaczenia. Naprawdę nie ma żadnego znaczenia, prawda, Gerry?

H.:

T.: A ja bym z kolei chciał widzieć to, tak jak ty widzisz. To musi być coś wspaniałego. Ale wiesz, co ci powiem? Jestem w gruncie rzeczy zadowolony, że oni mnie z tego wyciągają w ten sposób, dzień po dniu. Myślę, że tak to właśnie musi być. Byłem... nie wiem, jak to wyrazić... przytłoczony, jakbym w tym ugrzązł. To przekracza moją wytrzymałość. My nie jesteśmy odpowiednio skonstruowani, może nie dość silni. Przynajmniej z początku. Za dużo tego dla mnie naraz. Chciałbym przede wszystkim, wtedy, kiedy nic mnie nie rozprasza, spróbować coś z tego spisać.

H.:

T.: Nie, nie znam. Ale to nie musi być muzyka, rozumiesz. To nie jest muzyka, po prostu w ten sposób to opisuję, bo to jest piękne. Myślę, że równie dobrze mogę to ująć w słowa. Może nawet lepiej. Wytłumaczyć, co to znaczy.

H.:

T.: A czego mam się bać?

Co dwa dni Bernard Decelis i jego żona dzwonili do Hughesa, gdyż nie mogli go odwiedzać z powodu kwarantanny. Dwudziestego siódmego lipca Hughes i Decelis odbyli znamienne rozmowę dotyczącą dokonanych przez „Psyche XIV” pomiarów tak zwanej sali, Stanowisko D.

– Jeśli się tam nie zabiorę z „Psyche XVI” i nie zobaczę tego cholernego miejsca, dostanę bzika.

– Zobaczyć to uwierzyć – zauważył Hughes. Nie podniecał się już tak łatwo jak na początku, był raczej sceptyczny i zgryźliwy.

– Posłuchaj no, Gerry, czy w tych szufladkach był kiedykolwiek jakiś mechanizm?

– Nie.

– Ha! Oto jasna odpowiedź! Myślałem, że będziesz unikał wszelkich stwierdzeń na temat Stanowiska D. Tylko że jest czymś niepojętym dla ludzkiego umysłu. Co, łamiesz się?

– Nie. Uczę.

– Czego się uczysz?

– Jak widzieć.

Po chwili milczenia Decelis spytał ostrożnie:

– Widzieć co?

– Stanowisko D. Bo to jedyne, co mogę widzieć.

– To znaczy, że kiedy otworzysz oczy, to właśnie to...

– Nie – Hughes mówił głosem znużonym i z ociąganiem. – To sprawa bardziej skomplikowana. Ja nie widzę Stanowiska D. Ja widzę... świat w świetle rzucanym przez Stanowisko D... Świat w nowym świetle. Powinieneś zapytać Temskiego. Ale zaraz, czy

przepuściłeś, jak zapowiadałeś, te szufladki przez komputer?

– Miałem kłopoty z opracowaniem programu.

– Wyobrażam sobie – powiedział Hughes i zaśmiał się krótko. – Przyślij mi tutaj to wszystko. Ja ci napiszę program. Z zamkniętymi oczami.

Do pokoju Hughesa wszedł rozpromieniony Temski.

– Gerry – powiedział – mam.

– Co masz?

– Już teraz wszystko razem. Słyszałem cię. Nie, nie czytałem z warg. Powiedz coś, stojąc do mnie tyłem. No, mów!

– Zatrucie ptomainą.

– „Zatrucie ptomainą”, zgadza się? Widzisz, słyszę cię. Ale wcale nie straciłem tamtej muzyki. Słyszę wszystko!

Niebieskooki i jasnowłosy Temski był przystojny, ale w tej chwili wydawał się wspaniały. Hughes go nie widział (widziała go natomiast ukryta w wentylatorze kamera), lecz słyszał wibrację jego głosu i był jednocześnie wzruszony i przestraszony.

– Zdejmij no te okulary, Gerry – powiedział łagodny, wibrujący głos.

Hughes pokręcił głową.

– Nie możesz wiecznie siedzieć w ciemnościach, pogrążony w sobie. Wyjdź. Nie możesz przecież wybrać ślepoty, Gerry.

– Dlaczego nie mogę?

– W każdym razie nie po tym, jak zobaczyłeś światło.

– Jakie światło?

– Światło, słowo, prawdę, które nas nauczono postrzegać i znać – powiedział Temski z łagodnością wynikającą z całkowitej pewności i z ciepłem promienia słonecznego w głosie.

– Wynoś się – krzyknął Hughes. – Wynoś się, Temski!

Minęło dwanaście tygodni od czasu szumu wywołanego powrotem „Psyche XIV”. U nikogo z personelu ośrodka nie zauważono żadnych symptomów poważniejszych niż znużenie. Hughesowi się nie pogorszyło, a Temski wyzdrowiał właściwie całkowicie. Można było spokojnie przyjąć, że załoga „Psyche XIV” nie została dotknięta infekcją wywołaną wirusem, zarodnikiem czy bakterią ani żadnym innym czynnikiem natury fizycznej. Większość, nie wyłączając doktora Szapira, przyjęła na razie i z wielkimi zastrzeżeniami hipotezę, że układ elementów tworzący salę w Stanowisku D spowodował u trzech mężczyzn podczas ich długotrwałych i dokładnych studiów nad tym rejonem zakłócenia fal mózgowych podobne do zakłóceń czynności mózgu spowodowanych przez efekt stroboskopowy przy pewnych częstotliwościach i tak dalej, i tak dalej. O jakie dokładnie elementy sali chodziło, jeszcze nie było wiadomo, chociaż eksperci usilnie badali hologramy. „Psyche XV” miała dokonać jeszcze dokładniejszych badań Stanowiska D, podejmując odpowiednie środki w celu ochrony astronautów.

Owe podejrzane elementy Stanowiska D były tak liczne i w sposób tak zawiły wzajemnie powiązane, że wykluczone, aby jakiś pojedynczy umysł mógł się pokusić o ich

usystematyzowanie. Niektórzy marsologowie byli przekonani, że szczególne właściwości sali stanowiły tylko przypadkowe zjawisko geologiczne i że sala nie miała nam do „powiedzenia” niczego więcej poza informacją zawartą w sposób tak zwięzły i piękny w pokładach skalnych, w słojach drzew i w liniach widma. Inni byli równie mocno przekonani, że miasto zostało zbudowane przez istoty inteligentne i że dzięki zbadaniu go moglibyśmy się dowiedzieć czegoś o nich i o tym, jak działały ich umysły – te nieprawdopodobne umysły sprzed sześciuset milionów lat (ponieważ wiek miasta ustalono już ściśle według czasu połowicznego rozpadu). Sam proces jednak był odstrasający. T.A. Newman z Instytutu Smithsona ujął to bardzo trafnie: „Archeologowie są przyzwyczajeni do uzyskiwania obszernych informacji na podstawie bardzo prostych faktów – a to z jakichś skorup, a to z kawałków krzemienia, tu znajdują kawałek jakiegoś muru, tam grób. Ale przyjmijmy, że z jakiejś starej kultury zachowało się tylko coś bardzo skomplikowanego, i to nie w sensie technicznym – powiedzmy jeden egzemplarz *Hamleta* Szekspira. I przyjmijmy na dodatek, że archeologowie, którzy go znaleźli, nie są istotami ludzkimi, nie mają książek, sztuk teatralnych, nie mówią, nie piszą i nie myślą tak jak my. Co im przyjdzie z tego niewielkiego produktu czyjejś pracy, z jego oczywistej złożoności i celowości, z tego, że pewne elementy się w nim powtarzają, a inne nie, że długość linijek cechuje pewna regularność i tak dalej? Jak odczytają *Hamleta*?”.

Dla tych, którzy przyjęli „teorię *Hamleta*”, było oczywiste, że należy zacząć od komputerów, zatrudniono więc ich wiele przy analizowaniu różnych elementów Stanowiska D, takich jak rozstawienie, rozmiary, głębokość i układ szufladek czy proporcje pierwszej, środkowej, trzeciej podsali, niezwyklej właściwości akustycznych sali jako całości i tak dalej. Żaden jednak z tych programów nie dostarczył na razie nieodpartego dowodu na istnienie świadomego planowania czy racjonalnej zabudowy. Żaden – poza programem ułożonym przez Decelisa i Hughesa dla nowej maszyny Algebraic V z ośrodka NASA, który rzeczywiście przyniósł rezultaty, tyle że trudno je nazwać racjonalnymi. Otrzymany wydruk przyprawił szychy z NASA o lekkie drżenie, bardzo natomiast rozbawił tych nielicznych uczonych, którym go Decelis udostępnił, zanim wydruk utajniono jako możliwe oszustwo, a niewątpliwy kłopot. Pełny tekst wydruku brzmiał:

POCZĄTEK

SZUFLADKI STANOWISKO D MARS SEKTOR 9

DECELIS HUGHES

DOBRCZE BÓG BÓG DOBRZE JESTEŚ BÓG

PRZESTAWIĆ CAŁOŚĆ ZROZUMIENIE CHAOS

PRZYJĄĆ CHAOS PRAWDZIWIY DOBRY BÓG

PRZYJĄĆ OBIERAĆ WSKAZÓWKI KIERUNEK

IŚĆ INFORMOWAĆ NIEPOINFORMOWANI

BÓG BÓG BÓG BÓG BÓG BÓG

KONIEC

Wszedł Szapiro i zastał Hughesa leżącego na łóżku – tak zresztą spędzał on większość czasu – w ciemnych goglach na oczach. Był blady i sprawiał wrażenie chorego.

– Uważam, że przeholowałaś.

Hughes nie odezwał się słowem. Szapiro usiadł.

– Odsyłają mnie do Nowego Jorku – rzekł.

Hughes nadal milczał.

– Wiesz, Temskiego wypuścili. Jest właśnie w drodze na Florydę. Z żoną. Nie mogę się zorientować, jakie tutaj mają plany w stosunku do ciebie. Prosiłem... – po dłuższej przerwie dokończył zdanie: – ...prosiłem, żeby mnie zostawili tu jeszcze z tobą na dwa tygodnie. Nic z tego.

– Wszystko w porządku – odparł Hughes.

– Chciałbym być z tobą w kontakcie, Geraint. Oczywiście nie możemy do siebie pisywać. Ale jest przecież telefon. No i taśmy. Zostawiam ci tutaj magnetofon kasetowy. Gdybyś miał ochotę porozmawiać, to zadzwoń. Gdybyś nie mógł mnie złapać, mów do magnetofonu. To nie to samo, ale zawsze...

– Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, Sidney – powiedział Hughes łagodnie. – Chciałbym...

Po chwili usiadł. Sięgnął ręką do twarzy i zdjął ciemne gogle. Tak ściśle pasowały mu do oczodołów, że zdejmowanie zajęło mu trochę czasu. Kiedy się z tym uporał, opuścił ręce i spojrzał prosto na Szapira. Jego oczy, ze źrenicami powiększonymi przez długotrwały brak światła, były niemal tak ciemne jak gogle.

– Widzę cię – powiedział. – Gra w chowanego. Ja szukam. To ty jesteś tym. Czy chcesz wiedzieć, co widzę?

– Tak – odpowiedział Szapiro łagodnie.

– Plamę. Cień. Coś niecałkowitego, elementarnego, przeszkodę. Coś zupełnie nieważnego. Nie oplaca się być dobrym człowiekiem, nawet...

– A kiedy patrzysz na siebie?

– To samo. Zupełnie to samo. Przeszkodę. Coś przyziemnego. Plamę w polu widzenia.

– W polu widzenia. A co to jest pole widzenia?

– Jak myślisz? – spytał Hughes głosem bardzo spokojnym i bardzo zmęczonym. – A prawdziwe widzenie jest widzeniem czego? Rzeczywistości naturalnie. Zostałem od nowa zaprogramowany, żeby dostrzegać rzeczywistość, dostrzegać prawdę. Widzę Boga. – Ukrył twarz w dłoniach. – Byłem człowiekiem myślącym – powiedział – usiłowałem być przy tym rozsądny. Ale po co rozsądek komuś, kto może widzieć prawdę? Widzieć to wierzyć... – Znów popatrzył na doktora, a spojrzenie jego ciemnych oczu było jednocześnie i przenikliwe, i niewidzące. – Gdybyś chciał prawdziwego wyjaśnienia, idź i poproś o nie Joego Temskiego. Milczy teraz, gra na zwłokę. Ale to on właśnie może ci powiedzieć. I powie, kiedy nadejdzie czas. On potrafi tłumaczyć to, co słyszy – tłumaczyć na język słów. Znacznie trudniej to robić z doznaniem wizualnymi. Mistycy zawsze mieli kłopoty z oddawaniem w słowach swoich wizji. Poza tymi, którym dane było Słowo, którzy słyszeli Głos. Ci zwykle się zrywali do czynu, prawda? Temski będzie więc działał, a ja nie. Ja odmawiam. Ja nie będę nauczał. Nie będę misjonarzem.

– Misjonarzem?

– Nie widzisz? Nie rozumiesz, że sala jest właśnie czymś takim? Ośrodkiem szkoleniowym, salą odpraw...

– Ośrodkiem kultu religijnego? Kościołem?

– W pewnym sensie. Miejscem, w którym uczą widzieć Boga, słyszeć Boga i znać Boga. I kochać Boga. Ośrodek nawracania. Miejsce, w którym cię nawracają! Po wyjściu stamtąd

chcesz iść i głosić słowo Boże wśród innych, wśród pogan. Bo wiesz już, jak bardzo oni są ślepi i jak łatwo jest widzieć. Nie, to nie tylko Kościół, raczej misja. Misja. Sam się uczysz misji i wychodzisz z misją do innych. To nie byli badacze. To byli misjonarze niosący prawdę innym ludom, przyszłym, wszystkim biednym poganom żyjącym w mrokach przestrzeni kosmicznej. Oni znali odpowiedź i chcieli, żebyśmy i my ją poznali. Bo kiedy poznasz odpowiedź, wszystko inne jest nieważne. Nie ma żadnego znaczenia, czy jesteś dobrym, czy złym człowiekiem, czy ja jestem inteligentny, czy głupi. Nic, co nas dotyczy, nie ma znaczenia, poza tym, że jesteśmy przyziemnymi nosicielami wielkiej prawdy. Ziemia jest nieważna, gwiazdy są nieważne, śmierć jest nieważna, nic może być czymkolwiek. Jest tylko Bóg.

– Obcy bóg?

– Nie bóg. Bóg. Jedyne prawdziwe, Bóg obecny we wszystkich rzeczach. Wszędzie i zawsze. Nauczyłem się widzieć Boga. Wystarczy tylko, żebym otworzył oczy, a widzę twarz Boga. Ale oddałbym życie, żeby jeszcze raz zobaczyć jedną ludzką twarz, żeby zobaczyć drzewo, krzesło, zwyczajne drewniane krzesło, najnormalniejsze. Niech sobie zachowają swojego Boga, niech sobie zatrzymają swoje Światło. Oddajcie mi świat. Ja chcę pytać, nie odpowiedzi. Oddajcie mi moje życie, moją śmierć!

Na polecenie psychiatry wojskowego, który zajął się Geraintem Hughesem po zwolnieniu Szapira, Hughes został przeniesiony do wojskowego szpitala dla umysłowo chorych. Ponieważ zasadniczo był spokojnym pacjentem, nie trzymano go pod ścisłym nadzorem, dzięki czemu po upływie jedenastu miesięcy dokonał udanej próby samobójstwa poprzez podcięcie sobie żył za pomocą trzonka od łyżki, którą ukradł ze stołówki i wyostrzył o kant łóżka. Jest faktem interesującym, że Hughes odebrał sobie życie w dniu startu z Marsa na Ziemię ekspedycji „Psyche XV”, wiozącej dokumenty i zapisy, które jako wyłożone przez pierwszego apostoła stanowią teraz pierwsze rozdziały Objawienia Starożytnych, święte teksty świętego i powszechnego Kościoła Bożego, tego, który niesie światło niewiernym, jedyne narzędzie Jedynej Wiecznej Prawdy.

O, głupcy (rzekłem), którym milsza jest ciemna noc
Niż światła prawdy jasna moc...
Lecz gdym ja widział w tym szaleństwa znak,
Ktoś szeptem mi powiedział tak:
Ten Pierścień Oblubieniec wierny obietnicy
Nie żadnej innej przysłał, lecz Oblubienicy⁷.

Przełożyli Zofia Uhrynowska-Hanasz i Lech Jęczmyk

⁷ Przełożyła Ewa Życieńska.

Kierunek drogi

To drzewo stoi dokładnie na południe od miejsca, w którym autostrada numer osiemnaście do Oregonu rozwidła się, tworząc odgałęzienie do McMinnville. W ubiegłym roku straciło główny konar, ale w dalszym ciągu wygląda imponująco. Przejeżdżamy koło niego kilka razy w roku i za każdym razem stwierdzamy, że z godnością i wprawą wynikającą z wieloletniego doświadczenia symbolizuje ono pojęcie relatywności.

Nigdy nie byli wymagający. Nigdy nie zmuszali nas do czegoś więcej niż galop, a i to rzadko; zwykle był to stęp. A kiedy któryś z nich szedł na własnych nogach, zbliżanie się do niego było prawdziwą przyjemnością. Wszystko wtedy odbywało się w pięknym stylu. Widać było, jak porusza nogami i rękami, tak jak to oni mają w zwyczaju, najczęściej patrząc na drogę, ale czasem w bok, na pola, albo prosto na mnie, a ja wtedy zbliżałem się do niego systematycznie, lecz całkiem powoli, powiększając się i synchronizując idealnie tempo wzrostu z tempem zbliżania się, tak że w momencie gdy – początkowo maleńki punkt – osiągałem moje pełne rozmiary, w owych czasach było to sześćdziesiąt stóp, zrównywałem się z nim i górowałem nad nim. Mimo to nie zdradzał najmniejszego strachu. Nawet dzieci się mnie nie bały, chociaż często wpatrywały się we mnie ciekawie, kiedy – minąwszy je – zaczynałem się zmniejszać.

Czasami w upalne popołudnie ktoś z dorosłych zatrzymuje mnie tam właśnie, w miejscu naszych spotkań, i opiera się plecami o moje plecy na godzinę czy więcej. Nigdy mi to nie przeszkadzało. Mam wspaniałe wzgórze, dobre słońce, dobry wiatr, piękny widok – co mi szkodzi postać sobie spokojnie przez tę godzinę czy nawet całe popołudnie? Ostatecznie ten stan bezruchu jest względny. Wystarczy tylko spojrzeć na słońce, żeby stwierdzić, jak szybko się idzie, a poza tym przecież stale się rośnie – zwłaszcza w lecie. W każdym razie ufność, z jaką powierzali się mojej opiece, pozwalając mi się opierać o swoje małe ciepłe grzbiety i zasypiając mocno pomiędzy moimi stopami, była dla mnie zawsze wzruszająca. Lubiłem ich. Nie dodawali nam uroku, jak ptaki, ale zdecydowanie wolałem ich od wiewiórek.

W tamtych czasach pracowały dla nich konie, i to też było przyjemne z mojego punktu widzenia. Szczególnie lubiłem cwał i zupełnie nieźle się w nim wyspecjalizowałem. Procesowi kurczenia się i wzrostu towarzyszyło falowanie i rytmiczny ruch przy jednoczesnym kołysaniu się i unoszeniu, co stwarzało złudzenie lotu. Galop nie był taki przyjemny; szarpany i dudniący, przypominał targanie młodym drzewkiem w czasie huraganu. No i oczywiście to powolne zbliżanie się ze stopniowym powiększaniem,

moment górowania, a potem łagodne oddalanie się połączone z kurczeniem – wszystko to przepada w galopie. Trzeba się rzucić gwałtownie – klop, klop, klop! – i człowiek zbyt jest wtedy zajęty jazdą, a koń biegiem, żeby choć podnieść na ciebie wzrok. No, ale to nie zdarzało się tak znowu często. Koń jest ostatecznie śmiertelny i, jak wszystkie istoty niewrośnięte, szybko się męczy. Nie męczyli więc koni, chyba że zaistniała jakaś pilna potrzeba. Ale wtedy nie było zbyt wiele pilnych potrzeb.

Dużo czasu upłynęło od mojego ostatniego galopu i muszę przyznać, że chętnie bym go znów zakosztował. Mimo wszystko było w nim coś podniecającego.

Przypominam sobie moment, kiedy zobaczyłem pierwszy samochód. Jak większość z nas wziąłem go za jakiś nieznaną rodzaj istot śmiertelnych niewrośniętych. Byłem zaskoczony, bo wydawało mi się, że po stu trzydziestu dwóch latach znałem całą miejscową faunę. Ale nowość jest zawsze interesująca na swój banalny sposób, więc obserwowałem go uważnie. Zbliżałem się do niego w dość szybkim tempie, przypominającym cwał, czyli krótki galop, ale w innym rytmie, odpowiednim do niezgrabnej sylwetki tego dziwoląga – podskakującym, rozkołysanym, niewygodnym, szarpanym jak czkawka. W ciągu dwóch minut, zanim zdążyłem urosnąć na wysokość stopy, wiedziałem, że nie jest to stworzenie śmiertelne – wrośnięte czy niewrośnięte. Był to przedmiot, tak jak wozy, do których zaprzęgano konie. Uważałem go za urządzenie tak kiepsko wykonane, że widząc, jak dyszy po przebyciu zachodniego wzgórza, sądziłem, że nie będzie w stanie wrócić, czego mu, szczerze mówiąc, serdecznie życzyłem, tak bardzo mi się nie podobały te szarpane podskoki.

Ale to dziwne urządzenie przyjęło stały harmonogram, który siłą rzeczy i mnie narzuciło. Codziennie o czwartej musiałem się do niego zbliżyć od strony zachodniej, podrygując, zacinając się i jak zwykle rosnąc, by przez moment nad nim górować, zanim znów się skurczę do rozmiarów punktu. A potem o piątej z powrotem – ja, sześćdziesięciostopowy olbrzym, kicałem jak młody zając, podskakując i trzęsąc się, tym razem od strony wschodniej, aż wreszcie na dobre ginałem z oczu ohydному małemu potworkowi i dopiero wtedy mogłem się w pełni rozluźnić, podając gałęzie na wieczorny wiatr. Zawsze siedziało ich w wozie dwoje: młody mężczyzna za kierownicą, a z tyłu, owinięta w koce i patrząca ponuro stara kobieta. Jeśli nawet coś do siebie mówili, to nigdy tego nie słyszałem. W tych czasach słyszałem wiele rozmów prowadzonych na drodze, ale tamte z samochodu do mnie nie docierały. Wierzch był wprawdzie otwarty, ale jeździe towarzyszył taki hałas, że zagłuszał wszystkie inne odgłosy, nawet wróbla, który zagnieździł się we mnie w tamtym roku. Ten hałas był prawie tak samo okropny jak podskakiwanie.

Pochodzę z rodziny, w której panują bardzo surowe zasady i wielkie poczucie własnej godności. Dębowa dewiza brzmi: „Raczej się złamać, niż ugiąć”, a ja zawsze starałem się wcielać ją w życie, i to zmuszanie mnie do podskoków i podrygów przez zwykły przedmiot obrażało nie tyle moją próżność, ile dumę rodową.

Jabłoniom w sadzie u stóp wzgórza najwyraźniej nie robiło to żadnej różnicy, ale ostatecznie jabłonie są oswojone. Pracowały na to wieki. A poza tym to istoty żyjące stadnie; żadne drzewo z sadu nie jest zdolne do formułowania własnych opinii. Ja zresztą nie zdradzałem się ze swoją. Ale byłem bardzo zadowolony, kiedy samochód przestał się nad nami znęcać.

Minał cały miesiąc bez niego i przez cały ten miesiąc podchodziłem do ludzi, kłusowałem

na spotkanie koni z wielką przyjemnością, a nawet podskakiwałem ku dziecku niesionemu przez matkę w ramionach, bezskutecznie usiłując zachować ostrość obrazu. W następnym jednak miesiącu – a był to wrzesień, ponieważ właśnie przed kilkoma dniami odleciały jaskółki – zjawiał się drugi samochód, zupełnie nowy, i zaczął nagle wszystko wlec ze wschodu na zachód wśród podrygów, podskoków i hałasu – mnie, drogę i nasze wzgórze, sad i pola, i dach dworku. Pędziłem szybciej niż kiedykolwiek w galopie, szybciej niż w ogóle kiedykolwiek przedtem. Ledwie zdążyłem nad nim wyrosnąć, kiedy już znów kurczyłem się gwałtownie do rozmiarów punktu.

A następnego dnia przybyło kolejne auto.

Z każdym rokiem, tygodniem i dniem było ich więcej. Stały się cechą dominującą lokalnego porządku rzeczy. Droga została skopana, ubita, poszerzona i wykończona gładko i obrzydliwie, tak że przypominała ślad ślimaka. Nie miała teraz żadnych kolein, kałuż, kamieni, kwiatów ani cieni. Zwykle było na niej mnóstwo najróżniejszych drobnych niewrośniętych stworzonek – koników polnych, mrówek, żab, myszy, wiewiórek – w większości zbyt małych na to, żebym się w ogóle w ich kierunku miał ruszać; one mnie nawet nie widziały. I wtedy właśnie mądre stworzenia zaczęły unikać drogi, a niemądre zostawały i ulegały rozgniecieniu. Widziałem wiele zajęcy ginących w ten sposób u moich stóp. Całe szczęście, że jestem dębem, i chociaż może mnie połamać wiatr, mogą mnie wykarczować, zrębać czy ściąć piłą, to przynajmniej w żadnym razie nie zostaną rozgniecione.

Obecność tak wielu samochodów na drodze wymagała ode mnie nowych kwalifikacji. Podstawową umiejętność chodzenia jednocześnie w dwóch kierunkach opanowałem jeszcze jako mały dziczek, gdy tylko wytknąłem głowę ponad chwasty. Nauczyłem się tego zupełnie nieświadomie, pod zwykłą presją okoliczności, przy pierwszej okazji, kiedy zobaczyłem pieszego nadchodzącego ze wschodu i w tej samej chwili jeźdźca zbliżającego się z zachodu. Okazało się, że muszę iść w dwóch kierunkach naraz i że świetnie sobie z tym radzę. To jest sztuka, którą my, drzewa, opanowujemy, jak sądzę, bez najmniejszego wysiłku. Byłem dość zdenerwowany, ale udało mi się minąć jeźdźca i teraz jednocześnie oddalałem się od niego i zbliżałem w podrygach do piechura (wtedy jeszcze nie było tego groźnego nagłego wyłaniania się); minąłem z kolei piechura dokładnie w momencie, kiedy jeździec stracił mnie z oczu. Byłem z siebie ogromnie dumny, ponieważ po raz pierwszy w życiu dokonałem tego wyczynu jako bardzo młode drzewko, ale muszę przyznać, że to się wydaje znacznie trudniejsze, niż jest w rzeczywistości. Od tamtej pory robiłem to oczywiście nieskończenie wiele razy, nie przywiązując do tego najmniejszej wagi; mogłem to robić i we śnie. Czy zastanawialiście się jednak kiedyś, jaki to wyczyn i jakiej wymaga zręczności, żeby powiększać się jednocześnie, ale w zróżnicowanym tempie i w trochę inny sposób, dla każdego z czterdziestu kierowców jadących w przeciwnych kierunkach i w tym samym momencie zmniejszać się dla następnych czterdziestu, odwróconych już plecami, nie zapominając, żeby się w odpowiedniej chwili nad każdym z osobna wyłonić – i tak bez przerwy, godzina za godziną, od świtu do zmierzchu, a nieraz i dłużej? Bo moja droga stała się bardzo ruchliwa, cały dzień trwała na niej gorączkowa krzątanina. Ona pracowała i ja pracowałem. Już nie podskakiwałem tyle i nie podrygiwałem, ale za to musiałem pędzić coraz prędzej i prędzej – wyrastać do niesamowitych rozmiarów w ułamku sekundy, wyłaniając się w całej swojej okazałości i w odpowiednim miejscu, a zaraz potem kurczyć się do rozmiarów punktu, i to wszystko w pośpiechu, bez żadnej

przyjemności i bez odpoczynku – w kółko i w kółko to samo.

Niewielu kierowców zadawało sobie trud spojrzenia w moim kierunku, choćby na tyle, żeby mnie dostrzec. Wydawało się, że w ogóle przestali cokolwiek dostrzegać. Gapili się tylko przed siebie, jakby sobie wyobrażali, że gdzieś dążą. Z przodu w samochodach poprzyczepiali sobie małe lusterka, w które patrzyli, żeby zobaczyć, skąd przyjeżdżają, po czym natychmiast znów zaczynali gapić się przed siebie. Myślałem, że tylko żuki mają to złudzenie postępu. Żuki nieustannie się gdzieś śpieszą, nigdy nie podnosząc głowy. Zawsze byłem kiepskiego zdania o żukach. Ale one przynajmniej zostawiały mnie w spokoju.

Muszę wyznać, że w cudowne ciemne noce bez księżyca, który by mi srebrzył koronę, czy gwiazd, które by mi się wplątywały w gałęzie, kiedy mogłem sobie rzeczywiście odpocząć, myślałem czasami na serio, żeby przestać się wreszcie wywiązywać ze swoich zobowiązań w stosunku do ogólnego porządku rzeczy – żeby po prostu przestać się ruszać. No nie, niezupełnie serio tak myślałem, powiedzmy półserio. Po prostu pod wpływem znużenia. Bo jeśli nawet taka głupia smarkula jak trzyletnia wierzba okryta koćkami, rosnąca u stóp wzgórza, poczuwała się do tego, żeby podskakiwać i kołysać się, przyśpieszać, rosnać i kurczyć się w obliczu każdego samochodu na drodze, to miałbym ja, dąb, uchylać się od spełniania swoich obowiązków? *Noblesse oblige* – jestem głęboko przekonany, że nie urodziłem jednego żołędzia, który by nie wiedział, co do niego należy.

Przez pięćdziesiąt więc czy sześćdziesiąt lat uczestniczyłem w ogólnym porządku rzeczy, podtrzymując złudzenie istot ludzkich, że dokądś dążą. I nie zamierzam się wcale od tego wykręcać. Ale stała się rzecz naprawdę okropna, przeciwko której chciałbym zaprotestować.

Nie przeszkadza mi, że muszę się poruszać w dwóch kierunkach jednocześnie, nie przeszkadza mi, że w tym samym momencie muszę powiększać się i kurczyć ani nawet to, że często z konieczności gnam z nieprzyjemną szybkością sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu mil na godzinę. Jestem gotów robić to wszystko aż do chwili, kiedy zostanę ścięty czy wykarczowany. To są moje obowiązki. Ale protestuję gorąco przeciwko narzucaniu mi nieśmiertelności.

Nieśmiertelność to nie moja sprawa. Jestem dębem – niczym więcej, niczym mniej. Mam swoje obowiązki, z których się wywiązuję, mam swoje przyjemności, których zażywam, chociaż jest ich tym mniej, im mniej jest ptaków, im tchnienie wiatru mniej czyste. Ale nawet moja długowieczność nie odbiera mi prawa do śmiertelności. Śmiertelność jest moim przywilejem. I tego przywileju zostałem pozbawiony.

Zostałem go pozbawiony pewnego deszczowego marcowego wieczora w ubiegłym roku.

Mknąca szybko w obu kierunkach droga zarośla się jak zwykle od samochodów. Byłem tak zajęty miotaniem się w obie strony, powiększaniem, wyłanianiem się i kurczeniem, a ściemniało się przy tym tak szybko, że nie zauważyłem, co się dzieje. Tymczasem zaś jeden z kierowców uznał, że jego dążenie dokądś jest szczególnie pilne, i wobec tego postanowił umieścić swój samochód przed samochodem poprzedzającym go na drodze. Taki manewr jednak wymaga chwilowego odchylenia kierunku drogi i przemieszczenia się na przeciwną stronę, która normalnie biegnie w odwrotnym kierunku (chciałbym przy okazji zaznaczyć, że podziwiam drogę za zręczność, z jaką dokonuje tych manewrów, co musi być trudne dla istoty nieżyjącej, dla zwykłego urządzenia). Ale okazało się, że jakiś inny samochód wyrósł bardzo blisko tego, który się tak śpieszył, i to dokładnie naprzeciwko, w momencie kiedy tamten zjechał na drugą stronę. Droga nic już nie mogła

na to poradzić, i tak była przepełniona. Żeby uniknąć zderzenia z tym samochodem, ten pierwszy, któremu się tak śpieszyło, całkowicie pogwałcił kierunek drogi, odwracając go na północ-południe, patrząc z jego punktu widzenia, i zmuszając mnie, żebym skoczył prosto na niego. Nie miałem wyboru. Musiałem pędzić, i to bardzo szybko – osiemdziesiąt pięć mil na godzinę. Skoczyłem: wyrosłem nagle ogromny, większy niż kiedykolwiek, i zaraz potem rąbnąłem w samochód.

Straciłem sporo kory i, co gorsza, niemało miazgi, ale ponieważ miałem wtedy osiemdziesiąt dwie stopy wysokości, a w miejscu, gdzie doszło do zderzenia, około dziewięciu stóp w obwodzie, nic strasznego mi się w gruncie rzeczy nie stało. W każdym razie gałęzie drżały mi tak bardzo na skutek doznanego szoku, że gniazdo drozda z ubiegłego roku obruszyło się i spadło, a ja tak byłem tym wstrząśnięty, że jęknąłem. Jeden jedyny raz w życiu zdarzyło mi się wydać głośny dźwięk.

Samochód wrzasnął przeraźliwie. Został wgnieciony przez moje uderzenie, a właściwie zmiążdżony. Tylne części nie odniosła specjalnego szwanku, ale za to przód był rozbity i powykręcany jak stary korzeń, a dokoła, porozrzucane niczym kulki gradu, leżały błyszczące okruchy.

Kierowca nie zdążył powiedzieć ani jednego słowa – zabiłem go na miejscu.

Ale nie przeciwko temu protestuję. Musiałem go zabić. Nie miałem wyboru i dlatego nie mam wyrzutów sumienia. Protestuję natomiast przeciwko czemuś innemu: kiedy na niego wpadałem, widział mnie. Wreszcie na mnie spojrzał. Widział mnie tak, jak jeszcze nigdy nie byłem widziany, nawet przez dziecko, nawet w czasach, kiedy jeszcze ludzie patrzyli na rzeczy. Widział mnie całego i nic poza mną – wtedy i już w ogóle.

Zobaczył mnie w aspekcie wieczności. Splótł mnie niejako z wiecznością. A ponieważ zginął w chwili tej fałszywej wizji, która już się nie może zmienić, zostałem w nią uwikłany na wieczność. I to jest nie do przyjęcia. Nie mogę dłużej podtrzymywać takiego złudzenia. Jeśli istoty ludzkie nie rozumieją, co to relatywność, to trudno – muszą przynajmniej rozumieć wzajemne relacje.

Jeśli chce tego porządek rzeczy, będę zabijał kierowców samochodów, chociaż na ogół nie wymaga się zabijania od dębów. Uważam jednak za niesprawiedliwe narzucanie mi roli nie tylko zabijającego, ale i samej śmierci. Bo ja nie jestem śmiercią. Jestem życiem, jestem śmiertelny.

Jeśli chcą się zetknąć ze śmiercią w sposób namacalny, to ich sprawa, nie moja. Nie będę dla nich brał na siebie roli nieśmiertelności. Niech nie oczekują śmierci od drzew. A jeśli koniecznie chcą ją zobaczyć, niech zajrzą sobie nawzajem w oczy – na pewno ją tam dostrzegą.

Przełożyli Zofia Uhrynowska-Hanasz i Lech Jęczmyk

Ci, którzy odchodzą z Omelas

(Wariacje na temat Williama Jamesa)

Główna idea tego psychomitu, kozioł ofiarny, pojawia się w *Braciach Karamazow* Dostojewskiego, kilka więc osób spytało mnie, dość zresztą podejrzliwie, dlaczego upodobałam sobie akurat właśnie Williama Jamesa. Prawda jest taka, że mimo całej mojej miłości do Dostojewskiego nie byłam w stanie od czasu, kiedy skończyłam dwadzieścia pięć lat, przeczytać go po raz drugi i po prostu zapomniałam, że to on pierwszy wykorzystał ten pomysł. Kiedy więc zetknęłam się z tą ideą w *Filozofie moralności i życiu moralnym* Jamesa, natychmiast doznałam olśnienia. A oto jak ujmuje sprawę James:

A gdyby tak nam przedstawiono hipotetyczną koncepcję świata, w której utopie Fouriera, Bellamy'ego i Morrisa miałyby się spełnić, i to nawet w doskonalszej formie, i miliony ludzi zażywałyby szczęścia pod jednym wszakże warunkiem: że jakaś samotna zagubiona dusza cierpieć będzie gdzieś na obrzeżu świata... Otóż gdyby tak się zdarzyło, to czy moglibyśmy – wyjąwszy zupełnie szczególne emocjonalnie przypadki – korzystać z tego szczęścia, wiedząc, jaką zostało okupione ceną?

Trudno o lepsze ujęcie problemu amerykańskiego sumienia. Dostojewski był wielkim i radykalnym twórcą, ale jego wczesny radykalizm społeczny zamienił się we własne przeciwieństwo, czyniąc z pisarza namiętnego reakcjonistę, gdy jednocześnie Amerykanin James, który wydaje się taki łagodny, tak naiwnie elegancki – zwróćmy uwagę, jak operuje zaimkiem „my”, zakładając, że wszyscy czytelnicy są równie przyzwoici, jak on! – otóż ten właśnie James był, jest i pozostaje myślicielem radykalnym. Bezpośrednio bowiem po fragmencie dotyczącym zagubionej duszy pisze:

Wszystkie wyższe, bardziej wysublimowane ideały mają charakter rewolucyjny. W znacznie mniejszym stopniu występują pod pozorami efektów minionych doświadczeń aniżeli prawdopodobnych przyczyn doświadczeń przyszłych, czynników, do których środowisko i lekcja, jakiej nam ono dotychczas udzieliło, muszą się nagiąć.

Związek tych dwóch zdań z niniejszym opowiadaniem, jak i z fantastyką naukową

czy z myśleniem o przyszłości w ogóle jest całkiem bezpośredni. Ideały jako „prawdopodobne przyczyny doświadczeń przyszłych” – co za subtelna i zabawna uwaga!

Jest rzeczą oczywistą, że zaraz po przeczytaniu Jamesa nie usiadłam i nie powiedziałam sobie: a teraz napiszę opowiadanie o tej zagubionej duszy. Nie jest to aż takie proste. Owszem, usiadłam i zaczęłam pisać opowiadanie, bo po prostu odczułam taką potrzebę, nie mając jednak na myśli nic poza słowem „Omelas”. A wzięłam je z drogowskazu przeczytanego wspak: Salem (Oregon). Czy i wam się może czasem zdarza odczytywać znaki drogowe wspak? POTS. AGAWU iceizd. Ocsicnarf Nas... Salem równa się szhalom, równa się salaam, równa się pokój. Melas. O melas. Omelas. Homme hélas. „Skąd pani czerpie swoje pomysły, pani Le Guin?”. Z zapominania Dostojewskiego i z czytania znaków drogowych wspak. A skąd by?

Huk dzwonów, który poderwał w niebo jaskółki, obwieścił miastu Omelas, wznoszącemu swe jasne wieżycy nad brzegiem morza, początek letniego karnawału. Maszty stojących w przystani statków mieniają się od flag. Ulicami, wśród pokrytych czerwoną dachówką domów o malowanych ścianach, wśród zarośniętych mchami ogrodów, alei, pod sklepieniem potężnych drzew, mimo wielkich parków i budynków publicznych ciągnie pochód. Wyglądają dostojnie: starcy w długich sztywnych szatach, fiołkowych i szarych, poważni majstrowie, spokojne rozplotkowane kobiety z dziećmi na rękach. Na innych ulicach muzyka jest szybsza – wibrują gongi i tamburyny – a ludzie idą krokiem tanecznym; pochód jest tańcem. Piski igrających dzieciaków wznoszą się ponad muzykę i śpiew niby śmigające jaskółki. Podążają ku północnym krańcom miasta, gdzie na rozległej podmokłej łące zwanej Zielonymi Błoniami chłopcy i dziewczęta o długich, gibkich ramionach, nadzy w roziskrzonym słońcu, uwalani mułem po kostki, ćwiczą przed wyścigiem swoje narowiste rumaki. Konie nie mają żadnej uprzęży poza kantarem bez wędzidła. W grzywy powplatanio im srebrne, złote i zielone wstążki. Parskają i tańczą, pyszniąc się przed sobą nawzajem; jako jedyne zwierzęta, które przyjęły nasze obyczaje, są bardzo podniecone. Daleko na północy i zachodzie wznoszą się góry, otaczając półkolem położone nad zatoką Omelas. W przezroczystej, prześwieczonej słońcem aurze poranka śniegi wieńczące jeszcze Osiemnaście Szczytów płoną pod ciemnym błękitem nieba białozłotym ogniem. Wiatru jest akurat tyle, by znaczące tor wyścigowy proporczyki załopotwały od czasu do czasu. W ciszy rozległych Zielonych Błoni słychać, to bliżej, to dalej, jak wijąc się ulicami miasta, nadciąga muzyka; czuć pogodną słodycz w powietrzu, które wzbiera drganiem, by od czasu do czasu wybuchnąć wielką radosną symfonią dzwonów.

Radosną! Jak tu mówić o radości? Jak opisać mieszkańców Omelas?

Wiercie mi, nie są to ludzie prymitywni, choć tak bardzo szczęśliwi. To tylko myśmy zapomnieli słów oznaczających radość. To dla nas uśmiech stał się czymś anachronicznym. Po takim wstępie zwykliśmy puszczać wodze wyobraźni. Widzimy więc króla na wspaniałym rumaku w otoczeniu świty szlachetnych rycerzy albo w złocistej lektyce niesionej przez potężnie umięśnionych niewolników. Ale tam nie ma króla. Mieszkańcy

Omelas nie mają mieczów ani niewolników. Nie są barbarzyńcami. Nie znam zasad ani praw, jakimi rządzi się ich społeczeństwo, ale podejrzewam, że jest ich niewiele. I tak jak obywają się bez monarchii czy niewolnictwa, radzą sobie świetnie bez giełdy, reklamy, tajnej policji i bomby. A jednak powtarzam: nie są to ludzie prymitywni – łagodni pasterze, szlachetne dzikusy czy mętni utopiści. Nie są ani trochę mniej skomplikowani od nas. Problem polega na tym, że mamy zły zwyczaj, kulturowany przez pedantów i snobów intelektualnych, utożsamiania szczęścia z głupotą. Według nas tylko cierpienie przenosi w sferę doznań intelektualnych, tylko zło jest interesujące. Jakże często grzeszą w ten sposób artyści, nie chcąc przyznać, że zło potrafi być banalne, a cierpienie – potwornie nudne. Nie możesz ich zwalczyć, przystań do nich. Jeśli któreś z twoich doświadczeń okaże się bolesne – spróbuj je powtórzyć. Ale pochwała rozpaczy oznacza potępienie rozkoszy. Akceptować gwałt to tyle, co stracić wszystko inne. I prawie wszystko straciliśmy – nie potrafimy już opisać szczęśliwego człowieka, nie potrafimy celebrować radości. Jak więc mam mówić o mieszkańcach Omelas? Nie są to naiwne, szczęśliwe dzieci, chociaż ich dzieci są szczęśliwe. To dojrzały, inteligentni, pełni namiętności ludzie, których życia nie sposób nazwać ubogim. Co za cud! Ale chciałabym móc opisać to lepiej. Chciałabym móc was przekonać. Omelas w mojej opowieści jawi się miastem z bajki – dawno, dawno temu za siódmą górą, za siódmą rzeką... Skoro jednak, opisując je, nie zdołam dogodzić wszystkim, byłoby może lepiej, gdyby każdy przedstawił sobie miasto zgodnie z własnymi wyobrażeniami, przyjmując, że rzeczywistość go nie zawiedzie.

Weźmy na przykład sprawy techniki. Myślę, że w Omelas nie mają ani samochodów, ani helikopterów, co wynika z faktu, że są szczęśliwi. A przecież szczęście polega na umiejętności rozróżnienia pomiędzy tym, co niezbędne, tym, co ani niezbędne, ani szkodliwe, i wreszcie tym, co zdecydowanie szkodliwe. Otóż do kategorii środkowej – rzeczy przydatnych, ale nieszkodliwych, zapewniających wygodę, a nawet luksus i dostatek – mogą z powodzeniem należeć centralne ogrzewanie, koleje podziemne, pralki i wszelkiego rodzaju cudowne urządzenia, których tu jeszcze nie znają, jak oświetlenie bezprzewodowe, energia bez paliwa czy lekarstwo na katar.

Ale równie dobrze może tego wszystkiego w Omelas nie być, to nie ma znaczenia. Jak sobie chcecie. Ja osobiście jestem skłonna sądzić, że sąsiedzi z innych miast wybrzeża ścigali do Omelas na karnawał małymi, bardzo szybkimi pociągami lub piętrowymi tramwajami i że tutejszy dworzec jest obecnie najpiękniejszym budynkiem w mieście, jeśli nie liczyć wspaniałej hali targowej. Obawiam się jednak, że nawet z tymi pociągami wielu z was i tak uzna Omelas za zbyt sielankowe. Uśmiechy, dzwony, pochody – nudy na pudy. Jeśli tak, niech będzie jakaś orgia. Jeśli orgia załatwi sprawę – nie wahajcie się ani chwili. Tylko bardzo proszę, bez żadnych świątyń, z których wychodzą – w stanie ekstazy – piękni nadzy kapłani i kapłanki, gotowi kopulować z każdym – kobietą czy mężczyzną, kochankiem czy nieznanym – kto pragnie związku krwi z najwyższym bóstwem, chociaż, przyznaję, z początku sama o tym myślałam. Lepiej niech w Omelas nie będzie żadnych świątyń, a przynajmniej świątyń z ludźmi. Religia – owszem, kler – w żadnym razie. Proszę, niech się przechadzają piękne golasy, niech częstują sobą zgłodniałych i spragnionych jak świętym sufletem. Niech się włączają w pochód. Niech nad kopulującymi walą w tamburyny, niech gongi głoszą chwałę pożądania, ale – najważniejsze – niech dzieci stanowiące owoc tych cudownych obrządków będą przedmiotem ogólnej miłości i

troski.

Wiem, że jednego nie ma w Omelas na pewno: pojęcia grzechu. Zgoda, ale mówmy o tym, co powinno być. Z początku uznałam, że nie ma narkotyków, ale to byłoby zbyt purytańskie. Ostatecznie dla tych, którzy to lubią, niechby unosił się nad ulicami słodkawy aromat drooz, tego drooz, które najpierw daje umysłowi i wszystkim członkom lekkość i sprawność, po kilku godzinach – senną ociężałość, na koniec zaś – wspaniałe wizje najgłębszych tajemnic wszechświata i pełnię zadowolenia seksualnego przekraczającą wszelkie wyobrażenie. Ale to wszystko oczywiście bez groźby nałogu. Dla tych, co mają skromniejsze wymagania, mogłoby być piwo. Cóż jeszcze powinno gościć w mieście radosnym? Nastrój zwycięstwa, a jakże, i kult odwagi. Ale tak jak poradziliśmy sobie bez duchowieństwa, dajmy sobie spokój z wojskiem. Radość oparta na zręcznym mordowaniu nie jest właściwą radością; nie o to chodzi, to przerażające i trywialne. Bezgraniczne i szczere zadowolenie, pełen wielkoduszności triumf, odczuwany nie w konfrontacji z wrogiem zewnętrznym; raczej komunია dusz, synteza tego wszystkiego, co w ludzkości najpiękniejsze i najsubtelniejsze, atmosfera powszechnego lata. Oto uczucia, jakimi wzbierają serca mieszkańców Omelas, oto zwycięstwo, które oni celebrują – zwycięstwo życia. Nie sądzę, aby wielu z nich odczuwało potrzebę zażywania drooz.

Większość pochodów zdążyła już dotrzeć do Zielonych Błoni. Z czerwonych i niebieskich namiotów dobiegają smakowite zapachy. Buzie dzieciaków są rozkosznie lepkie; w siwej brodzie dobrotliwego starca utkwily okruchy słodkiego ciasta. Dziewczęta i chłopcy dosiedli już koni i ustawili się w pobliżu linii startowej. Pulchna roześmiana staruszka rozdaje z koszyka kwiaty, które postawni młodzieńcy wplatają sobie w lśniące włosy. Na skraju tłumu siedzi i gra na flecie smutne dziewięcio- czy dziesięcioletnie dziecko. Ludzie zatrzymują się z uśmiechem, żeby go posłuchać, ale nikt się nie odzywa do ciemnookiego malca, który ani na chwilę nie przerywa gry, nie widzi nic, poddany magii subtelnych, pełnych wdzięku tonów.

Chłopiec przestaje grać, powoli opuszcza ręce, w których trzyma drewniany flet.

Jak gdyby ta mała prywatna chwila ciszy była jakimś sygnałem, z pawilonu położonego koło linii startowej zagrzmiały trąby – władczo, melancholijnie, a zarazem przenikliwie. Konie tańczą na smukłych zadnich nogach, rzeniem odpowiadając na hasło. Młodzi jeźdźcy, skupieni, klepią je uspokajająco po szyjach: „Dobry, dobry...”. Zaczynają się formować w szereg na linii startowej. Zebrany wzdłuż toru wyścigowego tłum przypomina upstrzony kwieciami łan zboża na wietrze. Tak rozpoczął się letni karnawał.

Wierzycie mi? Wierzycie w to wszystko: święto, miasto, radość? Nie? To pozwólcie, że jeszcze coś wam powiem.

W suterrenach jednego z okazałych budynków publicznych Omelas, a może lepiej: w piwnicach jednej z obszernych prywatnych rezydencji jest pomieszczenie – bez okna, z wiecznie zaryglowanymi drzwiami. Sączy się tu jedynie przez szpary w deskach przesiane przez kurz światło, wpadające zasnutym pajęczynami okienkiem z sąsiedniej piwnicy. W kącie małej izdebki, obok zardzewiałego wiadra stoją sztywne, pozlepiane, śmierdzące miotły. Podłoga to klepisko, miejscami mokre, jak to zwykle klepiska w piwnicach. Wymiary pomieszczenia: dwa na trzy kroki – ot, po prostu nieużywana komórka na miotły czy narzędzia. W izbie tej siedzi dziecko. Może to być równie dobrze chłopiec, jak i dziewczynka. Wygląda na sześć lat, ale ma dziesięć. Jest niedorozwinięte umysłowo. Może to wada wrodzona, a może powstała wskutek nieustannego lęku, niedożywienia i

zaniedbania. Dziecko, przycupnięte w kącie, z dala od wiadra i mioteł, dłubie w nosie i od czasu do czasu bezmyślnie bawi się palcami u nóg i genitaliami. Boi się mioteł. Wydają mu się straszne. Zamyka oczy, ale wie, że miotły w dalszym ciągu stoją na swoim miejscu, że drzwi są zamknięte, że nikt tu nie przyjdzie. Z rzadka – dziecko nie ma ani poczucia, ani miary czasu – drzwi otwierają się z potwornym łoskotem i ktoś się w nich pojawia, nieraz nawet kilka osób. Zdarza się, że jeden z gości wchodzi do środka i podrywa dziecko kopniakiem na nogi. Reszta na ogół się nie zbliża, tylko – stojąc w drzwiach – przygląda mu się ze strachem i obrzydzeniem. Pośpiesznie napełniają dziecku miskę strawą, a dzbanek wodą i ryglują drzwi. Ciekawe oczy znikają. Ludzie nigdy nic nie mówią, ale dziecko, chłopiec, który nie zawsze żył w komórce i zachował pamięć świata słonecznego oraz głosu matki, odzywa się czasem. „Już będę grzeczny – mówi. – Wypuście mnie. Już będę grzeczny”. Nikt mu jednak nie odpowiada. Malec, który kiedyś często płakał po nocach i wołał o pomoc, teraz kwili tylko „łaa... łaa...” i odzywa się coraz rzadziej. Ma wielki wzdęty brzuch i jest tak chudy, że zupełnie stracił łydki. Cała jego dzienna dieta to pół miski mąki kukurydzianej z tłuszczem. Jest nagi, a ponieważ cały czas siedzi we własnych odchodach, jego uda i pośladki to jedna wielka ropiejąca rana.

Wszyscy słyszeli o dziecku, to znaczy wszyscy mieszkańcy Omelas. Niektórzy przychodzą specjalnie, aby je obejrzeć, innym wystarczy sama świadomość jego istnienia. Wiedzą, że dziecko musi tu być. Jedni rozumieją dlaczego, inni nie, ale wszyscy zdają sobie sprawę, że ich szczęście, piękno ich miasta, więzi przyjaźni, zdrowie ich dzieci, mądrość uczonych, sprawność rzemieślników, a nawet obfitość zbiorów i pogoda są całkowicie uwarunkowane odrażającą nędzą małej ofiary.

Zwykle wyjaśnia się dzieciom te sprawy między ósmym a dwunastym rokiem życia, w okresie po temu najodpowiedniejszym. Odwiedzający dziecko to przeważnie młodzież, zdarza się jednak, że przychodzą i dorośli, czasem nawet po kilka razy. Niezależnie jednak od tego, jak dokładnie im się ten problem wytłumaczy, widok dziecka jest zawsze dla młodych szokujący. Wychodzą z obrzydzeniem, choć przecież uważali się za wyższych ponad to. Mimo wszelkich wyjaśnień ogarnia ich wściekłość, czują się poniżeni i bezsilni. Chcieliby coś zrobić dla malca. Ale nie mogą. Gdyby go bowiem wyprowadzono z tej strasznej nory na światło dzienne, gdyby go nakarmiono, umyto i otoczono czułością, w tej samej chwili przysłyby całe piękno, bogactwo i radość Omelas. Takie są warunki. Zamienić powodzenie i uroki życia wszystkich na to jedno małe dobrodziejstwo, oddać szczęście tysięcy za szczęście jednostki – to tyle, ile wpuścić do miasta grzech.

Warunki są surowe i bezwzględne: Nie wolno odezwać się do dziecka jednym życzliwym słowem.

Często młodzi ludzie odchorowują widok malca i zetknięcie z tym straszliwym paradoksem. Wracają do domu rozgoryczeni, z płaczem, rozpamiętując to nieraz tygodniami, a nawet latami. Z czasem jednak zaczynają zdawać sobie sprawę, że gdyby nawet uwolnić dziecko, niewiele by mu z tego przyszło poza przyjemnym poczuciem ciepła i sytości. Jest zbyt zdegradowane i tępe na to, by móc przeżywać prawdziwą radość. Zbyt długo się bało, by się pozbyć strachu. Jest zanadto nieokrzesane, by odpowiedzieć na ludzką życzliwość. Brakowałyby mu najprawdopodobniej murów, które je cały czas chroniły, niezbędnych oczom ciemności i własnych odchodów, w których mogłoby siedzieć. Ale łyzy wywołane poczuciem gorzkiej niesprawiedliwości łatwo wysychają: ludzie dostrzegają okrutną sprawiedliwość rzeczywistości i szybko się z nią godzą. A przecież to

właśnie w tych łzach i gniewie, w dobrych chęciach i pogodzeniu się z własną bezsilnością należy upatrywać prawdziwych przyczyn ich powodzenia. Ich szczęście nie jest jałowe, nie wynika z braku odpowiedzialności. Ludzie ci wiedzą, że – tak jak dziecko – nie są wolni. Wiedzą, co to współczucie. Wiedzą, że piękno ich architektury, wielkość muzyki, rozległość wiedzy – wszystko to jest możliwe dzięki istnieniu dziecka i temu, że oni są tego świadomi. To przez pamięć o nim są tacy dobrzy dla swoich dzieci. Zdają sobie sprawę, że gdyby nieszczęśliwy malec nie skomlał w ciemnościach, ten drugi, mały flecista, nie przygrywałby tak radośnie urodziwym jeźdźcom szykującym się do startu w słońcu pierwszego letniego poranka.

Powiedzcie: czy teraz wierzycie? Czy nie stało się to wszystko bardziej prawdopodobne? Chwileczkę, jest jeszcze jedna rzecz, zupełnie nieprawdopodobna, o której chciałabym wam jeszcze powiedzieć.

Otóż od czasu do czasu jakiś chłopak czy dziewczyna, zamiast zżymać się po takiej wizycie i płakać, wcale nie wraca do domu. Niekiedy ktoś ze starszych, zrazu dziwnie milczący, po kilku dniach również opuszcza dom. Ci ludzie idą ulicami przed siebie, aż wreszcie wychodzą z miasta przez piękne wrota, wędrują dalej przez wsie Omelas, a każdy z nich – chłopak czy dziewczyna, mężczyzna czy kobieta – podąża samotnie. Zapada noc. I zawsze tak samo: ulicami miasta, pośród żółtych prostokątów okien i dalej przez mroczne pola ciągną na zachód czy północ ku górcom. Odchodzą z Omelas i idą w ciemność, by już nigdy nie wrócić. Miejsce, do którego zmierzają, jest jeszcze bardziej niedostępne naszej wyobraźni niż miasto szczęścia. Nie próbowałabym go nawet opisać. Być może w ogóle nie istnieje. Ale ci, co odchodzą z Omelas, wiedzą, dokąd prowadzi ich droga.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

Dzień przed rewolucją

Pamięci Paula Goodmana, 1911–1972

Moja powieść *Wydzieziczeni* jest historią małej planety, której mieszkańcy nazwali się Odonianami. Ich nazwa pochodzi od założycielki tego społeczeństwa, Odo, która żyła wiele pokoleń przed czasami, o których piszę w mojej książce, i dlatego nie może ona brać udziału w akcji inaczej, jak tylko w sposób pośredni, w tym sensie, że gdyby nie ona, nie byłoby *Wydzieziczonych*.

Odonianizm jest formą anarchizmu – nie w sensie bombowo-zamachowym, bo to już byłby terrorizm, niezależnie od tego, pod jak nobilitującą nazwą by się ukrywał, ani skrajnie prawicowym darwinowskim leseferyzmem ekonomicznym. Jest po prostu anarchizmem, takim, jaki został przedstawiony w myśli wczesnotaoistycznej, a rozwinięty przez Shelleya i Kropotkina, Goldmana i Goodmana. Głównym wrogiem anarchizmu jest wszechwładza państwa, jego głównym celem moralno-praktycznym – współpraca (solidarność, wzajemna pomoc). Jest to najbardziej idealistyczna i, przynajmniej dla mnie, najbardziej interesująca ze wszystkich teorii politycznych.

Ucieleśnienie jej w powieści, czego nie zrobił nikt przede mną, było zadaniem trudnym i długotrwałym; pochłonęło mnie ono całkowicie na wiele miesięcy. Kiedy zostało zakończone, poczułam się jakby zagubiona, wygnana – nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Byłam więc bardzo wdzięczna Odo, kiedy wyłoniła się z cieni i przekroczywszy przepaść prawdopodobieństwa, zażądała, żeby napisać opowiadanie – ale nie o świecie, który stworzyła, tylko o niej samej.

Ta historia opowiada o jednym z tych, co odeszli z Omelas.

Słowa mówcy rozlegały się tak głośno, jak dudnienie pustego wozu do rozwożenia piwa na brukowanej ulicy. Uczestnicy zebrania byli stłoczeni niczym kocie łby w ulicznym bruku, a potężny głos unosił się nad nimi. Taviri był gdzieś po przeciwległej stronie sali. Wiedziała, że musi się jakoś do niego przedostać. Przeciskała się i przepychała między stłoczonymi, ciemno ubranymi ludźmi. Nie słyszała słów i nie odróżniała twarzy, docierała do niej tylko świadomość napierających na siebie ciał i dudniący głos. Nie widziała Taviriego, była za niska. Nagle wyrosły nad nią ogromne, odziane w kamizelkę brzuch i pierś, całkowicie blokując jej drogę. Ale przecież ona musiała się dostać do Taviriego. Złana potem, wściekle walnęła pięścią w przeszkodę. Przypominało to uderzenie w kamień – olbrzym nie ruszył się z miejsca, ale z potężnych płuc wydobył się dokładnie nad jej głową wielki hałas, ryk. Skuliła się. Dopiero po chwili zrozumiała, że ten ryk nie dotyczył jej. Inni też krzyczeli. Mówca wypowiedział jakąś trafną uwagę na temat

podatków czy szpicli. Podniecona, włączyła się do ogólnej wrzawy. „Tak! Tak!” – wołała, jednocześnie posuwając się naprzód, aż bez większego trudu wydostała się na otwartą przestrzeń placu Defiladowego w Parheo. Ponad nią rozpościerało się wieczorne niebo, głębokie i bezbarwne, a dokoła niej kłoniły się wysokie chwasty z suchymi białymi główkami o ciasno zbitych kwiatostanach. Nigdy nie wiedziała, jak one się nazywają. Kwiaty pochylały się nad nią w podmuchach wiatru, który zawsze wiał na polach o świcie. Kiedy biegła, kładły się, gibkie, a potem znów wstawały i kołysały się w milczeniu. Taviri stał pośród wysokiego zielska w swoim najlepszym ubraniu, tym ciemnoszarym, w którym wyglądał jak profesor albo doktor, pełen surowej elegancji. Nie robił wrażenia szczęśliwego, ale śmiał się i coś do niej mówił. Pod wpływem jego głosu zaczęła płakać i wyciągnęła rękę, żeby go ująć za ramię, ale nie zatrzymała się, w każdym razie niezupełnie. Nie mogła się zatrzymać.

– Och, Taviri – powiedziała. – To jest właśnie tam!

Dziwny, słodki zapach białego kwiecica stawał się duszący, w miarę jak szła coraz dalej. Pod nogami miała ciernie i płataninę łodyg, uskoki i wyboje. Bała się, że upadnie. Zatrzymała się.

Słońce, jaskrawy poranny blask prosto w oczy, nieustępliwy. Zapomniała wieczorem zaciągnąć storę. Odwróciła się tyłem do słońca, ale z prawej strony w dalszym ciągu przypiekało. Nic z tego. Dzień. Westchnęła po dwakroć, usiadła na łóżku, spuściła nogi i siedziała bez ruchu, przygarbiona, w nocnej koszuli, wpatrując się w swoje stopy.

Palce od wieloletniego noszenia taniego obuwia były tak sprasowane, że aż kanciaste w miejscach, gdzie dotykały jeden drugiego, a i na wierzchu całe w nagniotkach; paznokcie odbarwione i bezkształtne. Pomiedzy sterczącymi jak sęki kostkami przebiegały drobne suche zmarszczki. Niewielka płaszczyzna u nasady palców zachowała delikatność, ale skóra miała kolor gliny, a podbicie całe było poznaczone węzłami żył. Obrzydliwe. Smutne, przygnębiające. Nędzne. Żałosne. Przymierzała te wszystkie słowa, a one pasowały jak ohydne małe kapelusiki. Ohydne – tak, i to też pasuje. Patrząc na siebie i dojść do wniosku, że to coś ohydneho – brrr! Ale czy wtedy, kiedy nie była ohydna, czy wtedy siadała tak i przyglądała się sobie? Nie. Normalne ciało nie jest przedmiotem, nie jest sprzętem ani dobytkiem, który można podziwiać, jest po prostu tobą samym. Dopiero kiedy przestaje być tobą, a robi się tym, co twoje, czymś, co posiadasz, zaczynasz się martwić o jego stan. Czy ci wystarczy do końca? Czy wytrzyma?

– Kogo to obchodzi? – powiedziała Laia z zawziętością w głosie i wstała.

Zakręciło jej się w głowie od tego nagłego ruchu. Ze strachu, że upadnie, musiała się uchwycić nocnego stolika. Przypomniało jej się wtedy, jak we śnie sięgała ręką do Taviriego. Co on takiego powiedział? Nie mogła sobie przypomnieć. Nie była nawet pewna, czy go dotknęła. Zmarszczyła brwi, wysilając pamięć. Tak dawno nie śniła o Tavirim, a teraz nawet nie pamięta, co powiedział!

Przeszło, minęło. Stała przygarbiona, w nocnej koszuli, ze zmarszczonym czołem, jedną ręką trzymając się nocnego stolika. Jak dawno to było, gdy ostatni raz myślała o nim – nie mówiąc już o snach – po prostu myślała o nim jako o Tavirim? Ile czasu upłynęło, odkąd ostatni raz wymówiła jego imię?

„Asieo powiedział”, „kiedy byliśmy z Asieo w więzieniu na północy...”, „zanim poznałam Asieo...”, „teoria wzajemności Asieo” – o, tak, mówiła o nim, mówiła o nim aż za dużo, bez wątpienia, głądziła, wciągała go. Ale mówiła o nim jako o Asieo, jako o postaci publicznej,

wymieniając go z nazwiska. Człowiek prywatny zniknął na zawsze. Zostało tak niewielu, którzy go znali. Siedzieli po więzieniach. Pokpiwało się wtedy: wszyscy przyjaciele we wszystkich więzieniach. Ale nawet ich tam nie było w owych czasach. Leżeli na więziennych cmentarzach. Albo we wspólnych mogiłach.

– O Boże – powiedziała Laia głośno i znów usiadła na łóżku, przytłoczona ciężarem wspomnień tych pierwszych tygodni w twierdzy, w celi, pierwszych tygodni tamtych dziewięciu lat spędzonych w twierdzy w Drio, w celi, tych pierwszych tygodni, kiedy jej powiedziano, że Asieo zginął w walce pod Kapitołem i został pochowany razem z tysiącem czterystu innych w wapnowanych rowach za bramą Oring. W celi.

Dłonie jej znów opadły na kolana – lewa zaciśnięta w prawej. Kciukiem prawej dłoni cały czas gładziła palec wskazujący lewej. Godziny, dni, noce. Myślała o nich wszystkich, o każdym z osobna, o każdym z tych tysiąca czterystu, jak leżeli, jak niegaszone wapno wżerało się w ich ciała, jak dotykały się ich kości w palącym mroku. Kto dotykał? Jak teraz leżą delikatne kości jego ręki? Godziny, lata.

– Taviri, ja cię nigdy nie zapomniałam! – wyszeptała i głupota tych słów przywołała ją natychmiast do rzeczywistości – do światła poranka i rozgrzebanego łóżka.

Oczywiście, że go nie zapomniała. Takie sprawy pomiędzy mężem i żoną nie wymagają słów. I znów jej brzydkie stare stopy leżały płasko na podłodze, jak przedtem. Nie osiągnęła niczego więcej, kręciła się w kółko.

Wstała z pomrukiem dezaprobaty i poszła do garderoby po szlafrok.

Młodzi ludzie chodzą po Domu z bezwstydem, który im przystoi, ale ona jest na to za stara. Nie chciała nikomu zepsuć śniadania swoim widokiem. A poza tym oni zostali wychowani w atmosferze swobody w sprawach ubioru, seksu i całej reszty, a ona nie. To wszystko były jej odkrycia. A to nie to samo.

Tak jak mówienie o Asieo „mój mąż”. Wszyscy się krzywili. Oczywiście jako dobra Odonianka powinna była używać słowa „partner”. Tylko dlaczego, do diabła, miałyby być dobrą Odonianką?

Począpiała korytarzem w stronę łazienek. Mairo myła właśnie włosy w umywalce. Laia patrzyła z podziwem na długie, lśniące, mokre sploty. Tak rzadko teraz wychodziła z Domu, że już nie pamiętała, kiedy po raz ostatni widziała przyzwoicie ogoloną głowę. Stwierdziła jednak, że widok gęstych, wspaniałych włosów w dalszym ciągu sprawia jej przyjemność, dojmującą przyjemność. Ileż to razy z niej szydzili: „Długowłosa! Długowłosa!”. Ileż razy ciągnęli ją za te włosy policjanci czy zbiry? Ileż razy z uśmiechem golili jej głowę do gołej skóry w każdym nowym więzieniu? Ale włosy zawsze odrastały; najpierw puszek, potem drobne kędziorki, wkrótce loki, a wreszcie wspaniała grzywa... Tak było dawniej. Na miłość boską, czy nie może dziś myśleć o niczym innym jak tylko o dawnych czasach?

Ubrała się, posłała łóżko i zeszła do świetlicy. Śniadanie było nawet dobre, ale od czasu tego przekłętego wylewu nie odzyskała właściwie apetytu. Wypiła dwie filiżanki ziołowej herbaty, ale nie mogła skończyć kawałka brzoskwini, który sobie nałożyła. Jakżeż była spragniona owoców w dzieciństwie; do tego stopnia, że zdarzyło jej się nawet kiedyś ukraść. A w twierdzy... Na miłość boską, przestań! Z uśmiechem odpowiadała na pozdrowienia i przyjacielskie pytania innych stołowników i dużego Aevi, który dziś usługiwał przy bufecie. To on ją właśnie namówił na brzoskwinię: „Popatrz, zostawiłem ją specjalnie dla ciebie”, więc jak mogła mu odmówić? Zresztą zawsze lubiła owoce i nigdy

nie miała ich dość. Jako sześćo-czy siedmiolatka zwędziła coś nawet handlarzowi z wózka przy ulicy Rzecznej. Ale trudno jeść, gdy wszyscy mówią z takim podnieceniem. Nadeszły wieści z Thu, i to ważne wieści. Z początku odniosła się do nich sceptycznie, nieufna wobec wybuchów entuzjazmu, i po wyczytaniu wszystkiego między wierszami pomyślała z dziwną pewnością, głęboką, ale pełną dystansu: oczywiście, to jest to, nadeszło wreszcie. I to w Thu, a nie tutaj. Thu powstanie, zanim my się zdecydujemy. Rewolucja zwycięży najpierw tam. Jak gdyby ten fakt miał jakiegokolwiek znaczenie! Przecież i tak nie będzie poszczególnych narodów. Ale miał znaczenie, przepełniał ją chłodem i smutkiem, więcej – zazdrością. Co za beznadziejna bzdura.

Nie włączyła się do ogólnej rozmowy. Wkrótce wstała i wróciła do swojego pokoju, rozczulając się nad sobą. Nie brała udziału w ich entuzjazmie. Była poza nawiasem tego wszystkiego, tak, właśnie poza nawiasem. Nie jest łatwo, powiedziała sobie tytułem usprawiedliwienia, z trudem wchodząc po schodach, nie jest łatwo pogodzić się z tym, że człowiek został poza nawiasem, skoro tkwił w ruchu, w samym jego środku, przez pięćdziesiąt lat. Och, na miłość boską! Przestań jęczeć!

Wdrapała się na schody, a uczucie żalu nad sobą weszło za nią do pokoju. Miała dobry pokój i dobrze było znaleźć się w nim samej. Odczuła to jako wielką ulgę. Nawet jeśli nie było to zupełnie fair. Niektórzy młodzi ludzie z poddaszy mieszkali po pięćdziesiąt w pokojach nawet mniejszych od tego. Zawsze znalazło się więcej chętnych do mieszkania w Domu, niż można było wygodnie pomieścić. Ona zajmowała ten duży pokój sama jedynie dlatego, że jest Odo. Ciekawe, czy pierwszej lepszej kobiecie po wylewie daliby taki pokój? Możliwe. Bo przecież kto, do diabła, chciałby mieszkać z opluwającą się staruszką? Chociaż nepotyzm, elitaryzm, kult jednostki wszędzie się wdzierają i podnoszą głowę. Tylko że ona nigdy nie miała złudzeń co do tego, że dożyje ich całkowitego wykorzenia. Wiedziała, że to nie jest zadanie na jedno pokolenie; tylko czas przynosi wielkie zmiany. Tak czy siak, ma ładny duży słoneczny pokój, odpowiedni dla starej kobiety, której cieknie po brodzie i która zapoczątkowała rewolucję światową.

Za godzinę przyjdzie sekretarz Noi pomóc jej w pracy. Poczłapała do pięknego dużego biurka, które było prezentem od Syndykatu Meblowego Nio. Ktoś kiedyś usłyszał, jak mówiła, że jedynym meblem, jaki by naprawdę chciała mieć, jest biurko z szufladami i dużym blatem... Do licha, ten blat był prawie całkowicie zasłany papierami z przypiętymi do nich notatkami, pisanymi przeważnie drobnym przejrzystym pismem sekretarza: „Pilne”, „Prowincje północne”, „Porozumieć się z R.T.”.

Jej charakter pisma zmienił się nieodwracalnie po śmierci Asieo. Dziwne, jak się tak nad tym zastanowić. Ostatecznie w ciągu pięciu lat po jego śmierci napisała całą *Analogię*. No i jeszcze te listy, które tamten wysoki strażnik z wodnistymi szarymi oczyma – zapomniała, jak się nazywał, to zresztą nieważne – przemycał dla niej z twierdzy przez dwa lata. Zatytułowali je *Listy z więzienia* i wydali już dwanaście razy, za każdym razem inaczej. Wszystko, te listy, o których ludzie mówili, że są tak pełne siły duchowej (musiała prawdopodobnie sama przed sobą łągać, żeby się nie załamać), i *Analogia*, która z całą pewnością jest najpoważniejszą pracą naukową, jaka kiedykolwiek wyszła spod jej pióra, a więc wszystko to powstało w twierdzy w Drio, w celi, po śmierci Asieo. Trzeba było coś zrobić, a w twierdzy pozwalali mieć papier i pióro... Ale to wszystko zostało nabazgrane pośpiesznie pismem, do którego właściwie nigdy się nie przyznawała; jej pismo to były okrągłe czarne zakrętasy manuskryptu *Spółczeństwa bez rządu* sprzed czterdziestu

pięciu lat. Taviri zabrał z sobą do tego żrącego wapna nie tylko pragnienia jej ducha i ciała, lecz także ładny charakter pisma.

Ale zostawił jej rewolucję.

„Jakaś ty dzielna, że potrafisz iść naprzód, pracować, pisać w więzieniu po takiej stracie dla ruchu, jaką była śmierć twego partnera” – mówili ludzie. Durnie. A co innego mogła robić. Dzielność, odwaga... A czym jest odwaga? Nigdy właściwie nie potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie. Jedni twierdzą, że to nieodczuwanie strachu. Bać się – mówią drudzy – mimo to iść naprzód. Ale cóż można robić innego? Czy rzeczywiście jest jakikolwiek wybór?

Umrzeć to po prostu iść w przeciwnym kierunku.

Jeżeli chcesz wrócić do domu, musisz iść naprzód – to właśnie miała na myśli, kiedy pisała: „Prawdziwa podróż to powrót”. Tylko że to zawsze było jedynie przecuciem i teraz była dalsza niż kiedykolwiek od rozumowego uzasadnienia tej tezy.

Pochyliła się, ale za gwałtownie, więc jęknęła. Zatrzeszczało jej w kościach. Zaczęła grzebać w dolnej szufladzie biurka. Natrafiła ręką na wymięty ze starości skoroszyt. Wyciągnęła go, dotykami poznając, że to rękopis *Roli syndykatu w procesie rewolucyjnym*, jeszcze zanim wzrok potwierdził jej przypuszczenie. Wydrukował na skoroszytcie tytuł, a pod spodem napisał swoje imię i nazwisko: „Taviri Odo Asieo, IX, 741”. To był elegancki charakter pisma – każda litera pięknie wyczyszczona, zamaszysta, opływowa. Ale on wolał używać dyktafonu. Cały rękopis odtworzono z dyktafonu, i to starannie opracowano – wszystkie zająknięcia zostały usunięte, wszystkie przejęzyczenia poprawione. Nie można było poznać, że wymawiał głębokie gardłowe o, tak jak oni wszyscy na północnym wybrzeżu. Nie zostało w tym z niego nic poza samym umysłem. I ona nic z tego nie miała poza jego imieniem wypisanym na okładce skoroszytu. Nie przechowywała jego listów, to zbyt sentymentalny zwyczaj. A poza tym nigdy niczego nie przechowywała. Nie przypomina sobie, żeby cokolwiek w życiu posiadała dłużej niż przez kilka lat, oczywiście poza tym starym, zrujnowanym ciałem, którego przecież i tak nie mogła się pozbyć...

Znów to rozdwojenie: ja i ono. Wiek i choroba czynią człowieka dualistą, eskapistą. Umysł podpowiada: „to nie ja, to nie ja”. Ale to ty. Być może mistycy potrafią oddzielić ciało od ducha, zawsze im zresztą tego zazdrościła, bez nadziei jednak, że im w tym dorówna. Ale chęć ucieczki nigdy nie była jej postawą. Walczyła o wolność – tu, teraz, ciałem i duchem.

Najpierw się nad sobą rozczulała, teraz popada w samouwielbienie, a cały czas siedzi z imieniem Asieo w ręku – i po co? Czyż nie zna jego imienia na pamięć? Co się z nią dzieje?

Podniosła skoroszyt do ust, ucałowała ręcznie wypisane imię mocno, szczerze, wsunęła notatnik z powrotem w głąb dolnej szuflady, zamknęła ją i ustawiła prosto krzesło. Czowała mrowienie w prawej ręce. Podrapała się i pomachała nią w powietrzu ze złością. Nigdy właściwie całkowicie nie wydobrzała po wylewie. Prawa noga, prawe oko i prawy kącik ust były niemrawe, niesprawne i zdrętwiałe. Czowała się jak robot, w którym nastąpiło zwarcie.

A czas ucieka. Zaraz przyjdzie Noi i co mu powie? Co robiła do śniadania?

Wstała tak śpiesznie, że zachwiała się i przytrzymała oparcia krzesła, żeby nie upaść. Podreptała korytarzem do łazienki i przejrzała się w dużym lustrze. Jej siwy kok rozlatywał się i opadał, nie upięła go porządnie przed śniadaniem. Szamotała się z nim przez chwilę, ale było jej trudno ustać z rękami u góry. Na szczęście wpadła właśnie Amai

wysiusiać się i zaproponowała:

– Ja to zrobię!

W jednej chwili upięła kok mocno i zręcznie swoimi ładnymi, kształtnymi palcami, uśmiechając się w milczeniu. Amai miała dwadzieścia lat, to znaczy mniej niż jedną trzecią tego co Laia. Oboje jej rodzice byli działaczami Ruchu; jedno zginęło w powstaniu lat sześćdziesiątych, drugie w dalszym ciągu agitowało gdzieś w prowincjach południowych. Amai, wychowana w Domach Odońskich i urodzona po rewolucji, była prawdziwą córą anarchii. Wspaniała, spokojna, wolna i piękna latorośl. Jej widok wyciskał łzy wzruszenia: oto cel, jakiemu się poświęciliśmy, o to nam właśnie chodziło, oto tętniąca życiem, cudowna przyszłość.

Prawe oko Lai Asieo Odo uroniło kilka łez, kiedy tak stała pomiędzy umywalkami a klozetami z włosami upiętymi przez córkę, której nie urodziła, ale jej lewe oko, to zdrowe, nie zapłakało, nie wiedziało nawet, co robi prawe.

Podziękowała Amai i pośpieszyła do swojego pokoju. W lustrze zauważyła plamę na kołnierzyku. Prawdopodobnie sok z brzoskwini. Stara, niechlujna baba. Nie chciała, żeby Noi zastał ją z tą plamą.

Kiedy wciągnęła przez głowę świeżą bluzkę, pomyślała: A cóż Noi ma w sobie takiego szczególnego?

Zapięła guziki kołnierzyka lewą ręką, powoli.

Noi miał około trzydziestki. Był szczupłym, muskularnym mężczyzną o bystrych, ciemnych oczach. Tyle było w nim szczególnego. Po prostu. Stary poczciwy seks. Nigdy nie podobali jej się blondyni ani grubasy, ani żaden z tych wysokich facetów o potężnych bicepsach, nigdy, przenigdy, nawet kiedy miała czternaście lat i traciła głowę dla pierwszego lepszego pętaka. Ciemny, szczupły i ognisty – to był jej typ. Taviri oczywiście. Jeśli chodzi o umysł czy nawet wygląd zewnętrzny, ten chłopak nie umywał się do Taviriego, ale nie chciała, żeby zobaczył ją z plamą na kołnierzyku czy z rozczochranymi włosami. Z jej rzadkimi siwymi włosami.

Nadszedł Noi i zatrzymał się na chwilę w otwartych drzwiach – mój Boże, przebierając się, nawet ich nie zamknęła. Spojrzała na niego i zobaczyła siebie: starą kobietę.

Możesz uczesać włosy i zmienić bluzkę albo możesz mieć na sobie nieświeżą bluzkę i włosy posplatane w warkoczyki po nocy, albo możesz ubrać się w złocistą szatę i posypać ogoloną głowę diamentowym pyłem – nie ma to najmniejszego znaczenia. Stara kobieta będzie wyglądała tylko albo trochę mniej, albo trochę bardziej groteskowo.

Człowiek usiłuje być schludny po prostu z przyzwoitości, zdrowego rozsądku, przez wzgląd na innych. Aż wreszcie i to się kiedyś kończy i zaczyna mu ciec po brodzie.

– Dzień dobry – powiedział młody człowiek miłym głosem.

– Jak się masz, Noi.

Nie, na miłość boską, to nie tylko przyzwoitość. Do diabła z przyzwoitością. Czy dlatego, że mężczyzna, którego kochała i dla którego jej wiek nie miałby znaczenia, czy tylko dlatego, że ten mężczyzna nie żyje, ma udawać, że jest pozbawiona seksu? Czy musi ukrywać prawdę jak cholerni purytanie? Jeszcze sześć miesięcy temu, przed wylewem, potrafiła sprawić, że mężczyźni na nią patrzyli, i to patrzyli z przyjemnością, a teraz, chociaż już nie jest w stanie dawać przyjemności, może ją przynajmniej sama czerpać.

Kiedy miała sześć lat i przyjaciel ojca, Gadeo, wpadał do nich po kolacji na pogawędki o polityce, wkładała złocisty naszyjnik, który matka znalazła gdzieś w śmieciach i

przyniosła z myślą o niej. Był tak krótki, że chował się zawsze pod kołnierzykiem, ale jej to nie przeszkadzało. Wystarczała świadomość, że ma go na sobie. Siadała na progu i słuchała ich rozmów, i wiedziała, że się podoba Gadeo. Był ciemny i miał białe zęby, które błyskały w uśmiechu. Czasami mówił o niej „piękna Laia”, „oto moja piękna Laia” – sześćdziesiąt sześć lat temu.

– Co takiego? Mąci mi się w głowie. Miałam koszmarną noc.

Była to prawda. Spała nawet mniej niż zwykle.

– Pytałem, czy widziałaś gazety dziś rano.

Skinęła głową.

– Zadowolona jesteś z Soinehe?

Soinehe była to prowincja państwa Thu, która poprzedniego dnia wieczorem ogłosiła secesję. Był uradowany. Jego białe zęby błyskały w ciemnej bystrej twarzy. Piękna Laia.

– Tak. I niespokojna.

– Wiem. Ale tym razem to już poważna historia. To początek końca rządu w Thu. Nawet nie próbowali posyłać wojska do Soinehe. To by tylko przyśpieszyło bunt w armii i oni o tym wiedzą.

Przyznała mu rację. Sama była o tym przekonana. Ale nie podzielała jego entuzjazmu. Jeśli ktoś żyje tylko nadzieją, ponieważ nie pozostaje mu nic poza nią, zwycięstwo już go nie cieszy. Prawdziwe poczucie triumfu musi być poprzedzone prawdziwą rozpaczą. A ona już dawno nie potrafi rozpaczać. Koniec z triumfami. Idzie się naprzód.

– Czy dzisiaj napiszemy te listy?

– Dobrze. A jakie listy?

– Do tych ludzi z północy – odparł bez zniecierpliwienia.

– Z północy?

– Parheo, Oaidun.

Urodziła się w Parheo, brudnym mieście nad brudną rzeką. Do stolicy przyjechała, dopiero kiedy miała dwadzieścia dwa lata i była przygotowana do wywołania rewolucji. Chociaż w tamtych czasach, zanim ona i inni zdążyli tę sprawę przemyśleć, była to bardzo zielona i młodzieńcza rewolucja. Strajki o podniesienie zarobków, udział w rządach dla kobiet... Prawo do głosowania i płace... Władza i pieniądze, na miłość boską! No cóż, przez pięćdziesiąt lat człowiek się czegoś w końcu nauczył.

Ale trzeba o tym wszystkim zapomnieć.

– Zaczynaj od Oaidun – powiedziała, sadowiąc się w fotelu.

Noi siedział już za biurkiem, gotów do pracy. Czytał jej fragmenty listów, na które miała odpowiedzieć. Usiłowała się skupić; udało jej się na tyle, że podyktowała mu jeden cały list i kawałek drugiego.

– „Pamiętajcie, że na tym etapie wasza organizacja jest narażona... nie... że waszej organizacji grozi...” – szukała odpowiedniego słowa i dopiero Noi jej podpowiedział:

– ...że waszej organizacji grozi niebezpieczeństwo kultu jednostki?

– Tak, w porządku. I że żądza władzy niczego tak szybko nie niszczy jak altruizmu. Nie. I że nic tak nie niszczy altruizmu... nie. Och, na miłość boską, przecież wiesz, Noi, co chcę powiedzieć, napisz sam. I oni też wiedzą, wszystko to są te same stare historie, przecież mogą sobie poczytać moje książki!

– Chodzi o kontakt osobisty – powiedział Noi, uśmiechając się łagodnie i zarazem cytując jedną z głównych zasad odonianizmu.

– No dobrze, ale ja już jestem tym zmęczona. Ty napisz list, a ja go podpiszę, dość tego na dzisiaj. – A ponieważ patrzył na nią pytająco i z odrobiną niepokoju, powiedziała poirytowana: – Mam jeszcze coś do zrobienia!

Kiedy Noi wyszedł, usiadła przy biurku i zaczęła przekładać papiery, udając, że jest bardzo zajęta. Przestraszyło ją własne zachowanie. Nie miała nic innego do roboty. Nigdy nie miała nic innego do roboty. Bo na tym właśnie polegała jej praca. Praca jej życia. Objazdy agitacyjne i mityngi, a teraz, kiedy właściwie już nie wychodziła na ulicę, pozostało jej jeszcze pisanie. Zresztą gdyby nawet miała coś innego do roboty, Noi by o tym wiedział; to on pilnował harmonogramu zajęć, przypominając jej taktownie o różnych sprawach, jak wizyta studentów zagranicznych dziś po południu.

Och, do diabła. Lubi młodzież, a poza tym od cudzoziemca można się zawsze czegoś nauczyć, ale jest już zmęczona nowymi twarzami i tym, że ciągle jest pod ostrzałem. Owszem, ona się od nich uczy, ale oni nie uczą się od niej. Wszystkiego, czego mogła ich nauczyć, dowiedzieli się już dawno z jej książek, z ruchu. Teraz przychodzą po prostu ją sobie obejrzyć, jakby była wieżą z Rodarred czy kanionem Tulaaevea. Jakimś dziwem, pomnikiem. Podchodzili do niej z czcią, a ona na nich burczała: „Myślcie samodzielnie! To nie jest żaden anarchizm, to zwykły obskurantyzm! Nie sądzicie chyba, że wolność i dyscyplina są nie do pogodzenia, co?!”. Przyjmowali tę chłostę słowną potulnie i z wdzięcznością niczym dzieci, jak gdyby Laia była czymś w rodzaju macierzy, bóstwem, Wielkim Opiekuńczym Łonem. Ona! Ona, która wysadzała w powietrze stocznie w Seissero i wymyślała w oczy premierowi Inoilte’owi wobec siedmiotysięcznego tłumu, zarzucając mu, że dałby sobie obciąć jaja, gdyby widział w tym jakiś interes – ona, która wrzeszczała, lżyła i kopała policjantów, pluła na księży i publicznie sikała na wielką mosiężną tablicę pod Kapitołem, głosząca: „W tym miejscu zostały położone podwaliny pod Suwerenne Państwo Narodowe A-10” i tak dalej, i tak dalej. Ale sza. To właśnie ona jest teraz dobrą babunią, pocziwą staruszką, uroczym pomnikiem. Chodźcie oddać cześć łonu, które zrodziło rewolucję. Płomień już się wypalił, chłopcy, już możecie bezpiecznie podejść bliżej.

– Nie, nie będę – powiedziała Laia głośno. – Nie chcę.

Nie krępowało jej to, że mówi do siebie. Zawsze do siebie mówiła. „Niewidzialne audytorium Lai” – mawiał Taviri, kiedy kręciła się po pokoju, mrucząc coś pod nosem.

– Możecie nie przychodzić, mnie nie będzie – oznajmiła teraz swojemu niewidzialnemu audytorium.

Właśnie zdecydowała, co to było takiego, co miała do zrobienia. Miała wyjść. Wyjść na ulicę. Ale sprawienie zawodu zagranicznym studentom było nieprzyzwoitym, typowo starczym kaprysem. Nieodońskim. Szszsz. Jaki sens ma poświęcenie całego życia sprawie wolności i skończenie w ogóle bez niej? Pójdzie na spacer.

„Kto to jest anarchista? Ktoś, kto – wybierając – zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką ten wybór na niego nakłada”.

Idąc na dół, zdecydowała ze złością, że jednak zostanie i przyjmie zagranicznych studentów. Ale potem wyjdzie.

Byli bardzo młodzi, bardzo poważni, kudłaci i o łagodnych oczach – urocze stworzenia.

Pochodzili z półkuli zachodniej, Benbili i królestwa Mand. Dziewczęta ubrane w białe spodnie, chłopcy – w długich spódnickach, w których przypominali starożytnych wojowników. Mówili o swoich nadziejach.

– My w królestwie Mand jesteście tak dalecy rewolucji, że być może jesteście jej bardzo bliscy – powiedziała jedna z dziewcząt z pełnym zadumy uśmiechem. – Krąg życia! – I robiąc kółko ze szczupłych śniadych palców, pokazała, jak spotykają się dwa końce.

Aevi i Amai podawali białe wino i ciemny chleb, jak nakazywał zwyczaj Domu. Ale goście, skromni, młodzi ludzie, wstali zaledwie po półgodzinie i zaczęli się żegnać.

– Ależ nie – powiedziała Laia – zostańcie jeszcze i porozmawiajcie z Aevim i Amai. Ja po prostu sztywnieję, jak za długo siedzę. Muszę się poruszać. Bardzo mi było miło was poznać. Przyjdziecie mnie jeszcze odwiedzić, moje młodsze siostry i bracia? – Bo sercem była z nimi, a oni z nią, więc zanim wyszła, rozdawała dokoła pocałunki, roześmiana, uszczęśliwiona widokiem młodych śniadych policzków, pełnych oddania oczu, pachnących włosów. Była rzeczywiście trochę zmęczona, ale iść teraz na górę i uciąć sobie drzemkę to przyznać się do porażki. Przecież chciała wyjść. Wyjdzie. Nie była sama na ulicy od... od kiedy? Od zimy! A więc przed wylewem. Nic dziwnego, że jest z nią źle. Przecież to zupełnie jakby odsiadywała wyrok w więzieniu. Dwór, ulice – tam jest jej życie.

Wyszła cicho bocznymi drzwiami, minęła ogród warzywny i znalazła się na ulicy. Wąski skrawek nieurodzajnej miejskiej ziemi został pięknie zagospodarowany i rodził wspaniałe groch i ceę, ale ona była ślepa na sprawy rolnictwa. Oczywiście, że społeczeństwa anarchistyczne, nawet w okresie przejściowym, muszą dążyć do jak największej samowystarczalności, ale jak to osiągnąć przy obecnych środkach, to już nie jej sprawa. Od tego są rolnicy i agronomowie. Jej sprawa to ulice – hałaśliwe, smrodliwe, kamienne ulice, gdzie dorosła i spędziła całe życie, z wyjątkiem piętnastu lat więzienia.

Spojrzała z czułością na fasadę Domu. Fakt, że został zbudowany z przeznaczeniem na bank, sprawiał jego obecnym mieszkańcom szczególną satysfakcję. W zabezpieczonym przed bombami pomieszczeniu skarbcza trzymali woreczki z mąką, a ich jabłecznik fermentował w beczkach ustawionych w boksach sejfu depozytowego. Nad ozdobnymi kolumnami od strony ulicy w dalszym ciągu widniał napis: „Bank Inwestycyjny i Ziemi”. Nazewnictwo nie było mocną stroną Ruchu. Nie mieli też żadnej flagi. A co do sloganów, zmieniali je w miarę potrzeb. Wystarczył Krąg Życia nabazgrany na murach czy chodnikach, w miejscach widocznych dla władz. Ale jeśli chodziło o nazwy, było im wszystko jedno – przyjmowali te, które im nadawano, lub je ignorowali, lękając się jedynie, że mogą zostać do czegoś przymuszeni albo zamknięci, ale nigdy nie obawiając się śmieszności. I dlatego najsłynniejszy, a zarazem drugi co do trwałości istnienia ze wszystkich domów spółdzielczych nie miał innej nazwy jak tylko Bank.

Stał przy szerokiej, spokojnej ulicy, ale zaledwie o jedną przecznicę dalej zaczynała się Temeba, otwarty plac, kiedyś znany jako czarny rynek psychogeników i teratogeników, teraz zepchnięty do roli targowiska jarzyn, używanej odzieży i areny nędznych występów artystycznych. Niegdyś tętniący występny życiem, obecnie stał się domeną na pół sparaliżowanych alkoholików, narkomanów, kalek, handlarzy, tanich prostytutek, lombardów, spelunek hazardu, wróżbitów, podejrzanych gabinetów piękności i skromnych hotelików. Laia skierowała się ku Temebie tak naturalnie, jak woda dąży do najniższego poziomu.

Nigdy nie bała się miasta ani nie pogardzała nim. To była jej ojczyzna. Nie byłoby w nim

takich slumsów, gdyby rewolucja zwyciężyła. Ale byłoby cierpienie. Zawsze jest cierpienie, obumieranie, okrucieństwo. Nigdy nie udawała, że może zmienić ludzkie losy, że jest dobrą matką, która usuwa swoim dzieciom wszelkie przeszkody spod nóg, żeby sobie nie zrobiły krzywdy. Wszystko, tylko nie to. Jeśli ludzie mogą wybierać i ludzie wybierają picie samogonu i życie w rynsztokach – ich interes. Owszem, ich – dopóki nie staje się interesem wielkiego Interesu, źródłem dochodu i środkiem osiągnięcia władzy dla innych. Czuła to, zanim cokolwiek zrozumiała, zanim napisała pierwszą broszurę, zanim opuściła Parheo, zanim się dowiedziała, co znaczy słowo „kapitał”, zanim wytknęła nos poza ulicę Rzeczną, gdzie wraz z innymi sześciolatkami, klęcząc na pościeranych kolanach, bawiła się w chodzi lis koło drogi. Już wtedy wiedziała jedno: że ona i inne dzieci, i jej rodzice, i ich rodzice, i pijacy, i prostytutki, i cała ulica Rieczna są na dnie czegoś, że są podwaliną, rzeczywistością, źródłem. „Ale czy można sprowadzić kulturę do poziomu błota?” – krzyczeli z oburzeniem szacowni ludzie, a ona latami usiłowała im tłumaczyć, że jeśli nie ma się nic poza błotem, to będąc Bogiem, lepi się z niego istoty ludzkie, a będąc istotą ludzką, próbuje się z niego lepić domy dla ludzi. Ale nikt z tych, którzy uważają się za coś lepszego od błota, tego nie pojmie. A teraz jak woda, która szuka najniższego poziomu, jak błoto lgnące do błota poczłapała Laia przez brudną, hałaśliwą ulicę, i nagle całe jej brzydkie niedołęstwo przestało na tym tle razić. Śpiące prostytutki w wynędzniałych, poprzekrzywianych i wylakierowanych perukach, ślepa na jedno oko kobieta niezmordowanie wrzaskliwie zachęcająca do kupowania u niej jarzyn, przygłupia żebraczka tłukąca muchy – oto jej rodaczki. Wyglądały jak ona, wszystkie smutne, nieapetyczne, odrażające. To były jej siostry, jej rodzina.

Nie czuła się najlepiej. Dawno już nie wychodziła sama tak daleko, aż do trzeciej czy czwartej przecznicy, w hałas, ścisk i letni skwar ulic. Chciała się dostać do parku Koly, trójkąta nędznej trawy na końcu Temeby, żeby posiedzieć sobie przez chwilę z innymi starymi mężczyznami i kobietami, którzy zawsze tam siadywali, ot, po prostu zobaczyć, jak to jest, kiedy się tam siedzi i jest się starym – ale było dla niej za daleko. Jeśli nie zawróci w tej chwili, może jej się zrobić słabo, a bała się panicznie, żeby nie upaść, nie upaść i nie widzieć, jak schodzą się ludzie pogapić się na starą kobietę, która dostała ataku. Zawróciła i ruszyła w stronę Domu, marszcząc czoło z wysiłku i obrzydzenia do siebie samej. Wiedziała, że robi się czerwona, i czuła w uszach pulsujący ucisk. Troszkę tego było za wiele, naprawdę bała się, że się przewróci. Nagle zobaczyła próg w zacienionym miejscu, zrobiła krok w jego kierunku, opuściła się ostrożnie, usiadła, westchnęła.

Nieopodal siedział w milczeniu handlarz ze stertą zakurzonych nieświeżych owoców. Ludzie go omijali. Nikt od niego nie kupował. Na nią nikt nie patrzył. Odo – kto to taki Odo? Sławna rewolucjonistka, autorka *Spoleczeństwa*, *Analogii* i tak dalej, i tak dalej. To ona? Kim ona jest? Starą kobietą o siwych włosach i czerwonej twarzy, siedzącą na brudnym progu i mrużącą coś do siebie pod nosem. Czyżby? W każdym razie tak to widział każdy, kto tamtędy przechodził. Ale czy to była ona sama we własnej osobie, ktoś jeszcze ponadto, sławna rewolucjonistka i tak dalej? Nie. No to wobec tego kim ona jest?

Tą, która kochała Taviriego.

Tak. To prawda. Ale to nie wszystko. Tamto minęło. On już od tak dawna nie żyje.

– Kto ja jestem? – mruknęła Laia pod adresem swojego niewidzialnego audytorium, które znało odpowiedź i jednogłośnie jej udzieliło.

Jest małą dziewczynką z poobcieranymi kolanami, siedzącą na progu domu i patrzącą poprzez brudną złocistą mgiełkę ulicy Rzecznej w spiekotę późnego lata, sześćioletnią, szesnastoletnią, zapaloną, pełną marzeń dziewczyną, nietkniętą, nietykalną. To właśnie była ona. Była naprawdę niestrudzoną bojowniczką i myślicielką, ale skrzep krwi w żyłę zabrał tamtą kobietę. Była prawdziwą kochanką i pływaczką, ale Taviri, umierając, zabrał z sobą tę kobietę będącą wtedy w sile wieku. Nie zostało już teraz nic poza pnieniem. Wróciła do swego domu, nigdy nie opuszczała domu. „Prawdziwa podróż to powrót”. Kurz i błoto, i jakiś próg w slumsach. A za tym wszystkim, na końcu szarej ulicy pole pełne wysokich chwastów, suchych chwastów lekko kołyszących się na wietrze z nastaniem nocy.

– Laia! Co ty tu robisz? Nic ci nie jest?

To ktoś z Domu oczywiście, życzliwa kobieta, trochę fanatyczna i strasznie gadatliwa. Laia nie mogła sobie przypomnieć jej imienia, chociaż знаła ją od lat. Pozwoliła zabrać się do Domu kobiecie, której cały czas nie zamykały się usta. W dużej, chłodnej świetlicy (kiedyś zajmowali ją kasjerzy, którzy pod nadzorem zbrojnych strażników liczyli pieniądze za lśniącymi kontuarami) Laia usiadła na krześle. Jeszcze w tej chwili nie wyobrażała sobie, że mogłaby wejść na schody, ale czuła, że wolałaby być sama. Kobieta nie przestawała mówić, a tymczasem nadeszli jacyś inni podekscytowani ludzie. Wyglądało na to, że szykuje się demonstracja. Wypadki w Thu rozwijały się z tak zawrotną szybkością, że ogień przeniósł się i tutaj. Pojutrze, nie, jutro miał się tu odbyć marsz, wielki marsz ze Starego Miasta do Kapitolu – utartym szlakiem.

– Jeszcze jedno powstanie dziewiątego miesiąca – rzucił jakiś młody człowiek, podniecony i roześmiany, patrząc na Laię. Kiedy wybuchło powstanie dziewiątego miesiąca, nie było go jeszcze na świecie. Dla niego to historia. Ale teraz on chciał ją stworzyć.

Pokój wypełnił się ludźmi. Na ósmą rano następnego dnia zwołano tu zebranie ogólne.

– Musisz przemówić, Laia.

– Jutro? O, mnie tu jutro nie będzie – odparła szorstko.

Młody człowiek, który ją zagadnął, uśmiechnął się, ktoś inny roześmiał się głośno, Amai obejrzała się na nią zaskoczona. Wszyscy rozmawiali i krzyczeli. Rewolucja. Po co to, na miłość boską, powiedziała? Dlaczego mówi takie rzeczy na dzień przed rewolucją, nawet jeśli to prawda?

Odczekała chwilę, zdołała jakoś wstać i mimo całej swojej niezdarności wymknęła się niepostrzeżenie z tłumu ludzi zajętych snuciem planów, podnieconych. Dotarła do korytarza, a stamtąd do schodów. Zaczęła na nie wchodzić noga za nogą.

– Strajk generalny – jeden głos, dwa głosy, dziesięć głosów – dobiegało z dołu.

– Strajk generalny – wyszeptała Laia, odpoczywając przez chwilę na podeście.

A tam na górze, w jej pokoju – co ją czeka? Strajk bardzo osobisty. Jej ciała. Wylew. Zabawne. Zaczęła wchodzić na drugą kondygnację po jednym stopniu, jak małe dziecko. Maciło jej się w głowie, ale już się nie bała upadku. Daleko przed nią suche białe kwiaty kołysały się na otwartych polach, szepcząc w wieczornym wietrze. Siedemdziesiąt dwa lata i zabrakło jej czasu, żeby sprawdzić, jak się one nazywają.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

Ursula K.
LeGuin
Ryбак znad Morza
Wewnętrznego



Przełożyła
Agnieszka Sylwanowicz

Wstęp

O nieczytaniu fantastyki naukowej

Ludzie, którzy ją czytają, a nawet niektórzy spośród tych, którzy ją piszą, lubią zakładać albo udawać, że wszystkie pomysły wykorzystywane w fantastyce naukowej biorą się z gruntownej znajomości mechaniki nieba albo teorii kwantowej i są zrozumiałe tylko dla osób pracujących dla NASA oraz umiejących zaprogramować magnetowid. To urojenie daje poczucie wyższości autorom i wymówkę tym, którzy tej literatury nie czytają. „Ja tego po prostu nie rozumiem” – jęczą i chowają się w głębokich, wygodnych, beztlenowych jaskiniach technofobii. Nie ma sensu mówić im, że rozumie to bardzo niewielu autorów fantastyki naukowej. My też często odkrywamy, że mamy na naszych kasetach wideo dwadzieścia minut *Kocham Lucy* i pół meczu zapaśniczego, a chcieliśmy nagrać *Mistrzów teatru*. Większość naukowych pomysłów w fantastyce naukowej jest całkowicie przystępna dla każdego, kto skończył sześć klas, a przede wszystkim nie będzie z nich sprawdzianu na końcu książki. Przecież to nie są zakamuflowane wykłady z inżynierii, to nie są wymysły matematycznego szatana – „problemy opowiadania”. To są opowiadania. To literatura piękna, która zajmuje się pewnymi tematami ze względu na to, że są interesujące, piękne, mają znaczenie dla kondycji ludzkiej. Nawet w tej niezgrabnej i niedokładnej nazwie „nauka” określa „fantastykę”, jest w jej służbie.

Na przykład główna „myśl” mojej książki *Lewa ręka ciemności* nie jest naukowa i nie ma nic wspólnego z techniką. Jest związana z wyobraźnią fizjologiczną – zmianą cielesną. Dla mieszkańców wymyślonego świata Gethen indywidualna płeć nie istnieje. Przez większość czasu są bezpłciowi, raz w miesiącu przeżywają ruję, czasami jako mężczyzna, a czasami jako kobieta. Gethenczyk może zarówno płodzić, jak rodzić dzieci. Otóż bez względu na to, czy pomysł ten wydaje się szczególny, perwersyjny czy fascynujący, ogarnięcie go lub śledzenie przedstawionego w powieści rozwoju na pewno nie wymaga wielkiego intelektu. Innym elementem w tej samej książce jest klimat planety, pogrążonej w epoce lodowcowej. Prosty pomysł: jest zimno, jest bardzo zimno, zawsze jest zimno. Konsekwencje, zawilości i echa pojawiają się wraz ze szczegółami opisu.

Lewa ręka ciemności różni się od powieści realistycznej tylko tym, że czytelnik jest proszony o tymczasowe przyjęcie konkretnych zmian w przedstawionej rzeczywistości. Zamiast znajdować się na Ziemi w okresie interglacjalnym wśród ludzi mających dwie płcie (jak, powiedzmy, w *Dumie i uprzedzeniu* czy jakiegokolwiek innej powieści realistycznej), znajdujemy się na Gethen w okresie zlodowacenia wśród hermafrodytów.

Warto pamiętać, że oba te światy zostały wymyślone.

Fantastycznonaukowe zmiany parametrów, chociaż mogą być zarówno żartobliwe, jak i ozdobne, zasadniczo wpływają na charakter i strukturę książki; niezależnie od tego, czy bada się je głównie dla nich samych, czy służą przede wszystkim jako metafora lub symbol, są obmyślane i wplecione w powieść na poziomach opisu jej społeczeństwa i psychologii postaci, ich emocji, działań oraz konsekwencji ich działań, ale także na poziomie obrazowania. Opis w fantastyce naukowej często bywa nieco gęstszy, by użyć określenia Clifforda Geertza, niż w powieści realistycznej, odwołującej się do zakładanego wspólnego doświadczenia. Lecz trudność zrozumienia jej nie jest większa niż trudność, jaką przedstawia śledzenie jakiegokolwiek złożonej fabuły. Świat Gethen jest mniej swojski, lecz w gruncie rzeczy nieskończenie prostszy od świata angielskiego społeczeństwa sprzed dwustu lat, który badała i tak żywo opisała Jane Austen. Poznanie obu tych światów zajmuje trochę czasu, ponieważ żadnego z nich nie możemy doświadczyć inaczej jak poprzez słowa, poprzez czytanie o nich. Cała beletrystyka daje nam świat, do którego nie potrafimy dotrzeć w inny sposób – jako że znajduje się on w przeszłości albo w odległych wymyślonych miejscach – albo opisuje doświadczenia, jakich nie mieliśmy, albo wprowadza do umysłów odmiennych od naszych. Dla niektórych ludzi taka zmiana światów, ta obcość stanowi barierę nie do pokonania, a dla innych oznacza przygodę i przyjemność.

Ludzie, którzy nie czytają fantastyki, lecz przynajmniej próbowali uczciwie to robić, często mówią, że sprawia na nich wrażenie nieludzkiej, elitarnej i eskapistycznej. Mówią, że ponieważ występujące w niej postacie są zarazem skonwencjonalizowane i nadzwyczajne, wszystkie są geniuszami, bohaterami kosmosu, superhakerami, androginicznymi obcymi, to rozmija się ona z tym, z czym naprawdę mają do czynienia w życiu zwykli ludzie, a zatem nie spełnia podstawowej funkcji beletrystyki. Bez względu na to, jak bardzo odległa jest Anglia Jane Austen, mieszkający w niej ludzie mają dla nas duże znaczenie – czytając o nich, dowiadujemy się wiele o sobie. Czy fantastyka naukowa ma nam coś do zaoferowania oprócz ucieczki od nas samych?

Syndrom papierowej postaci był w dużej mierze prawdziwy, jeśli chodzi o wczesną fantastykę naukową, lecz pisarze posługują się tą konwencją od dziesięcioleci, by badać ludzkie charaktery i związki. Ja również jestem jedną z takich autorek. Wymyślona sceneria może być najbardziej odpowiednia do ukazania pewnych cech lub losów. Ale jest także prawdą, że spora część współczesnej beletrystyki nie opowiada o postaciach. Koniec tego wieku nie jest czasem indywidualności, jak epoki elżbietańska i wiktoriańska. Nasze opowieści, realistyczne czy też nie, z ich niepewnymi narratorami, rozmywającymi się punktami widzenia, wielorakimi spostrzeżeniami i perspektywami często nie mają za centralną wartość głębi charakteru. Fantastyka naukowa ze swoją olbrzymią swobodą metafory wysłała wielu pisarzy w tym poszukiwaniu daleko w przód, poza granice indywidualności – niczym Sierpów na zbocza postmodernizmu.

Jeśli chodzi o elitaryzm, problemem może być naukowość: przewaga techniczna pomyłona z wyższością moralną. Imperializm wysokiej technokracji dorównuje w swojej arogancji staremu imperializmowi rasistowskiemu; dla technofila ludzie, którzy nie wiedzą, co w trawie piszczy, którzy nie są w obiegu, się nie liczą. Są prolami, masami, bezimiennymi miernotami. Czy to w beletrystyce, czy w historii opowieść nie traktuje o nich. Opowieść traktuje o dzieciach z naprawdę ładnymi, naprawdę drogimi zabawkami.

Zatem „ludzie” otrzymują bieżącą definicję tych, którzy mają dostęp do niezwykle skomplikowanej, dającej szybkie efekty techniki przemysłowej. A sama technika jest ograniczona do tego właśnie typu. Słyszałam, jak pewien człowiek zupełnie poważnie mówił, że rdzenni Amerykanie sprzed najazdu nie mieli żadnej techniki. Jak wiadomo, ceramika wypalana w piecu występuje w przyrodzie w sposób naturalny, koszyki dojrzewają na słońcu, a Machu Picchu po prostu tam wyrosło.

Ograniczanie ludzkości do producentów-konsumentów złożonej przemysłowej techniki postępu to doprawdy dziwaczny pomysł, dorównujący definiowaniu ludzkości jako Greków, Chińczyków albo Brytyjczyków z wyższej klasy średniej. Pomija się w ten sposób odrobinę zbyt wiele.

Beletrystyka jednakże musi pomijać większość ludzi. Literatura poświęcona złożonej technice może słusznie pomijać (powiedzmy) posługujących się inną techniką, tak jak literatura poświęcona podmiejskim cudzołóżnikom może pomijać miejską biedotę, a beletrystyka skupiona na męskiej psychice – kobiety. Ale to pomijanie może zostać odczytane jako stwierdzenie, że postęp to wyższość albo że biała klasa średnia stanowi całe społeczeństwo, albo że warto pisać tylko o mężczyznach. Moralne i polityczne deklaracje będące następstwem pomijania są sankcjonowane przez świadomość ich czynienia, pod warunkiem że kultura, z której wywodzi się autor, taką świadomość dopuszcza. Sprowadza się to do kwestii przyjmowania odpowiedzialności. Wyparcie się autorskiej odpowiedzialności, świadoma nieświadomość jest elitarystyczna i zubaża naszą literaturę we wszystkich gatunkach, łącznie z realizmem.

Nie przyjmuję postawy, że posługując się obrazami i metaforami innych światów, podróży kosmicznymi, przyszłością, wymyśloną techniką, społeczeństwami czy istotami, fantastyka naukowa ucieka przed ludzkim znaczeniem naszego życia. Te obrazy i metafory użyte przez poważnego pisarza są obrazami i metaforami naszego życia, powieściowymi, symbolicznymi sposobami powiedzenia o nas, o naszym istnieniu i o naszych wyborach tutaj i teraz czegoś, czego nie da się powiedzieć inaczej. Fantastyka naukowa poszerza nasze tutaj i teraz.

Co jest interesujące? Dla niektórych interesujący są tylko inni ludzie. Naprawdę nie obchodzą ich drzewa, ryby ani gwiazdy, ani to, jak działają silniki albo dlaczego niebo jest niebieskie. Koncentrują się oni wyłącznie na ludziach, często nakłaniani do tego przez swoje wyznanie. I nie polubią ani nauki, ani fantastyki naukowej. Jak wszystkie dziedziny z wyjątkiem antropologii, psychologii i medycyny fantastyka naukowa nie skupia się wyłącznie na ludziach. Obejmuje inne istoty, inne aspekty istnienia. Może dotyczyć związków między ludźmi – co jest wielkim tematem literatury realistycznej – lecz może także opisywać związek między osobą i czymś innym, innym rodzajem istnienia, ideą, maszyną, doświadczeniem, społeczeństwem.

I na koniec: niektórzy ludzie mówią mi, że unikają fantastyki naukowej, ponieważ jest przygnębiająca. To zupełnie zrozumiałe, jeżeli natrafili na zbiór pisanych ku przestrodze opowieści postapokaliptycznych albo na grupę podążających za modą autorów, licytujących się, kto wyda z siebie lepszy jęk, albo przedawkowali z brudnym moralnie metalowopunkowowirtualnoczarnym kapitalizmem realistycznym. Myślę jednak, że oskarżenie to często zdradza pewną nieśmiałość czy mroczność w umyśle czytelnika: nieufność wobec zmian, nieufność wobec wyobraźni. Wielu ludzi naprawdę ogarniają lęk i zniechęcenie, jeśli tylko mają pomyśleć o czymś, co nie jest im doskonale znane; boją się

utruty kontroli. Jeżeli nie dotyczy to spraw, o których już wszystko wiedzą, nie będą tego czytać, jeżeli ma to inny kolor, nie polubią tego, jeżeli to nie jest McDonald, nie będą tam jedli. Nie chcą wiedzieć, że świat istniał przed nimi, że jest większy od nich i że będzie trwał bez nich. Nie lubią historii. Nie lubią fantastyki naukowej. Niech sobie jedzą w McDonalddie i niech zaznają szczęścia w niebie.

Opowiedziawszy o tym, dlaczego ludzie nie lubią fantastyki naukowej, powiem, dlaczego ja ją lubię. Lubię większość beletrystyki, przede wszystkim ze względu na te same cechy, z których żadna nie jest charakterystyczna dla jakiegoś pojedynczego gatunku. Lecz w fantastyce naukowej lubię te szczególne właściwości: żywość, rozległość i dokładność wyobraźni, swawolę, różnorodność i siłę metafor, wolność od konwencjonalnych literackich oczekiwań i nawyków, moralną powagę, dowcip, czad oraz piękno.

Zajmę się trochę tym ostatnim słowem. Piękno opowieści może być intelektualne, jak piękno dowodu matematycznego lub struktury kryształu; może być estetyczne, jak piękno dobrze wykonanego dzieła; może być ludzkie, emocjonalne, moralne. Prawdopodobnie zresztą składa się z tych wszystkich trzech elementów. Mimo to krytycy i recenzenci fantastyki naukowej wciąż często traktują opowieść, jakby jedynie przedstawiała pomysły, jakby intelektualne przesłanie było wszystkim. Takie upraszczanie bardzo źle służy wyrafinowanym i wywierającym silne wrażenie technikom i eksperymentom charakteryzującym dużą część współczesnej fantastyki naukowej. Jej autorzy posługują się językiem postmodernizmu; krytycy są o całe dziesięciolecia za nimi i nawet tego języka nie omawiają, głusi na konotacje dźwięków, rytmów, powtórzeń, wzorów – jakby tekst był jedynie nośnikiem pomysłów, czymś w rodzaju żelowej otoczki lekarstwa. Takie podejście jest naiwne. I całkowicie pomija to, co najbardziej lubię w najlepszej fantastyce naukowej – jej piękno.

O opowiadaniach w tym zbiorze

Na pewno nie będę mówić o pięknie własnych opowiadań. Może zostawię je krytykom i recenzentom, a sama zajmę się pomysłami? Lecz nie przesłaniami. W tych opowiadaniach nie ma przesłań. To nie są ciasteczka z wróżbami. To są opowiadania.

Trzy ostatnie i najdłuższe są oparte na tym samym chwycie: pojęciu absolutnie, niewybaczalnie nieprzekonującym, niewyprowadzonym z jakiegokolwiek istniejącej technologii, nieuzasadnionym żadną bieżącą teorią fizyki. Na czystej bzdurze. To czysta fantastyka naukowa, jak to się mówi.

Pisząc pierwsze powieści fantastycznonaukowe, co zdarzyło się dawno temu, uświadomiłam sobie, że Galaktyka jest pod pewnymi względami bardzo niewygodna. Przyjęłam twierdzenie Einsteina, że nic nie może się poruszać szybciej od światła (nie mając żadnej własnej przekonującej koncepcji, którą mogłabym je zastąpić), lecz to oznacza, że przemieszczanie się z miejsca na miejsce zajmuje statkom kosmicznym niemożliwie dużo czasu. Na szczęście, jeżeli mogą się poruszać tak szybko lub prawie tak szybko jak światło, ojciec Albert także daje nam paradoks dylatacji czasu, która pozwala osobie znajdującej się na statku kosmicznym doświadczyć podróży odbywającej się z prędkością zbliżoną do prędkości światła jako podróży niemal natychmiastowej. Jeżeli udajemy się do świata odległego o sto lat świetlnych z prędkością niemal dorównującą prędkości światła, to według naszego postrzegania spędzamy w tej podróży zaledwie kilka

minut i przybywamy na miejsce starsi o zaledwie kilka minut. Lecz na świecie, który opuściliśmy, oraz na tym, do którego przybywamy, podczas tych kilku minut mija sto lat. Paradoks ten daje wspaniałe możliwości, jeśli chodzi o próby wykorzystania go w odniesieniu do życia, związków i uczuć międzygwiazdnych podróżników, i posłużyłam się nim w wielu opowiadaniach. Wywołuje jednak straszne zamieszanie w komunikacji. Docieramy do naszej placówki dyplomatycznej odległej o sto lat świetlnych i nie mamy pojęcia, czy rząd, który nas wysłał, jeszcze istnieje i czy wciąż potrzebuje tego ładunku megatorium. Bez możliwości komunikacji tak naprawdę nie może istnieć żaden handel międzygwiazdny, dyplomacja czy jakiegokolwiek inne stosunki. A beletrystyka dotyczy głównie stosunków ludzkich czy też innych. Wymyśliłam więc ansibl. (Później przypisałam ten wynalazek Szevekowi z Anarres, który bardzo się starał wyjaśnić mi jego działanie; ale ja go wymyśliłam pierwsza).

Ansibl nie słucha Einsteina. Informacja jest niematerialna, a zatem (och, uwielbiam fantastycznonaukowe „a zatem”!) ansibl może ją przekazywać natychmiast. Żadnego paradoksu czasowego, żadnego upływu czasu. Kiedy pokonujemy te sto lat świetlnych z X do Y, na Y czeka na nas historia minionego wieku na X; nie musimy się zastanawiać, czy anarchosyndykalistycznych utopistów, którzy nas wysłali, zastąpiła obłąkana teokratyczna dyktatura. W gruncie rzeczy możemy odezwać się do nich przez ansibl i się tego dowiedzieć. Halo? Towarzyszu? Nie, przykro mi, tu obłąkany teokratyczny dyktator.

Chociaż naukowo śmieszny, ansibl jest intuicyjnie zadowalający, łatwy do zaakceptowania i wiarygodny. Przecież w naszym świecie wiedza i informacja, nawet nasze głosy w telefonie docierają (pozornie) natychmiast jako bezcielesne impulsy elektroniczne na drugi koniec świata, podczas gdy nasze powolne ciała mogą jedynie mozolnie za nimi iść, jechać samochodem albo lecieć. Oczywiście to właśnie dzięki temu (pozornie) działa ansibl. Nikt jednak nigdy na to nie narzekał. A od czasu do czasu jakiś ansibl pojawia się w cudzej opowieści. To przedmiot ułatwiający życie jak telefon czy papier toaletowy.

W kilku wczesnych opowiadaniach stwierdziłam albo dałam do zrozumienia, że natychmiastowo mogą także podróżować bezzałogowe statki kosmiczne. To był błąd, pogwałcenie mojej własnej zasady, że poruszać się szybciej od światła może tylko to, co jest niematerialne. Więcej już tego nie zrobiłam i miałam nadzieję, że nikt nic nie zauważył. Lecz w błędzie tkwiło odkrycie; często się zdarza, że to potknięcie, a nie próba, otwiera drzwi do tego, co nieoczekiwane. Długo potem, rozmyślając o tych bezzałogowych i nieuprawnionych statkach, uświadomiłam sobie, że wszystko zmienia nie niematerialność, lecz życie albo umysł. Jediną różnicę między statkiem załogowym i bezzałogowym stanowią żywe ciała, umysł lub psychika. O, to jest interesujące. Co nie pozwala statkowi załogowemu poruszać się szybciej niż światło? Życie, inteligencja, zamiar? A jeśli wymyślę nową technikę, umożliwiającą ludziom poruszanie się z prędkością większą od prędkości światła? Co wtedy?

Jako że ta nowa fałszywa technologia była równie nieprzekonująca jak ansibl, a na dodatek była niezgodna z intuicją, nie poświęciłam dużo czasu na fałszywe jej wyjaśnianie. Po prostu dałam jej nazwę: teoria czertenu. Jak wiedzą to pisarze i czarodzieje, chodzi o nazwę.

Mając już nazwę, zanurzyłam się w to doświadczenie i spędziłam mnóstwo czasu, i to czasu pożytecznego, na wymyślaniu słownictwa. Potrzebowałam słów, by pokazać, jak

można by odczuwać natychmiastową podróż, przeskok, i przy okazji dowiedziałam się, że jej odczuwanie to jedyne wyjaśnienie jej procesu oraz że gdzie zawodzą same słowa, do innego świata i z powrotem bez upływu czasu może przenieść człowieka składnia. Wszystkie trzy czertenowe opowiadania są zarazem metaliteraturą, opowiadaniem o opowiadaniu. W *Opowieści szobów* przeskok gra rolę metafory narracji, a narracja – niepewnego i zawodnego, lecz bardzo skutecznego środka budowania wspólnej rzeczywistości. *Zatańczyć do Ganamu* kontynuuje temat zawodnej narracji czy różniących się w swoich opisach świadków, mając za nie całkiem centralnie umieszczonego głównego bohatera, pełnego pychy, reprezentanta wysoce technicznej cywilizacji, oraz dodaje do czertenowego kotła uroczą teorię zgrania. Na koniec *Jeszcze jedno opowiadanie* – jeden z moich bardzo nielicznych eksperymentów z podróżą w czasie – bada możliwość istnienia w tym samym czasie dwóch całkowicie różnych i całkowicie prawdziwych opowieści o tej samej osobie. W tym opowiadaniu przekonałam się, że teoria czertenu najwyraźniej nie może znaleźć swojej technologii, nie potrafi niezawodnie przenieść nas z X do Y bez upływu czasu. Spodziewam się jednak, że próby będą kontynuowane. Jako gatunek bowiem uwielbiamy poruszać się bardzo, bardzo szybko. W *Jeszcze jednym opowiadaniu* moją uwagę odciągnęły małżeńskie i seksualne układy planety O, zawiły zestaw związków i zachowań obarczony nieskończonymi możliwościami uczuciowymi. Jako gatunek uwielbiamy bardzo komplikować sobie życie.

Nie chcę mówić o *Pierwszym kontakcie z Gorgonidami* i *Wejściu północną ścianą* – czy jest coś bardziej zabójczego od wyjaśniania dowcipu? Lubię jednak oba te opowiadania. Zabawne opowiadania, niemądre opowiadania – to taki dar. Nie można zasiąść do pisania takiego tekstu, nie można go sobie zaplanować; to są prezenty od ciemnej strony duszy.

Kerastion to opowiadanie z warsztatów. Poleciłam, żeby każde z nas wymyśliło jakiś przedmiot, zalecane zachowanie albo obyczaj. Razem sporządziliśmy ich listę, a następnie każde z nas napisało opowiadanie z wykorzystaniem dowolnej ich liczby. Z listy tej pochodzi kilka skrawków, jak naszymi z bulw vauti, oraz pomysły tworzenia rzeźb z piasku i robienia fletów z ludzkiej skóry. Moja przyjaciółka Roussel tak opisała swój artefakt: „Kerastion to instrument muzyczny, którego nie słyhać” – opowiadanie Borgesa w siedmiu słowach. Rozmnożyłam je do kilkuset słów i bardzo mi się to podobało, ale tak naprawdę nie ulepszyłam go.

Sen Newtona i *Kamień, który wszystko zmienił* to opowiadania, które przysporzyły mi w tym zbiorze najwięcej zmartwień. *Kamień* jest przypowieścią, a ja nie bardzo lubię przypowieści. Jest ciężka od zawartego w niej gniewu. Mimo to bardzo mi się podoba jej kluczowy obraz. Żałuję, że nie dałam mojemu błękitnozielonemu kamieniowi lepszej oprawy.

Jeśli chodzi o *Sen Newtona*, to tytuł pochodzi od Blake’a, który modli się, by Bóg uchronił nas od „jednostronnego widzenia i snu Newtona”. W opowiadaniu ma to także związek z niezwykłą ryciną Goi *Gdy rozum śpi, budzą się demony*. *Sen Newtona* można odczytać – i tak właśnie było – jako antytechniczną diatrybę, luddystyczną perorę. Nie powstał z takim zamiarem, lecz raczej jako opowiadanie ku przestrodze w reakcji na wiele opowiadań i powieści, które przeczytałam w ciągu wielu lat i które (świadomie czy też nie – znów mamy tu problem elitaryzmu) opisują ludzi w statkach i stacjach kosmicznych jako lepszych od tych na ziemi. Masy kretynów zostają na dole w błocie, rozmnażając się i umierając w nędzy, i dobrze im tak, podczas gdy ci nieliczni, którzy

umieją programować magnetowidy, żyją na górze w tych superczystych wojskowych świątkach ze wszystkimi wygodami oraz wirtualnym seksem i są Przyszłością Ludzkości. Uznałam to za jedną z bardziej ponurych przyszłości. Opowiadanie jednakże nietrzymało się tego, lecz Ike'a, który zawitał do mojego umysłu z własnymi problemami; człowieka zatroskanego, zmartwionego, człowieka prawdziwie racjonalnego, który zaprzecza istnieniu tego, co irracjonalne, to znaczy człowieka prawdziwie wierzącego, który nie rozumie, w jaki sposób i dlaczego prawdziwa wiara nie działa. Tak jak Dalzul w *Zatańczyć do Ganamu* Ike to postać tragiczna, człowiek godny podziwu, który przeliczył się z własnymi siłami, lecz jest mniej stanowczy i uczciwy od Dalzula, dlatego bardziej cierpi. Jest także wygnańcem; prawie wszyscy moi bohaterowie są w taki czy inny sposób wygnańcami.

Niektórzy recenzenci odrzucili Ike'a jako słabego figuranta, ofiarę mojego znanego krwiożerczego feministycznego złego humoru. Niech wam będzie, koledzy. Smażona żółć w ostrym sosie? Lecz bez względu na to, jak czytelnik może postrzegać Ike'a, mam nadzieję, że opowiadanie to nie jest odczytywane jako przeciwne podrójom kosmicznym. Podoba mi się koncepcja i rzeczywistość badania kosmosu i tylko usiłowałam uczynić to wszystko mniej antyseptycznym. Naprawdę uważam, że dokądkolwiek się udajemy, musimy zabierać z sobą nasze błoto. Jesteśmy błotem. Jesteśmy Ziemią.

Pierwszy kontakt z Gorgonidami

Żona pana Jerry'ego Debree, bohaterka Skrzyżowania Grong, lubiła wyglądać ładnie. Było to oczywiście ważne dla Jerry'ego, utrzymującego liczne kontakty służbowe, ale i ona czuła się pewniej i była nawet zadowolona, wiedząc, że niedawno zrobiła sobie celofan, rzęsy ma naprawdę dobrze przyklejone, a rozjaśniający róż podkreśla jej kości policzkowe, jak powiedziała ta miła dziewczyna za kontuarem. Coraz więcej wysiłku jednak musiała włożyć w to, by czuć się świeżo i ładnie wyglądać, bo na pustyni było coraz goręcej i coraz bardziej czerwono, aż naprawdę zaczęła przypominać Złe Miejsce, jak pani Debree zawsze je sobie wyobrażała, tylko bez tylu ludzi. W gruncie rzeczy nie było tu nikogo.

– Jak myślisz, mogliśmy je minąć? – odważyła się w końcu zapytać i bez zaskoczenia usłyszała pełną irytacji odpowiedź:

– Jak, kurwa, mogliśmy je minąć, skoro od dziewięćdziesięciu mil nie minęliśmy, kurwa, niczego oprócz tych kurewskich krzaków? Jezu, ale ty jesteś durna.

Język Jerry'ego pozostawiał wiele do życzenia. Czasami trudno się przez to z nim rozmawiało. Pani Debree odnosiła jakieś niejasne wrażenie, może zwyczajnie była to kobieca intuicja, że mężczyźni, którzy powiedzieli mu, jak dojechać do Skrzyżowania Grong, nabijali się z niego. Tak głośno opowiadał w hotelowym barze, jak bardzo rozczarował się korrobori po tym, jak przyleciał aż z Adelajdy, żeby je obejrzeć. Wciąż porównywał go z indiańskim tańcem, który widzieli w Taos, choć właściwie w Taos był bardzo znudzony i zniecierpliwiony i musieli wyjść w połowie pokazu, żeby mógł się napić, więc ona nie zobaczyła wejścia ludzi w maskach. Ale teraz rozprawiał o tym, jak to w Stanach Zjednoczonych naprawdę umieją zrobić występ folklorystyczny. Stwierdził, że kilku podskakujących niechlujnych aboli nie pokaże turystom z prawdziwego świata niczego, o czym mogliby napisać do domu. Kangury powinny przyjechać do Disney World i zobaczyć, jak robić prawdziwe przedstawienia.

Zgadzała się z tym; uwielbiała Disney World. To było jedyne miejsce, które bardzo jej się podobało na Florydzie, gdzie musieli zamieszkać po tym, jak Jerry został zastępcą dyrektora naczelnego.

Jeden z Australijczyków z baru był kiedyś w Disneylandzie i uznał, że jest ciekawy, ale może powiedział „cienkawy”, bo mówił niewyraźnie. Sprawiał sympatyczne wrażenie. Miał na imię Bruce, tak samo jak jego przyjaciel.

– To tutaj popularne imię – powiedział z dziwnym miejscowym akcentem.

Kiedy Jerry dalej narzekał na korrobori, pierwszy Bruce powiedział:

– Wiesz co, stary? Jeżeli naprawdę chcesz zobaczyć coś prawdziwego, to mógłbyś pojechać do Skrzyżowania Grong, co nie, Bruce?

Z początku ten drugi Bruce chyba nie bardzo go rozumiał – i to wtedy obudziła się jej kobieca intuicja – lecz wkrótce obaj Bruce'owie jeden przez drugiego mówili o tym miejscu, Skrzyżowaniu Grong, daleko w buszu, gdzie na pewno spotkają prawdziwych aboli, naprawdę żyjących na pustyni.

– W pobliżu Alice Springs – wtrącił ze znajomością tematu Jerry, ale powiedzieli, że nie, to skrzyżowanie jest jeszcze bardziej na zachód stąd. Z takimi szczegółami opowiadali, jak tam trafić, że było jasne, że wiedzą, o czym mówią.

– To tylko kilka godzin jazdy – stwierdził Bruce – tylko że większość turystów woli się trzymać utartych szlaków. A to jest trochę bardziej na uboczu.

– Świetne przedstawienia – rzekł Bruce. – Co wieczór korrobori.

– Hotel jest lepszy od tej nory? – zapytał Jerry, wywołując ich śmiech.

Wyjaśnili, że tam nie ma hotelu.

– To jak safari, rozumiesz, namioty pod gwiazdami. Nigdy nie pada – powiedział Bruce.

– Za to świetne jedzenie – dorzucił Bruce. – Świeże kotlety z kangura. Codzienne polowania na kangury, rozumiesz. Larwy ciem do drinków przed kolacją. Mieszkanie pod gołym niebem w luksusie, można powiedzieć, co nie, Bruce?

– Absolutnie – odparł Bruce.

– Ci abole są przyjaźni? – zapytał Jerry.

– Och, to sól ziemi. Białych traktują jak królów. Myślą, że są jakby bogami – rzekł Bruce.

Jerry skinął głową.

Tak więc Jerry zapisał wszystkie wskazówki i teraz jechali i jechali starym kombi, bo w miasteczku, do którego przybyli na korrobori, nie dało się wypożyczyć nic innego, a wiadomo było, że droga jest drogą tylko dlatego, że ciągnie się w nieskończoność prosto jak strzełił. Jerry początkowo miał dobry humor.

– To będzie można wepchnąć w dupę temu draniowi Thielowi – powiedział.

Jego przyjaciel Thiel zawsze jeździł w takie miejsca jak Tybet, miał cudowne przygody i pokazywał filmy z sobą i jakami. Jerry kupił na ten wyjazd bardzo drogą kamerę wideo i teraz stwierdził:

– Będę miał filmy z abolami. Pokażę temu pieprzonemu Thielowi i jego wołom piżmowym!

Ale w miarę jak ciągnęły się poranek, droga i pustynia – czy oni dlatego nazywali to buszem, bo raz na milę czy coś koło tego pojawiał się jeden kolczasty krzaczek? – robiło się coraz goręcej i goręcej, a Jerry czerwieniał coraz bardziej i bardziej zupełnie jak pustynia. Jego żonę zaczęło ogarniać coraz większe przygnębienie, a jej tusz do rzęs się kruszył. Kiedy zastanawiała się właśnie, czy po kolejnych czterdziestu milach (cztery to była jej szczęśliwa liczba) nie mogłaby po raz pierwszy powiedzieć: „Może powinniśmy zawrócić?”, Jerry zawołał:

– Tam!

Rzeczywiście coś przed nimi było.

– Nie widziałam żadnego znaku – rzekła z powątpiewaniem. – Nic nie mówili o żadnym wzgórzu, prawda?

– Do diabła, to nie wzgórze, to skała. Jak ona się nazywa... taka wielka pieprzona czerwona skała...

– Ayers Rock? – Kiedy Jerry był na konferencji dotyczącej plastiku, w hotelu w

Adelajdzie przeczytała ulotkę „Witamy na antypodach”. – Ale ona jest w środku Australii, prawda?

– A gdzie, kurwa, twoim zdaniem jesteśmy? W środku Australii! Co to według ciebie jest, pieprzone Niemcy wschodnie?! – krzyknął i zaraz przyśpieszył. Straszliwie prosta droga wystrzeliła ich prosto na wzgórze, skałę czy cokolwiek to było. Bo to nie była Ayers Rock, żona to wiedziała, ale nie należało denerwować Jerry’ego, zwłaszcza kiedy krzyczał. Była czerwona i kształtem przypominała olbrzymiego volkswagena garbusa, tylko że pokrywały ją jakby guzy. Otaczali ją jacyś ludzie i na ich widok żona bardzo się ucieszyła. Ta ich całkowita samotność – od dwóch godzin nie widzieli innego samochodu ani gospodarstwa – przerażała ją. Ale kiedy podjechali bliżej, pomyślała, że ci ludzie wyglądają jakoś zabawnie. Nawet zabawniej niż ci z korrobori.

– To chyba tubylcy – odezwała się.

– A czegoś się, do cholery, spodziewała? Francuzów? – powiedział Jerry, ale jakby żartem, i żona się roześmiała. Tylko że...

– Ojej! – zawołała mimowolnie, po raz pierwszy wyraźnie ujrzawszy jednego z tubylców.

– Duże chłopaki, nie? To Buszmeni – stwierdził Jerry.

To nie bardzo miało sens, ale ona jeszcze nie otrząsnęła się z szoku, jakiego doznała na widok tej wysokiej, szczupłej, czarno-białej dziwacznej osoby. Stała sobie, patrząc na samochód, tylko że żona nie widziała jej oczu. Skrywały je wydatne czoło i krzaczaste brwi. Połowę twarzy zasłaniały czarne, poskręcane w sznury włosy, które sterczały także zza uszu.

– Czy oni... czy oni są pomalowani? – zapytała słabym głosem.

– Zawsze się tak malują.

Jego pogarda dla jej niewiedzy dodała jej otuchy.

– Prawie nie wyglądają jak ludzie – powiedziała bardzo cicho, żeby nie urazić ich uczuć, jeżeli znali angielski, ponieważ Jerry zatrzymał samochód, otworzył z rozmachem drzwi i z hałasem wyciągał kamerę.

– Potrzymaj!

Potrzymała. Pięciu czy sześciu wysokich czarno-białych ludzi jakby odwróciło się w ich stronę, ale wszyscy wydawali się zajęci czymś u podnóża wzgórza, skały czy cokolwiek to było. Znajdowało się tam coś, co mogło być namiotami. Nikt nie podszedł, żeby ich powitać czy coś, ale ją to właściwie ucieszyło.

– Potrzymaj! Coś ty, na litość boską, zrobiła z... Dobra, po prostu mi to daj.

– Jerry, zastanawiam się, czy nie powinniśmy ich zapytać.

– Kogo o co? – mruknął znad opornego mechanizmu kasetowego.

– Tych ludzi... czy możemy ich filmować. Pamiętasz, w Taos powiedzieli, że kiedy...

– Nie potrzebujemy, do kurwy nędzy, jakiegoś pieprzonego zezwolenia, żeby filmować zgraję tubylców! Boże! Oglądałaś kiedyś pieprzony National Geographic? Cholera! Zezwolenie!

Kiedy zaczynał krzyzczeć, nie było sensu się spierać. A ci ludzie nie wyglądali na zainteresowanych tym, co robi. Chociaż dość trudno było określić, w którą stronę akurat patrzą.

– Nie wysiadasz z tego pieprzonego samochodu?

– Jest tak gorąco – odparła.

Tak naprawdę nie przeszkadzało mu, kiedy bała się zgrzać, oparzyć od słońca czy coś, bo

lubił być silniejszy i twardszy. Zapewne mogłaby nawet powiedzieć, że boi się tubylców, bo lubił też być od niej odważniejszy. Ale czasami złościł się, kiedy się bała, jak wtedy gdy zmusił ją do zjedzenia tej trującej ryby albo ryby, która mogła być trująca, w Japonii, bo żona powiedziała, że boi się to zrobić, a potem zwymiotowała i przyprawiła wszystkich o zażenowanie. Więc po prostu siedziała w samochodzie z włączonym silnikiem i klimatyzacją, chociaż okno po jej stronie było otwarte.

Jerry umieścił już sobie kamerę na ramieniu i robił ujęcie panoramiczne: w oddali rozgrzany czerwony horyzont, ta dziwna skała-wzgórze-coś z lśniącościami jak szkło kawałkami czegoś na powierzchni, czarna, wyglądająca na spaloną ziemię dookoła niej i rojący się wokół ludzie. Było ich przynajmniej czterdziestu albo pięćdziesięciu. Dopiero teraz jego żona uświadomiła sobie, że jeśli w ogóle mają na sobie jakieś ubrania, to ona nie wie, co jest ubraniem, a co skórą, bo byli tak dziwnie zbudowani i cali pomalowani w białe paski i kropki na czarnym tle, nie jak zebry, tylko w bardziej skomplikowany sposób, co trochę przypominało strój przedstawiający ludzki szkielet. I mieli pewnie ze dwa i pół metra wzrostu, ale krótkie ręce, jak u kangura. Krępowo ją patrzyło na ludzi bez ubrań, ale tak naprawdę nic takiego nie było widać. Właściwie nie umiała określić, czy to są mężczyźni, czy kobiety.

Wszyscy byli zajęci swoją pracą, obrzędem czy cokolwiek to było. Niektórzy trzymali w rękach coś, co przypominało duże cienkie złote arkusze, inni robili coś z jakimiś sznurami czy kablami. Chyba nie rozmawiali, ale w powietrzu cały czas unosił się cichy, wibrujący, buczący, wznoszący się i opadający głęboki dźwięk, jakby mruczenie kotów.

Jerry ruszył w ich stronę.

– Uważaj – powiedziała słabym głosem.

Oczywiście nie zwrócił na nią uwagi. Wydawało jej się, że oni za to nie zwracali uwagi na niego, a on nie przerywał filmowania, wodząc kamerą dookoła. Kiedy podszedł bardzo blisko do dwóch ludzi, odwrócili się do niego. Zupełnie nie widziała ich oczu, ale zobaczyła, że ich włosy jakby się uniosły i nachyliły w stronę Jerry'ego – każdy gruby czarny sznur długości około trzydziestu centymetrów poruszył się i pochylił dokładnie tak, jakby mu się przyglądał. Na ten widok spróbowały się zjeżyć jej własne włosy, a podmuch powietrza z klimatyzacji zmroził jej spotniałe ręce.

Wysiadła z auta i zawołała męża po imieniu.

Nie przestawał filmować.

Ruszyła szybko w jego stronę po spalonej kamienistej ziemi w sandałkach na wysokim obcasie.

– Wracaj, Jerry. Wydaje mi się...

– Zamknij się! – wrzasnął tak ostro, że na chwilę stanęła jak wryta.

Teraz jednak widziała te włosy lepiej i zauważyła, że istotnie mają oczy, a nawet usta, z których wysuwały się szybkimi ruchami czerwone języczki.

– Wracaj, Jerry. To nie są tubylcy, tylko obcy z kosmosu. To ich latający spodek.

Wiedziała z gazety „Sun”, że widziano je w Australii.

– Zamknij się, do cholery. Hej, ty, duży, rusz się trochę, co? Nie stój tak. Tańcu, tańcu, okay? – Oko miał przyklejone do kamery.

– Jerry – powiedziała, lecz głos zastygł jej w gardle, bo jeden z obcych z kosmosu pokazał swoją słabo wyglądającą rączką na samochód.

Jerry prawie przytknął kamerę do głowy obcego, który zakrył obiektyw dłonią. To

oczywiście rozwścieczyło Jerry'ego.

– Odpieprz się! – wrzasnął i wtedy spojrzął na obcego z kosmosu nie przez obiektyw, lecz nieuzbrojonym okiem. – O rety – powiedział.

I sięgnął ręką do biodra. Zawsze miał przy sobie pistolet, bo Amerykanin ma prawo do noszenia broni, a ostatnio pojawiło się tylu narkomanów. Przemycił go w sobie znany sposób przez kontrolę na lotnisku. Nie da się rozbroić nikomu.

Żona doskonale widziała, co się stało. Obcy z kosmosu otworzył oczy. Pod tymi ciemnymi krzaczastymi brwiami miał oczy, do tej chwili zamknięte. Teraz się otworzyły i spojrzały raz prosto na Jerry'ego, a on zamienił się w kamień. Stał tak bez ruchu z jedną ręką na kamerze, a drugą sięgającą po broń. Wokół niego zebrało się już kilku obcych. Wszyscy mieli zamknięte oczy oprócz tych na końcach włosów. Lśniły one i świeciły, czerwone języczki wysuwały się szybkimi ruchami, a ten brzęczący dźwięk zrobił się o wiele głośniejszy. Część włosianych węży skręciła się, by spojrzeć na żonę. Ugięły się pod nią kolana, a serce podeszło do gardła, ale musiała dostać się do Jerry'ego.

Przeszła między dwoma ogromnymi obcymi, stanęła obok męża i poklepała go ze słowami:

– Obudź się, Jerry!

Był jak kamień, sparaliżowany.

– Ojej – powiedziała, a po jej twarzy popłynęły łzy. – Ojej, co mam robić? Co mogę zrobić?

Rozejrzała się z rozpaczą po górujących nad nią szczupłych czarno-białych obcych. W ich twarzach błyskały bielą zęby, lecz oczy mieli mocno zamknięte, a ich włosy wpatrywały się w nią, poruszając się i pomrukując. To mruczenie było ciche, prawie jak muzyka, nie gniewne, lecz uspokajające. Patrzyła, jak dwaj wysocy obcy z kosmosu dość delikatnie podnoszą Jerry'ego, jakby był maleńkim chłopczykiem – sztywnym chłopczykiem – i ostrożnie niosą go do auta.

Chcieli go wetknąć bokiem na tylne siedzenie, ale się nie zmieścił. Podbiegła, żeby im pomóc. Opuściła tylne oparcie, żeby zrobić mu miejsce. Obcy ułożyli go i upchnęli obok niego kamerę, a potem wyprostowali się, patrząc na nią z góry mrugającymi oczkami we włosach. Zabzyczeli cicho i pokazali dziecięcymi rączkami na drogę.

– Tak – powiedziała. – Dziękuję. Do widzenia!

Zabzyczeli.

Wsiadła do auta, podniosła szybę, zawróciła na rozszerzeniu drogi – był tam nawet znak z napisem „Skrzyżowanie Grong”, chociaż żadnego skrzyżowania nie widziała. A potem ruszyła z powrotem, początkowo ostrożnie, bo była roztrzęsiona, lecz wkrótce jechała już coraz szybciej, ponieważ powinna oczywiście zawieźć Jerry'ego do lekarza, ale także dlatego, że uwielbiała bardzo szybko jeździć takimi długimi prostymi szosami. Jerry pozwalał jej prowadzić tylko w mieście.

Paraliż okazał się całkowity i trwały, co byłoby okropne, ale mogła sobie pozwolić na całodobową pierwszorzędną opiekę dla biednego Jerry'ego, ponieważ zawarła naprawdę dobre umowy z telewizją, a potem z ludźmi od praw do wideo. Najpierw nagranie pokazywano na całym świecie pod tytułem „Obcy z kosmosu lądują w australijskim buszu”, lecz potem weszło do prawdziwej nauki i historii jako „Skrzyżowanie Grong, południowa Australia: pierwszy kontakt z Gorgonidami”. Komentarz głosił, że to ona, Annie Laurie Debree, była pierwszą ludzką istotą, która rozmawiała z naszymi

przyjaciółmi z kosmosu, zanim jeszcze wysłali swoich ambasadorów do Canberry i Reykiawiku. W filmie znajdowało się tylko jedno dobre jej ujęcie, a Jerry trochę się wtedy trząśł i jej rozjaśniający makijaż nieco się rozmazał, ale to nic. Była bohaterką.

Sen Newtona

Kiedy rząd Unii Atlantyckiej, który sponsorował tajne przedsięwzięcie nazwane Stowarzyszeniem SPES, upadł w zamachu stanu roku przestępnego, Maston i jego ludzie byli gotowi. Z dnia na dzień majątek, dokumenty i członkowie Stowarzyszenia zostali niepostrzeżenie przerzuceni przez granicę do Stanów Zjednoczonych. Po szybkim przegrupowaniu złożyli jako grupa kultu milenarystycznego petycję do władz Republiki Kalifornii o przyznanie ziemi osadniczej i uzyskali pozwolenie na zamieszkanie na wyludnionych chemicznych bagnach doliny San Joaquin. Kopułomiasto, które tam wybudowali, było prototypem samego Specjalnego Satelity Ziemińskiego i zapewniało tak dobre warunki do życia, że kilku kolonistów zapytało, po co tyle wydawać i tak ciężko pracować, skoro można osiedlić się tutaj. Lecz zerwanie traktatu z Kal-Meksem i pierwsze inwazje z południa wraz z nową epidemią zarazy grzybiczej po raz kolejny dowiodły, że ziemia to nie jest realna możliwość. Ekipy konstrukcyjne kursowały tam i z powrotem cztery razy do roku przez cztery lata. Po siedmiu latach od przeprowadzki do Kalifornii dziesięć ostatnich lotów między wyrzutnią na ziemi i złocistą bańką, unoszącą się w punkcie libracyjnym, przeniosło kolonistów na Spes, do bezpiecznego miejsca. Zaledwie pięć tygodni później monitory Spes pokazały, że hordy Ramireza opanowały Bakersfield, zniszczyły wyrzutnię, splądrowały to, co tam jeszcze zostało, i spaliły kopułę.

– O włos uniknęliśmy śmierci – powiedział Noe do swojego ojca Ike’a.

Noe miał jedenaście lat i dużo czytał. Odkrywał dla siebie wszystkie literackie komunały i używał ich z wyraźną przyjemnością.

– Nie rozumiem, dlaczego nikt inny nie zrobił tego, co my – oznajmiła piętnastoletnia Estera.

Poprawiła okulary, patrząc spod zmarszczonych brwi na obraz na monitorze. Operacja korekcyjna niewiele pomogła na jej poważne upośledzenie wzroku, a ze względu na kłopoty z układem immunologicznym i reakcje alergiczne przeszczepienie oka nie wchodziło w grę; nie mogła nosić nawet szkieł kontaktowych. Chodziła więc w okularach jak jakiś dzieciak ze slumsów, lecz lekarze zapewnili Ike’a, że po kilku latach spędzonych w całkowicie pozbawionym zanieczyszczeń środowisku Spes jej problemy znikną do tego stopnia, że Estera będzie mogła wybrać sobie z zamrażarki organów parę idealnych gałek.

– Wtedy będziesz moją błękitnooką dziewczynką – zażartował ojciec po niepowodzeniu trzeciej operacji, kiedy Estera miała trzynaście lat. Najważniejsze, że wada była rozwojowa, a nie genetyczna. – Błękitne są nawet twoje geny – powiedział jej wtedy Ike. – Noe i ja mamy geny recesywne na skoliozę, ale ty, moja mała, jesteś helitycznie nieskazitelna. Noe będzie musiał znaleźć partnerkę w grupie B albo G, ale ty możesz wybierać z całej kolonii – jesteś Nieograniczona. Wśród nas jest tylko jeszcze dwanaścioro Nieograniczonych.

– A więc mogę prowadzić rozwiązłe życie – odparła wtedy Estera z twarzą ukrytą pod

bandażami. – Niech żyje numer trzynaście.

Teraz stała obok brata. Ike zawołał ich do centrum monitorowego, żeby zobaczyli, co się stało z Kopułą Bakersfield. Niektóre kobiety i dzieci na Spes miały skłonność do sentymentalizmu, „tęsknoty za domem”, jak mówiły. Ike chciał, żeby jego dzieci zobaczyły, jaka jest Ziemia i dlaczego ją opuścili. SI, zaprogramowana do wybierania informacji interesujących dla Kolonii, zakończyła sprawozdanie z Bakersfield obrazami podbojów Ramireza, a potem przełączyła się na peruwiańskie badania niecki Amazonki. Ekran wypełniły wydmy i nagie czerwone równiny, a z głośników popłynęło monotonne tłumaczenie komentarza, robione na bieżąco przez SI.

– Spójrzcie – powiedziała Estera, wpatrując się pilnie w ekran z okularami odsuniętymi na czoło. – Wszystko jest martwe. Jak to się dzieje, że tu na górze nie ma wszystkich?

– Pieniądze – odparła matka.

– Bo większość ludzi nie chce zaufać rozsądkowi – rzekł Ike. – Pieniądze, środki to czynnik drugorzędny. Przez sto lat każdy, kto patrzył racjonalnie na świat, widział, do czego to wszystko zmierza: wyczerpanie bogactw naturalnych, eksplozja zaludnienia, załamanie administracji. Lecz żeby działać na podstawie racjonalnego osądu, trzeba zaufać rozsądkowi. Większość ludzi zaś woli ufać szczęściu, Bogu albo wierzyć w istnienie jakiegoś innego łatwego rozwiązania. Rozsądek wymaga wysiłku. Trzeba starannie planować, czekać latami, dokonywać niełatwych wyborów, wciąż zdobywać pieniądze, zachowywać sekret, żeby efekty tych trudów nie zostały przejęte lub zniszczone z chciwości albo głupoty. Ilu ludzi potrafi trzymać się prosto wytyczonego kursu w rozpadającym się świecie? Kompasem, który pozwolił nam przetrwać, jest rozsądek.

– Nikt inny nawet nie próbował?

– Nic nam o tym nie wiadomo.

– Byli Foyowie – odezwał się cienkim głosem Noe. – Czytałem o tym. Umieścili tysiące ludzi w takich zamrażarkach organów, całych żywych ludzi, i zbudowali te wszystkie tanie rakiety, i wystrzelili je, i wszyscy mieli za jakieś tysiąc lat dotrzeć do jakiejś gwiazdy i się obudzić. I nawet nie wiedzieli, czy ta gwiazda ma planetę.

– A ich przywódca, wielebny Keven Foy, miał się tam znaleźć wcześniej i powitać ich na ziemi obiecanej – rzekł Ike. – Gruszki na wierzbie... Biedne paluszki rybne! Tak ich nazywano. Miałem mniej więcej tyle lat, ile ty teraz, gdy oglądałem w wiadomościach, jak wchodzili do tych foyów. Połowa z nich już miała grzybicę albo była nosicielami wirusa RMV. Nieśli na rękach dzieci, śpiewali. Ci ludzie nie ufali rozsądkowi. Ci ludzie porzucali go w rozpacz.

Holowideo pokazywało rozległą burzę piaskową poruszającą się powoli, bez celu przez pustynie Amazonii. Miała matowy ciemnoczerwonoszarobrazowy kolor, kolor błota.

– Mamy szczęście – powiedziała Estera. – Chyba.

– Nie – odparł ojciec. – Szczęście nie ma z tym nic wspólnego. Nie jesteśmy też ludem wybranym. To my wybraliśmy.

Ike mówił cicho, lecz teraz dało się słyszeć w jego głosie ostre drżenie, które sprawiło, że dzieci na niego zerknęły, a żona patrzyła przez dłuższą chwilę. Miała czyste jasnobrazowe oczy.

– I ponieśliśmy ofiary – dodała.

Ike skinął głową. Uznał, że zapewne myśli o jego matce. Sarah Rose dostała przydział na jedno z czterech stanowisk dla szczególnie wykwalifikowanych kobiet, które

przekroczyły wiek rozrodczy. Lecz kiedy Ike powiedział jej, że ją umieścił na liście, wybuchła: „Życ w tej okropnej ciasnocie, w tym łożysku kulkowym obracającym się w pustce? Bez powietrza, bez przestrzeni?”. Usiłował wyjaśnić jej sprawę krajobrazów, ale ona to zignorowała. „Izaak, miałam klaustrofobię w Kopule Chicago o średnicy mili! Daj spokój. Weź Susan, weź dzieciaki, a ja zostanę i będę oddychać smogiem, okay? Wy lećcie. Przyślijcie mi kartkę z Marsa”. Niecałe trzy lata później zmarła na RMV-3. Kiedy zadzwoniła siostra Ike’a, żeby powiedzieć, że Sarah umiera, Ike był już odkażony; opuszczenie Kopuły Bakersfield oznaczało powtórne odkażenie, a także wystawienie się na zarażenie tą najnowszą i najgorszą postacią gwałtownie mutującego wirusa, który spowodował już śmierć około dwóch miliardów ludzi, więcej niż zespół powolnej radiacji i niemal tyle samo, ile głód. Ike nie pojechał. W niedługim czasie nadeszła wiadomość od siostry: „Matka umarła w środę wieczorem, pogrzeb 10 piątek”. Wysłał odpowiedzi faksem, poprzez sieć i łącza wideo, ale nie dochodziły do celu albo siostra nie chciała ich przyjmować. Teraz to był już zadawniony ból. Oni wybrali. Ponieśli ofiarę.

Stały przed nim jego dzieci, dla których ponieśli tę ofiarę, piękne dzieci, nadzieja, przyszłość. Teraz na Ziemi właśnie dzieci składano w ofierze. W ofierze przeszłości.

– Wybraliśmy – stwierdził. – Ponieśliśmy ofiarę i zostaliśmy oszczędzeni.

Zaskoczyło go to ostatnie, wypowiedziane przez niego słowo.

– Hej, Es, chodź, jest piętnasta, spóźnimy się na program – powiedział Noe.

Patykowały chłopiec i przysadzista dziewczynka wyszli drzwiami i przecięli Błonie.

Państwo Rose mieszkali w Vermoncie. Ike’owi podobały się każdy krajobraz, ale Susan orzekła, że Floryda i Boulder są fałszywe, a Urban doprowadziłoby ją do szału. Tak więc ich moduł wychodził na Błonie Vermont. Moduł Zgromadzeń, do którego poszły dzieci, miał białą fasadę z zadbaną wieżyczką, a projekcja horyzontu przedstawiała dające schronienie, błękitne, zalesione wzgórza. Susan powiedziała, że światło w kwadrancie Vermont pada pod odpowiednim kątem – „Zawsze jest albo późny ranek, albo wczesne popołudnie. Zawsze jest czas na pozalátwanie spraw”. Ike pomyślał, że to jest delikatne, chociaż nie niebezpieczne manipulowanie rzeczywistością, i nic nie powiedział. Potrzebował tylko trzech czy czterech godzin snu, więc podobało mu się, że teraz noce zawsze trwały tyle samo i latem nie były za krótkie.

– Coś ci powiem – zwrócił się do Susan, chcąc się podzielić swoimi przemyśleniami o dzieciach oraz w odpowiedzi na jej długie spojrzenie, którym go obdarzyła.

– Co to? – zapytała, patrząc na holowideo, które pokazywało burzę piaskową widzianą ze stratosfery, paskudną przesuwaną się plamę z długimi mackami.

– Nie podobają mi się te monitory. Nie lubię patrzeć w dół.

Przyznanie się do tego, wypowiedzenie tego na głos nieco go kosztowało, lecz Susan tylko się uśmiechnęła i powiedziała: – Wiem.

Chciał usłyszeć coś więcej. Prawdopodobnie tak naprawdę nie zrozumiała, co miał na myśli.

– Czasami żałuję, że nie możemy tego wyłączyć – rzekł i się roześmiał. – To jest więź, łącznik, pępowina. Chciałbym ją przeciąć. Chciałbym, żeby one mogły zacząć od nowa. Na czysto. To znaczy dzieciaki.

Skinęła głową.

– Tak prawdopodobnie byłoby najlepiej.

– W każdym razie ich dzieci tak zaczną... W KomEd toczy się interesująca dyskusja.

Ike był inżynierem fizykiem, osobiście wybranym przez Mastona na głównego specjalistę od SI Schoenfeldta, a najważniejszym z jego ośmiu zadań było obecnie kierowanie grupą projektowania środowiskowego dla drugiego statku Spes, budowanego w warsztatach.

– O czym?

– Al Levaitis zaproponował, żebyśmy nie tworzyli żadnych krajobrazów. Wygłosił na ten temat niezłą przemowę. Powiedział, że to kwestia uczciwości. Wykorzystujemy każdy obszar uczciwie, pozwólmy, by znalazł własną estetykę, zamiast go w jakikolwiek sposób ukrywać. Jeżeli naszym światem jest Spes, zaakceptujmy to. Co dla następnego pokolenia będzie znaczyć ta udawana ziemiska sceneria? Wielu z nas uważa, że on ma rację.

– Bo ma – rzekła Susan.

– Zniosłabyś to? Żadnej iluzji przestrzeni, żadnego horyzontu, wiejskiego kościoła, może nawet żadnej astrotrawy, tylko czysty metal i ceramika... Zaaceptowałabyś to?

– A ty?

– Chyba tak. To by... uprościło... i, jak powiedział Al, byłoby uczciwe. Dzięki temu nie trzymalibyśmy się kurczowo przeszłości, moglibyśmy się zwrócić ku teraźniejszości i przyszłości. No wiesz, to była taka długa droga, że trudno pamiętać, że ją przebyliśmy. Ale jesteśmy tu. I już budujemy następną kolonię. Kiedy przy każdym optimum będzie skupisko kolonii – albo jeśli zostanie podjęta decyzja o zbudowaniu Wielkiego Statku i odcięciu się od Układu Słonecznego – to jakie znaczenie dla tych ludzi będzie mieć cokolwiek związanego z Ziemią? To będą prawdziwi mieszkańcy przestrzeni kosmicznej. I o to chodzi, o tę wolność. Nie miałbym nic przeciwko zasmakowaniu jej już teraz.

– Rozumiem – powiedziała jego żona. – Ale ja chyba trochę się boję zbytniego upraszczania.

– Weź choćby tę wieżyczkę... Co ona będzie znaczyć dla ludzi urodzonych w kosmosie, wychowanych w kosmosie? To rupieć pozbawiony znaczenia. Martwa przeszłość.

– Nie wiem nawet, co ona znaczy dla mnie. To na pewno nie jest moja przeszłość... – zaczęła Susan, ale Ike'a zainteresował skan.

– Spójrz na to – powiedział.

Był to wykres przedstawiający wybrzeże Peru w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku i dwa tysiące czterdziestym, a nakładka ukazywała utracony obszar lądu.

– Pogoda. Najgorsza była pogoda! Żeby tylko uwolnić się od tej głupiej, niemożliwej nieprzewidywalności!

Pośród fal sterczała rozpadająca się wieża, czyli wszystko, co zostało z Miraflores. Morze było wzburzone, zachmurzone niebo wisiało nisko. Ike przeniósł wzrok z holowideo na spokojną, iluzoryczną Nową Anglię i ujrzał leżące za nią prawdziwe schronienie dające im bezpieczeństwo, bezpieczeństwo i wolność. Prawda cię wyzwoli, pomyślał, a potem otoczył żonę ramieniem i wypowiedział te słowa na głos. Objęła go i powiedziała: „Jesteś kochany”, pomniejszając tę wielką myśl do czegoś zaledwie osobistego, ale i tak zrobiło mu się przyjemnie. Oddalając się do szeregu wind, uświadomił sobie, że jest szczęśliwy, absolutnie szczęśliwy. Napomnił się, że na pewno mają z tym coś wspólnego ujemne jony w powietrzu. Ale to było coś więcej niż reakcja fizyczna. To było coś, czego człowiek tak długo szukał i niegdyś nie znajdował, nigdy nie mógł znaleźć na Ziemi: racjonalne szczęście. Tam na dole mieli tylko życie, swobodę i pogoń. Teraz zostali pozbawieni nawet tego. Przez pył umierającego świata ścigało ich Czterech Jeźdźców. I znowu przyszło mu

na myśl to dziwne słowo: oszczędzeni. Zostaliśmy oszczędzeni.

W trzecim kwartale drugiego roku Spes zwołano spotkanie na temat korekty programu nauczania. Ike wziął w nim udział jako zainteresowany rodzic, Susan jako rodzic i nauczycielka pracująca w niepełnym wymiarze godzin, a Estera dlatego, że nastolatki zostały zaproszone w ramach polityki nieinfantylizacji, a jej ojciec chciał, żeby przyszła. Przewodniczący Komisji Edukacji Dick Allardice wygłosił mowę o zadaniach i osiągnięciach, a potem kilkoro nauczycieli złożyło sprawozdania i propozycje. Ike poinformował pokrótce o zwiększającym się nauczaniu SI. Wszystko toczyło się rutynowo do momentu, kiedy ze swojego miejsca wstał Sonny Wigtree. Sonny był wesołym starym kumplem z CSA z czterema czy pięcioma stopniami z dobrych uniwersytetów i umysłem jak stalowa pułapka wyłożona brzytwami.

– Chciałbym się dowiedzieć – powiedział jakby przepraszająco, miękko przeciągając po teksańsku samogłoski – co myślicie o dalszym nauczaniu geologii? No, wiecie. I takich tam.

Kiedy Ike tłumaczył to sobie jeszcze w myślach na własny dialekt z Connecticut, wstał Sam Henderson. Geologia była jedną z jego podspecjalności.

– Czy chcesz powiedzieć, Sonny – zaczął ze swoim nosowym akcentem z Ohio – że proponujesz usunąć geologię z programu nauczania?

– Zadałem tylko pytanie, co o tym sądzicie.

Ike przetłumaczył to sobie z łatwością: Sonny zebrał najważniejsze głosy i szykował się do wykonania ruchu. Sam, który wiedział, jak to działa, poszedł mu na rękę: – Cóż, osobiście uważam, że warto to omówić.

Na to aż podskoczyła Alison Jones-Kurawa, która wykładała nauki o Ziemi na poziomach trzecich, i Ike przygotował się na łatwą do przewidzenia obronę emocjonalną: nie można dopuścić, by dzieci Spes dorastały w niewiedzy o rodzimej planecie i tak dalej. Lecz Alison dość rozsądnie przekonywała, że naukowe zrozumienie ograniczone do budowy i zawartości samego Spes jest niebezpiecznie nadabstrakcyjne.

– Jeżeli kiedyś, zamiast budować Wielki Statek, postanowimy na przykład terraformować Księżyc, to czy powinny wiedzieć, co to jest skała?

Słusznie, pomyślał Ike, ale i tak nie na temat, ponieważ tematem nie była potrzeba geologii w programie nauczania, lecz wpływ Sonny'ego Wigtree, Johna Padopoulosa i Johna Kelly'ego na Komisję Edukacji. Dyskusja dotyczyła władzy, a nauczycielki tego nie rozumiały; zresztą rozumiało to niewiele kobiet. Wynik był równie przewidywalny, jak sama dyskusja. Jediną niespodzianką okazało się to, że John Kelly naskoczył na Mo Orensteina, który twierdził, że Ziemia jest laboratorium Spes i tak właśnie powinna być wykorzystywana; zaczął opowiadać o tym, jak jego uczniowie na lekcji chemii nauczyli się rozpoznawać cały szereg reakcji poprzez gotowanie kamyka, który przywiózł z góry Synaj jako pamiątkę, a także jako okaz – „zgodnie z zasadą wielorakiego celu, rozumiecie, wykorzystanie plus sentyment”. Właśnie w tym miejscu przerwał mu John Kelly: „Dobra! Tematem jest geologia, nie tożsamość etniczna!” – i kiedy Mo zamilkł, zaskoczony tonem Johna, Padopoulos postawił wniosek.

– Wydaje się, że Mo załazł Johnowi Kelly'emu za skórę – stwierdził Ike, idąc korytarzem A do wind.

– O cholera, tato – powiedziała Estera.

W wieku szesnastu lat trochę jeszcze podrosła, chociaż nadal się garbiła, jakby jej głowę ciągnął do przodu wysiłek patrzenia przez grube okulary, które wciąż zsuwały się jej z nosa. Była w dość drażliwym nastroju. Ostatnio prawie każde słowo Ike'a sprawiało, że mu się odgryzała.

– „Cholera” to nie jest wypowiedź, która sprzyja dyskusji, Estero – powiedział łagodnie.

– Jakiej dyskusji?

– Wydaje mi się, że jej tematem było zniecierpliwienie Johna Kelly'ego gadaniem Mo i tym, co mogło być jego przyczyną.

– O cholera, tato!

– Przestań, Estero – powiedziała Susan.

– Co mam przestać?

– Jeśli wiesz, co tak zdenerwowało Johna, na co zdaje się wskazywać twój ton, może zechciałabyś podzielić się z nami tą wiedzą? – rzekł Ike.

Kiedy człowiek bardzo się stara nie poddawać irracjonalnym impulsom, otrzymywanie w odpowiedzi jedynie emocjonalnych reakcji jest zniechęcające. Całkowicie słuszna prośba Ike'a tylko wywołała u dziewczyny milczącą wściekłość. Przez chwilę patrzyły na niego grube szkła okularów. Ledwie widział przez nie jej szare oczy. W końcu Estera ruszyła sztywnym krokiem do przodu i wsiadła do windy, która otworzyła się jak na jej życzenie. Nie przytrzymała drzwi dla rodziców.

– Co to było? – zapytał Ike ze znużeniem, czekając na następną windę do Vermontu.

Susan wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem tego zachowania. Dlaczego ona jest taka nieprzyjemna? Taka agresywna?

Może nie było to nowe pytanie, lecz Susan nawet nie uczyniła wysiłku, by na nie odpowiedzieć. Jej milczenie było niemal nieprzyjazne i Ike'owi się to nie podobało.

– Co według niej zyskuje takim zachowaniem? Czego ona chce?

– Timmy Kelly nazywa cię Żydkiem Rose – odparła Susan. – Tak mi powiedziała Estera.

W szkole nazywa ją Żydówką Rose. Powiedziała, że bardziej jej się podoba Okularnica.

– Oj – rzekł Ike. – O cholera.

– Właśnie.

Zjechali do Vermontu w milczeniu.

– Nawet nie wiem, skąd zna to słowo – odezwał się Ike, przecinając Błonie pod pseudogwiadami.

– Kto?

– Timmy Kelly. On jest w wieku Estery, o rok młodszy. Dorastał w Kolonii tak jak ona. Państwo Kelly dołączyli do Kolonii rok po nas. Mój Boże! Powstrzymujemy wszystkie wirusy, wszystkie bakterie, wszystkie zarodniki, a przedostaje się do nas coś takiego? Jak? Jak to możliwe? Coś ci powiem, Susan. Uważam, że powinno się zamknąć monitory. To, co te dzieci widzą i słyszą z Ziemi, to tylko lekcja przemocy, bigoterii i przesądów.

– Nie musiał słuchać monitorów – orzekła z niemal protekcyjną pobłażliwością.

– Pracowałem z Johnem w Księżycowym Cieniu, na małej przestrzeni, codziennie przez osiem miesięcy. Nie spotkałem się tam z niczym takim.

– W gruncie rzeczy chodzi bardziej o Pat niż Johna – rzekła Susan tym samym nieprzyjemnie pobłażliwym tonem. – Drobne afronciki podczas posiedzeń Komisji

Planowania Żywnienia, i to przez wiele lat. Drobne żarciki. „Czy to jest koszerne, Susan?”. No tak. Trzeba się z tym pogodzić.

– Na dole, owszem, ale tu, w Kolonii, w Spes...

– Ludzie w Spes są bardzo tradycyjni, konserwatywni... Nie zauważyłeś, Ike? Bardzo elitarystyczni. Jak mogłoby być inaczej?

– Tradycyjni? Konserwatywni? O czym ty mówisz?

– Tylko na nas popatrz! Hierarchia władzy, podział pracy według płci, wartości kartezjańskie, zupełnie jak w połowie dwudziestego wieku! Ale ja nie narzekam. Też to wybrałam. Uwielbiam poczucie bezpieczeństwa. Chciałam, żeby dzieci je miały. Ale za bezpieczeństwo się płaci.

– Nie rozumiem cię. Zaryzykowaliśmy dla Spes wszystko, ponieważ jesteśmy ukierunkowani na przyszłość, a ludzie ci postanowili porzucić przeszłość i zacząć od nowa, stworzyć prawdziwą ludzką społeczność i zrobić to właściwie, chociaż raz zrobić to właściwie! To są intelektualnie odważni innowatorzy, a nie banda jakichś durniów zanurzonych w swoich dogmatach! Nasze przeciętne IQ wynosi sto sześćdziesiąt pięć...

– Wiem, Ike. Znam przeciętne IQ.

– Chłopak się buntuje – rzekł Ike po chwili milczenia – tak jak Estera. Używają najgorszych wyrazów, jakie znają, usiłując zszokować dorosłych. To nic nie znaczy.

– A John Kelly dzisiaj?

– Posłuchaj, Mo mówił i mówił. Ta cała gadka o tym jego zakichanym pamiątkowym kamyku... On lubi udawać milusiego. Dzieciaki, które uczy, chłoną to jak gąbka, ale na posiedzeniach komisji robi się to dość męczące. Jeżeli John mu przerwał, to sam się o to prosił.

Zatrzymali się przed drzwiami ich modułu. Wyglądały jak drzwi drewnianego domu z Nowej Anglii, ale kiedy Ike dotknął dzwonka, odsunęły się z sykiem.

Estera oczywiście zaszyła się w swoim sześcianie. Ostatnio rzadko spędzała czas z nimi w sześcianie salonowym. Noe i Jason rozłożyli swoje wykresy, wydruki, zeszyty do ćwiczeń oraz trójwymiarową szachownicę na wszystkich wbudowanych meblach i na całej podłodze i siedzieli pośrodku tego wszystkiego, jedząc proprażynki i trajkocząc.

– Siostra Toma mówi, że widziała ją w O.R. – mówił Jason. – Cześć, Ike, cześć, Susan. Nie wiem, nie można wierzyć w coś, o czym mówi sześciolatka.

– Tak, pewnie po prostu chciała zwrócić na siebie uwagę i naśladowała to, co mówiła Linda. Cześć, mamó, cześć, tato. Słyszeliście o tej spalonej kobiecie, którą widziały, jak mówią, Linda Jones i Treese Gerlack?

– O jakiej spalonej kobiecie?

– Przy szkole w korytarzu C-1. Szły tamtędy na jakieś dziewczęce spotkanie...

– Lekcję tańca – przerwał mu Jason, przybierając pozę oscylującą między umierającym łabędziem a wymiotującym dwunastolatkiem.

– ...i twierdzą, że widziały tę kobietę, której nie widziały nigdy wcześniej. Co wy na to? Jak w Spes może się znajdować ktoś, kogo nigdy nawet nie widziały? I była cała spalona i jakby przemykała się pod ścianą korytarza, jakby się bała, że ktoś ją zobaczy. I mówią, że weszła do C-3 tuż przed nimi, ale kiedy tam dotarły, nie widziały jej. I nie było jej w żadnym sześcianie wzdłuż C-3. A siostrzyczka Toma Forta mówi, że widziała ją potem w O.R., tak mówi Jason, ale on prawdopodobnie też tylko próbuje zwrócić na siebie uwagę.

– Mówiła, że ta kobieta ma białe oczy – powiedział Jason i przewrócił swoimi

niebieskimi. – Coś okropnego.

– Czy dziewczynki kogoś o tym powiadomiły? – zapytał Ike.

– Treese i Linda? Nie wiem – odparł Noe, tracąc zainteresowanie sprawą. – No więc dostaniemy więcej czasu z Schoenfeldtem?

– Złożyłem prośbę – powiedział Ike.

Był zdenerwowany i zaniepokojony. Irracjonalny gniew Estery, brak współczucia Susan, a teraz jeszcze te historie o białookich zjawach – to wszystko było dość zniechęcające.

Poszedł do swojego gabinesześcianu i, kierując się sugestiami Levaitisa, wziął się do projektowania drugiego statku. Żadnej fałszywej scenerii, żadnych rekwizytów, uwidocznione krzywizny i kąty struktury. Elementy konstrukcyjne były w swej niezbędności piękne. Forma rodzi się z funkcji. Zamiast iluzji Błonia główna przestrzeń w każdym kwadrancie będzie właśnie tym – dużą przestrzenią. Może nazwie się ją dziedzińcem. Wysoka na dziesięć metrów, szeroka na dwieście, ze wspaniale rozpościerającymi się nad nią łukami kadłuba. Naszkicował ją na holo, obejrzał pod różnymi kątami, obszedł dookoła... Do łóżka poszedł po trzeciej, podekscytowany i zadowolony z wykonanej pracy. Susan mocno spała. Położył się obok jej nieruchomego ciepła i cofnął myślami do wieczornych wydarzeń; w ciemności jaśniej myślał. W Spes nie było antysemityzmu. Wielu kolonistów to Żydzi. Zamierzał ich policzyć, ale stwierdził, że nie musi; w pamięci czekała na niego liczba siedemnaście. Nie tak dużo, jak mogłoby ich być, wśród ośmiuset osób, ale o wiele więcej niż w niektórych innych grupach. Nie było problemu z rekrutacją ludzi o azjatyckich korzeniach, właściwie wydawało się, że było odwrotnie, lecz brak kolonistów o korzeniach afrykańskich wywołał długie i bolesne zmagania z sumieniem w kwestii polityki jeszcze w Unii. Nie dało się jednak obejść zasady, że w zamkniętej społeczności, liczącej zaledwie osiemset osób, wszyscy muszą być w najlepszej formie nie tylko pod względem genetycznym, ale także intelektualnym. A po załamaniu kształcenia publicznego podczas refederacji czarni po prostu nie byli szkoleni. Zgłosiło się nawet kilku czarnych kandydatów, ale prawie żaden nie przeszedł drobiazgowych testów. Byli oczywiście cudownymi ludźmi, lecz to nie wystarczyło. Każdy dorosły na pokładzie musiał mieć wyjątkowe kwalifikacje w kilku dziedzinach. Nie było czasu na szkolenie osób, które, chociaż nie z własnej winy, od początku były pokrzywdzone. Sprowadzało się to do tego, co D.H. Maston, ojciec Spes, nazywał zimnymi równaniami z pewnej starej opowieści, którą lubił przytaczać. Jej morałem było: „Żadnych nieproduktywnych osób na pokładzie!”. Maston mówił: „Od każdego naszego wyboru zależy zbyt wiele istnień. Gdybyśmy mogli sobie pozwolić na sentymentalizm – gdybyśmy mogli pójść łatwą drogą – nikt nie radowałby się bardziej szczerze ode mnie. Lecz możemy mieć tylko jedno kryterium: doskonałość. Doskonałość fizyczną i umysłową pod każdym względem. Każdy kandydat, który spełnia to kryterium, zostanie przyjęty. Wszyscy, którzy go nie spełniają, zostaną odrzuceni”.

Tak więc nawet za czasów Unii w Stowarzyszeniu było tylko troje czarnych. U genialnego matematyka Madisona Alessa pojawiły się objawy powolnej radiacji, a po jego tragicznym samobójstwie państwo Vezysowie, błyskotliwa młoda para z Anglii, wypadli z programu i wrócili do domu. Była to strata nie tylko pod względem różnorodności etnicznej, lecz także narodowej, ponieważ w Spes pozostała już tylko garstka osób spoza Unii i Stanów Zjednoczonych. Lecz, jak zauważył Maston, to nie miało znaczenia, ponieważ narodowość nie miała znaczenia. Najważniejsza była społeczność.

David Henry Maston zastosował zimne równanie do siebie. Kiedy Kolonia przeniosła się do Kalifornii, miał sześćdziesiąt jeden lat i pozostał w Stanach. „Kiedy zostanie zbudowany Spes, będę miał siedemdziesiąt lat. Siedemdziesięciolatek ma zająć miejsce pracującego naukowca, kobiety w wieku rozrodczym, dzieciaka o IQ dwieście? Nie żartujcie!”. Maston wciąż żył tam, na dole, w Indianapolis. Od czasu do czasu pojawiał się w sieci z jakąś radą, zawsze pewny siebie, władczy, chociaż ostatnio zdarzało mu się trochę mylić.

Ale dlaczego Ike leżał i rozmyślał o starym Mastonie? Rozważania rozmyły mu się w niespójnościach zbliżającego się snu. I właśnie kiedy się odprężył, wstrząsnął nim dreszcz przerażenia, od którego na moment zeszytniały mu wszystkie mięśnie – stary strach z bardzo dawnych czasów, strach przed bezradnością, bezmyślnością, strach przed samym snem. A potem i to minęło. Zniknął Ike Rose. W ciemności, wewnątrz niewielkiego jasnego obiektu, elegancko zawieszzonego na orbicie Księżyca, westchnęło ciepłe ciało.

Linda Jones i Treese Gerlack miały po dwanaście lat. Kiedy Estera je zatrzymała, żeby zadać im kilka pytań, zachowywały się trochę nieśmiało i trochę niegrzecznie, bo nawet jeśli miała szesnaście lat, to z tymi szklami na nosie naprawdę wyglądała okropnie, a Timmy Kelly nazywał ją Żydówką, a Timmy Kelly był niewiarygodnie przystojny. Więc Linda trochę odwracała wzrok i udawała, że nie słyszy, ale Treese zainteresowanie ze strony Estery właściwie pochlebiało. Roześmiała się i powiedziała, że tak, naprawdę widziały tę okropną kobietę i ona rzeczywiście była jakby cała spalona, błyszcząca, nawet jej ubranie się na niej spaliło i została jej taka jedna szmata.

– Piersi jej zwisały i były naprawdę dziwne, naprawdę długie – powiedziała Treese. – Były naprawdę okropne, co nie? Zwisały. Boże!

– Miała białe oczy?

– To znaczy, tak jak mówiła Punky Fort? Nie wiem. Nie byliśmy aż tak blisko.

– Białe miała zęby – wtrąciła Linda, która nie mogła pozwolić, żeby wszystko opisała Treese. – Były zupełnie białe, jak czaszka, co nie, i jakby miała za dużo zębów.

– Jak na tych historycznych wideo – powiedziała Treese. – No wiesz, ci ludzie, którzy kiedyś mieszkali tam, gdzie teraz jest pustynia, co nie, w Afryce? Tak właśnie wyglądała. Jak ci głodujący ludzie. Myślisz, że był jakiś wypadek, o którym nam nie powiedziano? Może spacer w kosmosie? I ona jakby się usmażyła i oszalała, i teraz się ukrywa?

Treese i Linda nie były głupie, o nie – na pewno miały IQ powyżej stu pięćdziesięciu, jak wszyscy inni – ale urodziły się w Kolonii. Nigdy nie mieszkały poza nią. Estera zaś mieszkała. I pamiętała. Rodzina Rose dołączyła do programu, kiedy Estera miała siedem lat. Pamiętała wszystko na temat miasta, w którym mieszkali do tamtej pory, na temat Filadelfii. Pamiętała karaluchy, deszcz, alarmy o skażeniach i najlepszą koleżankę z budynku, Saviorę, która miała dziesięć milionów cieniutkich krótkich warkoczyków związanych czerwonymi nitkami z niebieskimi koralikami. Najlepszą koleżankę w budynku, w Szkole Matek z Budyńku i na świecie. Do czasu, kiedy musiała zamieszkać w Stanach Zjednoczonych, a potem w Bakersfield i przejść odkażenie, odkażenie ze wszystkiego, drobnoustrojów, wirusów i grzybów, karaluchów, promieniowania i deszczu, czerwonych nitek, niebieskich koralików i błyszczących oczu. „Będę za ciebie widzieć, ślepa kurko – powiedziała Saviora, kiedy Estera przeszła pierwszą nieudaną operację. –

Będę twoim wzrokiem, dobra? A ty będziesz moim mózgiem, dobra, w arytmetyce?”. To dziwne, że tak to pamiętała, prawie po dziesięciu latach. Słyszała głos Saviory, to, jak wymawiała słowo „arytmetyka”, z opadającą i potem wznoszącą się intonacją, tak że brzmiało obco, niezrozumiale, cudownie, niebiesko i czerwono...

– Aryt metyka – powiedziała na głos, idąc korytarzem BB, ale nie zrobiła tego właściwie.

No dobra, może ta spalona kobieta była czarna. Ale to nie wyjaśniało, jak się dostała do C-2 albo O.R., albo na Plac we Florydzie, gdzie widzieli ją, jak twierdzili, zeszłego wieczoru tuż po zniknięciu słońca dziewczynka nazwiskiem Oona Chang i jej mały braciszek. Cholera, chciałabym widzieć, pomyślała Estera Rose, przecinając Błonie, które stanowiło dla niej niebieskozieloną plamę. Tylko po co? Ta kobieta mogłaby teraz iść przede mną, a ja bym nawet jej nie rozpoznała, myślałabym, że to ktoś z Kolonii. A w ogóle to skąd mogłaby się wziąć pasażerka na gapę? Po półtora roku w kosmosie? Gdzie miałyby przebywać do tej pory? I nie było żadnego wypadku. To tylko dzieciaki. Bawią się w duchy, próbują przestraszyć się nawzajem i same się boją. Boją się tych historycznych wideo, tych czarnych twarzy szczerzących z głodu zęby, bo wszystkie twarze w całym ich świecie są miękkie, białe i pulchne.

– Gdy rozum śpi, budzą się demony – powiedziała na głos Estera Rose.

Kiedyś ślęczała w bibliotece nad plikiem „Pomniki sztuki zachodniej”, bo chociaż nie widziała świata ani nawet Spes, zdjęcia widziała, jeśli znajdowały się wystarczająco blisko. Najlepsze były grafiki. Kiedy powiększała je na ekranie, nie zamieniały się w plamy kolorów, ale wciąż miały sens – mocne czarne linie, cienie i plamy światła tworzące kształty. To był Goya. Jakby nietoperze wylatujące z głowy mężczyzny, który spał przy stole zarzuconym książkami, a poniżej biegł napis, znaczący po angielsku: „Gdy rozum śpi, budzą się demony”. To był jedyny język, jaki miała znać. Karaluchy, deszcz, hiszpański – wszystko zostało zmyte. Oczywiście hiszpański był w SI. Wszystko w niej było. Jeżeli się chciało, można się było go nauczyć. Ale jaki miałyby to sens, skoro SI potrafiła przetłumaczyć go na angielski szybciej, niż człowiek zdążył przeczytać lub pomyśleć słowa? Jaki sens miałyby znajomość języka, którym nie posługuje się nikt inny?

Po powrocie do domu zamierzała porozmawiać z Susan o zamieszkaniu w akademiku w Boulder. Zrobi to. Dzisiaj. Po powrocie do domu. Musi się stąd wydostać. W akademiku nie może być gorzej niż w domu. Ich niewiarygodna rodzina, tatuś, mamusia, maluch i siostrzyczka, jak z dwudziestego wieku! Łono w łonie!

A oto macica Rose, kosmiczna bohaterka, idzie po omacku do domu po plastikowej trawie... Dotarła do drzwi, które pod jej dotykiem odsunęły się z sykiem, i widząc, że matka pracuje przy małym kuchennym komputerze, stanęła przed nią bohatersko i powiedziała: – Susan, chcę zamieszkać w akademikach. Myślę, że tak będzie o wiele lepiej. Czy Ike wybuchnie jak supernowa?

Milczenie trwało na tyle długo, że podeszła bliżej i zobaczyła, że matka płacze.

– Ojej, nie chciałam... – zaczęła.

– W porządku. Nie chodzi o ciebie, kochanie. Chodzi o Eddiego.

Brat przyrodni matki był jedynym jej krewnym, jaki pozostał przy życiu. Kontaktowali się poprzez łącza zewnętrzne sieci. Nie za często, ponieważ Ike był bardzo przeciwny osobistym kontaktom z ludźmi na dole, a Susan nie lubiła robić czegoś, o czym nie mogła mu powiedzieć. Powiedziała jednak o tym Esterze, a Estera bardzo ceniła zaufanie matki.

– Choruje? – zapytała, czując mdłości.

– Umarł. Bardzo szybko. To jeden z wirusów RMV. Bella dała znać.

Susan mówiła cicho i zupełnie spokojnie. Estera przez chwilę stała bez ruchu, a potem podeszła do matki i nieśmiało dotknęła jej ramienia. Susan odwróciła się, objęła ją i trzymając się jej, zaczęła głośno szlochać.

– Och, Estero, on był taki dobry, taki dobry, taki dobry! Wszystko zawsze wytrzymywaliśmy razem, wszystkie macochy i przyjaciółki, i te straszne miejsca, w których musieliśmy mieszkać. Ale zawsze było dobrze dzięki Eddiemu. On sprawiał, że było dobrze. Był moją rodziną, Estero. Był moją rodziną!

Może to słowo jednak coś znaczyło.

Matka uspokoiła się i puściła ją.

– Nie możesz powiedzieć Ike'owi? – zapytała Estera, robiąc herbatę.

Susan pokręciła głową.

– Teraz już mnie nie obchodzi, czy wie, że rozmawiałam z Eddiem. A Bella właśnie umieściła w sieci list. Nie rozmawialiśmy.

Estera podała matce herbatę. Susan upiła łyk i westchnęła.

– Chcesz zamieszkać w akademikach... – powiedziała.

Estera skinęła głową z poczuciem winy, że opuszcza matkę.

– Chyba tak. Nie wiem.

– Moim zdaniem to dobry pomysł. W każdym razie spróbuj.

– Naprawdę?... Ale czy on, no wiesz, nie...

– Tak – odparła Susan. – I co z tego?

– Ja chyba naprawdę tego chcę.

– Więc złóż podanie.

– Czy on musi je zaakceptować?

– Nie. Masz szesnaście lat. To wiek rozsądku. Tak mówi kodeks Stowarzyszenia.

– Nie zawsze czuję się rozsądna.

– Poczujesz się. Prawie.

– Tylko że kiedy on zaczyna się zachowywać, jakby musiał wszystko kontrolować, bo inaczej wszystko wymknie się spod kontroli, to ja trochę tracę kontrolę nad sobą.

– Wiem. Ale poradzi sobie z tym. Będzie dumny, że wcześniej podejmiesz Ed-D. Daj mu się wyfukać, to się uspokoi.

Ike je zaskoczył. Nie wyfukał się ani nie wybuchł. Spokojnie wysłuchał prośby Estery.

– Jasne – powiedział. – Po transplantacji oczu.

– Po...?

– Nie chcesz chyba rozpocząć dorosłego życia z poważnym uleczalnym upośledzeniem. To byłoby głupie, Estero. Chcesz niezależności. Potrzebujesz więc niezależności fizycznej. Najpierw zdobądź oczy, a potem lataj. Myślałaś, że spróbuję cię powstrzymać? Córko, chcę widzieć, jak lataasz!

– Ale...

Czekał.

– Jest gotowa? – zapytała Susan. – Czy lekarze powiedzieli coś, czego nie słyszałam?

– Trzydzieści dni przygotowań układu immunologicznego, a potem może przejść podwójną transplantację. Rozmawiałem wczoraj z Dickiem po posiedzeniu Rady Zdrowia.

Jutro może przyjść i wybrać sobie parę.

– Wybrać oczy? – odezwał się Noe. – Okropność!

– A jeśli... a jeśli nie chcę? – zapytała Estera.

– Nie chcesz? Nie chcesz widzieć?

Nie patrzyła na żadne z nich. Matka milczała.

– Uległabyś strachowi, co jest naturalne, lecz niegodne ciebie. I tylko pozbawiłabyś się wielu tygodni albo miesięcy idealnego widzenia.

– Ale kodeks mówi, że osiągnęłam wiek rozsądku. Mogę więc podejmować własne decyzje.

– Oczywiście, że możesz, i tak zrobisz. Podejmiesz rozsądną decyzję. Ufam ci, córko. Pokaż mi, że słusznie.

Przygotowanie układu immunologicznego było prawie tak nieprzyjemne, jak odkażanie. W niektóre dni widziała tylko rurki i maszyny, w inne czuła się na tyle człowiekiem, by się nudzić, a potem cieszyć, kiedy w Ośrodku Zdrowia odwiedzał ją Noe.

– Cześć. Słyszałaś o wiedźmie? W Urban widzieli ją różni ludzie. Zaczęło się od tego niemowlaka, który się zaniepokoił, a potem zobaczyła ją jego matka, a potem całe mnóstwo ludzi. Jest podobno bardzo mała, stara i jakby z Azji, wiesz, bo ma takie oczy jak Yukio i Fred, ale jest pochylona i ma dziwaczne nogi. I chodzi tak sobie, i podnosi z pokładu różne rzeczy, jakby to były śmieci, tylko że tam nic nie ma, i wkłada je do tej swojej torby. A kiedy się idzie w jej kierunku, po prostu znika. I ma te okropne usta bez zębów.

– Czy tę spaloną kobietę też się widuje?

– No, kilka kobiet z Florydy miało spotkanie jakiejś komisji i nagle patrzą, a tu przy stole siedzą ci inni czarni ludzie. Wszystkie na nich spojrzwały, a oni po prostu zniknęli.

– O rety – powiedziała Estera.

– Tata wszedł do tej Komisji Nadzwyczajnej głównie psychologów i oni już to wszystko wyjaśnili masową halucynacją i brakami środowiskowymi, i takimi tam. Wszystko ci opowie.

– Jasne.

– Posłuchaj, Es.

– Nie.

– To znaczy... czy one są... Czy ono jest... Czy oni...

– Tak – odparła. – Najpierw wyjmują stare, potem wkładają nowe, a na końcu robią okablowanie.

– O rety.

– No właśnie.

– Czy naprawdę musiałaś, no, pójść i wybrać...

– Nie. Lekarze wybierają to, co jest najbardziej zgodne genetycznie. Mają dla mnie parę ładnych żydowskich oczu.

– Naprawdę?

– Żartowałam. Może.

– Byłoby świetnie, gdybyś mogła naprawdę dobrze widzieć – powiedział Noe i Estera po raz pierwszy usłyszała w jego głosie chropawość, jakby instrumentu z podwójnym

stroikiem, oboju albo fagotu, pierwsze załamanie.

– Masz tę swoją taśmę z *Satyagrahą*? Chcę jej posłuchać – rzekła Estera.

Oboje byli wielbicielami dwudziestowiecznej opery.

– Nie ma żadnej złożoności intelektualnej – powiedział Noe z charakterystyczną intonacją Ike'a. – Widzę w niej brak myśli.

– Tak, i cała jest w sanskrycie – rzekła Estera.

Noe włączył ostatni akt. Słuchali tenora wznoszącego się po kolejnych skalach. Estera zamknęła oczy. Wysoki czysty głos wciąż się wznosił jak górskie szczyty nad mgłami.

– Możemy żywić nadzieję – powiedział lekarz.

– To znaczy? – zapytała Susan.

– Nie dają gwarancji, Sue – rzekł Ike.

– Dlaczego? To było przedstawiane jako rutynowa operacja!

– W typowej sytuacji...

– To są typowe sytuacje?

– Tak – odparł lekarz. – Ale ta była wyjątkowa. Operacja przebiegła bez żadnych problemów. Podobnie jak przygotowanie układu immunologicznego. Lecz jej reakcja stwarza ryzyko – słabe, ale zawsze – częściowego lub całkowitego odrzucenia.

– Ślepoty.

– Sue, wiesz, że nawet jeśli odrzuci te implanty, mogą spróbować jeszcze raz.

– W gruncie rzeczy implanty elektroniczne mogłyby stanowić lepsze wyjście. Gwarantują funkcje optyczne i dają orientację przestrzenną. A w razie okresów wizualnego zawieszenia są sonarowe opaski na głowę.

– A więc możemy mieć nadzieję – rzekła Susan.

– Ostrożną – powiedział lekarz.

– Pozwoliłam ci to zrobić – powiedziała Susan – pozwoliłam ci to zrobić, a mogłam cię powstrzymać... – Odwróciła się od niego i ruszyła korytarzem.

Miał być w Komorach, właściwie był już spóźniony, ale zamiast zjechać prosto na dół, przeszedł przez Urban do dalej położonych wind. Potrzebował chwili samotności, żeby pomyśleć. Trudno było sobie poradzić z tą całą operacją Estery, zwłaszcza przy tym zjawisku masowej hysterii, a jeśli teraz jeszcze Susan go zawiedzie... Czuł nagłą, dojmującą potrzebę samotności. Nie chciał siedzieć z Esterą, rozmawiać z lekarzami, przekonywać Susan, chodzić na posiedzenia komisji czy słuchać historyków opowiadających o swoich halucynacjach. Chciał być po prostu sam na sam ze swoim ekranem Schoenfeldta, w nocy, w spokoju.

– Spójrz na to – powiedział wysoki mężczyzna, Laxness z NapZew, który zatrzymał się przy Ike'u na Placu Urban i w coś się wpatrywał. – Co dalej? Co według ciebie naprawdę się tu dzieje, Rose?

Ike podążył wzrokiem za spojrzeniem Laxnessa. Zobaczył wysokie fasady Urban z cegły i kamienia oraz chłopca, który przechodził przez korytarz-ulicę.

– Ten dzieciak?

– Tak. Mój Boże. Spójrz na nich.

Dzieciak zniknął, lecz Laxness nadal w coś się wpatrywał. Przełknął ślinę, jakby go

mdliło.

– Już sobie poszedł, Mortenie.

– Oni są chyba z jakiegoś okresu głodu – rzekł Laxness, nie odrywając wzroku od tego, co widział. – Wiesz, na początku myślałem, że to projekcje holowideo, myślałem, że ktoś nam to robi. Ktoś stuknięty z Łączności czy coś.

– Już zbadaliśmy tę możliwość – powiedział Ike.

– Spójrz na ich ręce. Jezu!

– Tam nic nie ma, Mortenie.

Laxness spojrzał na niego.

– Ślepy jesteś?

– Tam nic nie ma.

Laxness wbił w niego wzrok, jakby to Ike był halucynacją.

– Moim zdaniem chodzi tu o nasze poczucie winy – powiedział, oglądając się na to coś, co widział po drugiej stronie Placu. – Ale co mamy robić? Nie rozumiem.

Ruszył nagle do przodu stanowczym krokiem, a potem zatrzymał się i rozejrzał z niespokojną, zawstydzoną miną, jaką Ike tak często widywał u ludzi, których halucynacje właśnie zniknęły.

Przeszedł obok niego. Chciał coś Laxnessowi powiedzieć, ale nie wiedział co.

Kiedy wchodził do podobnego ulicy korytarza, miał dziwne wrażenie przebijania się przez jakąś substancję, a może substancje i obecności, gęsto stłoczone, ale niewstrzymujące go i niewyczuwalne. Czuł liczne niedotykania jak bardzo delikatne wstrząsy elektryczne na rękach i ramionach, oddechy na twarzy, nieuchwytny opór. Szedł dalej, dotarł do wind, zjechał do Komór. Winda była pełna, ale on był jedynym pasażerem.

– Cześć, Ike. Widziałeś już jakieś duchy? – zapytał radośnie Hal Bauerman.

– Nie.

– Ja też. Czuję się trochę wykluczony. Tu masz wydruk szczegółów technicznych sterownika z wprowadzonym nowym materiałem.

– Przed chwilą Mort Laxness coś widział w Urban. Nie nazwałbym go histerykiem.

– Nikt nie histeryzuje, Ike – odezwała się sprzedawczyni Larane Gutierrez. – Ci ludzie tutaj są.

– Jacy ludzie?

– Ludzie z Ziemi.

– Jeśli się nie mylę, wszyscy jesteśmy z Ziemi.

– Mówię o tych, których wszyscy widzą.

– Ja ich nie widzę. Hal też nie. Rod nie...

– Kilkoro widziałem – mruknął Rod Bond. – Nie wiem. To kompletne szaleństwo, Ike, wiem o tym, ale ci wszyscy ludzie, którzy cały dzień kręcili się wczoraj koło Korytarza Pueblo... Wiem, że można przez nich przejść, ale wszyscy ich widzieli – tak jakby prali mnóstwo szmat i wykręcali je z wody. To było jak jakaś stara antrotaśma albo coś.

– Grupowe złudzenie...

– Raczej nie – warknęła Larane piskliwym głosem. Ike pomyślał, że w każdej sprzeczce jej głos kipi złością. – Ci ludzie tutaj są, Ike. I robi się ich coraz więcej.

– A więc statek jest pełen prawdziwych ludzi, przez których można przejść?

– Dobry sposób na umieszczenie mnóstwa ludzi na małej przestrzeni – zauważył Hal z przyklejonym uśmiechem.

– I cokolwiek widzicie, jest oczywiście prawdziwe, nawet jeśli ja tego nie widzę?

– Nie wiem, co widzisz – rzekła Larane. – Nie wiem, co jest prawdziwe. Wiem, że oni tutaj są. Chociaż nie wiem, kim są. Może właśnie tego musimy się dowiedzieć. Ci, których widziałam wczoraj, wyglądali, jakby wywodzili się z jakiejś naprawdę prymitywnej kultury. Mieli na sobie zwierzęce skóry, ale w gruncie rzeczy byli tacy jacyś piękni. Dobrze odżywieni i bardzo czujni. Po raz pierwszy miałam wrażenie, że oni też mogą nas widzieć, a nie tylko my ich, ale nie miałam pewności.

Rod pokiwał głową.

– A więc następnym razem zaczniecie z nimi rozmawiać? „Cześć, witamy w Spes”?

– Na razie trudno się do nich zbliżyć, bo jakby ich nie było, ale ludzie zaczęli do nich podchodzić – odpowiedziała zupełnie poważnie.

– Czy ty słyszysz samą siebie, Larane? – zapytał Ike. – Rod? Posłuchajcie. Gdybym przyszedł do was i powiedział: „Wiecie co? Na pokład teleportowałem się ze swojego latającego spodka trzygłowy obcy z kosmosu... Co jest? Nie widzicie go? Nie widzisz go, Larane? Rod? Nie? Ale ja widzę! I ty też go widzisz, prawda, Hal, widzisz trzygłowego obcego z kosmosu?”.

– Jasne – odparł Hal. – Małego zielonego ludka.

– Wierzycie nam?

– Nie – rzekła Larane. – Bo kłamiecie. A my nie.

– A zatem jesteście obłąkani.

– Dowodem równego obłąkania byłoby zaprzeczanie temu, co widzę ja i inni.

– Wiecie co, to jest naprawdę bardzo interesująca dyskusja ontologiczna – rzekł Hal – ale jesteśmy już dwadzieścia pięć minut spóźnieni ze sprawozdaniem na temat szczegółów technicznych sterownika.

Pracując do późna w nocy w swoim sześcianie, Ike czuł na ramionach i plecach miękkie elektryczne drgania, miał wrażenie stłoczenia, pomruku rozbrzmiewającego poniżej progu słyszalności, zapachu potu albo piżma, albo ludzkiego oddechu. Na minutę ukrył twarz w dłoniach, a potem znowu podniósł wzrok na ekran Schoenfeldta i odezwał się, jakby mówił do niego: – Nie możesz na to pozwolić. To nasza jedyna nadzieja.

Sześcian był pusty, a nieruchome powietrze pozbawione zapachu. Jeszcze chwilę pracował, a potem położył się obok głębokiego, śpiącego milczenia żony. Była od niego tak odległa, jak jakiś inny świat. A Estera leżała w szpitalu w swojej stałej ciemności. Nie, nie stałej. Czasowej. Uzdrowiającej ciemności. Będzie widzieć.

– Co robisz, Noe?

Chłopiec stał nad umywalką i wpatrywał się jak urzeczony w wypełniającą ją do połowy wodę.

– Oglądam złote rybki. Wypłynęły z kranu.

– Pytanie brzmi tak: do jakiego stopnia koncepcja złudzenia dobrze opisuje wspólne doświadczenie z elementami interaktywności?

– Cóż, sama interaktywność może być złudna – rzekł Jaime. – Joanna d’Arc i jej głosy.

Lecz w jego głosie nie było przekonania, więc Helena, która najwyraźniej przejęła

przewodnictwo Komisji Nadzwyczajnej, drażyła dalej: – Co sądzicie o zaproszeniu na to spotkanie kilku naszych gości?

– Chwileczkę – odezwał się Ike. – Mówisz „wspólne doświadczenie”, ale ja go nie podzielam. Podobnie jak inni. Na jakiej więc podstawie twierdzisz, że jest ono wspólne? Jeżeli te widma, ci „goście” są niewyczuwalni, znikają, kiedy się do nich zbliżyć, są niesłyszalni, to nie są gośćmi, tylko duchami, a ty wyzbywasz się racjonalności...

– Przykro mi, Ike, ale nie możesz zaprzeczyć ich istnieniu tylko dlatego, że nie jesteś w stanie ich dostrzec.

– Na jakiej solidniejszej podstawie mógłbym zaprzeczyć ich istnieniu?

– Ale zaprzeczasz, że możemy posłużyć się tą samą podstawą do przyjęcia tego istnienia.

– Brak halucynacji jest uznawany za podstawę do traktowania spostrzeżeń innej osoby jako halucynacji.

– A zatem nazywaj je halucynacjami, chociaż mnie się bardziej podoba określenie „duchy” – powiedziała Helen. – W gruncie rzeczy może ono być dość trafne. Nie umiemy jednak współistnieć z duchami. Nie szkolono nas w tym. Musimy się tego uczyć na bieżąco. I wierz mi: musimy. One nie odejdą. Są tutaj, a „tutaj” też się zmienia. Może mógłbyś być dla nas bardzo użyteczny, Ike, gdybyś tylko zechciał, ponieważ nie jesteś świadom naszych gości i tych zmian. Lecz my, którzy jesteśmy świadomi ich obecności, musimy się dowiedzieć, kim są i skąd się wzięli. Twoje dalsze zaprzeczanie ich istnieniu utrudnia nam pracę, którą usiłujemy wykonać.

– Gdy bogowie chcą kogoś zniszczyć, najpierw odbierają mu rozum – rzekł Ike, wstając od stołu konferencyjnego.

Nikt nic nie powiedział. Wszyscy mieli zażenowane miny i spuszczone wzrok. Ike w milczeniu wyszedł z sali.

Korytarzem CC biegła roześmiana grupa ludzi.

– Przetnijmy im drogę przy przełęczy! – wrzasnął rosły mężczyzna, Stiernen z Inżynierii Lotu, wymachując rękami, jakby miał przed sobą jakiś tłum, a któraś z kobiet krzyknęła:

– To są bizony! To są bizony! Niech pójdą korytarzem C, tam jest więcej miejsca!

Ike szedł prosto przed siebie, patrząc prosto przed siebie.

– Przy drzwiach wejściowych rośnie pnącze – powiedziała Susan w trakcie śniadania tonem tak spokojnym, że przez chwilę Ike nie zwrócił na to uwagi, tylko się ucieszył, że w końcu żona mówi normalnie. Lecz po chwili zaczął: – Sue...

– Co ja mogę na to poradzić, Ike? Czego chcesz? Chcesz, żebym kłamała, żebym nic nie mówiła, udawała, że nie rośnie tam żadne pnącze? Ale rośnie. Wygląda jak czerwona fasola wielokwiatowa. Rośnie.

– Pnącza rosną w ziemi, Sue. Na Ziemi. W Spes nie ma ziemi.

– Wiem.

– Jak możesz jednocześnie o tym wiedzieć i temu zaprzeczać?

– To się cofa, tato – odezwał się Noe swoim nowym, lekko chropowatym głosem.

– Co się cofa?

– No, najpierw byli ludzie. Wszystkie te dziwaczne staruszki i kaleki, i w ogóle, pamiętasz, a potem ci inni ludzie. A potem pojawiły się zwierzęta, a teraz rośliny i w ogóle. O rety, wiedziałaś, że w zbiornikach widziano wieloryby?

Roześmiała się.

– Ja tylko widziałam konie na Błoniu.

– Były naprawdę ładne – rzekł Noe.

– Ja ich nie widziałem – stwierdził Ike. – Nie widziałem koni na Błoniu.

– Było ich dużo. Ale nie pozwalały się do siebie zbliżyć. Chyba były dzikie. Niektóre miały bardzo ładne plamki. Nina powiedziała, że to rasa Appaloosa.

– Nie widziałem koni – powtórzył Ike, a potem ukrył twarz w dłoniach i się rozplakał.

– Oj, tato – usłyszał głos Noego, a potem Susan:

– W porządku, No. W porządku. Idź do szkoły. Wszystko w porządku, kochanie.

Syknęły drzwi. Położyła mu ręce na głowie, przyglądała włosy, a potem przeniosła dłonie na ramiona, łagodnie nim kołysząc.

– W porządku, Ike...

– Nie, nic nie jest w porządku. Wszystko oszalało. Wszystko jest zniszczone, zniszczone i zmarnowane, nie tak, jak miało być. Poszło nie tak.

Susan przez długi czas milczała, masując Ike'owi ramiona. W końcu powiedziała:

– Na samą myśl o tym ogarnia mnie przerażenie, Ike. To wygląda na coś nadprzyrodzonego, a moim zdaniem nadprzyrodzone nie istnieje. Ale kiedy nie myślę o tym w takich kategoriach, tylko na to patrzę, patrzę na ludzi i konie, i na to pnącze przy drzwiach, to ma to sens. Jak mogliśmy pomyśleć, że możemy tak po prostu się wynieść? Kim niby jesteśmy? My tylko wzięliśmy z sobą nas samych... Te konie i wieloryby, i stare kobiety, i chore dzieci... One są nami, a my jesteśmy nimi. One tu są.

Przez chwilę nic nie mówił, w końcu głęboko odetchnął.

– A więc tak. Płyn z prądem. Przyjmij to, czego nie da się wyjaśnić. Uwierz, bo to nie do uwierzenia. Kogo w ogóle obchodzi zrozumienie? Komu jest ono potrzebne? Niektóre sprawy mają o wiele większy sens, jeśli się o nich nie myśli. Może wszyscy moglibyśmy się poddać lobotomii i naprawdę uprościć sobie życie.

Zdjęła ręce z jego ramion i się odsunęła.

– Po lobotomii możemy sobie wszczepić elektroniczne implanty mózgu – powiedziała – i nosić sonarowe opaski. Żebyśmy nie wpadali na duchy. Czy odpowiedzią na wszystkie nasze problemy jest operacja?

Wtedy się odwrócił, ale stała plecami do niego.

– Idę do szpitala – powiedziała i wyszła.

– Hej! Uwważaj! – krzyknęli.

Nie wiedział, co takiego widzieli na jego drodze – stado owiec, grupę nagich roztańczonych dzikusów czy bagno porośnięte cyprysnikami – ale mało go to obchodziło. Widział Błonie, korytarze, sześciany.

Wrócił Noe, żeby zmienić ubranie, które jego zdaniem pobrudził błotem, grając w piłkę nożną na ziemi pokrywanej całą astrotrawę na Błoniu, lecz Ike szedł po plastikowej trawie w pozbawionym pyłu i drobnoustrojów powietrzu. Przeszedł przez wielkie, mające po dwadzieścia metrów wiązy i kasztanowce, a nie obok nich. Podszedł do wind, powcisnął guziki i wszedł do Ośrodka Zdrowia.

– Oj, ale Estera została wypisana dziś rano! – powiedziała z uśmiechem pielęgniarka.

– Wypisana?

– Tak. Z samego rana przyszła ta mała czarna dziewczynka z karteczką od twojej żony.

– Mogę zobaczyć tę karteczkę?

– Jasne. Jest w jej aktach, zaczekaj chwilkę...

Podawała mu notatkę. Nie napisała jej Susan. Pokrywały ją gryzmoły Estery i była zaadresowana do Izaaka Rose'a. Rozłożył ją.

Wybieram się na jakiś czas w góry.

Kocham Cię,

Stał przed Ośrodkiem Zdrowia i patrzył na korytarze. Biegły na lewo, na prawo i prosto. Miały dwa metry dwadzieścia centymetrów wysokości i dwa metry sześćdziesiąt centymetrów szerokości, były pomalowane na jasnobezowy kolor, a na szarych podłogach ciągnęły się kolorowe paski. Niebieskie paski kończyły się pod drzwiami Ośrodka Zdrowia albo się pod nimi zaczynały, koniec i początek to to samo, ale białe strzałki, wtopione co trzy metry w niebieskie paski, wskazywały na Ośrodek Zdrowia, a nie w przeciwną stronę, więc pasek kończył się tu, gdzie Ike stał. Podłogi były jasnoszare z wyjątkiem kolorowych pasków, idealnie gładkie i prawie równe, bo w Obszarze 8 krzywizna Spes była ledwie zauważalna. Światło padało z paneli rozmieszczonych co pięć metrów w sufitach korytarzy. Znał wszystkie odległości, wszystkie dane, wszystkie materiały, związki. Miał je wszystkie w głowie. Myślał o nich całymimi latami. Opracował je. Zaplanował. Nikt nie mógł się zgubić w Spes. Wszystkie korytarze prowadziły do znanych miejsc. Docierało się do nich, idąc za strzałkami w kolorowych paskach. Jeżeli przeszło się wszystkie korytarze i użyło się wszystkich wind, to nie można się było zgubić i zawsze trafiało się bezpiecznie do punktu wyjścia. I nigdy się nie potykało, bo wszystkie podłogi były zrobione z wypolerowanego metalu pomalowanego na jasnoszary kolor, a do miejsca docelowego prowadziły kolorowe paski i białe strzałki.

Ike postąpił dwa kroki, potknął się i runął do przodu. Pod dłońmi czuł coś szorstkiego, nieregularnego, coś, co sprawiało ból. Z gładkiej metalowej podłogi sterczała skała. Była ciemnobura z białymi żyłkami, poznaczona wgłębieniami i pęknięciami. Przy dłoniach Ike'a porastała ją plama żółtawych porostów. Ike podniósł rękę, żeby przyjrzeć się bolącemu nadgarstkowi. Otarł sobie skórę, kiedy upadł na kamień. Zlizał z niej ciekłą warstewkę krwi i spojrzał na skałę, a potem wybiegł wzrokiem dalej. Zobaczył jedynie korytarz. Dopóki jej nie znajdzie, zgodzi się tylko na skałę. Na skałę i smak własnej krwi. Wstał.

– Estero!

Jego głos poniósł się cichym echem po korytarzach.

– Nic nie widzę, Estero. Pokaż mi, jak mam widzieć!

Żadnej odpowiedzi.

Ruszył ostrożnie z miejsca, obszedł skałę i zaczął iść przed siebie. Droga była daleka i Ike nie był pewien, czy nie zabłądził. Nie wiedział, gdzie jest, chociaż ścieżka wznosiła się coraz bardziej stromo i było coraz trudniej iść, a powietrze zaczęło się robić coraz bardziej rozrzedzone i zimne. Nie miał pewności co do niczego, aż usłyszał głos matki, która zapytała dość ostrym tonem: – Izaaku, kochanie, nie śpisz?

Odwrócił się i zobaczył, że siedzi obok Estery na bryle granitu przy stromym, zapyłonym szlaku. Za nimi, po drugiej stronie wielkiej głębokiej zatoki powietrza, lśniły ośnieżone szczyty. Estera spojrzała na niego. Jej oczy też były przejrzyste, lecz czarne.

– Teraz możemy zejść – powiedziała.

Wejście północną ścianą

Z dziennika Simona Interthwaite'a z pierwszej wyprawy na Lovejoy Street

21.02. Robert dotarł do obozu bazowego z pięcioma Szerbetami. Przyniósł kilka egzemplarzy „Timesa” z zeszłego miesiąca, które ochoczo pochłonęliśmy. Nasz zespół jest teraz w komplecie. Jutro robimy rekonesans. Pogoda się utrzymuje.

22.02. Towarzyszyliśmy grupie robiącej rekonesans aż do przełęczy pod Werandą, a potem zawróciliśmy. Wiatr w porywach do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale pogoda się utrzymuje. Wieczorem Peter nadał przez radio wiadomość z obozu na Werandzie, że wszystko w porządku.

Szerbeci śpiewają przy swoich ogniskach.

23.02. Przygotowujemy się. Wzmocniliśmy mocowanie gosseli. Pogoda się utrzymuje.

24.02. Z łatwością dotarłem do obozu na Werandzie po jednodniowej wspinaczce. Trudny fragment w miejscu połączenia kratki, gzymsu i rynny, ale grupa rekonesansowa zostawiła linę, więc pokonaliśmy okap bez wielkich trudności. Omu Ba skoczył z rozbiegu i przybył wcześniej od pozostałych członków grupy. Pomysłowe, lecz wbrew zasadom. Zły przykład dla innych Szerbetów. Obóz na Werandzie jest równy, suchy, osłonięty, o wiele wygodniejszy od bazy. Dobrze jest wydostać się z tych niekończących się rododendronów. W nocy śnieg.

25.02. Unieruchomieni przez śnieg.

26.02. Bez zmian.

27.02. Bez zmian. Skończyliśmy ostatnie strony „Timesa” (ogłoszenia).

28.02. Derek, Nigel, Colin i ja wyruszyliśmy w górę w oslepiającym śniegu i wietrze, żeby wytyczyć trasę i wbić pigile. Widoczność bardzo słaba. Nigel jęczał.

Zawróciliśmy w południe, dotarliśmy do obozu na Werandzie trzy godziny po południu.

29.02. Zacinający deszcz i porywisty wiatr. Omu Ba pijany od 27.02. Czym się upił? Stwierdzono małą ilość alkoholu do prymusa. Pomysłowe, lecz wbrew zasadom. W tych okolicznościach reprimenda utrudniona.

30.02. Robert wspiał się dzięki linie aż do północno-wschodniego Okapu. Zmuszony zawrócić z powodu strachu Szerbetów przed mieszkańcami. Zabobon nie do pokonania. Musimy zrezygnować z planów związanych z tą drogą i wyruszyć prosto do Rynny. Nie wytrzymamy dłużej stłoczeni tu w obozie, bez gazet. W naszym namiocie nie ma miejsca dla sześciu mężczyzn i słyszymy, jak szesnastu Szerbetów bez przerwy kłóci się w swoich namiotach. Widzę teraz, że grupa jest zbyt liczna, mimo że niektórzy jej członkowie mają mniej niż sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Wystarczyłoby dziesięciu starannie

dobranych ludzi. Przez cały dzień zerowa widoczność. Śnieg, deszcz, wiatr.

31.02. Grad, deszcz ze śniegiem, mgła. Zaginęło trzech Szerbetów.

01.03. Skończył się bovril. Derek bardzo przygnębiony.

04.03. Podczas śnieżycy nie pisałem. Dzisiaj jasne słońce, bez wiatru. Na niższych elewacjach śnieg oslepiający, stąd nie widzimy wysokich partii. Szerbeci wrócili po niewyjaśnionej nieobecności z ovaltine. Nastroje bardzo dobre. Cały dzień wykopujemy się i szykujemy do jutrzejszego wejścia (dwie grupy).

05.03. Sukces! Jesteśmy na Dachy Werandy! Oszalającym widok. Na południowym wschodzie wyraźnie widoczny nieosiągnięty szczyt 2618. Druga grupa (Peter, Robert, ośmiu Szerbetów) jeszcze tam nie dotarła. Wystawiony na działanie wiatru, odsłonięty obóz na stromym stoku. Gonty śliskie od deszczu i śniegu.

06.03. Nigel i dwóch Szerbetów zeszło na północną krawędź, żeby spotkać się z drugą grupą. Wrócili o czwartej po południu, nie zobaczywszy jej. Zapewne coś ich zatrzymało w obozie na Werandzie. Niepokój. Radio milczy. Wiatr się wzmacnia.

07.03. Colin naciągnął ramię, wspinając się po linie do Okna. Głupi, dziecinny figiel. Bez względu na to, czy są mieszkańcy, czy nie, Szerbeci stanowczo żądają, żeby im nie przeszkadzać. Ani śladu drugiej grupy. Przekazy radiowe enigmatyczne, stałe zakłócenia stacji Muzyka Country. Wietrznie, ale utrzymuje się bezchmurna pogoda.

08.03. Jeśli pogoda się utrzyma, postanowiliśmy jutro iść na szczyt. Naprawiliśmy mogle, wymieniliśmy zużyte uchwyty na pigile. Szerbeci się nie angażują.

09.03. Jestem sam na Wysokim Dachy.

Nikt inny nie chce kontynuować wspinaczki. Colin i Nigel będą na mnie czekać trzy dni w obozie na Dachy Werandy; Derek i czterech Szerbetów zaczęli schodzić do bazy. Wyruszyłem z dwoma Szerbetami o piątej przed południem. Piękny wschód słońca, na wschodzie, o siódmej zero cztery rano. Wspinaliśmy się bez przerwy cały dzień. Trudny fragment przy ostatnim Okapie. Szerbeci bardzo dzielni. Omu Ba powiedział, huśtając się na linie: „Proszę podziwiać piękny widok, panie!”. Przybyłem do obozu na Wysokim Dachy wyczerpany, lecz trzech Szerbeci z grupy rekonesansowej już rozbili namioty i przygotowali ovaltine. Stok tak stromy, że mogę się stoczyć we śnie!

Szerbeci śpiją w swoim namiocie. Nade mną ostry Szczyt i Komin wznoszący się pionowo w tle gwiazd.

To jest ostatni wpis w dzienniku Simona Interthwaite'a. Czterech z pięciu Szerbetów, którzy byli z nim w obozie na Wysokim Dachy, po trzech dniach wróciło do bazy. Przynieśli z sobą dziennik, dwie czyste kamizelki i tubkę pasty z anchois. Ich informacje o jego losie były nieskładne. Zespół Interthwaite'a zrezygnował z próby wejścia na północną ścianę przy Lovejoy Street 2647 i wrócił do Kalkuty.

W 1980 roku japoński zespół pracowników Izutsu z czterema Szerbetami jako przewodnikami zaatakował szczyt północną trasą, zjeżdżając na linach wzdłuż Okien Gabinetu i wbijając karabinki aż do samego Okapu. Protest mieszkańców był nieskuteczny.

Jeszcze nikt nie wspiął się na Komin.

Kamień, który wszystko zmienił

Nurobl imieniem Bu, pracująca pewnego dnia ze swoim zespołem na stercie głazów Kolegium Obling, znalazła kamień, który wszystko zmienił.

Tam, gdzie mieszkają oble, brzegi rzeki są skaliste. Głazy, duże kamienie, małe kamienie, kamyki i żwir leżą w stertach lub ciągną się całymi kilometrami wzdłuż rzeki. Miasta obli są zbudowane z kamienia; mięsne uczyty oble przygotowują z upolowanych królików skalnych. Nuroble zaś zbierają rozchodnik i porosty na zwykłe dania, budują domy i kolegia i utrzymują w nich czystość, ponieważ brak porządku sprawia, że oble robią się nerwowe i niezadowolone.

Serce miasta obli stanowi jego kolegium, a dumą każdego kolegium są jego tarasy, które schodzą do rzeki. Kamienie na tarasach są ułożone według wielkości: głazy tworzą zewnętrzne ściany, wewnątrz nich znajdują się rzędy dużych kamieni, dalej nasypy z małych kamieni, a w końcu wewnętrzne tarasy z kamyków ułożonych w żwirze w skomplikowane mozaiki i wzory. Po tarasach spacerują i przesiadują na nich w długie, ciepłe dni oble, paląc w fajkach ze steatytu liście ta i rozprawiając o historii, historii naturalnej, filozofii i metafizyce. Jeśli kamienie są ułożone według kształtu i wielkości, a wzory wyraźne i czyste, oble zachowują spokój umysłu i mogą oddawać się rozmyślaniom. Po rozmowach na tarasach najmądrzejsze stare oble wchodzą do kolegiów i spisują najważniejsze myśli i słowa w rejestrach, księgach równo ustawionych na półkach kolegijskich bibliotek.

Kiedy wczesną wiosną rzeka przybiera i zalewa tarasy, przesuając głazy, wymywając żwir i powodując wielki nieporządek, oble przebywają w kolegiach. Czytają tam rejestry, dyskutują i nanoszą przypisy, planują nowe wzory na tarasy, uczują i palą. Ich nury gotują i usługują podczas uczt oraz utrzymują w czystości pomieszczenia kolegiów. Kiedy tylko woda opada, zaczynają sortować kamienie i porządkować tarasy. Śpieszą się, ponieważ nieporządek po powodziach sprawia, że oble robią się bardzo nerwowe, a kiedy są nerwowe, biją i gwałcą nury bardziej brutalnie niż zwykle.

Tego roku wiosenne powodzie przerwały mur z głazów otaczający miasto Obling i zostawiły na tarasach gałęzie, kawałki drewna i inne śmieci, a także uszkodziły albo zniszczyły wiele wzorów. Tarasy Kolegium Obling słyną z idealnego porządku i złożonego piękna ich kamiennych wzorów. Słynne oble spędziły całe lata swojego życia na projektowaniu ich i wybieraniu kamieni; podobno jeden wielki projektant, Aknegni, własnymi rękami doskonalił swoje dzieło. Jeżeli z takiego wzoru ginie choćby jeden kamyk, nuroble spędzają całe dni na szukaniu innego, który miałby taki sam kształt i wielkość. Takie właśnie zadanie miała nurobl imieniem Bu oraz jej zespół, kiedy natknęła

się na kamień, który wszystko zmienił.

Kiedy trzeba znaleźć kamienie zastępcze, nury pracujące przy stertach gładów często sporządzają roboczą kopię odpowiedniego fragmentu mozaiki z tarasu, żeby mogły sprawdzać, czy znalezione kamienie do niej pasują bez noszenia ich aż na samą górę na wewnętrzne tarasy. Gdy Bu ułożyła znaleziony kamień w próbnym wzorze i wpatrywała się w niego, by nabrać pewności, że pasuje wielkością i kształtem, uderzyła ją cecha kamienia, której nie zauważała nigdy przedtem: kolor. Kamyki z tej części wzoru były duże i owalne, szerokie na dłoń i ćwierć i długie na dłoń i pół. Kamień, który Bu właśnie umieściła w próbnym wzorze, był idealnym ćwierć-półowalem, zatem pasował doskonale; lecz podczas gdy inne kamienie miały głównie ciemny, niebieskawoszary kolor, nowy kamień był jaskrawoniebieskozielony z plamkami jaśniejszej nefrytowej zieleni.

Bu oczywiście wiedziała, że kolor kamienia nie ma najmniejszego znaczenia, że jest przypadkową i błahą cechą, niemającą żadnego wpływu na prawdziwy wzór. Mimo wszystko patrzyła na ten niebieskozielony kamień z dziwnym zadowoleniem. W końcu pomyślała: „Ten kamień jest piękny”. Nie patrzyła, tak jak powinna, na cały wzór, lecz na ten jeden kamień, którego kolor był podkreślony przez nijaką barwę innych. W jej głowie zrodziły się dziwne myśli: „Ten kamień jest ważny. Ma znaczenie. To jest słowo”. Wzięła go do ręki i uważnie przyjrzała się próbnemu wzorowi.

Pierwotny wzór, ten na tarasie, nazywał się wzorem dziekana na cześć dziekana kolegium Festla, który planował tę część tarasów. Kiedy Bu umieściła niebieskozielony kamień we wzorze, nadal przyciągał jej wzrok kolorem, odwracając uwagę od wzoru, lecz nie umiała dostrzec w nim żadnego znaczenia.

Zaniosła go brygadziście i zapytała, czy nur widzi w tym kamieniu coś nieprawidłowego, dziwnego albo szczególnego. Brygadzista popatrzył w zamyśleniu na kamień, lecz w końcu otworzył szeroko oczy, co oznaczało odpowiedź negatywną.

Bu zaniosła kamień na wewnętrzne tarasy i umieściła go w odpowiednim miejscu. Dokładnie pasował do wzoru dziekana; miał idealny kształt i wielkość. Lecz kiedy Bu cofnęła się, by przyjrzeć się wzorowi, pomyślała, że właściwie nie przypomina on już wzoru dziekana. Nie chodziło o to, że nowy kamień go zmienił; on po prostu dopełnił wzór, z którego istnienia Bu nie zdawała sobie do tej pory sprawy: wzór kolorów, niemający prawie lub wcale żadnego związku z opartym na kształcie i wielkości układem dziekana. Nowy kamień dopełniał spiralę niebieskozielonych kamieni, ułożoną wewnątrz pola zachodzących na siebie równoległoboków z ćwierć-półowali, które tworzyło środek wzoru Festla. Większość tych niebieskozielonych kamieni Bu ułożyła w ciągu minionych kilku lat; lecz spiralę rozpoczął jakiś inny nur, zanim Bu dostała awans do wzoru dziekana.

Właśnie wtedy dziekan Festl wyszedł na wiosenne słońce z zardzewiałą strzelbą na ramieniu i fajką w ustach, z zadowoleniem patrząc na przywracanie porządku naruszonego przez powódzie. Dziekan był miły i stary, i nigdy nie zgwałcił Bu, chociaż często ją poklepywał. Bu zebrała się na odwagę, ukryła oczy i powiedziała:

– Panie dziekanie! Czy pan dziekan zechciałby w swojej wiedzy objaśnić mi werbalne znaczenie tego fragmentu prawdziwego wzoru, który właśnie naprawiłam?

Dziekan Festl zatrzymał się, może odrobinę niezadowolony, że przeszkadzono mu w medytacji; widząc jednak, że młoda nur tak skromnie przykucnęła i ukryła wszystkie oczy, poklepał ją wyrozumiale i powiedział:

– Oczywiście. Tę podsekcję mojego wzoru można odczytać na najprostszym poziomie

jako „Umieszczam kamienie pięknie” albo „Umieszczam kamienie w doskonałym porządku”. Istnieje oczywiście immanentne postwerbalne znaczenie wyższego poziomu oraz Niewymowne Arkana. Nie zaprzętaj jednak sobie tym główki!

– Czy można znaleźć znaczenie w kolorach kamieni? – zapytała nur uległym tonem.

Dziekan znowu się uśmiechnął i poklepał ją w różnych miejscach.

– Któż wie, co się dzieje w głowach nurów! Kolor! Znaczenie w kolorze! Zmykaj już, nurblitko. Wykonałaś tu bardzo ładną naprawę. Bardzo staranną, bardzo przyjemną.

I ruszył dalej spacerowym krokiem, pykając z fajki i rozkoszując się wiosennym słońcem.

Bu wróciła do sterty gładów, by wybierać kamienie, ale w głowie jej się kłębiło.

Całą noc śnił się jej niebieskozielony kamień. We śnie przemówił i kamienie ułożone wokół niego we wzorze też zaczęły mówić. Kiedy Bu się jednak obudziła, nie pamiętała wypowiedzianych przez nie słów.

Słońce jeszcze nie wstało, ale nury już tak, i Bu porozmawiała z kilkoma współmieszkańcami gniazda oraz znajomymi z pracy, kiedy karmili i czyścili blity oraz z pośpiechem jedli śniadanie, składające się z zimnych smażonych porostów.

– Chodźcie teraz na tarasy, zanim wstaną oble – powiedziała. – Chcę wam coś pokazać.

Bu miała wielu znajomych i na tarasy poszło za nią na górę osiem czy dziewięć nurów, niektóre z blitami przy piersi albo trzymając je za rączki.

– Co tym razem wymyśliła ta Bu?! – mówili między sobą ze śmiechem.

– A teraz popatrzcie – rzekła Bu, kiedy wszyscy znaleźli się na tej części wewnętrznego tarasu, którą zaprojektował dziekan Frestl. – Popatrzcie na te wzory. I popatrzcie na kolory kamieni.

– Kolory nie mają znaczenia – powiedział jeden nur, a potem inny:

– Kolory nie są częścią wzoru, Bu.

– A gdyby były? – zapytała Bu. – Tylko spójrzcie.

Nury, przywykłe do milczenia i posłuszeństwa, spojrzały.

– No proszę – powiedział jeden z nich po chwili. – Zdumiewające, prawda?

– Spójrzcie na to – odezwał się przyjaciel Bu, Ko. – Ta niebieskozielona spirala przewija się przez cały wzór dziekana! A wokół żółtego piaskowca jest pięć czerwonych hematytów – jak kwiat.

– Ten cały fragment z brązowego bazaltu... on przecina... przecina prawdziwy wzór, prawda? – powiedziała mała Ga.

– Tworzy inny wzór. Odmienny – rzekła Bu. – Może immanentny wzór o niewymownym znaczeniu?

– Oj, daj sobie spokój, Bu – powiedział Ko. – Jesteś profesorem czy co?

Inni się roześmiali, lecz Bu była zbyt podekscytowana, żeby zrozumieć, że jest zabawna.

– Nie – powiedziała poważnie. – Ale spójrzcie na ten niebieskozielony kamień, tutaj, na samym końcu spirali.

– Serpentynit – stwierdził Ko.

– Tak, wiem. Ale jeśli wzór dziekana coś znaczy... Powiedział, że ten fragment znaczy „Umieszczam kamienie pięknie”... Czy ten niebieskozielony kamień mógłby być jakimś innym słowem? Z innym znaczeniem?

– Jakim znaczeniem?

– Nie wiem. Myślałam, że może wy wiecie.

Bu spojrziała z nadzieją na Una, starszego nura, który wprawdzie w młodości okulał po tym, jak porwała go lawina kamienna, ale tak dobrze dbał o delikatne wzory, że obdarowały mu życie. Un wpatrzył się w niebieskozielony kamień i na zagiętą linię niebieskozielonych kamieni i w końcu powiedział powoli:

– To mogłoby znaczyć „Nur umieszcza kamienie”.

– Jaki nur? – zapytał Ko.

– Bu – odparła mała Ga. – To ona położyła ten kamień.

Bu i Un szeroko otworzyli oczy na znak przeczenia.

– Wzory nic nigdy nie mówią o nurach! – rzekł Ko.

– Może wzory z kolorów mówią – powiedziała Bu, z emocji bardzo szybko mrugając.

– „Nur” – powiedział Ko, podążając wzrokiem wszystkich trojga oczu za niebieskozieloną zagiętą linią. – „Nur umieszcza kamienie pięknie w nieokiełznanej pętłowatości”. Ojej! O co tu chodzi? – Czytał dalej wzdłuż krzywizny: – „W nieokiełznanej pętłowatości zapo”, co to znaczy? Aha, „zapowiadając to, co widziane”.

– „Wizję” – podsunął Un. – „Wizję...”. Nie znam tego ostatniego słowa.

– Czy wy to wszystko widzicie w kolorach kamieni? – zapytała ze zdumieniem Ga.

– We wzorze kolorów – odparła Bu. – One nie są przypadkowe. Nie są pozbawione znaczenia. Cały czas umieszczaliśmy je tu we wzorach, nie tylko tych, które projektują oble, ale w innych, wzorach nurów z nowymi znaczeniami. Spójrzcie... Spójrzcie na nie!

Ponieważ nawykli do milczenia i posłuszeństwa, wszyscy stali i patrzyli na wzory na wewnętrznych tarasach Kolegium Obling. Ujrzeni, jak kamyki i większe kamienie ułożone pod kątem ich kształtu i wielkości tworzą kwadraty, prostokąty, trójkąty, dwunastościany, zygzaki i prostoliniowe piękne harmonijne i znaczące wzory. I ujrzeni, jak kamienie ułożone ze względu na kolor stworzyły inne wzory, mniej skończone, często zaledwie naszkicowane lub zaznaczone – koła, spirale, owale i skomplikowane krzywoliniowe labirynty o wielkim i trudnym do uchwycenia pięknie i znaczeniu. Tak więc długa pętla białych kwarcytów przecinała podwójną prostą linię z kamieni o średnicy ćwierci dłoni, a równoległoboczny fragment z piaskowców o średnicy pół dłoni sprawiał wrażenie elementu długiego bladożółtego półksiężyca.

Znajdowały się tam oba wzory. Czy jeden znosił drugi, czy oba stanowiły nawzajem swoje części? Trudno było zobaczyć je naraz, lecz nie było to niemożliwe.

Po długiej chwili mała Ga zapytała:

– Czy zrobiliśmy to wszystko, nawet nie wiedząc, że to robimy?

– Ja zawsze patrzyłem na kolor kamieni – rzekł cicho Un ze spuszczonego wzrokiem.

– Ja też – powiedział Ko. – I na żyłkowanie i fakturę. To ja zapoczątkowałem ten wężykowaty fragment w Kryształowych Kątach. – Pokazał na bardzo starą i słynną część tarasu, zaprojektowaną przez wielkiego OholothLa. – W zeszłym roku, po późnej powodzi, kiedy utraciliśmy tak wiele kamieni ze wzoru... Pamiętacie? Przyniosłem dużo ametystów z Jaskiń Ubi. Uwielbiam fiolet! – skończył butnym tonem.

Bu spojrziała na koło z małych gładkich turkusów umieszczone w rogu zestawu zazębiających się prostokątów.

– Ja lubię niebieskozielony – szepnęła. – Ja lubię niebieskozielony, on lubi fiolet. Widzimy kolory kamieni. Tworzymy wzór. Tworzymy wzór pięknie.

– Jak myślicie, powinniśmy powiedzieć profesorom? – zapytała z podnieceniem w głosie mała Ga. – Mogliby nam dać dodatkowe jedzenie.

Stary Un bardzo szeroko otworzył wszystkie oczy.

– Ani słowa o tym profesorom! Oni nie lubią zmian we wzorach. Przecież wiecie. Robią się od tego nerwowi. Mogliby się zdenerwować i nas ukarać.

– Nie boimy się – wyszeptała Bu.

– Nie zrozumieliby – powiedział Ko. – Oni nie patrzą na kolory. Nie słuchają nas. A gdyby nawet słuchali, to wiedzieliby, że to tylko nurowe gadanie bez znaczenia, prawda? Ale ja wracam do Jaskiń po więcej ametystów i skończę ten wężykowaty fragment. – Pokazał na Kryształowe Kąty, gdzie naprawy ledwie się zaczęły. – Nawet go nie zauważą.

Rozkapryszony blit małej Ga, syn profesora Endla, wykopywał kamyki z Lepszego Trójkąta i trzeba było dać mu klapsa.

– Och, to cały oblilit! – westchnęła Ga. – Nie wiem, jak sobie z nim radzić.

– W następnym roku pójdzie do szkoły – zauważył oschle Un – tam już będą wiedzieli, jak z nim postępować.

– Ale co ja zrobię bez niego? – rzekła Ga.

Słońce stało już wysoko na niebie i profesorowie wyglądali z okien swoich sypialni na tarasy. Nie spodobałby im się widok wałęsających się nurów, a małe blity miały oczywiście absolutny zakaz wstępu do kolegium. Bu wraz z innymi pospiesznie wróciła do gniazd i warsztatów.

Tego samego dnia Ko poszedł do Jaskiń Ubi, a Bu poszła razem z nim; wrócili z workami pięknych ametystów i przez kilka dni pracowali nad ukończeniem tego wężykowatego fragmentu, który nazwali Fioletowymi Falami, naprawiając Kryształowe Kąty. Ko pracował radośnie, śpiewał i żartował, a w nocy kochał się z Bu. Ale Bu nadal była czymś pochłonięta. Wciąż badała wzory kolorów na tarasach; znajdowała ich coraz więcej, a w nich coraz więcej znaczeń i idei.

– Czy one wszystkie są o nurach? – zapytał stary Un.

Artretyzm nie pozwalał mu wchodzić na tarasy, ale Bu codziennie zdawała mu relację ze swoich odkryć.

– Nie, większość z nich jest i o oblach, i o nurach. I o blitach. Ale zrobiły je nury. Więc są odmienne. Wzory obli tak naprawdę nigdy nie są o nurach. Tylko o oblach i o tym, co oni myślą. Ale kiedy zaczyna się czytać kolory, wychodzą bardzo ciekawe sprawy!

Bu była tak podekscytowana i elokwentna, że inne nury z Oblingu też zaczęły badać wzory kolorów i uczyć się odczytywać ich znaczenia. Rozprzestrzeniło się to na inne gniazda, a wkrótce na inne miasta. Niedługo wszędzie nad rzeką nury odkrywały, że ich tarasy też są pełne szalonych wzorów z kolorowych kamieni i zaskakujących przekazów, dotyczących obli, nurów i blitów. Ale wiele nurów martwiło się tym wszystkim i stanowczo nie chciało dopatrywać się wzorów w kolorach albo uznać, że kolor kamienia może mieć jakiegokolwiek znaczenie. „Oble polegają na nas, że niczego nie będziemy zmieniać – mówiły. – Jesteśmy ich nuroblami. Liczą, że będziemy dbać o ich wzory, pilnować, żeby blity były cicho, i utrzymywać porządek, żeby oble mogły wykonywać ważną pracę. Jeżeli zaczniemy wymyślać nowe znaczenia, zmieniać sytuację, zakłócać wzory, to do czego to doprowadzi? To nieuczciwe wobec obli”.

Ale Bu nie chciała tego słuchać; była zbyt zajęta swoim odkryciem. Już nie słuchała w

milczeniu. Mówiła. Chodziła po warsztatach i mówiła. Aż pewnego wieczoru zebrała się na odwagę, włożyła na szyję rzemyk z idealnym wypolerowanym turkusem, który nazywała swoim osobokamieniem, i weszła na tarasy. Przecięła je, idąc wśród zaskoczonych profesorów, i podeszła do mozaiki Rektoratu, gdzie rektorka Astl, słynna uczona, przechadzała się samotnie ze starą strzelbą przewieszoną przez plecy, pogrążona w medytacji i spowita kłębamii dymu z kopcącej fajki. W tak świętej chwili nawet pełnoprawny profesor nie odważyłby się jej przeszkodzić. Lecz Bu podeszła prosto do niej, przykucnęła, zakryła oczy i powiedziała drżącym, lecz wyraźnym głosem:

– Pani rektorko! Czy pani rektorka zechciałaby w swojej uprzejmości odpowiedzieć na moje pytanie?

Rektorka była naprawdę zdumiona takim zachowaniem. Zwróciła się do najbliższego profesora i powiedziała:

– Ta nur oszalała. Proszę kazać ją usunąć.

Bu została skazana na dziesięć dni więzienia i gwałcenie przez studentów, kiedy tylko mieli na to ochotę, a następnie na sto dni w kamieniołomach, skąd wydobywano kamienne płyty. Kiedy wróciła do gniazda, była w ciąży po jednym z gwałtów i dość chuda od pracy w kamieniołomach, lecz wciąż miała na szyi swój turkus. Przywitali ją wszyscy współmieszkańcy gniazda i znajomi z pracy, śpiewając piosenki, które ułożyli ze znaczeń kolorowych wzorów na tarasach. Ko pocieszał ją czule tej nocy i zapewnił, że jej blit będzie jego blitem, a jej gniazdo – jego gniazdem.

Kilka dni później weszła do kolegium (przez kuchnię) i udała się (z pomocą służebnych obli) do prywatnego pokoju kanonika. Kanonikiem Kolegium Obling był bardzo stary obl, znany z wiedzy w zakresie lingwistyki metafizycznej. Rankami budził się powoli. Tego ranka również, ale z niejakim zdumieniem patrzył na służebną nur, która przyszła odsłonić okna i podać mu śniadanie, bo wyglądała jakoś inaczej. Niemal sięgnął po broń, ale był zbyt rozespany.

– Witaj – powiedział. – Jesteś nowa, prawda?

– Chciałabym, żebyś odpowiedział na moje pytanie – rzekła nur.

Kanonik rozbudził się zupełnie i uważnie spojrział na to zdumiewające stworzenie.

– Miej choć na tyle przyzwoitości, żeby zakryć oczy, nur! – rozkazał, ale tak naprawdę się nie zdenerwował. Był tak stary, że nie miał już zupełnej pewności co do wzorów, dlatego zmiana w nich nie niepokoiła go tak bardzo, jak by mogła.

– Nie może mi odpowiedzieć nikt inny – powiedziała nur. – Proszę cię. Czy wiesz, czy niebieskozielony kamień we wzorze mógłby być słowem?

– O, tak, w istocie – odparł kanonik, ożywiając się. – Chociaż oczywiście wszelkie znaczenie zawarte w kolorze jest od dawna przestarzałe. Interesują się nim tylko takie stare pierniki jak ja, ha. Barwne słowa nie występują nawet w najbardziej archaicznych wzorach. Tylko w najdawniejszych rejestrach.

– Co to znaczy?

Kanonik zastanawiał się, czy nie śni – rozprawiał o lingwistyce historycznej z nur, i to przed śniadaniem! Lecz nawet jeśli, to był to zajmujący sen.

– Barwa niebieskozielona, jak kolor tego kamienia, który najwyraźniej służy ci za ozdobę, mogłaby w swej formie przymiotnikowej we wzorze wskazywać na cechę nieskrępowanej woli. Jako rzeczownik kolor ten oznaczałby – jak by to określić? – brak przymusu, brak kontroli, warunek samostanowienia...

– Wolność – rzekła nur. – Czy on znaczy wolność?

– Nie, moja droga – odparł kanonik. – Kiedyś znaczył. Ale już przestał.

– Dlaczego?

– Bo to słowo jest przestarzałe – odpowiedział kanonik, którego zaczynał już męczyć ten niewytłumaczalny dialog. – Odejdź jak grzeczna nur i każ mojej służącej przynieść mi śniadanie.

– Wyjrzyj przez okno – powiedziała nur o szalonych oczach tak żarliwym głosem, że kanonik się zaniepokoił. – Wyjrzyj przez okno na tarasy! Spójrz na kolory kamieni! Spójrz na wzory układane przez nury, na wzory, które ułożyliśmy, na wypisane przez nas znaczenia! Popatrz na wolność! Och, proszę, popatrz!

I z tą ostatnią prośbą zdumiewająca zjawia zniknęła. Kanonik leżał wpatrzony w drzwi sypialni; po chwili się otworzyły. Weszła jego dawna służebna nur z tacą z herbatą z rozchodnika i z gorącymi solonymi i wędzonymi porostami.

– Dzień dobry, panie kanoniku! – odezwała się radośnie. – Już pan nie śpi? Piękny poranek!

Postawiła tacę przy łóżku i zamaszystym ruchem odsłoniła okna.

– Czy była tu przed chwilą młoda nur? – zapytał kanonik nerwowo.

– Z całą pewnością nie, panie. A przynajmniej ja nic o tym nie wiem – odparła nur, ale popatrzyła porozumiewawczo prosto na niego. Czyżby miała czelność patrzeć mu w oczy? Na pewno nie. – Tarasy są dziś rano śliczne – ciągnęła. – Wasza kanoniczność powinna spojrzeć.

– Wyjdź! Wynocha! – warknął kanonik.

Nur wyszła, dygnawszy skromnie i zasłoniwszy oczy.

Kanonik zjadł śniadanie w łóżku, a potem wstał. Podeszedł do okna, żeby wyjrzeć w światło poranka na tarasy swojego kolegium.

Przez chwilę sądził, że znowu śni, bo widział wzory całkowicie odmienne od tych, które przez całe swoje długie życie oglądał na tych tarasach – szaleńcze wzory z zakrzywionych linii i kolorów, zdumiewające wyrażenia, niewyobrażalne do tej pory znaczenia, cudowne piękno – a potem otworzył szeroko wszystkie swoje oczy i zamrugał; wszystko zniknęło. W porannym świetle wyraźnie prezentował się tylko znajomy, prawdziwy porządek tarasów. I nie było nic innego do oglądania.

Kanonik odwrócił się od okna i otworzył książkę. Nie widział więc długiego szeregu nurobli, które tanecznym krokiem szły pod górę z leżących pod murami z głazów gniazd i warsztatów, niosąc blity, tańcząc i śpiewając na tarasach. Słyszał śpiew, ale tylko jako hałas bez znaczenia. Dopiero kiedy wleciał przez okno pierwszy kamień, kanonik podniósł wzrok i zawołał z niepokojem:

– Co to ma znaczyć?!

Kerastion

Dla Roussel Sargent, która go wymyśliła

Niewielka kasta garbarzy była święta. Zjedzenie posiłku przygotowanego przez garbarza oznaczałoby dla druciarza albo rzeźbiarza konieczność poddania się trwającemu rok oczyszczeniu, a nawet członkowie kast o mniejszej mocy, na przykład handlarze, po styczności z wyrobami skórzanymi musieli dokonać całonocnej ablucji. Chumo była garbarką od piątego roku życia, kiedy usłyszała, jak przy Śpiewających Piaskach całą noc szeptały wierzby. Przeszła dzień sprawdzenia i od tego czasu nosiła garbarską koszulę i kaftan z lnu utkanego na warsztacie z wierzbowego drewna, ufarbowane barwnikiem z marzany na czerwono i niebiesko. Wykonała swój majstersztyk i od tego czasu nosiła na szyi garbarską obrozę z wysuszonej bulwy vauti, z wyrytą podwójną linią i podwójnymi okręgami. Tak ubrana i przystrojona stała wśród wierzb przy polu grzebalnym, czekając na kondukt pogrzebowy swojego brata, który złamał prawo i zdradził swoją kastę. Stała wyprostowana i milcząca, patrząc w stronę wioski nad rzeką i nasłuchując uderzeń w bęben.

Nie myślała; nie chciała myśleć. Lecz widziała swojego brata Kwatewę, jak biegł przed nią wśród trzcin nad rzeką, chłopczyka za małego, by należeć do jakiejś kasty, za małego, by skalało go to, co święte, szalonego chłopczyka, wyskakującego na nią z wysokich trzcin z krzykiem: „Jestem pumą!”. Poważnego chłopczyka, który patrzył na rzekę i pytał: „Czy ona kiedyś przestaje płynąć? Dlaczego nie może przestać płynąć, Chumo?”. Pięciolatek, który wrócił ze Śpiewających Piasków i przyszedł prosto do niej, przynosząc jej radość, szaloną, poważną radość, świecącą w jego okrągłej buzi: „Chumo! Słyszałem, jak śpiewa piasek! Słyszałem go! Muszę być rzeźbiarzem, Chumo!”.

Stała wtedy bez ruchu. Nie wyciągnęła do niego rąk. A on zatrzymał się w biegu, a z jego buzi zniknęło światło. Była tylko jego siostrą Iona. Teraz będzie miał prawdziwe rodzeństwo. On i ona należeli do odmiennych kast. Już nie będą się dotykać.

Dziesięć lat po tym dniu przyszła z większością mieszkańców miasteczka na dzień sprawdzenia Kwatewy, żeby zobaczyć rzeźbę z piasku, którą wykonał na Wielkim Płaskim Miejsu, gdzie rzeźbiarze tworzyli swoje dzieła. Żaden powiew wiatru nie zaokrąglił jeszcze ostrych krawędzi ani nie wyrównał uroczych krzywizn klasycznej formy, którą oddał z taką energią i pewnością siebie – *Ciała Amakumo*. Na twarzach jego prawdziwych sióstr i prawdziwych braci Chumo widziała podziw i zazdrość. Stojąc z boku wśród świętych kast, słyszała, jak mówca rzeźbiarzy poświęca dzieło sprawdzenia Kwatewy Amakumo. Kiedy ucichł jego głos, z pustyni na północy pojawił się wiatr, wiatr

Amakumo, twórca głodny stworzonego – Matka Amakumo jedząca swoje ciało, jedząca samą siebie. Na oczach zgromadzonych wiatr zniszczył rzeźbę Kwatewy. Wkrótce została po niej bezkształtna bryła i pasemka białego piasku pędzone wiatrem po miejscu sprawdzania. Piękno wróciło do Matki. To, że rzeźba została zniszczona tak szybko po jej wykonaniu i tak całkowicie, było dla twórcy wielkim honorem.

Zbliżał się kondukt pogrzebowy. Chumo słyszała albo wyobrażała sobie, że słyszy uderzenia bębna, ciche, nie głośniejsze od bicia serca.

Jej własne dzieło sprawdzenia było tradycyjne dla garberek – zrobiła membranę bębna. Nie bębna pogrzebowego, lecz tanecznego, krzykliwą, migającą czerwoną farbą i frędzlami. „Twoja membrana bębna, membrana dziewicza!” – tak nazywali ją jej prawdziwi bracia i wymyślali sprośne żarty, ale ona się nie rumieniła. Garbarze nie mogli się rumienić. Byli poza zasięgiem wstydu. To był doskonały bęben, od razu wybrany z miejsca sprawdzania przez starą muzyczkę, która tak często na nim grała, że wkrótce starła czerwoną farbę i pourywała czerwone frędzle; lecz membrana przetrwała zimę, a potem aż do Uroczystości Roppi, kiedy w końcu pękła podczas wtórowania całonocnym tańcom pod księżycami, gdy Chumo i Karwa po raz pierwszy splątali swoje plecione bransoletki. Chumo czuła dumę całą zimę, kiedy słyszała głos swojego bębna niosący się głośno i wyraźnie po miejscu tańca, czuła dumę, kiedy pękł i oddał się Matce; lecz to było nic w porównaniu z dumą, jaką budziły w niej rzeźby Kwatewy. Jeśli bowiem praca jest dobrze wykonana, a zrobiony przedmiot ma moc, to należy on do Matki. A jeśli ona zapragnie go mieć, nie zaczeka, żeby sam się jej oddał, lecz go weźmie. Tak więc dziecko, które umarło, było nazywane Dzieckiem Matki. Należało do niej piękno najświętsze ze wszystkiego – ciało Matki. Zatem wszystko robione na podobieństwo Matki jest z piasku.

„Zatrzymać swoje dzieło? Spróbować zachować je dla siebie? Odebrać jej ciało? Kwatewo! Jak mogłeś? Jak mogłeś, bracie mój?” – mówiło jej serce. Lecz ona cofnęła pytanie w milczenie i stała milcząca wśród wierzb, świętych drzew dla jej kasty, i patrzyła na kondukt żałobny idący między polami lnu. To był jego wstyd, nie jej. Ona czuła dumę. Muzyk Dastuye bowiem, który szedł na czele konduktu, prowadząc nowego ducha do grobu jego ciała, uniósł do ust jej majstersztyk. To ona zrobiła ten instrument, kerastion, flet, na którym się gra tylko na pogrzebie. Kerastion był ze skóry, wygarbowanej ludzkiej skóry, skóry matki łona lub innej przodkini zmarłego.

Kiedy dwie zimy wcześniej zmarła Wekuri, matka łona Chumo i Kwatewy, garbarka Chumo sięgnęła po swój przywilej. Stary kerastion, który został użyty na pogrzebie Wekuri, był przekazywany z pokolenia na pokolenie, lecz muzyk, skończywszy na nim grać, położył go na matach, spowijających Wekuri w otwartym grobie. Poprzedniej nocy bowiem Chumo zdjęła skórę z lewej ręki ciała, śpiewając przy pracy pieśni mocy swojej kasty, pieśni, które proszą zmarłą matkę, by użyczyła instrumentowi swojego głosu, swojej pieśni. Zachowała i wygarbowała ten kawałek skóry, nacierając ją tajemnymi garbnikami, nawijając na gliniany wałek, żeby stwardniała, nawilżając ją wodą, nacierając oliwą, formując i dopracowując jej kształt, aż glina zamieniła się w pył i została wytrząśnięta z tuby, którą następnie Chumo wyczyściła, natarła oliwą i wykończyła. To był przywilej, po który sięgali tylko najpotężniejsi, najbardziej pozbawieni wstydu garbarze – zrobić kerastion ze skóry matki. Chumo uczyniła to bez strachu czy wątpliwości. Pracując, wiele razy wyobrażała sobie muzyka, który idzie na czele konduktu, gra na flecie, prowadzi jej ducha do grobu. Zastanawiała się, który z muzyków

mógłby to być i kto będzie szedł za nią w jej kondukcje. Ani razu nie pomyślała, że kerastion zostanie użyty najpierw na pogrzebie Kwatewy. No bo jak miała sądzić, że o tyle młodszy od niej Kwatewa umrze pierwszy? Popęłnił samobójstwo ze wstydu. Przeciął sobie żyły na przegubach dłoni jednym z narzędzi, które wykonał do przecinania kamienia.

Sama śmierć nie przyniosła mu wstydu, ponieważ nie mógł zrobić nic innego, jak umrzeć. Ale za to, co zrobił wcześniej, nie było grzywny, oczyszczenia, ablucji.

Pasterze znaleźli jaskinię, w której trzymał kamienie, wielkie rzeźbione kawały marmuru z jej ścian, będące kopiami jego rzeźb z piasku, jego świętych dzieł na przesilenie i na haribę: rzeźby z kamienia, wstrętne, trwale profanacje ciała Matki. Ludzie z jego kasty zniszczyli je młotami, skruszyli na pył i piach, a piach zmiotli do rzeki. Chumo myślała, że Kwatewa pójdzie z nimi, ale on wrócił w nocy do jaskini, ostrym narzędziem przeciął sobie przeguby i pozwolił płynąć krwi. Dlaczego nie może przestać płynąć, Chumo?

Muzyk już dotarł do wierzb przy polu grzebalnym, już się z nią zrównał. Stary Dastuye miał wprawę; jego powolny tańcokrok jakby unosił go nad ziemią w rytmie cichego bicia serca bębna. Prowadząc ducha i ciało niesione na noszach przez czterech mężczyzn nienależących do żadnej kasty, grał na kerastionie. Jego wargi spoczywały lekko na skórzanym ustniku, palce poruszały się delikatnie i nie było słycać żadnego dźwięku. Kerastion nie ma kłapek, a oba jego końce są zamknięte krążkami z brązu. Granych na nim melodii nie słyszą żywe uszy. Wyteżając słuch, Chumo słyszała bęben i szept północnego wiatru w wierzbowych liściach. Tylko Kwatewa w swoim utkanym z trawy całunie słyszał, jaką pieśń grał dla niego muzyk, i wiedział, czy to jest pieśń wstydu, żalu czy powitania.

Opowieść szobów

Spotkali się w Porcie Ve na ponad miesiąc przed pierwszym wspólnym lotem i tam, jak większość załóg nazwawszy się od nazwy statku, stali się szobami. Ich pierwszą wspólną decyzją była ta o spędzeniu isyeye w nadbrzeżnej wiosce Liden na Hain, gdzie mogły zadziałać jony ujemne.

Liden było rybackim portem mającym osiemdziesiąt tysięcy lat historii i czterystu mieszkańców. Jego rybacy hodowali ławice ryb w wodach zatoki, wysyłali połowy w głąb łądu do miast i kierowali kurortem Liden dla wczasowiczów, turystów i nowych załóg kosmicznych w trakcie isyeye (słowo to jest haińskie i znaczy „wspólne robienie początku” albo „początek bycia razem”, albo w ujęciu technicznym: „czas i miejsce w przestrzeni, w którym tworzy się grupa, jeżeli ma się stworzyć”; miesiąc miodowy to isyeye dwóch osób). Rybaczki i rybacy z Liden byli tak wysuszeni jak drewno wyrzucone na brzeg i prawie tak samo rozmowni. Sześciolatek Asten, który niedokładnie zrozumiał, zapytał jedną z nich, czy wszyscy mają po osiemdziesiąt tysięcy lat. „Nie”, odparła kobieta.

Jak większość załóg szobowie posługiwali się haińskim jako językiem wspólnym. Tak więc imię jedynej haińskiej załogantki, Słodka Egzystencja, było znaczące i zwracanie się w ten sposób do prawie sześćdziesięcioletniej kobiety o imponującej postawie i niemal tak małomównej jak wieśniacy początkowo wydawało się śmieszne. Lecz jej powściągliwość wpływała z głębokich zasobów serdeczności i taktu, do których w razie potrzeby się odwoływała, i jej imię wkrótce zaczęło brzmieć bardzo odpowiednio. Miała rodzinę – wszyscy Hainowie mieli rodziny – na którą składali się krewni wszelkiego rodzaju, wnuki i kuzyni, powinowaci i pociotki rozrzućeni po całej Ekumenie, lecz nie w tej załodze. Poprosiła, by mogła zostać babką dla Riga, Astena i Bettona, i jej propozycja została przyjęta.

Jedyną szobką starszą od Słodkiej Egzystencji była Terranka Lidi, która miała siedemdziesiąt dwa LE i nie interesowało jej babcinowanie. Lidi nawigowała od pięćdziesięciu lat i wiedziała wszystko o statkach NAFAL-u, chociaż czasami zapominała, że ich statek to „Szobi” i nazywała go „Soso” albo „Alterra”. No i były rzeczy, których nie wiedziała, których nikt nie wiedział – o „Szobim”.

Rozmawiali, jak to istoty ludzkie, o tym, o czym nie wiedzieli. Głównym tematem wieczornych rozmów na plaży przy ognisku z wyrzuconego na brzeg drewna była teoria czertenu. Dorośli oczywiście przeczytali wszystko, co było do przeczytania na ten temat, zanim w ogóle zgłosili się do tej próbnej misji. Gveter miał nowsze informacje i prawdopodobnie rozumiał wszystko lepiej od pozostałych, lecz trzeba je było z niego wydobywać. Miał zaledwie dwadzieścia pięć lat i jako jedyny Ceteńczyk w załodze był o

wiele bardziej owłosiony od pozostałych, lecz niezbyt uzdolniony językowo i bardzo często przyjmował postawę obronną. Założywszy, że jako mieszkaniec Anarres jest biegleszy w zagadnieniach wzajemnej pomocy i bardziej doświadczony we współpracy od innych, pouczał ich na temat ich samolubnych nawyków, lecz bronił swojej wiedzy, ponieważ potrzebował przewagi, jaką mu dawała. Przez pewien czas posługiwał się tylko przeczeniami: nie nazywajcie tego czertenowym napędem, to nie jest napęd, nie nazywajcie tego efektem czertenu, to nie jest efekt. A więc co to jest? Tu nastąpił długi wykład, zaczynający się od odrodzenia ceteńskiej fizyki, od korekty szevekiańskiego temporalizmu przeprowadzonej przez interwalistów, a kończący się ogólnymi pojęciowymi podstawami czertenu. Wszyscy słuchali bardzo uważnie, aż w końcu odezwała się ostrożnie Słodka Egzystencja: – A więc statek będą poruszały idee?

– Nie, nie, nie, nie – odparł Gveter, lecz tak długo się wahał przed wypowiedzeniem następnego słowa, że Karth zapytała: – No, właściwie wcale nie mówiłeś o żadnych fizycznych, materialnych wydarzeniach czy efektach.

Pytanie było w charakterystyczny sposób zadane nie wprost. Karth i Oreth, Getheńcy, którzy z dwojgiem swoich dzieci stanowili uczuciowy ośrodek załogi (w ich kategoriach: jej „ognisko”), wywodzili się z subkultury niemającej szczególnej smykałki do teorii i zdawali sobie z tego sprawę. Gveter miał nad nimi ogromną przewagę ze swoimi fizykofilozofotechnopogadankami. Od razu im to udowodnił. Jego akcent nie ułatwiał zrozumienia wyjaśnień. Mówił o koherencji i metainterwałach i w końcu zapytał, wymachując z rozpaczy rękami: – Jak mam to pofiedzieć po haińsku? Nie! To nie jest fizyczne, nie jest niefizyczne, te kategorie nasze umysły muszą całkoficie odrzucić, f tym cała rzecz!

– Pyr-pyr-pyr-pyr-pyr-pyr – rozległy się ciche dźwięki.

Wydawał je Asten, obchodząc półkole dorosłych, którzy siedzieli przy ognisku na szerokiej, pogrążonej w ciemnościach zmierzchu plaży. Szedł za nim Rig, powtarzając to samo, ale głośniejsze. Sądząc z ich manewrów i komunikatów – „Wszedłem na orbitę, panie nawigatorze!” – byli statkami kosmicznymi, ale odgłosy, które naśladowali, były odgłosami łódek rybackich z Liden, wypływających na morze z terkotem silników.

– Rozbiłem się! – wrzasnął Rig, miotając się po piasku. – Ratunku! Ratunku! Rozbiłem się!

– Trzymaj się, statku dwa! – zawołał Asten. – Uratuję cię! Nie oddychaj! Oj, mam problem z napędem czertenowym! Pyr-pyr-ak! ak! Brrrrmm-ak-ak-ak-rrrrrrmmmm, pyr-pyr-pyr-pyr...

Mieli sześć i cztery LE. Jedenastoletni syn Tai, Betton, siedział przy ognisku z dorosłymi, chociaż w tej chwili przyglądał się Rigowi i Astenowi, jakby chciał wystartować im na pomoc. Mali Getheńcy spędzili więcej czasu na statkach niż na planecie i Asten lubił się przechwalać, że ma „właściwie pięćdziesiąt osiem lat”, ale dla Bettona była to pierwsza załoga, a jedyny lot NAFAL-em odbył z Terry na Hain. Razem z biomatką Tai mieszkał przedtem w komunie odzyskiwania skażonego terenu na Terze. Kiedy została wylosowana do służby Ekumenie i poprosiła o przeszkolenie do lotów kosmicznych, Betton poprosił ją, żeby wzięła go jako członka rodziny. Zgodziła się; lecz po zakończeniu szkolenia, kiedy zgłosiła się na ochotnika do tego lotu próbnego, próbowała namówić Bettona, żeby się wycofał, żeby kontynuował szkolenie albo został w domu. Odmówił. Opowiedział o tym reszcie załogi Szan, który się z nimi szkolił, ponieważ aby napięcie

między matką i synem mogło być wykorzystane przez grupę, musiało być przez nią rozumiane. Betton chciał lecieć i Tai się niechętnie poddała. Ale odnosiła się do chłopca chłodno i uprzejmie. Szan oferował mu ojcowsko-braterskie ciepło, lecz Betton przyjmował je z rezerwą i ani z nim, ani z nikim innym nie szukał formalnego związku w ramach załogi.

Statek dwa otrzymał pomoc i uwaga dorosłych znowu skupiła się na dyskusji.

– Dobrze – powiedziała Lidi. – Wiemy, że cokolwiek, co porusza się szybciej niż światło, każda rzecz, która porusza się szybciej niż światło, przekracza w ten sposób kategorię materialności/nimaterialności: w ten sposób otrzymaliśmy ansibl, odróżniając przekaz od środka. Ale jeśli my, załoga, mamy podróżować jako przekazy, to chcę zrozumieć, w jaki sposób.

Gveter wyrwał sobie garść włosów. Miał ich mnóstwo do wyrywania. Delikatne, rosły gęsto, tworząc grzywę na jego głowie, futro na kończynach i ciele i srebrzysty nalot na dłoniach i twarzy. Meszek na jego stopach był w tej chwili pełen piasku.

– F jaki sposób! – zawołał. – Usiłuję fam pofiedzieć, f jaki sposób! Przekaz, informacja, nie nie nie, to jest stare, to technologia ansibla. To jest przeskok! Poniefaż pole należy pojmoać jako pole firtualne, f którym nierzeczyfisty interfał staje się firtualnie skuteczny poprzez pośredniczącą koherencję. Nie rozumiecie?

– Nie – rzekła Lidi. – Co rozumiesz przez „pośredniczącą”?

Po kilku kolejnych ogniskach na plaży zapanowało zgodne przekonanie, że teorię czertenu mogą pojąć tylko umysły doskonale wyszkolone w ceteńskiej fizyce temporalnej. Istniała też mniej swobodnie wypowiedziana opinia, że inżynierowie, którzy zbudowali urządzenie czertenowe „Szobiego”, nie całkiem rozumieli, jak ono działa. Albo raczej co ono robi, kiedy działa. To, że działało, było pewne. „Szobi” był czwartym statkiem, który je wypróbowywał z załogą złożoną z robotów; na razie przeprowadzono sześćdziesiąt dwie natychmiastowe podróże, czy też przeskoki, na odległość od czterystu kilometrów do dwudziestu siedmiu lat świetlnych z przystankami rozmaitej długości. Gveter i Lidi z uporem utrzymywali, że świadczyło to o tym, że inżynierowie doskonale wiedzieli, co robią, i że dla reszty z nich trudność ze zrozumieniem teorii czertenu wynika tylko z tego, że dla ludzkiego umysłu trudność stanowi zrozumienie każdej prawdziwie nowej koncepcji.

– Jak krwiobieg – powiedziała Tai. – Ludzie długo chodzili z bijącymi sercami, zanim zrozumieli, dlaczego one biją.

Nie sprawiała wrażenia zadowolonej z własnej analogii, a kiedy Szan powiedział: „Serce ma swoje powody, których nie zna umysł”, wyglądała na obrażoną.

– Mistycyzm – rzekła tonem kogoś, kto ostrzega towarzysza o psich odchodach na ścieżce.

– W tym procesie na pewno nie ma nic, czego nie da się zrozumieć – powiedział Oreth z niejakim wahaniem. – Nic, czego nie da się powtórzyć.

– Oraz określić ilościowo – dorzucił stanowczo Gveter.

– Ale nawet jeśli ludzie rozumieją sam proces, to nikt nie zna ludzkiej reakcji na niego. Tak? Więc my musimy o tym poinformować.

– Dlaczego nie może to być jak lot NAFAL-em, tylko nieco szybszy? – zapytał Betton.

– Bo to jest całkocicznie odmienne – rzekł Gveter.

– Co mogłoby się nam stać?

Niektórzy dorośli już wcześniej zaczęli omawiać różne możliwości, a wszyscy się nad nimi zastanawiali; Karth i Oreth rozmawiali o nich odpowiednimi słowami ze swoimi dziećmi, lecz Bettona najwyraźniej do tych dyskusji nie włączano.

– Nie wiemy – odparła Tai ostrym tonem. – Powiedziałam ci to na samym początku, Bettonie.

– Najprawdopodobniej to będzie jak lot NAFAL-em – stwierdził Szan – lecz pierwsi ludzie, którzy podróżowali w ten sposób, nie wiedzieli, jak to będzie wyglądało, i musieli odkryć efekty fizyczne i psychiczne...

– Najgorszą rzeczą mogłoby być to, że zginiemy – powiedziała Słodka Egzystencja leniwym przyjemnym głosem. – W niektórych lotach próbnych brały udział inne żywe istoty. Na przykład świerszcze. A w ostatnich dwóch lotach „Szobim” – inteligentne zwierzęta rytualne. Nic im się nie stało.

Jak na Słodką Egzystencję była to bardzo długa wypowiedź i miała proporcjonalne do tego znaczenie.

– Jesteśmy niemal pefni, że czerten nie wiąże się z żadnymi zmianami temporalnymi, jak dzieje się to f NAFAL-u – powiedział Gveter. – A z masą wiąże się o tyle, że jest potrzebna pefna masa podstafofa, jak f transmisji za pośrednictwem ansibla, ale sama masa w to nie fchodzi. Zatem możlife, że przeskoku może dokonać nafet osoba ciężarna.

– One nie mogą latać statkami – odezwał się Asten – bo wtedy nienarodzony umiera. Asten pólleżał, oparty o kolana Oretha. Rig zaś spał na kolanach Karth z kciukiem w buzi.

– Kiedy byliśmy oneblinami – ciągnął Asten, siadając prosto – leciały z nami zwierzęta rytualne, trochę ryb, kilka terrańskich kotów i całkiem sporo haińskich gholi. Bawiliśmy się z nimi. I pomogliśmy podziękować gholowi, który został zbadany na obecność litowirusa. Ale on nie umarł. Ugryzł Szapiego. Koty spały z nami. Ale jeden z nich wkroczył w kemmer i zaszła w ciążę, a potem „Oneblin” musiał lecieć na Hain, więc musiała przejść aborcję, bo inaczej wszystkie jej nienarodzone umarłyby u niej w środku i ją zabiły. Nikt nie znał rytuału dla niej, nie umiał jej wyjaśnić. Ale dałem jej trochę więcej jedzenia. A Rig płakał.

– Inni ludzie też płakali – powiedziała Karth, gładząc dziecko po włosach.

– Opowiadasz dobre historie, Astenie – zauważyła Słodka Egzystencja.

– A więc jesteśmy jakby rytualnymi ludźmi – stwierdził Betton.

– Ochotnikami – poprawiła go Tai.

– Eksperymentatorami – powiedziała Lidi.

– Doświadczaczami – podsunął Szan.

– Badaczami – rzekł Oreth.

– Hazardzistami – podsumowała Karth.

Chłopiec wodził wzrokiem po ich twarzach.

– Wiecie co – powiedział Szan – dawno temu, w czasach Ligi, na początku lotów NAFAL-em, wysyłano statki do naprawdę odległych układów, usiłując zbadać wszystko. Może część z nich wciąż jest w podróży. Ale niektóre wróciły po czterystu, pięciuset, sześciuset latach i wszystkie ich załogi były obłąkane. Oszalały! – Zrobił dramatyczną pauzę. – Ale oni wszyscy byli szaleni, kiedy wyruszali. Niezrównoważeni ludzie. Musieli być szaleni, żeby zgłosić się do przeżycia takiej dylatacji czasu. Co za sposób na dobranie załogi, co? – Roześmiał się.

– A my jesteśmy zrównoważeni? – zapytał Oreth. – Ja lubię niezrównoważenie. Podoba mi się to zadanie. Lubię ryzyko, lubię wspólnie je podejmować. Wysokie stawki! To jest ta przyjemność, słodycz całego przedsięwzięcia.

Karth spojrzała z góry na dzieci i się uśmiechnęła.

– Tak. Razem – rzekł Gveter. – Nie jesteście szaleni. Jesteście dobrzy. Kocham fas. Jesteśmy *ammari*.

– *Ammar* – odpowiedzieli pozostali, potwierdzając tę nieoczekiwaną deklarację.

Młodzieniec zmarszczył z zadowoleniem brwi, podskoczył i ściągnął koszulę.

– Chcę popływać. Chodź, Bettonie. Chodźcie popływać! – zawołał i pobiegł w stronę ciemnych rozległych wód, poruszających się cicho poza czerwonawą mgiełką ich ogniska.

Chłopiec zawahał się, a potem zrzucił koszulę i sandały i pobiegł za Gveterem. Szan pomógł wstać Tai i oboje poszli w ślady poprzedników. W końcu w noc i fale przyboju ruszyły dwie stare kobiety, podwijając nogawki spodni i śmiejąc się z siebie. Dla Getheńczyków nawet w ciepły letni wieczór morze nie jest przyjacielem. Zostaje się przy ogniu. Oreth i Asten przysunęli się do Karth i patrzyli w płomienie, nasłuchując odległych głosów w migocącym przyboju i co pewien czas rozmawiając cicho we własnym języku, a mały siostróbrat dalej spał.

Po trzydziestu leniwych dniach w Liden szobowie wsiedli do pociągu, który wiozł ryby w głąb lądu do miasta, gdzie na stacji podjął ich lądownik Floty i zawiózł do kosmodromu na Ve, planecie najbliższej Hain. Byli wypoczęci, opaleni, zgrani i gotowi do podróży. Służbę przy ansiblu w Porcie Ve miała jedna z dalszych kuzynek Słodkiej Egzystencji. Zachęcała szobów, żeby zadawali wynalazcom czertenu na Urras i Anarres wszelkie pytania, jakie mieli na temat jego działania.

– Celem tego eksperymentalnego lotu jest zrozumienie, a wasze pełne uczestnictwo intelektualne ma zasadnicze znaczenie – stwierdziła. – Bardzo im na tym zależy.

Lidi prychnęła.

– Zacznie się rytuał – powiedział Szan po drodze do pomieszczenia ansibla, znajdującego się w pęcherzu od strony słońca. – Wyjaśnią zwierzętom, co i dlaczego zamierzają zrobić, i poproszą je o pomoc.

– Zwierzęta tego nie rozumieją – powiedział Betton swoim chłodnym anielskim dyszkantem. – Rytuał ma tylko poprawić samopoczucie ludziom.

– A ludzie rozumieją? – zapytała Słodka Egzystencja.

– Wszyscy wykorzystujemy się nawzajem – rzekł Oreth. – Rytuał powiada: nie mamy prawa tego robić. Zatem przyjmujemy odpowiedzialność za sprawiane cierpienie.

Betton słuchał i się zastanawiał.

Pierwszy skorzystał z ansibla Gveter i przemawiał do niego pół godziny, głównie po prawicku i w żargonie matematycznym. W końcu przeprosił i, sprawiając wrażenie wytraconego z równowagi, zaprosił innych do skorzystania z urządzenia. Zapadła cisza. Wreszcie ansibl uruchomiła Lidi, przedstawiła się i powiedziała: – Zgodziliśmy się, że nikt z nas prócz Gvetera nie ma zaplecza teoretycznego do zrozumienia zasad czertenu.

Uczony, znajdujący się w odległości dwudziestu dwóch lat świetlnych, odpowiedział po haińsku za pośrednictwem dość bezbarwnego głosu autotłumacza, lecz z wyraźnym

optymizmem: – W kategoriach laickich czerten można postrzegać jako przesunięcie wirtualnego pola w celu zrealizowania koherencji relacyjnej w kategoriach doświadczalności przeskokowej.

– Właśnie – powiedziała Lidi.

– Jak wiesz, skutki materialne były zerowe, podobnie jak skutki wywierane na organizmy obdarzone czuciem i niską inteligencją. Rozważa się jednak możliwość, że uczestnictwo wysokiej inteligencji w procesie mogłoby w taki czy inny sposób wpłynąć na przesunięcie. I że takie przesunięcie wpłynęłoby również na uczestnika.

– Co ma do sposobu działania czertenu poziom naszej inteligencji? – zapytała Tai.

Chwila milczenia. Rozmówca próbował znaleźć słowa, przyjmując odpowiedzialność.

– Słowa „inteligencja” używamy jako skrótów oznaczającego psychiczną złożoność i bagaż kulturowy naszego gatunku – odezwał się w końcu głos tłumacza. – Obecność przeskakującego jako świadomego umysłu niepodczas przeskoku jest nieprzebadanym czynnikiem.

– Ale jeśli ten proces jest natychmiastowy, to jak możemy być go świadomi? – zapytał Oreth.

– Właśnie – odparł ansibl i po kolejnej chwili przerwy kontynuował: – Tak jak eksperymentator stanowi element eksperymentu, tak zakładamy, że przeskakujący może stanowić element lub czynnik przeskoku. Dlatego poprosiliśmy, żeby ten proces wypróbowała załoga, a nie jeden czy dwaj ochotnicy. Psychiczna równowaga zgranej grupy społecznej stanowi przeciwwagę wobec niszczącego lub niezrozumiałego przeżycia, jeśli do niego dojdzie. Także oddzielne obserwacje członków grupy będą się wzajemnie wspólnie potwierdzać.

– Kto programuje tego tłumacza? – warknął szeptem Szan. – Współpotwierdzać! Cholera!

Lidi rozejrzała wokół, czekając na pytania.

– Jak długo potrwa ta podróż? – zapytał Betton.

– Niedługo – powiedział głos tłumacza, a potem się poprawił: – Bez czasu.

Kolejna chwila milczenia.

– Dziękuję – rzekła Słodka Egzystencja, a uczone na planecie odległej o dwadzieścia dwa lata podróży z dylatacją czasu odpowiedział: – Jesteśmy wdzięczni za waszą ofiarną odwagę, a nasza nadzieja jest z wami.

Z pomieszczenia ansibla poszli prosto do „Szobiego”.

Sprzęt czertenowy, który nie zajmował dużo miejsca i którego układ sterowania stanowił zasadniczo przycisk włączania i wyłączania, został zainstalowany obok motywatorów NAFAL-u i układu sterowania zwykłego międzygwiazdowego statku Floty Ekumeny. „Szobi” został zbudowany na Hain około czterystu lat wcześniej i miał trzydzieści dwa lata. Większość jego wczesnych podróży z haińsko-chiffewariańską załogą miała cel badawczy, a ponieważ podczas takich lotów statek może spędzać wiele lat na orbicie w jakimś układzie planetarnym, Hainowie i Chiffewarianie, uważając, że równie dobrze można w nim mieszkać, a nie tylko go znosić, urządzili i wyposażyli go jak bardzo duży, bardzo wygodny dom. Trzy z jego modułów mieszkalnych zostały odłączone i

zostawione w hangarach na Ve, mimo to było w nim aż za wiele miejsca dla dziesięcioosobowej załogi. Tai, Betton i Szan, świeżo przybyli z Terry, oraz Gveter z Anarres, przyzwyczajeni do koszar i trudnych warunków socjalnych panujących na ich ledwie nadających się do zamieszkania światach, chodzili po „Szobim” i dawali upust dezaprobacie. „Ekskrementy!” – mrucał Gveter. „Luksusy!” – szydziła Tai. Słodka Egzystencja, Lidi i Getheńcy, bardziej nawykli do wygod, od razu się zaaklimatyzowali i poczuli jak u siebie w domu. A Gveterowi i młodszym Ziemianom trudno było zachowywać etyczne skrepowanie w przestronnych, wysokich, dobrze wyposażonych, choć nieco zaniedbanych salonach i sypialniach, gabinetach, siłowniach o wysokiej i niskiej grawitacji, jadalni, bibliotece, kuchni i na mostku „Szobiego”. Dywan na mostku to był prawdziwy henyekaulil, którego miękkie granaty i fioleły tworzyły wzór konstelacji haińskiego nieba. W siłowni medytacyjnej znajdowała się duża zdrowa plantacja terrańskiego bambusa, stanowiąca część samowystarczalnego układu roślinno-oddechowego statku. Okna we wszystkich pomieszczeniach mogły być przez tęskniących za domem programowane tak, by pokazywały widok Abbenay, Nowego Kairu czy plaży w Liden, albo mogły zostać wyczyszczone i ukazywać słońca bliższe i dalsze i ciemność między nimi.

Rig i Asten odkryli, że oprócz wind na statku znajdują się okazałe schody z krętą poręczą, prowadzące z salonu do biblioteki. Zjeżdżali po poręczy z szaleńczymi okrzykami, aż Szan zagroził, że włączy miejscowe pole grawitacyjne i zmusi ich do wjeżdżania po niej na górę, o co go potem błagali. Betton patrzył na malców z wyższością i pojechał windą, lecz następnego dnia też zjechał po poręczy, i to o wiele szybciej od nich, ponieważ mógł się mocniej odepchnąć i miał większą masę, i niemal złamał sobie kość ogonową. To on zorganizował wyścigi na tacach, ale zwykle wygrywał je Rig, bo był na tyle mały, że utrzymywał się na tacy aż do samego dołu schodów. Dzieci nie miały na plaży żadnych lekcji prócz pływania i bycia szobami, ale kiedy nastąpiło niespodziewane pięciodniowe opóźnienie w Porcie Ve, Gveter codziennie w bibliotece uczył Bettona fizyki, a całą trójkę matematyki, Szan i Oreth zajęli się historią, a Tai tańczyła z nimi w siłowni o niskiej grawitacji.

Tańcząc, stawała się lekka, wolna, roześmiana. Rig i Asten uwielbiali ją wtedy, a jej syn tańczył z nią jak młodzik, jak dzieciak, niezdarny i zachwycony. Często przyłączał się do nich Szan, ciemny, elegancki tancerz, i Tai mu partnerowała, ale nawet wtedy go nie dotykała. Od urodzenia Bettona Tai zachowywała wstrzeźliwość. Nie chciała zachłannego pożądania Szana, nie chciała sobie z nim radzić. Odwracała się od niego do Bettona i tańczyła z synem, oboje zatopieni w krokach, w zwiewnym wzorze, który razem tworzyli. Obserwując ich po południu przed próbnym lotem, Słodka Egzystencja zaczęła ocierać łzy z oczu z uśmiechem, bez słowa.

– Życie jest dobre – rzekł Gveter bardzo poważnie do Lidi.

– Ujdzie – odparła.

Oreth, który właśnie zaczął żeński kemmer, wywołując w ten sposób męski kemmer u Karth, co właśnie, jako że nastąpiło przedwcześnie, opóźniło próbny lot o te pięć dni, przyjemne dni dla wszystkich, otóż Oreth patrzyła, jak Rig, którego spłodził, tańczy z Astenem, którego urodziła, i patrzyła, jak Karth na nich patrzy, i powiedziała po karhidyjsku: – Jutro...

To napięcie było bardzo słodkie.

Antropolodzy uroczyście zapewniają, że nie wolno nam przypisywać ludzkiej populacji na żadnej z planet „stałych kulturowych”. Lecz pewne cechy lub oczekiwania kulturowe sprawiają wrażenie naprawdę głęboko zakorzenionych. Przed kolacją tego ostatniego wieczoru w porcie Szan i Tai pojawili się w czarno-srebrnych mundurach Terrańskiej Ekumeny, które kosztowały ich – Terra nadal miała gospodarkę pieniężną – półroczny zasilek. Asten i Rig natychmiast zaczęli się domagać podobnej wspaniałości. Karth i Oreth zaproponowali im stroje wizytowe, a Słodka Egzystencja przyniosła szale ze srebrzystej koronki, ale Asten się naburmuszył, a Rig poszedł w jego ślady. Asten poinformował ich, że w mundurze chodzi o to, że ma wyglądać tak samo.

– Dlaczego? – zapytała Oreth.

– Żeby nikt nie ponosił odpowiedzialności – odparła ostrym tonem stara Lidi.

Po tych słowach wyszła i przebrała się w czarny aksamitny wieczorowy kostium, który nie był mundurem, ale który sprawił, że Szan i Tai przestali się wyróżniać. Opuściła Terrę w wieku osiemnastu lat i nigdy na nią nie wróciła ani nie chciała tego zrobić, ale Tai i Szan byli członkami załogi. Karth i Oreth zrozumieli, o co chodzi, i włożyli swoje najlepsze, wykończone futrem hieby, a dzieci dały się ugłaskać wizytowymi strojami oraz całą dziedziczną ciężką złotą biżuterią Kartha. Słodka Egzystencja pojawiła się w czysto białej szacie, która, jak twierdziła, w gruncie rzeczy była ultrafioletowa. Gveter zaplótł swoją grzywę. Betton nie miał munduru, ale go nie potrzebował, siedząc przy stole obok matki w blasku dumy.

Posiłki, przysyłane z portowych kuchni, były bardzo dobre, a ten był wyśmienity: delikatne haińskie iyanwi ze wszystkimi siedmioma sosami, a na deser pudding doprawiony terrańską czekoladą. Pełen ożywienia wieczór skończył się spokojnie przy dużym kominku w bibliotece. Polana były oczywiście sztuczne, ale zostały dobrze podrobione; nie było sensu robić kominka na statku, a potem palić w nim plastik. Polana i podpałka z neocelulozy dobrze pachniały i choć najpierw nie chciały zająć się ogniem, potem rozpały się, strzelając iskrami i buchając kłębam dymu, aż wreszcie zapłonęły jasnym płomieniem. Polana ułożyła Oreth, a Karth je podpalił. Wszyscy zgromadzili się przy ogniu.

– Opowiedzcie coś na dobranoc – poprosił Rig.

Oreth opowiedziała o Lodowych Jaskiniach z krainy Kerm, jak to statek wpłynął do wielkiej błękitnej morskiej jaskini, zniknął i nie został już odnaleziony przez łodzie, które go tam szukały, lecz siedemdziesiąt lat później pojawił się u brzegów Osemyet, tysiąc mil lądem od Kermu, gdzie dryfował bez żywego ducha na pokładzie i żadnych śladów sugerujących, co mogło się stać z załogą...

Jeszcze jedna opowieść?

Lidi opowiedziała o małym pustynnym wilku, który stracił żonę i poszedł po nią do krainy zmarłych, i znalazł ją, kiedy tańczyła ze zmarłymi, i prawie sprowadził ją do krainy żywych, ale wszystko zepsuł, usiłując jej dotknąć, zanim całkiem wrócili do życia, a ona zniknęła i wilk nie potrafił już odnaleźć drogi do miejsca, gdzie tańczyli zmarli, chociaż bardzo go szukał, wył i płakał...

Jeszcze jedna!

Szan opowiedział o chłopcu, któremu wyrastało piórko za każdym razem, kiedy kłamał, aż wreszcie jego komuna musiała używać go do odkurzania.

Jeszcze jedna!

Gveter opowiedział o skrzydlatym plemienu glunów, które były tak głupie, że wymarły, ponieważ wciąż się zderzały głowami w locie.

– Nie były prafdzife – dodał z powagą. – To tylko opofieść.

Jeszcze jedna... Nie. Pora spać.

Rig i Asten jak zwykle obeszli wszystkich, żeby ich uściskać na dobranoc, i tym razem Betton wziął z nich przykład. Kiedy podszedł do Tai, nie zatrzymał się, ponieważ kobieta nie lubiła, kiedy ktoś jej dotykał. Lecz to ona wyciągnęła rękę, przyciągnęła chłopca do siebie i pocałowała w policzek. Odbiegł uradowany.

– Opowieści... – rzekła Słodka Egzystencja. – Nasza rozpoczyna się jutro, co?

Łatwo jest opisać ścieżkę wydawania poleceń, z siecią reakcji na nie jest trudniej. Dla tych, którzy funkcjonują na zasadzie wzajemnego upoważniania, gęsty opis, złożony i otwarty, jest czymś normalnym i zrozumiałym, lecz tym, dla których jedynym wzorcem jest hierarchiczna kontrola, taki opis wydaje się bałaganiarski i mętny, podobnie jak to, co jest jego przedmiotem. Kto tu rządzi? Pozbądźcie się tych wszystkich nieistotnych szczegółów. Ile trzeba kucharek, by nie było co jeść? Wyjaśnijmy to sobie dokładnie. Zaprowadźcie mnie do waszego przywódcy!

Stara nawigatorka siedziała oczywiście przy konsoli NAFAL-u, a Gveter przy śmiesznie małej konsoli czertenu. Oreth była podłączona do SI. Ich wsparcie stanowili odpowiednio Tai, Szan i Karth, a gdyby nie sugerowało to jakiejś hierarchii, można by powiedzieć, że to, co robiła Słodka Egzystencja, było nadzorowaniem albo zarządzaniem. A może podzorem albo międzyrządzeniem. Rig i Asten zawsze nafalowali (by użyć określenia Riga) w bibliotece statku, gdzie podczas nudnego i dezorientującego podróżowania z prędkością bliską prędkości światła Asten mógł próbować oglądać obrazki albo słuchać muzyki z taśmy, a Rig mógł się zwinąć pod pewnym włochatym kocem i zasnąć. Betton podczas lotu pełnił funkcję starszego brata; zostawał z malcami, zaopatrzony w woreczek na wymioty, ponieważ był jedną z tych osób, którym podczas lotu NAFAL-em robiło się niedobrze, i ustawiał interwideo na Lidi i Gvetera, żeby mógł zobaczyć, co robią.

Jeśli więc chodzi o lot NAFAL-em, to wszyscy wiedzieli, co robią. Jeśli zaś chodzi o proces czertenu, wiedzieli, że ma on skutkować ich przeskokiem do układu słonecznego oddalonego od Portu Ve o siedemnaście lat świetlnych bez upływu czasu, ale nikt nie wiedział, co właściwie robią. Zatem Lidi rozejrzała się, nawiązując z pozostałymi przelotny kontakt wzrokowy, jak skrzypaczka, która unosi smyczek, by przygotować kameralny zespół do pierwszego akordu, i przeniosła „Szobiego” w tryb NAFAL-u, a Gveter, jak wiolonczelista, który w tym samym momencie opuszcza smyczek, by wydobyć akord, przeniósł „Szobiego” w tryb czertenu. Weszli w nietrwanie. Zaczertenili. Niedługo, jak powiedział ansibl.

– Co jest? – wyszeptał Szan.

– Jasny gwint! – syknął Gveter.

– Co? – zapytała Lidi, mrugając i potrząsając głową.

– To jest to – rzekła Tai, przełączając odczyty.

– To nie jest A sześćdziesiąt coś tam – stwierdziła Lidi, wciąż mrugając.

Słodka Egzystencja percypowała ich, wszystkich dziesięcioro jednocześnie, siedmioro na mostku i przez interwideo troje w bibliotece. Betton wyczyścił okno i dzieci patrzyły na zajmującą je do połowy mętną brązową wypukłość. Rig trzymał brudny włochaty koc. Karth odłączał elektrody od skroni Oreth, przerywając jej połączenie z SI.

– Nie było upływu – rzekła Oreth.

– Nie jesteśmy nigdzie – stwierdziła Lidi.

– Nie było upływu – powtórzył Gveter, patrząc spod zmarszczonych brwi na konsolę. – Słusznie.

– Nic się nie stało – powiedział Karth, przeglądając raport lotu SI.

Oreth wstała, podeszła do okna i zastygła w bezruchu, wyglądając na zewnątrz.

– To jest to. M-60-340-nolo – rzekła Tai.

Wszystkie ich słowa brzmiały głucho i fałszywie.

– No, udało się nam, szobowie! – oświadczył Szan.

Nikt mu nie odpowiedział.

– Zawiadom Port Ve przez ansibl – polecił Szan wesoło. – Powiedz im, że jesteśmy tu wszyscy w jednym kawałku.

– Wszyscy gdzie? – zapytała Oreth.

– Tak, oczywiście – powiedziała Słodka Egzystencja, ale nic nie zrobiła.

– Dobra. – Tai podeszła do ansibla, otworzyła pole, skupiła je na Ve i wysłała sygnał.

Ansible statku działały tylko w trybie wizualnym, czekała więc, obserwując ekran. Wysłała sygnał powtórnie. – Nic nie przechodzi – powiedziała.

Nikt nie poradził jej, żeby sprawdziła współrzędne wyśrodkowania; w systemie sieciowym nikomu nie udaje się tak łatwo pozbyć niepokoju. Tai sprawdziła współrzędne. Wysłała sygnał. Sprawdziła jeszcze raz, ustawiła ponownie i znowu wysłała sygnał. Otworzyła pole i skupiła je na Abbenay na Anarres i wysłała sygnał. Ekran ansibla był pusty.

– Sprawdź... – zaczął Szan i umilkł.

– Ansibl nie działa – Tai złożyła załodze formalny raport.

– Widzisz jakieś oznaki wadliwego działania? – zapytała Słodka Egzystencja.

– Nie. Tylko niedziałanie.

– Wracamy – rzekła Lidi, która wciąż siedziała przy konsoli NAFAL-u. Jej słowa, jej ton wstrząsnęły nimi.

– Nie, nie wracamy! – powiedział Betton, a w tej samej chwili Oreth zapytał:

– Dokąd?

Tai, wsparcie Lidi, ruszyła w jej stronę, jakby chciała jej przeszkodzić w uruchomieniu napędu NAFAL-u, lecz zaraz cofnęła się do ansibla, żeby nie dopuścić do niego Gvetera. Ten zatrzymał się, zaskoczony, i zapytał: – Może czerten wpłynął na działanie ansibla?

– Sprawdzam to – stwierdziła Tai. – Ale dlaczego miałyby wpłynąć? Transmisje ansibla obsługiwane przez roboty działały podczas wszystkich lotów próbnych.

– Gdzie są raporty SI? – spytał Szan surowym tonem.

– Powiedziałem ci, że nie ma żadnych raportów – odparł ostro Karth.

– Oreth była podłączona.

Oreth, która wciąż stała przy oknie, odpowiedziała, nie odwracając się:

– Nic się nie stało.

Słodka Egzystencja podeszła do Gethenki. Oreth spojrzała na nią i powiedziała powoli: –

Tak. Słodka Egzystencjo, nie możemy... tego zrobić. Tak myślę. Nie potrafię myśleć.

Szan wyczyścił drugie okno i stanął przed nim.

– Paskudne – powiedział.

– Co? – zapytała Lidi.

Odpowiedział Gveter, jakby czytał z *Atlasu Ekumeny*:

– Gęsta stabilna atmosfera blisko dolnej granicy przedziału temperatur odpowiednich do życia. Mikroorganizmy. Bakteryjne chmury, bakteryjne rafy.

– Zupa z drobnoustrojów – rzekł Szan. – W piękne miejsce nas posłali.

– Żebyśmy, w razie gdybyśmy przybyli jako bomba neutronowa albo czarna dziura, zabrali z sobą tylko bakterie – zauważyła Tai. – Ale tak się nie stało.

– Jak się nie stało? – zapytała Lidi.

– Nie przybyliśmy? – spytał Karth.

– Czy wszyscy zamierzają zostać na mostku? – odezwał się Betton.

– Ja chcę tam pójść – zabrzmiał cienki głos Riga, a potem wyraźny, lecz drżący Astena:

– Mabo, chciałbym już wrócić do Liden.

– Chodźcie – powiedział Karth i wyszedł na spotkanie dzieciom.

Oreth nie odwróciła się od okna, nawet kiedy podszedł do niej Asten i wziął ją za rękę.

– Na co patrzysz, mabo?

– Na planetę, Astenie.

– Na jaką planetę?

Oreth spojrzała na dziecko.

– Tu nic nie ma – stwierdził malec.

– Ten brunatny kolor to powierzchnia, atmosfera planety.

– Tu nie ma żadnego brunatnego koloru. Tu nie ma nic. Chcę wracać do Liden.

Powiedziałaś, że wrócimy, kiedy zakończymy próbę.

Oreth wreszcie rozejrzała się po innych.

– Różnica f percepcji – stwierdził Gveter.

– Sądzę, że musimy ustalić, że jesteśmy – że tu dotarliśmy – i potem tu dotrzeć – rzekła Tai.

– Masz na myśli „wrócić” – poprawił ją Betton.

– Odczyty nie pozostawiają żadnych wątpliwości – powiedziała bardzo wyraźnie Lidi, zaciskając obie dłonie na siedzisku fotela. – Wszystkie współrzędne się zgadzają. To na dole to M-60-itd. Czego jeszcze chcecie? Próbek bakterii?

– Tak – odparła Tai. – Działanie przyrzędów zostało zakłócone, więc nie możemy polegać na ich zapisach.

– Och, na litość! – zawołała Lidi. – Co za farsa! Dobra. Włóżcie skafandry, polecie na dół, zbierzcie trochę tej mazi i wynośmy się. Wracajmy do domu. NAFAL-em.

– NAFAL-em? – powtórzyli Szan i Tai, a Gveter powiedział:

– Ale podróżowałibyśmy siedemnaście lat czasu Ve i nie mielibyśmy ansibla, żeby to fyjaśnić.

– Dlaczego, Lidi? – zapytała Słodka Egzystencja.

Lidi popatrzyła na Hainkę.

– Chcecie znowu zaczertenić? – zapytała ostro. Rozejrzała się po wszystkich. – Czy wy jesteście z kamienia? – Twarz miała pobladłą, zapadniętą, skurczoną. – Nie przeszkadza wam, że widzicie przez ściany?

Ciszę, która zapadła, przerwał po chwili ostrożnie Szan:

– To znaczy?

– Widzę przez ściany gwiazdy! – Znowu rozejrzała się po załodze, pokazując ręką na dywan z jego tkanymi konstelacjami. – Wy nie? – Kiedy nikt się nie odezwał, szczęka lekko jej zadrzała. – Dobra. Dobra. Kończę służbę. Przepraszam. Będę w moim pokoju. – Wstała. – Może powinniście mnie tam zamknąć.

– Bzdura – stwierdziła Słodka Egzystencja.

– Jeśli wypadnę... – zaczęła Lidi, ale nie skończyła.

Sztywno i ostrożnie podeszła do drzwi, jakby przedzierała się przez gęstą mgłę. Powiedziała coś, czego nie zrozumieli, „powód” albo może „powrót”. Słodka Egzystencja poszła za nią.

– Ja też widzę gwiazdy! – oznajmił Rig.

– Cicho – powiedział Karth i objął dziecko ramieniem.

– Widzę! Wszędzie widzę gwiazdy. I widzę Port Ve. I mogę zobaczyć wszystko, co zechcę!

– Tak, oczywiście, ale teraz bądź cicho – mruknęła matka, lecz dziecko wyrwało się jej, tupnęło i krzyknęło piskliwie: – Widzę! Właśnie, że widzę! Widzę wszystko! A Asten nie widzi! I tu jest planeta! Właśnie, że jest! Nie, nie trzymaj mnie! Przestań! Puść!

Karth z ponurą miną zaniósł wydzierające się dziecko do ich pomieszczeń. Asten odwrócił się i wrzasnął za Rigiem: – Tu nie ma żadnej planety! Zmyślasz!

– Proszę, idź do swojego pokoju, Astenie – powiedziała Oreth ponurym tonem.

Asten wybuchnął płaczem, ale posłuchał. Oreth spojrzała przepaszająco na pozostałych i poszła za szlochającym malcem na korytarz.

Pozostała na mostku czwórka milczała.

– Kanarki – odezwał się Szan.

– Halucynacje? – podsunął przygaszony Gveter. – Fpływ czertenu na nadfrazlife organizmy? Może...

Tai skinęła głową.

– Zatem ansibl nie działa czy też mamy halucynacje, że nie działa? – zapytał po chwili Szan.

Gveter podszedł do urządzenia. Tym razem Tai odsunęła się, robiąc mu miejsce.

– Chcę polecieć na dół – rzekła.

– Chyba nie ma powodu, żeby tego nie zrobić – powiedział Szan bez entuzjazmu.

– A jaki jest pofód, żeby zrobić? – zapytał Gveter przez ramię.

– Przecież po to tu jesteśmy, prawda? Po to zgłosiliśmy się na ochotnika... Żeby wypróbować natychmiastową – przeskok – udowodnić, że działa, że tu jesteśmy! Skoro ansibl nie działa, to nasz sygnał radiowy dotrze do Ve za siedemnaście lat!

– Możemy po prostu zaczertenić z powrotem do Ve i powiedzieć im – rzekł Szan. – Jeżeli zrobimy to teraz, to bylibyśmy... tutaj... jakieś osiem minut.

– Powiedzieć im... Co im powiedzieć? Co to za dowód?

– Niepotwierdzony – powiedziała Słodka Egzystencja, która wróciła na mostek. Poruszała się jak duży żagłowiec, niesamowicie cicho.

- Czy Lidi dobrze się czuje? – zapytał Szan.
- Nie – odparła Słodka Egzystencja i usiadła na miejscu Lidi przy konsoli NAFAL-u.
- Proszę o wspólną zgodę na udanie się na planetę – powiedziała Tai.
- Zapytam pozostałych – zaproponował Gveter i wyszedł, a po chwili wrócił z Karthem.
- Leć na dół, jeśli chcesz – rzekł Getheńczyk. – Oreth zostanie jakiś czas z dziećmi. Są...

Jesteśmy bardzo dezorientowani.

- Ja też polecę – zgłosił się Gveter.
- Ja też mogę? – zapytał Betton niemal szeptem, nie podnosząc oczu na żadnego z dorosłych.
- Nie – powiedziała Tai, ale w tej samej chwili rozległ się głos Gvetera:

– Tak.

Betton zerknął na matkę.

– Dlaczego nie? – zapytał ją Gveter.

– Nie wiemy, jakie jest ryzyko.

– Planeta została zbadana.

– Przez automatyczne statki...

– Będziemy f skafandrach. – Gveter był szczerze zdziwiony.

– Nie chcę brać na siebie takiej odpowiedzialności – wycodziła Tai przez zęby.

– Dlaczego to ma być tfoja odpofiedzialność? – zapytał Gveter z jeszcze większym zdziwieniem. – Dzielimy ją fszyscy. Betton należy do załogi. Nie rozumiem.

– Wiem.

Tai odwróciła się do nich plecami i wyszła. Mężczyzna i chłopiec stali i patrzyli – Gveter za Tai, Betton na dywan.

– Przykro mi – odezwał się chłopiec.

– Nie trzeba – odparł Gveter.

– Co się... Co się tu dzieje? – zapytał Szan, udając opanowanie. – Dlaczego... ciągle się rozmijamy, ciągle... wchodzimy i wychodzimy...

– Zamęt wywołany doświadczeniem czertenu – stwierdził Gveter.

Słodka Egzystencja odwróciła się od konsoli.

– Wysłałam sygnał SOS. Nie potrafię uruchomić NAFAL-u. Radio... – odchrząknęła – radio chyba też nie działa dobrze.

Zapadło milczenie.

– To się nie dzieje – powiedział Szan albo Oreth, ale Oreth przecież była z dziećmi w innej części statku, więc nie mogła powiedzieć: „To się nie dzieje”. To musiał powiedzieć Szan.

Łatwo jest opisać ciąg przyczynowo-skutkowy. Jego ustanie jest już opisać znacznie trudniej. Dla tych, którzy żyją w czasie, normą, jedynym modelem jest następstwo, a równoczesność wydaje się im bałaganem, zamętem, beznadziejną plątaniną; opis tej plątaniny jest dla nich beznadziejnie zagmatwany. Ponieważ członkowie sieci, tworzącej załogę, już nie postrzegali tej sieci jako czegoś stabilnego i nie potrafili przekazać sobie nawzajem swoich spostrzeżeń, jedyną wskazówką, za którą można podążać przez labirynt ich zakłóceń, jest indywidualna percepcja. Gveter postrzegał siebie jako obecnego na

mostku z Szanem, Słodką Egzystencją, Bettonem, Karthem oraz Tai i metodycznie sprawdzającego układy statku. Stwierdził, że NAFAL nie działa, radio działa w nieregularnych nawrotach, a wewnętrzne systemy elektryczne i mechaniczne statku pracują bez zarzutu. Wysłał bezzałogowy lądownik i sprowadził go z powrotem, postrzegając go jako sprawny. Uważał, że omawia z Tai jej postanowienie udania się na planetę. Ponieważ ujawnił swoją niechęć do zaufania jakimkolwiek odczytom na urządzeniach statku, musiał przyznać jej rację, że tylko jakiś materialny dowód wykazałby, że naprawdę przybyli do miejsca docelowego, M-60-340-nolo. Jeśli mieli spędzić następnych siedemnaście lat czasu rzeczywistego w podróży powrotnej na Ve, to byłoby miło mieć coś do pokazania, choćby garść mazi. Postrzegał więc tę dyskusję jako całkowicie racjonalną. Przerzywały ją jednak wybuchy egoizmu niepodobne do tej załogi.

– Jeżeli lecisz, to leć! – powiedział Szan.

– Nie rozkazuj mi – warknęła Tai.

– Ktoś tu musi rządzić.

– Nie mężczyźni!

– Nie Terranie – odezwał się Karth. – Czy wy nie macie szacunku dla samych siebie?

– To stres – powiedział Gveter. – No, Tai, Bettonie, dobrze już, lećmy, co?

W lądowniku wszystko dla Gvetera było jasne. Jedno wydarzało się po drugim, tak jak powinno. Obsługa lądownika jest bardzo prosta, więc poprosił Bettona, żeby nim wylądował. Chłopiec posłuchał. Tai siedziała jak zwykle spięta i skupiona, z mocnymi dłońmi zaciśniętymi na kolanach. Betton prowadził stateczek z pewnością siebie, a potem odchylił się do tyłu, także spięty, lecz pełen godności, i oznajmił: – Wylądowaliśmy.

– Nie – zaprzeczyła Tai.

– Odczyt... Odczyt pokazuje kontakt – powiedział Betton, tracąc pewność siebie.

– Znakomite lądowanie – pochwalił go Gveter. – Nic nie poczułem.

Przeprowadzał zwykłe testy. Wszystko było w porządku. Na iluminatory napierała z zewnątrz brązowa ciemność. Kiedy Betton włączył zewnętrzne reflektory, atmosfera jak ciemna mgła rozproszyła światło w bezużyteczną oślepiającą poświatę.

– Wszystkie testy zgadzają się z raportami sondy badawczej – stwierdził Gveter. – Fyjdiesz na zewnątrz, Tai, czy posłużysz się serfomotorami?

– Wyjdę.

– Wyjdę – powtórzył jak echo Betton.

Gveter, którzy wziął na siebie rolę wsparcia, którą przyjęłoby któreś z nich, gdyby to on wychodził na zewnątrz, pomógł im zapiąć hełmy i odkazić skafandry. Otworzył włazy i obserwował na ekranie wideo oraz przez iluminator ich ruchy. Betton pokazał się pierwszy. Jego drobna postać, wydłużona przez białawy skafander, jaśniała w słabym świetle reflektorów. Odszedł kilka kroków od statku, zatrzymał się i odwrócił. Tai schodziła z drabinki. Jakby się zmniejszyła – uklękła? Gveter przeniósł wzrok z iluminatora na ekran i z powrotem. Kurczyła się? Zapadała się – chyba zapadała się w powierzchnię – która w takim razie nie mogła być twarda, lecz bagnista albo tworzyła ją jakaś zawiesina jak ruchome piaski – ale Betton po niej przeszedł i teraz wracał do Tai, dwa, trzy kroki po gruncie, którego Gveter nie widział wyraźnie, ale który musiał być twardy i musiał utrzymywać Bettona, ponieważ był lżejszy – ale nie, Tai pewnie weszła do dziury, do jakiegoś rowu, bo teraz widział ją tylko od pasa w górę, a jej nogi ginęły w ciemnym bagnie albo mgle, ale poruszała się, poruszała się szybko, oddalając się od

ładownika i Bettona.

– Sprowadź ich z powrotem – odezwał się Szan i Gveter powiedział przez interkom:

– Bettonie i Tai, proszę, fróćcie do ładownika.

Betton od razu zaczął wchodzić po drabince, a potem odwrócił się, szukając matki. W brązowym mroku, niemal poza blaskiem świateł ładownika, majaczyła niewyraźna plama, która mogła być jej hełmem.

– Bettonie, proszę, fejdź do środka. Tai, fróć, proszę.

Na drabince mignął poruszający się w górę biały skafander, a przez interkom rozległ się błagalny głos Bettona: – Tai, Tai... Proszę cię, wróć. Mam po nią iść, Gveterze?

– Nie. Tai, proszę, natychmiast fracaj do ładownika.

U chłopca zwyciężyło wyszkolenie. Wszedł do ładownika i patrzył przez zewnętrzny wąż, tak jak Gveter patrzył przez iluminator. Na wideo już jej nie było widać. Bezbarwna plama wtopiła się w bezkształtny mrok. Wskazania przyrządów informowały, że od momentu kontaktu z powierzchnią planety ładownik zagłębił się w nią na trzy metry dwadzieścia centymetrów i nadal zapada się coraz szybciej.

– Jaka jest powierzchnia, Bettonie?

– Jak błotnista ziemia. Gdzie ona jest?

– Proszę, Tai, natychmiast fracaj!

– Ładownik jeden wraz z całą załogą, proszę, wracajcie na „Szobiego” – odezwał się przez interkom głos Tai. – Mówi Tai. Ładownik wraz z całą załogą, proszę, natychmiast wracajcie na statek.

– Bettonie, nie zdejmuj skafandra, przejdiesz odkażanie – rzekł Gveter. – Uszczelniam fłaz.

– Ale... Dobrze.

Gveter poderwał ładownik, po drodze odkażając statek i skafander chłopca. Percypował, jak razem z Bettonem i Szanem przeszedł przez kilka włączów do „Szobiego”, a potem poszedł z nimi na mostek, gdzie zastali Kartha, Słodką Egzystencję, Szana i Tai. Betton podbiegł do matki, ale się przed nią zatrzymał i nie wyciągnął do niej rąk. Twarz miał nieruchomą, jakby była z wosku albo drewna.

– Bałeś się? – zapytała Tai. – Co się tam stało?

Spojrzała na Gvetera, oczekując wyjaśnienia. Gveter niczego nie percypował. Niepodczas nieokresu niedługo percypował, że nic się nie stawało nie stało, co się nie stało. Zagubiony, szukał po omacku, zagubiony, znalazł słowo, ocalające słowo...

– Fezfałaś nas – powiedział, czując, że język ma nabrzmiały, bezwładny.

Wydawało się, że zaprzeczyła, ale nie miało to znaczenia. Co je miało? Szan coś mówił. Szan pewnie wiedział.

– Nikt was nie wzywał, Gveterze. Wyszliście z Bettonem na zewnątrz, ja stanowiąc wsparcie. Kiedy uświadomiłem sobie, że nie mogę ustabilizować ładownika, że powierzchnia jest jakaś dziwna, wezwałem was z powrotem i wróciliśmy.

– Nieistotne... – Gveter nie zdołał powiedzieć nic więcej.

– Ale Tai też... – zaczął Betton, lecz przerwał.

Gveter percypował, że chłopiec cofa się przed zaprzeczającym dotykiem matki. Co miało znaczenie?

– Nikt nie poleciał na dół – powiedziała Słodka Egzystencja. Po chwili milczenia i przed nią dodała: – Nie ma żadnego dołu.

Gveter usiłował znaleźć jakieś inne słowo, ale go nie było. Przez główny iluminator widział brązową mętną wypukłość, a kiedy wyteżył wzrok, zobaczył, że przeświecają przez nią gwiazdki. Wtedy znalazł słowo, niewłaściwe słowo.

– Zagubieni – powiedział i w tej chwili światła statku powoli zaczęły zanikać w brązowym mroku, pociemniały, zniknęły, a ciche brzęczenie układów „Szobiego” ścichło w prawdziwą ciszę, która zawsze tam była. Ale tam nie było nic. Nic się nie wydarzyło. „Jesteśmy w Porcie Fe!” – usiłował powiedzieć z całych sił, ale nie było o czym mówić.

Słońca przepalają mi się przez ciało, powiedziała Lidi.

Ja jestem słońcami, odezwała się Słodka Egzystencja. Nie ja, wszystko jest słońcami.

Nie oddychajcie!, zawołała Oreth.

To śmierć, rzekł Szan. Jest tak, jak się obawiałem: nic.

Nic, powtórzyli.

Bez oddechu, duchy pomykały, przesuwały się w widmowej skorupie zimnego ciemnego kadłuba, który unosił się w pobliżu świata brązowej mgły, nierzeczywistej planety. Rozmawiali, ale nie było głosów. W próżni ani w nieczynie nie ma dźwięku.

W kabinowej samotności Lidi poczuła, jak ciężenie zmniejsza się do pół G zasadniczej masy statku. Zobaczyła, jak bliższe i dalsze słońca przepalają się przez ciemną gazę ścian, kadłuba, pościeli i jej ciała. Najjaśniejsze słońce, słońce tego układu unosiło się tuż pod jej pępkiem. Nie знаła jego nazwy.

Jestem ciemnością między słońcami, powiedział ktoś.

Jestem niczym, powiedział ktoś.

Jestem tobą, powiedział ktoś.

Ty, powiedział ktoś, ty...

I odetchnął, i wyciągnął rękę, i powiedział:

– Słuchaj! – zawołał do tego innego, do innych. – Słuchajcie!

– Zawsze o tym wiedzieliśmy. Zawsze tu byliśmy, zawsze będziemy, przy ognisku, w centrum. W sumie nie ma się czego bać.

– Nie mogę oddychać – powiedział ktoś.

– Nie oddycham – powiedział ktoś.

– Nie ma czym oddychać – powiedział ktoś.

– Ależ oddychacie, proszę, oddychajcie! – powiedział ktoś inny.

– Jesteśmy tutaj, przy ognisku – powiedział ktoś inny.

Polana ułożyła Oreth, a Karth je podpalił. Kiedy zajęły się ogniem, oboje powiedzieli cicho po karhidyjsku: – Chwalcie też światło i stworzenie niedokończone.

Ogień rozpalił się, strzelając iskrami, trzeszcząc i nagle wybuchając. Nie zgasł. Palił się. Pozostali zebrali się dookoła niego. Znajdowali się nigdzie, ale znajdowali się nigdzie razem; statek był martwy, lecz znajdowali się w jego wnętrzu. Martwy statek ochładza się dość szybko, ale nie natychmiast. Zamknijcie drzwi, zgromadźcie się przy ogniu, nie wpuszczajcie zimnej nocy, zanim pójdziemy spać.

Karth poszedł z Rigiem do Lidi, żeby namówić ją do opuszczenia jej gwiazdzistej samotni. Nawigatorka nie chciała wstać.

– To moja wina – powiedziała.

– Nie egoizuj – odparł Karth łagodnie. – Jak to możliwe?

– Nie wiem. Chcę tu zostać – mruknęła Lidi.

– Och, Lidi, nie sama! – poprosił ją Karth.

– A jak inaczej? – odpowiedziała chłodno pytaniem stara kobieta. Ale potem zrobiło jej się wstyd; zawstydziała się też swojego celebrowania poczucia winy i warknęła: – No dobrze.

Dźwignęła się na nogi, owinęła kocem i poszła za Karthem i Rigiem. Dziecko trzymało niewielką biolumę, która świeciła w czarnych korytarzach tak jak w zbiornikach tlenowych, w których dalej żyły rośliny, jeszcze przez jakiś czas metabolizując i produkując powietrze do oddychania. Światelko podążało przed nią jak gwiazda wśród gwiazd przez czerń do pomieszczenia pełnego książek, gdzie na kamiennym palenisku płonął ogień.

– Cześć, dzieci – odezwała się Lidi. – Co my tu robimy?

– Opowiadamy – odparła Słodka Egzystencja.

Szan miał w ręce niewielki notatnik nagrywający głos.

– To działa? – zapytała Lidi.

– Chyba tak. Pomyśleliśmy, że opowiemy... co się stało – powiedział Szan, mrużąc w blasku ognia wąskie czarne oczy w wąskiej czarnej twarzy. – Każde z nas. Co się nam wydawało, wydaje. Żeby...

– Jako sprawozdanie, tak. Na wypadek gdyby... Śmieszne, że twój notatnik działa. Skoro nie działa nic innego.

– Jest uruchamiany głosem – wyjaśnił z roztargnieniem Szan. – Dobrze. Kontynuuj, Gveterze.

Gveter skończył opowiadać swoją wersję wyprawy na powierzchnię planety.

– Nafet nie przyfieźliśmy z sobą próbek – zakończył. – Fcale o nich nie pomyślałem.

– Poleciał z tobą Szan, nie ja – rzekła Tai.

– Ty poleciałaś i ja też – powiedział chłopiec z taką pewnością siebie, że zamilkła. – I wyszliśmy na zewnątrz. Szan i Gveter stanowili wsparcie w lądowniku. A ja zebrałem próbki. Są w szafie w pomieszczeniu hipostazy.

– Nie wiem, czy Szan był w lądofniku, czy nie – powiedział Gveter, pocierając zbolałym ruchem czoło.

– Dokąd miałyby się udać lądownik? – zapytał Szan. – Tam nie ma nic, my nigdzie nie jesteśmy, chyba poza czasem, nie potrafię wymyślić nic innego. Ale kiedy któreś z was mówi, jak to widziało, wydaje się, że tak właśnie było, ale potem następna osoba zmienia tę opowieść i ja...

Oreth zadrżała i przysunęła się bliżej ognia.

– Nigdy nie wierzyłam, że to cholerstwo zadziała – powiedziała Lidi, w mrocznej jaskini swojego koca podobna do niedźwiedzia.

– Problemem był brak zrozumienia – stwierdził Karth. – Nikt z nas nie rozumiał, jak to będzie działać, nawet Gveter. Prawda?

– Tak – odparł Ceteńczyk.

– Więc jeśli nasza interakcja psychiczna miała wpływ na proces...

– Albo jest procesem, jeśli o nas chodzi – powiedziała Słodka Egzystencja.

– Chcesz powiedzieć, że aby to zadziałało, musimy w to wierzyć? – zapytała Lidi z głębokim niesmakiem.

– Aby działać, trzeba wierzyć w siebie, prawda? – rzekła Tai.

– Nie – odparła nawigatorka. – Zdecydowanie nie. Ja nie wierzę w siebie. Ja pewne rzeczy wiem. To wystarczy do działania.

– Analogia – podsunął Gveter. – Skuteczne działanie załogi zależy od tego, czy jej członkowie postrzegają się jako załoga – można by to nazwać fiarą f załogę albo po prostu byciem załogą – tak? Więc może aby zacierenić, my – my śfiadomi – może to zależy od naszego śfiadomego postrzegania się jako uczestników przeskoku – jako osób będących f tym drugim miejscu – celu podróży?

– Z całą pewnością przestaliśmy być załogą na... Czy istnieją chwile? – powiedział Karth. – Rozpadliśmy się.

– Zgubiliśmy nić przewodnią – rzekł Szan.

– Zgubiliśmy – powiedziała z zadumą Oreth, dokładając kolejne potężne, na wpeł nieważkie polano do ognia i posyłając do komina iskry, powolne gwiazdy.

– Zgubiliśmy... co? – zapytała Słodka Egzystencja.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał.

– Kiedy widzę poprzez dywan słońce... – zaczęła Lidi.

– Ja też je widzę – powiedział bardzo cicho Betton.

– A ja widzę Port Ve – rzekł Rig. – I wszystko. Mogę wam powiedzieć, co widzę. Jeśli się przyjrzę, to widzę Liden. I moje pomieszczenie na „Oneblinie”. I...

– Najpierw, Rigu, powiedz nam, co się stało – poprosiła Słodka Egzystencja.

– Dobrze. Trzymaj mnie mocniej, mabo, bo zaczynam się unosić. No więc poszliśmy do biloteki, ja, Asten i Betton, i Betton był starszym bratem, a dorośli byli na mostku i ja zamierzałem spać, jak zawsze, kiedy nafalujemy, ale zanim jeszcze się położyłem, pojawiła się ta brązowa planeta, Port Ve i oba słońca, i wszystko inne, i można było widzieć poprzez wszystko, ale Asten nie. Ale ja widzę.

– Nie poleciliśmy donikąd – powiedział Asten. – Rig cały czas opowiada jakieś historie.

– My wszyscy cały czas opowiadamy jakieś historie, Astenie – rzekł Karth.

– Nie takie głupie jak Rig!

– Nawet głupsze – stwierdziła Oreth. – Potrzebujemy... Potrzebujemy...

– Potrzebujemy wiedzy, czym jest przeskok – odezwał się Szan – a nie mamy jej, ponieważ nigdy przedtem tego nie robiliśmy, nikt przedtem tego nie robił.

– Nie fizycznie – uściśliła Lidi.

– Musimy wiedzieć, co jest prawdziwe, co się zdarzyło, czy w ogóle coś się zdarzyło... – Tai zatoczyła ręką, wskazując ich jaskinię blasku ognia i leżącą poza nią ciemność. – Gdzie jesteśmy? Czy jesteśmy tutaj? Gdzie jest tutaj? Jak brzmi ta opowieść?

– Musimy ją opowiedzieć – stwierdziła Słodka Egzystencja. – Przekazać ją... Jak Rig. Astenie, jak się zaczynają opowieści?

– Tysiąc zim temu, tysiąc mil stąd – powiedziało dziecko, a Szan mruknął:

– Dawno, dawno temu...

– ...był sobie statek „Szobi” – podjęła Słodka Egzystencja – który z dziesięcioosobową załogą odbywał próbny czertenowy lot. Członkowie załogi nazywali się Rig, Asten, Betton, Karth, Oreth, Lidi, Tai, Szan, Gveter i Słodka Egzystencja. Opowiadali o swojej podróży każdy z osobna i wszyscy razem...

Zapadła cisza, cisza, która zawsze tam była – oprócz osuwania się polan i trzaskania ognia, cichych oddechów i drobnych poruszeń, aż wreszcie odezwało się jedno z nich, zaczynając opowieść: – Chłopiec i jego matka – zabrzmiał delikatny, czysty głos – byli pierfszymi istotami ludzkimi, które postafiły stopę na tym śfiecie.

Znowu cisza i znowu głos:

– Chociaż chciała... Zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę miała nadzieję, że to nie zadziała, bo wtedy jej umiejętności, jej całe życie okazałoby się przestarzałe... Tak czy inaczej, naprawdę chciała się też nauczyć tego używać, bo gdyby jej się udało, gdyby nie była za stara, żeby się uczyć...

Długa, miękko pulsująca przerwa i kolejny głos:

– Przemieszczali się od świata do świata i za każdym razem tracili świat, który opuszczali, tracili go w dylatacji czasu. Ich znajomi starzeli się i umierali, gdy oni podróżowali NAFAL-em. Jeśli istniał sposób, żeby żyć we własnym czasie, mimo to poruszać się między światami, to chcieli go wypróbować...

– Stawiając wszystko na jedną kartę – podjął opowieść następny głos – ponieważ działa tylko to, czemu oddajemy całą naszą duszę, bezpieczne jest tylko to, co narażamy na ryzyko.

Chwila, mała chwila i głos:

– To było jak jakaś gra. Jakbyśmy wciąż znajdowali się w „Szobim” w Porcie Ve i czekali przed wyruszeniem w podróż NAFAL-em. Ale to było też tak, jakbyśmy znajdowali się przy tej brązowej planecie. W tym samym czasie. I jedno to było udawanie, a drugie nie, tylko że ja nie wiem które. Więc było tak, jakby się udawało w jakiejś grze. Ale ta gra mi nie odpowiadała, bo nie miała zasad.

Kolejny głos:

– Gdyby dowiedziono, że zasadę czertenu można zastosować do przeskoku żywych, świadomych istot, to byłoby to wielkie wydarzenie w umyśle jego ludu – dla wszystkich ludzi. Nowe zrozumienie. Nowe partnerstwo. Nowy sposób istnienia we wszechświecie. Szersza wolność... Bardzo tego pragnął. Chciał być członkiem załogi, która po raz pierwszy stworzy takie partnerstwo, chciał się znaleźć wśród pierwszych ludzi mających tę myśl i... ją zrelacjonować. Zarazem jednak się tego bał. Może to nie była prawdziwa relacja, może fałszywa, może tylko sen. On tego nie wiedział.

Było tak zimno, tak ciemno za ich plecami, kiedy tak siedzieli wokół ognia. Czy to fale Liden tak szmerzą na piasku?

Jeszcze jeden głos:

– Ona też dużo myślała o swoim ludzie. O winie, odkupieniu i ofierze. Bardzo chciała wziąć udział w tym locie, który mógł dać ludziom więcej wolności. Ale okazał się inny, niż sądziła. To, co się wydarzyło... To, co się wydarzyło, nie miało znaczenia. Znaczenie miało to, że znalazła się wśród ludzi, którzy dali jej wolność. Bez poczucia winy. Chciała z nimi zostać, tworzyć z nimi załogę... I ze swoim synem. Który jako pierwsza ludzka istota postawił stopę na nieznanym świecie.

Długa cisza, lecz nie głęboka, sięgająca tylko cichego dudnienia układów statku, równego i nieświadomego jak krążenie krwi. Jeszcze jeden głos: – Byli myślami w umyśle. Czym innym kiedykolwiek byli? Więc mogli się znajdować na Ve i przy brązowej planecie, i pragnąć ciała, i całego ducha, i złudzenia, i rzeczywistości jednocześnie, jak zawsze. Kiedy o tym sobie przypominał, ustała jego dezorientacja i strach, bo wiedział, że nie mogą się zgubić.

– Zgubili się. Ale odnaleźli drogę – powiedział inny głos, miękko wznoszący się nad szum i szmer układów statku w ciepłym świeżym powietrzu i świetle wewnątrz mocnych ścian i kadłubów.

Przemówiło tylko dziewięć głosów, więc szukali dziesiątego. Lecz dziesiąty zasnął z

kciukiem w buzi.

– Ta historia została opowiedziana i trzeba ją jeszcze opowiedzieć – rzekła matka. –
Mówcie. Ja tu poczertenię z Rigiem.

Zostawili tych dwoje przy ogniu i poszli na mostek, a potem do włączów, by zaprosić na
pokład tłum zatroskanych naukowców, inżynierów i oficjeli z Portu Ve i Ekumeny,
których instrumenty zapewniały, że czterdzieści pięć minut wcześniej „Szobi” pomknął w
niebyt, w milczenie.

– Co się stało? – pytali. – Co się stało?

A szobowie spojrzeli po sobie i powiedzieli:

– Cóż, jest co opowiadać...

Zatańczyć do Ganamu

– Energią jest to potężne dudnienie – rzekł Aketa. – Ten grzmot. Hałas wodospadu, który produkuje elektryczność. Wypełnia człowieka, aż nie ma miejsca na nic innego.

Ket wylała kilka kropli wody na ziemię i mruknęła:

– Pij, podróżniku. – Rozsypała na ziemię mączkę z pyłku kwiatowego i znowu mruknęła:

– Jedz, podróżniku. – Spojrzała w górę na Iyananam, górę energii. – Może on słuchał tylko grzmotu i nie słyszał nic innego – powiedziała. – Myślisz, że wiedział, co robi?

– Myślę, że wiedział – odparł Aketa.

Po udanym, choć problematycznym przeskoku „Szobiego” do paskudnej małej planety M-60–340-nolo i z powrotem całe skrzydło Portu Ve zostało przeznaczone na cele technologii czertenu. Twórcy teorii czertenu na Anarres oraz inżynierowie przeskoku na Urras stale się kontaktowali przez ansibl z teoretykami i inżynierami na Ve, którzy przygotowywali doświadczenia i badania, mające na celu stwierdzenie, co się naprawdę dzieje, kiedy statek wraz z załogą przemieszcza się z jednego miejsca we wszechświecie do drugiego, nie zużywając na to ani trochę czasu. „Nie można mówić »przemieszcza« się, nie można mówić »dzieje« się – napominali Ceteńczycy. – Jest tu, nie tam, w jednej chwili i w tej samej chwili jest tam, nie tu. Ten nieinterwał to w naszym języku czerten”.

Z tymi kręgami ceteńskich temporalistów współpracowały kręgi haińskich psychologów, którzy badali, co w rzeczywistości się dzieje, kiedy inteligentne formy życia doświadczają czertenu, i sprzeczały się o to. „Nie można mówić »w rzeczywistości«, nie można mówić »doświadczają« – napominali. – Realny punkt »przybycia« czertenowej załogi osiąga się poprzez wspólną percepcję-porównanie i dopasowanie, tak więc dla istot myślących konstrukcja wydarzenia ma zasadnicze znaczenie dla skuteczności przeskoku” i tak dalej, i tak dalej, ponieważ Hainowie mówią od miliona lat i jeszcze się tym nie zmęczeni. Lubią jednak też słuchać i słuchali, co miała im do powiedzenia załoga „Szobiego”. A kiedy przybył komandor Dalzul, słuchali jego.

– Trzeba wysłać jednego człowieka – powiedział. – Problemem są zakłócenia. W „Szobim” było dziesięć osób. Wyślijcie jednego człowieka. Wyślijcie mnie.

– Powinnaś lecieć z Szanem – rzekł Betton.

Jego matka pokręciła głową.

– To głupie nie lecieć!

– Jeśli nie chcą ciebie, to nie dostaną mnie – odparła.

Chłopiec wiedział lepiej i nie uściskał jej ani nic nie powiedział. Zrobił jednak coś, co rzadko mu się zdarzało: zażartował:

– Wrócisz od razu.

– Och, daj spokój – powiedziała Tai.

Szan wiedział, że Hainowie nie noszą mundurów ani nie używają wyróżników statusu jak stopień „komandor”, ale na spotkanie z komandorem Dalzulem włożył swój czarno-srebrny mundur Terrańskiej Ekumeny.

Urodzony w koszarach Alberty w najwcześniejszych latach członkostwa Terry w Ekumenie, Dalzul odbył studia w zakresie fizyki temporalnej na Uniwersytecie A-Io na Urras i szkolił się ze stabilami na Hain, a potem wrócił na swoją rodzinną planetę jako mobil Ekumeny Światów. Podczas sześćdziesięciu siedmiu lat jego podróży, odbywającej się z prędkością niemal dorównującą prędkości światła, kłopotliwy ruch religijny przerodził się w potworności rewolucji unickiej. Dalzul opanował sytuację w ciągu kilku miesięcy dzięki przenikliwości i taktyce, czym zdobył sobie szacunek pracodawców i uwielbienie przeciwników – jako że ojcowie unicy uznali go za Boga. Ogólnoświatowe zabijanie niewiernych przeszło w ogólnoświatową nowennę adoracji nowego objawienia, która z kolei spowodowała schizmy i powstanie kolejnych sekt, pochłoniętych głównie zabijaniem się nawzajem. Dalzul zażegnał najgorsze odrodzenie teokratycznej przemocy od okresu skażenia. Działał z wdziękiem, dowcipem, cierpliwością, odpowiedzialnością, elastycznością, przebiegłością i pogodą ducha, stosując wszelkie środki najbardziej poważane przez Ekumenę.

Jako że nie mógł pracować na Terze, gdzie padł ofiarą deifikacji, otrzymywał niewielkie, lecz znaczące zadania na niewielkich, ale znaczących planetach. Jedną z nich była Orint, jedyny świat, z którego wycofała się Ekumena. Zrobiono to za radą Dalzula na krótko przed tym, jak Orintianie posłużyli się w wojnie patogenami i zniszczyli życie w swoim świecie. Dalzul przepowiedział to ze straszliwą i pełną współczucia trafnością. W ostatniej chwili zorganizował tajną pomoc dla kilku tysięcy dzieci, na których wyjazd zgodzili się ich rodzice. Tych ostatnich Orintian nazywano dziećmi Dalzula.

Szan wiedział, że bohaterowie to elementy prymitywnych kultur, lecz kultura Terry była prymitywna, a Dalzul był jego bohaterem.

Tai z niedowierzaniem przeczytała wiadomość z Portu Ve.

– Co to za załoga? – zapytała. – Kto prosi rodziców, żeby zostawili dzieciaka?

A potem podniosła wzrok na Szana i zobaczyła jego twarz.

– Dalzul. Chce nas. W swojej załodze – odparł.

– Leć – powiedziała.

Oczywiście oponował, lecz Tai trzymała stronę bohatera. Poszedł. I na przyjęcie, na którym miał poznać Dalzula, włożył czarny mundur ze srebrną nicią wzdłuż rękawów i srebrnym kręgiem nad sercem. Komandor miał na sobie taki sam mundur. Kiedy Szan go zobaczył, serce mu podskoczyło i mocniej zabiło. Oczywiście Dalzul był niższy, niż Szan go sobie wyobrażał: nie miał trzech metrów wzrostu. Ale poza tym był taki, jak powinien –

wyprostowany i gibki, z długimi, zaczynającymi siwieć jasnymi włosami odgarniętymi ze wspanialej, wyrazistej twarzy i oczyma przejrzystymi jak woda. Szan nie zdawał sobie sprawy, jaką białą skórę ma Dalzul, lecz ta ułomność – czy też atawizm – nie była znacząca i dałoby się nawet uznać ją za piękną. Głos Dalzul miał ciepły i cichy. Teraz śmiał się, rozmawiając z grupką podekscytowanych Anarresyjczyków. Zobaczył Szana, odwrócił się i podszedł prosto do niego.

– Nareszcie! Ty jesteś Szan, ja nazywam się Dalzul i lecimy tym samym statkiem. Bardzo mi przykro, że twoja partnerka nie mogła zostać jedną z nas. Myślę jednak, że jej zmienniczki, Forest i Riel, to twoje stare znajome.

Szan ucieszył się na ich widok. Twarz Forest przypominała obsydianowy nóż z czujnymi oczyma, a Riel była okrągła i lśniąca jak miedziane słońce. Szkolił się z nimi na Ollul. Przywitały się z nim z równą przyjemnością.

– To cudowne – powiedział, a potem dodał: – A więc wszyscy jesteśmy Terranami? Głupie pytanie, ponieważ było to oczywiste, lecz Ekumena zasadniczo lubiła, żeby członkowie załóg pochodzili z różnych kultur.

– Odejdźmy kawałek, to wam wyjaśnię – zaproponował Dalzul.

Skinął na mezkleta, który zaraz podbiegł, z dumą pchając przed sobą wózek zastawiony drinkami i jedzeniem. Napełnili swoje tace, podziękowali mezkletowi i znaleźli sobie głęboki wykusz z dala od hałaśliwego tłumu. Tam się rozsiedli, żeby jeść, pić, mówić i słuchać. Dalzul nie próbował ukryć swego gorącego przekonania, że jest na tropie rozwiązania problemu czertenu.

– Dwa razy wyprawiałem się sam – powiedział lekko ściszone głosem, a Szan zaczął naiwnie:

– Bez...?

Dalzul wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Nie, nie. Z pozwoleniem Grupy Badania Czertenu. Ale tak naprawdę bez jej błogosławieństwa. Dlatego szepczę i oglądam się przez ramię. Wciąż są tu ludzie z GBC, którzy dają mi do zrozumienia, że ukradłem ich statek, zakpiłem z ich teorii, pogwałciłem ich szifgrethor, obsikałem im buty – nawet po tym, jak razem ze statkiem odbyłem podróż w obie strony bez żadnych problemów czertenu, bez żadnych dysonansów percepcyjnych.

– Gdzie? – zapytała Forest z napięciem w ostrej jak brzytwa twarzy.

– Pierwsza podróż była wewnątrz tego układu, z Ve do Hain i z powrotem. Jak autobusem. Wszystko znane, spodziewane. Odbyła się bez żadnego incydentu, wedle oczekiwań. Jestem tu – jestem tam. Wychodzę ze statku, żeby zameldować się stabilom, wracam na statek i jestem tu. Czary-mary! No bo to jest magia. Chociaż wydaje się takie naturalne. Człowiek jest tam, gdzie jest. Też to czujesz, Szanie?

Czyste oczy patrzyły ze zdumiewającą intensywnością. Zupełnie jakby na człowieka patrzyła błyskawica. Szan chciał móc się zgodzić, ale musiał wyjąkać:

– No, wie pan, mieliśmy trochę problemów ze stwierdzeniem, gdzie jesteśmy.

– Moim zdaniem ten mętlik jest niekonieczny. Przeskok to niedoświadczenie. Sądzę, że normalnie nic się nie dzieje. Dosłownie nic. Do eksperymentu z „Szobim” wmieszały się wydarzenia zewnętrzne – wasz interwał został zakłócony. Tym razem chyba uda nam się uzyskać niedoświadczenie. – Spojrzał na Forest i Riel, po czym się roześmiał. – Niezobaczycie, czego nie mam na myśli – rzekł. – W każdym razie po tej autobusowej wycieczce tak długo wierciłem im dziurę w brzuchu, aż Gvonesz się zgodziła, żebym udał

się na wyprawę badawczą sam.

Podbiegł do nich mezklet, pchając wózek futrzastymi łapkami. Mezklety uwielbiały przyjęcia, uwielbiały podawać jedzenie, serwować napoje i patrzeć, jak ich ludzie zaczynają się dziwacznie zachowywać. Ten postać chwilę przy nich z nadzieją, że zaczną się dziwacznie zachowywać, a potem odbiegł z powrotem do teoretyków z Anarres, którzy zawsze zachowywali się dziwacznie.

– Wyprawa badawcza pierwszy kontakt?

Dalzul skinął głową. Onieśmiał swoją siłą i mimowolną godnością, ale trudno było się oprzeć jego zachwytowi nad tym, co zrobił, jego prostej radości. Szan znał ludzi błyskotliwych i ludzi mądrych, ale nigdy nie spotkał kogoś, czyja energia lśniła tak jasno, tak wyraźnie i była tak prostolinijna.

– Wybraliśmy odległy cel. G-14-214-yomo. Na mapach Ekspansji to była Tackla, a ludzie, których tam spotkałem, nazywają tę planetę Ganamem. Właśnie zmierza tam z prędkością NAFAL-u wstępna misja Ekumeny. Opuściła Ollul osiem lat temu i dotrze na miejsce za trzynaście lat od tuteż. Oczywiście nie było sposobu, żeby się z nimi skontaktować w trakcie podróży, żeby im powiedzieć, że znajdę się tam przed nimi. GBC uznała za dobry pomysł, że ktoś tam wpadnie po trzynastu latach. Gdybym nie wrócił, może mogliby się dowiedzieć, co się stało. Ale teraz wygląda na to, że kiedy misja przybędzie na miejsce, Ganam będzie już należeć do Ekumeny! – Spojrzał na nich po kolei oczami błyszczącymi od zapału. – Czertem wszystko zmieni. Kiedy przeskok zastąpi podróże kosmiczne – wszelkie podróże – kiedy nie będzie odległości między światami, kiedy będziemy kontrolować interwał... Wciąż usiłuję sobie wyobrazić, zrozumieć, co to będzie znaczyć dla Ekumeny, dla nas. Będziemy mogli uczynić dom ludzkości prawdziwie jednym domem, jednym miejscem. Ale w tym jest większa głębia! W przeskoku łączymy się na nowo, przywracamy prachwilę, tempo, które stanowi rytm... By dołączyć do jedności. By uciec czasowi. By wykorzystać wieczność! Ty tam byłeś, Szanie. Czułeś, co usiłuję powiedzieć?

– Nie wiem – odparł Szan. – Tak...

– Chcecie zobaczyć nagranie z mojej podróży? – zapytał nagle Dalzul z szelmowskim błyskiem w oku. – Mam z sobą ręcznekran.

– Tak! – powiedziały Forest i Rieli wszyscy stłoczyli się wokół komandora w wykuszu jak grupka spiskowców.

Mezklet na próżno usiłował zobaczyć, co robią – był za niski i nie pomogło mu nawet to, że wszedł na swój wózek.

Programując ręcznekran, Dalzul opowiedział im pokrótce o Ganamie. Świat ten jako jedno z najodleglejszych miejsc, do których dotarł siew Haińskiej Ekspansji, zniknął z ludzkiej wspólnoty na pięćset tysięcy lat. Wiadomo o nim było tylko tyle, że być może jego mieszkańcy wywodzą się od ludzkich przodków. Gdyby tak było, wysłany do niego ekumeński statek przez długi czas prowadziłby w normalny sposób obserwację z orbity i dopiero potem wysłałby na dół kilku obserwatorów, którzy mieliby się ukryć albo w miarę możliwości podać się za miejscowych, albo w razie konieczności wyjawic swoją misję, zbierając jednocześnie informacje, ucząc się języka i obyczajów i tak dalej, co zwykle trwa wiele lat. Wszystko to podważyła nieprzewidywalność nowej technologii. Stateczek Dalzula wyszedł z czertenu nie w stratosferze, jak planowano, lecz w atmosferze mniej więcej sto metrów nad ziemią.

– Nie było mi dane wkroczyć na scenę niepostrzeżenie – stwierdził, a na małym ekranie pojawił się audiowizualny zapis urządzeń statku.

Ujrzeni oddalające się szare równiny Portu Ve. Dalzul powiedział: „Teraz” i w tym samym momencie zobaczyli gwiazdy płonące w czarnej przestrzeni, żółte mury i pomarańczowe dachy miasta, błysk słońca na wodzie kanału.

– Widzicie? – mruknął Dalzul. – Nic się nie dzieje.

Miasto przechyliło się i wyrównało: rozświetlone słońcem ulice i place pełne ludzi, którzy patrzyli w górę i pokazywali rękami, niewątpliwie wołając: „Patrzcie! Patrzcie!”.

– Uznałem, że muszę pogodzić się z tą sytuacją – powiedział Dalzul.

W miarę, jak opuszczał statek, coraz wyżej wokół niego sięgały drzewa i trawa. Ludzie już wybiegali z miasta, ludzcy ludzie: o skórze koloru terakoty, dość potężnie zbudowani, o szerokich twarzach, z odsłoniętymi ramionami i bosonodzy, ubrani w wielobarwne spódnice i długie kamizele. Mężczyźni mieli w uszach wielkie złote kolczyki, a na głowach stroiki z wikliny, złotego drutu i piór.

– Gamańczycy – powiedział Dalzul. – Mieszkańcy Ganamu. Wspaniali, prawda? I nie marnują czasu. Przyszli w ciągu pół godziny... O, tu jest Ket. Widzicie ją? Tę olśniewającą kobietę? Ponieważ statek był oczywiście dość niepokojący, uznałem, że przede wszystkim muszę okazać bezbronność.

Zrozumieli go, widząc nagranie z kamery. Wszedł powoli na trawę i stanął bez ruchu przed pęczniejącym tłumem. Był nagi. Nieuzbrojony, nieubrany, samotny. Stał tak w ostrym słońcu, które rozświetlało jego białą skórę i srebrzyste włosy, z ramionami szeroko rozpostartymi w geście wręczania.

Trwało to dość długo. Gamańczycy podchodzili bliżej czoła tłumowi i stopniowo przestawali rozmawiać i krzyczeć. Dalzul stał spokojnie pośrodku pola widzenia kamery. Wtem – Szan wciągnął ze świstem powietrze – ruszyła w jego stronę jakaś kobieta. Była wysoka, mocno zbudowana, miała krągłe ramiona, czarne oczy i wysokie kości policzkowe, a przetykany złotem warkocz upięła w koronę. Zatrzymała się przed Dalzulem i odezwała czystym, pełnym głosem. Szan pomyślał, że jej słowa brzmią jak poezja, jak rytualne pytania. Dalzul odpowiedział zbliżeniem dłoni do serca i ponownym rozłożeniem rąk wewnętrzną stroną dłoni do góry. Kobieta patrzyła na niego dłuższą chwilę, a potem wypowiedziała jedno dźwięczne słowo. Powoli, z ceremonialną powagą zsunęła ciemnoczerwoną kamizelę z ramion, rozluźniła spódnice, wspaniałym, świadomym gestem odrzuciła ją na bok i stanęła naga przed nagim mężczyzną. Wyciągnęła do niego rękę. Dalzul ją ujął.

Ruszyli ku miastu. Tłum ich otoczył i podążył za nimi, wciąż w milczeniu, bez pośpiechu czy zamętu, jakby ludzie robili to już wcześniej. Kilkoro z nich, głównie młodzież, zostało z tyłu. Przyglądali się statkowi i zachęcali nawzajem, żeby podejść bliżej, zaciekawieni, ostrożni, lecz nie przestraszeni.

Dalzul zatrzymał taśmę.

– Widzisz różnicę? – zwrócił się do Szana.

Ten, pełen podziwu, nie odpowiedział.

– Załoga „Szobiego” odkryła – rzekł Dalzul do całej trójki – że indywidualne doświadczenia przeskoku można ujednoczyć tylko w drodze wspólnego wysiłku. Wysiłku synchronizacji, zgrania. Kiedy to sobie uświadomili, zdołali wyzwolić się od coraz bardziej niebezpiecznie podzielonego postrzegania tego, gdzie się znajdują i co się dzieje. Prawda,

Szanie?

– Teraz nazywa się to doświadczeniem chaosu – rzekł Szan, przygaszony z powodu wspomnień oraz odmienności doświadczenia Dalzula.

– Temporalisci i psycholodzy wycisnęli z podróży „Szobiego” mnóstwo teorii – ciągnął Dalzul. – Moja interpretacja jest żałośnie prosta: dysonans postrzegawczy, cierpienie i niespójność w dużej mierze wywołały rozbieżności w ocenie załogi. Bez względu na to, jak dobrze się zgraliście, Szanie, stanowiło ją dziesięć osób z czterech światów – czterech kultur – w tym dwie bardzo stare kobiety i troje dzieci! Jeżeli konsekwencją spójnego przeskoku jest zgranie, funkcjonowanie w jednym rytmie, to musimy sprawić, by to zgranie było łatwe. To, że w ogóle je osiągnęliście, graniczy z cudem. Najprostszym sposobem na osiągnięcie go jest, oczywiście, obejście problemu: udanie się w podróż samotnie.

– To jak weryfikować doświadczenie? – zapytała Forest.

– Właśnie to widzieliście: dokonane przez statek nagranie lądowania.

– Ale nasze przyrządy na „Szobim” się wyłączyły albo dawały całkowicie rozbieżne odczyty – rzekł Szan. – Były równie niespójne, jak nasze spostrzeżenia.

– Właśnie! Razem z waszymi przyrządami znajdowaliście się w jednym polu zgrania, co prowadziło do zakłóceń. Kiedy jednak na powierzchnię planety udały się tylko dwie lub trzy osoby, sytuacja się poprawiła: lądownik działał doskonale, a nagrane przez niego taśmy z obrazami z powierzchni są wyraźne. Chociaż, co prawda, są też bardzo brzydkie.

Szan się roześmiał.

– Owszem, brzydkie. To jakaś gówniana planeta. Ale, panie komandorze, nawet na taśmach nie widać wyraźnie, kto zszedł na powierzchnię. I była to jedna z najbardziej chaotycznych części całego doświadczenia. Poleciałem z Gveterem i Bettonem. Powierzchnia pod statkiem była niestabilna, więc zawołałem ich z powrotem do lądownika i wróciliśmy na statek. To wszystko wydaje się spójne. Lecz Gveter uważa, że poleciał z Bettonem i Tai, a nie ze mną, usłyszał, że Tai wzywa go ze statku, i wrócił z Bettonem i ze mną. Jeśli chodzi o Bettona, to poleciał z Tai i ze mną. Zobaczył, jak matka oddała się od lądownika, nie stosuje się do polecenia powrotu i zostaje na powierzchni. Gveter też to widział. Wrócili bez niej i zastali ją czekającą na nich na mostku. Sama Tai nie pamięta, żeby gdzieś leciała w lądowniku. Wszystkie nasze dowody to te cztery relacje. Sprawiają wrażenie zarówno tak samo prawdziwych, jak i tak samo nieprawdziwych. A taśmy w niczym nie pomagają – nie pokazują, kto był w skafandrach. W tej gównianej zupie na powierzchni wszyscy wyglądają tak samo.

– Właśnie o to chodzi – rzekł Dalzul, pochylając się do przodu z rozjaśnioną twarzą. – Ten mrok, to gówno, ten chaos, który zobaczyliście, który zobaczyły kamery w waszym polu... Pomyślcie o różnicy między tym i taśmami, które właśnie oglądaliśmy! Słońce, wyraźne twarze, jaskrawe kolory, wszystko jasne, ostre... Bo nie było zakłóceń, Szanie. Ceteńczycy mówią, że w polu czertenu są tylko głębokie rytmy, wibracja ostatecznych cząstek falowych. Przeskok to funkcja rytmu, która powoduje bycie. Według ceteńskiej fizyki duchowej człowiek może uczestniczyć w wieczności i wszechobecności dzięki dostępowi do tego rytmu. Na podstawie tego wnioskuje, że aby przybyć do tego samego miejsca z harmonijną – to znaczy dokładną – percepcją tego wydarzenia, ludzie, którzy dokonują przeskoku, muszą znajdować się w niemal doskonałej synchronii. Na tyle, na ile mogliśmy je zweryfikować, moje przecucie się potwierdziło: jedna osoba może czertenić

przy zdrowych zmysłach. Dopóki nie dowiemy się, co robimy, dziesięć osób w sposób nieunikniony będzie doświadczać chaosu albo czegoś gorszego.

– A cztery osoby? – zapytała oschle Forest.

– To grupa kontrolna – rzekł Dalzul. – Szczerze mówiąc, wolałbym zacząć od kolejnych wypraw solo albo najwyżej z jednym towarzyszem. Lecz, jak wiecie, nasi przyjaciele z Anarres bardzo nieufnie podchodzą do tego, co nazywają egoizowaniem. Dla nich czystości moralnej nie mogą osiągnąć pojedyncze osoby, lecz jedynie grupy. Poza tym mówią, że w eksperymencie z „Szobim” może poszło źle coś jeszcze. Ale jak się tego dowiemy, czy grupa może czertenić tak samo dobrze jak jedna osoba, jeśli nie spróbujemy? Więc poszedłem na kompromis. Powiedziałem: „Wyślijcie mnie z dwoma lub trzema wysoce dopasowanymi i wysoce zmotywowanymi towarzyszami. Wyślijcie nas jeszcze raz na Ganam i zobaczymy, co zobaczymy!”.

– „Zmotywowany” to nieodpowiednie słowo – powiedział Szan. – Ja jestem oddany i zobowiązany. Należę do tej załogi.

Riel kiwnęła głową. Forest zaś powiedziała tylko ostrożnie z posępną miną:

– Czy będziemy ćwiczyć zgranie, panie komandorze?

– Tak długo, jak zechcecie – zapewnił ją Dalzul. – Są jednak sprawy ważniejsze od ćwiczeń. Umiesz śpiewać, Forest, albo grać na jakimś instrumencie?

– Śpiewam – odparła, a kiedy Dalzul spojrzał na Riel i Szana, ci skinęli głowami.

– Znacie to? – zapytał i zaczął cicho śpiewać starą piosenkę, którą znał każdy z koszar i obozów Terry, zatytułowaną *Droga na Morze Zachodnie*.

Dołączyła do niego Riel, potem Szan, a potem Forest zaskakująco głębokim, dźwięcznym głosem. Kilka osób w najbliższym sąsiedztwie odwróciło się, gdyż ich harmonijnie splecione głosy przebiły się przez gwar rozmów. Mezklet porzucił swój wózek i podbiegł z szeroko rozwartymi błyszczącymi oczami. Z uśmiechem skończyli piosenkę długim, cichym akordem.

– To dopiero rozrywka – orzekł Dalzul. – Żeby dotrzeć do Ganamu, wystarczy nam muzyka. W końcu jest tylko muzyka.

Forest, a potem Riel uniosły z uśmiechem kieliszki.

– Za muzykę! – powiedział Szan, lekko pijany i dziko szczęśliwy.

– Za załogę „Galby” – rzekł Dalzul.

Wypili.

Oczywiście zachowali minimalny okres isyeye, zgrywania załogi, podczas którego mieli mnóstwo czasu na omawianie problemu czertenu zarówno z Dalzulem, jak i między sobą. Oglądali taśmy statku i wiele razy czytali zapiski Dalzula na temat jego krótkiego pobytu na Ganamie, aż nauczyli się ich na pamięć, a potem sprzeciali się, czy to rozsądne.

– Po prostu przyjmujemy wszystko, co widział i powiedział, jako fakt obiektywny – zauważyła Forest. – Jaką możemy mieć kontrolę?

– Jego sprawozdanie i taśmy statku całkowicie się zgadzają – stwierdził Szan.

– Ponieważ, jeśli jego teoria jest słuszna, był zgrany z przyrządami. Możemy postrzegać rzeczywistość statku oraz przyrządów jedynie tak, jak postrzegała je osoba, istota inteligentna, dokonująca przeskoku. Jeżeli Ceteńczycy są pewni czegoś na temat

czertenu, to tego, że kiedy w jego procesie bierze udział inteligencja, już go nie rozumieją. Wysłać statek automatyczny? Nie ma problemu. Wysłać ameby i świerszcze? Nie ma problemu. Wysłać istoty o dużej inteligencji i nic już nie wiadomo. Wasz statek stanowił część waszej rzeczywistości – waszych dziesięciu odmiennych rzeczywistości. Jego przyrządy posłusznie zapisywały te dysonanse lub ulegały im na tyle, że źle działały albo w ogóle przestawały działać. Dopiero kiedy wszyscy zaczęliście pracować nad zbudowaniem wspólnej i spójnej rzeczywistości, statek mógł zacząć na nią reagować i ją rejestrować. Prawda?

– Tak. Ale bardzo trudno jest żyć bez świadomości, że gdzieś istnieje jakiś fakt – stwierdził Szan.

– Tylko fikcja – rzekła z uporem Forest. – Fakt to jedna z naszych najsubtelniejszych fikcji.

– Ale najważniejsza jest muzyka – rzekł Szan. – A taniec to ludzie, którzy są muzyką. Myślę, że Dalzul sądzi... sądzi, że możemy zatańczyć do Ganamu.

– Podoba mi się to – powiedziała Riel. – I wiecie co? Jeśli chodzi o teorię fikcji, powinniśmy uważać, żeby nie „uwierzyć” zapiskom Dalzula albo taśmom z jego statku. One są fikcyjne. Ale jeżeli nie przyjmujemy założenia, opartego jedynie na eksperymencie „Szobiego”, że doświadczenie czertenu z konieczności wypacza postrzeganie albo ocenę postrzegania, to nie mamy żadnego powodu, żeby im nie wierzyć. Komandor jest doświadczonym obserwatorem i doskonałym psychologiem postaci.

– W jego sprawozdaniu są elementy dość znajomego rodzaju fikcji – rzekła Forest. – Królewna, która najwyraźniej na niego czekała, spodziewała się go, prowadzi go naga do pałacu, gdzie po wymaganych ceremoniach uprawia z nim seks – i to bardzo udany? Nie mówię, że w to nie wierzę. Wierzę. To wygląda i brzmi prawdziwie. Ale ciekawie byłoby się dowiedzieć, jak te wydarzenia postrzegała królewna.

– Dowiemy się, dopiero kiedy tam dotrzemy i z nią porozmawiamy – powiedziała Riel. – A w ogóle to na co czekamy?

„Galba” był haińskim wewnątrzsystemowym szklanym statkiem, niedawno wyposażonym w czertenowy układ sterowania. Ładna nieduża bańka, niewiele większa od lądownika „Szobiego”. Wchodząc na pokład, Szan doznał kilku dość nieprzyjemnych chwil. Z całą mocą przypomniał mu się chaos, pozbawione sensu i poczucia zakotwiczenia doświadczenie czertenu. Czy znowu musi przez to przechodzić? Czy da radę? Bardzo ostra i bolesna była myśl o Tai, Tai, która powinna tu teraz być, jak była wtedy tam, Tai, którą pokochał na pokładzie „Szobiego”, i o Bettonie, dziecku o czystym sercu. Potrzebował ich, powinni tu być.

Przez władz przecisnęły się Forest i Riel, a po nich Dalzul. Skupienie jego energii było wokół niego niemal widoczne jako aura albo aureola, blask istnienia. Nic dziwnego, że unicy uważali go za Boga, pomyślał Szan, i pomyślał też o uroczystym, niemal nabożnym powitaniu, jakie zgotowali Dalzulowi Gamańczycy. Dalzul był naładowany, pełen *many*, siły, na którą reagowali inni, dzięki której się z nim zgrywali.

Niepokój opuścił Szana. Wiedział, że z Dalzulem nie zazna chaosu.

– Uznali, że łatwiej nam będzie panować nad bańką niż nad statkiem, jaki miałem ja.

Tym razem spróbuję nie pojawić się tuż nad dachami. Nic dziwnego, że uznali mnie za boga, skoro zmaterializowałem się na ich oczach!

Szan przyzwyczał się do tego, że Dalzul jakby powtarza jego myśli, a także myśli Riel i Forest, i zaczął się już nawet tego spodziewać; osiągnęli synchronię i to stanowiło ich siłę.

Zajęli swoje miejsca: Dalzul przy konsoli czertenu, Riel podłączona do SI, Szan przy konsoli lotu, a Forest jako wsparcie. Dalzul rozejrzał się i skinął głową, a Szan wyprowadził ich kilkaset kilometrów od Portu Ve. Krzywizna planety oddaliła się i pod jego stopami, wokół niego, nad nim zaśnity gwiazdy. Dalzul zaczął śpiewać, nie jakąś melodię, lecz jedną nutę, pełne, głębokie A. Riel dołączyła oktawę wyżej, potem Forest na nucie F pomiędzy nimi, a Szan zaczął wydawać z siebie równe C, jakby był kościelnymi organami. Riel przesunęła się do C wyżej, Dalzul i Forest zaśpiewali triadę i kiedy akord się zmieniał, Szan nie wiedział, kto śpiewa którą nutę, słysząc tylko sferę gwiazd oraz czyste częstotliwości, nabrzmiewające i cichnące w jednym długim dźwięku, a wtedy Dalzul dotknął konsoli i wysoko na niebieskim niebie nad miastem zaśnity żółte słońce.

Szan nie wstrzymał lotu. Pod statkiem przechyliły się czerwone i pomarańczowe dachy, zakurzone place.

– Może tam, Szanie – zaproponował Dalzul, pokazując zielony pas obok kanału.

Szan bez wysiłku wszedł w długi ślizg i posadził stateczek na trawie miękko jak mydlaną bańkę. Rozejrzał się po pozostałych i spojrział przez ściany na zewnątrz.

– Niebieskie niebo, zielona trawa, blisko południa, zbliżają się miejscowi – powiedział Dalzul. – Tak?

– Tak – odparła Riel, a Szan się roześmiał.

Tym razem żadnego konfliktu doznań, żadnego chaosu postrzegania, grozy niepewności.

– Zaczerteniliśmy – powiedział. – Udało się nam. Zatańczyliśmy!

Robotnicy, którzy pracowali nad kanałem, zbili się w grupkę i patrzyli, wyraźnie bojąc się podejść, lecz wkrótce na pylistej drodze, prowadzącej z miasta, pojawili się ludzie.

– Mam nadzieję, że to komitet powitalny – rzekł Dalzul.

Czekali we czwórkę przy kulistym statku. Napięcie chwili jedynie potęgowało nadzwyczajną intensywność emocji i wrażeń. Szan miał wrażenie, że zna piękne, ostre zarysy dwóch wulkanów, które zamykały dolinę miasta, że je zna i nigdy ich nie zapomni, że zna zapach powietrza, kąć padania światła i czerń cienia pod liśćmi. To jest tuteż, powiedział do siebie z radosną pewnością, jestem tuteż i nie ma odległości, nie ma oddzielenia.

Napięcie bez strachu.

Zbliżyli się do nich spokojnym krokiem i zatrzymali przed nimi ozdobieni piórami mężczyźni o twarzach bez wyrazu, atletycznych torsach i silnych rękach. Jeden ze starszych lekko skinął głową i się odezwał:

– Sem Dazu.

Dalzul rozłożył ręce, przytknąwszy najpierw dłonie do serca, i powiedział:

– Viaka!

Pozostali mężczyźni odpowiedzieli: „*Dazu, Sem Dazu*”, a niektórzy naśladowali gest Dalzula.

– Viaka – powtórzył jeszcze raz komandor i dodał: – *Beya* – „przyjaciel”, po czym przedstawił swoich towarzyszy, powtarzając ich imiona i słowo „przyjaciel”.

– Foyes – rzekł stary Viaka. – Szan. Yeh.

Wiedział, że nie bardzo mu się udało powiedzieć „Riel”. Zmarszczył brwi.

– Przyjaciele. Witajcie. Chodźcie, chodźcie do Ganamu.

Podczas swojego krótkiego pierwszego pobytu tutaj Dalzul nie zdołał nagrać zbyt wielu wypowiedzi dla haińskich językoznawców. Posługując się jego skąpymi taśmami i swoimi sprytnymi korektorami dźwięku, sporządzili mały słownik i podręcznik gramatyki pełen pytańników, który Szan sumiennie przestudiował. Pamiętał „*beya*” i „*kiyugi*”, witaj [?] i czuj się jak u siebie w domu [?]. Riel, etnolog językoznawca, wolałaby mieć więcej czasu na przestudiowanie podręcznika. „Lepiej nauczyć się języka od jego użytkowników” – powiedział wtedy Dalzul.

Kiedy szli pylistą drogą do miasta Ganam, intensywność wrażeń zaczęła dokuczać Szanowi, tworząc rozmazaną plamę i wspaniałość upału i blasku, czerwonych i żółtych glinianych ścian, nagich torsów i ramion koloru czerwonej ceramiki, pasiastych i haftowanych fioletowych, czerwonych, pomarańczowych i umbrowych płaszczy, kamizelek i spódnic, błysku złota i ruchu piór, zapachów oliwy i kadzidła, i pyłu, i dymu, i jedzenia, i potu, gwaru wielu głosów, kłapania sandałów i plaskania gołych stóp na kamieniach i ziemi, dźwięku dzwonów i gongów, odmienności światła, dotyku, zapachu i rytmu świata, gdzie nic nie jest znane i wszystko jest takie, jakie jest, jakie powinno być – to niewielkie miasto kamieni, błota i pięknych rzeźb, ogniste w świetle jego złotego słońca, prymitywne, wspaniałe i ludzkie. To było dziwniejsze niż wszystko, z czym do tej pory zetknął się Szan, a miał wrażenie, jakby wyjechał i teraz wrócił do domu. Wzrok zamgliły mu ły. Wszyscy jesteśmy jednym, pomyślał. Nie ma między nami odległości, czasu. Wystarczy, że zrobimy krok do przodu, i jesteśmy tu, razem. Szedł obok Dalzula i słyszał, jak ludzie go witają, poważnie i cicho: „*Sem Dazu*” – mówili, „*Sem Dazu, kiyugi*”. Wróciłeś do domu.

Pierwsze dni były przeładowane wrażeniami. Chwilami Szan sądził, że przestał myśleć – że jedynie doświadcza, otrzymuje, nie przetwarza.

– Przetworzysz później – rzekł ze śmiechem Dalzul, kiedy Szan mu o tym powiedział. – Jak często można być dzieckiem?

Rzeczywiście, jakby był dzieckiem. Nie panował nad wydarzeniami ani nie ponosił za nie odpowiedzialności. Spodziewane lub cudowne zachodziły, a on stanowił ich część i zarazem je obserwował. Miejscowi zamierzali uczynić Dalzula królem. To było idiotyczne i całkiem naturalne. Król umiera bez dziedzica; z nieba spada srebrzysty człowiek i królowa mówi: „To on”. Srebrzysty człowiek znika i wraca z trzema dziwnymi towarzyszami, którzy potrafią sprawiać rozmaite cuda. Zostaje mianowany królem. Co innego można z nim zrobić?

Riel i Forest podchodziły do tej sytuacji oczywiście z niechęcią, pełne wątpliwości co do tak głębokiego zaangażowania się w miejscową kulturę, lecz nie miały dla Dalzula innej propozycji. Ponieważ funkcja króla była wyraźnie bardziej honorowa, niż oznaczała realną władzę, przyznały w końcu, że prawdopodobnie lepiej będzie, jeśli spełni oczekiwania Gamańczyków. Starając się zachować dystans do sytuacji, odłączyły się od Dalzula już na samym początku i zamieszkały w domu blisko targowiska, gdzie mogły przebywać ze zwykłymi ludźmi i cieszyć się swobodą ruchów, jakiej nie miał Dalzul. Jak powiedział

Szanowi, kłopot z byciem przyszłym królem polega na tym, że cały dzień trzeba się trzymać pałacu i zachowywać tabu.

Szan został z Dalzulem. Viaka oddał mu jedno z licznych skrzydeł rozległego glinianego pałacu. Szan dzielił je z krewnym żony Viaki imieniem Abud, który pomagał mu prowadzić dom. Ani Dalzul, ani jego gospodarze niczego od niego nie wymagali. Szan był panem swojego czasu. GBC prosiła ich, by spędzili na Ganamie trzydzieści dni. Płynęły one jak migotliwa woda. Szan usiłował prowadzić dziennik dla Ekumeny, ale stwierdził, że nie znosi zakłócać ciągłości doświadczenia poprzez mówienie o nim i analizowanie go. Pomyślał z uśmiechem, że chodzi przecież o to, że nic się nie stało.

Jedynym doświadczeniem, które wybijało się jako w pewien sposób odmienne, był dzień spędzony z siostrzenicą [?] starego Viaki i jej mężem [?]. Starał się rozwikłać układ pokrewieństwa, ale znaki zapytania pozostały, a z jakichś powodów ta młoda para najwyraźniej nie posługiwała się imionami. Zabrali go na długi wspaniały spacer do wodospadu położonego wysoko na zboczu większego wulkanu Iyananam. Rozumiał, że chcieli mu pokazać święte miejsce. Ku jego zaskoczeniu jednak okazało się, że święty wodospad zasila święte dynamo. Na ile umieli mu to wyjaśnić jego towarzysze, a on zrozumieć te wyjaśnienia, wydawało się, że Gamańczycy dość dobrze pojmowali zasady pozyskiwania energii elektrycznej z hydroelektrowni, lecz rozpaczliwie brakowało im przewodników i nie mieli jakiegoś szczególnego praktycznego zastosowania wytwarzanej przez siebie energii. Wyglądało na to, że omawiają raczej naturę elektryczności niż jej wykorzystanie, lecz Szan rozumiał z tego bardzo niewiele. Próbował zapytać, czy gdzieś wykorzystują elektryczność, ale potrafił tylko powiedzieć „gdzieś wychodzi?”. W takich chwilach wrażenie, że znowu jest dzieckiem – albo półgłówkiem – nie wydawało mu się już tak przyjemne. Tak, odpowiedziała młoda kobieta, wychodzi w ishkanem, kiedy basemmiak vada. Szan kiwał głową i robił notatki. Podobnie jak wszyscy Gamańczycy, jego towarzysze lubili patrzeć, jak mówi do swojego notera i jak na jego małym ekranie pojawiają się małe symbole – przyjemna magia.

Zaprowadzili go na taras niedużego budynku dynamy, wzniesionego z obrobionych kamieni ułożonych w cudownie złożone wzory. Usiłowali mu coś wyjaśnić, pokazując na dół wodospadu. Zobaczył, jak w migoczącej wodzie coś błyszczy, ale nie widział, co to jest. Heda, tabu, powiedzieli, używając słowa, które dobrze znał z rozmów z Dalzulem, chociaż nigdy jeszcze nie zetknął się z czymś, co jest heda. Z dalszej rozmowy wychwycił słowo „Dazu”, ale znów nie rozumiał, o czym mówią. Minęli niewielkie ziemne sanktuarium, gdzie zgodnie z nieformalnym gamańskim obrzędem młodzi położyli po liściu z pobliskiego drzewa, a potem ruszyli w dół zbocza, rzucając w świetle późnego popołudnia długie cienie. Kiedy pokonali zakręt stromego szlaku, Szan zobaczył w złocistej mgiele odległości dwa inne osiedla w wielkiej dolinie, miasta albo miasteczka. Zdziwił się na ich widok, a potem zdziwił się, że się zdziwił. Uświadomił sobie, że tak był pochłonięty życiem w Ganamie, że zapomniał, że nie jest to jedyne miejsce na świecie. Pokazał ręką i zapytał towarzyszy:

– Należy Gamańczycy?

Po dłuższej dyskusji, zapewne nad tym, o co mu może chodzić, powiedzieli, że nie, do Gamańczyków należy tylko Ganam; te miasta to inne miasta.

Czy zatem Dalzul miał rację, uważając, że ten świat nazywa się Ganam, czy też nazwa ta oznaczała tylko to miasto i należące do niego tereny?

– *Tegud ao?* Jak nazywacie? – zapytał i poklepał ziemię, a potem wskazał ramionami całą dolinę, górę za ich plecami i drugą górę naprzeciwko.

– *Nanam tegudye*h – odparła z wahaniem siostrzenica [?] Viaki, lecz jej mąż [?] się z tym nie zgodził i na jakieś półtora kilometra albo więcej pograżyli się w niezrozumiałej dyskusji.

Szan się poddał, schował noter i zaczął cieszyć się wędrówką w chłodzie wieczoru ku złocistym murom Ganamu.

Następnego dnia, a może dzień później, kiedy Szan przycinał drzewko owocowe na otoczonym murem dziedzińcu w jego części pałacu, przyszedł Dalzul. Nóż ogrodniczy miał wąską, lekko zakrzywioną stalową klingę i ładnie wyrzeźbioną, gładką od używania drewnianą rękojeść. Był ostry jak brzytwa.

– Piękne narzędzie – powiedział Szan. – Babka nauczyła mnie przycinać drzewa. To sztuka, której od czasu wstąpienia do Ekumeny nie mogłem często uprawiać. Mają tu dobrych sadowników. Wczoraj rozmawiałem poza pałacem z kilkoma z nich. – Czy to było poprzedniego dnia? Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Czas to nie trwanie, lecz intensywność, czas to rytm i interwał, myślał Szan, przyglądając się drzewu, ucząc się wewnętrznego rytmu jego wzrostu, wzoru interwałów między jego gałęziami. Lata płyną, światy są owocem... – Przycinanie drzew budzi we mnie poetę – powiedział, a potem, spojrzawszy na Dalzula, zapytał: – Czy coś się stało?

Jakby zachwiał się rytm pulsu, zabrzmiała niewłaściwa nuta, potknął się tancerz.

– Nie wiem – odparł Dalzul. – Usiądźmy na chwilę.

Wybrali cień pod balkonem i usiedli ze skrzyżowanymi nogami na kamiennych płytach.

– Prawdopodobnie za bardzo polegałem na moim intuicyjnym rozumieniu tych ludzi, kierowałem się nosem, zamiast zaczekać, nauczyć się języka słowo po słowie, trzymać się ściśle reguł... Nie wiem. Ale coś tu jest nie tak.

Szan obserwował mocne rysy Dalzula. Jego biała skóra zmieniła kolor na ostrym słońcu na bardziej ludzki. Miał na sobie własną koszulę i spodnie, ale siwe włosy puścił luzem jak Gamańczycy i ozdobił je tylko wąską opaską przetykaną złotem, co nadawało mu królewskiego i barbarzyńskiego wyglądu.

– To są barbarzyńcy – powiedział. – Gwałtowniejsi i może prymitywniejsi, niż chciałem przyznać. Ta królewska godność, którą uparli się mi nadać... Obawiam się, że muszę w niej widzieć coś więcej niż zaszczyt albo sakralny gest. To jednak sprawa polityczna. Przynajmniej wydaje mi się, że przez wybranie mnie na króla zyskałem rywala. Wroga.

– Kogo?

– Aketę.

– Nie znam go. Nie ma go w pałacu?

– Nie. Nie jest jednym z ludzi Viaki. Kiedy przybyłem tu po raz pierwszy, chyba go tu nie było. Jeśli dobrze rozumiem Viakę, ten człowiek uważa się za dziedzica tronu i prawowitego partnera królowy.

– Królowy Ket?

Szan jeszcze nigdy z nią nie rozmawiał. Trzymała się na uboczu i nie opuszczała swojej części pałacu, chociaż pozwalała Dalzulowi się tam odwiedzać.

– A co ona mówi o tym Akecie? Czyż nie stoi po pańskiej stronie? Przecież pana wybrała.

– Mówi, że mam być królem. To się nie zmieniło. Ale ona się zmieniła. Opuściła pałac. Właściwie z tego, co wiem, wynika, że zamieszkała u tego Akety! Mój Boże, czy w tym wszechświecie jest jakiś świat, w którym mężczyźni potrafią zrozumieć kobiety?

– Gethen – odparł Szan.

Dalzul roześmiał się, lecz twarz miał nadal napiętą.

– Ty masz partnerkę – powiedział po chwili. – Może to jest odpowiedź. Ja nigdy nie znalazłem się z kobietą w takiej sytuacji, w której bym wiedział, naprawdę wiedział, czego ona chce, kim jest. Jeśli się wytrzyma, to w końcu się to osiąga?

Szan był poruszony, że ten starszy od niego wspaniały mężczyzna zadaje mu takie pytania.

– Nie wiem – odparł. – Tai i ja... Znamy się w taki sposób, że... Ale to nie jest łatwe. Nie wiem... Jeśli jednak chodzi o królowną... Riel i Forest rozmawiają z ludźmi, uczą się języka. Jako kobiety może miałyby jakieś spostrzeżenia?

– Kobiety i niekobiety – rzekł Dalzul. – To dlatego je wybrałem, Szanie. Z dwiema prawdziwymi kobietami psychologiczna dynamika mogłaby się zbyt skomplikować.

Szan nic nie powiedział. Znowu miał wrażenie, że czegoś mu brakuje albo że coś mu umyka, że czegoś nie rozumie. Zadał sobie pytanie, czy Dalzul wiedział, że przed poznaniem Tai większość jego kontaktów seksualnych obejmowała mężczyzn.

– Zastanów się na przykład – powiedział Dalzul – czy królowna myślała, że powinna być zazdrosna o jedną z nich lub o obie, czy myślała, że są moimi partnerkami seksualnymi. To jak gniazdo węży! Choć w rzeczywistości nie stanowią żadnego zagrożenia. Oczywiście, dążąc do zgodności, wolałbym, żeby załoga składała się wyłącznie z mężczyzn. Lecz starszyzna Hain to głównie stare kobiety, a ja wiedziałem, że muszę je zadowolić. Więc zaprosiłem ciebie i twoją partnerkę, małżeństwo. Kiedy okazało się, że twoja partnerka nie może polecieć, najlepszym rozwiązaniem wydały się te dwie kobiety. I wywiązują się ze swoich obowiązków w sposób godny podziwu. Nie sądzę jednak, żeby wiedziały, co się dzieje w głowie albo z hormonami kobiety o tak silnym popędzie płciowym jak królowna.

Znowu zachwianie rytmu. Szan potarł dłonią o szorstki kamień tarasu zdumiony własną dezorientacją. Chcąc wrócić do początkowego tematu, zapytał:

– Jeśli to jest godność polityczna, a nie sakralna, to chyba może pan po prostu wycofać swoją kandydaturę?

– Och, ona jest sakralna. Jedynym sposobem wycofania się jest ucieczka. Musiałbym zacerztenić z powrotem do Portu Ve.

– Moglibyśmy polecieć „Galbą” do innej części planety – podsunął Szan. – Prowadzić obserwacje gdzie indziej.

– Z tego, co mówi Viaka, opuszczenie Ganamu tak naprawdę nie jest możliwe. Postępek Ket najwyraźniej wywołał rozłam i jeśli władzę zdobędzie Aketa, jego poplecznicy zemszczą się na Viace i jego całej rodzinie. Krwawa ofiara za obrazę prawdziwego i świętego króla... Religia i polityka! Jak mogłem być aż tak ślepy? Uległem swoim pragnieniom i uznałem, że odkryliśmy dość prymitywną sielankę. Naprawdę zaś znaleźliśmy się w społeczności inteligentnych barbarzyńców, podzielonej na rywalizujące frakcje i prowadzącej seksualne współzawodnictwo, która dysponuje bardzo ostrymi nożami ogrodniczymi i mieczami. – Dalzul uśmiechnął się nagle, a w jego oczach pojawił się błysk. – Ci ludzie są cudowni. Mają wszystko to, co nam odebrała umiejętność czytania

i pisanie, przemysł i nauka. Bezpośrednio zmysłowi, absolutnie namiętni, pierwotnie prawdziwi. Kocham ich. Jeśli chcą mnie uczynić swoim królem, to, na Boga, włożę na głowę koszyk z piórami i zostanę nim! Przedtem jednak muszę ustalić, jak postąpić z Aketą i jego ekipą. A wydaje się, że jedynym kluczem do Akety jest nasza kapryśna królowna Ket. Mów mi o wszystkim, czego się dowiesz, Szanie. Potrzebuję twojej rady i pomocy.

– Oczywiście, panie komandorze – odrzekł Szan, znowu wzruszony.

Po wyjściu Dalzula uznał, że powinien zrobić to, przed czym powstrzymywała go nieoczekiwana męsko-heteroseksualna obronna postawa Dalzula: udać się po radę i pomoc do Forest i Riel.

Wyruszył do ich domu. Idąc przez cudownie hałaśliwe i pełne zapachów targowisko, zadał sobie pytanie, kiedy widział się z nimi po raz ostatni, i uświadomił sobie, że od tego czasu upłynęło kilka dni. Co potem robił? Był w sadach. Był na górze, na Iyananomie, gdzie znajdowało się dynamo... gdzie widział inne miasta... Nóż ogrodniczy był ze stali. Jak Gamańczycy wytwarzali stal? Czy mieli jakąś odlewnię? Kupowali ją? Ospale, z mozołem obracając te kwestie w głowie, wszedł na dziedziniec, gdzie na poduszce na tarasie siedziała Forest i czytała książkę.

– Coś takiego – odezwała się. – Gość z innej planety!

Przebywali tu już dość długo – osiem, dziesięć dni?

– Gdzie byłeś? – zapytał zdezorientowany Szan.

– Tutaj. Riel! – zawołała Forest w stronę balkonu.

Nad rzeźbioną balustradą wyjrzało kilka głów i ta z kręconymi włosami powiedziała:

– Szan! Już schodzę!

Riel przyniosła z sobą miseczkę z nasionami tipu, wszechobecną przegryzką w Ganamie. Usiedli we trójkę w kręgu na tarasie, w połowie na słońcu, a w połowie w cieniu, i rozłupywali nasiona. Riel zauważyła, że wyglądają jak typowe antropoidy. Przywitała się z Szanem naprawdę serdecznie, mimo to zachowywała razem z Forest wyraźną ostrożność: obserwowały go, o nic nie pytały, czekały... Na co? A więc jak dawno się z nimi nie widział? Poczul nagłe drgnienie niepokoju, tak dogłębne zachwianie rytmu, że położył dłonie na płask na ciepłym piaskowcu, żeby zachować równowagę. Czy to było trzęsienie ziemi? Wybudowane między dwoma uśpionymi wulkanami miasto od czasu do czasu drżało, od ścian odpadały kawałki gliny, a z dachów spadały małe pomarańczowe dachówki... Forest i Riel przyglądały się mu. Nic nie drżało, nic nie spadało.

– Dalzul napotkał w pałacu pewien problem – zaczął Szan.

– Ach, tak – powiedziała Forest całkowicie neutralnym tonem.

– Pojawił się miejscowy pretendent do tronu, może dziedzic. I królowna teraz z nim mieszka, ale wciąż mówi Dalzulowi, że ma zostać królem. Jeżeli ten pretendent zdobędzie władzę, to zagrozi odwetem wszystkim ludziom Viaki, wszystkim, którzy poparli Dalzula. To właśnie taka śliska sytuacja, której Dalzul miał nadzieję uniknąć.

– I jaką potrafi po mistrzowsku rozwiązać.

– Wydaje mu się chyba, że znalazł się w impasie. Nie rozumie, jaką grę prowadzi królowna. Chyba to martwi go najbardziej. Myślałem, że może macie jakiś pomysł, dlaczego po tym, jak praktycznie rzuciła mu się w ramiona, zamieszkała z jego rywalem.

– Mówisz o Ket – rzekła Riel ostrożnie.

– Tak. Nazywa ją królowną. Nie jest nią?

– Nie wiem, co Dalzul rozumie przez to słowo. Ono ma mnóstwo konotacji. Jeśli ma oznaczać córkę króla, to nie pasuje. Tu nie ma króla.

– Nie w tej chwili...

– Nigdy – stwierdziła Forest.

Szan stłumił iskrę gniewu. Bycie nierozgarniętym dzieckiem zaczynało go męczyć, a Forest potrafiła być zgryźliwa.

– Posłuchajcie – powiedział. – Trochę wypadłem z obiegu. Bądźcie cierpliwe. Myślałem, że ich król nie żyje i że kiedy szukali nowego, Dalzul najwyraźniej w cudowny sposób zstąpił z nieba, a oni uznali, że został wyznaczony przez bogów i że jest tym, który będzie dzierżył berło. To wszystko nie tak?

– To, że został wyznaczony przez bogów, wydaje się w porządku – powiedziała Riel. – To są z pewnością święte sprawy.

Zawahała się i spojrzała na Forest. Szan pomyślał, że pracują w zespole, który w tej chwili go nie obejmuje. Co się stało z tą cudowną jednością?

– Kim jest ten rywal, ten pretendent? – zapytała Forest.

– Człowiek imieniem Aketa.

– Aketa!

– Znacie go?

Znowu ta wymiana spojrzeń, a potem Forest odwróciła się do niego i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Mamy poważne kłopoty z synchronizacją, Szanie. Zastanawiałam się, czy nie dopadł nas problem czertenu. To wrażenie chaosu, którego doświadczyliście na „Szobim”...

– Tutaj? Teraz? Przecież przebywamy tu od wielu dni, tygodni...

– A gdzie jest tu? – zapytała Forest poważnym, pełnym napięcia głosem.

Szan uderzył dłonią o płytę dziedzińca.

– Tutaj! Teraz! Na tym dziedzińcu waszego domu w Ganamie! To w niczym nie przypomina doświadczenia chaosu. Przeżywamy to wspólnie – sytuacja jest spójna, stała, jesteście tu razem! Jemy nasiona tipu!

– Też tak uważam – powiedziała Forest tak łagodnie, że Szan uświadomił sobie, że stara się go uspokoić. – Ale możliwe, że... odczytujemy to doświadczenie w zupełnie odmienny sposób.

– Ludzie zawsze tak robią, wszędzie – odparł dość rozpaczliwie.

Poruszyła się, więc wyraźniej zobaczył książkę, którą czytała, kiedy przyszedł. To była zwykła książka z okładkami, ale nie przywieźli jej na „Galbie”. Była opasła, ręcznie napisana na jakimś grubym brązowym papierze – terrańska starożytna książka z Biblioteki Nowokairskiej. To nie była książka, lecz poduszka, cegła, koszyk, nie, to była książka. Napisana dziwnymi literami. W jakimś dziwnym języku. Książka z rzeźbionymi drewnianymi okładkami okutymi złotem.

– Co to jest? – zapytał niemal niedosłyszalnie.

– Naszym zdaniem święta historia miast pod Iyananamem – odparła Forest.

– Książka – powiedziała Riel.

– Oni są niepiśmienni – rzekł Szan.

– Niektórzy – zgodziła się Forest.

– Właściwie wielu z nich – sprostowała Riel. – Ale niektórzy kupcy i kapłani umieją czytać. Dał nam ją Aketa. Uczy nas. Jest wspaniałym nauczycielem.

– Uważamy, że jest kimś w rodzaju uczonego kapłana – powiedziała Forest. – Są takie stanowiska, nazywamy je kapłańskimi, bo zasadniczo są święte, ale tak naprawdę to coś więcej niż praca czy powołanie. Sądzimy, że są bardzo ważne dla Gamańczyków, dla całej społecznej struktury. Trzeba je obsadzać, inaczej wszystko się rozsypie. A jeśli ktoś ma powołanie, talent, i go nie wypełnia, nie używa, może mu się posypać psychika. Wiele z tych funkcji jest jednorazowych, jak przewodniczenie na dorocznym święcie, lecz niektóre sprawiają wrażenie naprawdę wymagających i bardzo prestiżowych. Większość z nich jest dla mężczyzn. Wydaje się nam, że mężczyzna zdobywa prestiż prawdopodobnie poprzez objęcie którejś z funkcji kapłańskich.

– Ale mężczyźni rządzą całym miastem – zaproponował Szan.

– Nie wiem – odparła Forest wciąż z tą nietypową dla niej łagodnością, świadcząca o tym, że nie w pełni panuje nad sytuacją. – Opisałybyśmy to społeczeństwo jako pozbawione dominacji płci. Nie ma tu wyraźnego podziału pracy ze względu na płeć. Istnieją wszelkie rodzaje małżeństw – możliwe, że najpowszechniejsza jest poliandria, dwóch lub trzech mężów. Sporo kobiet jest wyłączonych z heteroseksualnego obiegu, ponieważ żyją w homoseksualnych małżeństwach grupowych, zwanych iyeha, trzy albo cztery, albo więcej kobiet. Jeszcze nie znalazłyśmy męskiego odpowiednika...

– Tak czy owak, Aketa jest jednym z mężów Ket – stwierdziła Riel. – Jego imię znaczy coś w rodzaju „pierwszy mąż z rodziny Ket”. Z rodziny, czyli mają pochodzenie od tego samego wulkanu. Kiedy się tu pojawiliśmy, przebywał w dalszej części doliny, w Sponcie.

– I naszym zdaniem on jest kapłanem, i to wysokim. Może dlatego że jest mężem Ket, a ona na pewno jest kimś ważnym. Lecz wydaje się, że większość naprawdę prestiżowych stanowisk kapłańskich jest przeznaczona dla mężczyzn. To prawdopodobnie rekompensata za to, że nie rodzą dzieci.

Szan znowu poczuł przypływ gniewu. Kim są te kobiety, by pouczać go w kwestiach płci i zazdrości o macicę? Nienawiść wypełniła go słoną goryczą jak morska fala, opadła i znikła. Siedział w blasku słońca na kamieniach ze swoimi kruchymi siostrami i patrzył na leżącą na kolanach Forest ciężką, nieprawdopodobną książkę.

– Co jest w niej napisane? – zapytał po długiej chwili milczenia.

– Rozpoznaję tylko kilka słów tu i tam. Aketa chciał, żebym przez jakiś czas ją miała. Uczy nas. Głównie oglądam obrazki. Jak niemowlę.

Pokazała mu nieduży kolorowy obrazek ozdobiony złotem: mężczyźni we wspaniałych szatach i nakryciach głowy tańczący pod fioletowymi stokami Iyananamu.

– Dalzul sądził, że nie znają pisma – rzekł Szan. – Musi to zobaczyć.

– Już widział – stwierdziła Riel.

– Ale... – zaczął Szan i zamilkł.

– Dawno temu na Terze jeden z pierwszych antropologów przywiózł do wielkiego miasta, do Nowego Jorku, członka małego, odległego, odizolowanego arktycznego plemienia – powiedziała Riel. – Największe wrażenie na tym bardzo inteligentnym człowieku wywarły kule na tralkach na klatkach schodowych. Przyglądał się im z wielką wnikliwością. Nie interesowały go ogromne budynki, zatłoczone ulice, maszyny...

– Zastanawiamy się, czy problem czertenu nie dotyczy tylko wrażeń, lecz również oczekiwań – rzekła Forest. – Celowo doszukujemy się sensu w świecie. W obliczu chaosu szukamy tego, co jest nam znajome, lub coś takiego tworzymy i budujemy z tego świat. Robią to niemowlęta, robimy to wszyscy – odfiltrowujemy większość tego, co postrzegamy

dzięki zmysłom. Jesteśmy świadomi tylko tego, czego musimy lub chcemy być świadomi. W czertenie wszechświat zanika. Kiedy wychodzimy z czertenu, gorączkowo ten wszechświat rekonstruujemy. Chwytny to, co rozpoznajemy. I kiedy już powstaje jedna część, buduje się na niej reszta.

– Mówię „ja” i potem może nastąpić nieskończona liczba zdań – powiedziała Riel. – Lecz następne słowo zaczyna budować nienaruszalną składnię. „Ja chcę...”. W chwili, gdy ma paść ostatnie słowo zdania, może już nie być żadnego wyboru. Poza tym można używać tylko tych słów, które się zna.

– Tak wyszliśmy z chaosu, którego doświadczyliśmy na „Szobim” – powiedział Szan. Nagle poczuł ból głowy, silne, nieregularne pulsowanie w skroniach. – Rozmawialiśmy. Skonstruowaliśmy składnię tego doświadczenia. Opowiedzieliśmy naszą historię.

– I bardzo staraliście się opowiedzieć ją prawdziwie – rzekła Forest.

Po chwili Szan odpowiedział, uciskając sobie w odpowiednich miejscach skronie:

– Mówisz, że Dalzul kłamał?

– Nie. Ale opowiada historię Ganamu czy Dalzula? Dziecinny, prosty lud obwołuje go królem, oddaje mu się piękna królowa...

– Ale ona przecież...

– To jej rola. Jej powołanie. Jest jedną z tych kapłanek, i to ważną. Nosi tytuł Anam. Dalzul przetłumaczył go jako „królowa”. Naszym zdaniem oznacza on ziemię. Ziemię, glebę, świat. Ona jest ziemią Ganamu, która z honorami przyjmuje przybysza. Ale jest w tym coś więcej: ta wzajemna funkcja, którą Dalzul interpretuje jako królewską godność. Oni po prostu nie mają królów. To musi być jakaś rola kapłańska jako partnera Anam. Lecz tego nie wiemy. Nie wiemy, jaką przyjął na siebie odpowiedzialność.

– I możliwe, że wymyślamy ją w takim samym stopniu, co Dalzul – dodała Riel. – Jak możemy mieć pewność?

– Jeżeli wróciłeś, żebyśmy mogły porównać spostrzeżenia z twoimi, to będzie to wielka pomoc – rzekła Forest. – Jesteś nam potrzebny.

I jemu też, pomyślał Szan. Potrzebuje mojej pomocy, potrzebują mojej pomocy. Ale co im mogę zaoferować? Nie wiem, gdzie jestem. Nic nie wiem o tym miejscu. Wiem, że kamień pod moją dłoń jest ciepły i szorstki. Wiem, że te dwie kobiety są życzliwe, inteligentne i że starają się być uczciwe. Wiem, że Dalzul jest wielkim człowiekiem, a nie głupim egoistą albo kłamcą. Wiem, że kamień jest szorstki, słońce ciepłe, a cień daje chłód. Wiem, jaki jest delikatny smak nasion tipu, jak trzaskają w zębach. Wiem, że kiedy Dalzul miał trzydzieści lat, oddawano mu boską cześć. Bez względu na to, jak zaprzeczał tej czci, na pewno go zmieniała. Starzejąc się, będzie pamiętał, jak to było być królem...

– Czy więc w ogóle coś wiemy o tym stanowisku kapłana, które ma objąć? – zapytał szorstko.

– Wydaje się, że kluczowym słowem jest tu „*todok*”, kij, laska albo berło. *Todoghay* to ten, który dzierży berło, i tak brzmi nazwa tego stanowiska. To Dalzul zrozumiał dobrze i rzeczywiście wygląda to jak stanowisko króla. My jednak sądzimy, że nie chodzi w nim o rządzenie ludźmi.

– Codzienne decyzje podejmują rady – wyjaśniła Riel. – Kapłani edukują, przewodzą uroczystościom i... utrzymują miasto w równowadze duchowej?

– Możliwe, że czasami poprzez krwawe ofiary – dodała Forest. – Nie wiemy, o co go poprosili! Wydaje się jednak, że lepiej by było, gdyby się tego dowiedział.

Po chwili Szan westchnął.

– Czuję się jak dureń.

– Bo zakochałeś się w Dalzulu? – Forest wpatrywała się w niego czarnymi oczyma. – Szanuję cię za to. Sądzę jednak, że potrzebuje twojej pomocy.

Kiedy oddalał się wolnym krokiem, czuł, że Forest i Riel odprowadzają go wzrokiem, czuł towarzyszącą mu ich serdeczną troskę.

Skierował się z powrotem na duże targowisko. Musimy opowiedzieć naszą historię razem, powiedział sobie. Lecz słowa te były puste. Muszę słuchać, pomyślał. Nie mówić, nie rozmawiać. Trwać w bezruchu.

Szedł ulicami Ganamu i słuchał. Starał się patrzeć, widzieć własnymi oczyma, czuć, być we własnej skórze w tym świecie, w tym świecie, w nim samym. Nie w swoim świecie ani w świecie Dalzula, Forest czy Riel, lecz w tym świecie, z jego krnąbrną i pierwotną ziemią, kamieniem i gliną, suchym jasnym powietrzem, oddychającymi ciałami i myślącymi umysłami. Jakiś sprzedawca nawoływał do kupowania jego towaru krótką muzyczną frazą o pięciu akcentach, *tataBANaba*, po czym następowała przerwa równej długości i znowu rozbrzmiewał ten śpiewny okrzyk, słodko i bez końca. Jakaś kobieta minęła Szana. Zobaczył ją, przez chwilę całkowicie ją zobaczył: była niska, miała muskularne ręce i dłonie, zaaferowaną minę i szeroką twarz z tysiącem maleńkich zmarszczek wypalonych przez słońce na ceramicznie gładkiej skórze. Przeszła energicznym krokiem obok niego, nie zauważając go, i zniknęła. Pozostawiła za sobą niekwestionowane poczucie bycia. Bycia sobą. Nieuporządkowaną, nieodgadnioną, nieosiągalną. Inną. Dla niego niezrozumiałą.

A więc dobrze. Ciepły dotyk szorstkiego kamienia, rytmiczny zaśpiew i niska stara kobieta zajęta swoimi sprawami. To jakiś początek.

Śnię, pomyślał. Od chwili, kiedy tu przybyliśmy. To nie jest koszmar jak na „Szobim”, tylko dobry, uroczy sen. Ale czy to mój sen, czy jego? Wszędzie za nim chodzę, widzę jego oczyma, spotykam się z Viaką i innymi, jestem podejmowany ucztami, słucham muzyki... Uczę się ich tańców, uczę się grać z nimi na bębnach... Uczę się gotować... Przycinam drzewka owocowe... Siedzę na moim tarasie, jem nasiona tipu... Słoneczny sen, pełen muzyki, drzew, zwykłego koleżeństwa i spokojnej samotności. Mój dobry sen, pomyślał cierpko zaskoczony. Żadnej królewskiej godności, pięknej królowy, rywalizacji o tron. Jestem leniwym człowiekiem. Mam leniwe sny. Potrzebuję Tai, żeby mnie obudziła, wprawiła w wibrację, rozzłościła. Potrzebuję mojej zirytowanej kobiety, mojej bezwzględnej przyjaciółki.

Forest i Riel dobrze ją zastępowały. Z całą pewnością były mu przyjaciółkami i chociaż wybaczyły mu jego lenistwo, wytrąciły go z tego stanu. Zaświtała mu w głowie dziwna myśl: czy Dalzul wie, że tu jesteśmy? Najwyraźniej Forest i Riel nie istnieją dla niego jako kobiety. Czy ja istnieję dla niego jako mężczyzna?

Nie próbował odpowiedzieć na to pytanie. Moim zadaniem jest spróbować nim wstrząsnąć, pomyślał. Wprowadzić do harmonii drobny dysonans, zmienić rytm na synkopowany. Pomyślał, że zaprosi Dalzula na kolację i z nim porozmawia.

Aketa, majestatyczny mężczyzna w średnim wieku z jastrzębim nosem i zaciętą miną,

był niezwykle łagodnym i cierpliwym nauczycielem.

– *Todokyu nkenes ebegebyu* – powtórzył z uśmiechem piąty czy szósty raz.

– Berło – powiedziała Forest. – Coś jest pełne czegoś? Ma władzę nad czymś?

Przedstawia?

– Jest połączone z... symbolizuje? – podsunęła Riel.

– *Kenes!* – odezwał się Szan. – Elektryczny! Tego słowa wciąż używali przy generatorze.

Moc!

– Berło symbolizuje moc? – zapytała Forest. – Cóż za odkrycie. Cholera!

– Cholera – powtórzył Aketa, wyraźnie zachwycony brzmieniem tego słowa. – Cholera!

Szan zaczął odgrywać pantomimę, tańcem oddając wodospad, pokazując ruch kół i brzęczenie niedużego dynama na wulkanie. Dwie kobiety wytrzeszczały oczy, a on ryczał, wirował, brzęczał, szumiał i trzeszczał, co pewien czas wykrzykując „*Kenes?*” jak jakiś obłąkany kurczak. Lecz Aketa uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– *Soha, kenes* – zgodził się i pokazał na migi przeskok iskry między czubkami palców. –

Todokyu nkenes ebegebyu.

– Berło oznacza, symbolizuje elektryczność! To musi znaczyć coś takiego: jeżeli przejmuje się berło, zostaje się kapłanem elektryczności, tak jak Aketa jest kapłanem biblioteki, a Agot – kapłanem kalendarza. Tak?

– To miałyby sens – zgodziła się Forest.

– Dlaczego mieliby tak od razu wybrać Dalzula na głównego elektryka? – zapytała Riel.

– Bo przybył z nieba jak błyskawica! – odparł Szan.

– Czy oni go wybrali? – zapytała Forest.

Na chwilę zamilkli. Aketa przenosił wzrok z jednego gościa na drugiego, czujny i cierpliwy.

– Jak jest „wybrać”? – zapytała Forest.

– *Sotot* – odparła Riel.

Forest zwróciła się do ich nauczyciela:

– Aketa: *Dazu... ntodok... sotot?*

Aketa przez jakiś czas milczał, a potem powiedział z powagą i bardzo wyraźnie:

– *Soha. Todok nDazu oyo sotot.*

– Tak. A także berło wybiera Dalzula – mruknęła Riel.

– *Aheo?* – zapytał Szan. Dlaczego?

Lecz z odpowiedzi Akety zrozumieli ledwie kilka słów: kapłaństwo albo powołanie, świętość, ziemia.

– Anam – powiedziała Riel. – Ket? Anam Ket?

Spojrzenie czarnych jak smoła oczu Akety zetknęło się z ich wzrokiem. Znowu milczał, a ciężar jego milczenia sprawiał, że się nie ruszali. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiał smutek.

– *Ai Dazu! Ai Dazu kesemmas!*

Wstał.

Wiedząc, co należy zrobić, oni także wstali, podziękowali cicho za naukę i wyszli jedno za drugim. Posłuszne dzieci, pomyślał Szan. Dobrzy uczniowie. Jaką wiedzę nabywają?

Tego wieczoru podniósł wzrok znad małego gamańskiego bębenka, na którym się grało palcami. Siedząc z nim na tarasie, Abud lubił słuchać, jak Szan ćwiczy, a kiedy poznawał jakiś rytm, czasami włączał się z cichym śpiewem.

– Abudzie – powiedział Szan. – *Metu?*

Słowo? Abud, który w ciągu ostatnich kilku dni przywykł do tego pytania, odpowiedział:

– *Soha.*

Był pozbawionym poczucia humoru zrównoważonym młodzieńcem. Szan uważał, że pewnie dlatego toleruje wszystkie jego dziwactwa, że tak naprawdę prawie ich nie zauważa.

– *Kesemmas* – wypowiedział Szan.

– *O* – rzekł Abud i powtórzył ten wyraz, a potem powoli i nieugięcie przeszedł na niezrozumiałość.

Szan już się nauczył raczej go obserwować, niż starać się wychwycić słowa. Słuchał tonu, patrzył na gesty, wyraz twarzy. Ziemia, na dole, nisko, kopanie? Gamańczycy chowali swoich zmarłych w ziemi. Zmarły, śmierć? Pokazał na migi umieranie, trupa, lecz Abud nie rozumiał jego pokazywanek i patrzył na niego tępo. Szan poddał się i wybił na bębenku taneczny rytm, zasłyszany poprzedniego dnia podczas święta.

– *Soha, soha* – rzekł Abud.

– Właściwie nigdy nie rozmawiałem z Ket – powiedział Szan do Dalzula.

Kolacja się udała. Przygotował ją przy znacznej pomocy Abuda, który w ostatniej chwili powstrzymał go przed usmażeniem fezunich. Jedzone na surowo, maczane w ognistym soku paprykowym były przepyszne. Abud zjadł z nimi, jak zawsze w obecności Dalzula pograżony w pełnym szacunku milczeniu, a potem przeprosił i wyszedł. Szan i Dalzul siedzieli teraz w fioletowym zmierzchu na dywanikach na tarasie i patrząc, jak gwiazdy powoli zalewają blaskiem niebo, pogryzali nasiona tipu i pili orzechowe piwo.

– Wszyscy mężczyźni oprócz wybranego króla są dla niej tabu – rzekł Dalzul.

– Ale ona jest zamężna, prawda?

– Nie, nie. Do wyboru króla królowna musi trwać w dziewictwie. Potem należy tylko do niego. Święte małżeństwo, hierogamia.

– Ale oni przecież praktykują poliandrię – zauważył Szan niepewnym tonem.

– Jej połączenie się z nim to prawdopodobnie fundamentalne wydarzenie królewskiego rytuału. Żadne z nich właściwie nie ma w tej kwestii wyboru. Dlatego jej ucieczka jest tak niepokojąca. Ket łamie zasady własnego społeczeństwa. – Dalzul pociągnął duży łyk piwa.

– Przeciwno mnie może teraz działać to, co w ogóle nakazało im mnie wybrać: moje dramatyczne przybycie z nieba. Odchodząc, a potem wracając, i to nie sam, złamałem zasady. Jedna nadprzyrodzona osoba zjawia się z nieba? W porządku. Ale cztery takie osoby, mężczyźni i kobiety, którzy jedzą, piją i załatwiają się jak wszyscy inni i cały czas zadają dziecinny językiem głupie pytania? Nie zachowujemy się w odpowiednio święty sposób. A oni reagują równie niestosownie, łamiąc zasady. Prymitywne światopoglądy są sztywne, pod obciążeniem pękają. Przyczyniamy się do dezintegracji tego społeczeństwa. I jestem za to odpowiedzialny.

Szan nabrał tchu.

– To nie jest pański świat, panie komandorze. To ich świat. To oni są za niego odpowiedzialni. – Odchrząknął. – I wcale nie wydają się tacy prymitywni. Wytwarzają stal, a ich znajomość elektryczności robi wrażenie. I są piśmienni, a ich system społeczny wydaje się bardzo elastyczny i stabilny, jeśli Forest i...

– Nadal nazywam ją królową, ale w miarę uczenia się języka uświadomiłem sobie, że to określenie jest nieprecyzyjne – przerwał mu Dalzul, odstawiając kubek. – Prawdopodobnie bliższe byłoby słowo „królowa”: królowa Ganamu, Gamańczyków – powiedział w zadumie. – Jest utożsamiana z Ganamem, z glebą samej planety...

– Tak – rzekł Szan. – Riel mówi...

– ...więc w pewnym sensie jest ziemią. Tak jak ja w pewnym sensie jestem kosmosem, niebem przybyłym samotnie do tego świata. Koniunkcja, mistyczne zespolenie ognia i powietrza z glebą i wodą. Dawne mitologie ponownie odegrane na żywo. Ona nie może się ode mnie odwrócić. To zakłóca sam porządek rzeczy. Ojciec i matka są połączeni, ich dzieci są posłuszne, szczęśliwe, bezpieczne. Lecz kiedy matka się buntuje, powstają nieporządek, cierpienie, upadek. To jest odpowiedzialność absolutna. My jej nie wybieramy. Ona wybiera nas. Królowa musi wrócić do swoich obowiązków wobec jej ludu.

– Forest i Riel uważają, że od kilku lat jest zamężna z Aketą, a jej drugi mąż jest ojcem jej córki.

Szan słyszał ostrość w swoim głosie. Wyszło mu w ustach, a serce waliło, jakby się bał. Czego? Bycia nieposłusznym?

– Viaka mówi, że może ją sprowadzić z powrotem do pałacu – powiedział Dalzul – ale może to grozić odwetem ze strony frakcji pretendenta.

– Dalzulu! Ket jest mężatką! Wróciła do swojej rodziny. Wypełniła już swój obowiązek wobec ciebie jako kapłanka ziemi czy jak się nazywa ta funkcja. Aketa jest jej mężem, nie twoim rywalem. On nie chce berła, korony czy co to jest!

Dalzul nie odpowiedział, a w mroczniejącym świetle z jego twarzy nie dało się nic wyczytać. Szan ciągnął z rozpaczą w głosie:

– Może powinieneś się powstrzymać przed wszelkimi działaniami do momentu, kiedy lepiej zrozumiemy to społeczeństwo, a już na pewno nie powinieneś pozwolić Viace porwać Ket...

– Cieszę się, że to rozumiesz. Chociaż nic nie poradzę na moje zaangażowanie, na pewno musimy się starać nie ingerować w system wierzeń tego ludu. Władza to, niestety, odpowiedzialność! No, powinienem już iść. Dziękuję za bardzo przyjemny wieczór, Szanie. Wciąż jeszcze potrafimy zaśpiewać jakąś melodię, co, towarzysze podróży? – Wstał i poklepał powietrze ze słowami: – Dobranoc, Forest, dobranoc, Riel. – Następnie klepnął po plecach Szana. – Dobranoc i dziękuję, Szanie!

Wyszedł energicznie z dziedzińca: gibka, wyprostowana postać, biały błysk w rozświetlonej gwiazdami ciemności.

– Moim zdaniem musimy go sprowadzić na statek, Forest. Ma coraz większe urojenia. – Szan splótł dłonie, aż trzasnęły mu kłykcie. – Sądzę, że ma urojenia. Może ja też. Ale wydaje się, że ty, Riel i ja znajdujemy się w tej samej ogólnej rzeczywistości – fikcji –

prawda?

Forest kiwnęła ponuro głową.

– W coraz większym stopniu – powiedziała. – A jeśli *kesemmas* rzeczywiście oznacza umieranie albo morderstwo... Riel sądzi, że morderstwo... Mam taką straszną wizję biednego Dalzula, jak dokonuje jakiejś okropnej rytualnej ofiary, podcina komuś gardło w przekonaniu, że wylewa oliwę albo rozcina płótno czy robi coś równie nieszkodliwego. Chętnie bym go stąd wyrwała! Sama bym się chętnie stąd wyrwała. Tylko jak?

– Na pewno jeśli my troje...

– ...przemówimy mu do rozsądku? – spytała Forest sarkastycznie.

Kiedy poszli do, jak go nazywał, pałacu, musieli długo czekać na spotkanie z Dalzulem. Stary Viaka, z jakiegoś powodu zdenerwowany, usiłował ich odesłać, ale czekali. W końcu Dalzul wyszedł na swój dziedziniec i przywitał się z Szanem. Zignorował Riel i Forest albo ich nie zauważał. Jeżeli jednak udawał, był doskonałym aktorem. Poruszał się jakby nieświadomy ich fizycznej obecności i mówił równocześnie z nimi. Kiedy w końcu Szan powiedział: „Są tu Forest i Riel, Dalzulu, tutaj, spójrz na nie!” – Dalzul spojrzał tam, gdzie pokazywał Szan, a potem przeniósł na niego wzrok z takim zaskoczeniem i współczuciem, że Szan stracił orientację i odwrócił się, żeby sprawdzić, czy kobiety wciąż tam są.

– Chyba już czas wracać, Szanie – powiedział Dalzul bardzo łagodnym tonem, nie spuszczać z niego oczu.

– Tak... Tak, chyba tak... Chyba powinniśmy. – Gardło ścisnęły mu współczucie, ulga, wstyd. Musiał hamować łyzy. – Powinniśmy wracać. To nie działa.

– Już niedługo – rzekł Dalzul. – Już bardzo niedługo. Nie martw się. Niepokój potęguje anomalie postrzegania. Nie przejmuj się, tak jak na początku, i pamiętaj, że nie zrobiłeś nic złego. Zaraz po koronacji...

– Nie! Powinniśmy wracać już...

– Bez względu na to, czy prosiłem o to, czy nie, mam tu pewne zobowiązania, Szanie, i je wypełnię. Jeśli je porzucę, frakcja Akety dobędzie mieczy...

– Aketa nie ma miecza – odezwała się Riel wysokim głosem, jakiego Szan nigdy u niej nie słyszał. – Ci ludzie nie mają mieczy. Oni ich nie wyrabiają!

Dalzul mówił dalej równocześnie z nią:

– Odejdziemy, jak tylko skończy się uroczystość i zostanie objęte stanowisko króla. Przecież w razie konieczności mogę odejść i wrócić w ciągu godziny. Mogę was zabrać do Portu Ve. W mgnieniu oka, jak to się mówi. Więc przestańcie się martwić nie swoim problemem. To ja was w to wplątałem. Ja za to odpowiadam.

– Jak możesz... – zaczął Szan, ale poczuł na ręce długą czarną dłoń Forest.

– Nie próbuj, Szanie – powiedziała. – Szaleńcy argumentują o wiele lepiej od zdrowych psychicznie. Chodźmy. Bardzo trudno to przyjąć.

Dalzul spokojnie się odwracał, jakby już odeszli.

– Albo musimy razem z nim zaczekać na tę uroczystość, albo walimy go w głowę i

wsadzamy na statek – rzekła Forest, wychodząc na rozpaloną ulicę.

– Bardzo bym chciała walnąć go w głowę – powiedziała Riel.

– A jeśli nawet wsadzimy go na statek, to skąd mamy wiedzieć, że zabierze nas z powrotem do Ve? A jeżeli od razu zawróci, to jak się dowiemy, co zamierza? Zamiast ocalić Ganam, mógłby go zniszczyć...

– Przestań, Szanie! – przerwała mu Riel. – Czy Ganam jest światem? A Dalzul bogiem?

Zatrzymał na niej wzrok. Mijało ich kilka kobiet. Spojrzały na nich, a jedna pozdrowiła ich skinieniem głowy.

– *Ha, Foyes! Ha, Yeh!*

– *Ha, Tassapi!* – odpowiedziała Forest, a Riel odwróciła się do Szana z płonąącym wzrokiem:

– Ganam to jedno niewielkie miasto-państwo na dużej planecie, którą Gamańczycy nazywają Anamem, a mieszkańcy sąsiedniej doliny zupełnie inaczej. Widzieliśmy jej maleńki zakątek. Nieco lepsze jej poznanie zajmie nam wiele lat. Dalzul, ponieważ jest szalony albo ponieważ oszalał od czertenu, albo ponieważ wszyscy od niego oszaleliśmy, sama nie wiem, ale w tej chwili mnie to nie obchodzi – Dalzul tu wpadł, wplątał się w święte sprawy i może nawet wywołuje jakieś problemy i zamęt. Ale ci ludzie tu żyją. To jest ich miejsce. Nie może ich zniszczyć jeden człowiek ani jeden człowiek nie może ich uratować! Mają własną opowieść i to oni ją opowiadają! Nie wiem, jakie zajmujemy w niej miejsce – może jesteśmy jakimiś idiotami, którzy kiedyś spadli z nieba!

Forest spokojnie położyła rękę na ramieniu Riel.

– Kiedy się ekscytuje, to się ekscytuje. Daj spokój, Szanie. Aketa na pewno nie planuje rzezi domowników Viaki. Nie sądzę, by ci ludzie pozwolili nam porządnie namieszać. Panują nad sytuacją. Weźmiemy udział w tej uroczystości. To zapewne nic takiego, tyle że Dalzul sądzi inaczej. A jak już się skończy i Dalzul się uspokoi, poproś go, żeby zabrał nas do domu. Zrobi to. On... – przerwała. – On darzy nas ojcowskimi uczuciami – dokończyła bez sarkazmu.

Dalzula zobaczyli dopiero w dniu uroczystości. Zaszył się w pałacu, a Viaka surowo zabronił im tam wstępu. Aketa najwyraźniej nie mógł ingerować w cudze święte kompetencje i nie chciał tego robić.

– *Tezyeme* – powiedział, co znaczyło coś w rodzaju „toczy się tak, jak ma się toczyć”.

Nie wyglądał na zadowolonego, ale nie zamierzał się wtrącać.

Rano w dniu Uroczystości Berła na targowisku nie odbywał się handel. Ludzie wyszli na ulice w najlepszych spodnicach i wspaniałych kamizelach. Wszyscy mężczyźni sprawujący jakąś funkcję kapłańską mieli na głowach wysokie stroiki z wikliny i piór, a w uszach ciężkie złote kolczyki. Głowy niemowląt i dzieci natarto ochrą. Nie panował jednak radosny nastrój, jak podczas uroczystości Wschodu Gwiazd przed kilkoma dniami; nikt nie tańczył, nikt nie piekł chleba z tipu, nie rozbrzmiewała muzyka. Tylko na targowisku wciąż rósł cichy tłum. W końcu rozwarły się drzwi domu Akety – właściwie domu Ket, przypominała im Riel – i do wtóru skomplikowanego, porywającego, ponurego rytmu wybijanego na bębnach wyszła z nich procesja. Bębniarze, którzy czekali do tej pory na ulicach za domem, teraz ruszyli za procesją. Wydawało się, że całe miasto drży w tym

równym ciężkim rytmie.

Szan widział Ket tylko na taśmie nagranej przez statek podczas pierwszej wizyty Dalzula, ale od razu rozpoznał ją w procesji – była to sroga z wyglądu wspaniała kobieta. Na głowie miała stroik mniej wymyślny niż większość mężczyzn, lecz ozdobiony złotem, i dumnie utrzymywała go w równowadze. Obok niej szedł Aketa, nad którego wiklinową koroną chwiały się czerwone pióra, a z lewej strony towarzyszył jej jeszcze jeden mężczyzna.

– Ketketa, drugi mąż – mruknęła Riel. – A to ich córka.

Cztero-, może pięcioletnia dziewczynka z wielką godnością kroczyła obok rodziców. Ciemne włosy miała sztywne i czerwone od ochry.

– Są tu wszyscy kapłani pochodzący od wulkanu Ket – ciągnęła Riel. – To jest obracający ziemią. Ten stary to kapłan kalendarza. Wielu spośród nich nie znam. To wielka uroczystość... – szeptała nieco drżącym głosem.

Procesja skręciła z placu targowego na lewo, poruszając się w powolnym rytmie narzuconym przez bębny, aż Ket stanęła przed głównym wejściem do rozległego żółtego domu Viaki. Tam wszyscy zatrzymali się jednocześnie bez żadnego widocznego sygnału, choć bębny wybijały powolny, złożony rytm, a potem kolejno cichły, aż było słychać tylko jeden, jak bicie serca, ale i on w końcu zamilkł i nastąpiła przerażająca cisza. Do przodu wystąpił mężczyzna z wysokim stroikiem uplecionym z piór i zawołał:

– *Sem ayatan! Sem Dazu!*

Drzwi otworzyły się powoli. W oświetlonym wejściu na tle ciemności stał Dalzul. Miał na sobie swój czarno-srebrny mundur, srebrem lśniły mu włosy. W całkowitej ciszy zachowywanej przez tłum podeszła do niego Ket. Uklękła, skłoniła głowę i powiedziała:

– *Dazu, sototiyu!*

– Wybrałeś, Dalzulu – szepnęła Riel.

Dalzul uśmiechnął się. Postąpił do przodu i wyciągnął ręce, żeby pomóc Ket wstać z klęczek. Przez tłum przetoczył się szept jak podmuch wiatru, syk albo westchnienie zaskoczenia. Zdumiona Ket uniosła obciążoną złotem głowę i po chwili już stała wyprostowana jak struna z rękami po bokach.

– *Sototiyu!* – powiedziała, odwróciła się i podeszła do swoich mężów.

Bębny odezwały się miękkim rytmem przypominającym odgłos deszczu. Tuż przed samymi drzwiami domu procesja się rozstąpiła. Spokojny i opanowany Dalzul ruszył z wielką godnością i zajął przygotowane dla niego miejsce. Rytm deszczu wygrywany przez bębny zaczął narastać, aż zmienił się w grzmot, grzmot przetaczający się to blisko, to daleko, to głośny, to cichy. Procesja ruszyła do przodu z idealną jednomyślnością ławicy ryb albo stada ptaków. Za nią szli mieszkańcy miasta, a wśród nich Szan, Riel i Forest.

– Dokąd oni idą? – zapytała Forest, kiedy skończyła się ostatnia ulica i wszyscy znaleźli się na wąskiej drodze między sadami.

– Ta droga prowadzi na Iyananam – rzekł Szan.

– Na wulkan? Może tam odbędzie się ten obrzęd.

Bębny dudniły, słońce paliło, serce Szana waliło, jego stopy uderzały w polną drogę – wszystko w jednym potężnym rytmie. Zgranie. Myśl i mowa zagubione w jednym wielkim łup, łup, łup.

Procesja zatrzymała się już wcześniej. Teraz stawali idący za nią. Troje Terran wciąż szło, aż zrównało się z tłumem, który ustawiał się teraz inaczej – bębniarze przechodzili

na jedną stronę, a kilku z nich wciąż cicho grało motyw grzmotu. Część zgromadzonych, ludzie z dziećmi, zaczęła wracać stromym szlakiem wzdłuż górskiego strumienia. Nikt się nie odzywał, a głośny szum znajdującego się powyżej wodospadu i rwącego blisko strumienia niemal zagłuszał dźwięk bębnow.

Znajdowali się jakieś sto kroków poniżej kamiennego budyneczku, w którym pracowało dynamo. Przystrojeni piórami kapłani, Ket, jej mężowie i domownicy usunęli się na bok, robiąc dostęp do brzegu strumienia. Do samej wody prowadziły kamienne stopnie, kończące się wyłożonym jasnymi płytami tarasem, po którym przelewała się szybkimi, płytkimi falami przejrzysta woda. Pośrodku tego blasku i ruchu stał na niewysokim podwyższeniu ołtarz. W południowym słońcu biło od niego oślepiające światło: był albo pozłacany, albo z litego złota, rzeźbionego w skomplikowane, fantastyczne postacie koronowanych mężczyzn, tańczących mężczyzn, mężczyzn o romboidalnych oczach. Na podwyższeniu leżała pozbawiona jakichkolwiek zdobień pałeczka zrobiona nie ze złota, lecz z ciemnego drewna albo zmatowiałego metalu.

Dalzul ruszył w stronę podwyższenia. Nagle do przodu postąpił Aketa i stanął u szczytu kamiennych schodów, zastępując mu drogę. Wypowiedział kilka słów dźwięcznym głosem. Riel pokręciła głową, nie rozumiejąc ich. Dalzul zaś stał w milczeniu, bez ruchu, i nic nie odpowiedział. Kiedy Aketa zamilkł, Dalzul ruszył wprost przed siebie, jakby chciał przez niego przejść. Aketa nie ustąpił. Pokazał na stopy Dalzula.

– *Tediad!* – powiedział ostrym tonem.

– Buty – mruknęła Riel.

Aketa i wszyscy Gamańczycy idący w procesji byli boso. Po chwili, nie tracąc nic ze swojej godności, Dalzul ukląkł, zdjął buty i skarpety, odłożył je i wstał – bosi w czarnym mundurze.

– Odsuń się – powiedział cicho, a Aketa cofnął się między obserwujących, jakby go zrozumiał.

– *Ai Dazu* – powiedział, kiedy Dalzul go mijał.

– *Ai Dazu* – powtórzyła za nim cicho Ket.

Ten cichy pomruk towarzyszył mu, kiedy schodził po stopniach i wstępował na taras, brodząc w płytkiej wodzie, która rozpryskiwała się błyszczącymi kroplami wokół jego kostek. Bez wahania podszedł do podwyższenia i okrążył je, żeby stanąć naprzeciwko uczestników procesji i obserwujących go ludzi. Uśmiechnął się, wyciągnął rękę i chwycił berło.

– Nie – powiedział Szan. – Nie, nie mieliśmy z sobą szpiegoka. Tak, umarł natychmiast. Nie, nie mam pojęcia, jakie było napięcie. Zakładamy, że to były podziemne przewody z generatora. Tak, oczywiście, że było to rozmyślnie, zamierzone, zaplanowane. Sądzieli, że wybrał sobie tę śmierć. Wybrał ją, wybierając współzycie z Ket, z kapłanką ziemi, z ziemią. Myśleli, że o tym wie. Skąd mogli wiedzieć, że nie wie? Jeśli uprawia się seks z ziemią, umiera się od pioruna. Po tę śmierć ludzie przybywają do Ganamu z daleka. Dalzul przybył z bardzo daleka. Nie, żadne z nas tego nie rozumiało. Nie, nie wiem, czy miało to coś wspólnego z efektem czertenu, z dysonansem postrzegawczym, z chaosem. W końcu ujrzeliśmy te sprawy w odmienny sposób, lecz kto z nas znał prawdę? On wiedział,

że znów musi stać się bogiem.

Jeszcze jedna opowieść albo Rybak znad Morza Wewnętrznego

Do stabilów Ekumeny na Hain oraz do Gvonesz, dyrektor Laboratoriów Pola Czertenu w Porcie Ve, od Tiokunan'na Hideo, gospodarza z drugiego sedoretu Udanu, Derdan'nad na Oket, planeta O

Sformułuję ten raport tak, jakbym opowiadał jakąś historię, co od pewnego czasu jest już tradycją. Możecie się jednak zastanawiać, dlaczego rolnik z planety O składa wam raport, jakby był mobilem Ekumeny. Wyjaśni to moje opowiadanie. Nie wyjaśnia jednak samego siebie. Opowiadanie to nasza jedyna łódź, którą możemy żeglować po rzece czasu, lecz na wielkich bystrzynach i wśród płytkich meandrów żadna łódź nie jest bezpieczna.

Zatem: pewnego razu, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat, opuściłem dom i przyleciałem statkiem NAFAL-u „Tarasy Darrandy” na studia w Szkole Ekumenalnej na Hain. Odległość między Hain i moim światem rodzinnym wynosi nieco ponad cztery lata świetlne, a ruch między O i Układem Hain odbywał się od dwudziestu stuleci. Nawet przed wynalezieniem napędu NAFAL, kiedy na pokonanie tej odległości statki potrzebowały stu zamiast czterech lat czasu planetarnego, znajdowali się ludzie, którzy chcieli oddać swoje stare życie, by zacząć drugie w jakimś nowym świecie. Czasami wracali; nieczęsto. Istniały opowieści o takich smutnych powrotach do świata, który zapomniał o podróżniku. Znałem także dzięki matce bardzo starą historię zatytułowaną *Rybak znad Morza Wewnętrznego*, która pochodziła z jej świata rodzinnego, Terry. Dziecko ki'O poznaje w swoim życiu wiele historii, ale ze wszystkich, jakie słyszałem od niej i mojej innamatki, i od moich ojców, dziadków, wujów, ciotek i nauczycieli, tę lubiłem najbardziej. Może lubiłem ją tak bardzo, ponieważ matka opowiadała ją z głębokim uczuciem, choć w bardzo prosty sposób, i zawsze tymi samymi słowami (a jeśli próbowała je zmieniać, nie pozwalałem jej na to).

Historia opowiada o ubogim rybaku imieniem Urashima, który codziennie wypływał samotnie swoją łódką na spokojne morze, rozciągające się między jego rodzinną wyspą i stałym lądem. Był to urodziwy młody mężczyzna z długimi czarnymi włosami. Pewnego razu przechylił się nad burtą łodzi i zobaczyła go córka króla morza, która spojrzała w górę i zauważyła, jak rozległy krąg nieba przecina jakiś cień. Uniosła się wśród fal i gorąco poprosiła młodzieńca, żeby zamieszkał z nią w jej podmorskim pałacu. Urashima początkowo odmówił, tłumacząc jej, że w domu czekają na niego dzieci, ale jakże mogłby się oprzeć córce króla morza?

– Jedną noc – powiedział.

Pociągnęła go z sobą pod wodę, gdzie w jej zielonym pałacu spędzili noc miłości, a

usługiwały im dziwne podmorskie istoty. Urashima bardzo ją pokochał, ale choć może został z nią dłużej niż tylko jedną noc, to w końcu powiedział:

– Muszę odejść, miła moja. W domu czekają na mnie dzieci.

– Jeśli odejdiesz, to już na zawsze – odparła.

– Wrócę – obiecał.

Pokręciła głową. Ogarnęła ją żal, ale nie błagała rybaka.

– Weź z sobą to – powiedziała, podając mu cudownie rzeźbioną i zapieczętowaną szkatułkę. – Ale nie otwieraj jej, Urashimo.

Mężczyzna wyszedł więc na ląd i pobiegł wzdłuż wybrzeża do swojej wioski, do swojego domu, lecz ogród zdziczał, dach się zapadł, a okna były puste. Pomiędzy znajomymi zabudowaniami chodzili ludzie, lecz Urashima nie znał nikogo z nich.

– Gdzie są moje dzieci?! – zawołał.

Zatrzymała się jakaś stara kobieta i zapytała:

– Co cię trapi, młody przybyszu?

– Jestem Urashima z tej wioski, ale nie widzę tu nikogo znajomego!

– Urashima! – rzekła kobieta (tu moja matka spoglądała gdzieś w dal, a od tonu, jakim wypowiadała to imię, przechodził mnie dreszcz i w oczach piekły łzy). – Urashima! Opowiadał mi dziadek, że za czasów dziadka jego dziadka na morzu zaginął rybak imieniem Urashima. Wszyscy z jego rodziny nie żyją od stu lat.

Wrócił więc Urashima na brzeg i otworzył tam szkatułkę, prezent od córki króla morza. Ze szkatułki wydobył się obłoczek białego dymu i odpłynął na morskim wietrze. W jednej chwili czarne włosy Urashimy posiwiały, a on zrobił się stary, starszy, jeszcze starszy. Położył się na piasku i umarł.

Pamiętam, że kiedyś wędrowny nauczyciel zapytał moją matkę o tę bajkę, jak ją nazywała. Uśmiechnęła się i powiedziała: „W Annałach Cesarzy mojego narodu na Terze jest zapisane, że w roku czterysta siedemdziesiątym siódmym młodzieniec imieniem Urashima z okręgu Yosa odszedł ze swojej wioski i wrócił w roku osiemset dwudziestym piątym, lecz wkrótce znowu odszedł. Słyszałam, że szkatułkę przez wiele stuleci przechowywano w sanktuarium”. A potem rozmawiali o czymś innym.

Moja matka, Isako, nie chciała opowiadać tej historii tak często, jak prosiłem. „Ona jest taka smutna” – mówiła i zamiast niej opowiadała o babci i ryżowym knedelku, który gdzieś się potoczył, albo o namalowanym kocie, który ożywał i zabijał sznurze demony, albo o chłopcu, który płynął w brzoskwini z prądem rzeki. Moja siostra i dalsze rodzeństwo, a nawet starsi słuchali jej opowieści równie uważnie, jak ja. To były na O nowe historie, a nowa historia zawsze jest skarbem. Wszystkim najbardziej się podobała ta o namalowanym kocie, zwłaszcza kiedy matka wyjmowała pędzelek i kostkę dziwnego czarnego suchego tuszu z Terry i szkicowała zwierzęta – kota, szczura – których nikt z nas nigdy nie widział: cudownego kota z wygiętym grzbietem i odważnymi okrągłymi oczami, zębate, skradające się szczury, „ostro zakończone z obu stron”, jak mówiła moja siostra. Ale ja zawsze czekałem, słuchając wszystkich innych opowieści, żeby zwróciła na mnie uwagę, lekko się uśmiechnęła, westchnęła i zaczęła: „Dawno, dawno temu nad brzegiem Morza Wewnętrzznego żył sobie pewien rybak...”. Czy wiedziałem wtedy, co dla niej znaczyła ta opowieść? Że to była opowieść o niej? Że gdyby miała wrócić do swojej wioski, do swojego świata, to wszyscy ludzie, których znała, byłiby już martwi od stuleci?

Z pewnością wiedziałem, że pochodziła z innego świata, ale co to znaczyło dla mnie jako

pięcio-, siedmio- czy dziesięciolatka, trudno mi teraz sobie wyobrazić. Nie mogę sobie tego przypomnieć. Wiedziałem, że jest Terranką i mieszkała na Hain; to był powód do dumy. Wiedziałem, że przybyła na O jako mobil Ekumeny (jeszcze większa duma, nieuchwytna i wyniosła) i że „zakochaliśmy się w sobie z twoim ojcem podczas Świąta Sztuk w Sudiranie”. Wiedziałem też, że sfinalizowanie tego małżeństwa było skomplikowaną sprawą. Otrzymanie pozwolenia na zrzeczenie się obowiązków nie okazało się trudne – Ekumena jest przyzwyczajona do tego, że mobile stają się miejscowymi. Lecz jako cudzoziemka Isako nie należała do żadnej z połów ki’O, a to był tylko pierwszy problem. Wszystko o tym opowiedziała mi moja innamatka, Tubdu, będąca niewyczerpanym źródłem rodzinnych historii, anegdot i skandali.

– Wiesz, że nawet nie wiedziała, że kobiety zawierają małżeństwa? – powiedziała Tubdu, kiedy miałem jedenaście czy dwanaście lat. Oczywiście jej lśniły i zaczynał ją wstrząsać jej niepohamowany, nieco chrapliwy, prawie niesłyszalny śmiech. – Powiedziała, że tam, skąd pochodzi, kobiety nie wychodzą za siebie nawzajem.

Mogłem poprawić Tubdu i zrobiłem to:

– Tylko w jej rejonie tego świata. Powiedziała mi, że jest mnóstwo jego rejonów, gdzie wychodzą.

Czułem, że powinienem bronić matki, chociaż Tubdu mówiła bez cienia złośliwości czy pogardy. Uwielbiała Isako. Zakochała się w niej „w chwili, kiedy ją ujrzałam – te czarne włosy! Te usta!”, i po prostu w uroczy sposób bawiło ją, że taka kobieta mogła oczekiwać poślubienia jedynie mężczyzny.

– Rozumiem – pośpiesznie zapewniła mnie Tubdu. – Wiem, na Terze jest inaczej, ich płodność została uszkodzona, muszą myśleć o zawieraniu małżeństw, żeby mieć dzieci. I pobierają się po dwoje. Och, biedna Isako! Jakie się to jej musiało wydawać dziwne! Pamiętam, jak na mnie patrzyła... – I znowu zaniósła się tym, co my, dzieci, nazywałyśmy wielkim chichraniem – radosnym, milczącym, sejsmicznym śmiechem.

Osobom nieznanym naszych zwyczajów powinienem wyjaśnić, że na O, świecie o niskiej i stałej ludzkiej populacji oraz prądawnej technice na najwyższym poziomie, pewne układy społeczne są niemal powszechne. Podstawową jednostką społeczną nie jest miasto czy państwo, lecz raczej rozproszona wioska, związek gospodarstw. Populacja składa się z dwóch połów. Dziecko rodzi się w połowie matki, tak więc wszyscy ki’O (z wyjątkiem górskiego ludu z Enniku) zaliczają się albo do ludzi poranka, których czas przypada na okres od północy do południa, albo do ludzi wieczoru, których czas przypada na okres od południa do północy. Święte początki i funkcje połów są przypominane w Dyskusjach i Sztukach, a także podczas obrzędów we wszystkich zagrodowych sanktuariach. Pierwotną funkcją społeczną połowy było prawdopodobnie zorganizowanie egzogamii w małżeństwo, by w ten sposób zniechęcić do kojarzenia krewniaczego w odizolowanych gospodarstwach, ponieważ można uprawiać seks albo pobrać się tylko z osobą z drugiej połowy. Zasada ta jest surowo przestrzegana. Jej naruszenia, które oczywiście się zdarzają, są powodem wstydu, spotykają się z pogardą i kończą ostracyzmem. Tożsamość danej osoby jako człowieka poranka albo wieczoru stanowi tak głęboko zakorzenioną i intymną cechę jak płeć i ma prawie taki sam jak ona związek z życiem seksualnym.

Małżeństwo ki’O, nazywane sedoretu, składa się z kobiety i mężczyzny poranka oraz kobiety i mężczyzny wieczoru. Pary heteroseksualne to pary poranka i wieczoru według połowy kobiety, a pary homoseksualne to para dnia – dwie kobiety – i para nocy – dwaj

mężczyźni.

Takie małżeństwo, w którym każda z czworga osób musi być dopasowana seksualnie do dwojga pozostałych i nie może uprawiać seksu z czwartą osobą, na pewno wymaga starannego kojarzenia. Głównym zajęciem więc mojego ludu jest tworzenie sedoretu. Eksperymenty są mile widziane; czwórki tworzą się i rozpadają, pary „wypróbują” inne pary, mieszając się i dobierając. Swaci, którymi są tradycyjnie starsi wdowcy, krążą wśród porozrzucanych gospodarstw i umawiają ludzi na spotkania, organizują tańce pod gołym niebem, służą jako powiernicy. Wiele małżeństw bierze początek od miłosego związku jednej pary, homoseksualnej albo heteroseksualnej, do której dołącza jeszcze jedna para albo dwie oddzielne osoby. Wiele małżeństw od początku do końca aranżuje starszyzna wioski. Rozmowa staruszków, którzy pod wioskowym drzewem tworzą sedoretu, przypomina szachową rozgrywkę arcymistrzów lub w tidhe. „Gdyby ten chłopak wieczoru w Erdup spotkał się z młodą Tobo podczas obróbki mąki w Gad'd...”. „Czy Hodin'n z połowy poranka z Oto nie jest programistą? W Erdup przydałby się programista...”. Posagiem przyszłej panny młodej albo pana młodego są ich umiejętności albo rodzinne gospodarstwo. Osoby pod innymi względami mało atrakcyjne mogą zostać wybrane i szanowane ze względu na wnoszoną do małżeństwa wiedzę lub majątek. Ale i dla gospodarstwa jest dobrze, jeśli jego nowi członkowie są sympatyczni i użyteczni. Na O małżeństwa są tworzone bez końca. Powinienem właściwie powiedzieć, że, ogólnie rzecz biorąc, dają duże zadowolenie uczestnikom, a jeszcze większe swatom.

Oczywiście wiele osób nigdy nie wstępuje w związek małżeński. Uczeni, wędrowni dyskutanci, artyści i eksperci oraz specjaliści w ośrodkach rzadko chcą się wpasować w nierozwiązywalne wiejskie małżeństwo. Spora część ludzi dołącza też do małżeństwa swojego brata albo siostry jako ciotka lub wuj i ma wtedy ograniczone, ściśle określone obowiązki. Taka osoba może uprawiać seks z jednym lub obojgiem małżonków z drugiej połowy, czasami powiększając w ten sposób sedoretu z czworga do siedmiorga lub ośmiorga osób. Dzieci pochodzące z takiego związku są nazywane kuzynami. Dzieci jednej matki są dla siebie braćmi albo siostrami; dzieci poranka i dzieci wieczoru są dla siebie dalszym rodzeństwem. Bracia, siostry i dzieci rodzeństwa nie mogą zawierać małżeństw między sobą, ale dalsze rodzeństwo może. W niektórych mniej konserwatywnych rejonach O na małżeństwa dalszego rodzeństwa patrzy się krzywo, lecz w moim rejonie zdarzają się one często i są respektowane.

Mój ojciec był mężczyzną poranka z gospodarstwa Udan z wioski Derdan'nad, leżącej na pagórkowatym terenie północno-zachodniego wododziału rzeki Saduun na Oket, najmniejszym z sześciu kontynentów O. Nasza wioska składała się z siedemdziesięciu siedmiu gospodarstw położonych na pofałdowanym, pociętym strumieniami i pokrytym polami oraz lasami terenie w dziale wodnym Oro, dopływu szerokiej Saduun. To żyzna, przyjemna kraina z widokami rozciągającymi się na zachód ku Pasmu Przybrzeżnemu oraz na południe ku wielkim obszarom zalewowym Saduun i przebłyskom leżącego dalej morza. Oro jest szeroką, bystrą, hałaśliwą rzeką pełną ryb i dzieci. Dzieciństwo spędziłem w, na albo nad Oro, która płynie przez Udan tak blisko domu, że słychać jej szum i syk wody oraz głucho dudnienie kamieni toczonych przez nurt przez całą noc. Jest płytka i dość niebezpieczna. Wszyscy nauczyliśmy się pływać jako bardzo małe dzieci w spokojnej zatoczce wykopanej jako basen, a później wiosłować w łódkach i kajakach w bystrym nurcie pełnym głazów i bystrzyn. Jednym z zadań dzieci było łowienie ryb. Lubiłem

zabijać dzidą tłuste błękitne ochidy o świdrujących oczach. Stawałem bohaterko na śliskim głazie pośrodku rzeki z długą dzidą gotową do uderzenia... Byłem w tym dobry. Lecz kiedy ja podskakiwałem z moją dzidą, moja dalsza siostra Isidri wślizgiwała się do wody i łapała gołymi rękami sześć albo siedem ochidów. Potrafiła łapać węgorze, a nawet szybko pomykające ei. Ja nigdy tego nie umiałem. „Trzeba jakby poruszać się wraz z wodą i stać się przezroczystym” – powiedziała. Potrafiła przebywać pod wodą dłużej niż ktokolwiek z nas, tak długo, że można było pomyśleć, że utonęła. „Jest zbyt niegrzeczna, żeby utonąć – oznajmiła jej matka, Tubdu. – Naprawdę złych ludzi nie można utopić. Zawsze wypływają na powierzchnię”.

Tubdu, żona poranka, miała ze swoim mężem Kapem dwoje dzieci: Isidri, o rok starszą ode mnie, i Suudiego, o trzy lata młodszego. Jako dzieci poranka byli moim dalszym rodzeństwem, podobnie jak kuzyn Had'd, syn Tubdu z bratem Kapa, wujem Tobo. Po stronie wieczoru było dwoje dzieci, ja i moja młodsza siostra Koneko. Jej imię było stare na Oket i miało także znaczenie w terrańskim języku mojej matki: „kocię”, czyli młode kota, tego cudownego zwierzęcia o zaokrąglonym grzbiecie i okrągłych oczach. Koneko, o cztery lata młodsza ode mnie, rzeczywiście była okrągła i jedwabista jak małe zwierzątko, lecz oczy miała jak moja matka – wąskie, z powiekami biegnącymi w górę do skroni, niczym miękkie osłony kwiatów, zanim się otworzą. Chodziła chwiejnie za mną, wołając: „Deo! Deo! Zaczekaj!”, a ja biegałem za szybko, nieustraszoną, wciąż znikającą Isidri, wołając: „Sidi! Sidi! Zaczekaj!”.

Kiedy podrośliśmy, Isidri i ja staliśmy się nierozłącznymi towarzyszami, a Suudi, Koneko i kuzyn Had'd tworzyli trójkę zwykle pokrytą błotem, usianą strupami i wplątana w jakieś kłopoty: otwarte bramy, przez które yamy wchodziły w szkodę, siano zgniecione przez skakanie, ukradzione owoce, bójkę z dziećmi z gospodarstwa Drehe. „Niegrzeczne, niegrzeczne – mówiła Tubdu. – Żadne z nich nigdy nie utonie!”. I trzęsła się od swojego milczącego śmiechu.

Mój ojciec Dohedri, przystojny, milczący i wyniosły mężczyzna, ciężko pracował. Myślę, że jego niezłomna decyzja, by do ciasno utkanej materii wioskowego i gospodarskiego życia, konserwatywnego, podejrzliwego, pełnego starych węzłów, a także zbitek namiętności i zazdrości, wprowadzić cudzoziemkę, dodała do jego już poważnego charakteru nutę troski. Oczywiście zdarzało się, że jacyś inni ki'O pobierali się z obcymi, lecz niemal zawsze w „obcym małżeństwie”, tworząc parę. Pary takie mieszkaly zwykle w którymś z ośrodków, gdzie powszechnie spotykało się wszelkie nietradycyjne układy, nawet (jak szeptali złośliwie wioskowi plotkarze pod wielkim drzewem) kazirodcze związki między dwojgiem ludzi poranka! dwojgiem ludzi wieczoru! Albo pary takie opuszczały O i przenosiły się na Hain, albo zupełnie odcinały się od swoich domów i jako mobile na statkach NAFAL-u jedynie dotykały rozmaitych światów w rozmaitych momentach, a potem znowu odlatywały w niekończącą się przyszłość bez przeszłości.

Takie rzeczy nie przemawiały do mojego ojca, człowieka po kolana zakorzenionego w ziemi gospodarstwa Udan. Sprowadził ukochaną do swojego domu i przekonał ludzi wieczoru z Derdan'nad, żeby przyjęli ją do swojej połowy w obrzędzie tak rzadkim i dawnym, że do przeprowadzenia go musiał przybyć z Noratanu statkiem i pociągami opiekun. Następnie mój ojciec namówił do przyłączenia się do tego sedoretu Tubdu. Jeśli chodzi o jej małżeństwo dnia, od chwili, kiedy poznała moją matkę, nie było żadnego kłopotu, lecz jej małżeństwo poranka przedstawiało nieco trudności. Kap i mój ojciec byli

kochankami od wielu lat, więc Kap był oczywistym i chętnym kandydatem do dopełnienia sedoretu, lecz nie podobał się Tubdu. Na szczęście długotrwała miłość Kapa do mojego ojca sprawiła, że zalecał się do Tubdu poważnie i dobrze, a ona była o wiele za dobroduszną, by opierać się powiązanym pragnieniom trzech osób, a poza tym gorąco pożądała Isako. Myślę, że zawsze uważała Kapa za nudnego męża, lecz premię stanowił jego młodszy brat, wuj Tobo. A stosunek Tubdu do mojej matki był nieskończenie czuły, pełen szacunku, delikatności, powściągliwości. Kiedyś matka mi o tym opowiedziała.

– Wiedziała, jakie to wszystko było dla mnie dziwne. Wie, jakie to wszystko nadal jest dziwne.

– Ten świat? Nasze zwyczaje? – zapytałem.

Matka bardzo nieznacznie pokręciła głową.

– Nie tak bardzo to – odparła cichym głosem ze słabym obcym akcentem. – Ale mężczyźni i kobiety, kobiety i kobiety, razem... miłość... To zawsze jest bardzo dziwne. Nie przygotowuje do tego żadna wiedza. Nigdy.

Mówi się, że małżeństwo tworzy dzień, to znaczy, że tworzy je lub niszczy związek dwóch kobiet. Mimo że matka i ojciec bardzo się kochali, była to miłość zawsze na granicy bólu, nigdy łatwa. Nie mam żadnych wątpliwości, że cudowne dzieciństwo, które mieliśmy w tym domu, opierało się na niezachwianej radości i sile, jakie znajdowały w sobie nawzajem Isako i Tubdu.

A zatem wtedy: dwunastoletnia Isidri pojechała słonecznym pociągiem do szkoły w Herhot, do naszego regionalnego ośrodka edukacyjnego, a ja głośno płakałem, stojąc w porannym słońcu w pyle stacji Derdan'nad. Zniknęła moja przyjaciółka, moja towarzyszką zabaw, moje życie. Zostałem sam, porzucony, na zawsze osamotniony. Widząc, że jej potężny jedenastoletni brat szłocha, Koneko też zaczęła wyć, a łzy pociekły jej po policzkach zakurczonymi kulkami jak krople deszczu na polnej drodze. Objęła mnie, rycząc:

– Hideo! Ona wróci! Wróci!

Nigdy tego nie zapomniałem. Słyszę jej zachrypnięty cienki głosik, czuję jej oplatające mnie ramiona i gorące poranne słońce na karku.

Po południu wszyscy pływaliśmy w Oro, Koneko, ja, Suudi i Had'd. Jako najstarszy postanowiłem iść drogą obowiązku oraz surowej cnoty i poprowadziłem nasz oddział do pomocy dalszej kuzynce Topi, pracującej w stacji kontroli irygacji, ale ona wkrótce nas przegoniła jak stado much.

– Idźcie pomagać komuś innemu, a mnie dajcie pracować! – powiedziała.

Poszliśmy zbudować zamek z błota.

A zatem wtedy: rok później dwunastoletni Hideo i trzynastoletnia Isidri pojechali słonecznym pociągiem do szkoły, zostawiając Koneko na zapyłonej bocznicy, nie we łzach, lecz milcząco, tak jak milczała nasza matka, kiedy się czymś martwiła.

Szkoła bardzo mi się podobała. Wiem, że przez kilka pierwszych dni strasznie tęskniłem za domem, ale nie potrafię przywołać tego cierpienia, zagrzebanego pod bogatymi wspomnieniami lat spędzonych w Herhot, a później w Ran'n, Centrum Edukacji Zaawansowanej, gdzie studiowałem fizykę temporalną oraz inżynierię.

Isidri skończyła pierwsze kursy w Herhot, uczęszczała rok na drugi kurs z literatury, hydrologii i enologii, a potem wróciła do gospodarstwa Udan w wiosce Derdan'nad, leżącej na pagórkowatym terenie północno-zachodniego wododziału rzeki Saduun.

Troje młodszych dzieci poszło do szkoły, uczęszczało kilka lat na drugie kursy i przyniosło swoją wiedzę do Udanu. Kiedy Koneko miała piętnaście czy szesnaście lat, mówiła o pójsciu w moje ślady i studiach w Ran'n; lecz była potrzebna w domu ze względu na jej perfekcję w dyscyplinie, którą nazywamy gęstym planowaniem. Zwykle tłumaczy się to jako zarządzanie gospodarstwem, lecz słowa te nie niosą z sobą nawet cienia złożoności czynników, składających się na gęste planowanie ekologii, polityki, zysków, tradycji, estetyki, honoru i zapału, funkcjonujących w niezwykle praktycznej i praktycznie niewidocznej równowadze zachowania i odnowy, jakby to była homeostaza silnego organizmu. Nasze „kocię” miało do tego talent i planiści z Udanu i Derdan'nad przyjęli ją do swoich rad, zanim skończyła dwadzieścia lat. Ale wtedy mnie już tam nie było.

Każdej zimy podczas nauki w szkole wracałem do gospodarstwa na długie wakacje. Zaraz po przybyciu odrzucałem szkołę jak torbę na książki i z dnia na dzień stawałem się stuprocentowym wiejskim chłopakiem: pracowałem, pływałem, łowiłem ryby, wędrowałem, wystawiałem w stodole sztuki i farsy, chodziłem na tańce pod gołym niebem i na tańce w domach w całej wiosce, zakochiwałem się w ślicznych chłopakach i dziewczynach poranka z Derdan'nad i innych wiosek. W trakcie moich ostatnich dwóch lat w Ran'n moje odwiedziny w domu zmieniły charakter. Zamiast włóczyć się cały dzień po okolicy, a wieczorami chodzić na tańce, często zostawałem w domu. Starając się nie zakochać, studziłem mój stary, drogi mi związek z Sotą z gospodarstwa Drehe, stopniowo go zaniedbując, lecz starając się go nie zranić. Całymi godzinami siedziałem nad Oro z żyłką w ręku i zapamiętywałem ruch wody w pewnym miejscu, tuż przed naszą starą zatoczką pływacką. Tam, unosząc się przejrzystymi pasmami i pędząc ku dwóm porośniętym mchem, niemal zatopionym głazom, woda wzbiera i wiruje; niektóre z powstających wirów odpływają, słabną i zanikają, a jeden zawęzła się nad głębiną, burzy się i spływa z prądem, obracając się powoli, aż dociera do głazów i przemyka między nimi z szybkim lśnieniem, a potem rozluźnia się, uwalnia do nurtu rzeki. Powyżej tego miejsca nad głębiną, gdzie woda unosi się nad głazami w przejrzystych pasmach, formuje się i zawęzła kolejny wir... Tej zimy rzeka czasami wznosiła się tak wysoko, że aż pokrywała głazy i płynęła gładko, napęczniała od deszczu. Ale zawsze opadała i znowu pojawiały się wiry.

W zimowe wieczory odbywałem z siostrą i Suudim poważne długie rozmowy przy ogniu. Patrzyłem na piękne dłonie matki, kiedy haftowała nowe zasłony do szerokich okien jadalni, które ojciec uszył na czterystuletniej udańskiej maszynie. Pracowałem z nim przy zmianie programów układów nawożenia wschodnich pól i rotacji yam według wytycznych naszej rady gęstego planowania. Od czasu do czasu trochę rozmawialiśmy, ale nie za dużo. Wieczorami muzykowaliśmy – kuzyn Had'd grał na bębnie, był rozchwytywany na tańcach i zawsze potrafił zebrać zespół – albo grałem z Tubdu w złodzieja słów. Uwielbiała tę grę i zawsze przegrywała, bo tak bardzo zależało jej na kradzieży moich słów, że zapominała chronić swoje. „Mam cię, mam cię!” – wołała i rozsypywała się w wielkim chichraniu, chwytając grubymi, zwięzającymi się brązowymi palcami moje klocki z literami, które odzyskiwałem wraz z większością jej liter w następnym ruchu. „Jak to zauważyłeś?” – pytała ze zdumieniem, przyglądając się rozrzuconym słowom. Czasami grał z nami mój innyojciec, Kap, metodycznie, odrobinę mechanicznie, lekkim uśmiechem kwitując i zwycięstwo, i porażkę. A potem szedłem do mojego pokoju na poddaszu, pokoju

ciemnych drewnianych ścian i ciemnoczerwonych zasłon, wpadającego przez okno zapachu deszczu i jego dzwonienia o dachówki. Leżałem tam w łagodnej ciemności i pławiłem się w smutku, w wielkim, dojmującym, słodkim, młodzieńczym smutku odczuwanym na myśl o starym domu, z którego miałem wyjechać, który miałem stracić na zawsze, od którego miałem odzeglować po ciemnej rzece czasu. Bo od osiemnastych urodzin wiedziałem, że opuszczę Udan, opuszczę O i udam się do innych światów. To była moja ambicja. Moje przeznaczenie.

Opisując tamte zimowe wakacje, nie mówiłem nic o Isidri. Była tam. Grała w sztukach, pracowała w gospodarstwie, chodziła na tańce, śpiewała w chórach, dołączała do pieszych wycieczek, pływała ze wszystkimi w rzece w ciepłym deszczu. Kiedy tej pierwszej zimy, na którą wróciłem do domu z Ran'n, wyskoczyłem z pociągu na stacji Dardan'nad, Isidri przywitała mnie okrzykiem radości i mocnym uściskiem ramion, a potem cofnęła się z dziwnym, pełnym zaskoczenia śmiechem i stała tak, wysoka, ciemna, szczupła, z napiętą, czujną twarzą. Tamtego wieczoru była dość skrępowana. Miałem wrażenie, że to dlatego, że zawsze widziała we mnie małego chłopca, dziecko, a teraz jako osiemnastolatek i student w Ran'n byłem mężczyzną. Zachowywałem się wobec niej pewnie, pilnowałem, by czuła się swobodnie, roztoczyłem nad nią opiekę. W kolejne dni nadal była skrępowana, śmiała się w nieodpowiednich momentach, nigdy nie otworzyła przede mną serca w długiej rozmowie, jakie przedtem często prowadziliśmy, a nawet, jak mi się wydawało, unikała mnie. Przez cały ostatni dziesięć dni, który tamtego roku spędziłem w domu, Isidri przebywała w odwiedzinach u krewnych swojego ojca w wiosce Sabtodiu. Byłem urażony, że nie odłożyła tej wizyty do mojego wyjazdu.

Następnego roku nie była skrępowana, ale i nie serdeczna. Zaczęła się interesować religią, codziennie odwiedzała sanktuarium i razem ze starszymi czytała Dyskusje. Była uprzejma, przyjazna, zajęta. Nie pamiętam, abyśmy się tamtej zimy w ogóle dotykali – zrobiliśmy to dopiero, gdy ucałowała mnie na pożegnanie. U mojego ludu nie całuje się ustami; przez chwilę albo trochę dłużej dotykamy się policzkami. Jej pocałunek był delikatny jak muśnięcie liścia, długi, lecz ledwie zauważalny.

Podczas mojej trzeciej zimy w domu powiedziałem, że odchodzę: udaję się na Hain, a stamtąd chciałem polecieć jeszcze dalej i na zawsze.

Jakże jesteśmy okrutni dla naszych rodziców! Wystarczyło powiedzieć, że udaję się na Hain. Matka zawołała na poły z bólem, na poły z radością: „Wiedziałam!”, a potem dodała swoim zwykłym cichym głosem: „Potem mógłbyś wrócić na jakiś czas”. Mogłem odpowiedzieć: „Tak”. Nie prosiła o nic więcej. Tak, mógłbym wrócić na jakiś czas. Z nieczułym egocentryzmem młodości, który błędnie uważa się za uczciwość, nie dałem jej tego, o co prosiła. Odebrałem jej skromną nadzieję ujrzenia mnie po dziesięciu latach, a w zamian zostawiłem beznadziejny smutek przekonania, że kiedy odejdę, nigdy więcej mnie już nie zobaczy. „Jeśli się nadam, chcę zostać mobilem”, powiedziałem. Nastawiłem się przedtem, żeby mówić bez ogródek, byłem dumny z mojej szczerości. A przecież, chociaż tego nie wiedzieliśmy, ani ja, ani oni, to wcale nie była prawda. Prawda rzadko jest tak prosta, chociaż niewiele prawd jest tak skomplikowanych, jaką okazała się moja.

Matka przyjęła moją brutalność bez słowa skargi. Przecież sama opuściła swoją rodzinę. Tamtego wieczoru powiedziała: „Póki będziesz na Hain, będziemy mogli czasem rozmawiać przez ansibl”. Powiedziała to tak, jakby uspokajała mnie, a nie siebie. Chyba pamiętała, jak pożegnała się z rodziną i wsiadła na statek na Terze, a kiedy kilka godzin

później wylądowała na Hain, jej matka nie żyła już od pięćdziesięciu lat. Mogłaby rozmawiać z Terrą przez ansibl – lecz z kim? W przeciwieństwie do niej nie znałem tego bólu. Świadomość, że przez jakiś czas będzie mi oszczędzony, dawała jej pociechę.

Wszystko teraz było na jakiś czas. Och, ta gorzka słodycz tamtych dni! Jak świetnie się bawiłem, znów stojąc w napięciu na śliskim głazie pośród ryczącej wody z uniesioną dzidą, bohater! Jak gotów, jak chętny byłem zgnieść w dłoni całe to długie, powolne, głębokie, bogate życie Udanu i je odrzucić! Tylko w jednym momencie powiedziano mi, co robię, ale to trwało tak krótko, że mogłem się tego wyprzeć.

W deszczowe, ciepłe popołudnie pod koniec ostatniego miesiąca zimy pracowałem w hangarze na łodzie. Stały, syczący grzmot wezbranej rzeki odzwierciedlał stan moich myśli. Montowałem nową ławkę w czerwonej wiosłowej łódce, z której łowiliśmy ryby, czerpiąc z tej pracy przyjemność i oddając się wstępnie przyszłej nostalgii, wyobrażając sobie, jak na jakiejś planecie, odległej o sto lat, będę rozpamiętywał tę godzinę w hangarze, zapach drewna i wody, nieustanny ryk rzeki. Stukanie do drzwi skutni. Do środka zajrzała Isidri – szczupła, ciemna, czujna twarz, długi warkocz ciemnych włosów, nie tak czarnych jak moje, skupione, przejrzyste oczy.

– Hideo, chcę z tobą chwilę porozmawiać.

– Wejdz! – zaprosiłem ją, udając swobodę i zadowolenie, bo byłem na wpół świadom, że w gruncie rzeczy uchylam się przed tą rozmową, że się jej boję... Dlaczego?

Przysiadła obok imadła i przez chwilę w milczeniu przyglądała się, jak pracuję. Zacząłem mówić coś banalnego, lecz wtedy się odezwała:

– Wiesz, dlaczego trzymam się od ciebie z daleka?

– Trzymasz się ode mnie z daleka? – powtórzyłem. Kłamca, chroniący siebie kłamca.

Westchnęła. Miała nadzieję, że powiem, że rozumiem, i zaoszczędzę jej reszty. Nie mogłem się jednak na to zdobyć. Kłamstwem było tylko moje udawanie, że nie zauważyłem, że stroni ode mnie. Dopóki mi nie powiedziała, naprawdę nie miałem pojęcia dlaczego.

– Przedostatniej zimy przekonałam się, że jestem w tobie zakochana – rzekła. – Nie zamierzałam o tym mówić, bo... no, sam wiesz. Gdybyś czuł coś takiego do mnie, to wiedziałbyś, co się ze mną dzieje. Ale to nie było wzajemne, zatem nie miało sensu. Ale kiedy powiedziałeś nam, że wyjeżdżasz... Początkowo myślałam, że tym bardziej nie mam o czym mówić. Ale potem pomyślałam, że to nie byłoby uczciwe. Częściowo wobec siebie. Miłość ma prawo, by o niej mówić, a człowiek ma prawo wiedzieć, że ktoś go kocha. Że ktoś go pokochał, że może go kochać. Wszyscy potrzebujemy tej wiedzy. Właściwie być może potrzebujemy jej najbardziej. Więc chciałam ci powiedzieć. I ponieważ bałam się, że myślisz, że trzymam się od ciebie z daleka, bo cię nie Kocham albo mi na tobie nie zależy, no wiesz... Mogło na to wyglądać. Ale nie chodziło o to.

Zsunęła się ze stołu i znalazła się przy drzwiach.

– Sidi! – zawołałem.

Jej imię wyrwało mi się dziwnym chrapliwym krzykiem, samo imię, żadnych słów – nie miałem słów, nie miałem uczuć, żadnego współczucia, nie przeżywałem już żadnej nostalgii, nie pławiłem się w cierpieniu. Gwałtownie pozbawiony emocji, stałem oszołomiony, skonsternowany. Nasze spojrzenia się spotkały. Przez cztery czy pięć oddechów staliśmy, wpatrując się nawzajem w swoje dusze, a potem Isidri odwróciła wzrok z krzywym, smutnym uśmiechem i wymknęła się z warsztatu.

Nie poszedłem za nią. Nie miałem jej nic do powiedzenia: dosłownie czułem, że znalezienie odpowiednich słów zajmie mi miesiąc, rok, wiele lat. Pięć minut wcześniej byłem taki pełny, tak wygodnie dopełniony w sobie, w mojej ambicji i przeznaczeniu, a teraz stałem pusty i w milczeniu patrzyłem na świat, który odrzuciłem.

Ta zdolność patrzenia na prawdę trwała jakąś godzinę. Od tamtej pory przez całe życie myślałem o tym przeżyciu jako o godzinie w hangarze na łodzi. Usiadłem na wysokim stole, na którym siedziała Isidri. Spadł deszcz, rzeka huczała i nadszedł wczesny zmierzch. Kiedy w końcu się poruszyłem, zapaliłem światło i zacząłem próbować bronić mojego celu, mojej planowanej przyszłości przed straszną szarą rzeczywistością. Zacząłem budować parawan uczuć, uników i wersji; odwracać wzrok od tego, co ukazała mi Isidri; odwracać wzrok od jej oczu.

Kiedy zjawiłem się w domu na kolacji, już panowałem nad sobą. Gdy położyłem się do łóżka, znowu byłem panem mojego przeznaczenia, pewnym swojej decyzji, niemal zdolnym do żałowania Isidri – ale nie do końca. Nigdy jej czymś takim nie zhańbiłem, chociaż tyle mogę o sobie powiedzieć. Podczas tej godziny w hangarze na łodzi zostałem pozbawiony żalu, który jest użalaniem się nad sobą. Kiedy kilka dni później zegnałem się z rodziną na błotnistej stacyjce w wiosce, szlochałem, nie komfortowo ze względu na nich, lecz ze względu na siebie, z uczciwego, beznadziejnego bólu. To było dla mnie za wiele. Miałem tak mało doświadczenia z bólem! Powiedziałem do matki:

- Wrócę. Wrócę, jak skończę kurs, po sześciu, może siedmiu latach, i trochę zostanę.
- Jeżeli twoja droga cię tu sprowadzi – szepnęła, mocno mnie przytuliła, a potem puściła.

A zatem wtedy: doszedłem do momentu, w którym postanowiłem zacząć moją opowieść, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat i opuściłem dom na statku „Tarasy Darrandy”, żeby podjąć studia w szkołach na Hain. Z samej podróży nie mam żadnych wspomnień. Chyba pamiętam, jak wchodziłem na statek, ale nie przychodzą mi na myśl żadne szczegóły – ani wizualne, ani kinetyczne. Nie pamiętam pobytu na statku. Zejście z niego wspominam tylko jako przemożne wrażenie fizyczne, zawroty głowy. Potykałem się, zrobiło mi się niedobrze i tak się chwiałem na nogach, że przez kilka pierwszych kroków na powierzchni Hain ktoś musiał mnie podtrzymać.

Zaniepokojony tą chwilową utratą świadomości zapytałem o nią w Szkole Ekumeny. Powiedziano mi, że to jeden z licznych sposobów, na jakie podróż z prędkością zbliżoną do prędkości światła wpływa na umysł. Większości ludzi wydaje się jedynie, że mija kilka godzin w czymś w rodzaju percepcyjnego zawieszenia, inni w dziwny sposób postrzegają przestrzeń, czas i samo wydarzenie, co może być poważnie niepokojące, jeszcze inni zaś po prostu „budzą” się po przybyciu do celu, mając wrażenie, że spali. Ja nie miałem nawet takiego doświadczenia. Nie doświadczyłem niczego. Czułem się oszukany. Chciałem doznać tej podróży, poznać w jakiś sposób ten wielki interwał przestrzeni, ale jeśli o mnie chodzi, nie było żadnego interwału. Znajdowałem się w porcie kosmicznym na O, a potem w Porcie Ve, cierpiący na zawroty głowy, oszołomiony, a w końcu, kiedy zdołałem uwierzyć, że tu jestem, podekscytowany.

Moje studia i praca, jaką wykonywałem przez te lata, są teraz nieistotne. Wspomnę tylko jedno wydarzenie, które być może zostało zarejestrowane w pliku przychodzących wiadomości ansibla w Czwartej Wieży Becku, RE 21–11–3/1645 (kiedy ostatnio sprawdzałem, figurowało w pliku przekazów ansibla w Ran’n, data RE 30–11–93/1645;

odnotowane było także odejście i przybycie Urashimy w Annałach Cesarzy). Rok tysiąc sześćset czterdziesty piąty był moim pierwszym rokiem pobytu na Hain. Na początku semestru zostałem poproszony o przyście do ośrodka ansibla, gdzie usłyszałem, że odebrano zniekształcony przekaz ekranowy, najwyraźniej z O, i że personel ma nadzieję, że pomogę w jego odczytaniu. Po dacie późniejszej o dziewięć dni od daty otrzymania wiadomości następował tekst:

łów oku n hide problem wotremop szac zc zert di może nie dać się uratow tybyz

Słowa były podzielone na fragmenty i miały luki. W niektórych rozpoznałem standardowy haiński, lecz *oku* i *wotremop* znaczą „północ” i „symetryczny” w moim ojczystym języku *sio*. Ośrodki ansibla na O nie potwierdziły tej transmisji, ale ze względu na te dwa słowa odbiorcy uznali, że wiadomość może pochodzić z O; poza tym haiński zwrot „może nie dać się uratować” pojawił się w przekazie otrzymanym niemal jednocześnie od jednego ze stabilów na O, a dotyczącym uszkodzonego przez fale zakładu odsalania. „Nazywamy to zmiętą wiadomością”, powiedział mi odbiorca, kiedy wyznałem, że nic z tego nie rozumiem, i zapytałem, jak często ansibl przekazuje tak zniekształcone teksty. „Na szczęście rzadko. Nie mamy pewności, gdzie albo kiedy powstały albo powstaną. Mogą stanowić efekt podwójnego pola – może zjawisk interferencji. Jeden z moich tutejszych kolegów nazywa je widmowymi wiadomościami”.

Natychmiastowy przekaz zawsze mnie fascynował i mimo że wówczas dopiero poznawałem zasadę działania ansibla, rozwinąłem tę przypadkową znajomość z odbiorcami w przyjaźń z kilkoma z nich. Zapisywałem się też na wszystkie możliwe zajęcia z teorii ansibla.

Kiedy byłem na ostatnim roku na wydziale fizyki temporalnej i zastanawiałem się nad udaniem się na dalsze studia do Światów Ceteńskich – po obiecaniej wizycie w domu, która czasem wydawała mi się odległym marzeniem, a czasem pełną tęsknoty, a zarazem strachu potrzebą – przyszły przez ansibl z Anarres pierwsze doniesienia o nowej teorii przeskoku. Z miejsca na miejsce mogła być przenoszona bez upływu czasu nie tylko informacja, ale materia, ciała, ludzie. Technologia czertenu nagle okazała się rzeczywistością, chociaż bardzo dziwną, nieprawdopodobną.

Bardzo chciałem nad nią pracować. Właśnie zamierzałem oddać wydziałowi duszę i ciało, żeby pozwolono mi pracować nad teorią czertenu, kiedy wykładowcy przyszli do mnie i zapytali, czy nie rozważyłbym przełożenia szkolenia na mobila o jakiś rok, żeby popracować nad tą teorią. Po namyśle łaskawie się zgodziłem. Tego wieczoru świętowałem w całym mieście. Pamiętam, że pokazywałem wszystkim znajomym, jak się tańczy *fen'n*, pamiętam, że odpalałem fajerwerki na Wielkim Placu wydziału, i chyba pamiętam, że nieco przed świtem śpiewałem pod oknami dyrektor. Pamiętam też, jak się czułem następnego dnia, lecz nie przeszkodziło mi to w powleczeniu się do budynku *Ti-Phy*, żeby zobaczyć, gdzie jest instalowane Laboratorium Pola Czertenu.

Przekazy przez ansibl są oczywiście bardzo kosztowne i podczas tych kilku lat pobytu na Hain mogłem rozmawiać z rodziną tylko dwa razy, lecz moi przyjaciele z ośrodka czasami puszczali moją wiadomość ekranową z przekazem na O. W ten sposób przesłałem wiadomość do *Ran'n* do pierwszego *sedoretu* gospodarstwa *Udan* z wioski *Derdan'nad* z

pagórkowatego rejonu północno-zachodniego wododziału rzeki Saduun na Oket, na planecie O, że „choć te badania opóźnią moje odwiedziny w domu, mogą zaoszczędzić mi cztery lata podróży”. Ta nonszalancja świadczyła o moim poczuciu winy; ale my naprawdę wtedy myśleliśmy, że opanujemy tę technologię w ciągu kilku miesięcy.

Laboratoria Pola zostały wkrótce przeniesione do Portu Ve, a ja przeniosłem się wraz z nimi. W ciągu tych pierwszych trzech lat wspólna praca ceteńskich i hainkich zespołów badań czertenu była ciągiem triumfów, opóźnień, obietnic, porażek, przełomów, komplikacji następujących po sobie tak szybko, że każdy, kto wziął tydzień wolnego, wypadał z obiegu. „Jasność kryjąca tajemnicę” nazwała to Gvonesz. Za każdym razem, kiedy wszystko stawało się jasne, wszystko robiło się bardziej tajemnicze. Teoria było piękna i doprowadzała nas do szału. Eksperymenty były ekscytujące i trudne do ogarnięcia. Technologia ta działała najlepiej, kiedy była najbardziej niedorzeczna. Cztery lata minęły w tym laboratorium jak z bicza trząsał, jak to się mówi.

Spędziłem już na Hain i Ve dziesięć lat i liczyłem ich sobie trzydzieści jeden. Kiedy mój statek NAFAL-u pokonywał w kilka minut drogę do Hain, na O mijały cztery lata, a kolejne cztery minęłyby, gdybym wracał. Tak więc gdybym odwiedził O, według ich rachuby nie byłoby mnie osiemnaście lat. Wszyscy moi rodzice jeszcze żyli. Zdecydowanie nadszedł czas mojej wizyty w domu.

Lecz chociaż badania nad czertemem napotkały irytującą komplikację w postaci paradoksu wiosennego śniegu, który to problem mógł być według Ceteńczyków nierozwiązywalny, nie mogłem znieść myśli, że kiedy wrócę na Hain, będę zapóźniony o osiem lat. A jeśli przewyciężą ten paradoks? Nieprzyjemna była już sama świadomość, że wybierając się na O, muszę stracić cztery lata. Niepewnie i bez zbytej nadziei zaproponowałem dyrektor, że zawiozę na O pewne materiały doświadczalne i ustanowię stałe podwójne pole jako łącze pomocnicze ansiblowego połączenia między Portem Ve i Ran'n. W ten sposób mógłbym być w kontakcie z Ve, tak jak Ve pozostawało w kontakcie z Urras i Anarres, a stałe łącze ansiblowe mogłoby stanowić wstęp do łącza czertenowego. Pamiętam, że powiedziałem: „Jeśli przewyciężycie paradoks, to w końcu moglibyśmy wysłać kilka myszy”. Ku mojemu zaskoczeniu pomysł chwycił; inżynierowie temporalni potrzebowali pola przyjmującego. Nawet nasza dyrektor, która bywała tak błyskotliwie nieprzenikniona jak sama teoria czertenu, powiedziała, że to dobry pomysł. „Myszy, robaki, ghole, kto wie, co ci wyślemy?”.

A zatem wtedy: kiedy miałem trzydzieści jeden lat, opuściłem Port Ve na pokładzie transportowca NAFAL-u „Pani z Sorry” i wróciłem na O. Tym razem doświadczyłem lotu z prędkością zbliżoną do prędkości światła tak, jak doświadcza go większość ludzi: jako wytrącający z równowagi krótki czas, kiedy nie można logicznie myśleć, odczytać godziny z cyferblatu czy zrozumieć opowiadania. Mówienie i poruszanie się stają się trudne lub niemożliwe. Inni ludzie ukazują się jako nierealne półpostacie, w niewyjaśniony sposób tu albo nie tu. Nie miałem halucynacji, ale wszystko przypominało omamy, było jak efekt wysokiej gorączki – dezorientujące, rozpaczliwie nudne, pozornie bez końca, mimo to trudne potem do przywołania w pamięci, jakby to był epizod spoza życia umieszczony w jakiejś otoczce. Zastanawiam się teraz, czy podobieństwo tego doświadczenia do doświadczenia czertenu było już poważnie badane.

Udałem się prosto do Ran'n, gdzie dostałem kwaterę w Nowym Czworoboku, ładniejszą i lepszą od mojego dawnego studenckiego pokoju w Czworoboku Sanktuarium, oraz niezłą

przestrzeń laboratoryjną w Sali Wieżowej na eksperymentalną stację pola przeskoku. Natychmiast skontaktowałem się z rodziną i porozmawiałem z rodzicami; matka chorowała, ale powiedziała, że już się czuje dobrze. Oznajmiłem, że przyjadę do domu, jak tylko uruchomię placówkę w Ran'n. Kontaktowałem się z nimi co dziesiątek dni i zapowiadałem, że już wkrótce przyjadę. Naprawdę byłem bardzo zajęty, bo musiałem nadrobić stracone cztery lata i dowiedzieć się, jak Gvonesz rozwiązała problem paradoksu wiosennego śniegu. Na szczęście stanowiło to jedyny poważny postęp w teorii. Technika natomiast posunęła się do przodu o wiele bardziej. Musiałem się nauczyć, a moich asystentów wyszkolić niemal od początku. Miałem pomysł w związku z jednym aspektem teorii podwójnego pola, który chciałem sprawdzić przed wyjazdem. Skontaktowałem się z rodziną dopiero po pięciu miesiącach i w końcu powiedziałem: „Będę u was jutro”. I wtedy uświadomiłem sobie, że cały ten czas się bałem.

Nie wiem, czy bałem się spotkania z nimi po osiemnastu latach, zmian, obcości, czy bałem się samego siebie.

Osiemnaście lat nie miało żadnego znaczenia dla wzgórz nad szeroką Saduun, pól, zakurzonej stacyjki w Derdan'nad, stareńkich domów przy cichych ulicach. Zniknęło wielkie wioskowe drzewo, ale jego następcą już dawał dość szeroki cień. Ptaszarnia w Udanie została powiększona. Yamy patrzyły na mnie ponad płotem wyniośle i ostrożnie zarazem. Brama, którą zawiesiłem podczas ostatnich odwiedzin w domu, rozpadała się – trzeba było poprawić jedną belkę i dać nowe zawiasy, ale rosnące przy niej chwasty były tymi samymi zakurzonymi, słodko pachnącymi letnimi chwastami. Maleńkie tamy na strumyczkach nawadniających otwierały się i zamykały z cichymi stuknięciami. Wszystko samo w sobie było takie samo – ponadczasowy Udan pogrążony w swoim śnie pracy stał nad ponadczasową rzeką pogrążoną w swoim śnie ruchu. Lecz twarze i ciała ludzi, którzy czekali na mnie na stacji w gorącym słońcu, nie były takie same. Moja matka, czterdziestosiedmioletnia, kiedy wyjechałem, teraz miała sześćdziesiąt pięć lat i była piękną, kruchą starszą panią. Tubdu straciła na wadze; sprawiała wrażenie skurczonej i smutnej. Ojciec wciąż był przystojny i miał dumną postawę, lecz ruszał się powoli i prawie wcale się nie odzywał. Mój innyojciec, Kap, obecnie siedemdziesięcioletek, był dokładnym, ruchliwym, drobnym staruszkiem. Wciąż tworzyli pierwsze sedoretu Udanu, lecz o życie gospodarstwa dbały teraz drugie i trzecie sedoretu.

Oczywiście wiedziałem o tych wszystkich zmianach, ale znalezienie się wśród tych ludzi różniło się od wiadomości zamieszczanych w listach i przekazach. W starym domu mieszkało o wiele więcej osób niż za moich czasów. Na nowo otworzono południowe skrzydło i przez jego drzwi oraz dziedzińce, które w moim dzieciństwie były milczące, tajemnicze i porośnięte bluszczem, teraz przebiegały dzieci.

Moja siostra Koneko była teraz o cztery lata starsza ode mnie, a nie o cztery lata młodsza. Bardzo przypominała mi matkę z moich wczesnych wspomnień. Kiedy pociąg wjeżdżał na stację Derdan'nad, rozpoznałem ją pierwszą. Podnosiła wysoko trzy- lub czteroletnie dziecko ze słowami: „Patrz, patrz, to twój wujek Hideo!”

Drugie sedoretu istniało od jedenastu lat: partnerkami dnia były Koneko i Isidri, dalsze siostry. Mężem Koneko był mój stary przyjaciel Sota, mężczyzna poranka z gospodarstwa Drehe. W młodości szczerze się kochaliśmy z Sotą i kiedy wyjeżdżałem, bardzo cierpiałem. Byłem jednak tak skupiony na sobie, że wieść o jego odwzajemnionej miłości do Koneko bardzo mnie zaskoczyła, ale przynajmniej nie byłem zazdrosny: bardzo mnie

ona ucieszyła. Mąż Isidri, mężczyzna niemal dwadzieścia lat starszy od niej, był przedtem wędrownym znawcą Dyskusji. Udan go ugościło i jego wizyty skończyły się małżeństwem. Nie mieli dzieci. Sota i Koneko mieli dwoje dzieci wieczoru: dziesięcioletniego chłopca imieniem Murmi i czteroletnią Lasako, Małą Isako.

Trzecie sedoretu sprowadził do Udanu Suudi, mój dalszy brat, który poślubił kobietę z wioski Aster. Ich para poranka także pochodziła z gospodarstw Aster. W tym sedoretu było sześćoro dzieci. W Udanie mieszkała też z dwojgiem dzieci kuzynka, której sedoretu w Ekke się rozpadło.

Tak więc wciąż ktoś przychodził i wychodził, kogoś się rozbierało i ubierało, trzaskały drzwi, ktoś biegał, krzyczał, płakał, śmiał się i jadł. Tubdu pracowała na słonecznym kuchennym dziedzińcu i patrzyła na przelewającą się falę dzieci. „Niegrzeczne! – wołała. – Żadne z nich nigdy nie utonie!”. I trzęsa się od swojego milczącego śmiechu, który zmienił się w rzęzący kaszel.

Moja matka, która przecież była kiedyś mobilem Ekumeny i podróżowała z Terry na Hain i z Hain na O, bardzo chciała usłyszeć o moich badaniach.

– Co to jest to czertenienie? Jak to działa? Co się wtedy dzieje? Czy to ansibl dla materii?

– O to chodzi – odparłem. – Przeskok: natychmiastowe przemieszczenie z jednego punktu st-k do drugiego.

– Bez interwału?

– Bez interwału.

Isako zmarszczyła brwi.

– Coś tu jest nie tak. Wyjaśnij.

Zapomniałem, jak bezpośrednio potrafi być moja matka o łagodnym głosie. Zapomniałem, że jest intelektualistką. Dołożyłem wszelkich starań, żeby wyjaśnić niezrozumiałe.

– A więc tak naprawdę nie rozumiesz, jak to działa – rzekła w końcu.

– Nie. Nawet nie rozumiem, co się dzieje. Poza tym, że – z zasady – kiedy działa pole, myszy z budynku numer jeden natychmiast pojawiają się w budynku numer dwa, zadowolone, całe i zdrowe. Wewnątrz swojej klatki, jeśli pamiętaliśmy, żeby utrzymać klatkę wewnątrz powstającego pola czertenowego. Kiedyś o tym zapominaliśmy i wszędzie było pełno myszy.

– Co to są myszy? – zapytał chłopczyk poranka z trzeciego sedoretu, który zatrzymał się, żeby posłuchać czegoś, co brzmiało jak opowiadanie.

– Oj – powiedziałem ze śmiechem, zaskoczony. Zapomniałem, że w Udanie nie znają myszy, a szczury są zębatymi demonicznymi wrogami namalowanego kota. – Małe, ładne puszyste zwierzątka, które pochodzą ze świata babci Isako. Są przyjaciółmi naukowców. Podróżują po wszystkich znanych światach.

– W małych statkach kosmicznych? – zapytało dziecko z nadzieją.

– Głównie w dużych – odparłem.

Chłopczyk zaspokoił w ten sposób ciekawość i odszedł.

– Hideo, nie jesteś w jakimś związku? – zapytała matka w ten przerażający sposób, w jaki kobiety potrafią bez uprzedzenia przejść z jednego tematu na inny, ponieważ wszystkie one są jednocześnie obecne w ich umysłach.

Pokręciłem z uśmiechem głową.

– W żadnym?

– Przez kilka lat mieszkałem z mężczyzną z Alterry – powiedziałem. – To była dobra przyjaźń, ale on teraz jest mobilem. I... no, wiesz... różni ludzie tu i tam. Całkiem niedawno byłem w Ran'n z bardzo miłą kobietą ze wschodniego Oketu.

– Miałam nadzieję, że jeśli zamierzasz zostać mobilem, to może zawrzesz jednoparowe małżeństwo z innym mobilem. Tak jest chyba łatwiej.

Łatwiej niż co? – pomyślałem, znając jednak odpowiedź.

– Teraz wątpię, czy będę podróżował dalej niż Hain, matko. Ten cały czerten jest zbyt interesujący. Chcę się nim zajmować. A jeśli rzeczywiście opanujemy tę technologię, to podróż nie będzie problemem. Nie będzie potrzeby ponoszenia ofiary, jaką ty poniosłaś. Wszystko będzie inne. Niewyobrazalnie inne! Mogłabyś udać się na godzinę na Terrę i tu wrócić, a upłynęłaby tylko godzina.

Zastanowiła się nad tym.

– Jeśli więc to zrobicie, to... – powiedziała powoli, niemal drżąc od intensywności zrozumienia – to zmniejszycie galaktykę... wszechświat?... do... – Tu uniosła lewą dłoń z kciukiem i palcami stykającymi się w jednym punkcie.

Skinąłem głową.

– Jedna mila czy jeden rok świetlny to będzie to samo. Nie będzie żadnej odległości.

– To nie może być w porządku – rzekła po chwili. – Wydarzenie bez interwału... Gdzie jest taniec? Gdzie jest droga? Chyba nie będziecie mogli nad tym panować, Hideo. – Uśmiechnęła się. – Ale oczywiście musisz spróbować.

Potem rozmawialiśmy o tym, kto nazajutrz przyjdzie na tańce pod gołym niebem w Drehe. Nie powiedziałem matce, że zaprosiłem Tasi, tę miłą kobietę ze wschodniego Oketu, w tę podróż do Udanu i że ona nie przyjęła zaproszenia, że w gruncie rzeczy delikatnie poinformowała mnie, że według niej to dobry moment na rozstanie. Tasi była wysoka i miała ciemne włosy splecione w warkocz, nie szorstkie i lśniące czarne jak ja, tylko miękkie, delikatne jak cienie w lesie. Wydawało mi się, że jest typową kobietą ki'O. Moje wyznanie miłości ucięła umiejętnie i bez zawstydzania mnie.

– Sądzę jednak, że jesteś w kimś zakochany – rzekła. – Może w kimś na Hain. Może w tym mężczyźnie z Alterry, o którym mi mówiłeś?

Nie, odparłem. Nie, nigdy nie byłem zakochany. Nie byłem zdolny do intensywnego związku, teraz było to jasne. Za długo marzyłem o podróżowaniu po galaktyce bez niczego, co by mnie gdziekolwiek trzymało, a potem za długo pracowałem w laboratorium czertenu, poślubiony cholernej teorii, dla której nie potrafiliśmy znaleźć technologii. Nie było miejsca na miłość, nie było czasu.

Ale dlaczego chciałem przywieźć z sobą do domu Tasi?

Wysoka, lecz już nie szczupła, czterdziestoletnia, a nie dziewczyna, nietypowa, nieporównywalna, niepodobna do nikogo Isidri przywitała mnie cicho w drzwiach domu. Jakaś pilna sprawa w gospodarstwie nie pozwoliła jej przyjść do wioski i powitać mnie na stacji. Miała na sobie stary fartuch i legginsy jak jakaś robotnica polowa, a ciemne, zaczynające siwieć włosy splotła niedbale w warkocz. Kiedy tak stała w szerokich drzwiach z wypolerowanego drewna, była samym Udanem, ciałem i duszą tego trzydziestowiekowego gospodarstwa, jego ciągłością, życiem. W wyciągniętych do mnie rękach trzymała całe moje dzieciństwo.

– Witaj w domu, Hideo – powiedziała z uśmiechem promiennym jak letni blask na rzece.

– Wyprowadziłam dzieciaki z twojego dawnego pokoju. Pomyślałam, że zechciałbyś w nim mieszkać – prawda?

Znowu się uśmiechnęła, a ja poczułem jej ciepło, słoneczną hojność kobiety w kwiecie wieku, zamężnej, ustatkowanej, bogatej swoją pracą i osobowością. Nie potrzebowałem Tasi do obrony. Nie miałem się czego bać ze strony Isidri. Nie żywiła żadnej urazy, nie czuła skrępowania. Kochała mnie w młodości, kiedy była inną osobą. Byłoby całkowicie nieodpowiednie, gdybym czuł skrępowanie, wstyd albo cokolwiek oprócz dawnej czulej bliskości z lat, kiedy się razem bawiliśmy, pracowaliśmy, łowiliśmy ryby i marzyliśmy jako dzieci Udanu.

A zatem wtedy: rozgościłem się w moim dawnym pokoju pod dachówkami. Były tam nowe rdzawobrzazowe zasłony. Pod krzesłem w schowku znalazłem zabłąkaną zabawkę, jakbym w dzieciństwie zostawił tam moje rzeczy i teraz je odnalazł. W wieku czternastu lat, po uroczystości wstąpienia, wyryłem w sanktuarium na szerokiej ościeżnicy moje imię. Poszukałem go teraz wśród poplątanych wzorów, imion i symboli wrytych tam w ciągu wieków. Znajdowało się tam kilka nowości. Obok mojego, starannie wykonanego napisu „Hideo”, otoczonego moim ideogramem, oznaczającym chmurokwiat, jakieś młodsze dziecko wycięło rozwlekłe imię „Dohedri” i delikatny ideogram trzech dachów. Poczucie bycia bąbelkiem w rzece Udanu, chwilą w trwałości życia w tym domu na tej ziemi, na tym spokojnym świecie niemal mnie przygniotło, zaprzeczyło mojej tożsamości, ale jednocześnie dogłębnie mnie uspokoiło, bo ją potwierdziło. Podczas tej wizyty w domu sypiałem tak, jak nie spałem od wielu lat, utopiony w wodach snu i ciemności, a budziłem się w letnie poranki jak nowo narodzony i bardzo głodny.

Wszystkie dzieci miały jeszcze poniżej dwunastu lat i uczyły się w domu. Isidri, która uczyła je literatury i religii i planowała szkolne zajęcia, zaprosiła mnie, żebym opowiedział im o Hain, o podróżowaniu NAFAL-em, o fizyce temporalnej, o czymkolwiek chciałem. W gospodarstwach ki’O zawsze wykorzystuje się gości. Wujek wieczoru Hideo został ulubieńcem dzieciaków; zawsze chętnie zaprzęgał yamę do wózka albo zabierał maluchy na ryby w dużej łodzi, którą jeszcze nie umiały wiosłować, albo opowiadał o swoich magicznych myszach, które mogły znajdować się jednocześnie w dwóch miejscach. Zapytałem, czy babka wieczoru Isako opowiadała im o namalowanym kocie, który ożywał i zabijał szczurze demony...

– I lano miał zakfafiony cały pyscek! – zawołała Lasako z błyszczącym wzrokiem.

Ale nie znali opowieści o Urashimie.

– Dlaczego nie opowiedziałas im o rybaku znad Morza Wewnętrznego? – zapytałem matkę.

Uśmiechnęła się i odrzekła:

– Och, to była nasza opowieść. Zawsze chciałeś jej słuchać.

Zobaczyłem, że Isidri przygląda się nam spokojnie, ale czujnie. Wiedziałem, że rok wcześniej matka przeszła leczenie serca, i później, kiedy razem z Isidri nadzorowaliśmy starsze dzieci przy pracy, zapytałem ją:

– Jak myślisz, czy Isako odzyskała zdrowie?

– Od kiedy przyjechałeś, sprawia wrażenie, że wspaniale się czuje. Nie wiem. To uszkodzenia z jej dzieciństwa, spowodowane truciznami w terrańskiej biosferze. Podobno jej układ immunologiczny łatwo się osłabia. W chorobie była bardzo cierpliwa. Niemal zbyt cierpliwa.

– A Tubdu? Czy nie potrzebuje nowych płuc?

– Prawdopodobnie. Wszyscy czworo robią się coraz starsi i coraz bardziej uparci... Ale przyjrzyj się Isako. Powiedz, czy widzisz to, co ja.

Staralem się obserwować matkę. Po kilku dniach złożyłem Isidri raport, że wydaje się energiczna i stanowcza, a nawet władcza, i że nie zauważyłem za bardzo tej cierpliwej wytrzymałości, która martwiła Isidri. Roześmiała się.

– Isako powiedziała mi kiedyś, że matkę łączy z jej dzieckiem bardzo delikatny, cienki sznurek, jak pępowina, która bez trudu może się rozciągnąć na całe lata świetlne. Zapytałam ją, czy to boli, a ona odpowiedziała: „O, nie, on po prostu jest, rozciąga się i rozciąga, i nigdy nie pęka”. Wydaje mi się, że to musi boleć. Ale nie wiem. Nie mam dziecka i nigdy nie oddalałam się od moich matek dalej niż na dwa dni podróży. – Uśmiechnęła się i dodała swoim cichym, głębokim głosem: – Myślę, że Kocham Isako bardziej niż kogokolwiek innego, nawet bardziej niż moją matkę, bardziej niż Koneko...

A potem musiała pokazać jednemu z dzieci Suudiego, jak przeprogramować zegar na pulpicie irygacji. Była hydrologiem dla wioski i enologiem dla gospodarstwa. Jej życie było gęsto zaplanowane, pełne koniecznej pracy i rozległych związków – spokojny ciąg mijających jeden za drugim dni, pór roku, lat. Pływała w życiu tak, jak pływała w rzece, jak ryba, pewna siebie. Nie urodziła dziecka, lecz wszystkie dzieci gospodarstwa były jej dziećmi. Była tak mocno zżyta z Koneko, jak mocno były zżyte nasze matki. Jej związek z dość delikatnym, uczonym mężem sprawiał wrażenie spokojnego i pełnego szacunku. Sądziłem, że jego małżeństwo nocy z moim dawnym przyjacielem Sotą mogło stanowić silniejszą więź seksualną, ale Isidri wyraźnie podziwiała go i polegała na jego intelektualnym i duchowym wsparciu. Wydało mi się, że naucza niezbyt ciekawie i kłótniwie, ale co ja wiedziałem o religii? Nie praktykowałem jej od wielu lat i nawet w domowym sanktuarium czułem się obco, nie na miejscu. Czułem się obco, nie na miejscu w moim domu. Nie przyznawałem się do tego.

Ten miesiąc był przyjemny, spokojny, nawet nieco nudny. Moje uczucia były przytępione. Szaleńcza nostalgia, romantyczne pragnienie znalezienia się na skraju przeznaczenia – wszystko to zniknęło wraz z dwudziestojednoletnim Hideo. Mimo że teraz byłem najmłodszy z mojego pokolenia, byłem dorosłym mężczyzną pewnym swojej drogi, zadowolonym ze swojej pracy, niepozwalającym już sobie na emocjonalny brak umiaru. Napisałem w domowym albumie krótki wiersz o spokoju wynikającym z podążania wybraną drogą. Kiedy musiałem wyjeżdżać, objąłem i ucałowałem wszystkich domowników – dziesiątki miękkich albo szorstkich zetknięć policzków. Powiedziałem, że jeśli zostanę na O, bo wyglądało na to, że mógłbym zostać o to poproszony, to następnej zimy znowu złożę im wizytę. W pociągu jadącym przez wzgórza do Ran'n rozmyślałem z pełną zadowolenia powagą, jak to mógłbym wrócić do gospodarstwa następnej zimy i zastać ich wszystkich w takim samym stanie; i że gdybym wrócił za kolejnych osiemnaście albo nawet więcej lat, niektórych już nie będzie, a inni będą mi obcy, mimo to gospodarstwo zawsze będzie moim domem, to Udan, z rozłożystymi ciemnymi dachami, unoszące się w czasie jak statek z ciemnymi żaglami. Kiedy sam się okłamuję, zawsze budzi się we mnie poeta.

Wróciłem do Ran'n, zameldowałem się mojemu zespołowi w laboratorium w Sali Wieżowej i zjadłem z kolegami porządną kolację – przywiozłem im butelkę wina z Udanu, ponieważ Isidri robiła je znakomite i dała mi skrzynkę piętnastoletniego kedunu.

Porozmawialiśmy o najnowszym przełomie w technice czertenu, wysyłaniu przez ciągłe pole, o którym informacja przyszła z Anarres ledwie poprzedniego dnia przez ansibl. Poszedłem przez letnią noc do mojej kwatery w Nowym Czworoboku z głową pełną fizyki. Trochę poczytałem i położyłem się do łóżka. Zgasilem światło i ciemność wypełniła nie tylko pokój, ale i mnie. Gdzie się znajdowałem? Sam w pokoju wśród obcych. Tak jak było od dziesięciu lat i jak będzie zawsze. Na tej czy innej planecie, jakie to ma znaczenie? Sam, niestanowiący części niczego, niestanowiący części nikogo. Udan nie było moim domem. Nie miałem domu, rodziny. Nie miałem przyszłości, przeznaczenia – tak jak nie ma go kupka piany czy wir w rzece. Istnieje i nie istnieje. Nic więcej.

Zapaliłem światło, bo nie mogłem znieść ciemności, ale światło okazało się gorsze. Usiadłem na łóżku, skuliłem się i rozplakałem. Nie mogłem przestać. Przestraszyłem się, bo szloch mną wstrząsał i targał, aż zrobiło mi się niedobrze i słabo, a ja wciąż nie mogłem przestać płakać. Po dłuższym czasie stopniowo uspokoilem się, trzymając się myśli, dziecinnego pomysłu, że rano skontaktuję się z Isidri i porozmawiam z nią, powiem, że potrzebuję nauk religijnych, że znowu chcę praktykować w sanktuariach, ale minęło tyle czasu, a ja nigdy nie słuchałem Dyskusji, lecz teraz tego potrzebuję i że poproszę ją, Isidri, o pomoc. Tak więc trzymając się kurczowo tej wizji, mogłem wreszcie zatrzymać ten straszny szloch i leżeć wyczerpany do nadejścia świtu.

Nie skontaktowałem się z Isidri. W świetle dnia myśl, która ocaliła mnie przed ciemnością, wydała mi się niemądra. Doszedłem do wniosku, że jeśli się z nią skontaktuję, Isidri poprosi o radę męża, tego uczonego od religii. Wiedziałem jednak, że potrzebuję pomocy. Poszedłem do sanktuarium w Starej Szkole i odprawiłem ceremonię religijną. Poprosiłem o egzemplarz Pierwszych Dyskusji i przeczytałem je. Dołączyłem do grupy czytającej i omawiającej Dyskusje. Moja religia jest pozbawiona boga, argumentacyjna i mistyczna. Pierwszym słowem jej pierwszej modlitwy jest nazwa naszego świata. Jej nośnikami są dla istot ludzkich ludzki głos i umysł. Kiedy tak zacząłem ją odkrywać na nowo, stwierdziłem, że jest równie dziwna, jak teoria czertenu, a pod pewnymi względami ją uzupełnia. Wiedziałem, lecz nigdy tego nie rozumiałem, że ceteńskie fizyka i religia to aspekty jednej wiedzy. Zastanawiałem się, czy cała fizyka i religia to aspekty jednej wiedzy.

W nocy nigdy nie spałem dobrze, a często w ogóle nie mogłem zasnąć. Po zastawionych stołach Udanu kolegalne jedzenie wydawało mi się mierne; nie miałem apetytu. Lecz nasza praca, moja praca szła dobrze – cudownie dobrze.

– Koniec z myszami – powiedziała Gvonesz przez ansibl z Hain. – Człowieki.

– Jacy ludzie? – zapytałem.

– Ja – odparła Gvonesz.

Tak więc nasza dyrektor badań zaczerzeniła z jednego kąta laboratorium numer jeden do drugiego, a potem z budynku numer jeden do budynku numer dwa, znikając w jednym laboratorium i pojawiając się z uśmiechem w drugim w tym samym momencie, bez upływu czasu. „Jakie to było uczucie?” – oczywiście pytali, a Gvonesz oczywiście odpowiadała: „Żadne”.

Nastąpiło wiele eksperymentów; przez pół Ve i z powrotem czerteniły myszy i ghole; automatyczne załogi czerteniły z Anarres na Urras, z Hain na Ve, a potem z Anarres na Ve, dwadzieścia dwa lata świetlne. Tak więc w końcu na orbitę wokół nędznej planety, położonej siedemnaście lat świetlnych od Ve, zaczerzenił „Szobi” z dziesięcioosobową

załogą, która wróciła (lecz słowa sugerujące udawanie się i wracanie, sugerujące przebyta odległość nie są odpowiednie) tylko dzięki inteligentnemu wykorzystaniu zgrania, ratując się z jakby chaosu rozpadu od śmierci wywołanej nierzeczywistością, co przeraziło nas wszystkich. Eksperymenty z formami życia o wysokiej inteligencji zostały przerwane.

– Rytm jest zły – powiedziała Gvonesz przez ansibl (wymówiła to jako „rikty”).

Przez chwilę myślałem o tym, co powiedziała moja matka: „Wydarzenie bez interwału nie może być w porządku”. Co jeszcze mówiła Isako? Coś o tańczeniu. Nie chciałem jednak myśleć o Udanie. Nie myślałem o Udanie. Kiedy to robiłem, czułem w sobie o wiele głębiej, niż znajduje się szpik w kościach, że jestem nikim, nie ma mnie nigdzie, i zaczynałem się trząść jak przestraszone zwierzę. Moja religia zapewniała mnie, że stanowią część drogi, a moja fizyka rozpraszała moją rozpacz w pracy. Ostrożnie podjęte eksperymenty odniosły sukces ponad wszelkie nadzieje. Terranin Dalzul i jego psychofizyka zawojowali wszystkich w stacji badawczej na Ve; żałuję, że go nie poznałem. Tak jak przewidział, wykorzystując pole ciągłości, zaczertenił bez najmniejszego problemu, sam, najpierw miejscowo, potem z Ve na Hain, a potem zrobił wielki skok na Tadklę i z powrotem. Z drugiej podróży na Tadklę jego troje towarzyszy wróciło bez niego. Zginął na tym odległym świecie. Nam w laboratoriach nie wydawało się, by jego śmierć w jakikolwiek sposób spowodowało pole czertenu albo to, co było znane pod nazwą doświadczenia czertenu, chociaż jego troje towarzyszy nie miało takiej pewności.

– Może Dalzul miał rację. Po jednym ludziu naraz – powiedziała Gvonesz i znowu zrobiła z siebie podmiot, „zwierzę obrzędowe”, jak mówią Hainowie, następnego eksperymentu.

Posługując się technologią ciągłości, zaczerteniła dookoła Ve w czterech skokach, co zajęło jej trzydzieści dwie sekundy z powodu czasu potrzebnego do ustawienia współrzędnych. Zaczęliśmy nazywać nieinterwał w czasie/prawdziwy interwał w przestrzeni skokiem. To brzmiało lekko, banalnie. Naukowcy lubią banalizować. Chciałem wypróbować ulepszenie stabilności podwójnego pola, nad którym pracowałem od przybycia do Ran’n. Nadeszła pora przeprowadzenia testu; kończyła mi się cierpliwość, a życie było za krótkie, żeby bez końca bawić się liczbami.

– Skoczę do Portu Ve – powiedziałem do Gvonesz przez ansibl – a potem wrócę do Ran’n. Obiecałem, że tej zimy odwiedzę moje rodzinne gospodarstwo.

Naukowcy lubią banalizować.

– Wciąż masz tę zmarszczkę na swoim polu? Coś w rodzaju, no wiesz, zakładki? – zapytała Gvonesz.

– Została wygładzona, *ammar* – zapewniłem ją.

– Dobrze, świetnie – rzekła Gvonesz, która nigdy nie kwestionowała tego, co mówili inni. – Przybywaj.

A zatem wtedy: połączyliśmy pola ciągłego stabilnego czertenu z ansiblem; ja stałem w narysowanym kredą kręgu w Laboratorium Pola Czertenu w ośrodku Ran’n po południu późną jesienią i jednocześnie stałem w narysowanym kredą kręgu w Laboratorium Pola Stacji Badawczej Czertenu w Porcie Ve pod koniec lata w odległości 4,2 lat świetlnych i bez interwału w czasie.

– Nic nie czujesz? – zapytała Gvonesz, serdecznie potrząsając moją dłońią. – Dobry gość, dobry gość, witaj, *ammar*, Hideo. Dobrze widzieć. Żadnej zmarszczki, co?

Roześmiałem się z szoku i dziwności tego wszystkiego i podałem Gvonesz butelkę

udańskiego kedunu '49, którą wziąłem przed chwilą z laboratoryjnego stołu na O.

Spodziewałem się, że jeśli w ogóle przybędę na miejsce, to zacierzenie natychmiast z powrotem, ale Gvonesz i inni chcieli, żebym się trochę zatrzymał na Ve w celu przedyskutowania kilku spraw i przeprowadzenia testów pola. Teraz myślę, że zadziałała tu nadzwyczajna intuicja dyrektora; wciąż martwiła ją zmarszczka, zakładka w polu Tiokunan'na.

– Jest nieestetyczna – stwierdziła.

– Ale pole działa – powiedziałem.

– Zadziałało – zgodziła się.

Nie chciałem wracać na O, tyle że powinienem ponownie przebadac moje pole, żeby udowodnic jego niezawodność. Tutaj, na Ve, spałem trochę lepiej, chociaż jedzenie wciąż było dla mnie trudne do przełknięcia, a kiedy nie pracowałem, czułem się słaby i wycieńczony, co w niemiły sposób przypominało mi o wyczerpaniu po nocy, której usiłowałem nie pamiętać, kiedy z jakiegoś powodu tak bardzo płakałem. Lecz praca szła mi bardzo dobrze.

– Nie uprawiasz seksu, Hideo? – zapytała Gvonesz, kiedy pewnego dnia byliśmy sami w laboratorium; ja bawiłem się nowym zestawem obliczeń, a ona kończyła lunch z pudełka.

Pytanie to całkowicie mnie zaskoczyło. Wiedziałem, że nie było tak impertynenckie, jak zabrzmiało, bo Gvonesz szczególnie posługiwała się językiem. Lecz ona nigdy nie zadawała takich pytań. Jej własne życie seksualne stanowiło taką samą zagadkę jak reszta jej życia. Nikt nigdy nie słyszał tego słowa w jej ustach, nie mówiąc już o sugerowaniu samego aktu.

Kiedy tak siedziałem z otwartymi ustami, nie wiedząc, co powiedzieć, zauważyła, żując zimny varvet:

– Kiedyś uprawiałeś, ha!

Coś wyjąkałem. Wiedziałem, że nie proponuje mi seksu, lecz interesuje się moim samopoczuciem. Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć.

– Masz w swoim życiu jakąś zmarszczkę, ha. Przykro. Nie mój interes – rzekła.

Chcąc ją uspokoić, że się nie obraziłem, powiedziałem, jak mamy w zwyczaju na O:

– Szanuję twoje intencje.

Spojrzała prosto na mnie, co rzadko robiła. Oczy w jej długiej kościstej twarzy, zmiękzonej delikatnym, gęstym bezbarwnym puchem, były przejrzyste jak woda.

– Może czas, żebyś wrócił na O? – zapytała.

– Nie wiem. Tutejsze urzędnicy...

Skinęła głową. Zawsze przyjmowała to, co ktoś mówił.

– Czytałeś sprawozdanie Harravena? – zapytała, zmieniając temat równie szybko i zdecydowanie, jak moja matka.

Dobra, pomyślałem, wyzwanie zostało rzucone. Była gotowa na ponowny test mojego pola. Czemu nie? Przecież gdybym zechciał, a laboratorium było na to stać, mógłbym zacierzenie do Ran'n i z powrotem na Ve w ciągu minuty. Podobnie jak przekaz ansibla czarternienie zasadniczo czerpie z masy bezwładnościowej, lecz ustawienie pola, zdezynfekowanie go i utrzymanie w stałym natężeniu wymaga mnóstwa miejscowej energii. Ale to była propozycja Gvonesz, co znaczyło, że mamy pieniądze.

– Co powiesz na skok tam i z powrotem? – zapytałem.

– Świetnie – odparła. – Jutro.

Tak więc następnego dnia rano późną jesienią stałem w narysowanym kredą kręgu w Laboratorium Pola na Ve i stałem...

Migotanie, drzenie wszystkiego... zachwianie rytmu... skok...

...w ciemności. Po ciemku. Ciemny pokój. Moje laboratorium? Jakies laboratorium... znalazłem panel świetlny. Po ciemku byłem pewien, że to laboratorium na Ve. W świetle zobaczyłem, że się mylę. Nie wiedziałem, gdzie się znajduje to pomieszczenie. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Pokój wydawał mi się znajomy, ale nie potrafiłem go zidentyfikować. Co to było? Laboratorium biologiczne? Były jakieś okazy, stary mikroskop elektronowy z ideogramem wytwórcy na poobijanej mosiężnej obudowie, ideogramem liry... Byłem na O. W jakimś laboratorium w jakimś budynku ośrodka w Ran'n? Pachniało starymi budynkami w Ran'n, pachniało deszczową nocą na O. Ale jak mogłem nie przybyć w polu odbiorczym, w kręgu starannie narysowanym kredą na drewnianej podłodze laboratorium w Sali Wieżowej? Samo pole musiało się przesunąć. Przerazająca niemożliwa myśl.

Byłem zaniepokojony i nieco oszołomiony, jakby to moje ciało wypadło z rytmu, ale jeszcze się nie bałem. Nic mi nie było, wszystko znajdowało się na swoim miejscu, umysł działał. Drobne przesunięcie przestrzenne? – zasugerował umysł.

Wyszedłem na korytarz. Może to ja sam byłem zdezorientowany, wyszedłem z Laboratorium Pola Czertenu i pełną świadomość odzyskałem gdzie indziej? Ale byłaby tu moja ekipa... Gdzie więc oni są? I zdarzyłoby się to wiele godzin temu; kiedy przybyłem na O, powinno tam właśnie minąć południe. Drobne przesunięcie temporalne? – zasugerował znów umysł, pracując na pełnych obrotach. Ruszyłem korytarzem, szukając mojego laboratorium, i właśnie wtedy poczułem się jak we śnie, w którym nie można znaleźć pokoju, który trzeba znaleźć. Budynek był mi doskonale znajomy: to była Sala Wieżowa na pierwszym piętrze Wieży, ale nie było Laboratorium Czertenu. Znajdowały się tu tylko laboratoria biologii i biofizyki i wszystkie były opuszczone. Był ewidentnie późny wieczór. Nikogo w pobliżu. W końcu zauważyłem pasemko światła pod drzwiami, zastukałem, otworzyłem je i zobaczyłem studentkę czytającą z terminalu biblioteki.

– Przepraszam – odezwałem się. – Szukam Laboratorium Pola Czertenu...

– Pola czego?

Nigdy o nim nie słyszała i przeprosiła mnie.

– Nie jestem w Ti Phy, tylko w Bi Phy... – powiedziała z pokorą.

Ja też przeprosiłem. Coś sprawiało, że powoli wpadałem w panikę, a to potęgowało poczucie oszołomienia i dezorientacji. Czy to ten efekt chaosu, którego doświadczyła załoga „Szobiego” i może też „Galby”? Czy zacznę widzieć przez ściany gwiazdy albo odwrócę się i zobaczę tu, na O, Gvonesz?

Zapytałem studentkę o godzinę.

– Powinienem był się tu znaleźć w południe – powiedziałem, chociaż to oczywiście nic dla niej nie znaczyło.

– Jest około pierwszej – oświadczyła, zerknąwszy na zegar terminalu.

Też na niego spojrzałem. Podawał czas, dziesiątek dni, miesiąc, rok.

– Źle pokazuje – stwierdziłem.

Zrobiła zmartwioną minę.

– Tu jest błąd. Data się nie zgadza – powiedziałem.

Ale spokojne świecenie cyfr zegara, zmartwiony wyraz okrągłej twarzy dziewczyny,

bicie mego serca i zapach deszczu sprawiły, że zrozumiałem, że data jest dobra, że jest godzina po północy osiemnaście lat wcześniej, że znajduję się tutaj, teraz, następnego dnia po tym, który nazwałem „pewnego razu”, kiedy zacząłem opowiadać tę historię. Poważne przesunięcie temporalne – zasugerował umysł, pracując z wysiłkiem.

– Nie powinienem tu być – powiedziałem i odwróciłem się, żeby pognać z powrotem do laboratorium biologii numer sześć, które wydało mi się bezpieczną przystanią i które za osiemnaście lat będzie Laboratorium Pola Czertenu, jakbym mógł ponownie wejść w pole, które istniało albo będzie istnieć przez cztery tysięczne sekundy.

Dziewczyna zrozumiała, że coś jest nie tak, kazała mi usiąść i naląła mi do kubka gorącej herbaty ze swojej izolowanej butelki.

– Skąd jesteś? – zapytałem jak poważny student.

– Z gospodarstwa Herdud z wioski Deada z południowego wododziału Saduun – odparła.

– Ja jestem z dolnego biegu. Udan z Derdan’nad.

Nagle się rozplakałem. Udało mi się opanować, znowu ją przeprosiłem, wypilem herbatę i odstawiłem kubek. Moje łzy nie bardzo ją zdenerwowały. Studenci są emocjonalni, śmieją się i płaczą, załamują się i odzyskują równowagę. Zapytała, czy mam gdzie spędzić noc. Zupełnie trafnie. Powiedziałem, że mam, podziękowałem i wyszedłem.

Nie poszedłem do laboratorium biologicznego, lecz ruszyłem przez ogrody do kwatery w Nowym Czworoboku. Umysł wciąż pracował; uznał, że mieszkał tam/będzie tam mieszkał wtedy/teraz ktoś inny. Zawróciłem w stronę Czworoboku Sanktuarium, gdzie jako student mieszkałem przez ostatnie dwa lata, zanim przeniosłem się na Hain. Jeśli rzeczywiście to był, jak wskazywał zegar, wieczór po mojej wyprowadzce, to mój pokój wciąż mógł stać pusty i otwarty. Tak też było. Pokój wyglądał tak, jak go zostawiłem, z materacem bez pościeli i pełnym koszem na śmieci.

To był najbardziej przerażający moment. Długo wpatrywałem się w ten kosz, a potem wyjąłem z niego zmięty wydruk i starannie rozprostowałem go na biurku. To były równania temporalne nabazgrane na moim starym kieszonkekranie moim charakterem pisma, notatki z zajęć Sedharada z interwału z mojego ostatniego semestru w Ran’n z przedwczoraj osiemnaście lat temu. Teraz naprawdę cały się trząsnę. Utkwiłeś w polu chaosu – zasugerował umysł, a ja mu uwierzyłem. Strach i stres, i żadnej możliwości przeciwdziałania im, dopóki nie minie długa noc. Położyłem się na gołym materacu-pryczy, gotów na widok gwiazd przepalających ściany i moje powieki, gdybym je zamknął. Chciałem zaplanować, co powinienem zrobić rano, gdyby było jakieś rano. Natychmiast jednak zasnęłem i spałem jak kamień do białego dnia, kiedy obudziłem się na gołym materacu w znajomym pokoju, czujny, głodny i bez cienia wątpliwości, kim, gdzie albo kiedy jestem.

Na śniadanie zszedłem do wioski. Nie chciałem spotkać żadnego z kolegów – nie, studentów – którzy mogliby mnie znać i powiedzieć: „Hideo! Co tu robisz? Odleciałeś wczoraj na pokładzie »Tarasów Darrandy«!”. Nie miałem wielkiej nadziei, że mnie nie rozpoznają. Miałem teraz trzydzieści jeden, a nie dwadzieścia jeden lat, byłem o wiele szczuplejszy i nie tak wysportowany jak niegdyś, lecz moje półterrańskie rysy twarzy były bardzo charakterystyczne. Nie chciałem być rozpoznany, żebym nie musiał wyjaśniać. Chciałem się wydostać z Ran’n. Chciałem jechać do domu.

O jest dobrym światem do podróżowania w czasie. Nic się tam nie zmienia. Nasze pociągi całymi stuleciami jeżdżą według tego samego rozkładu jazdy do tych samych

miejsc. Co miesiąc podpisujemy formę płatności i uiszczamy potem należność zakontraktowanymi dobrami wymiennymi lub gotówką, więc nie musiałem posługiwać się tajemniczymi monetami z przyszłości. Złożyłem podpis na stacji i pojechałem porannym pociągiem do delty Saduun. Mały słoneczny pociąg sunął przez równiny i wzgórza południowego wododziału, a potem północno-zachodniego, podążając za coraz szerszą rzeką i zatrzymując się w każdej wiosce. Późnym popołudniem wysiadłem na stacji w Derdan'nad. Ponieważ była bardzo wczesna wiosna, stacja była błotnista, a nie zakurzona. Poszedłem drogą do Udanu. Otworzyłem bramę, którą poprawiłem kilka dni/osiemnaście lat temu. Poruszała się gładko na nowych zawiasach. To sprawiło mi drobną przyjemność. Wszystkie samice yam znajdowały się na pastwisku porodowym. Mogły się zacząć kocić lada dzień. Miały wydęte wełniste boki i poruszały się jak żaglówki na słabym wietrze, z pogardą i nieufnością odwracając w moją stronę eleganckie głowy. Nad wzgórzami wisiały deszczowe chmury. Przeszedłem przez Oro po drewnianym moście w kształcie łuku. W spokojnej wodzie przy brzegu stało kilka wielkich błękitnych ochidów. Zatrzymałem się, żeby im się przyjrzeć. Gdybym miał dzidę... Po niebie płynęły chmury, ciągnąc za sobą delikatną mżawkę. Szedłem dalej. Kiedy mojej twarzy dotykał chłodny deszcz, wydawała mi się rozpalona i sztywna. Szedłem nadrzeczną drogą i wkrótce ujrzałem dom, ciemne dachy rozłożone nisko na wzgórzu zwieńczonym drzewami. Minąłem ptaszarnię, kolektory i ośrodek irygacji, przeszedłem aleją wysokich nagich drzew, wszedłem po schodach głębokiego ganku i dotarłem do drzwi, do szerokich drzwi Udanu. Wszedłem do środka.

Korytarz przecinała Tubdu – nie kobieta, którą widziałem ostatnio, sześćdziesięcioletnia, siwa, zmęczona i delikatna, lecz Tubdu wielkiego chichrania, Tubdu czterdziestopięcioletnia, tęga, różowobrazowa i energiczna, która stawiała szybkie, krótkie kroki. Zatrzymała się, spojrzała na mnie najpierw bez zainteresowania – o, Hideo – potem ze zdziwieniem – czy to Hideo? – a wreszcie z zaskoczeniem – to nie może być Hideo!

– *Ombu* – odezwałem się, używając dzieciennego słowa na określenie innamatki – *ombu*, to ja, Hideo. Nie martw się, wszystko w porządku, wróciłem.

Objąłem ją i przycisnąłem policzek do jej policzka.

– Ale... ale... – Odsunęła mnie i podniosła wzrok na moją twarz. – Ale co się z tobą stało, najdroższy chłopcze?! – zawołała, a potem odwróciła się i krzyknęła wysokim głosem: – Isako! Isako!

Kiedy zobaczyła mnie moja matka, oczywiście pomyślała, że nie odleciałem statkiem na Hain, że zawiodła mnie odwaga albo zmieniłem zamiary, i w jej pierwszym uścisku kryła się mimowolna rezerwa, jakby powściągliwość. Czy odrzuciłem przeznaczenie, dla którego byłem gotowy odrzucić wszystko inne? Wiedziałem, co myśli. Przyłożyłem policzek do jej policzka i wyszeptalem:

– Poleciałem, matko, i wróciłem. Mam trzydzieści jeden lat. Wróciłem...

Odsunęła mnie trochę tak jak Tubdu i spojrzała na moją twarz.

– Och, Hideo! – powiedziała i przytuliła mnie z całej siły. – Mój kochany, mój kochany!

Obejmowaliśmy się w milczeniu, aż w końcu powiedziałem:

– Muszę się zobaczyć z Isidri.

Matka popatrzyła na mnie bacznie, ale o nic nie zapytała.

– Chyba jest w sanktuarium.

Zostawiłem je stojące obok siebie i pośpieszyłem przez kolejne sale do centralnego pomieszczenia, mieszczącego się w najstarszej części domu, odbudowanej przed siedmioma wiekami na fundamentach datujących się sprzed trzech tysięcy lat. Ściany są z kamienia i gliny, zakrzywiony dach z grubego szkła, dlatego jest tam zawsze chłodno i cicho. Pod ścianami stoją regały pełne książek, Dyskusji, dyskusji nad Dyskusjami, poezją, tekstami i różnymi wersjami Sztuk. Są tam bębenki i szeptpałeczki do medytacji i obrzędów. Małą błękitno-zieloną misę sadzawki, która stanowi samo sanktuarium i w której odbija się deszczowe niebo nad świetlikiem, wypełnia po brzegi woda spływająca glinianymi rurami. To tam zastałem Isidri. Przyniosła świeże gałęzie do wazonu i układała je na klęczkach.

Podszedłem prosto do niej i powiedziałem:

– Isidri, wróciłem. Posłuchaj...

Twarz miała całkowicie otwartą, zaskoczoną, przestraszoną, bezbronną; była to miękka, szczupła twarz dwudziestodwuletniej kobiety, wpatrzonej we mnie ciemnymi oczyma.

– Posłuchaj, Isidri... Udałem się na Hain, studiowałem tam, pracowałem nad nowym rodzajem fizyki temporalnej, nową teorią – przeskokiem – spędziłem tam dziesięć lat. Potem zaczęliśmy eksperymenty, byłem w Ran'n i przeniósłem się do Układu Hain bez upływu czasu, posługując się tą technologią, bez upływu czasu, rozumiesz, dosłownie, tak jak z ansiblem – nie z prędkością światła, nie szybciej od światła, ale bez upływu czasu. W jednym miejscu i natychmiastowo w innym miejscu, rozumiesz? I poszło dobrze, udało się, ale przy powrocie pojawiła się... pojawiła się w moim polu zakładka, zmarszczka. Znalazłem się w tym samym miejscu o innym czasie. Cofnąłem się o osiemnaście twoich lat, a o dziesięć moich. Wróciłem do dnia, w którym odszedłem, ale nie odszedłem, wróciłem, wróciłem do ciebie...

Trzymałem ją za rękę, klęcząc przed nią obok milczącej sadzawki. W ciszy badawczo przyglądała się mojej twarzy. Wysoko na policzku miała świeże zadrapanie i niewielki siniec; kiedy zbierała zimozielone gałęzie, smagnęła ją jedna z nich.

– Pozwól mi wrócić do siebie – szepnąłem.

Dotknęła dłonią mojej twarzy.

– Wyglądasz na bardzo zmęczonego, Hideo – powiedziała. – Hideo... dobrze się czujesz?

– Tak. O, tak. Czuję się dobrze.

I jeśli chodzi o jakiegokolwiek znaczenie dla Ekumeny albo dla badań przeskoku, moja opowieść tu się kończy. Od osiemnastu lat jestem gospodarzem Udanu w wiosce Derdan'nad, leżącej w pagórkowatym terenie północno-zachodniego wododziału rzeki Saduun na Oket, na planecie O. Mam pięćdziesiąt lat. Jestem mężem poranka drugiego sedoretu Udanu. Moją żoną jest Isidri. Związałem się małżeństwem nocy z Sotą z Drehe, którego żoną wieczoru jest moja siostra Koneko. Moje dzieci poranka z Isidri to Latubdu i Tadri. Dziećmi wieczoru są Murmi i Lasako. Lecz dla stabilów Ekumeny jest to mało interesujące.

Moja matka, która odebrała pewne wykształcenie w zakresie inżynierii temporalnej, poprosiła, bym opowiedział jej moją historię. Uważnie jej wysłuchała i przyjęła ją bez zastrzeżeń, tak jak Isidri. Większość domowników wybrała wersję prostszą i brzmiącą o wiele bardziej prawdopodobnie, która wszystko dobrze wyjaśniała, nawet moją dużą utratę wagi i moje postarzenie się o dziesięć lat z dnia na dzień. Mówili, że w ostatniej chwili, tuż przed odlotem statku kosmicznego Hideo jednak postanowił nie udawać się do

Szkół Ekumeny na Hain. Wrócił do Udanu, ponieważ był zakochany w Isidri. Lecz od tego bardzo się rozchorował, ponieważ była to bardzo trudna decyzja, a on był bardzo zakochany.

Może to jest rzeczywiście prawdziwa historia. Lecz Isidri i Isako wybrały dziwniejszą prawdę. Później, kiedy tworzyliśmy nasze sedoretu, zapytał mnie o tę prawdę Sota:

– Nie jesteś tym samym człowiekiem, Hideo, chociaż jesteś człowiekiem, którego zawsze kochałem – stwierdził.

Wyjaśniłem mu najlepiej, jak umiałem, dlaczego tak jest. Był pewien, że Koneko zrozumie to lepiej od niego. I rzeczywiście słuchała z powagą oraz zadała kilka przenikliwych pytań, na które nie umiałem odpowiedzieć.

Spróbowałem wysłać wiadomość do wydziału fizyki temporalnej Szkół Ekumeny na Hain, bo niedługo po moim przybyciu matka, która czuła się zobowiązana wobec Ekumeny, zaczęła nalegać, żebym to zrobił.

– Co ja im mogę powiedzieć, matko? – zapytałem. – Jeszcze nie wynaleźli teorii czertenu!

– Przepróż, że nie stawiłeś się na studia, jak zapowiadałeś. I wyjaśnij to dyrektor, tej kobiecie z Anarres. Może ona zrozumie.

– O czertenie nie wie jeszcze nawet Gvonesz. Zaczną jej o nim mówić przez ansibl z Urras i Anarres za jakieś trzy lata. Tak czy owak, przez pierwszych kilka lat mojego pobytu na Hain Gvonesz mnie nie znała.

Czas przeszły był nieunikniony, lecz idiotyczny. Należałoby raczej powiedzieć: „Nie pozna mnie przez pierwszych kilka lat, kiedy nie będę na Hain”. Ale może byłem teraz na Hain? Ta paradoksalna idea dwóch jednoczesnych istnień w dwóch światach niezmiernie mnie niepokoiła. To była jedna z tych spraw, o które pytała Koneko. Choćbym nie wiem jak to lekceważył jako niemożliwe według wszelkich praw temporalności, nie mogłem się powstrzymać od wyobrażania sobie, że to jest możliwe, że na Hain żyje inny ja, który za osiemnaście lat przybędzie do Udanu i natknie się na mnie. Przecież moje obecne istnienie było równie niemożliwe.

Kiedy dręczyły mnie i prześladowały takie myśli, nauczyłem się zastępować je innym obrazem: niedużymi wirami wodnymi, które prześlizgiwały się między dwoma głazami, gdzie prąd był silny, tuż nad zatoczką do pływania w Oro. Wyobrażałem sobie, że te wiry tworzą się i rozmywają, albo schodziłem do rzeki i przyglądałem się im. I wydawało mi się, że kiedy się tak bez końca rozmywają i tworzą, rozmywa się w nich mój problem. Lecz takie drobiazgi jak życie w niemożliwy sposób przeżywane dwa razy nie miały wpływu na poczucie obowiązku mojej matki.

– Powinieneś spróbować im powiedzieć – rzekła.

Miała rację. Jeżeli moje podwójne pole przeskoku utworzyło się na stałe, to miało rzeczywiste znaczenie dla nauki temporalnej, nie tylko dla mnie. Spróbowałem więc. Pożyczyłem oszałamiającą sumę w gotówce z rezerw gospodarstwa, pojechałem do Ran'n, kupiłem przekaz ekranowy przez ansibl wartości pięciu tysięcy słów i wysłałem wiadomość do mojej dyrektor studiów w Szkole Ekumeny, usiłując wyjaśnić, dlaczego po przyjęciu na uczelnię do niej nie przybyłem – jeżeli rzeczywiście nie przybyłem.

Rozumiem, że to właśnie była ta zmięta albo widmowa wiadomość, o której zinterpretowanie zostałem poproszony podczas pierwszego roku pobytu na Hain. Częściowo jest bezsensowna, a niektóre słowa prawdopodobnie pochodziły z tego drugiego,

niemal jednoczesnego przekazu, lecz znajdują się w niej fragmenty mojego imienia, a inne słowa mogą być urywkami czy odwróconymi wyrazami z mojej długiej wiadomości: problem, czerten, powrotem, przybyłem, czas.

Interesujące jest moim zdaniem to, że w ośrodku ansibla na określenie czasowo zaburzonego przekazu odbiorcy użyli słowa „zagnieciony”, podobnie jak Gvonesz użyje na określenie tej anomalii w moim czertenowym polu słowa „zmarszczka”. W rzeczywistości pole ansibla napotykało rezystancję rezonansową, spowodowaną dziesięcioletnią anomalią w polu czertenu, która w istocie zaginała wiadomość do wewnątrz, zgniatała ją, odwracając i wymazując. W tym punkcie, w ramach implikacji podwójnego pola Tiokunan’na, moje istnienie na O, kiedy wysyłałem wiadomość, było równoczesne z moim istnieniem na Hain, kiedy wiadomość została otrzymana. Byłem ja, który ją wysłał, i ja, który ją otrzymał. Ale ta wydzielona anomalia pola, ta symultaniczność była dosłownie punktem, momentem, skrzyżowaniem się bez dalszych konsekwencji czy to dla pola ansibla, czy czertenu.

Obrazem dla pola czertenu w tym wypadku mogłaby być rzeka, wijąca się po terenie zalewowym, meandrująca tak bardzo, że w końcu nurt przebija się przez podwójne brzegi koryta w kształcie litery S i biegnie prosto, pozostawiając cały obszar wodny z boku jako zakrzywione jezioro odcięte od rzeki. W tej analogii moja wiadomość wysłana przez ansibl stanowiłaby jedyne poza moją pamięcią połączenie między nurtem rzeki i jeziorem.

Myślę jednak, że prawdziwszym obrazem są wiry samego nurtu, pojawiające się wciąż od nowa... Te same? Albo nie te same?

Na początku mojego małżeństwa pracowałem nad matematycznym wyjaśnieniem tego zjawiska, póki jeszcze służyła mi moja znajomość fizyki. Zob. „Notatki wstępne na temat teorii interferencji rezonansowej w podwojonym polu ansibla i czertenu” dołączone do niniejszego dokumentu. Zdaję sobie sprawę, że to wyjaśnienie prawdopodobnie nie ma znaczenia, ponieważ na tym odcinku rzeki nie ma pola Tiokunan’na. Lecz niezależne badania z nieprzewidzianego kierunku mogą się okazać użyteczne. Jestem do nich przywiązany, ponieważ jest to mój ostatni kontakt z fizyką temporalną. Bardzo się interesuję badaniami nad czertenem, lecz moja główna praca jest związana z winnicami, melioracją, zajmowaniem się yamami, opieką i kształceniem dzieci, Dyskusjami i próbami nauczenia się łapania ryb gołymi rękami.

Pracując nad tym sprawozdaniem, upewniłem się w kategoriach matematyki i fizyki, że egzystencja, w której udałem się na Hain i zostałem fizykiem temporalnym specjalizującym się w przeskoku, została w gruncie rzeczy otoczona (objęta, wymazana) przez efekt czertenu. Lecz żadna teoria czy dowód nie mogły całkowicie rozwiązać mojego niepokoju, mojego strachu – który wzrósł po zawarciu przeze mnie małżeństwa i urodzeniu się moich kolejnych dzieci – że jeszcze nadejdzie punkt skrzyżowania. Mimo wszystkich moich wyobrażeń rzek i wirów nie mogłem udowodnić, że w momencie przeskoku to otoczenie nie może się odwrócić. Istniała możliwość, że w dniu, w którym zaczerteniałem z Ve do Ran’n, mógłbym zniweczyć, stracić, wymazać moje małżeństwo, nasze dzieci, całe moje życie w Udanie, zmiąć je jak kawałek papieru wrzucony do kosza. Nie mogłem znieść tej myśli.

W końcu powiedziałem o tym Isidri, przed którą zachowałem tylko jedną tajemnicę.
– Nie – odparła po długim namyśle. – Nie sądzę, by mogło się tak stać. Istniał przecież powód, dla którego tu wróciłeś, prawda?

– Ty – odparłem.

Cudownie się uśmiechnęła.

– Tak – rzekła i po chwili dodała: – I Sota, i Koneko, i gospodarstwo... Ale nie byłoby powodu, dla którego miałbyś tam wrócić, prawda? – Mówiąc to, trzymała na rękę nasze śpiące niemowlę. Przyłożyła policzek do jedwabistej główki. – Może z wyjątkiem twojej tamtejszej pracy – powiedziała.

Spojrzała na mnie z lekką tęsknotą. Jej uczciwość wymagała równej uczciwości ode mnie.

– Czasami mi jej brakuje – przyznałem. – Wiem o tym. Nie wiedziałem natomiast, że brakowało mi ciebie. A to mnie zabijało. Umarłbym i nie wiedziałbym dlaczego, Isidri. W każdym razie to wszystko było złe – moja praca była zła.

– Jak to mogło być złe, skoro sprowadziło cię z powrotem? – zapytała i na to nie miałem już odpowiedzi.

Kiedy zaczęto publikować informacje o teorii czertenu, zamawiałem wszystko, co otrzymywała Centralna Biblioteka O, a zwłaszcza dzieła powstałe w Szkołach Ekumeny i na Ve. Ogólny postęp nauki był dokładnie taki, jak pamiętałem: szybki przez trzy lata, a potem powstrzymywany trudnymi zagadnieniami. Lecz nie było żadnych wzmianek o Tiokunan'nie Hideo, który prowadził badania w tej dziedzinie. Nikt nie pracował nad teorią ustabilizowanego podwójnego pola. W Ran'n nie utworzono placówki badawczej pola czertenu.

W końcu nadeszła zima moich odwiedzin w domu, a potem ten dzień. Przyznaję, że mimo braku jakiegokolwiek uzasadnienia to był niedobry dzień. Ogarniały mnie fale poczucia winy i mdłości. Cały się trząsałem na samą myśl o Udanie podczas tamtych odwiedzin, kiedy Isidri była żoną Hedrana, a ja byłem tylko gościem.

Hedran, szanowany wędrowny znawca Dyskusji, w gruncie rzeczy przybył kilka razy do wioski, żeby uczyć. Isidri zaproponowała, że zaprosi go, żeby zatrzymał się w Udanie. Zaprotestowałem przeciwko temu, mówiąc, że chociaż jest doskonałym nauczycielem, to ma w sobie coś, co mi się nie podoba. Isidri zerknęła na mnie z ukosa: Czy on jest zazdrosny? Stłumiła uśmiech. Kiedy opowiedziałem jej i mojej matce o moim „innym życiu”, jedyną rzeczą, która pominąłem, jedyną tajemnicą, którą zachowałem, była moja wizyta w Udanie. Nie chciałem mówić matce, że w „tamnym życiu” bardzo chorowała. Nie chciałem mówić Isidri, że w „tamnym życiu” Hedran był jej mężem wieczoru i że nie miała własnych dzieci. Może źle zrobiłem, ale wydawało mi się, że nie mam prawa o tym mówić.

Zatem Isidri nie mogła wiedzieć, że zalało mnie bardziej poczucie winy niż zazdrość. Zataiłem przed nią wiedzę. I pozbawiłem Hedrana życia z Isidri, najdroższą radością, życiem mojego życia.

Ale może je z nim dzieliłem? Nie wiedziałem. Nie wiem.

Ten dzień minął jak każdy inny, tyle że jedno z dzieci Suudiego spadło z drzewa i złamało rękę w łokciu.

– Przynajmniej wiemy, że nie utonie – powiedziała Tubdu, oddychając chrapliwie.

Potem nadeszła noc, którą spędziłem poprzednio w mojej kwaterze w Nowym Czworoboku i podczas której płakałem, nie wiedząc dlaczego. A niedługo potem dzień mojego powrotu, przeskoku do Ve z butelką wina Isidri dla Gvonesz. I w końcu wczoraj wszedłem w pole czertenu na Ve i wyszedłem z niego osiemnaście lat temu na O. Tak jak czasami mi się to zdarza, tę noc spędziłem w sanktuarium. Godziny mijały spokojnie;

pisalem, odprawilem obrzed, medytowalem i spallem. I obudzilem sie przy sadzawce milczacej wody.

A zatem teraz: mam nadzieje, ze stabilowie przyjma to sprawozdanie od gospodarza, o ktorym nigdy nie slyszeli, i ze inzynierowie przeskoku potraktuja je jako co najmniej przypis do ich eksperymentow. Oczywiscie trudno je zweryfikowac, jako ze jedynym dowodem na jego prawdziwosc jest moje slowo i moja inaczej prawie niewytlumaczalna wiedza na temat teorii czertenu. Gvonesz, ktora mnie nie zna, przekazuje wyrazy szacunku, wdziecznosci i nadziei, ze uszanuje moje intencje.

Ursula K.
LeGuin
Cztery drogi ku
przebaczeniu



Przełożył
Paweł Lipszyc

Zdrady

„Na planecie O nie było wojny od pięciu tysięcy lat – przeczytała – a na Gethen nigdy nie było wojny”. Przerwała lekturę, by pozwolić oczom odpocząć i dlatego, że usiłowała nauczyć się czytać powoli, a nie połykać słowa tak, jak Tikuli połykał jedzenie. Słowa „nigdy nie było wojny” jaśniały w jej umyśle na tle nieskończonego, ciemnego, miękkiego niedowierzania. Jak wyglądałby świat bez wojny? Byłby to świat rzeczywisty. Pokój był prawdziwym życiem, życiem pracy, nauki oraz wychowywania dzieci do pracy i nauki. Wojna, która pożerała pracę, naukę i dzieci, stanowiła zaprzeczenie rzeczywistości. Jednak mój lud potrafi jedynie zaprzeczać, pomyślała. Zrodzeni w mrocznym cieniu nadużywanej władzy, ustanawiamy pokój poza światem, nieosiągalne światło przewodnie. Umiemy tylko walczyć. Pokój, jaki jeden z nas potrafi zaprowadzić w naszym życiu, jest jedynie zaprzeczeniem faktu, że wojna trwa, jest cieniem cienia, podwojonym niedowierzaniem.

Kiedy cienie chmur przesunęły się po bagnach i stronicy książki otwartej na jej kolanach, westchnęła, zamknęła oczy i pomyślała: Jestem kłamczuchą. Potem otworzyła oczy i czytała dalej o innych światach, o odległych rzeczywistościach.

Śpiący Tikuli zwinął się wokół własnego ogona w słabym świetle słońca, westchnął, jak gdyby ją naśladował, i podrapał się w miejscu, gdzie gryzła go pchła. Gubu polował w trzcinach; nie widziała go, ale od czasu do czasu kita trzciny dygotała, a raz samica błotniaka wzbiła się w górę, gdacząc z oburzeniem.

Pochłonięta opisem dziwacznych stosunków społecznych Ithsh, zauważyła Wadę dopiero wtedy, gdy otwierał sobie bramę.

– Och, już jesteś – powiedziała zaskoczona i poczuła się nieprzygotowana, nieporadna i stara, jak zwykle w obecności młodych ludzi. Kiedy była sama, czuła się stara tylko w chwilach przemęczenia lub w chorobie. Możliwe, że życie w samotności mimo wszystko jej odpowiadało. – Wejdz – powiedziała, wstała, opuściła książkę, podniosła ją, po czym dotknęła rozplątującego się koka. – Wezmę tylko torbę i już mnie nie ma.

– Nie ma pośpiechu – powiedział cicho młody człowiek. – Eydid przyjdzie dopiero za jakiś czas.

Jakie to miłe: mówisz mi, że nie muszę się spieszyć, by wyjść z własnego domu, pomyślała Yoss, ale nic nie powiedziała, godząc się na nieznośny, uroczy egoizm młodych. Weszła do domu po torbę na zakupy, poprawiła kok, przewiązała go chustką i wyszła na mały ganek. Wada, który zdążył usiąść na krześle, zerwał się na równe nogi, kiedy wyszła. Był nieśmiałym chłopcem i według niej łagodniejszym z dwojga kochanków.

– Baw się dobrze – powiedziała z uśmiechem, wiedząc, że wprawia go w zakłopotanie. – Wrócę za parę godzin, przed zachodem słońca.

Zeszła do bramy i ruszyła drogą, którą przyszedł Wada, ku drewnianej grobli wijącej się przez bagna w stronę wsi.

Wiedziała, że nie spotka po drodze Eyid. Dziewczyna miała nadejść jedną ze ścieżek od północy; wyszła ze wsi w innym momencie i w innym kierunku niż Wada, żeby nikt nie zauważył, że dwoje młodych ludzi co tydzień znika na kilka godzin w tym samym czasie. Od trzech lat byli szaleńczo w sobie zakochani i już dawno zamieszkaliby razem, gdyby ojciec Wady i brat ojca Eyid nie pokłócili się o kawałek przydzielanej przez korporację ziemi. Doprowadziło to do waśni pomiędzy rodzinami, która jak dotąd nie przerodziła się w rozlew krwi, ale wykluczała małżeństwo z miłości. Ziemia była cenna, a obie rodziny, mimo ubóstwa, aspirowały do pozycji przywódczej we wsi. Nic nie mogło pogodzić zwaśnionych. Cała wieś włączyła się w spór. Eyid i Wada nie mieli dokąd pójść i nie potrafili zrobić nic, co pozwoliłoby im się utrzymać w mieście; nie mieli też krewnych w innej wiosce, którzy przyjęliby ich pod dach. Ich namiętność ugrzęzła w nienawiści starszych. Przed rokiem Yoss natknęła się na nich, kiedy leżeli objęci na zimnej ziemi na mokradłach. Wpadła na nich, tak jak kiedyś wpadła na parę młodych jelonków, które zastygły w bezruchu na trawiastym legowisku, gdzie zostawiła je łania. Ta para była równie przestraszona, piękna i bezbronna jak jelonki. Tak pokornie prosili ją, żeby „nikomu nie powiedziała”; cóż miała zrobić? Drżąc z zimna, przywierali do siebie jak dzieci; gołe nogi Eyid były oblepione błotem.

– Chodźcie do mnie – powiedziała surowo. – Na miłość boską! – Ruszyła, a oni nieśmiało podążyli za nią. – Wrócę mniej więcej za godzinę – powiedziała, wprowadziwszy ich do pokoju z alkową tuż obok komina. – Nie nanieście błota!

Za tym pierwszym razem krążyła wokół domu, na wypadek gdyby ktoś ich szukał. Teraz najczęściej szła do wsi, podczas gdy „jelonki” przeżywały w jej domu godzinę słodyczy.

Byli zbyt gapowaci, by podziękować jej w jakikolwiek sposób. Wada, zbieracz torfu, mógłby dostarczyć jej opału, nie ryzykując, że ktokolwiek nabierze podejrzeń, ale nigdy nie podarowali jej choćby kwiatka. Chociaż zawsze zostawiali łóżko schludnie pościelone, możliwe, że nie czuli wobec niej szczególnej wdzięczności. Bo niby dlaczego? Dawała im tylko to, co im się należało: łóżko, godzinę przyjemności, chwilę spokoju. Nie było ich winą ani jej zasługą, że nikt inny nie chciał im tego dać.

Tego dnia miała załatwić sprawunki w sklepie ze słodyczami należącym do wuja Eyid. Kiedy przybyła do wsi przed dwoma laty, ślubowała, że ograniczy dietę do jednej miski nieprzyprawionej kaszy i łyku czystej wody, ale bardzo szybko pożegnała się z tym postanowieniem. Od kaszy dostała biegunki, a woda z bagien nie nadawała się do picia. Jadła wszystkie świeże jarzyny, jakie mogła kupić lub wyhodować, piła wino, butelkowaną wodę lub soki owocowe z miasta i przechowywała duży zapas słodyczy – suszonych owoców, rodzynek, orzeszków w polewie karmelowej, a nawet ciastek wypiekanych przez matkę i ciotki Eyid, grubych krążków z wyciśniętą na wierzchu masą orzechową, tłustych, pozbawionych smaku, ale dziwnie sycących. Kupiła ich całą torbę, po czym zaczęła plotkować z ciotkami, niskimi kobietami o ciemnej skórze i rozbieganych oczach, które zeszłej nocy były na stypie po starym Uadzie i chciały o tym opowiedzieć.

– Ci ludzie... – Słowa te odnosiły się do rodziny Wady, a towarzyszyło im znaczące spojrzenie, wzruszenie ramion i szydery uśmiech. – Jak zwykle dali popis. Upili się, wywołali bójkę, a na koniec obrzygali całe mieszkanie. Chciwe, bezczelne łachmyty.

Kiedy Yoss stanęła przy stoisku, żeby kupić gazetę (kolejne ślubowanie złamane dawno temu; zamierzała czytać tylko *Arkamye* i uczyć się jej na pamięć), spotkała matkę Wady i usłyszała, że „ci ludzie”, rodzina Eyid, przechwalali się, wywołali bójkę i obrzygali całe

mieszkanie na stypie zeszłej nocy. Yoss nie ograniczyła się do słuchania, ale dopytywała się o szczegóły, wyciągała plotki od matki Wady i była tym zachwycona.

Jakaż ja byłam głupia, myślała, powoli ruszając po grobli w drogę powrotną do domu, jakaż byłam głupia, myśląc, że kiedykolwiek zdołam pić wodę i milczeć! Nigdy, przenigdy nie zdołam z niczego zrezygnować. Nigdy nie będę wolna, nigdy nie zasłużę na wolność. Nawet starość nie zmusi mnie do tego. Nawet strata Safnan.

„Stali na wprost Pięciu Armii. Wznosząc w górę miecz, Enar rzekł do Kamy: O, Panie, trzymam w dłoniach twoją śmierć! Na co Kamy odparł: Bracie, trzymasz własną śmierć”.

Tak czy inaczej, znała te strofy. Wszyscy je znali. Enar opuścił miecz, ponieważ był bohaterem, świętym i młodszym bratem Pana. Ja jednak nie zdołam wypuścić z dłoni mojej śmierci, będę ją hołubić, nienawidzić, jeść ją, pić, wsłuchiwać się w nią, zaproszę ją do łóżka, będę ją oplakiwać; wszystko, byle tylko jej nie wypuścić.

Wyrwała się z zamyślenia i zapatrzyła na bagna – w bezchmurne, przesłonięte mgiełką niebo odbijające się w odległym, krętym kanale, w złoto słońca na brunatnych trzcinach. Wiał łagodny wiatr zachodni, jakże rzadki tutaj. Doskonały dzień. Piękny świat, piękny świat! Miecz w mojej dłoni zwrócony przeciwko mnie. Czemu, o Panie, sprawiasz, że piękno nas zabija?

Z wysiłkiem ruszyła w dalszą drogę, mocniej naciągając chustkę na głowę szybkim, niezadowolonym szarpnięciem. Idąc w tym tempie, wkrótce upodobni się do Abberkama wędrującego po bagnach i krzyczącego na cały głos.

I nagle go spostrzegła; przywołała go myślami. Skradał się jak to on, jak gdyby nigdy nie dostrzegał niczego poza własnymi myślami, tłukł wielkim kosturem o drogę, jakby zabijał węża. Długie siwe włosy owiewały mu twarz. Nie krzyczał – krzyczał tylko nocą, a ostatnio dawno tego nie robił – ale mówił; widziała, jak porusza ustami. Nagle spostrzegł ją, zacisnął usta i zamknął się w sobie jak czujne dzikie zwierzę. Zbliżyli się do siebie na wąskiej ścieżce na grobli, jedyne postaci na tym pustkowiu trzciny, błota, wody i wiatru.

– Dobry wieczór, wodzu Abberkamie – powiedziała Yoss, kiedy dzieliło ich zaledwie kilka kroków. Ależ potężnym był mężczyzną; nigdy nie przestało jej zdumiewać, jaki był wysoki, barczysty i masywny. Jego śniada skóra była wciąż gładka jak u młodzieńca, ale głowę trzymał nisko pochyloną, włosy miał siwe i zmierzwiłone, wielki, haczykowaty nos i te nieufne, niewidzące oczy. Wymamrotał jakieś słowa powitania, ledwo zwalniając kroku.

Yoss była tego dnia w swawolnym nastroju; dość już miała własnych myśli, smutków i niedostatków. Zatrzymała się tak, że musiał albo stanąć, albo na nią wpaść, i powiedziała:

– Czy byłeś na stypie zeszłej nocy?

Spojrzał na nią z góry; czuła, jak koncentruje na niej wzrok, aż wreszcie spytał:

– Na stypie?

– Wczoraj w nocy pochowali starego Uada. Wszyscy mężczyźni się popili i to cud, że nie wybuchła wojna rodowa.

– Wojna rodowa? – powtórzył głębokim basem.

Możliwe, że nie potrafił się już skupić, ale Yoss czuła, że musi do niego dotrzeć.

– Między Dewisami a Kamannerami. Kłóć się o tę orną wyspę na północ od wsi. Tych dwoje biednych dzieci chce być razem, a ich ojcowie grożą, że je zabiją, jeśli tylko na siebie spojrzą. Cóż za idiotyzm! Dlaczego nie podzielić wyspy i nie pozwolą dzieciom się pobrać, żeby ich dzieci mogły objąć wyspę w posiadanie? Myślę, że wkrótce dojdzie do rozlewu

krwi.

– Do rozlewu krwi – ponownie powtórzył wódz jak półgłówek, a potem dodał powoli, tym swoim donośnym, głębokim głosem, który słyszała w nocy, zawodzący w agonii na bagnach: – Ci ludzie to sklepikarze. Mają dusze właścicieli. Nie będą zabijać, ale za nic w świecie się nie podzielą. Jeśli w grę wchodzi własność, nie popuszczą. Nigdy.

Znowu zobaczyła wzniesiony miecz.

– Ach – westchnęła i wzdrygnęła się. – A zatem dzieci muszą poczekać... aż starzy wymrą...

– Za późno.

Jego oczy spotkały się na krótką chwilę z oczami Yoss; potem odgarnął niecierpliwie włosy, warknął jakieś słowa pożegnania i ruszył dalej tak gwałtownie, że skuliła się, by go przepuścić. Oto jak chodzi wódz, myślała z goryczą, ruszając dalej. Idzie zamaszystym krokiem, zagarnia przestrzeń, mocno tupie w ziemię. A tak chodzi stara kobieta: drobi, drobi nogami.

Usłyszała dziwny odgłos za plecami – strzały, pomyślała, ponieważ miejskie nawyki wchodzą w krew – i odwróciła się gwałtownie. Abberkam stanął i zaniósł się kaszlem; jego potężna postać ugiwała się pod atakiem spazmów, które niemal zwały go z nóg. Yoss znała ten rodzaj kaszlu. Podobno Ekumeni mieli na to lekarstwo, ale opuściła miasto, zanim nadeszło. Zbliżyła się do Abberkama, a kiedy paroksyzmy minęły, a on nadal stał, zadyszany, z twarzą bladą jak płótno, powiedziała:

– To berlot. Wychodzisz z niego czy właśnie zachorowałeś?

Potrząsnął głową.

Yoss czekała.

Czekając, myślała: Co mnie obchodzi, czy on jest chory? Czy jego to obchodzi? Przyszedł tu po to, by umrzeć. Podczas zeszłej mrocznej zimy słyszałam, jak zawodzi na bagnach. Zawodził w agonii, zżerany przez wstyd, jak człowiek chory na raka, którego choroba strawiła doszczętnie, a który mimo to nie może umrzeć.

– Nic mi nie będzie – wychrypiał gniewnie, pragnąc jedynie, żeby zostawiła go w spokoju.

Skinęła głową i odeszła. Niech umrze. Jak mógłby chcieć żyć, wiedząc, że stracił władzę i honor, wiedząc, co zrobił? Okłamał, zdradził swoich zwolenników, sprzeniewierzył się. Polityk doskonały. Wielki wódz Abberkam, bohater ruchu wyzwolenczego, przywódca Partii Światowej, który zniszczył Partię Światową własną chciwością i szaleństwem.

Jeden jedyny raz obejrzała się za siebie. Szedł bardzo wolno albo stanął, nie była pewna. Ruszyła dalej, skręciła w prawo na rozwidleniu i zeszła na ścieżkę prowadzącą do jej domku.

Trzysta lat temu na miejscu tych mokradeł rozpościerała się żyzna dolina, jedna z pierwszych, które zostały nawodnione i oddane pod uprawę przez Korporację Rolniczo-Plantatorską, kiedy sprowadziła niewolników z Werel do kolonii Yeowe. Dolinę zbyt dobrze nawodniono i zbyt dobrze uprawiono; nawozy chemiczne i sole mineralne zawarte w glebie nagromadziły się w takim stopniu, że w końcu nic już nie rosło, a właściciele przenieśli się, by czerpać zyski gdzie indziej. Brzegi kanałów nawadniających osunęły się tu i tam, a wody rzeki wylały, gromadząc się w jeziora, wijąc się meandrami, powoli wypłukując ziemię do czysta. Trzciny rosły i rosły, rozległe pola trzciny chylących się nieco pod naporem wiatru, pod cieniami chmur i skrzydłami długonogich ptaków. Gdzieniedzie

na wysepce kamienistej ziemi pozostało kilku rolników dzierżawiących pola za połowę plonu, bezużytecznych ludzi na bezużytecznej ziemi. Wolność spustoszenia. Na całej połaci mokradła pozostały opuszczone domy.

Zgodnie z zaleceniem religii ludzie z Werel i Yeowe, w miarę jak się starzeli, zapadali w milczenie; kiedy ich dzieci podrastały, kiedy wypełnili obowiązki gospodarzy domów i obywateli, kiedy ich ciała słabły, a dusze rosły w siłę, porzucali dotychczasowe życie i z pustymi rękami udawali się na pustkowie. Nawet na plantacjach panowie zwracali wolność starym niewolnikom i pozwalali im udać się na pustkowie. Tu, na północy, wyzwolenicy z miast wyruszali na mokradła i wiodli żywot pustelników w opuszczonych domach. Teraz, po wyzwoleniu, przybywały nawet kobiety.

Niektóre domy były zrujnowane i każdy z twórców duszy mógł sobie rościć do nich prawa. Większość zabudowań, jak kryta gontem chata Yoss, stanowiła własność wieśniaków, którzy utrzymywali je i oddawali pustelnikom za darmo na zasadzie powinności religijnej, jako sposób wzbogacenia duszy. Yoss sprawiała przyjemność myśl, że była źródłem duchowego wzbogacenia dla właściciela chaty, chciwego człowieka, którego pozostałe rachunki z przeznaczeniem składały się chyba wyłącznie z długów. Yoss lubiła się czuć pożyteczna. Uważała to za kolejną oznakę swojej niemożności zaniechania świata, do czego wzywał ją Pan Kamy. „Nie jesteś już pożyteczna”, powiedział jej na sto sposobów, odkąd skończyła sześćdziesiąt lat, ale nie słuchała. Opuściła świat zgiełku i przybyła na bagna, lecz pozwoliła, by świat nadal paplał, plotkował, śpiewał i krzyczał w jej uszach. Nie chciała usłuchać niskiego głosu Pana.

Kiedy wróciła do domu, Eyid i Wada już wyszli; na bardzo starannie pościelonym łóżku spał lis Tikuli zwinięty wokół własnego ogona. Kot łaciaty Gubu skakał po domu, dopytując się o obiad. Yoss podniosła go, pogłaskała po jedwabistym, cętkowanym karku, a on szturchał ją pyszczkiem za uchem, wydając nieustanne pomruki wyrażające zadowolenie i sympatię. Potem go nakarmiła. Tikuli nie zwrócił na to uwagi, co było dziwne. Tikuli za dużo spał. Yoss usiadła na łóżku i podrapała go za sztywnymi rudymi uszami. Obudził się, ziewnął i spojrzał na nią łagodnymi, bursztynowymi oczami, poruszając czerwoną kitą.

– Nie jesteś głodny? – spytała. Zjem, żeby ci sprawić przyjemność, odparł Tikuli i dość sztywno zszedł z łóżka. – Och, Tikuli, ty się starzejesz – powiedziała i poczuła ukłucie miecza w sercu. Jej córka Safnan dała jej Tikulego, rudego szczeniaczka, kłębek łap i kity... jak dawno temu? Osiem lat. Dawno. Dla lisa to całe życie.

Dla Safnan to więcej niż życie. To więcej niż życie dla jej dzieci, a wnuków Yoss, Enkamma i Uye.

Jeżeli ja żyję, oni nie żyją, pomyślała jak zwykle Yoss; jeżeli oni żyją, ja jestem martwa. Udali się w podróż statkiem, który płynie jak światło; są przeniesieni do światła. Kiedy wrócą do życia, kiedy zejną z pokładu statku do świata o nazwie Hain, upłynie osiemdziesiąt lat od dnia ich odjazdu, a ja od dawna będę martwa; jestem martwa. Pozwól im żyć, Panie, słodki Panie, niech oni żyją, a ja będę martwa. Przyjechałam tu, by umrzeć dla nich. Nie mogę, nie mogę pozwolić, żeby oni umarli dla mnie.

Tikuli zimnym nosem dotknął jej dłoni. Jego bursztynowe oczy zasnuły się błękitną mgiełką. Yoss w milczeniu pogłaskała go po głowie i podrapała za uszami.

Zjadł kilka kęsów, żeby jej sprawić przyjemność, po czym wdrapał się z powrotem na łóżko. Yoss przygotowała sobie kolację – zupę i podgrzane ciastka – którą zjadła bez

apetytu. Zmyła trzy talerze, rozpała ogień i usiadła przy nim, próbując powoli czytać książkę, podczas gdy Tikuli spał na łóżku, a Gubu leżał przed kominkiem, wpatrywał się w ogień okrągłymi złotymi oczami i bardzo cicho pomrukiwał. Raz usiadł i wydał okrzyk wojenny „huuu!” w odpowiedzi na jakiś hałas, który usłyszał na bagnach. Przez chwilę skradał się po domu, w końcu znowu się usadowił, zapatrzył w ogień i zaczął mruczeć. Później, kiedy ogień zgasł i dom pogrążył się w ciemnościach bezgwiazdnej nocy, kot wszedł do Yoss i Tikulego na ciepłe łóżko, gdzie wcześniej młodzi kochankowie zaznali krótkiej rozkoszy.

W ciągu paru kolejnych dni, kiedy porządkowała mały ogródek warzywny przed zimą, przyłapała się na myślach o Abberkamie. Kiedy przybył po raz pierwszy, wśród wieśniaków zapanował nastrój podniecenia – Abberkam miał zamieszkać w domu należącym do ich wodza. Choć okryty niesławą, nadal był bardzo sławny. Obrany wodzem Heyend, jednego z głównych plemion Yeowe, osiągnął ważną pozycję w ostatnich latach wojny wyzwolenczej, kiedy przewodził potężnemu ruchowi na rzecz, jak to nazywał, wolności rasowej. Nawet niektórzy wieśniacy zaczęli się podpisywać pod głównym hasłem Partii Światowej: Na Yeowe nie miał mieszkać nikt poza rdzenną ludnością. Żadnych Werelianów, znieawidzonych kolonizatorów, panów i właścicieli. Wojna położyła kres niewolnictwu, a w ostatnich latach negocjacje dyplomatów ekumenalnych doprowadziły do końca władzy ekonomicznej Werel nad jej dawną planetą-koloniją. Panowie i właściciele, nawet ci, których rodziny żyły na Yeowe od wieków, powrócili do starego świata na Werel, planetę najbliższą słońca. Uciekli, a ich żołnierzy wygnano w ślad za nimi. Nigdy nie wolno im było wrócić, oświadczyła Partia Światowa. Nie mieli prawa powrotu ani jako handlarze, ani jako turyści; nigdy więcej nie będą zanieczyszczać duszy i ziemi Yeowe. To samo odnosiło się do każdego cudzoziemca, każdej obcej władzy. Obcy z Ekumeny pomogli mieszkańcom Yeowe wyzwolić się; teraz musieli odejść. Tutaj nie było dla nich miejsca.

– To nasz świat. To wolny świat. Tu wykujemy nasze dusze na podobieństwo Miecznika Kamy – powtarzał wielokrotnie Abberkam i właśnie wizerunek zakrzywionego miecza stał się symbolem Partii Światowej.

Popłynęła krew. Powstanie na Nadami dało początek trzydziestu latom – połowa życia Yoss – walk, rebelii, odwetów, a nawet po wyzwoleniu, po odejściu Werelianów, walki nie ustały. Młodzi ludzie zawsze byli gotowi zabić każdego, kogo wskazała starszyzna: siebie nawzajem, kobiety, starców, dzieci; toczyła się nieprzerwana wojna w imię pokoju, wolności, sprawiedliwości, Pana. Nowo wyzwolone plemiona walczyły o ziemię, wodzowie z miast walczyli o władzę. Yoss, która przez całe życie pracowała w stolicy jako nauczycielka, widziała, jak jej praca idzie na marne nie tylko podczas wojny wyzwolenczej, ale także po jej zakończeniu, kiedy miasto pogrążyło się w kolejnych wojnach między dzielnicami.

Należało przyznać, myślała, że Abberkam, chociaż wymachiwał mieczem Kamy, usiłował uniknąć wojny i częściowo mu się to udało. Wolał zdobywać władzę perswazją i metodami politycznymi, w czym był mistrzem. Prawie osiągnął sukces. Zakrzywiony miecz był wszędzie obecny, wystąpienia Abberkama ściągaly tłumy. **ABBERKAM I**

WOLNOŚĆ RASOWA! – głosiły olbrzymie transparenty rozciągnięte nad alejami miasta. Nikt nie wątpił, że wódz wygra pierwsze wolne wybory na Yeowe, że zostanie przewodniczącym Światowej Rady. Początkowo pojawiły się tylko pogłoski. Dezercje. Samobójstwo jego syna. Matka syna Abberkama oskarżała go o rozpustę i tarzanie się w luksusach. Pojawiły się dowody na to, że zdefraudował wielkie sumy pieniędzy, przekazane jego partii na pomoc rejonom zubożałym po wycofaniu się kapitału wereliańskiego. Ujawnienie tajnego planu zabójstwa wysłannika Ekumeny i obarczenia winą za to Demeye, starego przyjaciela i zwolennika Abberkama... To go zgubiło. Wódz mógł folgować sobie w przyjemnościach seksualnych, nadużywać władzy, bogacić się kosztem swoich poddanych i być za to podziwiany, ale wódz, który zdradzał towarzysza, nie mógł liczyć na przebaczenie. Na tym polegał kodeks niewolników, myślała Yoss.

Tłumy zwolenników Abberkama zwróciły się przeciwko niemu i przypuściły atak na starą rezydencję zarządcy APCY, którą zajął. Zwolennicy Ekumenów dołączyli do sił lojalnych wobec Abberkama, by go bronić i przywrócić porządek w stolicy. Po wielodniowych walkach ulicznych, w których poległy setki ludzi, a tysiące w zamieszkach na całym kontynencie, Abberkam się poddał. Ekumeni udzielili poparcia rządowi tymczasowemu, który ogłosił amnestię. Ich ludzie powiedli Abberkama splamionymi krwią, zbombardowanymi ulicami w całkowitym milczeniu. Ludzie patrzyli – ci, którzy dawniej mu ufali, darzyli szacunkiem, nienawidzili – patrzyli, jak przechodzi w milczeniu, ochraniający przez cudzoziemców, obcych, których próbował wygnać z tego świata.

Yoss przeczytała o tym w gazecie. Już od ponad roku mieszkała na bagnach. Dobrze mu tak, pomyślała, i na tym właściwie jej refleksja się zakończyła. Nie wiedziała, czy Ekumeni byli prawdziwymi sprzymierzeńcami, czy tylko nową grupą właścicieli w przebraniu, ale widok każdego z wodzów, który upadał, sprawiał jej przyjemność. Panowie z Werel, pyszniący się wodzowie plemienia czy wrzeszczący demagodzy, niech wszyscy posmakują brudu. Yoss najadła się dość ich brudu w swoim życiu.

Kiedy kilka miesięcy później ktoś powiedział jej we wsi, że Abberkam przybywa na mokradła jako pustelnik, twórca duszy, była zdziwiona i przez chwilę odczuwała wstyd, że brała jego słowa za cczą retorykę. Czyżby okazał się człowiekiem religijnym? Przez cały ten czas, kiedy tarzał się w luksusach, brał udział w orgiach, kradł, uczestniczył w machinacjach władzy, mordował, miał być religijny? Nie! Ponieważ stracił pieniądze i władzę, postanowił nadal rzucać się ludziom w oczy, robiąc przedstawienie z własnego ubóstwa i pobożności. Nie miał za grosz wstydu. Yoss była zdziwiona zaciekleścią własnego oburzenia. Kiedy po raz pierwszy go zobaczyła, zapragnęła splunąć na te duże, grubopalczaste stopy w sandałach, ponieważ tylko to u niego zobaczyła; nie chciała mu spojrzeć w twarz.

Jednak później, w zimie, usłyszała wycie na bagnach, które niosło się nocą na mroźnym wietrze. Tikuli i Gubu zastrzygli uszami, ale ten potworny głos ich nie przestraszył. To naprowadziło ją po chwili na myśl, że głos należał do człowieka. Ktoś krzyczał – pijany? szalony? – skowyczał i błagał tak, że pokonała przerażenie i wstała, żeby pospieszyć mu z pomocą; on jednak nie wzywał pomocy człowieka.

– Panie, mój Panie, Kamy! – krzyczał, a kiedy wyjrzała przez drzwi, zobaczyła go na grobli, cień na tle jasnych nocnych chmur. Chodził tam i z powrotem, targał się za włosy, krzyczał jak zwierzę, jak udręczona dusza.

Po tej nocy przestała go osądzać. Byli sobie równi. Przy kolejnym spotkaniu spojrzała

mu w twarz i przemówiła, zmuszając Abberkama, żeby się do niej odezwał.

Nie spotykali się często; żył w prawdziwym odosobnieniu. Nikt nie odwiedzał go na bagnach. Wieśniacy często wzbogacali swoje dusze, dając Yoss jedzenie, nadwyżki plonów, resztki, czasami, w święta, posiłek przyrządzony specjalnie dla niej, ale nigdy nie widziała, żeby ktokolwiek zanosił coś do domu Abberkama. Może składali mu dary, a on był zbyt dumny, żeby je przyjąć. Może bali się cokolwiek mu ofiarować.

Kopała grządkę nędzną łopatą z krótką rączką, którą dostała od Em Dewi, i myślała o Abberkamie, jego wyciu i kaszlu. Safnan o mały włos nie umarła na berlot w wieku czterech lat. Yoss słyszała ten upiorny kaszel tygodniami. Czy Abberkam, kiedy spotkała go wczoraj na grobli, szedł do wsi po lekarstwo? Czy doszedł tam, czy też zawrócił w pół drogi?

Otuliła się szalem, ponieważ wiatr znowu stał się zimny; nadciągała jesień. Wspięła się na groblę i na rozwidleniu dróg skręciła w prawo.

Drewniany dom Abberkama wznosił się na zbitej z pni tratwie zatopionej w torfowej wodzie mokradła. Takie domy były bardzo stare, liczyły sobie dwieście lub więcej lat i pochodziły z okresu, kiedy w dolinie rosły drzewa. Dom Abberkama, dawniej zagroda rolnicza, był znacznie większy niż chata Yoss. Chaotycznie zbudowane, mroczne domostwo miało źle naprawiony dach, niektóre okna zabite, a deski na werandzie, na którą weszła Yoss, poluzowane. Wypowiedziała jego imię, potem powtórzyła je głośniej. Wiatr zawodził w trzcinach. Zapukała, odczekała chwilę, pchnęła ciężkie drzwi. Wewnątrz panował mrok. Znajdowała się w jakimś korytarzu. Usłyszała Abberkama z sąsiedniego pokoju:

– Nigdy w głąb sztolni, wyjmij to, wyjmij – powiedział głębokim, ochryłym głosem i zaniósł się kaszlem.

Otworzyła drzwi. Przez minutę przyzwyczajając oczy do ciemności, zanim zobaczyła, gdzie się znajduje. Był to stary pokój od frontu. Okna zasłaniały okiennice, ogień wygasł. W pokoju był kredens, stół, kanapa, przy kominku stało łóżko. Zbite w kłęb koce zsunęły się na podłogę, a nagi Abberkam wił się na łóżku i majaczył w gorączce.

– O Boże! – wykrztusiła Yoss. Ta wielka, czarna, spocona pierś i brzuch porośnięty siwymi kłakami, te potężne ramiona i chwytnie dłonie. Jak miała się do niego zbliżyć?

A jednak jej się udało. Stawała się coraz mniej nieśmiała, widząc, że jest osłabiony gorączką, lecz umysł miał jasny i posłusznie wypełniał jej polecenia. Przykryła go wszystkimi kocami z podłogi, na które położyła jeszcze dywanik z niewykorzystywanego pokoju; rozpałała możliwie największy ogień i wkrótce Abberkam zaczął się pocić. Pot lał się z niego strugami, wsiąkając w prześcieradła i materac.

– Nie znasz umiaru – łajała go późno w nocy; popychała go i ciągnęła, zmuszając do położenia się na zdezelowanej kanapie. Leżał tam, owinięty w dywanik, podczas gdy Yoss suszyła pościel przy kominku. Abberkam dygotał i kaszlał, a Yoss zaparzyła zioła, które przyniosła, i wypila gorący wywar razem z chorym. Nagle Abberkam zasnął. Spał kamiennym snem, nie zbudził go nawet kaszel. Yoss równie nagle zapadła w sen i zbudziła się na gołej kamiennej podłodze przed kominkiem, w którym wygasł ogień. Dzień bielił się za oknami.

Abberkam leżał jak góra pod dywanikiem, na którym Yoss dopiero teraz zauważyła brud. Wódz oddech miał świszczący, ale głęboki i regularny. Wstała z trudem, cała obolała, rozpałała ogień, rozgrzała się, zaparzyła zioła, a potem zbadała zawartość

spizarni. Znalazła w niej podstawowe artykuły; najwyraźniej wódz zamówił dostawy z Veo, najbliższego miasta. Zrobiła sobie dobre śniadanie, a kiedy Abberkam się zbudził, ponownie zmusiła go do wypicia ziół. Gorączka ustąpiła. Według Yoss obecnie zagrożenie stanowiła woda w płucach; ostrzegano ją przed tym podczas choroby Safnan, a tu miała do czynienia z człowiekiem sześćdziesięcioletnim. Gdyby przestał kaszleć, byłaby to groźna oznaka. Zmusiła Abberkama, żeby usiadł.

– Kaszł – powiedziała.

– Boli – warknął.

– Musisz – rozkazała, a on zakaszłał, hak-hak.

– Jeszcze! – krzyknęła.

Rozkaszłał się tak, że całym jego ciałem wstrząsnęły spazmy.

– Dobrze – powiedziała. – A teraz śpij.

Zasnął.

Tikuli i Gubu umierają z głodu! Pomknęła do domu, nakarmiła zwierzęta, pogłaskała je, przebrała się w czystą bieliznę i na pół godziny usiadła we własnym krześle, przed własnym kominkiem, a Gubu mruczał jej nad uchem. Potem wróciła przez mokradła do domu wodza.

Przed zapadnięciem zmroku wysuszyła posłanie Abberkama i zaprowadziła go na nie. Została przy nim na noc, ale rano odeszła, mówiąc:

– Wrócę wieczorem.

Milczał, nadal bardzo chory, obojętny na to, co się działo z nim czy z nią.

Następnego dnia najwyraźniej poczuł się lepiej. Kaszel miał flegmisty, gwałtowny, dobry kaszel; Yoss dobrze pamiętała, kiedy Safnan zaczęła wreszcie dobrze kaszleć. Co pewien czas wódz odzyskiwał pełną przytomność, a kiedy przyniosła mu butelkę, która miała służyć za naczynie nocne, wziął ją od Yoss i odwrócił się, żeby załatwić potrzebę fizjologiczną. Skromność, dobra cecha jak na wodza, pomyślała. Była zadowolona z siebie i z niego. Okazała się użyteczna.

– Zostawię cię dziś w nocy. Nie pozwól, żeby koce się zsunęły. Wrócę rano – oświadczyła, zadowolona z siebie, z własnego zdecydowania i stanowczości.

Gdy wróciła do domu w ten jasny, zimny wieczór, Tikuli leżał zwinięty w kłębek w rogu pokoju, w którym nigdy się nie kładł. Nie chciał jeść, a kiedy próbowała go przenieść, pogłaskać, skłonić do zaśnięcia na łóżku, odczołgał się z powrotem do swego kąta. Daj mi spokój, powiedział, odwrócił od niej wzrok i wtulił suchy, czarny, ostry nos w zakrzywienie przedniej łapy. Daj mi spokój, powtórzył cierpliwie, pozwól mi umrzeć, to właśnie teraz robię.

Zasnęła, ponieważ była bardzo zmęczona. Gubu został na mokradłach przez całą noc. Rankiem Tikuli nadal leżał zwinięty na podłodze, w miejscu, w którym nigdy wcześniej się nie kładł, i czekał.

– Muszę iść – powiedziała Yoss. – Niedługo wrócę, bardzo niedługo. Czekaj na mnie, Tikuli.

Nie odpowiedział, tylko odwrócił od niej pociemniałe, bursztynowe oczy. Nie na Yoss czekał.

Ruszyła szybkim krokiem przez mokradła; miała suche oczy, czuła gniew, czuła się bezużyteczna. Stan Abberkama nie uległ wyraźnej zmianie. Nakarmiła go kleikiem, oporządziła i powiedziała:

– Nie mogę zostać. Moje zwierzątko jest chore. Muszę wracać.

– Zwierzątko – powtórzył potężny mężczyzna basem.

– Lisek. Dostałam go od córki.

Dlaczego się tłumaczyła, usprawiedliwiała? Wyszła. Po powrocie do domu zastała Tikulego w tym samym miejscu, w którym go zostawiła. Zajęła się cerowaniem, przygotowała posiłek, który, jak miała nadzieję, mógłby zjeść Abberkam. Potem spróbowała czytać książkę o światach Ekumenów, o świecie bez wojen, gdzie zawsze panowała zima, a ludźmi byli zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Po południu przyszło jej na myśl, że powinna wrócić do Abberkama, i właśnie wstawała, kiedy Tikuli się podniósł. Podeszedł do niej bardzo powoli. Ponownie usiadła na krześle i schyliła się, żeby go wziąć na rękę, ale Tikuli wetknął ostry pyszczek w jej dłoń, westchnął i położył się z głową na łapach. Znowu westchnął.

Yoss rozplakała się, chociaż nie na długo; potem wstała, wzięła łopatę i wyszła z domu. Wykopała grób za załomem kamiennego komina, na słonecznej polance. Kiedy wróciła do domu i podniosła Tikulego, pomyślała z przerażeniem: „On nie umarł!”. A jednak nie żył, tyle że jeszcze nie ostygł; gęsta ruda sierść utrzymywała ciepłotę ciała. Owinęła go w niebieską chustę, wzięła na rękę i zaniósła do grobu, czując, jak słabe ciepło wciąż emanuje przez materiał; lekkie, sztywne ciało przypominało drewniany posążek. Zasypała grób i położyła na nim kamień, który odpadł z komina. Nie przychodziły jej na myśl żadne słowa, jednak w umyśle uformował się obraz na podobieństwo modlitwy: Tikuli biegnący gdzieś w pełnym słońcu.

Wystawiła na werandę jedzenie dla Gubu, który przez cały dzień trzymał się z dala od domu, po czym ruszyła drogą po grobli. Był cichy, pochmurny wieczór. Wśród szarych trzciny lśniły ołowianym blaskiem jeziora.

Abberkam siedział na łóżku. Z pewnością miał się lepiej; może lekka gorączka pozostała, ale nie było to nic poważnego. Był głodny – dobry znak. Kiedy podała mu tacę, zapytał:

– Czy zwierzątko wyzdrowiało?

– Nie – odparła i odwróciła głowę. Dopiero po minucie dodała: – Nie żyje.

– Jest w rękach Pana – powiedział ochrypłym, głębokim głosem, a Yoss ponownie ujrzała Tikulego w słońcu, w czyjejs obecności, pełnej dobroci jak samo słońce.

– Tak – odparła. – Dziękuję.

Usta jej drżały, poczuła dławienie w gardle. Wciąż miała przed oczami nadruk na niebieskiej chuście: liście w ciemniejszym odcieniu niebieskiego. Zaczęła się krzątać po pokoju. Wreszcie wróciła, żeby podsyć ogień, i usiadła przed kominkiem. Czowała się bardzo zmęczona.

– Zanim Pan Kamye chwycił za miecz, był pasterzem – powiedział Abberkam. – Nazywali go Panem zwierzyny i Pasterzem jeleni, ponieważ kiedy zagłębiał się w las, wędrował razem z jeleniami, a lwy również przyłączały się do stada, nie krzywdząc innych zwierząt. Żaden jeleni nie odczuwał strachu.

Mówił cicho; dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że cytował strofy z *Arkamye*.

Dołożyła kolejną kostkę torfu do ognia i wróciła na miejsce.

– Skąd pochodzisz, wodzu Abberkamie?

– Z plantacji Gebba.

– Na wschodzie?

Skinał głowę.

– Jak tam było?

Ogień kocił gryzącym dymem. Wszystko spowijała głęboka cisza nocy. Kiedy Yoss po raz pierwszy przybyła tu z miasta, cisza budziła ją noc w noc.

– Jak tam było? – powtórzył niemal szeptem. Podobnie jak u większości ludzi ich rasy, ciemne tęczęwki wypełniały oczy Abberkama, ale kiedy na nią zerknął, zobaczyła błysk białek. – Sześćdziesiąt lat temu – mówił – mieszkaliśmy na plantacji. Niektórzy z nas pracowali w gaju bambusowym, ścinali bambusy, pracowali w młynie. Tym zajmowała się większość kobiet i małych dzieci. Większość mężczyzn i chłopcy powyżej dziewiątego roku życia zjeżdżali do kopalni. Pracowało tam też trochę dziewczynek; chcieli, żeby były małe, bo mogły się dostawać do szybów niedostępnych dla mężczyzn. Byłem duży, więc posłali mnie do kopalni, kiedy miałem osiem lat.

– Jak było pod ziemią?

– Ciemno – odparł, a Yoss znowu spostrzegła błysk jego oczu. – Oglądam się za siebie i zastanawiam się, jak żyliśmy. Powietrze w kopalni było tak gęste od kurzu, że miało czarny kolor. Czarne powietrze. Światło lampy nie sięgało dalej niż na dwa kroki. Na większości wyrobisk woda sięgała do kolan. W jednym z szybów przodek węgla koksującego stanął w ogniu i wszystkie korytarze wypełniły się dymem, ale pracy nie zaprzestano, żeby nie zmarnować pokładów. Nosiliśmy maski i filtry, lecz niewiele pomagały. Wdychaliśmy dym. Zawsze mam trochę świszczący oddech, tak jak teraz, nie tylko z powodu berlotu. Winien jest ten dym. Ludzie marli na pylicę. Czterdziestolatekowie padali jak muchy. Kiedy umierał człowiek, panowie dawali plemieniu pieniądze, premię za śmierć. Niektórzy umierający uważali, że to warte tych pieniędzy.

– W jaki sposób się stamtąd wydostałeś?

– Dzięki matce. Była córką wójta. Nauczyła mnie religii i wolności.

Wspominał o tym już wcześniej, pomyślała Yoss. To zdanie stało się jego dyżurną odpowiedzią, standardowym mitem.

– Jak? Co ci powiedziała?

– Nauczyła mnie Świętego Słowa – odparł Abberkam po chwili milczenia. – Powiedziała: „Ty i twój brat jesteście prawdziwym narodem, narodem Pana, jego sługami, wojownikami, lwami, tylko wy. Pan Kamye przybył razem z nami ze Starego Świata i teraz jest nasz, żyje wśród nas”. Nazwała nas Abberkam, Język Pana, i Domerkam, Ramię Pana. Abyśmy mówili prawdę i walczyli o wolność.

– Co się stało z twoim bratem? – spytała po chwili Yoss.

– Zginął w Nadami – odparł Abberkam i ponownie oboje zamilkli na pewien czas.

Nadami stanowiło pierwsze zarzewie powstania, które ostatecznie przyniosło wyzwolenie Yeowe. Na plantacji Nadami niewolnicy i wyzwolenicy z miasta po raz pierwszy walczyli ramię w ramię z właścicielami. Gdyby niewolnicy zdołali zewrzeć szeregi przeciwko właścicielom i korporacjom, wywalczyliby sobie wolność już wiele lat wcześniej. Jednak ruch wyzwoleniczy stale rozdzielały rywalizacje wewnątrzplemienne, wodzowie ubiegali się o władzę na świeżo oswojonych terytoriach, targowali się z panami, by powiększyć własne zyski. Dopiero po trzydziestu latach wojny i zniszczeń dziesiątkowani Werelianie zostali pokonani i wygnani z planety, a mieszkańcy Yeowe mogli zwrócić się przeciwko sobie.

– Twój brat miał szczęście – stwierdziła Yoss.

Zerknęła na wodza, ciekawa, jak przyjmie tę zaczepkę. Jego duża, śniada twarz nabrała

łagodnego wyrazu w blasku ognia. Siwe, szorstkie włosy wymknęły się z luźnego warkocza, który zaplotła Yoss, by nie wpadały mu w oczy.

– Był moim młodszym bratem – powiedział powoli i cicho. – Był Enarem na Polu Pięciu Armii.

Ach, więc ty jesteś samym Panem Kamye? – odparła w myślach Yoss, poruszona, oburzona, cyniczna. Cóż za pycha!

Jednak ze słów Abberkama wypływał także inny wniosek. Enar chwycił za miecz, bo chciał zabić swego starszego brata na polu bitwy i nie dopuścić, by został panem świata. Kamye powiedział mu, że miecz, który trzymał Enar, był jego własną śmiercią; że władzy i wolności nie znajduje się w życiu, tylko w rezygnacji z życia, z tęsknot i pragnień. Enar odłożył miecz i odszedł na pustynię, w ciszę, ze słowami: „Bracie, jestem tobą”. Kamye chwycił za ten miecz, by walczyć z armiami zniszczenia, chociaż wiedział, że zwycięstwo jest niemożliwe.

Kim więc był ten człowiek, ten zwalisty mężczyzna, chory starzec, mały chłopiec w ciemnej kopalni, ten tyran, złodziej, kłamca, który przemawiał w imieniu Pana?

– Za dużo mówimy – powiedziała Yoss, chociaż żadne z nich nie wypowiedziało słowa od wielu minut. Nalała mu herbaty i odstawiła czajnik na ogień, by utrzymywać odpowiednią wilgotność powietrza. Podniosła szal. Abberkam obserwował ją z tym samym łagodnym wyrazem twarzy, a w jego oczach kryło się zmieszanie.

– Walczyłem o wolność – powiedział. – Naszą wolność.

Sumienie Abberkama nic jej nie obchodziło.

– Trzymaj się ciepło – powiedziała.

– Wychodzisz?

– Nie mogę zabłądzić na grobli.

To był dziwny spacer, ponieważ nie miała lampy, a noc była czarna jak smoła. Wyszukując po omacku drogę na grobli, Yoss myślała o czarnym powietrzu w kopalni, o którym opowiadał jej Abberkam, o powietrzu, które połykało światło. Myślała o czarnym, ciężkim cieple Abberkama. Myślała o tym, jak rzadko chodziła samotnie nocą. Na plantacji Banni, gdzie spędziła dzieciństwo, niewolników zamykano na noc. Kobiety zostawały w części osady przeznaczonej dla kobiet i nigdy nie chodziły samotnie. Przed wojną, kiedy przybyła do miasta jako wyzwolona kobieta, by uczyć się w szkole dla instruktorów, poznała smak wolności, ale w ciężkich latach wojny, a nawet po wyzwoleniu, kobieta nie mogła chodzić bezpiecznie po ulicach. W dzielnicach robotniczych nie było policji ani latarni; szefowie poszczególnych gangów posyłali swoich ludzi, by plądrowali miasto. Nawet w dzień należało mieć się na baczności, trzymać się w tłumie, zawsze zostawiać sobie drogę ucieczki.

Zaczęła się niepokoić, że przeoczy skręt, ale zanim do niego dotarła, oczy przyzwyczyły się do ciemności, a w bezkształtnej masie trzcin dostrzegała nawet zarys swego domu. Słyszała, że obcy słabo widzą w nocy. Mieli małe oczy, małe kropki w białej obwódce, jak u przestraszonego cielaka. Yoss nie podobały się ich oczy, za to podobał się jej kolor skóry obcych, zazwyczaj brązowej lub rumianobrązowej, cieplejszej niż szarobrązowa skóra niewolników czy niebieskoczarna Abberkama, odziedziczona po właścicielu, który zgwałcił jego matkę. Cyjanitowa cera, mówili grzecznie obcy, i adaptacja oczna do spektrum promieniowania słońca układu wereliańskiego.

Kiedy Yoss schodziła ścieżką do domu, Gubu tańczył w milczeniu wokół niej i łaskotał ją

w nogi ogonem.

– Uważaj, bo na ciebie nadepnę – zbesztła go. Z uczuciem wdzięczności do kota podniosła go, kiedy tylko weszli do środka.

Tej nocy nie mogła liczyć na pełne godności, radosne powitanie Tikulego; nigdy więcej. Mru, mru, mru, dopominał się Gubu, posłuchaj, jestem tutaj, życie toczy się dalej, co z kolacją?

Wódz dostał jednak zapalenia płuc, więc Yoss poszła do wsi, żeby zatelefonować do kliniki w Veo. Przysłali lekarza, który oświadczył, że Abberkam się wyliże, niech tylko siedzi i kaszle, wywary z ziół na pewno pomogą, niech pani ma na niego oko, dziękuję bardzo, i odszedł. Yoss zaczęła więc spędzać popołudnia przy łóżku wodza. Dom bez Tikulego wydawał się bardzo ponury, późnojesienne dni straszyły chłodem, a zresztą cóż innego miała do roboty? Podobał jej się ten duży, ciemny dom na bagnach. Nie zamierzała sprzątać domu wodza czy jakiegokolwiek mężczyzny, który sam tego nie robił, ale myszkowała po nim, zaglądając do pokoi, których Abberkam najwyraźniej nie używał, nawet do nich nie wchodził. Znalazła jeden taki pokój na piętrze, z szerokimi, niskimi oknami wzdłuż całej zachodniej ściany. Przypadł jej do gustu. Wymiotła go i umyła okna z małymi zielonkawymi szybkami. Kiedy Abberkam spał, szła na górę i siadała na postrzępionym wełnianym dywaniku, który był jedynym przedmiotem w pokoju. Kominek zamurowano ceglami, ale nadal wydzielał ciepło pochodzące od ognia torfowego, który płonął na dole. Yoss siadała oparta plecami o nagrzane cegły, słońce wpadało przez szyby i było jej ciepło. Czuła spokój, który zdawał się przynależać do tego pokoju, do tutejszego powietrza, zielonkawych, nierównych szybek. Siedziała w milczeniu, niczym niezajęta, tak zadowolona, jak nigdy nie była we własnym domu.

Wódz bardzo powoli odzyskiwał siły. Często zamieniał się w ponurego, zgorzkniałego człowieka, za jakiego początkowo go brała, zatopionego w odrętwieniu egotycznego wstydu i wściekłości. W inne dni był gotów mówić, a niekiedy nawet słuchać.

– Czytałam książkę o światach Ekumenów – powiedziała Yoss, czekając, aż placki fasolowe będą gotowe do przewrócenia na patelni. W ciągu ostatnich kilku dni szykowała obiad, zjadała go z Abberkmem późnym popołudniem, zmywała naczynia i wracała do domu przed zmrokiem. – Jest bardzo ciekawa. Nie ulega wątpliwości, że wszyscy pochodzimy od mieszkańców Hain, zarówno my, jak i obcy. Nawet nasze zwierzęta mają tych samych przodków.

– Tak mówią – burknął Abberkam.

– Nie ma znaczenia, kto to mówi – odparła Yoss. – Pojmie to każdy, kto spojrzy na dowody. Faktu genetycznego nie zmieni to, że ci się nie podoba.

– Co to za fakt, który ma milion lat? – spytał. – Jaki ma związek z tobą, ze mną, z nami? To jest nasz świat. Jesteśmy sobą. Nie mamy z nimi nic wspólnego.

– Teraz mamy – powiedziała dość nonszalancko i przewróciła placki fasolowe na drugą stronę.

– Nie doszłoby do tego, gdybym postawił na swoim – stwierdził Abberkam.

– Nigdy się nie poddajesz, co? – spytała ze śmiechem.

– Nie.

Kiedy jedli, on w łóżku, z tacy, ona na stołku przed kominkiem, ciągnęła ten sam temat, czując, że drażni byka, ściąga lawinę, ponieważ mimo choroby i osłabienia Abberkam nadal był groźny, i to nie tylko ze względu na swój wzrost.

– Czy naprawdę o to właśnie chodziło? – spytała. – Czy do tego dążyła Partia Światowa? Do oczyszczenia planety z obcych? Czy tylko taki miała cel?

– Tak – dobiegło od łóżka ponure burknięcie.

– Dlaczego? Ekumeni mają z nami wiele wspólnego. Przełamali władzę, jaką miały nad nami korporacje. Są po naszej stronie.

– Zostaliśmy przywiezieni do tego świata jako niewolnicy, ale sami powinniśmy się w nim odnaleźć – powiedział Abberkam. – Kamyę przybył z nami, Pasterz, Niewolnik, Kamyę Miecznik. To jest jego świat, nasza ziemia. Nikt nie może nam jej dać. Nie musimy korzystać z wiedzy obcych ludów ani czcić ich bogów. Żyjemy tutaj, na tej ziemi. Tu umieramy, żeby na powrót połączyć się z Panem.

Po chwili Yoss powiedziała:

– Mam córkę, wnuka i wnuczkę. Opuścili ten świat cztery lata temu. Znajdują się na pokładzie statku, który leci na Hain. Wszystkie lata życia, które mi pozostały, są dla nich jak kilka minut, może godzina. Dotrą do celu za osiemdziesiąt lat, teraz już siedemdziesiąt sześć. Zamieszkają na innej ziemi i umrą tam. Nie tutaj.

– Czy chętnie przystałaś na to, żeby poleciecieli?

– To była decyzja mojej córki.

– Nie twoja.

– To jej życie.

– Ale oplakujesz ją.

Zapadło ciężkie milczenie.

– To wszystko jest nie tak, nie tak, nie tak! – powiedział głośno i dobitnie. – Mieliśmy własny cel, własną drogę do Pana, a oni nam ją odebrali, znowu jesteśmy niewolnikami! Mądrzy obcy, naukowcy z ogromną wiedzą i wynalazkami, którzy podają się za naszych przodków. Mówią nam: „Zróbcie to!”, a my robimy. „Zabierzcie dzieci na cudowny statek i zawieźcie je do cudownych światów!”. I dzieci zostały zabrane i nigdy nie wrócą do domu. Nigdy nie poznają własnego domu. Nigdy się nie dowiedzą, kim są. Nigdy się nie dowiedzą, kto je nosił na rękach.

Abberkam przemawiał; według Yoss było to przemówienie, które wygłosił już raz lub sto razy, wrzaskliwe i wspaniałe. Abberkam miał w oczach łzy, podobnie zresztą jak ona. Postanowiła jednak, że nie pozwoli, by ją wykorzystywał, manipulował nią, miał nad nią władzę.

– Powiedzmy, że przyznałabym ci rację. Ale dlaczego oszukiwałeś, Abberkamie? Okłamywałeś własny naród, kradłeś!

– Nigdy – odparł. – Wszystko, co robiłem, każdy oddech, który brałem w płuca, był dla Partii Światowej. Owszem, wydawałem pieniądze, wszystkie pieniądze, jakie wpadły mi w ręce, bo jakież inne miały przeznaczenie? Owszem, groziłem wysłannikowi, chciałem wygnać jego i całą resztę z tego świata! Owszem, okłamywałem ich, ponieważ chcą mieć nad nami kontrolę, chcą nas posiadać. Zrobię wszystko, żeby ocalić mój naród od zniewolenia, wszystko!

Walił pięściami jak bochny w krzepkie kolana i dyszał, z trudem łapiąc oddech. Załkał.

– A ja nic nie mogę na to poradzić, o Kamyę! – zawołał i opuścił głowę.

Yoss siedziała w milczeniu, ze zbolałym sercem.

Po długiej chwili Abberkam otarł dłońmi twarz jak dziecko, odgarnął do tyłu szorstkie, zmierzwione włosy, wytarł oczy i nos. Podniósł tacę, postawił sobie na kolanach, wziął

widelec, odkroił kawałek placka fasolowego, wsunął do ust, przeżuł i połknął. Skoro on może, to i ja, pomyślała Yoss i poszła w ślady wodza. Skończyli kolację. Yoss wstała i podeszła, żeby zabrać tacę.

– Przykro mi – powiedziała.

– Wszystko przepadło – oświadczył bardzo cicho Abberkam. Podniósł wzrok i spojrzał na nią tak otwarcie, jak chyba nigdy dotąd.

Yoss stała, nic nie pojmując; czekała.

– Wszystko przepadło wiele lat wcześniej. Wszystko, w co wierzyłem w Nadami. Że wystarczy ich wyrzucić, a odzyskamy wolność. Wojna toczyła się latami, a my zgubiliśmy drogę. Wiedziałem, że to kłamstwo. Jakie miało znaczenie, że jeszcze raz skłamię?

Yoss rozumiała jedynie, że Abberkam był mocno wzburzony i przypuszczalnie trochę szalony. Źle zrobiła, prowokując go. Oboje byli starzy, pokonani, oboje stracili swoje dzieci. Dlaczego chciała go zranić? Na moment położyła dłoń na jego dłoni i po chwili milczenia wzięła tacę.

Kiedy zmywała naczynia w pomywalni, Abberkam zawołał:

– Przyjdź tu, proszę!

Nigdy wcześniej tego nie robił, więc Yoss pobiegła do pokoju.

– Kim byłaś? – spytał.

Wpatrywała się w niego, nic nie pojmując.

– Zanim tu przyjechałaś – wyjaśnił niecierpliwie.

– Z plantacji wyjechałam do szkoły pedagogicznej – powiedziała. – Mieszkałam w mieście, uczyłam fizyki. Nadzorowałam nauczanie nauk ścisłych w szkołach. Wychowywałam córkę.

– Jak ci na imię?

– Yoss. Pochodzę z plemienia Seddewi, z Banni.

Abberkam skinął głową, a Yoss wróciła do pomywalni. Nie wiedział nawet, jak mam na imię, pomyślała.

Codziennie zmuszała Abberkama, by wstał, przeszedł się parę kroków i usiadł na krześle. Był posłuszny, ale te ćwiczenia go męczyły. Pewnego popołudnia skłoniła go do tego, żeby zrobił spory spacer, a kiedy wrócił do łóżka, natychmiast zamknął oczy. Yoss weszła po chybotliwych schodach do pokoju z zachodnim oknem i siedziała tam długo w doskonałym spokoju.

Kazała mu siedzieć na krześle, kiedy szykowała obiad. Zaczęła mówić, chcąc go rozweselić, lecz Abberkam siedział pogrążony w posępnym nastroju. Wyrzucała sobie, że poprzedniego dnia wytrąciła go z równowagi. Czyż nie po to oboje tu przybyli, by wszystko zostawić za sobą, zarówno błędy i porażki, jak i miłości i zwycięstwa? Opowiedziała mu o Wadzie i Eyid, złączonych przez los kochankach, którzy właśnie tego popołudnia leżeli w jej łóżku.

– Dawniej, kiedy przychodzili, nie miałam dokąd pójść – powiedziała. – W takie dni jak ten byłoby to dość uciążliwe. Musiałabym chodzić po sklepach we wsi. Przyznaję, że tak jest lepiej. Lubię ten dom.

Abberkam tylko chrząknął, ale Yoss czuła, że słucha z namiętną uwagą, jak gdyby

próbował ją zrozumieć, niczym cudzoziemiec, który nie zna języka.

– Ten dom nic cię nie obchodzi, prawda? – spytała ze śmiechem, podając zupę. – Przynajmniej jesteś szczerzy. Ja udaję świętą, tworzę duszę, a przecież lubię rzeczy, przywiązuję się do nich, uwielbiam rzeczy. – Usiadła przy ogniu, by zjeść zupę. – Na piętrze jest piękny pokój. Ten od frontu, narożny, z oknem na zachód. Coś dobrego wydarzyło się w tym pokoju. Może mieszkali tam kochankowie. Lubię wyglądać stamtąd na mokradła.

Kiedy zaczęła zbierać się do odejścia, Abberkam zapytał:

– Czy ich już nie będzie?

– Jelonków? O nie, kiedy wrócę do domu, będą znowu ze swymi nienawidzącymi się rodzinami. Przypuszczam, że gdyby zamieszkali razem, staliby się równie pełni nienawiści. Są tacy głupiutcy, ale co mogą na to poradzić? Ta wieś to zaścianek, a oni są bardzo biedni. A jednak kurczowo trzymają się miłości, jakby wiedzieli... że to jest ich prawda...

– Trzymaj się jedynej szlachetnej rzeczy – powiedział Abberkam, a Yoss poznała cytat.

– Chcesz, żebym ci poczytała? – spytała. – Mam *Arkamye*. Mogłabym przynieść.

Potrząsnął głową, a jego twarz rozjaśnił nagle szeroki uśmiech.

– Nie ma potrzeby – powiedział. – Znam tę księgę.

– Całą?

Skinął głową.

– Zamierzałam się jej nauczyć na pamięć, przynajmniej części, kiedy tu przyjechałam – wyznała bojaźliwie Yoss. – Jednak tego nie zrobiłam. Jakoś nigdy nie mam czasu. Czy nauczyłeś się *Arkamye* właśnie tutaj?

– Nauczyłem się jej dawno temu, w więzieniu w Gebba City – odparł. – Miałem tam mnóstwo czasu... Ostatnio leżę tu sobie i recytuję *Arkamye*. – Spojrzał na Yoss, a uśmiech nie zniknął z jego ust. – Ta księga dotrzymuje mi towarzystwa pod twoją nieobecność.

Yoss oniemiała.

– Twoja obecność jest dla mnie słodka – powiedział Abberkam.

Yoss otuliła się szalem i wybiegła z domu, ledwo się pożegnawszy.

W drodze powrotnej do domu towarzyszył jej rój pomieszanych, sprzecznych myśli. Jakim potworem był ten człowiek! Flirtował z nią, to nie ulegało wątpliwości. Raczej chciał ją zaciągnąć do łóżka, na którym leżał rozwalony jak wielki wół, z tym swoim świszczącym oddechem i siwymi włosami. Ten łagodny, głęboki głos, ten uśmiech; wiedział, jak posłużyć się tym uśmiechem, jak sprawić, by stał się nieodparty. Wiedział, jak zabrać się do kobiety; jeśli opowieści były prawdziwe, zabierał się już do tysięcy, omotywał je, wchodził, wychodził, proszę, zostawiam trochę nasienia, żebyś miała pamiętkę po swoim wodzu, na razie, mała. Boże!

Dlaczego więc wbiła sobie do głowy, żeby opowiadać Abberkamowi o Eyid i Wadzie, którzy baraszkowali w jej łóżku? Głupia kobieto, mówiła do siebie, krocząc na silnym wschodnim wietrze, który siekł szarzejące trzciny. Głupia, głupia, stara, stara kobieto.

Gubu wyszedł jej na spotkanie. Tańczył i uderzał miękkimi łapkami po nogach i dłoniach Yoss, wymachując krótkim, zakończonym węzełkiem ogonem w czarne cętki. Wychodząc z domu, specjalnie nie zamknęła drzwi na klucz, żeby kot mógł je otworzyć. Teraz były otwarte na oścież. Po całym pokoju fruwały pióra jakiegoś ptaszka, a na dywaniku przed kominkiem spostrzegła nieco krwi i resztkę wnętrzości.

– Co za potwór z ciebie! – skarciła Gubu. – Morduj na dworze!

Kot odtańczył taniec wojenny i miauknął. Przez całą noc spał wtulony w jej plecy; posłusznie wstawał, przechodził przez Yoss i związał się w kłębek po drugiej stronie, ilekroć przewracała się na drugi bok.

Przekręcała się często, wyobrażając sobie ciężar i żar potężnego ciała, ciężar dłoni na swoich piersiach i usta, które wysysały z jej sutków życie.

Skróciła swoje wizyty u Abberkama. Mógł już wstawać o własnych siłach, potrafił zatroszczyć się o siebie, przygotować sobie śniadanie. Yoss pilnowała, by stojąca przy kominie skrzynka na torf była pełna, dbała o zapasy w spiżarni i przynosiła mu obiad, ale nie jadła razem z nim. Abberkam najczęściej milczał posępnie, a Yoss uważała na to, co mówiła. Odnosili się do siebie z najwyższą ostrożnością. Yoss brakowało godzin spędzanych w pokoju na piętrze, ale ten rozdział został nieodwołalnie zamknięty; stał się snem, utraconą słodyczą.

Pewnego popołudnia Eyid przyszła do Yoss sama.

– Chyba nie będę tu już przychodzić – powiedziała markotnie.

– Co się stało?

Dziewczyna tylko wzruszyła ramionami.

– Oni cię obserwują?

– Nie. Sama nie wiem. Mogę, no wiesz, mogę zostać wypchana – użyła starego określenia niewolników oznaczającego zajście w ciążę.

– Chyba używaliście środków antykoncepcyjnych? – Yoss kupiła dla nich w Voss pokaźny zapas.

Eyid skinęła głową bez przekonania.

– Myślę, że to niewłaściwe – powiedziała i zacisnęła usta.

– Kochanie się? Używanie środków antykoncepcyjnych?

– Myślę, że to niewłaściwe – powtórzyła dziewczyna i rzuciła Yoss szybkie, mściwe spojrzenie.

– No dobrze – powiedziała Yoss pojednawczym tonem.

Eyid odwróciła się na pięcie.

– Do widzenia, Eyid.

Dziewczyna bez słowa ruszyła ścieżką przez bagna.

Trzymaj się jedynej szlachetnej rzeczy, pomyślała z goryczą Yoss.

Obeszła dom i stanęła nad grobem Tikulego, ale dojmujący chłód zimy nie pozwalał zostać długo na dworze. Weszła do domu i zatrzasnęła drzwi. Pokój wydał się jej mały, ciemny i niski. Słaby ogień torfowy płonął bezgłośnie, kopcąc i dymiąc. Na zewnątrz panowała cisza. Wiatr ustał, a skute lodem trzciny znieruchomiały.

Chcę drewna, chcę rozpalić ogień, pomyślała Yoss. Pragnę, by płomienie skakały i trzaskały; chcę ognia, który będzie opowiadał bajki, tak jak w domu babci na plantacji.

Nazajutrz poszła ścieżką przez bagna do zrujnowanego domu i ściągnęła kilka poluzowanych desek z zapadniętej werandy. Tego wieczoru rozpałała buzujący ogień. Nabrała zwyczaju chodzenia do starego domu co najmniej raz dziennie. Obok niszy z torfem, która znajdowała się po przeciwnej stronie komina niż nisza z łóżkiem, zbiła

pokażną skrzynkę na drewno. Przestała chodzić do Abberkama; wrócił do zdrowia, a ona chciała mieć jakiś cel spacerów. Nie miała sposobu na pocięcie dłuższych desek, więc wpychała je do ognia stopniowo; w ten sposób jedna starczyła na cały wieczór. Siadała przy jasnym ogniu i próbowała się nauczyć pierwszej księgi *Arkamye*. Gubu leżał na kamiennej podłodze przed kominkiem, czasami patrzył w płomienie i mruczał, a czasem spał. Tak bardzo nienawidził chodzić w lodowate trzciny, że Yoss zbiła mu w pomywalni małą skrzynkę na piasek, z której bardzo schludnie korzystał.

Chłody nie ustępowały; Yoss nie pamiętała tak srogiej zimy na mokradłach. Ostre przeciągi sprawiły, że w drewnianych ścianach odkryła szpary, o których istnieniu nie miała przedtem pojęcia. Z braku szmat, którymi mogłaby je pozatykać, użyła błota i pozwijanych trzcin. Kiedy pozwalała ogniewi zgasnąć, chatka szybko się oziębiała. Ogień torfowy umożliwiał Yoss przetrwanie nocy. W ciągu dnia często dokładała do kominka kawałek drewna i cieszyła się towarzystwem jasnego płomienia.

Musiała pójść do wsi. Odkładała ten obowiązek od wielu dni z nadzieją, że chłody ustąpią, aż w końcu wyczerpały się jej wszystkie zapasy. Było bardzo zimno. Zabrudzone ziemią kostki torfu paliły się słabo i kopcily, więc Yoss dołożyła do kominka kawałek drewna, żeby podtrzymać ogień i utrzymać ciepło w domu. Otuliła się wszystkimi płaszczami i szalami, jakie mogła znaleźć, i wyruszyła z torbą do wsi. Gubu mrugnął na nią od kominka.

– Ty leniwy draniu – powiedziała do niego Yoss. – Mądry jesteś.

Panował przeraźliwy chłód. Gdybym poślizgnęła się na lodzie i złamała nogę, myślała, mogłabym tak leżeć wiele dni, zanimby mnie znaleźli. Zamarzłabym w kilka godzin. Proszę, proszę, jestem w rękach Pana, a za kilka lat tak czy inaczej umrę. Dobry Boże, pozwól mi tylko dotrzeć do wsi i ogrzać się!

Dotarła do wsi, gdzie zabawiła dłuższy czas przy piecu w sklepie ze słodyczami, nadrabiając zaległości w plotkach, a także przy piecu na drewno w kiosku, gdzie w starej gazecie przeczytała o nowej wojnie we wschodniej prowincji. Ciotki Eyid, a także ojciec, matka i ciotki Wady pytali Yoss o zdrowie wodza. Powiedzieli jej też, by odwiedziła właściciela jej chaty, Kebiego, który coś dla niej ma. Okazało się, że tym czymś była paczka taniej wstrętnej herbaty. Yoss, która nie miała nic przeciwko temu, żeby Kebi wzbogacił sobie duszę, podziękowała mu za herbatę. Zapytał ją o Abberkama. Czy wódz był chory? Czy czuł się lepiej? Wypytywał ją, a Yoss obojętnie odpowiadała. Łatwo jest żyć w milczeniu, pomyślała, za nic w świecie nie mogłabym żyć wśród tych głosów.

Nie chciała opuszczać ciepłego pomieszczenia, ale miała ciężką torbę, a zlodowacenia na drodze stałyby się źle widoczne po zmroku. Pożegnała się i ponownie ruszyła przez wioskę ku grobli. Było później, niż sądziła. Słońce stało nisko, kryło się za jedyny pas chmur na czystym niebie, jakby skąpiło ciepła i jasności. Yoss pragnęła znaleźć się z powrotem w domu, przy ogniu, więc wydłużyła krok.

Ponieważ w obawie przed lodem patrzyła pod nogi, początkowo dobiegł ją tylko głos. Znała go, więc pomyślała: Abberkam znowu oszalał! Biegł w jej stronę i krzyczał. Zatrzymała się przestraszona, ale usłyszała, że on wykrzykuje jej imię:

– Yoss! Yoss! Wszystko w porządku!

Staął tuż przed nią – potężny, dziki mężczyzna, cały w błocie, z lodem i błotem w siwych włosach, z czarnymi rękami i ubraniem. Widziała, jak błyskają mu białka oczu.

– Cofnij się! – powiedziała. – Trzymaj się ode mnie z daleka!

– Wszystko w porządku – odparł – ale dom, dom...

– Jaki dom?

– Twój dom się spalił. Widziałem to. Szedłem właśnie do wsi, kiedy zobaczyłem dym na mokradłach...

Mówił dalej, ale Yoss stała jak sparaliżowana i nic nie słyszała. Wychodząc z domu, zatrzasnęła drzwi i pozwoliła, by skobel opadł. Nigdy nie zamykała drzwi na klucz, ale pozwoliła, by skobel opadł, więc Gubu nie mógł się wydostać. Został uwięziony w domu; te jasne, rozpaczliwe oczy, cichy, płaczliwy głos...

Ruszyła do przodu, lecz Abberkam zastąpił jej drogę.

– Przepuść mnie – powiedziała. Postawiła torbę na ziemi i pognała przed siebie.

Abberkam chwycił ją za ramię. Stała jak powstrzymana morską falą. Poczula, jak ją okręca; otoczyło ją potężne ciało i głos:

– Wszystko w porządku, kociakowi nic nie grozi, jest u mnie w domu – mówił Abberkam. – Posłuchaj mnie, Yoss! Dom spłonął, ale kociak jest bezpieczny.

– Co się stało?! – krzyknęła z wściekłością. – Puść mnie! Nie rozumiem! Co się stało?

– Proszę, przestań krzyczeć. – Uwolnił jej rękę. – Pójdziemy tam. Sama zobaczysz, chociaż nie zostało wiele do oglądania.

Ruszyła za nim chwiejnym krokiem, a Abberkam opowiedział jej, co się stało.

– Ale jak to się zaczęło? – spytała. – W jaki sposób mógł wybuchnąć pożar?

– Od iskry. Zostawiłaś ogień w kominku? Na pewno tak, przecież jest zimno. Widziałem, jak z komina wylatywały kamienie. Jeżeli dołożyłaś drewno do ognia, może poszła iskra, może zajęła się deska podłogowa. Jest taka susza, że wszystko momentalnie stanęło w ogniu. O mój Boże, słodki Boże, myślałem, że jesteś w środku. Idąc groblą, zobaczyłem ogień – po chwili znalazłem się przed drzwiami domu, nie wiem, w jaki sposób, może przefrunąłem – pchnąłem drzwi, były zamknięte na skobel, wyważyłem je i zobaczyłem, że cała tylna ściana i sufit stoją w płomieniach. Przez kłęby dymu nie widziałem, czy jesteś w środku. Wszedłem. Zwierzątko chowało się w kącie – przypomniałem sobie, jak płakałaś, kiedy tamto drugie umarło, spróbowałem złapać kotka, ale śmignął przez drzwi jak strzała. Zobaczyłem, że w domu nie ma nikogo, skoczyłem do drzwi, a wtedy runął dach. – Abberkam zaśmiał się dziko, triumfalnie. – Uderzył mnie w głowę, widzisz? – Pochylił się, lecz był tak wysoki, że Yoss nie zobaczyła czubka jego głowy. – Chwyciłem wiadro i próbowałem chlusnąć wodę na frontową ścianę, żeby coś uratować, potem pojąłem, że to szaleństwo, cała stała w ogniu, nic nie ocalało. Ruszyłem ścieżką, a twój kotek czekał tam na mnie, drżący ze strachu i z zimna. Pozwolił mi się wziąć na rękę, ale nie wiedziałem, co z nim zrobić, więc pobiegłem z powrotem do swojego domu i zostawiłem go tam. Zatrzasnąłem drzwi. Kotek jest tam bezpieczny. Potem pomyślałem, że musisz być we wsi, i wróciłem, żeby cię odnaleźć.

Doszli do skrzyżowania z głównej drogi. Yoss podeszła do skraju grobli i spojrzała w dół. Smuga dymu, czarny kłęb, czarne patyki, lód. Wstrząsnął nią dreszcz, poczuła takie mdłości, że musiała kucnąć i wypluć zimną ślinę. Niebo i trzciny kołysały się z lewa na prawo, wirowały jej przed oczami; nie potrafiła powstrzymać tego wirowania.

– Chodź, chodź już, wszystko w porządku. Chodź ze mną. – Była świadoma głosu, dłoni i rąk, potężnego ciepłego ciała, które ją podtrzymywało. Ruszyła przed siebie z zamkniętymi oczami. Po chwili zdołała je otworzyć i popatrzeć na drogę.

– Och, moja torba... zostawiłam ją... to wszystko, co mam – powiedziała nagle ze

śmiechem, odwróciła się i o mały włos nie upadła, bo przy nagłym obrocie ponownie zawirowało jej przed oczami.

– Mam ją tutaj. Chodź, już niedaleko.

Abberkam niósł torbę w dziwny sposób, w zagłębieniu łokcia. Drugą ręką obejmował Yoss; pomógł jej wstać i ruszyli dalej. Dotarli do jego domu, ciemnego domu na palach. Na wprost domu rozpościerało się pomarańczowożółte niebo z różowymi pasmami rozchodzącymi się gwiazdziście w miejscu, gdzie zaszło słońce. Kiedy Yoss była dzieckiem, te pasma nazywali włosami słońca. Abberkam i Yoss odwrócili się plecami do chwały nieba i weszli do ciemnego domu.

– Gubu? – zapytała Yoss.

Znalazła go dopiero po chwili. Kulił się pod kanapą. Yoss musiała go wyciągnąć, bo nie chciał do niej wyjść. Osmalone futerko zostawało jej w dłoniach, kiedy go głaskała. Na pyszczku miał trochę piany; drżał i leżał cicho w ramionach Yoss. Nie przestawała głaskać srebrnego, cętkowanego grzbietu, łaciatych boków, jedwabistego, białego futerka na brzuchu. Wreszcie zamknął oczy, ale kiedy tylko się poruszyła, dał susa pod kanapę.

Yoss usiadła i powiedziała:

– Tak mi przykro, Gubu, tak mi przykro.

Na dźwięk jej głosu wódz wrócił do pokoju z pomywalni. Trzymał przed sobą mokre dłonie. Czemu ich nie wytarł? – zastanawiała się Yoss.

– Kotek dobrze się czuje? – zapytał.

– Minie trochę czasu, zanim się oswoi – odparła. – Ten ogień i obcy dom. Koty przyzwyczajają się do domu. Nie lubią obcych miejsc.

Nie była w stanie uporządkować własnych myśli ani słów. Przyływały w bezładnych fragmentach.

– A więc to jest kot?

– Owszem, kot łaciaty.

– Wszystkie zwierzęta domowe należały do panów, mieszkały w ich domach – oświadczył Abberkam. – My nigdy nie mieliśmy zwierząt domowych.

Yoss uznała te słowa za oskarżenie.

– Tak, zwierzęta przybyły z Werel razem z panami – powiedziała. – My również. – Po wyrzuceniu z siebie tych ostrych słów przyszło jej na myśl, że oświadczenie Abberkama stanowiło być może przeprosiny za ignorancję.

Wódz wciąż stał z rękami sztywno wyciągniętymi przed siebie.

– Przepraszam, ale myślę, że potrzebuję jakiegoś bandaża.

Yoss powoli skoncentrowała wzrok na jego dłoniach.

– Poparzyłeś się – stwierdziła.

– Drobiazg. Nawet nie wiem, kiedy to się stało.

– Pokaż.

Podszedł bliżej i odwrócił duże dłonie wierzchem do góry. Na niebieskawej skórze palców jednej dłoni widniała jaskrawoczerwona pręga pełna pęcherzy, a na drugiej, u podstawy kciuka, otwarta krwawa rana.

– Zauważyłem to dopiero podczas mycia – wyjaśnił Abberkam. – Nic nie bolało.

– Pozwól, że obejrzę ci głowę – powiedziała, przypominając sobie o zwalonym dachu.

Abberkam uklęknął posłusznie i podsunął pod oczy Yoss skołtunioną, kudłatą, pobrudzoną sadzą głowę z czerwono-czarną oparzeliną na czubku.

– O Boże! – wyszeptała.

Duży nos i oczy Abberkama pojawiły się pod siwą czupryną i spojrzały na nią z niepokojem.

– Wiem, że zawalił się na mnie dach – powiedział, a Yoss zaczęła się śmiać.

– Dach nie wystarczy, żeby cię powalić – odparła. – Czy masz jakieś czyste szmatki? Wiem, że w szafce w pomywalni zostawiłam kilka czystych ściereczek do naczyń. Masz może jakiś środek dezynfekujący?

Czyszcząc ranę, mówiła dalej:

– Nie wiem dużo o oparzeniach, tyle że należy utrzymywać je w czystości i nie zakrywać, żeby mogły obeschnąć. Powinniśmy zadzwonić do kliniki w Veo. Jutro mogłabym pójść do wsi.

– Sądziłem, że jesteś lekarką albo pielęgniarką – powiedział Abberkam.

– Jestem kuratorką szkolną!

– Opiekowałaś się mną w chorobie.

– Wiedziałam, co ci dolega, ale nie mam pojęcia o oparzeniach. Pójdę do wsi i zatelefonuję, lecz nie dzisiaj.

– Nie dzisiaj – zgodził się. Zaciśnął dłonie w pięści i skrzywił się z bólu. – Zamierzałem przygotować nam kolację. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest coś nie tak z moimi dłońmi. Nie wiem, kiedy to się stało.

– Wtedy, kiedy ratowałaś Gubu – powiedziała trzeźwo Yoss i nagle się rozplakała. – Pokaż, co zamierzałeś zjeść, a ja to podgrzeję – zaproponowała przez łyzy.

– Przykro mi z powodu twojego domu – rzekł Abberkam.

– Nie było tam nic ważnego. Mam na sobie prawie wszystkie swoje rzeczy – odparła, łkając. – W domu było tylko trochę jedzenia, *Arkamye* i moja książka o światach. – Pomyślała o stronicach, które czerniały i skręcały się, kiedy czytał je ogień. – Pewna przyjaciółka przysłała mi tę książkę z miasta. Nigdy nie aprobowała mojego pomysłu, że przyjadę tutaj, będę udawała, że piję wodę i zachowuję milczenie. Miała zresztą rację, powinnam wrócić, w ogóle nie powinnam była tu przyjeżdżać. Cóż za kłamczucha ze mnie, jaka jestem głupia! Kradłam drzewo, żeby rozpaść miły mi ogień! Chciałam się ogrzać i rozweselić! No więc podpaliłam dom i wszystko przepadło. Ucierpiał dom Kebiego, mój biedny kotek, twoje dłonie, to wszystko moja wina. Zapomniałam o iskrach, jakie wytwarza płonące drewno. Zapomniałam, że komin został zbudowany z myślą o ogniu torfowym. Zapominam o wszystkim, mój umysł mnie zdradza, moja pamięć kłamie, ja kłamię. Znieważam mojego Pana, udając, że zwracam się ku Niemu, podczas gdy nie mogę się ku Niemu zwrócić, nie potrafię zrezygnować ze świata. Wobec tego spalam go! A miecz kaleczy ci dłonie. – Ujęła dłonie Abberkama w swoje i pochyliła nad nimi głowę. – Łzy mają właściwości znieczulające – powiedziała. – Och, tak mi przykro, tak przykro!

Potężne, poparzone dłonie Abberkama spoczywały w dłoniach Yoss. Nachylił się do przodu i pocałował ją we włosy, pieszcząc je wargami i policzkiem.

– Wyrecytuję ci *Arkamye* – obiecał. – Siedź teraz spokojnie. Musimy coś zjeść. Bardzo zmarzłaś. Myślę, że doznałaś szoku. Siedź tutaj, potrafię postawić czajnik na ogniu.

Yoss posłuchała. Naprawdę bardzo zmarzła. Przysunęła się bliżej ognia.

– Gubu! – szepnęła. – Chodź, no chodź, maleńki. – Ale pod kanapą nic się nie poruszyło.

Abberkam stanął tuż obok i coś jej podał. Kieliszek, to był kieliszek czerwonego wina.

– Masz wino? – spytała zdumiona.

– Zazwyczaj piję wodę i zachowuję milczenie – odparł. – Czasami piję wino i mówię. Weź to.

Przyjęła kieliszek z pokorą.

– Wcale nie doznałam szoku – powiedziała.

– Nic nie jest w stanie zaszokować kobiety z miasta – oświadczył poważnym tonem. – A teraz musisz otworzyć ten słoik.

– W jaki sposób otworzyłeś wino? – spytała, odkręcając słoik z gulaszem rybnym.

– Już było otwarte – odparł głębokim głosem.

Usiedli przed kominkiem naprzeciwko siebie i zaczęli jeść, nakładając sobie z garnka zawieszonoego na haku nad ogniem. Yoss opuszczała kawałki ryby tak nisko, że Gubu mógł je dostrzec spod kanapy; szeptała do niego, ale kot nie chciał wyjść.

– Wyjdzie, kiedy zgłodnieje – powiedziała. Miała już dość płacziwego drżenia własnego głosu, guli w gardle, poczucia wstydu. – Dziękuję za jedzenie. Już czuję się lepiej.

Wstała, żeby umyć garnek i łyżki; zakazała Abberkamowi moczenia rąk, więc nie zaproponował, że jej pomoże. Siedział przy ogniu nieruchomo jak wielka ciemna bryła z kamienia.

– Pójdę na górę – oznajmiła, kiedy skończyła zmywać. – Może uda mi się złapać Gubu i zabrać go ze sobą. Daj mi koc albo dwa.

– Są na górze – odparł wódc. – Rozpaliłem ogień.

Uklękła, żeby zajrzeć pod kanapę. Wiedziała, że wygląda groteskowo: stara kobieta, otulona w szale, z tyłkiem w powietrzu, szepcząca: „Gubu, Gubu!” do mebla. Nagle rozległo się chrobotanie i Gubu wszedł prosto w jej ręce. Przywarł Yoss do ramienia i wtulił nos pod jej ucho. Przysiadła na piętach i spojrzała na Abberkama z rozpromienioną twarzą.

– Mam go! – powiedziała. Z pewnym trudem wstała z podłogi. – Dobranoc.

– Dobranoc, Yoss – odparł wódc.

Nie odważyła się wziąć lampy naftowej, więc weszła po schodach po ciemku, przyciskając Gubu mocno obiema dłońmi, aż znalazła się w zachodnim pokoju i zatrzasnęła drzwi. Otworzyła oczy ze zdumienia. Abberkam odkrył kominek i rozpałił w nim torfem; rdzawy blask odbijał się w szerokich, niskich oknach, czarnych od nocy, a ogień pachniał słodko. Łóżko, które dotąd było w innym, nieużywanym pokoju, stało tutaj posłane, przykryte nową kapą z białej wełny. Na półce obok komina stały dzbanek i miska. Stary dywan, na którym dawniej siadywała, został wytrzepany, wyszorowany i teraz wydeptany, ale czysty, leżał przed kominkiem.

Gubu wyrывał jej się z rąk, więc postawiła go na podłodze, a kot pobiegł prosto do łóżka. Będzie mu tutaj dobrze. Yoss nalala trochę wody z dzbanka do miski, którą postawiła przed kominkiem, na wypadek gdyby Gubu zachciało się pić. Potrzeby fizjologiczne będzie mógł załatwiać w popiele. Jest tutaj wszystko, czego potrzebujemy, pomyślała, nadal patrząc w osłupieniu na zaciemiony pokój, na łagodne światło, które padało na okna od wewnątrz.

Wyszła, zamknęła za sobą drzwi i zeszła na dół. Abberkam siedział nieruchomo przy ogniu. Błysnął oczami w jej stronę, a Yoss nie wiedziała, co powiedzieć.

– Podobał ci się pokój – stwierdził.

Skinęła głową.

– Powiedziałas, że kiedyś mógł to być pokój kochanków. Przyszło mi na myśl, że może

dopiero ma nim zostać.

– Być może – odparła po chwili.

– Ale nie dzisiejszej nocy – mruknął.

Yoss zdała sobie sprawę, że on się śmieje. Już raz widziała, jak Abberkam się uśmiecha; teraz słyszała jego śmiech.

– Nie, nie dzisiejszej nocy – powiedziała z rezerwą.

– Potrzebuję swoich dłoni – rzekł Abberkam. – Po to, by się z tobą kochać, potrzebuję całego ciała.

Yoss przyglądała mu się w milczeniu.

– Usiądź, Yoss, proszę.

Usiadła na sofie przed kominkiem naprzeciwko wodza.

– W chorobie dużo myślałem – zaczął, a w jego głosie dały się słyszeć tony mówcy. – Zdradziłem swoją sprawę, w jej imieniu kradłem i kłamałem, ponieważ nie mogłem się przyznać, że przestałem w nią wierzyć. Bałem się obcych, ponieważ bałem się ich bogów. Tak wielu bogów! Bałem się, że umniejszą mojego Pana. Umniejszą Go! – Zamilkł na minutę, by zaczerpnąć tchu, a Yoss słyszała, jak rzezi mu w płucach. – Zdradziłem matkę mego syna wiele, wiele razy. Zdradziłem ją, inne kobiety, samego siebie. Nie trzymałem się jedynej szlachetnej rzeczy. – Rozłożył dłonie, skrzywił się nieco i spojrzał na oparzeliny. – Myślę, że tobie się to udało – zakończył.

– Z ojcem Safnan żyłam tylko kilka lat – powiedziała Yoss po chwili. – Miałam innych mężczyzn. Jakie to ma teraz znaczenie?

– Nie to miałem na myśli – odparł Abberkam. – Chciałem powiedzieć, że nie zdradziłaś swoich mężczyzn, dziecka, siebie samej. Zgoda, to wszystko należy już do przeszłości. Pytasz, jakie to ma teraz znaczenie. Nic nie ma znaczenia. Ale nawet teraz dajesz mi tę szansę, tę piękną szansę, żebym cię przytulił, przytulił ze wszystkich sił.

Nie odpowiedziała.

– Przybyłem tu okryty wstydem, a ty obdarzyłaś mnie szacunkiem – powiedział Abberkam.

– A dlaczegoż bym miała tego nie robić? Kim jestem, żebym miała cię osądzać?

– Bracie, jestem tobą.

Yoss rzuciła na wodza przerażonespojrzenie, po czym przeniosła wzrok na ogień. Torf palił się niskim, ciepłym płomieniem, wysyłając w górę pojedyncze pasemko dymu. Pomyślała o ciepłym, ciemnym ciele Abberkama.

– Czy między nami zapanuje pokój? – zapytała.

– A czy potrzebujesz pokoju?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Zrobię co w mojej mocy – zapewnił Abberkam. – Zostań w tym domu na pewien czas.

Skinęła głową.

Dzień Przebaczenia

Solly była kosmicznym brzdącem, dzieckiem mobilem, żyła, przenosząc się ze statku na statek, ze świata do świata; zanim skończyła dziesięć lat, przemierzyła pięćset lat świetlnych. W dwudziestym piątym roku życia przeżyła rewolucję na planecie Alterra, nauczyła się *aiji* na planecie Terra i dalekomyślenia na Rokananie, przeleciała jak meteor przez szkoły na Hain, przetrwała jako obserwatorka w morderczym, umierającym Kheakh. Żyjąc z prędkością zbliżoną do prędkości światła, przeskoczyła kolejne pół tysiąclecia.

Znudziła się ludźmi z ambasady w Voe Deo, którzy mówili jej, by uważała na to, pamiętała o tamtym; w końcu teraz sama była mobilem. Planeta Werel miała swoje dziwactwa, ale który świat ich nie miał? Solly nauczyła się swoich lekcji, wiedziała, kiedy się kłaniać i kiedy nie bekać, i na odwrót. Z uczuciem ulgi rozpoczęła w końcu niezależne życie na tym przepięknym małym kontynencie jako pierwsza i jedyna wysłanniczka Ekumeny do Boskiego Królestwa Gatay.

Mijały dni, a Solly żyła w podniosłym nastroju z powodu wysokości, maleńkiego, jasnego słońca lejącego pionowe światło na hałaśliwe ulice, szczytów wystrzelających w niebo za każdym domem, ciemnoniebieskiego nieba, na którym wielkie, bliskie gwiazdy płonęły przez cały dzień, oszałamiających nocy pod sześcioma lub siedmioma koziołkującymi fragmentami księżyca oraz wysokich czarnoskórych ludzi o czarnych oczach, wąskich głowach, długich wąskich dłoniach i stopach, cudownych ludzi, jej ludzi! Kochała ich wszystkich. Nawet jeśli trochę za dużo miała z nimi do czynienia.

Po raz ostatni mogła się cieszyć samotnością podczas kilku godzin w kabinie pasażerskiej statku powietrznego przysłanego z Gatay, który miał ją przetransportować nad oceanem z Voe Deo. Na pasie startowym powitała Solly delegacja kapłanów i urzędników państwowych przysłanych przez króla i radę, wszyscy w przepysznych szkarłatnych, brązowych i turkusowych strojach. Zawieziono ją do pałacu, gdzie oczywiście było wiele dygania i żadnego bekania. Ciągnęło się to godzinami. Przedstawiono ją jego malutkiej, skurczonej, starej wysokości, a także najwyższym ważniakom i Bóg raczy wiedzieć komu jeszcze. Potem przemówienia i bankiet, a wszystko w pełni przewidywalne, żadnych problemów, nawet z niemożliwym do ugryzienia wielkim smażonym kwiatem na jej talerzu na bankiecie. Począwszy od pierwszego momentu na pasie startowym, stale towarzyszyło jej dwóch mężczyzn, którzy trzymali się dyskretnie z tyłu, obok lub tuż przy niej: przewodnik i strażnik.

Przewodnik, San Ubattat, został przysłany przez gospodarzy z Gatay. Oczywiście donosił na Solly rządowi, ale był szpiegiem niezwykle uczynnym, stale usuwał jej z drogi

różne przeszkody, dyskretnie pokazywał, czego po niej oczekiwano, a co uznano by za gafę. Był też wyśmianym lingwistą, gotowym w każdej chwili służyć tłumaczeniem. San był w porządku. Za to ze strażnikiem była zupełnie inna sprawa.

Został przydzielony Solly przez gospodarzy z Ekumeny w tym świecie, którzy stanowili na Werel siłę dominującą – wielki naród Voe Deo. Solly niezwłocznie złożyła protest w ambasadzie w Voe Deo, oświadczając, że nie potrzebuje ochrony. Nikt na planecie Gatay nie zamierzał wyrządzić jej krzywdy, a nawet gdyby tak było, wołała sama się o siebie troszczyć. Ludzie z ambasady westchnęli. Przykro nam, powiedzieli, ale jesteś na niego skazana. Siły wojskowe Voe Deo stacjonują w Gatay, które jest przecież państwem służebnym, zależnym ekonomicznie. W interesie Voe Deo leży ochranianie prawowitego rządu w Gatay przed rodzimymi grupami terrorystycznymi, a ty jesteś chroniona jako jeden z ich interesów. Nie możemy się temu sprzeciwić.

Solly miała dość rozumu, by nie spierać się z ludźmi z ambasady, ale nie mogła pogodzić się z obecnością majora. Jego stopień wojskowy, rega, tłumaczyła archaicznym słowem „major”, które знаła z burleski oglądanej na planecie Terra. Tamten major był wypchanym mundurem pokrytym medalami i odznakami. Nadymał się, puszył i rozkazywał, a na koniec rozpadał się na strzępy. Gdyby tylko major z Gatay mógł się rozlecieć! Nie oznacza to, że się puszył czy choćby rozkazywał. Zachowywał się z kamienną uprzejmością, milczał jak grób, był sztywny i zimny niczym w stanie *rigor mortis*. Solly wkrótce poniechała wszelkich wysiłków nawiązania z nim rozmowy; na wszystkie jej słowa odpowiadał „tak, pszepani” lub „nie, pszepani” z gorliwą głupotą człowieka, który nie słucha i nie zamierza słuchać, oficera urzędowo niezdolnego do człowieczeństwa. Towarzyszył Solly przy wszystkich publicznych okazjach w dzień i w nocy, na ulicy, podczas zakupów, podczas spotkań z biznesmenami i dostojnikami, na wycieczkach krajoznawczych, w sądzie, w podróży balonem nad górami – był z nią wszędzie, wszędzie z wyjątkiem łóżka.

Nawet w łóżku Solly nie była tak sama, jak by sobie często życzyła. Przewodnik i strażnik wracali wprawdzie na noc do domu, ale przed jej sypialnią spała pokojówka, prezent od jego wysokości, pracownica Solly.

Solly pamiętała swoje niedowierzanie, kiedy po raz pierwszy, przed wieloma laty, zetknęła się z tym sformułowaniem w tekście o niewolnictwie. „Na planecie Werel członkowie kasty dominującej noszą nazwę właścicieli, a członków klasy niewolniczej nazywa się pracownikami. Tylko o właścicielach mówi się jako o ludziach, mężczyznach i kobietach; pracownicy noszą nazwę niewolników i niewolnic”.

Oto więc znalazła się na planecie Werel jako właścicielka pracownicy. Nie odrzuca się prezentu od króla. Pracownica Solly miała na imię Rewe. Przypuszczalnie Rewe także szpiegowała, choć Solly trudno było w to uwierzyć. Była pełną godności, przystojną kobietą, o kilka lat starszą od Solly, o równie intensywnie zabarwionej brązowej skórze, chociaż Solly miała odcień różowy, a Rewe niebieski. Dłonie Rewe były barwy delikatnego lazuru. Miała nienaganne maniery, takt, roztropność i nieomyłne wyczucie, kiedy jest potrzebna, a kiedy nie. Solly oczywiście traktowała ją jak równą sobie. Na samym początku oświadczyła, że wierzy, iż żaden człowiek nie ma prawa dominować nad drugim, nie mówiąc już o posiadaniu kogokolwiek. Oznajmiła, że nie będzie dawać Rewe rozkazów, i wyraziła nadzieję, że zostaną przyjaciółkami. Niestety, Rewe uznała te słowa za nowe rozkazy. Uśmiechnęła się i przytaknęła. Jej uległość nie miała granic. Wszystko,

co Solly mówiła lub robiła, tonęło w tej akceptacji, pozostawiając Rewe niezmienną. Czujna, uczynna, łagodna, znajdowała się poza zasięgiem Solly. Uśmiechała się, potakiwała i pozostawała nietykalna.

Po entuzjazmie pierwszych dni w Gatay Solly zaczęła myśleć, że potrzebuje Rewe, naprawdę potrzebuje jej jako kobiety. Nie było sposobu, by spotkać się z innymi właścicielkami, które mieszkaly w ukryciu w swoich bezach, pomieszczeniach wydzielonych dla kobiet, „w Domu”, jak to nazywały. Wszystkie niewolnice z wyjątkiem Rewe stanowiły czyjąś własność, tak więc Solly nie miała prawa z nimi rozmawiać. Spotykała tylko mężczyzn. I eunuchów.

To była kolejna rzecz trudna do uwierzenia: fakt, że mężczyzna dobrowolnie godził się na prehandlowanie swojej męskości za nieznaczne podwyższenie pozycji społecznej. Na dworze króla Hotata spotykała wielu takich mężczyzn. Urodzeni pracownicy zdobywali częściową niezależność, zostając eunuchami, a właściciele obdarzali ich zaufaniem i powierzali im odpowiedzialne stanowiska. Eunuch Tayandan, pałacowy majordomus, rządził królem, który nie władał, ale pełnił rolę marionetkowego przewodniczącego rady. Rada składała się z różnego rodzaju panów, ale tylko jednego rodzaju kapłanów, tualitów. Jedynie pracownicy oddawali cześć Kamye, a pierwotna religia Gatay została zakazana około stu lat wcześniej, kiedy monarchia stała się tualicka. Jeśli istniało coś, czego Solly naprawdę nie lubiła na planecie Werel, pomijając niewolnictwo i dyskryminację płciową, była to religia. Pieśni o Pani Tual były piękne, jej posągi i wielkie świątynie w Voe Deo cudowne, a *Arkamy* sprawiała wrażenie dobrej opowieści, choć może nieco przydługiej. Ale to absolutne zadufanie w sobie, nietolerancja, głupota kapłanów, ohydne doktryny, które usprawiedliwiałały każde okrucieństwo w imię wiary! Na dobrą sprawę, zastanawiała się Solly, czy jest coś, co podoba mi się na Werel?

Udzielała sobie natychmiastowej odpowiedzi: Uwielbiam tę planetę, uwielbiam ją. Kocham jej dziwaczne, małe, jasne słońce, połamane kawałki księżyców, góry wznoszące się niczym lodowe ściany i ludzi, ludzi o czarnych oczach bez białek, jak oczy zwierząt, jak ciemne szkło, jak ciemna woda, tajemnicze; chcę ich kochać, chcę do nich dotrzeć!

Musiała jednak przyznać, że ludzie z ambasady mieli rację co do jednego: życie kobiety na Werel nie było łatwe. Nigdzie nie pasowała. Chodziła sama, piastowała urząd publiczny, co stanowiło sprzeczność samą w sobie; prawdziwe kobiety zostawały w domach, niewidzialne. Tylko niewolnice chodziły po ulicach, spotykały obcych lub pracowały w miejscach publicznych. Solly zachowywała się jak pracownica, nie jak właścicielka. Była przy tym kimś bardzo ważnym, wysłanniczką Ekumeny, państwo Gatay zaś bardzo pragnęło wstąpić do Ekumeny, a nie obrażać jej wysłanników. Dlatego urzędnicy, dworzanie i biznesmeni, z którymi rozmawiała o sprawach Ekumeny, starali się, jak tylko mogli, co oznaczało, że traktowali Solly jak mężczyznę.

Ta mistyfikacja nigdy nie była całkowita i często rozsypywała się w drobny mak. Biedny stary król obłapiał ją, kiedy mógł, ponieważ majaczyło mu się, że Solly jest jedną z jego nałożnic. Kiedy sprzeciwiła się panu Gatuyo w dyskusji, spojrział na nią z niedowierzaniem człowieka, do którego przemówił jego but. Pan Gatuyo myślał o Solly jak o kobiecie. Jednak generalnie odpłciwienie zdawało egzamin, umożliwiając Solly pracę z mieszkańcami Gatay. Zaczęła odnajdywać swoje miejsce. Zatrudniała kobiety, które pomagały Rewe szyć ubrania podobne do tych, które mężczyźni nosili w Gatay; musiały być takie, by mężczyźni nie uznali ich za zbyt kobiece. Rewe była szybką,

inteligentną szwaczką. Jasne, ciężkie, obcisłe spodnie były praktyczne i dobrze się w nich wyglądało, haftowane marynarki cudownie grzały. Solly lubiła w nich chodzić. Jednak wobec mężczyzn, którzy nie mogli zaakceptować jej takiej, jaka była, czuła się wyzbyta płci. Brakowało jej rozmowy z kobietą.

Za pośrednictwem właścicieli usiłowała poznać inne ukryte właścicielki i napotykała mur grzeczności bez drzwi, bez dziurki od klucza. Cóż za wspaniałe pomysły; na pewno zorganizujemy spotkanie, kiedy pogoda się poprawi! Byłbym niezmiernie zaszczycony, gdyby wysłanniczka spotkała się z panią Mayoyo i moimi córkami, ale moje głupiutki, prowincjonalne dziewczęta są tak niewybaczalnie nieśmiałe, z pewnością pani rozumie. Och, z pewnością, z pewnością, spacer po wewnętrznych ogrodach, ale nie teraz, kiedy winorośl nie kwitnie! Musimy poczekać, aż zakwitnie!

Nie miała z kim rozmawiać, dopóki nie spotkała makila Batikama.

Była to prawdziwa atrakcja: wycieczka krajoznawcza z Voe Deo. W małej górskiej stolicy Gatay życie rozrywkowe ograniczało się do tancerzy świątynnych – oczywiście samych mężczyzn – oraz do emitowanej przez sieć wereliańską łzawej fuszerki, która uchodziła za sztukę dramatyczną. Solly zacisnęła zęby i obejrzała kilka z tych produkcji, mając nadzieję, że zobaczy trochę „domowego” życia, ale nie mogła strawić mdlejących panien, które umierały z miłości, podczas gdy sztywni, tępi bohaterowie, wszyscy o wyglądzie majora, szlachetnie ginęli w bitwie. Wtedy Tual Litościwa wychylała się z chmur i przyglądała się z uśmiechem ich śmierci, zezując przy tym i błyskając białkami oczu, co stanowiło oznakę boskości. Solly już wcześniej zauważyła, że wereliańscy mężczyźni nigdy nie podłączali się do sieci, by obejrzeć dramat. Teraz wiedziała dlaczego. Przyjęcia w pałacu oraz bankiety wydawane na jej cześć przez różnych panów i biznesmenów były dość nudne. Brali w nich udział sami mężczyźni, ponieważ nie wpuszczano niewolnic w obecności wysłanniczki. Solly nie mogła flirtować nawet z najmiłszymi panami, nie mogła im przypominać, że byli mężczyznami, ponieważ tym sposobem przypominałaby im, że jest kobietą, która nie zachowuje się jak dama. Podniosły nastrój zdecydowanie opadł, kiedy wreszcie weszła trupa makilów.

Zapytała Sana, wiarygodnego doradcę do spraw etykiety, czy mogłaby obejrzeć występ. Po długim chrząkaniu, z większą niż zwykle śliską delikatnością dał jej do zrozumienia, że może to zrobić, pod warunkiem że ubierze się jak mężczyzna.

– Rozumie pani, kobiety nie pokazują się w miejscach publicznych. Czasami jednak bardzo chcą zobaczyć tancerzy. Pani Amatay każdego roku chodziła na występy z panem Amatayem przebrana w jego rzeczy. Wszyscy wiedzieli, ale nikt nie pisnął ani słowa. Pani, tak wybitna osoba, może pójść. Nikt nic nie powie. Oczywiście ja i rega pójdziemy z panią. Jak przyjaciele. No, wie pani, trzech dobrych przyjaciół idzie obejrzeć tańce, dobrze?

– Dobrze – odparła posłusznie Solly. Co za frajda!

Pomyślała jednak, że warto obejrzeć tancerzy makilów.

Ich występów nigdy nie pokazywano w sieci. Młode dziewczęta nie powinny oglądać występów tancerzy, ponieważ niektóre, jak poinformował ją posępnie San, były nieprzyzwoite. Tancerze występowali wyłącznie w teatrach. Komedianci, tancerze, prostytutki, aktorzy, muzycy, makilowie tworzyli swego rodzaju podklasę; byli jedynymi pracownikami, którzy nie stanowili niczyjej własności. Utalentowany chłopiec, niewolnik zakupiony przez Korporację Rozrywkową od jego właściciela, przechodził na jej własność:

korporacja szkolila go i otaczała opieką do końca życia.

Poszli do teatru, oddalonego o sześć czy siedem ulic. Solly zapomniała, że wszyscy makilowie byli transwestytami. Nie pamiętała o tym nawet wtedy, gdy zobaczyła ich po raz pierwszy. Grupa wysokich, szczupłych tancerzy wypadła na scenę z precyzją i gracją wielkich ptaków, które kołowały, zbierały się w stada, wzbijały się w górę. Solly była zafascynowana ich pięknem. Nagle muzyka się zmieniła i weszli komedianci, czarni jak noc, czarni jak właściciele, ubrani w fantastyczne spódnice do ziemi, z fantastycznymi sterczącymi piersiami zdobnymi w klejnoty. Śpiewali cichymi, omdlewającymi głosami:

– Och, proszę mnie nie gwałcić, miły panie, nie, nie, nie teraz!

To są mężczyźni! – uzmysłowiła sobie wtedy Solly i nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Kiedy Batikam zakończył swój numer popisowy, cudowny monolog dramatyczny, Solly należała już do grona jego wielbicieli.

– Chcę go poznać – powiedziała do Sana w przerwie między aktami. – Chcę poznać aktora Batikama.

Twarz Sana przybrała pusty wyraz, który oznaczał, że intensywnie myśli, jak zorganizować spotkanie i zarobić na tym trochę pieniędzy. Jednak major jak zwykle czuł. Sztywny jakby kij połknął, odwrócił tylko głowę i spojrzał na Sana. Wtedy wyraz twarzy Sana zaczął się zmieniać.

Gdyby życzenie Solly było nie na miejscu, San zasygnalizowałby jej to lub powiedział. Nadęty major po prostu ją kontrolował, próbował trzymać w ryzach jako jedną ze „swoich” kobiet. Nadszedł czas, by stawić mu czoło. Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy:

– Rega Teyeo – powiedziała – doskonale rozumiem, że dostał pan rozkazy, by trzymać mnie w ryzach. Jeżeli jednak chce pan wydawać rozkazy mnie lub Sanowi, muszą zostać wypowiedziane i uzasadnione. Nie będzie pan mną rządzić za pomocą mrugnięć czy przelotnych kaprysów.

Nastąpiła znacząca przerwa, prawdziwie rozkoszna i satysfakcjonująca przerwa. Solly nie wiedziała, czy wyraz twarzy majora uległ zmianie; słabe oświetlenie w teatrze nie pozwalało dostrzec żadnego szczegółu na jego niebieskoczarnej twarzy. W jego bezruchu wyczuła jednak coś lodowatego, co uzmysłowiło jej, że go poskromiła.

– Polecono mi panią chronić, wysłanniczko – powiedział wreszcie.

– Czy ze strony makilów grozi mi jakieś niebezpieczeństwo? Czy jest coś niestosownego w tym, że wysłanniczka Ekumeny gratuluje wielkiemu artyście z Werel?

Znowu to lodowate milczenie.

– Nie – powiedział w końcu major.

– Wobec tego żądam, aby towarzyszył mi pan po przedstawieniu, kiedy pójdę za kulisy pogratulować Batikamowi.

Sztywne skinienie głową. Sztywne, chłodne skinienie głową, które oznaczało przyznanie się do porażki. Jeden zero dla mnie, pomyślała triumfalnie Solly. Uradowana, oparła się na krześle i zaczęła oglądać grę światła, tańce erotyczne oraz dziwnie poruszający krótki dramat, którym wieczór się zakończył. Aktorzy recytowali archaiczną, trudną do zrozumienia poezję, ale byli tak piękni, a ich głosy tak czułe, że Solly napłynęły łzy do oczu, chociaż sama nie bardzo wiedziała dlaczego.

– Szkoda, że makilowie zawsze czerpią inspirację z *Arkamye* – powiedział San tonem kołtuńskiej, pobożnej dezaprobaty. Nie pochodził ze zbyt wysokiej klasy, nie posiadał

żadnych pracowników, był jednak właścicielem, sfanatyzowanym tualitem i lubił o tym przypominać. – Sceny z *Wcieleń Tual* byłyby bardziej godne takiej widowni.

– Jestem pewna, że pan się z tym zgadza, rego – powiedziała Solly, napawając się własną ironią.

– W żadnym razie – odparł major z taką głuchą uprzejmością, że początkowo Solly nie zrozumiała, co powiedział. Potem jednak, w zamęcie przeciskania się między fotelami, zapomniała o tej drobnej zagadce. Weszli za kulisy i do garderoby tancerzy.

Kiedy dyrektorzy zrozumieli, kim jest Solly, próbowali wyprosić wszystkich tancerzy i zostawić ją sam na sam z Batikamem (oraz, rzecz jasna, z Sanem i majorem), jednak Solly powiedziała:

– Nie, nie, nie, tym cudownym artystom nie wolno przeszkadzać, pozwólcie mi tylko porozmawiać przez chwilę z Batikamem.

Stała tam pośród zdejmowanych kostiumów, półnagich ludzi, rozmazanych makijaży, śmiechów, opadającego napięcia po występie, tak jak się dzieje we wszystkich garderobach, we wszystkich światach. Rozmawiała z inteligentnym mężczyzną w wyszukany archaicznym kobiecym kostiumie. Od razu się porozumieli.

– Czy możesz przyjść do mnie do domu? – spytała.

– Z przyjemnością – odparł Batikam i nie zerknął przy tym ani na Sana, ani na majora. Był pierwszym niewolnikiem, jakiego spotkała, który, chcąc coś zrobić czy powiedzieć, nie prosił o pozwolenie jej strażnika ani przewodnika. Zerknęła na nich, by sprawdzić, czy ich to zaszokowało. San wyglądał jak wspólnik w nieczystej sprawie. Major stał bez ruchu.

– Za chwilę wrócę – powiedział Batikam. – Muszę się przebrać.

Wymienili uśmiechy i Solly wyszła z garderoby. Entuzjazm powrócił. Olbrzymie, bliskie gwiazdy zwisały w księżycach jak ogniste grona. Jeden z księżyców potknął się o lodowe szczyty, inny kołysał się nad spiralnymi iglicami pałacu jak lampa odwrócona do góry dnem. Solly szła ciemną ulicą, ciesząc się ze swobody i ciepła, jakie dawało jej męskie ubranie. San musiał przebierać nogami, by dotrzymać jej kroku; długonogi major nie zostawał w tyle.

– Wyślaniczko! – rozległ się nagle wysoki, przenikliwy głos.

Solly odwróciła głowę z uśmiechem, ale nagle okręciła się gwałtownie, widząc, że major szarpie się z kimś w cieniu portyku. Teyeo uwolnił się, dogonił Solly bez słowa, zamknął jej ramię w żelaznym uścisku i pobiegł, ciągnąc ją za sobą.

– Niech pan mnie puści! – krzyknęła Solly, próbując się wyrwać. Nie chciała uciekać się do *aiji*, ale nie widziała innego sposobu, żeby się uwolnić.

Nagłym szarpnięciem pociągnął Solly w zaułek z taką siłą, że omal nie straciła równowagi. Pobiegła za majorem, pozwalając, by nadal trzymał ją za ramię. Nieoczekiwanie znaleźli się na jej ulicy, przed bramą domu Solly. Weszli, major otworzył drzwi jednym słowem. Jak on to zrobił?

– Co się dzieje? – spytała kategorycznie i wyrwała mu się bez trudu. Złapała się za ramię w miejscu, gdzie powstał siniak od uścisku majora.

Na widok przelotnego uśmieszku na twarzy Teyeo wpadła we wściekłość.

– Czy stała się pani krzywda? – spytał zdyszany.

– Krzywda? Owszem, kiedy pan mnie szarpnął. Jak się panu zdaje, co pan tam wyczyniał?

– Trzymałem tego faceta na dystans.

– Jakiego faceta?

Major milczał.

– Tego, który wołał? Może chciał ze mną porozmawiać!

– Być może – odparł po chwili major. – Stał w cieniu. Sądziłem, że jest uzbrojony. Muszę pójść poszukać Sana Ubattata. Proszę, by drzwi były zamknięte na klucz, dopóki nie wrócę.

Wydając ten rozkaz, mijał już próg; nawet nie przyszło mu na myśl, że Solly mogłaby nie posłuchać. Rzeczywiście posłuchała, piniąc się z wściekłości. Czy uważał, że nie potrafiła się o siebie zatroszczyć? Że potrzebowała go, by wtrącał się do jej życia, rozstawiał niewolników po kątach, „ochraniał” ją? Może nadszedł czas, by się dowiedział, jak wygląda chwyt *aiji*. Był silny i szybki, ale nie miał prawdziwego wykszolenia. Nie mogła tolerować takiej amatorszczyzny; postanowiła, że znowu złoży protest w ambasadzie.

Kiedy tylko wpuściła majora z powrotem do środka, zdenerwowany, zawstydzony San dreptał tuż za nim.

– Otworzył pan drzwi do mojego domu za pomocą hasła. Nie poinformowano mnie, że ma pan prawo wstępu w dzień i w nocy – powiedziała.

– Nie, psze pani – odparł major, a na jego twarzy ponownie pojawiła się obojętna wojskowa maska.

– Nie wolno panu tego więcej robić. Nigdy więcej nie wolno panu łapać mnie za ramię. Muszę pana uprzedzić, że jeśli jeszcze raz pan to zrobi, wyrządę panu krzywdę. Jeżeli coś pana zaalarmuje, proszę mnie o tym powiadomić, a ja zareaguję tak, jak uznam za stosowne. Teraz proszę wyjść.

– Z przyjemnością, psze pani – powiedział major, zrobił w tył zwrot i odmaszerował.

– O pani, o wysłanniczko – zaczął San. – To była niebezpieczna osoba, bardzo niebezpieczni ludzie, tak mi przykro, to hańba – paplał dalej.

W końcu Solly udało się z niego wydusić, kim według Sana był tajemniczy napastnik – jednym z wyznawców dawnej wiary, którzy trzymali się pierwotnej religii Gatay i chcieli wygnać lub zabić wszystkich cudzoziemców.

– Niewolnik? – spytała z zainteresowaniem, a San spojrzał na nią zszokowany.

– Och, nie, nie, człowiek, ale to zblakana owca, fanatyk, pogański fanatyk! Ci ludzie nazywają siebie nożownikami. Ale to człowiek, wysłanniczko, z całą pewnością człowiek!

Myśl o tym, że Solly mogła uznać, iż dotknął jej pracownik, zmartwiła Sana równie mocno, jak próba napaści. O ile była to próba napaści.

Zastanawiając się nad tym, Solly zaczęła podejrzewać, że skoro ona utarła majorowi nosa w teatrze, może on znalazł wymówkę, by jej utrzyć nosa, „ochraniając ją”. Cóż, jeżeli major jeszcze raz tego spróbuje, wyląduje do góry nogami pod przeciwległą ścianą.

– Rewe! – zawołała, a niewolnica pojawiła się natychmiast, jak zwykle. – Jeden z aktorów przychodzi do mnie w odwiedziny. Czy zechciałabyś zrobić nam herbaty lub czegoś w tym rodzaju?

– Tak – powiedziała Rewe z uśmiechem i zniknęła.

Rozległo się pukanie do drzwi. Major otworzył je – musiał stać na straży na zewnątrz – i do domu wszedł Batikam.

Solly nie przyszło wcześniej na myśl, że makil nadal będzie miał na sobie kobiece ubranie, ale poza sceną również się tak nosił. Strój nie był może tak wspaniały, jak

kostium tancerza, ale elegancki, z delikatnych, zwiewnych materiałów w ciemnych, subtelnym barwach, jak kostiumy mdlejących dam na scenie. Solly pomyślała, że zestawienie stroju aktora z jej męskim ubraniem jest dość pikantne. Batikam nie był tak przystojny, jak major, który wyglądał zabójczo, dopóki się nie odezwał; ale makil miał w sobie magnetyzm, przyciągał wzrok. Jego ciemna skóra była szarobrazowa, nie niebieskoczarna, jaką tak szczyli się właściciele (choć Solly widziała też wielu czarnych pracowników; oczywiście, skoro każda niewolnica była seksualną służącą swego właściciela). Głęboka, żywa inteligencja i współczucie promieniowały z jego twarzy spod czarnego makijażu makila, kiedy z uroczym śmiechem spojrzął na Solly, Sana i stojącego przy drzwiach majora. Batikam śmiał się jak kobieta, ciepłym, perlistym śmiechem, nie męskim, rubasznym. Wyciągnął ręce do Solly, a ona podeszła do niego i ujęła je w dłonie.

– Dziękuję ci, że przyszedłeś, Batikamie! – powiedziała.

– Dziękuję, że mnie zaprosiłaś, obca wysłanniczko! – odpowiedział.

Solly odwróciła się do Sana.

– Chyba wiesz, co masz zrobić?

Tylko niepewność co do tego, jak powinien się zachować, mogła przewodnika spowolnić. Nawet po słowach Solly wahał się chwilę, po czym rzekł:

– Tak, przepraszam bardzo, życzę dobrej nocy, wysłanniczko! Do zobaczenia jutro w południe w Urzędzie Kopalń, jak sądzę?

Wycofując się, wpadł prosto na majora, który stał w drzwiach jak kołek. Solly spojrzała na niego, gotowa wyprosić go bez dalszych ceregieli – jak śmiał się wpychać z powrotem! – i zobaczyła wyraz jego twarzy. Ten jeden raz obojętna maska pękła, a spod spodu wychyłała pogarda. Spoglądał na nią z pełną niedowierzania i obrzydzenia pogardą, niczym człowiek, któremu kazano patrzeć, jak ktoś je łajno.

– Wynoś się – powiedziała Solly i odwróciła się do nich obu plecami. – Chodź, Batikamie, tylko tutaj mam nieco prywatności.

Z tymi słowami wprowadziła makila do sypialni.

Urodził się tam, gdzie jego ojcowie urodzili się przed nim, w starym, zimnym domu u podnóża gór nad Noeha. Jego matka nie krzyczała, kiedy wydawała go na świat, ponieważ była żoną, a teraz także matką żołnierza. Otrzymał imię po bracie swego dziadka, który poległ w Sosa. Wychował się w surowej dyscyplinie, w ubogiej rodzinie o czystym veockim rodowodzie. Ojciec, kiedy przyjeżdżał na przepustki, uczył go rzeczy, które musi znać żołnierz; kiedy ojciec pozostawał na służbie, obowiązki nauczyciela przejmował stary pracownik, sierżant o imieniu Habbakam. Lekcje zaczynały się o piątej nad ranem, zarówno latem, jak i zimą, od modlitw, szermierki i biegów przełajowych. Matka i babka wpoila mu inne nauki, które musi znać mężczyzna, począwszy od dobrych manier, zanim skończył dwa lata, a po drugich urodzinach uczyły go historii, poezji i umiejętności siedzenia cicho.

Dzień miał wypełniony lekcjami i najeżony dyscypliną, ale jak wszystkim dzieciom wydawał się długi. Znajdował się w nim czas i na wolność, w obejściu i pośród wzgórz. Towarzystwa dotrzymywały chłopcu zwierzęta domowe, lisy, psy, łaciate koty, koty myśliwskie, bydło i konie; poza tym nie miał właściwie nikogo. Pracownicy należący do

rodziny, oprócz Habbakama i dwóch domowych służących, dzierżawili i uprawiali kamienistą ziemię u podnóża gór, na której oni i ich właściciele żyli od niepamiętnych czasów. Dzieci pracowników miały jasną cerę, były nieśmiałe i już przygarbione pracą, która miała trwać całe życie; nie interesowały się niczym poza swoimi polami i wzgórzami. Czasami, latem, pływały z Teyeo w rozlewiskach rzeki. Niekiedy chłopiec zbierał wokół siebie kilkoro dzieciaków, żeby bawili się z nim w wojsko.

– Do ataku! – krzyczał, a dzieci przestępowały z nogi na nogę, uśmiechały się ukradkiem, po czym pędziły na niewidzialnego wroga. – Za mną! – krzyczał przenikliwie Teyeo, a dzieci ciągnęły za nim, strzelając na oślep z karabinów zrobionych z gałęzi, pif-paf! Zazwyczaj wypuszczał się sam, na wiernej klaczy Tasi lub z kotem myśliwskim u boku.

Niekiedy do posiadłości przyjeżdżali goście, krewni lub oficerowie zaprzyjaźnieni z ojcem Teyeo, przywożąc ze sobą dzieci i służbę. W milczeniu i grzecznie Teyeo oprowadzał dzieci, przedstawiał je zwierzętom, zabierał na przejażdżki. W milczeniu i spokojnie on i jego kuzyn Gemat zapalali do siebie nienawiścią; w wieku czternastu lat walczyli przez godzinę na polanie za domem, drobiazgowo trzymając się reguł zapasów. Bezlitośnie zadawali sobie ból, z każdą chwilą stawali się coraz słabsi, bardziej zakrwawieni i zdesperowani, aż wreszcie, za obopólną zgodą, uznali walkę za zakończoną i w milczeniu wrócili do domu, gdzie wszyscy schodzili się na kolację. Domownicy spojrzeli na chłopców i nie powiedzieli ani słowa. Kuzyni umyli się pospiesznie i usiedli do stołu. Nos Gemata krwawił podczas całego posiłku; Teyeo miał tak obolałą szczękę, że nie mógł otworzyć ust, by coś zjeść. Nikt tego nie skomentował.

W milczeniu i spokojnie, kiedy oboje mieli po piętnaście lat, Teyeo i córka regi Toebawe zakochali się w sobie. Ostatniego dnia jej pobytu, nie umawiając się wcześniej, uciekli i pogalopowali na koniach, zbyt nieśmiali, by się odezwać. Teyeo dał dziewczynie klacz Tasi. Zsiedli z koni, żeby je napić i pozwolić im wypocząć w dzikiej dolinie wśród wzgórz. Siedzieli obok siebie, niezbyt blisko, nad małym, cicho szemrzącym strumieniem.

– Kocham cię – powiedział Teyeo.

– Kocham cię – powiedziała Emdu, pochylając jaśniejącą czarną twarz.

Nie dotknęli się ani nie spojrzeli na siebie. Pogalopowali z powrotem przez wzgórza, radośni, milczący.

W wieku szesnastu lat Teyeo został wysłany do Akademii Oficerskiej w stolicy prowincji. Tam dalej szkolił się w naukach i praktyce sztuk wojennych i pokojowych. Prowincja Teyeo była najbardziej wiejską z prowincji Voe Deo; styl życia był tu konserwatywny, a szkolenie pod pewnymi względami anachroniczne. Nauczono go, rzecz jasna, technologii współczesnej sztuki wojennej. Został pierwszorzędnym pilotem straków i ekspertem w telerekonesansie, ale nie nauczono go współczesnych stylów myślenia, które w innych szkołach wykładano równolegle z technologiami. Poznał poezję i historię Voe Deo, ale nie historię i politykę Ekumeny. Obecność obcych na Werel pozostawała dla Teyeo czymś odległym, teoretycznym. Jego rzeczywistość była dawną rzeczywistością klasy veotów. Należący do niej mężczyźni trzymali się z dala od wszystkich mężczyzn niebędących żołnierzami i pozostawali w braterskich stosunkach ze wszystkimi, którzy byli żołnierzami, zarówno z właścicielami, jak i pracownikami czy wrogami. Co się tyczy kobiet, Teyeo uważał, że sprawuje nad nimi władzę absolutną. Obowiązywała go rycerskość wobec kobiet należących do jego klasy, a niewolnice miał traktować łaskawie i

otaczać opieką. Wierzył, że wszyscy cudzoziemcy byli wrogimi, niegodnymi zaufania poganami. Szanował Panią Tual, ale modlił się do Pana Kamyę. Nie oczekiwał sprawiedliwości, nie szukał nagrody, a ponad wszystko cenił kompetencję, odwagę i szacunek. Pod pewnymi względami był całkowicie nieprzystosowany do świata, do którego miał wejść, pod innymi zaś doskonale przygotowany, ponieważ miał spędzić siedem lat na Yeowe, prowadząc wojnę, w której nie było sprawiedliwości, nagrody ani choćby iluzji ostatecznego zwycięstwa.

Stopnie oficerskie w klasie veotów były dziedziczne. Teyeo wstąpił na służbę w randze regi, najwyższym z trzech stopni veockich. Żaden przejaw niekompetencji czy zasługa nie mogły obniżyć ani podwyższyć jego statusu lub gaży. Członek klasy veotów aspiracje materialne miał za nic, ale na honor i odpowiedzialność należało zapracować, a Teyeo zapracował na nie szybko. Uwielbiał służbę, uwielbiał żołnierski styl życia, wiedział, że jest w tym dobry, inteligentnie posłuszny, skuteczny w dowodzeniu. Ukończył akademię z najwyższymi wyróżnieniami, a wysłany do stolicy zwrócił na siebie uwagę jako obiecujący oficer, a zarazem sympatyczny młody człowiek. W wieku dwudziestu czterech lat był absolutnie sprawny, jego ciało mogło zrobić wszystko, o co je poprosił. Surowe wychowanie nie dało mu zakosztować rozkoszy, nauczył się jednak doceniać przyjemności, toteż luksusy i rozrywki stolicy stanowiły dla niego cudowne odkrycie. Zachowywał się z rezerwą i był dość nieśmiały, ale towarzyski i wesoły. Jako przystojny młody człowiek, należący do grupy ludzi bardzo do niego podobnych, przez rok poznawał, co to znaczy prowadzić uprzywilejowane życie i czerpać z niego radość. Intensywność tej radości kontrastowała z mrocznym tłem wojny w Yeowe, z rewoltą niewolników na planecie-kolonii, która trwała przez całe życie Teyeo, a teraz przybierała na sile. Bez tego tła szczęście Teyeo nie byłoby tak zupełne. Nie interesował się gramami i rozrywkami, a kiedy otrzymał rozkazy – powierzono mu stanowisko pilota i dowódcy dywizji w Yeowe – szczęście Teyeo prawie osiągnęło pełnię.

Pojechał do domu na trzydziestodniową przepustkę. Za aprobatą rodziców udał się przez wzgórze do posiadłości regi Toebawe i poprosił o rękę ich córki. Rega i jego żona powiedzieli córce, że zgadzają się na propozycję Teyeo, a ponieważ nie byli surowymi rodzicami, zapytali ją, czy chce go poślubić.

– Tak – odparła.

Jako dorosła, niezamężna kobieta mieszkała osobno, w części domu przeznaczonej dla kobiet, ale pozwalano jej spotykać się, a nawet spacerować z Teyeo; przyzwoitka trzymała się na dystans. Teyeo powiedział ukochanej, że wysłano go na trzyletnią służbę, i zapytał, czy chce poślubić go teraz w pośpiechu, czy też poczekać trzy lata na prawdziwy ślub.

– Teraz – odrzekła i pochyliła wąską, jasną twarz.

Teyeo zaśmiał się z radości, a ona zaśmiała się z niego. Dziewięć dni później wzięli ślub – nie mogło się to stać wcześniej, nie mogło się obyć bez zamętu i pompy, chociaż był to ślub żołnierza, i przez siedemnaście dni Teyeo i Emdu kochali się, chodzili razem na spacer, kochali się, jeździli razem konno, kochali się, poznawali się, zakochiwali się w sobie, kłócili się, godzili, kochali się, zasypiali w swoich ramionach. Potem Teyeo wyjechał na wojnę, a Emdu przeprowadziła się do części domu męża przeznaczonej dla kobiet.

Służba, która początkowo miała trwać trzy lata, przeciągała się rok za rokiem, w miarę jak coraz bardziej doceniano wartość Teyeo jako oficera, a wojna na Yeowe zmieniała się z bezładnych działań, mających na celu powstrzymanie nieprzyjaciela, w coraz bardziej

rozpaczliwy odwrót. W siódmym roku służby do bazy w Yeowe przyszedł rozkaz dla regi Teyeo, wzywający go do domu, ponieważ jego żona umierała na berlot. W tym okresie na Yeowe nie było bazy; armia wycofywała się z trzech kierunków ku starej stolicy kolonii. Dywizja Teyeo osłaniała tyły na nadmorskich mokradłach; łączność została przerwana.

Dowództwo na Werel wciąż nie mogło pojąć, że banda ciemnych niewolników, dysponująca najbardziej prymitywnymi rodzajami broni, mogła pokonać armię Voe Deo, zdyscyplinowanych żołnierzy, którzy posługiwali się niezawodną siecią łączności, ślizgaczami, strąkami oraz wszystkimi rodzajami broni dozwolonymi przez Konwencję Ekumenalną. Radykalne frakcje w Voe Deo składały niepowodzenia na karb uległości wobec reguł obcych. Do diabła z konwencjami ekumenalnymi. Wypędzić bombami przeklętych brudasów z powrotem do błota, z którego powstał. Posłużyć się biobombą, no bo po co ją skonstruowano? Zabrać naszych ludzi z tej ohydnej planety i wyczyścić ją do cna. Zacząć od nowa. Jeżeli nie wygramy wojny na Yeowe, następna rewolucja wybuchnie tutaj, na Werel, w naszych miastach i domach! Niepewny rząd opierał się tym naciskom. Werel była w okresie przejściowym, a władze w Voe Deo chciały przyłączyć planetę do Ekumeny. Porażki były pomniejszane, strat nie nadrabiano, nie uzupełniano ubytków ślizgaczy, strąków, broni i ludzi. Pod koniec siódmego roku służby Teyeo rząd na dobrą sprawę postawił krzyżyk na armii na Yeowe. Na początku ósmego roku, kiedy Ekumena otrzymała w końcu pozwolenie na wysłanie oddziałów na Yeowe, Voe Deo i inne kraje, które wydelegowały oddziały pomocnicze, wreszcie zaczęły sprowadzać żołnierzy z powrotem.

Dopiero po powrocie na Werel Teyeo dowiedział się o śmierci żony.

Pojechał do domu do Noeha. Z ojcem przywitał się milczącym uściskiem, ale matka objęła Teyeo i wybuchnęła płaczem. Uklęknął, przepraszając za to, że przysporzył jej zgryzot.

Tej nocy leżał w zimnym pokoju w cichym domu i wsłuchiwał się w powolne, głośne bicie serca. Nie czuł się nieszczęśliwy; przepelniało go uczucie ulgi, ponieważ wreszcie odnalazł spokój, a przy tym cieszył się z powrotu do domu. Był to jednak spokój zabarwiony poczuciem opuszczenia, a gdzieś w głębi duszy krył się gniew. Ponieważ Teyeo nie przywykł do gniewu, nie miał pewności, co właściwie czuje. Słaby, posępny czerwony płomień zabarwiał każdy obraz w jego umyśle, kiedy leżał i przypominał sobie siedem lat spędzonych na Yeowe – najpierw jako pilot, potem wojna na lądzie, potem długi odwrót, zabijanie, śmierć wokół. Dlaczego zostawiono ich tam na pastwę wroga? Dlaczego rząd nie wysłał posiłków? Zadawanie takich pytań nie miało sensu ani wtedy, ani teraz. Istniała tylko jedna odpowiedź: Robimy to, o co nas proszą, i nie skarżymy się. Walczyłem na wszystkich odcinkach tej wojny, myślał Teyeo bez dumy. Nowa wiedza przecięła wszelką inną jak nóż: Podczas gdy ja walczyłem, ona umierała. Cała ta historia na Yeowe poszła na marne. Usiadł w ciemnościach, w zimnym, cichym, słodkim mroku nocy pośród wzgórz.

– Panie Kamy – powiedział na głos. – Pomóż mi. Moje myśli mnie zdradzają.

Podczas długiego urlopu często siadywał z matką. Chciała rozmawiać o Emdu, a Teyeo musiał początkowo zmuszać się do słuchania. Łatwo zapomniałby o dziewczynie, którą znał przez siedemnaście dni przed siedmioma laty, gdyby tylko matka pozwoliła mu o niej zapomnieć. Stopniowo nauczył się brać to, co matka chciała mu dać: wiedzę o tym, kim była jego żona. Matka pragnęła się z nim dzielić radością, jaką znajdowała w Emdu,

kochanym dziecku i przyjaciółce. Nawet ojciec Teyeo, teraz na emeryturze, przygaszony, milkliwy człowiek, zdołał powiedzieć:

– Emdu była światłem tego domu.

Rodzice dziękowali Teyeo za Emdu. Mówili mu, że nie wszystko poszło na marne.

Ale co ich czekało? Starość, pusty dom. Oczywiście nie narzekali i zdawało się, że znajdują zadowolenie w surowej, spokojnej rutynie codziennych zajęć. Jednak ciągłość między przeszłością a przyszłością została dla nich przerwana.

– Powinienem się powtórnie ożenić – powiedział Teyeo do matki. – Czy zwróciłaś na kogoś uwagę...?

Padał deszcz, szare światło sączyło się przez mokre szyby, krople bębniły cicho po okapach. Matka pochyliła głowę nad cerowaniem, jej twarz skryła się w mroku.

– Nie – odparła. – Właściwie nie. – Podniosła wzrok i po chwili milczenia zapytała: – Jak sądzisz, dokąd zostaniesz wysłany?

– Nie wiem.

– Teraz nie ma wojny – powiedziała swoim łagodnym, spokojnym głosem.

– Nie – przyznał Teyeo. – Nie ma wojny.

– Czy myślisz, że... jeszcze kiedyś wybuchnie?

Teyeo wstał, przeszedł się po pokoju, wrócił, znowu usiadł obok matki na podwyższeniu wyłożonym poduszkami. Oboje siedzieli wyprostowani, nieruchomi, tylko matka, która szyła, nieznacznie poruszała dłonią. Teyeo lekko opierał dłoń na dłoni, jak nauczono go, kiedy miał dwa lata.

– Nie wiem – powiedział. – To dziwne. Odnoszę wrażenie, jakby nigdy nie było wojny. Jakbyśmy nigdy nie stacjonowali na Yeowe, nie było kolonii, powstania, tego wszystkiego. Oni o tym nie wspominają. To się nie zdarzyło. Nie prowadzimy wojen. Nastął nowy wiek, jak często mówią w sieci. Wiek pokoju, międzygwiazdowego braterstwa. Czy w takim razie jesteśmy teraz braćmi Yeowe? Czy jesteśmy braćmi Gatay, Bamburu, Czterdziestu Stanów? Nic z tego nie rozumiem. Nie wiem, co mają na myśli. Nie wiem, gdzie jest moje miejsce. – Głos Teyeo również był cichy i miarowy.

– Myślę, że nie tutaj – powiedziała matka. – Jeszcze nie teraz.

– Myślałem... o dzieciach... – powiedział po chwili Teyeo.

– Oczywiście. Kiedy nadejdzie czas. – Uśmiechnęła się do syna. – Nigdy nie mogłeś usiedzieć pół godziny w jednym miejscu... Poczekaj. Poczekaj i zobacz.

Matka miała oczywiście rację, a jednak to, co Teyeo oglądał w sieci, wystawiało na próbę jego cierpliwość i dumę. Przynależność do stanu żołnierskiego była teraz hańbą. W raportach rządowych, w wiadomościach i analizach stale określano armię, a zwłaszcza klasę veotów, mianem kosztownych i bezużytecznych reliktyw przeszłości, głównej przeszkody Voe Deo przed całkowitym przyjęciem do Ekumeny. Teyeo przekonał się o własnej bezużyteczności, kiedy na jego prośbę o przyjęcie na służbę przedłużono mu przepustkę na czas nieokreślony za połowę gaży. Miał trzydzieści dwa lata, a przełożeni najwyraźniej wysyłali go na emeryturę.

Ponownie zasugerował matce, że powinien pogodzić się z sytuacją, zamieszkać z nimi i poszukać żony.

– Porozmawiaj z ojcem – poradziła.

– Oczywiście, że twoja pomoc by się przydała – rzekł ojciec – ale na razie dam sobie radę z prowadzeniem gospodarstwa. Twoja matka uważa, że powinieneś pojechać do stolicy i

udać się do dowództwa. Nie będą mogli cię zbyć, jeśli stawisz się osobiście. Po tym wszystkim, po siedmiu latach walki, z twoją przeszłością...

Teyeo wiedział już, ile to było warte. Z pewnością jednak nie potrzebowali go w gospodarstwie i chyba irytował ojca swoimi próbami usprawnień. Rodzice mieli rację: powinien jechać do stolicy i przekonać się osobiście, jaką rolę może odegrać w nowym świecie pokoju.

Pierwsze pół roku spędzone w stolicy było ponure. Teyeo nie znał prawie nikogo w dowództwie ani w koszarach; ludzie z jego pokolenia nie żyli, zostali inwalidami albo odesłano ich do domów za połowę gaży. Młodzi oficerowie, którzy nie służyli na Yeowe, sprawiali na Teyeo wrażenie zimnych ludzi, którzy nabrali wody w usta; bez końca rozmawiali o pieniądzach i polityce. Myślał o nich jak o małych biznesmenach. Wiedział, że się go bali, bali się jego przeszłości i reputacji. Chcąc nie chcąc, przypominał im, że kiedyś była wojna, którą planeta Werel toczyła i przegrała, wojna domowa, w której walczyli między sobą, klasa zwróciła się przeciwko klasie. Oficerowie chcieli zlekceważyć tę wojnę jako pozbawioną znaczenia sprzeczkę, która nie miała z nimi nic wspólnego.

Teyeo spacerował ulicami stolicy, obserwował tysiące niewolników i niewolnic, którzy krzętałi się wokół spraw właścicieli, i zastanawiał się, na co ci ludzie czekają.

– Ekumena nie wtrąca się do społecznych, kulturalnych czy ekonomicznych stosunków i spraw innych narodów – powtarzali rzecznicy ambasady i rządu. – Zapewniamy pełne członkostwo każdemu narodowi czy państwu, pod warunkiem wyrzeczenia się pewnych szczególnych metod sztuki wojennej lub rodzajów broni.

Tu następowała lista straszliwych rodzajów broni, z których większość była dla Teyeo tylko pustymi słowami, ale kilka stanowiło wynalazek jego kraju: tak zwana biobomba, a także neuroniki.

Zgadzał się z osądem ludzi Ekumeny na temat takich rodzajów broni i szanował cierpliwość, z jaką czekali, aż Voe Deo i pozostała część planety Werel nie tylko udowodni, że potrafi sprostać zakazowi, ale także zaakceptuje samą zasadę. Mimo to głęboko irytowała go protekcyjność ludzi Ekumeny. Osądzali wszystkie sprawy planety Werel, patrząc na nie z góry. Im mniej mówili o podziałach klasowych, tym wyraźniejsza stawała się ich dezaprobatą. „Niewolnictwo występuje bardzo rzadko w światach ekumenalnych – głosiły ich książki – a znika całkowicie wraz z pełnym przystąpieniem do ustroju ekumenalnego”. Czyżby na to właśnie czekała ambasada obcych?

– Na naszą Panią! – powiedział jeden z młodych oficerów, z których wielu było tualitami i jednocześnie biznesmenami. – Obcy zamierzają przyjąć brudasów przed nami! – Nie posiadał się z oburzenia, jak stary rega z czerwoną twarzą, który ma do czynienia z krnąbrnym niewolnikiem. – Yeowe, przeklęta planeta niewolników, zacofanych plemion na poziomie barbarzyńców, zajmuje miejsce w kolejce przed nami!

– Mieszkańcy Yeowe dobrze walczyli – zauważył Teyeo, wiedząc, że nie powinien tego mówić, ale przykro mu było słuchać, jak mężczyźni i kobiety, z którymi walczył, nazywa się brudasami. Mógł przystać na takie określenia jak pracownicy, rebelianci, wrogowie.

Młody oficer przyglądał się mu przez chwilę, po czym powiedział:

– Przypuszczam, że ich kochasz, co? Tych brudasów?

– Zabiłem ich tylu, ilu tylko mogłem – odparł uprzejmie Teyeo i zmienił temat rozmowy. Młody człowiek, chociaż nominalnie górował nad Teyeo rangą, pochodził z oga, najniższej warstwy veotów, toteż dalsze ucieranie mu nosa stanowiłoby przejaw złego wychowania.

Oficerowie byli nadąsani, a Teyeo przewrażliwiony; dawne czasy radosnego koleżeństwa stały się słabym, niewiarygodnym wspomnieniem. Generałowie z dowództwa wysłuchiwali próśb Teyeo o przeniesienie go z powrotem do czynnej służby i odsyłali go bez końca do innych wydziałów. Nie mógł mieszkać w koszarach, musiał znaleźć mieszkanie jak cywil. Połowa gaży nie pozwalała na oddawanie się drogim miejskim przyjemnościom. W oczekiwaniu na spotkanie z tym czy innym urzędnikiem spędzał dni w sieci bibliotecznej Akademii Oficerskiej. Wiedział, że jego wykształcenie było niekompletne i przestarzałe. Jeżeli kraj Teyeo miał wstąpić do Ekumeny, a on chciał się okazać użyteczny, musiał lepiej poznać sposoby myślenia obcych i nowe technologie. Ponieważ nie miał pewności, czego potrzebuje, błądził po omacku w sieci, oszołomiony niewyczerpanym zasobem informacji. Coraz bardziej zdawał sobie sprawę, że nigdy nie zrozumie obcych, a mimo to uparcie rzucał się na głęboką wodę.

Pewien człowiek z ambasady zaproponował mu kurs wstępny z historii Ekumeny w sieci publicznej. Teyeo wytrwał przez osiem lub dziesięć wykładów wraz z dyskusją. Siedział wyprostowany i nieruchomy, poruszając tylko nieznacznie dłońmi, którymi robił wyczerpujące, skrupulatne notatki. Wykładowca, pochodzący z Hain, który tłumaczył swoje niezwykle długie imię haińskie jako Dawna Muzyka, zerkał na niego, próbował wciągnąć go w dyskusję, a w końcu poprosił, by nie rozłączał się po wykładzie.

– Chciałbym cię poznać, rego – powiedział, kiedy inni słuchacze się wyłączyli.

Spotkali się w kafeterii raz, potem drugi. Teyeo nie podobały się manieri obcego, który wydał mu się zbyt wylewny; nie ufał sprawnemu, sprytnemu umysłowi wykładowcy. Czuł, że Dawna Muzyka go wykorzystuje, bada go jako okaz veota, żołnierza, może barbarzyńcy. Obcy, bezpieczny w swojej wyższości, pozostawał nieczuły na chłód Teyeo, ignorował jego nieufność, nalegał, że udzieli mu potrzebnych informacji, i bezwstydnie powtarzał pytania, których Teyeo unikał. Jedno z nich brzmiało:

– Dlaczego siedzisz tutaj za połowę gaży?

– Nie robię tego z własnego wyboru, panie Dawna Muzyko – odparł wreszcie Teyeo, kiedy pytanie padło po raz trzeci. Złościł go tupet wykładowcy, toteż zaczął mówić ze szczególną łagodnością. Unikał oczu Dawnej Muzyki, niebieskawych, o białkach błyskających jak u przestraszonego konia. Nie mógł się przyzwyczaić do oczu obcych.

– Nie chcą cię przyjąć z powrotem do czynnej służby?

Teyeo grzecznie przytaknął. Czyżby ten człowiek, przy całej swojej obcości, naprawdę nie zdawał sobie sprawy z faktu, że zadaje okropnie poniżające pytania?

– Czy zechciałbyś pracować w ochronie ambasady?

Teyeo na chwilę zaniemówił, a potem dopuścił się grubiaństwa w postaci odpowiedzią pytaniem na pytanie.

– Dlaczego pytasz?

– Bardzo pragnąłbym mieć w swoich oddziałach człowieka o twoich zdolnościach – powiedział Dawna Muzyka, po czym dodał z odrażającą szczerością: – Ochroniarze to szpiedzy albo głupcy. Cudownie byłoby mieć człowieka, o którym wiem, że nie jest ani jednym, ani drugim. Byłbyś kimś więcej niż tylko strażnikiem. Przypuszczam, że twój rząd prosiłby cię o przekazywanie informacji; tego należy się spodziewać. Kiedy zdobyłbyś doświadczenie i wyraził chęć, posługiwalibyśmy się tobą jako oficerem łącznikowym. Czy wyrażam się jasno? Nie chcę, żeby doszło między nami do nieporozumień w kwestii tego, o co cię proszę, a o co cię nie proszę.

– Czy mógłbyś...? – spytał ostrożnie Teyeo.

Dawna Muzyka zaśmiał się i powiedział:

– Owszem. W twoim dowództwie jest sznurek, za który mogę pociągnąć. Ktoś jest mi winny przysługę. Czy przemyślisz moją propozycję?

Teyeo milczał przez chwilę. Już od blisko roku przebywał w stolicy, a jego prośby o przydzielenie mu zadania spotykały się tylko z biurokratycznymi unikami, ostatnio zaś z aluzjami, że dopuszcza się niesubordynacji.

– Zgodzę się od razu, jeśli mogę – powiedział z zimnym szacunkiem.

Hain spojrzał na Teyeo, a jego uśmiech ustąpił miejsca wyrazowi zamyślenia.

– Dziękuję – powiedział. – Za kilka dni otrzymasz wiadomość z dowództwa.

Tak więc Teyeo znowu włożył mundur, przeniósł się do miejskich koszar i przez kolejne siedem lat służył na obcym terytorium. Zgodnie z porozumieniem dyplomatycznym ambasada nie należała do Werel, ale do Ekumeny. Strażnicy wyposażeni przez Voe Deo rzucali się w oczy w swoich biało-złoty mundurach. Ich uzbrojenie także rzucało się w oczy, ponieważ protesty przeciwko obecności obcych nadal przybierały gwałtowną formę.

Rega Teyeo, któremu początkowo przydzielono stanowisko dowódcy oddziału tych strażników, wkrótce został przeniesiony do innych obowiązków. Miał towarzyszyć pracownikom ambasady podczas poruszania się po mieście i podróży. Służył jako ochroniarz w cywilnym ubraniu. Ambasada wolała nie posługiwać się własnymi ludźmi i bronią, ale zwracać się o pomoc do mieszkańców Voe Deo i ufać, że ich ochronią. Często też wzywano Teyeo, by służył jako przewodnik, tłumacz, a czasami towarzyszył. Nie lubił, kiedy goście z kosmosu chcieli być familiarni, pragnęli się zwierzać, wypytywali go, zapraszali do wspólnego picia. Z doskonale skrywanym niesmakiem, z doskonałą uprzejmością odrzucał takie propozycje. Wykonywał swoje obowiązki i zachowywał dystans. Wiedział, że właśnie za to ambasada go ceni. Zaufanie, jakim go obdarzali, dawało mu zimną satysfakcję.

Rząd Teyeo nigdy nie zwracał się do niego po informacje, chociaż jako strażnik ambasady dowiadywał się o rzeczach, które z pewnością by ich zainteresowały. Wywiad Voe Deo nie rekrutował agentów spośród przedstawicieli klasy veotów. Teyeo wiedział, którzy ze strażników w ambasadzie są agentami; niektórzy próbowali wyciągnąć od niego informacje, ale on nie zamierzał szpiegować dla szpiegów.

Dawna Muzyka, który, jak przypuszczał, kierował siatką wywiadowczą ambasady, zadzwonił do niego, kiedy Teyeo wrócił z zimowej przepustki do domu. Hain nauczył się nie okazywać mu swojego emocjonalnego stosunku, nie mógł jednak ukryć ciepłego tonu, kiedy go witał:

– Jak się masz, Teyeo? Mam nadzieję, że twoja rodzina cieszy się zdrowiem. Świetnie. Mam dla ciebie szczególnie delikatne zadanie. Królestwo Gatay. Byłeś tam z Kemehanem dwa lata temu, prawda? Cóż, teraz chcą, żebyśmy wydelegowali tam wysłannika. Twierdzą, że chcą się przyłączyć. Oczywiście stary król jest marionetką twojego rządu, ale to nie wszystko. Istnieje silny separatystyczny ruch religijny o nazwie Sprawa Patriotyczna. Chcą wykopać wszystkich cudzoziemców, zarówno z Voe Deo, jak i obcych. Jednak król i rada poprosili o wysłannika, a my dysponujemy tylko pewną kobietą, która dopiero co przyjechała. Może ci przysparzać problemów, dopóki nie zaczniesz orientować się w sytuacji. Sądzę, że jest nieco uparta. To doskonały materiał, ale jest jeszcze młoda, bardzo młoda. Przebywa tam dopiero od kilku tygodni. Zależy mi na tym, żebyś właśnie

ty pojechał do Gatay, ponieważ tej kobiecie przyda się twoje doświadczenie. Postępuj z nią cierpliwie, rego. Myślę, że ją polubisz.

Nie polubił jej. W ciągu siedmiu lat przyzwyczał się do obcych, do ich oczu, rozmaitych zapachów i manier. Chroniony przez swoją nieskazitelną uprzejmość i stoicki kodeks, znosił lub ignorował ich dziwne, szokujące lub kłopotliwe zachowanie, ich ignorancję i odmienną wiedzę. Chociaż służył cudzoziemcom i ochraniał ich, zachowywał się wobec nich wyniośle; ani ich nie dotykał, ani nie był dotykany. Przełożeni nauczyli się, że można na niego liczyć, ale nie wykorzystywać go. Kobiety często szybciej niż mężczyźni zauważały sygnały, żeby trzymać się od niego z daleka, i reagowały na nie. Zawarł swobodną, niemal przyjacielską znajomość z dawną obserwatorką z Terry, której towarzyszył w kilku długich rekonesansach.

– W twoim towarzystwie przebywa się równie spokojnie, co w obecności kota – powiedziała mu raz, a Teyeo cenił sobie ten komplement. Z wysłanniczką do królestwa Gatay była jednak zupełnie inna sprawa.

Pod względem fizycznym była doskonała. Miała nieskazitelną, czerwonobrazową skórę dziecka, lśniące, jedwabiste włosy i swobodny, zbyt swobodny chód. Chełpiła się dojrzałym, szczupłym ciałem przed mężczyznami, którzy nie mieli do niego dostępu; uporczywie, bezwstydnie narzucała je Teyeo i każdemu, kto się nawinął. Z nieokrzesaną pewnością siebie wyrażała opinię na każdy temat. Nie reagowała na aluzje, nie przyjmowała rozkazów. Była agresywnym, rozpieszczonym dzieckiem o seksualności osoby dorosłej, któremu powierzono odpowiedzialne stanowisko dyplomatyczne w niebezpiecznie niestabilnym kraju. Już przy pierwszym spotkaniu Teyeo zrozumiał, że otrzymał trudne zlecenie. Nie ufał ani sobie, ani tej kobiecie. Jej seksualna nieskromność zarówno go podniecała, jak napawała obrzydzeniem. Miał do czynienia z dziwką, którą musiał traktować jak księżniczkę. Zmuszony do znoszenia jej, nie mogąc jej ignorować, zapalał do wysłanniczki nienawiścią.

Obecnie lepiej niż dawniej radził sobie z uczuciem gniewu, ale nie przywykł do nienawiści. Nienawiść bardzo go niepokoiła. Nigdy wcześniej nie prosił o przeniesienie, ale nazajutrz po tym, jak wysłanniczka wzięła makila do swego pokoju, Teyeo wystosował krótką, oschłą prośbę do ambasady. Poczta dyplomatyczna przyniosła dźwiękową odpowiedź od Dawnej Muzyki: „Miłość do Boga i ojczyzny przypomina ogień, cudownego przyjaciela, straszego wroga. Tylko dziecko igra z ogniem. Nie podoba mi się ta cała sytuacja. Nie mam nikogo na twoje ani na jej zastępstwo. Może jeszcze trochę wytrzymasz?”.

Teyeo nie wiedział, jak odmówić. Veot nie uchylał się od obowiązków. Wstydził się, że nawet o tym pomyślał, i jeszcze bardziej znienawidził wysłanniczkę za ten wstyd.

Pierwsze zdanie depeszy było enigmatyczne, odbiegało od tradycyjnego stylu Dawnej Muzyki. Miało kwiecisty styl i ukryte znaczenie, było jak zaszyfrowane ostrzeżenie. Teyeo nie znał oczywiście żadnych szyfrów ani własnego kraju, ani Ekumeny. Dawna Muzyka musiał uciekać się do aluzji i zawoalowanych zwrotów. Miłość do Boga i ojczyzny mogła oznaczać wyznawców dawnej wiary oraz patriotów, dwie grupy dywersyjne w Gatay, obie fanatycznie sprzeciwiające się obcym wpływom, wysłanniczka zaś mogła być dzieckiem igrającym z ogniem. Czyżby jedna z tych grup nawiązała z nią kontakt? Teyeo nie widział na to dowodów, chyba że mężczyzna, który krył się w cieniu tamtej nocy, nie był nożownikiem, ale posłańcem. Teyeo przez cały dzień nie spuszczał wysłanniczki z oczu, a

jej dom znajdował się przez całą noc pod obserwacją jego żołnierzy. Z pewnością makil Batikam nie występował w imieniu żadnej z tych grup. Mógł należeć do Hame, podziemnej organizacji wyzwolenczej pracowników z Voe Deo, ale w takiej sytuacji nie mógł stanowić zagrożenia dla wysłanniczki, ponieważ członkowie Hame widzieli w Ekumenie swój bilet do Yeowe i wolności.

Teyeo łamał sobie głowę nad słowami Dawnej Muzyki, odtwarzając je raz po raz. W obliczu subtelnych zawiłości politycznego labiryntu zdawał sobie sprawę z własnej głupoty. Wreszcie skasował wiadomość i ziewnął, ponieważ godzina była późna. Wykąpał się, położył, zgasił światło.

– Panie Kamye, pozwól, bym z odwagą trzymał się jedynej szlachetnej rzeczy! – mruknął pod nosem, po czym zapadł w kamienny sen.

Makil przychodził do domu wysłanniczki noc w noc po występie. Teyeo przekonywał siebie, że nie było w tym nic niewłaściwego. W dawnych dobrych czasach przed wojną sam spędzał noce z makilami. Wyśmienity, artystyczny seks wchodził w zakres ich profesji. Teyeo słyszał plotki, że zamożne miejskie kobiety często wynajmowały makilów, by rekompensować sobie niedobór mężów. Ale nawet takie kobiety robiły to dyskretnie, w tajemnicy, a nie w ten wulgarny, bezwstydnny sposób, całkowicie nie zwracając uwagi na przyzwoitość, lekceważąc kodeks moralny, jak gdyby miała prawo robić wszystko, co chciała, wszędzie i zawsze, kiedy jej przyszła chętka. Oczywiście Batikam ochoczo na to przystał, korzystał z zauroczenia wysłanniczki, szydził z Gatajczyków, szydził z Teyeo – i szydził z niej, chociaż o tym nie wiedziała. Cóż za gratka dla pracownika, by za jednym zamachem zagrać na nosie wszystkim właścicielom!

Obserwując Batikama, Teyeo nabrał przekonania, że tancerz należy do Hame. Jego szyderstwa były bardzo subtelne; nie próbował zniesławić wysłanniczki. Zachowywał znacznie większą dyskrecję niż ona. Odplacił Teyeo tą samą zimną kurtuazją, ale raz czy dwa ich oczy się spotkały i na krótką chwilę, mimowolnie, porozumieli się w braterskiej ironii.

Wkrótce miał się odbyć publiczny festiwal w ramach tualickiego Święta Przebaczenia, na które król i rada z uporem zapraszali wysłanniczkę. Wystawiano ją na pokaz podczas wielu takich wydarzeń. Teyeo nic sobie z tego nie robił. Zastanawiał się tylko nad tym, jak zapewnić jej bezpieczeństwo w podnieconym, świątecznym tłumie. Zmienił nastawienie, kiedy San powiedział mu, że dzień festiwalu był najbardziej świętym dniem dawnej religii Gatay i że jej wyznawcy oburzali się na narzucanie obcych rytuałów. Przewodnik sprawiał wrażenie bardzo zaniepokojonego. Teyeo także się zmartwił, kiedy nazajutrz miejsce Sana zajął nagle starszy mężczyzna, który mówił prawie wyłącznie po gatajsku i w żaden sposób nie potrafił wyjaśnić, co się stało z Sanem Ubattatem.

– Zatrzymały go inne obowiązki – powiedział łamanym językiem Voe Deo, kołysząc przy tym głową i uśmiechając się. – On bardzo lubić obowiązki.

W dniach poprzedzających festiwal w mieście rosło napięcie; pojawiły się graffiti, na murach mazano symbole dawnej religii; zbezczeszczono świątynię tualitów, a po tym wydarzeniu na ulicach zaznaczyła się obecność Straży Pałacowej. Teyeo udał się do pałacu i zażądał, na własną odpowiedzialność, by nie proszono wysłanniczki o pokazywanie się

podczas uroczystości, która „według wszelkiego prawdopodobieństwa zostanie zakłócona przez niestosowne demonstracje”. Pewien dworzanin wezwał Teyeo na rozmowę, podczas której potraktował go z mieszaniną lekceważącej wyniosłości oraz pobłażliwych skinień głową i mrugnięć. Teyeo poczuł się bardzo niezręcznie. Tej nocy zostawił czterech ludzi na straży przed domem wysłanniczki. Po powrocie do małych koszar, które przydzielono ochronie ambasady, zastał okno otwarte, a na stole kartkę z notatką w jego ojczystym języku: „Termin zmachu wyznaczono na Święto P.”.

Nazajutrz wczesnym rankiem stawiał się w domu wysłanniczki i oznajmił jej pracownicy, że musi z nią porozmawiać. Wyszła z sypialni, otulając nagie ciało białym szlafrokiem. Batikam wyszedł w ślad za nią, do połowy ubrany, zaspany i rozbawiony. Teyeo dał mu oczami znak: „wyjdź”, który tancerz przyjął ze spokojnym, protekcyjnym uśmiechem i mruknął do kobiety:

– Idę na śniadanie. Czy masz coś, czym mogłabyś mnie nakarmić, Rewe?

Wyszedł za niewolnicą z pokoju, a Teyeo stanął przed wysłanniczką i wyciągnął kartkę papieru.

– Otrzymałem to zeszłej nocy, psze pani – powiedział. – Muszę prosić, by nie brała pani jutro udziału w obchodach.

Wysłanniczka spojrzała na kartkę, przeczytała notatkę i ziewnęła.

– Od kogo to przyszło?

– Nie wiem, pszepani.

– Co to znaczy? „Zmach”? Chyba nie znają ortografii, co?

Po chwili Teyeo powiedział:

– Istnieją inne oznaki... jest ich wystarczająco dużo, bym prosił panią o...

– Nieuczestniczenie w Świącie Przebaczenia, tak. Słyszałam, co pan powiedział. – Podeszła do okna i usiadła; szlafrok rozsunał się, odsłaniając nogi. Nagie, brązowe stopy Solly były małe i zgrabne, podbicie różowe, a palce nieduże i równe. Teyeo utkwiał wzrok w powietrzu obok jej głowy. Wysłanniczka bawiła się kartką. – Jeżeli uważa pan, że to niebezpieczne, rego, proszę przyprowadzić strażnika albo dwóch – powiedziała z ledwo zauważalnym szyderstwem w głosie. – Naprawdę muszę tam pójść. Król sobie tego zażyczył. Mam zapalić wielki znicz czy coś w tym rodzaju. To jedna z niewielu rzeczy, które wolno tu robić kobietom w miejscu publicznym... Nie mogę się z tego wycofać. – Wyciągnęła rękę z kartką, a Teyeo po chwili zbliżył się na tyle, by ją wziąć. Wysłanniczka podniosła na niego wzrok z uśmiechem; zawsze się uśmiechała, ilekroć udało jej się go pokonać. – A właściwie kto według pana chciałby mnie się pozbyć? Patrioci?

– Albo wyznawcy dawnej wiary, psze pani. Na dzień jutrzejszy przypada jedno z ich świąt.

– A wasi tualici im je odebrali? Cóż, chyba nie mogą za to winić Ekumeny, prawda?

– Sądzą, że rząd mógłby zezwolić na przemoc, by znaleźć pretekst do odwetu.

Zaczęła odpowiadać niedbale, potem dotarło do niej to, co powiedział Teyeo, i zmarszczyła czoło.

– Myśli pan, że rada chce mnie wystawić? Jakie pan ma dowody?

– Bardzo nikłe, psze pani – odparł po chwili. – San Ubattat...

– San ostatnio chorował. Z tego staruszka, którego przysłali, nie ma wielkiego pożytku, ale trudno go nazwać niebezpiecznym! Czy to wszystko? – Teyeo nie odpowiedział, a wysłanniczka mówiła dalej: – Dopóki nie uzyska pan prawdziwych dowodów, rego, proszę

nie wtrącać się do moich zobowiązań. Pańska militarystyczna paranoja jest nie do zaakceptowania, kiedy zaczyna wywierać wpływ na ludzi, z którymi mam tutaj do czynienia. Proszę ją trzymać na wodzy! Jutro spodziewam się zobaczyć strażnika albo dwóch. To wszystko.

– Tak, psze pani – powiedział Teyeo i wyszedł.

W głowie huczało mu z wściekłości. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że nowy przewodnik wysłanniczki powiedział mu, iż Sana Ubattata powstrzymały obowiązki religijne, a nie choroba. Teyeo nie zawrócił, bo i po co?

– Zostań tu przez jakąś godzinę, dobrze, Seyem? – powiedział do strażnika przy bramie, po czym odszedł ulicą, próbując oddalić się od wysłanniczki, od jej miękkich brązowych ud, różowego podbicia stóp i aroganckiego tonu dziwki, którym wydawała mu rozkazy. Teyeo starał się, by jasne, lodowate, rozświetlone słońcem powietrze, ulice pełne łopoczących proporców, migotanie wielkich gór oraz wrzawa targowiska wypełniły go, oszołomiły i odwróciły jego uwagę. Szedł, widząc swój cień, który padał przed nim jak nóż na kamienie, i wiedząc o daremności swojego życia.

– Veot sprawiał wrażenie zdenerwowanego – powiedział Batikam swoim aksamitnym głosem.

Solly wybuchnęła śmiechem. Nadziała na widelec owoc kandyzowany z talerza i włożyła makilowi do ust.

– Dojrzałam już do śniadania, Rewe! – zawołała, po czym usiadła obok Batikama. – Umieram z głodu! Teyeo miał jeden ze swoich fallokratycznych napadów. Ostatnio od niczego mnie nie wybawił, a w końcu to przecież jego jedyna funkcja. Dlatego musi wynajdywać okazje. Tak bym chciała, żeby się ode mnie odczepił. To takie miłe nie mieć biednego, małego, starego Sana pełzającego wokół mnie jak rój wszy łonowych. Gdybym tylko mogła się teraz uwolnić od majora!

– Veot jest człowiekiem honoru – powiedział makil, a jego głos wcale nie zabrzmiał ironicznie.

– Jak właściciel niewolników może być człowiekiem honoru?

Batikam wpatrywał się w Solly swoimi podłużnymi, ciemnymi oczami. Nie potrafiła przeniknąć wereliańskich oczu; chociaż piękne, wypełniały powieki ciemnością.

– Członkowie męskiej hierarchii zawsze gładzą o swoim cennym honorze – powiedziała. – A także, oczywiście, o honorze „swoich kobiet”.

– Honor jest wielkim przywilejem – oświadczył Batikam. – Zazdroszczę temu oficerowi honoru.

– Och, do diabła z całą tą sztuczną godnością. To tylko obsikiwanie swego terytorium. Powinieneś Teyeo zazdrościć wolności.

– Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która nigdy nie była ani posiadaczką, ani własnością. Na tym polega wolność. Tylko na tym. Czy o tym wiesz? – spytał makil z uśmiechem.

– Oczywiście, że wiem – odparła. Batikam uśmiechnął się i dalej jadł śniadanie, ale w jego głosie zabrzmiały tony, których wcześniej nie słyszała. Poruszona i nieco zakłopotana powiedziała po chwili: – Wkrótce wyjeżdżasz.

– Czytasz w moich myślach. Tak. Za dziesięć dni trupa wyjeżdża na tournée po

Czterdziestu Stanach.

– Och, Batikamie, będę za tobą tęskniła! Jesteś jedynym mężczyzną, jedyną osobą, z którą mogę tu rozmawiać, nie mówiąc już o seksie...

– Czyżby nam się to przytrafiło?

– Niezbyt wiele razy – odparła Solly ze śmiechem, ale głos jej zadrżał.

Batikam wyciągnął rękę, Solly podeszła, usiadła mu na kolanach, jej szlafrok się rozsunął.

– Malutkie, śliczne piersi wysłanniczki – powiedział, muskając je palcami i wargami. – Malutki, miękki brzuch wysłanniczki...

W tym momencie Rewe weszła z tacą i ostrożnie postawiła ją na stole.

– Twoje śniadanie, mała wysłanniczko – powiedział Batikam, a Solly wyswobodziła się z jego objęć, uśmiechając się szeroko.

– Ponieważ jesteś wolna, możesz być szczerą – powiedział Batikam, pracowicie obierając owoc pini. – Nie bądź zbyt surowa dla ludzi, którzy nie są wolni i nie mogą być szczerzy. – Odkroił plasterk i podał jej do ust nad stołem. – Dzięki znajomości z tobą mogłem posmakować wolności. To był cień wolności...

– Najdalej za kilka lat, Batikamie, ty także uzyskasz wolność. Ta cała idiotyczna struktura panów i niewolników zawali się, kiedy Werel przystąpi do Ekumeny.

– O ile przystąpi.

– Oczywiście, że tak.

– Moją ojczyzną jest Yeowe – powiedział Batikam, wzruszając ramionami.

Solly wpatrywała się w niego zdezorientowana.

– Pochodzisz z Yeowe?

– Nigdy tam nie byłem – odparł makil. – Prawdopodobnie nigdy tam nie pojedę. Na co mogą się tam zdać makilowie? Ale tam jest mój dom, moi ludzie. Tam jest moja wolność. Kiedy zobaczysz... – Otworzył zaciśniętą pięść w takim geście, jakby coś wypuszczał. Potem uśmiechnął się i wrócił do śniadania. – Muszę wracać do teatru – powiedział. – Robimy próbę na Dzień Przebaczenia.

Solly zmarnowała cały dzień w sądzie. Uporczywie ponawiała prośbę o uzyskanie zezwolenia na odwiedzenie kopalń i wielkich, prowadzonych przez rząd gospodarstw rolnych po drugiej stronie gór, skąd płynęło bogactwo Gatay. Z nie mniejszym uporem udaremniała jej wysiłki. Protokół i biurokracja rządu stawały Solly na przeszkodzie. Początkowo sądziła, że nie chcą, by dyplomata robił cokolwiek innego oprócz uczestniczenia w niemających znaczenia wydarzeniach. Później jednak pewnym biznesmenom wymknęły się słowa o warunkach panujących w kopalniach i w gospodarstwach rolnych, a Solly zaczęła podejrzewać, że ukrywają bardziej brutalny rodzaj niewolnictwa niż to, jakie widziała w stolicy. Dzisiaj niczego nie osiągnęła, czekając na spotkania, które nie zostały wcześniej ustalone. Starszy jegomość zastępujący Sana nie rozumiał większości tego, co mówiła w języku Voe Deo, a kiedy próbowała mówić po gatajsku, nie rozumiał ani słowa, z głupoty lub celowo. Na szczęście major był nieobecny przed południem – zastępował go jeden z żołnierzy – ale pojawił się w sądzie, sztywny, milczący, z zaciśniętymi zębami. Nie odstępował Solly na krok, aż w końcu zrezygnowała i wróciła do domu, żeby wziąć kąpiel.

Batikam wrócił późną nocą. W samym środku jednej z wyszukanych fantazyjnych gier erotycznych z odwróconymi rolami, których Solly nauczyła się od niego, pieszczoty makila

zaczęły coraz bardziej zwalniać, sunęły po jej ciele jak pióra, aż zadrżała od nienasyconego pożądania, a kiedy przyłgnęła do niego całym ciałem, spostrzegła, że zasnął.

– Obudź się – powiedziała ze śmiechem, a jednak zmrożona.

Wstrząsnęła nim lekko. Ciemne oczy otworzyły się, zdumione, pełne lęku.

– Przepraszam – powiedziała natychmiast. – Zaśnij znowu, jesteś zmęczony. Nie, nie, wszystko w porządku, jest już późno.

Ale Batikam kontynuował to, co Solly, pomimo całej zręczności i delikatności makila, zaczęła postrzegać jako jego pracę.

Rano, przy śniadaniu, powiedziała:

– Czy możesz we mnie widzieć równoprawną partnerkę, Batikamie?

Makil sprawiał wrażenie zmęczonego, starszego niż zazwyczaj.

– Co chciałabyś, żeby powiedział?

– Że możesz.

– Mogę – powiedział cicho.

– Ty mi nie ufasz – stwierdziła z goryczą.

– Jest Dzień Przebaczenia – rzekł po chwili. – Pani Tual przybyła do ludzi z Asdok, którzy poszczuli jej wyznawców kotami myśliwskimi. Wjechała między ludzi z Asdok na wielkim kocie z ognistym językiem, oni padli na ziemię w przerażeniu, ale Pani Tual pobłogosławiła ich i przebaczyła im. – Batikam odgrywał opowiadaną historię głosem i dłońmi. – Wybacz mi – powiedział.

– Ty nie potrzebujesz przebaczenia!

– Och, wszyscy go potrzebujemy. Dlatego właśnie my, ludzie Kamye, wypożyczamy Panią Tual od czasu do czasu, kiedy jej potrzebujemy. Czy podczas dzisiejszej uroczystości będziesz Panią Tual?

– Powiedzieli mi, że muszę tylko rozpaść ogień – powiedziała niespokojnie, a Batikam się zaśmiał. Kiedy wychodził, oświadczyła, że wieczorem, po uroczystościach, przyjdzie do niego do teatru.

Tor wyścigów konnych, jedyna większa płaska przestrzeń w pobliżu miasta, był zatłoczony. Sprzedawcy nawoływali się, proporce powiewały na wietrze; samochody dworu królewskiego wjeżdżały prosto w tłum, który rozstępował się przed nimi jak woda, a potem zamykał. Dla panów i właścicieli sklecono chybotliwie wyglądające trybuny z zasłoniętym sektorem dla dam. Solly zobaczyła, jak jeden z samochodów podjeżdża do trybun, grupa dworzan pomaga wysiąść postaci w czerwonym stroju, która następnie znikła za zasłonami. Czy w zasłonach były dziurki, przez które kobiety mogły wyglądać? W tłumie były kobiety, ale głównie niewolnice i pracownice. Solly zdała sobie sprawę, że i ona miała pozostać w ukryciu aż do rozpoczęcia ceremonii – czekał na nią czerwony namiot tuż obok trybun, niedaleko otoczonego sznurami miejsca, gdzie kapłani oddawali się śpiewom religijnym. Uniżeni i pełni determinacji dworzanie kazali Solly wysiąść z samochodu i wejść do namiotu.

Niewolnice w namiocie poczęstowały ją herbatą i słodyczami, dały jej lustro i olejek do włosów, pomogły włożyć skomplikowany strój z drogiego czerwono-żółtego materiału, kostium Pani Tual. Nikt nie powiedział dokładnie, co miała robić, a na wszystkie jej pytania kobiety odpowiadały:

– Kapłani pani pokażą, proszę pójść za nimi. Pani tylko zapali ogień. Oni już wszystko przygotowali.

Solly odniosła wrażenie, że niewolnice nie wiedzą więcej niż ona. Były ładnymi dziewczętami, pracownicami dworu, podnieconymi tym, że uczestniczą w przedstawieniu, obojętnymi na sprawy religii. Solly знаła symbolikę ognia, który miała rozpałić: można było do niego wrzucić przewinienia i transgresje, które spalały się w płomieniach i odchodziły w zapomnienie. Dobry pomysł.

Kapłani śpiewali coraz głośniej. Solly wyjrzała – w namiocie istotnie znajdowały się otwory – i zobaczyła, że tłum zgęstniał. Tylko ludzie na trybunach i ci, którzy siedzieli tuż przy sznurach, mogli cokolwiek zobaczyć, ale wszyscy wymachiwali czerwono-żółtymi proporcami, żuli smażone smakołyki i bawili się w najlepsze, podczas gdy kapłani nadal skandowali niskimi głosami. Na prawym skraju małego, zamazanego pola widzenia przez dziurkę Solly spostrzegła znajomą rękę – oczywiście majora. Nie pozwolili mu wsiąść razem z wysłanniczką do samochodu. Musiał szaleć z wściekłości. Mimo to dotarł na stadion i stanął na straży.

– O pani, nadchodzą kapłani – mówiły dwórki i uwijały się wokół Solly, upewniając się, czy jej nakrycie głowy trzyma się prosto, a przekłete spódnice opadają we właściwych fałdach. Nadal poprawiały jej strój, kiedy wyszła z namiotu. Oślepią blaskiem dnia, uśmiechała się, próbowała trzymać się bardzo prosto i godnie, jak przystało bogini. Naprawdę nie chciała spieprzyć ich uroczystości.

Dwaj mężczyźni w szatach kapłańskich czekali na Solly tuż za wejściem do namiotu. Natychmiast wystąpili do przodu, ujęli ją za łokcie i powiedzieli:

– Tędy, tędy, o pani.

Najwyraźniej nie musiała się domyślać, co należy robić. Bez wątpienia uważali, że kobiety nie są do tego zdolne, ale w tych okolicznościach przyjęła to z ulgą. Kapłani prowadzili ją szybko, zbyt szybko, by mogła nadażyć, krępowana przez obcisłą spódnice. Znajdowali się za trybunami; czy miejsce ognia nie było gdzie indziej? Jakiś samochód jechał prosto na nich, roztrącając nielicznych ludzi, którzy stali mu na drodze. Ktoś krzyczał. Kapłani nagle zaczęli szarpać Solly, próbowali biec; jeden z nich krzyknął, puścił jej ramię i padł; pędząca ciemność zwała go z nóg. Solly znalazła się w samym środku bijatyki, nie mogła uwolnić ręki z żelaznego uścisku, spódnica pętała jej nogi. Rozległ się hałas, potężny hałas, który uderzył ją w głowę z taką siłą, że musiała się schylić. Nic nie słyszała ani nie widziała. Szamotała się, oślepią, czymś zasłonięto jej twarz i poczuła, jak ktoś wykręca jej ręce do tyłu.

Jechali samochodem. Długo. Mężczyźni rozmawiali przytłumionymi głosami. Mówili po gatajsku. Oddychanie przychodziło Solly z wielkim trudem. Nie walczyła; to nie miało sensu. Ręce i nogi obwiązali jej taśmą, włożyli worek na głowę. Po długim czasie wyciągnęli ją z samochodu jak trupa, wnieśli szybko do domu, w dół po schodach, położyli na łóżku czy kanapie, ale już nie w takim desperackim pośpiechu. Leżała nieruchomo. Mężczyźni rozmawiali, nadal niemal szeptem. Wszystko to razem nie miało dla Solly sensu. W głowie wciąż słyszała ten potężny hałas; czy był rzeczywisty? Czy ktoś ją uderzył? Czuła się ogłuszona. Worek wciąż dostawał jej się do ust, zatykał nos, utrudniał oddychanie.

Ktoś zerwał go jej z głowy. Jakiś mężczyzna, pochylony nad Solly, odwrócił ją, żeby odwinąć taśmę z rąk i nóg, mrużąc przy tym po voedeańsku:

– Nie bać się, pani, my pani nie krzywdzić.

Szybko odstąpił od łóżka. Było ich czterech czy pięciu; Solly nie mogła dostrzec

dokładnie w słabym świetle.

– Czekać tutaj – powiedział inny mężczyzna. – Wszystko dobrze. Po prostu być szczęśliwa.

Solly spróbowała usiąść i zakręciło jej się w głowie. Kiedy zawroty minęły, spostrzegła, że mężczyźni zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Po prostu być szczęśliwa.

Mały, bardzo wysoki pokój. Ciemne ceglane ściany, zapach ziemi. Światło pochodziło z małej tarczy bioluminescencyjnej umocowanej do sufitu, która dawała słaby blask bez cienia. Dla oczu Werelianów to pewnie wystarczyło. Po prostu być szczęśliwa. Zostałam porwana. Proszę, proszę... Solly przeprowadziła inwentaryzację pomieszczenia: gruby materac, na którym leżała, koc, drzwi, mały dzbanek i kubek; a tam, w rogu, czy to otwór ściekowy? Spuściła nogi z materaca, stopami dotknęła czegoś, co leżało na podłodze przy łóżku. Podkuliła nogi i spojrzała na ciemny kształt. Ciało mężczyzny. Zarówno mundur, jak i skóra były tak czarne, że nie potrafiła rozpoznać rysów twarzy, ale wiedziała, kto tam leży. Major towarzyszył jej nawet tutaj.

Stała na chwiejnych nogach i podeszła zbadać otwór ściekowy, który okazał się zwykłą wylaną cementem dziurą w podłodze, wydzielającą nieco przykry zapach chemikaliów. Bolała ją głowa, więc ponownie usiadła na łóżku, by rozmasować ramiona i stopy. Likwidowała napięcie i ból, wracała do siebie, uciskając mięśnie rytmicznie, metodycznie. Zostałam porwana. Proszę, proszę... Po prostu być szczęśliwa. A co z nim?

Nagle zdała sobie sprawę, że major nie żyje; wzdrygnęła się i znieruchomiała.

Po chwili pochyliła się powoli, spróbowała dostrzec twarz majora, nastawiła uszu. Ponownie odniosła wrażenie, że jest głucha. Nie słyszała oddechu. Wyciągnęła rękę – mdliło ją, drżała na całym ciele – i dotknęła wierzchem dłoni twarzy majora. Była chłodna, zimna. Nagle poczuła na palcach ciepły oddech, potem znowu. Kucnęła na materacu i przyjrzała mu się badawczo. Leżał nieruchomo jak kamień, ale kiedy położyła dłoń na jego piersi, poczuła wolne bicie serca.

– Teyeo – szepnęła. Nie była w stanie mówić głośniejsze niż szeptem.

Ponownie położyła dłoń na jego piersi. Chciała poczuć to powolne, miarowe bicie i słabe ciepło; dodawało jej otuchy. Po prostu być szczęśliwa.

Co jeszcze powiedzieli? Po prostu czekać. Tak. Najwyraźniej na tym polegał program. Może zdoła zasnąć. Może zdoła zasnąć, a kiedy się obudzi, okup zostanie wpłacony. Okup czy czego tam żądali porywacze.

Obudziła się z myślą, że wciąż ma na przegubie zegarek. Przez chwilę przyglądała się sennym wzrokiem maleńkiej srebrnej tarczy, po czym uznała, że spała trzy godziny. Wciąż trwał dzień świąteczny; chyba nie zdążyli jeszcze zapłacić okupu. Prawdopodobnie nie zdoła pójść wieczorem do teatru na występ makilów. Oczy jej przywykły do słabego światła, a kiedy się rozejrzała, zobaczyła, że głowa leżącego mężczyzny jest z jednej strony ubrudzona krwią. Pomacała dłonią i odkryła gorący guz wielkości pięści nad jego prawą skronią. Cofnęła rękę – na swoich palcach zobaczyła krew. Major otrzymał cios w głowę. To on musiał być tym człowiekiem, który rzucił się na fałszywego kapłana. Solly pamiętała tylko lecący cień, głuchy łomot i głośne uff! Wszystko to przypominało atak *aiji*,

a potem rozległ się głośny hałas. Solly postukała w ścianę, żeby sprawdzić swój słuch. Może i ona otrzymała cios w głowę? Pomacała głowę, ale nie znalazła guzów. Major musiał doznać wstrząsu mózgu, skoro po trzech godzinach nadal był nieprzytomny. Jak ciężki był to wstrząs? Kiedy wrócą tamci ludzie?

Wstała i o mały włos się nie przewróciła; zaplątała się w przeklęte spódnice bogini. Gdyby tylko miała na sobie własne ubranie, a nie tę wyszukaną, trzyczęściową suknię ze zwiewnego materiału, którą mogła włożyć tylko przy pomocy służących! Uwolniła się ze spódnicy i opasała chustą, która sięgnęła jej kolan. W piwnicy, czy cokolwiek to było, panowała wilgoć i chłód. Solly zaczęła chodzić tam i z powrotem: cztery kroki i zwrot, cztery kroki i zwrot, cztery kroki i zwrot. Potem zrobiła rozgrzewkę. Majora rzucili na podłogę. Jak bardzo była zimna? Czy szok stanowił część wstrząsu mózgu? Ludzi w stanie szoku należy ogrzewać. Drżała przez długi czas, zdumiona własnym brakiem zdecydowania; nie wiedziała, co robić. Czy powinna spróbować przenieść majora na materac? A może lepiej go nie ruszać? Gdzie, do diabła, podzieli się tamci ludzie? Czy major umiera?

Stała nad nim i powiedziała ostro:

– Rego! Teyeo!

Po chwili zaczerpnął powietrza.

– Obudź się! – krzyknęła.

Przypomniała sobie, tak jej się przynajmniej wydawało, że ludziom, którzy doznali wstrząsu mózgu, nie wolno zapaść w śpiączkę. Tylko że major już w nią zapadł.

Teyeo znowu nabral powietrza, twarz mu się zmieniła, ocknął się z odrętwienia. Otworzył i zamknął oczy, zamrugął.

– Och, Kamy – powiedział bardzo cicho.

Solly nie posiadała się z radości. Po prostu być szczęśliwa. Najwyraźniej Teyeo cierpiał na straszliwy ból głowy; przyznał, że widzi podwójnie. Solly pomogła mu wdrapać się na materac i przykryła go kocem. Nie zadawał żadnych pytań, leżał bez słowa i po chwili znowu zapadł w sen. Kiedy przestał się poruszać, Solly wróciła do ćwiczeń i ćwiczyła przez godzinę. Spojrzała na zegarek. Minęły dwie godziny; ciągle był ten sam dzień, dzień świąteczny. Jeszcze nie nastał wieczór. Kiedy ci ludzie zamierzali przyjść?

Przyszli wczesnym rankiem, po nocy bez końca, która niczym nie różniła się od popołudnia i poranka. Metalowe drzwi otworzyły się z łoskotem, jeden z ludzi wszedł z tacą, dwaj inni stanęli w progu z karabinami gotowymi do strzału. Jedyнным miejscem nadającym się do położenia tacy była podłoga, więc mężczyzna wcisnął ją w ręce Solly.

– Przepraszam panią – powiedział, po czym się wycofał.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, rygle wróciły na miejsce. Solly stała z tacą w dłoniach.

– Poczekajcie! – krzyknęła.

Major obudził się i rozglądał wokół siebie nieprzytomnie. Solly jakoś umknęło jego imię.

– Proszę, to chyba pańskie śniadanie – powiedziała i usiadła na brzegu materaca.

Wiklinową tacę przykrywał kawałek materiału, pod którym znajdowała się sterta gatajskich bułek pełnoziarnistych przekładanych mięsem i zieleniną, kilka owoców oraz pełna wody karafka z pokrywką, z cienkiego stopu o perlistej fakturze. – Jest tu może nie tylko śniadanie, ale także obiad i kolacja – mówiła Solly. – Cholera. No cóż, to wygląda smacznie. Może pan jeść?

Zmusił się do tego, by usiąść, plecami oparł się o ścianę i przymknął powieki.

– Ciągłe dwoi się panu w oczach?

Mruknął twierdząco.

– Chce się panu pić?

Kolejne mruknięcie.

– Proszę. – Podała mu kubek. Trzymając go w obydwu dłoniach, podniósł do ust i powoli zaczął pić wodę, łyk po łyku. Solly pochłonęła tymczasem trzy bułki, potem wzięła owoc pini. – Czy może pan zjeść trochę owoców? – spytała z poczuciem winy. Nie odpowiedział. Pomyślała o Batikamie, który karmił ją owocem pini przy śniadaniu. Kiedy to było? Wczoraj. Sto lat temu.

Jedzenie w żołądku przyprawiło Solly o mdłości. Wzięła kubek z dłoni mężczyzny – znowu zasnął – naląła sobie wody i wypła powoli, łyk po łyku.

Kiedy poczuła się lepiej, podeszła do drzwi, zbadła ich powierzchnię, zawiasy i zamek. Omiotła wzrokiem ceglane ściany, posadzkę z lanego betonu; sama nie wiedziała, czego szuka, czegoś, co umożliwiłoby jej ucieczkę... Powinna wykonywać ćwiczenia. Zmusiła się do tego, ale mdłości powróciły. Usiadła na materacu. Spozrzegła, że płacze. Po chwili ocknęła się ze snu. Musiała się wysuszać. Kucnęła nad otworem i wsłuchiwała się w odgłos ściekającego moczu. Nie miała czym się podetrzeć. Wróciła na łóżko, usiadła, rozłożyła nogi i chwyciła się za kostki. Panowała całkowita cisza.

Solly odwróciła się do mężczyzny. Drgnęła, kiedy spostrzegła, że ją obserwuje. Natychmiast odwrócił wzrok. Na pół leżał wsparty o ścianę; pomimo niewygodnej pozycji był rozluźniony.

– Chce ci się pić? – spytała.

– Tak, dziękuję – odparł.

Tutaj, gdzie nic nie było znajome, a czas był odseparowany od przeszłości, łagodny, pogodny głos mężczyzny brzmiał kojąco. Solly napełniła kubek. Tym razem uporał się z nim znacznie lepiej. Usiadł i wypił.

– Dziękuję – szepnął ponownie, zwracając jej kubek.

– Jak głowa?

Dotknął dłonią guza, skrzywił się.

– Jeden z napastników miał kij – powiedziała Solly, której w tym momencie się to przypomniało. – Coś w rodzaju laski kapłańskiej. Ty skoczyłeś na drugiego.

– Odebrali mi broń – poskarżył się Teyeo. – Święto. – Nie otwierał oczu.

– Zaplątałam się w te przekłète ubrania. Nie mogłam ci pomóc. Słuchaj, czy słyszałeś jakiś hałas, wybuch?

– Tak. Może to dywersja.

– Jak myślisz, kim są ci chłopcy?

– Rewolucjonistami. Albo...

– Wspominałeś, że może stoi za tym rząd gatajski.

– Nie wiem – mruknął Teyeo.

– Miałaś rację, a ja się myliłam. Przepraszam – powiedziała i poczuła się cnotliwie, ponieważ przypomniała sobie, jak okazywać skruchę.

Teyeo machnął lekceważąco ręką.

– Nadal dwoi ci się w oczach?

Nie odpowiedział; znowu się wyłączył.

Solly stała, próbując sobie przypomnieć selijskie ćwiczenia oddechowe, kiedy trzasnęły

drzwi i do piwnicy wpadli ci sami trzej ludzie uzbrojeni w karabiny, młodzi, czarnoskórzy, bardzo nerwowi. Przywódca pochylił się, by postawić tacę na podłodze, a Solly, wcale tego z góry nie planując, nadepnęła mu na dłoń i przycisnęła ją całym swoim ciężarem.

– Poczekaj! – krzyknęła. Patrzyła prosto w twarze i lufy karabinów pozostałej dwójki. – Poczekaj chwilę i posłuchaj! Ten człowiek doznał urazu głowy, potrzebujemy lekarza, potrzebujemy więcej wody, nie mogę nawet oczyścić jego rany, nie ma tu papieru toaletowego. Kim wy w ogóle, do diabła, jesteście?!

Mężczyzna, któremu nadepnęła na rękę, krzyczał:

– Zejść! Pani zejść z mojej ręki!

Ale pozostali ją usłyszeli. Podniosła stopę i zeszła z drogi mężczyźnie, który szybko się podniósł.

– Dobrze, pani, przepraszamy, że niepokoić – mówił, tuląc obolałą dłoń, a w jego oczach pojawiły się łzy. – Jesteśmy patriotami. Pani wysłać wiadomość do pretendenta. Taką wiadomość, jakbyśmy to my napisali. Nikt nie ma krzywdy. Dobrze?

Cofał się, jeden z żandarmów pchnął drzwi. Trzask, łomot.

Solly wzięła głęboki wdech i odwróciła się. Teyeo obserwował ją z pryczy.

– To było niebezpieczne – powiedział z nikłym uśmiechem.

– Wiem. – Oddychała gwałtownie. – To było głupie. Nie mogę się pozbierać. Ale oni wpychają tu żarcie i uciekają, niech to szlag! Potrzebna nam woda! – Miała łzy w oczach, jak zawsze po scenie przemocy albo kłótni. – Zobaczmy, co przynieśli tym razem. – Postawiła tacę na materacu. Podobnie jak poprzednio, jakby w komiczny sposób naśladowali służbę w hotelu lub w domu z niewolnikami, taca była przykryta białym obrusem. – Wszelkie wygody – mruknęła Solly.

Pod obrusem znajdowała się sterta słodkich ciastek, małe lusterko z plastikową rączką, grzebień, mały dzbanuszek czegoś, co pachniało jak zwiędłe kwiaty, oraz opakowanie, w którego zawartości Solly rozpoznała gatajskie tampony.

– Zestaw przyborów dla damy – powiedziała. – Niech ich szlag trafi! Głupie, cholerne fiuty! Lusterko! – Cisnęła nim o ścianę. – Oczywiście nie przeżyję nawet dnia bez patrzenia w lustro! Do diabła z nimi! – Wszystko z wyjątkiem ciastek rzuciła w ślad za lusterkiem, wiedząc, że później podniesie tampony i schowa pod materac, by użyć ich w razie potrzeby, jeżeli nie daj Boże mieliby tu zostać dziesięć dni lub dłużej... – O Boże! – westchnęła znowu. Wstała, zebrała wszystko, lusterko, dzbanuszek, dzbanek po wodzie i skórki z owoców po ostatnim posiłku położyła na jednej z tac, którą postawiła przy drzwiach. – Śmieci – powiedziała w języku Voe Deo. Zdała sobie sprawę, że całą przemowę wygłosiła w obcym języku, przypuszczalnie alterrańskim. – Czy masz pojęcie – powiedziała, ponownie siadając na materacu – jak trudno jest przez was być kobietą? Wy potrafilibyście przekonać kobietę, żeby przestała nią być!

– Myślę, że chcieli dobrze – powiedział Teyeo, a Solly zdała sobie sprawę, że w jego głosie nie było cienia szyderstwa czy choćby rozbawienia. Jeżeli nawet cieszył się z jej wstydu, to tego nie okazywał. – Według mnie mamy do czynienia z amatorami – stwierdził.

– Dlatego sytuacja może być poważna – powiedziała Solly po chwili.

– Owszem. – Teyeo usiadł i ostrożnie badał guz na głowie. Jego szorstkie, gęste włosy były umazane krwią. – Porwanie – mówił. – Żądanie okupu. To nie są zabójcy. Nie mieli broni. Nie dostaliby się na obchody święta z bronią. Ja musiałem oddać swoją.

– Chcesz powiedzieć, że to nie są ludzie, przed którymi cię ostrzegano?

– Sam nie wiem. – Zadrżał z bólu, więc przestał badać guz. – Czy bardzo brakuje nam wody?

Solly podała mu kolejny pełny kubek.

– Za mało, żeby się umyć. Przynoszą głupie lusterko, kiedy potrzebujemy wody!

Teyeo podziękował jej i wypił, rozkoszując się ostatnim łykiem.

– Oni nie chcieli mnie zabrać.

Solly zastanowiła się nad tym i skinęła głową.

– Obawiają się, że ich rozpoznasz?

– Gdyby mieli dla mnie miejsce, nie zamykaliby mnie z kobietą – powiedział bez ironii. –

Tę piwnicę przygotowali dla ciebie. Musimy być gdzieś w mieście.

– Jazda samochodem trwała pół godziny lub mniej, ale miałam worek na głowie.

– Wysłali wiadomość do pałacu. Nie dostali odpowiedzi albo dostali niezadowolającą.

Chcą, żebyś ty napisała wiadomość.

– By przekonać rząd, że naprawdę mnie mają? Dlaczego muszą ich przekonywać?

Oboje zamilkli.

– Przepraszam – powiedział wreszcie Teyeo. – Nie jestem w stanie myśleć.

Położył się. Solly, zmęczona i podrażniona po przyplywie adrenaliny, położyła się obok niego. Ze zrolowanych spódnic bogini zrobiła sobie poduszkę. Teyeo nie miał żadnej. Nogi przykryli kocem.

– Poduszka – powiedziała. – Więcej koców, mydło. Co jeszcze?

– Klucz – mruknął Teyeo.

Leżeli obok siebie w milczeniu i słabym, niezmiennym świetle.

Nazajutrz około ósmej, według zegarka Solly, czterej patrioci wrócili. Dwaj stanęli na straży w drzwiach z karabinami gotowymi do strzału, dwaj pozostali stanęli niewygodnie na niewielkim skrawku wolnej podłogi i patrzyli na więźniów, którzy siedzieli po turecku na materacu. Nowy rzecznik grupy lepiej władał językiem Voe Deo. Powiedział, że jest im bardzo przykro, iż przysporzyli damie kłopotów. Zrobią wszystko, by zapewnić jej wygodę, ale musi się uzbroić w cierpliwość, własnoręcznie napisać wiadomość do pretendenta i wyjaśnić, że zostanie uwolniona bez szwanku, kiedy tylko król rozkaże radzie zerwać porozumienie z Voe Deo.

– On tego nie robi – powiedziała Solly. – Nie pozwolą mu na to.

– Proszę nie dyskutować – przerwał jej ostro i gwałtownie. – Tu ma pani przybory do pisania. Oto treść wiadomości. – Położył papiery i styło na materacu, nerwowo, jakby bał się do niej zbliżyć.

Solly zdała sobie sprawę, że Teyeo usunął się w cień. Siedział bez ruchu, ze zwieszoną głową i opuszczonymi oczami. Patrioci go ignorowali.

– Jeżeli mam to dla was napisać, chcę wody, dużo wody, mydło, koce, papier toaletowy, poduszki i lekarza. Chcę, żeby ktoś przychodził, kiedy pukam w drzwi, chcę dostać jakieś porządne ubranie. Ciepłe, męskie ubranie.

– Żadnego lekarza! – uciał tamten. – Napisz to! Proszę! Teraz!

Zachowywał się tak niespokojnie, że Solly nie miała odwagi wywierać dalszego nacisku.

Przeczytała oświadczenie, przepisała je swoim dużym, dzieciennym pismem – rzadko pisała coś ręcznie. Rzecznik wziął od niej obie kartki, przeleciał oświadczenie wzrokiem i cała czwórka wyszła bez słowa. Trzasnęły drzwi.

– Czy powinnam była odmówić?

– Nie sądzę – odparł Teyeo. Wstał, przeciągnął się, ale zaraz znowu usiadł. Wyglądał, jakby miał zawroty głowy. – Dobrze się targujesz – stwierdził.

– Ciekawe, co dostaniemy. O Boże, co się tu dzieje?

– Być może Gatay nie chce przystać na te żądania – powiedział powoli Teyeo. – Kiedy jednak Voe Deo, a także twoja Ekumena dowiedzą się o tym, wywrą nacisk na Gatay.

– Chciałabym, żeby nie zwlekali. Sądzę, że państwo Gatay jest potwornie zażenowane, ratuje twarz, próbując ukryć całą sprawę. Czy to możliwe? Jak długo mogą to ukrywać? A co z twoimi ludźmi? Będą cię szukać?

– Bez wątplenia – odparł Teyeo na swój uprzejmy sposób.

Było zdumiewające, że sztywne maniery majora, które zawsze trzymały Solly na dystans, teraz wywierały zupełnie inny skutek. Jego powściągliwość i formalizm zapewniały ją, że nadal należała do świata poza tą piwnicą, z którego tu przyszli i do którego powrócą, świata ludzi, którzy żyją długo.

Jaki sens ma długie życie? Solly zadawała sobie to pytanie i nie znajdowała odpowiedzi. Nigdy wcześniej o tym nie myślała. Jednak ci młodzi patrioci żyli w świecie krótkich żywotów. Żądania, przemoc, zapał i śmierć. W imię czego? W imię bigoterii, nienawiści, pędu do władzy.

– Zawsze kiedy wychodzą, oblatuje mnie strach – powiedziała bardzo cicho.

Po długiej chwili Teyeo mruknął:

– Mnie również.

Ćwiczenia.

– Trzymaj... nie, trzymaj, nie jestem ze szkła!... Teraz...

– Ha! – Teyeo błysnął zębami w uśmiechu podniecenia, kiedy Solly zademonstrowała mu unik, a następnie on go powtórzył, uwalniając się z jej uchwytu.

– Dobrze, teraz czekałbyś tutaj... trach! Widzisz?

– Aua!

– Przepraszam... przepraszam, Teyeo... zapomniałam o twojej głowie... Nic ci nie jest?

Naprawdę mi przykro...

– O Kamy! – jęknął i ujął w dłonie wąską czarną głowę. Wziął kilka głębokich wdechów.

Solly uklękła, skruszona i zaniepokojona.

– To nie jest fair play – powiedział Teyeo.

– Nie, oczywiście, że nie. To jest *aiji*... W miłości i na wojnie wszystkie chwytty są dozwolone, jak mówią na planecie Terra... Naprawdę mi przykro, strasznie mi przykro, postąpiłam bezmyślnie!

Teyeo wybuchnął urywanym, desperackim śmiechem i potrząsnął głową.

– Pokaż mi ten chwyt – poprosił. – Nie wiem, jak to zrobiłaś.

Ćwiczenia.

– Co robisz z umysłem?

– Nic.

– Po prostu pozwalasz mu wędrować?

– Nie. Czy ja i mój umysł to dwie różne istoty?

– Czy to znaczy... że na niczym się nie koncentrujesz? Po prostu dajesz się prowadzić umysłowi?

– Nie.

– A więc nie pozwalasz mu wędrować?

– Komu? – spytał Teyeo dość wyzywająco.

Przerwa.

– Czy myślisz o...

– Nie – odparł. – Siedź spokojnie.

Bardzo długa przerwa, trwająca może kwadrans.

– Teyeo, nie mogę. Swędzi mnie, mój umysł mnie swędzi. Od jak dawna to robisz?

Przerwa, a potem niechętna odpowiedź:

– Od drugiego roku życia.

Wyszedł z całkowicie rozluźnionej, nieruchomej pozycji, schylił głowę, żeby rozruszać szyję i mięśnie ramion. Solly nie spuszczała z niego oczu.

– Stale myślę o długim życiu – powiedziała. – Nie chodzi mi tylko o życie przez długi czas, do diabła, żyję od około tysiąca stu lat, i co z tego wynika? Nic. Chodzi mi o... Jest coś w myśleniu o tak długim życiu, co nie może być obojętne. Podobnie jak rodzenie dzieci. Nawet myślenie o rodzeniu dzieci w pewien sposób wpływa na równowagę. Zabawne, że myślę o tym teraz, kiedy moje szanse na długie życie runęły na łeb na szyję...

Teyeo milczał. Potrafił milczeć w sposób, który pozwalał Solly mówić dalej. Był jednym z najmniej rozmownych mężczyzn, jakich znała. Mężczyźni w większości byli wygadani. Ona była dość wygadana. Teyeo milczał. Solly chciałyby umieć tak milczeć.

– To jest tylko ćwiczenie, prawda? – spytała. – Siedzenie tutaj.

Skinał głowę.

– Lata, lata ćwiczeń... O Boże, a jeśli...?

– Nie, nie – odparł, chwytając w lot jej myśl.

– Ale dlaczego nic nie robią? Na co czekają? Minęło już dziewięć dni!

Od początku, na mocy niezaplanowanego, niepisanego porozumienia, podzielili piwnicę na dwie części: linia przepoławiała materac i biegła do przeciwległej ściany. Drzwi znajdowały się po stronie Solly, lewej; otwór ściekowy był po prawej, po jego stronie. Każde wtargnięcie na przestrzeń drugiego poprzedzał niemal niewidzialny znak, a zgody udzielało się w ten sam sposób. Kiedy jedno z nich korzystało z otworu, drugie dyskretnie się odwracało. Kiedy mieli dosyć wody, żeby brać kocie kąpiele, co nie zdarzało się często, obowiązywało to samo porozumienie. Linia biegnąca przez materac była bezwzględnie honorowana. Ich głosy przelatywały nad nią, podobnie jak zapachy ciał. Czasami Solly czuła jego ciepło. Temperatura ciała Werelianów nieco przewyższała jej temperaturę i kiedy Teyeo spał, Solly czuła w wilgotnym, nieruchomym powietrzu to słabe promieniowanie. Nigdy jednak nie przekraczali linii choćby palcem, nawet podczas

najgłębszego snu.

Solly zastanawiała się nad tym i były chwile, kiedy wydawało jej się to zabawne. Kiedy indziej uważała, że to głupie i perwersyjne. Czy nie mogli dać sobie nawzajem trochę rozkoszy? Dotknęła go jeden raz, pierwszego dnia niewoli, gdy pomogła mu położyć się na materacu. Później, kiedy mieli dosyć wody, oczyściła mu ranę na głowie i stopniowo zmyła zakrzepłą, śmierdzącą krew z jego włosów, pomagając sobie grzebieniem oraz kawałkami spódnicy bogini, nieocenionego źródła szmatek do wycierania i bandaży. Kiedy jego głowa się zagoiła, codziennie ćwiczyli *aiji*, ale chwyt i uściski podczas ćwiczeń miały bezosobowy, rytualny charakter, od którego daleko było do poczucia bliskości drugiej osoby. A poza tym cały czas jego cielesność była nieprzenikniona i nietykalna.

W niewiarygodnie trudnych warunkach niewoli Teyeo zachowywał surową dyscyplinę, którą zawsze okazywał. Nie tylko zresztą on, ale także Rewe, wszyscy z wyjątkiem Batikama. Czy jednak natychmiastowe uleganie Batikama jej kaprysom i pragnieniom było tym prawdziwym kontaktem, o jakim myślała? Przypomniała sobie lęk, jaki zobaczyła w oczach makila ostatniej spędzonej z nim nocy. U niego nie była to powściągliwość, ale skrępowanie.

Na tym polegała mentalność społeczeństwa niewolników; niewolnicy i panowie byli schwytani w tę samą pułapkę skrajnej nieufności i samoobrony.

– Nie rozumiem koncepcji niewolnictwa – powiedziała Solly. – Pozwól, że to wytłumaczę – dodała, chociaż nie przerywał jej ani nie protestował, okazywał jedynie uprzejme zainteresowanie. – Rozumiem, w jaki sposób powstaje instytucja społeczna i w jaki sposób pojedynczy człowiek się w nią wpasowuje. Nie pytam, dlaczego nie zgadzasz się ze mną i nie dostrzegasz w tym niczego nikczemnego i niepotrzebnego. Nie proszę cię, żebyś bronił niewolnictwa albo się go wyrzekł. Usiłuję zrozumieć, jakie to uczucie: wierzyć, że dwie trzecie ludzi w twoim świecie jest twoją pełnoprawną własnością. Właściwie pięć szóstych, włącznie z kobietami twojej kasty.

– Moja rodzina posiada około dwudziestu pięciu pracowników – rzekł po chwili.

– Nie wymiguj się od odpowiedzi.

Teyeo zgodził się z tym zarzutem.

– Wydaje mi się, że straciliście kontakt z żywym człowiekiem – mówiła dalej Solly. – Nie dotykacie niewolników, a niewolnicy nie dotykają was tak, jak powinni się dotykać ludzie. Musicie zachowywać odrębność, zawsze staracie się o utrzymanie tej granicy, ponieważ nie jest to granica naturalna, tylko całkowicie sztuczna, wymyślona przez człowieka. Ja nie potrafię odróżnić właścicieli od pracowników. A ty?

– Zazwyczaj tak.

– Na podstawie zachowania i kultury?

Po chwili zastanowienia skinął głową.

– Jesteście tym samym gatunkiem, narodem – ciągnęła dalej. – Może nieznacznie różnicie się kolorem. Gdybyś dziecko pracownika wychował na właściciela, stałoby się właścicielem pod każdym względem, i odwrotnie. Przez całe życie podtrzymujecie więc ten głęboki podział, który nie istnieje. Nie pojmuję, jak możecie nie zauważać, że ten stan rzeczy powoduje odrażające marnotrawstwo. Nie mam tu na myśli ekonomii!

– Podczas wojny... – powiedział, po czym nastąpiła bardzo długa przerwa. Chociaż Solly miała znacznie więcej do powiedzenia, czekała zaciekawiona. – Byłem na Yeowe, wiesz, podczas wojny domowej.

A więc stamtąd przyniosłeś te blizny, pomyślała Solly. Chociaż skrupulatnie odwracała wzrok, знаła już dobrze jego szczupłe, onyksowe ciało. Wiedziała, że podczas ćwiczeń *aiji* Teyeo musiał oszczędzać lewą rękę, ponieważ tuż nad bicipsem miał spory ubytek mięśnia.

– Widzisz, niewolnicy w koloniach zrobili rewolucję – tłumaczył. – Najpierw nieliczni, potem wszyscy. Prawie wszyscy. My, żołnierze, którzy tam służyliśmy, byliśmy właścicielami. Nie mogli wysłać żołnierzy-pracowników, ponieważ mogliby zdezerterować. Wszyscy pochodziliśmy z kasty veotów i byliśmy ochotnikami. Właściciele walczyli przeciwko pracownikom. Szybko się przekonałem, że walczę z równymi sobie. Dopiero później pojąłem, że walczę z ludźmi, którzy nade mną górują. Pokonali nas.

– Ależ to... – zaczęła Solly, po czym urwała. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Od samego początku byli górą – mówił Teyeo. – Częściowo dlatego, że mój rząd nie dopuszczał możliwości, że pracownicy mogą zwyciężyć. Rząd nie wierzył, że pracownicy mogą walczyć lepiej, ostrzej, inteligentniej i odważniej niż my.

– Ponieważ walczyli o wolność!

– Być może – powiedział Teyeo na swój uprzejmy sposób.

– A zatem...

– Chciałem powiedzieć, że darzę szacunkiem ludzi, z którymi walczyłem.

– Tak mało wiem o wojnie, o walce – powiedziała Solly z mieszaniną skruchy i irytacji. – Właściwie nic. Byłam na Kheakh, ale to nie była wojna, tylko rasowe samobójstwo, masowa rzeź biosfery. To chyba co innego... Wiesz, to się działo wtedy, kiedy Ekumena zdecydowała się w końcu na Konwencję Zbrojeniową. Ponieważ Orint, a potem Kheakh wyniszczały się nawzajem. Terranie domagali się podpisania konwencji od wieków, ponieważ nieco wcześniej o mały włos nie popełnili samobójstwa. Jestem w połowie Terranką. Moi przodkowie uganiali się po planecie przez wiele tysięcy lat, mordując się nawzajem. Wśród nich byli również panowie i niewolnicy... Nie wiem jednak, czy Konwencja Zbrojeniowa była dobrym pomysłem. Kim my jesteśmy, żeby mówić innym, co mają robić, a czego im nie wolno? Idea Ekumeny polegała na zaproponowaniu drogi otwarcia, a nie na stawianiu przed kimkolwiek przeszkód.

Teyeo słuchał uważnie, ale odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Nauczyliśmy się... zwierzać szeregi. Zawsze. Masz rację, że w ten sposób traci się energię, ducha. Ty jesteś otwarta.

Solly przyszło na myśl, że te słowa bardzo dużo go kosztują. Kiedy ona mówiła, słowa po prostu nadlatywały roztańczone z powietrza i wracały z powrotem. Teyeo mówił z głębi swojej istoty. Ta świadomość sprawiła, że jego słowa uznała za prawdziwy komplement, który przyjęła z wdzięcznością. W miarę upływu czasu zdawała sobie sprawę, jak wiele pewności straciła i traciła nadal; pewności siebie, pewności, że ktoś wpłaci za nich okup i zostaną uwolnieni, że wydadzą się z tej piwnicy, że wyjdą stąd żywi.

– Czy wojna była bardzo brutalna?

– Tak – odparł. – Nie potrafię... Nigdy nie miałem okazji... jej zobaczyć... Tylko coś podobnego do błysku... – Podniósł dłonie, jakby chciał zasłonić oczy. Spojrzał na Solly zmęczonym wzrokiem. Zrozumiała teraz, że jego pozornie żelazne poczucie własnej godności miało wiele słabych punktów.

– Sceny z Kheakh, o których nie sądziłam nawet, że je widziałam, przychodzą do mnie w nocy – powiedziała Solly. Po chwili przerwy spytała: – Jak długo tam byłeś?

– Nieco ponad siedem lat.

Twarz Solly wykrzywił grymas.

– Czy czułeś się szczęśliwy?

Było to dziwne pytanie, nie zabrzmiało tak, jak chciała, ale Teyeo potraktował je poważnie.

– Tak – odparł. – Zawsze. Ludzie, z którymi tam pojechałem, zginęli, większość w pierwszych latach wojny. Na Yeowe straciliśmy trzysta tysięcy ludzi. Nigdy się o tym nie mówi. Dwie trzecie ludzi z kasty veotów z Voe Deo poległo. Jeżeli to, że przeżyłem, można nazwać szczęściem, dopisało mi szczęście. – Teyeo spojrział na swoje zaciśnięte dłonie i zamknął się w sobie.

– Mam nadzieję, że nadal jesteś szczęśliwy.

Nie odpowiedział.

– Ile czasu minęło? – zapytał.

Solly odchrząknęła, zerknęła na zegarek i odparła:

– Sześćdziesiąt godzin.

Porywacze nie przyszli poprzedniego dnia o zwykłej godzinie, czyli około ósmej rano. Nie przyszli też tego ranka.

Skończyło się jedzenie i woda, a więźniowie coraz bardziej osuwali się w milczenie i odrętwienie. Od wielu godzin się nie odezwali. Teyeo powstrzymywał się od pytania o godzinę.

– To jest potworne – powiedziała Solly. – To jest takie potworne. Stale myślę...

– Oni cię nie zostawią – zapewnił ją major. – Czują się wobec ciebie odpowiedzialni.

– Ponieważ jestem kobietą?

– Częściowo tak.

– Cholera!

Teyeo przypomniał sobie, że w życiu na wolności gruboskórność wysłanniczki go raziała.

– Zostali złapani, zastrzelono ich – powiedziała Solly nerwowo. – Nikt nie zadał sobie trudu, żeby nas odszukać.

Teyeo, któremu ta sama myśl przyszła do głowy kilkaset razy, nie miał nic do powiedzenia.

– To takie potworne miejsce na umieranie – mówiła dalej. – Tak tu brudno. Śmierdzą od dwudziestu dni. Teraz boli mnie żołądek, bo się boję, ale nie mogę się wypróżnić. Jestem spragniona, a nie mogę się napić.

– Solly! – przerwał jej ostro. Po raz pierwszy nazwał ją po imieniu. – Uspokój się. Trzymaj się.

– Czego mam się trzymać? – spytała, wpatrując się w niego, a ponieważ nie odpowiedział, dodała: – Nie pozwalasz mi się dotykać!

– Nie mówię, żebyś się trzymała mnie...

– W takim razie czego? Tu nic nie ma!

Pomyślał, że Solly się rozplacze, ale wstała, wzięła pustą tacę i zaczęła nią walić o drzwi, aż taca rozsypała się na kawałki wikliny i kurzu.

– Chodźcie! Niech was szlag trafi! Chodźcie tu, dranie! Wypuście nas stąd!

Po tym wybuchu ponownie usiadła na materacu.

– No cóż... – powiedziała.

– Posłuchaj – odezwał się.

Słyszeli to już wcześniej. Do piwnicy nie docierały żadne odgłosy miasta, ale to było coś głośniejszego, jakby wybuchy.

Szczęknęły drzwi.

Kiedy się otworzyły, nie ze zwykłym łoskotem, ale powoli, więźniowie byli na nogach. Jeden mężczyzna został na zewnątrz, dwaj weszli do pokoju. Jednego z nich, uzbrojonego, nigdy wcześniej nie widzieli; drugi, młody, o zaciętej twarzy, którego nazywali rzecznikiem, wyglądał tak, jakby miał za sobą bieg lub walkę; był brudny, zmęczony, nieco oszołomiony. Rzecznik zamknął drzwi. W dłoni trzymał jakieś papiery. Cała czwórka patrzyła po sobie w milczeniu przez długą minutę.

– Wody – powiedziała Solly. – Wy dranie!

– Przykro mi, proszę pani – odparł rzecznik. Wcale jej nie słuchał. Nawet na nią nie patrzył. Po raz pierwszy patrzył na Teyeo. – Toczą się ciężkie walki – oświadczył.

– Kto walczy? – spytał Teyeo władcym tonem.

– Voe Deo. Przysłali oddziały. Po pogrzebie zagrozili, że przyślą oddziały, jeśli się nie poddamy. Przybyli wczoraj. Idą przez miasto i zabijają. Znają wszystkie ośrodki wyznawców dawnej wiary. Znają też kilka naszych. – W jego głosie pobrzmiwały zdumione, oskarżycielskie tony.

– Po jakim pogrzebie? – spytała Solly.

Kiedy rzecznik nie odpowiedział, Teyeo powtórzył pytanie:

– Po jakim pogrzebie?

– Po waszym. Proszę... przyniosłem wydruki... Pogrzeb na koszt państwa. Mówią, że ponieśliście śmierć w wyniku wybuchu.

– Jakiego znowu wybuchu, do cholery?! – spytała Solly ochryłym głosem, a tym razem rzecznik odpowiedział:

– Podczas obchodów święta. To była robota wyznawców dawnej wiary. W ogniu Tual umieszczono środki wybuchowe, tylko że eksplozja nastąpiła zbyt wcześnie. Wiedzieliśmy o ich planie. Uratowaliśmy panią – powiedział, zwracając się nagle do Solly tym samym oskarżycielskim tonem.

– Uratowaliście mnie, ty dupku?! – krzyknęła.

Teyeo rozchylił suche wargi w śmiechu zaskoczenia, który natychmiast stłumił.

– Daj mi to – rozkazał, a młody człowiek wręczył mu papiery.

– Przynieście nam wody!!! – wrzasnęła Solly.

– Proszę tu zostać. Musimy porozmawiać – powiedział Teyeo, instynktownie wykorzystując swoją przewagę. Usiadł na materacu z wydrukami w dłoni. W ciągu kilku minut Teyeo i Solly zapoznali się z doniesieniem o skandalicznym zakłóceniu Święta Przebaczenia i pożałowania godnej śmierci wysłanniczki Ekumeny w wyniku ataku terrorystycznego, przeprowadzonego przez sektę wyznawców dawnej wiary. Była też krótka wzmianka o śmierci strażnika ambasady voedeańskiej w wyniku wybuchu, w którym zginęło także siedemdziesięciu kapłanów i gapiów. Dalej następował długi opis pogrzebu państwowego, doniesienia o zamieszkach, terroryzmie, akcjach odwetowych. Wreszcie informacja o tym, że pałac z wdzięcznością przyjął ofertę pomocy ze strony Voe Deo w zlikwidowaniu raka terroryzmu...

– No dobrze – powiedział w końcu Teyeo. – Skoro nie otrzymaliście żadnego odzewu z pałacu, to dlaczego pozostawiliście nas przy życiu?

Solly przybrała taki wyraz twarzy, jakby uważała, że pytanie jest nietaktowne, ale rzecznik odpowiedział z równą otwartością:

– Myśleliśmy, że wasz kraj zapłaci za was okup.

– Zapłaci – powiedział Teyeo – tylko nie możecie dopuścić do tego, by wasz rząd dowiedział się, że żyjemy. Jeżeli...

– Poczekaj. – Solly powstrzymała go ruchem ręki. – Nie spiesz się. Chcę się nad tym wszystkim zastanowić. Lepiej nie wyłączaj z tego Ekumeny. Cała sztuka polega jednak na skontaktowaniu się z nimi.

– Jeżeli są tu oddziały Voe Deo, wystarczy, że przekażę wiadomość komukolwiek z mojego dowództwa albo komuś z ochrony ambasady.

Solly wciąż ścisnęła ostrzegawczo dłoń Teyeo. Palcem drugiej dłoni pogroziła rzecznikowi.

– Porwałś wysłanniczkę Ekumeny, ty dupku! Teraz musisz pomyśleć o czymś, o czym nie pomyślałeś wcześniej. Ja też muszę się zastanowić, bo nie chcę, żeby twój przeklęty rząd rozwalił mnie za to, że pojawię się cała i zdrowa, wprawiając ich w zakłopotanie. Gdzie wy się w ogóle kryjecie? Czy istnieje jakaś szansa, że wydostaniemy się z tej piwnicy?

Młody człowiek z tym swoim zdenerwowanym, gorączkowym wyrazem twarzy potrząsnął głową.

– Prawie cały czas wszyscy przebywamy tu na dole. Tutaj będziecie bezpieczni.

– Tak, pilnujcie też naszych paszportów! – powiedziała Solly. – Przynieście nam wody, do cholery! Pozwólcie nam porozmawiać. Wróćcie za godzinę.

Młody człowiek pochylił się nagle w stronę Solly z twarzą wykrzywioną z wściekłości.

– Jaka z ciebie dama, ty cudzoziemska, brudna, śmierdząca cipo?!

Teyeo zerwał się na równe nogi, ale Solly ścisnęła mu dłoń jeszcze mocniej. Po chwili milczenia rzecznik i drugi mężczyzna ruszyli do drzwi, zazgrzytał zamek i wyszli.

– Uff! – Solly odetchnęła z ulgą.

– Nie – powiedział Teyeo. – Nie... – Nie wiedział, jak to wyrazić. – Oni nie rozumieją. Lepiej będzie, jeśli z nimi porozmawiam.

– Oczywiście. Kobiety nie wydają rozkazów. Kobiety nie mówią. Gnoje! A mówiłeś, że czują się za mnie odpowiedzialni!

– Bo tak jest. Ale to młodzi ludzie. Fanatycy, którzy są bardzo przestraszeni – odparł. A ty mówiłaś do nich jak do pracowników, pomyślał, ale nie powiedział tego.

– Ja też jestem przestraszona! – Z oczu pociekły jej drobne strużki łez. Otarła je i znowu usiadła wśród papierów. – Boże, nie żyjemy od dwudziestu dni! Pochowano nas piętnaście dni temu. Jak myślisz, kogo pochowali?

Uścisk Solly był bardzo silny. Delikatnie rozmasował obolały przegub i dłoń, przyglądając się towarzyszce niewoli.

– Dziękuję ci – powiedział. – Uderzyłbym tego drania.

– Och, wiem, ta przekłeta rycerskość. A uzbrojony strażnik odstrzeliłby ci głowę. Teyeo, jesteś pewien, że wystarczy, byś zawiadomił kogoś z armii albo z ochrony?

– Tak, oczywiście.

– Jesteś pewien, że twój kraj nie gra w tę samą grę, co Gatay?

Teyeo wlepił w nią wzrok. Kiedy dotarł do niego sens słów Solly, gniew, który tłumił i dusił w sobie w ciągu niekończącej się wspólnej niewoli, wezbrał w nim ognistą falą irytacji, nienawiści i pogardy. Nie był w stanie nic powiedzieć, ponieważ bał się, że przemówi do niej tak jak tamten młody patriota.

Przeszedł na swoją stronę piwnicy i usiadł po swojej stronie materaca, odwrócony od Solly. Siedział po turecku, z jedną dłonią spoczywającą lekko na drugiej.

Solly mówiła dalej, lecz ani jej nie słuchał, ani nie odpowiadał.

– Mamy rozmawiać, Teyeo – powiedziała po chwili. – Została nam tylko godzina. Myślę, że te dzieciaki zrobią, co im każemy, o ile zaproponujemy coś sensownego, coś, co będzie wyjściem z sytuacji.

Nie odpowiedział. Zagryzł wargi i milczał.

– Teyeo, co ja takiego powiedziałam? Powiedziałam coś niewłaściwego. Nie wiem, co to było. Przepraszam.

– Oni... – Z trudem panował nad wargami i głosem. – Oni by nas nie zdradzili.

– Kto? Patrioci?

Nie odpowiedział.

– Masz na myśli Voe Deo? Oni by nas nie zdradzili?

W ciszy, jaka nastąpiła po jej pytaniu, zadany łagodnym tonem niedowierzania, Teyeo zrozumiał, że Solly ma rację. Wszystko to był spisek światowych mocarstw. Lojalność Teyeo wobec własnego kraju i armii została zmarnowana i okazała się równie daremna, jak reszta jego życia. Ukrył głowę w dłoniach i zatęsknił za łzami, ale nie popłynęła nawet kropla.

Solly przekroczyła linię. Poczul jej dłoń na ramieniu.

– Jest mi bardzo przykro, Teyeo – powiedziała. – Nie chciałam cię obrazić! Szanuję cię. Byłeś całą moją nadzieją i oparciem.

– To nie ma znaczenia – odparł. – Gdybym... gdybyśmy mieli trochę wody.

Solly zerwała się z materaca i załomotała w drzwi pięściami i sandałem.

– Dranie, dranie! – krzyczała.

Teyeo wstał i zaczął chodzić: trzy kroki, zwrot, trzy kroki, zwrot, wreszcie zatrzymał się po swojej stronie pokoju.

– Jeżeli masz rację – powiedział powoli, oficjalnym tonem – zarówno nam, jak i porywaczom grozi niebezpieczeństwo nie tylko ze strony Gatay, ale także ze strony moich ludzi, którzy być może... którzy wspierali te frakcje antyrządowe, by znaleźć pretekst do wprowadzenia tu oddziałów i spacyfikowania Gatay. Dlatego właśnie wiedzą, gdzie znaleźć wicherzycieli. Mamy... mieliśmy szczęście, że nasz oddział był... był autentyczny.

Solly patrzyła na niego z czułością, która wydała mu się niestosowna.

– Nie wiemy natomiast, po której stronie opowie się Ekumena. To znaczy... Tak naprawdę istnieje tylko jedna strona.

– Nie, istnieje też nasza strona, strona uciśnionych. Kiedy ambasada zobaczy, że Voe Deo próbuje przejąć Gatay, nie będzie się w to mieszać, ale również tego nie zaaprobuje. Zwłaszcza jeśli będzie się to wiązało z takimi represjami.

– Przemoc jest wymierzona tylko we frakcje antyekumenalne.

– Ludzie z ambasady i tak tego nie zaaprobują. A kiedy się dowiedzą, że żyję, wkurzą się na ludzi, którzy twierdzili, że spłonęłam podczas święta. Problem polega na skontaktowaniu się z ambasadą. Byłam jedyną osobą reprezentującą Ekumenę w Gatay.

Kto byłby bezpiecznym kanałem?

– Któryś z moich ludzi. Ale...

– Na pewno już ich odesłano. Po co trzymać tu ochronę ambasady, jeśli wysłanniczka zginęła i została pochowana? Chociaż moglibyśmy spróbować. Każ tym chłopcom spróbować. – Po namyśle dodała: – A może wypuściliby nas w przebraniu? Takie wyjście byłoby dla nich najbezpieczniejsze.

– Dookoła jest ocean – przypomniał Teyeo.

– Och, dlaczego nie przyniosą nam wody... – Solly zaczęła się bić pięściami po głowie. Jej głos przypominał szelest papieru. Wstydział się własnego gniewu, bólu, samego siebie. Chciał powiedzieć Solly, że była mu pomocą i nadzieją, że szanował ją, że okazała się niewiarygodnie dzielna, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa. Czuł się pusty, zużyty, stary. Gdyby tylko przynieśli im wody!

W końcu przyniesiono im wodę i trochę nieświeżego jedzenia. Najwyraźniej porywacze musieli się ukrywać i znajdowali się w sytuacji przymusowej. Rzecznik – powiedział, że ma na imię Kergat, czyli „wolność” po gatajsku – poinformował więźniów, że całe dzielnice zostały ewakuowane i podpalone, że oddziały voedeańskie panowały nad przeważającą częścią miasta, włącznie z pałacem, i że sieć właściwie pominęła te wydarzenia milczeniem.

– Kiedy walki się skończą, Voe Deo zawładnie moim krajem – powiedział z pełną niedowierzania furją.

– Nie na długo – stwierdził Teyeo.

– Kto zdoła ich pokonać? – spytał Kergat.

– Yeowe. Idea Yeowe.

Kergat i Solly spojrzeli na niego zdumieni.

– Rewolucja – wyjaśnił Teyeo. – Ile jeszcze czasu upłynie, zanim Werel stanie się nowym Yeowe?

– Pracownicy? – spytał Kergat takim tonem, jakby Teyeo sugerował rewoltę bydła czy much. – Oni się nigdy nie zorganizują.

– Tylko poczekaj – odparł łagodnie Teyeo.

– Nie macie żadnych pracowników w waszej grupie? – spytała Solly.

Rzecznik nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Teyeo zauważył, że Kergat zaklasyfikował Solly jako pracownicę. Rozumiał, dlaczego tak się stało. On postąpił tak samo w innym życiu, kiedy tego rodzaju rozróżnienia miały sens.

– A twoja niewolnica, Rewe, czy była twoją przyjaciółką? – spytał Kergat Solly.

– Tak – odparła Solly, a po chwili się poprawiła: – Nie. Chciałam, żeby nią była.

– A makil?

– Myślę, że tak – powiedziała po chwili.

– Czy on wciąż tu jest?

Solly pokręciła głową i odparła:

– Trupa wybierała się na tournée kilka dni po święcie.

– Od czasu obchodów święta podróże zostały zakazane – powiedział Kergat. – Prawo do przemieszczania się ma tylko rząd i wojsko.

– Batikam pochodzi z Voe Deo. Jeżeli wciąż tu jest, prawdopodobnie wyślą go razem z trupą do domu. Spróbuj się z nim skontaktować, Kergacie.

– Z makilem? – spytał rzecznik z tym samym niesmakiem i niedowierzaniem. – Z

jednym z twoich voedeañskich komedianów?

Teyeo rzucił Solly ostrzegawcze spojrzenie. Cierpliwości, cierpliwości, mówiły jego oczy.

– Z jednym z biseksualnych aktorów – powiedziała Solly, ignorując Kergata, ale na szczęście i on postanowił ją ignorować.

– To inteligentny człowiek – rzekł Teyeo. – Ma liczne koneksje. Mógłby pomóc, zarówno wam, jak i nam. Może gra jest warta świeczki, o ile makil wciąż jest w mieście. Musimy się spieszyć.

– Dlaczego miałby nam pomóc? Pochodzi z Voe Deo.

– Nie jest obywatelem, ale pracownikiem – stwierdził Teyeo. – Poza tym należy do Hame, podziemnej organizacji pracowników, która występuje przeciwko rządowi Voe Deo. Ekumena uznaje Hame. Batikam powiadomi ambasadę, że pewna patriotyczna grupa ocaliła wysłanniczkę Ekumeny i przetrzymuje ją w miejscu, gdzie grozi jej najwyższe niebezpieczeństwo. Sądzę, że Ekumena podejmie szybkie i zdecydowane kroki. Zgadza się, wysłanniczko?

Solly, której nagle przywrócono stanowisko, odpowiedziała krótkim, pełnym godności skinieniem głowy.

– Zróbcie to jednak dyskretnie – zastrzegła. – Jeżeli zdołają użyć nacisku politycznego, chętnie unikną przemocy.

Rzecznik próbował to wszystko zrozumieć. Teyeo, pełen współczucia dla jego zmęczenia, nieufności i zmieszania, czekał w milczeniu. Zauważył, że Solly siedzi równie cicho, z jedną dłonią na drugiej. Była wychudzona i brudna, a jej niemyte, tłuste włosy zwisały w cienkim warkoczu. Była dzielna, jak odważna klacz, cała w nerwach. Prędzej pęknie jej serce, niż się podda.

Kergat zadawał pytania, a Teyeo odpowiadał, argumentując i zapewniając. Od czasu do czasu Solly zabierała głos, a Kergat znowu jej słuchał, chociaż niechętnie. W końcu wyszedł, nie mówiąc, co zamierza zrobić. Miał jednak imię Batikama oraz zaszyfrowaną wiadomość Teyeo do ambasady: „Oficerowie z kasty veotów, którzy służą za pół żołdu, szybko uczą się starych piosenek”.

– Co to miało, u licha, znaczyć? – spytała Solly po wyjściu Kergata.

– Czy znałaś w ambasadzie człowieka o imieniu Dawna Muzyka?

– Aha! To twój przyjaciel?

– Był bardzo uczynny.

– Od samego początku jest tutaj, na Werel, jako pierwszy obserwator. To dość wpływowy człowiek... tak... a poza tym szybki... Umysł odmawia mi posłuszeństwa. Chciałabym się położyć nad małym strumieniem na łące i pić... Za każdym razem, kiedy by mi przyszła ochota, mogłabym wyciągnąć szyję i chlip, chlip, chlip... W pełnym słońcu... O Boże, o Boże, słońce! Teyeo, jeszcze nigdy nie znalazłam się w tak trudnej sytuacji. Wciąż myślę, że może naprawdę jest stąd jakieś wyjście, tylko my o nim nie wiemy. Próbuję nie mieć nadziei, a zarazem nie żyć bez nadziei. Och, jak męczy mnie siedzenie w tej piwnicy!

– Która godzina?

– Dwudziesta trzydzieści. Wieczór. O Boże, ciemność! Być w ciemności! Po prostu znaleźć się w ciemności... czy istnieje jakiś sposób na zakrycie tej przeklętej płytki bioluminescencyjnej? Przynajmniej częściowo? Żeby udawać, że mieliśmy noc, po to, byśmy mogli udawać, że mieliśmy dzień?

– Gdybyś stanęła mi na ramionach, dosięgnęłabyś do niej? Ale jak moglibyśmy przyczepić tam kawałek materiału?

Zastanawiali się, wpatrzeni w płytkę.

– Nie wiem. Czy zauważyłeś, że część tej płytki jakby gasła? Może nie musimy się martwić zaciemnianiem pokoju. Może światło samo zgaśnie, jeśli pozostaniemy tu dostatecznie długo. O Boże!

– Cóż – powiedział po chwili Teyeo, dziwnie skrepowany. – Jestem zmęczony.

Wstał, przeciągnął się, oczami poprosił o zezwolenie na wejście na jej terytorium, dostał łyk wody, wrócił na swoje terytorium, zdjął marynarkę i buty – Solly była odwrócona – zdjął spodnie, położył się, podciągnął koc i pomyślał: Panie Kamye, pozwól, bym trzymał się jedynej szlachetnej rzeczy.

Mimo to nie mógł zasnąć.

Słyszał nieznaczne ruchy Solly; wysiusiała się, wylała trochę wody, zdjęła sandały, położyła się.

Minęła długa chwila.

– Teyeo?

– Tak.

– Czy myślisz... że w tych okolicznościach... byłoby błędem kochać się?

Przerwa.

– Nie w tych okolicznościach – powiedział prawie niesłyszalnie. – Ale... w innym życiu...

Przerwa.

– Krótkie życie przeciw długiemu życiu – mruknęła Solly.

– Tak.

Przerwa.

– Nie – powiedział i odwrócił się do Solly. – To nie jest w porządku. – Wyciągnęli ku sobie ręce. Spletli się w uścisku, przylgnęli do siebie w pośpiechu, chciwości, potrzebie, każde w swoim języku wykrzykiwało imię Boga, a potem krzyczeli bez słów, jak zwierzęta. Wtulili się w siebie, wyczerpani, spoceni i odżyli, odrodzili się w czułości ciał, w niekończącym się poszukiwaniu, w starodawnym odkryciu, w długim locie ku nowemu światu.

Teyeo budził się powoli, swobodnie, z rozkoszą. Leżeli spleceni – on z twarzą wtuloną w ramię i pierś Solly, ona głaskała go po włosach, po szyi i ramionach. Leżał długo, świadom tylko tego leniwego rytmu i chłodu skóry Solly na swojej twarzy, pod swoją dłonią, na nodze.

– Teraz wiem, że cię nie znam – powiedziała szeptem. – Teraz muszę cię poznać. – Nachyliła się, by dotknąć jego twarzy wargami i policzkiem.

– A co byś chciała wiedzieć?

– Wszystko. Powiedz mi, kim jest Teyeo?...

– Nie wiem – odparł. – Człowiekiem, któremu jesteś bardzo droga.

– O Boże! – Solly ukryła twarz w szorstkim, cuchnącym kocu.

– Kim jest Bóg? – spytał Teyeo sennym głosem.

Rozmawiali po voedezańsku, ale Solly zazwyczaj przeklinała po terrańsku lub alterrańsku. Tym razem użyła alterrańskiego słowa „Seyt”, dlatego zapytał:

– Kim jest Seyt?

– Och, to Tual, Kamye, co tylko chcesz. Ja tak tylko powiedziałam, to po prostu złe

określenie. Czy wierzysz w któregoś z tych bogów? Przepraszam. Czuję się przy tobie jak idiotka. Wdarłam się do twojej duszy, dokonałam najazdu... Staliśmy się najeźdźcami, niezależnie od tego, jacy jesteśmy pacyfistyczni i zarozumiali...

– Czy muszę kochać całą Ekumenę? – zapytał i zaczął głaskać ją po piersiach, czując, jak w Solly i w nim budzi się pożądanie.

– Tak – odparła. – Tak, tak.

Jakie to dziwne, myślał Teyeo, że odrobina seksu wszystko zmienia. Sytuacja nie uległa zmianie, ale stała się nieco łatwiejsza, mniej żenująca i kłopotliwa. Pojawiło się urocze źródło przyjemności dla nich obojga, z którego mogli czerpać, kiedy tylko mieli dosyć jedzenia i wody, by nabrać sił do miłości. Seks, otucha, czułość, miłość, zaufanie, żadne ze słów nie było właściwym, pełnym słowem. Było to coś całkowicie intymnego, ukrytego we wzajemności ich ciał, co w żadnej mierze nie zmieniało ich położenia, nie zmieniało niczego w świecie, nawet w małym, żalonym świecie ich niewoli. Nadal tkwili w pułapce. Siły ich opuszczały, nękał ich głód. Coraz bardziej bali się swoich coraz bardziej zdesperowanych gnębicieli.

– Będę damą – powiedziała Solly. – Będę grzeczną dziewczynką, tylko powiedz mi jak, Teyeo.

– Nie chcę, żebyś się poddawała – rzekł z takim żarem, że łzami w oczach, że Solly podeszła i przytuliła go. – Trzymaj się dzielnie.

– Postaram się.

Kiedy jednak Kergat i pozostali wrócili, Solly zachowywała się spokojnie i skromnie; pozwalała mężczyznom mówić, spuszczała wzrok. Teyeo nie mógł tego znieść, ale wiedział, że Solly postępuje właściwie.

Szczęknął zamek, trzasnęły drzwi, wyrrywając go z beznadziejnego, upragnionego snu. Była noc albo bardzo wczesny poranek. Teyeo i Solly spali mocno spleceni, ponieważ tak było cieplej i wygodniej. Teraz, na widok twarzy Kergata, Teyeo poczuł silny lęk. Stało się to, czego się obawiał: porywacze przekonali się o seksualnej pobudliwości Solly. Tuliła się do niego, pogrążona w półśnie.

Do pokoju wszedł drugi mężczyzna. Kergat milczał. Dopiero po pewnym czasie Teyeo rozpoznał w drugim człowieku Batikama.

Jego umysł pozostał pusty. Zdołał tylko wypowiedzieć imię makila, i to wszystko.

– Batikam? – spytała ochryple Solly. – O mój Boże!

– To interesująca chwila – powiedział Batikam swoim ciepłym głosem aktora. Teyeo zobaczył, że makil ma na sobie nie kobiece, ale męskie, gatajskie ubranie. – Przyszedłem was ocalić, a nie wprawić w zakłopotanie, wysłanniczko, rego. Może załatwimy to szybko, co?

Teyeo wygramolił się z pośłania i zaczął naciągać brudne spodnie. Solly spała w podartych spodniach, które dali jej porywacze. Oboje zostali w koszulach, żeby było im cieplej.

– Skontaktowałeś się z ambasadą, Batikamie? – pytała Solly drżącym głosem, wsuwając stopy w sandały.

– O tak. Poszedłem tam i wróciłem. Przepraszam, że trwało to tak długo. Chyba nie

zdawałem sobie do końca sprawy z waszej sytuacji.

– Kergat zrobił dla nas wszystko co w jego mocy – powiedział Teyeo stłumionym głosem.

– Właśnie widzę. Poniósł przy tym niemałe ryzyko. Myślę, że od tej chwili ryzyko jest niewielkie. To znaczy... – Spojrzał prosto na Teyeo. – Rego, co pan powie na oddanie się w ręce Hame? Czy to dla pana jakiś problem?

– Przestań, Batikamie – powstrzymała go Solly. – Zaufaj mu!

Teyeo zawiązał but, wyprostował się i powiedział:

– Wszyscy jesteśmy w rękach Pana Kamye.

Batikam wybuchnął swoim pięknym śmiechem, który oboje dobrze pamiętali.

– A zatem jesteśmy w rękach Pana – powiedział i wyprowadził więźniów z pokoju.

Księga *Arkamye* głosi: „Życ w sposób prosty to niezwykle skomplikowana sprawa”.

Solly złożyła prośbę o pozostawienie jej na Werel. Po urlopie rehabilitacyjnym na wybrzeżu wysłano ją jako obserwatorkę do południowego Voe Deo. Teyeo pojechał prosto do domu, ponieważ otrzymał wiadomość o ciężkiej chorobie ojca. Po jego śmierci zwolnił się ze służby w ochronie ambasady na czas nieokreślony i został na farmie z matką, która zmarła dwa lata później. Teyeo i Solly, rozdzieleni kontynentem, spotykali się w ciągu tych lat bardzo rzadko.

Po śmierci matki Teyeo dał wolność pracownikom rodziny na mocy aktu wyzwolenia, scedował na nich gospodarstwa rolne, sprzedał na aukcji swoją posiadłość, obecnie praktycznie bezwartościową, po czym pojechał do stolicy. Wiedział, że Solly mieszka tymczasowo w ambasadzie. Dawna Muzyka powiedział mu, gdzie ma szukać. Teyeo znalazł ją w małym gabinecie pałacowego budynku. Solly wyglądała poważniej, niezwykle elegancko. Spojrzała na niego z zaskoczeniem, a jednocześnie nieufnością. Nie podeszła, żeby się z nim przywitać.

– Teyeo – powiedziała. – Zaproponowano mi stanowisko pierwszego ambasadora Ekumeny w Yeowe.

Znieruchomiał.

– Właśnie... właśnie rozmawiałam przez ansibl z Hain... – Solly ukryła twarz w dłoniach. – O mój Boże! – wykrztusiła.

– Przyjmij moje szczerze gratulacje, Solly – powiedział.

Nagle podbiegła do niego, objęła go i zawołała:

– Och, Teyeo, twoja matka umarła! Nigdy nie przypuszczałam, tak mi przykro, nigdy... Myślałam, że moglibyśmy... Co ty teraz poczniesz? Zostaniesz na farmie?

– Sprzedałem ją – powiedział. Raczej trwał w jej uścisku, niż go odwzajemniał. – Pomyślałem, że mógłbym wrócić na służbę.

– Sprzedałeś farmę? Ależ ja jej nigdy nie widziałam!

– A ja nigdy nie widziałem miejsca, gdzie się urodziłaś – odparł.

Zapadło milczenie. Solly odsunęła się od Teyeo i spojrzeli na siebie.

– Przyjechałbyś? – spytała.

– Przyjechałbym – odpowiedział.

Kilka lat po wstąpieniu Yeowe do Ekumeny mobil Solly Agat Terwa została wysłana jako ekumenalny łącznik na planetę Terra. Później przeniosła się stamtąd na Hain, gdzie odznaczyła się jako mediatorka. We wszystkich podróżach prywatnych i służbowych towarzyszył jej mąż, oficer armii wereliańskiej, bardzo przystojny mężczyzna, równie powściągliwy, jak Solly była wylewna. Ludzie, którzy ich znali, wiedzieli o ich wielkiej

dumie i zaufaniu, jakim się darzyli. Solly była może szczęśliwsza, spełniała się w pracy, ale Teyeo niczego nie żałował. Utracił swój świat, lecz trzymał się jedynej szlachetnej rzeczy.

Człowiek ludu

Stse

Siedział obok ojca przy wielkim zbiorniku irygacyjnym. Skrzydła o barwie ognia wzbiły się i zanurkowały w ciemniejącym powietrzu. Drżące kręgi powiększały się, łączyły, zanikały na gładkiej powierzchni wody.

– Co sprawia, że woda płynie w ten sposób? – spytał cicho, żeby nie zakłócać tajemniczego nastroju, a ojciec cicho odparł:

– W tym miejscu arahy dotykają wody, kiedy piją.

Zrozumiał, że w środku każdego kręgu znajdowało się pożądanie, pragnienie. Nadszedł czas powrotu do domu, więc pobiegł przed ojcem, naśladowując lecącą arahę, z powrotem przez zmierzch do stromego miasta o jasnych oknach.

Nazywał się Mattinyehedarheddyuragamuruskets Havzhiva. Słowo *havzhiva* oznacza „pręgowany kamyk”, mały kamień z kwarcową inkluzją biegnącą przez środek, która wygląda jak otaczająca kamień pręga. Mieszkańcy Stse przywiązują dużą wagę do kamieni i imion. Chłopcy Nieba, Innego Nieba oraz potomkowie rodów Zakłóceń Atmosferycznych tradycyjnie wywodzą swoje imiona od nazw kamieni lub takich pożądanych cech męskich, jak odwaga, cierpliwość i wdzięk. Rodzina Yehedarhed była tradycjonalistyczna; przywiązywała wagę do pokrewieństwa i pochodzenia.

– Jeżeli wiesz, kim jest twój ród, wiesz, kim jesteś – mawiał Granit, ojciec Havzhivy. Miły, cichy człowiek, który ojcowską odpowiedzialność traktował bardzo poważnie, często wyrażał myśli za pomocą porzekadeł.

Granit był oczywiście bratem matki Havzhivy – tym właśnie był ojciec. Mężczyzna, który pomógł matce chłopca go począć, żył na farmie; czasami, kiedy przyjeżdżał do miasta, zachodził, żeby się przywitać. Matka Havzhivy była Spadkobierczynią Słońca. Czasami Havzhiva zazdrościł swej kuzynce Aloe, której ojciec był tylko o sześć lat starszy od niej i bawił się z nią jak starszy brat. Niekiedy zazdrościł dzieciom, których matki nie były ważne. Jego matka stale pościła, tańczyła lub podróżowała; nie miała męża i rzadko sypiała w domu. Życie z nią było ekscytujące, ale trudne. Zawsze kiedy znajdował się w jej towarzystwie, musiał być ważny. Z wielką ulgą zostawał w domu z ojcem, niewymagającą babką, jej siostrą Zimową Piastunką Tańca, jej mężem oraz krewnymi z Innego Nieba z farm i innych puebli, którzy akurat przybyli z wizytą.

W Stse znajdowały się tylko dwa domostwa Innego Nieba, a Yehedarhedzi przewyższali gościnnością Doyefaradów, toteż wszyscy krewni zatrzymywali się właśnie u nich. Yehedarhedzi nie mogliby sobie na to pozwolić, gdyby krewni nie przywozili rozmaitych produktów ze wsi, a Tovo nie była Spadkobierczynią Słońca. Płacono jej hojnie za nauczanie, odprawianie rytuałów i pilnowanie protokołu w innych pueblach. Całe zarobki oddawała rodzinie, która wydawała je na krewnych, a także na ceremonie, uroczystości, obrzędy i pogrzeby.

– Bogactwo nie może się zatrzymać – powiedział Granit do Havzhivy. – Musi płynąć jak krew. Jeżeli je zachowasz, zablokuje się, atak serca murowany. Umierasz.

– Czy stary Hezhe umrze? – spytał chłopiec. Stary Hezhe nigdy nie wydawał nic na rytuały ani na krewnych, a Havzhiva był spostrzegawczym dzieckiem.

– Tak – odparł ojciec. – Jego araha już nie żyje.

Araha to radość, honor, cecha szczególna płci danej osoby, męskiej lub żeńskiej, hojność, smak dobrego jedzenia lub wina.

Jest także nazwą pierzastego ssaka o barwie ognia, którego Havzhiva widywał wieczorami nad stawami irygacyjnymi. Małe płomyki nurkowały w ciemniejącą wodę.

Stse jest prawie wyspą, skrawkiem lądu oddzielonym od wielkiego południowego kontynentu mokradłami i bagnami, gdzie zbierają się miliony ptaków, by łączyć się w pary i zakładać gniazda. Od strony lądu widoczne są ruiny olbrzymiego mostu, a inny, do połowy zatopiony fragment ruin stanowi podstawę miejskiego nabrzeża i falochronu. Całą powierzchnię planety Hain znaczą potężne budowle z innych epok, które mieszkańcy darzą nie mniejszym ani nie większym szacunkiem i zainteresowaniem niż resztę krajobrazu. Chłopiec stojący na nabrzeżu odprowadzał wzrokiem matkę, która leciała na ląd, zastanawiał się, po co ludzie zbudowali most, skoro mieli żaglowce i statki latające. Musieli lubić chodzić, myślał. Ja bym pozełgował albo poleciał.

Jednak srebrne statki powietrzne przelatywały nad Stse, nie lądując; leciały z dali w dal, gdzie mieszkali historycy. Wiele żaglowców wpływało i wypływało z portu Stse, ale ludzie z rodu Havzhivy na nich nie pływali. Oni mieszkali w pueblu Stse i robili to, co właściwe dla ich narodu i rodziny. Uczyli się tego, co było potrzebne ludziom, a następnie wcielali wiedzę w życie.

– Ludzie muszą się uczyć człowieczeństwa – powiedział ojciec Havzhivy. – Spójrz na dziecko Shell. Ciągłe mówi: Ucz mnie! Ucz mnie!

„Ucz mnie” to w języku Stse *aowa*.

– Czasami dziecko mówi *ngaaaaa* – zauważył Havzhiva.

Granit skinął głową.

– Ona jeszcze nie potrafi dobrze wymawiać ludzkich słów – powiedział.

Tej zimy Havzhiva nie odstępował dziecka na krok. Dziewczynka, należąca do jego krewnych z Etsahin, była kuzynką w drugiej linii. Przyjechała w odwiedziny razem z matką, ojcem i jego żoną. Rodzina przyglądała się z aprobatą, jak Havzhiva cierpliwie mówi „baba” i „gogo” do tłuściutkiego, pogodnego dziecka, wpatrzonego w chłopca szeroko otwartymi oczami. Chociaż Havzhiva nie miał siostry, a co za tym idzie, nie mógł być ojcem, gdyby nadal studiował pedagogikę z takim zapałem, dostąpiłby pewnie zaszczytu i został adoptowanym ojcem dziecka, którego matka nie miała brata.

Chłopiec uczył się też w szkole i w świątyni, uczył się tańca oraz miejscowej odmiany piłki nożnej. Był pilnym uczniem. W piłce nożnej osiągał dobre rezultaty, chociaż nie tak dobre jak jego najlepsza przyjaciółka, dziewczyna z Zakopanego Kabla imieniem Iyan Iyan (tradycyjne imię dziewcząt z Zakopanego Kabla, będące nazwą ptaka morskiego). Do dwunastego roku życia dzieci obojga płci uczyły się razem i były jednakowe. Iyan Iyan była najlepszym graczem piłki nożnej w drużynie dziecięcej. W połowie meczu zawsze włączano ją do drużyny przeciwnika, żeby wynik się wyrównał, a dzieci mogły pójść do domu na obiad bez poniesienia klęski lub zdobycia znacznej przewagi. To, że Iyan Iyan tak sobie dobrze radziła, zawdzięczała po części temu, iż bardzo wcześnie urosła, ale przede wszystkim własnemu talentowi.

– Czy będziesz pracował w świątyni? – spytała Havzhivę, kiedy usiedli na dachu jej domu, oglądając pierwszy dzień Odgrywania Ról Niezwykłych Bogów, co odbywało się raz na jednaście lat. Nie działo się jeszcze nic niezwykłego, a wzmacniacze szwankowały, więc muzyka na placu była cicha i pełna zakłóceń. Dzieci uderzały piętami o pięty i

rozmawiały przyciszonymi głosami.

– Nie, myślę, że nauczę się tkania od ojca – odparł chłopiec.

– Szczęściarz z ciebie. Dlaczego tylko głupi chłopcy trafiają do warsztatów tkackich? – Było to pytanie retoryczne, więc Havzhiva puścił je mimo uszu. Kobiety nie były tkaczkami. Mężczyźni nie wypalali cegieł. Mieszkańcy Innego Nieba nie prowadzili łodzi, ale naprawiali urządzenia elektroniczne. Ludzie z Zakopanego Kabla nie kastrowali zwierząt, ale obsługiwali generatory. Niektóre rzeczy można było robić, innych nie; robiłeś coś dla ludzi, a oni coś robili dla ciebie. Zbliżając się do wieku pokwitania, Iyan Iyan i Havzhiva po raz pierwszy próbowali wybrać zawód. Iyan Iyan postanowiła terminować przy budowie i remontach domów, chociaż dorosła drużyna piłki nożnej miała jej pewnie zająć sporo czasu.

Kulista srebrna postać na pajęczych nogach mknęła ulicą długimi susami, a ilekroć lądowała, wysyłała deszcz iskier. Za postacią biegło sześciu ludzi w czerwonych strojach, w długich białych maskach, krzyżąc i obrzucając skoczka cętkowaną fasolą. Havzhiva i Iyan Iyan zawtórowali krzykom i wyciągnęli szyje, by zobaczyć, jak srebrna postać znika w podskokach za rogiem i zmierza w stronę placu. Dzieci wiedziały, że tym niezwykłym bogiem był Chert, młody człowiek wywodzący się z Nieba, bramkarz dorosłej drużyny piłkarskiej. Havzhiva i Iyan Iyan wiedzieli też, że skoczek był przejawem bóstwa. Bóg o imieniu Zarstsa, albo Piorun Kulisty, posługiwał się Chertem, by przybyć do miasta na uroczystość. Właśnie przemierzył skokami ulicę, ścigany okrzykami strachu, pochwałami i deszczem urodzaju. Dzieci, rozbawione widowiskiem, oceniały jakość boskiego kostiumu, skoki, sztuczne ognie, a niezwykłość i ważkość wydarzenia napełniała je bojaźnią. Kiedy bóg zniknął im z oczu, milczały przez dłuższą chwilę, pogrążone w sennym, mglistym słońcu. Były dziećmi, które żyły pośród bogów dnia powszedniego. Przed chwilą zobaczyły jednego z niezwykłych bogów i odczuwały zadowolenie. Wiedziały, że wkrótce pojawi się kolejny. Bogowie nic sobie nie robią z czasu.

W wieku piętnastu lat Havzhiva i Iyan Iyan zostali bogami.

Mieszkańcy Stse między dwunastym a piętnastym rokiem życia znajdowali się pod czujną obserwacją. Gdyby dziecko z danego domu, rodziny, narodu przeobraziło się przedwcześnie i bez ceremonii, wiązałoby się to z żałobą i głębokim, trwałym wstydem. Dziewiczość była świętym stanem, którego nie wolno było niedbale porzucać; aktywność seksualna była świętym stanem, którego nie wolno było beztrosko przyjmować. Zakładano, że chłopiec będzie się masturbował i oddawał pewnym eksperymentom homoseksualnym, ale pary homoseksualne nie wchodziły w grę. Dorastający chłopcy, którzy łączyli się w pary, a także ci, na których padało podejrzenie, że próbują nawiązać intymny kontakt z dziewczyną, wysłuchiwali niekończących się morałów i tyrad starszych mężczyzn. Dorosły mężczyzna, który robił awanse dziewczycy dowolnej płci, tracił pozycję zawodową i religijną oraz prawo do posiadania własnego domu.

Przeobrażenie zabierało trochę czasu. Chłopców i dziewczęta należało nauczyć rozpoznawać i kontrolować własną płodność, która w fizjologii haińskiej jest kwestią osobistej decyzji. Poczucie nie wydarza się, ale jest aktem woli; nie może do niego dojść, o ile zarówno kobieta, jak i mężczyzna nie zdecydują się na nie. Chłopców, którzy ukończyli

trzynasty rok życia, zaznajamiano z techniką celowego upustu spermy. Nauki były obwarowane ostrzeżeniami i groźbami, ale chłopców nigdy nie karano. Po roku czy dwóch następowała seria sprawdzianów potencji – formalny, ściśle tajny, przeznaczony wyłącznie dla mężczyzn, przerażający rytuał przejścia. Pomyślnie zdanie tych testów było, rzecz jasna, powodem do wielkiej dumy, a jednak Havzhiva, podobnie jak większość chłopców, podchodził do końcowych rytuałów przeobrażenia z wielkim niepokojem, kryjąc lęk pod maską ponurego stoicyzmu.

Dziewczęta odbierały inny rodzaj nauki. Mieszkańcy Stse wierzyli, że kobiecy cykl płodności ułatwia jej rozpoznanie tego, kiedy i jak może począć, toteż nauka była łatwa. Dziewczęce rytuały przejścia miały charakter uroczysty, wiązały się bardziej z pochwałami niż ze wstydem, wzbudzały raczej nastrój oczekiwania niż lęk. W ciągu wielu lat kobiety mówiły dziewczętom, ilustrując to przykładami, czego mężczyzna chce, jak tchnąć w niego męskość, jak mu pokazać, czego chce kobieta. W trakcie treningu większość dziewcząt pytała, czy nie mogłyby praktykować dalej w parach, lecz spotykały się z surową naganą. Nie, nie mogły. Po zmianie statusu mogły robić, co im się żywnie podobało, ale każda musiała raz przejść przez „podwójne drzwi”.

Rytuały przeobrażenia organizowano zawsze, kiedy ludzie za nie odpowiedzialni zdołali zgromadzić jednakową liczbę piętnastoletnich chłopców i dziewcząt z puebla i okolicznych farm. Często trzeba było wypożyczać chłopca lub dziewczynę z jednego ze spokrewnionych puebli, by wyrównać liczbę albo we właściwy sposób skojarzyć pary. Milczący uczestnicy, we wspaniałych maskach i kostiumach, tańczyli przez cały dzień na placu i w domu poświęconym na tę uroczystość, gdzie oddawano im cześć. Wieczorem zjadali w milczeniu rytualny posiłek, po czym zostawali wyprowadzeni parami przez zamaskowanych, milczących kapłanów. Wielu uczestników nie zdejmowało masek, skrywając lęk i skromność pod tą świętą anonimowością.

Ponieważ mieszkańcy Innego Nieba utrzymują stosunki seksualne tylko z ludźmi z Oryginału oraz z mieszkańcami Zakopanego Kabla, a Iyan Iyan i Havzhiva byli jedynymi przedstawicielami tych rodów w grupie, wiedzieli, że zostaną skojarzeni w parę. Rozpoznali się natychmiast po rozpoczęciu tańców. Kiedy zostawiono ich samych w poświęconym pokoju, niezwłocznie zdjęli maski. Ich oczy się spotkały. Odwrócili wzrok.

W ciągu minionych paru lat trzymano ich prawie zupełnie osobno, a w ostatnich miesiącach w ogóle nie mieli ze sobą styczności. Havzhiva już prawie dorównywał wzrostem Iyan Iyan. Każde z nich zobaczyło przed sobą obcą osobę. Wystrojeni i poważni, podeszli do siebie, myśląc: „Złatwmy tę sprawę”. Dotknęli się i wszedł w nich bóg, który stał się nimi; bóg, dla którego byli drzwiami; sens, dla którego byli słowem. Początkowo był to bóg nieporadny, skrepowany, ale z każdą chwilą stawał się coraz szczęśliwszy.

Nazajutrz, po wyjściu z poświęconego domu, udali się do domu Iyan Iyan.

– Havzhiva zamieszka tutaj – powiedziała Iyan Iyan, ponieważ kobiecie przysługuje prawo, by tak powiedzieć. Cała rodzina Iyan Iyan powitała chłopca i nikt nie wyglądał na zdziwionego.

Kiedy Havzhiva poszedł po ubranie do domu swej babki, tu też nikt nie wyglądał na zdziwionego, wszyscy mu gratulowali, pewna stara kuzynka z Etsahin powiedziała kilka żenujących dowcipów, a ojciec oświadczył:

– Teraz jesteś mężczyzną w tym domu. Wróc na obiad.

Tak więc sypiał z Iyan Iyan w jej domu, tam jadł śniadania, na obiad wracał do siebie,

codzienne ubranie trzymał w jej domu, a strój do tańca w swoim. Dalej się kształcił, obecnie zgłębiając głównie tkanie dywanów na warsztatach elektrycznych oraz naturę kosmosu. Zarówno Havzhiva, jak i Iyan Iyan grali w dorosłej drużynie piłki nożnej.

Zaczął częściej widywać matkę. Kiedy skończył siedemnaście lat, zapytała, czy chciałby uczyć się z nią sztuki słonecznej, rytuałów i protokołu handlowego. Mieli organizować uczciwą wymianę z farmerami z Stse i targować się z innymi pueblami oraz cudzoziemcami. Rytuałów uczono się na pamięć, protokołu zaś w praktyce. Havzhiva udawał się z matką na targ, do okolicznych farm, a także na drugą stronę zatoki, do puebli na łądzie stałym. Ostatnio tkanie wprawiało go w niepokój, wypełniało umysł wzorami, które nie zostawiały miejsca na nic innego. Perspektywę podróży powitał z radością, praca była interesująca, podziwiał autorytet, spryt i takt Tovo. Słuchanie jej, grupy starych kupców i ludzi Słońca, próbujących dobić targu, samo w sobie było nauką. Tovo nie ponaglała syna; odgrywał bardzo małą rolę w tych negocjacjach. Trening w tak złożonych kwestiach jak rytuały słoneczne trwał wiele lat, a w kolejce przed Havzhivą czekali inni, starsi ludzie.

Mimo to matka była z niego zadowolona.

– Masz dar przekonywania – stwierdziła pewnego popołudnia, kiedy żeglowali do domu po złotych wodach, patrząc, jak dachy Stse wyłaniają się z mgły i poświaty zachodzącego słońca. – Mógłbyś odziedziczyć słońce, gdybyś chciał.

Czy chcę tego? – myślał Havzhiva. Nie wyczuł w sobie żadnej reakcji, tylko poczucie ciemnienia i zmiękczenia, którego nie potrafił wytłumaczyć. Wiedział, że lubi tę pracę. Stwarzała mu jakieś perspektywy. Dzięki niej mógł się wydostać z Stse, znaleźć się wśród obcych, i to mu odpowiadało. Dawała mu możliwość robienia czegoś, czego nie potrafił, i to mu odpowiadało.

– Kobieta, która żyła z twoim ojcem, złoży nam wizytę – oznajmiła Tovo.

Havzhiva się zamyślił. Granit nigdy się nie ożenił. Kobiety, które urodziły mu dzieci, od zawsze mieszkały w Stse. Havzhiva o nic nie spytał, ponieważ właśnie uprzejmym milczeniem dorosły wyrażał swój brak zrozumienia.

– Twój ojciec i ta kobieta byli wtedy młodzi. Nie urodziły się dzieci – tłumaczyła matka. – Potem ona odeszła i została historyczką.

– Aha – powiedział zdziwiony Havzhiva.

Nigdy nie słyszał, żeby ktokolwiek został historykiem. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że człowiek może zostać historykiem, tak samo jak mógłby zostać Stse. Rodziłeś się tym, kim byłeś. Byłeś tym, kim się urodziłeś.

Havzhiva milczał z desperacką intensywnością, z czego Tovo z pewnością zdawała sobie sprawę. Jej takt jako nauczycielki polegał częściowo na tym, że wiedziała, kiedy pytanie wymaga odpowiedzi. Milczała.

Gdy żagiel oklapnął, a żaglówka sunęła ku nabrzeżu zbudowanemu na fundamentach starodawnego mostu, Havzhiva zapytał:

– Ta historyczka pochodzi z Zakopanego Kabła czy z Oryginału?

– Z Zakopanego Kabła – odparła matka. – Och, ależ ze mnie niezdara! Żaglówki to takie odporne stworenia!

Kobieta, która przewiozła ich przez zatokę, przewoźniczka z rodu Trawy, przewróciła oczami, ale nie powiedziała nic na obronę swojej słodkiej, zgrabnej żaglóweczki.

– Przyjeżdża twoja krewna? – spytał Havzhiva Iyan Iyan tej nocy.

– A tak, zameldowała się już w świątyni. – Iyan Iyan chciała powiedzieć, że do centrum informacyjnego w Stse nadeszła wiadomość, którą następnie przesłano na magnetofon w domu Iyan Iyan. – Moja matka mówiła, że dawniej ta kobieta mieszkała w twoim domu. Kogo widziałeś dzisiaj w Etsahin?

– Tylko jakichś ludzi Słońca. Ta twoja krewna jest historyczką?

– To wariaci – powiedziała Iyan Iyan obojętnie, po czym, naga, usiadła na Havzhivie i zaczęła masować mu plecy.

Przybyła historyczka, niska, chuda kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat, o imieniu Mezha. Kiedy Havzhiva ją spotkał, miała na sobie strój Stse i jadła śniadanie z resztą domowników. Miała jasne oczy i była pogodna, choć nierozmowna. Nikt, kto na nią patrzył, nie odgadłby, że Mezha złamała umowę społeczną, robiła coś, czego nie robi żadna kobieta, zignorowała własny ród, przeobraziła się w kogoś zupełnie innego. Havzhiva wiedział tylko, że Mezha poślubiła ojca swoich dzieci, tkąła i kastrowała zwierzęta. Nikt nią jednak nie pogardzał, a po śniadaniu starsi domownicy zabrali gościa na uroczystość powrotu podróżnika, zupełnie jakby była jedną z nich.

Havzhiva nie przestawał myśleć o tej kobiecie, zastanawiał się nad tym, co zrobiła. Zasypywał Iyan Iyan pytaniami, aż dziewczyna ucięła:

– Nie wiem, co robi ta kobieta. Nie wiem, o czym myśli. Historycy to wariaci. Sam ją zapytaj!

Kiedy Havzhiva uzmysłowił sobie, że boi się to uczynić, choć przecież nie ma powodu, zrozumiał, iż znalazł się w obecności boga, który czegoś od niego wymaga. Wspiął się na jeden ze skalnych kopców na wzgórzach ponad miastem. Kryte czarną dachówką dachy i białe mury Stse przycupnęły w dole pod urwiskiem, a zbiorniki irygacyjne srebrzyły się pośród pól i sadów. Poza obrębem ziemi uprawnej rozciągały się nadmorskie mokradła. Havzhiva przez cały dzień siedział w milczeniu, patrzył w morze i we własną duszę. Wrócił do swego domu i tam zasnął. Gdy zjawił się w domu Iyan Iyan na śniadaniu, dziewczyna nic nie powiedziała.

– Pościłem – oznajmił Havzhiva.

– W takim razie jedz – odparła z nieznacznym wzruszeniem ramion i usiadła obok niego. Po śniadaniu Iyan Iyan wyszła do pracy, a Havzhiva został w domu, chociaż spodziewano się go w warsztatach tkackich.

– Matko Wszystkich Dzieci – zwrócił się do historyczki, nadając jej najbardziej zaszczytny tytuł, jaki mężczyzna z jednego rodu może nadać kobiecie z innego rodu. – Są rzeczy, o których nic nie wiem, a ty wiesz.

– Z przyjemnością nauczę cię tego, co wiem – wygłosiła odpowiednią formułkę, jak gdyby mieszkała tutaj przez całe życie. Potem uśmiechnęła się i uprzedziła kolejne pytanie Havzhivy. – Daję to, co otrzymałam. – Sygnalizowała w ten sposób, że nie ma mowy o zapłacie czy jakichkolwiek zobowiązaniach. – Chodź, pójdziemy na plac.

Wszyscy chodzą na plac w Stse, żeby rozmawiać, siedzieć na schodach wokół fontanny, a w upalne dni pod arkadami, i patrzeć, jak inni ludzie przychodzą, odchodzą, siadają i rozmawiają. Miejsce to było może nieco zbyt publiczne jak na gust Havzhivy, ale okazał posłuszeństwo swojemu bogu i nauczycielowi.

Usiedli w niszy u szerokiej podstawy fontanny i pograżyli się w rozmowie, co zdanie lub dwa pozdrawiając ludzi skinieniem głowy lub słowem.

– Dlaczego... – zaczął Havzhiva, ale urwał w pół zdania.

– Dlaczego odeszłam? Dokąd się udałam? – Mezha, jasnooka jak araha, podniosła głowę, sprawdzając, czy młody człowiek oczekuje odpowiedzi na te właśnie pytania. – Cóż, szalałam na punkcie Granita, ale nie mieliśmy dzieci, a on chciał dziecka... Wyglądasz tak, jak on wtedy. Lubię na ciebie patrzeć... Tak więc byłam nieszczęśliwa. Nie czekało mnie tutaj nic dobrego, a poza tym wszystkiego już się tutaj nauczyłam. Tak przynajmniej mi się wydawało.

Havzhiva skinął głową.

– Pracowałam w świątyni. Czytałam wiadomości, które przychodziły lub przechodziły przez nasze ręce, i zastanawiałam się nad ich treścią. Myślałam sobie: Wszystko to dzieje się na świecie! Dlaczego miałabym tu siedzieć przez całe życie? Czy mój umysł musi tutaj tkwić? Zaczęłam rozmawiać z ludźmi w świątyni: kim jesteś, czym się zajmujesz, jak jest tam daleko... Natychmiast skontaktowali mnie z grupą historyków, którzy urodzili się w pueblach. Ci historycy opiekują się ludźmi mojego pokroju, pilnują, żeby nie marnowali czasu ani nie obrażali boga.

Havzhiva, który w pełni rozumiał ten język, ponownie skinął głową i nadal pilnie słuchał.

– Zadawałam im pytania. Oni zadawali mi pytania. To obowiązek historyków. Dowiedziałam się, że mają szkoły, i zapytałam, czy mogłabym pójść do jednej nich. Kilku historyków przybyło tutaj, żeby porozmawiać ze mną, moją rodziną i innymi ludźmi, dowiedzieć się, czy moje odejście sprawiłoby kłopot. Stse jest konserwatywnym pueblem. Od czterystu lat nie wywodził się stąd żaden historyk.

Mezha uśmiechnęła się; miała żywy, zaraźliwy uśmiech, ale młody człowiek słuchał dalej z niezmienną żarliwością.

– Ludzie stąd się zmartwili, ale nikt się nie rozgniewał. Tak więc po wielu rozmowach odleciałam z historykami do Kathhadu. W wieku dwudziestu dwóch lat poszłam tam do szkoły. Rozpoczęłam nowy etap nauki. Przeobraziłam się. Nauczyłam się być historyczką.

– Jak? – spytał Havzhiva po dłuższej chwili milczenia.

Mezha wzięła głęboki wdech.

– Dzięki zadawaniu trudnych pytań – powiedziała. – Robiłam to samo, co ty teraz... A także dzięki zrezygnowaniu z całej posiadanej wiedzy. Odrzuciłam ją.

– Jak? – zapytał znowu, marszcząc brwi. – Dlaczego?

– Ot, tak. Kiedy stąd odeszłam, wiedziałam, że jestem kobietą z Zakopanego Kabla. Podczas pobytu tam musiałam pozbyć się tej wiedzy. Tam nie jestem kobietą z Zakopanego Kabla. Jestem kobietą. Mogę pójść do łóżka z każdym, z kim zechcę. Mogę przyjąć każdy zawód, jaki mi się spodoba. Tutaj pochodzenie jest istotne. Tam nie. Tutaj pochodzenie ma sens i zastosowanie. A nie ma ono sensu ani zastosowania w żadnej innej części wszechświata. – Żarliwość Mezhy dorównywała teraz żarliwości Havzhivy. – Istnieją dwa rodzaje wiedzy, lokalna i uniwersalna. Istnieją dwa rodzaje czasu, lokalny i historyczny.

– Czy istnieją dwa rodzaje bogów?

– Nie – odparła. – Tam nie ma bogów. Bogowie są tutaj.

Mezha spostrzegła, że wyraz twarzy Havzhivy uległ zmianie.

– Tam są dusze – ciągnęła po chwili. – Wiele, wiele dusz, umysłów, umysłów pełnych wiedzy i namiętności. Są tam żywi i umarli, ludzie, którzy żyli na tej ziemi sto, tysiąc, sto tysięcy lat temu. Są tam umysły i dusze ludzi ze światów odległych o sto lat świetlnych od

tego, a wszyscy oni mają własną wiedzę i historię. Świat jest święty, Havzhivo. Kosmos jest święty. Jest to wiedza, z której nigdy nie musiałam rezygnować. Wszystko, czego się nauczyłam, zarówno tu, jak i tam, tylko wzmocniło tę wiedzę. Nie ma nic, co nie byłoby święte. – Mówiła wolno i cicho, tak jak większość ludzi w pueblu. – Możesz wybrać świętość lokalną albo wielką. Koniec końców obie są tym samym, ale nie w życiu pojedynczego człowieka. Jeżeli wiesz, że istnieje wybór, musisz dokonać wyboru. Zmieniasz się albo zostajesz. Rzeka albo skała. Narody są skałą. Historycy są rzeką.

– Skały są dnem rzeki – powiedział po chwili Havzhiva.

Mezha wybuchnęła śmiechem. Jej szacujące, ciepłe spojrzenie ponownie spoczęło na twarzy Havzhivy.

– Tak więc wróciłam do domu, żeby odpocząć – powiedziała.

– Ale... nie jesteś już kobietą z twojego rodu?

– Owszem, tutaj będę nią zawsze.

– Przecież się przeobraziłaś. Znowu stąd odjedziesz.

– Tak – odparła stanowczo. – Można być więcej niż tylko jedną istotą. Mam tam pracę do wykonania.

Havzhiva potrząsnął głową.

– Co jest warta praca bez bogów? To dla mnie nie ma sensu, Matko Wszystkich Dzieci. Nie potrafię tego zrozumieć.

Mezha uśmiechnęła się na tę dwuznaczność.

– Myślę, że zrozumiesz to, co zechcesz zrozumieć, człowieku ludu – zwróciła się do niego formalnie, by dać mu do zrozumienia, że może odejść, kiedy tylko zechce.

Havzhiva zawahał się i poszedł do pracy, gdzie wypełnił umysł i świat wielkimi, powtarzającymi się wzorami dywanów.

W nocy kochał się z Iyan Iyan z takim żarem, że kiedy było po wszystkim, leżała wyczerpana i nieco oszołomiona. Powrócił do nich płonący, spopielający bóg.

– Chcę mieć dziecko – powiedział Havzhiva, kiedy leżeli wtopieni w siebie, spoceni, z rękami, nogami, piersiami i oddechem splątanymi w piżmowym mroku.

– Och – westchnęła Iyan Iyan, która nie chciała rozmawiać, decydować, opierać się. – Może... później... wkrótce...

– Teraz – naglił Havzhiva. – Teraz.

– Nie – odparła łagodnie. – Ciii...

Havzhiva umilkł. Iyan Iyan zasnęła.

Ponad rok później, kiedy mieli dziewiętnaście lat, Iyan Iyan powiedziała do Havzhivy, zanim zgasił światło:

– Chcę mieć dziecko.

– Jest za wcześnie.

– Dlaczego? Mój brat zbliża się do trzydziestki. Jego żona chciałaby mieć w pobliżu dziecko. Kiedy przestanie ssać, przyjdę i będę z tobą sypiać w twoim domu. Zawsze mówiłaś, że tego chcesz.

– Jest za wcześnie – powtórzył. – Nie chcę.

Odwróciła się do niego i porzuciła wabiący, rozsądny ton.

– A czego chcesz, Havzhivo?

– Nie wiem.

– Ty odejdziesz, porzucisz nasz lud. Tracisz rozum. To wina tej kobiety, tej przeklętej czarownicy!

– Czarownice nie istnieją – powiedział chłodno Havzhiva. – To głupie gadanie, zabobony. Spojrzeli na siebie – drodzy przyjaciele, kochankowie.

– Co ci dolega? Jeżeli chcesz wrócić do domu, to powiedz. Jeśli chcesz innej kobiety, idź do niej. Ale najpierw mógłbyś dać mi dziecko, skoro cię o nie proszę! Czy straciłeś swoją aragę?

Wpatrywała się w Havzhivę załzawionymi oczami, ale jej spojrzenie było płomienne, nieustępliwe.

Havzhiva zakrył twarz dłońmi.

– Nic nie jest w porządku – wymamrotał. – Nic nie jest w porządku. Wszystko, co robię, muszę tak robić, ponieważ taka jest kolej rzeczy... ale to nie ma sensu... są inne sposoby...

– Istnieje jeden sposób prawego życia, o którym mi wiadomo – oświadczyła Iyan Iyan. – W ten właśnie sposób żyję. Istnieje jeden sposób na spłodzenie dziecka. Jeżeli znasz jakiś inny, możesz to zrobić z inną kobietą!

Po tych słowach wybuchnęła spazmatycznym płaczem; lęk i gniew ostatnich miesięcy wreszcie znalazły ujście. Havzhiva przytulił ją, by dodać jej otuchy.

Kiedy znowu mogła mówić, oparła głowę na jego ramieniu i powiedziała cichym, ochryplym głosem:

– Chciałabym mieć twoje dziecko, kiedy odejdziesz, Havzhivo.

Wtedy rozplakał się z żalu i wstydu i wyszeptał:

– Tak, tak.

W nocy leżeli wtuleni w siebie, próbując się pocieszyć, aż w końcu zasnęli jak dzieci.

– Jest mi wstyd – powiedział z bólem Granit.

– To ty doprowadziłeś do tej sytuacji? – spytała oschle jego siostra.

– Skąd mam wiedzieć? Może i tak. Najpierw Mezha, a teraz mój syn. Czy byłem dla niego zbyt surowy?

– Nie, nie.

– W takim razie byłem zbyt pobłażliwy. Nie wychowałem go, jak należy. Dlaczego on oszalał?

– Havzhiva nie oszalał, bracie. Pozwól, że powiem, co myślę. Kiedy twój syn był dzieckiem, zawsze pytał: „dlaczego, dlaczego”, jak to dzieci. Ja odpowiadałam: „jest tak i tak”, a on rozumiał. Ale umysł Havzhivy nie zna spokoju. Mój umysł jest w takim samym stanie, jeśli stale siebie nie upominam. Kiedy Havzhiva uczył się rytuałów Słońca, zawsze pytał: „Dlaczego tak? Dlaczego w ten sposób, a nie inaczej?”. Odpowiadałam, że jest tak, ponieważ w codziennym życiu odgrywamy role bogów. Na to Havzhiva stwierdził: „Wobec tego bogowie są jedyną prawdą”. Ta prawda go jednak nie zadowalała. Havzhiva nie jest szalony, bracie, ale kulawy. Nie potrafi chodzić. Nie może iść razem z nami. A co powinien zrobić człowiek, który nie może chodzić?

- Powinien siedzieć w miejscu i śpiewać – odparł powoli Granit.
- A jeżeli nie potrafi usiedzieć na miejscu? Może latać.
- Latać?
- Oni mają dla niego skrzydła, bracie.
- Jest mi wstyd – powiedział Granit i ukrył twarz w dłoniach.

Tovo poszła do świątyni i wysłała wiadomość do Mezhy w Kathhadzie: „Twój uczeń pragnie do ciebie przyjechać”. W tych słowach pobrzmiwała jakaś złośliwość. Tovo obwiniała historyczkę za to, że wytrąciła jej syna z równowagi; twierdziła, że przez nią jego dusza okulała. Tovo była zazdrosna o kobietę, która w ciągu kilku dni obróciła wniwecz wieloletnią naukę. Wiedziała, że jest zazdrosna, i nic sobie z tego nie robiła. Jakie znaczenie miała jej zazdrość albo upokorzenie jej brata? Teraz mogli już tylko opłakiwać syna.

Kiedy żaglowiec do Dahy odbił od brzegu, Havzhiva odwrócił się i ogarnął wzrokiem Stse. Widział patchwork z tysiąca odcieni zieleni, nadmorskich mokradeł, pastwisk, pól, żywopłotów, sadów. Patrzył na miasto wspinające się na urwiska, mury z jasnego granitu, białe stiukowane ściany, dachy kryte czarną dachówką; ściana pięła się nad ścianą, dach nad dachem. W miarę jak miasto się zmniejszało, zaczęło przypominać morskiego ptaka, który tam przycupnął, białą plamę na czarnym tle, ptaka w gnieździe. Ponad miastem pojawiły się wzniesienia wyspy, szaro-błękitne wrzosowiska i wysokie, dzikie wzgórza niknące w chmurach, pośród których latały białe stada ptaków brodzących.

W porcie w Daha, chociaż był tak daleko od Stse jak jeszcze nigdy w życiu, a ludzie mówili z dziwnym akcentem, potrafił ich zrozumieć i czytać znaki. Nigdy wcześniej nie widział znaków, ale ich przydatność była oczywista. Dzięki nim dotarł do poczekalni lotniska, skąd miał odlecieć statkiem powietrznym do Kathhadu. Ludzie spali na pryczach zmontowanych przez linie lotnicze, okutani w swoje koce. Havzhiva znalazł wolną pryczę, położył się i otulił kocem, który Granit utkał dla niego przed wieloma laty. Po krótkiej, dziwnej nocy weszli ludzie z owocami i gorącymi napojami. Jeden z nich wręczył Havzhivie bilet. Wszyscy pasażerowie byli sobie obcy; siedzieli ze spuszczonego wzrokiem. Zapowiedziano odlot, wszyscy opuścili poczekalnię i weszli na pokład statku powietrznego.

Havzhiva zmusił się do tego, by spojrzeć na świat, który zostawał w dole. Bezgłośnie, miarowo, szeptał Mantrę Pozostania. Siedzący obok nieznajomy przyłączył się do niego.

Kiedy świat zaczął się przechylać i bieć mu na spotkanie, Havzhiva zamknął oczy i próbował miarowo oddychać.

Pasażerowie wyszli kolejno na płaską, czarną przestrzeń. Padał deszcz. Ze strug deszczu wyłoniła się Mezha.

- Witaj, Havzhivo, człowieku ludu! Chodź, w szkole czeka na ciebie miejsce.

Kathhad i Ve

W ciągu trzech lat pobytu w Kathhadzie Havzhiva dowiedział się wielu rzeczy, które go niepokoiły. Stara wiedza była trudna, ale nie niepokojąca. Obfitowała w paradoksy i mity, ale miała sens. Nowa wiedza zasadzała się na faktach i rozumie, ale nie miała sensu.

Havzhiva dowiedział się na przykład, że historycy nie studiują historii. Ludzki umysł nie potrafi ogarnąć liczącej trzy miliony lat historii Hain. Wydarzenia pierwszych dwóch milionów lat, które nosiły nazwę przeder, przypominały warstwy skały metamorficznej; były tak zbite, tak zniekształcone przez ciężar tysiącleci, które nastąpiły później, że można było sobie wyrobić tylko ogólny pogląd na podstawie zachowanych szczegółów. A jeśli nawet komuś wpadłby w ręce cudownie zakonserwowany dokument sprzed miliona lat, to co? Jakiś król władał Azbahanem; imperium padło łupem niewiernych; rakieta fuzyjna wylądowała na Ve... Ale byli przecież niezliczeni królowie, imperia, wynalazki, miliardy żywotów w milionach krajów, monarchie, demokracje, oligarchie, anarchie, lata chaosu i lata ładu, panteony bogów, niekończące się wojny i czasy pokoju, bezustanne odkrycia i zapomnienia, nieprzeliczone potworności i triumfy, niekończące się powtórzenia nieustannej nowości. Jaki sens ma próba opisu przepływu rzeki w danym momencie, potem w następnym momencie i w następnym, i w następnym? W końcu człowiek się męczy i mówi: Jest wielka rzeka, która płynie przez ten kraj, i nazwaliśmy ją Historią.

Dla Havzhivy wiedza, że jego życie, każde życie stanowi trwający jedną chwilę błysk światła na powierzchni tej rzeki, niekiedy była przykra, a kiedy indziej działała kojąco.

Zadanie historyków sprowadzało się głównie do badania – w swobodny, niespieszny sposób – lokalnego zasięgu i znaczenia tej rzeki. Sama planeta Hain od kilku tysięcy lat znajdowała się w nieciekawym okresie, w którym małe, stabilne, zwarte społeczności, obecnie zwane pueblami, koegzystowały z zaawansowaną technologią, rzadko zaludnioną siecią miast i ośrodków informacyjnych, obecnie zwanych świątynią. Wielu ludzi świątyni, czyli historyków, poświęcało życie na podróżowanie do innych zamieszkałych planet pobliskiego Ramienia Oriona, które zostały skolonizowane przez przodków historyków parę milionów lat wcześniej, w okresie przeder, i zdobywanie wiadomości na ich temat. Historycy utrzymywali, że jedynym motywem, jaki przyświecał tym kontaktom i badaniom, była ciekawość i poczucie koleżeństwa. Zawierali znajomości z krewnymi, z którymi dawno temu urwał się kontakt. Tę większą sieć światów historycy określali obcym słowem „Ekumena”, które oznaczało „domostwo”.

Havzhiva przekonał się, że wszystko, czego nauczył się na Stse, cała wiedza, jaką dotychczas posiadał, może zostać opatrzone etykietką: „Typowa kultura puebloska północno-zachodniej części wybrzeża Kontynentu Południowego”. Wiedział, że wierzenia, praktyki, systemy pokrewieństwa, technologie oraz intelektualne wzorce organizacyjne rozmaitych puebli bardzo różniły się między sobą. Były dziwaczne – równie dziwaczne, jak system Stse – a Havzhiva wiedział, że takie systemy można spotkać w każdym Znanym Świecie, który zawiera populacje ludzkie żyjące w małych, stabilnych grupach posługujących się technologią przystosowaną do środowiska i mających niski stały wskaźnik przyrostu naturalnego oraz życie polityczne oparte na umowie społecznej.

Początkowo taka wiedza doprowadzała Havzhivę do rozpacz, była bolesna, napełniała

go wstydem i gniewem. Najpierw sądził, że historycy utrzymywali swoją wiedzę w tajemnicy przed pueblami, a potem – że to puebla utrzymywały wiedzę w tajemnicy przed własnymi ludźmi. Havzhiva oskarżał, a nauczyciele łagodnie zaprzeczali. Nie, mówili. Nauczono cię, że pewne rzeczy są prawdziwe lub potrzebne, i tak w istocie jest. Składają się one na lokalną wiedzę Stse.

To są dziecinne, irracjonalne wierzenia! – protestował Havzhiva. Spojrzenie, jakim obdarzyli go nauczyciele, mówiło, że powiedział coś dziecinnego i irracjonalnego.

Lokalna wiedza nie jest nacechowana uprzedzeniami, twierdzili historycy. Istnieją różne dziedziny wiedzy, a każda ma swoje właściwości, kary i nagrody. Wiedza historyczna oraz naukowa są takimi dziedzinami. Podobnie jak wiedzy lokalnej, trzeba się ich nauczyć. Tego, co wiedzą ludzie w domostwie, nie naucza się w pueblach, ale nie zostało to przed tobą ukryte – ani przez twoich ludzi, ani przez nas. Każdy, kto znajduje się na Hain, ma dostęp do wszystkich informacji ze świątyni.

To była prawda; Havzhiva wiedział, że to prawda. Z ekranów w świątyni w Stse mógł się dowiedzieć wszystkiego, czego teraz się uczył. Niektórzy jego koledzy z innych puebli istotnie nauczyli się czytać z ekranów i wkroczyli do historii, nim jeszcze spotkali historyka.

Jednak książki, które stanowiły podstawę historii, jej namacalną rzeczywistość, prawie nie istniały w Stse, a Havzhiva znajdował w tym fakcie usprawiedliwienie dla swego gniewu. Ukrywacie przed nami książki, wszystkie książki z biblioteki haińskiej! Nie, odparli łagodnie historycy. Puebla wolą nie mieć wielu książek. Wolą żywą wiedzę, mówioną albo wyświetlaną na ekranach, przekazywaną z oddechu do oddechu, z jednego żywego umysłu do drugiego. Czy zgodziłbyś się zrezygnować z wiedzy zdobytej w ten sposób? Czy jest ona czymś gorszym, mniej wartościowym niż to, czego nauczyłeś się tutaj z książek? Istnieje więcej niż tylko jeden rodzaj wiedzy, oświadczyli historycy.

W trzecim roku pobytu Havzhiva uznał, że istniał więcej niż tylko jeden rodzaj ludzi. Mieszkańcy puebli, gotowi przyznać, że istnienie jest czymś fundamentalnie arbitralnym, wzbogacali świat intelektualnie i duchowo. Ci, którzy nie zadowalali się tajemnicą, przydawali się zazwyczaj jako historycy, którzy wzbogacali świat intelektualnie i materialnie.

Tymczasem Havzhiva przyzwyczał się do ludzi, którzy nie mieli rodowodu, krewnych i religii. Czasami mawiał do siebie z pewną dumą:

– Jestem obywatelem całej historii, liczącej miliony lat historii Hain, a moim krajem jest cała Galaktyka!

Kiedy indziej czuł się załośnie mały. Porzucał ekrany i książki i szukał towarzystwa znajomych studentów, a zwłaszcza młodych kobiet, które okazały się niezwykle przyjazne.

Gdy Havzhiva, który obecnie nosił imię Zhiv, miał dwadzieścia cztery lata, od roku przebywał w szkole ekumenalnej na Ve.

Ve, planeta sąsiadująca z Hain, została skolonizowana przed wiekami, co stanowiło pierwszy krok w potężnej ekspansji haińskiej w przederach. Ve przechodziła wiele etapów jako satelita lub partner cywilizacji haińskich; obecnie jest zamieszкана wyłącznie przez

historyków i obcych.

Zgodnie ze swoim obecnym (to znaczy trwającym od co najmniej stu tysięcy lat) neutralnym nastawieniem, Hainowie pozwolili Ve wrócić do jej własnych norm chłodu, oschłości i posępności. Był to klimat mieszczący się w granicach ludzkiej tolerancji, którym jednak tak naprawdę mogli się radować tylko ludzie z terrańskiego Altiplano lub z terenów górzystych Chiffewaru. Zhiv wybrał się na wędrowkę wśród tego surowego krajobrazu ze swoją towarzyszką, przyjaciółką i kochanką Tiu.

Poznali się dwa lata temu w Kathhadzie. W tym czasie Zhiv wciąż rozkoszował się swoją dostępnością dla wszystkich kobiet i wszystkich kobiet dla siebie, wolnością, którą stopniowo zaczął sobie uświadamiać i przed którą Mezha przestrzegła go łagodnie.

– Mylisz się, jeśli myślisz, że nie ma tu żadnych zasad – powiedziała. – Zawsze są jakieś zasady.

Zhiv uświadamiał sobie głównie to, że w sposób coraz bardziej nieustraszony i beztrojski gwałcił te zasady. Nie wszystkie kobiety chciały uprawiać seks i nie wszystkie kobiety chciały uprawiać seks z mężczyznami, o czym wkrótce się przekonał, ale i tak pozostawał cały wachlarz możliwości. Odkrył, że uchodzi za przystojnego mężczyznę, a hainkie pochodzenie stanowiło zdecydowany atut wśród obcych kobiet.

Przemiana genetyczna, która umożliwiła Hainom kontrolowanie własnej płodności, nie polegała na prostym łączeniu genów. Na przeprowadzenie tej operacji, dogłębnej i radykalnej rekonstrukcji ludzkiej fizjologii, trzeba było dwudziestu pięciu pokoleń. Tak przynajmniej twierdzą historycy hainscy, którzy utrzymują, że mają ogólną wiedzę na temat kolejnych etapów tej transformacji. Jakkolwiek starożytni Hainowie tego dokonali, z pewnością nie podzielili się swoim odkryciem z kolonistami. Zostawili ludziom z kolonii wolną rękę w rozwiązaniu Pierwszego Problemu Heteroseksualnego. Rozwiązania te przybrały oczywiście rozmaite formy, ale jak dotąd jedno pozostawało niezmienione: aby uniknąć zapłodnienia, należało coś zrobić w trakcie stosunku lub przed nim, zażyć coś albo użyć czegoś – chyba że uprawiało się seks z Hainem.

Zhiv wpadł we wściekłość, kiedy pewna dziewczyna z Beldene zapytała go, czy jest pewien, że jej nie zapłodni.

– Skąd wiesz? – spytała. – Może dla pewności powinnam wziąć pigułkę?

Dotknięty do żywego w swojej męskiej dumie, Zhiv wyplątał się z objęć dziewczyny i powiedział:

– Może najbezpieczniej będzie dla ciebie, jeśli zniknę.

Po czym wyszedł. Na szczęście nikt inny nie kwestionował jego prawdomówności, więc poczynął sobie wesoło, aż poznał Tiu.

Tiu nie była obcą. Dotychczas Zhiv wybierał kobiety spoza świata; sypianie z obcymi czyniło transgresję bardziej egzotyczną albo, jak to ujmował, wzbogacało wiedzę, do czego powinien dążyć każdy historyk. Jednak Tiu była Hainką. Urodziła się i wychowała w Darrandzie, podobnie jak jej przodkowie. Była dzieckiem historyków, tak jak Zhiv był dzieckiem ludu. Bardzo wcześnie zdał sobie sprawę, że ta więź i różnica między nimi były większe niż jakakolwiek obcość wynikająca z pochodzenia. To, czym się różnili, dzieliło ich, a podobieństwa były prawdziwym pokrewieństwem. Tiu była krainą, którą Zhiv postanowił odkryć, i w tym celu opuścił własną. Była tym, kim Zhiv pragnął zostać. Tym, czego szukał.

Miał wrażenie, że Tiu osiągnęła doskonałą równowagę ducha. Kiedy z nią przebywał,

czuł się, jakby dopiero uczył się chodzić. Chodzić tak jak Tiu: bez wysiłku, instynktownie niczym zwierzę, a jednak świadomie, uważnie; pamiętała o wszystkim, co mogło wytrącić ją z równowagi, i posługiwała się tym, jak linoskoczkowie posługują się długimi tyczkami... Oto ktoś, kto żyje w prawdziwej wolności umysłu, myślał Zhiv, oto kobieta na tyle wolna, by być w pełni człowiekiem, oto przykład doskonałego taktu i wdzięku.

W towarzystwie Tiu był w pełni szczęśliwy. Przez długi czas o nic więcej nie prosił; wystarczyło mu, że z nią jest. Przez długi czas Tiu odnosiła się do niego z łagodną rezerwą. Chłopiec z puebla, gość, który nie potrafił odróżnić swego ojca od wuja – Zhiv wiedział, że tak postrzegali go tutaj ludzie złośliwi i niepewni siebie. Pomimo swojej rozległej wiedzy na temat ludzkich zachowań historycy utrzymywali w dużym stopniu ludzką skłonność do bigoterii. Tiu nie miała takich uprzedzeń, ale co Zhiv mógł jej zaoferować? Tiu miała wszystko i była wszystkim. Była pełna. Dlaczego miałaby zwracać na niego uwagę? Zhiv pragnął tylko, żeby pozwoliła mu przebywać ze sobą.

Tiu lubiła Zhiva, wydawał się jej atrakcyjny, ale także budził w niej lęk. Widziała, że bardzo jej pragnął, potrzebował, że uczynił z niej centrum swego życia, nawet o tym nie wiedząc. Tak nie mogło być. Próbowwała być zimna, usiłowała odepchnąć Zhiva, a on usłuchał. Nie błagał; trzymał się na dystans.

Jednak po piętnastu dniach przyszedł do niej i oznajmił:

– Tiu, nie mogę bez ciebie żyć.

Wiedząc, że Zhiv mówi szczerą prawdę, odpowiedziała:

– W takim razie żyj ze mną przez pewien czas. – Tiu brakowało namiętności, jaką obecność Zhiva napełniała powietrze. Pozostali ludzie sprawiali wrażenie potulnych i zrównoważonych.

Seks był dla obojga źródłem natychmiastowej, bezmiernej i ciągłej rozkoszy. Tiu zdumiewała się sobą, swoją obsesją na punkcie Zhiva, tym, że pozwalała mu się wyciągać z orbity na tak wielką odległość. Nigdy nie oczekiwała, że będzie kogoś wielbić, a co dopiero, że stanie się obiektem uwielbienia. Prowadziła ustabilizowane życie, sterowane indywidualnie i od wewnątrz, a nie przez społeczeństwo od zewnątrz, jak życie Zhiva w Stse. Wiedziała, kim chce być i co chce robić. Miała wytyczony kierunek, wiedziała, że nigdy nie zboczy z drogi. Pierwszy wspólny rok Zhiva i Tiu to była seria zwrotów i zmian we wzajemnych relacjach, swego rodzaju podniecający taniec miłosny, nieprzewidywalny i ekstatyczny. Stopniowo zaczęła jednak stawiać opór temu napięciu, intensywności, ekstazie. Wszystko to było urocze, ale czuła, że nie jest właściwe. Chciała iść dalej. To ciągle dążenie odciągało ją od Zhiva, a on zaczął walczyć o życie.

Właśnie to robił po całodziennej wędrówce po pustyni Asu Asi na Ve, w ich cudownie ciepłym namiocie uszytym na Gethen. Suchy, lodowaty wiatr wył wśród wznoszących się nad nimi purpurowych urwisk, które wypolerowały liczne wichry, a zaginiona cywilizacja pokryła ogromnymi figurami geometrycznymi.

Postronny obserwator mógł ich wziąć za rodzeństwo, kiedy tak siedzieli w blasku pieca chabe. Mieli tę samą czerwonobrazową cerę, gęste, lśniące czarne włosy i zgrabne, jędrne ciała. Zhiv mówił i poruszał się cicho, z puebloską gracją, która prowokowała Tiu do bardziej wyrazistych, szybszych reakcji.

Teraz jednak mówiła wolno, niemal oficjalnie:

– Nie zmuszaj mnie do dokonania wyboru, Zhivie. Odkąd rozpoczęłam naukę w szkołach, pragnęłam polecieć na Terrę. Chciałam tego już w dzieciństwie, całe życie.

Teraz proponują mi to, czego chcę, na co pracowałam. Jak możesz prosić, żebym odmówiła?

– Nie proszę cię o to.

– Ale chcesz, żebym przełożyła wyjazd. Jeżeli to zrobię, mogę na zawsze stracić tę szansę. Być może nie, ale czemu miałabym ryzykować? Dla jednego roku? Możesz przylecieć do mnie w przyszłym roku!

Zhiv nie odpowiedział.

– Jeśli chcesz – dodała oschle.

Zawsze zbyt ochoczo zrzekała się prawa do Zhiva. Możliwe, że nigdy w pełni nie uwierzyła w jego miłość do siebie. Nie uważała się za kobietę zasługującą na miłość, godną jego namiętnej lojalności. Właśnie ta lojalność wzbudzała w Tiu lęk, sprawiała, że czuła się niezręcznie, fałszywie. Jej poczucie własnej wartości było czysto intelektualne. „Robisz ze mnie boga” – powiedziała mu kiedyś, ale nie zrozumiała, kiedy odpowiedział radośnie: „Razem stwarzamy boga”.

– Przepraszam cię – mówił teraz w namiocie. – To jest inna forma rozumu, którą możesz nazwać przesądem, jeśli chcesz. Nic na to nie poradzę, Tiu. Terra jest oddalona o sto czterdzieści lat świetlnych. Jeśli tam polecisz, w chwili twojego lądowania będę już martwy.

– Nieprawda! Przeżyjesz tutaj jeszcze jeden rok, udasz się w podróż i przylecisz na Terrę rok po mnie!

– Wiem o tym. Uczyliśmy się tego nawet na Stse – odparł cierpliwie. – Tylko że ja jestem przesądny. Kiedy odleciysz, umrzemy dla siebie nawzajem. Uczono cię tego nawet w Kathhadzie.

– Wcale nie, to nieprawda. Jak możesz prosić, żebym zrezygnowała z tej szansy w imię czegoś, co nazywasz przesądem? Bądź uczciwy!

Po długim milczeniu skinął głową.

Tiu siedziała przybita, rozumiejąc, że zwyciężyła. Zwyciężyła w fatalnym stylu.

Wyciągnęła rękę, próbując pocieszyć Zhiva i siebie. Przerazał ją mrok, jaki zaległ w sercu ukochanego, jego żal i niema akceptacja zdrady. Ale to nie była zdrada; Tiu natychmiast odrzuciła to słowo. Nigdy by go nie zdradziła. Byli w sobie zakochani. Kochali się. Zhiv przyleci do niej za rok, najdalej za dwa. Byli dorośli, nie mogli lgnąć do siebie jak dzieci. Dorosłe związki są oparte na wzajemnej wolności i zaufaniu. Powiedziała o tym sobie i Zhivowi. Przytaknął, utulił Tiu i pocieszył. W nocy, w całkowitej ciszy pustyni, kiedy krew śpiewała mu w uszach, myślał: To umarło nienarodzone. Nigdy nie zostało poczęte.

Przed odlotem Tiu spędzili kilka tygodni w małym mieszkanku na terenie szkoły. Kochali się ostrożnie, delikatnie, rozmawiali o historii, ekonomii i etnologii, stale byli zajęci. Tiu musiała się przygotować do pracy z grupą, z którą leciała; zagłębiła się w studiach nad terrańskimi koncepcjami hierarchii. Zhiv miał do napisania pracę o wytwarzaniu energii społecznej na Werel. Oboje ciężko pracowali. Przyjaciele wyprawili Tiu wielkie przyjęcie pożegnalne. Nazajutrz Zhiv odprowadził ją do portu Ve. Tiu pocałowała go, przytuliła i powiedziała, żeby nie zwlekał z przylotem na Terrę. Zhiv patrzył, jak Tiu wchodzi na pokład statku powietrznego, który miał ją zabrać na statek NAFAL-u, czekający na orbicie. Potem wrócił do mieszkania w południowym miasteczku uniwersyteckim. Trzy dni później jeden z przyjaciół odwiedził Zhiva, który siedział przy

biurku w dziwnym stanie całkowitej apatii; mówił bardzo wolno albo wcale, nie był w stanie jeść ani pić. Przyjaciel, który pochodził z puebla, rozpoznał stan Zhiva i wezwał czarownika (Hainowie nie nazywali ich lekarzami). Upewniwszy się, że młody człowiek pochodził z jednego z puebli południowych, czarownik powiedział:

– Havzhivo! Bóg nie może w tobie umrzeć tutaj!

Po długim milczeniu młody człowiek przemówił głosem, który nie brzmiał jak jego głos:

– Muszę wrócić do domu.

– Teraz nie jest to możliwe – odparł czarownik. – Możemy jednak zaintonować Mantrę

Pozostania, a ja tymczasem znajdę człowieka, który potrafi zwrócić się do boga.

Niewłócznie rozesłał wici do studentów pochodzących z Południa. Czterech odpowiedziało na jego wezwanie. Przez całą noc siedzieli przy Havzhivie, intonując Mantrę Pozostania w dwóch językach i czterech dialektach, dopóki chory nie zawtórował w piątym, szepcząc słowa ochryplym głosem, aż opadł na poduszkę i spał przez trzydzieści godzin.

Obudził się we własnym pokoju. Jakaś stara kobieta prowadziła z kimś rozmowę, chociaż w pokoju byli tylko oni dwoje.

– Nie ma cię tutaj – mówiła. – Nie, jesteś w błędzie. Nie możesz tutaj umrzeć. To nie byłoby w porządku, to byłoby zgoła niewłaściwe. Dobrze o tym wiesz. To jest niewłaściwe miejsce. To jest niewłaściwe życie. Przecież wiesz! Co ty tu robisz? Czyżbyś zabłądził? Czy chcesz znaleźć drogę do domu? Posłuchaj, oto ona.

Zaczęła śpiewać słabym, wysokim głosem jakąś prawie pozbawioną melodii i słów pieśń, która wydała się Havzhivie znajoma, jakby słyszał ją dawno temu. Znowu zapadł w sen, a stara kobieta dalej mówiła do nikogo.

Kiedy się obudził, już jej nie zobaczył. Nigdy się nie dowiedział, kim była i skąd przyszła; nigdy o to nie pytał. Mówiła i śpiewała w języku Havzhivy, w dialekcie Stse.

Wiedział, że teraz nie umrze, ale czuł się bardzo chory. Czarownik umieścił go w szpitalu w Tes, najpiękniejszym miejscu na całej Ve, oazie, gdzie gorące źródła i okoliczne wzgórza tworzą łagodny mikroklimat, w którym mogą rosnać kwiaty i lasy. Jest tam niekończący się labirynt ścieżek wijących się pod wielkimi drzewami, ciepłe jeziora, gdzie można pływać, małe, pokryte mgiełką stawy, skąd ptaki wzbijają się z krzykiem, oraz parujące gorące źródła i tysiąc wodospadów, których szum jest jedynym odgłosem w nocy. Tam właśnie Havzhiva miał przebywać aż do wyzdrowienia.

Po około dwudziestu dniach pobytu w Tes zaczął mówić do swojego kronikarza. Siadał w promieniach słońca na progu domu w dolince porośniętej trawą i paprociami i mówił cicho do siebie za pośrednictwem małego urządzenia nagrywającego.

– To, z czego wybierasz, żeby opowiedzieć swoją historię, nie jest niczym mniej niż wszystkim – mówił, patrząc na ciemne gałęzie starych drzew na tle nieba. – To, z czego budujesz swój świat, lokalny, czytelny, racjonalny, spójny świat, nie jest niczym mniej niż wszystkim. Tak więc każdy wybór jest arbitralny. Cała wiedza jest częściowa, nieskończenie częściowa. Rozum jest siecią zarzucaną do oceanu. Prawda, którą ta sieć wyławia, jest fragmentem, błyskiem, iskrzeniem pełnej prawdy. Cała ludzka wiedza ma charakter lokalny. Każde życie, życie każdego człowieka jest arbitralne, lokalne, jest nieskończenie małym, chwilowym lśnieniem odbicia...

Głos Havzhivy ucichł, a cisza polany pośród wielkich drzew trwała nadal.

Po czterdziestu pięciu dniach wrócił do szkoły. Wynajął nowe mieszkanie. Zmienił profil

studiów, porzucając nauki społeczne, domenę Tiu, na rzecz szkolenia do służby ekumenalnej, które było blisko spokrewnione z naukami społecznymi pod względem intelektualnym, ale prowadziło do innego rodzaju pracy. Ta zmiana wiązała się z przedłużeniem jego pobytu w szkole o co najmniej rok, po czym, w razie gdyby osiągnął dobre wyniki, mógł liczyć na posadę w Ekumenie. Osiągnął dobre wyniki i po dwóch latach Rada Ekumenalna zapytała go uprzejmie, czy zechciałby polecieć na Werel. Owszem, odparł Havzhiva. Przyjaciele wydali dla niego wielkie przyjęcie pożegnalne.

– Myślałam, że lecisz na Terrę – powiedziała jedna z mniej rozgarniętych koleżanek. – Czy całe to gadanie o wojnie, niewolnictwie, klasach, kastach i płciach nie należy do historii terrańskiej?

– Na Werel te sprawy dzieją się teraz – odparł Havzhiva.

Nie był już Zhivem. Wrócił ze szpitala jako Havzhiva.

Ktoś nadepnął mało rozgarniętej koleżance na stopę, ale ona brnęła dalej:

– Myślałam, że polecisz za Tiu. Myślałam, że właśnie dlatego nigdy z nikim nie sypiałeś. Boże, gdybym to wiedziała!

Pozostali wykrzywili twarze w grymasach, ale Havzhiva uśmiechnął się i przepraszająco objął zawiedzioną dziewczynę.

W jego umyśle wszystko układało się w klarowny wzór. Podobnie jak on zdradził i porzucił Iyan Iyan, tak Tiu zdradziła i porzuciła jego. Nie było odwrotu ani drogi naprzód. Dlatego musiał skrócić w bok. Chociaż należał do ludu, nie mógł już z nim żyć; chociaż został jednym z historyków, nie chciał żyć razem z nimi. Musiał więc wyruszyć do obcych.

Nie miał nadziei na radość. Uważał, że zaprzepaścił tę szansę. Wiedział jednak, że dzięki dwóm dyscyplinom, którym poświęcił życie, nauce o bogach i historii, posiadał niezwykłą wiedzę, która gdzieś mogła się okazać pożyteczna; wiedział też, że właściwym spożytkowaniem wiedzy jest spełnienie.

Na dzień przed odlotem Havzhivy przyszedł czarownik, który zbadał go, po czym przez pewien czas siedział w milczeniu. Havzhiva milczał razem z nim. Od dawna przywykł do milczenia i nadal zapominał czasami, że milczenie nie jest przyjęte wśród historyków.

– Na czym polega problem? – spytał czarownik. Sądząc po refleksyjnym tonie, było to pytanie retoryczne; w każdym razie Havzhiva nie odpowiedział. – Wstań, proszę – powiedział czarownik, a kiedy Havzhiva spełnił polecenie, dodał: – Przejdź się parę kroków. – Havzhiva zaczął chodzić po pokoju, a czarownik nie spuszczał z niego oczu. – Masz zaburzoną równowagę – oznajmił. – Wiedziałaś o tym?

– Tak.

– Wieczorem mógłbym zorganizować śpiewanie Mantry Pozostania.

– Wszystko w porządku – zapewnił Havzhiva. – Zawsze miałem zaburzoną równowagę.

– Ale nie musi tak być – rzekł czarownik. – Chociaż może to lepiej, skoro lecisz na Werel. A zatem: do widzenia temu życiu.

Objęli się przepisowo, jak to robili historycy, zwłaszcza że teraz stało się absolutnie pewne, że nigdy więcej się nie spotkają. Tego dnia Havzhiva musiał przyjąć i rozdać sporo uścisków. Nazajutrz wszedł na pokład „Tarasów Darrandy” i poleciał w ciemność.

Yeowe

W czasie podróży Havzhivy – osiemdziesiąt lat świetlnych z prędkością NAFAL – umarła jego matka, ojciec, Iyan Iyan, wszyscy, których znał w Stse, wszyscy, których znał w Kathhadzie i na Ve. W chwili gdy statek lądował, oni wszyscy nie żyli już od wielu lat. Dziecko, które urodziła Iyan Iyan, zestarzało się i umarło.

Z tą świadomością Havzhiva żył od chwili, gdy zobaczył, jak Tiu wchodzi na pokład statku i zostawia go na pastwę śmierci. Dzięki czarownikowi, czterem studentom, którzy dla niego śpiewali, starej kobiecie i wodospadom Tes Havzhiva przeżył, ale musiał żyć ze świadomością, że wszyscy bliscy mu umarli.

Także inne rzeczy uległy zmianie. Gdy opuszczał Ve, planeta Yeowe, kolonia Werel, była światem niewolników, ogromnym obozem pracy. Kiedy Havzhiva dotarł na Werel, wojna wyzwolenicza została zakończona, Yeowe ogłosiła niepodległość, a niewolnictwo na Werel zaczęło zanikać.

Havzhiva pragnął obejrzeć ten wspaniały i straszliwy proces, lecz ambasada wysłała go niezwłocznie na Yeowe. Hain nazwiskiem Sohikelwenyanmurkeres Esdardon Aya poradził mu przed odlotem:

– Jeśli pragniesz niebezpieczeństw, to Yeowe jest niebezpieczna. Jeśli pragniesz nadziei, znajdziesz tam nadzieję. Planeta Werel jest w trakcie rozkładu, podczas gdy Yeowe się tworzy, chociaż nie wiem, czy im się powiedzie. Coś ci powiem, Yehedarhedzie Havzhivo: w tych światach żyją wielcy bogowie.

Yeowe pozbyła się panów, właścicieli, czterech korporacji rządzących wielkimi plantacjami, na których pracowali przez trzysta lat niewolnicy, ale chociaż trzydziestoletnia wojna wyzwolenicza została zakończona, walki nie ustały. Ci wodzowie i wojownicy rekrutujący się spośród niewolników, którzy zdobyli władzę podczas wojny wyzwoleniczej, teraz walczyli o jej zachowanie i poszerzenie. Różne frakcje spierały się na temat kwestii, czy raz na zawsze wyrzucić wszystkich cudzoziemców z planety, czy też wpuścić obcych i przystąpić do Ekumeny. W końcu izolacjoniści zostali przegłosowani, a w starej stolicy kolonii powstała nowa ambasada ekumenalna. Havzhiva spędził w ambasadzie trochę czasu, ucząc się „języka oraz zachowania przy stole”, jak mówili dyplomaci. Następnie ambasadorka, inteligentna młoda Terranka o imieniu Solly, posłała Havzhivę na południe, do regionu zwanego Yotebber, który głośno domagał się uznania.

Historia jest infamią, myślał Havzhiva, jadąc pociągiem przez zdewastowaną okolicę.

Kapitałiści wereliańscy, którzy skolonizowali planetę Yeowe, bezmyślnie wyzyskiwali ją i niewolników w długiej orgii czerpania zysków. Zniszczenie świata zabiera trochę czasu, ale jest możliwe. Rabunkowe górnictwo i monokulturowa gospodarka rolna oszpeciły i wyjałowiły ziemię. Rzeki były zanieczyszczone, martwe. Potężne burze piaskowe zaciemniały wschodni horyzont.

Panowie sprawowali władzę na plantacjach, stosując siłę i wzbudzając strach. Przez ponad sto lat dowozili wyłącznie męskich niewolników, wyzyskiwali ich aż do śmierci, a w miarę potrzeby importowali nowych. Z poszczególnych grup niewolników, zamieszkujących zamknięte osady, wykształciły się z czasem hierarchie szczepowe. Wreszcie, kiedy wzrosła cena niewolników na Werel oraz koszty transportu, korporacje

zaczęły kupować niewolnice do kolonii Yeowe. W ciągu dwóch następnych stuleci populacja niewolników rosła i powstawały całe miasta niewolników, „brudasogrody” i „służbówki”, biorące początek ze starych osad na plantacjach. Havzhiva wiedział, że ruch wyzwolenczy zrodził się najpierw wśród kobiet, jako bunt przeciwko męskiej dominacji, a dopiero potem przerodził się w wojnę wszystkich niewolników przeciwko właścicielom.

Pociąg osobowy zatrzymywał się w kolejnych miastach. Havzhiva widział baraki i szopy, tereny bez drzew, całe połacie zbombardowane lub spalone podczas wojny i dotychczas nieodbudowane. Niektóre z fabryk obrócono w perzynę, inne wciąż funkcjonowały, ale wyglądały jak rozklekotane i czkające dymem obiekty muzealne. Na każdej stacji setki ludzi wysiadały z pociągu i wsiadały; pasażerowie kłębili się, tłoczyli, głośno proponowali łapówki bagażowym, wdrapywali się na dachy wagonów, a mundurowi strażnicy i policjanci brutalnie spychali ich z powrotem. Na północy długiego kontynentu, podobnie jak na Werel, Havzhiva widział wielu ludzi o czarnej i niebieskoczarnej skórze. Jednak w miarę jak pociąg posuwał się dalej na południe, taki typ ludzi stawał się coraz rzadszy; w Yotebber ludzie w wioskach i na opuszczonych bocznicach kolejowych byli znacznie bledsi od Havzhivy. „Brudasy”, „ludzie kurzu”, nazywani tak z powodu błękitnego, jakby zakurzonego koloru skóry, byli potomkami setek pokoleń wereliańskich niewolników.

Yotebber było jednym z wczesnych ośrodków walki wyzwolenczej. Panowie wzięli na nich odwet, używając bomb i gazu trującego; poległy tysiące ludzi. Spalono całe miasta, by pozbyć się niepochowanych ciał ludzkich i zwierzęcych. Ujście wielkiej rzeki zostało zatamowane gnijącymi trupami. Wszystko to jednak należało już do przeszłości. Planeta Yeowe odzyskała wolność, została nowym członkiem Ekumeny Światów, Havzhiva zaś, w randze niższego wysłannika, jechał pomóc ludziom z rejonu Yotebber rozpocząć nową historię. Albo, gdyby spojrzeć na to z punktu widzenia Haina, miał im pomóc wrócić do starodawnej historii.

Na stacji w Yotebber City Havzhivę powitał potężny tłum, który falował, wiwatował i krzyczał za barykadami strzeżonymi przez policjantów i żołnierzy. Przed barykadami stała delegacja urzędników państwowych w przepysznych szatach, szarfach i rozmaicie zdobionych mundurach. Większość z nich stanowili potężnie zbudowani, pełni godności mężczyźni, osoby publiczne. Wygłoszono mowy powitalne, pojawili się reporterzy i fotografowie z holonetu i wiadomości prawie realnych. A jednak nie był to cyrk. Grube ryby miały nad wszystkim kontrolę. Chciały, by ich gość wiedział, że jest mile widziany, popularny, że jest – jak to ujął wódz w krótkim imponującym przemówieniu – wysłannikiem z przyszłości.

Tej nocy, znalazłszy się w luksusowym apartamencie, w dawnej posiadłości jednego z plantatorów przerobionej na hotel, Havzhiva myślał: Gdyby tylko wiedzieli, że ich człowiek z przyszłości wychował się w pueblu i przed przybyciem tutaj nigdy nie widział odbiornika wiadomości prawie realnych...

Miał nadzieję, że nie zawiedzie tych ludzi. Polubił ich od pierwszego spotkania na Werel, pomimo ich monstrualnego społeczeństwa. Byli pełni witalności i dumy, a mieszkańcy Yeowe snuli marzenia o sprawiedliwości. Havzhiva myślał o sprawiedliwości tak samo, jak pewien starożytny Terranin powiedział o innym bogu: Wierzę w to, ponieważ jest niemożliwe. Havzhiva spał dobrze i obudził się wcześniej, pełen oczekiwań, w ciepły, jasny poranek. Wyszedł, żeby zacząć poznawać miasto, jego miasto.

Odźwierny – Havzhiva zauważył z zażenowaniem, że ludzie, którzy z taką desperacją

walczyli o wolność, mieli służących – za wszelką cenę próbował zatrzymać gościa i wezwać dla niego samochód. Był najwyraźniej zaniepokojony, że wielki człowiek wychodzi tak wcześnie, piechotą i bez świty. Havzhiva jednak wyruszył, a nieszczęśliwy odźwierny wołał za nim:

– Błagam pana, niech pan unika parku miejskiego! Błagam!

Havzhiva usłuchał, sądząc, że park musiał być zamknięty z powodu jakiejś uroczystości lub przesadzania drzew. Wszedł na plac z targowiskiem, na którym tętniło życie, i stwierdził, że skupiła się na nim uwaga tłumu. Ludzie zauważali go, co było nieuniknione. Miał na sobie sztywne yeowańskie ubranie, kamizelkę, bryczesy, lekką wąską szatę, ale był jedynym człowiekiem o czerwono-brązowej skórze w mieście liczącym czterysta tysięcy mieszkańców. Po kolorze skóry i oczu poznali w Havzhivie obcego. Wymknął się z targowiska i zagłębił w ciche, willowe uliczki, ciesząc się łagodnym, ciepłym klimatem i pełną uroku kolonialną architekturą zniszczonych domów. Zatrzymał się, żeby podziwiać ozdobną tualicką świątynię. Wyglądała na opuszczoną, ale u stóp posągu Matki zobaczył świeże kwiaty. Chociaż nos Matki utracono podczas wojny, uśmiechała się pogodnie, z lekkim zezem. Za plecami Havzhivy rozległy się krzyki, a po chwili usłyszał tuż obok siebie:

– Wynocha z naszego świata, zagraniczne gówno!

Jeden z ludzi chwycił go za rękę, inny go podciął. Wokół Havzhivy zrobiło się gęsto od wykrzywionych z wściekłości, rozwrzeszczanych twarzy. Potem ciało wysłannika schwytał potężny skurcz, Havzhiva zgiął się wzdłuż i pograżył w czerwony mrok bijatyki, krzyków i bólu. Światło i dźwięk skurczyły się i odpłynęły.

Obok Havzhivy siedziała stara kobieta szepcząca niemal pozbawioną melodii piosenkę, mgliście mu znajomą. Robiła na drutach. Długo nie patrzyła na Havzhivę, a kiedy wreszcie to zrobiła, powiedziała:

– Ach.

Havzhiva nie potrafił zogniskować oczu, ale kiedy mu się to udało, zobaczył, że kobieta ma niebieskawą cerę i oczy pozbawione białek.

Poprawiła jakiś przyrząd podłączony do Havzhivy i powiedziała:

– Jestem szamanką. Doznałeś wstrząsu mózgu, masz lekkie pęknięcie czaszki, stłuczoną nerkę, złamane ramię i ranę ciętą w jelitach, ale nie martw się, wylizasz się z tego.

Wszystko to powiedziała w jakimś obcym języku, który Havzhiva zdawał się rozumieć. W każdym razie zrozumiał słowa „nie martw się” i usłuchał.

Pomyślał, że znajduje się na „Tarasach Darrandy” w systemie NAFAL. Sto lat minęło jak zły sen, ale wcale nie minęło. Ludzie nie mieli twarzy, a zegary tarcz. Havzhiva spróbował wyszeptać Mantrę Pozostania, lecz nie miała słów. Słowa zniknęły. Stara kobieta wzięła go za rękę i powoli, powoli przywiodła go z powrotem do lokalnego czasu, do ciemnego, cichego pokoju, gdzie siedziała, robiąc na drutach.

Havzhiva spojrział w okno i zobaczył gorący, jasny, słoneczny poranek. Obok jego łóżka stał wódz regionu Yotebber, zwalisty mężczyzna w biało-czerwonych szatach.

– Jest mi bardzo przykro – powiedział Havzhiva wolno i niewyraźnie z powodu pokaleczonych ust. – Postąpiłem głupio, udając się na samotną przechadzkę. Sam ponoszę

winę.

– Ci łajdacy zostali schwytani i będą osądzeni – oświadczył wódz.

– To byli młodzi ludzie – zaoponował Havzhiva. – Przyczyną całego incydentu stała się moja ignorancja i nierozwaga.

– Zostaną ukarani – powtórzył wódz.

Pielęgniarki pełniące dzienny dyżur stale oglądały wiadomości i dramaty na holoekranie. Wyłączały dźwięk, więc Havzhivie to nie przeszkadzało. Pewnego upalnego popołudnia obserwował chmury szybujące wolno po niebie, kiedy pielęgniarka zwróciła się do niego, używając formalnego zwrotu przeznaczonego dla osób wysoko postawionych.

– Och, szybko! Jeżeli dżentelmen spojrzy, to zobaczy ukaranie złych ludzi, którzy na niego napadli!

Havzhiva spojrział na ekran. Zobaczył chude ludzkie ciało zawieszona za nogi; ręce i nogi drgały, a jelita zwieszały się na pierś i twarz nieszczęśnika. Havzhiva jęknął i dłonią zakrył twarz.

– Wyłącz to! Wyłącz to natychmiast! – krzyknął. Poczul mdłości, z trudem łapał powietrze. – Wy nie jesteście ludźmi! – krzyczał w ojczystym dialekcie Stse.

W pokoju zapanowało poruszenie. Wrzaski tłumu ustały gwałtownie. Havzhiva zapanował nad oddechem i położył się z zamkniętymi oczami, powtarzając w kółko jedną frazę Mantry Pozostania, aż ciało i umysł zaczęły się uspokajać i odnajdywać niepewną równowagę.

Przynieśli jedzenie, ale Havzhiva kazał zabrać je z powrotem.

W pokoju było ciemno; jedyne źródło światła stanowiła nocna lampka umieszczona gdzieś nisko na ścianie. Stara kobieta, pielęgniarka pełniąca nocny dyżur, robiła na drutach w półmroku.

– Przepraszam – powiedział na wszelki wypadek Havzhiva, który zdał sobie sprawę, że nie wie, co im wcześniej wykrzyczał.

– Och, panie wysłanniku. – Stara kobieta wydała długie westchnienie. – Czytałam o pańskim ludzie, o Hainach. Wy nie postępujecie tak jak my. Wy nie torturujecie i nie zabijacie się nawzajem. Żyjecie w pokoju. Zastanawiam się, jak pan nas postrzega. Pewnie jako wiedźmy i diabłów.

– Nie – odparł Havzhiva i stłumił kolejną falę mdłości.

– Kiedy poczuje się pan lepiej, kiedy odzyska pan siły, panie wysłanniku, chciałabym pomówić z panem o pewnej sprawie. – Jej głos był cichy, ale władczy, prawdopodobnie mógł się stać oficjalny i budzący grozę. Havzhiva przez całe życie stykał się z ludźmi, którzy w ten sposób mówili.

– Mogę posłuchać teraz – powiedział.

– Nie teraz – zaoponowała. – Później. Jest pan zmęczony. Czy chce pan, żebym panu zaśpiewała?

– Tak – odparł.

Usiadła, wróciła do robótki i zaczęła śpiewać bezgłośnie, bezmelodyjnie, szeptem. W pieśni pojawiały się imiona jej bogów: Tual, Kamye. To nie są moi bogowie, pomyślał Havzhiva, ale zamknął oczy i zasnął ukołysany pieśnią.

Na imię miała Yeron i nie była stara. Miała czterdzieści siedem lat. Przeżyła trzydziestoletnią wojnę i kilka klęsk głodu. Miała sztuczne zęby – o czymś takim Havzhiva nigdy nie słyszał – i nosiła okulary w drucianej oprawce. Powiedziała, że naprawianie ciała jest znane na Werel, ale na Yeowe większość ludzi nie może sobie na nie pozwolić. Była chuda i miała bardzo rzadkie włosy. Poruszała się dumnie, ale sztywno z powodu starej rany w lewym biodrze.

– Każdy, każdy na tym świecie nosi w sobie kulę, ma blizny po chłóście, oderwaną nogę albo martwe dziecko w sercu – powiedziała. – Teraz jest pan jednym z nas, wysłanniku. Przeszedł pan chrzest ognia.

Havzhiva szybko wracał do zdrowia. Zajmowało się nim pięciu czy sześciu specjalistów medycznych. Wódz regionalny składał rekonwalescentowi wizytę co kilka dni, a codziennie przysyłał jakieś ważne osoby. Havzhiva zdał sobie sprawę, że wódz jest wdzięczny. Karygodna napaść na przedstawiciela Ekumeny dała mu silne społeczne poparcie i pretekst do uderzenia na zaciekle izolacjonistyczną Partię Światową kierowaną przez jego rywala, innego bohatera wojny wyzwolenczej. Wódz przysyłał pełne zapachu doniesienia o swoich zwycięstwach do pokoju szpitalnego wysłannika. Holowiadomości były pełne umundurowanych ludzi, którzy biegali i strzelali, a statki powietrzne przelatywały z bzyczeniem nad pustynnymi wzgórzami. Spacerując po korytarzach, nabierając sił, Havzhiva widział leżących na łóżkach pacjentów podłączonych do sieci prawie realnej. Ludzie ci „doświadczali” walki, oczywiście z punktu widzenia tych z bronią, tych z kamerami, tych, którzy strzelali.

W nocy ekrany były ciemne, sieć wyłączano, a Yeron przychodziła i siadała obok Havzhivy w słabym świetle sączącym się przez okno.

– Wspominałaś, że chciałabyś mi coś powiedzieć – przypomniał Havzhiva. Miejska noc była niespokojna, pełna hałasów, muzyki, głosów z ulicy pod oknem, które pielęgniarka otworzyła na oścież, żeby wpuścić ciepłe, kipiące od zapachów powietrze.

– Owszem. – Odłożyła robótkę. – Jestem twoją pielęgniarką, panie wysłanniku, ale także posłańcem. Kiedy usłyszałam, że został pan ranny, proszę mi wybaczyć, lecz powiedziałam: „Chwała Panu Kamye i Łaskawej Pani!”, ponieważ nie wiedziałam, jak przekazać panu tę wiadomość. Teraz już wiem. – Zrobiła krótką przerwę. – Kieruję tym szpitalem od piętnastu lat, kierowałam nim podczas wojny. Nadal mam tu pewne wpływy. – Znowu urwała. Jej milczenie, podobnie jak cichy głos, było bliskie Havzhivie. – Kobiety z całej Yeowe powierzyły mi zadanie nawiązania kontaktu z Ekumeną. Chcemy zawrzeć z wami przymierze... Wiem, że rząd już to uczynił, Yeowe należy do Ekumeny Światów. Ale co to oznacza dla nas? Nic. Wie pan, czym są kobiety w tym świecie? Są niczym. Nie należą do rządu. Kobiety rozpoczęły wojnę wyzwolenczą. Pracowały i ginęły tak samo jak mężczyźni. Tylko że one nie zostawały generałami ani wodzami. Kobiety są niczym. W wioskach są mniej niż niczym, są zwierzętami pociągowymi i służą do rozmnażania. Tutaj, w mieście, sytuacja jest nieco lepsza, ale niewiele. Przeszłam szkolenie w szkole medycznej w Besso. Jestem lekarką, nie pielęgniarką. Za władzy panów kierowałam tym szpitalem. Teraz kieruje nim mężczyzna. Nasi mężczyźni zostali właścicielami, a my pozostałyśmy tym, czym byłyśmy zawsze: własnością. Myślę, że nie po to prowadziłyśmy tę długą wojnę. A pan, panie wysłanniku? Uważam, że musimy wywalczyć sobie nowe wyzwolenie. Musimy dokończyć pracę.

Po dłuższym milczeniu Havzhiva zapytał:

– Czy jesteście zorganizowane?

– O tak! O tak! Zupełnie jak za dawnych czasów. Potrafimy się zorganizować! – Zaśmiała się. – Ale nie sądzę, byśmy potrafiły wywalczyć wolność na własną rękę. Musi nastąpić zmiana. Mężczyźni uważają, że powinni być panami. Muszą przestać tak myśleć. Cóż, w swoim życiu nauczyłam się jednego: nie zmieni się sposobu myślenia za pomocą karabinu. Zabijasz panów i sam stajesz się panem. Musimy zmienić to stare przekonanie o konieczności podziału na pana i niewolnika. Musimy to zmienić, panie wysłanniku, przy pomocy pana i Ekumeny.

– Przybyłem tu po to, by służyć jako pomost między waszym narodem a Ekumeną. Ale potrzebuję czasu, muszę się wiele nauczyć.

– Mamy tyle czasu, ile dusza zapragnie. Wiemy, że nie sposób zmienić dawnych przekonań panów w jeden dzień czy rok. Tu jest potrzebne kształcenie. – Wymówiła to słowo, jakby było święte. – Zajmie to wiele czasu. Proszę się nie spieszyć. Wystarczy, jeśli będzie pan słuchał.

– Będę słuchał – zapewnił.

Yeron wzięła głęboki oddech i wróciła do robótki. Wreszcie powiedziała:

– Słuchać nas nie będzie łatwo.

Havzhiva czuł się zmęczony. Nie potrafił się uporać z gwałtownością przemowy pielęgniarki. Nie wiedział, co miała na myśli. Grzeczne milczenie jest sposobem, w jaki dorosły sygnalizuje, że nie rozumie. Havzhiva nic nie odpowiedział.

– Jak mamy do pana dotrzeć? – spytała Yeron. – Widzi pan, w tym cały szkopuł. Jak już wspominałam, jesteśmy niczym. Możemy do pana dotrzeć tylko jako pielęgniarki, pokojówki, kobiety, które piorą pańskie ubrania. Nie zadajemy się z wodzami, nie uczestniczymy w radach. My nie zasiadamy do uczyty, ale podajemy do stołu.

– Proszę mi powiedzieć... – Havzhiva się zawahał. – Proszę mi powiedzieć, jak mam zacząć. Proście o widzenie ze mną, jeśli to możliwe. Przychodźcie w takim charakterze, żeby... to było bezpieczne. – Havzhiva zawsze się szybko uczył. – Wysłucham was i zrobię co w mojej mocy.

Nieufność nigdy nie przychodziła mu łatwo.

Yeron nachyliła się i bardzo delikatnie pocałowała go w usta. Havzhiva poczuł dotyk lekkich, suchych, miękkich warg.

– Proszę – powiedziała. – Żaden wódz panu tego nie da.

Znowu zajęła się robótką. Havzhiva na wpół drzemał, kiedy spytała:

– Czy pańska matka żyje, panie Havzhivo?

– Wszyscy moi ludzie odeszli.

– Pan jest w żałobie – stwierdziła cicho. – Nie ma pan żony?

– Nie.

– Będziemy pana matkami, siostrami, córkami, będziemy pana ludem. Pocałowałam pana na znak tej miłości, która nas połączy. Zobacz pan.

– Oto lista osób zaproszonych na przyjęcie, panie Yehedarhed – oświadczył Doranden, oficer łącznikowy, za którego pośrednictwem wódz utrzymywał kontakt z wysłannikiem.

Havzhiva starannie przejrzał listę na ręcznym ekranie, przesunął ją do końca i

powiedział:

– A gdzie jest reszta?

– Czyżbyśmy kogoś pominęli, panie wysłanniku? To jest kompletna lista.

– Ale figurują na niej sami mężczyźni.

W nieskończenie krótkiej chwili milczenia, jakie poprzedziło odpowiedź Dorandena, Havzhiva poczuł, że ważą się jego losy.

– Życzy pan sobie, żeby goście przyprowadzili żony? Naturalnie! Jeżeli takie są obyczaje ekumenalne, z przyjemnością zaprosimy damy!

Yeowańczyk cmoknął przy słowie „damy”, o którym Havzhiva sądził, że odnosiło się tylko do kobiet z klasy posiadającej na Werel. Szala się przechyliła.

– Jakie damy? – spytał, marszcząc brwi. – Mówię o kobietach. Czyżby nie uczestniczyły w życiu tego społeczeństwa?

W trakcie tej przemowy bardzo się zdenerwował, ponieważ teraz zdał sobie sprawę z własnej niewiedzy na temat spraw, które stanowiły w tym świecie zagrożenie. Jeżeli spacer cichą ulicą okazał się prawie śmiertelny w skutkach, to wprowadzenie w zakłopotanie oficera łącznikowego wodza mogło być takie całkowicie. Dorandena zatkało. Otworzył, a następnie zamknął usta.

– Przepraszam, panie Doranden – powiedział Havzhiva. – Proszę mi wybaczyć moje żalotne próby jowialności. Oczywiście wiem, że kobiety zajmują rozmaite odpowiedzialne stanowiska w waszym społeczeństwie. Mówiłem tylko, w głupio niefortunny sposób, że bardzo bym się cieszył, gdyby takie kobiety i ich mężowie wzięli udział w przyjęciu, jak również żony tych gości. A może popełniam wielką gafę? Sądziłem, że nie wprowadziliście segregacji płciowej, jak to się stało na Werel. Jeżeli się pomyliłem, raz jeszcze proszę wybaczyć cudzoziemcowi.

Havzhiva uznał już wcześniej, że elokwencja jest połową dyplomacji. Drugą połową jest milczenie.

Doranden skorzystał z tej drugiej możliwości i wśród żarliwych zapewnień wycofał się z pokoju. Havzhiva pozostawał w nerwowej niepewności aż do następnego ranka, kiedy Doranden pojawił się znowu z poprawioną listą, zawierającą jedenaście nowych nazwisk, wyłącznie kobiecych. Była tam dyrektorka szkoły i parę nauczycielek; resztę nazwisk opatrzone słowem „emerytowana”.

– Wyśmienicie, wyśmienicie! – ucieszył się Havzhiva. – Czy mogę dodać jeszcze jedno nazwisko?

– Naturalnie, naturalnie, kogo tylko sobie ekscelencja życzy.

– Doktor Yeron.

Znowu to nieskończenie krótkie milczenie, ziarnko piasku padające na wagę. Doranden znał to nazwisko.

– Zgoda – powiedział.

– Widzi pan, doktor Yeron opiekowała się mną w waszym doskonałym szpitalu. Zostaliśmy przyjaciółmi. Zwykła pielęgniarka nie byłaby może na miejscu wśród tak wybitnych osób, ale widzę na naszej liście kilka innych lekarek.

– Istotnie. – Doranden sprawiał wrażenie rozbawionego.

Wódz i jego ludzie przywykli do protekcyjnego traktowania wysłannika, choć czynili to subtelnie i grzecznie. Havzhiva wiedział, że postrzegają go jako inwalidę, który niedawno wrócił do zdrowia; ofiarę, człowieka pokoju niemającego pojęcia o walce czy

choćby o samoobronie; uczonego, cudzoziemca, człowieka pod każdym względem niezyciowego. Chociaż cenili go jako symbol oraz środek do osiągnięcia swoich celów, uważali go za człowieka bez znaczenia. Havzhiva zgadzał się z nimi co do samego faktu, ale nie co do jakości tego braku znaczenia. Wiedział, że to, co robił, mogło mieć znaczenie. Teraz przekonał się o tym na własne oczy.

– Kto jak kto, ale pan, panie wysłanniku, z pewnością rozumie konieczność posiadania ochrony – powiedział generał z pewnym zniecierpliwieniem.

– Owszem, generale Denkam, doskonale rozumiem, że to jest niebezpieczne miasto. Niebezpieczne dla wszystkich. Widzę w sieci, że bandy młodych ludzi, takich jak ci, którzy napadli na mnie, włóczą się po ulicach, a policja jest całkowicie bezradna. Każde dziecko, każda kobieta potrzebuje ochrony. Byłbym niepokieszony, gdyby bezpieczeństwo, do którego każdy obywatel ma prawo, stało się moim szczególnym przywilejem.

Generał zamrugał, lecz uparcie trwał przy swoim.

– Nie możemy pozwolić, żeby padł pan ofiarą zamachu.

Havzhiva uwielbiał yeowańską prostolinijność.

– Nie chcę paść ofiarą zamachu – powiedział. – Mam propozycję. W policji służą również kobiety, prawda? Proszę mi wybrać ochroniarki spośród nich. Ostatecznie uzbrojona kobieta jest równie niebezpieczna, jak uzbrojony mężczyzna, czyż nie? Chciałbym w ten sposób oddać hołd ważkiej roli, jaką kobiety odegrały w yeowańskiej wojnie wyzwolenczej, o czym wódz tak dobitnie mówił we wczorajszym przemówieniu.

Generał odszedł z kamienną twarzą.

Havzhiva nie przepadał za ochroniarkami, które mu przydzielono. Były twarde, zawzięte, antypatyczne i mówiły w dialekcie dla niego prawie niezrozumiałym. Niektóre miały dzieci, ale nie chciały o nich rozmawiać. Okazały się niezwykle skuteczne; Havzhiva znalazł się w dobrych rękach. Zauważył, że kiedy chodził w towarzystwie tych zimnookich strażniczek, przechodnie zaczęli inaczej na niego patrzeć: z rozbawieniem i porozumiewawczo. Usłyszał, jak pewien starszy człowiek na targu rzekł:

– Ten gość ma głowę na karku.

Wszyscy nazywali wodza wodzem, ale nie zwracali się tak wprost do niego.

– Panie prezydencie – mówił Havzhiva. – Sedno sprawy nie leży w zasadach ekumenalnych ani w haińskim prawie celnym. Te kwestie nie mają ani nie powinny mieć żadnego, nawet najmniejszego znaczenia tutaj, na Yeowe. To jest wasz świat.

Wódz odpowiedział jednym, ale zamaszystym skinieniem głowy.

– Świat, do którego zaczynają obecnie napływać imigranci z Werel – ciągnął Havzhiva, jak dotąd niezwykle elokwentny – a napłynie ich znacznie więcej, ponieważ wereliańska klasa posiadająca próbuje osłabić nastroje rewolucyjne, zezwalając na emigrację coraz liczniejszym rzeszom proletariatu. Pan znacznie lepiej niż ja pojmuje możliwości i problemy, jakie ten wielki napływ ludności spowoduje tutaj, w Yotebber. Oczywiście co najmniej połowę imigrantów będą stanowiły kobiety i według mnie warto zwrócić uwagę na bardzo znaczącą różnicę między Werel a Yeowe w pojmowaniu płci – jej roli,

oczekiwań, zachowań, wzajemnych relacji mężczyzn i kobiet. Wśród imigrantów wereliańskich większość decydentów, ludzi władzy, będą stanowiły kobiety. Z tego, co wiem, Rada Hame składa się w około dziewięciu dziesiątych z kobiet; mówcy i negocjatorzy to głównie kobiety. Ci ludzie napływają do społeczeństwa rządzonego i reprezentowanego głównie przez mężczyzn. Sądzę, że istnieje tu możliwość nieporozumień i konfliktów, o ile nie rozważymy wcześniej całej sytuacji. Być może wykorzystanie niektórych kobiet do roli przedstawicielek...

– Wśród niewolników starego świata kobiety były wodzami – oświadczył wódz. – W naszym świecie wodzami są mężczyźni. Tak to już jest. Niewolnicy starego świata staną się wolnymi ludźmi nowego świata.

– A kobiety, panie prezydencie?

– Kobiety wolnego mężczyzny są wolne – odparł wódz.

– No cóż... – Yeron westchnęła głęboko. – Myślę, że nadszedł czas, żeby wzniecić trochę kurzu.

– To przecież specjalność brudasów – stwierdziła Dobibe.

– Skoro tak, lepiej namieszajmy zdrowo – dorzuciła Tualyahn. – Ponieważ niezależnie od tego, co zrobimy, oni wpadną w histerię. Zaczną wrzeszczeć o kastrujących lesbach, które zabijają małych chłopców. Jeżeli pięć z nas zaśpiewa jakąś przekłętą pieśń, wiadomości prawie realne podadzą, że pięćset kobiet wystąpiło z karabinami maszynowymi, i ogłoszą koniec cywilizacji na Yeowe. Niech pięć tysięcy kobiet ze śpiewem przejdzie ulicami. Zatrzymajmy pociągi. Połóżmy się na torach. Pięćdziesiąt tysięcy kobiet leżących na torach na obszarze całego Yotebber. Co wy na to?

Spotkanie (miasta Yotebber z Regionalnym Stowarzyszeniem Pomocy Edukacyjnej) odbywało się w klasie jednej z miejskich szkół. Dwie ochroniarki Havzhivy w cywilu czekały w holu, nie rzucając się w oczy. Czterdzieści kobiet i Havzhiva siedzieli wciśnięci w małe krzesła podłączone do pustych ekranów.

– Czego miałyby się domagać te demonstrujące kobiety? – spytał Havzhiva.

– Tajnego głosowania!

– Zakończenia dyskryminacji zawodowej!

– Zapłaty za pracę!

– Tajnego głosowania!

– Systemu opieki nad dziećmi!

– Tajnego głosowania!

– Szacunku!

Kronikarz Havzhivy notował jak szalony. Kobiety krzyczały jeszcze przez pewien czas, a potem znowu zaczęły rozmawiać.

Ochroniarka, która odwoziła Havzhivę do domu, zapytała:

– To wszystko były nauczycielki?

– Tak – odparł. – W pewnym sensie.

– Niech mnie szlag. Bardzo się zmieniły.

- Yehedarhed! Co ty tu robisz, u diabła?
- Słucham panią?
- Był pan w wiadomościach. Razem z milionem kobiet leżeliście na torach kolejowych, lotniskach i wokół rezydencji prezydenta. Pan rozmawiał z kobietami i uśmiechał się.
- Trudno było się powstrzymać.
- A czy przestanie pan się uśmiechać, kiedy rząd regionalny zacznie strzelać?
- Tak. Czy pani nas poprze?
- W jaki sposób?
- Słowa otuchy dla kobiet Yotebberu od ambasadorki Ekumeny. Yeowe jako model prawdziwej wolności dla imigrantów ze świata niewolników. Pochwała rządu Yotebberu; Yotebber świeci przykładem całemu Yeowe jako wzór opanowania, oświecenia i tak dalej.
- Oczywiście. Mam nadzieję, że to wam coś pomoże. Czy to jest rewolucja, Havzhivo?
- To jest edukacja, proszę pani.

Brama osadzona w masywnej framudze była otwarta na oścież; muru nie było.

– W okresie kolonii – mówił Starszy – tę bramę otwierano dwa razy dziennie: rano, żeby wypuścić ludzi do pracy, oraz wieczorem, żeby wpuścić ludzi wracających z pracy. Przez resztę czasu pozostawała zamknięta na klucz i zaryglowana.

Pokazał wielki wyłamany zamek, który zwisał po zewnętrznej stronie bramy, masywne, zardzewiałe rygle. Gest Starszego był uroczysty, wyważony, podobnie jak jego słowa, a Havzhiva ponownie poczuł podziw dla godności, którą ci ludzie zachowali pośród degradacji, dla dumy, jaką zachowali w niewoli albo na przekór niej. Zaczął doceniać olbrzymi wpływ ich świętego tekstu *Arkamye*, przekazywanego w tradycji ustnej.

– Oto co mieliśmy. To było naszą własnością – powiedział kiedyś w mieście do Havzhivy pewien starszy człowiek, dotykając książki, z której uczył się czytać w wieku sześćdziesięciu pięciu czy siedemdziesięciu lat.

Havzhiva zaczął czytać *Arkamye* w języku oryginalnym. Czytał ją powoli, usiłując zrozumieć, jak ta krwawa opowieść o odwadze i wyrzeczeniu mogła przez trzy tysiąclecia ożywiać i karmić umysły ludzi w niewoli. W kadencjach księgi często rozpoznawał głosy, które słyszał w ciągu minionego dnia.

Zatrzymał się na miesiąc w wiosce plemienia Hayawa, gdzie trzysta pięćdziesiąt lat wcześniej znajdowała się pierwsza siedziba niewolników Korporacji Rolniczo-Plantacyjnej w Yotebber. Na tym bezkresnym, odległym obszarze na wschodnim wybrzeżu zachowała się znaczna część społeczeństwa i kultury niewolniczej. Yeron i inne kobiety z ruchu wyzwolenczego powiedziały mu, że jeśli chce poznać Yeowańczyków, musi zobaczyć plantacje i plemiona.

Havzhiva wiedział, że w pierwszym wieku w ogrodzonych siedzibach niewolników mieszkali wyłącznie mężczyźni, bez kobiet i dzieci. Niewolnicy wykształcili wewnętrzny rząd, ostrą hierarchię siły i faworyzowania. Władzę zdobywało się na podstawie testów i prób, a utrzymywano dzięki chwiejnej równowadze pomiędzy niezależnością a znową. Kiedy wreszcie sprowadzono kobiety, weszły w ten surowy system jako niewolnice niewolników. Zarówno niewolnicy, jak i panowie używali kobiet w charakterze służących i obiektów seksualnych. Seksualna lojalność i partnerstwo były uznawane tylko między

mężczyznami; stanowiły splot namiętności, negocjacji, statusu oraz polityki plemiennej. W ciągu następnych stuleci obecność dzieci zmieniła i wzbogaciła plemienne zwyczaje, ale system męskiej dominacji, tak korzystny dla właścicieli niewolników, właściwie nie uległ zmianie.

– Mamy nadzieję, że zaszczyci pan swoją obecnością jutrzejszą ceremonię – powiedział Starszy na swój surowy sposób, a Havzhiva zapewnił, że nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności, niczym nie czułby się bardziej zaszczycony niż udziałem w tak ważnej ceremonii. Starszy przyjął to spokojnie, ale nie potrafił ukryć zadowolenia. Miał ponad pięćdziesiąt lat, co oznaczało, że urodził się jako niewolnik, a potem, jako chłopiec i mężczyzna, przeżył wojnę wyzwolenczą. Przypomniawszy sobie słowa Yeron, Havzhiva szukał blizn i je znalazł. Starszy był chudy, wątyły, kulawy i nie miał przednich zębów; głód i wojna zostawiły na nim swoje piętno. Nosił też blizny rytualne: cztery równoległe linie biegły od szyi przez bark do łokcia niczym długie epolety. Na czole Starszy miał wytatuowane ciemnoniebieskie otwarte oko, które w jego plemienu było oznaką nadanego raz na zawsze wodzostwa. Wódz niewolników, właściciel dobytku, aż do końca świata.

Starszy szedł ścieżką od bramy do długiego domu, a idący za nim Havzhiva zauważył, że nikt inny nie korzysta z tej ścieżki. Mężczyźni, kobiety i dzieci dreptali po szerszej, równoległej drodze, od której prowadziło odgałęzienie do innego wejścia do domu. Starszy szedł wąską drogą, drogą wodza.

Tej nocy wszyscy wodzowie i starszyzna zebrali się na ucztę, podczas gdy dzieci, które nazajutrz miały przejść inicjację, pościły i czuwały po stronie kobiet. Podano niewiarygodne ilości ciężkostrawnego jedzenia, do którego Yeowańczycy byli przyzwyczajeni. Mocno przyprawione potrawy wniesiono w bogato zdobionych naczyniach, a ryż, który stanowił podstawę wszystkiego, urozmaicono barwnikami i ziołami. Jednak przede wszystkim jadło się mięso. Kobiety wymykały się i wracały z coraz bardziej wyszukаныmi daniami, a każde zawierało coraz więcej mięsa. Wołowina, pożywienie panów, nieomylna oznaka wolności.

Havzhiva nie wychował się na mięsie, więc podejrzewał, że może się nabawić biegunki, ale mężnie brnął przez gulasze i steki, ponieważ wiedział, jak ważne jest jedzenie i dobrobyt dla ludzi, którzy zawsze cierpieli niedostatek.

Kiedy ogromne kosze owoców zajęły w końcu miejsce talerzy, kobiety zniknęły i popłynęła muzyka. Wódz plemienia skinął głową do swego leos. Słowo to tłumaczyło się na: „ulubieniec seksualny, adoptowany brat, nie spadkobierca, nie syn”. Piękny młody człowiek, pewny siebie i o dobrodusznym usposobieniu, uśmiechnął się, lekko klasnął długimi szaroniebieskimi dłońmi, a potem zaczął pocierać nimi w subtelnym rytmie. Przy stole zapanowała cisza, a leos zaśpiewał szeptem.

Instrumenty muzyczne były zakazane na większości plantacji; panowie zwykle nie zezwalali na śpiewy, z wyjątkiem hymnów rytualnych do Tual podczas obrzędów dnia dziesiątego. Niewolnik, którego przyłapano na tym, że marnuje czas na śpiewanie, mógł zostać ukarany przez wlanie mu kwasu do gardła. Po co hałasował? Miał tylko pracować.

Na takich plantacjach niewolnicy stworzyli niemal bezgłosną muzykę. Polegała na pocieraniu dłoni o dłoń oraz na prawie bezgłosnej, monotonnej, długiej linii melodycznej. Śpiewane słowa celowo łamano i zniekształcano tak, że sprawiały wrażenie pozbawionych sensu. Właściciele nazywali tę muzykę „szesz”, bzdury, a niewolnikom pozwalano

„klaskać i śpiewać bzdury”, pod warunkiem że robili to tak cicho, iż dźwięki nie przedostawały się poza mury. Niewolnicy śpiewali tak od trzystu lat.

Dla Havzhivy było to niepokojące, niemal przerażające doznanie, kiedy kolejne głosy przyłączały się do śpiewu, zawsze szeptem, zwiększając złożoność rytmów, aż krzyżujące się uderzenia połączyły się, prawie, ale nie całkowicie, w pojedynczy syczący dźwięk. Było to przetykane melodią śpiewaną przeciągle ćwierćnutami, a sylaby lada chwila miały stworzyć słowo; nigdy jednak do tego nie dochodziło. Havzhiva dał się ponieść muzyce, wkrótce prawie się w niej zatopił. Stale myślał, że teraz, teraz któryś z nich podniesie głos, teraz leos wyda okrzyk triumfu, wypuści swój głos na wolność! Tak się jednak nie stało. Nikt nie krzyknął. Cicha, szemrząca jak woda muzyka o nieskończenie delikatnym, zmiennym rytmie płynęła dalej i dalej. Wzdłuż stołu przekazywano sobie butelki pomarańczowego wina yote. Biesiadnicy pili. Przynajmniej pili w sposób nieskrępowany. Upili się. Śmiech i okrzyki zaczęły przerywać muzykę, ale ani razu ani jeden śpiew nie wzniósł się ponad szept.

Wszyscy biesiadnicy wrócili ścieżką wodzów do długiego domu. Zataczali się, wspólnie sikali, kilku zatrzymało się, żeby rzygnąć tu i tam. Miły ciemnoskóry mężczyzna, który podczas uczy siedział obok Havzhivy, położył się razem z nim do łóżka w alkowie długiego domu.

Właśnie ten człowiek powiedział wcześniej Havzhivie, że w nocy i w dzień inicjacji stosunki heteroseksualne były zakazane, ponieważ zmieniłoby to energie. Inicjacja uległaby wypaczeniu, a chłopcy mogliby nie zostać dobrymi członkami plemienia. Oczywiście tylko wiedźma mogłaby celowo złamać tabu, ale wiele kobiet było wiedźmami, które chciały uwieść mężczyznę z czystej złośliwości. Normalny, to znaczy homoseksualny stosunek wzmacniał energię, utrzymywał prosty kierunek inicjacji i dawał chłopcom siły do przejścia ciężkiej próby. Dlatego właśnie każdy mężczyzna opuszczający bankiet miał wybrać partnera na noc. Havzhiva cieszył się, że przypadł mu w udziale ten człowiek, a nie jeden z wodzów, którzy wydawali mu się przerażający i oczekiwali by pewnie od niego amorów. Z tego, co pamiętał rano, on i jego towarzysz byli tak pijani, że zasnęli pośród pieszczot wypływających z dobrych intencji.

Nadmiar yote pozostawiał łupiący ból głowy. Havzhiva wiedział o tym już wcześniej, a kiedy się zbudził, cała czaszka potwierdziła tę wiedzę.

W południe nocny towarzysz zaprowadził Havzhivę na honorowe miejsce na placu, który wypełniał się ludźmi. Za plecami widzów znajdowały się długie domy mężczyzn, a przed nimi biegł rów, który oddzielał stronę kobiecą, wewnętrzną, od strony męskiej, zwanej również stroną bramy. Nazwa ta utrzymała się, chociaż mury dawno zniknęły i brama stała samotnie niczym pomnik górujący ponad chatami, długimi domami i płaskimi polami, które rozpościerały się we wszystkich kierunkach, migocząc w bezwietrznym, pozbawionym cienia upale.

Z chat kobiet wybiegło sześciu chłopców, którzy mieli przeskoczyć rów. Zdaniem Havzhivy rów był zbyt szeroki jak na trzynastolatków, ale dwóch chłopców wyszło z próby obronną ręką. Pozostała czwórka skakała dzielnie, lądowała za wcześnie, gramoliła się, a jeden utykał, ponieważ upadając, zranił się w nogę. Nawet ci dwaj, którzy z powodzeniem zaliczyli skok, sprawiali wrażenie wyczerpanych i przestraszonych, a cała szóstka była niebieskoszara z powodu bezsennej nocy spędzonej na poście. Starsi otoczyli chłopców, ustawili ich w szeregu na placu, nagich i drżących, twarzą do wszystkich

mężczyzn plemienia.

Po stronie kobiecej nie widać było ani śladu kobiet.

Rozpoczął się katechizm. Wodzowie i starszyzna wyszczekiwali pytania, na które najwyraźniej należało odpowiedzieć natychmiast. Czasami miał odpowiedzieć tylko jeden chłopiec, a kiedy indziej wszyscy, co zależało od tego, czy pytający wskazał na któregoś ręką, czy zrobił zamaszty gest. Padały pytania o rytuał, protokół i etykę. Chłopcy, najwyraźniej dobrze wyszkoleni, udzielali odpowiedzi posłusznym skowytem. Ten, który okulał podczas skoku, nagle zwymiotował, po czym zemdlał i osunął się cicho na ziemię. Nikt się nie ruszył, ale nadal zadawano zemdlonemu chłopcu pytania, po których następował moment bolesnego milczenia. Po chwili chłopiec się poruszył, usiadł, przez pewien czas dygotał, aż wreszcie wstał i dołączył do pozostałych. Jego sine usta poruszały się w odpowiedzi na wszystkie pytania, ale widzowie nic nie usłyszeli.

Havzhiva udawał, że z uwagą przygląda się obrzędowi, ale jego myśli cofnęły się daleko w czasie. Uczymy tego, co sami wiemy, myślał, a cała nasza wiedza jest lokalna.

Po pytaniach nadszedł czas znakowania. Pojedyncze głębokie nacięcie, biegnące od podstawy szyi do barku, a potem wzdłuż ramienia do łokcia wykonywano twardym, ostrym palikiem, który orał skórę i ciało, pozostawiając po zagojeniu postrzępioną bliznę będącą atrybutem męskości. Havzhiva, który, jak przystało gościowi, uważnie przyglądał się obrzędowi, zauważył, że żadnemu z niewolników nie pozwolono wnieść za bramę metalowego narzędzia. Po oznakowaniu każdego z chłopców członkowie starszyzny, którzy pełnili obowiązki mistrzów ceremonii, ostrzyli palik na dużym żłobkowanym kamieniu w centrum placu. Chłopcy krzywili bladonie wargi, odsłaniając białe zęby; wili się, mdleli, a jeden krzyknął, po czym uciszył się, zatykając sobie usta dłonią. Inny ugryzł się w kciuk, aż popłynęła z niego krew, mieszając się z tą, która spływała z okaleczonych ramion. Po zakończeniu obrzędu wódz obmył rany chłopców i nasmarował je maścią. Chłopcy, oszołomieni, ślaniający się na nogach, ponownie stanęli w szeregu, a starsi okazywali im teraz czułość, nazywając ich „członkami plemienia” i „bohaterami”. Havzhiva odetchnął z ulgą.

Stare kobiety wprowadziły przez mostek na plac sześć dziewcząt, które miały na sobie jedynie bransolety na przegubach i kostkach nóg. Na widok dziewcząt męska widownia zaczęła głośno wiwatować. Havzhiva był zdziwiony. Czyżby kobiety także miały zostać przyjęte do plemienia? No cóż, przynajmniej jedna pozytywna rzecz.

Dwie dziewczyny dopiero co osiągnęły wiek młodzieńczy, ale pozostałe były znacznie młodsze; jedna z pewnością nie miała więcej niż sześć lat. Ustawiono je w szeregu, plecami do widzów, twarzami do chłopców. Za każdą stała zawołowana kobieta, która przeprowadziła ją przez most; za każdym chłopcem stał jeden z nagich starszych mężczyzn. Havzhiva nie mógł oderwać wzroku od tej sceny. Dziewczęta położyły się na plecach na szarej ziemi placu. Jedna z nich ociągała się, ale stojąca za nią kobieta szarpnęła ją mocno. Mężczyźni wyminęli chłopców i każdy z nich położył się na dziewczynie przy gromkich wiwatach, śmiechach i skandowaniu widzów. Kobiety w woalkach kucnęły przy głowach dziewcząt. Jedna z kobiet przytrzymała chudą, wymachującą rękę. Nagie pośladki starych mężczyzn pompowały, chociaż Havzhiva nie potrafił stwierdzić, czy była to prawdziwa, czy tylko imitowana kopulacja.

– Tak się to robi! Patrzcie, patrzcie! – krzyczeli widzowie do chłopców pośród żartów, komentarzy i wybuchów śmiechu.

Starsi wstawali kolejno, zasłaniając członki z dziwną skromnością. Kiedy ostatni się cofnął, chłopcy wysunęli się do przodu. Każdy położył się na dziewczynie i zaczął pompować pośladkami, chociaż Havzhiva zauważył, że żaden nie miał erekcji. Stojący wokół Havzhivy mężczyźni chwyтали się za członki.

– Masz, spróbuj moim! – krzyczeli.

Wiwatowali i skandowali, dopóki ostatni z chłopców nie podniósł się z ziemi. Dziewczęta leżały plackiem, z rozłożonymi nogami, jak martwe jaszczurki. Tłum mężczyzn ruszył w ich stronę, ale stare kobiety pociągnęły dziewczęta i pognały z powrotem przez most, odprowadzane wyciem i gwizdami widzów.

– Dziewczęta są pod wpływem narkotyku – powiedział miły mężczyzna o ciemnej skórze, który dzielił łóżko z Havzhivą. – One nie czują bólu.

– Rozumiem – odparł Havzhiva, stojąc nieruchomo na honorowym miejscu.

– Mają szczęście, że pozwolono im asystować przy inicjacji. Ważne jest, by straciły dziewictwo możliwie najwcześniej. Każdą z nich musi osiąść więcej niż jeden mężczyzna. Dzięki temu nie będą mogły mówić: „to twój syn”, „ten dzieciak jest synem wodza”. To wszystko robota czarownic. Syna się wybiera. Bycie synem nie ma nic wspólnego z cipami niewolnic. Niewolnice trzeba tego wcześniej nauczyć. Tylko że teraz podaje się dziewczętom narkotyki, nie tak jak za dawnych czasów korporacji.

– Rozumiem – powiedział Havzhiva.

Spojrzał w twarz przyjaciela i pomyślał, że ciemna skóra oznaczała, iż w jego żyłach musiało płynąć sporo krwi właściciela, może był synem właściciela lub pana. Niczyj syn spłodzony z niewolnicą. Syna się wybiera. Cała wiedza jest lokalna, cała wiedza jest częściowa. Dotyczy to zarówno Stse, jak i szkół ekumenalnych czy terenów mieszkalnych na Yeowe.

– Nadal nazywasz je niewolnicami – stwierdził Havzhiva. Cały jego takt i uczucia zostały zamrożone; przyświecała mu głupia, intelektualna ciekawość.

– Nie – powiedział mężczyzna o ciemnej skórze. – Przepraszam, nauczyłem się tego języka jako chłopiec... przepraszam...

– Nie mnie należą się przeprosiny.

Havzhiva znowu wyrażał chłodno tylko swoje myśli. Jego rozmówca skrzywił się i umilkł z opuszczoną głową.

– Proszę, przyjacielu, zaprowadź mnie teraz do pokoju – powiedział Havzhiva, a mężczyzna o ciemnej skórze z wdzięcznością spełnił jego prośbę.

Havzhiva siedział w ciemności i cicho mówił po haińsku do kronikarza:

– Niczego nie zmienisz z zewnątrz. Kiedy stoisz obok, spoglądasz w dół, patrzysz z lotu ptaka, dostrzegasz wzór. Widzisz, czego brakuje. Chcesz to naprawić, ale nie możesz tego załatać. Musisz wejść do środka i zacząć tkąć. Musisz się stać tkaczem.

Ostatnie zdanie wypowiedział w dialekcie Stse.

Cztery kobiety kucnęły po stronie kobiecej na ziemi, która zwróciła uwagę Havzhivy z powodu swojej gładkości. Pomyślał, że to jakiś rodzaj świętej przestrzeni. Ruszył w ich

stronę. Kucwały bez wdzięku, chowały głowy między kolanami, najwyraźniej nie dbały o wygląd. Havzhiva już wcześniej zwrócił uwagę na obojętność kobiet na męskie spojrzenia. Kucające kobiety miały ogolone głowy i kredowo białą cerę. Stary epitet brzmiał „ludzie kurzu”, „brudasy”, ale Havzhivie kolor ich skóry kojarzył się bardziej z gliną lub popiołem. Lazurowe zabarwienie dłoni i stóp, a także wszystkie miejsca z delikatniejszą skórą prawie dokładnie zasłaniała ziemia, którą przesypywały. Rozmawiały szybko i cicho, ale umilkły, kiedy Havzhiva się zbliżył. Dwie były stare, wysuszone, z guzowatymi, pomarszczonymi kolanami i stopami, dwie zaś młode. Wszystkie zerkały od czasu do czasu na Havzhivę, kiedy kucnął na skraju gładkiego skrawka ziemi.

Zauważył, że kobiety rozsypywały na ziemi kolorowy pył, tworząc jakiś wzór czy obraz. Wodząc wzrokiem wzdłuż granic między kolorami, dostrzegł długą, jasną figurę, trochę podobną do dłoni lub gałęzi, oraz głęboką czerwonogliniastą bruzdę.

Pozdrowił kobiety i nie powiedział więcej ani słowa, po prostu trwał w pozycji kucznej. Po pewnym czasie kobiety wróciły do przerwanej pracy, niekiedy zwracając się do siebie szeptem.

Kiedy przerwały pracę, Havzhiva zapytał:

– Czy to jest święte?

Stare kobiety spojrzały na intruza, zmarszczyły brwi i nic nie odpowiedziały.

– Nie możesz tego zobaczyć – powiedziała ciemniejsza z młodych kobiet, a potem błysnęła zębami w wyzywającym uśmiechu, który zaskoczył Havzhivę.

– Chcesz powiedzieć, że nie powinno mnie tu być.

– Nie, możesz tu być, ale nie zobaczysz tego.

Havzhiva wstał z klęczek i obejrzał malowidło naziemne, które kobiety wykonały, sypiąc ziemię – szarą, brunatną, czerwoną i koloru umbry. Linie i kształty były bez wątpienia powiązane regularnymi, choć zaskakującymi zależnościami.

– To nie jest wszystko – stwierdził Havzhiva.

– To jest tylko mała, mała część – powiedziała młoda kobieta, a jej ciemne oczy zajaśniały szyderczo w ciemnej twarzy.

– Nigdy nie rysujecie całości za jednym razem?

– Nie – odparła.

– Nie – powiedziały pozostałe i nawet stare się uśmiechnęły.

– Czy możesz mi powiedzieć, co przedstawia to malowidło?

Kobieta nie знаła słowa „malowidło”. Zerknęła na koleżanki, potem zamyśliła się i spojrzała chytrze na Havzhivę.

– Robimy to, co wiemy. Proszę – powiedziała i łagodnym gestem wskazała barwny wzór. Ciepły wieczorny wietrzyk już zamazywał granice między kolorami.

– Oni tego nie znają – szepnęła druga młoda kobieta o popielatej cerze.

– Mężczyźni? Nigdy nie widzą tego w całości?

– Nikt nie widzi całości oprócz nas. My mamy ją tutaj. – Kobieta o ciemnej skórze nie dotknęła głowy, ale serca, zakrywając piersi długimi, stwardniałymi od pracy dłońmi. Potem znowu się uśmiechnęła.

Stare kobiety wstały. Zamruczały między sobą, jedna powiedziała coś ostrym tonem do młodych – Havzhiva nie zrozumiał jej słów – po czym odeszły gniewnym krokiem.

– Nie podoba im się, że rozmawiacie o tej pracy z mężczyzną – stwierdził Havzhiva.

– Z mężczyzną z miasta – poprawiła kobieta o ciemnej skórze i wybuchnęła śmiechem. –

One myślą, że uciekniemy.

– Czy chcecie uciec?

– Niby dokąd? – Wzruszyła ramionami.

Wstała wdzięcznie i spojrzała na malowidło: pozornie bezładny, abstrakcyjny wzór z linii i kolorów, krzywych i pól.

– Widzisz to? – spytała Havzhivę i znowu rzuciła mu to uwodzicielskie spojrzenie.

– Może kiedyś nauczę się to widzieć – odparł, napotykaając jej wzrok.

– Musisz znaleźć kobietę, która cię tego nauczy – powiedziała kobieta o popielatej cerze.

– Teraz jesteśmy wolnym ludem – oświadczył młody wódz, syn i następca, Wybraniec.

– Jak dotąd nigdy nie spotkałem wolnego ludu – powiedział grzecznie i dwuznacznie Havzhiva.

– Wywalczyliśmy sobie wolność. Uwolniliśmy się dzięki odwadze, poświęceniu, dzięki trzymaniu się jedynej szlachetnej rzeczy. Jesteśmy wolnym ludem. – Wybraniec był przystojnym, inteligentnym czterdziestoletnim mężczyzną o stanowczej twarzy. Na ramieniu miał sześć blizn, które wyglądały jak zgrzebna opończa, a spomiędzy oczu patrzyło nieruchome błękitne oko.

– Jesteście wolnymi ludźmi – powiedział Havzhiva.

Zapadło milczenie.

– Mężczyźni z miasta nie rozumieją naszych kobiet – oświadczył Wybraniec. – Nasze kobiety nie pragną męskiej wolności, to nie dla nich. Kobieta trzyma się swego dziecka, ono jest jej szlachetną rzeczą. W ten sposób Pan Kamye stworzył kobietę, a jej przykładem jest Litościwa Tual. Gdzie indziej może być inaczej. Niewykluczone, że gdzieś żyją kobiety, którym nie zależy na dzieciach. Tutaj jest tak, jak powiedziałem.

Havzhiva skinął głową. Było to głębokie, pojedyncze skinienie, którego nauczył się od Yeowańczyków, prawie pokłon.

– Istotnie – rzekł.

Wybraniec sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Widziałem malowidło – ciągnął Havzhiva.

Wybraniec patrzył na niego beznamiętnie; mógł znać słowo „malowidło” albo i nie.

– Linie i kolory wykonane ziemią na ziemi mogą zawierać wiedzę. Cała wiedza jest lokalna, każda prawda jest częściowa – oświadczył Havzhiva ze swobodną, familiarną godnością, o której wiedział, że jest imitacją sposobu, w jaki jego matka, Spadkobierczyni Słońca, przemawiała do cudzoziemskich kupców. – Żadna prawda nie może z innej prawdy uczynić nieprawdy. Każda wiedza stanowi część całej wiedzy. Prawdziwa linia, prawdziwy kolor. Kiedy choć raz zobaczysz cały wzór, już nigdy nie wrócisz do postrzegania części jako całości.

Wybraniec stał jak szary głaz.

– Jeżeli zaczniemy żyć tak jak ludzie w miastach, cała nasza wiedza przepadnie – powiedział po chwili, a jego doktrynerski ton pobrzmiwał lękiem i żalem.

– Mówisz prawdę, o Wybrańcu – przyznał Havzhiva. – Wiem, że wiele przepadnie. Trzeba oddać mniejszą wiedzę, żeby uzyskać większą, i nie wystarczy zrobić tego tylko raz.

– Ludzie z tego plemienia nie zaprzeczą naszej prawdzie – powiedział Wybraniec. Jego niewidzące, niemrugające środkowe oko wpatrywało się w słońce, które wisiało w żółtym tumanie kurzu ponad bezkresnymi polami, ale własne ciemne oczy miał wbite w ziemię.

Gość odwrócił wzrok od tej obcej twarzy i spojrzał na pałace, małe białe słońce, które nadal płonęło nad obcą krainą.

– Nie wątpię – powiedział.

W wieku pięćdziesięciu pięciu lat stabil Yehedarhed Havzhiva wybrał się do Yotebber z wizytą. Nie było go tam od dawna. Praca doradcy ekumenicznego przy yeowańskim Ministerstwie Sprawiedliwości Społecznej trzymała go na północy, skąd wypuszczał się często na drugą półkulę. Od lat mieszkał w Starej Stolicy z partnerką, ale często odwiedzał Nową Stolicę na prośbę nowego ambasadora, który chciał korzystać z jego doświadczeń. Partnerka, z którą Havzhiva żył od osiemnastu lat – nie byli małżeństwem, gdyż na Yeowe nie zawierano ślubów – musiała skończyć książkę i przyznała, że chciałaby mieć mieszkanie tylko dla siebie na parę tygodni, by dokończyć pracę.

– Pojedź na południe, przecież jęczysz o tym od lat – powiedziała. – Przylecę do ciebie, kiedy tylko skończę. Nie powiem żadnym przeklętym politykom, gdzie jesteś. Uciekaj! Jedź. Jedź. Jedź!

Pojechał. Nie lubił latać, chociaż konieczność niejednokrotnie go do tego zmuszała, więc długą drogę odbył pociągiem. Pociągi były dobre, szybkie, potwornie zatłoczone; na każdej stacji ludzie kłębili się, krzyczeli, przekupywali konduktorów, ale nie próbowali podróżować na dachach wagonów, które mknęły z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Havzhiva miał prywatny przedział w wagonie jadącym bezpośrednio do Yotebber City. Długie godziny podróży spędził w samotności, patrząc, jak krajobraz zostaje w tyle. Rowy melioracyjne, stare ugory, młode lasy, zatłoczone miasta, kilometry chat, baraków, domów, bloków mieszkalnych, rozległych terenów mieszkalnych w stylu wereliańskim, składających się z połączonych domów, kuchni ogrodowych, warsztatów, fabryk, olbrzymich nowych zakładów; a potem nagle znowu niezabudowane przestrzenie, kanały i zbiorniki irygacyjne odbijające kolory wieczornego nieba, dziecko z gołymi nogami idące z wielkim białym bawołem skrajem pola. Krótkie noce ciemniały rozkołysaną słodyczą snu.

Trzeciego popołudnia wysiadł na stacji w Yotebber City. Żadnych tłumów, żadnych wodzów, żadnej obstawy. Szedł rozgrzanymi znajomymi ulicami, minął targowisko i park miejski. Gangi łobuzów wciąż kręciły się po parku, więc Havzhiva rozglądał się czujnie i nie zbaczał z głównych alejek. Skreślił do świątyni tualickiej. W parku podniósł biały kwiat, który opadł z krzewu. Położył go u stóp Matki, a ona uśmiechnęła się, zezując na swój brakujący nos. Havzhiva ruszył dalej do dużego nowego osiedla, gdzie mieszkała Yeron.

Miała siedemdziesiąt cztery lata i niedawno odeszła na emeryturę po piętnastoletniej pracy w szpitalu, gdzie nauczała, praktykowała i zarządzała. Wyglądała prawie tak samo jak tamta kobieta, którą po raz pierwszy zobaczył przy swoim łóżku, tyle że wydawała się mniejsza. Wypadły jej wszystkie włosy, głowę obwiązywała połyskliwą chustą. Objęli się mocno, pocałowali, Yeron pogłaskała Havzhivę i poklepała, uśmiechając się przy tym

nieustannie. Nigdy nie poszli do łóżka, ale zawsze było między nimi pożądanie, tęsknota, a dotykem dawali sobie wielką radość.

– Ależ osiwiiałeś! – zawołała, poklepując go po włosach. – Jak pięknie! Chodź, napij się ze mną wina! Jak się miewa twoja Araha? Kiedy przylatuje? Przeszedłeś przez miasto z tą torbą? Wciąż jesteś szalony!

Wręczył Yeron prezent, który dla niej przywiózł, rozprawę o pewnych chorobach wereliańsko-yeowańskich autorstwa zespołu naukowców ekumenalnych, a ona chwyciła książkę chciwie. Przez pewien czas rozmawiała z Havzhivą tylko w przerwach między zagłębieniem do spisu treści a lekturą rozdziału o berlocie. Napełniła kieliszki jasnopomarańczowym winem. Wypili po drugim kieliszku.

– Dobrze wyglądasz, Havzhivo – zauważyła, odkładając książkę. – Status świętego ci służy.

– Aż tak źle nie jest, Yeron.

– W takim razie status bohatera. Nie możesz zaprzeczyć, że jesteś bohaterem.

– Nie – odparł ze śmiechem. – Wiedząc, co to takiego bohater, nie zaprzeczę.

– Co my byśmy bez ciebie poczęli?

– To samo co teraz... – Havzhiva westchnął. – Czasami myślę, że zaprzepaszczamy to, cośmy wywalczyli. Ten Tualbeda w prowincji Detake... Nie lekceważcie go, Yeron. Jego przemówienia aż ociekają nienawiścią do kobiet i uprzedzeniami antyimigracyjnymi, a ludzie to kupują.

Yeron machnęła ręką.

– Tym bzdurom nie ma końca – powiedziała. – Ale jedno musisz wiedzieć: kiedy tylko usłyszałam twoje imię, wiedziałam, kim dla nas będziesz.

– Cóż, nie zostawiłaś mi wielkiego wyboru.

– Ba! Sam wybrałeś, człowieku.

– Tak – przyznał, po czym przez chwilę delektował się winem. – Sam wybrałem.

Po chwili dodał:

– Niewielu ludzi ma możliwość dokonywania takich wyborów, jakie mnie były dane. Czasami myślę, że potrafiłem wybierać, ponieważ wyrosłem tam, gdzie wszystkich wyborów dokonano za mnie.

– A zatem zbuntowałeś się, wybrałeś własną drogę – powiedziała Yeron, kiwając głową.

– Nie jestem żadnym buntownikiem – odparł Havzhiva z uśmiechem.

– Ba! Żadnym buntownikiem? Przecież cały czas byłeś w samym sercu naszego ruchu.

– No tak, ale nie mam ducha buntownika. Duch był wasz. Moim zadaniem była akceptacja, zachowanie ducha akceptacji. Tego właśnie nauczyłem się, dorastając: akceptowania. Nauczyłem się nie zmieniać świata, lecz duszę, w taki sposób, żeby mogła żyć w świecie. Żyć w świecie we właściwy sposób.

Yeron słuchała, ale słowa Havzhivy najwyraźniej jej nie przekonały.

– To mi przypomina kobiecy styl życia – stwierdziła. – Mężczyźni zazwyczaj chcą zmieniać rzeczywistość tak, by im pasowała.

– Nie mężczyźni z mojego ludu – powiedział Havzhiva.

Yeron znowu napełniła kieliszki.

– Opowiedz mi o swoim ludzie. Zawsze bałam się o to zapytać. Hainowie są tacy starzy, tacy wykształceni! Wiedzą tak dużo z historii, znają tyle światów! My tutaj, z trzema wiekami nędzy, mordów i ignorancji... nie masz pojęcia, jacy mali się przy was czujemy.

– Myślę, że mam pojęcie – odparł Havzhiva i zaczął: – Urodziłem się w mieście Stse...

Opowiedział Yeron o pueblu, o ludziach Innego Nieba, o swoim ojcu, który był jego wujem, matce – Spadkobierczynie Słońca, rytuałach, festiwalach, bogach dnia powszedniego, niezwykłych bogach; opowiedział jej o przeistaczaniu się, o wizycie historyczki i o tym, jak ponownie się przeistoczył przed podróżą do Kathhadu.

– Te wszystkie rytuały! – zawołała Yeron. – Takie skomplikowane i niepotrzebne. Przypomina mi to nasze plemiona. Nic dziwnego, że uciekłeś.

– Ja tylko pojechałem do Kathhadu, żeby nauczyć się tego, czego nie mogłem się nauczyć w Stse – powiedział z uśmiechem Havzhiva. – Zrozumiałem, co to są zasady. Pojąłem, że ludzie są sobie nawzajem potrzebni. Nauczyłem się ludzkiej ekologii. Przecież od lat nie robimy tutaj nic innego, jak tylko próbujemy znaleźć dobry zbiór zasad, jakiś sensowny wzór. – Wstał, rozprostował ramiona. – Jestem pijany. Chodźmy na spacer.

Wyszli do nasłonecznionych ogrodów i ruszyli wolnym krokiem ścieżkami, które biegły między grządkami warzywnymi a klombami kwiatów. Yeron pozdrawiała skinieniem głowy ludzi, którzy plewili i spulchniali ziemię motykami, a oni podnosili wzrok i witali ją, zwracając się do niej po imieniu. Trzymała Havzhivę pod ramię mocno i dumnie. Dostosował swój krok do jej kroku.

– Kiedy musisz siedzieć na miejscu, chce ci się latać – powiedział, patrząc na jej bladą, sękatą, delikatną dłoń. – Kiedy musisz latać, chce ci się siedzieć na miejscu. W mojej ojczyźnie nauczyłem się siedzieć na miejscu. Od historyków nauczyłem się latać. Nadal jednak nie mogłem odnaleźć równowagi.

– A potem przyjechałeś tutaj – stwierdziła Yeron.

– A potem przyjechałem tutaj.

– I czego się nauczyłeś?

– Chodzić – odparł. – Nauczyłem się chodzić z moim ludem.

Wyzwolenie kobiet

Shomeke

Mój drogi przyjaciel poprosił mnie, bym spisała historię swego życia, ponieważ uważa, że może ona zainteresować ludzi w innych czasach i światach. Jestem zwyczajną kobietą, ale żyłam w okresach wielkich przemian i dane mi było doświadczyć niewoli oraz wolności.

Czytać i pisać nauczyłam się dopiero w wieku dorosłym i tylko w ten sposób mogę usprawiedliwić błędy w mojej opowieści.

Urodziłam się jako niewolnica na planecie Werel. W dzieciństwie nazywałam się Shomekes Radosse Rakam (czyli Własność Rodziny Shomeke), Wnuczka Dosse, Wnuczka Kamye. Rodzina Shomeke miała posiadłość na wschodnim wybrzeżu Voe Deo. Dosse była moją babką. Kamye jest bogiem.

Shomekesi posiadali ponad czterystu pracowników, których wykorzystywali głównie do uprawiania pól gede, wypasania bydła na pastwiskach słonej trawy, do pracy w młynach i jako służbę domową. Nasz właściciel miał znaczne wpływy polityczne i często wyjeżdżał do stolicy.

Pracownicy otrzymywali nazwisko babki, ponieważ to ona wychowywała dziecko. Matka pracowała przez cały dzień, a ojca nie było. Kobiety zawsze parzono z więcej niż jednym mężczyzną. Nawet jeśli mężczyzna znał swoje dziecko, nie był w stanie się o nie troszczyć, ponieważ w każdej chwili mógł zostać sprzedany lub wymieniony. Młodzi ludzie zazwyczaj nie zagrzewali miejsca w jednej posiadłości. Jeżeli byli wartościowi, sprzedawano ich na inne farmy albo do fabryk. Jeśli okazywali się bezwartościowi, kazano im zapracowywać się na śmierć.

Kobiet nie sprzedawano często. Młodych używano do pracy i rozmnażania, a stare wychowywały dzieci i zajmowały się utrzymaniem domu. Na niektórych posiadłościach kobiety rodziły dziecko co rok, dopóki nie umarły, ale u nas większość miała tylko po dwoje lub troje. Shomekesi cenili kobiety jako pracownice i nie chcieli, by mężczyźni stale się ich czepiali. Babki zgadzały się z Shomekesami i pilnie strzegły kobiet.

Mówię: mężczyźni, kobiety, dzieci, ale musicie zrozumieć, że wcale nas tak nie nazywano. W ten sposób nazywano tylko naszych właścicieli. My, pracownicy, nosiliśmy nazwę niewolników i niewolnic oraz szczeniaków lub młodych. Będę używać tych słów, chociaż nie słyszałam ich od wielu lat na tym błogosławionym świecie.

W części osady należącej do niewolników, od strony bramy, władzę sprawowali młodzi panowie. Niektórzy byli spokrewnieni z rodziną Shomeke, inni zostali przez nią wynajęci. W części wewnętrznej mieszkali młodzi i niewolnice. Dwóch wykastrowanych niewolników nosiło miano panów, ale rzeczywistą władzę sprawowały babki. Na obszarze osady nic nie wydarzało się bez zgody babek.

Jeżeli babki uznały, że któryś z pracowników jest zbyt chory, by pracować, panowie pozwalali mu zostać w domu. Czasami babki ratowały niewolnika od sprzedaży, czasami udawało im się uchronić dziewczynę przed sparzeniem z więcej niż jednym mężczyzną albo dawały dziewczynie środek antykoncepcyjny. Wszyscy respektowali zdanie rady babek. Jeśli jednak któraś posunęła się za daleko, panowie karali ją chłostą, oślepiali lub odcinali jej dłonie. Kiedy byłam mała, w naszej osadzie mieszkała kobieta, którą nazywaliśmy prababką. Jej oczodoły były puste i nie miała języka. Sądziłam, że to wynik

starości, i bałam się, że także mojej babce Dosse język uschnie w ustach. Kiedy podzieliłam się z nią tymi obawami, odparła:

– Nie, mój język się nie skróci, bo nie pozwalam mu za bardzo się wydłużyć.

Mieszkałam w osadzie. Matka urodziła mnie tam, a potem pozwolono jej zostać przez trzy miesiące, żeby mnie karmić. Później zaczęto mnie karmić krowim mlekiem, a matka wróciła do domu. Nazywała się Shomekes Rayowa Yowa. Podobnie jak większość pracowników, miała jasną cerę, ale była bardzo piękna, miała smukłe ramiona oraz łydki i delikatne rysy twarzy. Moja babka też miała jasną cerę, ale ja byłam śniada, najbardziej śniada z całej osady.

Pewnego razu moja matka przyjechała w odwiedziny. Kastraci-wyzwoleńcy wpuścili ją do środka, gdzie zastała mnie na nacieraniu ciała szarym kurzem. Złajała mnie, a ja wyjaśniłam, że chciałam wyglądać tak jak inni.

– Posłuchaj, Rakam – powiedziała. – Oni są brudasami, którzy nigdy nie wygrzebią się z kurzu. Ty jesteś kimś lepszym. Będziesz piękna. Jak sądzisz, dlaczego jesteś taka czarna? – Nie miałam pojęcia, co ma na myśli. – Pewnego dnia powiem ci, kto jest twoim ojcem – oświadczyła takim tonem, jakby obiecywała mi podarunek. Wiedziałam, że ogier Shomekesów, cenne zwierzę, obsługiwał klacze z innych posiadłości. Nie przypuszczałam, że ojciec może być człowiekiem.

Tego wieczoru pochwaliłam się babce:

– Jestem piękna, ponieważ moim ojcem jest czarny ogier!

Dosse uderzyła mnie w głowę z taką siłą, że upadłam i zanosłam się płaczem.

– Nigdy nie mów o swoim ojcu – powiedziała babka.

Wiedziałam, że matka i babka są skłócone, ale musiało upłynąć jeszcze wiele czasu, nim zrozumiałam dlaczego. Nawet teraz nie jestem pewna, czy pojmuję wszystko, co między nimi zaszło.

My, małe szczeniaki, hasałyśmy po osadzie. Nie miałyśmy pojęcia, co się działo za murami. Nasz świat ograniczał się do chat niewolnic, baraków niewolników, kuchni i przykuchennych ogrodów oraz placu udeptanego naszymi bosymi stopami. Wydawało mi się, że palisada znajduje się gdzieś bardzo daleko.

Kiedy ludzie pracujący na polach i w młynach wychodzili rankiem za bramę, nie wiedziałam, dokąd idą. Po prostu odchodzili. Przez cały dzień osada należała do nas, szczeniaków, nagich w lecie, prawie nagich zimą. Biegaliśmy i bawiliśmy się patykami, kamieniami i błotem, trzymaliśmy się z dala od babek, aż do chwili kiedy błagaliśmy je o coś do jedzenia albo one kazały nam plewić grządki w ogrodzie.

Wieczorem lub wczesną nocą pracownicy wracali przez bramę strzeżoną przez panów. Niektórzy byli wyczerpani i ponurzy, inni kipieli radością, rozmawiali i nawoływali się. W końcu zatrzaskiwano bramę za ostatnim. Ze wszystkich pieców unosił się dym. Płonący krowi nawóz pachniał słodko. Niewolnicy i niewolnice gromadzili się przy rowie dzielącym teren wewnątrz osady i prowadzili nad nim rozmowy. Po posiłku wyzwoleńcy wznosili modły do posągu Tual, my modliliśmy się do Kamye, a następnie wszyscy szli do łóżek, z wyjątkiem tych, którzy zostawali, żeby „skakać przez rów”. Czasami w letnie noce organizowano śpiewy albo zezwalano na tańce. Zimą jeden z dziadów – biednych, starych, steranych życiem ludzi, którym daleko było do siły babek – „śpiewał słowo”. Tak ludzie nazywali recytowanie *Arkamye*. Noc w noc niektórzy ludzie nauczali, a inni uczyli się świętych wersetów. W zimowe noce jeden z tych bezwartościowych starych niewolników,

którzy utrzymywali się przy życiu dzięki miłosierdziu babek, zaczynał śpiewać słowo. W takich chwilach nawet szczeniaki milkły, żeby słuchać opowieści.

Moją serdeczną przyjaciółką była Walsu. Wyższa ode mnie, występowała zawsze w mojej obronie, ilekroć wybuchały sprzeczki czy bójki wśród młodych albo kiedy starsze szczeniaki nazywały mnie „czarnulą” albo „pannicą”. Byłam mała, ale miałam wybuchowy temperament. Kiedy trzymałyśmy się razem z Walsu, prawie nikt nas nie zaczepiał. Potem Walsu wysłano za bramę. Jej matka została „wypchana”, więc trzeba było jej pomóc w wyrobieniu normy na polu. Gede należy zbierać rękami. Codziennie, kiedy nowa część łądygi dojrzeje, trzeba ją zrywać, dlatego zbieracze gede przeczesują to samo pole przez dwadzieścia, trzydzieści dni, po czym przenoszą się na tereny obsadzone później. Walsu pomagała matce w zbieraniu, a kiedy matka zachorowała, Walsu zajęła jej miejsce i wyrabiała normę przy pomocy innych pracownic. Miała wtedy sześć lat według rachuby właściciela, zgodnie z którą urodziny wszystkich pracowników przypadają na ten sam dzień, a mianowicie dzień Nowego Roku, na początku wiosny. W rzeczywistości Walsu mogła mieć siedem lat. Jej matka chorowała zarówno przed porodem, jak i po nim, a przez cały ten czas Walsu zastępowała ją na polu gede. Nigdy nie przychodziła się bawić; wracała dopiero wieczorem, żeby jeść i spać. Wtedy się z nią spotykałam i mogłyśmy porozmawiać. Była dumna ze swojej pracy. Zazdrościłam jej i marzyłam o wyjściu za bramę. Odprowadzałam Walsu do bramy i wyglądałam na świat. Mury osady wydawały mi się teraz bardzo ciasne.

Powiedziałam babce Dosse, że chciałabym pójść do pracy na polu.

– Jesteś za młoda.

– W Nowy Rok skończę siedem lat.

– Twoja matka wymogła na mnie obietnicę, że nie pozwolę ci wyjść.

Podczas następnych odwiedzin matki powiedziałam:

– Babka nie chce mnie wypuścić. Chcę pracować na polu.

– Nigdy – odparła matka. – Urodziłaś się do czegoś lepszego.

– Do czego?

– Zobaczysz.

Matka uśmiechnęła się, a ja zrozumiałam, że ma na myśli Dom, w którym pracowała. Często opowiadała mi o cudownych rzeczach, które się tam znajdowały, o barwnych, cienkich, delikatnych i czystych rzeczach. Matka mówiła, że w Domu panuje cisza. Nosiła piękny czerwony szal, mówiła cichym głosem, a jej ubranie i ciało zawsze były czyste i świeże.

– Kiedy to wszystko zobaczę?

Droczyłam się z matką tak długo, aż powiedziała:

– No dobrze! Zapytam moją panią.

– O co zapytasz?

O „mojej pani” wiedziałam tylko tyle, że również była delikatna i czysta, a moja matka należała do niej w jakiś szczególny sposób, którym się szczyciła. Wiedziałam, że to „moja pani” dała matce czerwony szal.

– Zapytam ją, czy możesz rozpocząć szkolenie w Domu.

Matka wymawiała słowo „Dom” w taki sposób, że wyobrażałam go sobie jako wielkie, święte miejsce, jak to, o którym mówi nasza modlitwa: „Niech wolno mi będzie wejść do czystego domu, do pomieszczeń pokoju”.

Poczułam takie podniecenie, że zaczęłam tańczyć i śpiewać.

– Idę do Domu, do Domu!

Matka wymierzyła mi policzek i złażała mnie za dzikie zachowanie.

– Jesteś za młoda! – powiedziała. – Nie potrafisz się właściwie zachowywać! Jeżeli odeślą cię z Domu, już nigdy nie będziesz mogła tam wrócić.

Obiecałam, że będę dostatecznie dorosła.

– Wszystko musisz robić, jak należy – upominała Yowa. – Musisz natychmiast spełniać wszystkie moje polecenia. O nic nie pytaj. Nigdy się nie ociągaj. Jeżeli moja pani zobaczy, że jesteś dzika, odeśle cię z powrotem tutaj, a to będzie twój koniec.

Obiecałam, że będę potulna. Obiecałam niezwłocznie spełniać wszystkie polecenia i nie odzywać się. W im bardziej przerażających barwach matka odmalowywała Dom, tym bardziej pragnęłam go zobaczyć.

Po wyjeździe matki nie wierzyłam, że porozmawia z „moją panią”. Nie przywykłam do spełniania obietnic. Jednak po kilku dniach matka powróciła, a ja usłyszałam, jak rozmawia z babką. Początkowo Dosse była zła, mówiła podniesionym głosem. Podkradłam się pod okno chaty, żeby podsłuchać ich rozmowę. Usłyszałam łkanie babki, co przestraszyło mnie i zdumiało. Babka zawsze okazywała mi cierpliwość, dbała o mnie i dobrze mnie karmiła. Dopiero jej płacz uzmysłowił mi, że nie znałam całej prawdy. Płacz babki sprawił, że się rozplakałam.

– Mogłaś mi ją zostawić jeszcze na rok – mówiła babka. – Shomeke jest jeszcze dzieckiem. Nigdy nie pozwoliłabym jej wyjść za bramę. – Mówiła błagalnym głosem jak osoba bezradna, nie jak babka. – Ona jest radością mego życia, Yowo!

– Czemu w takim razie nie chcesz, żeby jej się dobrze powodziło?

– Pozwól jej tu zostać jeszcze przez rok. Shomeke jest zbyt dzika na życie w Domu.

– Już za długo hasała na swobodzie. Jeżeli tu zostanie, pošlę ją do pracy na polu. Po roku takiej mordęgi nie przyjmą jej już w Domu. Stanie się brudasem. Tak czy inaczej lzy na nic się tu nie zdadzą. Poprosiłam moją panią, która teraz oczekuje Shomeke. Nie mogę wrócić bez niej.

– Yowo, nie pozwól, żeby stała jej się krzywda – powiedziała Dosse bardzo cicho, jak gdyby wstydziła się mówić to córce, a jednak w jej głosie zabrzmiała siła.

– Zabieram ją po to, żeby nie stała się jej krzywda – odparła moja matka. Potem zawołała mnie, a ja otarłam lzy i poszłam do niej.

Może się to wydać dziwne, ale nie pamiętam pierwszej przechadzki za murami ani momentu, w którym po raz pierwszy zobaczyłam Dom. Myślę, że byłam przestraszona i nie podnosiłam oczu, a wszystko wydawało mi się takie obce, że nie rozumiałam, co widzę. Wiem, że upłynęło kilka dni, zanim matka zaprowadziła mnie do pani Tazeu. Musiała mnie wyszorować i udzielić odpowiednich wskazówek, żebym nie przyniosła jej wstydu. Byłam przerażona, kiedy w końcu wzięła mnie za rękę, łajając szeptem przez cały czas, a potem wyprowadziła z części Domu przeznaczonej dla niewolnic. Przeszliśmy przez korytarze i drzwi z malowanego drewna i weszliśmy do jasnego, zalanego słońcem pokoju bez dachu, pełnego kwiatów w doniczkach.

Nigdy wcześniej nie widziałam kwiatów, tylko chwasty w przykuchennych ogrodach, dlatego teraz nie mogłam się napatrzeć. Matka musiała szarpnąć mnie za rękę, by zmusić do spojrzenia na kobietę siedzącą na krześle wśród kwiatów. Jaskrawe kolory jej miękkiego ubrania tak bardzo przypominały kwiaty w doniczkach, że z trudem mogłam

odróżnić jedno od drugiego. Kobieta miała długie, lśniące włosy, a skórę błyszczącą i czarną. Matka pchnęła mnie, a ja zrobiłam to, co kazała mi ćwiczyć wielokrotnie: podeszłam, uklękłam obok krzesła i czekałam, a kiedy kobieta wyciągnęła długą, wąską, miękką dłoń, czarną na wierzchu, a lazurową od strony wewnętrznej, przytknęłam do niej czoło. Miałam powiedzieć: „Jestem twoją niewolnicą Rakam, o pani”, ale głos odmówił mi posłuszeństwa.

– Cóż za prześliczne maleństwo – powiedziała kobieta. – Takie śniade. – Dwa ostatnie słowa wymówiła innym tonem.

– Tamtej nocy... przyszli panowie – wyjaśniła Yowa z potulnym uśmiechem i opuściła wzrok, jakby w zażenowaniu.

– Niewątpliwie – powiedziała kobieta. Zdołałam podnieść wzrok. Była piękna. Nie wiedziałam, że człowiek może być tak piękny. Ponownie wyciągnęła długą, miękką dłoń i pogłaskała mnie po policzku i szyi. – Bardzo, bardzo ładna, Yowo. Słusznie postąpiłaś, przyprowadzając ją tutaj. Czy została wykąpana?

Nie zapytałaby o to, gdyby zobaczyła mnie za pierwszym razem, kiedy przyszedłam brudna, cuchnąca krowim nawozem, którym paliliśmy pod kuchnią. Nie wiedziała nic o osadach. Znała tylko bezę, stronę Domu przeznaczoną dla kobiet. Panią Tazeu trzymano tam, tak jak mnie trzymano za murami, oddzieloną od wszystkiego, co się działo na zewnątrz. Pani Tazeu nigdy nie wahała krowiego nawozu, tak jak ja nigdy nie widziałam kwiatów.

Matka zapewniła panią Tazeu, że jestem czysta, a ona powiedziała:

– Wobec tego dzisiejszej nocy może przyjść do mnie do łóżka. Czy chcesz ze mną spać, moja śliczna mała...?

Zerknęła na moją matkę, która mruknęła:

– Rakam.

Usłyszawszy to imię, pani ściągnęła usta.

– To imię mi się nie podoba – mruknęła. – Jest brzydkie. Toti, o tak. Będzie moją nową Toti. Przyprowadź ją dziś wieczorem, Yowa.

Matka wyjaśniła mi, że pani miała kiedyś foksterierkę o imieniu Toti, która zdechła. Nie wiedziałam, że zwierzęta mogą mieć imiona, toteż nie zdziwiłam się, kiedy otrzymałam imię zwierzęcia, ale początkowo czułam się dziwnie, nie będąc Rakam. Nie potrafiłam myśleć o sobie jako o Toti.

Tej nocy matka ponownie mnie wykąpała, namaściła słodkim olejkiem i przyodziała w miękką szatę, nawet bardziej miękką niż jej czerwona chusta. Po raz kolejny ostrzegła mnie i złażała, ale była też podniecona i zadowolona ze mnie. Ruszyliśmy do bezy innymi korytarzami niż poprzednio, spotykając po drodze niewolnice, aż wreszcie weszliśmy do sypialni pani. Był to cudowny pokój pełen luster, draperii i obrazów. Nie rozumiałam, czym są lustra i obrazy, więc wpadłam w popłoch, kiedy zobaczyłam w nich ludzi. Pani Tazeu zauważyła mój strach.

– Chodź, maleńka – powiedziała, robiąc dla mnie miejsce na swoim wielkim, szerokim, miękkim łóżku pełnym poduszek. – Chodź i zwiń się w kłębuszek.

Położyłam się obok niej, a pani pogłaskała mnie po włosach i skórze, tuliła mnie w ciepłych, miękkich ramionach, póki się nie rozluźniłam.

– Już dobrze, mała Toti – powiedziała i zasnęłyśmy.

Zostałam domowym pieszczołkiem pani Tazeu Wehoma Shomeke. Sypiałam z nią

prawie co noc. Jej mąż rzadko bywał w domu, a kiedy mu się to zdarzało, nie przychodził do żony, ponieważ wolał znajdować rozkosz u niewolnic. Czasami pani wzywała do łóżka moją matkę lub inne, młodsze niewolnice, a wtedy mnie odsyłała. Dopiero kiedy skończyłam dziesięć czy jedenaście lat, zaczęła zatrzymywać mnie przy sobie i uczyła mnie, jak czerpać rozkosz. Była delikatna, ale to ona była mistrzynią w miłości; mnie przypadła rola instrumentu, na którym pani grała.

Szkolono mnie także w domowych zajęciach. Pani nauczyła mnie śpiewać razem z nią, ponieważ miałam dobry głos. Przez te wszystkie lata ani razu nie zostałam ukarana czy zmuszona do ciężkiej pracy. Ja, która w osadzie zachowywałam się jak dzikuska, w Wielkim Domu okazywałam pełne posłuszeństwo. Buntowałam się przeciwko babce, a jej rozkazy przyjmowałam ze zniecierpliwieniem, ale wszystkie polecenia mojej pani spełniałam z radością. Przywiązała mnie do siebie jedynym rodzajem miłości, jaki miała mi do zaoferowania. Uważałam, że jest Litościwą Tual, która zstąpiła na ziemię. Nie jest to figura retoryczna, ale prawda. Uważałam, że była istotą, która mnie przewyższa.

Powiecie może, że nie mogłam lub nie powinnam czerpać przyjemności z faktu, że moja pani wykorzystywała mnie bez mojej zgody, a jeśli nawet tak się działo, nie powinnam o tym mówić. Jednak ja nie wiedziałam nic o zgodzie lub odmowie. Te słowa należą do sfery wolności.

Pani miała jedno dziecko, syna, o trzy lata starszego ode mnie. Mieszkała samotnie wśród nas, niewolnic. Wehoma byli szlachtą z wysp, ludźmi konserwatywnymi, których kobiety nie podróżowały, toteż pani nie miała kontaktu ze swoją rodziną. Jej jedynym towarzystwem byli przyjaciele pana Shomeke, który przywoził ich czasami ze stolicy. Ale byli to wyłącznie mężczyźni, a pani mogła z nimi przebywać tylko przy stole.

Pana widywałam rzadko i z daleka. Jego również uważałam za istotę wyższą, ale niebezpieczną.

Co się tyczy Eroda, młodego pana, widywałyśmy go, kiedy składał codzienne wizyty matce albo udawał się na przejażdżki z nauczycielami. Kiedy my, dziewczęta, miałyśmy po jedenaście, dwanaście lat, podglądałyśmy Eroda i chichotałyśmy, ponieważ był przystojnym chłopcem, czarnym jak noc i smukłym jak jego matka. Wiedziałam, że Erod boi się ojca, ponieważ słyszałam, jak wypłakuje się matce. Pani pocieszała go słodyczami i pieszczotami, mówiąc:

– On wkrótce znowu wyjedzie, kochanie.

Mnie także było żal Eroda, który przypominał łagodny, nieszkodliwy cień. Kiedy skończył piętnaście lat, wysłano go do szkoły, ale ojciec przywiózł go z powrotem przed upływem roku. Niewolnice powiedziały nam, że pan zbił go okrutnie i zakazał mu nawet opuszczać posiadłość.

Niewolnice, które służyły panu, mówiły nam, jak bardzo był brutalny; pokazywały rany i siniaki, które im zadał. Nienawidziły go, ale moja matka nie chciała go krytykować.

– Jak ci się wydaje, kim ty jesteś? – spytała dziewczynę, która skarżyła się na sposób, w jaki pan ją wykorzystywał. – Damą, z którą trzeba się obchodzić jak ze szkłem?

Kiedy okazało się, że dziewczyna jest w ciąży – my mówiłyśmy, że została wypchana – moja matka kazała odesłać ją z powrotem do osady. Wtedy nie rozumiałam, dlaczego tak się działo. Sądziłam, że Yowa jest bezlitosna i zazdrosna. Dzisiaj myślę, że chroniła dziewczynę przed zazdrością naszej pani.

Nie wiem, kiedy zrozumiałam, że jestem córką pana. Ponieważ moja matka

utrzymywała ten fakt w tajemnicy przed naszą panią, sądziła, że nikt o nim nie wie, ale wszystkie niewolnice doskonale o tym wiedziały. Nie pamiętam, co usłyszałam lub podsłuchałam, ale kiedy widziałam Eroda, przyglądałam mu się i myślałam, że znacznie bardziej niż on przypominam naszego ojca, ponieważ wtedy wiedziałam już, kto to jest ojciec. Zastanawiałam się też, jakim cudem pani Tazeu tego nie dostrzega. Ona jednak wolała żyć w niewiedzy.

W tym czasie rzadko odwiedzałam osadę. Po półrocznym pobycie w Domu zapragnęłam wrócić, odwiedzić Walsu i babkę, pokazać im drogie ubranie, czystą skórę i lśniące włosy. Kiedy jednak tam poszłam, szczeniaki, z którymi dawniej się bawiłam, obrzuciły mnie ziemią i kamieniami, a potem podarły na mnie ubranie. Walsu pracowała na polu. Przez cały dzień musiałam się kryć w chacie babki. Później już nie chciałam tam wracać. Kiedy babka po mnie posyłała, odwiedzałam ją tylko w towarzystwie matki, której nie opuszczałam ani na krok. Mieszkańcy osady, nawet moja babka, wydawali mi się brudni i cuchnący. Mieli rany, blizny po chłostach, poobcinane palce, uszy lub nosy, szorstkie dłonie i stopy ze zdeformowanymi paznokciami. Odzwyczaiłam się od ludzi, którzy tak wyglądali. Uważałam, że my, mieszkanki Wielkiego Domu, jesteśmy zupełnie inne. Służąc wyższym istotom, upodabniałyśmy się do nich.

Gdy miałam trzynaście i czternaście lat, pani Tazeu nadal brała mnie do łóżka i często się ze mną kochała. Miała też jednak nową pieścioszkę, córkę jednej z kucharek, śliczną dziewczuszkę, choć białą jak śnieg. Pewnej nocy pani kochała się ze mną długo w sposób, o którym wiedziała, że przyprawia mnie o ekstazę.

– Żegnaj, żegnaj – szeptała, kiedy leżałam wyczerpana w jej ramionach. Całowała mnie po twarzy i piersiach. Byłam zbyt wykończona, żeby się nad tym zastanawiać.

Nazajutrz moja pani wezwała mnie razem z matką i oświadczyła, że zamierza podarować mnie swemu synowi na siedemnaste urodziny.

– Będzie mi ciebie straszliwie brakowało, kochana Toti – powiedziała ze łzami w oczach. – Byłaś moją radością, ale w całym domu nie ma drugiej dziewczyny, którą mogłabym ofiarować Erodowi. Jesteś najczystsza, najdroższa, najśłodsza. Wiem, że jesteś dziewicą. – Chciała powiedzieć, że jestem dziewicą dla mężczyzn. – Wiem, że mój syn się z ciebie ucieszy. Erod będzie dla niej dobry – zapewniła moją matkę. Matka skłoniła się i nic nie powiedziała. Było zbyt późno na wyjawienie sekretu, który napełniał ją taką dumą.

Pani Tazeu dała mi lekarstwo antykoncepcyjne, ale moja matka, która nie ufała medycynie, poszła do babki i przyniosła mi zioła antykoncepcyjne. Przez cały tydzień zażywałam jedno i drugie.

Kiedy pan odwiedzał żonę, przychodził do bezy, ale kiedy pragnął niewolnicy, posyłano ją do niego. Tak więc, w noc urodzin młodego pana, ubrano mnie całą na czerwono i zaprowadzono, po raz pierwszy w życiu, do męskiej strony Domu.

Mój szacunek dla pani przenosił się na jej syna, a nauczono mnie, że właściciele są istotami wyższymi od nas. Młody pan był jednak chłopcem, którego znałam od dzieciństwa, a poza tym wiedziałam, że mamy w połowie tę samą krew. Wiedza ta sprawiała, że darzyłam go dziwnym uczuciem.

Uważałam, że Erod jest nieśmiały, że obawia się własnej męskości. Inne dziewczęta próbowały go uwieść, ale im się to nie udało. Kobiety powiedziały mi, co mam robić, jak mam się oddać młodemu panu, jak go zachęcić, a ja byłam gotowa to uczynić. Przeprowadzono mnie do jego wielkiej sypialni, całej z kamienia żłobionego w koronkowy

wzór, z wysokimi, wąskimi oknami o fioletowych szybach. Przez chwilę stałam potulnie przy drzwiach, a Erod przy stole zawalonym papierami i ekranami. Wreszcie podszedł, wziął mnie za rękę i zaprowadził do krzesła. Zmusił mnie, bym usiadła, i zaczął mówić na stojąco, co całkowicie kłóciło się z obyczajami i wprawiało mnie w zakłopotanie.

– Rakam... tak się nazywasz, prawda? – zapytał. Skinęłam głową. – Rakam, moja matka chce jak najlepiej i nie powinnaś uważać, że jestem niewdzięczny wobec niej albo ślepy na twoją urodę. Ale nie przyjmę kobiety, która nie może się oddać z własnej woli. Stosunek płciowy między właścicielem a niewolnicą jest gwałtem.

Mówił dalej, przepięknie, jak moja pani, kiedy czytała na głos. Zrozumiałam tylko tyle, że miałam przychodzić, ilekroć po mnie pośle, sypiać w jego łóżku, ale Erod nie będzie mnie dotykał. Nie wolno mi było nikomu o tym mówić.

– Przepraszam, bardzo cię przepraszam za to, że każę ci kłamać – powiedział tak żarliwie, że pomyślałam, iż kłamstwo sprawia mu ból. Wydał mi się przez to raczej bogiem niż człowiekiem. Jeżeli kłamanie sprawiało ból, jakim cudem można było pozostać przy życiu?

– Zrobię dokładnie to, o co pan prosi, panie Erodzie – powiedziałam.

Tak więc, prawie co noc, niewolnicy młodego pana prowadzili mnie do jego sypialni. Spałam w wielkim łóżu, a Erod pracował przy stole. Sypiał na kanapie pod oknem. Często chciał do mnie mówić, niekiedy bardzo długo; dzielił się swoimi pomysłami. Kiedy chodził do szkoły w stolicy, wstąpił do tak zwanej Społeczności, czyli grupy właścicieli, którzy chcieli zlikwidować niewolnictwo. Dowiedziawszy się o tym, ojciec zabrał go ze szkoły, odesłał do domu i zabronił opuszczać posiadłość. Tak więc Erod również został więźniem. Mimo to nieprzerwanie korespondował z innymi członkami Społeczności za pośrednictwem sieci, którą potrafił się posługiwać bez wiedzy ojca i rządu.

Miał głowę tak przeładowaną pomysłami, że musiał o nich mówić. Geu i Ahas, młodzi niewolnicy, którzy wychowali się razem z Erodem i przyprowadzali mnie do jego sypialni, często zostawali z nami. Młody pan mówił o wolności i niewolnictwie. Często ogarniała mnie senność, ale słuchałam i dowiadywałam się wielu rzeczy, których nie potrafiłam zrozumieć ani nawet w nie uwierzyć. Erod powiedział nam, że wśród pracowników działała organizacja o nazwie Hame, która wykradała niewolników z plantacji. Takich niewolników przyprowadzano do Społeczności, gdzie dostawali fałszywe dokumenty właścicieli i posyłano ich do przyzwoitej pracy w miastach. Erod opowiadał nam o miastach, a ja słuchałam z zapartym tchem. Opowiedział nam o kolonii Yeowe, na której wybuchła rewolucja niewolników.

O Yeowe nie wiedziałam nic. Była to wielka niebieskozielona gwiazda, która zachodziła po słońcu, a wschodziła przed nim, jaśniejsza niż najmniejszy z księżyców. Jej nazwa pojawiała się w pieśni, którą śpiewano w osadzie:

*O, o, Ye-o-we,
Stamtąd nigdy nie wraca nikt.*

Nie miałam pojęcia, co to jest rewolucja. Kiedy Erod wyjaśnił mi, że pracownicy z

plantacji na planecie zwanej Yeowe walczyli z właścicielami, nie rozumiałam, jak mogli robić coś podobnego. Od samego początku ustalono, że powinny być istoty wyższe i niższe, bóg i człowiek, mężczyzna i kobieta, posiadacz i posiadany. Cały mój świat sprowadzał się do posiadłości Shomeke, która opierała się na tym fundamencie. Kto chciałby go zniszczyć? Wszyscy zginęliby pod ruinami.

Nie podobało mi się, kiedy Erod nazywał pracowników niewolnikami, brzydkim słowem, które odbierało nam wartość. Wytłumaczyłam sobie, że tu, na Werel, byliśmy pracownikami, a tam, w kolonii Yeowe, znajdowali się bezwartościowi, krnąbrni niewolnicy. Właśnie dlatego ich tam wysłano. Odnalazłam sens.

Sami widzicie, jaka byłam głupia. Pani Tazeu pozwalała nam czasami oglądać razem ze sobą programy w holosieci, ale były to tylko dramaty, żadnych wiadomości. O świecie poza posiadłością wiedziałam tylko to, co powiedział mi Erod, ale wcale tego nie rozumiałam.

Erod lubił, kiedy się z nim spieraliśmy. Uważał, że jest to oznaka wyzwania się naszych umysłów. Geu był w tym dobry. Zadawał pytania w rodzaju: „Ale kiedy zabraknie pracowników, to kto będzie pracował?”. Wtedy Erod mógł udzielić wyczerpującej odpowiedzi. Oczy mu błyszczały, mówił potoczyscie. Zarówno on, jak i to, co mówił, było piękne. Przypominałam sobie starców, którzy „śpiewali słowo”, recytowali *Arkamye*, kiedy byłam szczeniakiem w osadzie.

Środki antykoncepcyjne, które moja pani dawała mi co miesiąc, oddawałam dziewczętom, które ich potrzebowały. Pani Tazeu rozbudziła moją seksualność i przyzwyczaiła do tego, że wykorzystywano mnie seksualnie. Brakowało mi jej pieśczoł. Nie wiedziałam jednak, jak zwrócić się do którejś z niewolnic, a one bały się nawiązać ze mną kontakt, ponieważ należałam do młodego pana. Przebywając często w towarzystwie Eroda, kiedy mówił, pragnęłam go całym ciałem. Leżałam w jego łóżku i marzyłam, że nachyla się i robi ze mną to samo, co zwykła robić moja pani. Jednak Erod ani razu mnie nie dotknął.

Geu również był przystojnym, śniadym młodzieńcem, czystym i dobrze wychowanym. Pociągał mnie, a poza tym stale na mnie patrzył. Jednak ani razu się do mnie nie zbliżył, dopóki nie powiedziałam mu, że Erod mnie nie dotyka.

W ten sposób złamałam obietnicę daną Erodowi, ale nie uważałam, że obowiązuje mnie dotrzymanie obietnic, podobnie jak nie sądziłam, że spoczywa na mnie obowiązek mówienia prawdy. Taki honor przynależał właścicielom, a nie nam.

Geu zaczął mi mówić, kiedy mam się z nim spotkać na strychu Domu. Dawał mi trochę rozkoszy. Nie wchodził we mnie, wierząc, że musi zachować moje dziewictwo dla naszego pana. Zamiast tego zmuszał mnie, bym brała jego członek w usta. Przed osiągnięciem orgazmu odwracał się, ponieważ nasienie niewolnika nie może skalać kobiety pana. Tak głosi kodeks honorowy niewolnika.

Powiecie może z niesmakiem, że moja opowieść jest pełna takich rzeczy i że życie, nawet życie niewolnika, polega na czymś więcej niż tylko na seksie. Bez wątplenia macie rację. Mogę tylko powiedzieć, że może właśnie w sferze seksu najłatwiej popadamy w niewolę, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Może właśnie w tej sferze, nawet będąc wolnymi ludźmi, najtrudniej nam zachować wolność. W polityce ciała tkwią korzenie władzy.

Byłam młoda, zdrowa i pragnęłam rozkoszy. Nawet tutaj, nawet teraz, kiedy patrzę wstecz z tego świata na tamten, na osadę i Dom Shomeke, te obrazy jawią mi się jak w

jasnym śnie. Widzę duże, twarde dłonie babki. Widzę uśmiechniętą matkę w czerwonym szalu na szyi. Widzę czarne, jedwabiste ciało mojej pani wśród poduszek. Czuję zapach krowiego nawozu i perfumy bezy. Czuję miękkie ubranie na swoim młodym ciele, a także dłonie i wargi mojej pani. Słyszę starców, którzy śpiewają słowo, swój głos, splatający się z głosem mojej pani w pieśni miłosnej, oraz Eroda, który opowiada nam o wolności. Jego twarz przy tym jaśnieje. Okna z koronkowego kamienia i fioletowego szkła odgradzają nas od nocy. Nie twierdzę, że chętnie bym wróciła. Wolałabym umrzeć, niż wrócić do Shomeke. Wolałabym umrzeć, niż opuścić ten wolny świat i wrócić do niewoli. Jednak wszystko, co wiedziałam w młodości o pięknie, miłości i nadziei, znajdowało się właśnie tam.

Tam też wszystko to zostało zdradzone. Wszystko, co jest zbudowane na tym fundamencie, na koniec zdradza samo siebie.

Miałam szesnaście lat, kiedy świat uległ zmianie.

Pierwsza zmiana, o której usłyszałam, nie zainteresowała mnie, ale wprowadziła w podniecenie Geu, Ahasa i kilku innych młodych niewolników. Nawet moja babka chciała o tym usłyszeć, gdy ją odwiedziłam.

– Ta planeta Yeowe, ten świat niewolników wywalczył sobie wolność? – pytała. – Wyrzucili właścicieli? Otworzyli bramy? Mój Boże, słodki Panie Kamye, jakże to możliwe? Niech będzie pochwalone Jego imię, chwała Jego cudom!

Kołysała się w tył i w przód, kucając w kurzu, obejmując rękami kolana. Była teraz starą, pomarszczoną kobietą.

– Opowiedz mi o tym! – poprosiła.

Nie miałam jej wiele więcej do powiedzenia.

– Wszyscy żołnierze wrócili tutaj, a ci inni ludzie, ci ofcy, są na Yeowe. Może zostali nowymi właścicielami? To wszystko dzieje się gdzieś tam – powiedziałam i machnęłam ręką na niebo.

– Jacy znowu ofcy? – spytała babka, ale ja nie wiedziałam. Wszystko to były dla mnie puste słowa.

Kiedy jednak nasz właściciel, pan Shomeke, wrócił do domu chory, wówczas zrozumiałam. Przybył na pokładzie statku powietrznego na nasze małe lotnisko. Widziałam, jak wynoszą go na noszach; błyskały mu białka oczu, a czarna skóra pokryła się szarymi plamami. Umierał na chorobę, która pustoszyła miasta. Moja matka, towarzysząca pani Tazeu, widziała w sieci polityka, który mówił, że ofcy przywlekli tę chorobę na Werel. Pomyśleliśmy, że teraz wszyscy umrzemy. Kiedy powiedziałam o tym Geu, prychnął lekceważąco:

– Po pierwsze, nie ofcy, tylko obcy, ale oni nie mają z tym nic wspólnego. Mój pan rozmawiał z lekarzami. To tylko nowa odmiana robaka ropnego.

Już sama ta choroba była wystarczająco okropna. Wiedzieliśmy, że każdy pracownik, u którego ją wykryto, był szlachtowany na miejscu jak zwierzę, a trupa palono.

Właściciela nie zaszlachtowano. W Domu zaroilo się od lekarzy, a pani Tazeu spędzała dzień i noc przy łóżku męża. To była okrutna śmierć, przeciągała się w nieskończoność. Cierpiący pan Shomeke potwornie wrzeszczał i zawodził. Kto by pomyślał, że umierający człowiek może krzyczeć całymi godzinami tak jak on. Jego ciało pokryło się wrzodami i opadało, Shomeke oszalał, ale nie umarł.

W miarę jak pani Tazeu upodabniała się do cienia, chudła i stawała się coraz bardziej

milcząca, w Eroda wstępowały nowe siły i podniecenie. Czasami, kiedy słyszał wycie ojca, w jego oczach zapalał się nowy blask.

– O Pani Tual, miej nad nim litość – szeptał, ale najwyraźniej karmił się krzykami konającego. Od Geu i Ahasa, którzy wychowali się razem z Erodem, wiedziałam, że ojciec przesładował syna, pogardzał nim, a Erod ślubował, że będzie zupełnie kimś innym niż jego ojciec i zlikwiduje wszystko, co pan Shomeke zrobił.

Jednak to pani Tazeu położyła kres cierpieniom męża. Pewnej nocy odesłała pomocników, jak to często czyniła, i usiadła przy konającym. Gdy zaczął zawodzić, wyjęła mały nóż krawiecki i poderżnęła mu gardło. Następnie podcięła sobie żyły na rękach, położyła się obok męża i umarła. Moja matka przez całą noc znajdowała się w sąsiednim pokoju. Powiedziała, że cisza ją trochę zdziwiła, ale zasnęła ze zmęczenia, a rano weszła do sypialni i znalazła małżonków leżących w zakrzepłej krwi.

Chciałam tylko opłakiwać moją panią, ale w domu zapanował chaos. Lekarze oświadczyli, że wszystkie sprzęty z pokoju chorego muszą zostać spalone, ciała także należy niezwłocznie wydać na pastwę ognia. Dom objęto kwarantanną, toteż tylko domowi kapłani mogli odprawić pogrzeb. Nikomu nie wolno było opuszczać posiadłości przez dwadzieścia dni. Mimo to kilku lekarzy odeszło na wieść o tym, co Erod zamierzał zrobić. Powiedział mi o tym Ahas, ale byłam tak pogrążona w żalu, że nie zwróciłam na to uwagi.

Wieczorem wszyscy pracownicy domowi zebrali się przed kaplicą pani podczas uroczystości pogrzebowych, by słuchać pieśni i modłów. Panowie i kastraci-wyzwolenicy przyprowadzili ludzi z osady, którzy stali za nami. Zobaczyliśmy, jak kondukt wychodzi z kaplicy, jak wynoszą białe mary, zapalają stosy pogrzebowe, a w niebo unosi się czarny dym. Zanim jeszcze dym skończył szybować w górę, wyszedł do nas nowy pan Shomeke, Erod.

Stał na niewielkim wzniesieniu za kaplicą i przemówił tak mocnym głosem, jakiego nigdy u niego nie słyszałam. W Domu zawsze szeptał w ciemności. Teraz przemawiał donośnym głosem w pełnym świetle dnia. Stał wyprostowany, czarnoskóry, w białych szatach żałobnych. Nie miał nawet dwudziestu lat.

– Słuchajcie, ludzie – powiedział. – Byliście niewolnikami, a teraz będziecie wolni. Stanowiliście moją własność, ale odtąd będziecie panami swego życia. Dziś rano wysłałem do rządu nakaz wyzwolenia wszystkich pracowników z tej posiadłości, czterysta jedenaście kobiet, dzieci i mężczyzn. Jeśli przyjdziecie do mojego biura, wręcę wam dokumenty. Każdy z was figuruje w tych papierach jako wolny człowiek. Nigdy więcej nie popadniecie w niewolę. Od jutra możecie robić, co się wam żywnie podoba. Każdy z was dostanie pieniądze na rozpoczęcie nowego życia. Nie będzie to kwota, która wam się należy, ani zapłata za całą waszą pracę dla nas; dostaniecie to, co mam wam do zaoferowania. Opuszczam Shomeke. Udam się do stolicy, gdzie zamierzam pracować na rzecz uwolnienia wszystkich niewolników na Werel. Dzień Wolności, który zawitał na Yeowe, wkrótce przyjdzie i do nas. Każdy, kto pragnie pojechać ze mną, będzie mile widziany! Wszyscy mamy pracę do wykonania!

Pamiętam wszystko, co Erod powiedział. Powtórzyłam jego mowę słowo w słowo. Jeśli człowiek nie czyta i nie ma umysłu zaprzątniętego obrazami z sieci, słowa mówione zapadają głęboko w pamięć.

Gdy Erod skończył mówić, zapadła taka cisza, jakiej nigdy wcześniej nie słyszałam. W

końcu odezwał się jeden z lekarzy, który stwierdził, że Erod nie ma prawa przerywać kwarantanny.

– Zło zostało spalone. – Erod wskazał czarny dym wznoszący się ze stosów. – To było złe miejsce, ale od tej pory już nigdy żadne zło nie wyjdzie z Shomeke!

Po tych słowach stojący za nami ludzie z osady wydali z siebie odgłos, który wezbrał wielką falą okrzyków radości zmieszanych z zawodzeniem, krzykami, wrzaskami i śpiewem.

– Panie Kamy! Panie Kamy! – krzyczeli mężczyźni. W pewnym momencie z tłumu wystąpiła kobieta, w której rozpoznałam moją babkę. Szła między nami, pracownikami Domu, jakbyśmy byli łańcem zboża. Zatrzymała się w sporej odległości od Eroda. Ludzie umilkli, żeby jej posłuchać.

– O panie, czy wyrzucasz nas z naszych domów?

– Nie – odparł Erod. – Domy należą do was. Ta ziemia jest wasza, podobnie jak plony z pól. To jest wasz dom, a wy jesteście wolni!

Po tych słowach ludzie zaczęli wiwatować jeszcze głośniejsze, aż musiałam się skulić i zakryć uszy, ale i ja płakałam i krzyczałam, chwając pana Eroda i Pana Kamy razem z innymi.

Tańczyliśmy i śpiewaliśmy przed płonącymi stosami pogrzebowymi aż do zachodu słońca. W końcu babki i kastraci-wyzwoleńcy nakłonili ludzi do powrotu do osady, mówiąc, że jeszcze nie dostali dokumentów. My, mieszkańcy Domu, ruszyliśmy w drogę powrotną, rozmawiając o jutrze, kiedy mieliśmy otrzymać wolność, pieniądze i ziemię.

Przez cały następny dzień Erod siedział w biurze rachunkowości, gdzie wypisywał dokumenty dla niewolników i odliczał tę samą sumę pieniędzy dla każdego: sto kue w gotówce oraz czek na pięćset kue w banku okręgowym; kwotę tę mogli jednak podjąć dopiero po upływie czterdziestu dni. Erod wyjaśniał każdemu z osobna, że w ten sposób chciał uchronić wyzwolenców przed wykorzystaniem przez ludzi pozbawionych skrupułów, zanim nauczą się właściwie korzystać z pieniędzy. Poradził im, by założyli spółdzielnię, połączyli fundusze i zarządzali gospodarstwem w sposób demokratyczny.

– O Boże, pieniądze w banku! – krzyknął jakiś stary kaleka i zaczął podrygiwać na wykręconych nogach. – Boże, pieniądze w banku!

Erod powtarzał wyzwolencom raz po raz, że jeśli chcą, mogą zaoszczędzić pieniądze i nawiązać kontakt z organizacją Hame, która pomoże im dostać się za te oszczędności na Yeowe.

– O, o, Ye-o-we! – zaintonował ktoś w tłumie, a ludzie zmienili słowa pieśni:

*Wszyscy pojedą,
O, o, Ye-o-we,
Wszyscy pojedą!*

Śpiewali przez cały dzień. Nic nie mogło rozwiać nastroju smutku. Nawet teraz, kiedy przypominam sobie tamtą pieśń i tamten dzień, zbiera mi się na płacz.

Nazajutrz Erod odleciał. Nie mógł się doczekać, aż opuści tę nieszczęsną posiadłość i

rozpocznie nowe życie w stolicy, pracując na rzecz wolności. Nie pożegnał się ze mną. Zabrał ze sobą Geu i Ahasa. Lekarze, ich asystenci i pracownicy odlecieli jeszcze poprzedniego dnia. Patrzyliśmy, jak statek powietrzny Eroda wznosi się w powietrze.

Wróciliśmy do Domu, który wydał nam się martwy. Nie było w nim właścicieli ani panów, nikogo, kto powiedziałby nam, co mamy robić.

Matka i ja spakowałyśmy nasze ubrania. Mało rozmawiałyśmy ze sobą, ale czułyśmy, że nie możemy tam zostać. Słyszałyśmy, jak inne kobiety biegają po bezie, myszkują po pokojach pani Tazeu, przeczesują jej szafy, śmieją się i wrzeszczą z podniecenia, znajdując biżuterię i inne cenne przedmioty. Z holu dobiegały męskie głosy, głosy panów. Bez jednego słowa matka i ja wzięłyśmy dobytek w ręce, wyszłyśmy tylnymi drzwiami, wyslizgnęłyśmy się przez żywopłot i pobiegłyśmy do osady.

Wielka brama osady była otwarta na oścież.

Jak mogę wam powiedzieć, co znaczył dla nas widok tej otwartej bramy? Jak mogę wam powiedzieć?

Zeskra

Erod nie miał pojęcia o zarządzaniu posiadłością, gdyż dotąd zarządzali nią panowie. On także był niewolnikiem. Żył pośród swoich ekranów, marzeń i wizji.

Babki wraz z pozostałymi mieszkańcami osady przez całą noc zastanawiały się nad sposobem zorganizowania naszych ludzi, tak by mogli się bronić. Rankiem, kiedy matka i ja przybyliśmy do osady, zastałyśmy niewolników, którzy strzegli jej, zaopatrzeni w broń sporządzoną z narzędzi rolniczych. Babki i kastraci-wyzwoleńcy wybrali przodownika, silnego, cieszącego się ogólną sympatią pracownika rolnego. Miały dzięki temu nadzieję zatrzymać przy sobie młodych mężczyzn.

Po południu nadzieja ta legła w gruzach. W młodych mężczyzn wstąpił szal. Ruszyli do Domu z zamiarem splądrowania go. Panowie strzelali do nich z okien, wielu zabijając; pozostali uciekli. Panowie zabarykadowali się w domu i pili wino Shomekesów. Okoliczni plantatorzy posyłali im posiłki. Słyszeliśmy, jak statki powietrzne lądują jeden po drugim. Niewolnice, które zostały w Domu, były teraz zdane na łaskę panów.

Co się tyczy nas, mieszkańców osady, znowu zamknęliśmy bramy. Przenieśliśmy potężne sztaby z zewnątrz do środka, więc myślałyśmy, że przynajmniej w nocy będziemy bezpieczne. Jednak o północy przyjechali ciężkimi traktorami, staranowali mur i do środka wpadła co najmniej setka mężczyzn, naszych panów oraz właścicieli ze wszystkich plantacji regionu. Byli uzbrojeni w karabiny. Walczyliśmy z nimi narzędziami rolniczymi i kijami. Jeden czy dwóch napastników zostało rannych lub zabitych. Zabili wielu spośród nas, a potem zaczęli gwałcić kobiety. Trwało to przez całą noc.

Grupa napastników zebrała wszystkie stare kobiety i mężczyzn, których następnie zabili strzałem między oczy, tak jak zabija się bydło. Jedną z ofiar była moja babka. Nie wiem, co się stało z moją matką. Rankiem, kiedy mnie zabierali, nie widziałam żadnych żywych niewolników. Zobaczyłam białe papiery walające się we krwi na ziemi. Akty wyzwolenia.

Kilka dziewcząt i młodych kobiet pozostałych przy życiu zagnano na ciężarówkę i zawieziono na lotnisko. Popychając i szturchając kijami, zmuszono nas do wejścia na pokład statku powietrznego, po czym wzbiliśmy się w powietrze. Nie byłam wtedy przy zdrowych zmysłach. Wszystko, co wiem na ten temat, pochodzi z relacji, które usłyszałam później.

Znalazłyśmy się w osadzie pod każdym względem podobnej do naszej. Sądziłam, że odwieźli nas z powrotem do domu. Kazano nam wejść do środka po drabinie kastratów-wyzwoleńców. Był wczesny ranek, pracownicy wyszli w pole, a w osadzie zostały tylko szczeniaki, babki i paru starszych mężczyzn. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego widzę wokół siebie samych obcych. Szukałam swojej babki.

Stare kobiety marszczyły groźnie brwi, bo wzięły nas za zbiegów. W ciągu ostatnich lat niewolnicy uciekali z plantacji i próbowali dostać się do miast. Babki sądziły, że jesteśmy zbuntowanymi niewolnicami, które sprowadzą na ich głowę kłopoty. Mimo to pomogły nam się umyć i przydzieliły nam miejsce w pobliżu wieży kastratów-wyzwoleńców. Powiedziały, że znalazłyśmy się w posiadłości Zeskra, a one nie mają żadnych wolnych chat. Nie chciały słuchać, co wydarzyło się w Shomeke. Nie chciały nas u siebie. Nie

potrzebowały naszych kłopotów.

Spałyśmy na ziemi pod gołym niebem. Kilku niewolników przekroczyło w nocy rów i zgwałciło nas, ponieważ nie było nic, co mogło ich powstrzymać; dla nikogo nie stanowiłyśmy żadnej wartości. Byłyśmy zbyt słabe, by z nimi walczyć. Jedna z nas, Abye, próbowała. Mężczyźni zbili ją do nieprzytomności. Rano nie mogła mówić ani chodzić. Kiedy panowie przyszli po nas, Abye zostawiono w osadzie, a oprócz niej jeszcze jedną dziewczynę, potężnej budowy pracownicę rolną z białymi bliznami na głowie, które wyglądały jak przedziałki we włosach. Kiedy odchodziłyśmy, rozpoznałam w niej moją dawną przyjaciółkę Walsu. Nie poznałyśmy się wcześniej. Siedziała na ziemi z opuszczoną głową.

Pięć z nas zabrano z osady do kwater niewolników w Wielkim Domu Zeskra. W moje serce wstąpiła na chwilę nadzieja, gdyż potrafiłam być dobrą pracownicą domową. Nie wiedziałam, jak bardzo Zeskra różni się od Shomeke. Dom w Zeskrze był pełen ludzi, pełen właścicieli i panów. Mieszkała tu liczna rodzina, nie tylko jeden właściciel, jak w Shomeke, ale kilkunastu, wraz z domownikami, krewnymi i gośćmi. W sumie stronę dla mężczyzn zajmowało trzydziestu czy czterdziestu mieszkańców, a bezę tyle samo kobiet. Do tego należało doliczyć służbę, co najmniej pięćdziesiąt osób. Przeprowadzono nas tu nie w charakterze niewolnic, ale jako nałożnice.

Po kąpieli zostawiono nas w kwaterze nałożnic, jednym dużym, wspólnym pokoju. Mieszkało tam już co najmniej dziesięć nałożnic. Te, które lubiły swoją pracę, skrzywiły się na nasz widok, ponieważ uznały nas za rywalki; inne powitały nas z radością, licząc na to, że zajmiemy ich miejsce, a one będą mogły zasilić szeregi służby domowej. Jednak żadna z kobiet nie odnosiła się do nas wrogo, a niektóre okazały się wręcz miłe. Dały nam ubrania, ponieważ przez cały czas stałyśmy nago, i pocieszyły najmłodszą z nas, Mio, dziesięcioletnią dziewczynę z osady, której białe ciało pokrywały brunatno-niebieskie sińce.

Jedną z nałożnic była wysoka kobieta zwana Sezi-Tual. Spojrzała na mnie ironicznie. Miała w sobie coś takiego, co obudziło we mnie duszę.

– Nie jesteś brudaską – stwierdziła. – Jesteś czarna jak sam stary Pan Diabeł Zeskra. Jesteś dzieckiem jakiegoś pana, prawda?

– Nie, proszę pani – odparłam. – Jestem dzieckiem właściciela. Mam na imię Rakam.

– Twój dziadek nie traktował cię ostatnio jak należy – powiedziała nałożnica. – Może powinnaś się modlić do Litościwej Pani Tual.

– Nie szukam litości – odparłam. Od tej pory Sezi-Tual polubiła mnie i otoczyła opieką, której bardzo potrzebowałam.

Prawie co noc posyłano nas na męską stronę domu. Po przyjęciu, kiedy damy opuszczały salę, wprowadzano nas, nałożnice. Siadałyśmy właścicielom na kolanach i piłyśmy z nimi wino. Potem wykorzystywali nas na kanapach albo zabierali do pokojów. Mężczyźni z Zeskry nie byli okrutni. Niektórzy lubili gwałcić, ale większość wołała uważać, że ich pożądamy i chcemy tego samego co oni. Takich mężczyzn można było zaspokoić: pierwszy rodzaj przez okazanie lęku lub uległości, a drugi przez okazanie rozkoszy i oddania. Wśród gości był jednak jeszcze inny rodzaj mężczyzn.

W posiadłości nie przewidywano żadnej kary dla człowieka, który okaleczył lub zabił nałożnicę. Jej właścicielowi mogło się to nie podobać, ale duma nie pozwalała mu na przyznanie się do tego. Powinien posiadać tylu pracowników, że strata tego czy tamtego

nie miała najmniejszego znaczenia. Dlatego pewni mężczyźni, którzy czerpali przyjemność z tortur, przyjeżdżali do gościnnych posiadłości w rodzaju Zeskry. Sezi-Tual, faworyta starego pana, mogła mu się żalić i robiła to, wówczas takich gości nie zapraszano ponownie. A jednak podczas mojego pobytu w Zeskrze Mio została zamordowana przez gościa. Przywiązał ją do łóżka i zaplótł jej na szyi tak ciasny węzeł, że gdy ją wykorzystywał, dziewczyna się udusiła.

Nie powiem już nic więcej na ten temat. Opowiedziałam już wszystko, co musiałam. Istnieją prawdy, które nie są pożyteczne. Moja przyjaciółka stwierdziła, że cała wiedza ma charakter lokalny. Czy jest to prawdą, gdzie jest to prawdą, że to dziecko musiało zginąć w ten sposób? Czy prawdą jest, gdzie jest to prawdą, że nie musiała zginąć w ten sposób?

Często brał mnie pan Yaseo, mężczyzna w średnim wieku, który lubił moją ciemną skórę i nazywał mnie „moją panią”. A także „rebeliantką”, ponieważ to, co się stało w Shomeke, nazywali rebelią niewolników. W noc, kiedy po mnie nie posyłał, służyłam innym.

Przebywałam w Zeskrze od dwóch lat, kiedy pewnego ranka odwiedziła mnie Sezi-Tual. Od pana Yaseo wróciłam późno w nocy. Nie było tam wielu innych kobiet, gdyż poprzedniej nocy odbywała się libacja, na którą wezwano wszystkie dziewczyny. Sezi-Tual mnie obudziła. Miała dziwnie zmierzwione włosy. Przypominam sobie jej twarz pochyloną nade mną.

– Rakam – szepnęła. – Zeszłej nocy jeden z pracowników gościa dał mi to. Powiedział, że nazywa się Suhame.

– Suhame – powtórzyłam. Byłam śpiąca. Zobaczyłam, co wyciągała w moją stronę: brudną, pogniecioną kartkę papieru. – Nie umiem czytać! – powiedziałam niecierpliwie i ziewnęłam.

Wystarczył jeden rzut oka, by rozpoznać papier. Był to mój akt wyzwolenia. Widziałam, jak pan Erod wypisuje na nim moje imię. Za każdym razem, kiedy wypisywał imię, wymawiał je na głos, żebyśmy wiedzieli, co pisał. Pamiętałam zamaszysty zawijas pierwszej litery mojego imienia i nazwiska: Radosse Rakam. Wzięłam dokument w drżącą dłoń.

– Skąd to masz?

– Lepiej spytaj tego Suhame – odparła Sezi-Tual. W tym momencie zrozumiałam, że imię to znaczyło „z Hame”. To było imię-hasło, o czym Sezi-Tual również wiedziała. Nie spuszczać ze mnie wzroku, pochyliła się nagle, przytknęła czoło do mojego, a oddech uwiązał jej w gardle. – Pomogę ci, jeśli tylko będę mogła – szepnęła.

Spotkałam się z „Suhame” w jednej ze spiżarni. Poznałam go natychmiast: to Ahas, który, obok Geu, był faworytem Eroda. Niepozorny, milczący młody człowiek o matowej skórze nigdy nie zajmował wiele miejsca w moich myślach. Miał czujne oczy, a ja sądziłam, że kiedy rozmawialiśmy z Geu, Ahas przyglądał się nam z wrogością. Teraz patrzył na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, czujnym, a przy tym pustym.

– Dlaczego przyjechałeś tu z panem Boebą? – zapytałam. – Czyżbyś nie był wolny?

– Jestem tak samo wolny jak ty – odparł.

Nie zrozumiałam wtedy, co miał na myśli.

– Pan Erod cię nie ochronił? – zapytałam.

– Owszem, jestem wolnym człowiekiem. – Twarz Ahasa się ożywiła, tracąc wyraz martwej pustki, jaki przybrała, kiedy mnie zobaczył. – Członkiem społeczności Boeba.

Pracuję w Hame. Próbuję odszukać ludzi z Shomeke. Słyszeliśmy, że kilka kobiet przebywa tutaj. Czy pozostałe kobiety żyją, Rakam?

Mówił cicho, a kiedy usłyszałam swoje imię, zaparło mi dech w piersiach i poczułam dławienie w gardle. Wymówiłam jego imię, podeszłam i objęłam go.

– Ratual, Ramayo, Keo są ciągle tutaj – powiedziałam. Ahas przytulił mnie delikatnie. – Walsu znajduje się w osadzie, o ile jeszcze żyje – dodałam i wybuchnęłam płaczem. Nie płakałam od śmierci Mio. Ahas też miał łzy w oczach.

Rozmawialiśmy, zarówno wtedy, jak i później. Ahas wyjaśnił mi, że w świetle prawa istotnie byliśmy wolni, ale prawo nic nie znaczyło w posiadłościach. Rząd nie zamierzał wtrącać się w sprawy właścicieli i ludzi, których oni uważali za swoich pracowników. Gdybyśmy zaczęli ubiegać się o swoje prawa, Zeskranie przypuszczalnie by nas zabili, ponieważ uważali nas za skradzione dobro i nie chcieli okryć się wstydem. Bezpieczni mogliśmy być tylko wtedy, gdyby udało nam się uciec i dostać do miasta, do stolicy.

Musieliśmy się upewnić, że żaden z zeskrańskich pracowników nas nie zdradzi, powodowany zazdrością albo chęcią przypodobania się panom. Sezi-Tual była jedyną osobą, do której miałam pełne zaufanie.

Ahas zorganizował naszą ucieczkę przy pomocy Sezi-Tual. Błagałam ją, żeby uciekła z nami, ale uznała, że z powodu braku dokumentów będzie musiała stale się ukrywać, a to byłoby gorsze niż życie w Zeskrze.

– Mogłabyś polecieć na Yeowe – powiedziałam.

– O Yeowe wiem tylko tyle, że nikt stamtąd nigdy nie wrócił – odparła ze śmiechem. – Po cóż miałabym uciekać z jednego piekła do drugiego?

Ratual postanowiła, że z nami nie ucieknie; pozycja faworyty jednego z młodych panów całkowicie ją zadowalała. Ramayo, najstarsza z naszej grupy z Shomeke, oraz Keo, która miała teraz około piętnastu lat, chciały uciec z nami. Sezi-Tual poszła do osady, gdzie dowiedziała się, że Walsu żyje i pracuje w polu. Zorganizowanie jej ucieczki okazało się znacznie trudniejsze niż naszej. Z osady się nie uciekało. Walsu mogła uciec tylko w biały dzień, z pola, na oczach nadzorcy i pana. Nawet rozmowa z nią była utrudniona z powodu nieufności babek. Jednak Sezi-Tual zdołała dotrzeć do Walsu, która powiedziała jej, że „zrobi wszystko, by „znowu zobaczyć swój dokument”.

Statek powietrzny pani Boeby czekał na nas na skraju wielkiego pola gede, które właśnie zostało zżęte. Było późne lato. Ramayo, Keo i ja wyszliśmy z domu oddzielnie, o różnych porach świtu. Nikt nas bacznie nie obserwował, ponieważ nie miałyśmy dokąd pójść. Zeskra leży pośród innych wielkich posiadłości, gdzie zbiegły niewolnik nie mógł liczyć na znalezienie przyjaciół na przestrzeni setek kilometrów. Jedna po drugiej, wybierając inne drogi, przeszliśmy przez pola i lasy; kuląc się i kryjąc, dotarliśmy do statku powietrznego, gdzie czekał na nas Ahas. Serce waliło mi z taką siłą, że nie mogłam oddychać. Czekałyśmy na Walsu.

– Tam! – krzyknęła Keo, która przycupnęła na skrzydle statku. Wskazywała ręką rozległe rżysko.

Walsu wybiegła spomiędzy drzew na przeciwległym krańcu pola. Biegła ociężale, miarowo, wcale nie jak przestraszony człowiek. Nagle się zatrzymała i odwróciła. Przez chwilę nie wiedziałyśmy dlaczego. Potem zobaczyłyśmy, jak z cienia drzew wybiega dwóch mężczyzn, którzy ją ścigali.

Nie uciekła przed nimi, bo nie chciała naprowadzić prześladowców na nasz ślad. Pobiegła

prosto na nich. Skoczyła na mężczyzn jak kot myśliwski. Jeden z nich zaczął strzelać. Padając, pociągnęła za sobą napastnika. Drugi strzelał raz po raz.

– Szybko, do środka! – rozkazał Ahas.

Wdrapałyśmy się na pokład statku, który wzbił się w powietrze w tym samym momencie, kiedy Walsu zrobiła swój ostatni wielki skok i także wzniosła się w górę – ku śmierci, ku wolności.

Miasto

Wsunęłam swój akt wolności do małego futerału. Nie wypuszczałam go z ręki podczas lotu statkiem ani kiedy wylądowaliśmy i pojechaliśmy miejską komunikacją ulicami miasta. Kiedy Ahas odkrył, co ściskam w dłoni, powiedział, że nie muszę się martwić. Odpis naszego aktu wyzwolenia znajduje się w siedzibie rządu i tu, w mieście, będzie honorowany. Oświadczył, że jesteśmy wolnymi ludźmi. Zostałyśmy gareotami, czyli właścicielkami, które nie posiadają pracowników.

– Tak samo jak Erod – wyjaśnił Ahas, ale to nic dla mnie nie znaczyło. Tak wiele musiałam się nauczyć. Nie wypuszczałam z rąk aktu wyzwolenia, dopóki nie znalazłam bezpiecznego miejsca, gdzie mogłam go złożyć. Mam ten dokument do dzisiaj.

Przeszliśmy kawałek ulicami, po czym Ahas wprowadził nas do jakiegoś wielkiego budynku. Nazwał go osiedlem, ale my uznałyśmy, że musi to być dom właściciela. Powitała nas kobieta w średnim wieku. Miała bladą cerę, ale mówiła i zachowywała się jak właścicielka. Przedstawiła się jako Ress, kobieta wynajęta, a zarazem nadzorująca dom.

Ludzie wynajęci byli pracownikami, których właściciele wynajmowali różnym firmom. Jeżeli zatrudniała ich duża firma, mieszkali w należącym do niej osiedlu, ale w mieście było wielu wynajętych ludzi pracujących dla małych przedsiębiorstw, którymi sami zarządzali. Tacy ludzie mieszkali w domach, które utrzymywali dla zysku, tworzących tak zwane osiedla otwarte. Lokatorzy takich domów musieli przestrzegać godzin, drzwi zamykano na noc, ale na tym środki ostrożności się kończyły; władzę sprawował samorząd. To było właśnie takie osiedle utrzymywane przez Społeczność. Mieszkali tu ludzie wynajęci, ale znaczną część stanowili gareoci, którzy, podobnie jak my, byli kiedyś niewolnikami. Ponad sto osób zajmowało czterdzieści mieszkań. Nadzór sprawowało kilka kobiet, które ja nazwałabym babkami, ale tutaj nosiły miano nadzorczyń.

W posiadłościach położonych w głębi kraju, hen, w mrokach przeszłości, gdzie życie było chronione przez wiele kilometrów lądu, wielowiekową tradycję oraz zapiekłą ignorancję, każdy pracownik był całkowicie zdany na łaskę właściciela. I oto przybyłyśmy stamtąd do tego dwumilionowego tłumu ludzi, gdzie nikt i nic nie było chronione, gdzie musiałyśmy możliwie najszybciej nauczyć się sztuki przetrwania, a nasze życie było w naszych rękach.

Nigdy wcześniej nie widziałam ulicy. Nie potrafiłam przeczytać jednego słowa. Musiałam się wiele nauczyć.

Ress uzmysłowiła mi to natychmiast. Była kobietą z miasta, myślała równie szybko, jak mówiła, była niecierpliwa, agresywna, wrażliwa. Przez długi czas nie mogłam jej zrozumieć ani polubić. Czułam się przy niej głupia i powolna. Często wzbudzała we mnie gniew.

Od czasu przybycia do miasta zagościł we mnie gniew. Kiedy mieszkałam w Zeskrze, nie odczuwałam gniewu. Nie mogłam sobie na to pozwolić, ponieważ gniew by mnie zjadł. W mieście było miejsce na gniew, ale nie znalazłam dla niego zastosowania. Żyłam z gniewem w milczeniu. Keo i Ramayo dzieliły wspólny pokój, ja zajmowałam pokoik tuż obok. Nigdy wcześniej nie miałam własnego pokoju. Początkowo czułam się w nim samotna i jakby zawstydzona, lecz z czasem go polubiłam. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam

z własnej, nieprzymuszonej woli, jako wolna kobieta, było zamknięcie drzwi.

Wieczorem zamykałam drzwi i oddawałam się nauce. Przed południem miałyśmy praktyki, po południu lekcje czytania, pisania, arytmetyki, historii. Praktyki odbywałam w małym warsztacie, gdzie z papieru i cienkich deseczek wytwarzało się pudełka na kosmetyki, słodczyce czy biżuterię. Uczyłam się rozmaitych sposobów wytwarzania i ozdabiania pudełek. W mieście przeważającą część pracy wykonywali rzemieślnicy. Sklep należał do członka Społeczności, starszymi pracownikami byli ludzie wynajęci. Po ukończeniu szkolenia miałam dostawać pensję.

Do tej pory pan Erod utrzymywał mnie, a także Keo, Ramayo i kilku mężczyzn z osady Shomeke, którzy mieszkali w innym domu. Erod nigdy nie przychodził do nas. Myślę, że nie chciał oglądać ludzi, których uwolnił z tak katastrofalnym skutkiem. Ahas i Geu powiedzieli, że sprzedał większość ziemi w Shomeke, część uzyskanych pieniędzy przekazał Społeczności, a za resztę rozpoczął karierę polityczną, ponieważ powstała Partia Radykalna, która opowiadała się za emancypacją.

Geu odwiedził mnie kilkakrotnie. Został wymuskanym i obytym mieszczaninem. Kiedy na mnie patrzył, czułam, że myśli, iż byłam nałożnicą w Zeskrze, i nie lubiłam się z nim spotykać.

Ahasa, o którym w dawnych czasach wcale nie myślałam, darzyłam teraz podziwem; uważałam, że jest odważny, roztropny i dobry. To on się o nas troszczył, odnalazł i ocalił. Pieniądze wyłożyli właściciele, ale całą pracę wykonał Ahas. Często nas odwiedzał. Stanowił jedyne ogniwo między mną a dzieciństwem.

Poza tym Ahas przychodził jako przyjaciel, towarzysz; nigdy nie wpędzał mnie z powrotem w ciało niewolnicy. Czułam teraz gniew wobec wszystkich mężczyzn, którzy patrzyli na mnie tak, jak mężczyzna patrzy na kobietę. Czułam gniew wobec kobiet, które widziały we mnie obiekt seksualny. Dla pani Tazeu byłam wyłącznie ciałem; w Zeskrze niczym innym nie byłam. Nawet Erod, który mnie nie dotykał, widział we mnie tylko ciało. Ciało do dotykania albo nie do dotykania, wedle gustu. Mogli mnie wykorzystywać albo nie. Nienawidziłam części swojego ciała związanych z płcią, genitaliów, piersi, zaokrąglenia bioder i brzucha. Od dzieciństwa ubierano mnie w miękkie ubrania zaprojektowane tak, by uwydatniały wszystkie seksualne aspekty kobiecego ciała. Kiedy zaczęto mi płacić i mogłam kupować lub szyć własne stroje, ubierałam się w ciężkie, siermiężne rzeczy. Częściami mojego ciała, które darzyłam sympatią, były zręczne w pracy dłonie oraz głowa, niezbyt bystra w nauce, ale ucząca się i tak, niezależnie od tego, jak wiele czasu to zajmowało.

Przedmiotem, który uwielbiałam, była historia. Wychowałam się w ogóle bez historii. W Shomeke i w Zeskrze znano tylko stan faktyczny. Nikt nie wiedział nic o czasach, kiedy świat był inny. Nikt nie słyszał o miejscach, w których mogło być inaczej. Byliśmy niewolnikami teraźniejszości.

Trzeba przyznać, że Erod mówił o zmianie, ale mieli jej dokonać właściciele. My mieliśmy zostać zmienieni, wyzwoleni, jakbyśmy stanowili czyjaś własność. Zauważyłam, że w historii nikt nigdy nie otrzymał wolności; wolność stwarzano.

Pierwszą książką, którą przeczytałam samodzielnie, była historia Yeowe napisana bardzo prostym językiem. Opowiadała o czasach kolonii, o czterech korporacjach, o okropnym pierwszym wieku, kiedy statki zawoziły niewolników na Yeowe, a wracały z cennymi rudami. Niewolnicy byli tacy tani, że w ciągu kilku lat kazano im się

zpracowywać na śmierć w kopalniach, nieustannie dostarczając nową siłę roboczą. „O, o, Yeowe, stamtąd nikt nigdy nie wraca”. Później korporacje zaczęły posyłać niewolnice, żeby pracowały i rozmnażały się. W miarę upływu lat pracownicy wylegali z osad i zakładali wielkie miasta, podobne do tego, w którym mieszkałam. Miastami tymi nie zarządzali jednak panowie czy właściciele, ale pracownicy, podobnie jak my zarządzaliśmy domem Eroda. Na planecie Yeowe pracownicy należeli do korporacji. Mogli wypożyczyć sobie wolność, oddając korporacji część zarobków, podobnie jak dzierżawcy oddawali połowę plonu właścicielom w niektórych częściach Voe Deo. Na Yeowe takich pracowników nazywano ludźmi wyzwolonymi. Nie wolnymi, ale wyzwolonymi. Według historii, którą czytałam, ludzie ci zaczęli się zastanawiać: Dlaczego nie jesteśmy wolni? Zorganizowali rewolucję, nazwaną później wojną wyzwolenczą. Rozpoczęła się na plantacji Nadami, skąd rozprzestrzeniła się na pozostałą część kraju. Walka o wolność trwała trzydzieści lat. Dopiero trzy lata temu przyniosła zwycięstwo; pracownicy wygnali korporacje, właścicieli i panów ze swego świata. Tańczyli i śpiewali na ulicach: wolność, wolność! Książka, którą czytałam (powoli, ale czytałam), została wydrukowana tam, na Yeowe, w Wolnym Świecie. Obcy przywieźli ją na Werel. Dla mnie była to święta księga.

Zapytałam Ahasa, jak obecnie wyglądała sytuacja na Yeowe, a on odparł, że tworzyli rząd i pisali doskonałą konstytucję, która miała uczynić wszystkich ludzi równymi wobec prawa.

W wiadomościach w sieci mówili, że mieszkańcy Yeowe walczą między sobą, nie ma rządu, ludzie głodują, dzikie plemiona w głębi lądu i bandy młodzieży w miastach panoszą się bezkarnie, prawo i porządek legły w gruzach. Padały określenia w rodzaju: korupcja, ignorancja, poroniona próba, ginący świat.

Ahas powiedział, że rząd w Voe Deo, który prowadził i przegrał wojnę przeciwko Yeowe, obawiał się teraz ruchu wyzwolenczego na Werel.

– Nie wierz w to, co mówią w wiadomościach – poradził mi. – A już za żadne skarby nie wierz w wiadomości prawie realne. Nawet ich nie włączaj. To kupa kłamstw, kiedy jednak coś zobaczysz, uwierzysz. Oni o tym dobrze wiedzą. Jeśli zawładną naszymi umysłami, nie będą potrzebowali broni.

Powiedział też, że właściciele nie mieli na Yeowe reporterów ani kamer, ale wymyślali „wiadomości”, wykorzystując do tego aktorów. Tylko niektórzy spośród obcych z Ekumeny mieli prawo wjazdu na Yeowe, a Yeowańczycy debatowali, czy powinni ich odesłać i świat, który sobie wywalczyli, zatrzymać wyłącznie dla siebie.

– Ale co w takiej sytuacji stanie się z nami? – zapytałam, ponieważ zaczęłam już marzyć o tym, że polecę do wolnego świata, kiedy organizacja Hame będzie mogła wynajmować statki i posyłać tam ludzi.

– Niektórzy Yeowańczycy uważają, że pracownicy mogą przylecieć do ich świata. Inni oponują, twierdząc, że nie zdołają wykarmić tak wielu ludzi i planeta ulegnie przeludnieniu. W tej sprawie toczy się na Yeowe demokratyczna debata. Wkrótce, podczas pierwszych wyborów, zostanie podjęta decyzja.

Ahas również marzył o udaniu się na Yeowe. Rozmawialiśmy o naszym marzeniu tak, jak kochankowie rozmawiają o swojej miłości.

Jednak żadne statki nie leciały na Yeowe. Organizacja Hame nie mogła działać otwarcie, a Społeczność nie miała prawa działać w jej imieniu. Ekumena zaoferowała miejsce na swoich statkach każdemu, kto chciał polecieć, ale rząd w Voe Deo zabronił jej

korzystania w tym celu z portów lotniczych. Statki Ekumeny mogły przewozić wyłącznie Ekumenów. Żaden Werelianin nie miał prawa opuszczać Werel.

Dopiero przed czterdziestoma laty Werel zezwoliła w końcu obcym na lądowanie i utrzymywanie kontaktów dyplomatycznych. Lektura książek historycznych pozwalała mi zrozumieć w pewnym stopniu ludzi, którzy dominowali na Werel. Czarnoskóra rasa, która podbiła wszystkie pozostałe ludy Wielkiego Kontynentu, a w końcu cały świat, ci, którzy nazywali siebie właścicielami, żyli w przekonaniu, że istnieje tylko jeden sposób na życie. Wierzyli, że są tacy, jacy ludzie powinni być, robią to, co ludzie robić powinni, i znają całą prawdę. Wszystkie inne ludy na Werel, nawet jeśli stawiały opór agresorom, naśladowały ich, próbowały stać się nimi i w ten sposób zostały ich własnością. Kiedy z nieba spłynął lud, który wyglądał inaczej, inaczej postępował, posiadał inną wiedzę i nie pozwolił się podbić ani ujarzmić, właściciele nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Musiało upłynąć czterysta lat, zanim przyznali, że mają sobie równych.

Stałam w tłumie na wiecu Partii Radykalnej, na którym Erod przemawiał pięknie jak zawsze. W pewnej chwili zauważyłam kobietę, która stała obok mnie i słuchała. Skórę miała w dziwnym pomarańczowobrazowym kolorze jak skórka owocu pini, a w kącikach jej oczu błyskały białka. Pomyślałam, że jest chora, przypomniałam sobie o ropnym robaku, o tym, jak skóra pana Shomeke zmieniła kolor, a w oczach pokazały się białka. Wstrząsnął mną dreszcz i wycofałam się. Nieznajoma zerknęła na mnie, uśmiechnęła się nieznacznie, po czym znowu skierowała uwagę na mówcę. Jej kręcone włosy przypominały krzew lub chmurę, podobnie jak włosy Sezi-Tual. Miała na sobie strój z delikatnego materiału o dziwnym kroju. Powoli uzmysłowiłam sobie, kim jest ta kobieta i że przybyła tutaj z niewyobrażalnie odległego świata. Najbardziej cudowny wydał mi się fakt, że pomimo dziwnej skóry, oczu i włosów była ludzką istotą, podobnie jak ja. Nie miałam co do tego wątpliwości, czułam to. Po chwili zakłopotania ogarnęła mnie wielka ciekawość, niemal tęsknota; coś mnie ciągnęło do tej kobiety. Pragnęłam ją poznać, dowiedzieć się od niej wszystkiego.

Dusza właścicielki walczyła we mnie z wolną duszą, i tak miało być przez całe życie.

Keo i Ramayo przestały chodzić do szkoły, kiedy nauczyły się pisać, czytać i korzystać z kalkulatora, ale ja nadal się uczyłam. Gdy szkoła w Hame nie miała mi już nic do zaoferowania, nauczyciele pomogli mi wyszukać kursy w sieci. Chociaż rząd sprawował kontrolę nad tymi kursami, w sieci spotykali się dobrzy nauczyciele i uczniowie z całego świata, którzy dyskutowali o literaturze, historii, nauce i sztuce. Mnie nigdy nie było dość historii.

Ress, która należała do Hame, zabrała mnie do biblioteki w Voe Deo. Ponieważ dostęp do niej mieli wyłącznie właściciele, biblioteka była wolna od cenzury rządowej. Bibliotekarze, pod takim czy innym pretekstem, nie wpuszczali wyzwolonych pracowników o jasnej skórze. Ja miałam ciemną cerę, a w mieście nauczyłam się nosić z obojętną dumą, która oszczędzała mi wielu obelg i zaczepiek. Ress poradziła mi, żebym weszła do biblioteki takim krokiem, jakbym była jej właścicielką. Tak też uczyniłam i bez przeszkód korzystałam ze wszystkich przywilejów. Zaczęłam czytać, swobodnie wybierając tytuły z olbrzymiego księgozbioru. Lektura stała się moją radością, jądrem wolności.

Oprócz pracy w warsztacie, która przynosiła mi spore zyski, była przyjemna i odbywała się w miłym towarzystwie, oprócz nauki i czytania nic nie było w moim życiu. Nie

pragnęłam niczego więcej. Byłam samotna, ale uważałam, że samotność nie jest zbyt wygórowaną ceną, którą należało zapłacić za to, czego chciałam.

Ress, której kiedyś nie lubiłam, odnosiła się do mnie przyjaźnie. Chodziłam z nią na zebrania Hame, a także na przedstawienia, z których nic bym nie zrozumiała bez jej tłumaczenia.

– Chodź, gamoniu – mawiała. – Musimy doksztalcić tego szczeniaka z plantacji. – Zabierała mnie do teatru makilów albo do sal tanecznych pracowników, gdzie grano dobrą muzykę. Ress zawsze chciała tańczyć. Pozwalałam, żeby mnie uczyła, ale taniec nie sprawiał mi wielkiej przyjemności. Pewnej nocy, kiedy tańczyłyśmy wolny taniec, Ress zaczęła mnie tulić, a spojrzawszy w jej twarz, zobaczyłam łagodną i pustą maskę seksualnego pożądania. Wyszwoleciłam się z objęć partnerki.

– Nie mam ochoty na taniec – powiedziałam.

Wróciłyśmy do domu piechotą. Ress weszła za mną na górę do mojego pokoju, a przed drzwiami próbowała mnie pocałować i przytulić. Byłam wściekła.

– Nie chcę tego! – krzyknęłam.

– Przepraszam cię, Rakam – powiedziała tak łagodnym tonem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszałam. – Wiem, jak musisz się czuć, ale powinnaś to przezwyciężyć; musisz mieć własne życie. Nie jestem mężczyzną i pragnę cię.

– Pewna kobieta wykorzystała mnie, zanim zrobił to mężczyzna – przerwałam jej. – Nie pytałaś mnie, czy ja ciebie pragnę! Nigdy więcej nie pozwolę się wykorzystywać!

Wściekłość i rozgoryczenie trysnęły ze mnie jak trucizna z zakażonej rany. Postanowiłam, że jeśli Ress jeszcze raz spróbuje mnie dotknąć, zrobię jej krzywdę. Zatrzasnęłam jej drzwi przed nosem. Dygocząc na całym ciele, usiadłam przy biurku i zaczęłam czytać książkę, która leżała na nim otwarta.

Nazajutrz obie czułyśmy się zawstydzone i skrępowane. Okazało się jednak, że Ress mimo swojej miejskiej porywczowości i gruboskórności potrafi być cierpliwa. Nie próbowała już się ze mną kochać, ale zaskarbiła sobie moje zaufanie i skłoniła mnie do rozmawiania z nią w taki sposób, w jaki nie potrafiłam rozmawiać z nikim innym. Słuchała uważnie, a potem podzieliła się ze mną przemyśleniami.

– Wszystko opacznie zrozumiałaś, mój gamoniu – powiedziała. – Nic dziwnego, jakim cudem miałabyś to zrozumieć właściwie? Myślisz, że seks jest czymś, co się tobie robi, ale to nieprawda. Seks jest czymś, co robisz razem z drugą osobą. Nie robisz tego komuś. Ty nigdy nie zaznałaś seksu, tylko gwałtu.

– Pan Erod powiedział mi to już dawno temu – odparłam z goryczą. – Nie obchodzi mnie, jak to się nazywa. Mam tego dość. Z radością obejdę się bez seksu przez resztę życia.

– Mówisz coś takiego w wieku dwudziestu dwóch lat? – spytała Ress, wykrzywając twarz w grymasie. – Może chcesz tak żyć przez pewien czas. Skoro ci z tym dobrze, świetnie. Ale przemyśl to, co ci powiedziałam. To zbyt ważny aspekt życia, żeby go odrzucać.

– Jeżeli poczuję, że nie mogę się obejść bez seksu, sama potrafię się zaspokoić – oświadczyłam, nie dbając o to, czy ranię Ress. – Miłość nie ma z tym nic wspólnego.

– Tu właśnie się mylisz – powiedziała Ress, ale ja nie słuchałam.

Postanowiłam, że będę się uczyć od nauczycieli i z książek, które sama wybiorę, ale nie będę słuchać rad, o które nie prosiłam. Nikt nie będzie mi dyktować, co mam robić czy myśleć. Jeżeli miałam się uwolnić, chciałam tego dokonać sama. Byłam jak dziecko, które

po raz pierwszy staje na nogi.

Ahas również udzielał mi rad. Powiedział, że dalsze kontynuowanie nauki jest głupotą.

– Z tak ogromnym zapasem wiedzy książkowej nie zdołasz zrobić nic pożytecznego – mówił. – Tylko folgujesz sobie. Potrzebujemy przywódców i członków organizacji, którzy posiadają umiejętności praktyczne.

– Potrzebujemy nauczycieli!

– Owszem, ale już rok temu wiedziałaś dosyć, by uczyć – odparł. – Na co nam historia starożytna, fakty dotyczące obcych światów? Musimy zrobić rewolucję!

Nie zaprzestałam lektury książek, ale czułam się winna. Zaczęłam pracować w szkole Hame, ucząc niepiśmiennych pracowników i ludzi wyzwolonych, takich jak ja zaledwie przed trzema laty. Była to ciężka praca. Dorosłemu człowiekowi, zmęczonemu po całym dniu pracy, trudno wieczorem czytać. O wiele łatwiej pozwolić, by się zawładnęła twoim umysłem.

Prowadziłam w myślach nieustanny spór z Ahasem, aż wreszcie pewnego dnia zapytałam go:

– Czy na Yeowe jest biblioteka?

– Nie wiem.

– Dobrze wiesz, że nie ma. Korporacje nie zostawiły tam żadnych bibliotek. To byli ciemni ludzie, którzy nie widzieli świata poza zyskiem. Wiedza jest towarem sama w sobie. Stale się uczę, by móc zawieźć swoją wiedzę na Yeowe. Gdybym mogła, zawiozłabym im całą bibliotekę!

– Książki właścicieli mówią tylko o tym, co oni myśleli, co robili – odparł Ahas, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami. – Ludzie na Yeowe tego nie potrzebują.

– Owszem, potrzebują – powiedziałam pewna, że Ahas się myli, chociaż znowu nie potrafiłam stwierdzić dlaczego.

Wkrótce poproszono mnie w szkole, żebym uczyła historii, ponieważ jeden z nauczycieli odszedł. Lekcje przebiegały sprawnie, a ja sumiennie się do nich przygotowywałam. Po pewnym czasie poproszono mnie, żebym wygłosiła wykład przed grupą zaawansowanych studentów. I to także poszło gładko. Ludzie interesowali się ideami, które czerpałam z historii, oraz porównaniami między naszym światem a innymi. Badałam sposoby, w jakie różne ludy wychowują dzieci, kto przyjmuje za nie odpowiedzialność oraz jak ta odpowiedzialność jest rozumiana, bo uważałam, że właśnie w tej sferze lud uwalnia się albo popada w niewolę.

Na jeden z takich wykładów przyszedł człowiek z ambasady Ekumeny. Na widok obcej twarzy wśród słuchaczy zdjął mnie strach. Jeszcze bardziej się przeraziłam, kiedy go poznałam. Mężczyzna ten prowadził w sieci wstępny kurs historii ekumenalnej, na który uczęszczałam. Zawsze pilnie go słuchałam, ale nigdy nie uczestniczyłam w dyskusji. To, czego się nauczyłam, wywarło na mnie wielki wpływ. Kiedy zobaczyłam dawnego wykładowcę na sali, pomyślałam, że mówienie przeze mnie rzeczy, które doskonale znał, uzna za przejaw arogancji. Jąkając się, dobrnęłam do końca wykładu, próbując unikać jego oczu, w których błyskały białka.

Po wykładzie podszedł do mnie, grzecznie się przedstawił, pochwalił wykład i zapytał, czy czytałam pewną książkę. Tak zręcznie i miło wciągnął mnie do rozmowy, że musiałam go polubić. Wkrótce też zdobył moje zaufanie. Potrzebowałam jego przewodnictwa, ponieważ nawet mądrzy ludzie wypisywali i wypowiadali mnóstwo głupstw na temat

równouprawnienia władzy rodzicielskiej mężczyzn i kobiet, od której zależało życie dzieci i wartość ich wykształcenia. Mój dawny nauczyciel podsunął mi tytuły pożytecznych książek, po przeczytaniu których mogłam kontynuować studia na własną rękę.

Nazywał się Esdardon Aya. Zajmował jakieś wysokie stanowisko w ambasadzie. Urodził się na Hain, w Starym Świecie, kolebce ludzkości, skąd wywodzili się wszyscy nasi przodkowie.

Niekiedy myślałam: Jakie to dziwne, że wiem o takich doniosłych, dawnych sprawach. Ja, która do szóstego roku życia nie wiedziałam nic o świecie poza murami osady, a do osiemnastego nie znałam nazwy kraju, w którym żyłam! Niedługo po przybyciu do miasta usłyszałam, jak ktoś mówi o Voe Deo.

– Gdzie to jest? – zapytałam.

Wszyscy wlepili we mnie wzrok. Jakaś kobieta, stara wynajęta kobieta z miasta, odparła:

– Tutaj, brudasko. Właśnie tutaj jest Voe Deo. To jest twój i mój kraj!

Opowiedziałam to zdarzenie Esdardonowi Ai, ale się nie roześmiał.

– Kraj i naród to pojęcia dziwne i bardzo trudne – rzekł.

– Moim krajem była niewola – powiedziałam, a on pokiwał głową.

W tym czasie rzadko widywałam Ahasa. Brakowało mi jego ciepłej przyjaźni, ale doszliśmy do etapu, kiedy Ahas tylko mnie beształ.

– Jesteś nadęta, publikujesz, bez przerwy przemawiasz – mówił. – Postawiłaś się ponad sprawą, o którą walczymy.

– Przecież wygłaszam wykłady przed ludźmi z Hame – tłumaczyłam. – Piszę o rzeczach, które musimy wiedzieć. Wszystko, co robię, robię dla wolności.

– Społeczność nie jest zadowolona z tej twojej ulotki – powiedział Ahas poważnym, mentorskim tonem, jakby powierzał mi sekret, który powinnam znać. – Poproszono mnie, bym ci powiedział, żebyś przedkładała swoje teksty komitetowi, zanim je opublikujesz. Tym pismem kierują zapaleńcy. Hame sprawia niemało kłopotów naszym kandydatom.

– Naszym kandydatom! – powtórzyłam z wściekłością. – Żaden właściciel nie jest moim kandydatem! Czyżbyś wciąż odbierał rozkazy od młodego właściciela?

Te słowa go ubodły.

– Jeżeli będziesz się wywyższać, jeżeli nie będziesz współpracować, sprowadzisz niebezpieczeństwo na nas wszystkich.

– Ja się nie wywyższam, robią to politycy i kapitaliści. Dla mnie na pierwszym miejscu jest wolność. A dlaczego ty nie możesz ze mną współpracować? To działa w obie strony, Ahasie!

Odszedł rozgniewany, pozostawiając mnie rozgniewaną.

Myślę, że brakowało mu mojego uzależnienia od niego. Być może zazdrościł mi też niezależności, ponieważ istotnie pozostał człowiekiem pana Eroda. W głębi serca był lojalny. Klótnia przysporzyła nam obojgu gorzkiego bólu. Bardzo chciałabym wiedzieć, co się z nim stało w burzliwych czasach, które później nastąpiły.

W oskarżeniu Ahasa tkwiło ziarno prawdy. Odkryłam w sobie talent poruszania ludzkich umysłów i serc za pomocą pism i przemówień. Nikt mnie nie uprzedził, że taki talent jest groźny. Ahas twierdził, że się wywyższałam, ale ja wiedziałam, że to nieprawda. Byłam całkowicie oddana służbie prawdzie i wolności. Nikt mi nie powiedział, że cel nie może uświęcać środków, ponieważ tylko Pan Kamye zna cel ostateczny. Mogła

mi to powiedzieć moja babka. Mogła mi o tym przypomnieć księga *Arkamye*, ale nie czytałam jej często, a w mieście nie było starszych mężczyzn, którzy śpiewaliby słowo wieczorami. Nawet gdyby tacy ludzie się znaleźli, zagłuszyłby ich mój piękny głos, który wieścił piękną prawdę.

Sądzę, że nie wyrządziłam żadnej szkody, co najwyżej taką samą jak inni: zwróciłam uwagę władców z *Voe Deo* na fakt, że *Hame* stawiała się coraz bardziej odważna. Partia Radykalna rosła w siłę, dlatego władcom nie pozostało nic innego, jak wystąpić przeciwko nam.

Pierwszą oznaką było stworzenie podziałów. W osiedlach otwartych, zarówno po stronie mężczyzn, jak i kobiet, istniało kilka mieszkań dla par. Fakt ten miał wymiar radykalny, jako że wszelkie formy małżeństw zawieranych między pracownikami były nielegalne. Pracownicy mieli prawo żyć w parach tylko za przyzwoleniem właścicieli i tylko wobec nich musieli być lojalni. Dziecko nie należało do matki, ale do właściciela. Ponieważ jednak *gareoci* mieszkali w tym samym miejscu co pracownicy, mieszkania dla par tolerowano lub ignorowano. Teraz, nieoczekiwanie, zakaz został przywrócony, pary pracowników aresztowano; jeżeli okazało się, że zarabiali pieniądze, obłożono ich grzywną, rozdzielono i wysłano do domów prowadzonych przez przedsiębiorstwo. *Ress* i pozostałe kobiety, które zarządzały naszym domem, ukarano grzywną i ostrzeżono, że w razie kolejnego odkrycia „niemoralnych układów” kobiety zostaną obarczone odpowiedzialnością i wysłane do obozów pracy. Dwoje małych dzieci jednej z par nie figurowało na rządowej liście, dlatego porzucono je, kiedy zabrano ich rodziców. *Keo* i *Ramayo* przyjęły dzieci, które pozostawały pod kuratelą kobiet, jak to zwykle bywało z sierotami w osadach.

Na zebraniach *Hame* i Społeczności toczono na ten temat żarliwe dyskusje. Niektórzy twierdzili, że Partia Radykalna powinna popierać dążenie pracowników do życia razem i wspólnego wychowywania dzieci. Nie zagrażało to bezpośrednio prawu własności, a ponadto mogło przemówić do naturalnych instynktów wielu właścicieli, zwłaszcza kobiet, które nie miały prawa głosu, ale były cennymi sprzymierzeńcami. Inni utrzymywali, że wszelkie afekty muszą ustąpić miejsca lojalności wobec sprawy wyzwolenia, a wszystkie interesy prywatne zejść na drugi plan. Takie stanowisko zajął na zebraniu pan *Erod*. Wstałam, żeby mu odpowiedzieć. Powiedziałam, że nie ma wolności bez wolności seksualnej i dopóki kobietom nie będzie się na to pozwalać, a mężczyźni nie będą gotowi przyjmować odpowiedzialności za swoje dzieci, żadna kobieta, czy to właścicielka, czy pracownica, nie może być wolna.

– Mężczyźni muszą ponosić odpowiedzialność za publiczną stronę życia – rzekł *Erod* – za większy świat, w który wkroczy dziecko, natomiast kobieta za życie domowe, za moralne i fizyczne wychowanie dziecka. Taki podział zaleca bóg i natura.

– Czy wobec tego wyzwolenie kobiety oznacza, że ma ona prawo wejść do bezy i pozwolić się zamknąć po stronie kobiecej?

– Oczywiście, że nie... – zaczął *Erod*, ale mu przerwałam, obawiając się jego miodopłynnej mowy.

– Czym wobec tego jest wolność kobiety? Czy różni się od wolności mężczyzny? Czy też wolny człowiek jest po prostu wolny?

Przewodniczący zebrania gniewnie uderzał laską, ale kilka pracowników podchwyciło moje pytanie.

– Kiedy Partia Radykalna wystąpi w naszym imieniu? – pytały, a jedna ze starszych kobiet zawołała:

– Gdzie są wasze kobiety, wy, właściciele, którzy chcecie znieść niewolnictwo?! Dlaczego nie ma ich tutaj? Nie wypuszczacie ich z bezy?

Przewodniczący grzmocił laską, aż w końcu zdołał zaprowadzić ład. Uczucie triumfu mieszało się w moim sercu z odrazą. Zauważyłam, że Erod i kilku ludzi z Hame patrzy na mnie jak na wicherzycielkę. Moje słowa istotnie nas podzieliły, ale czy nie byliśmy podzieleni już wcześniej?

Wracałam z grupą kobiet ulicami do domu. Rozmawiałyśmy głośno. To były teraz moje ulice, z całym swoim zgiełkiem, światłami i niebezpieczeństwami. Byłam kobietą z miasta, wolną kobietą. Tej nocy to ja byłam właścicielką. Miasto i przyszłość należały do mnie.

Dyskusje trwały nadal. Proszono mnie, żebym przemawiała w wielu miejscach. Kiedy wychodziłam z jednego z takich spotkań, Hain Esdardon Aya podszedł do mnie i powiedział swobodnym tonem, jakby komentował mój wykład:

– Rakam, grozi ci aresztowanie.

Nie zrozumiałam. Odszedł ze mną od ludzi i mówił dalej:

– W ambasadzie dotarła do mnie pewna plotka... Rząd w Voe Deo zamierza zmienić status wyzwolonych pracowników. Nie będzie się was już uważać za gareotów. Każdy z was musi znaleźć sobie właściciela-sponsora.

Była to zła nowina, ale przemyślawszy ją, powiedziałam:

– Myślę, że zdołam znaleźć właściciela, który zgodzi się mnie sponsorować, na przykład pan Boeba.

– Właściciel-sponsor musi zostać zaaprobowany przez rząd... W ten sposób rząd zamierza osłabiać Społeczność, zarówno za pośrednictwem pracowników, jak i należących do niej właścicieli. To niegłupi pomysł – stwierdził Esdardon Aya.

– A co się stanie z nami, jeżeli nie znajdziemy odpowiedniego sponsora?

– Zostaniecie uznani za zbiegów.

Oznaczało to śmierć, obozy pracy lub licytację.

– O Panie Kamye – wyszeptałam i ujęłam Esdardona Ayę pod ramię, ponieważ na oczy opadła mi ciemna zasłona.

Ruszyliśmy przed siebie. Kiedy odzyskałam wzrok, zobaczyłam ulicę, miejskie wieżowce i migotliwe światła, o których sądziłam, że należą do mnie.

– Mam przyjaciół, którzy planują podróż do królestwa Bamburu – powiedział Hain, idąc u mego boku.

– Co miałabym tam robić? – spytałam po chwili.

– Z królestwa Bamburu startuje statek na Yeowe.

– Na Yeowe – powtórzyłam.

– Tak słyszałem – rzekł, jak gdybyśmy rozmawiali o linii autobusowej. – Spodziewam się, że za kilka lat Voe Deo uruchomi połączenie z Yeowe. Statki mogłyby wywozić zbiegów, wicherzycieli, członków Hame. Będzie się to jednak wiązało z uznaniem Yeowe za państwo, na co jak dotąd się nie zdobyli. Rząd w Voe Deo zezwala jednak na półlegalne kontakty handlowe między państwami-klientami... Parę lat temu król Bamburu zakupił jeden ze starych statków korporacji, prawdziwy stary frachtowiec kolonialny. Królowi przyszło na myśl, że odwiedzi księżyc planety Werel, ale ta wizyta go znudziła. Wynajął

więc statek konsorcjum uczonych z uniwersytetu w Bamburze i biznesmenów ze stolicy. Niektórzy przedsiębiorcy z Bamburu używają statku do handlu z Yeowe, a w tym samym czasie naukowcy odbywają w nim wyprawy naukowe. Każda podróż jest oczywiście bardzo droga, dlatego za każdym razem zabierają jak najwięcej naukowców.

Słuchałam jego słów, nie słysząc, a jednak rozumiejąc.

– Jak dotąd, uchodzi im to na sucho – powiedział.

Zawsze mówił cicho, z lekkim rozbawieniem, a jednak bez wyższości.

– Czy Społeczność wie o tym statku? – zapytałam.

– Sądzę, że wiedzą o nim niektórzy członkowie, a także ludzie z Hame. Lecz wiedza o tym statku jest bardzo niebezpieczna. Gdyby w Voe Deo dowiedzieli się, że państwo-klient eksportuje wartościowe towary... Właściwie uważamy, że mogą coś podejrzewać. Dlatego jest to decyzja, której nie można podejmować pochopnie; jest zarówno niebezpieczna, jak nieodwołalna. Właśnie z uwagi na niebezpieczeństwo wahałem się, czy ci o tym powiedzieć. Wahałem się tak długo, że musisz podjąć decyzję bardzo szybko. Musisz ją podjąć tej nocy, Rakam.

Podniosłam wzrok od świateł miasta na niebo, które skrywały.

– Polecę – powiedziałam i pomyślałam o Walsu.

– Dobrze – odparł. Na następnym skrzyżowaniu skręcił w stronę ambasady Ekumeny.

Nigdy nie zastanawiałam się, dlaczego to dla mnie zrobił. Był skrytym człowiekiem, dysponował tajemną władzą, ale zawsze mówił prawdę i podejrzewam, że kiedy tylko mógł, szedł za głosem serca.

Była zimowa noc. Kiedy weszliśmy na teren ambasady, do wielkiego parku spowitego łagodnym światłem niskich latarni, zatrzymałam się.

– Moje książki – powiedziałam. Esdardon Aya spojrzał na mnie pytająco. – Chciałam zabrać swoje książki na Yeowe – wyjaśniłam. Mój głos drżał od tłumionych łez. – Na Yeowe potrzebują książek.

– Każę je przysłać następnym statkiem – powiedział Esdardon Aya po chwili. – Bardzo chciałbym wsadzić cię na ten statek – dodał ściszym głosem. – Ale przecież Ekumena nie może przewozić zbiegłych niewolników na gapę...

Odwróciłam się, ujęłam jego dłoń i na chwilę przytknęłam do niej czoło. Był to jedyny raz w całym moim życiu, kiedy zrobiłam to z własnej, nieprzymuszonej woli.

Esdardon sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– No chodź, chodź – ponaglił mnie.

Ambasada wynajmowała strażników wereliańskich, głównie veotów ze starożytnej kasty wojowników. Jeden z nich, posępny, rycerski, bardzo cichy mężczyzna odprowadził mnie na statek do Bamburu, wyspiarskiego królestwa położonego na wschód od Wielkiego Kontynentu. Strażnik ten miał wszystkie dokumenty, jakich potrzebowałam. Z lotniska zaprowadził mnie do Królewskiego Obserwatorium Kosmicznego, które król wybudował dla swego statku. Tam, bez dalszej zwłoki, wprowadzono mnie na pokład statku, który stał na wielkim rusztowaniu, gotowy do startu.

Wyobrażam sobie, że w przedniej części urządzono wygodne apartamenty dla króla, kiedy postanowił odbyć wyprawę na księżycę. Kadłub statku, który należał do Korporacji Plantacyjnej, nadal składał się z obszernych pomieszczeń na towary z kolonii. W czterech przegrodach kadłubowych, w których dawniej przewożono zboże z Yeowe, teraz znajdowały się maszyny rolnicze wyprodukowane w Bamburze. W piątej przegrodzie

siedzieli pracownicy.

W przegrodzie kadłubowej nie było miejsc siedzących. Na podłodze rozłożono filcowe wykładziny, a my położyliśmy się i zostaliśmy przywiązani pasami do podpór, jakbyśmy byli towarem. Na pokładzie znajdowało się około pięćdziesięciu „naukowców”. Weszłam do statku ostatnia i zostałam przymocowana pasami. Załoga uwijała się jak w ukropie, porozumiewając się tylko w języku bamburskim. Nie rozumiałam wydawanych poleceń. Bardzo potrzebowałam opróżnić pęcherz, ale oni krzyknęli:

– Nie ma czasu! Nie ma czasu!

Leżałam więc w udręce, a członkowie załogi zamknęli wielkie drzwi przegrody, co przywiodło mi na myśl bramę osady w Shomeke. Ludzie leżący wokół mnie nawoływali się w swoim języku. Jakieś dziecko zaczęło krzyczeć w języku, który znałam. Nagle, gdzieś pod nami, rozległ się potężny hałas. Poczułam, jak moje ciało przywiera do podłogi, jakby nadepnięte wielką, miękką stopą, łopatki wbiły się w wykładzinę, zaczęłam dusić się własnym językiem i nagle, z ostrym ukłuciem bólu i gorącej ulgi, pęcherz uwolnił mocz.

Później zaczęliśmy tracić ciężar i unosić się w pasach. Góra stała się dołem, a dół górą, każdy z tych kierunków był jednym i drugim. Słyszałam, jak ludzie wokół mnie ponownie zaczęli się nawoływać. Domyśliłam się, że mówią:

– Nic ci nie jest? U mnie wszystko w porządku.

Dziecko ani na chwilę nie przestało się wydzierać. Zaczęłam szarpać za pasy, ponieważ zobaczyłam, że kobieta, która leżała obok mnie, siada i rozciera ręce i klatkę piersiową w miejscach, gdzie wcześniej krępowały ją pasy. W tym momencie z głośników popłynął donośny głos, wydając rozkazy najpierw w języku bamburskim, a potem w voedezańskim:

– Nie rozpinajcie pasów! Nie próbujcie chodzić po pokładzie! Statek znalazł się pod obstrzałem! Sytuacja jest niezwykle groźna!

Unosiłam się w pasach w obłoczku moczu, słuchałam rozmów otaczających mnie obcych, z których nie rozumiałam ani słowa. Znajdowałam się w skrajnie opłakanym położeniu, a jednocześnie byłam nieustraszona jak nigdy dotąd. Czułam się beztroska, jak gdybym umierała. Głupio byłoby przejmować się czymkolwiek podczas umierania.

Statek poruszał się w dziwny sposób, dygotał, wydawało się, że skręca. Kilku pasażerom zebrało się na mdłości i w powietrzu zaczęły szybować drobne kropelki wymiocin. Uwolniłam dłonie, by zakryć twarz szalem, którego końce związałam za głową.

Zza szala nie widziałam już potężnego sklepienia przegrody, które wznosiło się nade mną lub pode mną; czułam, że za moment poszybuję w górę lub osunę się w dół. Szal pachniał mną, co dodawało mi otuchy. Często nosiłam go, kiedy wygłaszałam wykład. Był uszyty z misternej jasnoczerwonej gazy przetykanej srebrną nitką. Kupiłam go na miejskim targu, płacąc zarobionymi przez siebie pieniędzmi, bo pamiętałam czerwony szal, który matka dostała od pani Tazeu. Wtedy przyszło mi na myśl, że mój szal spodobałby się matce, chociaż nie był taki jaskrawy jak tamten. Teraz leżałam wpatrzona w jasnoczerwony mrok cętkowany światłem sączącym się przez luki i myślałam o mojej matce. Prawdopodobnie zginęła tamtego ranka w osadzie. Może przenieśli ją do innej posiadłości w charakterze nałożnicy, lecz Ahas nigdy nie natrafił na jej ślad. Myślałam o sposobie, w jaki przechylała głowę nieco w bok, z szacunkiem, a jednocześnie czujnie i z wdziękiem. Oczy miała duże i jasne, „oczy, w których świeci siedem księżyców”, jak głosi pieśń. Wtedy pomyślałam: Już nigdy nie zobaczę księżyców.

Ta myśl wprowadziła mnie w tak dziwny nastrój, że dla dodania sobie otuchy i zajęcia

czymś umysłu zaczęłam nucić pod nosem, samotnie, w namiocie z czerwonej gazy – najpierw pieśni wolności, które śpiewaliśmy w Hame, a potem pieśni miłosne, których nauczyła mnie pani Tazeu. Wreszcie zaintonowałam „O, o, Yeowe...”, najpierw cicho, potem nieco głośniej. Ze świata czerwonej mgiełki dopłynął do mnie głos – męski, a potem kobiecy. Wszyscy pracownicy w Voe Deo znają tę pieśń. Zaczęliśmy śpiewać razem. Pewien mężczyzna podjął pieśń w języku bamburskim, inni zawtórowali. Potem śpiew ucichł. Płaczące dziecko powoli się uspokajało. Panował zaduch.

Wiele godzin później, kiedy wreszcie czyste powietrze dotarło do przewodów wentylacyjnych, dowiedzieliśmy się, że jednostka Floty Obrony Kosmicznej Voe Deo wykryła nasz statek tuż nad atmosferą i kazała mu się zatrzymać. Kapitan postanowił zlekceważyć sygnał. Wojenny statek powietrzny wypalił, a chociaż strzał okazał się niecelny, fala uderzeniowa zniszczyła przyrządy sterujące. Statek towarowy leciał dalej, a napastnik zniknął. Od Yeowe dzieliło nas teraz jedenaście dni drogi. Wojenny statek powietrzny – lub ich grupa – mógł się na nas zacząć na Yeowe. Rozkaz zatrzymania uzasadniono „podejrzeniem o przewożenie towarów z kontrabandy”.

Flotę wojennych statków powietrznych powołano do życia przed wiekami, by chronić Werel przed spodziewanymi atakami Obcego Imperium, jak wówczas nazywano Ekumenę. Tak bardzo obawiali się tej zmyślonej inwazji, że całą swoją energię skierowali na rozwój technologii lotów kosmicznych, co zaowocowało kolonizacją Yeowe. Po czterystu latach bez najmniejszej groźby ataku Voe Deo zezwoliła wreszcie Ekumenie na przysłanie emisariuszy i ambasadorów. Podczas wojny wyzwolenczej wykorzystywano flotę obronną do transportu żołnierzy i broni. Teraz używano statków wojennych w taki sposób, w jaki właściciele używali psów i kotów myśliwskich: do polowania na zbiegłych niewolników.

W przegrodzie pokładowej odnalazłam jeszcze dwoje Voedeańczyków, połączyliśmy „pasy łózkowe”, żeby móc rozmawiać. Oboje lecieli do Bamburu na koszt Hame. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że za lot należało zapłacić. Wiedziałam, kto zapłacił za mnie.

– Statkiem kosmicznym nie polecisz za miłość – stwierdziła kobieta. Była dziwna. Firma, która ją zatrudniła, wykształciła ją w dziedzinie chemii, a kobieta przekonała Hame, by wysłała ją na Yeowe, ponieważ jej umiejętności z pewnością znajdą tam zastosowanie. Zarabiała więcej niż wielu gareotów, ale na Yeowe spodziewała się zarabiać jeszcze lepiej. – Będę bogata – oświadczyła.

Mężczyzna, a raczej chłopiec, który pracował jako młynarz w mieście na północy, po prostu uciekł i miał dosyć szczęścia, by spotkać ludzi, którzy ocalili go od śmierci lub obozu pracy. Miał szesnaście lat i był hałaśliwym, zbuntowanym ignorantem o miłym charakterze. Stał się pupilkiem wszystkich pasażerów, jak mały szczeniak. Ja byłam rozrywana, ponieważ znałam historię Yeowe i za pośrednictwem człowieka, który władał obydwojema językami, mogłam opowiedzieć Bamburczykom o planecie, na którą lecieli, o wiekach korporacyjnej niewoli, Nadami, wojnie i wyzwoleniu. Niektórzy z moich współpasażerów byli najmitami z miast, reszta stanowiła grupę niewolników z plantacji, zakupionych na licytacji przez Hame za fałszywe pieniądze i pod fałszywymi nazwiskami. Ci ostatni mieli bardzo mgliste pojęcie o świecie, do którego lecieli. Właśnie ich podstęp zwrócił uwagę Voe Deo na nasz lot.

Młynarczyk Yoke bez końca snuł domysły o sposobie, w jaki powitają nas Yeowańczycy. Opowiadał historię, będącą w połowie żartem, a w połowie marzeniem, o orkiestrach, mowach powitalnych i sutym obiedzie, którym podejmą nas gospodarze. W miarę upływu

czasu obiad stawał się coraz bardziej wystawny. Mijały długie, głodne dni. Unosiliśmy się w bezkształtnej, obszernej przestrzeni przegrody pokładowej, a jedyną odmianę stanowiło jaśniejsze lub ciemniejsze światło co dwanaście godzin oraz dwa posiłki w ciągu „dnia”: jedzenie i woda w tubkach, które wyciskało się prosto do ust. Nie myślałam wiele o tym, co mogło się wydarzyć. Byłam między wydarzeniami. Gdyby statek wojenny wpadł na nasz trop, przypuszczalnie zginęlibyśmy wszyscy. Gdyby udało się nam dotrzeć na Yeowe, rozpoczęlibyśmy nowe życie. Teraz unosiliśmy się w przestrzeni.

Yeowe

Statek wylądował bezpiecznie na lotnisku w Yeowe. Najpierw wyladowano kontenery z maszynami, potem pozostałą część ładunku. Wyszliśmy, słaniając się na nogach, podtrzymując się nawzajem, nie potrafiąc sprostać silnej grawitacji tego nowego świata, który ciągnął nas ku swemu centrum. Oślepiło nas światło słońca, które znajdowało się teraz dużo bliżej niż na Werel.

– Tutaj! Tutaj! – wołał jakiś mężczyzna. Na dźwięk ojczywego języka poczułam wdzięczność, ale Bamburczycy sprawiali wrażenie zaniepokojonych.

Tutaj... tędy... rozbierzcie się... poczekajcie... Po przybyciu do Wolnego Świata słyszeliśmy wyłącznie rozkazy. Musieliśmy się poddać odkażeniu, co okazało się zabiegiem bolesnym i wyczerpującym. Lekarze nas przebadali, a wszystkie przedmioty, które przywieźliśmy ze sobą, zostały odkażone, obejrzane i naniesione na listę. U mnie to nie trwało długo; przywiozłam ze sobą tylko ubranie, które nosiłam od dwóch tygodni. Z radością poddałam się odkażeniu. Wreszcie kazano nam stanąć w kolejce w dużym, pustym magazynie. Na drzwiach wciąż widniał skrót KPY, oznaczający Korporację Plantacji Yeowe. Przed wpuszczeniem do środka każdego z przyjezdnych przesłuchiowano. Mężczyzna, który mnie przesłuchiwał, był niski, blady, w średnim wieku, w okularach, podobny do innych pracowników urzędu, ale ja patrzyłam na niego z szacunkiem. Był pierwszym Yeowańczykiem, z którym rozmawiałam. Zadawał mi pytania z formularza i zapisywał odpowiedzi.

– Czy umie pani czytać?

– Tak.

– Umiejętności?

Po chwili wahania odparłam:

– Nauczanie... Umiem uczyć czytania i historii.

Urzędnik nawet nie podniósł na mnie wzroku. Z radością okazywałam cierpliwość. Ostatecznie Yeowańczycy nie zapraszali nas do siebie. Wpuszczono nas tylko dlatego, żeby uchronić nas przed publiczną egzekucją. Z punktu widzenia królestwa Bamburu stanowiliśmy wartościowy ładunek, ale dla Yeowe byliśmy problemem. Wielu z nas posiadało jednak pewne umiejętności i ucieszyłam się, że o nie zapytali.

Po przesłuchaniach podzielono nas na dwie grupy: mężczyzn i kobiety. Yoke uścisnęła mnie, po czym przeszedł na stronę mężczyzn, zanosząc się od śmiechu i machając do mnie ręką. Stałam razem z kobietami. Patrzyłyśmy, jak mężczyzn prowadzą na pokład wahadłowca, który miał ich zabrać do Starej Stolicy. W tym momencie straciłam cierpliwość, a nadzieja mnie opuściła.

– Panie Kamy! – modliłam się. – Nie tutaj, proszę, niech tutaj tak nie będzie!

Lęk przerodził się w gniew. Kiedy jakiś mężczyzna zbliżył się do nas i znowu zaczął rozkazywać: chodźcie tu, chodźcie tędy, podeszłam do niego i powiedziałam:

– Kim pan jest? Dokąd my idziemy? Jesteśmy wolnymi kobietami!

Był potężnie zbudowany, miał okrągłą, bladą twarz i niebieskawe oczy. Spojrzał na mnie, początkowo wzburzony, ale po chwili się uśmiechnął.

– Owszem, siostrzyczko, jesteście wolne. Ale wszyscy mamy pracę do wykonania, czyż

nie? Wy, damy, jedziecie na południe. Potrzebują ludzi na plantacjach ryżowych. Trochę popracujesz, zarobisz trochę pieniędzy, rozejrzysz się, zgoda? Jeżeli ci się tam nie spodoba, wróc tutaj. Śliczne damulki zawsze się nam przydadzą.

Nigdy wcześniej nie słyszałam yeowańskiego akcentu wiejskiego, miękkiego, śpiewnego, z długimi, wyraźnymi samogłoskami. Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby pracownice nazywano damami. Nikt nigdy nie nazwał mnie siostrzyczką. Kiedy mówił, że kobiety się przydadzą, oczywiście nie miał na myśli tego co ja. Miał jak najlepsze intencje. Oszołomiona, nie powiedziałam ani słowa więcej. Za to chemiczka, Tualtak, powiedziała:

– Słuchaj, nie jestem żadną wieśniaczką, ale naukowcem z długim stażem...

– Och, wy wszyscy jesteście naukowcami – odparł Yeowańczyk z szerokim uśmiechem. – Chodźcie, moje panie! – Ruszył przed siebie, a my za nim. Tualtak nie zamykały się usta, ale Yeowańczyk nie zwracał na nią uwagi.

Zaprowadzono nas do wagonu kolejowego, który stał na bocznicy. Wielkie, jasne słońce właśnie chowało się za horyzont. Całe niebo było pomarańczowe, różowe i pełne światła, a na ziemi kładły się długie czarne cienie. Ciepłe powietrze pełne kurzu pachniało słodko. Kiedy czekałyśmy przed wejściem do wagonu, schyliłam się i podniosłam mały czerwonawy kamyk. Był okrągły, miał maleńką, wyraźną białą pręgą biegnącą przez środek. To był kawałek Yeowe. Trzymałam w dłoni Yeowe. Ten kamyk mam do dzisiaj.

Nasz wagon przetoczono na główny tor i podczepiono do lokomotywy. Kiedy pociąg ruszył, podano nam obiad, zupę z wielkich kotłów, miski słodkiego, ciężkiego ryżu z mokradel oraz owoc pini, który na Werel był luksusem, a tu czymś powszednim. Nie mogłyśmy przestać jeść. Patrzyłam przez okno, jak ostatnie światło niknie za wzgórzami. Wzeszły gwiazdy, ale nie było ani śladu księżyców. Nie miałam ich widzieć nigdy więcej. Za to na wschodzie zobaczyłam Werel, wielką niebieskozieloną gwiazdę, która wyglądała tak samo jak Yeowe oglądana z Werel. Jednak nigdy nie zobaczylibyście Yeowe wschodzącej po zachodzie słońca. Wędrowała za słońcem.

Żyję i jestem tutaj, myślałam. Wędruję za słońcem. Pozwoliłam myślom odpłynąć i zapadłam w sen, kołysana chybotaniem pociągu.

Drugiego dnia podróży wysiadłyśmy z pociągu w mieście nad wielką rzeką Yot. Nasza grupa, złożona z dwudziestu trzech osób, została rozdzielona. Dziesięć kobiet pojechało zaprzęgiem bawolim do wioski Hagayot. Dawniej mieściła się tam osada korporacji, której mieszkańcy uprawiali ryż dla niewolników z kolonii. Teraz była to wioska spółdzielców, którzy uprawiali ryż dla wolnych ludzi. Zostałyśmy przyjęte do spółdzielni. Żyłyśmy na równych prawach z wieśniakami aż do dnia wypłaty, kiedy mogłyśmy spłacić zaciągnięty w spółdzielni dług.

Był to rozsądny sposób traktowania imigrantów bez pieniędzy, którzy nie znali języka lub nie mieli żadnych zdolności. Nie mogłam jednak pojąć, dlaczego zignorowano nasze talenty. Dlaczego mężczyzn z plantacji bamburskich, pracowników rolnych, posłano do miasta, a nie tutaj? Dlaczego przysłano tu tylko kobiety?

Nie rozumiałam, dlaczego w wiosce wolnych ludzi znajdowała się strona dla mężczyzn i strona dla kobiet przedzielone rowem.

Szybko odkryłam, że mężczyźni podejmowali wszystkie decyzje i wydawali rozkazy. Ponieważ jednak tak było, rozumiałam, że obawiają się nas, kobiet z Werel, które nie miały zwyczaju przyjmować rozkazów od równych sobie. Pojęłam też, że muszę wypełniać rozkazy i nawet wyrazem twarzy nie zdradzić, iż przyszło mi do głowy kwestionowanie

ich. Mężczyźni z wioski Hagayot obserwowali nas podejrzliwie, a każdy trzymał bat, zupełnie jak panowie na plantacjach.

– Być może tam mówiliście mężczyznom, co należy robić – powiedział nam nadzorca pierwszego dnia na polu. – Tutaj jest inaczej. Tutaj jesteście wolnymi ludźmi, którzy pracują wspólnie. Myślicie, że jesteście szefowymi, ale tu nie ma żadnych szefowych.

Po stronie kobiecej mieszkały babki, ale nie miały takiej władzy jak babki u nas. Tutaj, gdzie w pierwszym wieku w ogóle nie było kobiet, mężczyźni sami musieli się urządzać, ustanowić władzę. Kiedy do tych niewolniczych królestw mężczyzn wysłano w końcu niewolnice, nie było dla nich żadnej władzy. Nie miały głosu. Kobiety nie miały głosu na Yeowe aż do czasu, kiedy udało im się wyrwać do miast.

Nauczyłam się milczeć.

Jednak położenie moje i Tualtak nie było tak opłakane jak los naszych towarzyszek z Bamburu. Byłyśmy pierwszymi imigrantkami, jakie widzieli ci wieśniacy. Yeowańcacy znali tylko jeden język. Uważali, że kobiety bamburskie są czarownicami, ponieważ nie mówiły „jak ludzie”. Batożyli je za to, że rozmawiały między sobą w ojczystym języku.

Muszę wyznać, że w ciągu pierwszego roku w Wolnym Świecie czułam się przygnębiona jak w Zeskrze. Nienawidziłam całodziennego stania w płytkiej wodzie na poletkach ryżowych. Miałyśmy stale brudne, opuchnięte stopy pełne małych robaków, które co noc musiałyśmy wyciągać z ciała. Wykonywałyśmy jednak pożyteczną pracę, która nie była zbyt ciężka dla zdrowej kobiety. To nie praca mnie przygnębiała.

Hagayot nie była wioską plemienną ani tak konserwatywną jak pewne stare wsie, o których się później dowiedziałam. Dziewcząt nie gwałcono tu rytualnie, a kobiecie znajdującej się po stronie kobiecej nic nie groziło. Kobieta „przeskakiwała przez rów” tylko z mężczyzną, którego wybrała. Kiedy jednak poszła gdzieś sama czy choćby odłączyła się od pozostałych kobiet pracujących w polu, uważano, że „sama się o to prosiła”, i każdy mężczyzna miał prawo ją wykorzystać.

Nawiązałam bliskie przyjaźnie z wieśniaczkami i Bamburkami. Nie były głupsze niż ja kilka lat wcześniej, a niektóre okazały taką mądrość, o jakiej nie mogłam nawet marzyć. Nie istniała możliwość zaprzyjaźnienia się z którymkolwiek mężczyzną, ponieważ uważali się za naszych właścicieli. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób życie w tej wiosce mogłoby ulec zmianie. Moje przygnębienie nasilało się szczególnie w nocy, kiedy leżałam w chacie pośród śpiących kobiet i dzieci i myślałam: Czy za coś takiego zginęła Walsu?

W drugim roku pobytu postanowiłam zrobić wszystko co w mojej mocy, żeby nie poddać się rozpacz. Jedna z Bamburek, łagodna i niezbyt rozgarnięta, batożona i bita przez mężczyzn i kobiety za to, że mówiła w ojczystym języku, utopiła się na polu ryżowym. Położyła się w ciepłej wodzie, sięgającej jej najwyżej do kostek, po czym utonęła. Bałam się tego przygnębienia, tej rozpacz. Postanowiłam, że zrobię użytek ze swoich umiejętności i nauczę wiejskie kobiety i dzieci czytać.

Na kawałkach ryżowego materiału wypisałam podstawowe ćwiczenia gramatyczne, z których zrobiłam grę dla dzieci. Niektóre starsze dziewczęta i kobiety zaciekawily się, co robię. Wiedziały, że ludzie w miastach i miasteczkach umieją czytać. Uważały tę zdolność za coś tajemniczego, za czary, które dawały ludziom z miasta wielką władzę. Nie zaprzeczałam.

Dla kobiet wypisałam wszystkie wersety i fragmenty *Arkamye*, które zdołałam sobie przypomnieć, żeby je miały i nie musiały czekać, aż jeden z ludzi nazywających siebie

kapłanami wyrecytuje dla nich święte słowo. Kobiety były dumne, że uczą się tych wersetów. Później kazałam swojej przyjaciółce Seugi opowiedzieć o spotkaniu z dzikim kotem myśliwskim, na którego natknęła się w dzieciństwie na mokradłach. Spisałam tę opowieść, zatytułowałam ją *Lew z mokradel, autorstwa Aro Seugi*, po czym odczytałam autorce oraz grupie kobiet i dziewcząt. Zachwycaly się i śmiały. Seugi płakała, dotykając pisma, w którym został zaklęty jej głos.

Wódz wioski, jego nadzorcy, przodownicy i synowie honorowi, cała hierarchia i rząd wioski byli podejrzliwi i niezadowoleni z mojego nauczania, ale nie chcieli mi go zabronić. Rząd regionu Yotebber poinformował, że organizuje szkoły, do których wiejskie dzieci będą mogły uczęszczać przez pół roku. Wieśniacy wiedzieli, że ich synowie odniosą korzyść, jeśli w szkole nauczą się pisać i czytać.

Wreszcie odwiedził mnie Wybrany Syn, potężnie zbudowany, blady mężczyzna, który stracił oko na wojnie. Miał na sobie strój urzędowy, długi, obcisły płaszcz w rodzaju tych, które wereliańscy właściciele nosili trzysta lat temu. Powiedział mi, że nie powinnam uczyć dziewcząt, tylko chłopców.

Odparłam, że albo będę uczyć wszystkie dzieci, które mają na to ochotę, albo żadnych.

– Dziewczeta nie chcą się uczyć czytać – stwierdził.
– Owszem, chcą. Do mojej klasy zgłosiło się czternaście dziewcząt i ośmiu chłopców. Czyżbyś twierdził, że dziewczeta nie potrzebują uczyć się religii, Wybrany Synu?

To sprawiło, że zamilkł na chwilę.

– Dziewczeta powinny poznawać życie Litościwej Pani – rzekł.

– Napiszę dla nich biografię Tual – obiecałam natychmiast, a Wybrany Syn odszedł, ratując swoją godność.

Zwycięstwo to nie sprawiło mi wielkiej przyjemności, ale przynajmniej mogłam dalej uczyć.

Tualtak stale namawiała mnie do ucieczki do miasta położonego w dole rzeki. Bardzo wychudła, ponieważ nie mogła trawić ciężkiego jedzenia. Nienawidziła pracy i ludzi.

– Dla ciebie takie życie nie jest niczym kłopotliwym, byłaś przecież szczeniakiem z plantacji, brudaską, ale ja nigdy. Moja matka była najmitką, mieszkaliśmy w pięknych pokojach na ulicy Haba, byłam najzdolniejszą uczennicą, jaką kiedykolwiek mieli w laboratorium. – I tak dalej, i tak dalej, bez końca. Tualtak stale żyła w świecie, który utraciła.

Czasami słuchałam jej gadania o ucieczce. Próbowałam sobie przypomnieć mapy Yeowe z książek, które musiałam zostawić w mieście. Przypominałam sobie wielką rzekę Yot, która płynęła z głębi lądu przez trzy tysiące kilometrów i wpadała do Morza Południowego. Ale w którym miejscu rzeki się znajdowaliśmy, jak daleko od miasta Yotebber leżącego w jej delcie? Między Hagayot a miastem mogło leżeć sto takich wiosek.

– Czy zostałaś zgwałcona? – spytałam Tualtak.

Poczuła się urażona.

– Jestem najmitką, a nie nałożnicą – warknęła.

– Byłam nałożnicą przez dwa lata – powiedziałam. – Gdyby jeszcze raz ktoś mnie zgwałcił, zabiłabym albo tego mężczyznę, albo siebie. Myślę, że dwie Werelianki spacerujące tutaj samotnie zostałyby zgwałcone. Nie mogę z tobą uciec, Tualtak.

– Gdzieś musi być inaczej niż tutaj! – krzyknęła z taką rozpaczą, że mnie samej zebrało się na płacz.

– Może kiedy otworzą szkoły... przyjadą ludzie z miasta... – Tylko taką nadzieję mogłam tchnąć w Tualtak i w siebie. – Jeżeli plony będą dobre tego roku, może dostaniemy pieniądze i uda nam się wsiąść do pociągu...

Rzeczywiście tylko na to mogliśmy liczyć. Problem polegał na wyciągnięciu pieniędzy od wodza i ludzi. Zyski spółdzielni przechowywali w kamiennej chacie zwanej bankiem Hagayot i tylko oni widywali pieniądze. Każdy człowiek posiadał konto, ludzie wodza skrupulatnie prowadzili rachunki, a stary dyrektor banku gryzmolił stan mojego konta na piasku, kiedy go o to poprosiłam. Ale kobiety i dzieci nie miały prawa pobierania pieniędzy z konta. Dostawałyśmy tylko swego rodzaju świadectwo tymczasowe w postaci kawałków gliny z podpisem dyrektora banku, za które mogłyśmy kupować towary wytwarzane przez ludzi z wioski: odzież, sandały, narzędzia, naszyjniki z paciorków, piwo ryżowe. Mówiono nam, że nasze prawdziwe pieniądze są bezpieczne w banku. Przypomniał mi się stary, kulawy niewolnik w Shomeke, który podrygiwał i śpiewał: „O Panie, pieniądze w banku! Pieniądze w banku!”

Przed naszym przybyciem do wioski kobiety oburzały się na taki system, a teraz oburzonych było o dziewięć kobiet więcej.

Pewnej nocy zwróciłam się z pytaniem do Seugi, która miała włosy równie białe, jak skórę:

– Powiedz mi, Seugi, czy wiesz, co wydarzyło się w Nadami?

– Tak – odparła. – Kobiety otworzyły drzwi. Wszystkie kobiety powstały przeciwko panom, a potem dołączyli do nich mężczyźni. Powstańcy potrzebowali broni. Pewna kobieta w nocy wykradła klucz ze skrzynki właściciela, otworzyła drzwi schowka, w którym panowie przechowywali karabiny i amunicję, przytrzymała je całym ciałem, żeby niewolnicy mogli się uzbroić. Potem zabili korporacje i uwolnili wszystkich w Nadami.

– Nawet na Werel opowiadają tę historię – powiedziałam. – Nawet tam kobiety opowiadają o Nadami, gdzie kobiety zapoczątkowały ruch wyzwolenieczy. Mężczyźni także o tym mówią. Czy tutejsi mężczyźni opowiadają tę historię? Czy wiedzą o niej?

Seugi i pozostałe kobiety skinęły głowami.

– Jeżeli kobieta uwolniła mężczyzn w Nadami, to może kobiety Hagayot mogą uwolnić swoje pieniądze – stwierdziłam.

Seugi roześmiała się i zawołała do gromadki babek:

– Słuchajcie Rakam! Słuchajcie, co ona mówi!

Po licznych dyskusjach, które ciągnęły się tygodniami, wyłoniłyśmy spośród siebie trzydziestoosobową delegację. Przeszłyśmy przez most nad rowem i oficjalnie poprosiłyśmy o spotkanie z wodzem. Naszą główną kartą przetargową był wstyd. Seugi i pozostałe kobiety wzięły na siebie mówienie, ponieważ wiedziały, jak dalece mogą zawstydić mężczyzn, nie prowokując ich do gniewu i odwetu. Kobiety mówiły, a ja słyszałam, jak godność przemawia do godności, a duma do dumy. Po raz pierwszy od przybycia na Yeowe poczułam wspólnotę z tymi ludźmi, poczułam, że ich duma i godność są moim udziałem.

W wiosce nic nie dzieje się szybko. Kiedy jednak nadszedł czas żniw, kobiety Hagayot mogły odebrać zarobione pieniądze z banku.

– Teraz będziemy głosować – powiedziałam do Seugi, ponieważ w wiosce nie istniały tajne wybory. Podczas wyborów lokalnych, nawet w czasie ogólnoświatowej ratyfikacji konstytucji, wodzowie sporządzali spisy wyborców i wypełniali karty do głosowania.

Kobiet nie uwzględniali. Wynik wyborów był zawsze taki, jakiego wodzowie sobie życzyli. Jednak nie zostałam, by pomóc w przeprowadzeniu zmian w Hagayot. Tualtak tak bardzo pragnęła wydostać się z mokradel i pojechać do miasta, że odchodziła od zmysłów. Ja także tego chciałam. Wzięłyśmy więc nasze pieniądze, a Seugi i pozostałe kobiety zawiozły nas bawolim zaprzęgiem groblą na stację towarową. Tam wzniosłyśmy flagę, która sygnalizowała stację dla pasażerów.

Kilka godzin później nadszedł długi pociąg towarowy wyładowany ryżem, jadący do młynów w Yotebber City. Wsiadłyśmy do wagonu dla personelu pociągu, w którym oprócz kolejarzy podróżowało jeszcze kilku wieśniaków. Miałam duży nóż za pasem, ale żaden z mężczyzn nie próbował nas zniewolić. Z dala od osad byli potulni i nieśmiali. Siedziałam na pryczy, patrzyłam, jak rozległe, dzikie fioletowe mokradła zostają w tyle, obejmowałam wzrokiem wioski na brzegach wielkiej rzeki i marzyłam, żeby pociąg nigdy nie stawał.

Tualtak leżała na pryczy pode mną, kaszlała i wierciła się niespokojnie. Kiedy dotarłyśmy do Yotebber City, była taka słaba, że musiałam ją zaprowadzić do lekarza. Jeden z kolejarzy okazał się bardzo uczynny, wytłumaczył nam, jak się dostać do szpitala komunikacją miejską. Jechałyśmy w zatłoczonym wagonie gorącymi, wypełnionymi tłumem ulicami, ale ja i tak czułam się szczęśliwa. Nic nie mogłam na to poradzić.

W szpitalu zażądano od nas dokumentów rejestracyjnych.

Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym. Później dowiedziałam się, że nasze oddano wodzom w Hagayot, którzy przechowywali je, podobnie jak dokumenty wszystkich „swoich kobiet”. Jednak w szpitalu mogłam tylko otworzyć szeroko oczy i powiedzieć:

– Nie wiem nic o dokumentach rejestracyjnych.

Usłyszałam, jak jedna z kobiet siedzących za biurkiem mówi do drugiej:

– Wyobrażasz sobie większą brudaskę?

Wiedziałam, że byłyśmy brudne i wyglądałyśmy jak kupa nieszczęścia. Wiedziałam, że sprawiam wrażenie osoby ciemnej i głupiej. Jednak na dźwięk słowa „brudaska” duma i godność obudziły się we mnie na nowo. Wyjęłam z tobołka akt wyzwolenia, stary papier z pismem Eroda, pognieciony, poskładany i zakurzony.

– To jest mój dokument rejestracyjny – powiedziałam tak głośno, że kobiety za biurkiem drgnęły i odwróciły się. – Widnieje na nim krew mojej matki i babki. Moja przyjaciółka jest chora, potrzebuje lekarza. Zaprowadźcie nas do lekarza!

W tym momencie z korytarza wyszła chuda, niska kobieta.

– Chodźcie tędy – powiedziała, a kiedy jedna z urzędniczek zaczęła protestować, ta kobieta spiorunowała ją wzrokiem.

Poszłyśmy za nią do gabinetu.

– Jestem doktor Yeron – przedstawiła się, ale potem się poprawiła: – Pracuję tu jako pielęgniarka, ale jestem lekarką. A ty... przybyłaś ze Starego Świata? Z Werel? Usiądź tutaj, moje dziecko, i zdejmij koszulę. Od jak dawna tu jesteś?

W ciągu kwadransa postawiła diagnozę Tualtak, umieściła ją na oddziale na obserwacji, a także po to, by odpoczęła. Poznała naszą historię, po czym odesłała mnie z listem do przyjaciółki, która miała mi pomóc znaleźć pracę i mieszkanie.

– Uczysz! – zawołała doktor Yeron. – Nauczycielka! Och, kobieto, jesteś jak deszcz po długiej suszy!

Rzeczywiście, już pierwsza szkoła, do której się zwróciłam, chciała mnie natychmiast

zatrudnić w charakterze nauczycielki dowolnie przez siebie wybranego przedmiotu. Ponieważ należę do narodu kapitalistycznego, poszłam do innych szkół, żeby sprawdzić, czy mogłabym tam zarobić więcej pieniędzy. Na koniec wróciłam do pierwszej szkoły, bo polubiłam ludzi, którzy w niej pracowali.

Przed wojną wyzwolenczą miasta Yeowe, zamieszkane przez pracowników korporacji, którzy wynajęli swoją wolność, miały własne szkoły, szpitale i oferowały wiele rodzajów kursów. W Starej Stolicy istniał nawet uniwersytet dla pracowników. Rzecz jasna, korporacje kontrolowały wszystkie informacje, które docierały do tego rodzaju instytucji, obserwowały i cenzurowały cały proces nauczania, a ich nadrzędnym celem było osiągnięcie jak największych zysków. Jednak w obrębie tego wąskiego marginesu pracownicy mieli prawo do dowolnego używania posiadanych informacji, a mieszkańcy yeowańskich miast bardzo wysoko cenili sobie wykształcenie. Podczas trwającej trzydzieści lat wojny cały ten system gromadzenia i przekazywania wiedzy uległ załamaniu. Wyrosło całe pokolenie, które znało tylko walkę, ukrywanie się, głód i choroby. Dyrektorka mojej szkoły powiedziała:

– Nasze dzieci wychowały się bez nauki czytania i pisania. Czy można się dziwić, że wodzowie wskoczyli na miejsce panów z korporacji? Któż niby miał ich powstrzymać?

Ci mężczyźni i kobiety wierzyli żarliwie, że tylko wykształcenie prowadzi do wolności. Nadal kontynuowali wojnę wyzwolenczą.

Yotebber City było biednym, dużym, nasłonecznionym, rozległym miastem o szerokich ulicach, niskich domach i olbrzymich, starych drzewach, które dawały cień. Ludzie poruszali się głównie piechotą, rowery dzwoniły, tramwaje toczyły się pośród ospałych tłumów. Baraki i szopy kilometrami ciągnęły się na obszarze dawnego rozlewiska rzeki za groblami, gdzie gleba nadawała się do uprawy. Centrum miasta znajdowało się na niskim wzniesieniu, od którego rozchodziły się młyny i torowiska. Handlowa część miasta przypominała Voe Deo, ale była starsza, biedniejsza i spokojniejsza. Nie widziało się tu wielkich sklepów właścicieli, a ludzie sprzedawali towary ze straganów na targu pod gołym niebem. Tu, na południu, klimat był morski, łagodny, ciepły, w powietrzu wisiała mgiełka. Poczucie szczęścia mnie nie opuszczało. Pan w swojej łaskawości obdarzył mnie umysłem, który potrafi zostawiać troski za sobą. Byłam szczęśliwa w Yotebber City.

Tualtak wróciła do zdrowia i znalazła dobrą pracę chemiczki w fabryce. Rzadko ją widywałam, ponieważ nasza przyjaźń zrodziła się z konieczności, a nie z wyboru. Zawsze kiedy się spotykałyśmy, Tualtak mówiła o ulicy Haba, laboratorium na Werel, narzekała na obecną pracę i na ludzi wokół.

Doktor Yeron nie zapomniała o mnie. Napisała do mnie liścik z prośbą o złożenie jej wizyty, co też zrobiłam. Po pewnym czasie, kiedy na dobre zadomowiłam się w mieście, doktor Yeron poprosiła, bym poszła z nią na spotkanie towarzystwa edukacyjnego. Okazało się, że jest to grupa demokratów, głównie nauczycieli, którzy zamierzali występować przeciwko autokracji plemiennych i lokalnych wodzów powołujących się na nową konstytucję. Demokraci chcieli też przeciwdziałać temu, co nazywali niewolniczym umysłem, mając na myśli sztywną, mizoginiczną hierarchię, z którą zetknęłam się w Hagayot. Moje doświadczenia okazały się dla nich cenne, ponieważ byli mieszczanami; z niewolniczym umysłem stykali się tylko wtedy, kiedy nimi rządził. Najbardziej gniewne okazały się kobiety. Przeważającą część swoich posiadłości utraciły podczas wojny wyzwolenczej, toteż nie miały już wiele więcej do stracenia. Ogólnie rzecz biorąc,

mężczyźni opowiadali się za stopniowymi reformami, a kobiety były gotowe do rewolucji. Jako Werelianka, nieznająca się na polityce Yeowe, nie zabierałam głosu. Milczenie przychodziło mi z trudem. Jestem gadułą i czasami mam mnóstwo do powiedzenia, ale gryzłam się w język i słuchałam demokratów. Byli tego warci.

Ignorancja broni się zaciekle, ale ciemnota, o czym dobrze wiedziałam, potrafi być przebiegła. Chociaż wódz, prezydent regionu Yotebber, wybrany w wyniku sfałszowanych wyborów, mógł nie pojmować naszych kontrdziałań polegających na manipulowaniu programem nauczania, nie tracił wiele energii na kontrolowanie szkół. Ograniczał się do przysyłania inspektorów, którzy wtrącali się do lekcji i cenzurowali podręczniki szkolne. Wódz przywiązywał jednak dużą wagę do faktu, że tak jak dawniej czyniły to korporacje, teraz on sprawował kontrolę nad siecią. Wiadomości, programy informacyjne, marionetki w wiadomościach prawie realnych – wszyscy tańczyli, jak wódz im zagrał. Czy w takiej sytuacji miał się obawiać grupy nauczycieli? Dzieci rodziców bez wykształcenia podłączały się do sieci, żeby słuchać, widzieć i czuć to, co wódz chciał, żeby wiedziały, a mianowicie że wolność oznacza posłuszeństwo wobec przywódców, cnota jest przemocą, męstwo zaś to dominacja. Cóż mogły zdziałać słowa przeciwko wprowadzaniu takich prawd do codziennego życia i zwielokrotnionego doświadczenia zmysłowej wiadomości prawie realnych?

– Analfabetyzm nie ma z tym wszystkim nic wspólnego – oświadczyła smutno jedna z kobiet. – Wodzowie przeskoczyli nad naszymi głowami prosto do postpiśmiennej technologii informacyjnej.

Nie lubiłam wymyślnych określeń, takich jak „postpiśmienna technologia”, lecz bałam się, że ta kobieta może mieć rację.

Ku mojemu zdziwieniu na następne spotkanie grupy edukacyjnej przyszedł obcy, wysłannik Ekumeny. Człowiek ten miał być kartą atutową naszego wodza. Najwyraźniej przysłano go ze Starej Stolicy, by poparł wodza w walce z Partią Światową, która wciąż była tu silna i nie przestawała huczeć o tym, że Yeowe nie powinna wpuszczać żadnych cudzoziemców. Słyszałam pogłoski o wysłanniku, lecz nie spodziewałam się go zobaczyć na spotkaniu grupy wywrotowych nauczycieli.

Był niskim mężczyzną o czerwonobrązowej skórze i z białymi kącikami oczu, ale jeśli się na to nie zwracało uwagi, mógł uchodzić za przystojnego. Zajął miejsce przede mną. Siedział zupełnie nieruchomo, jakby był do tego przyzwyczajony; słuchał, nie odzywając się, jakby i to stanowiło dla niego chleb powszedni. Pod koniec spotkania odwrócił się i spojrzał na mnie tymi dziwnymi oczami.

– Radosse Rakam? – spytał.

Skinęłam głową, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

– Jestem Yehedarhed Havzhiva – przedstawił się. – Mam dla pani trochę książek od Dawnej Muzyki.

– Książek? – zapytałam.

– Od Dawnej Muzyki – powtórzył. – Od Esdardona Ai na Werel.

– Moje książki?

Wysłannik uśmiechnął się. Miał szeroki, spontaniczny uśmiech.

– Och, gdzie one są?! – krzyknęłam.

– Mam je u siebie w domu. Jeżeli pani chce, możemy po nie pojechać jeszcze dziś wieczorem. Mam samochód.

Ostatnie zdanie powiedział ironicznym, swobodnym tonem jak człowiek, który nie spodziewał się posiadać samochodu, chociaż mógł z tego czerpać przyjemność.

Podeszła do nas doktor Yeron.

– A więc znalazłeś ją – powiedziała do wysłannika.

Spojrzał na nią z tak rozjaśnioną twarzą, że pomyślałam, iż ci dwoje są kochankami. Fakt, że doktor Yeron była znacznie od niego starsza, o niczym nie świadczył, ponieważ była kobietą o wielkim magnetyzmie. Mimo to poczułam się dziwnie, bo zwykle nie rozważałam spraw seksualnych innych ludzi. Nie była to moja sprawa.

Wysłannik położył w rozmowie dłoń na ramieniu doktor Yeron, a ja zauważyłam z dziwną wyrazistością, jak delikatny był jego dotyk, niepewny, a jednak budzący zaufanie. To jest miłość, pomyślałam. Spostrzegłam jednak, że rozstali się bez spojrzenia wyrażającego sekretne porozumienie, jakie często wymieniają kochankowie.

Pojechaliśmy służbowym elektrycznym samochodem wysłannika; na przednim siedzeniu usiadły dwie milczące policjantki z jego ochrony. Rozmawialiśmy o Esdardonie Ai, którego nazwisko, jak wyjaśnił mi Yehedarhed Havzhiva, znaczyło Dawna Muzyka. Opowiedziałam mu o tym, jak Esdardon Aya uratował mi życie, przysyłając mnie tutaj. Wysłannik słuchał w sposób, który ułatwiał mówienie.

– Kiedy musiałam zostawić swoje książki, czułam się, jakbym porzuciła rodzinę. Ale może to głupota tak myśleć.

– Dlaczego głupota? – zapytał wysłannik. Mówił z cudzoziemskim akcentem, ale jego piękny, niski, ciepły głos nabrał już zaśpiewu yeowańskiego.

Próbowałam wyjaśnić wszystko naraz:

– Książki wiele dla mnie znaczyły, bo kiedy przybyłam do miasta, nie umiałam czytać i właśnie książki dały mi wolność, dały mi świat, światy... Ale teraz, tutaj widzę, że holosiec, wiadomości prawie realne wiele znaczą dla ludzi, dają im terażniejszość. Może kurczowe trzymanie się książek to nic innego jak lgnięcie do przeszłości. Yeowańczycy muszą wyjść naprzeciw przyszłości, a przecież nigdy nie zmienimy umysłów ludzi samymi tylko słowami.

Wysłannik słuchał uważnie, tak jak na spotkaniu, aż wreszcie powoli powiedział:

– Ale słowa są podstawą myślenia, a książki zachowują prawdę słów... Ja również zacząłem czytać dopiero w wieku dorosłym.

– Tak?

– Umiałem czytać, ale tego nie robiłem. Mieszkałem na wsi. Książek potrzebują miasta – oświadczył tak stanowczo, jakby poświęcił tej kwestii wiele myśli. – Gdyby miasta nie miały książek, przy każdym pokoleniu musielibyśmy zaczynać od początku, a to byłoby marnotrawstwo. Słowa należy chronić.

Dotarliśmy do domu wysłannika, położonego na szczycie starej części miasta. W holu stały cztery skrzynie z książkami.

– Ależ nie wszystkie z tych książek należą do mnie! – krzyknęłam.

– Dawna Muzyka twierdził, że są twoje – powiedział pan Yehedarhed z pospiesznym uśmiechem, po czym zerknął na mnie przelotnie. Znacznie łatwiej poznać, w którą stronę patrzy obcy, niż dzieje się to z nami. U nas trzeba stanąć dostatecznie blisko, by zobaczyć, jak ciemna źrenica porusza się w ciemnym oku – chyba że ma się do czynienia z nielicznymi ludźmi o niebieskawych tęczęwkach.

– Nie mam gdzie postawić tylu książek – powiedziałam zdumiona. Pojęłam, że ten

dziwny człowiek, Dawna Muzyka, po raz kolejny pomógł mi wyrwać się na wolność.

– A gdybyś umieściła je w szkole? Na przykład w szkolnej bibliotece.

To był dobry pomysł, ale natychmiast wyobraziłam sobie, jak inspektorzy wodza grzebią w książkach, może nawet je konfiskują. Kiedy podzieliłam się tymi obawami z wysłannikiem, zaproponował:

– Może podaruję te książki jako prezent od ambasady? Myślę, że to ostudziłoby zapał inspektorów.

– Och... – wykrztusiłam, a potem spytałam: – Dlaczego jesteś taki uprzejmy? Ty i on... Czy ty także jesteś Hainem?

– Tak – oświadczył, ale nie odpowiedział na pierwsze pytanie. – Byłem. Miałem nadzieję zostać Yeowańczykiem.

Poprosił mnie, żebym usiadła i wypić z nim kieliszek wina, zanim jego ochroniarz odwiezie mnie do domu. Yehedarhed zachowywał się swobodnie, po przyjacielsku, ale spokojnie. Zauważyłam, że kiedyś musiał zostać ranny. Na twarzy miał blizny, a na głowie, w miejscu dawnej rany, widniała przerwa między włosami. Zapytał, o czym są książki, które mi przywiózł, a ja powiedziałam:

– Historia.

Uśmiechnął się i podniósł kieliszek. Naśladowując go, uniosłam swój i wypiliśmy.

Nazajutrz kazał dostarczyć książki do naszej szkoły. Kiedy otworzyliśmy skrzynie i ustawiliśmy książki na półkach, zrozumieliśmy, że wpadł nam w ręce prawdziwy skarb.

– Na uniwersytecie nie ma nic podobnego – powiedziała nauczycielka, która studiowała tam przez rok.

Wśród tych książek znajdowały się dzieła z dziedziny historii i antropologii Werel oraz światów Ekumeny, prace filozoficzne i polityczne autorstwa Werelianów, a także ludzi z innych światów, kompendia literatury, wiersze, opowiadania, encyklopedie, książki naukowe, atlasy, słowniki. W kącie jednej ze skrzyń znalazłam własne książki, swój własny skarb, nawet tę małą, niepozorną *Historię Yeowe* wydrukowaną na Uniwersytecie Yeowe w pierwszym roku wolności. Większość swoich książek zostawiłam w szkolnej bibliotece, ale tę i kilka innych zabrałam do domu, żeby mi dodawały otuchy.

Wkrótce potem znalazłam kolejne źródło miłości i otuchy. Jedno z dzieci w szkole przyniosło mi w prezencie kotka łaciatego, który dopiero co przestał ssać. Chłopczyk wręczył mi go z taką pełną miłości dumą, że nie mogłam odmówić. Kiedy próbowałam oddać kotka innej nauczycielce, wszyscy zaczęli się ze mnie śmiać.

– Zostałaś wybrana, Rakam! – powiedzieli.

Chcąc nie chcąc, zabrałam maleństwo do domu, obawiając się jego kruchości i delikatności, bliska uczucia niesmaku. Kobiety z bezy w Zeskrze miały oswojone zwierzęta, koty łaciate i foksteriery, rozpieszczone zwierzęta, które jadły lepiej niż my. Kiedyś i ja nosiłam imię oswojonego zwierzątka.

Gdy wyjęłam kotka z koszyka, przestraszył się i ugryzł mnie w kciuk aż do kości. Był malutki, kruchy, ale miał zęby. Zaczęłam darzyć go szacunkiem.

W nocy ułożyłam go do snu w koszyku, ale wdrapał się na łóżko, usiadł mi na twarzy, aż w końcu musiały go wpuścić pod kołdrę. Spał spokojnie przez całą noc. Rano mnie obudził, tańcząc po mnie i ścigając drobinki kurzu w promieniu słońca. Zaczęłam dzień od śmiechu, co jest bardzo przyjemne. Poczułam, że nigdy nie śmiałam się wiele, a bardzo tego pragnęłam.

Kotek był czarny, pod światło było widać drobne czarne łatki na czarnym tle. Nazwałam go Właścicielem. Przekonałam się, że miło jest wracać do domu i być witaną przez mojego małego Właściciela.

Pół roku planowałyśmy wielką demonstrację kobiet. Odbywało się wiele spotkań, na których widywałam wysłannika, aż w końcu zaczęłam się za nim rozglądać. Lubiłam patrzeć, jak przysłuchuje się naszym dyskusjom. Niektórzy z nas twierdzili, że demonstracja nie może się ograniczać do spraw związanych z prześladowaniem i prawami kobiet, ponieważ równość musi być dla wszystkich. Inni utrzymywali, że demonstracja w żaden sposób nie może polegać na poparciu cudzoziemców, ale musi być ruchem czysto yeowańskim. Pan Yehedarhed przysłuchiwał się w milczeniu dyskutującym, ale mnie ogarnął gniew.

– Jestem cudzoziemką – oświadczyłam. – Czy przez to jestem dla was bezużyteczna? Mówicie jak właściciele... jakbyście byli lepsi od innych ludów!

– Uwierzę, że równość jest dla wszystkich, kiedy zostanie to zapisane w konstytucji Yeowe – powiedziała doktor Yeron.

Nasza konstytucja, ratyfikowana przez ogólnoswiatowe głosowanie, w czasie gdy przebywałam w Hagayot, wyłącznie mężczyźni traktowała jak obywateli. Ostatecznie demonstracja przybrała formę żądania, by do konstytucji dopisać poprawkę uznającą kobiety za obywatelki. Domagałyśmy się też tajnego głosowania, wolności słowa, wolności prasy i zgromadzeń oraz wolnego dostępu do kształcenia dla wszystkich dzieci.

W ten upalny dzień leżałam na torach kolejowych razem z siedemdziesięcioma tysiącami kobiet. Śpiewałam razem z nimi. Jeśli tyle kobiet śpiewa naraz, ich głos brzmi donośnie i głęboko.

Kiedy zbierałyśmy kobiety na wielką demonstrację, znowu zaczęłam przemawiać publicznie. Miałam taki dar i teraz zrobiłyśmy z niego użytek. Zdarzało się, że chłopcy z ulicznych gangów albo ciemni mężczyźni przychodzili, by zadawać mi kłopotliwe pytania albo grozić:

– Pani dziedziczko, właścicielko, czarna cipo, wracaj tam, skąd przybyłaś!

Pewnego razu, kiedy tak krzyczeli – wracaj, wracaj! – nachyliłam się do mikrofonu i powiedziałam:

– Nie mogę wrócić. Kiedy pracowałam na plantacji jako niewolnica, śpiewałyśmy taką pieśń:

O, o, Yeowe,

Stamtąd nigdy nie wraca nikt.

Śpiew na chwilę powstrzymał agresorów. Usłyszeli ten straszliwy żal i tęsknotę.

Po wielkiej demonstracji zamieszki nie ustawały, ale zdarzało się, że energia opadała. Ruch popadł w bezruch, jak to określiła doktor Yeron. Właśnie w takim okresie zwróciłam się do niej z propozycją założenia wydawnictwa i publikowania książek. Było to moim marzeniem, które rosło od tamtego dnia w Hagayot, kiedy Seugi dotknęła swoich słów i wybuchnęła płaczem.

– Rozmowy się kończą – powiedziałam. – Sieć emituje słowa i obrazy, które każdy może zmienić. Ale książki zostają. Pan Yehedarhed mówi, że to one tworzą historię.

– Pamiętaj o inspektorach – odparła doktor Yeron. – Dopóki nie wywalczymy poprawki o wolnej prasie, wadzowie nie zezwolą na wydrukowanie czegokolwiek, czego sami nie podyktowali.

Nie chciałam zrezygnować z pomysłu. Wiedziałam, że w Yotebber nie zdołamy opublikować nic politycznego, lecz argumentowałam, że mogłybyśmy wydawać opowiadania i wiersze autorstwa kobiet z naszego regionu. Pozostali uważali to za stratę czasu. Długo wałkowaliśmy ten temat. Pan Yehedarhed wrócił ze Starej Stolicy na północy, gdzie złożył wizytę w ambasadzie. Przysłuchiwał się naszej dyskusji, ale nic nie powiedział. Czułam się zawiedziona. Sądziłam, że poprze mój projekt.

Pewnego dnia wracałam ze szkoły do swego mieszkania, które znajdowało się w dużym, starym, hałaśliwym domu niedaleko grobli. Lubiłam to mieszkanie, ponieważ okna wychodziły na gałęzie drzew, a za drzewami widziałam szeroką na sześć kilometrów rzekę, która sunęła leniwie pośród łąch, trzcin, kęp wierzbowych w porze suchej, a przelewała się przez tamy w porze deszczowej, gdy powierzchnię rzeki siekły ulewy. Kiedy zbliżyłam się do domu, pojawił się pan Yehedarhed, a tuż za nim, jak zwykle, dwie policjantki o zgorzkniałych twarzach. Pozdrowił mnie i zapytał, czy moglibyśmy porozmawiać. Zmieszałam się i nie przyszło mi do głowy nic innego, jak zaprosić go na górę do swego pokoju.

Policjantki zostały w holu. Miałam tylko jeden duży pokój na drugim piętrze. Usiadłam na łóżku, a wysłannik na krześle. Właściciel ocierał się o jego nogi i mruczał.

Już wcześniej zauważyłam, że wysłannik czerpał przyjemność ze sprawiania zawodu wadzowi i jego poplecznikom, którzy mieli bzika na punkcie pompy, kawalkad samochodów, odznak i mundurów. Yehedarhed i policjantki poruszali się po całym mieście, po całym regionie Yotebber, w samochodzie rządowym lub na piechotę. Ludzie lubili za to wysłannika. Wiedzieli, tak jak ja wiem teraz, że pierwszego dnia pobytu w Yotebber, kiedy wyszedł na samotną przechadzkę, bojówka Partii Światowej napadła na niego, pobiła go i porzuciła. Mieszkańcom miasta podobała się odwaga Yehedarheda oraz sposób, w jaki rozmawiał z każdym. Zaakceptowali go. My, członkowie Ruchu Wyzwoleńczego, uważaliśmy Yehedarheda za swojego wysłannika, lecz on należał do mieszkańców miasta i do wadza. Wódz być może nienawidził jego popularności, ale czerpał z niej korzyści.

– Chcesz założyć wydawnictwo – powiedział, głaszcząc Właściciela, który przewrócił się na grzbiet i wyciągnął w górę łapki.

– Doktor Yeron twierdzi, że to nie ma sensu, dopóki nie wywalczymy poprawek do konstytucji.

– Na Yeowe istnieje jedna drukarnia, która nie jest bezpośrednio kontrolowana przez rząd – oznajmił pan Yehedarhed, głaszcząc Właściciela po brzuchu.

– Uważaj, bo cię ugryzie – ostrzegłam. – Gdzie znajduje się ta drukarnia?

– Na uniwersytecie. No tak – powiedział, przyglądając się swemu kciukowi. Przeprosiłam go. Yehedarhed zapytał, czy jestem pewna, że Właściciel jest płci męskiej. Odparłam, że tak mi powiedziano, ale nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby sprawdzić. – Odnoszę wrażenie, że twój Właściciel jest damą – powiedział pan Yehedarhed w taki sposób, że nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

Wysłannik śmiał się razem ze mną, posłał kciuk i ciągnął dalej:

– Ten uniwersytet nigdy nie był wiele wart. Korporacja wymyśliła sobie taki plan: niech pracownikom się wydaje, że zdobywają wyższe wykształcenie. W ostatnich latach wojny uniwersytet był zamknięty. Od Dnia Wyzwolenia jest znowu otwarty; roi się tam od ludzi, ale nikt się nim specjalnie nie przejmuje. Wydziały są w przeważającej mierze stare. Rząd narodowy subsydiuje uczelnię, bo wypada mieć uniwersytet na Yeowe, ale nie zajmują się nim zbyt, gdyż uczelnia nie ma żadnego prestiżu. Poza tym wielu pracowników nie należy do ludzi oświeconych. – Powiedział to bez pogardy, po prostu stwierdził. – Na uniwersytecie jest drukarnia.

– Wiem – odparłam. Sięgnęłam po swoją starą książkę i podałam ją wysłannikowi.

Przeglądał ją przez kilka minut, a jego twarz przybrała dziwnie czuły wyraz. Nie mogłam się powstrzymać od obserwowania Yehedarheda. Miałam wrażenie, że patrzę na kobietę z niemowlęciem; na jego twarzy malowały się zmienne uczucia.

– Ta książka jest pełna propagandy, błędów i nadziei – powiedział w końcu czule. – Cóż, myślę, że można to poprawić. Potrzebujemy tylko redaktora i kilku autorów.

– Pamiętaj o inspektorach – ostrzegłam go, naśladując doktor Yeron.

– Wolność akademicka to sprawa, na którą Ekumena może łatwo wywierać wpływ, ponieważ zapraszamy ludzi do szkół ekumenalnych na Hain i Ve – powiedział wysłannik. – Chcemy zapraszać także absolwentów Uniwersytetu Yeowe. Jeśli jednak wykształcenie, jakie oferuje uczelnia, pozostawia wiele do życzenia z uwagi na brak książek i informacji...

– Panie Yehedarhedzie, czy pańskim zadaniem jest podważanie polityki rządu? – spytałam, nie myśląc o tym, co mówię.

Wysłannik się nie roześmiał. Milczał przez dłuższą chwilę, zanim powiedział:

– Nie wiem. Dotychczas ambasador mnie popierał. Obaj możemy dostać naganę albo wymówienie. Chciałbym... – Znowu spojrzął na mnie swoimi dziwnymi oczami, a potem przeniósł wzrok na książkę, którą trzymał w dłoniach. – Chciałbym zostać obywatelem yeowańskim. Jednak moja przydatność dla Yeowe oraz dla ruchu wyzwolenczego wiąże się z moją pozycją w Ekumenie. Dlatego będę z niej korzystać albo jej nadużywać, dopóki mnie nie powstrzymają.

Po wyjściu wysłannika musiałam się zastanowić nad tym, o co mnie poprosił. Miałam zgłosić się na uniwersytet jako wykładowca historii, a gdyby mnie przyjęli, także jako ochotniczka do kierowania wydawnictwem. Wydawało się to niedorzeczne, by kobieta z moim pochodzeniem i skąym wykształceniem zajmowała takie stanowisko. Początkowo sądziłam, iż źle go zrozumiałam. Kiedy Yehedarhed przekonał mnie, że zrozumiałam go właściwie, pomyślałam, że musiał mylnie pojąć, kim jestem i co potrafię. Rozmawialiśmy o tym przez pewien czas, po czym wyszedł, najwyraźniej przekonany, że mnie zawstydza, a może sam się czuł zawstydzony. W rzeczywistości śmialiśmy się sporo, a ja nie czułam się zawstydzona, tylko może troszkę szalona.

Próbowałam myśleć o tym, o co mnie poprosił; chciał, żebym przeszła samą siebie. Trudno mi było o tym myśleć. Czułam, że niczym ciężka chmura wisi nade mną konieczność dokonania wyboru i perspektywa przyszłości, której nie potrafiłam sobie wyobrazić. Ale wciąż myślałam o nim, o Yehedarhedzie Havzhivie. Widziałam, jak siedzi na moim starym krześle, jak schyla się, żeby pogłaskać Właściciela, zlizuje krew z kciuka, śmieje się, patrzy na mnie oczami o białych kącikach. Widziałam jego twarz i dłonie w

kolorze czerwono-brązowym, kolorze wypalanej gliny. Cichy głos wysłannika dźwięczał w moich uszach.

Podniosłam kotka, który zaczynał już dorastać, i przyjrzałam się jego podbrzuszu. Nie znalazłam śladu męskich organów. Jedwabiste czarne ciało wierciło się w moich rękach. Przypomniałam sobie, jak wysłannik mówi: „Twój Właściciel jest damą”, i znowu zachciało mi się śmiać i płakać. Pogłaskałam kotkę, postawiłam na podłodze, a ona zaczęła myć sobie łapę.

– Och, biedna mała dama – powiedziałam, chociaż nie wiedziałam, kogo miałam na myśli: kotkę, panią Tazeu czy samą siebie.

Wysłannik powiedział, żebym spokojnie rozważyła jego propozycję i nie spieszyła się z podjęciem decyzji. Jednak wcale nie zdążyłam się jeszcze nad nią zastanowić, kiedy dwa dni później zobaczyłam Yehedarheda, który czekał na mnie przed szkołą. Przyszedł na piechotę.

– Chciałabyś się przejść po tamie? – zapytał.

Rozejrzałam się wokół siebie.

– Są tam – powiedział, wskazując na policjantki o zimnych oczach. – Chodzą za mną wszędzie, trzymają się trzy do pięciu metrów za moimi plecami. Spacerowanie w moim towarzystwie jest nudne, ale bezpieczne. Moja cnota jest pilnie strzeżona.

Poszliśmy ulicami do tamy, wspięliśmy się na nią. Pachniało rzeką, błotem i trzcinami, ciepłe słońce zachodziło na różowo i złoto. Dwie uzbrojone kobiety szły cztery kroki za nami.

– Jeśli zaczniesz wykładać na uniwersytecie, będę tam stale – powiedział po długim milczeniu.

– Ja jeszcze... – zająknęłam się.

– Jeżeli tam zostaniesz, będę tam stale – rzekł Havzhiva. – O ile nie masz nic przeciwko temu.

Nie odpowiedziałam. Wysłannik spojrzał na mnie, nie odwracając głowy.

– Podoba mi się, że mogę zobaczyć, w którą stronę patrzysz – powiedziałam mimowolnie.

– Podoba mi się, że nie mogę zobaczyć, w którą stronę patrzysz – powiedział, patrząc prosto na mnie.

Ruszyliśmy dalej. Z trzcinowej wysepki zerwała się czapla, załopotana wielkimi skrzydłami nad wodą i odleciała. Szliśmy na południe, w dół rzeki. Niebo na zachodzie wypełniło się światłem słońca, które schodziło w dół w obłoku dymu i mgiełki.

– Rakam, chciałbym się dowiedzieć, skąd pochodzisz, jakie było twoje życie na Werel – rzekł bardzo cicho Havzhiva.

Wzięłam głęboki wdech.

– To wszystko należy już do przeszłości.

– Wszyscy jesteśmy swoją przeszłością, ale nie tylko tym. Chcę cię poznać. Wybacz mi, lecz bardzo pragnę cię poznać.

– Chciałabym ci o tym opowiedzieć, ale to jest takie okropne – wyznałam po chwili. – To jest takie brzydkie, a tutaj jest tak pięknie. Nie chcę tego tracić.

– Wszystko, co mi powiesz, będę chronił jak coś cennego – rzekł swoim cichym głosem, który płynął prosto do mojego serca.

Opowiedziałam mu więc o osadzie Shomeke, a potem pokrótce resztę swojej historii.

Czasami zadawał pytania, ale głównie milczał. W pewnym momencie mojej opowieści ujął mnie za ramię, czego wtedy prawie nie zauważyłam. Kiedy mnie puścił, sądząc, że jakiś mój ruch oznaczał chęć wyswobodzenia się, brakowało mi tego delikatnego dotyku. Havzhiva miał chłodną dłoń. Czułam ją na ramieniu, nawet jak ją cofnął.

– Panie Yehedarhedzie – rozległ się za nami głos jednej z ochroniarek. Słońce zaszło, a niebo oblało się złotoczerwonym rumieńcem. – Może lepiej będzie, jeśli zawrócimy?

– Tak, dziękuję – powiedział Havzhiva.

Kiedy się odwrócił, ujęłam go pod ramię. Poczułam, że wstrzymał oddech.

Prawda jest taka, że od czasów Shomeke nie pożałowałam mężczyzny ani kobiety. Kochałam ludzi, dotykałam ich z miłością, ale nigdy nie z pożądaniem. Moja brama była zamknięta.

Teraz się otworzyła. Czułam się taka słaba, że kiedy mnie dotknął, ledwo mogłam iść dalej.

– To dobrze, że spacerowanie z tobą jest bezpieczne – westchnęłam.

Właściwie nie wiedziałam, co chciałam przez to powiedzieć. Miałam trzydzieści lat, a zachowywałam się jak młoda dziewczyna. Nigdy wcześniej nią nie byłam.

Havzhiva szedł w milczeniu między rzeką a miastem w chwale gasnącego słońca.

– Czy pójdziesz ze mną do domu, Rakam? – zapytał.

Nie odpowiedziałam.

– One nie wejdą za nami – szepnął mi na ucho, a ja poczułam łaskotanie jego oddechu.

– Nie rozśmieszaj mnie – powiedziałam i zaczęłam płakać. Łkałam przez całą drogę powrotną po tamie. Zawodziłam, sądziłam, że płacz ustaje, po czym zawodziłam dalej. Opłakiwałam wszystkie swoje smutki, cały wstyd. Płakałam, ponieważ smutki i wstyd towarzyszyły mi teraz i miały na zawsze przy mnie pozostać. Płakałam, bo brama stała otwarta na oścież, a ja mogłam wreszcie przez nią przejść, wkroczyć do kraju po drugiej stronie, ale bałam się to zrobić.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu w pobliżu mojej szkoły, Havzhiva wziął mnie w ramiona i po prostu przytulił w milczeniu. Dwie kobiety siedzące z przodu ani razu się nie obejrzały.

Weszliśmy do domu Havzhivy, którego wcześniej nie widziałam, starej posiadłości jakiegoś właściciela z okresu korporacji. Havzhiva podziękował ochroniarkom i zatrzasnął drzwi.

– Kucharz ma wolne – oznajmił. – Zamierzałem cię zaprosić do restauracji, ale zapomniałem.

Zaprowadził mnie do kuchni, gdzie znaleźliśmy zimny ryż, sałatkę i wino. Po kolacji Havzhiva popatrzył na mnie nad kuchennym stołem, a potem znowu spuścił wzrok. Jego wahanie kazało mi siedzieć nieruchomo i milczeć. Wreszcie po dłuższej chwili zapytał:

– Och, Rakam, czy pozwolisz mi się z tobą kochać?

– Chcę się z tobą kochać – odparłam. – Nigdy tego nie robiłam. Nigdy się z nikim nie kochałam.

Havzhiva wstał z uśmiechem i wziął mnie za rękę. Weszliśmy na górę, mijając dawne wejście do męskiej części domu.

– Mieszkam w bezie, w haremie – powiedział. – Mieszkam po stronie dla kobiet. Podoba mi się widok z okna.

Weszliśmy do pokoju Havzhivy, a wtedy on zatrzymał się, spojrzał na mnie, po czym

odwrócił wzrok. Byłam przestraszona, oszołomiona, pomyślałam, iż nie zdobędę się na to, by zbliżyć się do niego albo go dotknąć. Zmusiłam się do tego, żeby do niego podejść. Dotknęłam jego twarzy, blizn koło oka i ust, a potem objęłam go. Przytulałam go coraz mocniej i mocniej.

W nocy, kiedy drzemaliśmy spleceni w uścisku, zapytałam:

– Czy spałeś z doktor Yeron?

Powolny, cichy śmiech Havzhivy poczułam w jego brzuchu, który przylegał do mojego.

– Nie. Nie spałem na Yeowe z nikim oprócz ciebie. A ty nie spałaś z nikim oprócz mnie.

Byliśmy dziewczycami, yeowańskimi dziewczycami... Rakam, araha...

Oparł głowę w zagłębieniu mojego ramienia, powiedział coś jeszcze w obcym języku, po czym zapadł w cichy, głęboki sen.

Jeszcze w tym samym roku pojechałam na północ na uniwersytet, gdzie zostałam zatrudniona jako wykładowca historii. Według panujących tam wtedy standardów byłam osobą kompetentną. Pracuję tam do dziś jako wykładowca historii i redaktor w wydawnictwie.

Havzhiva zgodnie z obietnicą był tam niemal stale.

Poprawki do konstytucji zostały przegłosowane w tajnym głosowaniu w osiemnastym roku wolności Yeowe. O wydarzeniach, które do tego doprowadziły, a także o tym, co nastąpiło później, możecie przeczytać w nowej, trzytomowej *Historii Yeowe*, która ukazała się nakładem wydawnictwa uniwersyteckiego. Opowiedziałam historię, o którą mnie proszono. Zamknęłam ją, podobnie jak zamyka się wiele opowieści, połączeniem dwojga ludzi. Czym jest miłość i pragnienie jednego mężczyzny i jednej kobiety wobec historii dwóch światów, wielkich rewolucji naszego czasu, nadziei, niekończącego się okrucieństwa naszego gatunku? Czymś maleńkim. Ale klucz, który otwiera drzwi, też jest przy nich maleńki. Jeśli jednak zgubisz klucz, drzwi mogą na zawsze pozostać zamknięte. W swoich ciałach gubimy lub rozpoczynamy naszą wolność, w swoich ciałach akceptujemy lub kończymy niewolę. Napisałam więc tę książkę dla przyjaciela, z którym żyłam i z którym umrę wolna.

Wiadomości o Werel i Yeowe

1. Wymowa słów

W języku voedeañskim (który jest również językiem Yeowe) i gatajskim samogłoski mają tradycyjną „wartość europejską”: **a** jak w para

e jak w sen
i jak w miły
o jak w okno
u jak w rubin

W języku voedeañskim akcent pada zazwyczaj na przedostatnią sylabę. I tak:

Arkamye – ar-KAM-je

Bambur – BAM-bur

Boeba – bo-E-ba

Dosse – DOS-se

Erod – E-rod

gareot – ga-REJ-ot

Gatay – ga-TA-j

gede – GE-de

Geu – GEJ-u

Hame – HA-me

Hagayot – ha-GA-jot

Hayawa – ha-JA-wa

Kamye – KAM-je

Keo – KE-o

makil – MA-kil

Nadami – na-DA-mi

Noeha – no-E-ha

Ramayo – ra-MA-jo

rega – RE-ga

Rewe – RE-we

San Ubattat – san-u-BA-tat

Seugi – se-U-gi

Shomeke – szo-ME-ke

Suham – su-HA-me

Tazeu – ta-ZEJ-u
Teyeo – te-JE-o
Tikuli – ti-KU-li
Toebawe – to-e-BA-we
Tual – tu-AL lub TŁAL
veot – VE-ot
Voe Deo – vo-e-DEJ-o
Walsu – WAL-su
Werel – WE-rel
Yeowe – je-O-łej
Yeron – JE-ron
Yoke – Jo-ke
Yotebber – jo-TE-ber
Yowa – JO-ła

W nazwiskach zawierających imię bóstw Kamye (Kam) i Tual akcent pada zazwyczaj na ten właśnie człon: **Abberkam** – A-ber-KAM

Batikam – BA-ti-KAM
Rakam – RA-KAM
Sezi-Tual – SE-zi-TŁAL
Tualtak – TUAL-tak

Język hainński

(Niezwykle długie nazwiska rodowe, popularne wśród Hainów, skraca się w mowie potocznej; i tak Mattin-yehedarhed-dyura-ga-mur-uskets zamienia się w Yehedarhed).

araha – a-RA-ha

Ekumena (pochodzi od starodawnego słowa terrańskiego) – EK-ju-me-na **Esdardon**

Aya – ez-DAR-don-A-ja

Havzhiva – HAW-zi-wa

Iyan Iyan – i-JAN-i-JAN

Kathhad – KAT-had

Mezhe – ME-zhe

Stse – STSE

Tiu – TJU

Ve – WE

Yehedarhed – je-he-DAR-hed

2. Planety Werel i Yeowe

Na podstawie *Podręcznika znanych światów*, wydanego w Darrandzie na Hain, w 93. cyklu haińskim, w roku lokalnym 5467.

Rok ekumenalny 2102 jest uznawany za terażniejszość, a daty historyczne określane są jako lata przedterażniejsze (PT).

Układ słoneczny Werel-Yeowe składa się z szesnastu planet orbitujących wokół żółtobiałej gwiazdy (RK-tamo-5544–34). Życie rozwinęło się na trzeciej, czwartej i piątej planecie. Na piątej, zwanej w języku voedeańskim Rakuli, są tylko bezkręgowce formy życia, tolerujące niską temperaturę; planeta ta nie była eksploatowana ani skolonizowana. Trzecia i czwarta planeta, Yeowe i Werel, spełniają haińską normę atmosfery, grawitacji, klimatu i podobnych czynników. Werel została skolonizowana przez Hain w późnym okresie ekspansji, w ciągu ostatniego miliona lat. Najwyraźniej nie istniała tam żadna lokalna fauna, jako że wszystkie formy życia zwierzęcego spotykane na Werel są pochodzenia haińskiego. Na Yeowe nie było żadnego życia zwierzęcego aż do czasu, gdy Werel skolonizowała ją trzysta sześćdziesiąt pięć lat PT.

Werel

HISTORIA NATURALNA

Werel, czwarta planeta od słońca, ma siedem małych księżyców. Jej obecny klimat cechuje chłodna temperatura, która gwałtownie obniża się na biegunach. Flora Werel jest w dużej mierze miejscowa, a fauna, całkowicie pochodzenia haińskiego, została poddana modyfikacji w celu uzyskania kobiozy z lokalną roślinnością, a następnie zmodyfikowana przez adaptację i dryft genetyczny. Do efektów adaptacji ludzkiej należy zaliczyć sine zabarwienie skóry (od czarnej do bladej, z odcieniem niebieskawym) oraz oczy bez widocznych białek. Oba te czynniki świadczą najwyraźniej o przystosowaniu do składników zawartych w widmie promieniowania słonecznego.

Voe Deo – Historia najnowsza: 4000–3500 PT agresywny czarnoskóry lud z południowej strony równika Wielkiego Kontynentu (regionu zamieszkanego obecnie przez naród Voe Deo) najechał i zdominował jasnoskóre ludy północy. Najeźdźcy ustanowili społeczeństwo panów i niewolników według koloru skóry.

Voe Deo jest największym, najliczniejszym i najbogatszym narodem na planecie; wszystkie pozostałe narody na obu półkulach tworzą państwa wasalne, państwa-klientów lub są ekonomicznie zależne od Voe Deo. Gospodarka voedeańska opiera się na

kapitalizmie i niewolnictwie od co najmniej trzech tysięcy lat. Hegemonia Voe Deo umożliwia taki opis Werel, jakby planetę zamieszkiwało jedno społeczeństwo. Ponieważ jednak społeczeństwo to znajduje się w stanie gwałtownych przemian, w naszej relacji użyjemy czasu przeszłego.

KLASY SPOŁECZNE W OKRESIE NIEWOLNICTWA

Klasy: właściciele lub gareoci oraz niewolnicy (pracownicy). Twoją klasą była klasa matki, bez żadnych wyjątków.

Kolor skóry waha się od niebieskoczarnego przez niebieskawy lub szarobeżowy do prawie pozbawionej pigmentu bieli (włosy i oczy są ciemne; inaczej jest tylko u albinosów). W ujęciu idealnym i abstrakcyjnym klasę wyznaczał kolor skóry: właściciele czarni, pracownicy biali. Rzeczywiście wielu właścicieli było czarnych, większość ciemna; niektórzy pracownicy byli czarni, najczęściej beżowi, a niektórzy biali.

WŁAŚCICIELE nosili nazwę mężczyzn, kobiet i dzieci.

Nieprecyzyjne słowo „właściciel” oznaczało pojedynczego człowieka lub rodzinę, która posiadała dwóch lub więcej niewolników.

Właściciel, który miał jednego niewolnika albo nie posiadał ich wcale, był właścicielem bez personelu albo gareotem.

Veot był członkiem dziedzicznej kasty właścicieli-wojowników, która dzieliła się na następujące stopnie: *rega*, *zadyo*, *oga*. Mężczyźni z kasty *veotów* prawie bez wyjątku wstępowali do wojska; większość rodów *veotów* była posiadaczami ziemskimi; większość stanowili właściciele, choć niektórzy byli *gareotami*.

Właścicielki stanowiły podklasę lub kastę podrzędną. W świetle prawa stanowiły własność mężczyzny (ojca, wuja, brata, męża, syna lub opiekuna). Większość obserwatorów utrzymuje, że podział ze względu na płeć w społeczeństwie wereliańskim był równie głęboki i istotny, jak podział pan-niewolnik, jednak mniej widoczny, gdyż przebiegał pionowo; uważano, że właścicielki stoją wyżej niż pracownicy obu płci. Ponieważ kobiety stanowiły własność, same nie mogły nic posiadać, także ludzi; mogły zarządzać własnością.

PRACOWNICY nosili nazwę niewolników, niewolnic, szczeniaków lub młodych. Określenia pejoratywne: *robole*, *brudasy*, *bladziaki*, *biali*.

Lulowie byli niewolnikami do pracy i stanowili własność jednego człowieka lub rodziny. Wszyscy niewolnicy na Werel byli *lulami* z wyjątkiem *makilów* i pracowników-żołnierzy.

Makilów sprzedawano na własność Korporacji Rozrywkowej.

Pracowników-żołnierzy sprzedawano na własność armii.

Kastraci-wyzwoleńcy lub eunuchy byli męskimi niewolnikami, którzy poddawali się kastracji (mniej lub bardziej dobrowolnie) w celu uzyskania wyższego statusu i przywilejów. Historia wereliańska mówi o kilku kastratach-wyzwoleńcach, którzy osiągnęli wielką władzę w różnych rządach; wielu z nich piastowało wpływowe stanowiska na wszystkich szczeblach biurokracji. Panowie, którzy zarządzali stroną osady przeznaczoną dla niewolnic, byli bez wyjątku kastratami-wyzwoleńcami.

Aż do zeszłego stulecia wyzwolenie było bardzo rzadko spotykanym aktem i ograniczało się do kilku słynnych historycznych, legendarnych przykładów, kiedy to lojalność i cnota skłoniły panów do podarowania wolności swoim niewolnikom. Mniej więcej w okresie

wybuchu wojny wyzwolenczej na Yeowe praktyka wyzwolenia stała się na Werel częstsza. Grupa właścicieli zwana Społecznością propagowała zniesienie niewolnictwa. Wyzwolony pracownik był równy gareotowi w sensie prawnym, choć rzadko w sensie społecznym.

W chwili wyzwolenia proporcja pracowników do właścicieli w Voe Deo wynosiła siedem do jednego (około połowy właścicieli stanowili gareoci posiadający co najwyżej jednego pracownika). W biedniejszych krajach ten stosunek był niższy lub proporcje ulegały odwróceniu; w państwach równikowych stosunek pracowników do właścicieli wynosił pięć do jednego. Jeżeli rozpatrywać Werel jako całość, na trzech pracowników przypadał jeden właściciel.

DOM I OSADA

Na wsi, w posiadłościach, na farmach i plantacjach pracownicy mieszkali w osadzie otoczonej płotem lub murem z jedną bramą i wieżyczką obserwacyjną. Osadę przepoławiał rów biegnący równoległe do muru z bramą. „Stronę bramy” zamieszkiwali mężczyźni, „stronę wewnętrzną” kobiety. Dzieci mieszkaly z kobietami, a kiedy chłopcy osiągnęli wiek produkcyjny (osiem do dziesięciu lat), odsyłano ich do długiego domu mężczyzn. Matki, córki, siostry i przyjaciółki dzieliły zazwyczaj wspólnie chatę; w każdej mieszkaly dwie do czterech kobiet wraz z dziećmi. Mężczyźni i dorastający chłopcy mieszkali w barakach przy bramie zwanych długimi domami. Ogrodami kuchennymi zajmowali się ludzie starsi i małe dzieci, które nie chodziły do pracy; starsi zazwyczaj gotowali dla ludzi pracujących. Władzę w osadzie sprawowały babki.

Kastraci-wyzwoleńcy (eunuchy) mieszkali w oddzielnych domach, dobudowanych do muru zewnętrznego. Eunuchy pełniły rolę panów osady, mediatorów między babkami a panami (członkami rodziny właścicieli lub wynajętymi gareotami, którzy odpowiadali za pracowników). Panowie mieszkali poza obrębem osady.

Rodzina właścicieli wraz z zależnymi od siebie pracownikami zajmowała Dom. Termin „Dom” obejmował dowolną liczbę budynków zewnętrznych, kwater nadzorców i stodół dla zwierząt, ale przede wszystkim dotyczył dużego domu dla rodziny. W typowych Domach strona męska (azade) i kobieca (beza) były rozdzielone. Zakres ograniczeń, jakim podlegały kobiety, odzwierciedlał bogactwo, władzę i społeczne aspiracje rodziny. Kobiety z klasy gareotów miały sporą swobodę poruszania się i wyboru zawodu, ale kobiety z rodzin bardzo zamożnych lub znakomitych przebywały w domu i w ogrodzie otoczonym murem, których nigdy nie opuszczały bez licznej męskiej eskorty.

Grupa pracownic mieszkala po stronie kobiecej w charakterze pomocy domowych lub nałożnic właścicieli. Niektóre Domy utrzymywały męską pomoc domową, najczęściej chłopców lub starszych mężczyzn; czasami służącymi byli kastraci-wyzwoleńcy.

W fabrykach, młynach, kopalniach i podobnych miejscach wprowadzono pewne modyfikacje. Tam, gdzie istniał podział pracy, męskie osady znajdowały się pod całkowitą kontrolą wynajętych gareotów; w kobiecych osadach babkom pozwalano utrzymywać porządek, tak jak się to działo w osadach wiejskich. Przeciętna długość życia mężczyzn z męskich osad wynosiła dwadzieścia osiem lat. W okresie niedoboru pracowników, spowodowanego eksportem niewolników na Yeowe we wczesnych latach kolonii, niektórzy właściciele tworzyli spółdzielcze osady rozplodowe, gdzie niewolnice rodziły co rok i wykonywały lekkie prace. Niektóre z tych „reproduktorek” rodziły dziecko rok w rok

przez dwadzieścia lub więcej lat.

Najmici: Wszyscy pracownicy na Werel stanowili własność indywidualną (korporacje na Yeowe zmieniły tę praktykę; posiadały niewolników, którzy nie byli osobistą własnością panów).

W miastach wereliańskich pracownicy mieszkali w posiadłościach swoich właścicieli jako pomoc domowa. W ciągu ostatniego tysiąclecia coraz częściej zdarzało się, że właściciele wypożyczali zbędnych pracowników przedsiębiorstwom lub fabrykom w charakterze wykwalifikowanej lub niewykwalifikowanej siły roboczej. Właściciele lub udziałowcy przedsiębiorstwa nabywali poszczególnych pracowników na własność; przedsiębiorstwo wynajmowało pracowników, sprawowało nad nimi kontrolę i dzieliło zyski. Właściciel mógł żyć z wynajmu dwóch wykwalifikowanych pracowników. W ten sposób najmici i najmitki stali się najliczniejszą grupą pracowników we wszystkich miastach i wielu miasteczkach. Najmici mieszkali we wspólnych osiedlach, domach mieszkalnych zarządzanych przez wynajętych panów z klasy gareotów. Do ich obowiązków należało przestrzeganie ciszy nocnej oraz sprawdzanie wchodzących i wychodzących.

(Proszę zwrócić uwagę na różnicę między wereliańskimi najmitami, wynajmowanymi przez właściciela, a cieszącymi się znacznie większą autonomią yeowańskimi wyzwolenkami, niewolnikami, którzy płacili swemu właścicielowi dziesięcinę lub podatek od dowolnie wybranej pracy, co nosiło nazwę „wynajmu wolności”. Jednym z pierwszych założeń Hame, voedeańskiej grupy walczącej o wyzwolenie pracowników, było wprowadzenie „wynajmu wolności” na Werel).

W większości wspólnych osiedli i wszystkich miejskich posiadłościach istniał podział na azade i bezę, ale niektórzy prywatni właściciele i kompanie pozwalali swoim pracownikom mieszkać w parach, chociaż pracownicy nie mieli prawa się pobierać. Właściciele mogli rozdzielić ich w każdej chwili, z dowolnej przyczyny. Właściciel matki posiadał dzieci wszystkich takich par pracowniczych.

W typowej osadzie kontrolę nad stosunkami heteroseksualnymi sprawowali właściciele, panowie i babki. Ludzie, którzy „przeskakiwali przez rów”, robili to na własne ryzyko. Ideałem właściciela była całkowita separacja męskich i kobiecych pracowników, przy czym panowie zarządzali selektywnym rozmnażaniem. Wybrani jurni pracownicy obsługiwali kobiety w optymalnych okresach, by wyprodukować pożądaną liczbę młodych. Na farmach, gdzie wyzysk był na porządku dziennym, pracownice troszczyły się głównie o to, by uniknąć corocznej ciąży. Jeżeli właściciele okazywali dobrą wolę, babki i kastracywyzwolenicy często potrafili uchronić dziewczęta i kobiety przed gwałtem, czasami nawet kojarzyli pary miłosne. Właściciele i babki przeciwstawiali się jednak powstawaniu trwałych związków, a prawo i obyczaje Werel nie zezwalały na żadną formę małżeństwa niewolników.

RELIGIE

Religią państwową w Voe Deo był kult Tual, podobnej do Kuan-Jin macierzyńskiej bogini pokoju i przebaczenia. W sensie filozoficznym Tual jest uważana za najważniejsze wcielenie Amy, Ducha Stwórcy. Historycznie Tual stanowi amalgamat wielu lokalnych i naturalnych bóstw, a w niektórych rejonach staje się wieloma z nich. Wprowadzanie religii narodowej zazwyczaj towarzyszyło hegemonii voedeańskiej w innych krajach,

choć religia ta nie ma charakteru misjonarskiego czy agresywnego. Kapłani tualicy mogli piastować wysokie stanowiska w rządzie i faktycznie to robili. Właściciele zachowali tualickie wizerunki i kult we wszystkich osadach niewolniczych, zarówno na Werel, jak i na Yeowe. Tualizm był religią właścicieli. Praktyka tualizmu została narzucona pracownikom i choć włączyli oni do swoich rytuałów pewne aspekty tualickiej mitologii i wierzeń, większość z nich była kamiytami. Kapłani tualicy uważali Kamye za Niewolnika, pomniejszy aspekt Amy, toteż tolerowali praktykę kamiycką (która nie wykształciła oficjalnego kleru) wśród niewolników i żołnierzy (większość veotów była kamiytami).

Arkamye albo *Życie Miecznika Kamye* (Kamye jest także Pasterzem, bóstwem myśliwskim i Niewolnikiem, który od dawna przebywa na służbie u Pana Zmierzchu) to epos, który pracownicy praktycznie na całym świecie uznali około trzech tysięcy lat temu za źródło swojej religii. *Arkamye* kultywuje cnoty niewolniczo-wojownicze, jak posłuszeństwo, odwaga, cierpliwość i bezinteresowność, a ponadto duchową niezależność, stoicką obojętność wobec spraw tego świata oraz żarliwy mistycyzm. Rzeczywistość można przezwyciężyć tylko przez uwolnienie tego co iluzoryczne. Pracownicy i veoci włączyli Tual do swojej religii, uznając ją za wcielenie Kamye, który z kolei stanowi inkarnację Amy. „Etapy życia” oraz „wejście w ciszę” są koncepcjami mistycznymi i praktykami wspólnymi dla kamiytów i tualitów.

RELACJE Z EKUMENĄ

Pierwszy wysłannik (ER 1724) spotkał się z najwyższą podejrzliwością. Po tym, jak pilnie strzeżona delegacja otrzymała zgodę na zejście na ląd ze statku „Hugum”, propozycja zawarcia przymierza została odrzucona. Rząd Voe Deo i jego sojusznicy zakazali obcym wstępu do układu planetarnego. Następnie Werel, pod przywództwem Voe Deo, weszła w fazę gwałtownego, konkurencyjnego rozwoju technologii kosmicznych oraz intensyfikacji wszystkich przedsięwzięć przemysłowych. Przez wiele dziesięcioleci voedeński rząd, przemysł i wojsko żyły w paranoicznym oczekiwaniu zbrojnego powrotu obcych. Właśnie ten rozwój doprowadził w ciągu zaledwie trzynastu lat do kolonizacji Yeowe.

Przez następne trzy stulecia Ekumena co pewien czas kontaktowała się z Werel. Wymiana informacji została zainicjowana na żądanie uniwersytetu w Bamburze, do którego przyłączyło się konsorcjum uniwersytetów i instytutów badawczych. Wreszcie, po ponad trzystu latach, Ekumena otrzymała zezwolenie na przysyłanie kilku obserwatorów. Podczas wojny wyzwolenczej na Yeowe Ekumenę zaproszono do przysyłania ambasadorów do Voe Deo i Bamburu, a następnie wysłanników do Gatay, Czterdziestu Państw i innych narodów. Przez pewien czas nieprzestrzeganie Konwencji Zbrojeniowej nie pozwalało Werel na wejście do Ekumeny, pomimo nacisku ze strony Voe Deo na inne kraje, które upierały się przy zachowaniu uzbrojenia. Po zniesieniu Konwencji Zbrojeniowej planeta Werel wstąpiła do Ekumeny, trzysta pięćdziesiąt lat po nawiązaniu pierwszego kontaktu i czternaście lat po zakończeniu wojny wyzwolenczej.

Wereliańscy właściciele uważali, że kolonia Yeowe, jako własność korporacji nieposiadającej własnego rządu, nie może być członkiem Ekumeny. Ekumena nadal

kwestionowała prawo Czterech Korporacji do władzy nad planetą i jej mieszkańcami. W ostatnich latach wojny wyzwolenczej Partia Wolności zaprosiła obserwatorów ekumenalnych na Yeowe, a zainstalowanie tam stałego wysłannika zbiegło się z końcem wojny. Ekumena pomogła Yeowe w negocjacjach, które położyły kres kontroli ekonomicznej, jaką sprawowały nad planetą korporacje i rząd Voe Deo. Partii Światowej o mały włos nie udało się wygnać obcych i Werelianów z planety, ale kiedy ten ruch się załamał, Ekumena popierała rząd tymczasowy aż do momentu, w którym można było przeprowadzić wybory. Yeowe wstąpiła do Ekumeny w jedenastym roku wyzwolenia, trzy lata po Werel.

Yeowe

HISTORIA NATURALNA

Yeowe, trzecia planeta od słońca, ma klimat ciepły umiarkowany z niewielkimi wahaniami.

Życie na poziomie bakterii istnieje od bardzo dawna, jest zróżnicowane, o wielkich zdolnościach adaptacyjnych. Pewną liczbę mikroskopijnych gatunków morskich definiuje się jako zwierzęta; pozostałą część życia biologicznego planety stanowią rośliny.

Na lądzie żyło wiele różnorodnych gatunków roślin, fotosyntezujących lub saprofitów. W większości to rośliny osiadłe, zdarzały się też „pełzacze”, rośliny zdolne do powolnego poruszania się, żyjące w koloniach lub indywidualnie. Głównymi dużymi formami życia były drzewa. Prawie cały Kontynent Południowy porastał las tropikalny, ciągnący się od wybrzeży do Pasma Polarnego i tajgi antarktycznej. Wielki Kontynent, zalesiony na dalekiej północy i południu, miał krajobraz stepowy i sawannowy na wyżej położonych obszarach centralnych, równiny nadmorskie zaś pokrywały rozległe bagna. Z uwagi na brak zwierząt zapylających i roznoszących nasiona rośliny na wiele sposobów pożytkowały wiatr i deszcz w celu zapładniania krzyżowego i zajmowania nowych biotopów. Wytwarzały różnorodne nasiona: wybuchające, skrzydełkowe, siateczki nasienne, które chwyta wiatr i przenosi na duże odległości, „ryjące”, pływające, z ruchomymi śmigielkami, rzęskami i temu podobne.

W ciepłych i względnie płytkich morzach oraz na nadmorskich mokradłach żyła wielka różnorodność roślin osiadłych i pływających – plankton, wodorosty oraz podobne do koralowców i gąbek, tworzące trwałe, głównie krzemowe konstrukcje, a także unikatowe rośliny, jak żeglarz i wodorost lustrzany. Rozległe, połączone ze sobą maty liliowe były tak skutecznie zbierane przez korporacje, że gatunek wyginął w ciągu trzydziestu lat.

Bezmyślne wprowadzanie wereliańskich roślin i zwierząt doprowadziło do wyginięcia lub przetrzebienia około sześćdziesięciu procent lokalnych gatunków, w czym dopomogły zanieczyszczenia przemysłowe i wojna. Właściciele przywieźli jelenie, psy myśliwskie i konie do polowań. Jelenie rozmnażały się w najlepsze i zniszczyły znaczną część środowiska naturalnego. Większość wprowadzonych gatunków zwierzęcych się nie przyjęła. Do zwierząt wereliańskich, którym udało się przetrwać, należą: ptaki (ptactwo domowe, sprowadzone do polowań lub jako drób; ptaki śpiewające wypuszczono na wolność i kilka gatunków zaadaptowało się i przetrwało), foksteriery i koty łaciate (zwierzęta domowe),

bydło (domowe; wiele dzikich stad żyje na opuszczonych obszarach),

jelenie (dzikie, zaadaptowane do terenów podmokłych),

koty myśliwskie (powtórnie zdziczały, rzadki gatunek występujący na mokradłach).

Wprowadzenie niektórych gatunków ryb do rzek okazało się katastrofalne dla życia roślinnego, a ryby, które przetrwały, zostały wytrute. Wszystkie próby wprowadzenia ryb oceanicznych spełzły na niczym.

Podczas wojny wyzwolenczej konie wybito jako symbol własności. Nie ocalał żaden.

KOLONIA: PIERWSI OSADNICY

Pierwsze rakiety wereliańskie dotarły na Yeowe trzysta sześćdziesiąt pięć lat PT. Rozpoczął się okres energicznych eksploracji, wykreślenia map i wydobywania złóż naturalnych. Korporacja Kopalń Yeowańskich, znajdująca się prawie w całości w rękach voedezańskich inwestorów, otrzymała wyłączne prawo do eksploatacji złóż. Po upływie dwudziestu pięciu lat większe i bardziej wydajne statki sprawiły, że wydobywanie zaczęło przynosić zyski. KKY regularnie wysyłała niewolników na Yeowe, a rudy i minerały na Werel.

Następnym ustanowionym wielkim stowarzyszeniem była Korporacja Lasów Drugiej Planety, która zajmowała się wycinaniem i wysyłaniem drewna yeowańskiego na Werel, gdzie ekspansja przemysłu i populacji doprowadziła do drastycznego przetrzebienia lasów.

Pod koniec pierwszego wieku główną gałęzią przemysłu stała się eksploatacja oceanów, a zbiór mat liliowych przynosił Korporacji Spedytorów Yeowańskich ogromne zyski. Po całkowitym wyczerpaniu tego bogactwa KSY zaczęła wylawiać i przetwarzać inne gatunki morskie, zwłaszcza bogaty w olej morskczyn.

W pierwszym wieku kolonii Korporacja Plantacji Yeowe rozpoczęła systematyczną uprawę sprowadzonych zbóż, owoców oraz gatunków lokalnych, jak trzcina i owoc pini. Ciepły, łagodny klimat panujący na większości obszaru Yeowe, a także brak owadów i pasożytów (co zawdzięczano skrupulatnemu przestrzeganiu kwarantanny) pozwoliły na niezwykle rozwój rolnictwa.

Indywidualne przedsięwzięcia tych czterech korporacji oraz rejony, w których działały, zarówno w dziedzinie górnictwa, jak i leśnictwa, gospodarki morskiej i rolnictwa, nosiły nazwę plantacji.

Cztery wielkie korporacje zachowywały całkowitą kontrolę nad produktami, chociaż na przestrzeni dziesięcioleci stoczono wiele bitew (prawnych i fizycznych) o prawa do eksploatacji danego rejonu. Żadne konkurencyjne stowarzyszenie nie było w stanie przełamać monopolu korporacji, które cieszyły się pełnym poparciem – militarnym, politycznym i naukowym – rządu w Voe Deo, głównego beneficjenta zysków korporacji. Głównymi inwestorami w korporacjach był zawsze rząd i kapitaliści z Voe Deo. Za pierwszych osadników Voe Deo było potężnym krajem, a po trzech stuleciach kolonii stało się zdecydowanie najbogatszym krajem na Werel, który dominował nad wszystkimi pozostałymi i je kontrolował. Kontrola Voe Deo nad korporacjami na Yeowe miała jednak charakter czysto nominalny. Voe Deo prowadził z nimi negocjacje jak z suwerennymi mocarstwami.

ZALUDNIENIE I NIEWOLNICTWO

W ciągu pierwszych stu lat korporacje, posiadające całkowity monopol na transport niewolników za pośrednictwem Kartelu Międzyplanetarnego, wysyłały do kolonii Yeowe wyłącznie mężczyzn. W pierwszym wieku wysoki procent tych niewolników pochodził z biedniejszych narodów Werel; później, kiedy rozmnażanie niewolników na rynki yeowańskie zaczęło przynosić zyski, coraz większą ich liczbę przysyłano z Bamburu, Czterdziestu Krajów i Voe Deo.

W tym okresie liczba ludności wzrosła do około czterdziestu tysięcy właścicieli (w osiemdziesięciu procentach mężczyzn) oraz około ośmiuset tysięcy niewolników (wyłącznie mężczyzn).

Powstało kilka eksperymentalnych „miast emigracyjnych”, osad gareotów (właściciele bez niewolników), których mieszkańcy pracowali głównie w młynach i sektorze usługowym. Osady te były początkowo tolerowane, lecz zostały zlikwidowane przez korporacje, które skłoniły rządy wereliańskie do ograniczenia emigracji do personelu korporacyjnego. Gareockich osadników odesłano z powrotem na Werel, a w zakładach usługowych, które zdążyli założyć, zatrudniono niewolników; dlatego klasa średnia mieszczaństwa i kupiectwa na Yeowe składała się z częściowo niezależnych niewolników (wyzwoleńców), a nie z gareotów i najmitów jak na Werel.

Ceny niewolników stale rosły, ponieważ korporacje, a w szczególności Korporacja Kopalń i Plantacji, nie oszczędzały niewolników (przewidywana długość życia produkcyjnego niewolnika w pierwszym wieku wynosiła pięć lat). Indywidualni posiadacze coraz częściej przemycali niewolnice do posług seksualnych i domowych. Wreszcie korporacje ugięły się pod naciskiem, dokonały zmian prawnych i zezwoliły na import niewolnic (238 rok PT).

Początkowo niewolnice, uważane za inwentarz rozplodowy, nie miały prawa opuszczać osad na plantacjach. Kiedy ich użyteczność we wszystkich rodzajach pracy stała się ewidentna, większość plantatorów złagodziła te restrykcje. Mimo to niewolnice musiały się dopasować do liczącego sobie sto lat systemu społecznego niewolników, w który weszły jako klasa podrzędna, niewolnice niewolników.

Na Werel własność prywatną stanowili wszyscy pracownicy z wyjątkiem makilów (kupowanych od właścicieli przez Korporację Rozrywkową) oraz pracowników-żołnierzy (kupowanych od właścicieli przez rząd). Na Yeowe wszyscy niewolnicy stanowili własność korporacji, które kupowały ich od wereliańskich właścicieli. Żaden niewolnik na Yeowe nie mógł być własnością prywatną ani nie mógł zostać wyzwolony. Nawet prawo własności tych, których nabywano jako osobistych służących, takich jak pokojówki żon plantatorów, przechodziło na korporacje, do której należała plantacja.

Wyzwalanie niewolników było z początku zakazane, ale status wyzwolenca stawał się coraz bardziej powszechny. Wyzwoleńcy najmowali się do różnych zajęć i „wypożyczali wolność”, płacąc jednej korporacji lub kilku miesięczny lub roczny podatek (zazwyczaj około pięćdziesięciu procent) za swoją niezależną pracę. Większość wyzwolenców dzierżawiła ziemię, pracowała w sklepach, młynach i w sektorze usługowym; w trzecim wieku kolonii profesjonalna klasa wyzwolenców zakorzeniła się w miastach.

Pod koniec trzeciego wieku, kiedy przyrost naturalny nieco się zmniejszył, Yeowe zamieszkiwało około czterystu pięćdziesięciu milionów ludzi, a proporcja właścicieli do niewolników wynosiła mniej niż jeden do stu. Około połowy populacji niewolników stanowili wyzwolenicy (dwadzieścia lat po wyzwoleniu Yeowe znowu zamieszkiwało

czterysta pięćdziesiąt milionów wolnych ludzi).

Pierwotna męska struktura społeczna na plantacjach stała się podwaliną pod społeczeństwo niewolników. Już we wczesnej fazie załogi pracownicze przekształciły się w grupy społeczne (zwane gangami), gangi zaś w plemiona, z których każde posiadało następującą hierarchię władzy: nad członkami plemienia stał nadzorca lub wódz, nad nim pan, nad nim właściciel, a nad właścicielem korporacja. Niewola, współzawodnictwo, rywalizacja, przywileje homoseksualne oraz adopcja zostały zinstytucjonalizowane i skodyfikowane. Bezpieczeństwo zapewniała niewolnikowi tylko przynależność do plemienia i dokładne przestrzeganie jego zasad. Niewolnicy, których sprzedawano z plantacji, musieli służyć jako niewolnicy niewolników, często przez wiele lat, zanim przyjmowano ich do plemienia.

Kiedy zaczęto sprowadzać kobiety, większość z nich przechodziła na własność zarówno plemienia, jak i korporacji. Korporacje do tego zachęcały. Odpowiadała im sytuacja, w której niewolnice znajdowały się pod kontrolą plemion, a plemiona pod kontrolą korporacji.

Opozycję i bunt, które nigdy nie zdołały przybrać szerokiego zasięgu, zawsze brutalnie dławiono w zarodku przy użyciu nieskończenie lepszego uzbrojenia. Nadzorcy i wodzowie współpracowali z panami, którzy, występując w interesie właścicieli i korporacji, wykorzystywali rywalizację pomiędzy plemionami oraz wewnętrzne walki o władzę, utrzymując jednocześnie całkowite embargo na „ideologię”. Pod tym ostatnim słowem rozumieli wykształcenie i każdą formę informacji pochodzącą spoza plantacji. (Jeszcze w drugim wieku na większości plantacji zdolność czytania uchodziła za zbrodnię. Niewolnika przyłapanego na czytaniu oślepiano kwasem albo wyłupywano mu oczy. Niewolnikowi, którego przyłapano na słuchaniu radia lub korzystaniu z sieci, przebijano bębenki w uszach rozgrzanym do białości drutem. Listy odpowiednich kar obowiązujących w korporacjach i na plantacjach były długie, szczegółowe i jasno sformułowane).

W drugim wieku, kiedy na większości plantacji pojawił się nadmiar niewolników, rosła liczba mężczyzn i kobiet migrujących do „obszarów sklepowych” prowadzonych przez wyzwolenców. W ciągu dziesięcioleci „obszary sklepowe” przerodziły się w miasteczka, a te z kolei w miasta zamieszkałe tylko przez wyzwolenców.

Chociaż pesymistycznie nastrojeni posiadacze zaczęli ostrzegać przed rosnącymi rozmiarami i niezależnością „brudasogrodów” i „służbówek”, korporacje uważały, że miasta znajdują się pod całkowitą kontrolą. Zakazano budowy dużych domów i wszelkich fortyfikacji; posiadanie broni palnej karano wypruciem wnętrza; żaden niewolnik nie miał prawa prowadzić obiektu latającego; korporacja pilnie strzegła surowców i technologii przemysłowych, dzięki którym niewolnicy lub wyzwolenci mogliby się zaopatrzyć w broń.

W miastach istniały szkoły. Pod koniec drugiego wieku kolonii korporacje, które cenzorowały, filtrowały i przeinaczały informacje, formalnie zezwoliły na edukację dzieci wyzwolenców i niektórych dzieci z plemion do czternastego roku życia. Społeczności niewolnicze mogły zakładać szkoły, sprzedawać im podręczniki i inne materiały. W trzecim wieku założyły i utrzymywały miejską sieć informacyjną i rozrywkową. Rosła wartość wykształconych pracowników. Ograniczenia plemion stawały się coraz bardziej wyraźne. Wodzowie i panowie, w większości konserwatywni, nie potrafili lub nie chcieli zmienić dotychczasowych praktyk w okresie, kiedy z powodu nadmiernego

wykorzystywania bogactw naturalnych planety pojawiła się konieczność radykalnych zmian metod i celów. Stało się jasne, że zyski na Yeowe będą w coraz większym stopniu pochodzić nie z kopalni odkrywkowych, wycięcia lasów i monokulturowej uprawy ziemi, ale z nowoczesnego przemysłu, fabryk obsadzonych wyszkolonymi robotnikami zdolnymi uczyć się nowych technologii.

Na Werel, w kapitalistycznym społeczeństwie niewolników, pracę wykonywali ludzie. Pracę niewolniczą, zarówno fizyczną, jak i wymagającą wysokich kwalifikacji, wykonywano ręcznie, posługując się elegancką, ale całkowicie podrzędną technologią. „Najlepszą i najtańszą maszyną jest wyszkolony pracownik”, mawiano. Nawet wyroby wysokiej technologii wytwarzano na modłę tradycyjnego rękodziela. Jakość produktów była bardzo wysoka, lecz ani na szybkość produkcji, ani na ilość nie kładziono szczególnego nacisku.

Na Yeowe pod koniec trzeciego wieku, kiedy próby eksportu surowców spełzły na niczym, niewolników zaczęto wykorzystywać w inny sposób. Skonstruowano taśmę produkcyjną, która miała nie tylko przyspieszyć produkcję i obniżyć jej koszty, ale także ukryć przed robotnikiem całość procesu produkcyjnego. Korporacja Drugiej Planety odrzuciła ze swojej nazwy słowo „Lasów” i stanęła na czele nowego przemysłu. KDP szybko prześcignęła dawnych potentatów, Korporację Kopalń i Korporację Rolnictwa, czerpiąc ogromne zyski ze sprzedaży masowo produkowanych towarów biedniejszym narodom na Werel. W okresie powstania ponad połowa wyzwolenców z Yeowe stanowiła własność Korporacji Drugiej Planety bądź była przez nią wynajmowana.

W młynach i miastach związanych z młynami dochodziło do większych niepokojów społecznych niż na plantacjach plemiennych. Kierownictwo korporacji przypisywało to większej liczbie „niekontrolowanych” wyzwolenców, wielu ludzi chciało zamknięcia szkół, zburzenia miast i przywrócenia zamkniętych osad dla wszystkich niewolników. Miejska milicja korporacyjna (gareoci wynajmowani i przywożeni na Werel oraz oddział policji złożony z nieuzbrojonych wyzwolenców) urosła do rozmiarów sporej armii dobrze uzbrojonych gareotów. Wiele zamieszek w miastach oraz prób protestu obierało sobie za cel młyny korzystające z taśm produkcyjnych. Robotnicy, którzy czując się częścią zrozumiałego procesu, tolerowaliby bardzo ciężkie warunki, uznali bezsensowną pracę za nie do zniesienia, chociaż ich sytuacja pod pewnymi względami się poprawiła.

Jednak ruch wyzwolenny nie rozpoczął się w miastach, ale w osadach na plantacjach.

POWSTANIE I WYZWOLENIE

Powstanie zapoczątkowały organizacje kobiece na plantacjach Wielkiego Kontynentu, które połączyły siły, by przeciwstawić się rytualnemu gwałceniu dziewczynek i domagać się wprowadzenia plemiennych kar za seksualne molestowanie niewolnic przez niewolników, gwałt zbiorowy oraz bicie i mordowanie kobiet, co było bezkarne.

Organizacje zwane Klubami Kobiecymi zaczęły od edukowania kobiet i dzieci obojga płci oraz domagały się proporcjonalnego rozkładu głosów w radach plemiennych, w których zasiadali wyłącznie mężczyźni. Kluby Kobiece tworzone na obu kontynentach w trzecim wieku kolonii. Przemyciły tak wiele dziewcząt i kobiet z plantacji do miast, że wodzowie i panowie zaczęli się skarżyć korporacjom. Członków plemion i panów zachęcano do „wchodzenia do miast i odzyskiwania swoich kobiet”.

Wypadki te, którym często przewodziła policja z plantacji, a miejska milicja korporacyjna udzielała wsparcia, często przeprowadzano z ogromną brutalnością. Wyzwolenicy z miast, nieprzyzwyczajeni do takiej przemocy, która na plantacjach była na porządku dziennym, reagowali wściekłością. Ściągnięto niewolników z miast, by walczyli u boku kobiet.

W 61 roku PT w prowincji Eyu w miasteczku Soyeso udany opór niewolników przed obławą policji z plantacji Nadami doprowadził do ataku na samą plantację. Baraki policyjne spalono. Niektórzy z wodzów Nadami przyłączyli się do powstania i otworzyli bramy osad przed rebeliantami, a inni bronili swoich właścicieli w Domu. Pewna niewolnica otworzyła drzwi arsenału i po raz pierwszy w historii kolonii Yeowe duża grupa niewolników uzyskała dostęp do groźnej broni. Doszło do masakry właścicieli, którą udało się jednak częściowo zahamować; większości dzieci z Domu oraz dwudziestu kobietom i mężczyznom darowano życie, wsadzono ich do pociągu do stolicy. Żadnemu dorosłemu niewolnikowi, który stanął po stronie właścicieli, nie okazano litości.

Powstanie rozprzestrzeniło się z Nadami na trzy sąsiednie plantacje. Wszystkie plemiona włączyły się do walki i pokonały siły korporacji w szybkiej, gwałtownej bitwie pod Nadami. Niewolnicy i wyzwolenicy z sąsiednich prowincji napływali do Eyu. Wodzowie, babki z osad oraz przywódcy powstania spotkali się w Nadami i proklamowali prowincję Eyu wolnym krajem.

Naloty bombowe oraz oddziały piechoty korporacji zdławiły powstanie w ciągu dziesięciu dni. Schwytych rebeliantów poddano torturom i stracono. Szczególnie bezlitośnie potraktowano miasteczko Soyeso – wszystkich ludzi, którzy tam pozostali, głównie dzieci i starszyznę, zapędzono na place, a następnie rozjechano ciężarówkami do przewozu rudy. Nazywano to „brukowaniem brudem”.

Zwycięstwo korporacji okazało się łatwe i szybkie, ale zaraz po nim wybuchały kolejne powstania na innych plantacjach; tu wymordowano rodzinę właściciela, tam zastrajkowali miejscy wyzwolenicy. Fala zamieszek ogarnęła cały świat.

Walki nie ustawały. Wiele ataków na arsenały na plantacjach i milicyjne baraki zakończyło się sukcesem. Powstańcy mieli teraz broń, a poza tym nauczyli się wytwarzać bomby i miny. Uzyskali przewagę w wojnie zaczepnej prowadzonej w dżunglach i na mokradłach. Stało się jasne, że korporacje potrzebują więcej broni i ludzi. Sprowadzono najemników z uboższych krajów Werel, ale nie wszyscy okazali się lojalni i skuteczni. Korporacje przekonały rząd w Voe Deo, by zaczął chronić własne interesy i wyznaczył oddziały do obrony właścicieli z Yeowe. Początkowo rząd się ociągał, ale dwadzieścia trzy lata po Nadami postanowił zdławić zamieszki raz na zawsze, wysyłając czterdzieści pięć tysięcy ludzi, samych veotów (członków dziedzicznej kasty wojowników) lub właścicieli-ochotników.

Wojna na Yeowe, która skończyła się siedem lat później, pochłonęła trzysta tysięcy żołnierzy z Werel; większość z nich pochodziła z Voe Deo, a wszyscy byli veotami.

Jeszcze na kilka lat przed zakończeniem wojny korporacje zaczęły wycofywać swoich ludzi z Yeowe. W ostatnim roku walk na planecie nie było już ani jednego cywila.

W ciągu trzydziestu lat wojny wyzwolenczej niektóre plemiona i wielu niewolników stanęło po stronie korporacji, które obiecały im bezpieczeństwo, nagrody, a ponadto dostarczały broni. Nawet w okresie wyzwolenia toczyły się bitwy pomiędzy rywalizującymi plemionami. Po wycofaniu się korporacji i wojska wojny międzyplemienne wybuchały na obszarze całego Wielkiego Kontynentu. Żaden rząd centralny nie był w

stanie się utrzymać aż do czasu, kiedy Partia Światowa Abberkama, która pokonała Partię Wolności w wielu wyborach lokalnych, znalazła się o krok od zorganizowania pierwszych wyborów do Rady Światowej. W drugim roku wyzwolenia Partia Światowa nagle się rozsyłała z powodu oskarżeń o korupcję. Wysłannicy Ekumeny (zaproszeni na Yeowe przez Partię Wolności w ostatnim roku wojny) poparli Partię Światową w jej dążeniach do wcielenia w życie konstytucji i zorganizowania wyborów. Pierwsze wybory (w trzecim roku wyzwolenia), rozpisane przez Partię Wolności, wprowadziły nową konstytucję. Kobiety nie miały prawa głosować, wiele głosów plemiennych zostało oddanych przez samych wodzów, niektóre hierarchiczne struktury plemienne zachowano i zalegalizowano. W okresie tworzenia się wolnego społeczeństwa Yeowe doszło do jeszcze kilku gwałtownych wojen plemiennych, niepokoju i protestów. Yeowe przystąpiła do Ekumeny w jedenastym roku wyzwolenia, 19 roku PT, i jeszcze w tym samym roku na planetę wysłano pierwszego ambasadora. W wolnych, powszechnych wyborach, które odbyły się w osiemnastym roku od wyzwolenia, wprowadzono znaczące poprawki do konstytucji, zapewniające prawo do tajnego głosowania wszystkim osobom powyżej osiemnastego roku życia oraz gwarantujące wolne prawa dla wszystkich obywateli.

O Yeowe

O, o, Ye-o-we,

Stamtąd nigdy nie wraca nikt.

Antropolog w kosmosie

Recenzja Iana Watsona książki Ursuli Le Guin Cztery drogi ku przebaczeniu

Zwycięzać lub przegrywać, wewnętrzny lub zewnętrzny, otwarty lub zamknięty, rzeka lub skała. Proza Ursuli Le Guin jest pełna takich zgrabnych, silnych antytez, które funkcjonują w obrębie większego, zbalansowanego wzoru. Francuski antropolog Claude Levi Strauss także skoncentrował się na opozycjach binarnych, na których oparł swój system antropologii strukturalnej. Le Guin, wywodząca się z rodziny antropologów, jest całkowicie *au fait* ze wzorami pokrewieństwa i podobnymi pojęciami. Pokrewieństwa Le Guin rozciągają się jednak daleko w czasie i przestrzeni międzygwiazdnej. W jej fikcyjnym świecie, zdominowanym przez planetę Hain, ramy czasowe obejmują okres od trzech milionów lat temu, kiedy mieszkańcy Hain zaludnili wiele światów, także Ziemię, do kilku tysięcy lat później, kiedy to Ekumena, Organizacja Narodów Zjednoczonych kosmosu, jest w trakcie powolnego łączenia tych zaawansowanych w rozwoju, odmiennych społeczeństw. Światy Le Guin są idealnymi płytkami Petriego do eksperymentów z dziedziny antropologii, ideologii i satyry.

Światy haińskie pojawiają się we wczesnych powieściach przygodowych Le Guin spod znaku science fiction, a także w jej dwóch arcydziełach, *Lewej ręce ciemności*, w której dochodzi do przemieszania płci, oraz w dwuznacznej utopii *Wydziedziczeni*. Wydawało się, że od czasu jej kanonizacji na jedną z czołowych postaci literatury Le Guin zostawiła regiony międzygwiazdne za sobą. Ale iść oznacza powracać, jak by powiedziała, używając jednego z treściwych taoistycznych sformułowań, które przenikają jej dzieło.

W kwartecie połączonych ze sobą dłuższych opowiadań, które składają się na *Cztery drogi ku przebaczeniu*, poznajemy niewolnicze społeczeństwo planety Werel i jej kolonię na Yeowe w okresie rewolucyjnych zmian i kontaktów z „obcą” Ekumeną. Nie jest to jednak wszystko. Mamy tu jeszcze ukryty dialog z feministycznymi krytykami, którzy besztali Le Guin za ukazywanie mężczyzn jako sprawców, a kobiety jako bardziej bierne źródła bytu.

W znacznej części życia na Werel rozpoznajemy, w przejaskrawionych barwach, nasz własny świat jako odbicie lustrzane lub do góry nogami. Planeta rozbrzmiewa głośnymi echami z Ziemi, z plantacji bawełny, apartheidu, wojny wietnamskiej. Dominujący na Werel czarni zniewolili białych, czyniąc ze sformułowania „Czarne jest piękne” raczej aksjomat represji niż okrzyk wojenny. Czarni zinstytucjonalizowali podziały między właścicielami a dobytkiem, które cechuje jeszcze silniejsza dominacja mężczyzn niż

przedstawiona przez Margaret Atwood w *Opowieści podręcznej*.

Trzeba przyznać, że Le Guin podejmuje duży wysiłek, by unikać nadmiaru absolutów – granice koloru skóry, płci i ekonomii nie są ostre. Niewolnicy mogą prowadzić własne interesy, płacąc właścicielom dziesięcinę. Wielu niewolników zostaje eunuchami, osiąga pozycję, władzę, a nawet stanowiska w rządzie; chociaż niewiele dowiadujemy się o życiu eunucha, możemy wiele przeczytać o wykorzystywaniu seksualnym i gwałtach, jakich dopuszczają się panowie. Zorganizowanym kobietom z niższej warstwy społecznej udaje się wzniecić powstanie jedynie po to, by w nowym społeczeństwie Wolnych Mężczyzn zajęły pozycję ludzi upośledzonych.

Dwa pierwsze opowiadania kładą nacisk na związki i zgodę. Nauczycielka z Yeowe, melancholijna, a przy tym niespokojna, postanawia pędzić samotny, uduchowiony żywot na bagnach. Pokonując własny opór, zaczyna się opiekować zniesławionym, ale trapiącym niepokojem demagogiem. Oboje są starzy i pokonani, ale odnajdują harmonię i zaufanie.

W drugim opowiadaniu pełna życia młoda kobieta z Ekumeny próbuje obalić tyranie mężczyzn za pomocą własnego przykładu. Jej zachowanie wywołuje oburzenie i spotyka się z pogardą ochroniarza bohaterki, którego stoickie poczucie obowiązku zostało, podobnie jak u wielu wietnamskich weteranów, zdradzone.

Zagubieni „patrioci” porywają niedobraną parę. Politycy postanawiają, że więźniowie muszą umrzeć. W ponurych warunkach niewoli kobieta opiekuje się mężczyzną, powoli rosną ich wzajemny podziw i zrozumienie. On zdaje sobie sprawę z jałowości swego patriotyzmu. Ona przyznaje się do własnego kołtuństwa. Koniec końców „trzymanie się tego, co szlachetne” staje się ważne dla nich obojga.

Trzecie opowiadanie, *Człowiek ludu*, zaczyna się jako doskonały paradygmat opowieści antropologicznej. Historycy hainscy, którzy mają za sobą trzy miliony lat, stają przed niemożnością studiowania „niekończących się powtórzeń nowości”. Można zaryzykować twierdzenie, że ten przeblask intuicji usprawiedliwia całą książkę.

Jeżeli nasz gatunek przetrwa, to kto za milion lat będzie w stanie dowiedzieć się czegośkolwiek o Homerze, Napoleonie lub Szekspirze, nawet jeśli wiedza pozostanie dostępna?

Hain jest światem puebli i wioski o bardzo różnych i arbitralnych systemach wierzeń i zwyczajów, podtrzymywanych za ogólną zgodą. Schemat ten wzbogaca życie obywateli o wymiar mityczny. W ośrodkach zaawansowanej technologii, gdzie rozsiewa się fakty i rozum, ludzie rozczarowani tajemnicą odkrywają aspekt społeczny jako przeciwieństwo naukowego; wiedza jest zawsze lokalna i kulturowo względna.

Były mieszkaniec puebla traci swój lokalny świat i zostaje wysłannikiem na Yeowe. Pada ofiarą napaści patriotów, jest pielęgnowany przez wielkoduszną kobietę (powtarzający się temat), by wreszcie zaangażować się w walkę o emancypację kobiet.

Wyzwolenie kobiet opisuje życie kobiety, którą pokochał bohater poprzedniego opowiadania, dawnej niewolnicy z Werel, która była seksualnie wykorzystywana w dzieciństwie. Kobieta zostaje uwolniona na mocy katastrofalnego, nieodpowiedzialnego aktu ambitnego idealizmu, a po długich zmaganiach znajduje prawdziwą wolność i miłość. Nurt miłości, jaki płynie przez te cztery opowiadania, ma niezwykle istotne znaczenie. Bez niego wymowa książki byłaby nieznośnie przygnębiająca, jak u tych Amerykanów, którzy karykaturują brytyjską science fiction i przedstawiają ją jako rzeczywistość.

Co więcej, serdeczna mądrość Le Guin budzi nadzieję i oczyszcza gorycz, wnosząc

głęboki egzystencjalny realizm do sytuacji, które w innym wypadku przypominałyby parodie. Dzięki talentowi Le Guin wierzymy w cierpienia i kary, którymi ociekają te opowiadania niczym rosyjska tragedia.

Chociaż Le Guin przemawia amerykańskim głosem, satyryczny ton jej opowiadań przywołuje na myśl literaturę Europy Wschodniej (sprzed upadku komunizmu). Liczący sobie kilkaset lat statek kosmiczny, w którym uciekinierzy leżą na filcowej wykładzinie w ładowni podczas startu, jest bardzo rosyjski. Dostrzegamy też wyraźną aluzję do *Podróży Guliwera*, chociaż bez swiftowskiego tonu pogardy.

Nie koniec na tym. Dwadzieścia stron przypisów na temat historii i planetologii Werel-Yeowe daje jasno do zrozumienia, że mamy do czynienia z tekstem SF, a nie z metaforyczną baśnią. Szczerze mówiąc, nie wszystko ma tutaj sens. Na przykład przez całe stulecie na Yeowe wysyłano tylko męskich niewolników i tam kazano im zapracowywać się na śmierć. W ciągu dwóch kolejnych stuleci, w ciężkich warunkach, wysyłano też niewolnice w charakterze reproduktorek. Mimo to populacja Yeowe wzrasta od pół miliona do czterystu pięćdziesięciu milionów, co stanowi przyrost tysiąckrotny (my, Ziemiańskie, doświadczyliśmy przyrostu dziesięciokrotnego w ciągu minionych płodnych trzystu lat).

Ponadto, kiedy Hainowie po raz pierwszy osiedlili się na Werel, nie zastali tam żadnej fauny. Na Yeowe nie wykształciły się żadne formy życia zwierzęcego. Jest możliwe, by biosfery składały się wyłącznie z roślin, bakterii i glonów, ale obraz, jaki staje przed oczami, to dwie olbrzymie kule galaretowatego agaru.

Sceneria wydaje się całkowicie wymyślona. Na żywej płycie Petriego rozgrywa się przesadnie łatwa opowieść z morałem. Poza tym, dlaczego dwie planety znajdują się zawsze w wygodnej bliskości od siebie, zamiast oddalać się w pewnych okresach, skoro obie krążą wokół jednego słońca?

W ostatecznym rozrachunku spory na temat orbit czy demografii wydają się trywialne; nasuwa się może tylko pytanie, czy opowiadania te muszą należeć do gatunku SF. Klarowność, ładunek emocjonalny i treściowy książki jest tak wielki, że wiele się wybacza. Autorka tak dużo daje bez wysiłku, w sposób zwięzły i poruszający.

Cztery drogi ku przebaczeniu nie oddziaływałyby z taką siłą, gdyby rozgrywały się w Rurytanii lub w Nibylandii. Znaczenie i siła książki wynikają w znacznym stopniu z wielkich odległości, jakie przemierzają bohaterowie.

Prawa fizyki einsteinowskiej zostają zachowane: gwiazdni podróżnicy wiedzą, że kiedy dotrą do celu, wszyscy dawni przyjaciele i krewni zdążą się zestarzeć albo umrzeć. Muszą więc zaangażować się w społeczeństwa, które napotkają na swej drodze, jakby nie różniły się od ich własnych. A jednak obce społeczeństwo okaże się ludzkie nawet w swoich nieludzkich cechach, a już z pewnością w swojej morderczej walce o lepszy byt.

LeGuin Ursula K.

Guin

Urodziny świata



Przełożyli
Paulina Braiter
L. O.
Krzysztof Sokolowski

Słowo wstępne

Tworzenie wszechświata to ciężka praca. Jehowa wziął sobie urlop, Wisznu często drzemie. Wszechświaty fantastyki naukowej to jedynie maleńkie skrawki światosłowa, ale nawet one wymagają sporo myślenia i czasem pisarz, miast dla każdej opowieści stworzyć nowy świat, woli powracać do znanych krain. Bywa, że wszechświat taki nieco się zużywa, mięknie i pasuje do nas naturalnie niczym stara znoszona koszula.

Choć włożyłam wiele pracy w mój fikcyjny wszechświat, nie uważam, bym go stworzyła. Natknęłam się na niego przypadkiem i od tego czasu wiele razy bez powodu wpadałam z wizytą – tu przeskakując tysiąc lat, ówdzie zapominając o istnieniu jakiejś planety. Pełni zapału prostolinijni ludzie ochrzcili go Wszechświatem Haińskim i próbowali uporządkować jego historię, tworząc chronologię. Ja zwę go Ekumeną i twierdzę, iż uporządkowanie go jest po prostu niemożliwe. Chronologia Ekumeny przypomina nitkę wywleczoną z kłębka włóczki przez rozbawione kocię i składa się głównie z luk.

Istnieją powody owych niespójności poza niedbałością, brakiem pamięci i niecierpliwością autorki. Ostatecznie przestrzeń jest jedną wielką luką. Zamieszkane światy oddzielają od siebie ogromne odległości. Einstein twierdził, że nie można podróżować szybciej niż światło, toteż zwykle pozwalam, by moi ludzie poruszali się z nieco mniejszą od niego prędkością. Oznacza to, iż pokonując przestrzeń, niemal się nie starzeją – dzięki einsteinowskiemu wydłużeniu czasu – lecz na planetach mijają dziesiątki czy nawet setki lat. Jediną metodą dowiedzenia się, co zaszło w tym czasie, jest mój poręczny wynalazek, ansibl (warto zauważyć, że ansibl jest starszy niż internet i szybszy – informacji pozwalam podróżować w mgnieniu oka). I tak w moim wszechświecie, podobnie jak w naszym, obecne dzisiaj stają się odległym jutro i odwrotnie, co znakomicie pozbawia historię jasności i wszelkiej przydatności.

Oczywiście można spytać o to Hainów, którzy żyją już bardzo długo, a ich historycy wiedzą nie tylko, co się działo, ale też co dzieje się teraz i wydarzy w przyszłości... Pod tym względem przypominają mi nieco Eklezjastę: nie dostrzegają nic nowego pod tym ani żadnym innym słońcem. Przyjmują to jednak znacznie pogodniej niż on.

Mieszkańcy innych światów, wywodzący się od Hainów, oczywiście nie chcą wierzyć w gadaninę starców. Zaczynają zatem tworzyć nową historię. I wszystko znów się powtarza.

Nie planowałam tego, co się dzieje z owymi światami i ludami. Odkrywałam je stopniowo, po kawałku, pisząc kolejne historie. I wciąż to czynię. W moich pierwszych trzech powieściach występuje Liga Światów, obejmująca znane planety w naszym miejscowym skrawku lokalnej Galaktyki, łącznie z Ziemią. Twór ten dość nagle przekształca się w Ekumenę, pozbawione władzy, gromadzące informacje konsorcjum

światów, które od czasu do czasu łamie własną zasadę niekierowania się zasadami. Na greckie słowo oikouménē, oznaczające świat zaludniony, natknęłam się w jednej z antropologicznych książek ojca i przypomniałam je sobie, gdy szukałam wyrazu kojarzącego się z wielkim drzewem ludzkości, wyrastającym z jednego pierwotnego pnia. Zapisałam to słowo w formie „Ekumena” – w fantastyce naukowej czasami można zmodyfikować pisownię, jak nam się podoba.

Pierwsze sześć z ośmiu opowiadań niniejszego zbioru rozgrywa się w światach Ekumeny, w mym niby-spójnym wszechświecie, dziurawym jak sito.

W pochodzącej z 1969 roku powieści *Lewa ręka ciemności* pierwszy głos należy do mobila Ekumeny, podróżnika składającego raport stabilom pozostającym na Hainie. Słowa te przysły do mnie same wraz z narratorem. Przedstawił się jako Genly Ai. Zaczął opowiadać historię, a ja ją zapisałam.

Stopniowo i nie bez trudności przekonaliśmy się, gdzie jesteśmy. On nie odwiedzał wcześniej Gethen, ja tak, w opowiadaniu *Zimowy król*. Owa pierwsza wizyta jednak była pospieszna, nawet nie dostrzegłam, że z płcią Getheńczyków dzieje się coś dziwnego. Typowa turystka. Czyżby byli androginiczni?

Podczas pisania *Lewej ręki ciemności* w moich myślach pojawiały się fragmenty mitów i legend – zwłaszcza gdy nie pojmowałam, dokąd zmierza opowieść. Od czasu do czasu rolę narratora przejmował drugi głos, należący do Getheńczyka, lecz Estraven był człowiekiem bardzo zamkniętym w sobie, a akcja tak szybko doprowadziła obu moich narratorów do poważnych kłopotów, tak że wiele pytań pozostało bez odpowiedzi lub nawet w ogóle ich nie zadałam.

Pisząc pierwsze opowiadanie z tego zbioru, *Dojrzewanie w Karhidzie*, powróciłam na Gethen po dwudziestu pięciu, może trzydziestu latach. Tym razem nie towarzyszył mi oszołomiony Terranin, mącący mój wzrok. Mogłam wysłuchać otwartego Getheńczyka, który w odróżnieniu od Estravena nie miał nic do ukrycia. Tym razem nie ograniczała mnie akcja. Mogłam zadawać pytania. Przekonać się, jak wygląda tamtejszy seks. W końcu mogłam odwiedzić dom kemmeru. I naprawdę się zabawić.

Kwestia Seggri to kompendium raportów dotyczących społeczności świata zwanego Seggri pióra różnych obserwatorów przybywających tam w odstępie wielu lat. Dokumenty te pochodzą z archiwów historyków haińskich, dla których wszelkie raporty są jak orzechy dla wiewiórek.

Zalążkiem opowiadania stał się artykuł dotyczący zachwiania równowagi płci wywoływanej w niektórych częściach świata – naszego świata, Ziemi – przez masowe aborcje i mordowanie niemowląt płci żeńskiej. Chodzi o kraje, w których za wartych wychowania uważa się wyłącznie mężczyzn. Wiedziona irracjonalną nienasyconą ciekawością przeprowadziłam eksperyment myślowy, który przerodził się w opowiadanie. Odwróciłam i powiększyłam nierównowagę, a następnie ją utrwaliłam. Choć polubiłam ludzi poznanych na Seggri i spodobało mi się przekazywanie ich głosów, sam eksperyment nie należał do przyjemnych. (Tak naprawdę nie chodzi mi o przekazywanie. To jedynie skrót myślowy opisujący to, co łączy mnie z bohaterami mojej prozy. Prozy, fikcji literackiej, rozumiemy się? Proszę, nie piszcie do mnie listów o waszych innych życiach.

Starczy mi to, które mam sama).

W tytułowym opowiadaniu zbioru *Rybak nad Morza Wewnętrznego* wymyśliłam reguły społeczne rządzące mieszkańcami świata O, położonego w pobliżu Hain. Świat O, jak zwykle, sprawiał wrażenie, jakbym go właśnie znalazła i musiała zbadać. Poświęciłam jednak wiele myśli, głębokich, wzbudzających szacunek, usystematyzowanych, kwestiom małżeństwa i pokrewieństwa ludu O. Rysowałam wykresy pełne symboli kobiecych i męskich i kreski zakończone strzałkami – wszystko bardzo naukowe. Potrzebowałam ich, bo cały czas wszystko mi się plątało. Błogosławię redaktorkę pisma, w którym po raz pierwszy ukazało się opowiadanie – uratowała mnie przed ogromnym błędem, gorszym niż kazirodztwo. Pomyliłam mojęty. Redaktorka wychwyciła to i naprawiliśmy sprawę.

Ponieważ ustalenie tego wszystkiego wymagało sporo czasu, pewnie zasada zachowania energii kazała mi dwukrotnie powrócić do O. Tak naprawdę jednak myślę, iż stało się tak, bo po prostu lubię ten świat. Podoba mi się rozmyślanie o małżeństwie z trzema osobami, z których zaledwie z dwiema można uprawiać seks (jedno z każdej płci, lecz oboje z drugiej mojęty). Lubię zastanawiać się nad złożonymi relacjami społecznymi, tworzącymi i niszczącymi wysoce emocjonalne związki. W tym sensie można by rzec, iż *Niechciana miłość* i *Górskie ścieżki* to komedie salonowe, choć dziwnie to zabrzmie dla kogoś, kto uważa, iż fantastyka naukowa polega na machaniu miotaczem. Społeczeństwo O różni się od naszego obecnego, nieźle natomiast przypomina społeczność angielską z czasów Jane Austen; może nawet bardziej niż to w *Opowieści o Genji*.

W *Samotności* wyprawiłam się na rubieżę Ekumeny, do miejsca przypominającego Ziemię, o jakiej pisaliśmy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy wierzyliśmy w zagładę atomową i koniec znanego nam świata oraz w mutantów wśród świecących ruin Peorii. Ja sama wciąż obawiam się zagłady atomowej, lecz czas pisania podobnych historii minął, a znany mi świat skończył się już kilkanaście razy.

Cokolwiek spowodowało załamanie populacji w *Samotności* – prawdopodobnie uczyniła to sama populacja – zdarzyło się dawno temu i nie o tym traktuje historia, lecz o przetrwaniu, lojalności i zamknięciu w sobie. Prawie nikt nie pisze dobrze o introwertykach. Ekstrawertycy rządzą światem. To dość dziwne, gdy uświadomić sobie, iż dziewiętnastu na dwudziestu pisarzy to właśnie introwertycy.

Nauczono nas, byśmy wstydzieli się swego zamknięcia, ale też zadaniem pisarza jest zapuszczanie się w głąb, nie poza. Ludzie, rozbitkowie z owego opowiadania, podobnie jak większość bohaterów niniejszych historii, różnią się nieco osobliwymi cechami płciowymi i zachowaniami seksualnymi, w ogóle jednak nie znają instytucji małżeństwa. Małżeństwo jest zbyt ekstrawertyczne dla prawdziwych introwertyków. Po prostu niekiedy się widują, przez jakiś czas. Potem odchodzą i znów żyją samotnie, szczęśliwi.

Dawna Muzyka i niewolnica to piąte koło u wozu.

Moja książka *Cztery drogi ku przebaczeniu* składa się z czterech połączonych opowiadań. Raz jeszcze błagam o stworzenie nazwy, a tym samym docenienie tej formy prozy (sięgającej korzeniami *Pań z Cranford* Elizabeth Gaskell): książki złożonej z opowiadań połączonych miejscem, postaciami, tematyką i wątkami tak, by tworzyły całość, choć nie powieść. Drwiące brytyjskie określenie „łatanina” oznacza książki autorów, którzy

usłyszawszy, iż zbiory opowiadań się nie sprzedają, łączą niepowiązane z sobą historie za pomocą słownej taśmy klejącej, lecz prawdziwy taki zbiór to nie losowy zestaw, podobnie jak suity wiolonczelowe Bacha. Taki zbiór służy do przekazania koncepcji, których nie da się zawrzeć w powieści. To prawdziwy gatunek literacki. Zasługuje na jakąś nazwę.

Może nazwijmy to suitą słowną? Chyba tak.

A zatem suita słowna *Cztery drogi ku przebaczeniu* ukazuje obraz najnowszej historii dwóch światów, Werel i Yeowe. (Ów Werel nie jest tożsamy z Werelem z mojej wczesnej powieści *Planeta wygnania*. Jak już mówiłam, zdarza mi się zapomnieć o całych planetach). Społeczeństwo i gospodarka owych planet, oparte na niewolnictwie, przechodzą właśnie iście rewolucyjną przemianę. Jeden z krytyków wyśmiał mnie ze wzgardą za to, iż traktuję niewolnictwo jako temat wart opisanie. Zastanawiam się, na jakiej planecie on żyje.

Dawna Muzyka to przełożone imię Haina Esdardona Ai, który pojawia się w trzech opowiadaniach z suity. Pod względem chronologii ten nowy tekst następuje po nich – to piąta część, traktująca o jednym z incydentów wojny domowej na Werel. Stanowi jednak także odrębną całość. Sam pomysł przyszedł mi do głowy, gdy odwiedziłam jedną z wielkich plantacji niewolniczych nieopodal Charlestonu w Karolinie Południowej. Czytelnicy, którzy mieli okazję zobaczyć owo piękne i straszliwe miejsce, zapewne rozpoznają ogród, dom i pola, gdzie wciąż straszą duchy.

Opowiadanie tytułowe *Urodziny świata* może rozgrywa się na jednym ze światów Ekumeny, a może nie. Naprawdę nie wiem. Czy to ważne? Nie jesteśmy na Ziemi; tutejsi ludzie różnią się od nas nieco pod względem fizycznym, lecz model, na którym wzorowałam ich społeczność, pod pewnymi względami niewątpliwie przypomina Inków. Tak jak w wielkich starożytnych cywilizacjach Egiptu, Indii czy Peru, Bóg i król stanowią jedność, a to, co uświęcone, jest równie bliskie i powszechne, jak powietrze czy chleb. I równie łatwo to stracić.

Tych siedem opowiadań łączy wspólna cecha: w taki czy inny sposób, od wewnątrz bądź przez obserwatora skłonnego bratać się z tubylcami, ukazują nam ludzi, którzy różnią się od nas – fizjologią i normami społecznymi – ale czują to samo co my. Najpierw stworzyć różnicę – podkreślić obcość – a potem pozwolić, by ognisty most ludzkich emocji połączył odległe brzegi: to ćwiczenie wyobraźni fascynuje mnie i zachwyca jak rzadko które.

Ostatnie długie opowiadanie, *Raje utracone*, nie podpada pod ten wzór i zdecydowanie nie jest opowieścią z Ekumeny. Jego akcja rozgrywa się w innym wszechświecie, także doskonale znanym: w typowej wspólnej „przyszłości” science fiction. W tej wersji przyszłości Ziemia wysyła statki do gwiazd z prędkością wedle naszej obecnej wiedzy mniej lub bardziej realistyczną, a przynajmniej teoretycznie osiągalną. Taki statek dociera do celu po dziesiątkach, czasem po setkach lat. Nie ma tu miejsca na Warp Dziewięć czy rozciąganie czasu – pozostaje tylko prawdziwy czas.

Innymi słowy, jest to opowieść dziejąca się na statku pokoleniowym. Ten sam temat pojawia się w dwóch wspaniałych książkach: *Aniarze* Martinsona i *Świetle dnia* Molly Gloss – oraz wielu opowiadaniach, z których większość każe załodze i kolonistom

pograćzyć się w głębokim śnie i zbudzić się po dotarciu na miejsce. Ja zawsze pragnęłam napisać o ludziach przeżywających tę podróż, środkowych pokoleniach nieznających chwili startu ani lądowania. Kilka razy podchodziłam do tego tematu, ale bez skutku. Aż w końcu pomysł statku wędrującego w martwej próżni kosmosu połączył się w mym umyśle z wątkiem religijnym. Wątek ów otoczył go niczym kokon, nastąpiła przemiana, transformacja niewidzialnego życia – ciało poczwaraki, skrzydlata dusza.

Ursula K. Le Guin

2001

Przełożyła Paulina Braiter

Dojrzewanie w Karhidzie

napisał Sov Thade Tage em Ereb z Rer w Karhidzie na Gethen

Mieszkam w najstarszym mieście na świecie. Na długo przed tym, zanim w Karhidzie pojawili się królowie, Rer było miastem, targowiskiem i miejscem spotkań dla całego północnego zachodu, Równin i krainy Kerm. Gród Rer był ośrodkiem nauki, schronieniem i siedzibą sądów piętnaście tysięcy lat temu. To tutaj Karhid stał się jednym narodem pod panowaniem rodu Gegerów, który królował przez tysiąc lat. W tysięcznym roku Sedern Geger o przydomku Niekról wyrzucił koronę z baszty zamku do rzeki Arre, ogłaszając koniec monarchii. Rozpoczął się wtedy okres zwany rozkwitem Rer albo stuletnim latem, który skończył się, kiedy władzę objęło ognisko Harge i przeniosło stolicę za góry do Erhenrangu. Stary zamek stoi pusty od stuleci. Ale stoi. W Rer nic nie popada w ruinę. Każdego roku w porze odwilży Arre zalewa ulice-tunele. Zimowe zawieruchy mogą nanieść dziesięć metrów śniegu, ale miasto stoi. Nikt nie wie, ile lat mają tutejsze domy, gdyż są nieustannie przebudowywane. Stoją, każdy w swoim ogrodzie, bez najmniejszej troski o pozycję sąsiednich, równie wielkie i bezładnie rozrzucone jak tutejsze wzgórza. Między nimi biegną zygzakami kryte ulice i kanały. Rer składa się z samych rogów. Mówimy, że Harge'owie wynieśli się stąd ze strachu, bo nie wiedzieli, co ich czeka za rogiem.

Czas tutaj biegnie inaczej. W szkole uczono nas, jak Orgotowie, Ekumena i większość innych narodów liczy lata. Nazywają rok jakiegoś ważnego wydarzenia rokiem pierwszym i liczą od niego. Tutaj zawsze jest rok pierwszy. W dniu Nowego Roku, *getheny thern*, rok pierwszy staje się rokiem pierwszym przeszłym, rok pierwszy przyszły staje się rokiem pierwszym i tak dalej. Takie jest Rer – wszystko się tu nieustannie zmienia, ale Rer jest ciągle takie samo.

Kiedy miałem czternaście lat (w roku pierwszym, dziś pięćdziesiątym przeszłym), dojrzałem. Dużo o tym ostatnio myślałem.

Świat był wtedy inny. Większość z nas nigdy nie widziała obcego, jak ich wówczas nazywaliśmy. Mogliśmy słuchać przez radio wystąpienia mobila i w szkole oglądaliśmy obrazki z obcymi. Ci z włosami dokoła ust byli ku naszej uciechu najdzikszy i najbardziej odrażający. Większość obrazków jednak rozczarowywała. Byli zbyt podobni do nas. Trudno było nawet zgadnąć, że są zawsze w stanie kemmeru. Mówi się, że obcy płci żeńskiej mają ogromne piersi, ale moja ciotka Dory miała większe piersi niż istoty na obrazkach.

Kiedy obrońcy wiary wyrzucili ich z Orgoreynu, kiedy król Emran wdał się w wojnę

pogranicza i stracił Erhenrang, nawet kiedy mobile zostali wyjęci spod prawa i musieli ukryć się w Estre w Kermie, mieszkańcy Ekumeny tylko czekali. Czekali tak przez dwieście lat, cierpliwi jak wyznawcy handdary. Zrobili tylko jedną rzecz: wywieźli młodego króla z naszego świata, żeby udaremnić spisek, i sprowadzili tego samego króla z powrotem po sześćdziesięciu latach, żeby zakończyć katastrofalne panowanie córki z jego łona. Argaven Siedemnasty jest jedynym królem, który panował cztery lata przed swoim dzieckiem i czterdzieści lat po nim.

Ja urodziłem się w roku (rok pierwszy, sześćdziesiąty czwarty przeszły), w którym zaczęło się drugie panowanie Argavena. Do czasu, kiedy zacząłem zauważać cokolwiek poza własnymi palcami u nóg, wojna się skończyła, zachodnia równina na powrót była częścią Karhidu, stolica wróciła do Erhenrangu i większość szkód wyrządzonych w Rer podczas obalenia Emrana została naprawiona. Stare domy jeszcze raz odbudowano. Stary zamek jeszcze raz załatano. Argaven Siedemnasty w cudowny sposób znów zasiadł na tronie. Wszystko było tak jak kiedyś, jak być powinno, normalnie, jak za starych czasów, wszyscy tak mówili.

Rzeczywiście były to spokojne lata, okres wytchnienia, zanim Argaven, pierwszy Getheńczyk, który opuścił naszą planetę, wprowadził nas do Ekumeny, zanim to my, nie oni, staliśmy się obcymi, zanim dojrzeliliśmy. Kiedy byłem dzieckiem, żyliśmy tak, jak ludzie zawsze żyli w Rer. To o tym życiu, o tym ponadczasowym świecie, świecie za rogiem rozmyślałem i spróbowałem je opisać ludziom, którzy ich nie znali. Kiedy jednak teraz o tym wszystkim myślę, widzę, że w istocie nic się nie zmienia, że naprawdę zawsze jest rok pierwszy dla każdego dziecka, które dojrzewa, dla każdego, kto po raz pierwszy poznaje miłość.

Ogniska Ereb liczyły kilka tysięcy osób i sto czterdzieści z nich mieszkało w moim ognisku, Ereb Tage. Nazywam się, według starego obyczaju, którego nadal przestrzegamy w Rer, Sov Thade Tage em Ereb. Pierwszą rzeczą, jaką pamiętam, jest wielkie ciemne miejsce pełne odgłosów i ruchomych cieni, a ja spadam w górę, przez złote światło w mrok. Przerażony krzyczę. Ktoś łapie mnie w powietrzu i przytula. Ja płaczę, a głos tak bliski, że zdaje się wnikać w moje ciało, powtarza cicho: „Sov, Sov, Sov”. A potem dostaję do zjedzenia coś cudownego, coś tak słodkiego, tak delikatnego, że nigdy już nie będę jadł czegoś tak dobrego...

Domyślałam się, że starsze rodzeństwo mnie podrzucało, a matka pocieszała kawałkiem świątecznego tortu. Później, kiedy sam już byłem dokazującym dzieckiem, rzucaliśmy małymi jak piłką, a one wrzeszczały ze strachu albo z zachwytu, albo z jednego i drugiego. Było to dla nas doznanie najbliższe lataniu. Mieliliśmy dziesiątki słów na oznaczenie sposobu, w jaki śnieg pada, krąży, wali, kładzie się, sypie, na to, jak poruszają się chmury, jak płynie kra, jak żeglujecie łódź, a na to nie mieliśmy słowa. Jeszcze nie. I dlatego nie pamiętam, że latałem. Pamiętam, że spadałem w górę przez złote światło.

Domy mieszkalne w Rer są zbudowane wokół wielkiej środkowej sali. Każde piętro ma wewnętrzny balkon dokoła tej przestrzeni i nazywamy całe piętro, wszystkie pomieszczenia, balkonem. Moja rodzina zajmowała cały drugi balkon Ereb Tage. Było nas wielu. Moja babka urodziła czwórkę dzieci i one wszystkie miały dzieci. Miałem więc

oprócz młodszego i starszego rodzeństwa gromadę kuzynów. „Thade w kemmerze zawsze okazują się kobietami i zawsze zachodzą w ciążę” – mówili sąsiedzi, jedni z zawiścią, inni z przyganą, jeszcze inni z podziwem. „I nigdy nie zatrzymują kemmererów” – zawsze ktoś dodawał. To pierwsze było przesadą, ale to drugie było prawdą. Żadne z nas, dzieciaków, nie miało ojca. Przez lata nie wiedziałem, kto jest moim rodzicielem, i nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Klan Thade wolał nie przyjmować ludzi z zewnątrz, nawet członków naszego ogniska, do rodziny. Jeżeli młodzi ludzie zakochali się i zaczęli mówić o zachowaniu kemmeru albo złożeniu ślubów, babka i wszystkie matki były bezwzględne. „Ślubować kemmer? Za kogo ty się uważasz? Za jakiegoś szlachcica czy innego ważniaka? Mnie wystarczył dom kemmeru i tobie też wystarczy” – mówiły matki do swoich zauroczonych miłością dzieci i wysyłały je daleko od domu, do starej domeny Ereb na wsi, gdzie miały pracować w polu dopóty, dopóki miłość im nie wywietrzeje z głowy.

Jako dziecko więc, biegając po labiryncie pomieszczeń, pędząc w górę i w dół po schodach, pracując i ucząc się w gromadzie, opiekując się (na nasz sposób) małymi dziećmi i terroryzując spokojniejszych mieszkańców ogniska hałasem, byłem członkiem stada, ławicy, roju. Jeśli się nie mylę, nie wyrządziliśmy przy tym nigdy poważnej szkody. Nasze eskapady mieściły się w granicach rządzących spokojnym starodawnym ogniskiem, których nie odczuwaliśmy jako ograniczeń, lecz ochronę, mury zapewniające nam bezpieczeństwo. Ukarano nas tylko raz, kiedy kuzyn Sether uznał, że będzie ciekawie, gdy znaną linę przywiążemy do poręczy na drugim balkonie, zawiążemy na niej wielki supeł i będziemy skakać. „Ja pierwszy” – powiedział Sether. Jeszcze jedna nieudana próba latania. Poręcz i złamana noga Sethera zostały naprawione, a reszta dzieciaków musiała czyścić ustępy, wszystkie ustępy ogniska, przez miesiąc. Widocznie uznano, że już czas, by młodzi Thade poznali, co to dyscyplina.

Chociaż tak naprawdę nie wiem, jaki byłem w dzieciństwie, to sędzę, że mniej hałaśliwy niż moi rówieśnicy, choć równie nieznośny. Bardzo lubiłem słuchać radia i podczas gdy oni łobuzowali w zimie po balkonach i sali środkowej albo w lecie po ulicach i w ogrodach, ja godzinami kulilem się za łóżkiem w pokoju matki, nastawiając jej stare radio z drzewa serem bardzo cicho, żeby koledzy mnie nie znaleźli. Słuchałem wszystkiego – ballad, sztuk i opowieści, wiadomości z zamku, analiz zbiorów zbóż i szczegółowych komunikatów o pogodzie. Słuchałem co wieczór przez całą zimę starożytnego sagi z Burzliwego Pogranicza Pering o śnieżnych upiorach, perfidnych zdrajcach i krwawych mordercach, którzy straszili mnie potem w nocy, aż nie mogąc zasnąć, wślizgiwałem się do łóżka matki. Często zastawałem tam już w ciepłej, miękkiej, oddychającej ciemności mojego młodszego brata. Spaliśmy tak przepleceni i zwinięci razem jak pesthry w gnieździe.

Moja matka, Guyr Thade Tage em Ereb, była niecierpliwa, dobra i bezstronna. Nie trzymała swojej trójki zbyt krótko, ale miała na nas oko. Wszyscy Thade pracowali w fabryczkach i warsztatach Ereb i nie cierpieli na nadmiar pieniędzy, ale kiedy skończyłem dziesięć lat, Guyr kupiła mi nowe radio i powiedziała tak, żeby moje rodzeństwo słyszało: „Nie musisz się nim dzielić”. Traktowałem je jak skarb przez wiele lat, a potem podzieliłem się nim z własnym dzieckiem.

Tak biegły lata, a ja dorastałem w ciepłej, stałej obecności bliskich i poczuciu bezpieczeństwa, w rodzinie i ognisku zakorzenionych w tradycji. Przędza na wciąż powracającym szybkim czółenku splotała się w ponadczasową tkaninę obyczaju, działania, pracy i wzajemnych stosunków, tak że z tej odległości nie bardzo odróżniam jeden rok od

drugiego i siebie od innych dzieci – dopóki nie przyszedł cztertnasty rok mojego życia.

Powodem, dla którego większość ludzi w moim ognisku pamięta ten rok, jest wielkie przyjęcie, znane jako przejście Dory na stały somer. Tamtej zimy moja ciotka Dory przestała mieć kemmer. Niektórzy ludzie wtedy nie robili nic, inni udawali się do stancy, żeby odbyć rytuał, jeszcze inni pozostawali potem w stancy przez wiele miesięcy lub przynosili się tam na stałe. Dory zaś, która nie była osobą uduchowioną, powiedziała: „Jeżeli nie mogę już mieć dzieci ani się kochać, jeżeli muszę zestarzeć się i umrzeć, to przynajmniej mogę urządzić przyjęcie”.

Miałem już kłopoty, usiłując opowiedzieć tę historię w języku, w którym nie ma zaimków somerowych, tylko zaimki wyrażające rodzaj. Wielu ludzi w ostatnich latach płodności, kiedy zmienia się ich bilans hormonalny, przechodzi kemmer jako osobniki męskie. Dory miała przez ponad rok wszystkie kemmery męskie, będę ją więc nazywał „on”, chociaż oczywiście cała rzecz polegała na tym, że nie miała już nigdy być ani nim, ani nią.

Tak czy inaczej, przyjęcie było wspaniałe. Dory zaprosił wszystkich z naszego ogniska i dwa sąsiednie ogniska klanu Ereb, a przyjęcie trwało trzy dni. Zima była długa, wiosna się spóźniała i ludzie oczekiwali czegoś nowego, czegoś, co by ich rozgrzało. Gotowaliśmy przez tydzień, magazyn był zastawiony pod strop beczkami piwa. Wiele osób, które wychodziły z kemmeru albo już z niego bezpowrotnie wyszły i nic w związku z tym nie zrobiły, przybyło, żeby wziąć udział w uroczystości. Bardzo wyraziście zapamiętałem następujący obraz: w oświetlonej ogniem trzypiętrowej sali środkowej naszego ogniska krąg trzydziestu, może czterdziestu osób w średnim wieku i wręcz starych tańczy i śpiewa, przytupując w rytm bębnów. Była w nich jakaś dzika energia, powiewały siwe włosy, wybijali rytm, jakby ich stopy miały przebić podłogę, głosy mieli głębokie i silne, na twarzach uśmiechy. Obserwujący ich młodzi ludzie wydawali się przy nich jacyś bladzi, bezbarwni. Przyglądałem się tancerzom i zastanawiałem się, z czego oni się cieszą. Czyż nie są starzy? Dlaczego zachowują się tak, jakby się wydostali na wolność? Jak to więc jest z tym kemmerem?

Wcześniej nie myślałem specjalnie o kemmerze. Bo i po co? Przed dojrzwaniem nie mamy rodzaju ani płciowości, żadnych kłopotów z hormonami. I w miejskim ognisku nie widzimy dorosłych w stanie kemmeru. Znikają i tyle. Gdzie jest Maba? W domu kemmeru, kochanie, jedz owsiankę. A kiedy Maba wróci? Niedługo, kochanie. Po kilku dniach Maba wraca, niedospany i rozjaśniony, odświeżony i wymęczony. Maba, czy to jest jak łaźnia? Trochę tak, kochanie, a ty co robiłaś, kiedy mnie nie było?

Oczywiście bawiliśmy się w kemmer, kiedy mieliśmy po siedem czy osiem lat. Tutaj jest dom kemmeru i ja będę kobietą. Nie, ja, ja. Ja pierwszy powiedziałem! Potem ocieraliśmy się, tarzaliśmy wśród śmiechów, a w końcu wkładaliśmy piłkę pod koszulę i byliśmy w ciąży, rodziliśmy i znów graliśmy w piłkę. Dzieci zawsze bawią się w to, co robią dorośli, ale zabawa w kemmer nie bardzo była zabawą. Często przechodziła we wzajemne łaskotanie. Choć większość dzieci nie ma nawet łaskotek, dopóki nie dojrzeje.

Po przyjęciu Dory miałem dyżur w żłobku ogniska przez cały *tuwa*, ostatni miesiąc wiosny. Od lata zacząłem moją pierwszą pracę jako uczeń w warsztacie meblowym. Lubilem wstawać rano i biec przez całe miasto drogami wytyczonymi po dachach i chodnikami otwartych ulic. Po spóźnionej odwilży niektóre drogi były nadal zalane wodą, wystarczająco głęboką dla kajaków i płaskodennych pychówek. Powietrze było

nieruchome, zimne i czyste, krwawoczerwone słońce wschodziło za starymi wieżami niezamku i wszystkie wody, i wszystkie okna miasta błyszcząły złotem i szkarłatem. W warsztacie panował ciepki słodki zapach świeżo ściętego drewna i byłem tam w towarzystwie ludzi dorosłych, ciężko pracujących, cierpliwych i wymagających, którzy traktowali mnie z całą powagą. „Nie jestem już dzieckiem – mówiłem sobie. – Jestem dorosłym pracującym człowiekiem”.

Tylko dlaczego chciało mi się przez cały czas płakać? Czemu byłem stale śpiący? Czemu złościłem się na Sether? Czemu Sether ciągle na mnie wpadał i mówił „przepraszam” tym głupim ochrypłym głosem? Dlaczego tak niezgrabnie obsługiwałem wielką elektryczną tokarkę, że zepsułem jedną po drugiej sześć nóg do krzesła? „Zabierzcie tego dzieciaka od tokarki!” – krzyknął stary Marth, a ja wymknąłem się wściekły i ponizony. Nigdy nie zostanę stolarzem, nigdy nie będę dorosły, w dupie mam nogi do krzesła!

– Chcę pracować w ogrodach – powiedziałem mojej matce i babce.

– Skończ szkolenie i w przyszłym roku możesz pracować w ogrodach – zaproponowała babka, a matka kiwnęła głową.

Ta rozsądna rada jawiła mi się jako bezlitosna niesprawiedliwość, dowód braku miłości, skazanie na rozpacz. Obraziłem się. Byłem wściekły.

– Co ci się nie podoba w warsztacie meblowym? – pytali mnie starsi po kilku dniach tego boczania się i złości.

– Dlaczego musi się tam kręcić ten głupi Sether?! – krzyknąłem.

Dory, który był matką Sether, uniósł brew i się uśmiechnął.

– Dobrze się czujesz? – spytała mnie matka, kiedy po pracy skuliłem się na balkonie.

– Nic mi nie jest – warknąłem, pobiegłem do ubikacji i zwymiotowałem.

Byłem chory. Plecy bolały mnie przez cały czas. Miałem bóle i zawroty głowy. Coś, czego nie potrafiłem określić, jakaś część mojej duszy odczuwała dotkliwy, rozpaczliwy, nieustanny ból. Bałem się sam siebie: swoich łez, napadów złości, wymiotów, swojego nieposłusznego ciała. Było jak nie moje, jak źle leżące ubranie, jak cuchnący ciężki płaszcz po jakimś starym człowieku, po nieboszczyku. Nie było moje, to nie byłem ja. Drobne igielki bólu przeszywały moje sutki, gorące jak ogień. Kiedy się krzywiłem i zakładałem ręce na piersi, wiedziałem, że wszyscy widzą, co się dzieje. Każdy mógł mnie poczuć. Pachniałem mocno i kwaśno, jak krew, jak niewyprawione skóry zwierząt. Mój klitopenis był obrzmiały i sterczał ze sromu, a potem prawie znikł, tak że oddawanie moczu sprawiało mi ból. Wargi sromowe swędziały mnie i stawały się czerwone jak po ukąszeniach jakichś paskudnych owadów. Coś się poruszało głęboko w moim brzuchu, jakaś monstrualna narośl. Umierałem ze wstydu.

– Sov – powiedziała matka, przysiadając na skraju mojego łóżka z dziwnym, czułym, porozumiewawczym uśmiechem. – Czy wybierzesz ci dzień kemmeru?

– Nie mam kemmeru – odparłem ze złością.

– To prawda, ale myślę, że będziesz miał w następnym miesiącu.

– Nie!

Matka pogłaskała mnie po włosach, twarzy i ramionach. „Kształtujemy siebie nawzajem, żeby zostać ludźmi”, mawiali starzy, głaszcząc dzieci albo siebie nawzajem, obdarzając się tą długą, powolną i czułą pieśczęcią.

– Sether też będzie miał kemmer – dodała matka po chwili. – Ale chyba o jakiś miesiąc później niż ty. Dory mówi, żebyśmy urządzili wspólny dzień kemmeru, ale ja myślę, że

powinieneś mieć własny dzień we właściwym czasie.

Zalałem się łzami.

– Nie chcę żadnego kemmeru! Nie chcę! Chcę... chcę uciec!

– Sov – uspokajała mnie matka – jeżeli tak wolisz, pojedziesz do domu kemmeru w Gerodda Ereb, gdzie nikt cię nie zna. Ale myślę, że lepiej by ci było tutaj. Ludzie to lubią. Cieszyliby się razem z tobą. Twoja babka jest z ciebie taka dumna! „Widzieliście mojego wnuka Sova? Widzieliście, co za uroda? Prawdziwy *mahad!*”. Zanudza wszystkich opowieściami o tobie.

Mahad to słowo z dialektu Rer. Oznacza kogoś silnego, przystojnego, szczodrego, prawego, osobę, na której można polegać. Surowa matka mojej matki, która rozkazywała i dziękowała, ale nigdy nikogo nie chwaliła, powiedziała, że jestem *mahad*? To natychmiast osuszyło moje łzy.

– Dobrze – zgodziłem się z determinacją. – Tutaj. Ale nie w następnym miesiącu. Na pewno nie.

– Zobaczmy – powiedziała matka.

Ogromnie zawstydzony, ale jednocześnie czując ulgę, że ktoś za mnie zdecyduje, wstałem i rozpiąłem spodnie. Matce wystarczyło jedno krótkie dyskretne spojrzenie.

– Tak, w następnym miesiącu, jestem pewna – potwierdziła, obejmując mnie. – Za dzień, dwa poczujesz się znacznie lepiej. A w następnym miesiącu wszystko będzie inaczej. Przekonasz się.

Rzeczywiście, następnego dnia ból głowy i świerzbienie ustąpiły i chociaż nadal czułem zmęczenie, to nie byłem już tak tępy i niezdarny w pracy. Po kilku kolejnych dniach poczułem, że znów jestem sobą, odzyskałem lekkość i sprawność. Jedyne kiedy o tym myślałem, odzywało się we mnie coś dziwnego, co nie mieściło się w żadnej części ciała i było czasem bardzo bolesne, a czasem tylko dziwne, prawie coś, co chciałbym odczuć jeszcze raz.

Mój kuzyn Sether i ja z początku nie chodziliśmy do warsztatu razem, bo Sether nadal lekko kulał po tej sztuczce z liną sprzed kilku lat i zabierał się do pracy łódką, dopóki ulice były zalane wodą. Kiedy jednak zamknięto służę Arre i ulice wyschły, musiał chodzić pieszo. Wędrowaliśmy więc razem. Przez pierwszych kilka dni niewiele się do siebie odzywaliśmy. Nadal byłem zły na Sether, bo nie mogłem teraz biec przez świt, ale musiałem wlec się w jego kulawym tempie, a także dlatego, że Sether zawsze był gdzieś koło mnie. Nie odstępował mnie ani na krok. Był wyższy ode mnie, szybszy przy tokarce i miał długie lśniące włosy. Po co komu takie długie włosy? Czułem się tak, jakby włosy Sether spadły na moje oczy.

Wracaliśmy zmęczeni do domu pewnego ciepłego wieczoru w *ockre*, drugim miesiącu lata. Widziałem, że Sether kuleje, ale stara się za mną nadażyć, wyprostowany, ze zmarszczonymi brwiami. Ogarnęła mnie wielka fala współczucia i podziwu i to coś, ta narośl, ta nowa istota, cokolwiek zrodziło się w moich wnętrznościach i w mojej duszy, drgnęło i zwróciło się do Sether z bólem i tęsknotą.

– Czy wchodzisz w kemmer? – spytałem niskim, zachrypniętym głosem, jakiego nigdy u siebie nie słyszałem.

– Za kilka miesięcy – nie patrząc na mnie, odpowiedział Sether niewyraźnie, wciąż bardzo sztywny i ze zmarszczonym czołem.

– A ja chyba będę musiał to mieć... przejść przez to... no wiesz... już bardzo niedługo.

– Ja też bym wolał mieć to jak najszybciej za sobą – wyznał.

Nie patrzyliśmy na siebie. Bardzo stopniowo, niezauważalnie zwalniałem, aż zaczęliśmy iść ramię w ramię.

– Czy czujesz czasami, jakby ci cycki płonęły? – spytałem, zaskakując samego siebie.

Sether kiwnął głową.

– Słuchaj, a czy twój siusiak...? – zagadnął po chwili.

Tym razem ja kiwnąłem głową.

– Tak chyba muszą wyglądać obcy – powiedział Sether z obrzydzeniem.

– To... to wystaje, robi się takie duże... przeszkadza.

Przez jakiś czas wymienialiśmy i porównywaliśmy objawy. Mówienie o tym, znajdowanie towarzystwa w nieszczęściu przynosiło ulgę, ale też strach było uzyskiwać potwierdzenie własnego nieszczęścia u kogoś innego.

– Powiem ci, czego nienawidzę, czego naprawdę nienawidzę w tym wszystkim! – wybuchnął Sether. – To nas poniża. Żeby własne ciało tak człowiekiem rządziło, żeby człowiek tracił nad nim panowanie! Nie mogę się z tym pogodzić. Że się jest maszyną do seksu. I wszyscy zmieniają się w coś, z czym można kopulować. Czy wiesz, że ludzie wariują i umierają, jeżeli nie znajdą kogoś innego w kemmerze? Że mogą nawet rzucić się na osobę w somerze? Na własną matkę?

– To niemożliwe! – wykrzyknąłem zdumiony.

– Możliwe. Tharry mi powiedział. Pewien kierowca wszedł w kemmer jako mężczyzna, kiedy ich karawana utknęła w zaspach w górach Kargav. Był duży i silny, wpadł w szal i zgwałcił swojego zmiennika, który był w somerze i został poważnie okaleczony. Kiedy ten kierowca wyszedł z kemmeru, popełnił samobójstwo.

Ta okropna historia poruszyła na nowo źródło mdłości w moich wnętrznościach i nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

– Ludzie w kemmerze przestają być ludźmi! – mówił dalej Sether. – I my musimy przez to przechodzić, zmienić się w coś takiego!

Teraz gdy ten okropny lęk został wypowiedziany, nie przyniosło mi to ulgi. Nazwany był jeszcze większy i okropniejszy.

– To głupie – ciągnął Sether. – Prymitywny sposób na przedłużanie gatunku. Nie ma potrzeby, żeby ludzie cywilizowani przechodzili przez coś takiego. Ludzie, którzy chcą zajść w ciążę, mogliby to robić za pomocą zastrzyków. Byłoby to uzasadnione genetycznie. Można by wybierać rodzica dziecka. Unikałoby się chowu wsobnego, całego tego pieprzenia się między rodzeństwem jak u zwierząt. Dlaczego musimy być zwierzętami?

Wściekłość Sether'a udzieliła się i mnie. Byłem też zszokowany i podniecony słowem „pieprzyć”, którego nigdy nie słyszałem wypowiedzianego na głos. Przyjrzałem się na nowo mojemu kuzynowi, jego pociągłej ogorzalej twarzy, długim lśniącym włosom. Chociaż Sether był moim rówieśnikiem, wyglądał na starszego. Pół roku cierpień po złamaniu nogi ściągnęło rysy tego psotnego, rozbieranego dzieciaka, ucząc go gniewu, dumy i wytrwałości.

– Sether – powiedziałem. – Posłuchaj. To nieważne. Jesteś człowiekiem, nawet jeżeli musisz to robić. Jesteś *mahad*.

– *Getheny kus* – stwierdziła babka. Pierwszy dzień miesiąca *kus*, dzień letniego przesilenia.

– Nie będę gotów – powiedziałem.

– Będiesz.

– Chcę przejść kemmer z Setherem.

– Sether będzie miał kemmer za miesiąc albo i dwa. Wkrótce. Ale wygląda, że możecie być w tym samym cyklu księżycowym. Trzymajcie więc tę samą długość fali, ty i Sether...

Babka nigdy się w ten sposób do mnie nie uśmiechała, jakoś porozumiewawczo, jakbyśmy stali się sobie równi, ona i ja.

Matka mojej matki miała sześćdziesiąt lat, była niska, krzepka, szeroka w biodrach, miała przenikliwe jasne spojrzenie i wykonywała zawód murarza. Była niekwestionowaną przywódczynią ogniska. I ja miałbym się równać z tą wspaniałą osobą? Stanowiło to dla mnie pierwszy sygnał, że mogę się stać kimś nie mniej, lecz bardziej ludzkim.

– Chciałabym, żebyś te pół miesiąca spędził w stancy. Ale to zależy tylko od ciebie.

– W stancy? – spytałem zaskoczony.

Wszyscy Thade byli wyznawcami handdary, ale niezbyt gorliwymi. Obchodziliśmy tylko największe święta. Modlitwę przed jedzeniem sprowadziliśmy do jednego niewyraźnego pomruku i nie uprawialiśmy żadnej z dyscyplin. Nikt z mojego starszego rodzeństwa ogniskowego nie został wysłany do stancy przed dniem kemmeru. Czy coś było ze mną nie tak?

– Masz dobry mózg – powiedziała babka. – Sether też. Chciałabym doczekać czasu, kiedy któreś z was zacznie rzucać jakiś cień. My, Thade, siedzimy tu w naszym ognisku i mnożymy się jak pesthry. Czy to powinno nam wystarczyć? Byłoby dobrze, gdyby ktoś z was wystawił wreszcie głowę na świat.

– A co się robi w stancy? – spytałem.

– Nie wiem – odpowiedziała babka szczerze. – Idź i dowiedz się. Tam cię nauczą. Mogą cię nauczyć kontrolować kemmer.

– Dobrze – zgodziłem się pospiesznie.

Postanowiłem, że powiem Setherowi, że mnisi potrafią kontrolować kemmer. Może nauczę się, jak to robić, i po powrocie nauczę Setherę.

Babka spojrzała na mnie z aprobatą. Przyjąłem wyzwanie.

Oczywiście nie nauczyłem się panować nad kemmerem w ciągu tego pół miesiąca spędzonego w stancy. Przez pierwsze kilka dni myślałem, że nie potrafię nawet zapanować nad tęsknotą za domem. Z naszego ciepłego mrocznego labiryntu pomieszczeń pełnych ludzi rozmawiających, śpiących, jedzących, gotujących, piorących, grających w remma, muzykujących, a także rozbieganych dzieciaków, hałasu i rodzinnej atmosfery przeszedłem na drugi koniec miasta do wielkiego czystego i cichego domu obcych mi ludzi. Wszyscy byli tu uprzejmi i traktowali mnie z szacunkiem. Napawało mnie to lękiem. Dlaczego osoba czterdziestoletnia, znająca tajemne dyscypliny dające nadludzką siłę i wytrzymałość, która może chodzić boso w czasie zamieci, która potrafi zajrzeć w przyszłość i ma najmądrzejsze i najspokojniejsze oczy, jakie w życiu widziałem, adept handdary, miałyby mnie szanować? „Ze względu na twoją głupotę” – stwierdził adept Ranharrer, uśmiechając się z wielką czułością.

Mając mnie tylko na pół miesiąca, nie próbowali zbyt mocno wpływać na naturę mojej głupoty. Po kilka godzin dziennie ćwiczyłem nietrans i zasmakowałem w nim. To im

wystarczyło i zostałem pochwalony. „Większość czternastolatków wariuje, kiedy musi poruszać się wolno” – powiedział mój nauczyciel.

W ostatnim tygodniu pobytu w stancyi wróciły pewne objawy: ból głowy, obrzmienia i przeszywające bóle, rozdrażnienie. Pewnego ranka stwierdziłem, że prześcieradło na moim łóżku w pustym, cichym pokoiku jest zakrwawione. Patrzyłem na plamę z przerażeniem i obrzydzeniem. Pomyślałem, że przez sen podrapałem do krwi swędzące wargi sromowe, ale w gruncie rzeczy wiedziałem, co oznacza ta krew. Rozplakałem się. Musiałem jakoś uprać to prześcieradło. Zbrukałem, skalałem to miejsce, gdzie wszystko było tak czyste, surowe i piękne.

Jakiś stary mnich, zobaczywszy, jak rozpaczliwie trę prześcieradło w umywalni, przyniósł mi kawałek mydła, które usunęło plamę. Wróciłem do mojego pokoju, który pokochałem z siłą kogoś, kto nigdy wcześniej nie zaznał prawdziwej prywatności, i usiadłem na pozbawionym prześcieradła łóżku, nieszczęśliwy, sprawdzając co chwila, czy znów nie krwawię. Nie poszedłem na ćwiczenie nietransu.

W ogromnym domu panowała cisza. Działała kojąco. Znów czułem niepokój w duszy, ale teraz to już nie był ból, tylko jakaś pustka, jak powietrze przed zachodem słońca, jak szczyty Kargavu widziane daleko na zachodzie w zimowej wyrazistości.

Adept Ranharrer zapukał, wszedł po moim zaproszeniu, popatrzył na mnie przez chwilę i spytał łagodnie, o co chodzi.

– Wszystko jest dziwne – powiedziałem.

– To dobrze – uśmiechnął się radośnie.

Teraz wiem, że Ranharrer cenił i szanował moją głupotę w handdarskim sensie tego słowa. Wtedy zaś wiedziałem tylko, że jakimś cudem znalazłem właściwe określenie i sprawiłem przyjemność osobie, na której zdaniu bardzo mi zależało.

– Odbywamy teraz śpiewy – rzekł Ranharrer. – Może chcesz posłuchać?

Chodziło o *Pieśń nocy letniej*, którą się wykonuje przez cztery dni przed *getheny kus* dzień i noc bez przerwy. Śpiewacy i bębniści dołączają się i odłączają według uznania, uczestnicząc w niekończącej się zbiorowej improwizacji prowadzonej tylko przez bębny i wskazania melodyczne w *Księdze pieśni* oraz dostosowującej się harmonijnie do solisty, jeżeli taki jest obecny.

Początkowo słyszałem tylko przyjemnie chropowaty monotony dźwięk nad cichym i subtelnym rytmem bębnów. Słuchałem póty, póki się nie znudziłem i nie uznałem, że ja też tak potrafię. Otworzyłem więc usta, zaśpiewałem „aaa...” i usłyszałem wszystkie pozostałe głosy śpiewające „aaa...” wyżej, niżej i tak jak ja, aż przestałem słyszeć swój głos, tylko wszystkie głosy naraz, a potem samą muzykę, i znów nagle zaskakującą srebrzystą nić pojedynczego głosu biegnącą pod prąd, tonącą w nim i zanikającą, i pojawiającą się na nowo... Ranharrer dotknął mojego ramienia. Był czas na obiad. Śpiewałem od trzeciej godziny. Wróciłem do sali śpiewu po obiedzie i po kolacji. Spędziłem tam następne trzy dni. Spędziłbym i noc, gdyby mi pozwolono. Senność gdzieś się podziała. W swoim pokoiku śpiewałem sam dla siebie, czytałem dziwną handdarską poezję, jedyną książkę, jaką mi tu dano, i ćwiczyłem nietrans, starając się nie zwracać uwagi na zimno i gorąco, ogień i lód w moim ciele, aż przychodził świt i mogłem znów iść na śpiewy.

A potem nadszedł ottormenbod, wieczór przed letnim przesileniem. Musiałem wracać do swojego ogniska i iść do domu kemmeru. Ku mojemu zdziwieniu przyszli po mnie do

stancji oprócz matki i babki wszyscy dorośli w odświętnych hiebach i w uroczystym nastroju. Ranharrer przekazał mnie im, mówiąc mi tylko: „Wracaj do nas”. Rodzina paradowała ze mną przez całe miasto w gorący letni poranek. Pnącza były obsypane kwiatami, których zapach przesycił powietrze. W ogrodach wszystko kwitło, dojrzewało, owocowało.

– Doskonały czas na kemmer – stwierdziła babka.

Po stancji ognisko wydało mi się bardzo mroczne i jakby mniejsze. Rozglądałem się za Setherem, ale był to dzień roboczy i Sether pracował w warsztacie. To dało mi poczucie świąteczności, co nie było nieprzyjemne. A potem w sali ogniskowej naszego balkonu babka i starszyzna wręczyli mi cały komplet nowej odzieży, od butów do wspaniale haftowanego hiebu. Wiązał się z tym określony rytuał, nie handdarski, jak sądzę, ale wynikający z tradycji naszego ogniska: padały słowa stare i obco brzmiące, w języku sprzed tysiąca lat. Babka sypała nimi, jakby wypluwała kamyki, a potem zarzuciła mi hieb na ramiona. Rozległ się okrzyk: „Haya!”. Wszyscy dorośli i gromadka dzieciaków pomagali mi włożyć nowy strój, jakbym był królem albo małym dzieckiem, i niektórzy spośród starszych chcieli mi dawać rady, „ostatnie rady”, jak mówili, bo kiedy się ma pierwszy kemmer, człowiek zyskuje szifgrethor, a dawanie rady komuś, kto ma szifgrethor, jest obrazą.

– Trzymaj się z daleka od starego Ebbeche – powiedział mi jeden z nich przenikliwym głosem.

Matka się obruszyła.

– Zatrzymaj swój cień dla siebie – skarciła go. – Nie słuchaj tego gaduły – zwróciła się do mnie. – To plotkarz. Ale posłuchaj, co ja ci powiem, Sov.

Słuchałem. Wzięła mnie na stronę i mówiła z powagą i pewnym zażenowaniem:

– Pamiętaj, że to ważne, z kim będziesz po raz pierwszy.

Kiwnąłem głową.

– Wiem.

– Nie, jeszcze nie wiesz – ucięła, na chwilę zapominając o zażenowaniu. – Po prostu pamiętaj!

– A co, jeśli...

Matka czekała.

– ...jeżeli... jak wejść w kemmer jako kobieta... Czy nie powinienem...?

– O, nie przejmuj się. Upłynie rok albo więcej, zanim będziesz mógł zająć. Albo zapłodnić. Tym razem nie musisz się przejmować. Zajmą się tym inne osoby, na wszelki wypadek. Wszyscy wiedzą, że to twój pierwszy kemmer. Uważaj tylko, z kim będziesz po raz pierwszy! Omijaj Karrida i Ebbeche, i kilku innych.

– Idziemy! – zawołał Dory i ruszyliśmy na dół do środkowej sali, gdzie wszyscy krzyczeli: „Haya, Sov! Haya, Sov!”, a kucharze walili w patelnie.

Chciałem umrzeć, ale wszyscy byli tacy radosni, tacy szczęśliwi z mojego powodu, tak mi dobrze życzyli. Chciałem więc też żyć.

Wyszliśmy drzwiami zachodnimi i przez słoneczne ogrody doszliśmy do domu kemmeru. Tągę Ereba ma wspólny dom kemmeru z dwoma innymi ogniskami Ereba. Jest to piękny budynek, cały pokryty fryzami w stylu starej dynastii, strasznie zniszczonymi przez dwa tysiące lat. Na schodach z czerwonego kamienia cała rodzina wycelowowała mnie, mrucząc: „Chwała ciemności” albo „Chwała aktowi stworzenia”, a moja matka popchnęła mnie

mocno z tyłu tak zwanym pchnięciem saneczkowym, kiedy odwracałem się, przekraczając próg.

Czekał na mnie odźwierny – dziwnie wyglądająca, nieco przygarbiona osoba z szorstką, bladą cerą. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, kto to jest ten Ebbeche, przed którym mnie ostrzegano. Nigdy go nie spotkałem, ale słyszałem o nim. Był odźwiernym naszego domu kemmeru i półtrupem, to jest osobnikiem w stanie ciągłego kemmeru, jak obcy.

Zawsze się znajdzie kilka osób, które się takie rodzą. Część z nich można wyleczyć, ci, których uleczyć nie można albo którzy nie chcą się leczyć, zazwyczaj mieszkają w stanicach lub zostają odźwiernymi. Jest to wygodne i dla nich, i dla normalnych ludzi. Ostatecznie któż inny chciałby mieszkać na stałe w domu kemmeru? Ale są też minusy. Jeżeli przychodzi się do domu kemmeru w stanie thorharmen, gotowym do ujawnienia płci, i pierwsza osoba, jaką się spotyka, jest w pełni męska, jej feromony najprawdopodobniej wywołają u ciebie płć żeńską, niezależnie od tego, czy takie miałeś nastawienie w tym miesiącu, czy nie. Odpowiedzialny odźwierny będzie oczywiście trzymał się z daleka od osób, które nie szukają z nim kontaktu. Ale permanentny kemmer nie musi łączyć się z poczuciem odpowiedzialności, podobnie, myślę, jak słuchanie, że się jest półtrupem i zboczeńcem. Moja rodzina wyraźnie nie wiedziała, czy Ebbeche potrafi trzymać ręce i feromony przy sobie. Byli niesprawiedliwi. Ebbeche szanował pierwszy kemmer tak samo jak wszyscy. Przywitał mnie i pokazał, gdzie mam zostawić moje nowe buty. Potem zaczął recytować stare rytualne powitanie, cofając się przede mną w holu. Pierwszy raz usłyszałem wtedy słowa, które miałem słyszeć tyle razy w ciągu tylu lat.

Przemierzam teraz ląd.

Przemierzam teraz wodę.

Przemierzam teraz lód...

I podniosłe zakończenie, kiedy weszliśmy do sali środkowej:

Razem przemierzaliśmy lód.

Razem przybyliśmy do ogniska.

Do życia, przynosząc życie!

Chwała aktowi stworzenia!

Powaga tych słów poruszyła mnie i sprawiła, że zapomniałem trochę o lęku. Podobnie jak w stancy dodawało mi odwagi poczucie, że jestem częścią czegoś nieskończenie starszego i większego niż ja sam, nawet jeżeli było to dla mnie coś dziwnego i nowego. Muszę temu czemuś poddać się i zaufać. Jednocześnie byłem niezwykle czujny. Wszystkie zmysły miałem nadzwyczajnie wyostrzone już od samego rana. Miałem świadomość

wszystkiego, co było wokół mnie: pięknego błękitu ścian, drewna pod bosymi stopami, dźwięku i sensu rytualnych słów, obecności odźwiernego. Ebbeche mnie fascynował. Nie był piękny, ale miał melodyjny, dość niski głos, a blada skóra wydawała mi się bardziej pociągająca, niż sądziłem. Czułem, że został oczerniony, że jego życie musi być dziwne. Chciałem z nim porozmawiać, ale kiedy skończył ceremonię powitania i przepuścił mnie w drzwiach do sali środkowej, podeszła do mnie z ożywieniem inna wysoka postać.

Ucieszyłem się, widząc znajomą twarz – był to główny kucharz naszego ogniska Karrid Arrage. Jak wielu kucharzy skłonny do napadów złego humoru Karrid często okazywał mi sympatię, wyróżniając mnie w żartobliwie zaczepny sposób i podrzucając mi różne smakołyki: „Hej, kurczaku, nabierz trochę ciała!”. Widząc Karrida teraz, doświadczyłem niezwykłych odczuć. Karrid był nagi, ale inną nagością niż ludzie w ognisku. Jego nagość coś znaczyła. Nie był to też Karrid, którego znałem, ale ktoś bardzo piękny i niewątpliwie męski. Matka ostrzegała mnie przed nim, ale ja chciałem go dotknąć i bałem się go.

Wziął mnie w ramiona i przyciągnął do siebie. Czułem jego klitopenis jak pięść między nogami.

– Powoli – powiedział do niego odźwierny i kilka innych osób wyszło z pomieszczenia, które było wielkie, pogrążone w czerwonym półmroku, pełne cieni i mgły.

– Nie bój się, nie bój – powiedział do mnie Karrid i dodał z szorstkim śmiechem: – Przecież nie zrobię krzywdy swojej krwi. Chcę tylko wprowadzić cię w kemmer. Jako kobietę, jako prawdziwą Thade. Chcę ci dać tę radość, mała Sov.

Mówiąc to, rozbierał mnie, wyłuskując z hiebu i koszuli wielkimi, gorącymi, pospiesznymi dłońmi. Odźwierny i pozostali przyglądali się, ale nie przeszkadzali. Czułam się całkowicie bezbronna, bezradna, upokorzona. Szarpałam się, próbowałam się uwolnić i na powrót włożyć koszulę. Drżałam i byłam strasznie słaba, ledwo mogłam ustać na nogach. Karrid pomagał mi niezgrabnie, podtrzymując mnie mocnym ramieniem. Przytuliłam się do niego, czując jego gorące, pulsujące ciało przy swoim, cudowne doznanie, jak dotknięcie słońca, jak ciepło ognia. Przyłgnęłam do niego jeszcze mocniej z podniesionymi ramionami, tak że naszych ciał nic nie dzieliło.

– Hej, hej – powiedział – moja śliczna, tak nie można, zabierzcie ją ode mnie.

Odsunął się ze śmiechem, ale autentycznie zaniepokojony. Jego klitopenis wznosił się zadziwiająco. Stałam na wpół rozebrana, na miękkich nogach, oszołomiona. Moje oczy wypełniała mgła, wszystko było jakieś rozmazane.

– Chodź – powiedział ktoś i wziął mnie za rękę; miękkie, chłodne dotknięcie, zupełnie inne niż ogień skóry Karrida. Była to osoba z innego ogniska, której imienia nie znałam. Zdawało mi się, że świeci jak złoto w tym mroku. – Za bardzo się spieszysz – mówiła, śmiejąc się, podziwiając mnie i pocieszając. – Chodź do basenu, zwolnij na chwilę. Karrid nie powinien tak się na ciebie rzucać! Ale masz szczęście, pierwszy kemmer jako kobieta... Cóż może być lepszego? Ja miałam trzy razy kemmer jako mężczyzna, zanim udało mi się zostać kobietą. Byłam wściekła, ilekroć wchodziłam w thorharmen, bo wszyscy moi przyjaciele byli już kobietami. Nie przejmuj się mną – roześmiała się. – Myślę, że wpływ Karrida już zdecydował. Och, jaka jesteś piękna! – Pochyliła się i zanim się zorientowałam, co robi, polizała moje sutki.

To było cudowne, ochłodziło w nich ten palący ogień, którego nic innego nie potrafiło ugasić. Pomogła mi się do końca rozebrać i razem weszliśmy do ciepłej wody dużego płytkiego basenu, który zajmował cały środek sali – dlatego unosiła się tutaj ta mgła i

echo było takie dziwne. Woda lizała moje uda, płeć, brzuch. Odwróciłam się do mojej nowej przyjaciółki i pochyliłam, żeby ją pocałować. Było to coś całkowicie naturalnego, coś, czego ona chciała i czego ja chciałam, chciałam, żeby ona znów całowała moje sutki, a ona zrobiła to chętnie. Przez dłuższy czas leżałyśmy w płytkiej wodzie i mogłabym tak bawić się z nią bez końca, ale dołączył do nas ktoś trzeci, obejmując moją przyjaciółkę od tyłu, a ona wygięła się w łuk jak wyskakująca z wody złota rybka, odrzuciła głowę i zaczęła pieścić się z przybyszem.

Wyszłam z wody i wytarłam się, smutna, zawstydzona i zapomniana, ale ogromnie zaintrygowana tym, co się stało z moim ciałem. Było cudownie żywe i naelektryzowane, szorstkość ręcznika wywoływała dreszcz przyjemności. Ktoś zbliżył się do mnie, ktoś, kto oglądał moje pieszczoty z przyjaciółką w wodzie. Usiadł teraz przy mnie. Był to Arrad Tehemmy, o kilka lat starszy ode mnie członek naszego ogniska. Poprzedniego lata pracowałam z Arradem w ogrodach i lubiłam go. „Jest podobny do Setherera – pomyślałam – z tą szopą czarnych włosów i długą, szczupłą twarzą”. Ale miał w sobie blask, to coś, co mieli tu wszyscy, wszyscy przeżywający kemmer, kobiety i mężczyźni, jakiegoś roztańczonego piękno, którego nigdy wcześniej w ludziach nie widziałam.

– Sov – powiedział Arrad. – Chciałbym być... twoim pierwszym... Czy... – jego dłonie były już na mnie, a moje na nim. – Chodź – powiedział i poszłam z nim.

Zabrał mnie do pięknego małego pokoju, w którym były tylko płonący w kominku ogień i szerokie łóżko. Tam Arrad wziął mnie w ramiona i ja też wzięłam go w ramiona, a potem między nogi i spadałam w górę, w górę, przez złote światło.

Arrad i ja spędziliśmy razem całą tę pierwszą noc i w przerwach między kochaniem się dużo jedliśmy. Nie przyszło mi do głowy, że w domu kemmeru będzie jedzenie, myślałam, że nie wolno tu robić niczego poza kopulowaniem. Tymczasem było tu dużo jedzenia, i to bardzo dobrego, podanego tak, żeby jeść, kiedy się zechce. Picie było bardziej ograniczone. Odpowiedzialna za nie osoba, stara kobieta półtrup, miała na wszystkich oko i nie dawała więcej piwa, jeżeli ktoś zaczynał szaleć albo głupieć. Ja nie potrzebowałam więcej piwa, nie potrzebowałam też więcej kochania się. Byłam zaspokojona. Byłam zakochana na wieki, do śmierci, na wieczność w Arradzie. Ale Arrad, który był o jeden dzień dłużej w kemmerze niż ja, zasnął i nie chciał się obudzić, a koło mnie usiadł ktoś nadzwyczajny o imieniu Hama, kto zaczął do mnie mówić, a także głaskać mnie po plecach w najbardziej rozkoszny sposób, wkrótce więc posunęliśmy się dalej i zaczęliśmy się kochać. I z Hamą było zupełnie inaczej niż z Arradem, uznałam więc, że widocznie jestem zakochana w Hamie, dopóki nie przyłączył się do nas Gehardar. Wtedy chyba zaczęłam rozumieć, że kocham ich wszystkich, a oni wszyscy kochają mnie, i że to jest tajemnica domu kemmeru.

Upłynęło prawie pięćdziesiąt lat i muszę przyznać, że nie pamiętam wszystkich z mojego pierwszego kemmeru. Tylko Karrida i Arrada, Hamę i Gehardara, i jeszcze starego Tubanny'ego, najbardziej wyszukanego kochanka, jakiego kiedykolwiek poznałem. Spotykałem go jeszcze w późniejszych kemmerach. No i Berre, moją złotą rybkę, z którą wdałyśmy się w półsennie, spokojne i błogie pieszczoty przed wielkim kominkiem, dopóki nie zapadłyśmy w sen. A kiedy się przebudziłyśmy, nie byłyśmy kobietami. Nie byliśmy też mężczyznami. Nie byliśmy w kemmerze. Byliśmy bardzo zmęczonymi młodymi dorosłymi osobami.

– Jesteś nadal piękny – powiedziałem do Berre.

– Ty też – powiedział Berre. – Gdzie pracujesz?

– W warsztacie meblowym. Trzeci oddział.

Spróbowałem polizać jego sutek, ale nic z tego nie wyszło. Berre skrzywił się, ja przeprosiłem i obaj się roześmialiśmy.

– Ja pracuję w branży radiowej – powiedział Berre. – Myślałeś kiedyś o tym?

– Robisz radia?

– Nie, przygotowuję audycje. Robię wiadomości i prognozę pogody o czwartej godzinie.

– To ty? – spytałem z niedowierzaniem.

– Przyjdź kiedyś do wieży, to cię oprowadzę – powiedział Berre.

W ten oto sposób znalazłem zawód na całe życie i przyjaciela na całe życie. Jak próbowałem wytłumaczyć po powrocie do ogniska Setherowi, kemmer nie jest taki, jak myśleliśmy, jest czymś znacznie bardziej skomplikowanym.

Pierwszy kemmer Setherera przypadł na *getheny gor*, pierwszy dzień pierwszego miesiąca jesieni, podczas nowiu. Ktoś z ogniska wprowadził Setherera w kemmer jako kobietę i Sether wprowadził mnie. Wtedy po raz pierwszy przeszedłem kemmer jako mężczyzna. Od tej pory pozostawaliśmy na tej samej długości fali, jak to ujęła babka. Nigdy nie mieliśmy wspólnie dziecka, jako że byliśmy kuzynami i odczuwaliśmy te nowomodne skrupuły, ale kochaliśmy się we wszystkich kombinacjach, zawsze podczas nowiu, przez lata. I Sether wprowadził moje dziecko imieniem Tamor w pierwszy kemmer jako kobietę, jak przystało na Thade.

Później Sether oddał się handdarze, zamieszkał w starej stancy i jest teraz adeptem. Udaję się tam często, żeby uczestniczyć w śpiewie, ćwiczyć nietrans albo po prostu z wizytą, a Sether co kilka dni zagląda do ogniska. Wtedy rozmawiamy. Stare czasy czy nowe czasy, somer czy kemmer – miłość pozostaje miłością.

Przełożył L.O.

Kwestia Seggri

Pierwszy kontakt z Seggri zarejestrowano w roku 24293 cyklu haińskiego. Sześć pokoleń po opuszczeniu Iao (4-Taurus) statek wędrowny wylądował na planecie i kapitan zapisał w dzienniku następujący raport.

Raport kapitana Aolao-Olao

Spędziliśmy blisko czterdzieści dni na tej planecie zwanej Se-ri albo Ye-ha-ri. Zażyliśmy tu rozrywek i zdołaliśmy poznać życie tubylców na tyle, na ile się dało, gdyż dziwne zasady rządzą tym życiem. Tutejsi mężczyźni mieszkają w pięknych wielkich budynkach, tak zwanych zamkach, otoczonych rozległymi parkami. Poza murami parków rozciągają się uprawne pola i ogromne sady, bujnie porastające tereny niegdyś stanowiące kamienne pustynie. Kobiety żyją w wioskach i miastach przycupniętych za murami. Wszelka praca na farmach i w fabrykach to domena kobiet, których jest tu mnóstwo. Mieszkają wśród bydła i różnych groźnych zwierząt, nawet wielkich, które wpuszczają do swych domów. Ubierają się nijako i poruszają w grupach. Nie wolno im przekroczyć murów parku, pozostawiają zatem jedzenie i wszelkie rzeczy niezbędne mężczyznom przed zewnętrzną bramą zamku. Okazywały nam lęk i nieufność. Kilku moich ludzi poszło za dziewczynami drogą, wówczas kobiety wypadły z miasta niczym stado rozwścieczonych wilków. Moi ludzie uznali, że lepiej będzie powrócić do zamku. Gospodarze poradzili nam trzymać się z dala od miast, co też uczyniliśmy.

Mężczyźni w swych wielkich parkach zajmują się różnorakimi sportami. Nocami odwiedzają należące do nich domy w miastach. Tam mogą przebierać wśród kobiet i zaspokajać żądze. Ponoć kobieta płaci własnymi pieniędzmi bitymi z miedzi za noc rozkoszy, a jeszcze więcej, jeśli zajdzie w ciążę. Noce zatem, gdy tylko zechcą, spędzają na cielesnych rozrywkach. Dni poświęcają ćwiczeniom fizycznym i zawodom, zwłaszcza niezwykłym zapasom, podczas których wyrzucają się w powietrze. Aż dziw, że nie ponoszą szwanku na zdrowiu, tylko wstają i powracają do walki, demonstrując cudowną zręczność rąk i stóp. Pojedynkują się na stępione miecze i walczą długimi lekkimi kijami. Grają w piłkę na wielkim boisku – łapią ją w ręce bądź kopią, a także wywracają, kopią bądź biją członków drużyny przeciwnej, toteż wielu w ferworze sportowej walki odnosi obrażenia. Ten mecz wielce nas zachwycił. Drużyny ubrano w kontrastujące barwne stroje, przyozdobione hojnie złotem i koronkami; gracze uganiali się tam i z powrotem, w tę i w tę wzdłuż całego boiska jedną wielką masą, z której wylatywały piłki chwywane przez biegaczy, wyrrywających się z walczącego tłumu i pędzących w stronę jednej z bramek, podczas gdy cała reszta deptała im po piętach. Za murami zamkowymi, w parku nieopodal miasta rozciąga się pole bitwy, jak je nazywają, czyli boisko. Dzięki bliskości

miasta kobiety mogą oglądać zawody i kibicować, co czynią radośnie. Wykrzykują imiona ulubionych graczy i dodają im ducha.

Chłopców zabiera się kobietom, gdy ukończą jedenaście lat. Rozpoczynają w zamku naukę tego, co przystoi mężczyźnie. Widzieliśmy takie dziecko wprowadzane do zamku z wielką pompą i radością. Ponoć kobietom trudno jest donosić chłopca, a wielu szczęśliwie urodzonych umiera w niemowlęctwie mimo troski, jaką otaczają ich matki, toteż żyje tu znacznie więcej kobiet niż mężczyzn. Uważamy, iż przejawia się w tym klątwa Boga rzucona na tę rasę i wszystkich, którzy nie oddają Mu czci, zatwardziały w pogaństwie, ślepych na blask chwały, głuchych na słowa prawdy.

Mężczyźni tutejsi nie znają sztuki poza pełnym podskoków tańcem, a poziomem nauki niewiele różnią się od barbarzyńców. Jeden z wielkich zamku, z którym rozmawiałem, odziany w złoto i szkarłat, zwany przez innych księciem i najwyższym panem, otoczony podziwem i szacunkiem, okazał się ignorantem wierzącym, że gwiazdy to światy pełne ludzi i zwierząt. Spytał nas, z której gwiazdy przybyliśmy. Mają tu pojazdy napędzane parą, poruszające się po powierzchni ziemi i wody, lecz nie znają maszyn latających w powietrzu i przestrzeni i nie interesują ich sprawy techniki. Mawiają z pogardą: „To należy do kobiet”. Istotnie, gdy pytałem owych wielkich mężczyzn o sprawy powszednie, takie jak działanie maszyn, tkanie, przekaz holowizyjny, natychmiast mnie upominali, że interesuję się sprawami kobiet. A oni wolą rozmawiać jak mężczyźni.

Znają się świetnie na hodowli groźnego bydła wędrującego po parkach, a także na szyciu własnych ubrań z materiałów tkanych przez kobiety. Mężczyźni chełpią się wspaniałością i przepychem własnych strojów w stopniu, jaki moglibyśmy uznać za mało męski, gdyby nie fakt, iż to prawdziwi mężczyźni – silni, gotowi rywalizować w każdej sportowej grze, pełni dumy, niezwykle drażliwi i honorowi.

Dziennik z zapisami kapitana Aolao-Olao został (po dwunastopokoleniowym locie) złożony w Świętych Archiwach Wszechświata na Iao, częściowo zniszczonych podczas okresu zwanego zamętem i ostatecznie zachowanych we fragmentach na Hain. Nie przetrwały żadne zapisy dalszych kontaktów z Seggri aż do czasu, gdy Ekumena w 93/1333 posłała tam dwoje obserwatorów, Alterrana i kobietę z Hain: Kazę Agata i G Radość. Po roku na orbicie, spędzonym na sporządzaniu map, zdjęć, zapisów, badaniu transmisji, analizach i nauce głównego języka, obserwatorzy wylądowali. Kierowani silną potrzebą nieingerowania w kulturę planety przedstawili się jako rozbitkowie z dalekiej wyspy, ocaleni z katastrofy łodzi rybackiej zepchniętej z kursu przez wichurę. Zgodnie z oczekiwaniami zostali natychmiast rozdzieleni. Kaza Agat trafił do zamku, a Radość – do miasta. Kaza zachował swe imię, pasujące do imion miejscowych. Radość przedstawiła się jako Yude. Dysponujemy jedynie jej raportem, z którego przedstawiamy trzy fragmenty.

Fragmenty raportu do Ekumeny 93/1334 od mobila gerindu'uttahayudetwe'menrade radości

34/233. Ich system wymiany towarów i informacji, a tym samym świadomość tego, co dzieje się na planecie, jest zbyt złożony, bym mogła dłużej udawać głupią cudzoziemkę. Ekhaw wezwała mnie dziś do siebie i powiedziała:

– Gdybyśmy miały tu wartego zakupu samca albo gdyby nasze drużyny wygrywały w

igrzyskach, uznałabym cię za szpiega. Kim ty właściwie jesteś?

– Pozwolisz mi udać się na uczelnię w Hagce? – spytałam.

– Po co?

– Są tam chyba naukowcy? Muszę z nimi pomówić.

Najwyraźniej uznała, że jest w tym sens. Mruknęła „uhm” na znak zgody.

– Czy mój przyjaciel może mi towarzyszyć?

– Chodzi ci o Shask?

Przez chwilę obie patrzyłyśmy na siebie pytająco. Ona nie spodziewała się, by kobieta mogła nazwać mężczyznę przyjacielem, a ja nie myślałam o Shask jako o przyjaciółce. Shask jest bardzo młoda i do tej pory nie traktowałam jej poważnie.

– Mam na myśli Kazę, mężczyznę, z którym przybyłam.

– Mężczyzna, na uczelnię?! – Spojrzała na mnie zdumiona. – Skąd ty pochodzisz?

Pytała szczerze, nie kryły się w tym wyzwanie ani wrogość. Żałuję, że nie mogłam równie szczerze odpowiedzieć. Coraz wyraźniej widzę, że moglibyśmy bardzo zaszkodzić tym ludziom. Lękam się, iż będziemy musieli dokonać wyboru Resehavanara.

Ekhaw opłaciła moją podróż do Hagki. Shask wyruszyła ze mną. Po namyśle uznałam, iż istotnie jest moją przyjaciółką. To ona sprowadziła mnie do domu matczynego, przekonując Ekhaw i Azman, że mają obowiązek okazać mi gościnność. To ona cały czas się mną opiekowała. Tyle że zachowywała się tak bardzo zgodnie z konwencjami, iż nie pojmowałam, jak ogromne współczucie mi okazuje. Gdy próbowałam jej podziękować – siedziałyśmy obie w tanim autobusiku pokonującym drogę do Hagki – zareagowała jak zawsze: „Och, wszystkie jesteśmy rodziną” i „Ludzie muszą sobie pomagać”, i wreszcie „Nikt nie może żyć sam”.

– Czy kobiety nigdy nie żyją same? – Bo wszystkie, które do tej pory spotkałam, należały do domu matczynego bądź córczanego, niezależnie, czy tworzyły parę, czy też wielką rodzinę, jak u Ekhaw, która składała się z trzech pokoleń: pięć starszych kobiet, trzy ich córki żyjące w domu i czworo dzieci – chłopiec, którego wszystkie psują i rozpieszczają, oraz trzy dziewczynki.

– Owszem – odparła Shask. – Jeśli nie chcą mieć żon, mogą być samotne, a stare kobiety, kiedy ich żony umrą, czasami żyją samotnie do śmierci, choć zwykle przenoszą się do domu córczanego. Na uczelniach *vev* zawsze ma miejsce, w którym może być sama.

Choć skrepowana więzami konwencji, Shask zwykle stara się dokładnie odpowiedzieć na zadane pytanie, z namysłem, nie pomijając niczego. Stanowi dla mnie bezcenne źródło informacji. Ułatwia mi też życie, nie drażąc kwestii, skąd przybywam. Do tej pory uważałam to za brak ciekawości osoby zamkniętej w świecie własnych zasad i zwyczajów, a także za egoizm młodości. Teraz dostrzegam w tym delikatność.

– *Vev* to nauczycielka?

– Uhm.

– A nauczycielki na uczelni cieszą się szacunkiem?

– To właśnie oznacza słowo *vev*. Dlatego matkę Ekhaw nazywamy *vev* Kakaw. Nie skończyła uczelni, lecz jest mądrą osobą o wielkim życiowym doświadczeniu i może nam wiele przekazać.

A zatem przekazywanie wiedzy jest godne szacunku, a jedyny używany przez kobietę tytuł, wyrażający szacunek, oznacza „nauczycielka”. Czy więc ucząc mnie, młoda Shask okazuje szacunek samej sobie i zdobywa mój szacunek? To stawia w zupełnie innym

świetle obraz tego społeczeństwa. Do tej pory sądziłam, iż najważniejsze jest tu bogactwo. I rzeczywiście, Zededr, obecną burmistrz Rehy, otacza podziw z powodu ostentacyjnego okazywania bogactwa. Ale nie nazywają jej *vev*.

– Tak wiele mnie nauczyłaś – rzekłam do Shask. – Czy mogę nazywać cię *vev* Shask?

Na jej twarzy zakłopotanie walczyło z radością. Wiercąc się w fotelu, odparła:

– O, nie, nie, nie. – I po chwili dodała: – Jeśli kiedykolwiek wrócisz do Rehy, bardzo chciałabym się z tobą kochać, Yude.

– Myślałam, że kochasz się w samcu Zadrze – wypaliłam bez namysłu.

– O tak! – Zrobiła maślane oczy, jak one wszystkie, gdy mówią o swoich samcach. – A ty nie? Sama myśl o tym, że mógłby mnie pieprzyć, och! Od razu robię się mokra! – Uśmiechnęła się i poruszyła sugestywnie.

Tym razem ja poczułam zakłopotanie i pewnie je okazałam.

– A tobie się nie podoba? – spytała z trudną do zniesienia naiwnością. Zachowywała się jak niemądra nastolatka, a wiem, że taka nie jest. – Ale nigdy nie będzie mnie na niego stać – dodała z westchnieniem.

„Zatem gotowa jesteś zadowolić się mną”, pomyślałam wrednie.

– Oszczędzę trochę pieniędzy – oznajmiła po chwili. – Chyba w przyszłym roku będę chciała mieć dziecko. Oczywiście nie zdołam sobie kupić Zadry. To wielki mistrz. Ale jeśli w tym roku nie pojedę na igrzyska do Kadaki, zaoszczędzę dość, bym mogła skorzystać z naprawdę dobrego samca z naszej pieprzalni, może pana Rosry. Chciałabym... Wiem, że to głupie, ale i tak to powiem. Chciałabym, żebyś została matką miłości dziecka. Wiem, że nie możesz, musisz jechać na uczelnię, ale chciałam ci to powiedzieć. Kocham cię.

Chwyciła moje dłonie, przyciągnęła je do swej twarzy, na moment przycisnęła do oczu, po czym puściła. Uśmiechała się, lecz na skórze czułam wilgoć łez. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Nic się nie stało – rzekła. – Muszę chwilę popłakać.

I rzeczywiście płakała otwarcie, pochylając się, załamując ręce i cicho zawodząc. Poklepałam ją po ramieniu, czując przejmujący wstyd. Inne pasażerki oglądały się na nas i pomrukiwały ze współczuciem. Jakaś stara kobieta rzuciła:

– Tak, właśnie tak, słonko.

Po kilku minutach Shask przestała płakać, otarła rękawem nos i twarz, odetchnęła bardzo głęboko.

– Już dobrze. – Uśmiechnęła się do mnie. – Kierowca! – zawołała. – Muszę się wysikać. Możemy się zatrzymać?

Kierowca, spięta, zirytowana kobieta, warknęła coś pod nosem, lecz zatrzymała autobus na szerokim, porośniętym chwastami poboczu. Shask i jeszcze jedna kobieta wysikały się w chaszczach. W społeczeństwie, które w codziennym życiu zna tylko jedną płęć, wiele czynności staje się zdumiewająco prostych. Możliwe też – nie wiem na pewno, ale w tym momencie, gdy czułam tak przejmujący wstyd, przyszło mi to do głowy – iż społeczeństwo to w ogóle nie zna poczucia wstydu.

34/245 (podyktowane). Wciąż brak wieści od Kazy. Chyba miałam rację, dając mu ansibl. Mam nadzieję, iż utrzymuje z kimś kontakt. Szkoda, że nie ze mną. Muszę wiedzieć, co dzieje się w zamkach.

Teraz, gdy obejrzałam igrzyska w Resze, rozumiem już trochę więcej. Na każdego dorosłego mężczyznę przypada tu szesnaście dorosłych kobiet. Co szósta ciąża jest męska, lecz duży odsetek uszkodzonych męskich płodów i śmierci noworodków sprawia, iż proporcja spada do wyżej wymienionej. Moi przodkowie pewnie bawili się chromosomami tych ludzi. Czuję się winna, choć działo się to milion lat temu. Muszę nauczyć się żyć bez wstydu, ale nie chcę zapomnieć, iż poczucie winy na coś się przydaje. W każdym razie małe miasteczko, takie jak Reha, dzieli się swym zamkiem z innymi. Niezwykły spektakl, na który zabrano mnie dziesiątego dnia pobytu w mieście, był próbą zamku Awaga utrzymania się w głównych igrzyskach. Ich przeciwnikiem został zamek z północy. Przegrali, co oznacza, że w tym roku drużyna Awaga nie będzie uczestniczyć w wielkich rozgrywkach w Fadrgrze, mieście na południe stąd. Tamtejsi zwycięzcy udają się na największe igrzyska do Zasku. Przybywają tam ludzie z całego kontynentu – setki graczy i tysiące widzów. Oglądałam zeszłoroczne materiały holo z Wielkich Igrzysk w Zasku. Komentatorka mówiła, iż uczestniczyło w nich tysiąc dwustu osiemdziesięciu zawodników i grano czterdziestoma piłkami. Wszystko to wyglądało jak jeden wielki chaos, bitwa pomiędzy dwiema nieuzbrojonymi armiami. Lecz podobno gra wymaga wielkich umiejętności i wyrafinowanej strategii. Wszyscy członkowie zwycięskiej drużyny otrzymują na rok specjalny tytuł i kolejny na całe życie. Przynoszą chwałę swym zamkom i wspierającym je miastom.

Zaczynam dostrzegać sens w tym wszystkim. Teraz widzę cały system z zewnątrz, ponieważ uczelnia nie wspiera żadnego zamku. Tutejsze kobiety nie cierpią na obsesję na punkcie sportu, sportowców i seksownych samców typową dla młodych (i części starszych) kobiet z Rehy. To coś w rodzaju obowiązkowego fanatyzmu: dopingować drużynę, wspierać miejscowych śmiałków, podziwiać bohatera. I ma to sens – zważywszy na ich sytuację. Potrzebują silnych zdrowych mężczyzn w pieprzalni; dobór społeczny dodatkowo wzmacnia naturalny. Cieszę się jednak, iż znalazłam się z dala od pisków, zachwyty i plakatów przedstawiających samców o wielkich mięśniach, olbrzymich penisach i rozmarzonych oczach.

Dokonałam wyboru Resehavanara. Wybieram opcję: „Mniej niż prawda”. Shoggrad, Skodr i inne nauczycielki – nazywamy je profesorkami – to kobiety inteligentne i światłe, zdolne pojąć ideę podróży kosmicznych, podejmować decyzje w sprawach technicznych i tak dalej. Ograniczam jednak odpowiedzi na tego typu pytania. Pozwalam im zakładać – założenia takie czyni większość ludzi, zwłaszcza pochodzących z monokultur – że nasze społeczeństwo przypomina ich własne. Gdy dowiedzą się o różnicach, efekty mogą okazać się rewolucyjne, a ja nie mam uprawnień, powodów ani ochoty wywoływać rewolucji na Seggri.

Zakłócenie równowagi płci stworzyło społeczeństwo, w którym mężczyźni mają przywileje, a kobiety władzę, i najwyraźniej jest to układ stabilny; według ich zapisów historycznych przetrwał co najmniej dwa tysiąclecia, a zapewne znacznie dłużej. Ale kontakt z nami, poznanie ludzkiej normy mogłoby doprowadzić do katastrofalnej destabilizacji. Nie wiem, czy mężczyźni trwaliby przy swej uprzywilejowanej pozycji, czy też domagali się wolności, z pewnością jednak kobiety nie chciałyby zrezygnować z pełni władzy, a system seksualno-emocjonalny załamałby się całkowicie. Nawet gdyby zdołali odwrócić zmiany genetyczne, osiągnięcie normalnego rozkładu płci wymagałoby kilkunastu pokoleń. Nie mogę stać się kamyczkiem zapoczątkowującym lawinę.

34/266 (podyktowane). Skodr nie osiągnęła niczego z mężczyznami zamku Awaga. Musiała bardzo ostrożnie zadawać pytania. Gdyby bowiem powiedziała, że Kaza jest obcym przybyszem, kimś wyjątkowym, zagroziłaby jego życiu. Mężczyźni uznaliby to za wywyższanie się i musiałby bronić swej pozycji w próbach sił i umiejętności. Jak się zorientowałam, hierarchia wewnątrz zamków jest bardzo sztywna. Mężczyźni mogą awansować lub upaść niżej, jeśli wygrają bądź przegrają w obowiązkowych i nadobowiązkowych pojedynkach. Zawody i igrzyska oglądane przez kobiety to jedynie czubek góry lodowej, drobny fragment niekończących się serii konkurencji rozgrywanych w zamkach. Kaza, nieszkolony w podobnych zawodach, od początku stał na przegranej pozycji. Skodr twierdzi, że mógłby się wymigać od walki, jedynie udając chorobę bądź niedorozwój umysłowy. Sądzi też, że musiał tak postąpić, ponieważ wciąż żyje. Nie zdołała jednak dowiedzieć się niczego więcej, tylko: „Mężczyzna wyrzucony na brzeg w Taha-Reha żyje”.

Choć kobiety karmią, odziewają i wspierają władców zamku, a także zapewniają im schronienie, uznają brak współpracy za coś oczywistego. Skodr ucieszyła się, że zdołała zdobyć nawet tę drobną informację. Podobnie ja.

Musimy jednak wydstać stamtąd Kazę. Im więcej dowiaduję się od Skodr o zamku, tym bardziej sytuacja wydaje mi się niebezpieczna. W myślach nazywam tych mężczyzn rozpuszczonymi bachorami, lecz w istocie bardziej przypominają żołnierzy w obozach szkoleniowych organizowanych przez militarystów, tyle że ich szkolenie nigdy się nie kończy. Zwycięzcy w zawodach zdobywają najróżniejsze tytuły i stopnie, które można uznać za odpowiednik generałów i innych rang, jakie militaryści nadają osobom stojącym najwyżej w ich hierarchii. Część owych „generałów” – władcy, mistrzowie i tak dalej – to idole sportowi, gwiazdy pieprzalni, tacy jak ów samiec uwielbiany przez biedną Shask. Kiedy jednak się starzeją, często zamieniają podziw kobiet na władzę wśród mężczyzn i zostają tyranami we własnych zamkach, rozstawiając po kątach maluczkich, póki ktoś ich nie zdetronizuje i nie wyrzuci. Stare samce podobno często żyją samotnie w małych domkach, z dala od głównego zamku. Uważane są za niebezpiecznych szaleńców – dzikich mężczyzn.

To dość ponure życie. Po skończeniu jedenastego roku życia poza murami zamku mogą jedynie startować w zawodach i igrzyskach, potem, po piętnastych urodzinach, dodatkowo mogą konkurować w pieprzalniach, ścigając się, kto zarobi więcej i więcej kobiet zaliczy. Nic poza tym, żadnego wyboru zawodów, umiejętności, żadnych podróży, chyba że uczestniczą w wielkich zawodach. Nie wolno im kończyć uczelni, rozwijać umysłu. Spytałam Skodr, czemu inteligentny mężczyzna nie mógłby przynajmniej studiować, a ona odparła, iż nauka im szkodzi, osłabia ich poczucie honoru, sprawia, że wiotczeją im mięśnie, czyni z nich impotentów. „Mocniejszy mózg to słabsze jądra – powtarza. – Mężczyzn trzeba chronić przed nauką dla własnego dobra”.

Próbowałam być wodą, jak mnie uczono, lecz ogarnął mnie niesmak. Mam wrażenie, iż Skodr to wyczuła, bo po jakimś czasie opowiedziała mi o tajnym nauczaniu. Niektóre kobiety z uczelni przemycają wiedzę do zamków, gdzie biedni mężczyźni spotykają się w sekrecie i uczą siebie nawzajem. Chłopców, którzy nie ukończyli jeszcze piętnastego roku życia, ale mieszkają w zamkach, zachęca się do nawiązywania związków

homoseksualnych, choć już wśród dorosłych oficjalnie homoseksualizmu się nie toleruje. Skodr twierdzi, że właśnie tajnymi kursami często kierują homoseksualiści. Muszą utrzymywać wszystko w sekrecie, bo gdyby zostali przyłapani na czytaniu lub rozmowach o ideach, władcy i mistrzowie zapewne by ich ukarali. Podobno w ramach tajnego nauczania prowadzone są ciekawe badania, Skodr jednak musiała długo myśleć, by przytoczyć jakieś przykłady. Opowiedziała mi o mężczyźnie, który przemycił na zewnątrz interesujące twierdzenie matematyczne, i o innym, malarzu, którego pejzaże zachwycały zawodowe artystki, choć były prymitywne pod względem techniki. Nie pamiętała jego imienia.

Sztuka, nauki, cała wiedza, wszystkie wyspecjalizowane rzemiosła to *haggyad*, praca wymagająca kwalifikacji. Jej tajniki poznaje się na uczelniach. Nie istnieją podziały na dziedziny i niewiele jest ścisłych specjalizacji. Nauczycielki i studentki nieustannie przekraczają granice przedmiotów. Fakt, iż jest się sławną specjalistką w jednej dziedzinie, nie oznacza, że nie można studiować drugiej. Skodr to *vev* fizjologii, pisuje też sztuki teatralne, a obecnie studiuje historię u jednej z *vev* historii. Jej myśli krążą swobodnie, żywo, pozbawione lęku. Moja szkoła na Hain mogłaby wiele zyskać na kontaktach z tutejszą uczelnią. To cudowne miejsce, pełne wolnomyślicielek, ale tylko jednej płci. Wolność, lecz ograniczona.

Mam nadzieję, że Kaza znalazł sobie tajną uczelnię albo coś innego, co pozwoliłoby mu przetrwać w zamku. Jest silny, lecz tutejsi mężczyźni od dzieciństwa uprawiają sport i często bywają brutalni. Kobiety mówią, bym się nie martwiła. „Nie pozwalamy mężczyznom zabijać się nawzajem, chronimy ich, są naszym skarbem”. Ja jednak oglądałam holo ich morderczych walk, widziałam mężczyzn znoszonych z pola z ciężkimi obrażeniami po kolejnym widowiskowym rzucie. „Tylko niedoświadczeni gracze odnoszą rany”. Bardzo pocieszające. Do tego siłują się z bykami, a w przepychance zwanej wielkimi zawodami łamią sobie z rozmysłem nogi. „Co to za bohater, który nie utyka?” – mawiają kobiety. Może to bezpieczne wyjście – pozwolić złamać sobie nogę, by udowodnić, że jest się bohaterem, i nie musieć dowodzić niczego więcej? Czego jeszcze musiałby dowieść Kaza?

Poprosiłam Shask, by mnie zawiadomiła, gdyby kiedykolwiek pojawił się w pieprzalni w Resze, lecz zamek Awaga obsługuje (tak to nazywają, dokładnie tym samym słowem opisują rolę buhajów rozplodowych) cztery miasta, toteż mój towarzysz mógłby trafić do któregoś z nich. Zapewne jednak nie. Mężczyźni, którzy nie zwyciężają w zawodach, nie mogą służyć w pieprzalniach. Są tam jedynie mistrzowie i chłopcy pomiędzy piętnastym a dziewiętnastym rokiem życia. Starsze kobiety nazywają ich *dippida*, małymi zwierzątkami – szczeniakami, kociętami, barankami. *Dippida* służą rozkoszy. Za mistrza płaci się tylko wtedy, gdy chce się zejść w ciążę. Kaza jednak ma trzydzieści sześć lat, nie jest szczeniakiem, kociaczkiem ani jagnięciem. To mężczyzna, który znalazł się w miejscu strasznym dla mężczyzn.

Kaza Agad został zabity. Władcy zamku Awaga ujawnili w końcu ten fakt, lecz nie jego okoliczności. Rok później Radość wezwała lądownik i odleciała na Hain, zalecając obserwować i unikać Seggri. Stabile jednak postanowili wysłać na planetę kolejnych dwóch obserwatorów, tym razem kobiety, mobilów Alee Iyoo i Zerín Wu. Osiem lat

spędziły na Seggri, a po trzech awansowały do stopnia pierwszych mobilów. Iyoo została później jako ambasadorka przez kolejnych piętnaście lat. Dokonały wyboru Resehavanara: „Cała prawda powoli”. Ustalono limit dwustu gości spoza planety. Przez kilkanaście następnych pokoleń mieszkańcy Seggri przywykli do obecności obcych i zastanawiali się nad możliwością wstąpienia do Ekumeny. Propozycja ogólnoplanetarnego referendum w sprawie zmian genetycznych została odrzucona: głosy mężczyzn nie miałyby znaczenia, gdyby nie odebrano mocy głosom kobiet. Do dnia cytowanego niżej raportu na Seggri nie doszło do żadnych poważnych zmian genetycznych, choć mieszkańcy poznali i zaczęli stosować najróżniejsze techniki kuracji genowych, dzięki którym większy procent noworodków płci męskiej przeżywa. Obecnie stosunek kobiet do mężczyzn wynosi dwanaście do jednego.

Przedstawiony tu tekst to pamiętnik wręczony ambasador Eritho Te Ves w 93/1569 przez kobietę z Ush na Seggri.

Prosiłaś mnie, droga przyjaciółko, bym opowiedziała ci o czymś, co chciałabym przekazać ludziom z innych światów na temat mojego życia i świata. To niełatwe! Czy chcę, by ktoś gdzieś daleko wiedział o moim życiu? Zdaję sobie sprawę, że innym rasom, tym pół na pół, wydajemy się dziwni, zacofani, prowincjonalni, nawet perwersyjni. Może za kilkadziesiąt lat uznamy, że powinniśmy poddać się zmianom. Nie będę już wtedy żyła i chyba nie chciałabym. Lubię mój lud. Podobają mi się nasi gwałtowni, dumni, piękni mężczyźni; nie chcę, by upodobnili się do kobiet. Lubię godne zaufania, potężne, hojne kobiety; nie chcę, by stały się takie jak mężczyźni. A przecież widzę, że wasi mężczyźni zachowują własną istotę i naturę, kobiety także. Nie potrafię rzec, co według mnie byśmy stracili.

W dzieciństwie miałam brata młodszego ode mnie o półtora roku. Nazywał się Ittu. Matka pojechała do miasta i wydała pięcioletnie oszczędności na swojego samca, wielkiego mistrza tańca. Samiec Ittu był starszym mężczyzną z wioskowej pieprzalni, nazywali go Mistrzem Odrzutem. Nigdy nie zdobył prawdziwego mistrzostwa. Od lat nie spłodził dziecka i chętnie pieprzył się za darmo. Matka zawsze się z tego śmiała – wciąż mnie karmiła, nie używała środków anty i dała mu dwa miedziaki napiwku! Gdy odkryła, że jest w ciąży, wpadła w furję. Kiedy po badaniach stwierdzono, że to płód płci męskiej, wściekła się jeszcze bardziej, że będzie musiała czekać na poronienie. Gdy jednak Ittu przyszedł na świat cały i zdrowy, oddała staremu samcowi dwieście miedziaków, cały swój majątek.

Ittu w odróżnieniu od wielu chłopców nie był słaby i chorowity, ale jak można powstrzymać się od rozpuszczania chłopaka? Nie pamiętam, bym kiedykolwiek nie opiekowała się braciszkiem. Cały czas miałam przed oczami jasną wizję tego, co powinien robić, a czego nie powinien, wszystkich niebezpieczeństw, przed którymi powinnam go strzec. Szczyciłam się swoją odpowiedzialnością i pyszniłam faktem, iż mam brata, którym mogę się zajmować. Żaden z innych domów matczynych w mojej wiosce nie mógł się pochwalić wciąż mieszkającym w nim synem.

Ittu był ślicznym dzieckiem, prawdziwą gwiazdą. Miał włosy miękkie niczym owcze runo, jakże częste w mojej części Ush, i wielkie oczy. Z natury słodki i wesoły, był też bardzo bystry. Inne dzieci go kochały, zawsze chciały się z nim bawić, ale najszcześliwsi byliśmy podczas zabaw we dwoje. Organizowaliśmy długie, skomplikowane gry na niby.

Mieliśmy stado dwunastu sztuk bydła, które stara kobieta z wioski wyrzeźbiła z łupiny tykwy specjalnie dla Ittu – ludzie zawsze dawali mu prezenty – i odgrywały one role w naszej ukochanej zabawie. Nasze bydło żyło w kraju zwanym Shush. Przeżywało tam niezwykle przygody – wspinało się na góry, odkrywało nowe krainy, żeglowało rzekami. Podobnie jak w każdym stadzie, także w naszym zwierzętom przewodziły stare krowy – byk żył osobno, inne samce zostały wykastrowane, a największymi śmiałkami były jałówki. Nasz byk składał krowom uroczyste wizyty, obsługując je. Potem często walczył z mężczyznami w zamku Shush. Zbudowaliśmy zamek z gliny, mężczyzn odgrywały patyki. Byk zawsze wygrywał, rozszarpując na kawałki patykowych mężczyzn. Czasem burzył także zamek. Lecz najlepsze historie odgrywaliśmy jałówkami. Moja nosiła imię Op, mojego brata – Utti. Pewnego razu nasze dwie dzielne jałówki przeżywały wspaniałą przygodę w strumieniu przepływającym obok wioski, gdy nagle łódkę porwał prąd. Znaleźliśmy ją zaplątaną w gałęzie drzewa daleko w dole strumienia, który był tam głęboki i rwący. Moja jałówka wciąż leżała w środku. Oboje nurkowaliśmy cały dzień, ale nie znaleźliśmy Utti, utonęła. Bydło z Shush urządziło jej wspaniałą pogrzeb. Ittu płakał z rozpaczy. Tak długo oplakiwał swą odważną krowę, że w końcu spytałam Djerdji, główną pasterkę, czy moglibyśmy dla niej pracować. Pomyślałam, iż kontakt z prawdziwym bydłem mógłby Ittu pocieszyć. Djerdji ucieszyła się z pozyskania dwojga darmowych pastuchów (gdy matka usłyszała, że naprawdę pracujemy, kazała Djerdji płacić nam ćwierć miedziaka dziennie). Dosiadaliśmy dwóch wielkich poczciwych starych krów, a nasze siodła były tak duże, że Ittu swobodnie mógł się w swoim położyć. Co dzień wyprowadzaliśmy na step dwuletnie cielęta, aby pasły się na edcie, która najlepiej rośnie stale przycinana. Mieliśmy trzymać cielaki z dala od brzegów strumieni, a gdy zechcą się położyć i przeżuwać, gromadzić je w miejscach, gdzie odchody użyźnią pożyteczne rośliny. Większość pracy wykonywały za nas nasze stare krowy. Matka przysła kilka razy sprawdzić, jak nam idzie, i uznała, że wszystko w porządku, a całodzienne wyprawy na step sprawiały, że rośliśmy zdrowo.

Uwielbialiśmy nasze wierzchowce, krowy poważne i odpowiedzialne, jak dorosłe w domu matczym. Cielęta były inne. Należały do rasy wierzchowej. Oczywiście nie były pięknymi okazami, tylko zwykłymi krowami ze wsi, lecz edta dodawała im sił i energii. Ittu i ja dosiadaliśmy ich na oklep, a uzda była zrobiona ze sznurka. Na początku szybko lądowaliśmy na ziemi, widząc oddalający się zad cielaka, lecz pod koniec roku byliśmy już dobrymi jeźdźcami. Zaczęliśmy się uczyć sztuczek, przeskakiwać nad rogami i zmieniać wierzchowca w biegu. Ittu wspaniale skakał; wyszkolił trzyletniego łaciatego byczka i razem tańczyli niczym najlepsi skoczkowie z wielkich zamków, których oglądaliśmy w holo. Nie mogliśmy ukrywać dłużej swych wspaniałych osiągnięć – zaczęliśmy popisywać się przed innymi dziećmi, zapraszać, by przybyły nad Słone Źródła i obejrzały wielkie krowie widowisko. Wtedy oczywiście usłyszeli o nim dorośli.

Matce nie brakowało odwagi, tego jednak było za dużo nawet dla niej. Wściekła krzyknęła do mnie:

– Ufałam ci! Wierzyłam, że zaopiekujesz się Ittu, a ty mnie zawiodłaś.

Pozostałe kobiety cały czas głądziły o tym, że naraziłam bezcenne życie chłopca, promienia nadziei, skarbcza życia i tak dalej. Lecz tylko słowa matki mnie zabolowały.

– Opiekuję się Ittu, a on opiekuje się mną – odparłam w świętym uniesieniu znanym tylko dzieciom. Miałam już niemal dwanaście lat, mój brat dziesięć. – Oboje wiemy, co

jest niebezpieczne. Nie robimy nic głupiego, znamy nasze bydło. Gdy Ittu zamieszka w zamku, będzie robił mnóstwo niebezpiecznych rzeczy, przynajmniej jedną z nich będzie już znał. Tam będzie musiał wszystko osiągnąć sam, tutaj ja mu pomagam, zawsze jesteśmy razem. Nie zawiodłam cię!

Matka nagle siadła na ziemi i wybuchnęła szlochem. Razem z Ittu objęliśmy ją i także zapłakaliśmy.

– Nie pójdę – wyszlochał Ittu. – Nie chcę iść do tego przeklętego zamku. Nie mogą mnie zmusić!

Uwierzyłam mu, on także sobie wierzył. Matka wiedziała lepiej. Może kiedyś chłopcy będą mogli sami dokonywać wyboru. U was przecież ciało nie decyduje o losie mężczyzny, prawda? Może kiedyś będzie tak i u nas.

Oczywiście nasz zamek, Hidjegga, śledził uważnie wszystkie poczynania Ittu od dnia jego narodzin. Raz do roku matka posyłała na zamek raport lekarki, a gdy Ittu skończył pięć lat, wraz z żonami zabrała go tam na uroczystość konfirmacji. Ittu był jednocześnie zawstydzony i zniesmaczony, ale zainteresowanie wszystkich wyraźnie mu pochlebiło. Wyznał mi w sekrecie:

– Byli tam starzy mężczyźni, pachnieli dziwnie. Kazali mi zdjąć ubranie, mieli z sobą miarki i zmierzili mojego pipi. Powiedzieli, że jest bardzo dobry. Mówili, że jest dobry. Co się dzieje, kiedy się spuszczasz?

Nie było to pierwsze pytanie, na które nie umiałam odpowiedzieć, toteż jak zwykle zmyśliłam coś na miejscu:

– Spuszczać się to znaczy, że możesz mieć dzieci – odparłam, co pod pewnym względami niewiele mija się z prawdą.

Słyszałam, że w niektórych zamkach przygotowuje się dziewięcio-i dziesięciolatki do dnia oderwania, zachęca odwiedzinami starszych chłopców, biletami na zawody, wycieczkami po parku i budynkach, by w jedenaste urodziny same chętnie udały się za bramę. Lecz my, „prowincjusze”, mieszkańcy wiosek na skraju pustyni, przestrzegamy starych surowych zwyczajów. Oprócz konfirmacji chłopiec do jedenastych urodzin nie ma żadnego kontaktu z mężczyznami. W ów dzień zaś wszyscy, których zna, odprowadzają go do bramy i oddają obcym, by zamieszkał wśród nich do końca życia. Mężczyźni i kobiety wierzyli i wciąż wierzą, że tylko takie całkowite oderwanie stwarza mężczyznę.

Vev Ushiggi – która urodziła syna i miała wnuka, przez pięć czy sześć kadencji była burmistrzem i wszyscy darzyli ją ogromnym szacunkiem, choć nie wyróżniała się bogactwem – usłyszała, jak Ittu mówi, że nie pójdzie do przeklętego zamku. Następnego dnia zjawiała się w naszym domu matczynym i poprosiła o rozmowę z moim bratem. Powtórzył mi ją. Ushiggi nie zachęcała słodkimi słówkami. Oznajmiła, iż urodził się po to, by służyć swemu ludowi. Ma jeden obowiązek: płodzić dzieci, gdy dorośnie. Aby tego dokonać, musi stać się silnym, odważnym mężczyzną, silniejszym i odważniejszym niż inni, by kobiety wybrały go na swego samca. Dodała, że będzie musiał zamieszkać w zamku, bo mężczyźni nie mogą żyć wśród kobiet.

– Czemu nie? – spytał wtedy Ittu.

– Naprawdę tak spytałeś? – westchnęłam z podziwu dla jego odwagi. Vev Ushiggi była niezwykle groźną staruszką.

– Tak. A ona nie odpowiedziała. Długo milczała, patrzyła na mnie, potem spojrzała gdzieś w dal, a potem znów wpatrywała się we mnie długą chwilę. W końcu rzekła: „Bo

my byśmy ich zniszczyły”.

– Ależ to szaleństwo! – rzuciłam. – Mężczyźni są naszym skarbem. Czemu tak powiedziała?

Ittu oczywiście nie wiedział. Często jednak rozmyślał o jej słowach i wątpię, by inna odpowiedź mogła wyrzeć na nim większe wrażenie.

Po długiej dyskusji starszyczna wioskowa, moja matka i jej żony uznały, że Ittu może nadal ćwiczyć jazdę i skoki, bo istotnie przydadzą mu się w zamku. Nie będzie jednak pasał już bydła ani mi towarzyszył, ani też dołączał do zabaw i gier dzieci z wioski. Powiedziały mu: „Wszystko robiłeś razem z Po, ona jednak powinna bawić się z innymi dziewczynkami, a ty powinieneś robić wszystko sam jak mężczyźni”. Były zawsze bardzo miłe dla Ittu. Za to nas, dziewczęta, traktowały surowo. Jeśli ujrzały, że z nim rozmawiamy, kazały nam odejść, wrócić do pracy, zostawić chłopca w spokoju. Gdy złamaliśmy z Ittu zakaz – wykradliśmy się na wspólną przejażdżkę przy Słonych Źródłach albo ukryliśmy w starym miejscu zabaw w dolince nad strumieniem – jego potraktowały zimną ciszą, mającą go zawstydzić, mnie natomiast zamknęły na cały dzień w piwnicy starej fabryki włókienniczej, która w mojej wiosce służyła za więzienie. Następnym razem były to dwa dni. Gdy po raz trzeci nas przyłapały, zamknęły mnie w piwnicy na dziesięć dni. Młoda kobieta, Fersk, raz dziennie przynosiła mi jedzenie, sprawdzała, czy mam dość wody i nie jestem chora, ale nie odzywała się do mnie. Tak zwykle karze się ludzi w wioskach. Wieczorami słyszałam inne dzieci na ulicach. W końcu zapadała ciemność i mogłam zasnąć. Cały dzień nie miałam nic do roboty, żadnego zajęcia, mogłam myśleć wyłącznie o wzgardzie, jaką mnie otaczano, o tym, jak zawiodłam ich zaufanie i jak niesprawiedliwe jest to, że mnie ukarano, a Ittu nie.

Kiedy wyszłam, czułam się inaczej, dosłownie jakby coś w tej piwnicy się we mnie zamknęło.

Podczas posiłków w domu matczynym pilnowano, abyśmy z Ittu nie siedzieli obok siebie. Przez jakiś czas w ogóle z sobą nie rozmawialiśmy. Wróciłam do szkoły i pracy. Nie wiedziałam, co porabia Ittu, nie zastanawiałam się nad tym. Do jego urodzin pozostało pięćdziesiąt dni.

Pewnego wieczoru znalazłam pod glinianą poduszką liścik. „W dolnce dźś”. Ittu nie potrafił poprawnie pisać, ale to ja w sekrecie nauczyłam go liter. Byłam przerażona i wściekła, odczekałam jednak godzinę, by wszyscy zasnęli, po czym wstałam, wymknęłam się na dwór i pobiegłam do dolinki. Była wietrzna, gwiazdzista noc. Kończyła się pora sucha, w strumieniu pozostało niewiele wody. Ittu już czekał. Siedział przycupnięty, obejmując rękami kolana – mała plama cienia na jasnej popękanej glinie.

– Chcesz, żeby znów mnie zamknęły? – rzuciłam na powitanie. – Powiedziały, że następnym razem dostanę trzydzieści dni!

– Mnie zamkną na pięćdziesiąt lat – odparł Ittu, nie patrząc na mnie.

– I co mam z tym zrobić? Tak musi być. Jesteś mężczyzną, musisz postąpić jak mężczyzna. Zresztą i tak cię nie zamkną. Będiesz mógł startować w zawodach, wieczorami odwiedzać miasto, by obsługiwać kobiety. Nie masz pojęcia, co to znaczy zamknięcie!

– Chcę pojechać do Seraddy. – Ittu mówił bardzo szybko. Oczy mu lśniły. – Moglibyśmy pojechać na krowach na dworzec autobusowy w Redangu. Oszczędzałem, mam dwadzieścia trzy miedziaki. Pojechalibyśmy autobusem do Seraddy. Jeśli puścimy krowy

wolno, same wrócą do domu.

– A co począłbyś w Seraddzie? – spytałam z pogardą, lecz i zainteresowaniem. Nikt z naszej wioski nigdy nie odwiedził stolicy.

– Są tam ludzie z Ekkameny.

– Z Ekumeny – poprawiłam go. – I co z tego?

– Mogliby mnie zabrać – odparł Ittu.

Nagle poczułam się bardzo dziwnie. Wciąż byłam wściekła i pełna pogardy, lecz wewnątrz mnie wzbierał smutek niczym mroczna woda.

– Czemu mieliby to zrobić? Po co im jakiś mały chłopiec? Jak byś ich znalazł? A zresztą dwadzieścia trzy miedziaki to za mało. Seradda jest bardzo daleko. To naprawdę głupi pomysł. Nie możesz tego zrobić.

– Myślałem, że pojedziesz ze mną. – Głos zmiękł mu nieco, ale nie zadrżał.

– Nigdy nie zrobiłabym czegoś tak głupiego! – krzyknęłam wściekle.

– W porządku, w porządku – mruknął. – Nie powiesz nikomu, prawda?

– Nie, nie powiem. Ale ty nie możesz uciec, Ittu, nie możesz, to byłoby... niehonorowe.

Teraz już głos mu drżał:

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie dbam o honor. Chcę być wolny!

Oboje mieliśmy łzy w oczach. Usiadłam obok niego, przytuliliśmy się do siebie jak kiedyś i jakiś czas płakaliśmy, niezbyt długo. Nie mieliśmy zwyczaju płakać.

– Nie możesz – szepnęłam. – To się nie uda, Ittu.

Skinął głową, zgadzając się z moją mądrością.

– W zamku nie będzie tak źle – dodałam.

Po chwili odsunął się odrobinę.

– Będziemy się widywać – powiedziałam.

– Kiedy? – spytał tylko.

– Na zawodach. Będę cię oglądać. Założę się, że zostaniesz najlepszym jeźdźcem i skoczkiem. Zdobędziesz wszystkie nagrody i tytuł mistrza.

Przytaknął zrezygnowany. Oboje wiedzieliśmy, że zdradziłam naszą miłość i wrodzone poczucie sprawiedliwości. Ittu zrozumiał, że nie ma nadziei.

To było nasze ostatnie spotkanie sam na sam i niemal ostatnie w ogóle.

Dziesięć dni potem Ittu uciekł. Ukradł krowę i pojechał do Redangu. Kobiety z wioski bez trudu go wyśledziły i jeszcze przed zmierzchem przyprowadziły z powrotem. Nie wiem, czy pomyślał, że powiedziałam im, dokąd się udał. Tak bardzo się wstydziłam, że z nim nie uciekłam; nie mogłam na niego patrzeć. Trzymałam się z daleka, nie musiały mnie już pilnować. On zaś nie próbował ze mną rozmawiać.

Wchodziłam w okres dojrzewania. W noc przed urodzinami Ittu pierwszy raz popłynęła mi krew. Kobiety w czasie miesiączki nie mogą zbliżyć się do bram konserwatywnych zamków, takich jak nasz. Kiedy zatem Ittu stał się mężczyzną, stałam daleko z tyłu z kilkoma dziewczętami i kobietami. Niewiele widziałam. Milczałam, gdy inni śpiewali, spoglądałam w dół na ziemię, na nowe sandały, na moje stopy w sandałach. Czułam ból i skurcze macicy, tajemny przepływ krwi i ogromny żal. Nawet wtedy wiedziałam, iż żal ten nie opuści mnie do końca życia.

Ittu wszedł do zamku. Bramy się zamknęły. Wkrótce został młodym mistrzem skoków. Gdy miał osiemnaście i dziewiętnaście lat, kilka razy zjawiał się na posługach w naszej wiosce, ja jednak nigdy go nie widziałam. Jedna z moich przyjaciółek pieprzyła się z nim.

Zacząła mi o tym opowiadać, mówić, jaki był miły. Sądziła, że sprawi mi przyjemność. Kazałam jej zamilknąć i odeszłam w ślepej furii, której żadna z nas nie rozumiała.

Gdy skończył dwadzieścia lat, sprzedano go do zamku na wschodnim wybrzeżu. Po urodzeniu córki napisałam do niego, potem wysłałam jeszcze kilka listów, nigdy jednak nie odpowiedział.

Nie wiem, co tak naprawdę powiedziałam wam o moim życiu i świecie. Nie wiem, czy to właśnie chcieliście usłyszeć, ale tylko tyle mam do powiedzenia.

Zamieszczone tu opowiadanie pochodzi z 93/1586. Jest dziełem popularnej autorki z miasta Adr, Sem Gridji. Klasyczna literatura z Seggri to dramaty i poematy epickie. Klasyczne poematy i sztuki były dziełami zbiorowymi, zarówno wersje oryginalne, jak i kolejne przeróbki. Zwykle pozostawały anonimowe. Niewielką wagę przykładano do zachowania „prawdziwego” tekstu, ponieważ dzieło uważano za coś żywego, stale podlegającego zmianom. Prawdopodobnie pod wpływem Ekumeny pisarki końca XVI wieku zaczęły tworzyć krótkie opowiadania historyczne i fabularne. Gatunek ten zyskał sobie pewną popularność, zwłaszcza w miastach, choć nigdy nie dorównał sławą wielkim klasycznym eposom i sztukom. Praktycznie każdy znał ogólną fabułę i wiele cytatów dzieł epickich zarówno z księzek, jak i z holo. Niemal każda dorosła kobieta oglądała podobne przedstawienia bądź w nich uczestniczyła. Stanowiły one główną siłę jednoczącą monokulturę z Seggri. Fragmenty prozy, czytowane w samotności, pozwalały raczej zadawać ważne pytania, stały się narzędziem analizy moralnej. Konserwatywne kobiety z Seggri odrzucały cały gatunek jako sprzeciwiający się samej strukturze społecznej opartej na nieustannej współpracy. Proza nie znalazła się w programach studiów literackich na uczelniach. Często określano ją pogardliwie literaturą dla mężczyzn.

Sem Gridji opublikowała trzy zbiory opowiadań. Jej prosty, brutalny styl to typowy przykład prozy z Seggri.

Sem Gridji. Zła miłość

Azak wychowała się w domu matczynym w dzielnicy Nadrzecznej, nieopodal tkalni. Była bystrą dziewczyną, toteż rodzina i sąsiadki z dumą zebrały dość pieniędzy, by posłać ją na uczelnię. Wróciła do miasta i podjęła pracę nadzorczyńi w jednej z tkalni. Umiała współpracować z innymi, powodziło jej się dobrze. Dokładnie wiedziała, co zamierza robić przez najbliższe lata: znaleźć dwie lub trzy partnerki, założyć dom córczany i własny interes.

Azak, kobieta piękna w pełnym rozkwicie, uwielbiała seks, zwłaszcza stosunki z mężczyznami. Choć oszczędzała na przyszłość, sporo wydawała w pieprzalni i często ją odwiedzała. Czasami wynajmowała dwóch mężczyzn naraz – lubiła, gdy konkurując z sobą, wznoszą się na wyżyny umiejętności i zawstydzają się nawzajem w razie niepowodzenia. Miękki penis budził w niej obrzydzenie; nie wahała się odprawić mężczyzny, który nie zdołał powtórzyć penetracji trzy czy cztery razy jednego wieczoru.

Zamek z jej okręgu zakupił mistrza młodzików turnieju tańca zamków z południowego wschodu. Wkrótce młodzieńca posłano do pieprzalni. Azak widziała w holo, jak tańczył w finałach. Zachwyciły ją jego wdzięczne, miękkie ruchy i uroda. Nie mogła się doczekać

chwili, gdy ją obsłuży. Nie zniechęciła jej nawet cena, dwukrotnie wyższa niż innych tamtejszych mężczyzn. Okazał się przystojny i miły, łagodny i pełen zapału, zręczny i uległy. Podczas pierwszego wspólnego wieczoru pięć razy osiągnęli razem orgazm. Odchodząc, zostawiła mu hojny napiwek. Po niecałym tygodniu wróciła, pytając o Toddrę. Dawał jej niezwykłą rozkosz i wkrótce całkiem zawrócił w głowie.

– Chciałabym cię mieć tylko dla siebie – powiedziała pewnego wieczoru, gdy leżeli wciąż złączeni, cudownie zaspokojeni.

– Ja też o tym marzę – odparł. – Pragnąłbym zostać twoim sługą. Inne kobiety, które tu przychodzą, nie podniecają mnie. Nie chcę ich. Pragnę tylko ciebie.

Azak była ciekawa, czy mówił prawdę. Podczas następnej wizyty od niechcienia spytała kierowniczkę pieprzalni, czy Toddra spełnił oczekiwania innych.

– Nie – odparła tamta. – Wszystkie klientki prócz ciebie twierdzą, że wymaga długiego podniecania, traktuje je niedbale i niemiło.

– Bardzo dziwne – zauważyła Azak.

– Ależ nie. On się w tobie kocha.

– Mężczyzna miałby kochać się w kobiecie? – Azak wybuchnęła śmiechem.

– Zdarza się aż nazbyt często.

– Sądziłam, że tylko kobiety się zakochują.

– Czasem kobiety także zakochują się w mężczyźnie, i to też niedobrze – odparła kierowniczka. – Pozwól, że coś ci powiem, Azak. Miłość powinna pozostać między kobietami. Tu nie ma dla niej miejsca. Nic dobrego z niej nie będzie. Nie lubię tracić pieniędzy, ale wolałabym, żebyś czasem pieprzyła się też z innymi i nie zawsze prosiła o Toddrę. Zachęcasz go do czegoś, co mu szkodzi.

– Ale dzięki mnie oboje mnóstwo zarabiacie! – Azak wciąż traktowała tę rozmowę jako żart.

– Zarobiłby więcej u innych kobiet, gdyby się w tobie nie kochał.

Azak wydało się to słabym argumentem, gdy na drugiej szali spoczywała rozkosz, jaką dawał jej Toddra.

– Może się pieprzyć ze wszystkimi, kiedy już z nim skończę, ale na razie go chcę.

Tego wieczoru po stosunku powiedziała do Toddry:

– Tutejsza kierowniczka twierdzi, że się we mnie kochasz.

– Przecież ci mówiłem – rzekł Toddra. – Mówiłem, że chcę należeć do ciebie i służyć tobie, tylko tobie. Umarłbym dla ciebie, Azak.

– To głupota.

– Nie lubisz mnie? Nie zadowolam cię?

– Bardziej niż jakikolwiek tutejszy mężczyzna. – Pocałowała go. – Jesteś piękny i całkowicie zadowolający, mój słodki Toddro.

– Nie pragniesz innych mężczyzn stąd, prawda?

– Nie. W porównaniu z moim pięknym tancerzem to paskudni niezgrabiasze.

– Posłuchaj więc. – Usiadł. Był smukłym dwudziestodwulatkiem o długich, gładkich kończynach, szeroko rozstawionych oczach i wąskich, wrażliwych ustach. Azak leżała obok, gładząc go po udzie i podziwiając jego urodę. – Kiedy tańczę, w tańcohistoriach zawsze odgrywam kobietę. Robię to, od kiedy skończyłem dwanaście lat. Ludzie mówią, że gram tak dobrze, iż nie mogą uwierzyć, że naprawdę nie jestem kobietą. Gdybym uciekł – stąd, z zamku, w kobiecym przebraniu – mógłbym przybyć do twego domu jako służąca...

– Co?! – krzyknęła Azak zdumiona.

– Mogłbym tam zamieszkać – powiedział z napięciem, pochylając się nad nią. – Z tobą. Zawsze byłbym przy tobie. Mogłabyś mnie mieć każdej nocy. I nie kosztowałyby cię to nic poza moim wyżywieniem. Służyłbym ci, sprzątał dom... Zrobiłbym wszystko, wszystko. Azak, ukochana, moja pani, błagam, pozwól mi być twoim! – Ciągłe widząc na jej twarzy wyraz niedowierzania, podjął pospiesznie: – Gdybym cię znudził, mogłabyś mnie odprawić...

– Durniu! Gdybyś po czymś takim spróbował wrócić do zamku, zachłotaliby cię na śmierć!

– Jestem cenny – odparł. – Ukaraliby mnie, ale nie uszkodziliby mego ciała.

– Mylisz się. Ostatnio już nie tańczysz, a twoja wartość spadła, bo nie spisujesz się dobrze z nikim prócz mnie. Tak twierdzi kierowniczka.

W oczach Toddry zalśniły łzy. Azak nie chciała go ranić, ale szalony plan młodzieńca nią wstrząsnął.

– A gdyby cię odkryto, mój drogi – dodała łagodniejszym tonem – zostałabym zhańbiona. To bardzo dziecinny pomysł, Toddro. Proszę, nie myśl więcej o takich rzeczach. Ale naprawdę cię lubię, wręcz uwielbiam, nie chcę żadnego mężczyzny prócz ciebie. Wierzysz mi, Toddro?

Skinał głową.

– Jak długo to będzie trwało? – spytał cicho, powstrzymując łzy.

– Jeszcze bardzo, bardzo długo. Mój słodki, śliczny, kochany tancerzu. Możemy mieć siebie, jak długo zechcemy, przez całe lata! Tylko wypełniaj też swoje obowiązki z innymi kobietami, żeby zamek cię nie sprzedał, bo tego bym nie zniosła.

Namiętnie chwyciła go w objęcia, otwierając się przed nim, a on natychmiast podniecił się ponownie i wkrótce oboje krzyczeli z rozkoszy.

Choć nie umiała potraktować jego miłości całkowicie poważnie – cóż bowiem z podobnie źle ulokowanego uczucia mogłoby wyniknąć poza niemądrymi, szaleńczymi planami – poruszył jej serce i odkryła w sobie czułość, która jeszcze powiększyła rozkosz stosunków cielesnych. Przez ponad rok Azak spędzała dwie, trzy noce w tygodniu z Toddą. Na więcej nie było jej stać – kierowniczka, próbując zniszczyć jego miłość, nie chciała obniżyć ceny, Azak wydawała więc na niego sporo, choć po owej pierwszej nocy nigdy więcej nie zgodził się przyjąć napiwku. A potem kobieta, która nie zdołała począć z żadnym z samców z pieprzalni, przyszła do Toddry i natychmiast poczęła. Badania wykazały, że płód jest rodzaju męskiego. Kolejna kobieta poczęła, i znów chłopca. Toddra błyskawicznie stał się niezwykle poszukiwanym samcem. Kobiety zaczęły przybywać do niego z całego miasta. Oznaczało to, rzecz jasna, iż musiał być wolny podczas ich owulacji. Teraz przez wiele wieczorów nie mógł spotkać się z Azak, bo kierowniczka nie dawała się przekupić. Toddra nienawidził swej popularności, ale Azak pocieszała go i uspokajała, powtarzając, że jest z niego dumna, a jego praca nie zaszkodzi ich miłości. W istocie nie było jej wcale przykro, bo znalazła inną osobę, z którą pragnęła spędzać wieczory.

Była to Zedr, pracująca jako specjalistka naprawy maszyn. Wysoka i przystojna, przyciągnęła uwagę Azak, która zauważyła lekkość jej kroków i dumną postawę. Pod byle pretekstem zawarła znajomość. Miała wrażenie, że Zedr ją podziwia, lecz przez dłuższy czas traktowały się nawzajem jak przyjaciółki, nie czyniąc żadnych awansów seksualnych. Spędzały wiele czasu w swym towarzystwie, razem chodziły na mecze i

tańce, a Azak stwierdziła, iż życie towarzyskie podoba jej się bardziej niż stałe spędzanie czasu w pieprzalni sam na sam z Toddrą. Rozmawiały o wspólnym założeniu biznesu. Czas płynął i Azak odkryła, iż w myślach ciągle widzi piękne ciało Zedr. Wreszcie pewnego wieczoru w swym mieszkaniu wolnej kobiety wyznała przyjaciółce, że ją kocha, ale nie chce narażać ich przyjaźni niechcianym pożądaniem.

– Zapragnęłam cię od pierwszego spojrzenia – odparła Zedr – ale nie chciałam kłopotać cię mą żądzą. Sądziłam, że wolisz mężczyzn.

– Do tej pory wołałam, teraz jednak chcę się kochać z tobą – rzekła Azak.

Z początku zachowywała się dość nieśmiało, lecz Zedr była delikatna i doświadczona, i potrafiła przeciągać orgazmy Azak tak długo, że ta doświadczyła nieznanego wcześniej spełnienia.

– Uczyniłaś ze mnie kobietę – powiedziała Azak.

– A zatem stańmy się swymi żonami – odparła Zedr radośnie.

Pobrały się, przeniosły do domu w zachodniej dzielnicy i opuściły fabrykę, zakładając własną firmę.

Przez cały ten czas Azak nie wspominała Toddrze o swojej nowej miłości. Widywała się z nim coraz rzadziej. Wstydząc się nieco własnego tchórzostwa, powtarzała sobie w duchu, że zapewne jest tak zajęty obowiązkami samca, iż nie będzie za nią tęsknić. W końcu mimo romantycznych słów o miłości był tylko mężczyzną, a dla mężczyzny najważniejsze jest pieprzenie.

Gdy poślubiła Zedr, wysłała Toddrze list. Napisała, iż oddalili się od siebie, postanowiła zatem odejść swoją drogą. Więcej go nie zobaczy, ale zawsze będzie mile wspominać. Otrzymała natychmiastową odpowiedź – Toddra błagał, by przyszła i z nim pomówiła. List ten, pełen przysięg niezmiennej miłości, błędów pisowni, niemal nieczytelny, poruszył ją, zawstydził i zaniepokoił. Nie odpowiedziała. Toddra napisał ponownie i znowu, próbował też połączyć się z nią siecią holo. Zedr jednak tłumaczyła Azak, że nie powinna się z nim kontaktować. „Zachęcanie go byłoby okrutne” – twierdziła.

Interes od początku szedł im świetnie. Pewnego wieczoru wróciły do domu i zajęły się krojeniem warzyw na kolację, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołała Zedr, sądząc, że to Chochi, przyjaciółka, którą chciały uczynić trzecią partnerką.

Do środka weszła nieznajoma wysoka, piękna kobieta o głowie okrytej szalem. Podeszła wprost do Azak i odezwała się zduszonym głosem:

– Proszę, pozwól mi z tobą zostać.

Szal opadł z długich włosów. Azak rozpoznała Toddrę.

Zdumiała się i lekko przeraziła. Znała go jednak długo i darzyła wielką sympatią. Z nawyku wyciągnęła ręce na powitanie. Ujrzała na jego twarzy strach i rozpacz i pożałowała go. Zedr jednak, odgadnąwszy, kim jest gość, poczuła gniew i niepokój. Wciąż trzymała w dłoni nóż do warzyw. Wymknęła się z pokoju i wezwała miejską policję.

Gdy wróciła, mężczyzna błagał Azak, by pozwoliła mu zostać, ukryć się w domu i stać się jej sługą.

– Zrobię wszystko. Proszę, Azak, moja ukochana. Proszę... Nie mogę bez ciebie żyć, nie mogę obsługiwać tamtych kobiet, nieznajomych pragnących jedynie zajść w ciążę, nie mogę już tańczyć, myślę tylko o tobie. Jesteś moją jedyną nadzieją. Będę kobietą, nikt się nie dowie, obetnę włosy, nikt się nie dowie...

W pasji, z jaką błagał, było coś niemal przerażającego, lecz jednocześnie budzącego litość. Zedr jednak słuchała nieporuszona. Uznała, że to szaleniec. Azak natomiast czuła ból i wstyd.

– Nie, nie, to niemożliwe – powtarzała raz po raz.

On jednak nie słuchał.

Gdy policja zapukała do drzwi, Toddra śmignął na tyły domu, próbując uciec. Policjantki złapały go w sypialni. Walczył rozpaczliwie, a one brutalnie go obezwładniły. Azak krzyczała, by nie robiły mu krzywdy, one jednak nie zwracały na nią uwagi. Wykręcały mu ręce i biły po głowie tak, że przestał się ruszać. Potem wywlokły go na zewnątrz. Dowódczyni patrolu została, by zebrać dowody. Azak próbowała błagać w imieniu Toddry, lecz Zedr opowiedziała, co się zdarzyło, i dodała, iż obie sądzą, że to niebezpieczny szaleniec.

Po kilku dniach Azak spytała o niego na posterunku i dowiedziała się, iż Toddra wrócił do swojego zamku z ostrzeżeniem, że nie powinien być wysyłany do pieprzalni przez rok, a nawet dłużej, dopóki władcy zamku nie uznają go za rozsądnego i odpowiedzialnego. Dręczyła się myślą o tym, jak mogą go ukarać.

– Nie zrobią mu krzywdy – powiedziała Zedr. – Jest zbyt cenny.

On sam twierdził podobnie i Azak chętnie w to uwierzyła. W istocie z ulgą przyjęła fakt pozbycia się Toddry.

Wraz z Zedr zaprosiły Chochi najpierw do firmy, a potem do domu. Chochi pochodziła z doków, była twarda i wesoła. Umiała ciężko pracować i kochać się miło, bez większych wymagań. Były z sobą szczęśliwe, dobrze prosperowały.

Minął rok i kolejny. Azak wróciła do starej dzielnicy, by podpisać umowę na naprawy z dwiema kobietami z fabryki, w której niegdyś pracowała. Spytała je o Toddrę. Odparły, iż od czasu do czasu wracał do pieprzalni. Został tegorocznym mistrzem samców swego zamku i cieszył się dużym powodzeniem. Cenę miał nawet wyższą niż kiedyś, bo zapładniał wiele kobiet i wiele z nich nosiło męskie płody. Żadna jednak nie pragnęła go dla rozkoszy, gdyż słynął z brutalności, a nawet okrucieństwa. Pytały o niego tylko wtedy, gdy chciały począć. Ale Azak nie potrafiła sobie wyobrazić, by mógł zachowywać się szorstko. Uznała, iż to surowe kary w zamku musiały go zmienić. Nie wierzyła jednak, by owa zmiana sięgała głębiej.

Upłynął następny rok. Firma rozwijała się świetnie. Azak i Chochi zaczęły poważnie mówić o dzieciach. Zedr nie była zainteresowana rodzeniem, choć marzyła, by zostać matką. Chochi miała swojego ulubieńca w miejscowej pieprzalni; od czasu do czasu odwiedzała go dla rozkoszy. Teraz zaczęła chodzić tam podczas owulacji, bo jako samiec cieszył się bardzo dobrą opinią. Azak natomiast nie odwiedzała pieprzalni od dnia ślubu. Bardzo ceniła sobie wierność i kochała się jedynie z Zedr i Chochi. Myśląc teraz o zajściu w ciążę, odkryła, iż dawne upodobanie do pieprzenia się z mężczyznami zniknęło, więcej – zmieniło się w niesmak. Nie podobał jej się pomysł samozapłodnienia spermą z banku, lecz wizja obcego mężczyzny dokonującego penetracji budziła w niej jeszcze większy wstręt. I wtedy Azak pomyślała o Toddrze, którego szczerze kochała i z którym zaznała rozkoszy. Znowu został mistrzem samców. W całym mieście znany był jako godny zaufania zapładniacz. Nie było też żadnego innego mężczyzny, który mógłby uczynić ów akt przyjemnym. Toddra kochał ją tak bardzo, iż naraził swoją karierę i życie, by z nią być. To jednak przeminęło – nigdy więcej do niej nie napisał, a zamek i kierowniczkę pieprzalni

nie pozwoliłyby mu obsługiwać kobiet, gdyby uznały, że jest szalony i niegodny zaufania. Azak uznała, że po tak długim czasie może do niego wrócić i dać mu rozkosz, na którą sobie zasłużył.

Zawiadomiła pieprzalnię o przybliżonej dacie następnej owulacji i poprosiła o Toddrę. Był w tym terminie zajęty, więc zaproponowano jej innego samca, ale ona wolała poczekać do następnego miesiąca.

Chochi poczęła. Przyjęła to z zachwytem.

– Pospiesz się, pospiesz – mówiła do Azak. – Chcemy mieć bliźniaczki.

Azak odkryła, że nie może się doczekać spotkania z Toddrą. Żałując gwałtowności ostatniego spotkania i bólu, który musiała mu sprawić, napisała do niego list.

Mój Drogi, mam nadzieję, że długie rozstanie i wstrząs towarzyszący naszemu ostatniemu spotkaniu pójdą w niepamięć w obliczu radości, jaką da nam bycie razem. Mam też nadzieję, że wciąż mnie kochasz, bo ja Kocham Cię nadal. Będę bardzo dumna, mogąc urodzić Twoje dziecko. Miejmy nadzieję, że to będzie syn! Nie mogę się już doczekać kolejnego spotkania, mój piękny tancerzu.

Toddra nie miał czasu odpowiedzieć na list, bo wkrótce nadeszła owulacja. Zedr wciąż nie ufała Toddrze i próbowała zniechęcić partnerkę do odwiedzin. W końcu z nadąsaną miną życzyła jej powodzenia. Chochi zawiesiła jej na szyi talizman macierzyństwa i Azak, w najlepszym swoim stroju, wyruszyła w drogę.

W pieprzalni zastała nową kierowniczkę, młodą kobietę o surowej twarzy.

– Jeśli będzie sprawiał jakieś kłopoty, wezwij nas. Co prawda to mistrz, ale bywa brutalny. Nie pozwalamy mu nikogo krzywdzić.

– Mnie nie skrzywdzi – odparła z uśmiechem Azak i niecierpliwie ruszyła do znajomego pokoju, w którym tak często zaznawała z Toddrą rozkoszy.

Stał i czekał przy oknie tak jak kiedyś. Gdy się odwrócił, wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała – długonogi, o jedwabistych włosach spływających na plecy niczym wodospad. Szeroko rozstawione oczy spoglądały na nią.

– Toddra! – wykrzyknęła, podchodząc z wyciągniętymi rękami.

Ujął jej dłonie i wypowiedział imię.

– Dostałeś mój list? Cieszysz się?

– Tak – odparł z uśmiechem.

– A to nieszczęsne, niemądre zamieszanie, ta miłość... To już skończone, prawda? Bardzo mi przykro, że cię skrzywdzili, Toddro. Nie chcę, by znów do tego doszło. Czy nie możemy być sobą, być szczęśliwi jak kiedyś?

– Tak, to już skończone – rzekł. – I cieszę się, że cię widzę.

Łagodnie przyciągnął ją do siebie. Delikatnie rozebrał ją i zaczął pieścić jej ciało jak kiedyś, dokładnie wiedząc, co sprawia jej rozkosz, a ona przypomniawszy sobie, jak dać rozkosz jemu. Razem legli w łóżu. Pieściła jego twardy penis, podniecona, ale z lekką obawą myśląc o penetracji po tak długim czasie. Nagle poruszył ręką, jakby coś go uwierało. Odsunawszy się lekko, ujrzała, że trzyma w dłoni nóż. Musiał go ukryć w łóżku. Teraz skrywał ostrze za plecami.

Przebiegł ją dreszcz, podniecenie zniknęło, nadal jednak pieściła penis i jądra Toddry, nie wając się rzec ani słowa. Nie mogła odejść, bo tulił ją mocno drugą ręką.

Nagle nasunął się na nią i wbił penis w pochwę tak mocno i boleśnie, iż przez sekundę sądziła, że to nóż. Natychmiast wytrysnął. Azak wyrwała się spod niego, rzuciła do drzwi i wybiegła z pokoju, wzywając pomocy. Toddra ścigał ją, wymachując nożem. Nim inni go pochwycili, zdołał zranić Azak w łopatkę. Mężczyźni byli wściekli i stłukli go mimo protestów kierowniczką. Nagi, zakrwawiony, półprzytomny, został związany i natychmiast zabrany do zamku.

Teraz wszyscy skupili się na Azak. Oczyszczili i opatrzyli lekką ranę. Wstrząśnięta i oszołomiona spytała jedynie:

– Co z nim zrobią?

– A jak sądzisz? Co zrobią z gwałcicielem i niedoszłym mordercą? Wręczą mu nagrodę? – odparła kierowniczka. – Wykastrują go.

– Ale to moja wina! – wykrzyknęła Azak.

Kierowniczka spojrzała na nią dziwnie.

– Oszalałaś? Idź już stąd.

Azak wróciła do pokoju i jak automat zaczęła się ubierać. Spojrzała na łóżko, w którym razem leżeli. Stała przy oknie w miejscu, gdzie wcześniej stał Toddra, przypomniawszy sobie, jak tańczył dawno temu w konkursie, gdy pierwszy raz zdobył tytuł mistrza. Pomyślała: „Moje życie nie jest takie, jak być powinno”, ale nie wiedziała, jak to naprawić.

Wbrew obawom Radości zmiany w społecznych i kulturalnych instytucjach na Seggri nie doprowadziły do katastrofy. W 93/1602 uczelnia w Tehradzie zaprosiła do siebie mężczyzn z dwóch sąsiednich zamków. Zgłosiło się trzech. W ciągu następnych dziesięcioleci większość uczelni otworzyła podwoje przed mężczyznami. Po ukończeniu studiów musieli oni jednak wracać do swych zamków, chyba że postanowili opuścić planetę, bo miejscowi nie mogli mieszkać nigdzie poza uczelnią (tam wyłącznie studenci) bądź w zamkach. Działo się tak aż do uchwalenia prawa otwartej bramy w 93/1662.

Ale nawet po przyjęciu tego prawa zamki pozostały zamknięte dla kobiet, a exodus z nich mężczyzn okazał się znacznie wolniejszy, niż obawiali się przeciwnicy najnowszych regulacji. Społeczeństwo bardzo powoli przywykało do zmian. W kilku regionach wdrożono programy nauczania mężczyzn podstawowych czynności, takich jak uprawa roli i budownictwo. Z powodzeniem. Mężczyźni bowiem pracują teraz w konkurujących z sobą zespołach, odrębnych od firm kobiet i zarządzanych przez nie. W ostatnich latach wielu mieszkańców Seggri przybyło na Hain – więcej mężczyzn niż kobiet mimo zgoła odmiennych, wciąż istniejących proporcji.

Przytoczony tu szkic autobiograficzny jednego z owych mężczyzn jest szczególnie interesujący, ponieważ autor uczestniczył w wydarzeniach prowadzących wprost do uchwalenia prawa otwartej bramy.

Szkic autobiograficzny mobila Ardara Deza

Urodziłem się w 93 cyklu Ekumeny roku 1631 w Rakedrze na Seggri. Rakedr był spokojnym, bogatym, konserwatywnym miastem, a mnie wychowano w sposób tradycyjny – rozpieszczano w wielkim domu matczynym. W sumie mieszkało nas tam siedemnaścioro, nie licząc służby z kuchni: prababka, dwie babki, cztery matki, dziewięć córek i ja. Dobrze nam się powodziło. Wszystkie kobiety były wówczas bądź wcześniej kierowniczkami albo wykwalifikowanymi pracownicami w zakładach ceramicznych w Rakedrze, największej fabryce w mieście. Wszystkie święta obchodziliśmy radośnie i uroczyście. Na Hillalli dekorowaliśmy dom chorągwiami od dachu po fundamenty, na Święto Żniw szykowaliśmy fantastyczne kostiumy i co kilka tygodni rozdawaliśmy prezenty podczas kolejnych urodzin. Jak mówiłem, rozpieszczano mnie, ale chyba nie psuto. Moje urodziny nie różniły się od urodzin sióstr, mogłem też biegać z nimi i bawić się, jakbym był dziewczynką. Cały czas jednak podobnie jak one zdawałem sobie sprawę, że matka spogląda na mnie inaczej, z namysłem, rezerwą, a wraz z upływem czasu – z coraz większym smutkiem.

Po konfirmacji rodzona matka bądź jej matka każdej wiosny w dniu odwiedzin zabierała mnie do zamku Rakedr. Bramy parku, które otwarły się, wpuszczając mnie (samego i przerażonego) w dniu konfirmacji, pozostawały zamknięte, lecz przy murze umieszczano rozkładane schody. Wspinałem się na nie wraz z kilkoma innymi chłopcami z miasta. Zasiadaliśmy wygodnie na poduszkach pod baldachimami na szczycie ogrodzenia i oglądaliśmy pokazy tańców, tańców z bykami, zapasów i innych sportów, odbywające się na wielkim boisku przy zamku. Nasze matki czekały na dole, na ławkach publicznego boiska. Mężczyźni i młodzieńcy z zamku siedzieli obok nas, wyjaśniając reguły sportów i wskazując szczególnie udane skoki tancerzy bądź chwytów zapaśników. Traktowali nas poważnie, sprawiali, że czuliśmy się wyjątkowi. Bardzo to lubiłem, lecz gdy tylko schodziłem z muru i ruszałem do domu, przeżycia te opadały ze mnie niczym kostium, rola odgrywana w sztuce. Wracałem do pracy i zabawy w domu matczynym, do rodziny, do prawdziwego życia.

Gdy skończyłem dziesięć lat, wstąpiłem do chłopięcej klasy w mieście. Zorganizowano ją czterdzieści czy pięćdziesiąt lat wcześniej; miała stanowić pomost pomiędzy domami matczynymi i zamkiem, lecz zamek pod wpływem coraz bardziej konserwatywnych zarządców ostatnio wycofał się z projektu. Lord Fassaw zabronił swym mężczyznom opuszczać jego mury. Mogli jedynie w zamkniętym wozie udawać się wprost do pieprzalni, powracali o brzasku. Nikt z nich nie mógł nas niczego nauczyć. Kobiety z miasta opowiadały, czego mogę się spodziewać, gdy trafię do zamku, lecz nie wiedziały dużo więcej ode mnie i choć miały dobre zamiary, w istocie tylko mnie przerażyły i zmąciły mi w głowie. Strach i zamęt to właściwe przygotowanie do tego, co miało nastąpić.

Nie potrafię opisać uroczystości oderwania. Naprawdę nie mogę. W owych czasach mężczyźni na Seggri mieli przewagę nad innymi ludźmi: wiedzieli, czym jest śmierć. Przed swą prawdziwą śmiercią wszyscy raz już umarli. Odwrócili się, spojrzeli na całe swe życie, wszystkie miejsca i twarze, które kochali, a potem porzucili je, znikając za zatraskującą się bramą. W czasie mojego oderwania nasz niewielki zamek dzielił się wewnątrz na dwie frakcje, uczelnianych i tradycjonalistów, czyli liberałów pozostałych po rządach lorda Ishoga i młodych konserwatystów. Gdy zamieszkałem za murami, podział ten był już niezmiernie głęboki. Rządy lorda Fassawa stawały się coraz surowsze i mniej

racjonalne. Władał dzięki korupcji, brutalności i okrucieństwu. Wszyscy mieszkający w zamku mężczyźni zarażali się tymi chorobami. Zniszczyłyby nas, gdyby nie silny, stały moralny opór mężczyzn skupionych wokół Ragaza i Kohadrata, protegowanych lorda Ishoga. Ci dwaj nie ukrywali swego partnerstwa. Popierali ich wszyscy homoseksualiści z zamku oraz wielu mężczyzn i starszych chłopców.

Moje pierwsze dni i miesiące w zamkowym internacie pełne były przerażenia, nienawiści i wstydu – starsi chłopcy przebywający w zamku dłużej ode mnie, zachęceni przez dorosłych, poniżali mnie i znęcali się, by uczynić ze mnie mężczyznę – ale także wdzięczności i miłości, gdyż chłopcy pozostający pod wpływem uczelnianych obdarzali mnie przyjaźnią i zapewniali ochronę. Pomagali mi podczas zawodów; nocą przyjmowali w swych łóżkach, nie dla seksu, lecz by uchronić mnie przed seksualnymi napastnikami Fassawa. Lord Fassaw bowiem przywróciłby karę śmierci za homoseksualizm, gdyby nie sprzeciwiła się temu rada miejska. Choć nie ośmielił się ukarać Ragaza i Kohadrata, innych dorastających chłopców, pozostających w takich związkach, poddawał dziwnym, paskudnym okaleczeniom – od rozrywania uszu po piętnowanie palców rozpalonymi do czerwoności żelaznymi pierścieniami. Zachęcał jednak starszych chłopaków, by gwałcili najmłodszych, co miało dowodzić ich męskości. Żaden z nas tego nie uniknął. Baliśmy się zwłaszcza czterech młodzików zwących się ludźmi lorda. Gdy tam przybyłem, mieli po siedemnaście czy osiemnaście lat. Co kilka nocy pojawiali się w internacie w poszukiwaniu ofiary, którą gwałcili grupowo. Uczelniani chronili nas, jak tylko mogli, wzywając do swych łóżek, gdzie płakaliśmy i protestowaliśmy głośno, podczas gdy oni udawali, że nas gwałcą, śmiejąc się i szydząc. Później w ciemności i ciszy pocieszali nas słodyczami. Z czasem, gdy dorosliśmy, zaczęliśmy się darzyć wzajemną miłością, cudownym zakazanym owocem.

W zamku nie istniało coś takiego jak prywatność. Mówiłem o tym kobietom, które prosiły, bym opisał tamtejsze życie, one zaś sądziły, że mnie rozumieją. „Cóż, w domu matczynym wszyscy także dzielą się wszystkim. Cały czas krążymy po pokojach. Nigdy nie jest się samą, chyba że ma się własne mieszkanie”. Nie potrafiłem im wyjaśnić, jak bardzo różni się swobodna, przyjazna wspólnota domu matczynego od sztywnej, świadomie publicznej atmosfery czterdziestołóżkowych, jasno oświetlonych zamkowych internatów. W Rakedrze nic nie mogło pozostać prywatne poza najgłębszymi sekretami. W milczeniu przeżykaliśmy łyżę.

Dorosłem. Szczęję się tym, czuję też wdzięczność do chłopców i mężczyzn, którzy mi to umożliwili. Nie zabiłem się w odróżnieniu od kilku innych chłopców, nie zabiłem też swego umysłu i duszy, jak czynili inni po to, by przetrwały ciała. Dzięki matczynej trosce uczelnianych – ruchowi oporu, jak się nazwaliśmy – dorosłem.

Czemu mówię matczynej, nie ojcowskiej? Ponieważ w moim świecie nie istnieli ojcowie, jedynie samce. Nie znałem słów „ojciec”, „ojcowski”. O Ragazie i Kohadracie myślałem jak o matkach. Wciąż tak o nich myślę.

Z upływem lat Fassaw coraz bardziej pogrążał się w obłędzie. Jego szpony zaciskały się tak mocno, że dławiły śmiertelnie. Teraz wszystkimi rządzą ludzie lorda. Mieli szczęście, bo wciąż dysponowaliśmy bardzo silną drużyną, dumą serca Fassawa, utrzymującą nas w pierwszej lidze. Mieliśmy też dwóch mistrzów samców, o których stale dopytywano się w miejskich pieprzalniach. Jakiegokolwiek protesty, które ruch oporu próbował składać radzie miejskiej, mogły zostać odrzucone jako typowo męskie narzekanie albo przypisane

demoralizującemu wpływowi przybyszów z innych planet. Z zewnątrz zamek Rakedr wydawał się zupełnie normalny. Spójrzcie na naszą wspaniałą drużynę, na naszych supersamców! Kobiety nie próbowały spoglądać dalej.

Jak mogły nas opuścić?! – oto okrzyk dźwięczący w sercu każdego chłopca z Seggri. Jak mogły mnie tu zostawić? Nie wiedzą, jak to wygląda? Czemu nie wiedzą? Nie chcą wiedzieć?

– Oczywiście, że nie chcą – odparł Ragaz, gdy przybiegłem do niego ogarnięty świętym oburzeniem. Rada miejska znów odrzuciła naszą prośbę o wysłuchanie. – Nie chcą wiedzieć, jak żyjemy. Czemu nigdy nie odwiedzają zamków? To prawda, nie wpuszczamy ich tu, ale czy sądzisz, że udałoby nam się je powstrzymać, gdyby naprawdę chciały tu wejść? Mój drogi, współpracujemy z nimi, a one z nami, utrzymując fundament kłamstw i niewiedzy, na którym spoczywa gmach naszej cywilizacji.

– Rodzone matki nas porzucają – rzekłem.

– Porzucają? A kto nas karmi, odziewa, zapewnia płacę i schronienie? Jesteśmy od nich całkowicie zależni. Gdybyśmy kiedykolwiek się uniezależnili, może zdołalibyśmy odbudować społeczeństwo na fundamencie prawdy.

Niezależność – jego wizja nie sięgała dalej. Myślę jednak, iż umysł próbował dostrzec coś więcej, coś, o czym on sam nie miał wyobrażenia: nieśmiałe, nieogarnione marzenie o wzajemności.

Próba wystąpienia przed radą przyniosła skutki jedynie wewnątrz zamku. Lord Fassaw potraktował to jako zagrożenie dla swej władzy. Po kilku dniach Ragaz został ujęty przez ludzi lorda i ich chłopców na posyłki, oskarżony o wielokrotne akty homoseksualne i zdradzieckie spiski, osądzony i skazany przez władcę zamku. Wszystkich mężczyzn wezwano na boisko, by byli świadkami kary. Ragaz, pięćdziesięciolatek o słabym sercu – w młodości był biegaczem i poważnie przetrenował – został przywiązany nagi do łąwy i wychłostany „długim panem”, ciężką skórzaną rurą wypełnioną ołowianymi ciężarkami. Człowiek lorda Berhed, wymierzający karę, celował głównie w głowę, nerki i genitalia. Ragaz zmarł w szpitalu godzinę czy dwie później.

Tej nocy doszło do buntu w Rakedrze. Kohadrat, starszy od Ragaza i pogrążony w rozpacz, nie potrafił nas powstrzymać i poprowadzić. Był zwolennikiem prawdziwego oporu, długiego, pozbawionego przemocy. Wierzył, że z czasem ludzie lorda zniszczą się sami. Podążaliśmy za tą wizją, teraz jednak powiedzieliśmy „dosyć”. Porzuciliśmy prawdę i chwyciliśmy za broń. „Zwyciężcie tak, jak walczyście”, powiedział Kohadrat. Znaleliśmy jednak stare powiedzonko. Nie chcieliśmy dłużej cierpliwie czekać. Wiedzieliśmy, że zwyciężymy raz na zawsze.

I rzeczywiście zwyciężyliśmy. Odnieśliśmy triumf. Nim policja dotarła do bramy, lord Fassaw, jego ludzie i ich pomocnicy zginęli z naszych rąk. Pamiętam, jak zjawiły się wśród nas groźne kobiety. Oglądały pokoje zamku, w których nigdy wcześniej nie były, i okaleczone ciała, wypatroszone, wykastrowane korpusy. Patrzyły na Berheda przybitego do podłogi, z „długim panem” wetkniętym w gardło, na nas, buntowników, zwycięzców o zakrwawionych dłoniach i zaciętych minach, na Kohadrata, którego wypchnęliśmy naprzód jako naszego rzecznika. Milczał. Przełykał łzy.

Kobiety zebrały się razem, ściskając w dłoniach pistolety. Rozglądały się wokół z odrazą. Uznały nas za szaleńców. Widoczne na ich twarzach całkowite niezrozumienie tego, co naprawdę zaszło, sprawiło, że jeden z nas w końcu przemówił – Tarsk, młody mężczyzna

noszący na palcu żelazny pierścień, niegdyś rozgrzany do czerwoności i wsunięty siłą.

– Oni zabili Ragaza. Wszyscy byli szaleni. Spójrzcie. – Uniósł okaleczoną dłoń.

Po długiej chwili dowodząca oddziałem kobieta powiedziała:

– Nikt stąd nie odejdzie, póki nie zakończymy śledztwa.

Wyprowadziła policjantki z zamku, z parku i zamknęła bramy, pozostawiając nas sam na sam ze zwycięstwem.

Oczywiście przesłuchania i wyroki w sprawie buntu oglądał cały świat. Do tej pory historycy dyskutują o tych wydarzeniach. Ja sam uczestniczyłem w morderstwie człowieka lorda Tadittiego: trzech z nas zatłukło go na śmierć pałkami ćwiczebnymi w sali gimnastycznej, do której się schronił.

Zwyciężyliśmy tak, jak walczyliśmy.

Nie ponieśliśmy kary. Kilka innych zamków przysłało mężczyzn, którzy objęli rządy w Rakedrze i dowiedzieli się dość o zwyczajach lorda Fassawa, by pojąć przyczyny naszego buntu. Ale nawet najbardziej liberalni z nich darzyli nas absolutną pogardą. Nie traktowali nas jak mężczyzn, lecz jak bezrozumne, nieodpowiedzialne istoty, bydło, którego nie da się poskromić. Gdy odzywaliśmy się do nich, nie odpowiadali.

Nie wiem, jak długo zdołalibyśmy znieść lodowate brzemię wstydu. Zaledwie dwa miesiące po buncie rada światowa uchwaliła prawo otwartej bramy. Powtarzaliśmy sobie, że to nasze zwycięstwo, że to myśmy do tego doprowadzili, lecz żaden z nas w to nie wierzył. Mówiliśmy sobie, że jesteśmy wolni. Po raz pierwszy w dziejach każdy mężczyzna, który pragnął opuścić zamek, mógł po prostu wyjść przez bramę. Ale co spotka wolnego mężczyznę za bramą? Nikt się nad tym nie zastanawiał.

Byłem jednym z tych, którzy rankiem w dniu wprowadzenia prawa zdecydowali się opuścić mury. Jedenastu z nas razem wkroczyło do miasta. Ci spoza Rakedru udali się do pieprzalni w nadziei, że będą mogli tam zostać. Nie mieli dokąd pójść. Hotele i gospody nie przyjmowały mężczyzn. Ci, którzy wychowywali się w mieście, wrócili do domów matczynych.

Jak to jest powrócić z martwych? Niełatwo. Ani dla powracającego, ani dla jego bliskich. Miejsce, które zajmował w ich świecie, zniknęło, wypełnione narastającymi zmianami, zwyczajami, czynami i potrzebami innych. Został zastąpiony. Powrócić z martwych oznacza stać się duchem, kimś, dla kogo nie ma miejsca.

Z początku nie rozumieliśmy tego ani ja, ani moja rodzina. Wróciłem do nich w wieku dwudziestu jeden lat ufnie jak jedenastolatek, który ich opuścił, a one przyjęły swe dziecko z otwartymi ramionami. Dziecko jednak nie istniało. Kim byłem ja?

Przez długi czas, całymi miesiącami my, uciekinierzy z zamku, ukrywaliśmy się w domach matczynych. Mężczyźni z innych miast powrócili do swych domów, zwykle błagając o podwiezienie drużyny udającej się na mecze. W Rakedrze pozostało nas siedmiu czy ośmiu. Praktycznie się nie widywaliśmy. Mężczyźni nie mogli pojawiać się na ulicach – od wieków dostrzeżony tam samotny mężczyzna był natychmiast aresztowany. Gdy wychodziliśmy z domów, kobiety uciekały przed nami, wzywały policję albo też otaczały nas i obrzucały groźbami. „Wracajcie do zamku, gdzie wasze miejsce, wracajcie do pieprzalni, gdzie wasze miejsce, wynoście się z naszego miasta!”. Nazywały nas trutniami. I rzeczywiście nie mieliśmy ani pracy, ani swej funkcji w społeczności. Pieprzalnie nie przyjmowały naszych usług, zamek bowiem nie gwarantował naszego zdrowia i poprawnego zachowania.

Tak wyglądała nasza wolność: wszyscy byliśmy duchami, bezużytecznymi, przestraszonymi, przerażającymi intruzami, cieniami na obrzeżach życia. Obserwowaliśmy je toczące się wokół – pracę, miłość, porody, wychowywanie dzieci, zarabianie pieniędzy, tworzenie i kształtowanie, rządy i przygody; świat kobiet, barwny, pełny prawdziwy świat – i nie znajdowaliśmy w nim miejsca dla siebie. My umieliśmy jedynie rywalizować w sporcie i niszczyć się nawzajem.

Moje matki i siostry wysiłały umysły, próbując znaleźć dla mnie miejsce i użyteczną rolę w swym gwarnym radosnym domu. Dwie stare kucharki rządziły kuchnią na długo przed tym, nim się urodziłem, toteż gotowanie, jedyna praktyczna umiejętność, jaką zdobyłem w zamku, na nic się nie przydało. Znajdowały dla mnie zajęcia w domu, wszystkie jednak były zaimprovizowane, niepotrzebne i doskonale o tym wiedzieliśmy. Z radością zająłbym się dziećmi, lecz jedna z babek była bardzo zazdrosna o ten przywilej, a kilka żon moich siostr niepokoiła wizja mężczyzny dotykającego niemowląt. Moja siostra Pado wspomniała o możliwości praktyki w przetwórnicy gliny, a ja chętnie podchwyciłem ten pomysł. Lecz kierowniczki zakładów uznały po długiej dyskusji, że nie mogą się zgodzić na zatrudnianie mężczyzn. Hormony ingerowałyby w pracę, kobiety czułyby się niezręcznie i tak dalej.

W wiadomościach holo wciąż pokazywano kolejne podobne propozycje i dyskusje, a także długie wykłady o trudnych do przewidzenia konsekwencjach prawa otwartej bramy, właściwym miejscu mężczyzn w społeczeństwie, męskich umiejętnościach i ograniczeniach, płci jako czynnika determinującym przyszłość. Ludzie w większości sprzeciwiali się prawu bramy. Miałem wrażenie, że za każdym razem, gdy oglądałem holo, pojawia się w nim kobieta opowiadająca z ponurą miną o wrodzonej skłonności mężczyzn do przemocy i ich braku odpowiedzialności, biologicznym nieprzystosowaniu do uczestnictwa w życiu społecznym i podejmowania decyzji politycznych. Często podobne słowa padały z ust mężczyzn, bo konserwatyści w zamkach z zapalem popierali przeciwników nowego prawa i domagali się z pasją, by bramy zostały zamknięte, a mężczyźni wrócili do poprzedniego statusu, prawdziwej męskiej chwały, zawodów sportowych i pieprzalni. Mnie jednak po latach spędzonych w zamku Rakedr chwała bynajmniej nie pociągała. Samo to słowo brzmiało w moich uszach jak poniżenie. Wypowiadałem się gwałtownie przeciw zawodom i igrzyskom, zdumiewając całą rodzinę, która uwielbiała oglądać rozgrywki i uskarżała się jedynie na to, iż poziom większości drużyn obniżył się, od kiedy otwarto bramy. Przemawiałem też przeciw pieprzalniom, gdzie, jak mówiłem, mężczyźni traktuje się jak rozplodowe byki, nie jak ludzkie istoty. Nigdy więcej tam nie pójde.

– Mój drogi chłopcze – powiedziała w końcu matka, gdy pewnego wieczoru zostaliśmy sami – czy resztę życia spędzisz w celibacie?

– Mam nadzieję, że nie.

– Zatem...?

– Chcę się ożenić.

Myślała długą chwilę, w końcu spytała nieśmiało:

– Z mężczyzną?

– Nie. Z kobietą. Pragnę zwykłego, przeciętnego małżeństwa. Chcę mieć żonę i być żoną.

Choć pomysł ten wyraźnie ją wstrząsnął, próbowała go zaakceptować. Zastanawiała się nad nim, marszcząc brwi.

– Oznacza tylko – wyjaśniłem, bo sam zdążyłem już dokładnie przemyśleć tę kwestię

– że zamieszkalibyśmy razem, tak jak każde małżeństwo. Założylibyśmy własny dom córczany, dochowywalibyśmy sobie wierności, a gdyby ona urodziła dziecko, wraz z nią byłbym jego matką miłości. Nie wiem, dlaczego nie miałyby się to udać.

– No cóż, ja też nie mam pojęcia – odparła matka. Łagodna, delikatna, nigdy nie lubiła mi się sprzeciwiać. – Ale wiesz, że najpierw musiałbyś znaleźć kobietę?

– Wiem – odparłem ponuro.

– Masz takie kłopoty z poznawaniem nowych ludzi – dodała. – Może gdybyś poszedł do pieprzalni...? Nie widzę powodu, dla którego twój dom matczyny nie mógłby dać ci gwarancji tak jak wcześniej zamek. Może by spróbować...?

Odmówiłem gwałtownie. Nie byłem jednym z pochlebców Fassawa, toteż rzadko pozwalano mi odwiedzać pieprzalnię i nie wyniosłem z niej zbyt dobrych doświadczeń. Młody, niedoświadczony, przez nikogo niepolecany, byłem zwykle wybierany przez starsze kobiety, które pragnęły się zabawić. Ich doskonale wyćwiczone umiejętności podniecania sprawiały, iż czułem się poniżony. Odchodząc, klepały mnie, wściekłego, po głowie i zostawiały napiwek. To wystudiowane mechaniczne podniecenie i pełen swady chłód brzydziły mnie w porównaniu z czułością moich kochanków i obrońców zamku. Ale kobiety pociągały mnie fizycznie znacznie bardziej niż mężczyźni. Piękne ciała moich siostr i ich żon otaczające mnie bez przerwy, ubrane i nagie, niewinne i zmysłowe, ich cudowny ciężar, siła i miękkość sprawiały, że cały czas chodziłem podniecony. Co wieczór masturbowałem się, wyobrażając sobie, że trzymam w ramionach siostry. To było nie do zniesienia. Znow stałem się duchem, wściekłym, spragnionym i bezsilnym pośrodku świata, którego nie dało się dotknąć.

Zaczynałem już sądzić, że będę musiał wrócić do zamku. Popadłem w depresję, mój umysł spowił mrok. Czuła, opiekuńcza rodzina nie miała pojęcia, co zrobić – ze mną i dla mnie. Moje siostry i ich żony w głębi serc sądziły zapewne, że byłoby najlepiej, gdybym wrócił za bramę.

Pewnego popołudnia w moim pokoju – rodzina opróżniła dla mnie zapasowy pokój na strychu, tak bym przynajmniej w dosłownym sensie miał własne miejsce – pojawiła się moja siostra Pado, z którą w dzieciństwie byłem najbardziej związany. Zastała mnie pogrążonego w letargu; leżałem na łóżku i nic nie robiłem. Wpadła do środka i z obojętnością, jaką kobiety często okazują wobec cudzych nastrojów, usiadła w nogach łóżka.

– Co wiesz o mężczyźnie, który przybył tu z Ekumeny? – spytała.

Wzruszyłem ramionami i zamknąłem oczy. Ostatnio dręczyły mnie fantazje związane z gwałtem. Bałem się o nią. Ale Pado zaczęła opowiadać o przybyszu z innego świata przebywającym w Rakedrze i zbierającym materiały dotyczące buntu.

– Chce pomówić z członkami ruchu oporu, mężczyznami takimi jak ty. Mężczyznami, którzy otworzyli bramy. Mówi, że nie chcą się ujawnić, jakby bali się tego, że są bohaterami.

– Bohaterami? – powtórzyłem.

Słowo to w moim języku ma rodzaj żeński, odnosi się do pół boskich, pół historycznych postaci z epickich poematów.

– Tym właśnie jesteś. – Pado odrzuciła nagle pozory bez troski. – Wzięłeś na siebie odpowiedzialność, uczestniczyłeś w czymś wielkim. Może postąpiłeś źle. Sassume postąpiła źle w legendzie o założeniu Emmo, prawda? Pozwoliła, by Faradr zginęła. Nadal

jednak jest bohaterką, wzięła na siebie odpowiedzialność. Ty także. Powinieneś pomówić z tym obcym, opowiedzieć o wszystkim. Nikt tak naprawdę nie wie, co zdarzyło się w zamku. Jesteś nam winien tę historię.

Wśród moich ludzi to bardzo mocne słowa. „Nieopowiedziana historia jest matką kłamstw” – głosi przysłowie. Sprawca każdego czynu większej wagi był dosłownie zmuszany do zdawania relacji przed społecznością.

– Czemu miałbym opowiedzieć o tym obcemu? – spytałem obronnym tonem, nie chcąc porzucić inercji.

– Bo on cię wysłucha – odparła cierpko moja siostra. – My wszystkie jesteśmy zbyt zajęte.

Trafiła w samo sedno. Pado ujrzała przede mną bramę, otworzyła ją, a ja przeszedłem przez nią, bo wciąż zachowałem odrobinę siły i rozsądku.

Mobil Noem był po czterdziestce, niewysoki, o bystrych oczach i żółtobrązowej skórze. Urodził się kilka wieków temu na Terze, szkolił na Hain, dużo podróżował. Bardzo łatwo się z nim rozmawiało. Z początku wcale nie wydawał mi się męski, wciąż odnosiłem wrażenie, że jest kobietą, bo tak się zachowywał. Od razu przeszedł do rzeczy, bez żadnych manewrów mających na celu dowieść jego przewagi, bez przepychanek o pozycję, które mężczyźni z mego świata traktowali jako obowiązkowe w kontaktach z innymi mężczyznami. Przywykłem do tego, iż mężczyźni są czujni, ostrożni w słowach, stale rywalizują. Noem był jak kobiety – bezpośredni i otwarty, a także subtelny. I dysponował władzą większą niż jakikolwiek mężczyzna bądź kobieta, nawet Ragaz. Ale nigdy się do niej nie uciekał. Spoczywał wygodnie w jej blasku i zapraszał cię, byś spoczął wraz z nim.

Byłem pierwszym z buntowników z Rakedru, którzy zjawili się u niego i opowiedzieli naszą historię. Za moim pozwoleniem zarejestrował ją, by wykorzystać w raporcie, który miał przygotować dla stabilów na temat naszego społeczeństwa. Nazwał go „Kwestia Seggri”. Pierwszy opis buntu zabrał mi niecałą godzinę. Sądziłem, że to już koniec. Nie znałem wówczas niewiarygodnego pragnienia wiedzy, zrozumienia, pojęcia całej historii, które charakteryzują mobilów z Ekumeny. Noem zadawał pytania, ja odpowiadałem, on spekulował, wyciągał wnioski, ja poprawiałem. Prosił o szczegóły – dostarczałem ich, opowiadając historię buntu, lat przed nim, mężczyzn z zamku, kobiet z miasta, mojego ludu, mojego życia. Krok po kroku, kawałek po kawałku kolejne fragmenty tworzyły układankę.

Przez miesiąc co dzień rozmawiałem z Noemem. Odkryłem, iż historia nie ma początku i nie ma końca, każda opowieść stanowi chaos i nigdy nie jest do końca prawdą. Lecz kłamstwo to w istocie dziecko milczenia.

Pod koniec miesiąca kochałem Noema, ufałem mu i uzależniłem się od niego. Rozmowy z nim stały się sensem mojego życia. Próbowałem stawić czoło świadomości, iż niedługo pozostanie on w Rakedrze i powinienem nauczyć się żyć bez niego. Ale co miałem robić? Istniały rzeczy, którymi mogli się zajmować mężczyźni. Noem dowodził tego samym swym istnieniem. Czy jednak zdołałem je odkryć?

Noem, doskonale świadomy mojej sytuacji, nie pozwolił mi osunąć się z powrotem w odrętwienie strachu. Nie zgadzał się, bym milczał. Zadawał mi zdumiewające pytania.

– Gdybyś mógł zostać, kimkolwiek zechcesz, kim byś był? – spytał kiedyś, jak to czynią dzieci.

– Żoną! – odparłem natychmiast.

Teraz wiem, co oznaczał dziwny wyraz jego twarzy. Mądrymi łagodnymi oczami spoglądał na mnie, potem zerknął w bok i znów na mnie.

– Chcę mieć własną rodzinę – ciągnąłem. – Nie mieszkać w domu matczynym, gdzie zawsze będę dzieckiem. Chcę mieć żonę, żony, dzieci, być matką. Pracować. Pragnę życia, nie sportowych rozgrywek.

– Nie możesz urodzić dziecka – przypomniał mi łagodnie.

– Nie, ale mogę być mu matką.

– Dla nas to słowo przypisane do płci – rzekł. – Wasza wersja bardziej mi się podoba...

Ale powiedz mi, Ardar, jakie są szanse, abyś spotkał kobietę, która chciałaby poślubić mężczyznę? Jeszcze nigdy to się nie zdarzyło, prawda?

Musiałem przyznać, że nie.

– Z pewnością jednak kiedyś tak się stanie, tak myślę – rzekł (jego głębokie przekonanie było zawsze niepewne) – lecz z początku koszty osobiste będą bardzo wysokie. Związki sprzeciwiające się presji społeczeństwa żyją w potwornym napięciu. Zwykle zamykają się w sobie, nabierają przesadnej intensywności. Nie mają miejsca na rozwój.

– Miejsca... – westchnąłem i próbowałem przekazać mu, co czuję, nie mając takiego miejsca dla siebie w mym świecie, nie mogąc odetchnąć pełną piersią.

Spojrzał na mnie, podrapał się po nosie, w końcu wybuchnął śmiechem.

– Wiesz chyba, że w galaktyce jest mnóstwo miejsca?

– Chcesz powiedzieć... że ja... mógłbym... Ekumena...

Nie wiedziałem nawet, jak właściwie brzmi pytanie, które chciałem zadać, ale Noem wiedział. Zaczął odpowiadać – dokładnie, z namysłem. Moje wykształcenie, nawet wedle standardów mego ludu, było tak ograniczone, że aby móc się uczyć w pozaświatowej szkole, takiej jak szkoły Ekumeny na Hain, muszę kilka lat uczęszczać na uczelnię. Gdzie się potem udam i jakie szkolenie wybiorę, będzie zależeć od moich zainteresowań, które odkryję dopiero na uczelni, bo ani nauki z dzieciństwa, ani trening w zamku nie dały mi wyobrażenia o tym, co mnie ciekawi. Oferowany mi wybór, niezwykle ograniczony, nie miał nic wspólnego ani z potrzebami przeciętnej inteligentnej jednostki, ani całego społeczeństwa. I tak prawo otwartej bramy, zamiast dać wolność, pozostawiło mnie „bez powietrza, w ogromnej bezpowietrznej przestrzeni”, dodał Noem, cytując poetę z odległej planety. W głowie wirowały mi gwiazdy.

– Niedaleko Rakedru leży uczelnia Hagka – dodał. – Nie myślałeś, żeby się tam zgłosić? Choćby po to, by uciec z tego straszego zamku?

Pokręciłem głową.

– Lord Fassaw zawsze niszczył formularze zgłoszeń, jeśli spływały do jego kancelarii. Gdyby któryś z nas spróbował...

– ...zostałby ukarany. Zapewne poddany torturom. Tak. Cóż, z tego, co wiem o waszych uczelniach, a nie wiem zbyt wiele, wynika, że twój los poprawiłby się, ale nie do końca. Miałbyś własną pracę, własne miejsce, czułbyś się jednak gorszy, nieważny. Nawet wykształcone światłe kobiety mają problemy z zaakceptowaniem mężczyzn jako równych sobie intelektualnie. Wierz mi, sam tego doświadczyłem! A ponieważ w zamku nauczono cię rywalizacji, dążenia do doskonałości, z trudem przyjdzie ci żyć wśród osób, które uważają, że nie zdołasz jej osiągnąć, dla których pojęcia konkurencji, zwycięstwa, przegranej nic nie znaczą. Ale też tylko tam znajdziesz powietrze, którym będziesz mógł odetchnąć.

Noem polecił mnie znajomym kobietom z uczelni Hagka i przyjęto mnie tam na okres próbny. Moja rodzina z radością opłaciła chesne. Byłem pierwszym z krewnych, który uczęszczał na uczelnię, i wszystkie szczerze się tym szczyciły.

Tak jak przewidział Noem, nie zawsze szło mi łatwo. Na uczelni jednak studiowało dość mężczyzn, bym znalazł sobie przyjaciół i nie poddał się paralizującej izolacji domu matczynego. Potem zaś, znalazłszy w sobie ku temu potrzebną odwagę, zacząłem bliżej poznawać kobiety studentki. Okazały się pozbawione przesądów i bardzo przyjazne. Podczas trzeciego roku studiów zdołaliśmy wraz z jedną z nich ostrożnie, z wahaniem zakochać się w sobie. Nie poszło najlepiej, nie trwało też zbyt długo, ale uczucie to stanowiło dla nas obojga ogromne wyzwolenie, wyzwolenie od przekonania, że jedyną rzeczą, jaka mogłaby nas łączyć i umożliwiać porozumienie, jest seks, że dorosły mężczyzna i dorosła kobieta mogą jedynie złączyć się genitaliami. Emadr, podobnie jak ja, nienawidziła profesjonalnej obojętności pieprzalni. Nasze akty miłości zawsze były nieśmiałe i krótkie – prawdziwa siła tego związku nie polegała na zaspokajaniu żądy, lecz na dowodzeniu, że możemy sobie ufać. Prawdziwa namiętność przejawiała się wtedy, gdy leżeliśmy razem i rozmawialiśmy. Opowiadaliśmy sobie o naszym życiu, o tym, co myślimy o mężczyznach, kobietach, nas samych, jakie dręczą nas koszmary, jakie nawiedzają sny. Rozmawialiśmy bez końca, złączeni w sposób, który cenić będę i szanować przez całe życie – dwie młode dusze odnajdujące swe skrzydła, wzlatujące razem nie na długo, lecz wysoko. Pierwszy lot jest zawsze najwyższy.

Emadr nie żyje od dwustu lat. Została na Seggri, zawarła małżeństwo, wprowadziła do domu matczynego, zrodziła dwoje dzieci, uczyła w Hagce i zmarła po siedemdziesiątce. Ja poleciałem na Hain do szkoły Ekumeny, a później na Werel i Yeowe wraz z innymi mobilami. Załączam stosowne raporty. Niniejszy szkic mojego życia sporządziłem jako załącznik do mojego podania o powrót na Seggri w roli mobila Ekumeny. Bardzo pragnę znów zamieszkać pośród mego ludu, dowiedzieć się, kim się stał – teraz, gdy przynajmniej zyskałem nie do końca pewną pewność, kim jestem.

Przełożyła Paulina Braiter

Niechciana miłość

WSTĘP

autorstwa Heokard'da Aghe z farmy Inanan w wiosce Tag, na południowo-zachodnim zarzeczu rzeki Budran, na Oket, planeta O

W każdym świecie seks jest czymś niezmiernie skomplikowanym, lecz nikomu nie udało się skomplikować spraw matrymonialnych tak bardzo, jak mojemu ludowi. Chociaż nam oczywiście wszystko to wydaje się proste i tak naturalne, iż głupotą byłoby próbować opisać nasz system – zupełnie jakbyśmy mieli opisywać, jak oddychamy czy chodzimy. No wiesz, stajesz na jednej nodze, przesuwasz drugą naprzód... wciągasz powietrze do płuc, a potem wypuszczasz... poślubiasz mężczyznę i kobietę z drugiej mojety...

Pewien Getheńczyk spytał mnie, co to jest mojeta, i pojąłem nagle, iż łatwiej bym sobie wyobraził, że nie wiem, jakiej płci będę jutro, tak jak Getheńczycy, niż że nie wiem, czy jestem człowiekiem poranka, czy wieczoru. To tak całkowity i uniwersalny podział ludzkości... Jak może istnieć społeczeństwo, które go nie zna? Skąd wiadomo, kim kto jest? Jak można sprawować obrzędy bez osoby, która pyta, i osoby, która odpowiada, tej, która nalewa, i tej, która pije? Jak można kopulować na oślep, nie zważając na kazirodztwo? Muszę przyznać, że w zakurzonych, mrocznych, nieoświetlonych zakamarkach mego mózgowia kryje się zgoda na to, co rzekł mój cioteczny dziadek Gambat: „Ci ludzie z innego świata próbują stać na jednej nodze. Dwie nogi, dwie płci, dwie mojety – tylko to ma sens”.

Mojeta to połowa populacji. Nazywamy je porankiem i wieczorem. Jeśli twoja matka jest kobietą poranka, ty jesteś człowiekiem poranka. Wszyscy ludzie poranka pod pewnymi względami są braćmi i siostrami. Mogą uprawiać seks, pobierać się i mieć dzieci wyłącznie z ludźmi wieczoru. Gdy wyjaśniłem nasze pojęcie kazirodztwa koleżance ze studiów na Hain, spojrzała na mnie wstrząśnięta. „Ale to oznacza, że nie możecie uprawiać seksu z połową populacji!”. To zaś wstrząsnęło mną: „A ty chcesz uprawiać seks z połową populacji?”.

Mojety nie są czymś wyjątkowym w Ekumenie. Przeprowadziłem wiele miłych rozmów z ludźmi z kilkunastu dwudzielnych społeczności. Jedna z nich, Nadirka z Umny na Ithsh, pokiwała głową i roześmiała się, gdy przytoczyłem jej opinię ciotecznego dziadka. „Ale wy, ki'O – rzekła – pobieracie się na czworakach”. Niewielu ludzi z innych światów zechce przyznać, że nasza forma małżeństwa się sprawdza. Wolą myśleć, iż znosimy ją z trudem. Zapominają, że ludzie, choć tęsknią za prostym życiem, w istocie uwielbiają komplikacje.

Gdy biorę ślub – z miłości, w poszukiwaniu stabilizacji, z pragnienia dzieci – poślubiam trzy osoby. Jestem mężczyzną poranka, więc poślubiam kobietę wieczoru i mężczyznę wieczoru, z którymi łączą mnie więzi seksualne, i kobietę poranka, z którą nie uprawiam seksu. Ona wiąże się seksualnie z mężczyzną wieczoru i kobietą wieczoru. Całe małżeństwo to jest sedoretu. Wewnątrz niego istnieją cztery podmałżeństwa: dwie pary heteroseksualne, zwane porankiem i wieczorem, wedle mojej kobiety; męska para homoseksualna, nazywana małżeństwem nocy, i kobieca – małżeństwo dnia. Bracia i siostry głównej czwórki mogą dołączyć do sedoretu, toteż czasami małżeństwo liczy sześć czy siedem osób. Dzieci spokrewnione są w różnym stopniu, jako rodzeństwo zwykłe, przyrodnie i kuzynostwo.

Niewątpliwie sedoretu wymaga pewnych ustaleń i ustalenia te zabierają mnóstwo czasu. Które z małżeństw oparte są na miłości, którą z par łączy najmocniejsze uczucie, jak wiele związków opiera się na wygodzie, zwyczajach, korzyściach, przyjaźni – zależy to od miejscowej tradycji, charakteru współmałżonków i tak dalej. Złożoność sytuacji jest tak oczywista, iż zawsze mnie zdumiewa, gdy przybysz z innego świata dostrzega w wielokrotnym związku jedynie ten zakazany: „Jak to możliwe? Poślubiacie trzy osoby i z jedną z nich nigdy nie uprawiacie seksu?” – dziwią się.

Pytanie to zawsze mnie niepokoi, zupełnie jakby rozmówcy zakładali, iż seksualność jest siłą tak potężną, że żadne inne relacje nie mogą na nią wpływać. Większość społeczeństw spodziewa się, że ojca i córkę, brata i siostrę łączyć będzie rodzinna więź nieseksualna, choć mam wrażenie, iż czasami ludzie dysponujący władzą wynikającą z wieku i płci łamią zakaz kazirodztwa. Bez wątpienia podobne społeczeństwa widzą ludzkie istoty jako podzielone na dwie grupy. Czynnikiem różnicującym jest władza – jednej płci przyznają więcej władzy, drugiej mniej. Dla nas podstawowy podział to mojeta. Płeć stanowi wielką, lecz mniej istotną różnicę. Jeśli ktoś pragnie władzy, nie posilkuje się przywilejami wrodzonymi. To zresztą sprawia, że spoglądamy na wszystko zupełnie inaczej.

Prawda jest taka, iż ludzie z O, podobnie jak inni, uwielbiają proste życie. Znaleźliśmy też własny, szczególny sposób osiągnięcia tej prostoty. Jesteśmy konserwatywni, konwencjonalni, zadufani w sobie i nudni, podejrzliwie odnosimy się do zmian i z uporem się im sprzeciwiamy. Wiele domów, farm i świątyń na O stoi w tych samych miejscach i nosi te same nazwy od pięćdziesięciu, sześćdziesięciu wieków, a niektóre od stu. Wciąż robimy to samo co setki wieków temu. Jesteśmy bardzo ostrożni. Cenimy powściągliwość i opanowanie, często tak bardzo, iż nie ujawniamy skrywanych w sercu demonów. Gwałtownie też bronimy naszej prywatności. Nie znosimy niczego, co się wyróżnia. Nasi mędrzy nie żyją samotnie na szczytach gór, lecz w domach na farmach, otoczeni przez krewnych, starannie prowadząc rachunki. Nie mamy miast, jedynie rozrzucone po planecie wioski złożone z kilkunastu farm i budynku wspólnego. Każdy region utrzymuje własne centra edukacyjno-technologiczne. Radzimy sobie bez bogów i od bardzo, bardzo dawna – bez wojen. Pytanie, jakie najczęściej zadają nam obcy przybysze, brzmi: „Czy w tych waszych małżeństwach wszyscy razem idziecie do łóżka?”. A my zawsze udzielamy tej samej odpowiedzi: Nie.

Prawdę mówiąc, zwykle odpowiadamy „nie” na wszelkie pytania zadawane przez obcych. Zdumiewające, iż w ogóle dołączyliśmy do Ekumeny. Nasza planeta leży w pobliżu Hain – tuż obok, 4,2 roku świetlnego – i Hainowie odwiedzali nas od stuleci. W końcu przywykliśmy do nich i mogliśmy powiedzieć „tak”. Oczywiście to od nich się wywodzimy,

lecz trwałość i niezmiennosc naszych zwyczajów sprawiają, iż przy nas Hainowie wydają się młodzi, tryskający energią, pozbawieni korzeni. Prawdopodobnie dlatego nas lubią.

Niechciana miłość

Na południe od ujścia Saduun do morza, wśród wielkiej morskiej równiny wznosi się skalna wyspa. Niegdyś opływały ją fale, lecz w miarę jak z upływem wieków Saduun zostawiała w swej delcie coraz więcej piasku, do wyspy docierały tylko najwyższe przypływy, potem jedynie sztormowe fale. W końcu morze porzuciło te ziemie, rozciągając się lśniąca linią na zachodzie.

Na skale pośród słonych bagien leżała osada Meruo. Jej mieszkańcy nigdy nie uprawiali ziemi, żyli z rybołówstwa. Gdy morze się cofnęło, wykopali kanał wiodący od stóp skały aż do brzegu. Morze oddalało się, kanał się wydłużał. W końcu osadę z morzem połączył szeroki trzymilowy pas wody. Krążyły po nim łodzie rybackie i statki handlowe opuszczające doki Meruo. Tuż obok doków, warsztatów wyrabiających sieci, chłodni i suszarni ryb rozciągały się stepy porośnięte słoną trawą, na których pasły się ogromne stada yam i nietlonych baro. Meruo wynajmowało owe pastwiska farmerom z wioski Sadahun, leżącej na nadmorskich wzgórzach. Żadne ze stad nie należało do samego Meruo. Jego mieszkańców interesowało tylko morze. Żyli z niego. Nigdy nie szli, jeśli mogli gdzieś pożeglować. I choć na stepach zarabiali więcej niż na rybach, bogactwa swe wydawali na łodzie oraz pogłębianie i oczyszczanie wielkiego kanału. „Pieniądze wrzucamy w morze” – mawiali.

Ludzie z Meruo słynęli z dumy i uporu. Trzymali się z dala od obcych. Była to duża osada, w której mieszkała ponad setka osób, rzadko zatem zdarzały się w niej sedoretu z ludźmi z wioski. Mieszkańcy Meruo pobierali się między sobą. Wioskowi gadali, iż ci znad morza wszyscy są z sobą spokrewnieni.

Pewien mężczyzna poranka ze wschodniego Oket przybył do Sadahunu, by popytać o możliwości wypasu bydła na słonych bagnach. Podczas spotkania poznał mężczyznę wieczoru, Suorda, pochodzącego z Meruo. Następnego dnia Suord zjawił się u niego. Podobnie kolejnego. Czwartej nocy kochali się i namiętność Suorda porwała młodzieńca niczym sztormowa fala. Przybysz ze wschodu, Hadri, był skromny, niedoświadczony. Daleka podróż, obce miejsca i spotkania nieznajomi – wszystko to było dla niego niezwykłą przygodą. Teraz nagle jeden z tych nieznajomych szaleńczo go pokochał i błaga, by wraz z nim udał się do Meruo, został tam i zamieszkał.

– Stworzymy sedoretu – mówił Suord. – W osadzie jest kilka dziewcząt wieczoru. Chętnie poślubię jakąkolwiek kobietę poranka, byle tylko ciebie zatrzymać. Chodź, chodź ze mną, chodź na Skalę!

Tak bowiem mieszkańcy Meruo zwali swą osadę.

Hadri uznał, iż powinien się zgodzić, bo przecież Suord kocha go tak namiętnie. Zebrał się więc na odwagę, spakował swe rzeczy i wyruszył przez rozległą równinę do Meruo, które widział przed sobą – port, doki i magazyny, a wyżej dachy na tle nieba. Domy stały tyłem do lądu, okna wychodziły na długi kanał, spoglądały tęsknie ku morzu, które coraz dalej uciekało.

Suord wprowadził go do osady i przedstawił mieszkańcom. Hadri poczuł przerażenie.

Tutejsi ludzie wszyscy przypominali Suorda: piękni, ciemnoskórzy, gwałtowni, zapalczywi, nieprzejednani – tak bardzo podobni do siebie, że nie potrafił ich rozróżnić i mylił matkę z córką, brata z kuzynem, wieczór z porankiem. Nie przyjęli go ciepło. Był tu intruzem. Bali się, iż Suord wprowadzi go pomiędzy nich na stałe. Hadri też się tego bał.

Suord okazywał tak ogromną namiętność, iż Hadri, młodzieniec skromny, uznał, że musi się ona wypalić. Najgorętsze ognie krótko płoną, powtarzał sobie, pocieszając się starym powiedzonkiem. Wkrótce się mną zmęczy i będę mógł odejść, myślał. Ale przebywał w Meruo dziesięć dni, potem miesiąc, a namiętność Suorda wciąż mocno płonęła. Przekonał się wkrótce, że w miejscowych sedoretu zdarzało się wiele namiętnych par. Napięcie seksualne wręcz trzeszczało w powietrzu, przepływało siecią podziemnych przewodów niczym prąd elektryczny. A przecież część owych małżeństw trwała już wiele lat.

Nienasycona namiętność Suorda, jego uwielbienie zdumiewało Hadriego i bardzo mu pochlebiało. Uważał siebie za osobę zupełnie zwykłą, przeciętną. Czuł też, iż tak wielkiej miłości nie zdoła odwzajemnić. Ciemna uroda Suorda przepelniała mu myśli, łaknął pustki, wolności, samotności. Czasami nocą, po seksie, gdy Suord pogrążał się w głębokim śnie, Hadri wstawał nagi i cicho siadał na parapecie okna, wyglądając na długi kanał lśniący w blasku gwiazd. Bywało, że płakał cicho z bólu, choć nie znał jego przyczyny.

Jednej z takich nocy, wczesną zimą, poczucie zniewolenia, schwytania w pułapkę stało się nie do zniesienia. Ubrał się cichutko, by nie zbudzić Suorda, na bosaka wyszedł z pokoju i wy dostał się z domu. Był dalej od tutejszych dachów, pomyślał. Miał wrażenie, że się dusi.

W ciemności olbrzymi dom wydawał się jeszcze większy. Każde z mieszkających tu obecnie siedmiu sedoretu miało własne skrzydło, piętro bądź kompleks pokoi – wygodnych i przestronnych. Hadri nigdy nie odwiedził siedzib pierwszego i drugiego sedoretu daleko w południowym skrzydle i nieodmiennie błądził w najstarszej, środkowej części domostwa. Wydawało mu się jednak, iż źle się orientuje wśród pięter skrzydła północnego. Ten korytarz na przykład powinien prowadzić do schodów wychodzących na zewnątrz. Ale nie, skierował go do wąskich stopni wiodących w górę. Hadri przeszedł przez wielki, pogrążony w cieniu strych i odszukał drzwi na dach.

Długa, zabezpieczona poręczą ścieżka okrążała południową krawędź dachu. Poszedł nią, mając po lewej stronie szczyty dachów, wznoszące się niczym czarne iglice skalne. W dole widział step, mokradła i wreszcie, gdy skręcił na zachód, kanał lśniący lekko w słabym świetle gwiazd. Z mokradeł unosiła się mgła. Na jego oczach, gdy tak stał oparty o poręcz, mgła zaczęła gęstnieć i bieleć, zasnuwając woalem kanał i moczary. Owa kojąca miękkość, powoli rozmywająca kontury, lecząca wszystkie rany, ukrywająca ziemię, ucieszyła jego serce. Czuł powracające spokój i radość. Odetchnął głęboko, myśląc: Czemu jestem taki smutny? Dlaczego nie kocham Suorda tak mocno, jak on kocha mnie? Czemu on w ogóle mnie kocha?

Nagle wyczuł czyjąś obecność. Obejrzał się. Na dachu zjawiała się kobieta. Stała zaledwie kilka kroków dalej, podobnie jak on oparta o balustradę, bosa, odziana w długi szlafrok. Spojrzała na niego.

Bez wątpienia była jedną z kobiet ze Skały. Świadczyły o tym ciemna skóra, proste czarne włosy i bezbłędnie zarysowane brwi, kości policzkowe i szczęka. Nie rozpoznawał jej jednak. W jadalni północnego skrzydła poznał kilka kobiet wieczoru, wszystkie po

dwudziestce, niezamężne. Obawiał się ich, bo Suord mógłby zaproponować, aby któraś została jego żoną w sedoretu. Hadri zaś był dość nieśmiały seksualnie. Trudno przychodziło mu pokonywanie granic płci. Rozkosz i ukojenie znajdował w ramionach innych młodych mężczyzn, choć niektóre kobiety bardzo go pociągały. Dziewczyny z Meruo były niezwykle atrakcyjne. Nie potrafił sobie jednak wyobrazić, że dotyka jednej z nich. Cierpiał także z powodu nieufności i chłodu okazywanego mu przez kobiety wieczoru, które stale dawały mu do zrozumienia, że jest obcy. Traktowały go z pogardą, on zaś ich unikał. Nie był nawet pewien, która z nich to Sasni, która Lamateo, Saval czy Esbuai.

Z początku wydawało mu się, że to Esbuai, gdyż kobieta była wysoka. Nie miał jednak pewności. Ciemność mogłaby wytłumaczyć ewentualną pomyłkę. W mroku ledwie dostrzegł rysy twarzy.

– Dobry wieczór – mruknął.

Zapadła długa cisza. Hadri z rezygnacją pomyślał, iż kobiety z Meruo potrafią okazać mu wzgardę nawet w środku nocy na dachu. W końcu jednak odpowiedziała miękko, roześmianym głosem, który spowił jego umysł niczym mgłą, chłodna i kojąca.

– Dobry wieczór. Kim jesteś?

– Hadri – rzekł z westchnieniem. Teraz z pewnością okaże mu wzgardę.

– Hadri? Nie pochodzisz stąd.

Kim ona jest? – zastanawiał się.

– Pochodzę ze wschodu – odparł. – Z zarzecza Fadan'n. Jestem tu z wizytą.

– Nie było mnie jakiś czas. Właśnie wróciłam, dziś wieczór. Jaką piękną mamy noc! Uwielbiam takie noce. Uwielbiam, gdy mgła opływa nas niczym białe morze.

I rzeczywiście, mgły zlały się w jedno i uniosły. Zbudowane na skale Meruo zdawało się unosić w ciemności ponad świetlistą otchłanią.

– Mnie też się podoba. Myślałem właśnie... – urwał.

– Co takiego? – spytała po chwili tak łagodnie, iż poczuł przyływ śmiałości.

– Myślałem, iż być nieszczęśliwym w pokoju jest gorsze, niż być nieszczęśliwym na dworze – wyjaśnił i zaśmiał się smutno, ze skrępowaniem. – Ciekawe dlaczego.

– Wiedziałaś – rzekła. – Stałeś w taki sposób... Czego... czego potrzebujesz, by poczuć się lepiej?

Z początku wydała mu się starsza od niego. Teraz przemawiała jak młodzianka dziewczyna, nieśmiała i zuchwała jednocześnie, słodka i niezręczna. Ciemność i mgła sprawiły, iż oboje zachowywali się odważniej. Uwolniły ich. Mogli mówić szczerze.

– Nie wiem – rzekł. – Chyba nie wiem, jak to jest kochać.

– Czemu tak sądzisz?

– Ponieważ ja... Suord mnie tu sprowadził – nadal próbował mówić prawdę. – Kocham go, ale... nie... nie tak, jak na to zasługuje.

– Suord. – Skinęła głową z namysłem.

– Jest silny, szczodry. Daje mi całego siebie, całe swe życie, ale ja nie... nie potrafię...

– Czemu tu zostałeś? – zapytała. Nie oskarżała, chciała poznać odpowiedź.

– Kocham go – wyjaśnił Hadri. – Nie chcę go zranić. Gdybym uciekł, okazałbym się tchórzem. A ja chcę być jego godny.

Były to cztery odrębne zdania. Każde wypowiedziane osobno, z bólem.

– Niechciana miłość – rzekła kobieta z szorstką czułością. – To takie trudne.

Teraz nie mówiła już jak młoda dziewczyna, lecz jak kobieta, która wie, czym jest uczucie. Oboje spoglądali na zachód ponad morzem mgieł. W ten sposób łatwiej im się rozmawiało. Nagle odwróciła się i znów na niego spojrzała. W ciemności czuł na sobie jej wzrok. Wielka gwiazda zalśniła pomiędzy krawędzią dachu a jej głową. Gdy kobieta znów się poruszyła, zasłoniła ją, a promienie rozbłysły w jej włosach jak ozdoba. Był to cudowny widok.

– Zawsze sądziłem, że sam wybiorę sobie miłość – wyznał Hadri w końcu. – Że będę jej chciał. Wybiorę sedoretu, ustatkuję się gdzieś nieopodal farmy. Nigdy nie wyobrażałem sobie niczego innego. Nagle przybyłem tutaj, na koniec świata... i nie wiem, co robić. Zostałem wybrany. Sam nie mogę wybrać. – W jego głosie zabrzmiała gorycz. – To dziwne miejsce – dodał.

– Istotnie – odparła. – Kiedy ujrzysz wielki przypyływ...

Hadri widział to raz. Suord zabrał go na przylądek wznoszący się nad południową równiną. Choć od Meruo dzieliło ich zaledwie kilka mil, musieli pokonać znacznie dłuższą drogę, wędrując lądem i znów skręcając na zachód.

– Czemu nie możemy po prostu zejść na brzeg? – spytał Hadri.

– Zaraz się przekonasz – odparł Suord.

Usiedli na skale, by coś zjeść. Suord ani na chwilę nie spuszczał wzroku z brązowoszarych połąci błota rozciągających się aż po zachodni horyzont, upiornych, nieskończonych, pociętych siecią krętych, wąziutkich kanałów.

– Nadchodzi – rzekł, wstając.

Hadri też wstał. Ujrzał błysk, usłyszał daleki grzmot. Jasna linia wód się zbliżała. Przypyływ pędził naprzód w niewiarygodnym tempie, zalewając olbrzymie równiny. W końcu fala rozbiła się w rozbryzgach o skały w dole i opłynęła przylądek.

– Porusza się szybciej, niż mógłbyś biec – wyjaśnił Suord. Jego ciemna twarz zdradzała napięcie. – Tak właśnie morze opływało kiedyś naszą Skalę, w dawnych czasach.

– Jesteśmy tutaj odcięci? – spytał Hadri.

– Nie – odparł Suord. – Choć chciałbym, by tak było.

Teraz, wspominając tę scenę, Hadri wyobraził sobie rozległe morze, ukryte pod warstwą mgły, otaczające Meruo, liżące skały pod murami jak za dawnych czasów.

– Przypyływy pewnie odcinały Meruo od stałego lądu – rzekł, a ona odpowiedziała:

– Dwa razy dziennie.

– Dziwne – mruknął.

Usłyszał jej ciche westchnienie i śmiech.

– Ależ nie! Nie, jeśli się tu urodziłeś... Wiedziałeś, że dzieci przychodzą na świat, a umierający odchodzą w chwili zwanej ciszą. To najniższy poranny poziom wody.

Jej głos i słowa sprawiły, że serce Hadriego zacisnęło się w piersi. Były tak łagodne, tak obce.

– Pochodzę z lądu, ze wzgórz. Nigdy wcześniej nie widziałem morza. Nie mam pojęcia o przypyływach.

– Cóż... Oto ich jedyna miłość.

Patrzyła gdzieś w dal za jego plecami. Odwrócił się i tuż nad morzem mgieł ujrzał wschodzący księżyc. Spoglądał na wąziutki, zryty bliznami sierp, niezdolny wyrzec choć słowa.

– Hadri – powiedziała nieznajoma – to tylko księżyc. Kiedy będzie ci smutno, przyjdź tu

jeszcze. Chętnie z tobą rozmawiam. Z nikim innym nie mogę. Dobranoc – szepnęła.

Odeszła i zniknęła wśród cieni.

Hadri został jeszcze chwilę, patrząc na wznoszące się mgły i księżyc. W końcu mgła wygrała powolny wyścig, przysłaniając blade sierp, i wszystko spowił lodowaty woal. Drżąc z zimna, lecz wolny od wcześniejszego napięcia i rozpacz, Hadri odnalazł drogę powrotną do pokoju Suorda. Już zasypiając w szerokim, ciepłym łóżku, pomyślał: Nie znam nawet jej imienia.

Suord obudził się w kwaśnym nastroju. Nalegał, by Hadri wypłynął wraz z nim łodzią żaglową na wody kanału, by sprawdzić ujścia bocznych śluz. Tak przynajmniej twierdził. W istocie pragnął mieć Hadriego samego w łodzi, gdzie chłopiec nie tylko czuł się niepewnie, ale i nie miał drogi ucieczki. Skąpani w jasnych promieniach słońca płynęli powoli po gładkiej jak szkło toni.

– Chcesz odejść, prawda? – Suord wymówił te słowa, jakby raniły jego język niczym nóż.

– Nie – odparł Hadri, ale sam nie wiedział, jaka jest prawda.

– Nie chcesz wziąć ślubu tutaj?

– Nie wiem, Suordzie.

– Co to znaczy: nie wiem?

– Nie sądzę, by którakolwiek z kobiet wieczoru pragnęła małżeństwa ze mną. – Hadri wciąż starał się mówić prawdę. – A właściwie wiem, że go nie chcą. Wolałyby, abyś znalazł sobie miejscowego partnera. Ja jestem cudzoziemcem.

– One cię nie znają – odparł Suord, nagle zmieniając ton na błagalny. – Tutejsi ludzie bardzo długo oswajają się z obcymi. Zbyt długo żyjemy na Skale, w naszych żyłach miast krwi płynie morska woda... Ale się przekonają, poznają cię, jeśli... jeśli zostaniesz. – Odwrócił wzrok, spoglądając ponad burtą łodzi. Po chwili, niemal niedosłyszalnie dodał: – Jeżeli odejdziesz, mogę pójść z tobą?

– Nigdzie się nie wybieram.

Hadri pogładził Suorda po włosach i twarzy, ucałował go. Wiedział, że Suord nie mógłby z nim pójść, nie mógłby mieszkać w Oket na stałym lądzie. To by się nie udało. Nic z tego. Oznaczało to jednak, że on sam musi zostać tutaj, z Suordem. Gdzieś pod sercem poczuł bolesny chłód.

– Sasni i Duun to krewniaczki – powiedział po chwili Suord, odzyskawszy panowanie nad sobą. – Odkąd skończyły trzynaście lat, są kochankami. Gdybym poprosił Sasni, wyszłaby za mnie, pod warunkiem że będzie mogła zatrzymać Duun w małżeństwie dnia. Możemy stworzyć z nimi sedoretu.

Hadri nie zareagował. Sam nie wiedział, co czuje. W końcu rzekł tylko:

– Kto to jest Duun?

Gdzieś w sercu poczuł nieśmiałą nadzieję, że może to kobieta, z którą rozmawiał wczoraj na dachu, jak się zdawało – w innym świecie, królestwie mgły, ciemności i prawdy.

– Znasz Duun.

– Czy właśnie wróciła z podróży?

– Nie. – Suord był zbyt spięty, by dziwić się głupocie towarzysza. – To krewna Sasni, córka Lasudu z czwartego sedoretu. Niska, bardzo szczupła, rzadko się odzywa.

– Nie znam jej – powiedział Hadri z rozpaczą. – W ogóle nie potrafię ich odróżnić. Nie rozmawiają ze mną.

Przygryzł wargę i przeszedł na drugi koniec łodzi. Potem stanął z rękami w kieszeniach,

zgarbiony. Suord nagle się ożywił. Gdy dobili do śluzy, by sprawdzić, czy działa prawidłowo, zaczął chlapać się w błocie i wodzie. Potem skierował łódź z powrotem w stronę wielkiego kanału. Wiał silny, sprzyjający wiatr.

– Czas, byś zapoznał się bliżej z morzem! – krzyknął i poprowadził łódź na zachód, na otwarte fale.

Zasnute mgiełką słońce, bryza niosąca z sobą słoną pianę, strach przed głębinią, trudy pracy pod czujnym okiem Suorda, poczucie triumfu, gdy stanął za sterem, zmierzając z powrotem po zachodzie słońca, kiedy tafla morza rozblęskła złotoczerwonym blaskiem, a wokół nich wzleciały w powietrze rozkrzyczane stada szczudłaków i ptactwa z moczarów – wszystko to sprawiło, że Hadri był zachwycony. Lecz zachwyt opadł z niego, gdy tylko znów znaleźli się pod dachami Meruo, w mrocznych korytarzach i niskich, szerokich, ciemnych pokojach z oknami wychodzącymi na zachód. Posiłki jadali z czwartym i piątym sedoretu. Na farmie Hadriego, gdyby para młodych bez uprzedzenia znikła na cały dzień i zaniechawszy swoich obowiązków, zjawiała się w porze obiadu, powitano by ją żartobliwymi przycinkami. Tu nigdy nikt nie żartował ani nie drażnił się z nikim. Jeśli miejscowi odczuwali niechęć, skrywali ją. A może nie? Może po prostu tak dobrze się znali, byli tak złączeni, że ufali sobie nawzajem, tak jak ufa się własnym rękoma, bez pytania. Nawet dzieci żartowały i kłóciły się mniej niż inne znane Hadriemu. Rozmowy przy długim stole zawsze toczyły się cicho. Wiele osób w ogóle się nie odzywało.

Napełniając talerz, Hadri rozglądał się w poszukiwaniu poznanej w nocy kobiety. Czy była to Esbuai? Raczej nie. Miała odpowiedni wzrost, była jednak bardzo szczupła i niezwykle arogancko unosiła głowę. Nieznajomej najwyraźniej tu nie było. Może należała do pierwszego sedoretu. Która z tych kobiet to Duun?

O, ta, ta niska i szczupła obok Sasni. Teraz sobie przypomniał. Zawsze towarzyszyła Sasni. Nigdy z nią nie rozmawiał, bo z nich wszystkich Sasni okazywała mu największą pogardę. Duun stanowiła jej cień.

– Chodź – rzucił Suord i okrążając stół, usiadł obok Sasni, gestem wskazując Hadriemu miejsce przy Duun.

Hadri zajął je posłusznie. Ja jestem cieniem Suorda, pomyślał.

– On mówi, że nigdy z tobą nie rozmawiał – oznajmił Suord, zwracając się do Duun.

Dziewczyna zgarbiła się lekko i wymamrotała coś niewyraźnie. Hadri ujrzał, jak na twarz Sasni występuje rumieniec gniewu, ale jej usta wygięły się w leciutkim, wyzywającym uśmiechu. Spojrzała wprost na Suorda. Byli do siebie bardzo podobni, doskonale dopasowani.

Suord i Sasni rozmawiali o rybach i słuzach, podczas gdy Hadri jadł obiad. Po całym dniu na wodzie był potwornie głodny. Duun, która skończyła już jeść, siedziała w milczeniu. Ludzie ci potrafili doskonale trwać w ciszy i bezruchu niczym drapieżne zwierzęta bądź rybołowy. Na obiad, rzecz jasna, podano ryby. Zawsze ryby.

Kiedyś Meruo było bogatą osadą. Wciąż było tu widać ślady bogactwa, ale teraz brakowało pieniędzy. Oczyszczanie wielkiego kanału co rok pochłaniało więcej dochodów, bo morze nieubłagane oddalało się od delty rzeki. Meruo dysponowało wprawdzie wielką flotą rybacką, lecz łodzie były stare i często wymagały napraw. Hadri spytał kiedyś, czemu nie zbudują nowych, bo nad suchymi dokami czekała ogromna stocznia. Suord wyjaśnił mu, iż sam koszt drewna przekraczał ich możliwości. Mieszkańcy Meruo dysponowali tylko połowami ryb i małży, za pozostałą żywność, materiały, drewno, a

nawet wodę musieli płacić. Studnie w promieniu wielu mil od Meruo dawały jedynie słoną wodę. Do morskiej osady doprowadzono akwedukt z wioski na wzgórzach. Swą kosztowną wodę pili jednak ze srebrnych kubków, ryby jedli na starej, przejrzystej błękitnej porcelanie z Edii. Hadri podczas zmywania zawsze bał się, że coś stłucze.

Sasni i Suord wciąż rozmawiali. Hadri czuł się głupio, siedząc w milczeniu obok także milczącej dziewczyny.

– Dziś po raz pierwszy wypłynąłem na morze – powiedział w końcu, czując, jak do twarzy napływa mu krew.

Mruknęła w odpowiedzi, wbijając wzrok w pusty talerz.

– Przynieść ci zupy? – spytał Hadri.

Tutejszym zwyczajem posiłki kończono bulionem, oczywiście rybnym.

– Nie – odparła, krzywiąc się pogardliwie.

– Na mojej farmie ludzie często przynoszą sobie posiłki. To drobna uprzejmość. Przykro mi, że ciebie uraziłem.

Wstał i szybkim krokiem ruszył w stronę kredensu. Tam trzęsącymi się rękami nalał sobie zupy. Gdy wrócił, Suord patrzył na niego z namysłem i lekkim uśmieszkiem, który wzbudził gniew w sercu Hadriego. Za kogo go mieli? Sądził, że nie ma żadnych zasad, krewnych, ludu, własnego miejsca? Niech pobierają się nawzajem. On nie będzie w tym uczestniczył.

Szybko wypił zupę i nie czekając na Suorda, ruszył do kuchni, gdzie przez godzinę zmywał, by choć w części odpracować swój dzisiejszy dyżur. Może oni nie kierowali się żadnymi zasadami, ale on tak.

Suord czekał na niego w ich pokoju – pokoju Suorda. Hadri nie miał własnej sypialni. Już samo to było obraźliwe. W porządnej osadzie gość zawsze dostawał własny pokój. Suord powiedział coś – Hadri nie pamiętał już później, co to było – i jego słowa zadziałały niczym iskra wpadająca w beczkę prochu.

– Nie pozwolę się tak traktować! – krzyknął Hadri.

Suord w furii zażądał, by przyjaciel wyjaśnił, co ma na myśli, i zaczęło się: gwałtowny wybuch gniewu i oskarżeń, po którym pozostali naprzeciw siebie bladzi i wstrząśnięci.

– Hadri! – Suord niemal wyszlochał to imię.

Drżał, dygotał na całym ciele. Drobnymi, szorstkimi, silnymi dłońmi przygarnął Hadriego do siebie. Jego skóra smakowała morską solą. Hadri zatopił się w objęciach kochanka i utonął. Rankiem jednak wszystko było tak jak przedtem. Nie śmiał poprosić o pokój dla siebie, wiedząc, że zraniłby tym Suorda. „Jeśli stworzymy sedoretu, będę przynajmniej miał własny kąpiel” – usłyszał cichy podszept w swojej głowie. Ale to nie tak, nie tak...

Rozglądał się w poszukiwaniu kobiety, którą spotkał na dachu, i dostrzegł kilka podobnych do niej dziewcząt. Nie był jednak pewien, która z nich to ona. Czy zechce spojrzeć na niego? Pomówić? Nie za dnia, nie na oczach innych... Cóż, poradzi sobie bez niej.

Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że nie wie, czy to kobieta poranka, czy wieczoru. Ale w końcu jakie to miało znaczenie?

Tego wieczoru znów nadeszła mgła. Gdy obudził się w środku nocy, za oknem ujrzał jedynie bezkształtną szarość połyskującą rozproszonym światłem zza szyb w innym skrzydle domostwa. Suord spał jak zawsze na wznak. Leżał niczym śmieć wyrzucony nocą

na plażę; nieobecny, samotny. Hadri przez jakiś czas patrzył na niego z czułością tak głęboką, że aż bolesną. Potem wstał, wciągnął ubranie i odszukał korytarz zakończony wiodącymi na dach schodami.

Mgła spowiła nawet szczyty dachów. Ponad poręczą nic nie było widać. Szedł po omacku z ręką na balustradzie. Pod stopami czuł wilgotne, zimne drewno ścieżki. Ale w chwili gdy ruszył na górę, poczuł w sercu dziwną radość. W końcu dotarł do krawędzi dachu i skręcił na zachód. Jakiś czas stał bez ruchu. Wreszcie odezwał się szeptem:

– Jesteś tu?

W chwili ciszy, jak wtedy, gdy odezwał się do niej po raz pierwszy, odpowiedziała. W jej głosie słyszał nutkę śmiechu:

– Tak, jestem. A ty?

Jeszcze chwila i zaczęli się widzieć – niewyraźne postacie w szarej mgle.

– Jestem – rzekł z absurdalną radością.

Postąpił krok bliżej, by móc dostrzec jej ciemne włosy i czerń oczu w jaśniejszym owalu twarzy.

– Tak bardzo chciałem znów z tobą pomówić.

– A ja chciałam pomówić z tobą.

– Nie mogłem cię znaleźć. Miałem nadzieję, że się do mnie odezwiesz.

– Nie tam, w domu. – W jej głosie pojawił się chłód.

– Należysz do pierwszego sedoretu?

– Jestem żoną poranka z pierwszego sedoretu w Meruo. Nazywam się An'nad. Chciałam spytać, czy wciąż jesteś nieszczęśliwy.

– Tak – odparł. – Nie... – Próbował spojrzeć jej prosto w twarz, ale było za ciemno. – Czemu z tobą mogę rozmawiać, a nie mogę z nikim innym tutaj? – spytał. – Czemu tylko ty jesteś dla mnie miła?

– Czy Suord jest niemiły? – Z lekkim wahaniem wymówiła jego imię.

– Nie z rozmysłem. Nigdy. Tyle że... ciągnie mnie, popycha. On... jest silniejszy ode mnie.

– Może nie – powiedziała An'nad. – Może tylko bardziej przywykł do tego, że mu się ustępuje.

– A może bardziej mnie kocha – dodał Hadri ze wstydem, ścisząc głos.

– Ty go nie kochasz?

– Ależ tak!

Roześmiała się.

– Nigdy nie znałem nikogo podobnego – wyznał Hadri. – Jest więcej niż... Jego uczucia są tak głębokie, że... gubię się w nich. Ale kocham go... ogromnie...

– Co jest zatem nie tak?

– On pragnie ślubu.

Hadri urwał. Mówił o ludziach z jej domu, prawdopodobnie krewnych. Jako żona z pierwszego sedoretu stanowiła część sieci łączącej mieszkańców Meruo. W co on się pakował?

– Kogo chce poślubić? – spytała. – Nie martw się. Nie zamierzam się wtrącać. Czy chodzi o to, że nie chcesz wziąć z nim ślubu?

– Nie, nie – rzekł Hadri. – Tylko że... nigdy nie zamierzałem zostać tu na stałe. Sądziłem, że wrócę do domu. Na małżeństwo z Suordem nie zasłużyłem. Byłoby

cudownie, wspaniale, ale samo sedoretu nie jest takie, jak być powinno. On mówi, że Sasni wyjdzie za niego, a Duun za mnie, tak by Duun i Sasni również mogły się pobrać.

– Suord i Sasni... – Znów zauważył odrobinę wahania, nim wymówiła ich imiona. – Nie kochają się, prawda?

– Nie – rzekł, ale nagle przypomniał sobie iskrę wyzwania w ich oczach.

– A ty i Duun?

– Nawet jej nie znam.

– O nie. To nieuczciwe – zaprotestowała An'nad. – Należy wybierać miłość, ale nie w ten sposób. Czyj to plan? Całej trójki?

– Chyba tak. Suord i Sasni rozmawiali o tym. Druga dziewczyna, Duun, w ogóle się nie odzywa.

– Porozmawiaj z nią – poradziła cicho. – Porozmawiaj z nią, Hadri.

Patrzyła na niego. Stali dość blisko, by czuł na swym ramieniu ciepło jej ręki, choć się nie dotykali.

– Wolę rozmawiać z tobą. – Odwrócił się ku niej.

Cofnęła się i ten jeden ruch sprawił, że wydała się nagle mniej materialna. Otaczająca ich mgła była gęsta i ciemna. An'nad wyciągnęła rękę i go dotknęła. Wiedział, że się uśmiecha.

– Zostań zatem i rozmawiajmy. – Oparła się o balustradę. – Powiedz mi... Och, cokolwiek. Co robicie z Suordem, kiedy się nie kochacie?

– Żeglowaliśmy – rzekł i nagle odkrył, że opowiada jej, jak się czuł, wypływając na otwarte morze, mówi o swym zachwycie i przerażeniu.

– Umiesz pływać? – spytała.

Roześmiał się.

– W jeziorze, w domu. To nie to samo.

Ona także się zaśmiała.

– Nie. Przypuszczam, że nie.

Długo rozmawiali. W końcu spytał:

– Co robisz za dnia? Nie widziałem cię jeszcze w domu.

– Nie – odparła. – Co robię? Głównie martwię się o Meruo, o moje dzieci. Teraz nie chcę o tym myśleć. Jak w ogóle poznałeś Suorda?

Nim skończyli rozmawiać, mgła pojaśniała lekko. Wszedł księżyc. Zrobiło się przejmująco zimno. Hadri trząsał się cały.

– Idź już – rzekła. – Ja przywykłam. Wracaj do łóżka.

– O, szron. Zobacz. – Hadri dotknął posrebrzonej drewnianej balustrady. – Ty też powinnaś już zejść.

– I zejść. Dobranoc, Hadri. Ja zaczekam na przypływ.

– Dobranoc, An'nad.

Wymówił to imię z uczuciem. Gdyby pozostałe kobiety ją przypominały!

Wyciągnął się wygodnie tuż obok nieruchomego, rozkosznie ciepłego Suorda i zasnął.

Następnego dnia Suord pracował w archiwum. Hadri nie mógł się tam na nic przydać. Wykorzystał zatem sposobność i zadając kolejne pytania kilku złośliwym, wyniosłym kobietom, dowiedział się, że znajdzie Duun w suszarni ryb. Zszedł do doków i ją odszukał. Szczęście – jeśli to było szczęście – sprawiło, że jadła właśnie drugie śniadanie, samotnie, w zamglonych promieniach słońca, na skraju zatoczki.

– Chcę z tobą pomówić – rzekł.

– Po co? – spytała. Nie patrzyła na niego.

– Czy to uczciwe poślubić kogoś, kogo się nawet nie lubi, po to, by być z kimś, kogo się kocha?

– Nie – odparła gwałtownie, nadal nie podnosząc wzroku. Próbowwała złożyć torbę, w której przyniosła posiłek, lecz ręce za bardzo jej się trzęsły.

– Czemu zatem chcesz to zrobić?

– A czemu ty chcesz?

– Ja nie chcę – odparł. – Chce Suord. I Sasni.

Skinęła głową w milczeniu.

– Ty nie?

Gwałtownie pokręciła głową. Nagle uświadomił sobie, że jej szczupła ciemna twarz jest bardzo młoda.

– Ale przecież kochasz Sasni – powiedział niepewnie.

– Tak! Kocham Sasni! Zawsze kochałam. Zawsze będę kochać. To jednak nie znaczy, że... muszę robić wszystko, co mi każe, wszystko, czego pragnie. Że muszę... muszę... – Teraz patrzyła wprost na niego. Jej twarz płonęła niczym rozżarzony węgielek. Głos jej drżał i załamywał się wyraźnie. – Ja nie jestem własnością Sasni.

– Cóż – rzekł. – Ja nie jestem własnością Suorda.

– W ogóle nie znam się na mężczyznach – Duun wciąż patrzyła na niego gniewnie – ani na innych kobietach. Nigdy nie byłam z nikim oprócz Sasni, przez całe życie. Ona sądzi, że do niej należę.

– Są do siebie bardzo podobni – zauważył Hadri ostrożnie.

Zapadła cisza. Duun, choć z jej oczu jak u dziecka popłynęły potoki łez, nie próbowała nawet ich ocierać. Siedziała wyprostowana, pełna godności jak każda kobieta z Meruo. W końcu udało jej się złożyć torebkę.

– Ja z kolei niewiele wiem o kobietach – wyznał Hadri – ani o mężczyznach. Wiem, że kocham Suorda, ale... potrzebuję swobody.

– Swobody – powtórzyła.

Z początku wydało mu się, że z niego drwi. Ale wręcz przeciwnie, wybuchnęła płaczem.

– Ja też! – wyszłochała.

Hadri nieśmiało pogładził ją po ramieniu.

– Nie chciałem cię doprowadzić do łez. Nie płacz, Duun. Posłuchaj, jeśli oboje czujemy to samo, może uda nam się coś wymyślić. Nie musimy się pobierać. Możemy zostać przyjaciółmi.

Przytaknęła, choć jeszcze przez jakiś czas pociągała nosem. W końcu uniosła zapuchniętą twarz i spojrzała na niego mokrymi, lśniącościami oczami.

– Chciałabym mieć przyjaciela – powiedziała. – Nigdy nikogo takiego nie miałam.

– Ja mam tu tylko jedną przyjaciółkę. – Przypomniał sobie nagle, jak poradziła mu, by porozmawiał z Duun. – An'nad.

Duun spojrzała na niego zaskoczona.

– Kogo?

– An'nad. Żonę poranka z pierwszego sedoretu.

– Co ty mówisz? – W jej głosie nie usłyszał wzgardy, tylko zdumienie. – Przecież ona się nazywa Teheo.

– Kim zatem jest An’nad?

– Była żoną poranka w pierwszym sedoretu. Cztery lata temu – odparła Duun. Wciąż patrzyła na Hadriego z wyraźnym zdumieniem.

– Opowiedz mi o niej – poprosił.

– Utonęła. Tu, u stóp Skały. Całe jej sedoretu wraz z dziećmi siedziało na piasku. Działo się to wtedy, gdy pływy cofnęły się i nie docierały do Meruo. Wszyscy siedzieli na piasku, planując budowę kanału. Ona została w domu. Dostrzegła sztormowe chmury na zachodzie i zrozumiała, że wiatr może sprowadzić z sobą jeden z potężnych przypliwów. Zbiegła na plażę, by ich ostrzec. Fala rzeczywiście nadeszła, aż pod skałę, tak jak kiedyś. Im udało się uciec. An’nad nie. Utonęła.

Głowę Hadriego wypełniły myśli o An’nad i Duun. Ale nie zastanawiał się nad tym, czemu Duun odpowiedziała na jego pytanie, nie zadając własnego. Dopiero znacznie później, w pół roku później, spytał:

– Pamiętasz, jak mówiłem, że spotkałem An’nad? Pierwszy raz, gdy z sobą rozmawialiśmy, nad basenem portowym.

– Pamiętam.

Byli w pokoju Hadriego; pięknym pomieszczeniu o wysokim suficie z oknami wychodzącymi na wschód. Tradycyjnie zajmował go członek ósmego sedoretu. Letnie poranne słońce ogrzewało ich łóżko. Przez okno do środka wpadał wiatr od lądu – lekki, niosący woń ziemi.

– Nie wydało ci się to dziwne? – spytał Hadri.

Głowę trzymał na ramieniu Duun. Gdy dziewczyna mówiła, czuł na włosach jej ciepły oddech.

– Wtedy wszystko było takie dziwne... Sama nie wiem. A poza tym, gdybyś usłyszał przypliw...

– Przypliw?

– W zimową noc w domu, na strychach, słyhać, jak nadchodzi, jak fale uderzają o skałę i wpływają w głąb lądu aż po wzgórze. Prawdziwy przypliw, choć od morza dzielą nas całe mile.

Suord zapukał. Poczekał na zaproszenie i wszedł do środka już ubrany.

– Ciągłe w łóżku? Idziemy do wsi czy nie? – spytał głośno. Wyglądał wspaniale i wyniośle w białym letnim płaszczu. – Sasni już czeka na dziedzińcu.

– Tak, tak, właśnie wstawaliśmy – odparli, w sekrecie obejmując się mocniej.

– Szybko – rzucił Suord i wyszedł.

Hadri usiadł, lecz Duun pociągnęła go z powrotem.

– Widziałeś ją? Rozmawiałeś z nią?

– Dwa razy. Po tym, jak powiedziałaś mi, kim jest, już tam nie wróciłem. Bałem się. Nie jej. Bałem się, że jej tam nie będzie.

– Co zrobiła? – spytała Duun cicho.

– Ocaliła nas przed utonięciem – odparł Hadri.

Przełożyła Paulina Braiter

Górskie ścieżki

Słowo dla czytelnika nieznającego planety O:

Spółczesność ki'O dzieli się na dwie części, czyli mojety, zwane (z pradawnych przyczyn religijnych) porankiem i wieczorem. Każdy należy do mojety, z której pochodziła matka. Nie można uprawiać seksu z nikim ze swojej mojety.

Małżeństwo na O to związek czteroosobowy, sedoretu: mężczyzna i kobieta poranka, mężczyzna i kobieta wieczoru. W małżeństwie seks uprawia się z obojgiem partnerów z przeciwnej mojety i z nikim z własnej. W każdym sedoretu istnieją dwa dozwolone związki heteroseksualne, dwa dozwolone związki homoseksualne i dwa zakazane związki heteroseksualne.

Dozwolone związki sedoretu to:

- kobieta poranka i mężczyzna wieczoru (małżeństwo poranka);*
- kobieta wieczoru i mężczyzna poranka (małżeństwo wieczoru);*
- kobieta poranka i kobieta wieczoru (małżeństwo dnia);*
- mężczyzna poranka i mężczyzna wieczoru (małżeństwo nocy).*

Zakazane związki to kobieta poranka i mężczyzna poranka oraz kobieta wieczoru i mężczyzna wieczoru. Nie mają nazwy, traktuje się je jako świętokradztwo.

Wszystko to jest naprawdę bardzo skomplikowane, ale czyż istnieją gdzieś proste małżeństwa?

W wyższych partiach kamienistych gór Deki nie ma zbyt wielu farm; farmerzy tutaj ledwie wiążą koniec z końcem, korzystając z tego, co zrodzi chłodna ziemia. Na południowych zboczach sadzą rośliny. Oprócz nich hodują yamy dające miękką wełnę – zbierają ją, przędą, tkają, sprzedając włókno fabrykom dywanów. Górska yama, zwana ariu, jest drobna i koścista. Biega swobodnie; pastwisk nie otaczają płoty, bo zwierzęta nigdy nie przekraczają niewidzialnych, istniejących od zarania dziejów granic terenu stada. W istocie każda farma to oddzielne terytorium. Prawdziwymi farmerami są zwierzęta. Cierpliwe, tolerancyjne, pozwalają farmerom wyczesywać swe gęste runo, pomagać w ciężkich porodach i po śmierci obdzierać się ze skóry. Farmerzy potrzebują ariu, ariu nie potrzebują farmerów. Nie ma sensu pytać, kto jest czyim właścicielem. Na farmie Danro nie mawiają: „Mamy dziewięćset ariu”, tylko: „Stado liczy sobie dziewięćset sztuk”.

Danro to najdalsza farma z wioski Oro w górnym dorzeczu Mane w Oniasu na O. Ludzie z gór są cywilizowani, ale nieprzesadnie. Podobnie jak większość ki'O szczytą się tym, iż

robią wszystko dokładnie tak jak zawsze, wistocie jednak są uparci i zawzięci. Chętnie zmieniają zasady, jeśli tak im wygodnie. Mawiają też, iż ludzie „z dołu” nie znają zasad i nie szanują dawnych zwyczajów, zwyczajów górskich.

Jakiś czas temu lawina na Farren zniszczyła pierwsze sedoretu z Danro; zginęła wtedy kobieta poranka i jej mężczyzna. Owidowała para wieczoru, pochodząca z innych farm, pograżyła się w żałobie i wcześniej postarzała, oddając kierowanie farmą córce poranka.

Dziewczyna miała na imię Shahes. W wieku trzydziestu lat była drobną, silną kobietą o prostych plecach, rumianą i ogorzałą. Zawsze śmiało szła przed siebie, oddychając głęboko jak prawdziwa góralka. Lubiła zejść do wioski, brodząc w głębokim śniegu. Dźwigała na plecach stukilowy wór pełen skórek, które na dole sprzedawała, by zapłacić podatki, odwiedzić wiejską gospodę i przed zmierzchem wrócić do domu stromą, krętą ścieżką. Była to nie lada wyprawa – droga miała czterdzieści kilometrów i wymagała pokonania sześciusetmetrowej różnicy poziomów. Jeśli Shahes bądź ktokolwiek inny z Danro pragnął zobaczyć nową twarz, musiał zejść z gór na inne farmy lub do centralnej wioski. W Danro nie było niczego, co mogłoby skusić przybysza. Shahes rzadko zatrudniała pomocników, a rodzina nie utrzymywała kontaktów towarzyskich. Jej gościnność, podobnie jak ścieżka prowadząca na farmę, zanikła, rzadko używana.

Ale wędrowną uczona z nizin, która dotarła brzegiem Mane aż do Oro, nie dała się zniechęcić kolejnej stromej ścieżce pełnej wybojów i kamieni. Wcześniej odwiedziła już inne farmy, teraz zaś ruszyła naprzód, okrążając Farren od strony Ked'din, i dalej do Danro. Tam złożyła tradycyjną honorową propozycję: uczestnictwo w obrzędach w domowej kaplicy, prowadzenie rozmów o Dyskusjach, nauczanie dzieci z farmy spraw duchowych – a wszystko dopóty, dopóki farmerzy zechcą zapewnić jej wikt i opierunek.

Uczona była kobietą wieczoru, po czterdziestce, wysoką i długonogą. Jej krótko przystrzyżone brązowe włosy kręciły się jak futro yamy. Nie znała lęku, nie oczekiwała luksusów ani wygod, nigdy nie traciła czasu. Różniła się od subtelnych, wygadanych komentatorów z wielkich ośrodków. Była kobietą z farmy, która ukończyła szkołę. Czytała i rozmawiała o Dyskusjach w prosty sposób, odpowiadający słuchaczom. Śpiewała Ofiary i pieśni pochwalne na stare melodie i udzielała krótkich, jasnych lekcji jednemu dziecku z Danro, dziesięcioletniemu przyrodniemu siostrzeńcowi, chłopcu poranka. Poza tym jednak milczała jak jej gospodarze i równie ciężko pracowała. Oni wstawali o świcie; ona wcześniej, by móc oddać się medytacjom. Zagłębiała się w swoje nieliczne księgi, pisała coś godzinę, dwie. Potem cały dzień pracowała u boku ludzi z farmy, nie przebierając w zajęciach.

Nadeszła pora zbierania wełny, środek lata. Wszyscy mieszkańcy opuszczali wtedy dom, wędrując po rozległym górskim terytorium stada śladem rozproszonych grup i wyczesując zwierzęta, jeśli legły na ziemi, by przeżuwać. Stare ariu znały czesanie i lubiły je. Kładły się, podwijając nogi, albo stały nieruchomo, poddając się ruchom zgrzebła. Czasami cicho pochrząkiwały, co było oznaką radości. Roczniaki o runie najdelikatniejszym i najbardziej cenionym, zarówno w stanie surowym, jak i po uprzedzeniu, były płochliwe. Odsuwały się, gryzły, uciekały. Zbieranie ich runa wymagało ogromnej cierpliwości. Ale w końcu nawet one uspokajały się i zasypiały, podczas gdy gęste zęby zgrzebła raz po raz przeczesywały ich futro w rytm cichej, monotonnej pieśni: „*Hunna, hunna, na, na...*”.

Wędrowną uczona, której religijne imię brzmiało Enno, wyróżniała się tak wielkimi

umiejętnościami w obchodzeniu się z młodymi ariu, że Shahes zabrała ją na pastwiska, by tam spróbowała swych sił. Okazało się, iż Enno radzi sobie bardzo dobrze. Wkrótce wraz z Shahes, najlepszą zbieraczką młodego runa w Oro, pracowała co dzień ramię w ramię. Po medytacjach i lekturze wychodziła z domu i odszukiwała Shahes na rozległym zboczu. Wspólnym wysiłkiem co dzień napełniały czterdziestofuntowy worek puszystymi, jedwabistymi, mlecznobiałymi obłokami wyczesanej sierści.

W to łagodne lato przyszło na świat znacznie więcej bliźniaków niż zwykle. Jeśli Shahes zabierała z sobą jednego, drugi podążał za nimi, jak zwykle czynią bliźniaki yamy. I tak kobiety pracowały obok siebie, napawając się swym towarzystwem w milczącym skupieniu. Rozmawiały jedynie ze zwierzętami. „Rusz tę głupią nogę” – mówiła Shahes do czesanego właśnie roczniaka, a on spoglądał na nią wielkimi, ciemnymi, rozmarzonymi oczami. Enno zaś mruzczała: „*Hunna, hunna, hunna, nna*”, albo nuciła fragment pieśni Ofiary. Starła się w ten sposób ukoić zwierzę, gdy zaczynało potrząsać uniesioną głową i szczyrzyć zęby, podczas gdy ona próbowała czesać mu brzuszek. Potem przez pół godziny nie słychać było niczego poza szelestem zgrzebla, poświstami niezmiennego wiatru na skałach, cichym muczeniem cielęcia i odległym, rytmicznym chrzęstem – to zwierzęta w pobliżu skubały wyschniętą trawę. Jak zawsze jedna z samic pełniła straż, czujnie trzymając głowę w górze. Wodziła oczami po rozległych, ukośnych płaszczyznach gór. W dole rozciągała się rzeka. U góry wisiały czapy śniegów. Odległe zaśnieżone szczyty odcinały się wyraźnie od ciemnoniebieskiego rozświetlonego nieba. Żłocistą tarczę co chwila przysłaniała chmura bądź obłok mgły. Potem jednak słońce znów rozbłyskiwało, rozjaśniając powietrze.

Enno uniosła spory kłęb mlecznobiałego runa, które właśnie wycesała. Shahes rozchyliła długi, luźno tkany worek. Enno wepchnęła runo do środka. Shahes chwyciła jej dłoń. Pochylone nad workiem, trzymały się za ręce.

– Chcę... – powiedziała Shahes.

Na co Enno odparła:

– Tak, tak!

Żadna z nich nie doświadczyła wcześniej miłości i nie rozkoszowała się seksem. Enno, jeszcze jako Akal, młoda, prosta dziewczyna z farmy, miała nieszczęście przyciągnąć wzrok fascynującego mężczyzny, który rozkosz znajdował w okrucieństwie. Gdy w końcu zrozumiała, że nie musi znosić tego, co jej robi, uciekła, nie wiedząc, jak inaczej się wymknąć. Schroniła się w szkole w Asta. Tam podjęła pracę i naukę, poznała dyscyplinę duchową, a później wyruszyła w drogę. Była wędrowną uczoną, pozbawioną rodziny, bliskich więzi. Od dwudziestu lat wiodła takie życie. Teraz namiętność do Shahes otworzyła ją na duchowy wymiar cielesności. To objawienie odmieniło świat Enno, sprawiło, iż poczuła się, jakby nigdy wcześniej nie żyła.

Shahes nie zastanawiała się zbyt nad miłością i seksem, chyba że w kontekście małżeństwa. Małżeństwo było sprawą niezmiernie pilną. Skończyła już trzydzieści lat, a Danro nie miało całego sedoretu, nie było tu kobiety w wieku płodnym. Pozostało tylko jedno dziecko. Wyraźnie dostrzegała swój obowiązek. Odwiedziła kilka sąsiednich farm, na których mieszkali mężczyźni wieczoru, były to jednak dość niechętnie zaloty. Jeśli

chodzi o mężczyznę z farmy Beha, to spóźniła się – niedawno uciekł z kobietą z nizin. Wdowiec z górnego Ked'd chętnie wysłuchał propozycji, ale zbliżał się do sześćdziesiątki i cuchnął moczem. Shahes starała się zmusić do przyjęcia karesów dalekiego kuzyna wuja Miki z farmy Okba w dole rzeki, lecz pragnienie zdobycia części Danro stanowiło wyraźnie jedyny powód jego namiętności. Był też jeszcze bardziej leniwy i gnuśny niż wuj Mika.

Od dzieciństwa Shahes spotykała się niekiedy z Temly, córką wieczoru z najbliższej farmy Ked'din, po drugiej stronie góry Farren. Temly i Shahes łączyła seksualna przyjaźń, która obu dawała szczerą przyjemność, i obie żałowały, że ich związek nie może być stały. Od czasu do czasu rozmawiały, leżąc w łóżku Shahes w Danro albo w łóżku Temly w Ked'din, o małżeństwie, stworzeniu sedoretu. Nie było jednak sensu odwiedzać wioskowej swatki – obie znały tu wszystkich. Kolejno wymieniały mężczyzn z Oro i tych nielicznych spoza doliny i kolejno odrzucały ich kandydatury jako niemożliwe bądź niedostępne. Jedynym imieniem, które zawsze pozostawało na liście, był Otorra, mężczyzna poranka pracujący w gręplarni w centrum wioski. Shahes odpowiadała jego reputacja solidnego robotnika, Temly natomiast podobał się on sam i lubiła z nim rozmawiać. Niewątpliwie z wzajemnością. Z pewnością zacząłby się do niej zalecać, gdyby istniała jakakolwiek szansa stworzenia małżeństwa w Ked'din. Była to jednak biedna farma, nękana tym samym problemem co Danro – nigdzie nie było dostępnego mężczyzny wieczoru. Aby stworzyć sedoretu, Shahes, Temly i Otorra musieliby poślubić fałszywego, bezwstydnego człowieka z Okba albo skwaśniałego wdowca z Ked'din. Shahes nie potrafiła znieść myśli, że z którymś z nich musiałyby dzielić farmę i łożę.

– Gdybym tylko spotkała mężczyznę, który byłby dla mnie dobrą parą – powiedziała z goryczą.

– Zastanawiam się, czy w takim razie by ci się spodobał – odparła Temly.

– Tego nie wiem.

– Może jesienią, za rok, w Manebo...

Shahes westchnęła. Każdej jesieni wędrowała sześćdziesiąt kilometrów na jarmark w Manebo, prowadząc całą karawanę yam objuczonych skórąmi i wełną. Zwierzętami opiekował się mężczyzna, ona jednak unikała go, a on nawet na nią nie patrzył. Choć Danro oferowało bezpieczeństwo, nikt nie chciał zamieszkać tutaj, na Dachu, jak nazywano to miejsce. Shahes nie była ładna ani wesoła, nie umiała zainteresować mężczyzn. Praca, pogoda i konieczność rozkazywania sprawiły, że stała się twarda. Samotność dodała jej nieśmiałości. Wśród jowialnych, wygadanych kupców i kupujących wyglądała niczym dzikie zwierzę. Zeszłej jesieni znów odwiedziła jarmark i ponownie wróciła w góry z kwaśną miną.

– Nie tknęłabym ich nawet palcem – wyznała w rozmowie z Temly.

Enno się zbudziła. W jej uszach dźwięczała cisza tak głęboka, jaka bywa tylko nocą w górach. W prostokącie okna płonęły gwiazdy. Obok w łóżku Shahes trzęsła się od cichego szlochu.

– Co się stało? Co się stało, ukochana?

– Odejdiesz. Odejdiesz ode mnie!

– Ale nie teraz... Nie wkrótce...

– Nie możesz tu zostać. Masz powołanie, ob... – głos Shahes załamał się w szlochu – obowiązki wobec swojej szkoły, pracy. Nie mogę cię tu zatrzymać. Nie mogę oddać ci farmy. Nie mam nic, co mogłabym ci dać. Zupełnie nic!

Enno – czy też Akal, bo poprosiła Shahes, by ta tak ją nazywała; w ten sposób chciała wrócić do imienia, które niegdyś odrzuciła – doskonale wiedziała, że Shahes ma rację. Właściciel farmy musi utrzymać ciągłość rodu. Shahes zawdzięczała życie swym przodkom. Była też winna życie swym potomkom. Akal tego nie kwestionowała. Sama też wychowała się na farmie. Później, w szkole, poznała powinności i obowiązki duszy, u boku Shahes natomiast – radość i obowiązki miłości. Nie zmieniało to w żaden sposób obowiązków właścicielki farmy. Shahes nie musiała sama rodzić dzieci. Powinna jednak dopilnować, by pojawiły się one w Danro. Gdyby Temly i Otorra stworzyli małżeństwo wieczoru, Temly mogłaby urodzić dzieci Danro, lecz do założenia sedoretu potrzeba także małżeństwa poranka. Shahes musiała znaleźć mężczyznę wieczoru. Nie była wolna. Nie mogła zatrzymać Akal w Danro. Akal z kolei nie mogła tu zostać, gdyż była przeszkodą, intruzem, wszystko psuła. Pozostając na farmie, zaniedbywała też swoje posłannictwo religijne. Tak więc musiała odejść.

Podeszła do okna. Choć z dworu wiało chłodem, stała tak naga w blasku gwiazd, spoglądając ku lśniącym punkcikom rozsypanym po niebie, od szarego zbocza góry aż po sam zenit. Musiała odejść, a przecież nie mogła. Tu było jej życie, jej życie, które sprowadzało się teraz do ciała Shahes, jej piersi, ust, oddechu. Znalazła je i nie mogła powrócić do śmierci. Nie mogła odejść, ale musiała.

– Wyjdź za mnie – rzuciła ukryta w mroku Shahes.

Akal wróciła do łóżka i wsunęła się pod futrzaną kołdrę, drżąc z zimna. Poczowała obok siebie ciepło Shahes i odwróciła się, by ją objąć. Shahes jednak chwyciła mocno jej dłoń i powtórzyła:

– Wyjdź za mnie.

– O, gdybym tylko mogła!

– Możesz.

Po chwili Akal westchnęła i wyciągnęła się na wznak, wsuwając rękę pod głowę.

– Nie ma tu mężczyzny wieczoru. Sama wciąż to powtarzasz. Jak zatem możemy się pobrać? Co mam zrobić? Zapewne pozostaje mi próbować złowić męża na nizinach, używając farmy jako przynęty. Jakiego mężczyznę zdobędziemy w ten sposób? Nikogo, z kim choćby przez chwilę chciałabym podzielić się tobą. Nie zrobię tego.

Shahes nie słuchała, zagłębiona we własnych myślach.

– Nie mogę zostawić Temly – oznajmiła.

– Oto kolejna przeszkoda – zgodziła się Akal. – To nieuczciwe wobec Temly. Jeśli znajdziemy mężczyznę wieczoru, dla niej nie będzie już miejsca.

– Ależ nie.

– Dwa małżeństwa dnia zamiast jednego poranka? Dwie kobiety wieczoru w jednym sedoretu? Też mi pomysł!

– Posłuchaj! – Shahes usiadła na łóżku, okrywając ramiona skórą yamy. Mówiła szybko, cicho: – Odejdiesz, wrócisz na niziny. Minie zima. Późną wiosną ludzie znad rzeki wrócą tu w poszukiwaniu pracy na lato. W Oro zjawia się mężczyzna i pyta: „Czy ktoś potrzebuje dobrego zbieracza młodego runa?”. A w warsztatach mówią, że Shahes z

Danro szukała pomocnika. Mężczyzna zatem przychodzi, puka do drzwi. „Nazywam się Akal – mówi. – Słyszałem, że potrzebny wam runiarz”. „Tak – odpowiadam. – Tak, istotnie. Wejdz. O, wejdz, wejdz i zostań na zawsze!”.

Zaciskała palce na przegubie Akal niczym żelazną obręcz; głos jej drżał z podniecenia. Akal słuchała tego jak baśni.

– Kto by się zorientował, Akal? Kto by cię poznał? Jesteś wyższa od tutejszych mężczyzn. Możesz zapuścić włosy, ubrać się jak mężczyzna. Mówiłaś, że kiedyś lubiłaś nosić męskie stroje... I tak nikt tu nie przychodzi.

– Daj spokój, Shahes. Tutejsi mieszkańcy z Magel i Madu... Shest...

– Starzy niczego nie zauważą. Mika to półgłówek. Chłopak też się nie zorientuje. Temly może sprowadzić z Ked'din starego Barresa, aby udzielił nam ślubu. On nigdy nie był zbyt bystry, ale potrafi odprawić obrzęd.

– A Temly? – spytała Akal żartobliwie, chociaż w sercu czuła niepokój. Pomysł był szalony, a Shahes traktowała go z ogromną powagą.

– Nie martw się o Temly. Zrobi wszystko, byle tylko wydostać się z Ked'din. Chce tu zamieszkać. Od lat pragnęłyśmy się pobrać. Teraz możemy to zrobić. Potrzebny nam jedynie mężczyzna poranka, dla niej. Bardzo lubi Otorrę, a jemu spodoba się prawo do Danro.

– Nie wątpię, ale będzie miał także prawo do mnie. Kobieta w małżeństwie nocy?

– On nie musi wiedzieć.

– Oszalałaś? Oczywiście, że się dowie.

– Dopiero po ślubie.

Akal zaniemówiła. Bez słowa wpatrywała się w ciemności w twarz Shahes. W końcu rzekła:

– Proponujesz, żebym teraz odeszła, wróciła za pół roku przebrana za mężczyznę i poślubiła ciebie, Temly i mężczyznę, którego w ogóle nie znam, zamieszkała tutaj i przez całą resztę życia udawała, że nie jestem kobietą... Nikt nie mógłby odgadnąć, kim jestem, przejrzeć mojego przebrania, a zwłaszcza mój mąż!

– On nie ma znaczenia.

– Ależ ma. To złe, nieuczciwe. Zbecześciłoby sakrament małżeństwa. A poza tym to się nie uda. Nikogo nie zdołałabym oszukać. A z pewnością nie oszukiwać do końca życia!

– Jak inaczej możemy się pobrać?

– Znajdziemy męża wieczoru... gdzieś...

– Ale ja pragnę ciebie! Chcę, żebyś była moim mężem i żoną. Nie pragnę żadnego mężczyzny. Chcę ciebie, tylko ciebie. Nikt nie może stanąć nam na drodze. Nikt nas nie rozdzieli. Zastanów się. Może to wbrew religii, ale czy komuś stanie się krzywda? Czemu to ma być nieuczciwe? Temly lubi mężczyzn, będzie miała Otorrę. On będzie miał ją i farmę. Na farmie dzieci. A ja będę miała ciebie, będę cię miała na zawsze, moja duszo, życie i duszo.

– Nie! Proszę, nie! – zaszlochała Akal.

Shahes objęła ją i przytuliła.

– Nigdy nie radziłam sobie zbyt dobrze z moją kobiecością – oznajmiła Akal – póki nie poznałam ciebie. Nie możesz teraz kazać mi zostać mężczyzną. Nie będę dobra w tej roli, zupełnie nie!

– Nie będziesz mężczyzną, tylko Akal, moją ukochaną. Nikt i nic nas nie rozdzieli.

Koływały się razem, na przemian płacząc i śmiejąc się głośno, owinięte futrem. W oknie płonęły gwiazdy.

– Zrobimy to, zrobimy! – powtarzała Shahes.

A Akal odparła:

– Jesteśmy szalone, szalone!

Plotkarze z Oro zaczęli pytać się nawzajem, czy uczona kobieta zamierza spędzić zimę na jednej z górskich farm, a jeśli tak, to gdzie. W Danro czy w Ked'din? Wówczas sama uczona zjawiała się na krętej ścieżce. Przenocowała w domu burmistrza, odśpiewała tam pieśń Ofiary, po czym wsiadła do autobusu jeżdżącego codziennie na dworzec kolei słonecznej w Dermene. Jej śladem podążała pierwsza z jesiennych śnieżyc.

Całą zimę Shahes i Akal nie przesyłały sobie wiadomości. Wczesną wiosną Akal zadzwoniła na farmę.

– Kiedy się zjawisz? – spytała Shahes.

– Na zbiór runa – usłyszała z oddali.

Cała zima jej upłynęła niczym jeden wielki sen o Akal. Głos ukochanej rozlegał się w sąsiednim pustym pokoju. Wysoka Akal wędrowała obok niej poprzez śnieg i wiatr. Shahes usypiała spokojnie, pewna miłości, którą zna i która nadejdzie.

Dla Akal zaś, czyli Enno – to bowiem imię ponownie przybrała na nizinach – zima była czasem bólu, niezdecydowania i wyrzutów sumienia. Małżeństwo jest sakramentem. Z pewnością to, co zaplanowały, stanowi z niego drwinę. Niewątpliwie jednak byłoby to małżeństwo z miłości. I – jak mówiła Shahes – nikomu nie czyniłoby krzywdy, chyba że krzywdą nazwać oszustwo. Niedobrze byłoby nabrać Otorrę i wciągnąć go w małżeństwo, którego nocnym partnerem byłaby kobieta. Z pewnością jednak żaden mężczyzna, znający podobny plan z góry, by się nie zgodził. Pozostawało zatem oszustwo. Musiały kłamać.

Wśród ki'O nie ma kapłanów i mędrców mówiących maluczkiemu, co mają robić. Maluczcy sami muszą podejmować decyzje w kwestiach duchowych i moralnych, dlatego mnóstwo czasu spędzają na dyskusjach o Dyskusjach. Jako uczona w Dyskusjach Enno знаła więcej pytań niż większość ludzi, ale i mniej odpowiedzi.

Przez całą mroczną zimę spędzała poranki na zmaganiach z własną duszą. Gdy zadzwoniła do Shahes, uczyniła to, by powiedzieć, że nie przybędzie. Kiedy jednak usłyszała głos ukochanej, ból i wyrzuty sumienia zniknęły niczym sen w chwili przebudzenia.

– Zdążę na zbiór runa – powiedziała.

Wiosną, kiedy podjęła pracę z grupą odbudowującą i malującą skrzydło jej starej szkoły w Asta, zaczęła zapuszczać włosy. Gdy były dość długie, związała je z tyłu w koczek, jak często czynią mężczyźni. Latem z zaoszczędzonych przy remoncie pieniędzy kupiła męski strój. Włożyła go i przejrzała się w sklepowym lustrze. Ujrzała Akala. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o wąskiej twarzy, kościstym nosie i leniwym, promiennym uśmiechu. Spodobał się jej.

Akal wysiadł na ostatnim przystanku linii z Wysokiej Deki, wszedł do wiejskiego ośrodka i spytał, czy gdzieś potrzeba runiarza.

– W Danro.

– Farmerka z Danro była tu już dwa razy.

– Szuka zbieracza najlepszego runa.

– Grubego runa?

Trochę to trwało, lecz w końcu starszyzna i plotkarze doszli do porozumienia: w Danro szukano zbieracza najlepszego runa.

– Gdzie jest Danro? – spytał wysoki mężczyzna.

– Na górze – odparł zwięźle jeden ze starszych. – Miałeś już do czynienia z roczniakami ariu?

– Tak – powiedział wysoki mężczyzna. – Na górze od wschodu czy od zachodu?

Wskazali mu drogę do Danro i ruszył, pokonując zygzakowate zakręty i nucąc pod nosem znajomą pieśń. Wędrując tak, Akal przestała gwizdać i przestała być mężczyzną. Zastanawiała się, jakim cudem zdoła udać, że nie zna nikogo z farmy, i sprawić, by oni też jej nie poznali. Jak oszuka Shesta, chłopca pamiętającego lekcje wodnych rytuałów i pieśni pochwalnych?

Z dreszczem strachu, zgrozy i wstydu ujrzała go biegnącego do bramy, aby wpuścić przybysza.

Nie odzywała się wiele, a gdy mówiła, zniżała głos. Unikała wzroku chłopca. Była pewna, że ją rozpoznał, lecz zachowywał się jak zwykle dziecko, które tak rzadko spotyka obcych, iż dla niego wszyscy wyglądają tak samo. Zniknął, by sprowadzić starszych, Magela i Madu. Gdy się zjawili, ofiarowali Akal tradycyjną gościnę, jak nakazuje religia. Akal przyjęła zaproszenie. Czowała się paskudnie, oszukując tych ludzi, którzy na swój zręczliwy, skromny sposób zawsze byli dla niej mili. Jednocześnie jednak czaiła się w niej szaleńcza radość, poczucie triumfu. Nie dostrzegli w niej Enno, nie poznali! To oznaczało, iż rzeczywiście stała się Akalem, i Akal był wolny.

Siedziała w kuchni, pijąc ciekłą kwaśną zupę z letnich warzyw, gdy weszła Shahes – ponura, przysadzista, ogorzała, mokra. Wkrótce po tym, jak Akal dotarła na farmę, nad Farren rozpętała się letnia burza.

– Kto to? – spytała Shahes, zrzucając letni płaszcz.

– Przyszedł z wioski. – Stary Magel zniżył głos. – Powiedziano mu, że szukasz kogoś do pomocy przy roczniakach.

– Gdzie pracowałeś? – spytała Shahes ostro, odwrócona plecami do Akal. Zamieszała w garnku chochlą i naląła sobie zupy.

Akal nie miała przeszłości, przynajmniej nie bliskiej. Przez długi czas zastanawiała się gorączkowo. Nikt się tym nie przejął. W górach pobłaźliwie traktowano szybkie odpowiedzi i rozmowy. W końcu wymieniła nazwę farmy, z której uciekła dwadzieścia lat wcześniej.

– Osada Bredde koło wioski Abba nad Oriso.

– Znasz się na zbiorze najlepszego runa? Zajmowałeś się roczniakami? Roczniakami ariu?

Akal przytaknęła tępo. Czy to możliwe, by Shahes jej nie poznała? Jej głos brzmiał wrogo, beznamietnie. Jedyne spojrzenie, jakie posłała przybyszowi, przepełniało lekceważenie. Usiadła z miską zupy, jedząc z apetytem.

– Wyjdiesz ze mną po południu i pokażę, na czym ta praca polega – oznajmiła. – Jak się nazywasz?

– Akal.

Shahes mruknęła coś pod nosem i wróciła do jedzenia. Ponownie zerknęła ponad stołem na Akal i w jej oczach na moment zalśniła iskra, kłujący promień światła.

Na wysokich wzgórzach w podeszczowym błocie, wśród roztopów, nie zważając na kąśliwy wiatr i oślepiające promienie słońca, objęły się tak mocno, że nie mogły oddychać. Zaśmiewały się i płakały, rozmawiały, całowały się i kochały pod skałami. Wróciły późno, przynosząc tak żaloszny zbiór runa, że stary Magel powiedział później Madu, iż nie rozumie, czemu Shahes zamierza zatrudnić przybysza z nizin, jeśli on tylko tak potrafi pracować.

– Co więcej – dodała Madu – je za sześciu.

Lecz po jakimś miesiącu, gdy Shahes i Akal przestały ukrywać fakt, że z sobą sypiają, a Shahes zaczęła coraz częściej mówić o sedoretu, stara para przyjęła te plany z aprobatą. Nic innego zresztą nie mogła zrobić. Owszem, Akal nie odróżniał nawet stalowego dłuta od przecinaka, ale ludzie z nizin i tak na niczym się nie znali. Pamiętacie wędrowną uczoną, Enno? Odwiedziła nas tu w zeszłym roku. Dokładnie taka sama: za wysoka, nie znała się na niczym, ale była gotowa do nauki tak jak on. Akal świetnie sobie radził ze zwierzętami. Shahes mogłaby trafić gorzej. I oznacza to, że mogą z Temly stworzyć małżeństwo dnia. Zrobiłyby to już dawno, gdyby w okolicy dało się znaleźć mężczyznę godnego przyjęcia na farmie. Co jest nie tak z tym pokoleniem? W naszych czasach było wielu porządnych mężczyzn.

Shahes zwróciła się do wioskowych swatów w Oro. Ci z kolei porozmawiali z Otorrą, obecnie majstrem w gręplarni, który przyjął oficjalne zaproszenie do Danro. Zaproszenie obejmowało z konieczności posiłki i nocleg – w końcu farma leżała dość daleko – dotyczyło jednak uczestnictwa w obrzędzie rodzinnym w domowej kaplicy. Wszyscy wiedzieli, co to naprawdę znaczy. Zebrali się zatem w kaplicy – w Danro było to niskie pomieszczenie bez okien o kamiennych ścianach i podłodze z ziemi ubitej wprost na skale na zboczu góry. W wyższym kącie biło źródło; woda spływała kanalikiem wyciętym w granicie. To właśnie ona stanowiła powód, dla którego akurat w tym miejscu przed sześciuset laty postawiono dom. Podali i przyjęli wodę od siebie nawzajem, kolejno, stara para wieczoru, wuj Mika, jego syn Shest, Asbi od trzydziestu lat pracujący w Danro jako pomocnik, Akal, nowy człowiek, Shahes, właścicielka farmy, i goście, Otorra z Oro i Temly z Ked'din. Temly uśmiechnęła się do stojącego po drugiej stronie źródła Otorry. On jednak unikał jej wzroku, także wzroku pozostałych.

Temly była niską, przysadziłą kobietą, w typie podobną do Shahes, lecz o jaśniejszej skórze i nie tak mocną, nie tak twardą. Miała zaskakująco piękny głos, który wznosił się bez trudu w wyższe rejestry pieśni pochwalnych. Otorra także nie był zbyt wysoki. Szerokie ramiona i mocne rysy sprawiały, że wydawał się godny zaufania, choć w tej chwili wyglądał na niezwykle skrępowanego. Zupełnie jakby okradł kaplicę albo zabił burmistrza, pomyślała Akal. Sprawiał wrażenie wystraszonego, winnego.

Akal patrzyła na niego z obojętną ciekawością. Mogła podzielić się z Otorrą wodą, lecz nie poczuciem winy. Gdy tylko ujrzała Shahes, wszystkie jej skrupuły i niepokoje moralne zniknęły, jakby w górach nie potrafiły żyć. Akal urodziła się dla Shahes, Shahes dla Akal. To wszystko. Jeśli coś da im możliwość wspólnego życia, to musi być słuszne.

Raz czy dwa zadała sobie pytanie, co by było, gdyby urodziła się w mojecie porannej, a nie wieczornej. Straszna, perwersyjna myśl. Nie musiała jednak dopuszczać się świętokradztwa. Wystarczyło zmienić płeć, i to jedynie pozornie, publicznie. Z Shahes

pozostawała kobietą, bardziej kobietą i sobą niż kiedykolwiek bez niej. Dla innych była Akalem, mężczyzną. Nie sprawiało jej to trudności. Lubiła nim być. Nie musiała na siłę odgrywać jego roli. Wśród innych i tak nigdy nie była sobą. Zawsze wyczuwała jakiś fałsz. Nie wiedziała sama, kim jest, poza chwilami medytacji, gdy jej „ja jestem” przekształcało się w „to jest” i oddychała blaskiem gwiazd. To u boku Shahes stała się sobą. W tej chwili w tym ciele był Akal, duszą całkowicie oddaną miłości, błogosławioną. Zgodziła się zatem z Shahes, że ani Otorra, ani Temly nie mogą poznać prawdy.

– Przekonajmy się, co powie o tobie Temly – rzekła Shahes, a Akal przytaknęła.

Wcześniej Temly przyjęła u siebie uczoną Enno, prosząc o nauki i udział w obrzędach. Widziała ją też dwa czy trzy razy w Danro. Dziś na obrzędzie po raz pierwszy ujrzała Akala. Czy dostrzegła w nim Enno? Nie okazała tego po sobie. Powitała Akala krótko, lecz ciepło. Rozmawiali chwilę o hodowli ariu. Bez wątpienia uważnie przyglądała się przybyszowi, oceniała go, mierzyła wzrokiem. To naturalne u kobiety spotykającej nieznanego, którego zapewne poślubi.

– Nie znasz się zbyt na prowadzeniu farmy w górach? – spytała łagodnie po chwili rozmowy. – Tu jest inaczej niż u was, na nizinach. Co hodowaliście? Wielkie yamy?

Akal opowiedziała jej o farmie, na której się wychowała, i trzech zbiorach rocznie. Temly z podziwem pokiwała głową.

Co do Otorry, Shahes i Akal bez słowa zgodziły się go oszukać. Akal wolała o tym nie myśleć. Po zaręczynach poznają się lepiej i w końcu będzie musiała mu powiedzieć, że nie chce uprawiać z nim seksu. Istniał tylko jeden sposób uczynienia tego tak, by go nie obrazić ani nie poniżyć – oznajmić, iż Akal nie toleruje seksu z innymi mężczyznami, i prosić o wybaczenie. Shahes jednak zastrzegła wyraźnie, że nie można mu powiedzieć prawdy aż do dnia ślubu. Gdyby wiedział z góry, nie zgodziłby się dołączyć do sedoretu; co gorsza, mógłby zacząć opowiadać o tym innym. Wówczas nigdy nie zdołałyby się pobrać. Kiedy Shahes mówiła o tym wszystkim, Akal poczuła się nagle jak schwytane w pułapkę zwierzę. Ogarnął ją niepokój, poczucie winy. Jej ukochana jednak była błogo pewna siebie, spokojna. Wyrzuty sumienia Akal znów więc zniknęły. Po prostu przestała o tym myśleć. Teraz obserwowała Otorrę z ciekawością i współczuciem, zastanawiając się, czemu wygląda jak zbity pies. Wyraźnie czegoś się boi, pomyślała.

Po nalaniu wody i odmówieniu błogosławieństwa Shahes odczytała fragment Czwartej Dyskusji. Potem starannie zamknęła starą księgę, umieściła ją na półce i przykryła tkaniną. Wreszcie zwróciła się do Magela i Madu, jak nakazywał zwyczaj. Tylko oni pozostali z pierwszego sedoretu z Danro.

– Drugamatko i drugiojczce, proponuję stworzenie w tym domu drugiego sedoretu.

Madu trąciła łokciem Magela, który skrzywił się, chwilę powiercił i wymamrotał coś niesłyszalnie. W końcu Madu odezwała się słabym, pełnym rezygnacji głosem:

– Córko poranka, podaj nam imiona par małżeństwa.

– Jeśli wszyscy wyrażą zgodę, małżeństwo poranka połączy Shahes i Akala, małżeństwo wieczoru – Temly i Otorrę, małżeństwo dnia – Shahes i Temly, a małżeństwo nocy – Akala i Otorrę.

Zapadła długa cisza. Magel się zgarbił.

– Czy wszystkim to odpowiada? – spytała w końcu Madu z niewielką irytacją. Pytanie to było właściwie oficjalną prośbą o zgodę, choć zwykle ubierano je w ozdobne pradowne frazy.

- Tak – odparła Shahes wyraźnie.
- Tak – odpowiedziała z męską Akal.
- Tak – oznajmiła radośnie Temly.

Cisza.

Wszyscy spojrzeli na Otorrę, który zarumienił się mocno, a potem zbladł gwałtownie.

- Jestem chętny – rzekł wymuszonym tonem i odchrząknął – tyle że...

Nikt nic nie odpowiedział. Cisza boleśnie dźwięczała w uszach. W końcu odezwała się Akal:

- Nie musimy od razu podejmować decyzji. Możemy porozmawiać i wrócić później do kaplicy, jeśli...

- Tak – wtrącił Otorra, zerkając na Akal. Jego wzrok zawierał w sobie tak wiele uczuć, że nie zdołała wszystkich odczytać. Zgroza? Nienawiść? Wdzięczność? Rozpacz? – Chcę... muszę pomówić... z Akalem.

- Ja także chciałabym poznać mojego brata wieczoru – oznajmiła Temly.

- Tak, właśnie, to znaczy... – Otorra znów utknął i zarumienił się głęboko. Wyraźnie cierpiał katusze, więc Akal postanowiła mu pomóc:

- Wyjdźmy na zewnątrz.

Wyprowadziła Otorrę na podwórze, podczas gdy reszta zebranych ruszyła do kuchni. Akal wiedziała, że Otorra ją przejrzał. Z przerażeniem i rozpaczą czekała na to, co powie. Dobrze przynajmniej, że nie urządził sceny, nie poniżył jej na oczach innych. Była mu za to wdzięczna.

- Chodzi o to – rzekł Otorra sucho, zatrzymując się przy bramie – że to małżeństwo nocy... – znów urwał.

Akal skinęła głową.

- Nie musisz... – powiedziała niechętnie, aby pomóc Otorze w tym, co musiał zrobić, lecz jej przerwał:

- Małżeństwo nocy... my... ty i ja... Widzisz... są pewne... widzisz, z mężczyznami, ja...

Szum podniecenia i oszołomienia w uszach sprawił, że Akal nie dosłyszała jego słów. Zaczął się jąkać, a kiedy znaczenie tego, co mówił, dotarło do niej, z początku nie mogła uwierzyć. Musiała jednak. Otorra umilkł, onieśmielony.

Po chwili Akal odezwała się z wahaniem:

- Ja, cóż... Chciałem ci powiedzieć... Jedyne mężczyzna, mój partner seksualny, on... Nie poszło nam dobrze. Zmuszał mnie... robił różne rzeczy... Nie wiem, co było nie tak, ale od tej pory nigdy... nigdy nie robiłem tego z mężczyzną. Od tamtego czasu. Nie mogę zmusić się, by ich pragnąć.

- Ja też nie – powiedział Otorra.

Stali obok siebie oparci o bramę, próbując przyjąć do wiadomości ów cud, prostą, radosną prawdę.

- Pragnę tylko kobiet – rzekł Otorra załamującym się głosem.

- Jest wielu takich ludzi – odparła Akal.

- Naprawdę?

Jego pokora poruszyła ją i zasmuciła. Czy owo brzemię ignorancji i wstydu zawdzięczał wrodzonej męskiej chełpliwości, czy też twardości ludzi z gór?

- Tak – rzekła. – To jak dwa końce... – zamierzała powiedzieć „spektrum”, nie był to jednak język Akala runiarza ani Otorry gręplarza, więc ze zręcznością doświadczonych

nauczycielki natychmiast je zastąpiła: – ...worka. Jeśli dobrze go spakujesz, większość runa pozostaje pośrodku. Ale część zawsze przesuwa się na oba końce. To właśnie my. Nie jest nas wielu, ale nie ma w tym nic złego.

Te ostatnie słowa nie zabrzmiały jak stwierdzenie, które mężczyzna mógłby powiedzieć mężczyźnie. Ale padły, a Otorra nie przyjął ich ze zdumieniem, choć nie sprawiał wrażenia do końca przekonanego. Zastanawiał się. Miał miłą twarz – prostą i szczerą. Teraz, gdy zdradził swój najgłębszy sekret, malowała się na niej ulga. Miał około trzydziestu lat, mniej, niż się spodziewała.

– Ale w małżeństwie to co innego niż... – znowu zaczął się jąkać. – Małżeństwo to... Bo jeśli ja nie... i ty nie...

– Małżeństwo to nie tylko seks – rzekła Akal. Nagle jednak odkryła, że przemawia głosem Enno, uczoney Enno. Wzdrygnęła się.

– Znaczna część owszem – zauważył Otorra rozsądnie.

– Jasne – zgodziła się Akal, świadomie zniżając głos. – Jeśli jednak ja tego nie pragnę i ty tego nie pragniesz, czemu nie możemy być szczęśliwym małżeństwem?

Zabrzmiało to tak niewiarygodnie, a jednocześnie tak banalnie, że omal nie wybuchnęła śmiechem. Opanowała się błyskawicznie i... ze zdumieniem odkryła, iż Otorra się śmieje. Po sekundzie jednak zorientowała się, że on tak naprawdę płacze.

– Nigdy nie umiałem nikomu powiedzieć – rzekł.

– Nie musimy!

Bez zastanowienia objęła go ramieniem. Otarł oczy pięściami jak dziecko, odchrząknął i czekał w milczeniu. Najwyraźniej myślał o tym, co usłyszał.

– Zobacz, jakie mamy szczęście! – zauważyła.

– Tak, o tak – zawahał się. – Ale... czy to zgodne z religią... wziąć ślub, wiedząc... nie mając zamiaru... – Znów utknął.

Po długiej chwili Akal odparła głosem miękkim i niemal równie niskim jak jego:

– Nie wiem.

I cofnęła rękę. Spojrzała na swe dłonie – silne i długie, stwardniałe, z ziemią wżartą pod skórę, choć tłuszcz z runa sprawiał, że poruszały się sprawnie – dłonie farmera. Porzuciła życie religijne dla miłości. Nie oglądała się za siebie. Teraz jednak poczuła wstyd. Chciała powiedzieć prawdę temu mężczyźnie, być godną jego szczerości. Ale na nic by się to nie zdało. Jedynie uniemożliwiłoby powstanie sedoretu. Czy to miało być dobre?

– Nie wiem – powtórzyła. – Myślę, że ważne jest, byśmy próbowali obdarzać się miłością i szacunkiem. To, jak to zrobimy, zależy tylko od nas. Na tym właśnie polega małżeństwo. Małżeństwo... religia kryje się w miłości, w szacunku.

– Chciałbym, aby można było kogoś zapytać – powiedział Otorra, najwyraźniej wciąż niepewny. – Jak tę wędrowną uczoną, która spała tutaj zeszłego lata. Kogoś takiego, kto zna się na religii.

Akal milczała.

– Chyba musimy po prostu się postarać – oznajmił w końcu Otorra i zabrzmiało to dość sentencjonalnie. Potem jednak dodał: – Ja to zrobię.

– Ja też – odparła Akal.

Dom górskich farmerów, tak jak Danro, jest mroczny, wilgotny, ponury. Nie ma w nim zbyt wielu mebli ani luksusów poza ciepłą kuchnią i wspaniałymi futrzanymi kapami na łóżkach. Zapewnia jednak mieszkańcom prywatność, być może największy luksus ze wszystkich, choć ki'Ō uważają ją za coś niezbędnego. „Trzypokojowe sedoretu” to popularne określenie w Oket. Oznacza przedsięwzięcie z góry skazane na porażkę.

W Danro każdy miał własny pokój i łazienkę. Dwoje starych członków pierwszego sedoretu oraz wuj Mika i jego dziecko mieszkali w środkowej części domu i skrzydle zachodnim. Asbi, kiedy nie spał w górach, dysponował przytulnym kącikiem za kuchnią. Nowe, drugie sedoretu dostało do swej dyspozycji całą wschodnią część domu. Temly wybrała dla siebie mały pokój na strychu, pół piętra wyżej niż pozostałe. Z jej okna rozciągał się piękny widok. Shahes zatrzymała swój pokój. Akal swój, sąsiedni. Otorra zamieszkał w narożnej, południowo-wschodniej sypialni, najśłoneczniejszym pomieszczeniu w domu. Mądre zwyczaje i przepisy religijne do pewnego stopnia porządkują zachowania nowego sedoretu. Pierwsza noc po uroczystości ślubnej należy do poranka i wieczoru, druga – do par nocy i dnia. Potem czwórka małżonków może dobierać się, jak tylko zechce, zawsze jednak zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, znanymi całej czwórce. Cztery dusze i ciała, wszystkie lata czterech żywotów pozostają w równowadze wyznaczonej przez owe decyzje i zaproszenia. Namiętności, pozytywne i negatywne, muszą znaleźć ujście. Musi też powstać więź zaufania. W przeciwnym razie cała budowla zawali się albo ulegnie zniszczeniu w ogniu zazdrości i pretensji.

Akal znała zwyczaje i zasady i upierała się, by dokładnie ich przestrzegać. Jej noc poślubna z Shahes była czuła, lecz pełna skrywanego napięcia. Noc poślubną z Otorrą także przepełniała czułość: siedzieli w jego pokoju i rozmawiali cicho, nieśmiało, lecz z wdzięcznością. Potem Otorra zasnął na ławie przy oknie, upierając się, by łóżko przypadło Akal. Po kilku tygodniach Akal pojęła, iż Shahes bardziej zależy na przeprowadzeniu własnej woli i zachowaniu Akal jako swej partnerki niż na utrzymaniu jakiegokolwiek równowagi seksualnej. Jeśli o nią chodziło, Otorra i Temly mogli zajmować się sobą, to wszystko. Oczywiście Akal znała wiele sedoretu, w których jedna bądź dwie pary całkowicie zdominowały pozostałe z powodu namiętności albo silnego ego. Zrównoważenie czterech związków to rzadko osiągniany ideał, lecz to sedoretu, od początku wzniesione na fundamencie fałszu i oszustwa, było bardziej kruche niż inne. Shahes chciała dostać to, czego pragnęła, nie zważając na konsekwencje. Akal podążyła jej śladem aż na szczyt. Nie chciała jednak rzucać się w przepaść.

Była pogodna jesienna noc. Za oknem świeciły gwiazdy tak jak wtedy, gdy rok wcześniej Shahes powiedziała: „Wyjdź za mnie”.

– Musisz oddać jutrzejszą noc Temly – powtórzyła teraz Akal.

– Ma przecież Otorrę – odparła Shahes.

– Ale pragnie ciebie. Jak sądzisz, czemu za ciebie wyszła?

– Ma to, czego chciała. Oby tylko szybko zaszła w ciążę.

Shahes przeciągnęła się rozkosznie i pogładziła ręką piersi i brzuch Akal. Akal zatrzymała jej dłoń.

– To nieuczciwe, Shahes. Nie powinno tak być.

– I ty to mówisz!

– Ale Otorra mnie nie chce. I dobrze o tym wiesz. A Temly cię pragnie. Jesteśmy jej to winne.

– Winne? Co?

– Miłość i szacunek.

– Ma to, czego chciała. – Shahes brutalnie uwolniła dłoń z uścisku partnerki. – Nie wygłaszaj mi kazań.

– Wracam do siebie – oznajmiła Akal.

Wstała z łóżka i poszła nago w rozgwieżdżoną ciemność.

– Dobranoc.

Razem z Temly, doświadczoną farbiarką, pracowały w starej farbiarni, od lat nieużywanej. Tkacze z ośrodków płacili krocie za ufarbowanie wełny, by osiągnęła prawdziwą dekańską czerwień. Umiejętności stanowiły posag Temly. Teraz Akal była jej pomocnicą i uczennicą.

– Osiemnaście minut. Zegarek nastawiony?

– Nastawiony.

Temly przytaknęła. Sprawdziła zawory wielkiego kotła. Ponownie zerknęła na odczyt i wyszła na dwór, odetchnąć w porannym słońcu. Akal usiadła obok niej na kamiennej ławce, obok drzwi. Obie otaczała słodko-kwaśna ciężka woń roślinnej farby. Ich ubrania, ręce i ramiona pokrywały plamy różu i czerwieni.

Akal bardzo szybko przywiązała się do Temly. Kobieta z gór okazała się pogodna i zdumiewająco skłonna do refleksji. Obie te cechy stanowiły w Danro prawdziwą rzadkość. Akal nieświadomie wykształciła w sobie pewne oczekiwania, dotyczące ludzi z gór, wzorując się na Shahes – silnej, upartej, niezłomnej i szorstkiej. Temly była wprawdzie silna i zamknięta w sobie, lecz potrafiła otworzyć się na nowe doświadczenia. Shahes nie. Związki wewnątrz mojej niewiele znaczyły dla Shahes. Nazywała Otorrę bratem, bo tak nakazywał zwyczaj, lecz nie widziała w nim brata. Temly zaś nazywała Akal bratem i mówiła szczerze, a Akal, która od dawna nie miała rodziny, odpowiadała jej ciepło i radośnie. Często z sobą rozmawiały, choć Akal musiała cały czas mieć się na baczności i nie pozwolić przemówić swej kobiecej naturze. Przez większość czasu odgrywanie Akala nie sprawiało jej problemów, ale przy Temly trudno było zachować pozory, nie powiedzieć czegoś, co kobieta mogłaby rzec swojej siostrze. Ogólnie mówiąc, Akal odkryła wkrótce, iż podstawową wadą odgrywania roli mężczyzny są znacznie mniej ciekawe rozmowy. Teraz dyskutowały o następnym etapie procesu farbowania. Nagle Temly, spoglądając nad niskim kamiennym murem na fioletowe zbocze góry, spytała:

– Znasz Enno, prawda?

Pytanie wydało się całkiem niewinne i Akal o mało nie odpowiedziała odruchowo: „Uczoną, która tu była?”. Lecz Akal runiarz nie miał powodu znać uczonej Enno, a Temly nie spytała: „Czy pamiętasz Enno?” albo „Znałeś Enno?”, ale „Znasz Enno, prawda?”. Wiedziała, jak brzmi odpowiedź.

– Tak.

Temly przytaknęła, uśmiechając się lekko. Nie odezwała się więcej.

Akal zdumiała jej subtelność i opanowanie. Jakże łatwo uszanować tak godną szacunku kobietę.

– Długo żyłem sam – rzekła. – Nawet na farmie, gdzie się wychowałem, zwykle byłem

sama. Nigdy nie miałem siostry. Cieszę się, że w końcu ją mam.

– Ja także – odparła Temly.

Ich oczy spotkały się na moment; rozbłysła w nich iskra porozumienia, nasienie zaufania głębokiego i milczącego niczym korzenie drzewa.

– Ona wie, kim jestem, Shahes.

Shahes nie odpowiedziała, szła dalej w górę stromego zbocza.

– Zastanawiam się, czy wiedziała od początku, od pierwszego dzielenia się wodą.

– Spytaj, jeśli chcesz – rzekła Shahes obojętnie.

– Nie mogę. Oszustka nie ma prawa domagać się prawdy.

– Bzdura.

Shahes odwróciła się ku niej, przystając w pół kroku. Były wysoko na górze Farren. Szukały starego zwierzęcia, bo Asbi powiedział, że odłączyło się od stada. Mocny jesienny wiatr zarumienił policzki Shahes. Stała teraz i patrzyła na Akal, mrużąc łzawiące oczy, które lśniły niczym ostrza noża.

– Skończ z kazaniami. Czy tym właśnie jesteś? Oszustką? Sądziłam, że jesteś moją żoną.

– Jestem twoją żoną. A także żoną Otorry. A ty żoną Temly. Nie możemy ich wykluczyć, Shahes!

– Skarżą się?

– Chcesz, żeby się skarżyli?! – krzyknęła Akal, tracąc cierpliwość. – Czy takiego małżeństwa pragniesz? Patrz, jest – dodała spokojnie, wskazując coś w górze skalistego zbocza.

Obie zobaczyły krążącego w górze ptaka, a potem ruch głowy yamy w pobliżu wysokich głazów. Odłożyły klótnie na potem i ruszyły truchtem w stronę kamieni.

Stara yama leżała skulona, przechylona na bok. Złamała nogę. Ze wzgardą unosiła głowę na długiej szyi. Patrzyła na kobiety obojętnymi oczami, beznamiętnie przyjmując zbliżającą się śmierć.

– Czy ona cierpi? – spytała Akal, zdumiona spokojem zwierzęcia.

– Oczywiście.

Shahes usiadła kilka kroków od yamy i zaczęła ostrzyć nóż na osełce.

– Ty byś nie cierpiała?

Długą chwilę próbowała ostrze, cierpliwie sprawdzając je i przesuwając po osełce. W końcu usiadła bez ruchu, po czym wstała cicho, podeszła do yamy, przycisnęła głowę zwierzęcia do piersi i jednym długim, szybkim cięciem poderżnęła mu gardło. Z szyi wytrysnęła jaskrawoczerwona krew. Shahes powoli złożyła na ziemi łeb yamy, wciąż patrzącej przed siebie szeroko otwartymi oczami. Akal zaś odkryła ze zdumieniem, że wymawia słowa ceremonii pogrzebowej: „Teraz wszystkie długi zostały spłacone, wszystkie wierzytelności zwrócone. To, co zgubione, jest znalezione. To, co uwięzione, uwolnione”. Shahes stała w milczeniu, słuchając aż do końca.

Potem zabrały się do obdzierania zwierzęcia ze skóry. Resztę zostawią na żer padlinożercom. Jeden z drapieżnych ptaków, krążący nad yamą, przyciągnął wcześniej wzrok Akal. Teraz w górze szybowały już trzy. Obdzieranie ze skóry było brudną,

nieprzyjemną robotą. Wokół unosił się odór świeżego mięsa i krwi. Akal nie miała wprawy i nie radziła sobie dobrze; kilka razy niepotrzebnie nacięła skórę. W ramach skruchy uparła się, że to ona zanieśie ją do domu, zwiniętą i spiętą paskami. Gdy tak niosła białobure futro, czuła się jak rabuś grobów. Za sobą pozostawiła chude okaleczone ciało porzucone między kamieniami, poniżone w swej nagości. Lecz przed oczami miała Shahes przyciskającą do piersi piękny łeb yamy i podcinającą jej gardło, a wszystko jednym płynnym ruchem, w którym kobieta i zwierzę stały się jednością.

To potrzeba odpowiada potrzebie, a pytanie odpowiada na pytanie, pomyślała Akal. Jej dłonie pokrywała krew, bolały palce zaciśnięte na sztywnym pasie. Skóra cuchnęła śmiercią i odchodami. Akal w ślad za Shahes wędrowała stromą skalistą ścieżką, zmierzając do domu.

– Wybieram się do wioski – oznajmił Otorra, wstając od śniadania.

– Kiedy zgręplujesz te cztery worki? – spytała Shahes.

Puścił jej słowa mimo uszu. Zaniósł talerze do zmywalni.

– Coś załatwić? – spytał.

– Wszyscy skończyli? – Madu schowała ser w spiżarni.

– Nie ma sensu iść do miasta, jeśli nie możesz zabrać zgręplowanego runa – oznajmiła Shahes.

Otorra posłał jej przeciągłe spojrzenie.

– Zgrępluję je, kiedy zechcę, zabiorę, kiedy zechcę. Nie przyjmuję rozkazów w mojej pracy, rozumiesz?

„Przestań, przestań w tej chwili!” – krzyknęła w duchu Akal. Shahes, zdumiona buntem niepozornego mężczyzny, słuchała bez słowa. On jednak ciągnął, zasypując ją żałami i pretensjami:

– Nie możesz ciągle wydawać poleceń! Nie tylko ty tworzysz sedoretu. Jesteśmy twoimi małżonkami, nie wynajętymi robotnikami. Owszem, farma należy do ciebie, ale do nas także. Poślubiłaś nas, nie możesz sama podejmować wszystkich decyzji i naginać wszystkiego do własnej woli.

W tym momencie Shahes bez pośpiechu wyszła z jadalni.

– Shahes! – krzyknęła za nią Akal rozkazująco.

Wybuch Otorry, choć niegodny, był całkowicie usprawiedliwiony, a jego gniew prawdziwy i bardzo niebezpieczny. Otorra został wykorzystany i dobrze o tym wiedział. Pozwolił się wykorzystać, przyłożył do tego rękę, teraz zatem jego gniew groził zniszczeniem wszystkiego. Shahes nie powinna przed tym uciekać.

Nie wróciła. Madu bardzo mądrze postanowiła zniknąć. Akal poleciła Shestowi pobiec na dwór i sprawdzić, czy zwierzęta juczne mają dość paszy i wody. Pozostali w kuchni we troje. Milczeli. Temly spojrzała na Otorrę, Otorra na Akal.

– Masz rację – powiedziała Akal.

Mężczyzna prychnął i dosłyszała w jego głosie nutkę satysfakcji. W gniewie był bardzo przystojny, zarumieniony, spięty.

– Tak, do diaska! Zbyt długo na to pozwalałem tylko dlatego, że farma należy do niej...

– I że Shahes kieruje nią od czternastego roku życia – wtrąciła Akal. – Myślisz, że

potrafił ot tak przestać? Zawsze wydawała tu polecenia. Musiała. Nie miała nikogo, z kim mogłaby się podzielić władzą. Każdy musi się nauczyć życia w małżeństwie.

– Zgadza się – odparował Otorra. – A małżeństwo to nie dwie pary, tylko cztery!

To sprawiło, że Akal ucichła natychmiast. Odruchowo spojrzała na Temly, szukając pomocy. Temly jednak jak zwykle milczała, podpierając głowę na rękach. Jedną dłonią zbierała okruszki, układając je w maleńką piramidkę.

– Temly i ja, ty i Shahes, wieczór i poranek, świetnie – dodał Otorra. – A co z Temly i z nią? Z tobą i mną?

Akal kompletnie się pogubiła.

– Sądziłem... Kiedy rozmawialiśmy...

– Powiedziałem, że nie lubię seksu z mężczyznami – dokończył Otorra.

Uniosła wzrok i dostrzegła w jego oczach błysk. Wrogość? Triumf? Rozbawienie?

– Tak, powiedziałeś – rzekła po długiej ciszy. – A ja odparłem to samo.

Znów cisza.

– To obowiązek religijny – oznajmił Otorra.

Nagle Enno przemówiła bardzo głośno głosem Akal:

– Tylko nie zaczynaj z obowiązkami religijnymi! Przez dwadzieścia lat studiowałam obowiązki religijne i dokąd mnie to zaprowadziło? Tutaj! Do was! W cały ten zamęt!

W tym momencie Temly wydała z siebie dziwny odgłos i ukryła twarz w dłoniach. Przez moment Akal sądziła, że płacze, potem dostrzegła, iż w istocie się śmieje. Był to niepohamowany, bolesny, gwałtowny śmiech kogoś, kto rzadko ma okazję go doświadczyć.

– Nie ma się z czego śmiać – rzekł gwałtownie Otorra. Potem zamilkł.

Jego gniew się wypalił, pozostawiając tylko dym. Przez chwilę szukał właściwych słów. Zerknął na Temly, która teraz płakała, ale ze śmiechu. Machnął ręką w rozpaczliwym geście i usiadł obok niej.

– Chyba rzeczywiście sytuacja jest zabawna. Tyle że czuję się jak ostatni matoł. – Uśmiechnął się smutno, a potem spojrział do góry na Akal i wybuchnął śmiechem. – Kto jest największym głupkiem? – spytał.

– Nie ty – rzekła. – Od jak dawna...

– A jak sądzisz?

To właśnie usłyszała Shahes stojąca w korytarzu: ich śmiech. Śmiech całej trójki. Słuchała go ze zgrozą, strachem, wstydem i przesywającą zazdrością. Nienawidziła ich za ów śmiech, chciała być z nimi, chciała śmiać się razem z nimi, pragnęła ich uciszyć. Akal również się z niej śmiała. Akal!

Shahes ruszyła do warsztatu i stanęła w mroku za drzwiami. Próbowwała się rozplakać, ale nie wiedziała jak. Nie płakała, gdy zginęli jej rodzice, miała zbyt wiele na głowie. Sądziła, że pozostali śmieją się z niej, bo pokochała Akal, pragnęła jej, potrzebowała. Pomyślała, iż Akal naśmiewa się z jej głupoty, z jej miłości. Wyobraziła sobie, jak Akal śpi z mężczyzną i oboje z niej drwią. Dobyła noża i sprawdziła ostrze. Wczoraj, na zboczu Farren, dokładnie je naostrzyła, aby zabić yamę. Wróciła do domu, do kuchni.

Wciąż tam byli. Shest wrócił i z uporem błagał Otorrę, by zabrał go do wioski.

– Może, może – odpowiadał Otorra miękko, rozleniwionym głosem.

Temly uniosła wzrok, a Akal obejrzała się na Shahes. Drobną głową na wdzięcznej szyi, jasne błyszczące oczy. Nikt się nie odezwał.

– No dobrze, ja też pójdę z tobą – powiedziała Shahes do Otorry i schowała nóż do

pochwy. Popatrzyła na kobiety i dziecko. – Równie dobrze możemy iść wszyscy – dodała
cierpko. – Jeśli chcecie.

Przełożyła Paulina Braiter

Samotność

Dodatek do: „BIEDA. Drugi raport z Jedenaście Soro” mobilna Entselenne'temharyonoterregwis Liść, autorstwa jej córki, Pogody Ducha.

Moja matka, etnolog praktyk, trudne zadanie dowiedzenia się czegokolwiek o mieszkańcach Jedenaście Soro potraktowała jak wyzwanie osobiste. Fakt, iż do osiągnięcia celu użyła własnych dzieci, można postrzegać jako skrajne poświęcenie bądź skrajny egocentryzm. Teraz, gdy poznałam jej raport, wiem już, iż uznała w końcu, że źle postąpiła. Zdaję sobie sprawę, ile ją to kosztowało, i chciałabym, by się dowiedziała, jak bardzo jestem jej wdzięczna za to, iż pomogła mi dorosnąć jako osobie.

Wkrótce po tym, jak automatyczna sonda doniosła o odkryciu ludzi pochodzenia haińskiego na jedenastej planecie układu Soro, matka dołączyła do załogi orbitalnej jako wsparcie trójki pierwszych obserwatorów na powierzchni planety. Wcześniej spędziła cztery lata w nadrzewnych miastach pobliskiej Huthu. Mój brat, Zrodzony w Radości, miał osiem lat, a ja pięć; matka pragnęła spędzić rok czy dwa na statku, abyśmy mogli pobierać nauki w haińskiej szkole. Mój brat uwielbiał dżungle na Huthu, umiał przeskakiwać z gałęzi na gałąź, lecz ledwie potrafił czytać. Wszyscy troje byliśmy jaskrawoniebiescy od żyjących na skórze grzybów. Podczas gdy Radek uczył się czytać, ja uczyłam się nosić ubranie, a wszyscy przechodziliśmy leczenie przeciwgrzybicze, matka zainteresowała się Jedenaście Soro. Planeta wydała jej się niezmiernie ciekawa, choć inni obserwatorzy mówili o niej z głęboką frustracją.

Wszystko to można znaleźć w raporcie matki. Ja jednak opowiem to własnymi słowami. Dzięki temu łatwiej przypomnieć mi sobie wszystko i zrozumieć. Sonda zarejestrowała język. Obserwatorzy uczyli się go przez rok. Wiele istniejących odmian i dialektów pozwalało im wytłumaczyć popełniane błędy i dziwny akcent, toteż donieśli, że język nie stanowi problemu. Istniał jednak problem komunikacyjny. Obaj mężczyźni znaleźli się w całkowitej izolacji. Traktowani podejrzliwie i wrogo, nie potrafili nawiązać kontaktu z miejscowymi mężczyznami, bez wyjątku wiodącymi żywot pustelników, mieszkającymi samotnie lub po dwóch. Odkryli społeczność młodych mężczyzn i próbowali z nimi nawiązać kontakt, gdy jednak wtargnęli na terytorium chłopięcej grupy, młodzieńcy uciekali bądź rozpaczliwie próbowali ich zabić. Kobiety żyjące, jak to nazwali obserwatorzy, w odrębnych wioskach przywitały ich gradem kamieni, gdy tylko zbliżyli się do domów. Jeden z nich napisał: „Mam wrażenie, iż jedyną wspólnie wykonywaną czynnością Sorowianek jest obrzucanie mężczyzn kamieniami”.

Żadnemu z nich nie udało się zamienić z kimkolwiek więcej niż trzy zdania. Jeden

kopulował z kobietą, która odwiedziła jego obóz. Zameldował, iż choć czyniła mu wyraźne uporczywe awanse, wydawała się zaniepokojona próbami nawiązania rozmowy, nie chciała odpowiadać na pytania i odeszła, jak to określił, „gdy tylko dostała to, po co przyszła”.

Obserwatorce pozwolono osiąść w niezamieszkanym domu w „wiosce” (kręgu ciotek) liczącej siedem domostw. Poczyła mnóstwo obserwacji dotyczących codziennego życia. Nawiązała też kilkanaście rozmów z dorosłymi kobietami i wiele z dziećmi, nigdy jednak nie zaproszono jej do domu innej kobiety, nie oczekiwano pomocy ani nie proszono o włączenie się do pracy. Inne kobiety niechętnie witały pytania na temat ich codziennego życia. Dzieci, jedyni informatorzy obserwatorki, nazywały ją ciotką gadułą. Jej nietypowe zachowanie wzbudzało niechęć wśród innych kobiet, które przestały dopuszczać do niej dzieci. Odeszła.

„Dorosły w żaden sposób nie zdoła się niczego dowiedzieć – uprzedzała moją matkę. – Oni nie zadają pytań, nie udzielają odpowiedzi. Jeśli czegoś się uczą, to tylko w dzieciństwie”. „Aha” – mruknęła matka, zerkając na Radka i na mnie, a potem poprosiła o przeniesienie na Jedenaście Soro i nadanie nam statusu obserwatorów.

Stabilowie długo przesłuchiwali ją przez ansibl. Rozmawiali też z Radkiem, a nawet ze mną – nie pamiętam tego, lecz matka twierdziła, iż opowiedziałam im o moich nowych pończochach – i zgodzili się na jej prośbę. Postanowili, że statek pozostanie na niskiej orbicie z poprzednimi obserwatorami na pokładzie, a matka będzie utrzymywać z nimi łączność radiową, najlepiej codziennie.

Jak przez mgłę przypominam sobie miasta na drzewie i zabawy ze zwierzęciem, zapewne kociakiem albo małym gholem, na statku, lecz pierwsze wyraźne wspomnienia dotyczą naszego wspólnego domu w kręgu ciotek. Częściowo wkopany w ziemię, do połowy wystawał ponad nią, ze ścianami z ziemi i splecionych gałęzek. Razem z matką stoimy przed domem w ciepłym blasku słońca. Rozdziela nas duża kałuża błota. Radek nalewa do niej wody z kosza, potem biegnie do strumienia po kolejną porcję. Zagniatam dłońmi błoto jak ciasto, rozkoszując się jego gęstością, gładkością, nabieram go oburącz i przyklepam do ścian w miejscach, w których wystają patyki. Matka mówi: „Tak, właśnie tak, dobrze” w naszym nowym języku i uświadamiam sobie, że to jest praca i ja ją wykonuję. Naprawiam nasz dom. Robię to, co powinnam, jak należy. Jestem użyteczna.

Póki tam mieszkałam, nigdy w to nie wątpiłam.

Noc. Jesteśmy w domu. Radek rozmawia przez radio ze statkiem, bo brakuje mu rozmów w dawnym języku, a poza tym powinien przekazywać informacje. Matka spleta koszyk i klnie pod nosem, gdy trzciny rozszczepiają się pod jej palcami. Ja śpiewam piosenkę, by zagłuszyć Radka – nikt w kręgu ciotek nie powinien usłyszeć, jak dziwnie mówi. Poza tym lubię śpiewać. Piosenki nauczyłam się tego popołudnia w domu Hyuru. Co dzień bawię się z Hyuru. „Bądź czujna, słuchaj, słuchaj”, śpiewam, a matka przestaje kłać, nasłuchuje uważnie, po czym włącza rejestrator. Po obiedzie pozostał jeszcze dogasający ogień. Zjedliśmy pyszny korzeń pigi. Przepadam za pigi – jest ciemny, ciepły i pachnie aromatycznym duhurem; to silna uświęcona woń odpędzająca magię i złe myśli. I gdy tak śpiewam „Słuchaj, bądź czujna”, staję się coraz bardziej senna. Opieram się o matkę – ciemną, ciepłą, pachnącą jak matka, silną i uświęconą, pełną dobrych myśli.

Nasze codzienne życie w kręgu ciotek było dość monotonne. Później na statku dowiedziałam się, że ludzie żyjący w sztucznie skomplikowanych środowiskach nazywają

takie życie prostym. Nigdy nie znalazłam nikogo, kto uważałby swoje życie za proste. Może się ono takie wydawać, tylko jeśli opuścimy szczegóły, tak jak planeta widziana z orbity wydaje się zupełnie gładka.

Z pewnością nasze życie w kręgu ciotek było łatwe, w tym sensie, że bez problemów zaspokajaliśmy nasze potrzeby. Wokół było dużo jedzenia, mogliśmy je zbierać lub hodować, szykować, gotować, było też mnóstwo temy, którą należało ściąć, zmiękczyć, uprząć i utkać z niej stroje i pościel. Bawiliśmy się z innymi dziećmi, podczas zabawy pilnowały nas matki, mieliśmy też mnóstwo nauki. Nic z tego nie jest proste, choć wszystko staje się łatwe, gdy wiemy, jak co robić, i czuwamy nad szczegółami.

Matce nie było łatwo. Wszystko stało się dla niej trudne i skomplikowane. Musiała udawać, że zna wszystkie szczegóły, choć wciąż się uczyła. Musiała także obmyślać raporty i wyjaśniać nasz sposób życia ludziom z innego miejsca, którzy go nie rozumieli. Radkowi szło łatwo, lecz potem się skomplikowało, jak to u chłopców. Mnie było niemal za łatwo. Uczylałam się pracować, bawiłam z dziećmi i słuchałam pieśni matek.

Pierwsza obserwatorka miała rację – dorosła kobieta w żaden sposób nie mogła się nauczyć, jak stworzyć swą duszę. Matka nie mogła iść wysłuchać pieśni innej matki. Byłoby to zbyt dziwne. Wszystkie ciotki wiedziały, że nie została dobrze wychowana, i kilka z nich zdołało ją sporo nauczyć – tak by tego nie dostrzegła. Uznały, iż jej matka musiała być niedoświadczona i zamiast osiąść w kręgu ciotek, zapewne wyprawiała się na poszukiwania. I tak jej córka nie odebrała właściwych nauk. To dlatego nawet najbardziej wyniosłe ciotki zawsze pozwalały mi słuchać nauk wraz z innymi dziećmi, bym mogła stać się osobą wykształconą. Lecz oczywiście nie mogły zaprosić do swych domów innej dorosłej. Radek i ja musieliśmy powtarzać matce wszystkie poznane przez nas pieśni i opowieści, a potem ona kazała nam opowiadać o wszystkim przez radio i znów słuchała. Nigdy jednak tak naprawdę nie rozumiała, o co w nich chodzi. Jakże mogła zrozumieć? Próbowała się uczyć już jako dorosła, a wcześniej zawsze żyła wśród magów.

– „Bądź czujna” – powtarzała drwiąco, parodiując moją poważną, prawdopodobnie drażniącą imitację ciotek i starszych dziewcząt. – „Bądź czujna”. Ile razy dziennie to powtarzają? Czujna? Przecież one niczego nie dostrzegają. Nie wiedzą, co to za ruiny, nie znają własnej historii, nie mają pojęcia o sobie nawzajem, nawet z sobą nie rozmawiają! „Bądź czujna”, akurat.

Gdy powtarzałam historie Sprzed Czasu, które opowiedziały swym córkom i mnie ciotka Sadne i ciotka Noyit, matka często słyszała w nich coś nieodpowiedniego. Opowiedziałam jej o ludziach, a ona rzekła:

– To przodkowie obecnych ludzi na planecie.
– Na planecie nie ma teraz żadnych ludzi – odparłam, ale nie rozumiała. – Są tu osoby – dodałam, a ona nadal nie rozumiała.

Radkowi spodobała się historia o mężczyźnie, który żył z kobietami. Trzymał kobiety w zagrodzie, tak jak czasem obecnie osoby hodujące w zagrodach szczury do jedzenia. Kobiety zaszły w ciążę i każda urodziła setkę dzieci, te zaś wyrosły na straszliwe potwory i pożarły mężczyznę, matki i siebie nawzajem. Matka wyjaśniła nam, iż to przerośnięta symbolizująca panujące tysiąc lat temu na planecie przeludnienie.

– Nieprawda – zaprotestowałam. – To opowieść z morałem.
– Owszem – zgodziła się matka. – Morał brzmi: Nie należy mieć za dużo dzieci.
– Wcale nie. Kto mógłby urodzić setkę dzieci, nawet gdyby chciał? Mężczyzna był

czarodziejem. Zajmował się magią, a kobiety wraz z nim. Dlatego część ich dzieci stała się potworami.

Klucz oczywiście stanowi słowo *tekell*, tłumaczące się na haińskie „magia”: moce naruszające prawa naturalne. Matce trudno było zrozumieć, iż są osoby, które uważają za nienaturalne większość kontaktów między ludźmi, na przykład małżeństwo albo tworzenie systemu państwowego, i wierzą w złe zaklęcia rzucone przez magów. Trudno jej było uwierzyć w magię.

Statek dopytywał się, czy z nami wszystko dobrze. Od czasu do czasu któryś ze stabilów łączył się z matką przez ansibl i przepytывał dokładnie ją i nas. Zawsze przekonywała ich, że chce zostać, bo mimo przeżywanego frustracji poradziła sobie tam, gdzie pierwsi obserwatorzy zawiedli, a my z Radkiem przez te lata byliśmy naprawdę szczęśliwi. Myślę, że matka też była szczęśliwa, gdy przywykła już do powolnego tempa życia i określonych metod nauki. Była samotna, tęskniła za rozmowami z dorosłymi i powtarzała, że bez nas niechybnie by zwariowała. Pewnie brakowało jej seksu. Uważam jednak, iż raport matki nie jest zbyt wyczerpujący w kwestii zwyczajów seksualnych. Częściowo dlatego, iż budziły w niej niepokój. Wiem, że kiedy pierwszy raz zamieszkaliśmy w kręgu ciotek, dwie z nich, Hedimi i Behyu, kochały się w sobie. Behyu próbowała też uwieść moją matkę, lecz matka nie rozumiała, bo Behyu nie mówiła tak, jak wedle matki powinna. Matka nie potrafiła pojąć, jak można uprawiać seks z kimś, kogo nie wolno nam odwiedzać.

Gdy miałam jakieś dziewięć lat i często słuchałam starszych dziewczynek, spytałam matkę, czemu nie wybierze się na zwiady.

– Nami zajęłaby się ciotka Sadne – dodałam z nadzieją.

Zmęczyło mnie bycie córką niewykształconej kobiety. Chciałam zamieszkać u ciotki Sadne i stać się taka jak inne dzieci.

– Matki nie chadzają na zwiady – odparła ze wzgardą niczym prawdziwa ciotka.

– Nieprawda, czasem chodzą – upierałam się. – Muszą. Jak inaczej mogłyby mieć więcej niż jedno dziecko?

– Odwiedzają osiadłych mężczyzn obok kręgu ciotek. Kiedy Behyu zapragnęła drugiego dziecka, wróciła do mężczyzny z czerwonego kamiennego wzgórza. Sadne, gdy ma ochotę na seks, odwiedza kulawego mężczyznę znad rzeki. Ciotki znają okolicznych mężczyzn. Matki nie chodzą na zwiady.

Uświadomiłam sobie, że matka ma rację, a ja się mylę. Nie zmieniłam jednak zdania.

– Czemu zatem nie wybierzesz się do kulawego mężczyzny znad rzeki? Nie pragniesz seksu? Migi mówi, że pragnie go bezustannie.

– Migi ma siedemnaście lat – odparła matka cierpko. – Pilnuj własnego nosa.

Mówiła zupełnie jak inne matki.

W czasach mojego dzieciństwa mężczyźni stanowili dla mnie zupełną tajemnicę, ale nie budzili ciekawości. Często pojawiali się w opowieściach Sprzed Czasu i dziewczęta z koła pieśni wciąż o nich rozmawiały, ale rzadko ich widywałam. Czasami dostrzegałam któregoś kątem oka, zbierając jedzenie, ale mężczyźni nigdy nie zbliżali się do kręgu ciotek. Latem kulawy mężczyzna znad rzeki zaczynał tęsknić za ciotką Sadne. Pojawiał się wówczas w pobliżu kręgu ciotek – oczywiście nie w krzakach ani nad rzeką, gdzie mógł być wzięty za włóczęgę, lecz otwarcie na zboczach wzgórz, tak byśmy widzieli, kim jest. Hyuru i Didsu, córki ciotki Sadne, twierdziły, iż ciotka uprawiała z nim seks, gdy po

raz pierwszy wypuściła się na zwiady, i od tej pory zawsze do niego wracała, nie próbując tego robić z innymi mężczyznami z osady. Opowiedziała im także, iż pierwszym urodzonym przez nią dzieckiem był chłopiec. Utopiła go, bo nie chciała wychowywać chłopca i odesłać go. Czuły się z tego powodu dziwnie. Ja także, nie było w tym jednak nic nadzwyczajnego. Jedna z poznanych przez nas historii opowiadała o utopionym chłopcu, który dorastał pod wodą i chwycił swą matkę, kiedy przyszła się wykąpać. Próbował przytrzymać ją pod wodą, by też utonęła, ale ona uciekła.

Gdy kulawy mężczyzna znad rzeki spędził już kilkanaście dni na zboczach wzgórz, śpiewając długie pieśni, zaplatając i rozplatając swe włosy połyskujące czernią w słońcu, ciotka Sadne nieodmiennie spędzała z nim noc czy dwie i wracała zirytowana i onieśmielona. Ciotka Noyit wyjaśniła, że pieśni kulawego mężczyzny znad rzeki są magiczne, ale nie w złym sensie. Nazwała to potężnymi dobrymi zaklęciami. Ciotka Sadne nie potrafiła oprzeć się jego zaklęciom. „A przecież nie dorównuje urokiem innym znanym mi mężczyznom” – dodała ciotka Noyit, uśmiechając się na to wspomnienie.

Nasza dieta, choć znakomita, była bardzo uboga w tłuszcz. Matka uważała, iż może to wyjaśniać moje późne wejście w wiek dojrzewania. Dziewczynki rzadko dostawały okres przed piętnastym rokiem życia, chłopcy dojrzewali jeszcze później. Kobiety zerkały na nich z ukosa, gdy tylko zaczęły okazywać oznaki dojrzewania. Najpierw ciotka Hedimi, i tak zawsze ponura, potem ciotka Noyit i wreszcie ciotka Sadne zaczęły odwracać się od Radka, zostawiać go samego, nie odpowiadać na pytania. „Co tu robisz? Czemu bawisz się z dziećmi?” – spytała kiedyś ciotka Hedimi tak ostro, że wrócił do domu zapłakany. Nie miał jeszcze czternastu lat.

Młodsza córka Sadne, Hyuru, była moją towarzyszką, najlepszą przyjaciółką – tak to można określić. Jej starsza siostra Didsu, obecnie należąca do koła pieśni, zjawiała się u mnie pewnego dnia i zagadnęła poważnie:

– Radek jest bardzo przystojny.

Zgodziłam się z dumą.

– Bardzo duży, bardzo silny – dodała. – Silniejszy niż ja.

Znów przytaknęłam z dumą, a potem zaczęłam cofać się przed nią.

– Nie czynię magii, Duszko – rzuciła szybko.

– A właśnie że czynisz – odparłam. – Oj, powiem twojej matce!

Didsu pokręciła głową.

– Staram się mówić szczerze. Jeśli mój strach wywołuje lęk w tobie, nic na to nie poradzę, musi tak być. Rozmawiałyśmy o tym w kręgu pieśni. To mi się nie podoba – dodała i pojęłam, iż mówi szczerze. Miała łagodną twarz i łagodne oczy. Zawsze dobrze traktowała nas, dzieci. – Gdyby tylko mógł nadal być dzieckiem... – stwierdziła. – Naprawdę żałuję, ale to niemożliwe.

– Idź sobie, zostań starą, głupią kobietą! – krzyknęłam i uciekłam.

W moim tajnym miejscu nad rzeką zaczęłam płakać. Z woreczka duszy wyjęłam amulety i ułożyłam je obok. Jeden amulet – wam mogę to powiedzieć – to był kryształ, który podarował mi Radek, u góry przejrzysty, u podstawy fioletowodymny. Długi czas trzymałam go w dłoni, a potem oddałam. Wykopałam dziurę pod głazem, owinęłam amulet w liście duhuru i kawałek materiału wydarty ze spodniczki – pięknego materiału, utkanego przez Hyuru. Hyuru uszyła mi ten strój. Wydarłam kwadrat z samego przodu, tak by było widać. Oddałam kryształ i długi czas siedziałam obok niego. Gdy wróciłam do

domu, nie wspomniałam ani słowem o tym, co mówiła Didsu, lecz Radek milczał, a matka miała zatroskaną minę.

– Co zrobiłaś ze swoją spódniczką, Duszko? – spytała.

Lekko uniosłam głowę, nie odpowiedziałam. Znow zaczęła mówić, po czym umilkła. W końcu nauczyła się nie odzywać do osoby, która pragnie zachować milczenie.

Radek nie miał bliskiego przyjaciela, lecz coraz częściej bawił się z dwoma chłopakami najbliższymi mu wiekiem: Ednede, starszym od niego o rok lub dwa niskim, cichym chłopcem, i Bitem, zaledwie jedenastolatkiem, głośnym i zadufanym w sobie. Wciąż gdzieś we trzech znikali. Nie zwracałam na to specjalnej uwagi, ale cieszyło mnie zniknięcie Bity. Wraz z Hyuru ćwiczyliśmy bycie czujną i okropnie męczyły nas stałe wrzaski i podskoki Bity. Nie potrafił zostawić nikogo w spokoju, jakby spokój czegoś go pozbawiał. Jego matka Hedimi nauczała go, ale nie była tak dobrą pieśniarką ani bajarką jak Sadne i Noyit, a Bitowi brakowało cierpliwości, nie chciał jej słuchać. Gdy tylko ujrzał Hyuru i mnie próbujące powolnego chodu bądź czuwania, zaczynał kręcić się z boku i hałasować, aż w końcu rozwścieczone kazałyśmy mu odejść. Wówczas rzucał drwiąco: „Głupie baby!”.

Spytałam Radka, czym się zajmują z Bitem i Ednede.

– Chłopięcymi sprawami – odparł.

– Na przykład?

– Ćwiczeniami.

– Czujności?

– Nie.

– Co zatem ćwiczyacie?

– Zapasy, siłę. Bo chcemy być w grupie młodzików. – Z ponurą miną pokazał mi ukryty pod materacem nóż. – Ednede twierdzi, że trzeba mieć nóż, wtedy nikt nie rzuci wyzwania. Piękny, co?

Był to stary kawałek metalu z czasów ludu. Kształtem przypominał źdźbło trzciny, zwężające się i zaostrzone po obu bokach, zakończone ostrym czubkiem. Za rękojeść służył kawałek wygładzonego kamieniodrewna chroniącego dłoń.

– Znalazłem go w pustym męskim domu – dodał Radek. – Sam zrobiłem drewnianą część.

Przyglądał mu się z miłością, ale nie ukrył noża w woreczku duszy.

– Co z nim zrobisz? – spytałam, zastanawiając się, dlaczego obie krawędzie są ostre. Przecież łatwo można się skaleczyć.

– Będę odstraszał napastników – wyjaśnił.

– Gdzie jest ten pusty dom?

– Daleko, po drugiej stronie Skalnego Pagórka.

– Jeśli tam wrócisz, mogę pójść z tobą?

– Nie – odparł łagodnie, lecz kategorycznie.

– Co się stało z mężczyzną? Umarł?

– W strumieniu znaleźliśmy czaszkę. Przypuszczamy, że poślizgnął się i utonął.

Nie mówił już jak dawny Radek. W jego głosie pojawiło się coś dorosłego – melancholia, rezerwa. Zwróciłam się do niego, szukając pociechy, lecz odeszłam jeszcze bardziej niespokojna. Poszłam do matki.

– Co robią chłopcy w grupach młodzików?

– Wcielają w życie zasadę doboru naturalnego – odparła nie w moim języku, lecz we

własnym.

W jej głosie wyczułam napięcie. Nie zawsze rozumiałam haiński i nie miałam pojęcia, o co jej chodzi, lecz sam ton jej głosu wystarczył, by mnie zdenerwować. Z przerażeniem odkryłam, iż matka płacze.

– Musimy się przenieść, Pogodo Ducha – oznajmiła. Wciąż mówiła po haińsku, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. – Nie ma powodu, dla którego rodzina nie mogłaby się przeprowadzić. Kobiety pojawiają się i znikają wedle woli. Nikogo nie obchodzą działania innych. To nasza sprawa, gdzie mieszkamy. Tu nikt nie zajmuje się innymi, chyba że przegania chłopców z wioski!

Zrozumiałam większość tego, co powiedziała, ale poprosiłam, by powtórzyła to w moim języku. Wówczas rzekłam:

– Ale wszędzie, gdzie się udamy, Radek będzie w tym samym wieku, tego samego wzrostu i tak dalej.

– Zatem odejdziemy – odparła gwałtownie. – Wrócimy na statek.

Cofnęłam się przed nią. Nigdy wcześniej się jej nie bałam, nie używała wobec mnie magii. Matka ma wielką władzę, ale to coś całkowicie naturalnego, chyba że zastosuje ją przeciw duszy dziecka.

Radek nie lękał się jej, gdyż dysponował własną magią. Gdy matka oznajmiła, że zamierza odejść, przekonał ją, by zmieniła zdanie. Oznajmił, że chce dołączyć do grupy młodzików. Czekał na to od roku. Czuł się obco w kręgu ciotek, wśród kobiet, dziewcząt i małych dzieci. Chciał zamieszkać z innymi chłopcami. Starszy brat Bit, Yit, był członkiem grupy młodzików na Terytorium Czterech Rzek i z pewnością zaopiekuje się chłopcem z własnego kręgu ciotek. Ednede także przygotowywał się do odejścia. Radek, Ednede i Bit rozmawiali ostatnio z kilkoma mężczyznami. Mężczyźni nie są wcale głupi i szaleni, jak sądzi matka. Niewiele mówią, ale mnóstwo wiedzą.

– Co na przykład? – spytała matka ponuro.

– Wiedzą, jak być mężczyznami – odparł Radek. – A ja pragnę zostać mężczyzną.

– Nie takim mężczyzną, nie, jeśli mam tu coś do powiedzenia! Zrodzony w Radości, musisz pamiętać mężczyzn ze statku. Prawdziwych mężczyzn, nie biednych, brudnych pustelników. Nie mogę pozwolić, byś dorósł w przekonaniu, że taki właśnie pragniesz się stać.

– Oni nie są tacy – rzekł Radek. – Powinnaś z nimi porozmawiać, mammo.

– Nie bądź naiwny. – Matka zaśmiała się nerwowo. – Doskonale wiesz, że kobiety nie chodzą do mężczyzn, żeby rozmawiać.

Myliła się, wszystkie kobiety w kręgu ciotek знаły osiadłych mężczyzn żyjących w promieniu trzech dni od wioski. Rozmawiały z nimi, gdy wyruszały zbierać jedzenie. Trzymały się z dala tylko od tych, którym nie ufały, i zwykle ci mężczyźni szybko znikali. Noyit twierdziła, iż niszczy ich własna magia, co znaczyło, że inni mężczyźni przeganiają ich bądź zabijają. Nie odezwałam się jednak ani słowem, a Radek rzekł tylko:

– No cóż, mężczyzna z jaskini jest naprawdę miły. Zaprowadził nas w miejsce, gdzie znalazłem rzeczy należące do Ludu. – Odkrycie tych starożytnych przedmiotów zachwyciło matkę. – Mężczyźni wiedzą rzeczy, o których kobiety nie mają pojęcia – ciągnął Radek. – Może przynajmniej jakiś czas pobędę w grupie młodzików. Tak wiele mógłbym się nauczyć. Do tej pory poznaliśmy jedynie krąg ciotek. Odejść zatem i pozostanę na tyle długo, by zebrać materiał do raportu. Kiedy już opuszczę krąg ciotek

bądź grupę młodzików, nie będę mógł wrócić. Będę musiał pójść na statek albo spróbować stać się mężczyzną. Pozwól mi zatem podjąć tę próbę, dobrze, matko?

– Nie wiem, czemu uważasz, że musisz się uczyć, jak być mężczyzną. Już przecież wiesz.

Wtedy naprawdę się uśmiechnął, a ona objęła go ramieniem. A co ze mną? – pomyślałam. Nie wiem nawet, czym jest statek. Chcę żyć tutaj, tu, gdzie moja dusza, chcę dalej uczyć się swego miejsca w świecie. Bałam się jednak matki i Radka, bo oboje czynili magię, toteż trwałam w milczeniu, tak jak mnie uczono.

Ednede i Radek odeszli razem. Noyit, matka Ednede, równie mocna jak nasza, cieszyła się z tego, iż zdecydowali się dotrzymać sobie towarzystwa, ale milczała. Wieczorem przed odejściem obaj chłopcy odwiedzili wszystkie domy w kręgu ciotek. Trwało to bardzo długo – domy stoją daleko od siebie, na granicy zasięgu wzroku bądź słuchu, rozdzielone krzakami, ogrodami, rowami irygacyjnymi i ścieżkami. W każdym domu czekała matka z dziećmi, by się pożegnać, tyle że nikt tego nie mówił; w moim języku nie ma słów powitania i pożegnania. Matki zapraszały chłopców do środka, dawały im coś do jedzenia, coś, co mogli wziąć z sobą na Terytoria. Gdy chłopcy podchodzili do drzwi, wszyscy w domu zbliżali się do nich i dotykali ich dłoni bądź policzków. Pamiętam, że kiedy Yit okrążył w ten sposób całą wioskę, rozplakałam się, bo choć nie przepadałam za nim, wydawało mi się dziwne, że ktoś może odejść na zawsze, jakby umierał. Tym razem nie płakałam, ale przez całą noc wciąż się budziłam, aż w końcu usłyszałam, jak Radek wstaje przed pierwszym brzaskiem, zabiera swoje rzeczy i cicho odchodzi. Wiem, że matka także nie spała, lecz postąpiłyśmy, jak należało, i leżałyśmy bez ruchu, wówczas i długo później. Potem przeczytałam jej opis tych wydarzeń. Nazwała go: „Dorastający mężczyzna opuszcza krąg ciotek: szczątkowa ceremonia”.

Matka prosiła, by Radek zabrał w woreczku duszy radio i od czasu do czasu nawiązywał kontakt, ale on nie chciał.

- Chcę zrobić wszystko jak należy, matko. W przeciwnym razie to nie ma sensu.
- Nie zniosę braku wiadomości – odparła matka po haińsku.
- Ale jeśli radio się zepsuje albo ktoś mi je zabierze, będziesz martwiła się jeszcze bardziej. Choć, być może, bez powodu.

W końcu matka zgodziła się zaczekać pół roku, do czasu pierwszych deszczów. Wówczas wybierze się w umówione miejsce nad rzeką, do wielkich ruin stanowiących południową granicę Terytoriów, a on spróbuje przyjść do niej.

- Czekaj tylko dziesięć dni. Jeśli nie będę mógł przyjść, nie przyjdę.
- Zgodziła się. Pomyślałam, że zachowuje się jak matka małego dziecka, która zgadza się na wszystko. To wydało mi się złe, ale Radek miał przecież rację. Nikt nie wracał z grupy młodzików do swojej matki.

Tyle że Radek to zrobił.

Lato było pogodne, długie, piękne. Uczyłam się śledzić gwiazdy. Trzeba się położyć w suchą, pogodną noc na wzgórzu, odnaleźć pewną gwiazdę na wschodnim niebie i obserwować jej wędrówkę po nieboskłonie. Oczywiście można odwracać wzrok, by dać odpocząć oczom, a nawet się zdrzemnąć, staramy się jednak patrzeć, powracać do wybranej gwiazdy, aż w końcu poczujemy, jak obraca się ziemia, dostrzeżemy, że gwiazdy, świat i nasza dusza poruszają się jednocześnie. Po śledzeniu gwiazdy śpi się aż do rana, a potem, jak zawsze, wita wschód słońca świadomą ciszą. Byłam bardzo

szczęśliwa na wzgórzach w tamte ciepłe długie noce i jasne poranki. Za pierwszym razem poszliśmy wspólnie z Hyuru, potem samotnie śledziłyśmy gwiazdy, bo samotność pomaga.

Wracałam właśnie do domu po podobnej nocy wąską kotlinką pomiędzy skalnym szczytem i wzgórzem nad domem w pierwszych promieniach słońca, gdy z krzaków wypadł na ścieżkę mężczyzna i stanął przede mną.

– Nie bój się – rzekł. – Słuchaj!

Był mocno zbudowany, półnagi. Cuchnął. Stałam nieruchomo jak kij. Powiedział „słuchaj” jak ciotki, toteż słuchałam.

– Twojemu bratu i jego przyjacielowi nic się nie stało. Twoja matka nie powinna tam iść. Część chłopców stworzyła gang. Zgwałcą ją. Wraz z innymi zabijamy przywódców. To potrwa. Twój brat jest w innym gangu. Nic mu nie jest. Powiedz jej to. Powtórz wszystko.

Powtórzyłam słowo w słowo, tak jak mnie nauczono.

– Zgadza się. Dobrze – powiedział, po czym ruszył w górę stromego zbocza na swych krótkich silnych nogach i zniknął.

Matka bez wahania wybrałaby się na Terytoria, ale powtórzyłam także wiadomość mężczyzny Noyit, która zjawiała się u nas na ganku, by pomówić z matką. Słuchałam ich, ponieważ Noyit mówiła o sprawach, o których wiedziałam niewiele, a matka w ogóle nic. Noyit była drobną łagodną kobietą, bardzo podobną do swego syna Ednede. Lubiała uczyć i śpiewać, toteż wokół jej domu zawsze kręciły się dzieci. Dostrzegła, że matka szykuje się do wyprawy.

– Mężczyzna z domu pod niebem mówi, że chłopcom nic nie jest.

Widząc, że matka nie słucha, Noyit podjęła, udając, że mówi do mnie, bo kobiety nie uczą kobiet:

– Twierdzi, że kilku mężczyzn rozbija gang. Robią to, kiedy w grupach młodzików źle się dzieje. Czasami wśród chłopców pojawiają się magowie, przywódcy, starsi chłopcy, nawet dorośli, pragnący stworzyć gang. Osiadli mężczyźni zabijają magów i dopilnowują, by żadnemu z chłopców nic się nie stało. Gdy gangi wychodzą z Terytoriów, nikt nie jest bezpieczny. Osiadli mężczyźni tego nie lubią. Strzegą kręgu ciotek. Twojemu bratu nic nie będzie.

Matka nadal pakowała w siatkę korzenie pigi.

– Gwałt to coś bardzo, bardzo złego dla osiadłych mężczyzn – ciągnęła Noyit, wciąż zwracając się do mnie. – Oznacza to, że kobiety nie mogą do nich przychodzić. Jeśli chłopcy zgwałcą jakąś kobietę, mężczyźni prawdopodobnie zabiją ich wszystkich.

Matka w końcu zaczęła słuchać.

Nie poszła na spotkanie z Radkiem, lecz przez całą porę deszczową była głęboko nieszczęśliwa. Zachorowała i stara Dnemi przysłała do nas Didsu, by napoiła ją syropem z kaszlojagód. Podczas choroby matka sporządzała notatki, leżąc na materacu. Opowiadała o chorobie, lekach, o tym, jak starsze dziewczęta opiekują się chorymi kobietami, bo dorosłe kobiety nie wchodzą do nie swoich domów. Ani na moment nie przestawała pracować, nie przestawała też martwić się o Radka.

Pod koniec pory deszczowej, gdy nadszedł ciepły wiatr i na wszystkich wzgórzach rozkwitły żółte miodowe kwiaty, w porze Złotego Czasu matka pracowała w ogrodzie. Wtedy zjawiała się u nas Noyit.

– Mężczyzna z domu pod niebem mówi, że w grupie młodzików wszystko w porządku –

oznajmiła i odeszła.

Wówczas matka zaczęła pojmować, że choć dorosłe kobiety nie odwiedzają się w domach i rzadko z sobą rozmawiają, mężczyźni i kobiety miewają przelotne, często nic nieznaczące związki, a mężczyźni całe życie spędzają naprawdę samotni, na planecie wciąż istnieje coś w rodzaju społeczności – szeroka, rzadka, delikatna sieć powiązań i ograniczeń, swoisty porządek społeczny. W swych raportach przekazała innym to nowe zrozumienie, nadal jednak uważała, iż życie Sorowian jest ubogie, że mieszkańcy to tylko niedobitki, pozostałości jakiejś wielkiej cywilizacji.

– Moja droga – rzekła po haińsku; w moim języku nie da się rzec „moja droga”. W domu matka zwykle rozmawiała ze mną po haińsku, bym go nie zapomniała. – Moja droga, wyjaśnianie niezrozumiałej technologii działaniem czarów to cecha prymitywna. Nie krytykuję, po prostu zauważam.

– Ale technologia to nie magia – odparłam.

– Owszem, według nich to magia. Spójrz tylko na historię, którą właśnie zapisałaś. Czarodzieje Sprzed Czasu umieli unosić się w powietrzu, pływać pod wodą i wędrować pod ziemią w magicznych skrzynkach.

– W metalowych skrzynkach – poprawiłam.

– Innymi słowy, w samolotach, tunelach, okrętach podwodnych. Zaginiona technologia uznana została za nadprzyrodzoną.

– Skrzynki nie były magiczne – powiedziałam. – Tylko ludzie byli czarownikami. Korzystali ze swych mocy, by zdobywać władzę nad innymi osobami. Aby żyć właściwie, każda osoba musi trzymać się z dala od magii.

– To imperatyw kulturowy, bo kilka tysięcy lat temu pozbawiona kontroli ekspansja technologiczna doprowadziła tu do katastrofy. Widzisz, istnieją zupełnie racjonalne powody uzasadniające nieracjonalne tabu.

Nie wiem, co w naszym języku oznaczają słowa „racjonalny” i „nieracjonalny”, nie zdołałam znaleźć ich odpowiedników. Tabu to to samo co „trujący”. Słuchałam matki, bo córka musi uczyć się od matki, a ona wiedziała wiele rzeczy nieznanymi innym osobom. Lecz nauka bywała czasami bardzo trudna. Gdyby tylko znalazło się w niej więcej pieśni i opowieści, nie tylko słowa, słowa, które umykały mi niczym woda przeciekająca przez oka siatki.

Złoty Czas minął, a wraz z nim piękne lato. Powrócił Czas Srebrny, gdy w kotlinach między wzgórzami zalegają mgły zwiastujące deszcze. Nadeszły deszcze i padały – długie, powolne, ciepłe, dzień za dniem. Przez ponad rok nie miałyśmy wiadomości o Radku i Ednede. A potem w miękkim szumie deszczu uderzającego o trzciniowy dach usłyszałyśmy drapanie do drzwi i szept:

– Ciii, wszystko w porządku, w porządku.

Obudziłyśmy ogień i przysiedliśmy wokół niego w ciemności. Radek urósł, był bardzo wysoki i chudy, niczym szkielet otulony wyschniętą skórą. Blizna przecinająca wargę nadawała jego ustom drapieżny wyraz, odsłaniając zęby. Nie wymawiał dźwięków p, b i m. Mówił głosem mężczyzny. Kulił się przy ogniu, próbując rozgrzać kości okryte mokrymi łachmanami. Nóż zwisał z rzemienia na jego szyi.

– Yło w orządku – powtarzał – ale nie chcę wracać.

Nie chciał wiele opowiadać o półtora roku spędzonym w grupie młodzików, twierdząc, że po powrocie na statek nagra pełny opis. Powiedział jednak, co musiałby zrobić, gdyby

został na Soro: musiałyby wrócić na Terytorium i dzięki strachowi i magii zdobyć sobie pozycję wśród starszych chłopców, stale dowodząc swej siły, póki nie osiągnąłyby wieku pozwalającego odejść – opuścić Terytorium i wędrować samotnie, aż znalazłby miejsce, w którym mógłby osiąść, gdyby zgodzili się inni mężczyźni. Ednede i jeszcze jeden chłopak związali się w parę i zamierzali odejść razem po ustaniu deszczów. Dwóm zawsze łatwiej – dodał – jeśli łączy ich więź seksualna. Jeżeli nie konkurują o względy kobiet, osiadli mężczyźni zostawiają ich w spokoju. Lecz nowy mężczyzna w okolicy kręgu ciotek bliższej niż trzy dni marszu musiał dowieść swojej wartości wobec tamtejszych mężczyzn.

– To trzy, cztery lata. I wciąż to sao – rzekł. – Wyzwania, walki, stałe obserwowanie innych, czujność, okazywanie, jaki jesteś silny, ilnowanie się dzień i noc, samotność przez całe życie. Nie ogę tego zrobić – spojrzał na mnie. – Nie jesteś osobą – rzekł. – Chcę wracać do dou.

– Zaraz wezwę statek – oznajmiła matka cicho. W jej głosie brzmiała ogromna ulga.

– Nie! – zaprotestowałam.

Radek obserwował matkę. Gdy odwrócił się do mnie, podniósł rękę.

– Ja odlece – rzekł. – Ona nie usi. Niy czeu? – Podobnie jak ja nauczył się, że bez powodu nie należy używać cudzych imion.

Matka wodziła wzrokiem od niego ku mnie. W końcu zaśmiała się dziwnie.

– Nie mogę jej tu zostawić!

– A czeu ty iałays odejść?

– Bo chcę – wyjaśniła. – Mam już dosyć. Zdecydowanie dosyć. Zebraliśmy mnóstwo materiału dotyczącego życia kobiet. Spędziliśmy tu ponad siedem lat. Teraz możesz uzupełnić dane o zwyczaje mężczyzn. Wystarczy. Już czas. Zdecydowanie czas, abyśmy wrócili do naszego ludu. Wszyscy.

– Ja nie mam ludu – rzekłam. – Nie należę do żadnego ludu. Próbuję stać się osobą. Czemu chcesz zabrać mnie z dala od mojej duszy? Chcesz, żebym czyniła magię?! Nie zrobię tego. Nie będę czarować. Nie będę mówić twoim językiem. Nie odejdę z tobą!

Matka wciąż nie słuchała. Zaczęła mówić coś gniewnie, lecz Radek ponownie uniósł dłoń, tak jak kobieta intonująca pieśń. Matka spojrzała na niego.

– Ożey orozawiać óźniej. Zdecydować. Teraz uszę sać.

Dwa dni ukrywał się w naszym domu. Przez ten czas naradzaliśmy się, co i jak zrobić. Nie byliśmy szczęśliwi. Siedziałam w domu, jakbym była chora, by nie okłamywać innych osób, i cały czas rozmawiałam z Radkiem i matką. Radek prosił, by matka została ze mną. Ja prosiłam, by odeszła, zostawiając mnie u Sadne albo Noyit. Obie chętnie przyjęłyby mnie do siebie. Matka odmówiła. Była matką, a ja dzieckiem. Miała nade mną świętą władzę. Wezwała statek i ustaliła, że lądownik odbierze nas na pustkowiu dwa dni marszu od kręgu ciotek. Odeszliśmy nocą, ukradkiem. Zabrałam z sobą jedynie woreczek duszy. Maszerowaliśmy cały następny dzień. Przespaliśmy się chwilę, gdy przestało padać. Ruszyliśmy dalej i dotarliśmy na pustynię. Pod nogami mieliśmy wyboje, dziury, jaskinie, ruiny Sprzed Czasu. Ziemia była mieszaniną maleńkich kawałków szkła, twardych ziaren i odłamków, tak jak zwykle na pustyni. Nic tam nie rosło. Czekaliśmy.

Niebo nad nami pękło. Spadła z niego świecąca rzecz i stanęła przed nami na skałach – większa niż dom, choć nie tak wielka jak ruiny Sprzed Czasu. Matka spojrzała na mnie z dziwnym, złośliwym uśmiechem.

– Czy to magia? – spytała.

I trudno mi było uwierzyć, że to nie magia. Wiedziałam jednak, iż mam przed sobą jedynie przedmiot, a w przedmiotach nie ma magii. Kryje się ona wyłącznie w umysłach. Milczałam. Od opuszczenia mojego domu nie odezwałam się ani słowem.

Postanowiłam nie odzywać się do nikogo, póki nie wrócę do domu. Wciąż jednak byłam dzieckiem, nawykłym do słuchania i posłuszeństwa. Na statku, w owym dziwnym, kompletnie nowym świecie, wytrzymałam zaledwie kilka godzin, a potem rozplakałam się i zaczęłam błagać, by ktoś zabrał mnie do domu.

Wszyscy na statku byli dla mnie bardzo mili.

Nawet wtedy rozmyślałam o tym, przez co przeszedł Radek i przez co ja przechodzę, porównując nasze męki. Różnica wydawała się absolutna: on był sam, bez jedzenia, schronienia – przerażony chłopak, próbujący przetrwać wśród równie przerażonych rywali, znosząc brutalność starszych chłopaków, usiłujących zachować władzę, która w ich oczach równała się męskości. Ja miałam opiekę. Byłam dobrze ubrana, karmiona tak bogato, że się rozchorowałam, opatulona tak mocno, iż czułam się jak w gorączce, pouczana, sterowana, wychwalana, otoczona przez obywateli ogromnego miasta, ofiarowujących mi część ich władzy, którą brali za człowieczeństwo. Zarówno on, jak i ja trafiliśmy pomiędzy czarowników. Oboje dostrzegaliśmy dobro w otaczających nas ludziach, ale ani on, ani ja nie potrafiliśmy wśród nich żyć.

Radek opowiedział, że spędził wiele ponurych nocy na Terytorium, przycupnięty w pozbawionym paleniska szałasie, powtarzając raz po raz historie, których nauczyły go ciotki, śpiewając w głowie pieśni. Ja robiłam to samo każdej nocy na statku. Nie opowiadałam jednak historii ani nie śpiewałam piosenek tamtejszym ludziom. Nie mówiłam w moim języku. Tylko w ten sposób mogłam zachować milczenie.

Matka była wściekła i przez długi czas nie mogła mi wybaczyć. „Jesteś winna naszym ludziom naszą wiedzę” – mówiła. Nie odpowiadałam, bo mogłabym jedynie rzec, że to nie mój lud, że ja nie mam swojego ludu. Jestem osobą. Mam język, w którym nie mówię. Mam swoją ciszę. Nic innego mi nie zostało.

Chodziłam do szkoły. Na statku, podobnie jak w kręgu ciotek, przebywały dzieci w różnym wieku. Wielu dorosłych udzielało nam nauk. Poznałam historię i geografię Ekumeny, a matka dała mi raport dotyczący historii Jedenaście Soro, czasów, które w moim języku zwą się Sprzed Czasu. Czytałam, że miasta mojego świata były największymi miastami, jakie kiedykolwiek zbudowano: całkowicie pokrywały dwa kontynenty, pozostawiając jedynie niewielkie tereny uprawne. W owych miastach żyło sto dwadzieścia miliardów ludzi, a tymczasem zwierzęta, morze, powietrze i ziemia umierały, i w końcu ludzie także zaczęli umierać. To była straszna historia. Wstydziłam się jej. Tak bardzo chciałam, by nikt inny na statku ani w Ekumenie jej nie usłyszał. Ale pomyślałam, że gdyby znali nasze historie Sprzed Czasu, zrozumieliby, że magia zwraca się w końcu przeciw samej sobie i że musi tak być.

Po niecałym roku matka oznajmiła, że wracamy na Hain. Lekarz statku i jego sprytnie maszyny naprawili wargę Radka. Wraz z mamą sporządzili oficjalny zapis wszystkich zebranych informacji, a on sam był dość dorosły, by zacząć naukę w szkołach Ekumeny, tak jak tego pragnął. Ja natomiast marniałam. Lekarskie maszyny nie zdołały mnie naprawić. Cały czas chudłam, źle sypiałam, nękały mnie okropne bóle głowy. Niemal natychmiast po przybyciu na statek zaczęłam menstruować – za każdym razem skurcze były coraz gorsze.

– Życie na statku ci nie służy – oznajmiła matka. – Musisz przebywać na świeżym powietrzu. Na planecie. Cywilizowanej planecie.

– Jeśli polecę na Hain – odparłam – i wrócę, osoby, które znałam, będą martwe od setek lat.

– Pogodo Ducha, musisz przestać myśleć z perspektywy Soro. Opuściliśmy Soro. Przestań się oszukiwać, zadręczać. Patrz w przyszłość, nie w przeszłość. Masz przed sobą całe swoje życie. Na Hain nauczysz się, jak żyć.

Zebrałam całą swą odwagę i przemówiłam w moim języku:

– Nie jestem już dzieckiem. Nie masz nade mną władzy. Nie polecę. Odejdź beze mnie. Nie masz nade mną władzy!

Słowa te – tak mnie uczono – mówi się do maga, czarownika. Nie wiem, czy matka w pełni je zrozumiała, ale pojęła, iż śmiertelnie się jej boję, i odkrycie to sprawiło, że zamilkła. Po długiej chwili rzekła po haińsku:

– Zgadzam się. Nie mam nad tobą władzy. Mam jednak pewne prawo. Prawo lojalności, miłości.

– Nic nie powinno dawać ci władzy nade mną – odrzekłam wciąż w moim języku.

Spojrzała na mnie przeciągle.

– Jesteś jak jedna z nich – rzekła. – Stałaś się jedną z nich. Nie wiesz, co to miłość. Zamknęłaś się przed światem niczym skała. Nie powinnam cię była tam zabierać. Ludzie wegetujący pośród ruin społeczeństwa – brutalni, przesądni ignoranci, każdy zamknięty w swej strasznej samotności. A ja pozwoliłam, by uczynili z ciebie jedną z ich grona.

– Ty mnie uczyłaś – odparłam. Mój głos zaczął drżeć, usta jak zdętwiałe odmawiały mi posłuszeństwa. – Podobnie tutejsza szkoła. Lecz ciotki także mnie uczyły i chcę, by dokończyły dzieła. – Płakałam, nadal jednak stałam z zaciśniętymi dłońmi. – Nie jestem jeszcze kobietą. Chcę nią zostać.

– Ależ zostaniesz! Dziesięć razy wspanialszą kobietą niż ta, na którą mogłabyś wyrosnąć na Soro. Musisz spróbować zrozumieć, uwierzyć mi...

– Nie masz nade mną władzy!

Zacisnęłam powieki i zakryłam dłońmi uszy. Wówczas mnie objęła, a ja stałam sztywno, znosząc jej dotyk, póki mnie nie puściła.

Podczas naszego pobytu na planecie załoga statku całkowicie się zmieniła. Pierwsi obserwatorzy odeszli do innych światów. Obecnie wspierał nas getheński archeolog Arrem, łagodny, czujny człowiek, niezbyt młody. Arrem odwiedził jedynie dwa pustynne kontynenty planety i z radością rozmawiał z nami, którzy, jak mawiał, „żyliśmy wśród żywych”. Czułam się dobrze w jego obecności. Arrem nie przypominał mi nikogo innego. Nie był mężczyzną – nie mogłam przywyknąć do stałej obecności mężczyzn – ani kobietą. Ni to dorosły, ni dziecko. Był osobą samotną jak ja. Onona nie znał dobrze mojego języka, lecz zawsze próbował w nim ze mną rozmawiać. Gdy nadszedł kryzys, Arrem zjawił się u mojej matki, by jej doradzić. Przekonywał, aby pozwoliła mi wrócić na planetę. Radek przysłuchiwał się niektórym z ich rozmów i mi je powtarzał.

– Arrem twierdzi, że jeśli polecisz na Hain, prawdopodobnie umrzesz – rzekł. – Twoja dusza umrze. Onona uważa, że część z tego, czego się nauczyliśmy, przypomina getheńską religię. To sprawiło, że matka przestała wściekać się głośno na prymitywne przesady... Arrem mówi też, że gdybyś została na Soro i dokończyła swoją edukację, mogłabyś przydać się Ekumenie. Stałabyś się bezcennym źródłem wiedzy. – Radek

prychnął. Po chwili ja także zaśmiałam się wzgardliwie. – Przekopaliby twój mózg jak asteroidę – mruknął, po czym dodał: – Wiesz, że jeśli zostaniesz, a ja odleczę, będziemy martwi.

Tak właśnie mawiali młodzi ludzie na statku, gdy jedno z nich zamierzało pokonać lata świetlne, a drugie zostać: „Żegnaj, jesteśmy martwi”. I taka była prawda.

– Wiem – odparłam.

Gardło zacisnęło mi się nagle. Bałam się. Nigdy nie widziałam, by dorosła osoba płakała, oprócz dnia, gdy umarło dziecko Sut. Sut zawodziła całą noc. Była jak pies, mówiła matka, ale ja nie słyszałam nigdy ani nie widziałam psa. Słyszałam zrozpaczoną kobietę. Bałam się, że mój głos zabrzmiał podobnie.

– Jeśli będę mogła wrócić do domu, to kiedy skończę tworzyć swą duszę, kto wie, może na jakiś czas przylecę na Hain – dodałam po haińsku.

– Na zwiad? – spytał w moim języku Radek i roześmiał się, sprawiając, że i ja wybuchnęłam śmiechem.

Wiedziałałam, że nikt nie może zachować brata. Lecz Radek powrócił do mnie z martwych, może zatem ja powrócę do niego. Mogłam przynajmniej udawać.

Matka podjęła decyzję. Miałyśmy pozostać jeszcze rok na statku, a Radek odlecieć na Hain. Wciąż będę chodzić do szkoły. A jeśli pod koniec roku nie zmienię zdania, pozwoli mi wrócić na planetę. Ona sama, ze mną czy beze mnie, odleci wówczas na Hain, do Radka. Jeśli zapragnę jeszcze ich zobaczyć, mogę podążyć w ich ślady. Był to kompromis, który nie zadowalał nikogo, ale lepszego nie zdołaliśmy osiągnąć i wszyscy się zgodziliśmy.

Przed odlotem Radek zostawił mi swój nóż.

Gdy odszedł, starałam się nie chorować. Pracowałam ciężko, ucząc się wszystkiego, co pokazywano mi w szkole na statku. Próbowалам też uczyć Arrema, jak być czujnym i unikać magii. W pokładowym ogrodzie ćwiczyliśmy pierwszą godzinę wyjścia z transu z handdary w Karhidzie na Gethen. Zgodziliśmy się, że obie rzeczy są do siebie podobne.

Statek został w układzie Soro nie tylko z powodu mojej rodziny, ale też dlatego że załoga, składająca się obecnie głównie z zoologów, badała morskie zwierzę na Jedenaście Soro; głowonoga, który dzięki mutacji osiągnął wysoką inteligencję czy może już wcześniej był bardzo inteligentny. Istniał jednak problem komunikacji.

– Niemal równie poważny, jak ten z miejscowymi ludźmi – zauważyła Stałość, zoolożka, która uczyła nas i drwiła z nas bezlitośnie.

Dwukrotnie zabrała nas lądownikiem na bezludne wyspy północnej półkuli, gdzie mieściła się jej stacja badawcza. Dziwne – to był mój świat, a przecież jakże inny niż ten, w którym przebywały moje ciotki, siostry i moja dusza. Milczałam jednak. Widziałam wielkie jasne, nieśmiałe stworzenie wypływające wolno z głębin. Po całej długości macek przebiegła fala barw. Rozległ się dźwięk, tak krótki, iż umilkł, nim zdołaliśmy na dobre dostrzec kolory i go usłyszeć. Maszyna zoolożki rozbłysła na różowo i wydała z siebie mechaniczny, szybki świergot, metaliczny i słaby wobec ogromu morza. Głowonóg odpowiedział cierpliwie w swym pięknym srebrzystym języku cieni.

– PK, problem komunikacyjny – oznajmiła z ironią Stałość. – Nie wiemy, o czym rozmawiamy.

– Podczas mojej nauki tutaj – rzekłam – nauczyłam się czegoś. W jednej z pieśni mówi się, że... – zawahałam się, próbując przełożyć słowa na haiński. – Mówi się, że myślenie to

rodzaj czynu, a słowa to rodzaj myślenia.

Stałość patrzyła na mnie – sądziłam, że z dezaprobatą, lecz może tylko dlatego, że nigdy wcześniej nie powiedziałam do niej nic więcej, jak tylko „tak”. W końcu rzekła:

– Sugerujesz, że ta istota nie mówi słowami?

– Może w ogóle nie mówi. Może tylko myśli.

Patrzyła na mnie długą chwilę.

– Dziękuję – powiedziała w końcu.

Wyglądała, jakby i ona pogрузzyła się w myślach. Marzyłam, by móc zatonać w falach tak jak głowonóg.

Inni młodzi ludzie na statku byli przyjaźni i dobrze wychowani. Te słowa nie mają odpowiedników w moim języku. Ja nie byłam przyjazna i z pewnością byłam źle wychowana, toteż dawali mi spokój. Czułam wdzięczność. Lecz nigdzie nie mogłam być sama. Oczywiście każde z nas miało swój pokój, choć niewielki. „Heyho” był haińskim statkiem badawczym, zaprojektowanym tak, by podczas wieloletniego pobytu w dalekim układzie planetarnym zapewniać każdemu członkowi załogi swobodę, prywatność, wygodę, odmianę i piękno. Został jednak stworzony przez człowieka. Wszystko na nim było dziełem człowieka. Miałam tu znacznie więcej prywatności niż w naszym jednoizbowym domu na planecie. Tam jednak byłam wolna, a tu tkwiłam w pułapce. Czułam stałą obecność otaczających mnie ludzi. Ludzie wokół mnie, ludzie ze mną, ludzie napierający na mnie, zmuszający, bym stała się jedną z nich, jedną z Ludu. Jak miałam stworzyć mą duszę? Z trudem udawało mi się jej nie stracić. Z przerażeniem myślałam, że może do tego dojść.

Jeden z kamieni w moim woreczku duszy, mały, brzydki, szary kamyk, który podniosłam pewnego dnia w pewnym miejscu na wzgórzach nad rzeką w Srebrnej Porze, maleńki fragment mojego świata, stał się całym światem. Co noc wyjmowałam go i trzymałam w dłoni, leżąc w łóżku i czekając na sen. Myślałam wówczas o blasku słońca na wzgórzach nad rzeką i słuchałam cichego pomruku urządzeń statku, szumiących niczym mechaniczne morza.

Lekarz szpikował mnie najróżniejszymi miksturami. Śniadanie co dzień jadłam z matką. Wciąż pracowała, porządkując zapiski z lat spędzonych na Jedenaście Soro i układając raport dla Ekumeny. Wiedziałam jednak, iż praca nie idzie jej dobrze. Jej duszy groziło równie wiele, jak mojej.

– Ty nigdy się nie poddasz, prawda, Pogodo? – spytała pewnego ranka, przerywając milczenie przy śniadaniu.

Nie chciałam, by owa cisza stała się przekazem. Po prostu w niej wypoczywałam.

– Matko, chcę wrócić do domu. Ty także – rzekłam. – Nie możemy tego zrobić?

Przez moment miała dziwny wyraz twarzy. Wyraźnie mnie nie zrozumiała. Potem ów wyraz zniknął, zastąpiony poczuciem klęski i ulgi.

– Będziemy dla siebie martwe? – spytała, zaciskając wargi.

– Nie wiem. Muszę stworzyć swą duszę. Potem dowiem się, czy przybędę.

– Wiesz, że ja nie będę mogła wrócić. Wszystko zależy od ciebie.

– Wiem. Leć do Radka – powiedziałam. – Wracaj do domu. Tu obie umieramy.

Z moich ust zaczęły dobywać się dźwięki: szlochanie, jęk. Matka płakała. Objęła mnie, a ja mogłam się przytulić, bo jej zakłęcie zostało przełamane.

Z lądownika ujrzałam oceany Jedenaście Soro i upojona radością pomyślałam, że kiedy dorosnę i wyruszę samotnie w świat, udam się na brzeg morza i będę dopóty obserwować morskie stwory rozbłyskujące barwami i dźwiękami, dopóki się nie dowiem, o czym myślą. Będę słuchać, uczyć się i moja dusza stanie się równie wielka, jak cały świetlisty świat. Pod nami przemykały pobrużdżone pustkowia, ruiny rozległe na cały kontynent, nieskończone pustynie. Wylądowaliśmy. Miałam z sobą woreczek duszy, na mojej szyi na sznurku wisiał nóż Radka. Za prawym uchem wszczepiono mi komunikator. Zabrałam też z sobą przygotowany przez matkę zestaw medyczny. („Nie ma sensu umierać z powodu zakażonego skaleczenia na palcu”, rzekła). Ludzie z lądownika pożegnali mnie. Ja zapomniałam o pożegnaniu. Wyruszyłam na pustynię, do domu.

Letnia noc była krótka i ciepła. Szłam prawie bez odpoczynku. W południe drugiego dnia dotarłam do kręgu ciotek. Ostrożnie powędrowałam do mego domu, sprawdzając, czy ktoś nie wprowadził się tam podczas mojej nieobecności. Wszystko jednak było dokładnie tak jak wtedy, gdy odeszliśmy. Materace zawilgły; wyniosłam je na słońce wraz z pościelą i zaczęłam krzątać się po ogrodzie, sprawdzając, co nadal tam rośnie. Pigi w większości wyrosły i skarłowaciały, ale pozostało trochę dobrych korzeni. Wkrótce pojawił się mały chłopiec. Patrzył na mnie bez słowa. To musiał być syn Migi. Niedługo potem zjawiała się Hyuru. Przykucnęła obok mnie w ogrodzie w blasku słońca. Uśmiechnęłam się na jej widok, ona także, lecz chwilę trwało, nim znalazłyśmy coś do powiedzenia.

– Twoja matka nie wróciła – zauważyła Hyuru.

– Jest martwa – odparłam.

– Przykro mi.

Patrzyła, jak wykopuję kolejny korzeń.

– Przyjdiesz do kręgu pieśni? – spytała.

Skinęłam głową. Uśmiechnęła się ponownie. Hyuru, o różowobrazowej skórze i szeroko rozstawionych oczach, stała się bardzo piękna, lecz jej uśmiech pozostał taki jak w dzieciństwie.

– *Hi, ya!* – westchnęła z głębokim zadowoleniem, kładąc się na ziemi i podpierając brodę rękami. – Jak dobrze.

Ja radośnie kopałam dalej.

Przez ten rok i dwa następne wraz z Hyuru i dwiema innymi dziewczynami chodziłam na spotkania kręgu pieśni. Didsu często się tam pojawiała. Dołączyła też Han, kobieta, która osiadła w naszym kręgu ciotek, by urodzić swe pierwsze dziecko. W kręgu pieśni starsze dziewczęta przekazują historie, piosenki i wiedzę poznaną od matek, a młode kobiety, żyjące w innych wioskach, uczą tego, czego tam się nauczyły. W ten sposób kobiety tworzą własne dusze i uczą się, jak tworzyć dusze swych dzieci.

Han zamieszkała w domu, w którym zmarła stara Dnemi. W czasie gdy mieszkała tam moja rodzina, w kręgu ciotek nie zmarł nikt poza dzieckiem Sut. Matka skarżyła się, że nie dysponuje żadnymi danymi dotyczącymi śmierci i pogrzebów. Sut odeszła ze swym martwym dzieckiem i już nie wróciła. Nikt o tym nie mówił. Myślę, że to bardziej niż cokolwiek innego zwróciło matkę przeciw innym. Żałowała, że nie może próbować pocieszyć Sut, i była wściekła, że nikt inny tego nie robi. „To nieludzkie – mówiła. –

Czysto zwierzęce zachowanie. Nie potrzeba innych dowodów. Oto zniszczona kultura. Nie społeczeństwo, lecz jego resztki. Przerazająca, ohydna nędza”.

Nie wiem, czy śmierć Dnemi zmieniłaby jej zdanie. Dnemi umierała bardzo długo, mam wrażenie, że na niewydolność nerek. Pod koniec jej skóra od żółci przybrała barwę ciemnopomarańczową. Dopóki mogła chodzić, nikt jej nie pomagał. Gdy przez dzień czy dwa nie opuszczała domu, kobiety wysyłały dzieci z wodą, jedzeniem i drwami. I tak ciągnęło się to całą zimą. W końcu pewnego poranka mały Rashi powiedział matce, że ciotka Dnemi „patrzy”. Kilka kobiet udało się do domu Dnemi i weszło do środka – po raz pierwszy i ostatni. Posłały po wszystkie dziewczęta z kręgu pieśni, abyśmy nauczyły się, jak postępować. Na zmianę czuwałyśmy przy ciele bądź na werandzie domu, śpiewając łagodne pieśni, piosenki dziecięce, dając duszy dzień i noc na opuszczenie ciała i domu. Potem starsze kobiety owinęły ciało w pościel, przypięły je do czegoś w rodzaju noszy i wyruszyły z tym ciężarem w stronę pustkowi. Tam miały je oddać, ukryte pod skalnym kopcem albo wewnątrz ruin.

– To krainy umarłych – oświadczyła Sadne. – Wszystko, co umiera, trafia właśnie tam.

Han osiedliła się w tym domu rok później. Gdy dziecko zaczęło się rodzić, poprosiła Didsu o pomoc. Wraz z Hyuru siedziałyśmy na werandzie i obserwowałyśmy, ucząc się. Był to cudowny widok i zdecydowanie odmienił moje poglądy, a także poglądy Hyuru.

– Chciałabym to zrobić – oznajmiła Hyuru.

Ja milczałam, ale pomyślałam: Ja także. Zaraz jednak zmieniłam zdanie, bo gdy raz urodzi się już dziecko, człowiek nigdy nie jest sam. I choć piszę właśnie o innych, o łączących ich więziach, mottem całego mojego życia pozostaje samotność.

Chyba nie da się opisać samotności. Pisanie oznacza komunikację z innymi. PK, jak powiedziałyby Stałość. Samotność to brak komunikacji, nieobecność innych, obecność samowystarczalnej jaźni.

Samotność kobiety w kręgu ciotek wspiera się rzecz jasna na nieuniknionej obecności innych, pozostających blisko niej. To samotność względna, a tym samym ludzka. Osiadłych mężczyzn łączy z kobietami silna więź, mimo że nie mieszkają razem. Jeden dom stanowi integralny, choć odległy element kręgu ciotek. Nawet kobieta na zwiadach pozostaje częścią społeczności, ruchomą częścią połączoną z częściami osiadłymi. Jedynie izolacja kobiety bądź mężczyzny żyjącego poza osadą jest naprawdę absolutna. Oboje pozostają poza społeczną siecią. Istnieją słowa na określenie takich osób: święci ludzie. Ponieważ izolacja to pewny sposób na uniknięcie magii, w moim świecie panuje przekonanie, iż to magowie, wyrzutki z własnej woli bądź woli innych czy wreszcie z nakazu sumienia.

Wiedziałam, że mam w sobie mocną magię. Jakże mogłabym nie wiedzieć? I zaczęłam tęsknić za odejściem w dal. W ten sposób łatwiej byłoby mi być samą. Jednocześnie jednak coraz mocniej chciałam dowiedzieć się o wielkiej nieszkodliwej magii, zaklęciach rzucanych pomiędzy mężczyzną i kobietą.

Wolałam łowy niż ogrodnictwo, toteż wiele czasu spędzałam na wzgórzach. W owym czasie, miast odwracać wzrok od męskich domów, zbliżyłam się do nich, spojrzałam na nie i na czekających na zewnątrz mężczyzn. Odpowiedzieli mi wzrokiem. Kulawy mężczyzna znad rzeki starzał się. Jego lśniące włosy zaczynały siwieć. Kiedy jednak siedział, śpiewając swe długie pieśni, odkryłam, że siadam obok i słucham, jakby kości w mych nogach zniknęły. Był bardzo piękny. Podobnie mężczyzna, którego pamiętałam jako

chłopca imieniem Tret, syn Behyu. Powrócił z grupy młodzików i ze zwiadów, zbudował sobie dom i urządził piękny ogród w dolinie Czerwonego Kamiennego Potoku. Miał wielki nos i wielkie oczy, długie ręce i nogi, długie dłonie. Poruszał się bardzo szybko, niemal jak Arrem na etapie przebudzenia z transu.

Często zbierałam jagody w dolinie Czerwonego Kamiennego Potoku. Kiedyś podszedł do mnie i rzekł:

– Byłaś siostrą Radka. – Miał cichy, niski głos.

– On nie żyje – odparłam.

Mężczyzna z Czerwonych Skał przytaknął.

– To jego nóż.

W moim świecie nigdy wcześniej nie rozmawiałam z mężczyzną. Czułam się niezmiernie dziwnie. Nadal zbierałam jagody.

– Wybierasz zielone – zauważył mężczyzna z Czerwonych Skał. Jego łagodna uśmiechnięta twarz sprawiła, że w moich nogach znów zabrakło kości. – Mam wrażenie, że nikt cię nigdy nie dotknął. Ja dotknę cię łagodnie. Myślę o tobie, odkąd zjawiłaś się tu wczesnym latem. Spójrz, to krzak z dojrzałymi jagodami. Te są zielone. Podejdź tutaj.

Zbliżyłam się do niego, do dojrzałego krzaka.

Gdy przebywałam na statku, Arrem powiedział mi, że wiele języków ma jedno słowo określające pożądanie seksualne i więź pomiędzy matką i dzieckiem, a także więź pomiędzy bratnimi duszami, uczucie wobec swego domu i oddawanie czci temu, co święte. Wszystko to nazywają miłością. W moim języku nie istnieje słowo tak wielkie. Może matka ma rację i ludzka wielkość zginęła w moim świecie wraz z ludźmi Sprzed Czasu, pozostawiając jedynie małe, nieszczęśliwe, złamane istoty i myśli. W moim języku miłość to różne słowa. Jedno z nich poznałam u mężczyzny z Czerwonych Skał. Śpiewaliśmy je sobie nawzajem.

Zbudowaliśmy sobie letni dom nad maleńką zatoczką przy strumieniu i zaniedbaliśmy własne ogrody, zbierając mnóstwo słodkich jagód. Matka umieściła w zestawie medycznym wieloletni zapas środków antykoncepcyjnych. Nie wierzyła w zioła z Soro. Ja wierzyłam i zadziałały. Gdy jakiś rok później w Złotym Czasie postanowiłam wyruszyć na zwiady, uznałam, iż mogę trafić do miejsc, w których nie rosną właściwe zioła, umieściłam zatem mały antykoncepcyjny klejnot z tyłu lewej małżowiny usznej. Potem pożałowałam, bo za bardzo przypominało to czary, ale upomniałam się, że robię się przesadna, a środek antykoncepcyjny nie miał w sobie więcej magii niż tutejsze zioła – po prostu działał dłużej. Obiecałam matce w głębi duszy, że nigdy nie stanę się przesadna. Skóra zarosła antykoncepcją, a ja zabrałam mój woreczek duszy, nóż Radka i zestaw medyczny i ruszyłam w świat.

Upowiedziałam Hyuru i mężczyznę z Czerwonych Skał, że odchodzę. Śpiewaliśmy z Hyuru piosenki i całą noc rozmawialiśmy nad rzeką.

– Czemu chcesz odejść? – spytał mężczyzna z Czerwonych Skał swym pięknym głębokim głosem.

– Żeby się uwolnić od twojej magii, czarodzieju – odparłam.

Częściowo była to prawda. Gdybym wciąż do niego powracała, zawsze chodziłabym tylko do niego, a chciałam zapewnić swej duszy i ciału większy świat.

Opowieść o latach zwiadów byłaby trudniejsza niż cokolwiek innego. PK! Kobieta na zwiadzie jest zupełnie sama, chyba że poprosi o seks któregoś z osiadłych mężczyzn albo

w drodze zatrzyma się w jednym z kręgów ciotek, by wymienić pieśni i opowieści. Jeśli zbliży się do terytorium młodzików, grozi jej niebezpieczeństwo. Jeśli natknie się na włóczęgę, grozi jej niebezpieczeństwo. Jeśli się zrani albo trafi na zatrute ziemie, grozi jej niebezpieczeństwo. Nie ma żadnych obowiązków, tylko wobec siebie samej. Taka wolność jest bardzo groźna.

W moim prawym uchu tkwił maleńki komunikator. Co czterdzieści dni, jak obiecałam, wysyłałam na statek sygnał oznaczający: „wszystko w porządku”. Gdybym chciała odlecieć, wysyłałabym inny sygnał. Mogłam wezwać lądowik, by uwolnić się od kłopotów. Lecz choć kilka razy znalazłam się w kłopotach, nigdy nie przyszło mi to do głowy. Mój sygnał stanowił jedynie wypełnienie obietnicy złożonej matce i jej ludowi, sieci powiązań, do której już nie należałam, przesłanie pozbawione treści.

Życie w kręgu ciotek bądź wśród osiadłych mężczyzn jest, jak już mówiłam, dość monotonne. Bywa wręcz nudne. Nie dzieje się nic nowego, a umysł zawsze pragnie nowości, toteż dla młodych wymyślono zwiady, wędrówki, podróże, niebezpieczeństwo, zmiany – lecz oczywiście podróże, niebezpieczeństwo i zmiany kryją w sobie własną nudę. Kolejne wzgórza, kolejna rzeka, kolejny mężczyzna, kolejny dzień. Stopy zaczynają poruszać się po wielkim kręgu, ciało myśli o tym, czego nauczyło się w domu, gdy poznało, co to znaczy pozostawać w bezruchu, czuwać, dostrzegać ziarno piasku pod podeszwą stopy i skórę na tej podeszwie, zapach i dotyk wiatru na policzku, rozbłysk i ruch światła w powietrzu, kolor trawy na wysokim wzgórzu za rzeką, myśli o ciele, duszy, rozbłysk i fale kolorów i dźwięków w głębokiej ciemności oceanu, zawsze niespokojne, zmienne, nowe.

W końcu wróciłam do domu. Nie było mnie cztery lata.

Hyuru odeszła z domu matki i zamieszkała w moim starym domu. Nie wybrała się na zwiady, lecz zaczęła odwiedzać dolinę Czerwonego Kamiennego Potoku. Była w ciąży. Ucieszyłam się, że tam zamieszkała. Jedyne pusty dom był w ruinie i leżał zbyt blisko domu Hedimi, postanowiłam zatem zbudować sobie nowy. Wykopałam krąg, w którym mogłam zagłębić się aż po pierś. Kopanie to zabrało mi prawie całe lato. Wycinałam gałęzie, splatałam je i podpierałam, a potem starannie wzmocniłam szkielet błotem z zewnątrz i od wewnątrz. Pamiętam, jak robiłam to z matką dawno, dawno temu, i pamiętam, jak rzekła: „To dobre. To dobre”. Dach pozostawiłam otwarty – gorące słońce wysuszyło błoto, utwardziło. Przed nadejściem słońca pokryłam dom trzcinową strzechą, potrójnie plecioną, bo miałam dość zimowych deszczów.

Mój krąg ciotek bardziej przypominał szereg niż krąg. Rozciągał się wzdłuż północnego brzegu rzeki na jakieś trzy kilometry. Mój dom jeszcze wydłużył ów szereg; stał w górze potoku, z dala od innych. Ze swych drzwi ledwie dostrzegałam dym z paleniska Hyuru. Wkopałam dom w Słoneczne Wzgórze, świetnie chronione przed wodą. To wciąż znakomity dom.

Osiadłam. Dużo czasu poświęcałam zbiorom i ogrodnictwu oraz naprawianiu, wszystkim nudnym, monotonnym czynnościom prymitywnego życia. Zajmowałam się też śpiewem, przemyśliwaniem pieśni i historii poznanych przeze mnie w domu i podczas wędrówek, a także rzeczy, których nauczyłam się na statku. Wkrótce odkryłam, czemu kobiety cieszą się, kiedy dzieci przychodzą ich wysłuchać. Pieśni bowiem i historie istnieją po to, by je opowiadać, by ich słuchać. „Słuchajcie” – mówiłam do dzieci. Dzieci z kręgu ciotek przychodziły i odchodziły, pojawiały się i znikwały niczym rybki w rzece. Jedno, dwoje,

pięcioro, małe, duże. Gdy się zjawiały, śpiewałam im pieśni i opowiadałam historie, gdy odchodziły, z powrotem milkłam. Czasami dołączałam do kręgu pieśni, by przekazać starszym dziewczętom coś, czego nauczyłam się podczas podróży. To wszystko. Tyle że stale pracowałam nad tym, by zachować czujność we wszystkim, co robię.

Dzięki samotności dusza ucieka przed używaniem magii i cierpieniem z jej powodu, ucieka przed nudą, monotonią. Pozwalają na to czujność i świadomość. Nic nie jest nudne, jeśli jest się tego świadomym. Może irytujące, ale nie nudne. Jeśli to rzecz przyjemna, przyjemność potrwa, póki zatrzymasz ją w swym umyśle. Świadomość to najtrudniejsze zadanie duszy.

Pomogłam Hyuru urodzić dziecko, dziewczynkę, i bawiłam się z małą. Potem, po kilku latach wyjęłam z lewego ucha antykoncept. Ponieważ pozostawił niewielki otwór, przebiłam go na wylot rozpaloną igłą, a gdy rana się zagoiła, zawiesiłam w nim niewielki klejnot, który znalazłam w ruinach podczas zwiadów. Jeszcze na statku zauważyłam, że jeden z mężczyzn nosi podobny przedmiot w uchu. Gdy chodziłam zbierać jedzenie, trzymałam się z dala od doliny Czerwonych Skał – tamtejszy mężczyzna zachowywał się, jakby miał do mnie jakieś prawo. Nadal go lubiłam, lecz nie podobała mi się otaczająca go aura magiczna, wyobrażona władza nad moją osobą.

Ruszyłam na wzgórze na północ. W starym północnym domu, mniej więcej w czasie mojego powrotu, osiedliła się para młodych ludzi. Chłopcy przechodzący przez piekło młodzików często tworzą pary i równie często podobna dwójka pozostaje parą, porzucając Terytoria. To pomagało im przeżyć. Czasami są to pary seksualne; jedni zostają w parach, inni nie. Tu jeden z pary wyruszył zeszłego lata z domu wraz z innym mężczyzną. Młody, który został, nie był przystojny, ale się go zauważało. Miał w sobie solidność, która mi się spodobała. Jego ciało i ręce były niewielkie i silne. Jakiś czas starałam się go uwieść, był jednak bardzo nieśmiały. Tego dnia, dnia, gdy nadchodzi Srebrna Pora, a mgła kładzie się na rzece, ujrzał kołyszący się w moim uchu klejnot i patrzył na niego długo.

– Ładny, prawda? – spytałam.

Przytaknął.

– Założyłam go, byś na mnie spojrział.

Był tak nieśmiały, że w końcu rzekłam:

– Jeśli uprawiasz seks wyłącznie z mężczyznami, po prostu mi powiedz. – Naprawdę nie byłam pewna.

– O nie – odparł. – Nie. Nie.

Potykając się, umknął ścieżką, ale obejrzał się za siebie, toteż wolno poszłam za nim, wciąż niepewna, czy pragnął mojej obecności, czy chciał się mnie pozbyć. Czekał na mnie w gęstym zagajniku przed maleńkim domkiem, uroczym liściastym szałasem. Można było przejść obok niego w odległości wyciągniętej ręki i niczego nie zauważyć. Wnętrze usłał grubą warstwą suchej trawy, miękkiej, pachnącej latem. Weszłam do środka, kuląc się w niskim wejściu, i usiadłam w letniej trawie. On został na dworze.

– Wejdz – powiedziałam, a on zbliżył się powoli.

– Zrobiłem go dla ciebie – oznajmił.

– A teraz zrób mi dziecko – odparłam.

I uczyniliśmy to, może tego dnia, może następnego.

Teraz wyjaśnię wam, czemu po tych wszystkich latach wezwałam statek, nie wiedząc, czy wciąż krąży tam w przestrzeni między planetami. Poprosiłam, by lądownik spotkał się

ze mną na pustkowiach.

Gdy urodziłam córkę, spełniło się marzenie mojego serca, dusza doznała spełnienia. Gdy w zeszłym roku urodziłam syna, wiedziałam, że spełnienie nie istnieje. Chłopak dorośnie, stanie się mężczyzną i odejdzie walczyć i cierpieć, a potem będzie żył bądź umrze, jak przystało na mężczyznę. Moja córka, która na imię ma Yedneke, Liść, tak jak matka, dorośnie do wieku kobiecego, a wtedy odejdzie bądź zostanie, jak zechce. Ja będę żyła samotnie. Tak powinno być, takie jest moje pragnienie. Pochodzę jednak z dwóch światów, jestem osobą z tego świata i kobietą z ludu mojej matki. Jestem winna mą wiedzę dzieciom jej ludu. Wezwałam zatem lądownik i pomówiłam z jego załogą. Dali mi do przeczytania raport mojej matki, a ja zapisałam w ich maszynie swą historię, sporządzając zapiski dla tych, którzy zechcą poznać jedną z metod tworzenia duszy. Im samym i dzieciom mówię: Słuchajcie! Unikajcie magii! Bądźcie czujni!

Przełożyła Paulina Braiter

Dawna Muzyka i niewolnica

Szef wywiadu ambasady Ekumeny na Werel, mężczyzna w swym świecie nazywany Sohikelwenyanmurkeres Esdan, a wśród Voe Deo znany pod przydomkiem Esdardon Aya lub Dawna Muzyka, nudził się. Trzeba było aż trzech lat i wojny domowej, by zaczął się nudzić, ale doszło już do tego, że w raportach przesyłanych ansiblem do stabilów na Hain określał się „głównym oficerem niewiedzy ambasady”.

Udało mu się jednak utrzymać tajne kontakty z kilkoma przyjaciółmi w Wolnych Miastach nawet po tym, gdy Rząd Legalny odizolował ambasadę, nie pozwalając nikomu ani z niej wyjść, ani do niej wejść i całkowicie odcinając dostęp informacji. Trzeciego roku wojny spotkał się z ambasadorem i zwrócił się do niego z prośbą. Wyjaśnił, że odcięte od sprawdzonych źródeł kontaktu z ambasadą Dowództwo Wyzwolenia zwróciło się do niego („Jak?” – spytał ambasador. „Przez dostawcę produktów spożywczych” – odpowiedział) z pytaniem, czy możliwe byłoby przerzucenie przez linię demarkacyjną jednego lub kilku dyplomatów w celu przeprowadzenia rozmów, pokazania się z nimi, udowodnienia, że mimo propagandowej dezinformacji i mimo iż jest zamknięta w mieście czarnuchów, ambasady nie udało się skłonić do poparcia Legalnych i zachowuje ona neutralność oraz gotowość do pertraktacji z prawnie wyłonionymi władzami, niezależnie od strony.

– Miasto czarnuchów? – zdziwił się ambasador. – Cóż, niech i tak będzie. Ale jak pan się tam dostanie?

– Zawsze ten sam problem z utopiami – przytaknął Esdan. – No cóż, soczewki kontaktowe wystarczą, pod warunkiem że nikt się mną bliżej nie zainteresuje. Najtrudniej przekroczyć Przedzielenie.

Wielkie miasto fizycznie nadal istniało, niemal takie jak zawsze – budynki rządowe, fabryki i magazyny, uniwersytet, atrakcje turystyczne: Wielka Świątynia Tualite, ulica teatrów, Stary Bazar z jakże interesującymi stanowiskami sprzedawców, wielka, wysoko przesklepiona hala domu aukcyjnego, nieużywana od czasu, gdy sprzedaż i wynajem majątku zaczęto prowadzić metodami elektronicznymi, niezliczone uliczki, aleje i bulwary, pokryte pyłem parki ocienione kwitnącymi purpurowo drzewami beya, kilometry sklepów, magazynów, pasaży handlowych, torów, stacji, domów mieszkalnych, domków, osiedli, obozów, przedmieść i przedmieść przedmieść. To miasto zachowało się niemal nietknięte, piętnaście milionów mieszkańców pozostało na miejscu niemal w komplecie, ale znikła jego złożoność. Porozrywane stare związki, nienawiaływane nowe. Brak interakcji. Mózg po wylewie.

Zadano mu jedną jedyną brutalną ranę, cios przerywający rdzeń mózgu, cios, po którym została blizna – kilometrowej szerokości pas ziemi niczyjej z ruinami wysadzonych w

powietrze budynków, blokującymi ulice barykadami, gruzami, wrakami pojazdów. Na wschód od Przedzielenia znajdowało się terytorium Legalnych: śródmieście, budynki rządowe, ambasady, banki, wieże komunikacyjne, uniwersytet, wielkie parki i bogate dzielnice, drogi prowadzące do arsenału, koszar, lotnisk i portu kosmicznego. Na zachód od Przedzielenia znajdowało się terytorium Wyzwolenia, miasto białasów: fabryki, tereny związkowe, obozy wynajętych, stare dzielnice mieszkalne i kilometry, kilometry uliczek przechodzących wreszcie w niezabudowaną równinę. Przez oba terytoria ze wschodu na zachód biegła wielka autostrada, dziś pusta.

Ludzie z Wyzwolenia przeszmyglowali go z ambasady i prawie udało im się przekroczyć Przedzielenie. I on, i oni mieli sporą praktykę z dawnych czasów, kiedy przemycali zbiegłe majątki na Yeowe, gdzie czekała je wolność. Podobało mu się, że z przemytnika stał się przemycanym, było to bardziej przerażające, lecz mniej stresujące, ponieważ za nic nie odpowiadał; paczka, nie listonosz. Ale gdzieś w łańcuchu znalazło się słabe ogniwo.

Do Przedzielenia doszli pieszo, zagłębili się w nie i dotarli wreszcie do niewielkiej półciężarówki stojącej na obręczach przed zrujnowanym domem mieszkalnym. Kierowca uśmiechnął się zza spękanej, niemal nieprzezroczystej szyby. Przewodnik kazał Esdanowi usiąść z tyłu. Samochód wystartował jak drapieżnik atakujący ofiarę. Zygzakiem sunął wśród ruin z szaleńczą prędkością. Już prawie dotarli do granicy Przedzielenia, półciężarówka podskakiwała na gruzach, pędząc czymś, co mogło być niegdyś ulicą lub na przykład bazarem, i nagle skręcili gwałtownie, rozległy się krzyki, strzały, ktoś szarpnięciem otworzył tylne drzwi, a na Esdana rzuciło się kilku mężczyzn. „Spokojnie – powtarzał – spokojnie”, bo szarpali go, siłą wyciągali z samochodu, wykręcili mu rękę na plecy. Na zewnątrz zdarli z niego płaszcz i obmacali od stóp do głów, szukając broni, a potem, nadal z wykręconymi rękami, zaprowadzili do stojącego przy półciężarówce samochodu. Chciał sprawdzić, czy jego kierowca zginął, ale zabrakło mu czasu, by odwrócić głowę.

Samochód ten był starą rządową limuzyną, ciemnoczerwoną, szeroką, długą, reprezentacyjną, wożącą wielkich właścicieli ziemskich na spotkania Rady albo ambasadorów z portu kosmicznego. Zasłona w miejscu dla pasażerów mogła oddzielić kobiety od mężczyzn, miejsce dla kierowcy zamykało się szczelnie, by pasażerowie nie wdychali powietrza, którym ośmielił się odetchnąć niewolnik.

Jeden z mężczyzn, ściskający jego wykręconą rękę, wepchnął go do środka, a on, padając na siedzenie pomiędzy dwoma innymi i widząc naprzeciwko jeszcze trzech, mógł myśleć tylko o jednym: Jestem już na to za stary.

Siedział nieruchomo, czekając, aż odpłyną ból i strach; nie był jeszcze gotów na wykonanie jakiegoś ruchu, choćby miał tylko pomasować obolałe ramię. Nie patrzył w twarze napastników, nie wyglądał nazw mijanych ulic. Załedwie dwa razy rzucił okiem za okno. Byli na ulicy Rei, jechali na wschód, opuszczali miasto. Nagle zdał sobie sprawę, że spodziewał się, iż odwiozą go do ambasady. Co za głupiec!

Ulicę mieli dla siebie, tylko przechodnie odprowadzali ich pędzący pojazd zdumionymi spojrzeniami. Wydostali się na szeroki bulwar. Nadal jechali na wschód, wciąż bardzo szybko. Mimo że znalazł się w wyjątkowo niebezpiecznej sytuacji, to cieszył się, że nie siedzi już zamknięty w ambasadzie, tylko wydostał się na świeże powietrze, na otwarty świat, że jedzie gdzieś, i to tak szybko. Ostrożnie podniósł rękę i pomasował ramię. Równie ostrożnie przyjrzał się mężczyznom siedzącym obok i naprzeciwko. Wszyscy byli

ciemnoskórzy, dwaj niemal granatowoczarni. Dwóch siedzących naprzeciw niego wyglądało zbyt młodo; świeże, nieruchome twarze. Trzecim był veot trzeciej rangi, oga. Jego twarz nie wyrażała niczego oprócz spokoju, tego wymagał trening. Spojrzeli sobie w oczy i obaj natychmiast odwrócili wzrok.

Esdan lubił veotów. Zarówno żołnierzy, jak i właściciele niewolników uważał za relikty dawnego Voe Deo, gatunek skazany na zagładę. Biznesmeni i biurokraci ocaleją i po wyzwoleniu będą żyć, zapewne bardzo dobrze. Z całą pewnością znajdą też żołnierzy, którzy będą dla nich walczyli. Kasta wojskowa nie przetrwa. Jej kodeks lojalności, honoru i twardego, surowego życia zbyt upodabniał ją do niewolników, z którymi dzieliła także kult Kamye, wojownika i poddanego. Jak długo po wyzwoleniu przetrwa mistycyzm cierpienia? Veoci byli nieelastycznym elementem nieznośnego porządku rzeczy. Ufał im, a oni rzadko zawodzili jego zaufanie.

Oga był niesamowicie czarny i bardzo przystojny; przypominał Teyeo, którego Esdan wyjątkowo lubił. Teyeo opuścił Werel na długo przed wojną, poleciał z żoną najpierw na Terrę, potem na Hain. Jego żona miała zostać mobilem Ekumeny. Już niedługo. Za kilka stuleci. Długo po zakończeniu wojny, długo po śmierci jego, Esdana, chyba że pójdzie w ich ślady i wróci, wróci do domu.

Nie ma się nad czym zastanawiać. Podczas rewolucji nie istnieje wybór. Wydarzenia niosą cię, jesteś pęcherzykiem powietrza w wodospadzie, iskierką w ognisku, nieuzbrojonym człowiekiem otoczonym siedmioma ludźmi z bronią, w samochodzie sunącym bardzo szybko Wschodnią Drogą Przelotową...

Wyjeżdżali z miasta w kierunku wschodnich prowincji. Legalny rząd Voe Deo panował teraz nad połową stolicy oraz dwiema prowincjami i obywatelami, z których siedmiu na ośmiu nazywanych było przez tego ósmego majątkiem. Dwaj mężczyźni w kabinie kierowcy o czymś rozmawiali. Siedzący po prawej ręce Esdana mężczyzna o spiczastej głowie spytał o coś ogę, który skinął głową.

– Oga – powiedział Esdan.

Veot spojrzał mu wprost w oczy, nie zmieniając ani na moment wyrazu twarzy.

– Muszę się wysikać.

Brak odpowiedzi. Przez chwilę nikt nic nie mówił. W tym miejscu droga była w fatalnym stanie, zniszczona przez walki w pierwszym roku powstania, a może po prostu niereperowana od tego czasu. Esdan z trudem znosił podskoki i kołysanie samochodu.

– Dla mnie pieprzony białooki może się spokojnie zsić – powiedział jeden z siedzących naprzeciw niego mężczyzn do drugiego, który rozciągnął wargi w uśmiechu.

Esdan rozważył możliwe odpowiedzi: pogodne, nawet żartobliwe, nieobraźliwe, nieprovokujące, i nie odpowiedział nic. Ci dwaj szukali okazji. Zamknął oczy, próbował rozluźnić się, nie tyle zapomnieć o bólu w ramieniu, bólu pęcherza, ile być go zaledwie świadomym, nic więcej. Siedzący po jego lewej ręce mężczyzna – nie widział go wyraźnie – powiedział do mikrofonu: „Zjedź na pobocze”. Kierowca skinął głową. Samochód skręcił, kołysząc się strasznie. Kiedy wszyscy wysiedli, Esdan zobaczył, że ten mężczyzna to również veot, drugiej rangi, zadyo. Jeden z młodych ludzi złapał go za rękę, drugi szturchnął w wątrobę lufą pistoletu. Inni stali na poboczu i załatwiali się na piach, żwir, korzenie kilku nędznych drzew. Esdan zdołał rozpiąć rozporek, ale nogi miał zdrętwiałe, ledwie stał. Młody mężczyzna z bronią obszedł go i stanął tuż obok, mierząc wprost w jego członek. W pęcherzu była jakaś bariera. Ból.

– Cofnij się – powiedział Esdan prosząco, z odrobiną irytacji. – Nie chcę zmoczyć ci butów.

Młody mężczyzna zrobił krok w przód. Lufa broni oparła się na podbrzuszu Esdana. Zadyo uczynił nieznaczny gest i mężczyzna się cofnął. Esdan zadrżał, nagle trysnęła fontanna moczu. Mimo wręcz bolesnej ulgi z zadowoleniem stwierdził, że młody mężczyzna cofnął się o dwa kroki.

– Wygląda prawie jak ludzki – powiedział ze zdziwieniem.

Esdan wsunął w spodnie swój nieludzki brązowy członek z pośpiechem, choć dyskretnie. Zapiął rozporek. Oczy miał nadal schowane za soczewkami kontaktowymi kryjącymi białko, ubrany był niczym niewolnik do wynajęcia w luźny strój z szorstkiej tkaniny farbowanej na żółto, bo tylko tego koloru mógł używać miejski niewolnik. Sztandar Wyzwolenia miał ten sam brązowożółty kolor; zła barwa w tym kraju. I ciało Esdana pod ubraniem też było złej barwy.

Mieszkał na Werel od trzydziestu trzech lat. Zdażył już przyzwyczać się do strachu i nienawiści, ale przecież nigdy jeszcze nie był skazany na łaskę i niełaskę tych, którzy się go bali i którzy go nienawidzili. Osłaniały go skrzydła Ekumeny. Jakim był głupcem, opuszczając ambasadę. Zamknięty w niej był przynajmniej bezpieczny, ale dopuścił do tego, by złapali go szaleńcy, rozpaczliwie broniący przegranej sprawy, gotowi przecież nie tylko go skrzywdzić, ale także dokonać z jego pomocą wielu krzywd. Jak długo będzie w stanie się im opierać? Jak długo wytrzyma? Na szczęście nie wydobędą z niego torturami informacji o planach Wyzwolenia, bo nic o nich nie wiedział. Mimo wszystko okazał się głupcem.

W samochodzie miał niewiele do roboty, mógł jedynie wpatrywać się w skrzywione twarze młodych ludzi i kamienną twarz stale czujnego ogi. W tym miejscu droga była równa. Cisza, kołysanie pędzącego samochodu, szok po gwałtownych przeżyciach go uspiły. Zapadł w drzemkę. Kiedy się obudził, niebo było złote, czyste. Zachód słońca doświetlały dwa małe księżyce. Jechali wyboistą boczną drogą, wijącą się pośród pól, sadów, lasów przeznaczonych do wyrębu, plantacji krzewów, z których powstaną konstrukcje budowlane. Potem minęli obóz niewolników, kolejne pola i kolejny obóz. Zatrzymali się przy posterunku, gdzie dyżurował jeden uzbrojony wartownik. Sprawdził pobieżnie ich samochód, kazał jechać dalej. W tym miejscu droga prowadziła przez ogromny, otwarty piękny park. Znał go skądś, ale nie pamiętał skąd, i to go zaniepokoiło. Wzór gałęzi drzew na tle nieba, zagajniki, łąki. Tak, za tym niskim wzgórzem płynie rzeka!

– To Yamera – oświadczył głośno.

Nikt mu nie odpowiedział.

Lata... dziesiątki lat temu... był na Werel zaledwie rok, może dwa lata, gdy personel ambasady zaproszono do Yamery, największej posiadłości Voe Deo, klejnotu wschodu, modelu wydajnego niewolnictwa. Tysiące majątków pracowało na polach, w młynach i fabrykach, mieszkało w ogromnych obozach niczym w otoczonym murami mieście. Wszystko było tu czyste i porządne, pracowite i spokojne. Na wzgórzu nad rzeką stał dom, pałac – trzysta pokoi, bezcenne meble, obrazy, rzeźby, instrumenty muzyczne... Pamiętał prywatną salę koncertową o ścianach ze szklanej mozaiki na złocie i wewnętrzną świątynię Tualite; wielki kwiat wyrzeźbiony w aromatycznym drewnie.

Zbliżali się do domu. Droga skręcała w tym miejscu, mignęły mu przed oczami

zabudowania, ostre kawałki zwęglonego drewna na tle nieba.

Dwóm młodym mężczyznom znów pozwolono się nad nim poznęcać. Wywlekli go z samochodu, wykręcili mu ramiona, na schodach popychali go i kopali. Usiłował się nie opierać, nie czuć, co wyprawiają, tylko rozglądał się dookoła. Środkowe i południowe skrzydło wielkiego domu zostało całkowicie zrujnowane, nie pozostał nawet ślad dachu. Przez czarną dziurę w ścianie, będącą niegdyś oknem, widział czyste, martwo żółte niebo. Nawet tu, pośrodku Krainy Prawa, niewolnicy się zbuntowali. Od tej strasznej, upalnej godziny powstania minęły już trzy lata – tysiące spalonych domów, obozów, miasteczek i miast, cztery miliony zabitych. Nie wiedział, że powstanie dotarło aż do Yaramery. Informacje nie docierały w górę rzeki. Ilu niewolników klejnotu wschodu zginęło w ciągu jednej rozświetlonej blaskiem pożarów nocy? Czy właściciele zabito, czy też przeżyli, by ponieść karę? Myśli te, nienaturalnie klarowne, z nienaturalną szybkością przemknęły przez głowę Esdana wleczonego po niskich schodkach do wejścia do północnego skrzydła pałacu, strzeżonego przez gotową do strzału broń, zupełnie jakby sześćdziesięciodwulatek z nogami zeszywniałymi od wielogodzinnej jazdy, mięśniami szarpanymi przez skurcze, wywieziony trzysta kilometrów w głąb terytorium wroga miał nagle zerwać się do ucieczki. Ale myślał szybko i zauważał wszystko.

Tego skrzydła domu, połączonego z częścią centralną arkadowym krużgankiem, nie zniszczono, ściany nadal podpierały dach, ale kiedy weszli do holu, dostrzegł nagi kamień. Rzeźbiona boazeria spłonęła. Toporna sklejka zastąpiła parkiet i malowane płytki. Nie ocalał ani jeden mebel. Ale brudny i zrujnowany hol pozostał piękny w swej nagości. Veoci odłączyli się od grupy i podeszli zdać raport ludziom stojącym w przejściu do wnętrza, będącego niegdyś salą recepcyjną. Uważał ich za strażników swego bezpieczeństwa, więc pragnął, by wrócili, ale odeszli gdzieś dalej. Jeden z młodych ludzi nadal wykręcał mu ramię na plecach.

Podszedł do nich starszy, potężnie zbudowany mężczyzna.

– Czy pan jest obcym nazywanym Dawna Muzyka?

– Jestem Hainem, tu używam tego imienia.

– Panie Dawna Muzyko, musi pan zrozumieć, że opuszczając ambasadę z pogwałceniem zasad opieki uzgodnionych między waszym ambasadorem a rządem Voe Deo, zrzekł się pan immunitetu dyplomatycznego. Wolno nam pana przetrzymywać, poddać przesłuchaniu i odpowiednio ukarać za naruszenie praw obywatelskich oraz spiskowanie z buntownikami i wrogami państwa, jeśli coś takiego odkryjemy.

– Rozumiem, że przedstawił pan sytuację zgodnie z pańskim przekonaniem – odparł Esdan. – Musi pan jednak zdać sobie sprawę, że ambasador oraz stabilne Ekumeny światów uznają mnie za chronionego zarówno przez immunitet dyplomatyczny, jak i prawa Ekumeny.

Nic nie szkodziło spróbować, ale tych jakże światowych kłamstw nikt nie był uprzejmy wysłuchać. Potężnie zbudowany mężczyzna wyrecytował po prostu litanie, odwrócił się i odszedł, a młody mężczyzna znów wykręcił Esdanowi rękę i, oszołomionego bólem, poprowadził salami i korytarzami. Przecięli brukowany dziedziniec i znaleźli się w jakimś pokoju. Jeszcze jedno szarpnięcie, omal wyłamujące ramię z barku, podcięcie nóg i Esdan padł na kamienną podłogę. Został sam we wszechobecnym mroku, a drzwi zamknęły się z hukem za jego prześladowcą.

Leżał na brzuchu, drżąc, z głową schowaną w ramionach, i słyszał, jak jęczy raz za

razem, zachłystując się własnym oddechem.

Doskonale zapamiętał tę noc i niektóre zdarzenia z kolejnych dni i nocy. Nie wiedział wówczas i nigdy się nie dowiedział, czy torturami chciano go złamać, czy też uznano go po prostu za podręczny obiekt do brutalnego traktowania, kogoś, na kim można było wyładować gniew i frustrację, rodzaj zabawki dla dorosłych chłopców. Kopano go, bito, cierpiał, bardzo cierpiał, ale dokładnie nie pamiętał niczego oprócz klatki.

Słyszał o takich rzeczach, nawet o nich czytał, ale nigdy przedtem nie doświadczył. Nigdy przedtem nie widział obozu. Cudzoziemcom i gościom Voe Deo nie proponowano oglądania kwater niewolników. Domowi niewolnicy usługiwali im w posiadłościach panów. Ten obóz był niewielki, najwyżej dwadzieścia chat po stronie kobiecej, trzy długie domy męskie od strony bramy. Mieszkało tu kilkuset niewolników opiekujących się domem i wielkimi ogrodami Yaramery. W porównaniu z pracującymi w polu byli niewątpliwie uprzywilejowani, ale przecież i ich karano. Słup, do którego przywiązywano skazanych na chłostę, nadal stał przy zapadniętym fragmencie ogrodzenia z wielką otwartą, przekrzywioną na zawiasach bramą.

– Tu? – spytał Nemeo, ten, który tak lubił wykręcać mu ramię.

– Nie, chodź, to tam – odparł Alatural i podniecony pobiegł przodem, by ściągnąć klatkę wiszącą pod głównym stanowiskiem strażniczym wysoko za murem.

Klatka miała kształt walca zamkniętego z jednej strony i dającego się zamknąć z drugiej. Zrobiona była z zardzewiałej drucianej siatki. Wisiała na łańcuchu, zaczepiona na pojedynczym haku. Na ziemi wyglądała jak pułapka na zwierzęta, niewielkie zwierzęta. Obaj młodzi mężczyźni rozebrali Esdana do naga i zapędzili do środka elektrycznymi pałkami polowymi, służącymi do poganiania leniwych niewolników; bawili się nimi przez kilka ostatnich dni. Zaśmiewali się, rażąc go prądem, pchając go, wtykając mu pałkę w odbyty, przykładając do jąder. Wpełził do klatki, mógł w niej zaledwie przykucnąć ze zwieszoną głową, z łokciami i kolanami przyciśniętymi do torsu. Zamknęli go w niej, naga stopa utkwiała mu między okami siatki a zamknięciem, ból był straszny, zrobiło mu się ciemno przed oczami, a oni tymczasem unieśli klatkę. Kołysała się dziko. Chwycił siatkę dłońmi, uczeplił się jej, choć jego ramionami szarpały skurcze. Spojrzał w dół, dostrzegł ziemię falującą siedem, może osiem metrów niżej. Upływał czas i klatka przestała się wreszcie kołysać. Nie mógł poruszyć głową. Widział, co jest pod klatką, a obracając oczy, mógł także obserwować większą część obozu.

W dawnych czasach zobaczyłby na ziemi ludzi oglądających przedstawienie o wyraźnym charakterze moralnym: niewolnik w klatce. Dzieci nauczyłyby się, czym pokojówce grozi zaniedbanie obowiązków, ogrodnikowi – niestaranne przycięcie kwiatów, robotnikowi w polu – hardość wykazana przed obliczem nadzorcy. Ziemia była pylista, naga. Widział zasuszone przydomowe ogródki, mały cmentarz przy granicy części kobiecej, rów oddzielający część kobiecą od męskiej, ścieżki, ledwie zauważalny krąg nieco zieleńszej trawy pod klatką i... ani jednego człowieka. Tylko kaci stali pod nim. Pośmiali się z niego, porozmawiali, wreszcie znudzili się i odeszli.

Próbował przybrać wygodniejszą pozycję, ale przecież niemal nie mógł się poruszać. Najmniejszy ruch huśtał klatką, od czego dostawał mdłości. Bał się także upadku, nie

wiedział, do jakiego stopnia bezpiecznie zamocowano klatkę na haku. Stopa, przycięta podczas zamykania, bolała go tak strasznie, że marzył o omdleniu, ale choć w głowie mu się kręciło, nie tracił przytomności. Próbował nabierać powietrza tak, jak nauczył się tego dawno temu na innej planecie: płynnie, powoli – ale nie mógł oddychać w ten sposób w tym świecie, w tej klatce. Płuca miał skurczone, przyciśnięte żebrami, walczył z trudem o każdy oddech, pewien, że lada chwila się udusi. Walczył też z paniką, próbował być świadomy tego, co się wokół niego dzieje, tylko świadomy, ale sama świadomość była nie do zniesienia.

Słońce przebiegło niebo, oświetliło tę część obozu i zawroty głowy zmieniły się w bóle i mdłości. Wtedy stracił na jakiś czas przytomność. Potem przyszła noc i chłód, próbował wyobrazić sobie wodę, ale wody nie było.

Potem ocenił, że spędził tak dwie doby. Pamiętał nagrzaną drut przesuwający się po spalonej skórze, kiedy oprawcy wyciągali go z klatki, szok, gdy polano go z węża zimną wodą. Wówczas był przez chwilę całkiem przytomny, świadom siebie, małego, bezwładnego jak szmaciana lalka, leżącego na ziemi, podczas gdy otaczający go mężczyźni rozmawiali i krzyczeli coś niezrozumiałego. Musieli odnieść go do celi czy może stajni, gdzie był przetrzymywany, bo pozostały tylko ciemność i cisza, ale jednocześnie nadal wisiał w klatce, płonąc w lodowych promieniach słońca, zamierzając w płonącym cieple, czując, jak coraz mocniej zaciska się na nim drucziana siatka bólu.

W którymś momencie zabrano go do pokoju z łóżkiem i oknem, ale nadal znajdował się w klatce kołyszącej się wysoko nad pylistą, wyschlą nieszczęśliwą ziemią, ziemią nieszczęśliwych, i nad kręgiem zielonej trawy.

Zadyo i potężny, ale niewysoki mężczyzna czasami byli przy nim. Poddana o bladożółtej twarzy przyklękała, drżąc na całym cieple, i sprawiała mu wielki ból, próbując nasmarować maścią spalone słońcem ramię, nogę i plecy. Czasami była przy nim. Przez okno świeciło słońce. Czuł, jak drucziane drzwiczki zatrząskują mu się na stopie; raz za razem, i znów, i znów.

Uspokajał się w ciemności i wówczas zasypiał. Po kilku dniach mógł już siadać, a także zjeść to, co przynosiła mu stara poddana. Poparzenia słoneczne goiły się powoli, ostre i dokuczliwe bóle stały się mniej ostre i mniej dokuczliwe. Stopa spuchła mu strasznie, kości miał połamane, ale nie przeszkadzało mu to, póki leżał. To drzemał, to zasypiał, to znów się budził, lecz nigdy do końca.

Kiedy do pokoju wszedł Rayaye, rozpoznał go natychmiast. Spotykali się przedtem dość często, jeszcze przed powstaniem. Rayaye był ministrem spraw zagranicznych w rządzie prezydenta Oyo. Jaki urząd objął teraz w Rządzie Legalnym, Esdan oczywiście nie wiedział. Był niewysoki jak na Werelianina, ale szeroki w ramionach i potężny, twarz miał tak ciemną, że aż granatową, i lśniącą niczym wypolerowana. Człowiek robiący wrażenie, polityk.

– Minister Rayaye – powiedział Esdan.

– Panie Dawna Muzyko, to wyjątkowo uprzejmie z pańskiej strony, że mnie pan pamięta. Bardzo mi przykro, że ostatnio czuł się pan nie najlepiej. Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z opieki?

– Dziękuję panu bardzo.

– Kiedy dowiedziałem się o pańskich dolegliwościach, próbowałem znaleźć lekarza, ale okazało się, że tu dostępny jest wyłącznie weterynarz. Nie ma służby! Zupełnie inaczej niż

za dawnych dni. Co za zmiany! Żałuję, że nie poznał pan Yaramery w okresie jej świetności.

– Ależ poznałem. – Głos miał słaby, lecz na szczęście brzmiał całkiem naturalnie. – Trzydzieści dwa, może trzydzieści trzy lata temu. Pan i lady Aneo gościliście wówczas grupę z ambasady.

– Doprawdy? Więc wie pan, jak to wówczas wyglądało. – Rayaye usiadł w fotelu, pięknym meblu pozbawionym jednego podłokietnika. – Oglądanie tej ruiny sprawia ból, prawda? Dom został najbardziej zniszczony. Spaliło się całe skrzydło kobiece i sale reprezentacyjne. Ogrody pozostały nienaruszone, za co chwała niech będzie Pani. Cztery lata temu zaprojektował je sam Meneya. Wiedział pan o tym? Pola również nadal są uprawiane. Powiedziano mi, że w posiadłości pozostały do dziś trzy tysiące majątku. Kiedy skończą się bieżące kłopoty, łatwiej będzie odtworzyć Yaramerę niż inne wielkie posiadłości. – Spojrzał za okno. – Jest taka piękna, taka piękna. Domowi służący Aneo słynęli z urody. Słyszał pan może o tym? I oczywiście z wykształcenia. Minie wiele czasu, nim uda się odtworzyć stare standardy.

– Bez wątpienia.

Werelianin spojrział na niego z nadzieją... ale w związku z czym?

– Zapewne dziwi pana jego tu obecność – powiedział.

– Nieszczególnie – odparł Esdan spokojnie.

– Doprawdy?

– Opuściłem ambasadę bez zezwolenia. Spodziewam się, że rząd pragnie wiedzieć, co robię.

– Niektórych z nas ucieszyła informacja o pana niesubordynacji. Zamknięty w niej marnował pan swoje talenty.

– Och, moje talenty... – Esdan lekceważąco wzruszył ramionami. Kosztowało go to sporo bólu. Doskonale, skrzywi się później, teraz nieźle się bawił. Lubił szermierkę słowną.

– Jest pan wielce utalentowanym człowiekiem, panie Dawna Muzyko. Lord Mehao powiedział kiedyś, że jest pan najmądrzejszym i najsprytniejszym obcym na Werel. Pracował pan z nami... owszem, przeciw nam także, osiągając znacznie większe sukcesy niż jakikolwiek inny zaświatowiec. Rozumiemy się doskonale. Osobiście wierzę w to, że szczerze życzy pan dobrze ludziom takim jak ja i że jeśli pokażę panu, jak może pan oddać im przysługę, oczywiście w nadziei, że tym samym zakończy się ten straszny konflikt, skorzysta pan z okazji.

– Chciałbym umieć dokonać czegoś tak wspaniałego.

– Czy przeszkodzi panu, jeśli będzie pan rozpoznawany jako zwolennik którejś ze stron? A może wolałby pan pozostać neutralny?

– Każde działanie przeczy zasadzie neutralności.

– Porwanie z ambasady przez buntowników na pewno nie jest dowodem pańskiej sympatii dla nich.

– Zapewne tak zostanie to odebrane.

– Raczej wręcz przeciwnie.

– Z pewnością tak zostanie to odebrane.

– Możliwe. Zależy to tylko od pana.

– Moje zachcianki nie przekładają się na rzeczywistość, panie ministrze.

– Wręcz przeciwnie, mają wielki wpływ na rzeczywistość, panie Dawna Muzyko. Ale...

pozostawmy ten temat. Chorował pan. Z pewnością pana męczę. Może porozmawiamy jutro? Co pan o tym sądzi? Oczywiście jeśli ma pan ochotę.

– Oczywiście – odparł Esdan z grzecznością graniczącą z unizieniem głosem, który, o czym wiedział doskonale, odpowiadał ludziom takim jak ten, przyzwyczajonym bardziej do posług niewolników niż do towarzystwa równych sobie.

Nie myląc arogancji z dumą, Esdan starał się zachowywać uprzejmie w każdej sytuacji. Prosta hipokryzja nie była dla niego problemem. Ludzie Rayaye torturowali go – Rayaye udawał, że nic o tym nie wie. Zmuszając ich do przyznania, że go torturowali, nie mógł nic wygrać, niech więc będzie, jak jest.

W rzeczywistości cieszył się nawet, że nie musi o tym rozmawiać, i miał nadzieję, że nie będzie musiał o tym myśleć. Jego ciało jednak myślało za niego, pamiętało wszystko, przypominało mu o przeszłości każdym ścięgnem, każdym mięśniem. To, co mu zrobiono, pozostanie w jego pamięci, póki będzie żył. Nauczył się wiele o rzeczach, o których istnieniu nie miał wcześniej pojęcia. Niegdyś sądził, że rozumie, co to znaczy być bezradnym, teraz wiedział już, że wtedy nic nie rozumiał.

Kiedy przerażona kobieta znowu się pojawiła, poprosił ją, by wezwała weterynarza.

– Musi usztywnić mi stopę – wyjaśnił.

– Leczy niewolników z pola, poddanych, panie – powiedziała, kuląc się pod jego spojrzeniem. Majątek tej posiadłości mówił dialektem dziwnie brzmiącym, bardzo starym, czasami trudno zrozumiałym.

– Czy wolno mu wejść do domu?

Zaprzeczyła, kręcąc głową.

– Czy znasz kogoś, kto mógłby zająć się moją stopą?

– Spytam, panie – szepnęła.

Tego wieczora odwiedziła go stara poddana o pomarszczonej surowej twarzy. Nie zachowywała się unizenie. Kiedy na niego spojrzała, powiedziała: „Wszechmocny Panie!”, ale rytuał odprawiła pospiesznie, a potem zajęła się jego spuchniętą stopą równie bezosobowo, jak każdy lekarz.

– Jeśli pozwolisz mi nałożyć opatrunek, panie, potrafię ją wyleczyć – powiedziała.

– Co złamali?

– Te palce. O, tu. I może kość w tym miejscu. Trudno powiedzieć. W stopach jest mnóstwo kości.

– Proszę, opatrz mi ją.

Spełniła jego prośbę, wiążąc ciasno bandażę, zwój za zwojem, aż unieruchomiła mu stopę.

– Jeśli zechce pan chodzić, proszę używać laski – powiedziała. – I na ziemi niech pan stawia tylko zdrową nogę.

Spytał ją o imię.

– Gana – odparła, patrząc mu prosto w twarz. Na to nie zdobyłby się zwykły niewolnik. Prawdopodobnie chciała lepiej przyjrzeć się jego oczom zaświatowca, skoro reszta, pomijając dziwną barwę skóry, okazała się całkiem zwyczajna, łącznie z kośćmi stopy.

– Dziękuję ci, Gano. Dziękuję ci za umiejętności i uprzejmość.

Ukloniła się, choć nie unizenie, i wyszła z pokoju. Kulała, lecz szła wyprostowana. „Wszystkie babcie to buntowniczkę” – powiedział mu ktoś dawno temu, na długo przed powstaniem.

Następnego dnia wstał i udało mu się nawet dotrzeć, choć niezdarnie, do fotela. Usiadł i wyrzwał przez okno.

Znajdował się w pokoju na pierwszym piętrze, z okien widział ogrody Yaramery: tarasowe zbocze, klomby, ścieżki, trawniki, ozdobne jeziora i stawy opadające w kierunku rzeki, wspaniałe wzór prostych i płaszczyzn, roślin i ruchu, ziemi i nieruchomej wody, przytulonych do żywej, krętej rzeki. Ścieżki, klomby i łąki w sposób równie rygorystyczny, choć niemal niezauważalny, prowadziły wzrok ku wielkiemu drzewu przy rzece. Musiało być wielkie już czterysta lat temu, kiedy zakładano te ogrody. Stało na uboczu, w sporej odległości od brzegu, ale gałęzie sięgały nad wodę, a w rzucanym przez nie cieniu dałoby się zbudować sporą wioskę. Trawa tarasów wyschła na kolor jasnego złota. Rzeka, jeziora i stawy w promieniach gorącego letniego słońca wydawały się białosine. Klomby i zagajniki, nieprzycinane, rozrosły się ponad miarę, lecz nie zdążyły jeszcze zdziczeć. Ogrody Yaramery, właśnie takie, zaniedbane, były ideałem piękności. Porzucone, opuszczone, pozostawione na łasce losu – do tych romantycznych określeń pasowały doskonale, choć przecież były jednocześnie uporządkowane i arystokratyczne, przepełnione wiecznym spokojem. Stworzyli je niewolnicy, a wyszukanie i spokój ogrodów miały za fundament okrucieństwo, łzy i ból. Esdan był Hainem, pochodził ze starożytnej rasy, która w swej historii tysiące razy budowała i niszczyła Yaramerę. Potrafił ogarnąć piękność i przeraźliwy smutek tego miejsca, pewien, że jedno nie może usprawiedliwiać drugiego i że zniszczenie jednego nie niszczy drugiego. Był świadom i piękności, i smutku. Tylko świadom.

Siedząc w fotelu, uwolniony wreszcie od przeraźliwego bólu, miał wrażenie, że piękne i smutne ogrody Yaramery to także tarasy Darrandy na Hain, czerwone dachy i zielone ogrody spadające stromo rzędami ku lśniącej w słońcu przystani, promenady, mola, jachty. A dalej morze wznosi się, dochodzi do domu, do poziomego oczu. Esi wie z książek, że morze nie stoi, lecz leży; „morze dziś leży w pokoju” – napisał poeta, ale on wie lepiej. Morze stoi, jest szarozieloną ścianą na końcu świata. Jeśli wypłyniesz na nie, wydaje się płaskie, ale uwierz oczom, a zobaczysz, że jest wysokie jak góry Darrandy, wypłyn w nie naprawdę, a pokonasz tę ścianę i przekroczysz granicę świata. Niebo to dach podtrzymywany przez ściany. W nocy gwiazdy świecą poprzez szkło powietrza. Po niebie też można żeglować, do gwiazd, na światy poza światem. „Esi!” – słyszy wołanie z wnętrza domu. Odwraca się od nieba i morza, schodzi z balkonu, idzie przywitać gości albo na lekcję muzyki, albo żeby zjeść obiad z rodziną. Jest grzecznym chłopcem, posłusznym, wesołym, niezbyt rozmownym, ale wspaniale czującym się w towarzystwie, wyrobionym, zainteresowanym ludźmi. Maniery ma bez zarzutu, oczywiście, w końcu jest Kelwenem, starsze pokolenie nie zniosłoby niegrzecznego dziecka, ale eleganckie zachowanie przychodzi mu bez trudu, być może dlatego że nie zna zachowań nieeleganckich. Nieskłonny do marzeń, zawsze aktywny, bystry, obserwuje i ocenia, a także myśli samodzielnie, lubi zgłębiać problemy, choćby takie jak ściana morza i dach powietrza. Dziś nie jest już tak bliski Esdanowi, jak niegdyś, tak otwarty. To mały chłopiec dawno, dawno temu pozostawiony daleko, daleko stąd, w domu. Esdan bardzo rzadko patrzy dziś na świat jego oczami, bardzo rzadko oddycha cudownym,

skomplikowanym zapachem domu w Darrandzie – drewno, roślinne pokosty do jego czyszczenia i konserwacji, maty ze słodkiej trawy, świeże kwiaty, zioła używane w kuchni, wiatr od morza... Bardzo rzadko słyszy głos matki: „Esi? Chodź, kochanie. Przyjechali kuzyni z Dorased!”.

Esi biegnie na spotkanie kuzynów, starego Iliawada o krzaczastych brwiach i wyrastających z nosa włosach, potrafiącego dokonywać cudów za pomocą kawałków taśmy klejącej, i Tuitui, która lepiej od niego przyjmuje piłkę, chociaż jest młodsza. Widząc ich wszystkich, Esdan zasypia w zniszczonym fotelu, patrząc przez okno na straszny i piękny ogród.

Zapowiedziane rozmowy z Rayaye się odwlekały. Zadyo prosi o wybaczenie: minister został wezwany na rozmowy z prezydentem, wróci za trzy, może cztery dni. Esdan uświadomił sobie, że wcześniej rano słyszał startujący gdzieś niedaleko latacz. Odczuł ulgę. Lubił szermierkę słowną, ale nadal był bardzo zmęczony. Przede wszystkim chciał odpocząć. Do jego pokoju przychodziła tylko przerażona kobieta Heo i raz dziennie zadyo, nieodmiennie pytający, czy czegoś mu nie brakuje.

Kiedy ozdrowiał wystarczająco, pozwolono mu wyjść z pokoju. Mógł spędzać na dworze tyle czasu, ile chciał. Dzięki lasce, z przywiązaną do stopy podeszwą sandała, którą dostał od Gany, mógł chodzić, szedł więc do ogrodów i siadał na słońcu, coraz łagodniejszym z dnia na dzień, w miarę jak nadchodziła jesień. Dwaj veoci pilnowali go, a może raczej strzegli. Widział też młodych ludzi, którzy go torturowali, ale trzymali się z dala – pewnie zakazano im do niego się zbliżać. Jeden z veotów był zawsze w zasięgu wzroku, lecz nieodmiennie utrzymywał dystans. Esdan nie mógł chodzić daleko. Czasami czuł się jak robak na plaży; ta część domu, która się nie spaliła, była wielka, ogrody ogromne, ludzi bardzo mało – sześciu mężczyzn, którzy go przywieźli, i pięciu lub sześciu innych, dowodzonych przez tęgiego Tualenema. Z początkowej liczby majątku domu i posiadłości pozostało kilkunastu, drobny ułamek zespołu niewolników domowych: kucharzy, pomocników kucharzy, pomywaczek, pokojówek, służących, lokajów, kamerdynerów, pucybutów, czyścicieli okien, ogrodników, sprzątaczy ścieżek, kelnerów, chłopców na posyłki, stajennych, woźniców, kobiet i mężczyzn do posług nocnych, pozostających w dawnych czasach na usługach gospodarzy i ich gości. Tych kilkunastu nie zamykano już na noc w starym obozie majątków domowych, gdzie wisiała klatka. Spali na dziedzińcu i w stajniach, gdzie początkowo go więziono, lub w pokojach obok kuchni. Większość stanowiły kobiety, w tym dwie młode, było także dwóch, może trzech starych, kruchych mężczyzn.

Początkowo nie rozmawiał z nimi, bojąc się, że może wpędzić ich w kłopoty, ale porywacze nie zwracali na nich uwagi, chyba że wydawali rozkazy – z pewnością uważali tych niewolników za godnych zaufania i zapewne nie bez powodu. Niewolnicy krnąbrni, ci, którzy wyrwali się z obozu, spalili dom, zabili nadzorców i właścicieli, znikli już dawno; uciekli, zginęli lub, pojmami, znów stali się niewolnikami z krzyżami wypalonymi głęboko na obu policzkach. Ci, którzy pozostali, zaliczali się do „dobrych”. Prawdopodobnie byli lojalni przez cały czas. Wielu poddanych, zwłaszcza niewolników osobistych, bało się powstania na równi z właścicielami, broniło ich i uciekało z nimi. Zdrajców było nie więcej

niż właściciele, którzy uwolnili majątek i walczyli po stronie Wyzwolenia. Tyłu, ale nie więcej.

Dziewczęta, młode robotnice z pola, przywożono po jednej do użytku dla mężczyzn. Codziennie, czasami co drugi dzień, dwaj młodzi mężczyźni, którzy go torturowali, brali rankiem pojazd, odwozili użytą dziewczynę i wracali z nową. Z dwóch młodszych domowych poddanych jedna, imieniem Kamsa, nie rozstawała się z maleńkim dzieckiem. Mężczyźni ją ignorowali. Druga, Heo, zawsze przestraszona, należała do Tualenema, który używał jej co noc. Inni trzymali ręce przy sobie.

Kiedy któreś z nich lub jakiś niewolnik mijał się z Esdanem w domu, zawsze przyjmował pozycję poddania, obowiązującą osobisty majątek przy spotkaniu właściciela: stawał nieruchomo z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, z głową pochyloną tak, że broda dotykała piersi, ze spuszczonego wzrokiem.

– Dzień dobry, Kamsa.

Odpowiedziała, przyjmując pozycję poddania.

Minęły lata od czasu, gdy po raz ostatni zetknął się z ukończonym produktem pokoleń niewolnictwa – niewolnikiem, którego do sprzedaży opisywano słowami: „doskonale wyćwiczony, posłuszny, oddany, lojalny, idealny majątek osobisty”. Większość majątków, które znał, byli to miejscy wynajęci, których właściciele wynajmowali firmom i korporacjom do pracy w fabrykach, sklepach lub wymagających wykształcenia i praktyki gałęziach handlu. Znał także robotników polowych. Ci nie mieli właściwie kontaktu z właścicielem, pracowali pod nadzorem zarządców, a ich obozami kierowali „obcięci”, wykastrowani niewolnicy. Esdan poznał przede wszystkim uciekinierów chronionych przez Bicz, tajny kanał przerzutowy umożliwiający im ucieczkę na Yeowe. Każdy z nich był w jakimś kierunku wykształcony, miał wybór, mógł marzyć o wolności. Ci poddani – nie. Zapomniał już, kim są „dobrzy” poddani. Zapomniał, jak szczelnie zamyka się w sobie człowiek pozbawiony cienia prywatnego życia, do jakiego stopnia nietykalny jest ktoś, z kim można zrobić wszystko.

Kamsa miała gładką, pogodną, nieruchomą twarz. Nie okazywała uczuć, choć czasami słyszał, jak cicho mówi coś do dziecka, jak nuci mu wesołe melodyjki. To go do niej przyciągnęło. Pewnego popołudnia zobaczył ją, jak siedziała na balustradzie wielkiego tarasu z dzieckiem w nosilkach na plecach. Przykuśtykał bliżej, a wtedy wstała, odłożyła nóż i deskę i stanęła w idealnej pozycji poddania.

– Proszę, usiądź i pracuj dalej – powiedział.

Posłusznie wróciła do zajęcia.

– Co tniesz?

– Dueli, panie – szepnęła.

Dueli było bardzo smacznym warzywem, które często jadał. Obserwował ją przy pracy. Każdy wielki zdrewniały strąk trzeba było rozciąć wzdłuż zamkniętej krawędzi. Nie było to łatwe, musiała znaleźć miejsce na ostrze noża, a potem rozciąć strąk mocnymi pociągnięciami. Następnie wydobywała ze środka duże jadalne nasiona i czyściła je z lepkiej, włóknistej masy.

– Jest smaczna, prawda? – spytał.

– Tak, panie.

Czyszczenie dueli było ciężką pracą wymagającą siły, zręczności i cierpliwości. Poczul wstyd.

– Pierwszy raz widzę surową dueli – powiedział.

– Tak, panie.

– Jakie miłe dziecko – zauważył właściwie nie wiadomo po co.

Maleństwo siedziało w nosilkach z głową na ramieniu matki, czarnoniebieskie oczka miało szeroko otwarte, wpatrzone w świat. Nigdy nie słyszał jego płaczu, wydawało mu się to raczej niesamowite, ale nieczęsto miał przecież do czynienia z dziećmi.

Kamsa się uśmiechnęła.

– Chłopiec? – spytał.

– Tak, panie.

– Kamsa, proszę, mam na imię Esdan. Nie jestem twoim panem, lecz więźniem. Twoi panowie są mymi panami. Czy będziesz zwracała się do mnie po imieniu?

Nie odpowiedziała.

– Nie spodobałoby się to naszym panom? – zaryzykował.

Potaknęła głową. Wereliańskie skinienie polegało na odrzuceniu głowy, a nie skłonieniu jej. Po tylu latach doskonale się do tego przyzwyczaił. Sam tak przytakiwał, chociaż, co uświadomił sobie ze zdziwieniem, dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. Niewola oraz sposób, w jaki go traktowano, zdezorientowały go, odebrały mu pewność świata. Przez ostatnie dni więcej myślał o Hain niż przez długie lata czy dziesięciolecia. Niegdyś czuł się na Werel jak w domu, teraz już nie. Nieodpowiednie porównania, nieistotne wspomnienia. Wyobcowanie.

– Powiesili mnie w... – odezwał się tak cicho, jak cicho mówiła ona. Opuścił ostatnie słowo. Nie był w stanie go wypowiedzieć.

Znów skinęła głową. I przy tym, po raz pierwszy, spojrzała na niego, lecz natychmiast odwróciła wzrok. Nie przerywając pracy, szepnęła bezdźwięcznie:

– Wiem.

Nie miał nic więcej do powiedzenia.

– Kiedy byłam mała, mieszkałam tam – powiedziała dziewczyna, wzrokiem wskazując obóz z klatką. Doskonale kontrolowała cichy głos, podobnie jak ruchy. – Nim spalił się dom, kiedy państwo tu mieszkali, często wieszali w klatce. Kiedyś powiesili mężczyznę i trzymali, aż umarł. Tam. Widziałam. – Długa chwila milczenia. – My, dzieci, nigdy pod nią nie chodziłyśmy. Nie biegałyśmy.

– Widziałem... w dole widziałem... inna ziemia. – Esdan mówił równie cicho, jak ona, w ustach mu nagle wyszło, oddech miał ciężki, krótki. – Spojrzałem w dół i widziałem. Myślałem... może... może tam... – Głos odmówił mu posłuszeństwa.

– Pewna stara wzięła kij, długi, ze szmatą na końcu, zmoczyła ją, podała mu. Obcięci udawali, że nie widzą. Ale on zmarł. I gnił.

– Co zrobił?

– *Enna* – odpowiedziała.

Było to proste zaprzeczenie, którego często używał majątek: „nie wiem”, „to nie ja”, „mnie tam nie było”, „nie moja wina”, „kto wie”... Widział raz, jak dziecko właściciela dostało lanie nie za zabicie filiżanki, lecz za użycie słowa z języka niewolników.

– Użyteczna lekcja.

Wiedział, że go zrozumie. Przegrani rozumieją ironię, jest dla nich tak oczywista, jak powietrze i woda.

– Kiedy wsadzili tam pana, bałam się.

– Tym razem nie była to lekcja dla ciebie, lecz dla mnie.

Dziewczyna pracowała uważnie i nieprzerwanie. Obserwował ją – pochylona twarz koloru gliny z niebieskimi cieniami, nieruchoma, spokojna. Jej dziecko miało ciemniejszą skórę; państwo nie wydali jej za poddanego, została użyta. Gwałt nazywano tu właśnie tak, „użycie”. Dziecko powoli zamknęło oczka. Powieki miało jak muszelki – niebieskawe, przezroczyste. Było malutkie, mogło mieć najwyżej dwa miesiące. Z niewyczerpaną cierpliwością trzymało główkę na pochylonych ramionach matki. Oprócz nich na tarasie nie było nikogo. Lekki wiatr poruszał gałęziami kwitnących drzew za ich plecami, srebrzył rzekę.

– Kamsa, wiesz, że twoje dziecko będzie wolne?

Podniosła głowę, ale nie patrzyła na niego, lecz na rzekę, za rzekę.

– Tak – powiedziała. – Będzie wolne.

I wróciła do pracy.

Jej słowa go pocieszyły. Cieszyło go, że dziewczyna mu ufa. Od czasu pobytu w klatce potrzebował czyjś zaufania, ponieważ nie potrafił zaufać sam sobie. Nie bał się Rayaye, szermierka na słowa nie sprawiała mu najmniejszych kłopotów. Ale gdy pozostawał sam, gdy myślał, gdy spał... a przecież był sam prawie przez cały czas... Gdzieś w jego umyśle, w głębi duszy został skrzywdzony, zraniony i rana ta jeszcze się nie zagoiła. Wiedział, że przez tę niezagojoną ranę nie znajdzie oparcia ni w duszy, ni w umyśle.

Rankiem usłyszał lądujący latacz. Wieczorem Rayaye zaprosił go na kolację. Tualenem wraz z dwoma veotami towarzyszyli im przy posiłku, a potem odeszli. Esdan i Rayaye zostali sami z butelką wina w najmniej zniszczonym z dolnych pokoi. Był to pokój myśliwski, a może sala trofeów, w części domu nazywanej azade, należącej do mężczyzn; kobiety nie miały tu wstępu, lecz oczywiście niewolnic, służących i dziewczyn do użycia nie zaliczano do kobiet. Nad kominkiem szczyrzył kły łeb wielkiego dzikiego psa o opalonej płomieniem, zakurzonej sierści i zmatowiałych szklanych ślepiach. Na ścianie naprzeciw kominka wisiały kusze rzucające blade cienie na ciemną boazerię. Elektryczny żyrandol przygasał co jakiś czas; na generatorze prądu nie można było najwyraźniej polegać. Jeden ze starych niewolników pracował przy nim bez przerwy.

– Poszedł do swojej użytkowej – powiedział Rayaye, gestem głowy wskazując drzwi, które właśnie zamknął za sobą Tualenem, kilkakrotnie życząc przedtem ministrowi dobrej nocy. – Pieprzy białą. Jakby pieprzył gówno. Na samą myśl o tym dostaję gęsiej skórki. Wsadza fiuta w szparę niewolnicy. Po wojnie nie będzie mowy o tego rodzaju rzeczach. Rewolucję wywołali mieszańcy. Rasy powinny się oddzielić, krew rządzących musi być czysta. To jedyne wyjście. – Minister przemawiał dźwięcznym głosem polityka grającego rolę uprzejmego gospodarza, wielkiego właściciela ziemskiego, tak jakby spodziewał się całkowitej zgody, nie czekał jednak na jakikolwiek znak, że rozmówca się z nim zgadza. Napełnił kieliszek Esdana winem. – Ale... panie Dawna Muzyko, mam nadzieję, że cieszy pana pobyt w Yaramerze i że stan pańskiego zdrowia się poprawia?

Esdan odpowiedział mu grzecznym, choć niewyraźnym pomrukiem.

– Prezydent Oyo z przykrością przyjął informację o pańskiej chorobie. Życzy panu jak najszybszego powrotu do zdrowia. Ucieszył się, słysząc, że jest pan bezpieczny i buntownicy w niczym już panu nie zagrażają. Może pan pozostać tu, w spokoju, jak długo pan sobie życzy. We właściwym jednak czasie prezydent i jego gabinet z przyjemnością

powitają pana w Bellen.

Grzeczny, choć niewyraźny pomruk.

Wieloletni nawyk powstrzymał Esdana od zadawania pytań mogących ujawnić rozmiar jego ignorancji. Rayaye, jak większość polityków, kochał brzmienie własnego głosu; słuchając, Esdan próbował złożyć z jego słów jakiś szkic bieżącej sytuacji. Wyglądało na to, że Rząd Legalny przeniósł się z miasta do miasteczka Bellen, leżącego na północny wschód od Yaramery, w pobliżu wschodniego wybrzeża, natomiast w mieście pozostało coś w rodzaju dowództwa wojskowego. Niektóre użyte przez ministra sformułowania kazały mu zastanowić się nad tym, czy przypadkiem miasto nie jest w części niezależne od rządu Oyo, czy nie rządzi nim jakaś frakcja, być może militarna.

Po wybuchu powstania rząd Oyo natychmiast otrzymał wyjątkowe uprawnienia, ale Legalna Armia Voe Deo, poniosłszy kilka dotkliwych klęsk na zachodzie, zaczęła wyraźnie buntować się przeciw jego przywództwu, zażądała wręcz większej samodzielności w polu. Rząd cywilny domagał się zemsty, kontrataku, zwycięstw, armia wolała zlokalizować powstanie i zapobiegać jego rozszerzaniu. Regagenerał Aydan ustanowił Przedzielenie w mieście, próbował także zakreślić i utrzymać granicę pomiędzy nowym Wolnym Państwem a Legalnymi Prowincjami. Veoci, którzy przyłączyli się do powstania ze swymi oddziałami majątków, także nalegali u przywódców Wyzwolenia na ustanowienie granicy i kompromis. Armia doradzała rozejm, wojownicy szukali pokoju. Ale przywódca Wolnego Państwa Nekam-Anna grzmiał z trybun: „Póki na świecie istnieje choćby jeden niewolnik, nie jestem wolny!”, a prezydent Oyo odpowiadał mu: „Nie pozwolę podzielić narodu! Będziemy bronić praw do legalnej własności do ostatniej kropli krwi!”. I nagle regagenerała zastąpił nowy naczelny dowódca. Zaraz potem ambasadę odcięto od świata i dopływu informacji. Esdan mógł tylko domyślać się przebiegu zdarzeń w ciągu ostatniego półrocza. Rayaye wspomniał o „naszych zwycięstwach na południu”, zupełnie jakby Legalna Armia atakowała, spychając siły Wolnego Państwa za rzekę Devan, płynącą na południe od miasta. Jeśli tak, jeśli odzyskiwała terytorium, dlaczego rząd wycofał się z miasta i szukał schronienia w Bellen? Opowiadania o zwycięstwach mogły równie dobrze oznaczać, że armia Wyzwolenia próbowała przekroczyć rzekę na południu, a Legalnym udało się do tego nie dopuścić. Jeśli to nazywali zwycięstwem, czyżby zrezygnowali wreszcie z marzeń o pokonaniu rewolucji, opanowaniu całości kraju? Czyżby zdecydowali się na minimalizację strat?

– Nie rozważamy możliwości podziału narodu – powiedział Rayaye, kładąc kres tym pełnym nadziei rozważaniom. – Sądzę, że doskonale pan to rozumie.

Grzeczny, choć niewyraźny pomruk.

Rayaye rozlał resztę wina.

– Naszym celem jest pokój. Pokój jest naszym pilnym i ostatecznym celem. Ten nieszczęśliwy kraj wycierpiał już wystarczająco dużo.

Zdecydowana zgoda.

– Panie Dawna Muzyko, znam pana jako człowieka miłującego pokój. Wiemy też, że Ekumenie bardzo zależy na harmonii między światami i w obrębie światów członkowskich. Tej harmonii i my pożądamy z całego serca.

Zgoda i delikatnie zaznaczone pytanie.

– Jak pan wie, Voe Deo dysponuje i zawsze dysponowało środkami umożliwiającymi zakończenie powstania. Szybkie i ostateczne zakończenie powstania.

Bez odpowiedzi, ale wyraźnie skupiona uwaga.

– Sądzę też, iż zdaje pan sobie sprawę z tego, że nie zastosowaliśmy tych środków wyłącznie z szacunku dla polityki Ekumeny, której mój naród jest członkiem.

Całkowity brak odpowiedzi, brak reakcji.

– Czy zdaje pan sobie z tego sprawę, panie Dawna Muzyko?

– Zakładałem, że dysponujecie naturalnym instynktem przetrwania.

Rayaye potrząsnął głową, jakby opędział się od dokuczliwego owada.

– Od czasu gdy przyłączyliśmy się do Ekumeny – i na długo nim się do niej przyłączyliśmy, panie Dawna Muzyko – lojalnie stosowaliśmy się do zasad jej polityki, szanowaliśmy jej teorie. I tak straciliśmy Yeowe. I tak straciliśmy zachód. Cztery miliony ofiar, panie Dawna Muzyko, cztery miliony podczas pierwszego powstania i jeszcze kilka milionów potem. Milionów! Jeśli nie dopuścilibyśmy wówczas do rozszerzenia się powstania, ofiar byłoby o wiele mniej. Zarówno wśród właścicieli, jak i ich majątku.

– Samobójstwo – powiedział Esdan cichym, neutralnym głosem, głosem niewolnika.

– Pacyfiści każdą broń mają za złą, niszczycielską, samobójczą. Mimo wiekowej mądrości twego ludu, panie Dawna Muzyko, nie macie po prostu doświadczenia w prowadzeniu wojny, którego, niestety, nabierają młodsze, prymitywniejsze rasy. Proszę mi wierzyć, nie jesteśmy samobójcami. Pragniemy, by nasz lud i nasz naród przetrwał. I z całą pewnością będziemy dążyli do przetrwania. Bibo zostało w pełni wypróbowane na długo przedtem, nim przyłączyliśmy się do Ekumeny. Jesteśmy w stanie zastosować je i ograniczyć jego działanie do określonego terytorium. To precyzyjna broń, idealne narzędzie do prowadzenia wojny. Plotki i strach wypaczyły jego naturę i wyolbrzymiły możliwości do wręcz absurdalnych rozmiarów. My tymczasem wiemy, jak używać bibo i jak ograniczać efekty jego działania. Tylko opinia stabilów, przekazana nam przez waszego ambasadora, zapobiegła użyciu go podczas pierwszego roku powstania.

– Miałem wrażenie, że dowództwo armii Voe Deo również sprzeciwiało się użyciu tej broni.

– Niektórzy generałowie, owszem. Jak pan wie, wielu veotów ma bardzo ciasne horyzonty.

– I ta decyzja została zmieniona?

– Prezydent Oyo autoryzował użycie bibo przeciw siłom powstańczym przygotowującym się do ataku na tę prowincję z zachodu.

Takie zgrabne słówko, „bibo”. Esdan przymknął na chwilę oczy.

– Dojdzie do potwornych zniszczeń – powiedział minister.

Gest zgody.

– Istnieje pewna możliwość. – Rayaye pochylił się, czarne oczy w czarnej twarzy miał nieruchome, spojrzenie skupione jak u polującego kota. – Gdyby buntowników ostrzeżono, zapewne by się wycofali, zgodzili na rozmowy. Jeśli się wycofają, nie zaatakujemy. Jeśli zgodzą się na rozmowy, my też się zgodzimy. Zapobiegniemy rzezi. Oni szanują Ekumenę i pana, panie Dawna Muzyko. Ufają panu. Gdyby przemówił pan do nich przez sieć lub – za zgodą ich przywódców – osobiście, wysłuchaliby pana nie jako wroga czy ciemężyciela, lecz jako reprezentanta potęgi neutralnej i zainteresowanej powszechnym dobrem. Wysłuchają pana jako głosu mądrości proponującego im ocalenie, gdy wciąż jeszcze jest szansa na nie. Taką ofertę składam panu i Ekumenie: ofertę ocalenia życia waszych przyjaciół wśród buntowników, zaoszczędzenia temu światu niewypowiedzianych cierpień,

otwarcia drogi do trwałego pokoju.

– Nie jestem upoważniony do wypowiedziania się w imieniu Ekumeny. Ambasador...

– Nie chce. Nie może. Nie jest władny. Pan, owszem. Pan jest człowiekiem niezależnym, panie Dawna Muzyko. Znalazł się pan tu, na Werel, w wyjątkowej sytuacji. Obie strony szanują pana i obie panu ufają. Pański głos znaczy dla białych o wiele, wiele więcej niż głos ambasadora. On przybył zaledwie rok przed buntem. Pan jest, jeśli można tak powiedzieć, jednym z nas.

– Nie jestem jednym z was. Nie jestem ani właścicielem, ani własnością. Jednym z was będę tylko wtedy, gdy przedefiniujecie samych siebie.

Na to stwierdzenie Rayaye nie znalazł żadnej odpowiedzi. Zdziwił się, za chwilę się rozgniewa. Głupiec, powiedział do siebie Esdan. Jak ten stary głupiec mógł przyjąć postawę moralnej wyższości! No, ale oczywiście nie wiedział, jaką powinien przyjąć postawę. Jego słowo miało większą wagę niż słowo ambasadora, to oczywiste, lecz tylko to stwierdzenie z przemowy ambasadora miało jakikolwiek sens. Jeśli prezydent Oyo chciał użyć swej broni z błogosławieństwem Ekumeny i rzeczywiście przypuszczał, że otrzyma je od Esdana, dlaczego prowadził negocjacje w tej sprawie przez Rayaye, dlaczego trzymał jego, Esdana, ukrytego w Yaramerze? Czy Rayaye pracował dla premiera, czy też może dla frakcji rozważającej użycie bibo, podczas gdy premier nadal się temu sprzeciwiał?

Najprawdopodobniej był to wielki bluff. Broń nie istniała, Esdan miał uprawdopodobnić kłamstwo o jej istnieniu, gdyby zaś kłamstwo to wyszło na jaw, on, a nie Oyo, poniósłby konsekwencje.

Bibomb, inaczej bibo, był przekleństwem Voe Deo od dziesięcioleci, od wieków. W panicznym strachu spowodowanym możliwością inwazji obcych po pierwszym kontakcie z Ekumeną przed niemal czterema wiekami Werelianie skupili wszystkie siły swej cywilizacji na doskonaleniu statków kosmicznych i nowych rodzajów broni. Naukowcy, którzy skonstruowali tę szczególną broń, wyparli się jej, informując rząd, że działania bibo nie da się ograniczyć, że zniszczy życie ludzkie i zwierzęce na ogromnym terenie i rozprzestrzeniając się poprzez wody oraz atmosferę, spowoduje w rezultacie głębokie, nieodwracalne zmiany genetyczne. Rząd nigdy nie użył tej broni, lecz też nie chciał jej zniszczyć; samo istnienie bibo nie pozwoliło Werel wstąpić do Ekumeny. Voe Deo twierdzili, że jest to ich gwarancja, iż nigdy nie zostaną zaatakowani z przestrzeni, może wierzyli też, że bibo zapobiegnie rewolucji. Ale nie użyli go, gdy zbuntowała się niewolnicza planeta Yeowe. Następnie, gdy Ekumena zniosła embargo, ogłoszono, że broń została zniszczona. Werel dołączyła do Ekumeny. Voe Deo zaprosili jej przedstawicieli na inspekcję miejsc przechowywania bibo. Ambasador odmówił uprzejmie, cytując jako przyczynę odmowy ekumeniczną politykę zaufania. Czyżby jednak bibo istniało? A może tylko w bajkach Rayaye? Czy Rayaye był do tego stopnia zdesperowany, czy też może to jedynie bluff, próba wykorzystania Ekumeny, by dodać wagi fałszywemu zagrożeniu, odstraszyć przeciwnika? Był to scenariusz najbardziej prawdopodobny, ale nie do końca przekonujący.

– Wojna musi się skończyć – powiedział Rayaye.

– Zgadzam się z panem.

– Nigdy się nie poddamy. Musi pan to zrozumieć.

Minister nie mówił już spokojnie, rozsądnie. Porzucił tę manierę i dopiero teraz był w pełni wiarygodny. Jego czarne oczy Werelianina, oczy bez białek, w słabym świetle

wydawały się bezdenne. Dopił resztkę wina.

– Pan myśli, że walczymy o własność. Że walczymy o to, co posiadamy. Ale ja powiem panu, że walczymy w obronie naszej Pani. I w tej walce nie możemy się poddać, nie możemy zawrzeć kompromisu.

– Wasza Pani jest miłosierna.

– Miłosierdziem naszej Pani jest prawo.

Esdan nie odpowiedział.

– Jutro muszę być w Bellen. – Rayaye znów mówił spokojnie, tonem pełnym wyższości.

– Trzeba w pełni skoordynować plany uderzenia na froncie południowym. Po powrocie pragnę usłyszeć, czy zgodzi się pan udzielić nam pomocy. Zareagujemy, przede wszystkim opierając się na pańskiej odpowiedzi. Wiadomo, że przebywa pan tu, we wschodnich prowincjach, to znaczy wiedzą o tym zarówno buntownicy, jak i nasi ludzie, choć oczywiście dokładne miejsce pańskiego pobytu trzymane jest w tajemnicy ze względu na pana bezpieczeństwo. Rozeszła się także wieść, że zapewne przygotowuje pan oświadczenie dotyczące zmiany stanowiska Ekumeny co do sposobu prowadzenia wojny domowej, zmiany mogącej oszczędzić życie milionom ludzi i przynieść naszemu światu sprawiedliwy pokój. Mam nadzieję, że wykorzysta pan wolny czas, którego przecież panu nie brakuje, na przygotowanie takiego oświadczenia.

Jest rozłamowcem, pomyślał Esdan. Nie leci do Bellen, a jeśli tak, to z pewnością nie ma tam rządu. Sam wymyślił tę historyjkę. Poronioną historyjkę. Nic z tego nie będzie. Rayaye nie ma bibo, ale ma pistolet. Zastrzeli mnie.

– Dziękuję za miłą kolację, panie ministrze.

Następnego ranka o świcie usłyszał odlatujący latacz. Po śniadaniu wyszedł z domu w blask porannego słońca. Jeden z veotów strażników obserwował go z okna, a potem się odwrócił. Kamsę, jej dziecko i Heo zauważył w zakrytym wgłębieniu pod południowym tarasem, obok wysokich, gęstych krzaków o wielkich, nieregularnych, słodko pachnących białych kwiatach. Podeszedł do nich, kuśtykając o lasce. Odległości w Yaramerze, nawet w obrębie domu, były straszne dla kulawego człowieka. Kiedy wreszcie do nich dotarł, powiedział:

– Jestem samotny. Czy mogę przy was usiąść?

Kobiety poderwały się oczywiście na równe nogi i przybrały pozycję poddania, choć Kamsa najwyraźniej niezbyt się starała. Usiadł na półkolistej ławce, wśród płatków opadłych kwiatów. Kobiety i dziecko zajęły miejsce na kamiennej ścieżce. Dzieciak leżał nago w łagodnych promieniach słońca. Jest bardzo chudy, pomyślał Esdan. Stawy niebieskawobrazowych rączek i nóżek przypominały zgrubienia na pędach roślin, przezroczyste, maleńkie. Nie widział go jeszcze poruszającego się tak energicznie, machającego rączkami, obracającego główkę, cieszącego się świeżym powietrzem. Główkę miał zbyt wielką w stosunku do cienkiej szyjki; pod tym względem także przypominał roślinę, wielki kwiat na smukłej łodyżce. Kamsa przytrzymała nad nim wielki kwiat. Dziecko przyglądało mu się z uwagą ciemnymi oczkami. Powieki i brwi miało niezwykle delikatne, przez jego palce przeświecało światło. Uśmiechnęło się do rośliny uśmiechem pięknym jak on sam, uśmiechem, w którym było piękno całego świata.

– Jak ma na imię?

– Rekam.

Wnuk Kamy, pana i niewolnika, myśliwego i rolnika, wojownika przynoszącego pokój.

– Piękne imię. Ile ma miesięcy?

W języku, którym mówili, pytanie to brzmiało właściwie: „Jak długo żyje?”. Kamsa odpowiedziała na nie dziwnie:

– Tak długo, jak żyje.

Tak odczytał jej cichy szept, jej dialekt. Może pytanie o wiek dziecka oznaczało złe maniery lub pecha?

– Czuję się bardzo staro – westchnął. – Od stu lat nie widziałem dziecka.

Heo siedziała zgarbiona tyłem do niego, czuł, że pragnie zasłonić sobie uszy. Strasznie bała się obcego. Życie najprawdopodobniej wypaliło w niej wszystko oprócz strachu, pomyślał Esdan. Ile miała lat? Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć? Wyglądała na czterdzieści, ale mogła mieć i siedemnaście. Kobiety do użycia, źle używane, starzały się szybko. Kamsa, jego zdaniem, mogła mieć nieco ponad dwadzieścia lat. Była chuda, nieładna, ale żyła, czuła, czego nie można było powiedzieć o Heo.

– Masz dzieci, panie? – spytała, podnosząc małego do piersi z wyraźną, choć skromną dumą, zawstydzona, lecz szczęśliwa.

– Nie.

– *A yera, yera* – szepnęła; kolejne słowo z języka niewolników, które często słyszał w obozach w mieście. „Ach, szkoda, szkoda”.

– Jakże wspaniale docierasz zawsze do sedna rzeczy, Kamso – powiedział.

Dziewczyna zerknęła na niego i uśmiechnęła się. Zęby miała zepsute, ale był to dobry uśmiech. Dziecko chyba nie ssało, leżało spokojnie w zgięciu jej ramienia. Heo, przez cały czas przerażona, drżała, gdy tylko się odzywał, przestał więc mówić. Patrzył przed siebie na ogród, który zawsze wyglądał pięknie. Niezależnie od tego, czy się po nim chodziło, czy siedziało w miejscu, zawsze był w równowadze, ścieżki z płaskich kamieni, szarozółta trawa, błękitna woda, kręte alejki, kształt i linia krzaków, wielkie stare drzewo, zamglona rzeka, jej daleki zielony brzeg. Kobiety rozmawiały cicho między sobą. Nie słuchał ich, był tylko świadom melodyjnych głosów, słonecznego światła, spokoju.

Stara Gana sunęła powoli w ich kierunku górnym tarasem. Podeszła, skinęła mu głową, a do Kamsy i Heo powiedziała:

– Choyo chce was widzieć. Zajmę się dzieckiem.

Kamsa położyła małego na ciepłych kamieniach. Poderwały się obie, chude, lekkie, szybko, lecz bez wysiłku. Stara kobieta, powoli, jęcząc i krzywiąc się, usiadła przy Rekamie i natychmiast obwiązała go ciasno pieluchami, marszcząc się i mrucząc coś pod nosem o głupocie jego matki. Esdan uważnie przyglądał się jej ostrożnym ruchom i temu, jak niezwykle delikatnie wzięła dziecko w ramiona, podtrzymując jego ciężką główkę i kruche rączki i nóżki, jak łagodnie przytuliła je i kołysała. Spojrzała na niego. Uśmiechnęła się. Jej twarz przecięła sieć zmarszczek.

– Jest dla mnie wielkim darem – powiedziała.

– To twój wnuk? – spytał szeptem.

I znów to charakterystyczne odrzucenie głowy oznaczające potwierdzenie. Nadal kołysała dziecko, które zamknęło oczy, złożyło główkę na jej wyschłej piersi.

– Myślę, że już niedługo umrze – powiedziała.

Minęła długa chwila.

– Umrze? – spytał Esdan.

Skinienie głowy. Niezmienny uśmiech. Stara kobieta kołysze dziecko w ramionach.

- Ma dwa lata, panie.
- Myślałem, że urodził się teraz, w lecie. – Esdan nadal szeptał.
- Przybył, by pozostać z nami bardzo krótko.
- Na co choruje?
- Wyniszczenie.

Esdan słyszał przedtem tę nazwę.

– *Avo*? – spytał. Pod tą nazwą znał infekcję wirusową, często występującą u wereliańskich dzieci, w miejskich obozach niewolników zwykle przeradzającą się w epidemię.

Skinienie głowy.

– Przecież to uleczalne!

Stara kobieta milczała.

Avo dawało się całkowicie wyleczyć – jeśli byli lekarze, jeśli były lekarstwa. Dawało się wyleczyć w mieście, ale nie na wsi. W wielkich domach, nie w kwaterach niewolników. W czasie pokoju, nie w czasie wojny. Może ta stara kobieta wiedziała, że *avo* jest uleczalne, może nie wiedziała, może nie rozumiała słowa „uleczalne”. Kołysała dziecko, szepcząc coś do niego melodyjnie, nie zwracając żadnej uwagi na głupca. Ale słyszała go i w końcu odpowiedziała, choć ani na chwilę nie spuściła wzroku z twarzyczki śpiącego dziecka:

– Urodziłam się w niewoli. Ja i moje córki. On nie. Jest darem. Dla nas. Jego nikt nie może posiadać. Kamye dał nam siebie. Któż jest w stanie zatrzymać taki dar?

Esdan skłonił głowę. Powiedział matce: „Będzie wolny”, a ona odparła: „Tak”.

– Mogę wziąć go na ręce? – poprosił.

Stara kobieta przestała się kołysać. Zastygła w bezruchu na długą chwilę.

– Oczywiście – rzekła w końcu, podniosła się powoli i bardzo ostrożnie położyła małego na kolanach mężczyzny, który otoczył go ramionami. – Trzymasz na rękach mą radość – powiedziała.

Dziecko nie ważyło prawie nic, trzy, może trzy i pół kilograma. Czuł się tak, jakby w ręce włożono mu ciepły kwiat, zwierzątko, ptaka. Koszulka wlokła się po kamieniach. Gana zebrała ją i otuliła nią dziecko, zakrywając mu buzię. Klęczała na ścieżce niespokojna, zdenerwowana, zazdrosna, dumna; niemal natychmiast odebrała mu dziecko, przytuliła je do serca. Jej twarz wygładziła się w wyrazie szczęścia.

Tej nocy, śpiąc w swym pokoju z oknami wychodzącym na tarasy Yaramery, śnił, że zgubił okrągły kamyk, który zawsze nosił w sakiewce. Był to kamyk z puebla; rozgrzany w dłoni, zyskiwał zdolność mówienia i można było z nim rozmawiać. Ale Esdan nie rozmawiał z nim od dłuższego czasu i teraz zorientował się, że go zgubił. Zgubił go, gdzieś zostawił... Sądził, że może w podziemiach ambasady, ale kiedy próbował się do nich dostać, drzwi były zamknięte, a drugich nie mógł znaleźć.

Obudził się. Wczesny ranek. Nie musi jeszcze wstawać. Powinien myśleć o tym, co powiedzieć Rayaye, kiedy znów się z nim spotka. Ale nie potrafił. Nie mógł zapomnieć kamyka, który umiał mówić. Żałował, że nie usłyszał, co kamyk ma mu do powiedzenia. Myślał też o pueblu. Rodzina brata jego ojca mieszkała w pueblu Arkanan, w górach Dalekiego Południa. W dzieciństwie, w środku północnej zimy, Esi latał tam na czterdzieści dni lata, najpierw z rodzicami, potem sam. Wuj i ciotka dorastali w Darrandzie, nie byli dziećmi puebla, ale ich dzieci wychowały się w Arkanan. Najstarszy, Suhan, czternaście lat starszy od Esdana, urodził się z nieuleczalnymi uszkodzeniami

mózgu i układu nerwowego i właśnie dla niego rodzice przenieśli się do puebla. Dopiero tam znalazł swoje miejsce. Został pasterzem. Pasł w górach yamy, zwierzęta, które południowi Hainowie sprowadzili mniej więcej tysiąc lat temu. Do puebla wracał na zimę. Esi widywał go rzadko i to go cieszyło, bo Suhan wydawał mu się przerażający: wielki, zaniedbany, śmierzdzący, donośnym głosem wykrzykujący jakieś niezrozumiałe słowa. Nie potrafił pojąć, jak rodzice i siostry mogą go kochać. Myślał, że udają, bo nikt nie może go darzyć ciepłym uczuciem.

Dla dorastającego Esiego nadal stanowiło to problem. Jego kuzynka Noy, która została wodzem wody w Arkanan, wyjaśniła mu, że to nie problem, tylko tajemnica.

– Nie widzisz, że Suhan jest naszym przewodnikiem? – spytała. – Zastanów się. Przywiódł rodziców, by tu zamieszkali, dzięki temu i ja urodziłam się tutaj, i moje siostry. I dzięki temu ty do nas przyjeżdżasz. I nauczyłeś się mieszkać w pueblu. Nigdy już nie będziesz po prostu człowiekiem z miasta. Suhan cię tu przyprowadził. Prowadził nas wszystkich. Tu, w góry.

– Tak naprawdę on wcale nas nie prowadził – argumentował czternastolatek.

– Owszem, prowadził. Szliśmy za jego słabością. Jego niedoskonałością. Słabość otwiera przed nami wiele możliwości. Pomyśl o wodzie, Esi. Woda znajduje najsłabsze miejsce w skale, szczelinę, brak. Idąc za wodą, docieramy do miejsc naszego przeznaczenia.

Powiedziawszy to, odeszła rozstrzygnąć spór dotyczący prawa użycia systemu irygacyjnego za miastem. Wschodnie zbocza gór bowiem były suchą krainą, a ludzie z Arkanan, choć gościnni, nie unikali sporów i wódz wody nie narzekał na brak zajęcia.

Suhana nie dawało się wyleczyć, na chorobę nie mogły nawet pomóc cuda medycyny haińskiej, a to dziecko umierało, choć pomogłaby mu prosta seria zastrzyków. Akceptacja jego słabości, jego śmierci jest złem! Złem było skazanie go na śmierć, bo takie są okoliczności, bo pech, bo niesprawiedliwe społeczeństwo, bo fatalistyczna religia; religia, która stworzyła tę nieprawdopodobną pasywność niewolników i podtrzymywała ją, która kazała tym kobietom nie robić nic, niech dzieciak choruje, niech umrze.

Powinien zareagować, zrobić coś. Ale co?

„Jak długo żyje?”. „Tak długo, jak żyje”. Nie mogli nic zrobić. Nie mieli dokąd pójść. Nie mieli do kogo się zwrócić. Lekarstwo na *avo* istniało – gdzieś, dla niektórych dzieci. Nie tutaj, nie dla tego dziecka. Gniew i nadzieja niczemu nie służyły. Żal także. Zresztą nie przyszedł jeszcze czas na żal – Rekam wciąż z nimi był, mogły się nim cieszyć. Dopóki żyje, jest darem. „Trzymasz na rękach mą radość”.

Dziwne miejsce do nauki pojęcia radości. Woda jest moim przewodnikiem, pomyślał. W dłoniach nadal czuł, co to znaczy trzymać na rękach dziecko, leciuteńkie, odrobinę ciepła.

Następnego dnia późnym rankiem czekał na tarasie na Kamsę i jej dziecko. Zwykle pojawiali się o tej porze, ale tym razem przyszedł starszy veot i powiedział:

– Panie Dawna Muzyko, muszę prosić, by przez pewien czas pozostał pan w domu.

– Zadyo, przecież nie ucieknę. – Esdan wysunął przed siebie niekształtną obandażowaną stopę.

– Bardzo mi przykro, proszę pana.

Poszedł, kulejąc przesadnie, za veotem i dał się zamknąć na dole, w pozbawionym okien

pomieszczeniu za kuchnią. Miał do dyspozycji pryczę, stół, krzesło, nocnik i lampę na baterie na wypadek, gdyby zawiódł generator, któremu ostatnio zdarzało się to coraz częściej.

– A więc spodziewacie się ataku? – spytał, widząc, co tu przygotowano.

Veot nie odpowiedział. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Esdan usiadł na pryczy i rozpoczął medytację, której nauczył się w pueblu Arkanan. Oczyszczył umysł z poczucia zagrożenia i gniewu, powtarzając raz za razem: zdrowie i pomyślność, odwaga, cierpliwość, pokój, dla siebie, zdrowie i pomyślność, odwaga, cierpliwość, pokój, dla zadyo... dla Kamsy, dla małego Rekama, dla Rayaye, dla Heo, dla Taulenema, dla ogi, dla Nemeo, który wsadził go do klatki, dla Alatuala, który wsadził go do klatki, dla Gany, która opatrzyła mu stopę i błogosławiła go, dla ludzi, których znał w ambasadzie, w mieście, zdrowie i pomyślność, odwaga, cierpliwość, pokój... To jeszcze poszło dobrze, ale sama medytacja okazała się klęską. Nie potrafił przestać myśleć, więc myślał. O tym, co może zrobić. Nie mógł zrobić nic. Był słaby niczym woda. Był bezradny jak dziecko. Wyobraził sobie, jak wygłasza przez holonet przygotowane wcześniej przemówienie, jak mówi, że oto Ekumena z wahaniem, niechętnie, ale zaaprobowała ograniczone użycie broni biologicznej, aby zakończyć wojnę domową. Wyobrażał sobie, jak rzuca kartki na ziemię i mówi, że Ekumena nigdy nie zaaprobuje użycia broni biologicznej, z żadnego powodu. Oczywiście była to czysta fantazja. Pomysły Rayaye były czystą fantazją. Doszedłszy do wniosku, że zakładnik jest bezużyteczny, Rayaye zastrzelił go i tyle. Ile lat żyłem? Sześćdziesiąt dwa? A więc wylosowałem kartę szczęśliwszą niż mały Rekam.

Umysł przekroczył granicę myśli.

Zadyo otworzył drzwi i oznajmił Esdanowi, że może wyjść.

– Jak blisko znajduje się Armia Wyzwolenia, zadyo? – spytał, nie spodziewając się odpowiedzi.

Było późne popołudnie. Wyszedł na taras. Znalazł tam Kamsę trzymającą przy piersi dziecko. Wsunęła mu sutek do buzi, ale chyba nie ssało. Zakryła pierś. Spojrzał na jej twarz, smutną po raz pierwszy, od kiedy się spotkali.

– Czy on śpi? Mogę go potrzymać?

Podawała mu małego, nadal zasmucona. Esdan miał wrażenie, że dziecko oddycha ciężiej, z większym trudem. Nie, nie spało, spojrzało mu w twarz wielkimi oczami. Zrobił do niego minę, wydał wargi, zamrugał. W nagrodę otrzymał lekki, niemal niewidoczny uśmiech.

– W polu mówią, że nadchodzi armia – powiedziała Kamsa bardzo cicho.

– Wyzwolenia?

– *Enna*. Jakaś.

– Zza rzeki?

– Tak myślę.

– To majątki... wyzwoleni. Wasi ludzie. Nie skrzywdzą cię.

Może.

Bała się. Doskonale potrafiła ukryć strach, ale się bała. Widziała powstanie tu, na miejscu, i widziała, jak karano powstańców.

– Jeśli dojdzie do bombardowania lub walk, schowaj się. Pod ziemią. Musicie mieć tu jakieś kryjówki.

Myślała przez chwilę, a potem odparła po prostu:

– Tak.

W ogrodach Yaramery panował spokój. Wiatr poruszał liśćmi drzew i krzewów, gdzieś daleko szemrał generator. Nawet spalone ruiny domu sprawiały wrażenie niegroźnych. „Najgorsze już się nam zdarzyło” – mówiły. Racja, im już nic nie grozi, ale co będzie z Kamsą, Heo, Ganą i Esdanem? Ale w łagodnym powietrzu lata nie było śladu, nie było zapowiedzi gwałtu. Dziecko w jego ramionach znów uśmiechnęło się lekko. Pomyślał o kamyku, który zgubił we śnie.

Na noc znów zamknięto go w pomieszczeniu bez okien. Nie miał pojęcia, o której godzinie obudziły go – i natychmiast przywołały do rzeczywistości – serie strzałów i huk wybuchających granatów. Potem cisza i znów huk, tym razem słabszy, odleglejszy. Później znów cisza, długa, coraz dłuższa, nie do zniesienia. I nagle usłyszał latacz, który chyba krążył nad domem, a także krzyki, odgłos kroków biegnących ludzi. Zapalił lampę, wciągnął spodnie, nie bez problemów, gdyż przeszkadzała obandażowana stopa. Znów usłyszał latacz, kolejną eksplozję. W panice podskoczył do drzwi, nie wiedział nic, myślał tylko o tym, jak wyrwać się z pułapki. Zawsze bał się ognia, śmierci w ogniu. Drzwi były z grubego drewna, porządnie mocowane do solidnej ramy. Nie starczyłoby mu siły do ich wyłamania, zdał sobie z tego sprawę mimo paniki. Krzyknął raz: „Wypuście mnie!”, a potem opanował się jakoś, wrócił na pryczę, zastanowił się i usiadł na podłodze między pryczą a ścianą; jedynie takie schronienie mógł tu znaleźć. Próbował wyobrazić sobie, co się dzieje. Atak Armii Wyzwolenia, ludzie Rayaye bronią się, próbują zestrzelić latacz; tak to sobie wyobrażał.

Martwa cisza. Długa, bardzo długa martwa cisza.

Płomień lampy zadrżał. Esdan wstał i podszedł do drzwi.

– Wypuście mnie!

Cisza.

Pojedynczy strzał. Potem nagle głosy, tupot nóg, krzyki, nawoływania, ktoś zbliżał się korytarzem do jego celi. Ktoś powiedział: „Na razie trzymajcie ich z daleka”. Szorstki, rozkazujący głos. Zawahał się, zdobył na odwagę, krzyknął:

– Uwięzili mnie! Tutaj!

Cisza.

– Kim jesteś?

Tego głosu nie słyszał nigdy przedtem. Umiał zapamiętywać i kojarzyć głosy, twarze, imiona, intencje.

– Esdardon Aya z ambasady Ekumeny!

– Wielki Panie! – rzekł głos.

– Wypuście mnie.

Nie dostał odpowiedzi, tylko drzwi zadrżały słabo w masywnych zawiasach. Ktoś w nie kopnął, odezwały się jakieś nowe głosy i znów uderzenie.

– Siekiere – powiedział jakiś głos, inny niemal w tej samej chwili rozkazał:

– Znajdźcie klucze!

Cisza. Esdan czekał. Walczył z powtarzającymi się atakami śmiechu. Bał się hysterii, ale przecież to takie śmieszne, takie idiotyczne i śmieszne, te krzyki przez drzwi, szukanie siekiery i kluczy w czasie walki. Jakiej walki?

Wyobraził sobie jej przebieg. Żołnierze Armii Wyzwolenia wdarli się do domu i wybili ludzi Rayaye, większość z nich z zaskoczenia. Czekali na latacz ministra. Musieli mieć

kontakty z niewolnikami z pola, informatorów, przewodników. Zamknięty w ciemnym pomieszczeniu za kuchnią Esdan słyszał wyłącznie hałaśliwy koniec potyczki.

Kiedy go wreszcie wypuszczono, z domu uprzątao właśnie zabitych. Zobaczył straszliwie okaleczone ciało jednego z młodych mężczyzn, Alatuala albo Nemeo, które rozpadło się ciągnięte po podłodze. Nogi zostały na miejscu, wynoszący trupa żołnierz trzymał tułów, z którego wypływały zakrwawione wnętrzności. Nie spodobało mu się to, przystanął, zaklął. Esdan stał, oddychając ciężko, walcząc z kolejnym atakiem śmiechu i z mdłościami.

– Chodź ze mną – powiedział towarzyszący mu mężczyzna, a on nie mógł zrobić nic innego.

Przez wybite okna wpadało światło wczesnego poranka. Esdan rozglądał się dookoła, nie dostrzegł jednak żadnego z domowych niewolników. Zaprowadzono go do pokoju z łbem dzikiego psa wiszącym nad kominkiem. Przy stole zgromadziło się sześciu, może siedmiu mężczyzn. Nie mieli mundurów, niektórzy tylko zawiązali żółty węzeł na czapce lub wstążkę na ramieniu, znak Armii Wyzwolenia. Obdarci, zawzięci, twardzi żołnierze. Jedni skórę mieli ciemną, inni – jasnobrązową, szarą lub błękitną, a wszyscy sprawiali wrażenie zdenerwowanych i niebezpiecznych. Jeden z tych, którzy go przyprowadzili, chudy i wysoki, który przedtem powiedział szorstkim głosem: „Wielki Panie!”, oznajmił:

– To on.

– Jestem Esdardon Aya, Dawna Muzyka, z ambasady Ekumeny – powtórzył Esdan jak najspokojniej. – Byłem tu więziony. Dziękuję za uwolnienie.

Kilku mężczyzn patrzyło na niego tak, jak zawsze patrzyli na niego ludzie, którzy nigdy nie widzieli obcego: czerwonobrazowa skóra, głęboko osadzone oczy z widocznym białkiem, subtelne różnice w budowie czaszki i rysach. Spojrzenia kilku były agresywne, jakby nie dowierzali do końca jego słowom, jakby samym spojrzeniem dawali mu do zrozumienia: „Uwierzymy, że jesteś tym, kim twierdzisz, że jesteś, kiedy nam to udowodnisz”. Wysoki, szeroki w ramionach mężczyzna, białoskóry z kasztanowatymi włosami, prawdziwy białas, przedstawiciel starożytnej podbitej rasy czystej krwi, przyglądał się Esdanowi przez bardzo długą chwilę.

– Przyszliśmy, by tego dokonać – powiedział.

Mówił cichym, bezdźwięcznym głosem majątku. Dopiero w następnym pokoleniu, albo jeszcze później, ludzie ci nauczą się mówić swobodnie, głośno.

– Skąd wiedzieliście, że tu jestem? Od waszej siatki polowej?

Siatką polową nazywali tajny system przekazywania informacji z ust do ust, z pola do obozu, z obozu do miasta i z powrotem, stworzony na długo przed powstaniem holonetu. Bicz używał siatki polowej, była ona także głównym instrumentem powstania.

Niewysoki ciemny mężczyzna uśmiechnął się i skinął głową. Nagle zamarł. Uświadomił sobie, że inni siedzą nieruchomo, nie zdradzając żadnych informacji.

– A więc zdajecie sobie sprawę, kto mnie tu uwięził. Rayaye. Nie wiem, dla kogo działa. Cokolwiek wiem, powiem wam. – Ulga ogłupiła go, mówił za wiele, grał z nimi w „podajmy sobie dłonie”, podczas gdy oni odgrywali twardzieli. – Mam tu przyjaciół – mówił dalej spokojniej i głosem niewyrażającym niemal żadnych uczuć. Spojrzał im wprost w oczy, wszystkim, po kolei, bezpośrednio, lecz uprzejmie. – Poddaną, niewolników domowych. Mam nadzieję, że nic się im nie stało.

– To zależy – odrzekł siwowłosy drobny mężczyzna sprawiający wrażenie bardzo

zmęczonego.

– Kobieta z dzieckiem, Kamsa. Stara kobieta imieniem Gana.

Kilku z nich pokręciło głową. Nie wiedzieli nic lub nic ich to nie obchodziło. Większość po prostu nie zareagowała. Znow spoglądał każdemu z nich wprost w oczy, tłumiąc irytację i gniew. Zachowywali się tak uroczyście, z takim namaszczeniem celebrowali milczenie.

– Musimy wiedzieć, co pan tutaj robi – powiedział mężczyzna o kasztanowych włosach.

– Kontakt Armii Wyzwolenia w mieście zabrał mnie z ambasady do dowództwa Wyzwolenia mniej więcej piętnaście dni temu. Ludzie Rayaye przechwycili mnie na Przedzieleniu. Przywieźli tutaj. Jakiś czas spędziłem w klatce. – Głos Esdanowi nawet nie drgnął. – Doznałem rany stopy, chodzę z wielkim trudem. Dwukrotnie rozmawiałem z Rayaye. Chyba rozumiecie, panowie, że nim powiem coś więcej, muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Wysoki mężczyzna, który uwolnił go z celi, przeszedł na drugą stronę stołu. Rozmawiał przez chwilę z siwowłosym, brązowowłosy wysłuchał ich, zgodził się. Wysoki i szczupły przemówił do Esdana nietypowo szorstkim głosem bez wyrazu:

– Jesteśmy oddziałem do misji specjalnych szpicy Armii Wyzwolenia Światowego. Nazywam się Metoy, jestem marszałkiem.

Inni przedstawiali się po kolei. Potężnie zbudowany mężczyzna o kasztanowych włosach okazał się generałem Banarkamye, zmęczony, starszy – generałem Tueyo. Podawali nazwiska wraz z rangą, ale nie używali jej, rozmawiając między sobą, nie tytułowali go też „panie”. Przed wyzwoleniem wynajęci nie używali tytułów z wyjątkiem określeń rodowych: ojciec, siostra, ciotka. Tytuły przysługiwały właścicielom: lord, pan, szef. Wyzwolenie najwyraźniej postanowiło się bez nich obejść. Przyjemnie było spotkać wreszcie armię, której żołnierze nie strzelali obcasami i nie powtarzali raz za razem „tak jest!”. Tylko że Esdan w dalszym ciągu nie był pewny, na jaką armię trafił.

– Trzymali tam pana cały czas? – spytał Metoy.

Dziwny był z niego człowiek: zimny, surowy głos, zimna, blada twarz; w odróżnieniu od innych nie zdradzał zdenerwowania, wydawał się człowiekiem pewnym siebie, przyzwyczajonym do wydawania rozkazów.

– Zamknęli mnie tam zeszłej nocy. Zupełnie jakby ktoś ich ostrzegł, jakby spodziewali się kłopotów. Zwykle mieszkalem na piętrze.

– Może pan wrócić tam teraz. I proszę nie wychodzić z domu.

– Dobrze. Jeszcze raz dziękuję – rzekł Esdan, zwracając się do wszystkich. – Proszę, jeśli dowiedzie się czegoś o Kamsie i Ganie... – Nie czekał, aż go odprawią. Odwrócił się i wyszedł.

Towarzyszył mu jeden z młodszych mężczyzn, który przedstawił się jako zadyo Tema. Armia Wyzwolenia najwyraźniej używała szarż veotów. Esdan wiedział, że są wśród nich veoci, ale Tema z pewnością do nich nie należał – miał białą skórę i akcent białego z miasta, mówił cicho, sucho, urywanie. Był wyraźnie zdenerwowany, może walką w ciemności nocy, zabijaniem z bliskiej odległości, a może czymś jeszcze. Ramiona i dłonie drżały mu przez cały czas, na jego twarzy zastygł grymas bólu. Z pewnością nie miał ochoty na towarzyskie pogawędki ze starszym cywilnym więźniem, obcym. Esdan nie próbował więc nawiązać z nim rozmowy.

„W czasie wojny wszyscy są jeńcami” – napisał historyk Henennemores. Esdan podziękował swym nowym panom za wyzwolenie, ale wiedział, w jakiej jest w tej chwili

sytuacji. Pozostawał jeńcem w Yaramerze. Ulżyło mu jednak, gdy wrócił do swego pokoju. Usiadł w fotelu z jednym podłokietnikiem. Przez okno widział długie cienie rzucane przez wysokie drzewa na trawnik i tarasy.

Domowi niewolnicy nie pojawili się, by jak zwykle wykonywać przydzielone im prace lub szukać przed nimi uciezki. Nikt nie przyszedł do niego do pokoju. Południe zbliżało się powoli. Wykonał te ćwiczenia tanhai, które mógł wykonać ze zranioną stopą. Siedział, uważnie obserwując świat, drzemał, budził się, próbował uważnie obserwować świat, siedział niespokojny, zdenerwowany, zastanawiając się, co mogły oznaczać słowa: „Oddział do misji specjalnych szpicy Armii Wyzwolenia Światowego”.

Podczas wiadomości holonetu Rząd Legalny nazywał armię przeciwnika „siłami” lub „hordami” buntowników. Wobec siebie stosowali określenie „Armia Wyzwolenia”, nie wspominali o żadnym światowym wyzwoleniu, ale Esdan nie miał kontaktu z bojownikami o wolność od czasu wybuchu powstania, nie miał żadnych informacji od chwili, gdy ambasadę odcięto od świata. Och, oczywiście, otrzymywał je ze światów odległych o lata świetlne – tych było wręcz w nadmiarze, ansibl aż się od nich dławiał – ale o tym, co się dzieje dwie ulice dalej... nic, ani słowa. W ambasadzie był bezużytecznym ignorantem, człowiekiem bezradnym, niemającym nic do powiedzenia. Dokładnie tak jak tutaj. Od początku wojny był, jak to powiedział Henennemores, jeńcem. On i wszyscy mieszkańcy Werel. Więzień sprawy wyzwolenia.

Obawiał się, że zaakceptuje bezradność, że bezradność opanuje jego ducha. Musiał pamiętać, o co toczy się ta wojna. Tylko niech wyzwolenie przyjdzie szybko, pomyślał, i niech mnie wyzwoli.

Wczesnym popołudniem młody zadyo przyniósł mu talerz zimnego jedzenia, najwyraźniej resztki znalezione w kuchni, i butelkę piwa. Esdan zjadł, co mu dali, i wypił piwo z wdzięcznością. Nadal jednak było jasne, że nie zwolniono niewolników domowych. A może zginęli? Nie pozwolił sobie na rozważanie tej ewentualności.

Po zachodzie słońca wrócił zadyo i zaprowadził go do pokoju z głową dzikiego psa na ścianie. Generator nie działał. Oczywiście nikt nie potrafił go zreperować oprócz starego Saki, który majstrował przy nim dzień i noc. Żołnierze mieli latarki elektryczne, w pomieszczeniu paliły się na stole wielkie lampy naftowe, oświetlając twarze zgromadzonych romantycznym, złotym blaskiem, który rzucał głębokie cienie na ścianę.

– Proszę usiąść – powiedział brązowowłosy generał Banarkamye; jego imię można było przetłumaczyć na „Czytał Księgę”. – Pragniemy zadać panu kilka pytań.

Milczące, uprzejme oczekiwanie.

Pytali go, jak wydostał się z ambasady, z kim kontaktował się w ruchu Wyzwolenia, dokąd się udawał, dlaczego zrobił to, co zrobił, co stało się podczas porwania, kto go tu przywiózł, dlaczego był przesłuchiwany, czego od niego chciano. W ciągu dnia Esdan zdecydował, że najlepiej przysłuży mu się szczerłość, więc odpowiadał na wszystkie pytania bezpośrednio, krótko... aż do ostatniego.

– Osobiście jestem po waszej stronie – rzekł – ale Ekumena z konieczności pozostaje neutralna. Ponieważ w tej chwili jestem jedynym obcym na Werel dysponującym wolnością słowa, cokolwiek powiem, może być potraktowane, słusznie lub błędnie, jako opinia ambasady i stabilów. W tym Rayaye widział mą wartość. W tym, być może, widziecie mą wartość wy. Ale tu popełniacie błąd. Nie mogę mówić za Ekumenę. Nie mam do tego upoważnienia.

– Chcieli, żeby pan ogłosił, iż Ekumena wspiera czarnuchów... – powiedział ten zmęczony, Tueyo.

Esdan skinął głową.

– Czy rozmawiali z panem o użyciu jakiejś specjalnej taktyki lub broni? – spytał Banarkamye, próbując zadać to pytanie jak gdyby nigdy nic.

– Wolałbym odpowiedzieć na to pytanie, kiedy będę za waszymi liniami, generale, w rozmowie z tymi dowódcami Armii Wyzwolenia, których znam.

– Rozmawia pan z dowództwem Armii Wyzwolenia Światowego. Odmowa udzielenia odpowiedzi może być traktowana jako dowód współpracy z przeciwnikiem. – To był Metoy, zręczny, twardy, o szorstkim głosie.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie marszałku.

Wymienili spojrzenia. Mimo iż otwarcie mu się oparł, tylko Metoy wart był zaufania, twardy, niewzruszony. Inni sprawiali wrażenie nerwowych, niepewnych siebie. Bez najmniejszych wątpliwości miał do czynienia z jakąś frakcją. Jak wielką i do jakiego stopnia skłóconą z dowództwem Wyzwolenia, mógł dowiedzieć się wyłącznie dzięki ich niedyskrecji.

– Proszę posłuchać, panie Dawna Muzyko – powiedział Tueyo. Dawne nawyki pozostają na długo. – Wiemy, że pracował pan dla Bicza. Pomagał pan w wysyłce ludzi na Yeowe. Wówczas pan nas wspierał.

Esdan skinął głową.

– Teraz więc też musi pan nas wspomóc. Rozmawiamy z panem szczerze. Mamy informację, że czarni planują kontratak. Co to oznacza w naszej sytuacji? Ano tyle, że użyją bibo. Nic innego nie wchodzi w grę. Nie wolno do tego dopuścić. Nie wolno im na to pozwolić. Musimy ich powstrzymać.

– Mówi pan, że Ekumena zachowuje neutralność – dodał Banarkamye. – Przecież to kłamstwo. Przez sto lat Ekumena nie pozwalała na przyłączenie naszego świata, ponieważ mieliśmy bibo. Mieliśmy. Nie używaliśmy, lecz mieliśmy. To wystarczyło! A twierdzi, że jest neutralna, teraz, kiedy dzieje się najważniejsze. Teraz, kiedy ten świat jest jej częścią! Ekumena musi zacząć działać. Sprzeciwić się użyciu tej broni! Musi zapobiec jej użyciu przez czarnych!

– Jeśli Legalni rzeczywiście ją mają, jeśli rzeczywiście pragną jej użyć i jeśli rzeczywiście mógłbym skontaktować się z Ekumeną, co powinienem zrobić?

– Zabrać głos. Powiedzieć prezydentowi czarnych: „Ekumena mówi: »Nie przekraczajcie tej granicy«. Ekumena wyśle statki, wyśle żołnierzy”. Poprzec nas! Jeśli nie jest pan z nami, jest pan z nimi!

– Generale, najbliższy statek znajduje się lata świetlne stąd. Legalni o tym wiedzą.

– Ale może pan ich wezwać, ma pan nadajnik.

– Ansibl w ambasadzie?

– Czarni też mają jeden taki.

– Ansibl w Ministerstwie Spraw Zagranicznych został zniszczony w powstaniu. W czasie pierwszego ataku na budynki rządowe. Wyszadzono całą ulicę i kilka sąsiednich.

– Dlaczego mamy panu wierzyć?

– Zrobiły to przecież wasze oddziały. Generale, czy pan naprawdę sądzi, że Legalni mają połączenie ansiblem, którego wy nie macie? Nie mają. Mogli zająć siłą ambasadę i jej ansibl, ale gdyby to zrobili, straciliby nawet tę odrobinę zaufania, jaką Ekumena jeszcze

ich obdarza. I co niby mieliby na tym zyskać? Ekumena nie ma żołnierzy, których mogłaby wysłać – nagle zwątpił, czy Banarkamye zdaje sobie z tego sprawę, więc dodał: – ...o czym pan doskonale wie. A nawet gdyby miała żołnierzy, dotarcie do was zabrałoby im całe lata. Z tego między innymi powodu Ekumena nie ma armii i nie prowadzi wojen.

Głęboko niepokoiła go ich ignorancja, amatorszczyzna, obawa. Mówił bez niepokoju i cierpliwie, mówił spokojnie i patrzył na nich bez strachu, jakby spodziewał się zrozumienia i zgody. Sama manifestacja takiej pewności siebie wystarczyła czasami do osiągnięcia celu. Na nieszczęście, sądząc z wyrazu ich twarzy, właśnie tłumaczył dwóm generałom, że popełnili błąd, że to Metoy miał rację. Stał się stroną w sporze.

– Na tym na razie poprzestaniemy – powiedział Banarkamye i wrócił do wątków pierwszego przesłuchania, do zadanych wtedy pytań, do poruszonych wówczas szczegółów. Odpowiedzi słuchał, nie zdradzając żadnych emocji. Ratował twarz. Okazywał, że nie ufa zakładnikowi. Naciskał, każąc powtarzać sobie wszystko, co Rayaye mówił o możliwej inwazji i kontrataku z południa. Esdan powtarzał wielokrotnie, iż Rayaye twierdził, że prezydent Oyo spodziewa się inwazji Armii Wyzwolenia w tej prowincji, gdzieś w dole rzeki. Za każdym razem zastrzegał: „Nie mam pojęcia, czy to, co powiedział mi Rayaye, jest prawdą”. Za czwartym, może piątym razem dodał:

– Przepraszam, generale, ale muszę znów zapytać, co stało się z przebywającymi tu ludźmi...

– Czy znał pan tu kogoś, nim został pan uwięziony? – spytał nagle młodszy mężczyzna.
– Nie. Pytam o niewolników domowych. Byli dla mnie mili. Dziecko Kamsy jest chore, potrzebuje opieki. Chcę wiedzieć, czy ktoś się nimi opiekuje.

Generałowie rozmawiali z sobą, nie zwracając uwagi na jego słowa.

– Ktokolwiek został tutaj po powstaniu, jest kolaborantem – odezwał się zadyo Tema.
– A gdzie niby mieli podziać się ci ludzie? – Esdan usilnie próbował mówić spokojnie, bez nacisku. – Ten kraj nie został jeszcze wyzwolony. Nadzorowani niewolnicy nadal uprawiają tu pola. Nadal używa się tu... klatki. – Głos zadrżał mu przy ostatnim słowie; przeklął się za to w myśli.

Banarkamye i Tueyo rozmawiali z sobą, ignorując jego pytania. Metoy wstał.

– Dość na dziś – powiedział. – Pan pójdzie ze mną.

Esdan, utykając ciężko, poszedł za nim przez hol schodami w górę. Dołączył do nich młody zadyo, pospiesznie, najwyraźniej wysłał go Banarkamye. Nie zezwala się na prywatne rozmowy. Ale Metoy przystanął na progu pokoju Esdana i patrząc na niego z góry, rzekł:

– Ktoś zadba o domowych niewolników.

– Dziękuję – odparł Esdan ciepło i dodał: – Gana opatrywała mi ranę. Jest mi potrzebna. Jeśli chcieli mieć go żywego i w dobrym zdrowiu, posłużenie się raną mogło przynieść efekty. Jeśli nie, w niczym nie mogło zaszkodzić.

Spał krótko i źle. Istotą jego życia było działanie; bierność, ignorancja, kalectwo, zarówno fizyczne, jak i umysłowe, wyczerpywały go. No i był głodny. Wkrótce po wschodzie słońca spróbował otworzyć drzwi, ale okazały się zamknięte. Walił w nie i krzyczał przez jakiś czas, aż wreszcie pojawił się młody chłopak wyglądający na przerażonego, prawdopodobnie wartownik, a za nim Tema, zaspany i skrzywiony, z kluczem w dłoni.

– Chcę się zobaczyć z Ganą – powiedział Esdan bez wstępu. – Zajmuje się tym. –

Wskazał na zabandażowaną stopę.

Tema zatrzasnął drzwi, nie mówiąc ani słowa. Mniej więcej po godzinie w zamku znów obrócił się klucz i do środka weszła Gana, a za nią Metoy. A za Metoyem – Tema. Gana przyjęła przed Esdanem pozę poddania. Esdan podszedł do niej jak najszybciej, położył jej dłonie na ramionach, przytulił swój policzek do jej policzka.

– Dzięki Władcy Kamy, widzę cię w dobrym zdrowiu – wyrzekł słowa, które wielekroć słyszał od ludzi takich jak ona. – Kamsa, dziecko... Co z nimi?

Gana bała się, drżała, włosy miała rozczochrane, powieki czerwone, ale zdumiewająco dobrze przyjęła to niespodziewane braterskie powitanie.

– W tej chwili są w kuchni, panie. Żołnierze... żołnierze mówili, że stopa pana boli.

– Tak im powiedziałem. Możesz mi zmienić opatrunek?

Usiadł na łóżku. Kobieta rozplątywała bandaż.

– Co z innymi? Heo? Choyo?

Pokręciła głową, raz.

– Przykro mi – powiedział. Nie potrafił jej dalej wypytywać.

Stopę zabandażowała mu gorzej niż poprzednio. Brakowało jej siły, by mocno zacisnąć opatrunek, poza tym spieszyła się i denerwowała obecnością patrzących jej na ręce obcych ludzi.

– Mam nadzieję, że Choyo jest już w kuchni – powiedział Esdan na pół do niej, na pół do siebie. – Ktoś przecież musi gotować.

– Tak, panie – szepnęła kobieta.

„Tylko nie panie, tylko nie panie!” – pragnął ją ostrzec. Bał się o nią. Spojrzał na Metoya, chcąc się zorientować, co myśli, ale jego twarz pozostała nieruchoma.

Gana zakończyła bandażowanie. Metoy odesłał ją, a za nią zadyo. Kobieta odeszła z radością, Tema próbował się opierać.

– Generał Banarkamy... – zaczął, ale przerwał pod ciężarem spojrzenia Metoya, zawahał się, skrzywił i odszedł.

– Zaopiekuję się tymi ludźmi – powiedział Metoy. – Zawsze się nimi opiekowałem. Zarządzałem obozem. – Spojrzał na Esdana zimnymi czarnymi oczami. – Jestem obciążony. Niewielu zostało dziś takich jak ja.

Esdan wahał się przez chwilę.

– Dziękuję ci – rzekł w końcu. – Oni potrzebują pomocy. Nie rozumieją.

Metoy skinął głową.

– Ja też nie rozumiem – mówił dalej Esdan. – Czy Wyzwolenie zamierza dokonać inwazji? A może Rayaye wymyślił tę bajeczkę na usprawiedliwienie zastosowania bibo? Czy Oyo w nią wierzy? Czy wy wierzycie? Czy za rzeką znajduje się Armia Wyzwolenia? Czy jesteście jej żołnierzami? Kim jesteście? Nie spodziewam się odpowiedzi.

– Nie odpowiem – przytaknął eunuch.

Jeśli jest podwójnym agentem, pracuje dla dowództwa Wyzwolenia, pomyślał Esdan, kiedy został sam. Metoya warto było mieć po swojej stronie. „Tylko nie wiem, która strona jest moja”, doszedł do wniosku, siadając w fotelu i patrząc przez okno. Wyzwolenie, oczywiście, ale czym właściwie jest Wyzwolenie? Nie ideałem, wolnością dla zniewolonych; nie teraz, już nigdy nie. Od czasu powstania Wyzwolenie to armia, ciało polityczne wielu ludzi, przywódców, przyszłych przywódców. Ambicje i nieumiarkowane ambicje przytłaczają nadzieję i siłę. Niezręczny amatorski półrząd przeskakuje od gwałtów do

kompromisów i coraz bardziej skomplikowanych kompromisów. Na zawsze znikł gdzieś prosty ideał – czysta idea wolności. I tego chciałem, po to pracowałem przez wszystkie te lata. Zmieszać dobrą, prostą strukturę hierarchiczną kast, zarazić ją ideą sprawiedliwości, a potem dodatkowo skomplikować dobrą prostą strukturę wzajemnej równości poprzez próby zaszczepienia jej w rzeczywistości. Monolityczne kłamstwo rozkłada się na tysiąc niepasujących do siebie nawzajem prawd – i tego właśnie chciałem. Pochwyciły mnie szpony szaleństwa, głupoty, bezsensownego gwałtu, brutalności tego, co się dzieje.

Wszyscy chcą mnie wykorzystać, ale przestałem być użyteczny. Myśl ta przeszła go niczym promień oślepiającego światła. Do tej pory cały czas uważał, że jest w stanie coś zrobić. Ale nie mógł zrobić nic. Dawało mu to swego rodzaju wolność. Nic dziwnego, że z Metoyem porozumieili się od razu, bez słów.

Zadyo Tema przyszedł i sprowadził go na dół, z powrotem do sali z łbem dzikiego psa. Wszystkie typy przywódcze dobrze czuły się w tym pokoju, surowym i męskim. Tym razem spotkał się z piątką przywódców: Metoyem, dwoma generałami i dwoma mężczyznami używającymi rangi rega. Banarkamye dominował w tej grupie.

– Wyruszamy jutro – powiedział do Esdana – a pan z nami. Będzie pan naszym rzecznikiem. Oznajmi pan rządowi czarnych, że Ekumena wie, iż zamierzają użyć zakazanej broni, i ostrzega, że jeśli to zrobią, odwet będzie natychmiastowy i straszliwy.

Esdanowi kręciło się w głowie z głodu i niewyspania. Stał nieruchomo – nie poproszono go, by usiadł – ramiona zwisały mu wzdłuż boków. Opuścił głowę, wzrok wbił w podłogę.

– Tak, panie – szepnął zaledwie słyszalnie.

Banarkamye drgnął. Oczy mu rozbłysły.

– Co pan powiedział?

– *Enna.*

– Za kogo pan się uważa?!

– Za jeńca wojennego.

– Może pan odejść.

Esdan odszedł. Tema szedł za nim, ale ani go nie powstrzymywał, ani nie wydawał poleceń. Poszli wprost do kuchni, w której Esdan słyszał brzęk garnków.

– Choyo, daj mi coś do jedzenia – poprosił.

Stary, przerażony i drżący, bełkotał coś, przeproszał, próbował tłumaczyć, ale w końcu znalazł jakieś owoce i czerstwy chleb. Esdan usiadł przy kuchennym stole. Jadł łapczywie. Poczęstował Temę, który odmówił mu sztywno. Po prawdzie i dla jednego było za mało. Kiedy skończył, opuścił kuchnię bocznymi drzwiami i z korytarza wyszedł na wielki taras. Spodziewał się spotkać Kamse, ale nie dostrzegł nikogo spośród niewolników domowych. Usiadł na ławce przy balustradzie, zapatrzył się na długi, odbijający niebo staw. Tema stał obok niego na baczność.

– Powiedziałaś, że poddani w miejscach takich jak to, jeśli nie przyłączą się do powstania, są kolaborantami – odezwał się Esdan.

Tema nie poruszył się, ale słuchał. Uważnie.

– Nie pomyślałaś o tym, że oni po prostu mogli nie mieć pojęcia, co się dzieje? I że nadal nie mają? W tym miejscu króluje ciemnota, zadyo. Tu nie sposób nawet wyobrazić sobie wolności.

Chłopak nie odpowiadał przez dłuższy czas, ale Esdan nie przerywał, próbując nawiązać z nim kontakt, dotrzeć do niego. I wreszcie jakieś słowo przebiło barierę obojętności.

– Kobiety do użycia – powiedział Tema. – Pieprzone przez czarnych noc w noc. Są tylko do pieprzenia, kurwy czarnuchów. Rodzą czarne dzieciaki, „tak, panie”, „tak, panie”. Pan twierdzi, że nie wiedzą, co to wolność. Nigdy nie będą wiedziały. Nie da się wyzwolić baby, która pozwoliła, by pieprzył ją czarnuch. Są obrzydliwe. Brudne. Nie da się ich doczyścić. Całe w spermie czarnuchów, czarnej spermie! – Splunął na taras i otarł usta.

Esdan siedział bez ruchu, wpatrzony w nieruchomą wodę stawu, niższe tarasy, wielkie drzewo, zamgloną rzekę, jej dalszy zielony brzeg. Obym miał dobre zdrowie i pomyślność, obym miał cierpliwość, współczucie, pokój. Jaki był ze mnie kiedykolwiek pożytek? Wszystko, czego dokonałem... nigdy nie przyniosło nikomu żadnego pożytku. Cierpliwość, współczucie, pokój. „To wasi ludzie...”. Spojrzał na gęstą plwocinę na pożółkłym piaskowcu tarasu. Głupiec. Porzucił swój lud na całe życie, przybył na inny świat, dał się wplątać w jego sprawy. Głupiec. Myślał, że może obdarzyć kogoś wolnością. Po to istnieje śmierć – by wyzwolić nas z klatki.

Wstał i w milczeniu pokuśtykał do wielkiego domu. Młody zadyo poszedł za nim. Światła rozbłysły o zmroku. Musieli jednak dopuścić starego Sakę do generatora. Esdan, który wolał gasnące światło dnia, wyłączył lampę. Leżał na łóżku, kiedy rozległo się pukanie. Zjawiła się Kamsa z tacą.

– Kamsa!

Esdan wstał i niezręcznie zrobił krok w jej kierunku. Przytuliby ją chętnie, ale taca mu przeszkadzała.

– Rekam...?

– Jest z moją matką – szepnęła dziewczyna.

– Nic mu się nie stało?

I znów to specyficzne skinienie poprzez odrzucenie głowy do tyłu. Dziewczyna postawiła tacę na łóżku, w pokoju nie było stołu.

– Tobie też nic się nie stało? Uważaj, Kamsa. Szkoda, że... Jutro odchodzą, tak mi powiedzieli. Unikaj ich, jeśli tylko możesz.

– Zrobię tak. Będiesz bezpieczny, panie – powiedziała cicho.

Nie wiedział, czy to pytanie, czy życzenie. Uśmiechnął się, niepewnie machnął ręką. Kamsa odwróciła się do wyjścia.

– A Heo...?

– Była z jednym z nich. W łóżku.

Esdan milczał długą chwilę.

– Czy jest jakieś miejsce, w którym mogłabyś się ukryć?

Obawiał się, że ludzie Banarkamye zabiją na odchodnym niewolników jako kolaborantów lub po prostu po to, by nie zostawiać śladów.

– Mamy kryjówkę, pod ziemią, jak nam poradziłeś, panie.

– Doskonale. Skorzystaj z niej, jeśli tylko możesz. Zniknij. Niech cię nie widzą.

– Ukryję się, panie.

Zamykała za sobą drzwi, kiedy szyby zadrżały od brzęczenia silników zbliżających się lataczy. Zamarli oboje – ona na progu, on przy oknie. Usłyszeli krzyki, krzyki mężczyzn, tupot stóp. Maszyn było kilka, nadlatywały z południowego wschodu. Ktoś krzyknął:

– Zgaście światła!

Mężczyźni biegli do lataczy stojących na trawnikach i tarasach. Mrok rozdarło jaskrawe światło, rozległ się huk eksplozji.

– Za mną! – powiedziała Kamsa.

Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą korytarzem do drzwi dla służby, których do tej pory nawet nie zauważył. Kulejąc, podskakując na jednej nodze, jak najszybciej zszedł za nią po kamiennych stromych schodach i tylnym przejściem dotarł do labiryntu stajni. Gdy wychodzili na dwór, powietrzem wstrząsnęła ogłuszająca eksplozja. Biegli przez dziedziniec, oszołomieni hukiem, oślepieni blaskiem płomieni. Kamsa trzymała go za rękę, ciągnęła za sobą, nie mając najmniejszych wątpliwości, dokąd iść. Skryli się w jednym z magazynów przy końcu stajni. Była tam Gana i jeden stary poddany, właśnie otwierali klapę w podłodze. Zeszli na dół, dziewczyna zeskoczyła zręcznie, inni nie byli równie sprawni, ale najgorzej poszło Esdanowi, który wylądował na złamanej stopie. Stary niewolnik schronił się ostatni, zamykając za sobą klapę. Gana przyniosła lampę na baterie, włączyła ją i zaraz wyłączyła. W jej świetle zobaczyli wielką niską piwnicę z klepiskiem zamiast podłogi, sklepienie prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia, stos drewnianych skrzyń, pięć twarzy, w tym dziecka o szeroko otwartych oczach patrzących obojętnie na świat, cichego jak zwykle. Potem zapadła ciemność. I przez dłuższy czas ciemności towarzyszyła cisza. Wymacali skrzynie, rozstawili je, by mieć na czym usiąść.

I znów wybuchy, pozornie bardzo odległe, ale ziemia od nich zadrżała, a oni wraz z nią.

– O, Kamye! – szepnął ktoś.

Esdan siedział na skrzyni, czekając, aż ostry, nieznośny ból stopy przerodzi się w dokuczliwe, palące ćmienie.

Trzy wybuchy, przerwa, czwarty.

Ciemność może być czymś materialnym, jak gęsta woda.

– Kamsa – szepnął.

Mruknęła coś. Zorientował się, że siedzi blisko niego.

– Dziękuję – powiedział po prostu.

– Doradziłeś, żeby się ukryć, panie, więc rozmawialiśmy o tym miejscu.

Stary mężczyzna oddychał chrapliwie i często chrząkał. Słysząc było także oddech dziecka, szybki, urywany, prawie jak dyszenie.

– Daj mi go – odezwała się Gana.

W którymś momencie musiała przekazać dziecko matce.

– Nie teraz – szepnęła Kamsa.

Stary mężczyzna przemówił nagle, głośno, zaskakując wszystkich:

– Nie mamy wody!

Kamsa uciszyła go, a Gana syknęła:

– Milcz, stary głupcze!

– Jest głuchy – szepnęła Kamsa do Esdana. W jej głosie brzmiał śmiech.

A więc nie mieli wody. Zatem mogli ukrywać się tylko przez krótki czas, noc, kolejny dzień... nawet tyle trudno byłoby wytrzymać kobiecie karmiącej dziecko. Kamsa najwyraźniej pomyślała o tym samym.

– Skąd mamy wiedzieć, kiedy wyjść? – spytała.

– Zaryzykujemy, gdy okaże się to konieczne.

I znów cisza. Trudno było przyjąć i zrozumieć, że oczy nie przyzwyczajają się do ciemności, że niezależnie od tego, jak długo się czeka, nic się nie widzi. Było zimno niczym w jaskini. Esdan żałował, że jego koszula nie jest cieplejsza.

– Grzej go – powiedziała Gana.

– Grzeję – odparła Kamsa.

– Ci mężczyźni... to byli poddani? – Kamsa wyszeptała to pytanie do niego. Siedziała blisko, gdzieś po jego lewej ręce.

– Tak. Wyzwoleni poddani. Z północy.

Wówczas powiedziała:

– Mnóstwo różnych mężczyzn przychodzi tu od czasu, gdy dawni właściciele zginęli. Czasami nawet żołnierze, ale przedtem to nie byli poddani. Zastrzelili Heo i Veya. Chcieli zastrzelić starego Seneo. Nie umarł, ale go zranili.

– Ktoś z pola musiał ich prowadzić, pokazać, gdzie stoją wartownicy. Ale nie potrafili odróżnić poddanych od żołnierzy. Gdzie byłaś, kiedy nadeszli?

– Spałam w kuchni. Wszyscy z domu tam spali. Sześcioro. Ten mężczyzna stanął tam jak zmartwychwstały. Powiedział: „Nie wstawajcie. Nie kiwnijcie nawet palcem”. Więc się nie ruszaliśmy. Słyszeliśmy, jak krzyczeli po całym domu, jak strzelali. O, Wielki Panie! Tak bardzo się bałam! Potem przestali strzelać, ten mężczyzna wrócił, kazał nam iść do starego obozu domowych. Zamknęli bramę. Jak w dawnych czasach.

– Po co to zrobili, skoro sami są poddanymi? – dobiegł go z ciemności głos Gany.

– Chcą być wolni – odrzekł Esdan komunałem.

– Wolni? Dlatego strzelają i zabijają? Zabijają dziewczynę w łóżku?

– Oni wszyscy walczą ze wszystkimi, mamó – wyjaśniła Kamsa.

– Myślałam, że to już załatwili trzy lata temu – powiedziała stara kobieta. Jej głos brzmiał dziwnie. Płakała. – Myślałam wtedy, że to wolność.

– Zabili pana w łóżku! – krzyknął stary mężczyzna ile sił w płucach. Cienki, przeraźliwy wrzask. – Może wyjść z tego co dobrego?

W ciemności wszczęło się jakieś zamieszanie. Gana potrząsała starym, syczała, kazała mu się uciszyć. W końcu uspokoił się, tylko oddychał chrapliwie i coś do siebie bełkotał.

– Wielki Panie! – szepnęła Kamsa, wybuchając cichym, rozpaczliwym śmiechem.

Skrzynia robiła się coraz bardziej niewygodna. Esdan pragnął unieść bolącą stopę lub przynajmniej trzymać ją w poziomie. Osunął się na ziemię, zimną, ziarnistą, nieprzyjemną w dotyku. Nie miał o co oprzeć nogi.

– Zapal na chwilę lampę, Gana – powiedział. – Może znajdziemy jakieś worki, coś, na czym można by się położyć.

Świat piwnicy ujawnił się ich oczom zdumiewająco skomplikowany i precyzyjny. Nie znaleźli nic przydatnego oprócz kilku drewnianych półek. Umieścili je na ziemi, tworząc coś w rodzaju platformy, i ułożyli się na niej ciasno. Gana zgaszyła lampę, przywracając ich świat prostej, pozbawionej formy nocy. Było zimno. Przytulili się do siebie plecami, bokami. Po dłuższym czasie, godzinie, może więcej, kiedy panującej w piwnicy ciszy nie przerywał żaden dźwięk, zniecierpliwiona Gana powiedziała szeptem:

– Wszyscy na górze musieli zginąć.

– To by nam uprościło życie – szepnął Esdan.

– Ale to my zostaliśmy pogrzebani – zauważyła Kamsa.

Ich głosy obudziły dziecko. Jęknęło – pierwsza skarga od czasu, gdy Esdan je poznał, ciche, słabe chrząknięcie, może nawet krzyk, ale przecież nie płacz. Utrudniło mu to oddychanie, posapywało teraz wyraźnie między jękami.

– Maleńki, maleńki, cicho bądź, cicho – szepnęła jego matka i Esdan poczuł, jak kołysze

synka, jak przytula go, by nie zmarł. Niemal niesłyszalnie Kamsa zaśpiewała: – *Suna meya, suna na... Sura rena, sura na...* – Monotonne, powtarzane rytmicznie łagodne niczym pieszczota słowa pocieszały swym ciepłem.

Esdan zapadł w drzemkę. Uświadomił sobie nagle, że leży skulony na deskach. Nie miał pojęcia, jak długo siedzą zamknięci w piwnicy. „Żyłem tu czterdzieści lat, pożądam wolności – odezwał się głos w jego głowie. – Tęsknota za wolnością mnie tu przywiodła. Tęsknota za wolnością mnie stąd wyprowadzi. Wytrzymam”. Spytał szeptem, czy ktokolwiek słyszał coś od czasu bombardowania. Odpowiedzieli mu „nie”. Podrapał się po głowie.

– Co o tym sądzisz, Gana?

– Sądzę, że chłodne powietrze szkodzi dziecku – odparła niemal normalnym głosem, ale jak zawsze mówiła cicho.

– Rozmawiacie?! Co mówicie?! – krzyknął stary.

Siedząca obok Kamsa poklepała go po ramieniu i uspokoiła.

– Pójdę i sprawdzę – oznajmiła Gana.

– Nie, ja pójdę.

– Masz chorą stopę – rzekła z naganą stara kobieta. Burknęła coś jeszcze i wstając, mocno wsparła się na ramieniu Esdana. – Cicho bądźcie.

Nie włączyła lampy. Po omacku wspięła się po drabinie, dysząc ciężko na każdym szczeblu. Udało się jej uchylić klapę, ciemność piwnicy rozjaśnił cienki promień światła. Widzieli teraz zarysy wnętrza, postaci sąsiadów i czarny kształt głowy Gany. Stara kobieta stała nieruchomo przez bardzo długą chwilę, po czym opuściła klapę.

– Nic nie widziałam – szepnęła do nich z góry. – Nic nie słysząc. To chyba wczesny ranek.

– Zaczekajmy jeszcze – poradził Esdan.

Gana zeszła na dół i usiadła pomiędzy nimi w milczeniu. Po jakimś czasie powiedziała:

– Wychodzimy? A jeśli w domu są obcy, ci żołnierze, inni żołnierze? Dokąd mamy pójść?

– Dotrzecie do obozu robotników polowych? – spytał Esdan.

– To długa droga.

Milczenie.

– Nie dowiemy się, co zrobić, póki nie sprawdzimy, kto jest tam, na górze. W porządku. Pozwól mi wyjść, Gano.

– A dlaczego?

– Ponieważ ja łatwo się zorientuję, kim są.

– A oni łatwo zorientują się, kim ty jesteś. – Głos Kamsy brzmiał dziwnie. Czyżby się śmiała? – Przecież nie sposób cię z nikim pomylić, prawda?

– Chyba tak.

Esdan dźwignął się, dotarł do drabiny i zaczął się wspinać po niej z wysiłkiem. Jestem już na to za stary, pomyślał nie po raz pierwszy. Uchylił klapę. Wyrzwał. Nasłuchiwał przez długą chwilę.

– Wróć, gdy tylko zdołam – szepnęła do tych, którzy pozostali na dole.

Wypelzł na zewnątrz, wstał niezdarnie. Zachłysnął się powietrzem, w którym czuć było przede wszystkim spaleniznę. Światło było dziwne, stłumione. Poszedł wzdłuż ściany, wyrzwał przez drzwi magazynu.

To, co do niedawna przetrwało ze starego domu, podzieliło losy tego, co nie przetrwało.

Pozostały wyłącznie ruiny otoczone gęstym, śmierdzącym dymem. Brukowany dziedziniec pokryty był tłącymi się węgielkami i rozbitym szkłem. Nic się nie poruszało prócz dymu, żółtego dymu, szarego dymu, a ponad dymem widać było tylko czyste, błękitne niebo. Esdan obszedł wokoło taras, kulejąc i potykając się. Ból zranionej stopy promieniował na całą nogę. Przez balustradę dostrzegł spalone wraki dwóch lataczy. Połowy górnego tarasu nie było, w tym miejscu ział dymiący lej. Poniżej rozciągały się jak zawsze piękne ogrody Yaramery, opadające stopniowo w stronę wielkiego drzewa i zamglonej rzeki. Na schodach prowadzących na niższy taras leżał mężczyzna. Wyglądał, jakby odpoczywał. Gałązki krzaków o białych kwiatkach drżały w niemal niewyczuwalnych podmuchach wiatru.

Esdan nie mógł wręcz znieść wrażenia, że z tyłu, przez puste jamy okien ktoś go obserwuje.

– Jest tu kto?! – zawołał.

Cisza.

Krzyknął jeszcze raz, głośnie.

I usłyszał odpowiedź, daleką, słabą, dobiegającą zza domu, od strony frontu. Tak szybko, jak pozwałała mu na to kaleka noga, dostał się na ścieżkę i wyszedł nią na otwartą przestrzeń, nie kryjąc się, bo i po co miałby się kryć? Zza domu wyłonili się mężczyźni, dwaj, trzech... i jedna kobieta, niewolnicy w nędznych ubraniach, z pewnością robotnicy z pola, którzy opuścili swój obóz.

– Jest ze mną kilku domowych – powiedział im, zatrzymując się, gdy i oni się zatrzymali. Dzielili ich odległość mniej więcej dziesięciu metrów. – Ukryliśmy się w piwnicy. Znaleźliście kogoś?

– Kim jesteś? – spytał jeden z niewolników.

Podszedł bliżej, przyjrzał się Esdanowi dokładniej, zauważył inny kolor jego skóry i oczu.

– Powiem wam, kim jestem. Ale najpierw wy powiedzcie, czy możemy bezpiecznie wyjść z piwnicy. Są z nami starcy. I dziecko. Czy żołnierze odeszli?

– Żołnierze nie żyją – oznajmiła kobieta, wysoka, jasnoskóra, o kościstej twarzy.

– Znaleźliśmy ранego – dodał jeden z mężczyzn. – Wszyscy domowi są martwi. Kto rzucił te bomby? Jaka armia?

– Nie wiem, jaka armia. Proszę, powiedzcie moim ludziom, że mogą wyjść. Są tam, w stajniach. Zawołajcie ich. Powiedzcie im, kim jesteście. Nie mogę chodzić.

Bandaże na stopie rozluźniły się, połamane kości przesunęły, ból był tak straszny, że Esdan oddychał z największym trudem. Usiadł na ścieżce, dysząc ciężko. W głowie mu się kręciło, ogrody Yaramery wydały mu się nagle bardzo jaskrawe, bardzo małe, oddaliły się i znalazły się dalej niż dom.

Nie stracił przytomności, ale przez dłuższy czas nie do końca wiedział, co się dzieje. Było wokół niego mnóstwo ludzi, wszyscy przebywali gdzieś na zewnątrz, wszystko śmierdziało spalonym mięsem, czuł ten odór nawet w ustach, dławił się, krztusił, omal nie wymiotował. Była wśród nich Kamsa z dzieckiem na plecach; widział jego drobną, niebieskawą, spokojną we śnie twarzyczkę. Widział Ganę i słyszał, jak mówi głośno:

– Zdobył w nas przyjaciół.

Młody mężczyzna o wielkich dłoniach mówił coś do niego, opatrzył mu stopę, obandażował na nowo, mocniej, ból był straszny, ale potem przyszła ulga.

Leżał na wznak, na trawie. Obok niego ktoś jeszcze leżał na wznak. Był to Metoy,

eunuch. Włosy miał spalone aż do skóry, na głowie krew. Jego biała twarz była blada, niebieskawa jak u chorego dziecka. Od czasu do czasu mrugał.

Świeciło słońce. Słyszeli głosy ludzi, wielu ludzi, dobiegające gdzieś z niedaleka, ale oni leżeli w trawie i nikt ich nie niepokoił.

– Czy to były latacze z Bellen, Metoy? – spytał Esdan.

– Nadleciały ze wschodu – odparł Metoy szorstkim, lecz teraz słabym i ochrypłym głosem. – Chyba tak. – Umilkł na chwilę. – Chcą przekroczyć rzekę – dodał jeszcze.

Esdan musiał to sobie przemyśleć. Nadal nie potrafił się skupić.

– Kto?

– Ci ludzie. Robotnicy z pola. Majątek Yaramery. Chcą wyjść na spotkanie armii.

– Inwazja?

– Wyzwolenie.

Esdan oparł się na łokciu. Kiedy uniósł głowę, poczuł, jak mu się w niej przejaśnia, więc usiadł. Spojrzał na Metoya.

– Znajdą armię?

– Jeśli Pan tak zechce.

Metoy też próbował usiąść, ale nie zdołał.

– To przez ten wybuch – wyjaśnił, dysząc ciężko. – Dostałem czymś w głowę. Widzę podwójnie.

– Prawdopodobnie masz wstrząs mózgu. Leż nieruchomo. Nie wolno ci zasnąć. Byłeś z Banarkamy czy po prostu obserwowałeś, co się dzieje?

– Obaj robimy to samo.

Esdan przytaknął mu skinieniem, odrzucając głowę ostro do tyłu.

– Frakcje nas wykończą – powiedział słabym głosem eunuch.

Kamsa podeszła i przykucnęła przy Esdanie.

– Mówią, że musimy przejść przez rzekę – oznajmiła cicho. – Mówią, że ludzie z armii zadbają o nasze bezpieczeństwo. Ja nic nie wiem.

– Nikt nic nie wie, Kamsa.

– Nie mogę zabrać Rekama za rzekę – szepnęła dziewczyna. Jej twarz skrzywiła się, usta zwężyły, brwi opadły. Płakała w milczeniu, bez łez. – Woda jest taka zimna.

– Będą mieli łodzie, Kamsa. Zaopiekują się tobą i Rekamem. Nie obawiaj się, wszystko będzie dobrze. – Ale wiedział, że jego słowa nie mają żadnego znaczenia.

– Nie mogę odejść.

– Więc zostań tutaj – wtrącił Metoy.

– Powiedzieli, że może tu przyjść ta druga armia.

– Może. Ale zapewne przyjdzie nasza.

Dziewczyna spojrzała na Metoya.

– Jesteś obcięty. Jesteś z nimi. – Obróciła wzrok na Esdana. – Choyo zginął. Zburzyli kuchnię, nadal płonie. – Ukryła twarz w dłoniach.

Esdan pogładził ją po ramieniu, dotknął kruchej główki dziecka, cienkich, suchych włosów. Gana podeszła i zatrzymała się obok nich.

– Ci z pola chcą przejść rzekę – oznajmiła. – Chcą być bezpieczni.

– Tu będziecie bezpieczniejsi. Macie żywność i schronienie. – Metoy nie otwierał oczu, mówił krótko, urywanie. – Lepiej tu zostać, niż iść naprzeciw armii.

– Nie mogę go zabrać, mamu – szepnęła Kamsa. – Musi mieć ciepło. Nie mogę, nie mogę

go stąd zabrać.

Gana pochyliła się, spojrzała w buzię dziecka, dotknęła bardzo delikatnie jednym palcem. Wyprostowała się, ale nie dumnie jak przedtem. Pozostała przygarbiona. Jej pomarszczona twarz zacisnęła się jak pięść.

– Dobrze – powiedziała. – Zostajemy.

Usiadła na trawie przy Kamsie. Wszędzie dookoła szli ludzie. Kobieta, którą Esdan widział na tarasie, zatrzymała się przy Ganie.

– Chodź, babciu – powiedziała. – Czas na nas. Łodzie czekają.

– Zostaję – odparła Gana.

– Dlaczego? Nie potrafisz zostawić tego starego domu, w którym pracowałaś? – zakpiła z Gany, jednocześnie próbując ją uspokoić. – On spłonął, babciu! Chodź z nami. Zabierz z sobą dziewczynę i jej dziecko. – Spojrzała na Metoya i Esdana, krótko, obojętnie, ci dwaj jej nie obchodzili. – Chodź – powtórzyła. – Chodź z nami.

– Zostaję.

– Wy szaleni domowi! – Kobieta odwróciła się, obejrzała przez ramię, zrezygnowała i poszła swoją drogą.

Zatrzymało się przy nich jeszcze kilka osób, ale tylko po to, by zadać pytanie, na chwilę, na jedną chwileczkę. Widział ich, spływających strumieniem z tarasów, na oświetlonych blaskiem słońca ścieżkach, zmierzających w cień wielkiego drzewa, do hangarów na łodzie. W którymś jednak momencie ten strumień wysechł.

Słońce świeciło jasno, było upalnie. Zapewne zbliżało się południe. Metoy był bielszy niż kiedykolwiek, ale usiadł o własnych siłach i oznajmił, że już nie widzi podwójnie, no, może czasami.

– Powinniśmy zejść ze słońca, Gano – powiedział Esdan. – Metoy, możesz wstać?

Metoy zataczał się, powłóczył nogami, ale szedł samodzielnie. Dotarli w cień tarasu. Gana poszła poszukać wody. Kamsa niosła Rekama przy piersi, tuliła go, osłaniała przed słońcem. Od dawna nie powiedziała słowa. Kiedy usiedli, rozejrzała się dookoła nieprzytomnie.

– Jesteśmy sami?

– Na pewno zostali inni, w obozach – odparł Metoy. – Wkrótce się nam pokażą.

Gana wróciła. Nie miała w czym przynieść wody, ale zmoczyła chustę i obwiązała nią głowę Metoya, który zadrżał pod jej dotknięciem.

– Kiedy zaczniesz lepiej chodzić, obcięty – powiedziała – pójdziemy do obozu dla domowych. Tam można żyć.

– Dorastałem w obozie dla domowych, babciu – rzekł eunuch.

Wkrótce poruszał się sprawniej, więc powoli, zataczając się, kulejąc i wlokąc noga za nogą, ruszyli drogą, którą Esdan pamiętał jak we śnie, drogą do klatki. Wydawała mu się bardzo długa. Znaleźli się wreszcie pod wysokim murem przed szeroko otwartą bramą. Esdan obrócił się i przez chwilę przyglądał ruinie wielkiego domu. Gana przystanąła obok niego.

– Rekam nie żyje – powiedziała bardzo cicho.

Esdanowi zapało dech w piersi.

– Kiedy umarł?

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Ona chce utulić syna. Potem go odda. – Spojrzała przez otwarte wrota na

pojedyncze rzędy chat i wspólnych domów, wyschnięte ogródki, suchą ziemię. – Mnóstwo tu małych dzieci. W ziemi. Dwoje moich. Jej siostry.

Wyszła za bramę za Kamsą. Esdan wahał się krótką chwilę, ale poszedł za nią. Musiał to zrobić, musiał wykopać grób dla dziecka, a potem z innymi czekać na wyzwolenie.

Przełożył Krzysztof Sokołowski

Urodziny świata

Tazu awanturował się, bo jeszcze miał trzy lata. Jutro, po urodzinach świata, będzie już miał cztery i skończy z dąsami. Przestał wrzeszczeć i kopać i wstrzymał oddech. Jego twarz posiniała. Leżał na ziemi sztywny jak trup, ale kiedy Haghag przeszła nad nim, jakby go tam nie było, spróbował ugryźć ją w stopę.

– To zwierzę albo dziecko – powiedziała Haghag. – Nie człowiek.

Zerknęła na mnie z pytaniem: „Czy mogę do ciebie przemówić?”, a ja odpowiedziałam wzrokiem: „Tak”.

– Jak sądzi córka Boga? To zwierzę czy dziecko?

– Zwierzę. Dziecko ssie, zwierzę gryzie – odparłam.

Słudzy Boga zaśmiali się i zachichotali, wszyscy oprócz nowej barbarzynki Ruaway, która nigdy się nawet nie uśmiechała.

– Córka Boga ma rację – oznajmiła Haghag. – Może ktoś powinien wyprowadzić to zwierzę. Zwierzak nie powinien przebywać w świętym domu.

– Nie jestem zwierzęciem! – wrzasnął Tazu, zrywając się z ziemi. Oczy miał czerwone jak rubiny, zacisnął pięści. – Jestem synem Boga!

– Może. – Hag zmierzyła go uważnym spojrzeniem. – Teraz nie przypomina zwierzęcia. Myślicie, że to może być syn Boga? – spytała świętych kobiet i mężczyzn i wszyscy przytaknęli ciałami oprócz dzikiej kobiety, która patrzyła bez słowa.

– Tak, jestem synem Boga! – krzyczał Tazu. – Nie dzieckiem! Arzi jest dzieckiem!

Nagle wybuchnął płaczem i podbiegł do mnie, a ja przytuliłam go i także zapłakałam. Płakaliśmy oboje, póki Haghag nie posadziła nas sobie na kolanach i nie powiedziała, że już czas przestać, bo wkrótce miała zjawić się Bóg. Toteż ucichliśmy. Służący otarli nam twarze z łez i śliny i przyczesali włosy. Pani Chmur przyniosła złote czapki, a my włożyliśmy je na głowę, by spotkać się z Bogiem.

Bóg zjawiła się ze swą matką, która kiedyś, dawno temu, także była Bogiem, i z najmłodszym dzieckiem, Arzim, niesionym przez idiotę na wielkiej poduszce. Idiota także był synem Boga. Było nas siedmioro: Omimo, który miał czternaście lat i odszedł, by żyć wśród żołnierzy, potem idiota, dwunastolatek o wielkiej okrągłej głowie i małych oczkach, który lubił bawić się z Tazu i z dzieckiem. Następnie Godź i jeszcze jeden Godź. Zwano ich tak, bo umarli i przebywali w domu popielnym, gdzie jedli duchową strawę. Potem ja i Tazu – kiedyś pobierzemy się i zostaniemy Bogiem. I wreszcie Babam Arzi, Pan Siódmy. Byłam ważna, bo Bóg miała tylko jedną córkę. Gdyby Tazu umarł, mogłabym poślubić Arziego, lecz gdybym ja umarła, wszystko ułożyłoby się źle; tak przynajmniej mówiła Haghag. Wówczas musieliby uznać, że córka Pani Chmur, Pani Słodycz, jest córką Boga, i

wydać ją za Tazu. Lecz świat poznałby różnicę. Toteż matka powitała mnie pierwszą, a Tazu drugiego. Uklękliśmy i spleliśmy dłonie. Dotknęliśmy czołami kciuków, potem wstaliśmy, a Bóg spytała, czego nauczyłam się tego dnia. Powiedziałam, jakich słów nauczyłam się czytać i pisać.

– Doskonale – oznajmiła Bóg. – O co chcesz mnie zapytać, córko?

– Nie mam pytań. Dziękuję, pani matko – rzekłam.

Nagle przypomniałam sobie, że mam jedno pytanie, lecz było już za późno.

– A ty, Tazu? Czego nauczyłeś się dzisiaj?

– Próbowałem ugryźć Haghag.

– Przekonałeś się, że to coś dobrego czy złego?

– Złego – odparł Tazu, lecz się uśmiechnął.

Podobnie uczyniła Bóg, a Haghag wybuchnęła śmiechem.

– O co chcesz mnie zapytać, synu?

– Czy mógłbym mieć nową kąpielową? Kig za mocno myje mi głowę.

– Gdybyś dostał nową kąpielową, co stałoby się z Kig?

– Odeszłaby.

– To jej dom. A gdybyś poprosił Kig, by delikatniej myła ci głowę?

Tazu nie wyglądał na uszczęśliwionego, lecz Bóg nakazała:

– Poproś ją, synu.

Tazu wymamrotał coś do Kig, która padła na kolana i dotknęła kciukami czoła. Cały czas jednak uśmiechała się szeroko. Jej odwaga sprawiła, że poczułam zazdrość. Szepnęłam do Haghag:

– Jeśli zapomniałam zadać pytanie, czy wolno mi zadać je teraz?

– Może – odparła Haghag i dotknęła kciukami czoła przed Bogiem, prosząc o pozwolenie na to, by przemówiła.

Gdy Bóg skinęła głową, Haghag rzekła:

– Córka Boga pyta, czy mogłaby zadać pytanie.

– Lepiej jest robić rzeczy w przeznaczonym dla nich czasie – odparła Bóg. – Możesz jednak spytać, córko.

Pospieszyłam z pytaniem, zapominając jej podziękować.

– Chcę wiedzieć, czemu nie mogę poślubić jednocześnie Tazu i Omimo. Obaj są przecież moimi braćmi.

Wszyscy spojrzeli na Boga i dostrzegając jej lekki uśmiech, wybuchnęli śmiechem, niektórzy bardzo głośnym. Piekły mnie uszy. Serce waliło mocno.

– Czy chcesz poślubić wszystkich swoich braci, dziecko?

– Nie. Tylko Tazu i Omimo.

– Tazu ci nie wystarczy?

I znów roześmiali się, zwłaszcza mężczyźni. Dostrzegłam Ruaway, przyglądającą się nam, jakbyśmy wszyscy poszaleli.

– Tak, pani matko, ale Omimo jest starszy i większy.

Teraz śmiechy zabrzmiały jeszcze głośniej. Ja jednak przestałam się przejmować, bo Bóg nie wyglądała na niezadowoloną. Spojrzała na mnie z namysłem.

– Zrozum, córko ma. Nasz najstarszy syn będzie żołnierzem. To jego droga. Będzie służył Bogu, walcząc z barbarzyńcami buntownikami. W dniu, gdy się urodził, wielka fala zniszczyła miasta na najdalszym brzegu, toteż jego imię brzmi Babam Omimo, Pan

Powódź. Katastrofa służy Bogu, lecz nie jest Bogiem.

Wiedziałam, że to koniec odpowiedzi, i dotknęłam kciukiem czoła. Nawet kiedy Bóg odeszła, wciąż nad tym myślałam. To wiele wyjaśniało. Mimo wszystko, choć urodził się pod złym znakiem, Omimo był przystojny i prawie stał się mężczyzną, podczas gdy Tazu wciąż jeszcze był dzieckiem i się awanturował. Cieszyłam się, że minie wiele czasu, nim zostaniemy małżeństwem.

Pamiętam te urodziny z powodu pytania, które wówczas zadałam. Pamiętam też inne urodziny ze względu na Ruaway. Musiał minąć rok czy dwa. Wbiegłam do pokoju wodnego, by się wysikać, i ujrzałam ją przycupniętą obok zbiornika z wodą, ukrytą w cieniu.

– Co tu robisz? – spytałam głośno i surowo, bo jej widok mnie zaskoczył.

Ruaway skuliła się i nie odpowiedziała. Dostrzegłam, że jej ubranie jest podarte. We włosach miała zaschniętą krew.

– Podarłaś ubranie – rzekłam.

Gdy znów nie odpowiedziała, straciłam cierpliwość.

– Odpowiedz! – krzyknęłam. – Czemu nic nie mówisz?

– Zlituj się – szepnęła Ruaway tak cicho, że musiałam się domyślać, co powiedziała.

– Kiedy już się odezwiesz, mówisz nie tak, jak trzeba. Co się z tobą dzieje? Czy tam, skąd pochodzisz, żyją ludzie, czy zwierzęta? Mówisz jak zwierzę, brr-grr, grr-gra! Jesteś idiotką?

Gdy Ruaway nie odpowiedziała, popchnęłam ją stopą. Wówczas uniosła głowę i dostrzegłam w jej oczach nie strach, lecz śmierć. To sprawiło, że bardziej ją polubiłam. Nienawidziłam ludzi, którzy się mnie bali.

– Mów! – rzuciłam. – Nikt nie może cię skrzywdzić. Bóg Ojciec włożył w ciebie penis, gdy podbijał twój kraj. Jesteś więc świętą kobietą. Tak mówi Pani Chmur. Czemu zatem się chowasz?

Ruaway pokazała zęby i powiedziała:

– Mogą mnie skrzywdzić.

Pokazała mi miejsce na głowie pokryte świeżą krwią i strupami. Ramiona miała ciemne od siniaków.

– Kto cię skrzywdził?

– Święte kobiety – prychnęła.

– Kig? Omery? Pani Słodycz?

Po każdym imieniu potakiwała ciałem.

– To śmieci – rzekłam. – Powiem Bogu.

– Nie mówi – szepnęła Ruaway. – Trucizna.

Zastanowiłam się chwilę i zrozumiałam. Dziewczęta skrzywdziły ją, bo była obca, bezsilna. Gdyby jednak wpadły przez nią w kłopoty, okaleczyłyby ją bądź zabiły. Większość barbarzyńskich świętych kobiet w naszym domu była kulawa, ślepa albo zjadła w pożywieniu korzenną truciznę i ich skórę pokrywały fioletowe wrzody.

– Czemu nie mówisz, jak należy, Ruaway?

Milczała.

– Ciągłe nie umiesz mówić?

Spojrzała na mnie i nagle wygłosiła długą mowę, której nie zrozumiałam.

– Tak mówi – rzekła na końcu, wciąż spoglądając mi prosto w oczy.

To było miłe. Spodobało mi się. Zazwyczaj widywałam jedynie powieki ludzi. Oczy Ruaway były czyste i piękne, choć twarz miała brudną i umazaną krwią.

– Przecież to nic nie znaczy – rzekłam.

– Nie tutaj.

– Gdzie to coś znaczy?

Ruaway powiedziała coś jak gra-gra i dodała:

– Mój lud.

– Twój lud to Teghowie. Walczą z Bogiem i przegrywają.

– Może – odparła Ruaway, zupełnie jak Haghag.

Jej oczy spojrzały w głąb moich. Nie dostrzegłam już w nich śmierci, ale nie wyrażały też strachu. Nikt nigdy na mnie nie patrzył, oprócz Haghag, Tazu i oczywiście Boga. Wszyscy inni przyciskali czoła do kciuków i nie mogłam stwierdzić, co myślą. Chciałam zatrzymać przy sobie Ruaway, ale gdybym okazała jej względy, Kig i inne by się nad nią znęcały. Wtedy przypomniałam sobie, że kiedy Pan Święto zaczął sypiać z Panią Szpilką, ludzie obrażający wcześniej Panią Szpilkę stali się natychmiast słodcy i przymilni, a służące przestały kraść jej kolczyki.

– Śpij ze mną dzisiaj – powiedziałam do Ruaway.

Spojrzała na mnie tępo.

– Ale najpierw się umyj – dodałam.

Wciąż patrzyła tępo.

– Nie mam penisa – rzuciłam niecierpliwie. – Jeśli będziemy spać razem, Kig nie ośmieli się ciebie tknąć.

Po chwili Ruaway sięgnęła ku mnie, ujęła mą dłoń i przycisnęła ją do swojego czoła. Przypominało to dotykanie czołem kciuków, tyle że uczestniczyły w tym dwie osoby. Spodobało mi się. Ręka Ruaway była ciepła. Na skórze czułam muśnięcie rzes.

– Dziś wieczorem – oznajmiłam. – Zrozumiałas?

Wiedziałam, że Ruaway nie zawsze rozumie. Ona jednak przytaknęła ciałem i odbiegła.

Zdawałam sobie sprawę, że nikt nie może mi niczego zabronić – byłam jedyną córką Boga; ale też wolno mi było robić tylko to, co powinnam, bo wszyscy w domu Boga znali każdy mój krok. Gdyby spanie z Ruaway było czymś, czego nie powinnam robić, nie mogłabym tego uczynić. Haghag by mi powiedziała.

Poszłam do niej i spytałam. Skrzywiła się.

– Czemu chcesz mieć tę kobietę w swoim łóżku? To brudna barbarzynka. Ma wszy. Nawet nie umie mówić.

Haghag mówiła „tak”. Była zazdrosna. Pogładziłam jej dłoń.

– Kiedy zostanę Bogiem, dam ci pokój pełen złota, klejnotów i herbów smoka.

– Ty jesteś moim złotem i klejnotami, święta córeczko – odparła Haghag.

Haghag była tylko zwykłą kobietą, lecz wszyscy święci mężczyźni i kobiety w domu Boga, krewni Boga bądź ludzie dotknięci przez Boga musieli robić, co im kazała. Piastunka dzieci Boga zawsze była zwykłą kobietą, wybraną przez samą Boga. Haghag została piastunką Omimo, gdy jej dzieci dorosły, toteż pamiętam ją już jako starą kobietę. Zawsze była taka sama: silne dłonie i cichy głos mówiący „może”. Lubiła śmiać się i jeść. Byliśmy w jej sercu, a ona w moim. Sądziłam, że jestem jej ulubienicą. Kiedy jednak spytałam, odpowiedziała: „Po Didim”. Didi – takie imię nadał sobie idiota. Spytałam, czemu to jego chowa najgłębiej w sercu. „Bo jest niemądry. A ciebie, bo jesteś mądra” –

dodała, śmiejąc się ze mnie, gdyż okazałam się zazdrosna o Pana Idiotę.

– Wypełniasz moje serce – powiedziałam teraz, a ona, wiedząc, że to prawda, tylko coś mruknęła.

Chyba miałam wtedy osiem lat. Ruaway miała trzynaście, gdy Bóg Ojciec, po tym jak zabił jej matkę i ojca w wojnie z jej ludem, włożył w nią penis. To uczyniło ją świętą. Przybyła więc, by zamieszkać w domu Boga. Gdyby poczęła, kapłani udusiliby ją po porodzie, a dziecko po dwóch latach spędzonych u zwykłej piastunki wróciłoby do domu Boga i zostało jedną ze świętych kobiet, służebnic Boga. Większość najbliższej służby w naszym domu była bękartami Boga. Tacy ludzie pozostawali święci, ale nie mieli tytułów. Panowie i panie byli krewnymi Boga, potomkami przodków Boga. Dzieci Boga także zwano panami i paniami, oprócz dwójki zaręczonych. Nas, póki nie zostaliśmy Bogiem, nazywano po prostu: Tazu i Ze. Moje imię to imię boskiej matki, nazwa świętej rośliny, którą żywi się lud Boga. „Tazu” oznacza wielki korzeń, bo gdy się urodził, nasz ojciec, pijąc dym w obrzędach narodzin, ujrzał wyrwane przez wichurę wielkie drzewo, którego korzenie dzierżyły w palcach tysiące klejnotów.

Gdy Bóg ujrzał coś w świątyni bądź we śnie oczami z tyłu głowy, opowiadali o tym kapłanom snów. Kapłani rozważali znaczenie owych wizji i mówili, czy przepowiednia zapowiedziała coś, co się stanie, czy też doradzała, co należy zrobić. Nigdy jednak nie oglądali tych samych rzeczy, co Bóg, wraz z Bogiem, póki nie nadeszły urodziny świata, gdy ja miałam skończyć trzynaście lat, a Tazu dziesięć.

W dzisiejszych czasach, kiedy słońce zatrzymuje się nad szczytem Kanaghadwy, ludzie wciąż nazywają ten dzień urodzinami świata i stają się o rok starsi. Nie znają już jednak rytuałów i uroczystości, tańców, pieśni i błogosławieństw. Nie urządzą uczt na ulicach.

Całym moim życiem rządziły rytuały, uroczystości, tańce, pieśni, błogosławieństwa, lekcje, uczyty i reguły. Wiedziałam i wiem do dziś, którego dnia roku Boga anioł z pradawnych pól Wadany, gdzie Bóg po raz pierwszy zasadził ziarno ze, ma przynieść pierwszy doskonały kłos. Wiedziałam i wiem, czyja ręka ma go wymłócić, czyja dłoń zemleć ziarno i czyje usta skosztować posiłku; o której godzinie, w którym pokoju domu Boga, w obecności których kapłanów. Istniały tysiące reguł, lecz wydają się one skomplikowane dopiero teraz, gdy je zapisuję. Wszyscy znaliśmy je i postępowaliśmy zgodnie z nimi. Myśleliśmy o nich tylko wtedy, gdy je poznawaliśmy lub gdy zostały złamane.

Wiele lat spałam z Ruaway w moim łóżku. Była ciepła i miła. Gdy zaczęła ze mną sypiać, przestałam mieć nocne wizje, które wcześniej mnie dręczyły: olbrzymie białe chmury wirujące w mroku, zębate paszcze zwierząt i dziwaczne twarze, które pojawiały się i zmieniały. Kiedy Kig i inni złośliwi święci ludzie ujrzeni, że Ruaway spędza każdą noc w mojej sypialni, nie śmieli już tknąć jej palcem ani nawet odetchnąć w pobliżu. Nikomu nie wolno było mnie dotykać poza moją rodziną, Haghag i najbliższą służbą, chyba że pozwoliłam. Gdy ukończyłam dziesięć lat, karą za dotknięcie mojej osoby stała się śmierć. Reguły na coś się przydawały.

Uczta po urodzinach świata trwała cztery dni i noce. Wszystkie składy były otwarte. Ludzie mogli brać, czego potrzebowali. Słudzy Boga serwowali na ulicach i placach miasta Boga i we wszystkich miastach i wioskach kraju Boga jedzenie i picie. Zwykli ludzie i święci jedli razem. Panowie, panie i synowie Boga bawili się na ulicach, ucztowali. Jedynie Bóg i ja zostawaliśmy w domu. Bóg wychodzili na balkon, wysłuchując opowieści i

oglądając tańce. Ja stałam u ich boku. Tańczący i śpiewający kapłani zabawiali wszystkich na placu Migotań, a wraz z nimi kapłani bębnów, kapłani opowieści i kapłani historii. Kapłani byli zwykłymi ludźmi, lecz dzięki swym czynkom stawali się święci.

Nim nadeszła pora uczty, trzeba było odbyć wiele rytuałów, a samego dnia urodzin, gdy słońce wznosiło się nad prawym zboczem Kanaghadwy, Bóg On wykonywał taniec, który zawraca, by rok mógł się zacząć od nowa. Miał na sobie złoty pas i złotą maskę słońca. Tańczył przed naszym domem na placu Migotań, wyłożonym kamieniami pełnymi miki, która w słońcu rozbłyskuje złotymi iskrami. My, dzieci, staliśmy na długim południowym balkonie i oglądaliśmy tańczącego Boga.

Gdy taniec zbliżał się ku końcowi, samotna chmura przesłaniała słońce stojące bez ruchu nad prawym zboczem góry. Jedna jedyna chmura na czystym letnim niebie. Kiedy światło przygasało, wszyscy unosili wzrok. Migoczące kamienie ciemniały. Wszyscy ludzie w mieście wstrzymywali oddech. Bóg On nie unosił głowy, lecz chwiał się lekko. Wykonywał ostatnie ruchy tańca i udawał się do domu popielnego, kryjącego w swych murach wszystkich Godz, przed którymi stoją pełne popiołu miski, gdzie pali się ich jedzenie. Czekają tam na niego kapłani snów, a Bóg podpala zioła, z których powstaje dym do picia. Wyrocznia urodzin była najważniejsza w całym roku. Wszyscy na placach, ulicach i balkonach wyczekiwali chwili, gdy kapłani wyjdą i oznajmią, co Bóg ujrzał ponad swym ramieniem, i wytłumaczą to, wskazując nam drogę na nowy rok. Potem zaczynała się uczta.

Zazwyczaj trzeba było czekać do wieczora, a nawet do nocy, by dym zesłał wizję, Bóg przekazał ją kapłanom, a ci wytłumaczyli ją i powtórzyli. Ludzie zaczęli skrywać się w domach bądź w cieniu, bo kiedy chmura odpływała, robiło się bardzo gorąco. Teraz stałam z Tazu, Arzim i idiotą na długim balkonie. Towarzyszyła nam Haghag i grupka panów i pań oraz Omimo, który wrócił z wojska na dzień urodzin.

Był już dorosłym mężczyzną, wysokim i silnym. Po urodzinach miał wrócić na wschód, by dowodzić armią toczącą wojnę z ludami Tegh i Chasi. Utwardził skórę na swym ciele – tak czynią żołnierze, pocierając ją kamieniami i ziołami, póki nie stanie się gruba i mocna jak łuska lądowego smoka, i niemal czarna, lekko połyskująca. Był przystojny, ale teraz cieszyłam się, że mam wyjść za Tazu, nie za niego. Z jego oczu wyglądał niedobry człowiek.

Zmusił nas, byśmy patrzyli, jak nacina ramię nożem, demonstrując, jak głęboko może przeciąć skórę, by wciąż nie krwawiła. Powtarzał, że rozetnie Tazu ramię i pokaże, jak szybko zacznie krwawić. Pysnił się tym, że dowodzi armią i morduje barbarzyńców. Mówił: „Przejdę przez rzeki po ich trupach, zagnam ich do dżungli i podpale”. Powtarzał, że Teghowie są tak głupi, iż nazywają Bogiem latającą jaszczurkę i pozwalają swym kobietom walczyć w wojnach, a to coś bardzo złego i gdy on pochwyti takie kobiety, rozetnie im brzuchy i zdepcze macice. Milczałam. Wiedziałam, że matka Ruaway została zabita, walcząc u boku jej ojca. Razem przewodzili armii, którą Bóg z łatwością pokonał. Bóg toczył wojnę z barbarzyńcami nie po to, by ich zabić, lecz by uczynić z nich lud Boga, służący i dzielący się wszystkim jak inni ludzie w kraju Boga. Nie znałam innych dobrych powodów do walki. Z pewnością powody Omimo nie były dobre.

Odkąd Ruaway zaczęła ze mną sypiać, nauczyła się dobrze mówić, a ja poznałam pewne słowa z jej mowy. Jedno z nich brzmiało *techeg*. Miało różne znaczenia: „towarzysz”, „walczy obok mnie”, „rodak” bądź „rodaczka”, „upragniony”, „kochanek”, „znany długo”.

Ze wszystkich znaczeń najbliższe słowu *techeg* jest „w moim sercu”. Ich nazwa, Tegh, jest tym samym słowem; oznacza, że są w swych sercach. Ruaway i ja byliśmy w swoich sercach. Byliśmy *techeg*.

Milczałyśmy z Ruaway, gdy Omimo rzekł:

– Teghowie to paskudne robactwo. Rozdepczę ich.

– Ogga, ogga, ogga! – zawołał idiota, naśladując pełen pychy głos Omimo.

Wybuchnęłam śmiechem. Gdy śmiałam się z mojego brata, drzwi domu popielnego otwarły się gwałtownie i wszyscy kapłani wypadli na dwór; nie w procesji z muzyką, lecz tłumnie, przepychając się nawzajem i krzycząc:

– Dom płonie i upada!

– Świat umiera!

– Bóg jest ślepy!

W mieście nastąpiła chwila straszliwej ciszy, a potem ludzie zaczęli płakać i głośno zawodzić na ulicach i z balkonów.

Bóg wyszli z domu popielnego. Najpierw Ona, prowadząca Jego, który chwiał się niczym pijany i oszołomiony słońcem, tak jak ludzie opici dymem. Bóg weszła pomiędzy kołyszących się krzyczących kapłanów i uciszyła ich. Potem rzekła:

– Ludu mój, wysłuchaj, co ujrzeliśmy ponad naszym ramieniem.

W ciszy Bóg przemówił słabym głosem. Nie słyszeliśmy wszystkich jego słów. Ona jednak powtarzała je głośno i wyraźnie:

– Dom Boga runął na ziemię, płonąc, lecz nie został pochłonięty przez ogień. Stoi nad rzeką. Bóg jest biały jak śnieg. W twarzy Boga, pośrodku, jest tylko jedno oko. Wielkie kamienne drogi są zniszczone. Wojna na wschodzie i północy. Głód na zachodzie i południu. Świat umiera.

On ukrył twarz w dłoniach i zapłakał głośno, Ona zaś rzekła do kapłanów:

– Powiedzcie, co ujrzał Bóg.

Powtórzyli słowa Boga.

– Idźcie – poleciła – przekażcie je do innych dzielnic miasta i powtórzcie aniołom Boga. Niechaj aniołowie rozbiegną się po całym kraju, mówiąc ludziom, co ujrzał Bóg.

Kapłani przycisnęli czoła do kciuków i posłuchali. Gdy Pan Idiota ujrzał płaczącego Boga, aż się zmoczył z przerażenia, zostawiając kałużę na balkonie. Wstrząśnięta Haghag upomniała go i uderzyła w twarz, on zaś wybuchnął płaczem. Omimo krzyknął, że nieczysta kobieta, która podniosła rękę na syna Boga, powinna zginąć. Haghag padła na twarz wprost w kałużę moczu Pana Idioty, aby błagać o litość. Wybaczyłam jej i kazałam wstać.

– Jestem córką Boga i wybaczam ci – powiedziałam i spojrzałam na Omimo wzrokiem, który zabraniał mu przemówić.

Nie odezwał się. Gdy myślę o tamtym dniu, dniu, w którym zaczął umierać świat, przed oczami staje mi drżąca stara kobieta umazana moczem. Ludzie na placu patrzyli na nas bez słowa.

Pani Chmur nakazała, by Haghag wykąpała Pana Idiotę. Kilku panów odprowadziło na bok Tazu i Arziego, aby rozpocząć ucztę na ulicach miasta. Arzi płakał, Tazu z trudem wstrzymywał łzy. Omimo i ja zostaliśmy pośród świętych ludzi na balkonie, obserwując, co się dzieje na placu Migotań. Bóg powrócili do domu popielnego, a aniołowie zgromadzili się, by chórem powtórzyć wiadomość, którą przekażą słowo w słowo wszystkim miastom,

wioskom i gospodarstwom kraju Boga, biegnąc dzień i noc po wielkich kamiennych drogach.

Wszystko działo się tak, jak trzeba. Tylko wiadomość, którą nieśli aniołowie, nie była taka, jak trzeba.

Czasami, gdy dym jest gęsty i mocny, kapłani, tak jak Bóg, również widzą ponad swym ramieniem. Są to pomniejsze wyrocznie. Lecz nigdy wcześniej nie ujrzeli tego samego co Bóg. Nie przemówili tymi samymi słowami. Nie zinterpretowali też ich ani nie wyjaśnili. Słowa nie niosły wskazówek. Nie było w nich zrozumienia, tylko strach. Lecz Omimo wyraźnie się ucieszył.

– Wojna na wschodzie i północy – rzekł. – Moja wojna! – Spojrzał na mnie nie ze złością czy wzgardą, lecz naprawdę na mnie spojrzał, wprost w oczy, tak jak Ruaway. Uśmiechnął się. – Może idioci i maminsynki umrą – rzekł. – Może ty i ja zostaniemy Bogiem. – Stał blisko mnie i mówił tak cicho, by nikt inny go nie usłyszał.

Serce ścisnęło mi się nagle. Nie odpowiedziałam.

Wkrótce po urodzinach Omimo powrócił na wschodnią granicę, by stanąć na czele armii. Cały rok ludzie czekali, by w nasz dom, dom Boga pośrodku miasta, uderzył piorun i go nie zniszczył. Tak bowiem kapłani wytłumaczyli słowa wyroczni, gdy zdążyli je już przemyśleć i przedyskutować. Kiedy czas mijał, a nas nie tknął żaden piorun ani pożar, oznajmili, że wyrocznia mówiła o słońcu, że to słońce odbijające się w złotych i miedzianych rynnach jest owym ogniem, który nie pochłania, i jeśli dojdzie do trzęsienia ziemi, dom wytrzyma. Słowa o tym, że Bóg jest biały i ma tylko jedno oko, wytłumaczyli następująco: Bóg jest Bogiem i należy oddawać mu cześć jako wszechwiedzącemu dawcy światła i życia. Tak było zawsze.

Na wschodzie rzeczywiście toczyła się wojna. Na wschodzie wojna toczyła się zawsze. Tam bowiem dzicy ludzie próbowali kraść nasze ziarno, a my podbijaliśmy ich i uczyliśmy, jak uprawiać zboże. Generał Pan Powódź wysyłał aniołów z wieściami o swych podbojach aż po Piątą Rzekę.

Na zachodzie nie było głodu. W kraju Boga nigdy nie panował głód. Dzieci Boga zajmowały się siewem, uprawą, zbiorami i podziałem plonów. Jeśli w zachodnich krainach brakło ze, przewoźnicy z krain środkowych ciągnęli przez góry po wielkich kamiennych drogach wyładowane ziarnem dwukołowe wozy. Gdy nieurodzaj dotknął północy, wozy wędrowały tam z krainy Czterech Rzek. Z zachodu na wschód wozy wiozły wędzone ryby, z Półwyspu Zachodzącego Słońca na zachód – owoce i wodorosty. Spichlerze i składy Boga były zawsze pełne i otwarte dla ludzi w potrzebie. Wystarczyło jedynie poprosić zarządców, a dostawało się wszystko, czego trzeba. Nikt nie głodował. Głód to słowo, które przynieśli z sobą przybysze, ludy takie jak Teghowie, Chasi, mieszkańcy Północnych Wzgórz. Nazywaliśmy ich głodnymi ludźmi.

Znów nadeszły urodziny świata i przypomniano sobie najstraszniejsze słowa wyroczni: świat umiera. Przed ludem kapłani radowali się i pocieszali zwykłych ludzi, twierdząc, że łaska Boga ocaliła świat. W naszym domu niewiele było radości. Wszyscy wiedzieliśmy, że Bóg jest chory. W ciągu ostatniego roku coraz częściej ukrywał się przed nami i wiele uroczystości odbywało się bez boskiej obecności bądź w obecności tylko Boga Niej. Bóg

wydawała się zawsze spokojna i beztraska. Teraz z nią odbywałam większość lekcji i przy niej czułam się zawsze, jakby nic się nie zmieniło, nie mogło się zmienić, jakby wszystko było dobrze.

Gdy słońce zatrzymało się nad zboczem świętej góry, Bóg wykonał taniec, który zawraca. Tańczył powoli, myląc kroki. Potem zniknął w domu popielnym. Czekaliśmy, wszyscy czekali; w całym mieście, w całym kraju. Słońce zaszło za Kanaghadwą. Ośnieżone szczyty gór, od północy na południe: Kayewa, ognisty Korosi, Aghet, Enni, Aziza, Kanaghadwa zapłonęły kolejno złotem, jaskrawą czerwienią, w końcu fioletem. Spowijające je światło przygasło, białe góry przybrały barwę popiołu. Nad nimi rozbłysły gwiazdy. I wreszcie odezwały się bębny. Na placu Migotań zabrzmiała muzyka. Bruk rozbłysł, roziskrzył się w płomieniach pochodni. Kapłani wynurzyli się z wąskich drzwi domu popielnego. Szli rzędami w procesji. Zatrzymali się. W ciszy najstarsza kapłanka snów powiedziała wysokim, czystym głosem:

– Ponad ramieniem Boga nie zobaczono niczego.

Wokół rozległo się brzęczenie i szepty ludzkich głosów, niczym szelest czyniony przez owady biegające po piasku. Po chwili wszystko ucichło. Kapłani zawrócili i kolejno w milczeniu znikali w domu popielnym. Szeregi aniołów czekających, by zanieść słowa wyroczni całemu krajowi, trwały bez ruchu. Ich kapitanowie naradzali się cicho. A potem aniołowie odeszli grupami po pięciu, ulicami biorącymi swój początek na placu Migotań i prowadzącymi ku pięciu kamiennym drogom wiodącym z miasta przez cały kraj. Jak zawsze, gdy tylko aniołowie wkroczyli na ulicę, zaczęli biec, by jak najszybciej zanieść ludowi słowo Boga. Tym razem jednak nie mieli mu niczego do przekazania.

Tazu podszedł i stanął obok mnie na balkonie. Tego dnia miał dwanaście lat, ja – piętnaście.

– Mogę cię dotknąć, Ze? – spytał.

Spojrzałam twierdząco i ujął moją dłoń. Miłe uczucie. Tazu był poważny, milczący. Łatwo się męczył, głowa i oczy często bolały go tak bardzo, że ledwo widział, lecz pilnie uczestniczył we wszystkich ceremoniach i uświęconych aktach i pobierał lekcje u nauczycieli historii, geografii, łucznictwa, tańca i pisania. Z naszą matką zgłębiał świętą wiedzę, ucząc się, jak być Bogiem. Część lekcji odbywaliśmy razem, pomagając sobie nawzajem. Był miłym bratem i zamieszkaliśmy w swoich sercach.

– Ze, myślę, że wkrótce się pobierzemy – rzekł, trzymając mą dłoń.

Wiedziałam, o czym mówił. Bóg, nasz ojciec, wiele razy zmylił krok w tańcu, który obraca świat. Patrząc ponad swym ramieniem w to, co ma nadejść, nie zobaczył niczego. Ja jednak w owej chwili pomyślałam: „Dziwne, iż w jednym roku dokładnie w tym samym miejscu Omimo powiedział, iż powinniśmy się pobrać, a w następnym uczynił to Tazu”.

– Może – odparłam.

Mocno trzymałam jego dłoń, wiedząc, że przeraża go wizja zostania Bogiem. Ja czułam to samo. Ale strach nie miał sensu. Gdy nadejdzie czas, zostaniemy Nim.

Jeśli nadejdzie czas. Może słońce nie zatrzymało się i nie zawróciło nad szczytem Kanaghadwy. Może Bóg nie zawrócił roku. Może nie będzie już więcej czasu – czasu zbliżającego się za naszymi plecami. Pozostanie tylko to, co leży przed nami. Tylko to, co widzimy oczami śmiertelnych. Tylko nasze życie. Nic ponadto.

Ta myśl była tak straszna, że wstrzymałam oddech i zamknęłam oczy, z całych sił ściskając szczupłą dłoń Tazu i szukając w nim oparcia. W końcu uspokoiliłam umysł,

powtarzając, że nie ma sensu się bać.

Zeszłego roku Panu Idiocie dojrzały jądra i chciał gwałcić kobiety. Po tym, jak zranił młodą świętą dziewczynę i zaatakował inne, Bóg kazał go wykastrować. Od tego czasu Pan Idiota znów stał się cichy i spokojny, choć często sprawiał wrażenie smutnego, samotnego. Widząc, jak trzymamy się z Tazu za rękę, pochwycił dłoń Arziego i stanął obok niego, tak jak ja obok Tazu.

– Bóg, Bóg! – rzekł, uśmiechając się z dumą.

Lecz Arzi, który miał wówczas dziewięć lat, zabrał swą rękę i powiedział:

– Nigdy nie zostaniesz Bogiem. Nie możesz, jesteś idiotą, nic nie wiesz!

Stara Haghag ze znużeniem i goryczą upomniała Arziego. Arzi się nie rozplakał. Zrobił to jednak Pan Idiota, a i Haghag miała łzy w oczach.

Słońce powędrowało na północ jak co roku, zupełnie jakby Bóg właściwie odprawił ceremonię tańca, a ciemnego dnia jak zawsze zawróciło na północ za szczytem wielkiego Enni. Tego dnia Bóg umierał. Zaprowadzono mnie i Tazu do Niego, by mógł nas pobłogosławić. Bóg wychudł jak szkielet. Wokół unosiła się woń zgnilizny i słodkich palonych ziół. Moja matka Bóg uniosła Jego dłoń i położyła na mej głowie, potem na głowie Tazu, a my klęczeliśmy u stóp wielkiego łoża ze skóry i brązu, przyciskając kciuki do czół. Wymówiła słowa błogosławieństwa. Bóg, mój ojciec, milczał. Wreszcie szepnął:

– Ze, Ze!

Nie mnie wołał. Bóg Ona zawsze ma na imię Ze. Umierając, wzywał swą siostrę i żonę.

Dwie noce później ocknęłam się w ciemności. W całym domu dudniły wielkie bębny. Usłyszałam inne bębny, odzywające się w świątyniach i na placach w mieście, a potem kolejne, jeszcze dalej. Mieszkańcy kraju pod gwiazdami usłyszą owe bębny i zaczną uderzać we własne na wzgórzach, w górach, na przełęczach, aż po zachodnie morze, przez pola na wschodzie, cztery wielkie rzeki, od miasta do miasta, do granicy. Pomyślałam, że tej samej nocy mój brat Omimo w swym obozie u stóp Północnych Wzgórz usłyszy bębny zwiastujące śmierć Boga.

Syn i córka Boga w małżeństwie stają się Bogiem. Do ślubu nie może dojść przed śmiercią Boga, ale zawsze odbywał się on najpóźniej po kilku godzinach, tak by świat nie trwał długo w żałobie. Wiedziałam to ze wszystkich pobieranych nauk. Nieszczęście chciało, że matka opóźniła mój ślub z Tazu. Gdybyśmy natychmiast się pobrali, wszelkie próby Omimo spełzyłyby na niczym. Nawet jego żołnierze nie ośmieliliby się go wesprzeć. Matka jednak w rozpacz straciła głowę. Nie знаła zresztą ani nie potrafiła sobie wyobrazić rozmiarów ambicji Omimo, popychającej go do przemocy i świętokradztwa.

Zawiadomiony przez aniołów o chorobie ojca, od wielu dni maszerował szybko na zachód z małym oddziałem wiernych żołnierzy. Gdy rozległy się bębny, usłyszał je nie na odległych Północnych Wzgórzach, lecz na wzgórzu Ghari, wznoszącym się po północnej stronie doliny, skąd widać miasto i dom Boga.

Przygotowania do spalenia ciała mężczyzny, który był Bogiem, trwały. Zajmowali się nimi kapłani popielni. Jednocześnie powinny rozpocząć się przygotowania do naszego ślubu, lecz matka, która miała ich dopilnować, nie wychodziła z pokoju. Jej siostra, Pani Chmur, inni panowie i panie rozmawiali o weselnych czapkach i girlandach, o kapłanach

muzyki, którzy powinni zagrać na ceremonii, o uroczystościach organizowanych w mieście i wioskach. Kapłan ślubów się niepokoił. Nie śmiał jednak nic zrobić i inni także, póki matka nie pozwoli im działać. Pani Chmur pukała do jej drzwi, ona jednak nie odpowiadała. Wszyscy, czekając na nią cały długi dzień, byli tak niespokojni, iż miałam wrażenie, że jeśli zostanę z nimi dłużej, oszaleję. Poszłam więc na spacer do ogrodu.

Nigdy nie wychodziłam poza nasz dom dalej niż na balkon. Nigdy moja noga nie stanęła na placu Migotań ani na ulicach miasta. Nigdy nie widziałam pola ani rzeki. Nigdy nie stąpałam po gołej ziemi. Synów Boga w lektykach wynoszono do świątyń na uroczystości. A latem po urodzinach świata zawsze zabierano ich w góry do Chimlu, gdzie począł się świat, nad źródła Rzeki Początku. Co roku po powrocie Tazu opowiadał mi o Chimlu, o tym starożytnym domu pośród gór zamieszkanym przez dzikie smoki. Tam synowie Boga polowali na smoki i spali pod gwiazdami, lecz córka Boga musiała zostać w domu.

Dziedziniec ogrodowy był w moim sercu. Tylko tam mogłam spacerować pod gołym niebem. Tryskało tam pięć cichych fontann. Wokół w wielkich donicach stały kwitnące drzewa. Krzaki świętego ze rosły przy nasłonecznionym murze w pojemnikach z miedzi i srebra. Całe życie, gdy tylko miałam chwilę wolną od lekcji i uroczystości, chodziłam właśnie tam. Kiedy byłam mała, udawałam, że owady to smoki, i polowałam na nie. Później grałam w kości z Ruaway albo po prostu siadywałam i patrzyłam, jak woda w fontannach wznosi się i opada, wznosi i opada, póki na niebie nad murami nie rozblęły gwiazdy.

Tego dnia Ruaway jak zawsze poszła ze mną. Ponieważ nie wolno mi było nigdzie chodzić samej, poprosiłam Boga Ją, by uczyniła Ruaway moją pierwszą towarzyszką. Usiadłam przy środkowej fontannie. Ruaway wiedziała, że pragnę ciszy, toteż ukryła się w kącie pod drzewami owocowymi. Potrafiła zasnąć wszędzie o dowolnej porze. Siedziałam i myślałam, jak dziwnie będzie mieć zawsze za towarzysza Tazu, przebywać z nim jak teraz z Ruaway dniami i nocami. Nie potrafiłam jednak sobie tego wyobrazić.

Dziedziniec ogrodowy miał drzwi wiodące na ulicę. Czasami, gdy ogrodnicy wchodzili lub wychodzili, wyglądałam na zewnątrz, by obejrzeć świat poza naszym domem. Drzwi były zawsze zaryglowane po obu stronach, więc otwierać je musiały dwie osoby. Gdy siedziałam przy fontannie, ujrzałam, jak człowiek, którego wzięłam za ogrodnika, przechodzi przez dziedziniec i odsuwa rygiel. Do środka weszło kilku mężczyzn. Jednym z nich był mój brat Omimo.

Myślę, że drzwi miały mu zapewnić tajemnicę podczas wejścia do domu. Sądzę, iż zamierzał zabić Tazu i Arziego, bym musiała go poślubić. Wtedy jednak zobaczył mnie w ogrodzie, jakbym na niego czekała. Była to szansa jego życia, zesłana przez trzymający nas w rękach los.

– Ze! – zawołał, podchodząc do fontanny, przy której siedziałam. Jego głos przypominał głos mego ojca przyzywającego matkę.

– Pan Powódź! – wykrzyknęłam, wstając. Byłam tak oszołomiona, że dodałam: – Nie ma cię tutaj!

Dostrzegłam, że został ranny. Jego prawe zamknięte oko przecinała blizna.

Stał bez ruchu, przyglądając mi się drugim okiem. Nic nie mówił, zmagając się z własnym zdumieniem. Po chwili się roześmiał.

– Jestem, siostró – powiedział i wydał rozkazy swym ludziom.

Było ich chyba pięciu, żołnierzy z utwardzoną skórą. Na nogach mieli buty aniołów,

wokół talii – pasy, z których wisały pochwy ukrywające penisy i miecze, na szyjach – rzemienie z zawieszonymi sztyletami. Omimo wyglądał tak jak oni, tyle że jego pochwy były złote, a na głowie miał srebrną czapkę generała. Nie zrozumiałam, co do nich powiedział. Zbliżyli się, Omimo także, więc ostrzegłam:

– Nie dotykajcie mnie!

Zwykły człowiek, który mnie dotknął, karany był przez kapłanów prawa śmiercią w płomieniach. Nawet Omimo, gdyby uczynił to bez mojej zgody, musiałby przez rok czynić pokutę i pościć. On jednak znów się zaśmiał, a kiedy się cofnęłam, nagle chwycił mnie za rękę i zakrył mi dłonią usta. Ugryzłam go z całych sił. Omimo cofnął dłoń i uderzył mnie tak mocno w twarz, że głowa poleciała mi do tyłu. Nie mogłam oddychać. Walczyłam, ale przed oczami wciąż wirowały mi rozbłyśki pośród czerni. Poczułam twarde ręce, które przytrzymały mnie, wykręcały mi ramiona, unosiły w powietrze i trzymały. Dłoń zakrywająca moje usta i nos zacisnęła się i nie mogłam oddychać.

Ruaway już nie drzemała. Leżała cicho pod drzewami na chodniku pośród wielkich donic. Nie dostrzegli jej, ona jednak wszystko widziała. Natychmiast zorientowała się, że jeśli ją zauważą, zginie, toteż zamarła w bezruchu. Gdy tylko wynieśli mnie na ulicę, pobiegła do domu, do komnaty matki. To było świętokradztwo, lecz nie wiedząc, kto w domu sprzyja Omimo, mogła zaufać tylko matce.

– Pan Powódź porwał Ze! – zawołała.

Powiedziała mi później, że matka siedziała w mroku komnaty cicha, jakby nic nie usłyszała. Ruaway miała znów się odezwać, gdy moja matka wstała, otrząsając się ze smutku.

– Nie możemy ufać armii – rzekła. Jej umysł natychmiast skupił się na tym, co należy zrobić. Była przecież Bogiem. – Sprowadź tu Tazu – poleciła.

Ruaway znalazła Tazu pośród świętych ludzi. Wezwała go do siebie wzrokiem i poprosiła, by natychmiast udał się do matki. Potem wyszła drzwiami ogrodowymi, które wciąż były otwarte i niestrzeżone. Zaczęła wypytywać ludzi na placu Migotań, czy widzieli żołnierzy z pijaną dziewczyną. Ci, którzy nas dostrzegli, wskazali jej północno-wschodnią ulicę. Minęło niewiele czasu, nim dotarła do północnej bramy miasta i ujrzała, jak Omimo i jego ludzie wspinają się na wzgórze Ghari, niosąc mnie do starego fortu. Czym prędzej wróciła, by przekazać wiadomość matce.

Po naradzie z Tazu, Panią Chmur i tymi, którym najbardziej ufała, matka wezwała do siebie kilku starych generałów pokoju utrzymujących porządek w kraju. Poprosiła ich o posłuszeństwo, które jej przyrzekli, bo choć nie była już Bogiem, była Nim kiedyś, a także córką i matką Boga. Poza nią nie mieli kogo słuchać. Następnie rozmówiła się z kapłanami snów. Razem podjęli decyzję, jaką wieść aniołowie powinni zanieść ludowi. Nikt nie wątpił, iż Omimo porwał mnie, aby spróbować uczynić się Bogiem poprzez małżeństwo. Gdyby moja matka ogłosiła najpierw głosami aniołów, że jego czyn nie jest małżeństwem uświęconym przez kapłana ślubów, lecz gwałtem, może ludzie nie uwierzyliby, że on i ja jesteśmy Bogiem.

I tak wieści rozbiegły się na chyżych stopach po całym mieście i kraju. Armia Omimo, maszerująca szybko w ślad za nim na zachód, dochowała mu wierności. Po drodze dołączyli do niej inni żołnierze, choć nieliczni. Prawie wszyscy żołnierze pokoju w krainie środkowej popierali moją matkę. Mianowała ona Tazu ich generałem. Razem odgrywali dumnych, śmiałych władców, w istocie jednak niewiele mieli nadziei. Nie było bowiem

Boga i nie mogło być, dopóki Omimo mnie więził i mógł zgwałcić bądź zabić.

O wszystkim tym dowiedziałam się później. Oto co widziałam i słyszałam: byłam zamknięta w niskiej, pozbawionej okien celi w starej fortecy. Nikt mi nie towarzyszył. Wejścia nie pilnowali strażnicy, bo w forcie byli sami żołnierze Omimo. Czekałam tam, nie wiedząc, czy jest dzień, czy noc. Zdawało mi się, że czas zatrzymał się w biegu, tak jak się kiedyś lękałam. W celi, starym składzie pod dziedzińcem fortecy, nie było światła. Po klepisku krążyły jakieś stwory. Wtedy pierwszy raz stapałam po ziemi. Siedziałam na ziemi i leżałam na niej.

Szczęknał rygiel. Rozbłyskujące w wejściu pochodnie mnie oślepiły. Do środka weszli ludzie. Ktoś wsunął pochodnię w uchwyt na ścianie. Spomiędzy ludzi wynurzył się Omimo ze sterczącym penisem. Chciał mnie zgwałcić. Splunęłam mu w półślepą twarz.

– Jeśli mnie tkniesz, twój penis spłonie jak ta pochodnia!

Obnażył zęby jakby w uśmiechu. Pchnął mnie na ziemię i siłą rozwarł mi nogi, lecz drżał, przerażony, że dotyka mojego świętego ciała. Próbował rękami wetknąć we mnie penis, który jednak zwiotczał. Omimo nie mógł mnie zgwałcić.

– Nie możesz – powiedziałam. – Sam widzisz, nie możesz tego zrobić.

Żołnierze na to patrzyli i wszystko słyszeli. Poniżony Omimo wyciągnął ze złotej pochwy miecz, by mnie zabić, lecz jego ludzie przytrzymali mu ręce.

– Panie, panie, nie zabijaj jej! – powtarzali. – Ona musi stać się z tobą Bogiem.

Omimo krzyczał i zmagał się z nimi, tak jak ja z nim wcześniej. Wszyscy wyszli, wciąż krzycząc i walcząc. Ktoś chwycił pochodnię, drzwi się zatrzasnęły. Po jakimś czasie wymacałam drogę do wyjścia i spróbowałam je otworzyć. Miałam nadzieję, że może zapomnieli zasunąć rygiel. Drzwi jednak były zamknięte. Poczółgałam się z powrotem w kąt i ległam na ziemi w mroku.

Wszyscy pogrążyliśmy się w mroku. Świat nie miał Boga. Syn i córka Boga złączeni w małżeństwie przez kapłana ślubów stawali się Bogiem. Nie mogło być innego. Nie istniał inny sposób. Omimo nie wiedział, co począć, gdzie się skierować. Nie mógł mnie poślubić bez słów kapłana ślubów. Sądził, że poprzez gwałt stanie się mym mężem, i może tak by się stało, ale nie mógł mnie zgwałcić. Uczyniłam go impotentem.

Uznał, że jedynym wyjściem jest atak na miasto, zajęcie domu Boga, pochwylenie kapłanów i zmuszenie kapłana ślubów do wymówienia słów, które czynią Bogiem. Nie mógł tego zrobić z niewielkimi siłami, jakimi dysponował, toteż czekał, by jego armia wróciła ze wschodu. Tazu, generałowie i moja matka zebrali w mieście żołnierzy z krainy środkowej. Nie próbowali zdobywać Ghari. Była to silna forteca, łatwa do obrony, trudna do ataku, i bali się, że jeśli zaczną ją oblegać, zostaną pochwyleni pomiędzy murami a wielką armią Omimo przybywającą z nad granicy.

Mój brat zajął fort siłą dwustu żołnierzy, których z sobą sprowadził. Dostarczał im kobiet. Bóg zawsze dawał kobietom z wiosek dodatkowe ziarno, narzędzia bądź łany za to, by pieprzyły się z żołnierzami w obozowiskach i na posterunkach. Zawsze znajdowały się chętne, by zaspokoić żołnierzy i przyjąć nagrodę. A jeśli zaszły w ciążę, oczywiście otrzymywały kolejne nagrody i wsparcie. Chcąc zadowolić i uspokoić swych ludzi, Omimo wysłał oficerów do wiosek w pobliżu Ghari, by zaproponowali dziewczętom podarunki. Grupa dziewcząt zgodziła się przyjść, bo zwykli ludzie niewiele rozumieli z zaistniałej sytuacji – nie wierzyli, by ktokolwiek mógł sprzeciwić się Bogu. Wraz z tymi kobietami zjawiała się Ruaway.

Kobiety i dziewczęta biegały po forcie, drażniąc się i igrając z żołnierzami po służbie. Ruaway dzięki przypadkowi i odwadze odkryła, gdzie mnie zamknęto. Przeszła ciemnymi korytarzami pod dziedzińcem, sprawdzając kolejne drzwi. Usłyszałam szcęk rygla. Wymówiła moje imię. Odezwałam się.

– Chodź! – zawołała.

Podpełzłam do drzwi. Ujęła mnie za rękę, pomogła mi wstać i iść. Ponownie zasunęła rygiel i szłyśmy czarnym tunelem, póki w końcu nie ujrzałyśmy światła migoczącego na kamiennych stopniach. Wkrótce znalazłyśmy się na oświetlonym pochodniami dziedzińcu pełnym dziewcząt i żołnierzy. Ruaway natychmiast zaczęła biec wśród nich, chichocząc i szczebiocząc bez ładu i składu, trzymając mnie za rękę tak mocno, że biegłam obok. Kilku żołnierzy próbowało nas pochwycić, lecz Ruaway uskakiwała, powtarzając:

– Nie, nie. Tuki jest dla kapitana!

Biegłyśmy dalej i w końcu dotarłyśmy do bocznej bramy.

– Kapitanie, kapitanie! – krzyknęła Ruaway. – Proszę nas wypuścić! Muszę zabrać ją do matki. Wymiotuje i ma gorączkę.

Chwiałam się na nogach, całe moje ciało pokrywał więzienny brud. Strażnicy naśmiewali się ze mnie, mówiąc okropne rzeczy o mojej nieczystości. W końcu jednak uchylili bramę, by nas wypuścić. Uciekłyśmy w blasku gwiazd.

Ludzie mówili, że fakt, iż tak łatwo opuściłam więzienie, wybiegłam przez zamknięte drzwi, świadczy o tym, że naprawdę byłam Bogiem. Wtedy jednak nie było Boga, tak jak nie ma Go teraz. Na długo przed Bogiem i długo po Nim istniał też przypadek, szczęśliwy traf, sprzyjający los. Są to jednak tylko słowa, nazwy.

Istnieje też odwaga. Ruaway uwolniła mnie, bo byłam w jej sercu.

Gdy tylko zeszłyśmy z oczu strażnikom przy bramie, opuściłyśmy drogę, na której wystawiono warty, i pognałyśmy do miasta. Miasto stało potężne na wielkim zboczu przed nami. Jego kamienne mury połyskiwały w blasku gwiazd. Nigdy przedtem nie widziałam miasta, chyba że z okien i balkonów domu stojącego w samym jego sercu. Nigdy też nie chodziłam zbyt daleko i choć byłam silna – wśród moich zajęć były ćwiczenia fizyczne – moje stopy miękkością dorównywały dłoniom. Wkrótce zaczęłam jęczeć. Nic nie widziałam przez łzy wywołane bólem, jaki sprawiały mi kamienie i żwir pod nogami. Coraz trudniej przychodziło mi oddychać. Nie mogłam biec, lecz Ruaway ani na chwilę nie wypuszczała mojej ręki. Szłyśmy ciągle naprzód.

Wreszcie dotarłyśmy do północnej bramy, zamkniętej, zabarykadowanej i strzeżonej przez duży oddział żołnierzy pokoju.

– Niechaj córka Boga wkroczy do miasta Boga! – krzyknęła Ruaway.

Odgarnęłam włosy i wyprostowałam się, choć płuca wypełniały mi ostrza noży.

– Panie kapitanie – rzekłam do dowódcy – zabierz nas do mojej matki, Pani Ze, w domu w sercu świata.

Dowódca był synem starego generała Rire. Od razu mnie rozpoznał, dotknął kciukami czoła, wykrzyknął rozkazy i brama się otworzyła. I tak weszłyśmy do środka i powędrowałyśmy północno-wschodnią ulicą do mego domu, eskortowane przez żołnierzy i rosnący tłum krzyczących z radości ludzi. Szybkim, radosnym rytmem odezwały się bębny. Tej nocy matka trzymała mnie w ramionach. Nie czyniła tego od czasu, gdy byłam ssącym mleko dzieckiem. Tej nocy także Tazu i ja stanęliśmy pod girlandami przed kapłanem ślubów. Wypiliśmy ze świętych pucharów i zostaliśmy sobie poślubieni jako

Bóg.

Również tej nocy Omimo, odkrywszy, że zniknęłam, rozkazał armijnemu kapłanowi śmierci związać go ślubem z jedną z wiejskich dziewcząt, które przybyły, by pieprzyć się z żołnierzami. Ponieważ nikt poza mym domem, oprócz kilku jego ludzi, nigdy mnie z bliska nie widział, każda dziewczyna mogła mnie udawać. Żołnierze uwierzyli, że to byłam ja. Omimo rozgłosił, że poślubił córkę martwego Boga i teraz wraz z nią stał się Bogiem. Gdy my wysłaliśmy aniołów z wieściami o naszym ślubie, on rozesłał biegaczy głoszących, iż małżeństwo w domu Boga jest fałszywe, bo jego siostra Ze uciekła wraz z nim, poślubiła go w forcie Ghari i obecnie razem stali się prawdziwym Bogiem. Zaczął też pokazywać się ludziom w złotej czapce na głowie, z twarzą pokrytą białą farbą wokół ślepego oka, a armijni kapłani krzyczeli: „Patrzcie! Wypełniły się słowa wyroczni. Bóg jest biały i ma jedno oko!”.

Niektórzy uwierzyli jego kapłanom i posłańcom. Większość uwierzyła naszym. Wszyscy jednak czuli lęk, niepokój i gniew, słysząc, jak heroldowie ogłaszają jednocześnie przybycie dwóch Bogów, tak że nie znając prawdy, musieli wybierać, w co mają uwierzyć.

Wielką armię mego brata dzieliły od miasta zaledwie cztery, pięć dni marszu.

Aniołowie przybyli do nas z wieścią, że młody generał Mesiwa wiezie z sobą tysiąc żołnierzy pokoju z bogatych wybrzeży na południe od miasta. Powiedział aniołom jedynie, iż przybywa, by walczyć za jedyne prawdziwego Boga. Lękaliśmy się, że ma na myśli Omimo, gdyż my nie dodaliśmy niczego do naszego imienia, bo samo to słowo oznacza jedyną prawdę. W przeciwnym razie nic by nie znaczyło.

Rozważnie dokonaliśmy wyboru generałów i szybko podjęliśmy działania zgodnie z ich radą. Zamiast czekać na oblężenie miasta, postanowiliśmy wysłać wojska, by zaatakowały wschodnią armię u podnóża wzgórz nad Rzeką Początku, nim dotrze do Ghari.

Wiedzieliśmy, że gdy zaatakują nas połączonymi siłami, będziemy musieli się cofnąć. Ale po drodze mogliśmy zabierać wszystkie zapasy i sprowadzić do miasta tamtejszych ludzi. Tymczasem rozesłaliśmy wozy po południowych i zachodnich drogach, by napełnić miejskie spichrze. Jeśli wojna nie skończy się szybko, powtarzali starzy generałowie, zwycięży w niej ten, kto dłużej będzie mógł jeść.

– Armia Pana Powodzi może wyżywić się z magazynów wzdłuż wschodnich i północnych dróg – powiedziała matka, uczestnicząca we wszystkich naradach.

– Zniszczcie drogi – polecił Tazu.

Usłyszałam, że matka się zachłysnęła, i przypomniałam sobie słowa wyroczni: „Drogi zostaną zniszczone”.

– To potrwałoby równie długo, jak ich budowa – odparł najstarszy generał, lecz drugi w kolejności wtrącił:

– Zburzcie kamienny most w Almoghay.

Tak też rozkazaliśmy. Wycofując się przed bitwą, nasza armia zburzyła wielki most, który stał w tym miejscu od tysiąca lat. Wojska Omimo musiały nadłożyć niemal sto mil przez lasy aż do brodu w Domi. Tymczasem nasza armia i wozacy przywozili do miasta zawartość spichlerzy. Wielu ludzi ze wsi podążyło ich śladem, pragnąc schronić się pod skrzydłami Boga, toteż do miasta przybyły tłumy. Każdemu przywożonemu ziarnu ze towarzyszyła kolejna gęba do wykarmienia.

Cały ten czas Mesiwa, który mógłby zaatakować wschodnią armię w Domi, czekał na przełęczach ze swym tysiącem ludzi. Gdy rozkazywaliśmy mu, aby pomógł ukarać

świętokradców i przywrócić pokój, odsyłał nam anioła z bezsensownymi wiadomościami. Wydawało się pewne, że działa w zмовie z Omimo.

– Mesiwa jest palcem, Omimo kciukiem – rzekł najstarszy generał, udając, że zgniata wiesz.

– Nikt nie drwi z Boga! – krzyknął Tazu gniewnie.

Stary generał schylił się, przykładając czoło do kciuków, zawstydzony. Ja jednak zdołałam się uśmiechnąć.

Tazu miał nadzieję, że wieśniacy powstaną przeciw świętokradcom i powalą malowanego Boga. Ale nie byli żołnierzami. Nigdy nie walczyli. Zawsze żyli pod ochroną wojsk pokoju i pod naszą opieką. Nasze działania wstrząsnęły nimi niczym trąba powietrzna bądź trzęsienie ziemi. Mogli jedynie patrzeć i czekać, licząc, że doczekają końca. Tylko ludzie z naszego domostwa, których los zależał bezpośrednio od nas i których zdolności i wiedza nam służyły, oraz mieszkańcy miasta, w którego sercu mieszkaliśmy, i żołnierze pokoju mogli walczyć za naszą sprawę.

Wieśniacy w nas wierzyli. Gdzie nie ma wiary, tam nie ma Boga. Gdy pojawiają się wątpliwości, stopa potyka się, wyciągnięta ręka opada.

Wojny na granicach, podboje uczyniły nasz kraj zbyt wielkim. Ludzie w miastach i wsiach nie wiedzieli, kim jestem, tak jak ja nie znałam ich twarzy. W czasach początków Babam Kerul i Babam Ze schodzili z góry i wędrowali po polach krainy środkowej wśród zwykłych ludzi. Ludzie, którzy ułożyli pierwsze kamienie szerokich dróg i fundamenty starego miejskiego muru, znali oblicze swego Boga. Oglądali je co dzień.

Wspominałam o tym podczas narady. Tazu i ja zaczęliśmy wychodzić na ulice; czasami niesieni w lektykach, czasami na własnych nogach. Otaczali nas kapłani i strażnicy, oddający cześć naszej boskości, ale zagłębiał się między ludzi, patrząc im w oczy, a oni padali na kolana, przykładając czoła do kciuków. Widząc nas, wielu płakało. Krzyczeli na ulicach, a małe dzieci powtarzały chórem: „Oto Bóg”.

– Zamieszkaliście w ich sercach – powiedziała moja matka.

Lecz armia Omimo przebyła Rzekę Początku. Po dniu marszu jej straż przednia dotarła do Ghari. Tego wieczoru z północnego balkonu spoglądaliśmy na wzgórze Ghari, gdzie ciżba ludzka roiała się jak robactwo. Na zachodzie światło płonęło ciemną czerwienią na szczytach gór, odbijając się w zimowych śniegach. Ze szczytu Korosi unosił się wielki pióropusz dymu barwy krwi.

– Spójrz – rzekł Tazu, wskazując na północny zachód. Na niebie zapłonęło światło niczym letnia błyskawica. – Spadająca gwiazda – rzekł, a ja powiedziałam:

– Wybuch.

W mroku nocy przybyli do nas aniołowie.

– Wielki dom zapłonął i spadł z nieba – oznajmił jeden, a drugi dodał:

– Płonie, lecz wciąż stoi na brzegu rzeki.

– To słowa Boga wypowiedziane podczas urodzin świata – powiedziałam.

Aniołowie uklękli, skrywając twarze.

To, co ujrzałam wtedy, nie jest tym samym, co widzę, spoglądając w odległą przeszłość. Wiedziałam wówczas jednocześnie mniej i więcej, niż wiem teraz. Spróbuję powiedzieć, co

wówczas widziałam i wiedziałam.

Tego ranka na szerokiej kamiennej drodze przy północnej bramie ujrzałam grupę istot dwunożnych i wyprostowanych jak ludzie bądź jaszczurki. Były wzrostu wielkich pustynnych jaszczurów. Miały potworne członki i stopy, lecz ani śladu ogonów. Całe były białe i bezwłose. Ich głowy nie miały ust ani nosów, jedynie po jednym wielkim, pozbawionym powieki lśniącem oku. Istoty te zatrzymały się przed bramą. Na Ghari nie widać było ani jednego człowieka; wszyscy siedzieli w fortecy albo ukrywali się w lasach za wzgórzem.

Staliśmy na szczycie północnej bramy, w miejscu, gdzie mur sięga do piersi, by chronić wartowników. Z dachów i balkonów miasta dobiegał nas płacz przerażonych ludzi i krzyki:

– Boże, Boże, ocal nas!

Rozmawialiśmy z Tazu całą noc. Słuchaliśmy rad naszej matki i innych mądrych ludzi, a potem odprawiliśmy ich, aby razem podjąć decyzję, spojrzeć przez ramię w czasy, które dopiero nadejdą. Tej nocy ujrzelśmy śmierć i narodziny świata. Widzieliśmy zmianę, która dotyka wszystkiego.

Wyrocznia głosiła, że Bóg jest biały i ma jedno oko. To właśnie teraz widzieliśmy. Wyrocznia mówiła, że świat umrze. Wraz z nim miał umrzeć nasz krótki czas boskości. To właśnie musieliśmy teraz zrobić: zabić świat. Świat musiał umrzeć, by Bóg mógł żyć. Dom runie, by mógł stać nadal. Ci, którzy byli Bogiem, muszą powitać Boga.

Tazu wymówił słowa powitania. Ja tymczasem zbiegłam po spiralnych schodach wewnątrz murów i odsunęłam wielkie rygle – wartownicy musieli mi pomóc – po czym otwarłam wrota.

– Wejdz – rzekłam do Boga i klękając, dotknęłam czołem kciuków.

Weszli do środka z wahaniem, powoli, z namysłem. Każdy z nich kręcił na boki swym wielkim niemrugającym okiem, otoczonym srebrnym pierścieniem, który połyskiwał w słońcu. Ujrzałam siebie w jednym z owych oczu: źrenica w oku Boga. Ich śnieżnobiałą pomarszczoną skórę pokrywały jaskrawe tatuaże. Byłam wstrząśnięta tym, że Bóg może być taki brzydki.

Strażnicy cofnęli się, przywierając do murów. Tazu zszedł i stanął obok mnie. Jeden z przybyszów uniósł ku nam skrzynkę. Wydobył się z niej dźwięk, jakby zamknięto tam jakieś zwierzę.

Tazu odezwał się ponownie, mówiąc im, iż wyrocznia przepowiedziała ich przybycie i że ci, którzy byli Bogiem, witają Boga. Stali bez ruchu. Ze skrzynki dobywały się kolejne dźwięki. Przypominało to Ruaway, nim nauczyła się właściwie mówić. Czyżbyśmy nie znali już języka Boga? A może Bóg był zwierzęciem, jak wierzył lud Ruaway? Pomyślałam, że bardziej przypominają potworne jaszczurki z pustyni, żyjące w zoo w naszym domu, niż nas samych.

Jeden z nich podniósł grubą rękę i wskazał nasz dom stojący na końcu ulicy, wyższy niż inne domy. Miedziane rynny i złoczone rzeźby połyskiwały w zimowym słońcu.

– Chodź, panie – rzekłam. – Chodź do naszego domu.

Powiedliśmy ich i zaprowadziliśmy do środka.

Gdy znaleźliśmy się w niskiej, długiej, pozbawionej okien sali audiencyjnej, jeden z nich zdjął głowę. Wewnątrz niej znajdowała się głowa taka jak nasza, z dwójgiem oczu, nosem, ustami, uszami. Pozostali zrobili to samo. Wówczas, widząc, że ich głowy były tylko

maskami, dostrzegłam, że biała skóra jest jak but pokrywający nie tylko stopy, lecz całe ciało. Wewnątrz buta byli podobni do nas, choć skóra na ich twarzach miała barwę glinianych garnków i sprawiała wrażenie bardzo cienkiej, a ich włosy lśniły i leżały płasko.

– Przynieście jedzenie i picie – poleciłam dzieciom Boga, tchórzliwie czekającym za drzwiami, i rozbiegły się natychmiast, przynosząc tacę ciastek z suszonych owoców i zimowe piwo.

Bóg zbliżyli się do stołu, na którym czekało jedzenie. Kilku z nich udawało, że je. Jeden, naśladując to, co robię, najpierw dotknął ciastkiem czoła, a potem ugryzł je, przeżuł i przełknął.

– Grr-gra, grr-gra – odezwał się do pozostałych.

Również on pierwszy zdjął swój but. Wewnątrz zawoje i osłony kryły i chroniły całe jego ciało. Nic dziwnego, bo skóra na owym ciele była blada i bardzo cienka, miękka jak powieka dziecka.

W sali audiencyjnej na wschodniej ścianie nad podwójnym tronem Boga wisiała złota maska, którą Bóg On zakładał, by zawrócić słońce. Ten, który zjadł ciastko, wskazał maskę, następnie spojrział na mnie – jego oczy były okrągłe, wielkie i piękne – i uniósł dłoń, pokazując miejsce, gdzie słońce wznosi się na niebie. Przytaknęłam ciałem. On wskazał palcem tu i tam, wokół maski, a potem po suficie.

– Trzeba sporządzić więcej masek, bo Bóg jest teraz liczniejszy niż dwoje – oznajmił Tazu.

Mnie się zdawało, że gesty te mogą oznaczać gwiazdy. Natychmiast jednak dostrzegłam, iż interpretacja Tazu ma więcej sensu.

– Sporządzimy maski – powiedziałam Bogu.

A potem rozkazałam kapłanowi czapek, aby przyniósł złote czapki, które Bóg nosi podczas uroczystości i świąt. Czapek tych było wiele, część wysadzana klejnotami i ozdobna, inne proste, a wszystkie bardzo stare. Kapłan czapek przyniósł je kolejno, po dwie. Wreszcie spoczęły wszystkie na wielkim stole z polerowanego drewna i brązu, na którym odbywają się uroczystości pierwszego ze i żniw. Tazu zdjął swoją złotą czapkę, ja zrobiłam to samo. Tazu włożył swoją na głowę tego, który zjadł ciastko. Ja podeszłam do niższego i włożyłam jemu moją. Potem, wybierając czapki codzienne, nie te ozdobne, na uświęcone okazje, włożyliśmy je na wszystkie głowy Boga. Oni stali bez ruchu, czekając, byśmy skończyli. Wreszcie uklękliśmy z gołymi głowami i przyłożyliśmy czoła do kciuków.

Bóg stali bez ruchu. Wyraźnie nie wiedzieli, co mają robić.

– Bóg jest dorosły, lecz nowy, jak dziecko – rzekłam do Tazu.

Byłam pewna, że nie rozumieją, co mówimy. Ten, któremu oddałam swoją czapkę, zbliżył się i chwycił mnie za łokcie, chcąc podnieść z klęczek. Z początku cofnęłam się, nieprzywykła do tego, że mnie dotykają. Potem przypomniałam sobie, że nie jestem już uświęcona, i pozwoliłam Bogu się dotknąć. Zaczął coś mówić i gestykulować. Spojrział mi w oczy. Zdjął złotą czapkę, próbował włożyć mi ją na głowę.

– Nie, nie! – krzyknęłam.

Odmowa Bogu stanowiła świętokradztwo. Ale wiedziałam, że tak trzeba.

Jakiś czas Bóg rozmawiali między sobą. Tazu, moja matka i ja także mogliśmy się naradzić. Rozumieliśmy tyle: wyrocznia nie myliła się, ale była subtelna. Tak naprawdę Bóg nie byli ślepi, nie byli też jednoocy, ale nie umieli patrzeć. To nie ich skóra była biała,

lecz umysł pozostawał czysty, nietknięty wiedzą. Nie potrafili mówić, zachowywać się odpowiednio, działać. Nie znali swojego ludu. W jaki sposób Tazu, ja, nasza matka, starzy nauczyciele moglibyśmy ich uczyć? Świat umarł. Rodził się nowy świat. Wszystko w nim także mogło być nowe, inne. Toteż nie Bóg, lecz my nie umieliśmy patrzeć. Nie wiedzieliśmy, co robić, jak mówić.

Wierzyłam w to tak mocno, że znów uklęknęłam, modląc się do Boga.

– Naucz nas!

Spojrzeli na mnie i przemówili do siebie, brr-grr, gre-gra.

Odesłałam matkę i pozostałych, by porozmawiali z generałami, bo aniołowie zjawili się z meldunkami o armii Omimo. Brak snu bardzo zmęczył Tazu. Usiedliśmy razem na podłodze, rozmawiając cicho. Martwił się o trony Boga.

– Jak mogą zasiąść na nich wszyscy naraz? – spytał.

– Dodamy nowe siedziska – rzekłam. – Albo teraz będą zasiadać kolejno: najpierw dwóch, potem dwóch następnych. Wszyscy są Bogiem, tak jak wcześniej ty i ja, nie ma to więc znaczenia.

– Ale żaden z nich nie jest kobietą – zauważył Tazu.

Uważniej przyjrzałam się Bogu i przekonałam się, że miał rację. To mnie zaniepokoiło, z początku słabo, później bardzo głęboko. Jak Bóg mógł być tylko połową człowieka? W moim świecie Boga stwarzało małżeństwo. Co czyniło Bogiem w nadchodzącym świecie?

Pomyślałam o Omimo. Biała glina na twarzy i fałszywe małżeństwo uczyniły z niego fałszywego Boga. Lecz wielu ludzi wierzyło, że jest nim naprawdę. Czy siła ich wiary uczyni z niego Boga, podczas gdy my oddaliśmy naszą władzę temu nowemu, nieuczonemu Bogu? Gdyby Omimo dowiedział się, że są bezradni, nie umieją mówić, nie wiedzą nawet, jak jeść, lękałby się ich boskości jeszcze mniej niż wcześniej naszej. Na pewno by zaatakował. Czy nasi żołnierze walczyliby za tego Boga?

Wyraźnie widziałam, że nie. Widziałam to z tyłu głowy oczami, które dostrzegają to, co nadchodzi. Ujrzałam nieszczęścia czekające mój lud. Zobaczyłam śmierć świata, lecz nie dostrzegłam jego narodzin. Jaki świat mógłby zrodzić się z Boga mężczyzny? Mężczyźni nie rodzą.

Wszystko było nie tak. Nagle w mej głowie zobaczyłam bardzo wyraźnie, że powinniśmy kazać naszym żołnierzom zabić Boga teraz, póki jeszcze są nowi i słabi. A potem? Gdybyśmy Ich zabili, nie byłoby już Boga. Moglibyśmy znów udawać, że jesteśmy Bogiem, tak jak czynił to Omimo. Lecz boskości nie da się udawać. Nie można jej wkładać i zdejmować z siebie niczym złotej czapki.

Świat umarł. Tak chciał los i tak przepowiedziano. Przeznaczeniem owych dziwnych ludzi było stać się Bogiem. Będą musieli dopełnić to przeznaczenie, tak jak my dopełniliśmy nasze, i odkrywać, co ma się wydarzyć, dopiero gdy nadejdzie, chyba że obcy potrafiliby dojrzeć to wcześniej ponad ramieniem, co jest jednym z darów Boga.

Znów wstałam, ujmując dłoń Tazu.

– Miasto należy do Was – powiedziałam. – Lud należy do Was, to Wasz świat i Wasza wojna. Chwała Wam, nasz Boże!

Raz jeszcze uklękliśmy i pochyliliśmy głowy, przykładając czoła do kciuków. Potem wyszliśmy.

– Dokąd idziemy? – spytał Tazu. Miał dwanaście lat i nie był już Bogiem. W oczach kręciły mu się łzy.

– Poszukać matki i Ruaway – odparłam. – A także Arziego, Pana Idioty i Haghag, i tych z naszego ludu, którzy chcą pójść z nami.

Zamierzałam powiedzieć „naszych dzieci”, ale nie byliśmy już przecież ich matką i ojcem.

– Pójść dokąd? – spytał Tazu.

– Do Chimlu.

– W góry? Mamy uciec, ukryć się? Powinniśmy zostać i walczyć z Omimo.

– O co? – spytałam.

To było sześćdziesiąt lat temu. Napisałam tę historię, by opowiedzieć, jak wyglądało życie w domu Boga przed końcem i ponownym początkiem świata. Staralam się oddać ówczesny stan mojego umysłu, lecz ani wtedy, ani teraz nie rozumiem w pełni wyroczni, którą ujrział mój ojciec i kapłani. Jej słowa się spełniły. Ale nie mamy już Boga ani wyroczni, która wskazałaby nam drogę.

Żaden z obcych nie pożył długo, lecz wszyscy przeżyli Omimo.

Wędrowaliśmy długą drogą wiodącą w góry, gdy doścignął nas anioł z wieścią, że Mesiwa dołączył do Omimo i obaj generałowie poprowadzili swą wielką armię pod dom obcych, stojący niczym wieża na polach nad rzeką Soze, w kręgu spalonej ziemi. Obcy wyraźnie ostrzegli Omimo i jego armię, by się cofnęli, wysyłając nad ich głowami błyskawice, które podpaliły odległe drzewa. Omimo nie posłuchał. Mógł dowieść, że jest Bogiem, jedynie zabijając Boga. Rozkazał swej armii zaatakować wysoki dom. On, Mesiwa oraz setka otaczających go ludzi zostali zniszczeni przez jedną błyskawicę. Spłonęli na popiół. Armia uciekła w popłochu.

– Oni są Bogiem! Naprawdę są Bogiem! – wykrzyknął Tazu, słysząc słowa anioła.

Mówił z radością, bo podobnie jak mnie wątpliwości go unieszczęśliwiały. Przez jakiś czas mogliśmy wszyscy w nich wierzyć, gdyż władali błyskawicami. Póki żyli, wielu ludzi nazywało ich Bogiem. Dziś wierzę, że obcy nie byli Bogiem takim, jak ja pojmuję to słowo, lecz potężnymi istotami z innego świata, dysponującymi wielką mocą, a jednocześnie słabymi i nieznanymi naszego świata, które wkrótce znużyły się nim i umarły.

Było ich czternastu. Część przeżyła ponad dziesięć lat. Ci nauczyli się mówić tak jak my. Jeden z nich przybył w góry do Chimlu wraz z grupą pielgrzymów, którzy wciąż pragnęli oddawać mnie i Tazu cześć jako Bogu. Tazu i ja wiele dni rozmawialiśmy z tym człowiekiem, uczyliśmy się od siebie nawzajem. Powiedział nam, że ich dom poruszał się w powietrzu, latając jak smocza jaszczurka, lecz jego skrzydła się połamały. Mówił, że w krainie, z której pochodzą, słońce jest bardzo słabe i nasze mocne słońce wywołało w nich chorobę. Choć ukrywali ciała pod tkaninami, ich skóra nadal przepuszczała promienie słoneczne. Wkrótce wszyscy mieli zginąć. Powiedział, że żałują, iż przybyli.

– Musieliście przybyć – odparłam. – Bóg to przewidział. Jaki sens ma żal?

Zgodził się ze mną, że nie są Bogiem. Twierdził, że Bóg żyje w niebie. Według mnie to bezsensowne miejsce dla Boga. Tazu uważał, że gdy obcy przybyli, naprawdę byli Bogiem, bo dzięki temu wypełnili słowa wyroczni i zmienili świat. Teraz jednak, podobnie jak my, stali się zwykłymi ludźmi.

Ruaway polubiła tego obcego, może dlatego że sama była obca, i kiedy odwiedzał nas w

Chimlu, spali razem. Mówiła, że pod swymi tkaninami i osłonami jest taki sam jak wszyscy mężczyźni. Uprzedził, że jej nie zapłodni, bo jego nasienie nie dojrzeje w naszej ziemi. I rzeczywiście, obcy nie pozostawili po sobie dzieci. Bin yi-zin – wyjawiał nam swe imię – kilka razy wracał do Chimlu i umarł ostatni. Ruaway zostawił ciemne kryształy, które nosił przed oczami. Sprawiają, iż w jej oczach rzeczy stają się większe i wyraźniejsze, choć w moich oczach się rozmywają. Mnie podarował historię swego życia, piękne pismo złożone z rzędów maleńkich obrazków. Trzymam je w pudełku wraz z moimi zapiskami.

Gdy jądra Tazu dojrzały, musieliśmy postanowić co dalej, bo wśród zwyczajnych ludzi bracia i siostry nie biorą ślubów. Spytałiśmy kapłanów, którzy orzekli, że nasze małżeństwo jako boskie nie może zostać rozwiązane i choć nie jesteśmy już Bogiem, pozostajemy mężem i żoną. Ponieważ byliśmy w swoich sercach, słowa te ucieszyły nas i często spaliśmy razem. Dwa razy poczęłam, lecz straciłam płody, jeden bardzo wcześnie, a drugi w czwartym miesiącu, i nie poczęłam więcej. Bardzo nas to zasmuciło, a przecież było szczęśliwym zrzędzeniem losu, bo gdybyśmy mieli dzieci, ludzie mogliby próbować obwołać je Bogiem.

Potrzeba dużo czasu, by nauczyć się żyć bez Boga, choć niektórzy nigdy się nie uczą. Wolą mieć fałszywego Boga niż żadnego. Przez wszystkie te lata, choć obecnie znacznie rzadziej, ludzie ściągali do Chimlu, błagali Tazu i mnie, abyśmy wrócili do miasta i zostali Bogiem. A kiedy stało się jasne, że obcy nie będą rządzić krajem jako Bóg ani według starych, ani nowych reguł, inni ludzie zaczęli naśladować Omimo, poślubiając panie z naszego rodu i obwołując się nowymi bogami. Znajdowali sobie wyznawców i toczyli wojny, zwalczając się nawzajem. Żaden z nich nie miał straszliwej odwagi Omimo ani nie dysponował wielką armią posłuszną jego rozkazom. Wszystkich też spotkał marny koniec z rąk rozwścieczonych, zawiedzionych, nieszczęśliwych ludzi.

Zgodnie z moimi obawami i tym, co ujrzałam ponad ramieniem w noc, w którą skończył się świat, ludowi memu i krajowi wiodło się źle. Nikt nie dbał o szerokie kamienne drogi, które miejscami zupełnie już zniszczały. Nigdy nie odbudowano mostu w Almoghay. Spichlerze stoją puste i popadają w ruinę. Starzy i chorzy muszą błagać sąsiadów o pomoc. Ciężarna dziewczyna może liczyć tylko na swą matkę, a sierotę nikt się nie opiekuje. Na zachodzie i południu panuje głód. Teraz my także jesteśmy głodnym ludem. Aniołowie nie tkają już sieci władzy. Poszczególne części kraju nie wiedzą, co się dzieje w pozostałych. Podobno dzikie ziemie barbarzyńców sięgają już poza Czwartą Rzekę, ziemne smoki mnożą się na polach uprawnych. Mali generałowie i malowani bogowie zwołują kolejne armie, trwoniąc ludzkie życie i dobra i niszcząc uświęconą ziemię.

Złe czasy nie będą trwać wiecznie. Każdy czas dobiega końca. Dawno temu umarłam jako Bóg. Długo żyłam jako zwykła kobieta. Co roku widzę, jak słońce zawraca z południa nad wielką Kanaghadwą. I choć Bóg nie tańczy już na migotliwym bruku, ponad ramieniem mej śmierci oglądam urodziny świata.

Przełożyła Paulina Braiter

Raje utracone

*Dreszcz daje trwać w bezruchu, ja to wiem.
To, co odchodzi, ginie. Blisko nas.
Budzę się, aby zasnąć wolnym snem,
Uczę się, idąc tam, gdzie muszę i gdzie chcę.*

Theodore Roethke, *Przebudzenie*

Kula błota

Błękitne części składały się z wody, mnóstwa wody, jak zbiorniki hydroponiczne, tyle że głębsze. Fragmenty innej barwy to błoto, ziemia, tak jak w ogrodach, tylko większych. Natomiast niebo – tego nie potrafiła zrozumieć. Niebo to kolejna kula otaczająca kule błota, mówił ojciec. Nie mogli jednak zademonstrować jej na modelu, bo jest niewidzialna, przezroczysta jak powietrze. I składa się z powietrza. Tyle że jest niebieska. Kula powietrza od spodu niebieska i otaczająca z zewnątrz kulę błota. Powietrze z zewnątrz – to naprawdę dziwne. Czy wewnątrz kuli błota też było powietrze? Nie, mówił ojciec, wyłącznie ziemia. Ludzie żyli na zewnątrz kuli błota, tak jak techowie poza statkiem, tyle że bez skafandrów. Można było oddychać niebieskim powietrzem, zupełnie jakby przebywało się wewnątrz. Nocą widać było czern i gwiazdy, jak poza statkiem, mówił ojciec, lecz za dnia widziało się wyłącznie błękit. Spytała czemu. Bo światło dnia jest jaśniejsze niż gwiazdy, wyjaśnił. Niebieskie światło? Nie. Rzucająca je gwiazda jest żółta, ale powietrza jest tak dużo, że wydaje się niebieskie. Poddała się. To takie trudne i działo się dawno temu. Nie miało żadnego znaczenia.

Kiedyś w końcu „wylądują” na innej kuli błota, ale stanie się to dopiero wtedy, gdy będzie bardzo stara, prawie martwa – skończy sześćdziesiąt pięć lat. Do tego czasu, jeśli to rzeczywiście ma znaczenie, zdąży zrozumieć.

Osobista definicja

W świecie żyją ludzie, rośliny i bakterie. Bakterie można znaleźć w ludzkich ciałach i poza nimi, w roślinach, glebie, wszędzie. Żyją, ale są niewidoczne. Działanie nawet wielkich ilości bakterii bywa czasem niedostrzegalne, wydaje się jedynie cechą gospodarza. To życie innego poziomu, a zwykle w takich wypadkach istoty z różnych poziomów nie dostrzegają się nawzajem, chyba że za pomocą instrumentów pozwalających zmienić skalę widzenia. Dzięki takim instrumentom można podziwiać nowy nieznany świat. Lecz instrument nie pozwala postrzegać mieszkańcom świata mniejszego rzędu istot poziomu wyższego. Mniejszy świat trwa dalej nieświadom istnienia czegoś więcej, póki kropla nie wyschnie nagle na szkiełku. Wzajemność to rzadkie zjawisko.

Tutejszy świat niższego poziomu jest niezbyt bogaty. Nie ma w nim przelewających się ameb, wdzięcznych pantofelków, miniaturowych odkurzaczy – wrotków; istot większych niż bakteria wiecznie drżąca pod naporem pojedynczych cząsteczek.

Pozostały tylko niektóre bakterie – nie ma pleśni ani drożdżaków, wirusów (mniejszych o rząd wielkości); niczego, co powoduje choroby u ludzi bądź roślin, jedynie bakterie niezbędne do życia, oczyszczające, wspomagające trawienie, tworzące glebę – czystą glebę. W tym świecie nie ma gangreny, zatrucia krwi, przeziębień, grypy, odry, dżumy, tyfusu, gruźlicy, AIDS, dengi, cholery, żółtej febry, eboli, syfilisu, polio, trądu, schizosomatozy, opryszczek, ospy wietrznej, półpaśca. Zapalenia opon mózgowych. Nie ma tu kleszczy, malarii, komarów, pcheł i much, karaluchów i pajaków, dżdżownic i ryjkowców. Nic w świecie nie ma więcej ani mniej nóg – wyłącznie dwie. Nic nie ma skrzydeł. Nic nie wysysa krwi, nic nie ukrywa się w szczelinach, nie macha czułkami, nie umyka w cień, nie składa jajek, nie myje językiem futra, nie kłapie szczypcami i nie obraca się trzy razy, nim położy się na ziemi z nosem na ogonie. Nic nie ma ogona. Nic w świecie nie ma czułków, płetw, łap ani szponów. Nic nie lata, nie pływa, nie mruczy, nie szczeka, nie warczy, nie ryczy, nie bzyka, nie ćwierka i nie krzyczy, powtarzając do znudzenia dwa dźwięki, wyższy i niższy, przez trzy miesiące w roku. Nie ma tu miesięcy, roku, księżycy ani lat. Nie ma słońca. Czas dzieli się na cykle światła, ciemności i dziesięciodni. Co 365,25 cyklu odbywają się uroczystości i następuje zmiana liczby zwanej rokiem. Ten rok ma numer 141. Pokazuje to szkolny zegar.

Tygrys

Oczywiście mamy obrazki księżyców, słońc i zwierząt podpisane właściwymi nazwami. W bibliotece na książkoekranach można oglądać wielkie stwory biegające na czterech nogach po włochatym dywanie. Głosy mówią: „konie w wyoming” albo „lamy w peru”. Niektóre obrazki są zabawne, innych ma się ochotę dotknąć, niektóre przerażają. Jeden ze stworów ma jaskrawo ubarwione włosy, złote i ciemne na przemian, i straszliwe przejrzyste oczy, które patrzą na ciebie bez cienia sympatii, w ogóle cię nie poznając. „Tygrys w zoo” – mówi głos. A potem widać dzieci bawiące się z małymi „kociakami”, które łażą po nich, dzieci chichoczą, kociaki są słodkie jak lalki albo niemowlęta, dopóki któryś z nich nie spojrzy wprost na ciebie okrągłymi, przejrzystymi oczami, które nie znają twego imienia.

– Jestem Hsing – powiedziała głośno pięcioletnia Hsing do obrazka kociaka na książkoekranie.

Obrazek odwrócił głowę i Hsing wybuchnęła płaczem. Natychmiast zjawił się nauczyciel, pełen współczucia i pytań.

– Nienawidzę go, nienawidzę! – zawodziła pięcioletnia.

– To tylko film, nie zrobi ci krzywdy. Nie jest prawdziwy – zapewnił dwudziestopięcioletni.

Tylko ludzie są prawdziwi. Tylko ludzie żyją. Rośliny ojca także są żywe, przynajmniej on tak twierdzi, lecz ludzie są naprawdę żywi. Ludzie cię znają, znają twoje imię. Lubią cię, a jeśli nie, jak synek kuzyna Alidy ze szkoły numer cztery, mówisz im, kim jesteś, i wtedy cię poznają.

– Jestem Hsing.

– Shing – odparł chłopczyk.

Próbowała nauczyć go różnicy pomiędzy słowami Hsing i Shing, lecz różnica ta nie ma znaczenia, chyba że mówi się po chińsku. Zresztą i tak nic nie znaczyła, bo mieli bawić się w berka z Rosie, Leną i innymi. I oczywiście z Luisem.

Jeśli nie ma wielkich różnic między ludźmi, małe różnice między ludźmi stają się wielkimi różnicami między ludźmi

Luis bardzo różnił się od Hsing. Po pierwsze, Hsing miała pochwę, a on penis. Gdy pewnego dnia porównywali je, Luis oznajmił, że podoba mu się słowo „pochwa” – brzmi ciepło, miękko i przytulnie, a „wagina” bardzo imponująco. Ale penis?

– Penis – rzekł wzgardliwie. – Pi, pi. To taka śmieszna, głupia babska nazwa. Powinno się nazwać go lepiej.

Zaczęli zatem wymyślać właściwe słowa. „Bobwob”, powiedziała Hsing. „Gowbondo”, rzucił Luis. Bobwob to nazwa dla leżącego, gowbondo dla stojącego, postanowili, turlając się ze śmiechu.

– W górę, w górę, gowbondo! – krzyknął Luis, a on uniósł się lekko z jego szczupłego jedwabistego uda. – Widzisz? Zna swoje imię. Zawołaj go.

Zawołała, a on odpowiedział, choć Luis musiał mu trochę pomóc. I zaśmiewali się, póki nie tylko bobwob-gowbondo, ale też oni oboje nie legli bezwładnie na podłodze pokoju Luisa, nie mogąc się ruszyć.

Przywdzianie strojów

Czekała na nie całe wieki i całą noc nie mogła zasnąć. Potem jednak ujrzała stojącego nad nią ojca odzianego w uroczysty strój: długie czarne spodnie i biały jedwabny kaftan.

– Obudź się, śpiochu. Chcesz przespać ceremonię?

Przerażona wyskoczyła z łóżka, sądząc, że się spóźniła.

– Nie, nie! – Spoważniał. – Tylko żartowałem. Masz mnóstwo czasu, jeszcze nie musisz się ubierać.

Zrozumiała, że żartuje, ale była zbyt oszołomiona i podniecona, by się śmiać.

– Pomóż mi się uczesać! – jęknęła, szarpiąc grzebieniem czarne potargane włosy.

Ukląkł, by jej pomóc.

Gdy dotarli do Temenos, podniecenie sprawiło, że widziała wszystko wyraźniej niż zwykle, ostrzej, jaśniej. Wielka sala wydawała się większa niż kiedykolwiek wcześniej. Wokół rozbrzmiewała muzyka, wesola, taneczna, zewsząd przybywali ludzie, mnóstwo ludzi, nagie dzieci, każde z rodzicem w odświętnym stroju, niektóre z dwójką rodziców, wiele z dziadkami, kilkoro z małym nagim braciszkiem bądź siostrzyczką czy też większym bratem bądź siostrą w odświętnym przyodziewku. Był tam też ojciec Luisa, miał jednak na sobie zwykłe robocze szorty i stary podkoszulek. Zrobiło jej się żal Luisa. Z tłumy wyłoniła się matka Hsing, Jael, a także jej syn Joel z czwartego kwada, oboje naprawdę uroczyście odziani. Strój Jael był pomalowany w czerwone zygzaki i iskry, Joel miał fioletową koszulę ze złotym zamkiem. Uścisnęli się, pocałowali. Jael wręczyła ojcu paczkę, mówiąc:

– Na później.

Hsing wiedziała, co w niej jest, nie odezwała się jednak ani słowem. Ojciec miał za plecami własną paczuszkę. Wiedziała też, co w niej znajdzie.

Muzyka zmieniła się, przechodząc w pieśń, której uczyły się wszystkie siedmiolatki ze wszystkich czterech szkół świata: „Dorastam! Dorastam!”. Rodzice wypchnęli dzieci naprzód, a nieśmiało poprowadzili za rękę, szepcząc: „Śpiewaj, śpiewaj”. I wszystkie małe nagie dzieci zebrały się, śpiewając, pośrodku wysokiej, okrągłej sali. „Dorastam, co za szczęśliwy dzień”, śpiewały. Dorośli także zaczęli śpiewać do wtóru. Głośna, dźwięczna pieśń sprawiła, że do oczu Hsing napłynęły łzy. „Co za szczęśliwy dzień!”.

Stary nauczyciel przemawiał chwilę, a potem młoda nauczycielka o pięknym, wysokim, czystym głosie poleciła:

– Usiądźcie.

I wszyscy siedli na pokładzie.

– Odczytam kolejno imiona dzieci. Gdy usłyszysz swoje imię, wstań, twoi rodzice i krewni także wstaną. Podejdiesz do nich i obejrzysz swoje ubranie, nie wkładaj go jednak, póki wszyscy na całym świecie nie dostaną nowych ubrań. Powiem kiedy. Gotowi? Zaczynamy. 5-Adano Sita! Wstań i przyodziej się.

Mała dziewczynka wyskoczyła z kręgu siedzących dzieci. Zarumieniona, z przerażeniem

rozglądała się w poszukiwaniu matki, która wstała roześmiana, wymachując piękną czerwoną koszulą. Mała Sita popędziła do niej i wszyscy zaczęli klaskać, śmiejąc się głośno.

– 5-Alzs-Matteu Frans! Wstań i przyodziej się.

I tak to trwało, póki dźwięczny głos nie powiedział:

– 5-Liu Hsing, wstań i przyodziej się.

Hsing wstała, nie spuszczając wzroku z ojca. Łatwo było go dostrzec, bo Jael i Joel połyskiwali barwami obok niego. Pobiegła ku nim, chwyciła w objęcia coś jedwabistego i cudownego, a ludzie z Kompleksów Piwonii i Lotosu zaklaskali szczególnie mocno. Odwróciła się i stanęła bez ruchu, przywierając do nóg ojca. Patrzyła.

– 5-Nova Luis! Wstań i przyodziej się.

Zdażył wstać i znalazł się obok ojca, nim jeszcze ucichło echo słów. Ludzie znów wybuchnęli śmiechem, nie mieli nawet czasu zaklaskać. Hsing próbowała pochwycić wzrok Luisa, ale nie patrzył na nią. Z powagą obserwował dalszą część ceremonii. Ona także.

– Jest tu pięćdziesięcioro czworo siedmioletnich dzieci z piątego pokolenia – oznajmiła nauczycielka, gdy pośrodku kręgu nie pozostał już nikt. – Powitajmy je wszystkie. Niechaj poznają radości i obowiązki dorastania.

Wszyscy zaczęli wiwatować i klaskać, podczas gdy nagie dzieci niezręcznie, w pośpiechu, zmagając się z nieznanymi wcześniej dziurkami i guzikami, myląc nogawki z rękawami, przywdziewały swe pierwsze ubrania i stawały bez ruchu, elegancko przystrojone. Potem nauczyciele i dorośli zaczęli śpiewać „Co za szczęśliwy dzień”, ściskać się i całować. Hsing szybko miała dosyć, zauważyła jednak, iż Luisowi naprawdę się to podobało. Chłopak obejmował mocno dorosłych, których prawie nie znał.

Ed dał synowi czarne szorty i niebieską jedwabistą koszulę. Luis wyglądał w nich zupełnie inaczej, dokładnie tak, jak powinien. Rosa miała na sobie biały strój, bo jej matka była aniołem. Ojciec wręczył Hsing granatowe szorty i białą koszulę; w paczce od Jael znalazła błękitne spodnie i takąż koszulę w białe gwiazdy na jutro. Materiał szortów przy każdym ruchu ocierał jej uda, koszula opadała mięciutko na ramiona i brzuch. Hsing tańczyła z radości, ojciec chwycił ją za ręce i z poważną miną zatańczył wraz z nią.

– Moja dorosła córka – rzekł.

Jego uśmiech stał się zwieńczeniem tego wspaniałego dnia.

Luis jest inny

Różnica pomiędzy penisem i pochwą była tylko powierzchowna. Hsing poznała to słowo niedawno, usłyszała je od ojca i uznała za bardzo użyteczne. Luis nie różnił się od niej tylko z powodu tego jednego powierzchownego szczegółu. Był inny niż wszyscy. Nikt nie mówił „powinniśmy” tak jak Luis. Luis pragnął prawdy, nie kłamstw. Honoru. Na tym polegała różnica. Miał w sobie więcej honoru niż inni. Honor to coś jasnego i trudnego. Luis także był jasny i trudny, ale jednocześnie dokładnie tak samo miękki i czuły. Miał astmę, nie mógł oddychać, cierpiał na ostre bóle głowy, które na całe dni przykuwały go do łóżka. Chorował przed egzaminami, występami i uroczystościami. Był niczym nóż, który rani, i niczym rana. Wszyscy traktowali Luisa z szacunkiem i powagą, lubili go, lecz nie próbowali się do niego zbliżyć. Tylko ona wiedziała, że Luis był także dotykiem, który leczy rany.

V

Gdy skończyli dziesięć lat i w końcu pozwolono im odwiedzić coś, co nauczyciele zwali wirtualną Ziemią, a chi-po – V-Dichew, Hsing zareagowała oszołomieniem i zawodem. V-Dichew była niezwykła, ogromnie skomplikowana, a przecież prościutka. Powierzchnowa. Tworzyły ją programy. Było w niej nieskończone mnóstwo rzeczy, lecz jeden głupi rzeczywisty przedmiot, stara szczoteczka do zębów, miał w sobie więcej istnienia niż niezliczone roje przedmiotów i uczuć w Mieście, Dżungli bądź na Wsi. Hsing na Wsi miała nad głową ogromną nicość błękitnego powietrza, wędrowała po czymś zwanym trawą, pokrywającym nierówny pokład na niewiarygodne odległości, wznoszący się w niezwykłych kształtach (wzgórza), a dźwięk w jej uszach wywoływało szybko poruszające się powietrze (wiatr), któremu od czasu do czasu towarzyszył wysoki dźwięk iit-iit (ptaki), a owe rzeczy na czterech nogach na wiatrach, nie, na wzgórzach, były zwierzętami (bydło). Jednocześnie przez cały czas zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę siedzi w fotelu w szkolnej pracowni V numer dwa, otoczona maszynami. Jej ciało nie dawało się oszukać, z uporem powtarzając, iż nieważne, jak dziwna, zdumiewająca, pouczająca, ważna i historyczna jest V-Dichew, wciąż pozostaje fałszywa. Sny także bywają przekonujące, piękne, przerażające i ważne, ale Hsing nie chciała żyć we śnie. Pragnęła jawy we własnym ciele, chciała dotykać prawdziwych materiałów, prawdziwego metalu, prawdziwej skóry.

Poetka

Gdy miała czternaście lat, zamiast wypracowania napisała wiersz. Brzmiał następująco:

*W piątym pokoleniu
dziadek mojego dziadka wędrował pod niebem
i było to w innym świecie.*

*Mówią, że kiedy będę babcią, też powędruję pod niebem
innego świata.*

*Teraz jednak żyję radośnie w moim własnym świecie
tu, pośrodku nieba.*

Odkąd skończyła dziesięć lat, ojciec uczył ją chińskiego. Razem czytali klasyczne dzieła. Uśmiechnął się teraz, czytając chińską wersję wiersza, odczytując znak „pod niebem” – *t'ien hsia*. Ujrzała jego uśmiech i poczuła radość i dumę ze swego wykształcenia. Była niezmiernie dumna z faktu, iż Yao poznał ów znak, że połączyło ich to niemal sekretne, prywatne porozumienie.

Nauczyciel poprosił, by przeczytała głośno swój wiersz w obu językach podczas pierwszego ćwierćdnia klasowego drugorocznych licealistów. Następnego dnia wydawca „Q-4”, najsłynniejszego pisma literackiego świata, zadzwonił z pytaniem, czy mógłby go opublikować. Nauczyciel wysłał mu wiersz. Wydawca chciał, by przeczytała go do wersji audio.

– Potrzebuję twojego głosu.

Był roslim mężczyzną, brodatym, wyniosłym, pewnym siebie. Nazywał się 4-Bass Abby, był bogiem. Innych traktował niegrzecznie, jej nie. Podczas nagrania, kiedy się pomyliła, rzekł tylko:

– Jeszcze raz. Spokojnie, poetko.

Posłuchała.

Później przez jakiś czas miała wrażenie, że z głośników dobiega jej głos powtarzający: „Mówią, że kiedy będę babcią...”. Zaczepiali ją zupełnie nieznanymi ludźmi ze szkoły.

– Hej, słyszałem twój wiersz, był super.

Spodobał się zwłaszcza aniołom.

Oczywiście zamierzała zostać poetką. Będzie wielką poetką. Jak 2-Eli Ali, tyle że zamiast krótkich, niezwykłych wieloznacznych wierszy stworzy długi poemat o – no właśnie, o czym? Mógł być wielką epicką historią o pokoleniu O, zatytułowaną *Genesis*. Przez tydzień podniecona zastanawiała się nad tym pomysłem. Żeby jednak stworzyć coś takiego, musiałaby poznać całą historię, którą raczej się nie interesowała, przeczytać setki książek i zagłębić się w V-Dichew, poczuć, jak wyglądało ówczesne życie. Miną lata, nim w ogóle będzie mogła zacząć.

Może powinna pisać wiersze miłosne? W antologii światowej literatury znalazła ich mnóstwo. Miała wrażenie, że aby stworzyć wiersz miłosny, tak naprawdę nie trzeba nikogo kochać, może nawet fakt, iż kocha się naprawdę, przeszkadza w tworzeniu poezji. Może wystarczy pełen tęsknoty, bezinteresowny podziw, jakim darzyła Bass Abby i Rosę ze szkoły. To chyba dobry początek. Napisała zatem kilka wierszy miłosnych, lecz z różnych powodów wstydziła się pokazać je nauczycielowi. Pozostał zatem Luis. Luis od początku wątpił, by mogła zostać poetką. Musiała mu to udowodnić.

– Ten mi się podoba – rzekł.

Sprawdziła który.

*Czym jest ukryty w tobie smutek
Widoczny tylko w twym uśmiechu.
Chciałabym objąć go, utulić
W ramionach niczym śpiące dziecko.*

Do tej pory nie zastanawiała się nad tym wierszem, był taki krótki. Teraz jednak wydał jej się jakby lepszy.

– To o Yao, prawda? – spytał Luis.

– O moim ojcu? – Sugestia ta wstrząsnęła Hsing, jej policzki zapłonęły. – Nie, to wiersz miłosny!

– A kogo tak naprawdę kochasz oprócz ojca?

Znów ten rozsądny ton.

– Mnóstwo ludzi, a miłość to... Istnieją różne rodzaje miłości...

– Naprawdę? – zerknął na nią i zastanowił się chwilę. – Nie twierdziłem, że to wiersz o seksie. Wcale tak nie myślę.

– Jaki ty jesteś dziwny.

Hsing zręcznie wyrwała mu swój zapisak i zatrzasnęła teczkę opatrzoną napisem „Oryginalne wiersze 5-Liu Hsing”.

– W ogóle się nie znasz na poezji!

– Znam się na niej tak samo jak ty – odparł Luis ze swą pedantyczną szczerością. – Po prostu jej nie tworzę, to wszystko. Ty to potrafisz, czasami.

– Nikt nie pisze wyłącznie wielkich wierszy.

– Cóż. – Jej serce zawsze się ścisnęło, kiedy mówił „coż”. – Może nie dosłownie wyłącznie, ale dobrzy poeci osiągają zdumiewająco wysoką średnią. Weźmy Szekspira, Li Bai, Yeatsa, 2-Eli...

– Po co miałabym próbować stać się taka jak oni? – jęknęła.

– Nie twierdzą, że powinnaś być taka jak oni – odparł po chwili namysłu innym tonem.

Zorientował się, że mógł ją zranić, i to go zasmuciło. W smutku Luis łagodniał. Wiedziała dokładnie, co on czuje i dlaczego. I co zrobi. Znała też ognistą i gwałtowną, pełną żaru czułość wobec niego, wzbierającą gdzieś w jej wnętrzu. Czułość bolesną niczym siniak.

– I tak mnie to wszystko nie obchodzi. Słowa są zbyt nieporadne. Wolę matematykę. Chodźmy do Leny na salę gimnastyczną.

I gdy biegli przez korytarze, przyszło jej na myśl, iż w istocie wiersz, który spodobał się Luisowi, nie był o Rosie, jak wcześniej sądziła, ani o jej ojcu, jak sądził Luis, lecz o nim samym. Ale to wszystko głupoty bez sensu. No dobra, nie jest Szekspirem, za to uwielbia równania kwadratowe.

4-Liu Yao

Jakże byli chronieni. Jakże bezpieczni! Bezpieczniejsi niż najpilniej strzeżony księżę czy rozpieszczone dziecko bogaczy. Bezpieczniejsi niż wszystkie dzieci ziemi.

Nie znali zimnych wiatrów budzących dreszcze ani upałów i potu. Nie znali epidemii, przeziębień, gorączki, bólu zębów. Nie znali głodu, wojen, broni, niebezpieczeństwa. Nic w świecie im nie zagrażało, jedynie to, co groziło samemu światu. To jednak pozostawało rzeczą stałą, warunkiem istnienia, a przez to rzadko o tym myśleli, chyba że czasem we śnie pełnym straszliwych obrazów. Zniekształcone ściany świata, wygięte, pękające, bezdźwięczne wybuchy. Krwawa mgiełka, maleńki obłok pary w blasku gwiazd, cały czas groziło im niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo ich otaczało. Oto podstawa bezpiecznego bytowania, jego samo jądro: niebezpieczeństwo jest na zewnątrz. Oni żyli wewnątrz, wewnątrz swego świata otoczonego murami prawa, w bezpiecznym azylu. Tu żyli i tu nic im nie groziło, chyba że sami stworzyli zagrożenie.

– Ludzie to ryzykowna sprawa – rzekł z uśmiechem Liu Yao. – Rośliny nie wpadają w obłąd.

Yao był z zawodu ogrodnikiem. Pracował w dziale inżynierii hydroponicznej i w laboratorium genetycznej jakości i kontroli roślin. Każdy roboczy dzień i wiele wieczorów spędzał w ogrodach. Kwaterna 4–5-Liu była pełna domowych roślin – bulw w pojemnikach z wodą, kwitnących krzewów w donicach pełnych błota, epifitów zwieszających się z otworów wentylacyjnych i instalacji świetlnych. Wiele z nich szybko umierało. Hsing wierzyła, że ojciec żałuje tych błędów genetycznych. Czuje się winny i przynosi je do domu, by umarły w spokoju. Od czasu do czasu jedna z eksperymentalnych roślin rozkwitała pod opieką cierpliwego ogrodnika i triumfalnie powracała do laboratorium, odprowadzana lekkim, pozornie błahym uśmiechem Yao.

4-Liu Yao był niskim, szczupłym, przystojnym mężczyzną o gęstej, czarnej, a obecnie szpakowatej czuprynie. Nie zachowywał się jak przystojniak. Był opanowany, uprzejmy, lecz nieśmiały. Dobry słuchacz, rzadko się odzywał; gdy przebywał w towarzystwie więcej niż dwóch osób, niemal zawsze milczał. Lecz z matką czy Liu Meiling, przyjacielem 4-Wang Yuenem bądź z córką Hsing rozmawiał chętnie, nie narzucając swego zdania. Panował doskonale nad swą skrytą miłością do chińskiej klasyki, roślin, do córki. Dużo myślał, dużo czuł. Zwykle zadowalał się postępowaniem wedle własnych myśli i uczuć, samotnie, w milczeniu niczym człowiek płynący z prądem małą łodzią po wielkiej rzece, który czasami steruje, lecz zwykle daje się ponieść nurtowi. Yao znał łodzie i rzeki, prądy i urwiska jedynie z obrazków i filmów, słów i wierszy. Czasami śniło mu się, że siedzi w łodzi na rzece, lecz sny były mętne i niewyraźne. Znał jednak błoto, znał je doskonale, w nim pracował. Znał też wodę i powietrze – skromne, przezroczyste, niewidzialne, cudowne fundamenty życia. Prawdziwie cudowne. Bańka pełna wody i powietrza szybowała w suchej czarnej próżni, odbijając blask gwiazd, a on żył wewnątrz niej.

3-Liu Meiling mieszkała w zespole kwater zwanym Kompleksem Piwonii. Korytarz od kwatery syna. Prowadziła niezwykle bogate życie towarzyskie, ograniczone niemal wyłącznie do ludności chińskiego pochodzenia z kwadrantu drugiego. Z zawodu była chemikiem, pracowała w laboratoriach tkanin, ale nigdy nie lubiła swej pracy. Gdy tylko mogła, przeszła na pół etatu, a potem na emeryturę. Twierdziła, że woli opiekować się dziećmi w przedszkolu, bawić się, grać o kwietne ciasteczka, rozmawiać, śmiać się, plotkować, dowiadywać, co dzieje się w sąsiedztwie. Uwielbiała syna i wnuczkę, często wpadała do ich kwatery, przynosząc pierożki, ciasteczka ryżowe i plotki. „Powinniście przenieść się do Piwonii” – powtarzała często, wiedziała jednak, że tego nie zrobią, bo Yao nie przepadał za ludźmi. I dobrze, tyle że miała nadzieję, iż kiedy Hsing postanowi urodzić dziecko, zostanie wśród swoich. To także często powtarzała. „Matka Hsing to wspinała kobieta, lubię Jael – mówiła synowi – ale nigdy nie zrozumie, czemu nie mogłeś umówić się na urodzenie córki z jedną z dziewcząt Wongów, wówczas mama Hsing mieszkałaby tutaj, w kwadrancie drugim. Byłoby naprawdę miło. Wiem jednak, że zawsze postępujesz po swojemu, i muszę przyznać, że choć Hsing jest tylko w połowie chińskiego pochodzenia, nikt by tego nie powiedział. Wyrośnie na prawdziwą piękność, więc przypuszczam, że wiedziałeś, co robisz, jeżeli w ogóle ktokolwiek to wie, gdy przychodzi do kochania i płodzenia dzieci. A wątpię. To przede wszystkim szczęście i tyle. Wpadła w oko młodemu 5-Li, zauważyłeś wczoraj. On ma dwadzieścia trzy lata, to dobry, uczciwy chłopak. O, jest Hsing! Dobrze, że zapuściłaś włosy. Są piękne. Powinnaś stale nosić długie”.

Ciepły, przyjemny potok bezinteresownych słów matki – oto kolejny strumień, w którym Yao unosił się spokojnie, aż w końcu w jednej chwili wszystko się skończyło. Cisza. Pęcherzyk pękł. Pęcherzyk w jednej z arterii mózgowych, tak przynajmniej twierdzili lekarze. Przez kilka godzin 3-Liu Meiling patrzyła w niemym zdumieniu na coś, czego nikt inny nie widział. Potem umarła. Miała zaledwie siedemdziesiąt lat. Życiu wciąż grozi niebezpieczeństwo z zewnątrz, od wewnątrz. Ludzie to ryzykowna sprawa.

Szybujący świat

Skromny pogrzeb urządzono w Kompleksie Piwonii. Następnie syn i wnuczka wraz z technikiem zabrali ciało 3-Liu Meiling do Centrum Życia. Tam poddadzą je recyklingowi – chemicznemu procesowi rozkładu i ponownego wykorzystania. Jako chemik doskonale знаła ów proces. Wciąż pozostanie częścią ich świata, nie jako istota żywa, lecz nieskończone stawanie się. Będzie częścią dzieci, które urodzi Hsing, wszyscy byli częścią siebie nawzajem. Zużywani i używający, jedzący i zjadani.

Wewnątrz bańki, która mieści ograniczoną ilość powietrza, nie więcej, ograniczoną ilość wody, nie więcej, określoną ilość jedzenia, nie więcej, określoną ilość energii, nie więcej – niczym akwarium doskonale zrównoważone, samowystarczalne: jeden sumik, dwa mieczyki, trzy moczarki, sporo glonów, trzy ślimaki, może cztery, ale żadnych larw ważki – wewnątrz bańki populacja musi pozostawać pod ścisłą kontrolą.

Meiling umiera i zostaje zastąpiona, ale nie więcej. Każdy może mieć dziecko. Niektórzy nie mogą, nie chcą bądź po prostu ich nie mają. Część dzieci umiera wcześniej, toteż jeśli ktoś pragnie mieć dwoje dzieci, może mieć dwoje. Cztery tysiące to niezbyt duża liczba,

starannie utrzymywana na tym poziomie. Cztery tysiące to niezbyt wielka pula genów, lecz wciąż pilnowana i kontrolowana. Androgenetycy są równie beznamiętni i uważni jak Yao w laboratoriach hodowli roślin. Nie eksperymentują jednak, czasami udaje im się wychwycić wadę u samego źródła, lecz nie mają środków pozwalających manipulować, wprowadzać zmiany, rekombinacje. Pokolenie zero zostawiło niezbędny sprzęt, potężny i skomplikowany, udoskonalany podczas ciągłych badań zasobów planetarnych. Androgenetycy mają dobre narzędzia, znają się na swojej pracy. A praca ta polega na utrzymywaniu, zachowaniu, i to dosłownie, jakości życia.

Każdy, kto zechce, może mieć dziecko, jedno, najwyżej dwoje. Kobieta ma matkodziecko, mężczyzna – ojcodziecko. Układ ten jest niesprawiedliwy wobec mężczyzn, którzy muszą przekonać kobietę, by urodziła im dziecko. Jest też niesprawiedliwy wobec kobiet, które poświęcają trzy czwarte roku swego życia na noszenie cudzego potomka. Wobec kobiet, które pragną dziecka, a nie mogą począć, albo które współżyją wyłącznie z kobietami, jest podwójnie niesprawiedliwy, gdyż muszą namówić do współpracy zarówno mężczyznę, jak i kobietę, przekonać, by spotkali się i oddali im dziecko. Krótko mówiąc, układ ów jest niesprawiedliwy, ale też seksualność i sprawiedliwość niewiele mają z sobą wspólnego. Miłość i przyjaźń, sumienie, dobroć i upór pozwalają zachować niesprawiedliwe układy, choć nie bez problemów i bólu, i nie zawsze.

Małżeństwo i związki to opcje nieformalne, często ludzie decydują się na nie, gdy dzieci są jeszcze małe, bo wielu kobietom trudno jest rozstać się z ojcodzieckiem, a kwatery czteroosobowa zapewnia luksus dużej przestrzeni.

Wiele kobiet w ogóle nie chce rodzić ani wychowywać dziecka, inne uważają swą płodność za przywilej i obowiązek, jeszcze inne szczycą się nią. Od czasu do czasu zdarza się kobieta, która przechwala się liczbą urodzonych ojcodzieci niczym gracz w koszykówkę wynikami.

5-Steinfeld Jael urodziła Hsing. Jest matką Hsing, ale Hsing nie jest jej dzieckiem. Hsing to dziecko 4-Liu Yao, jego ojcostwa. Dzieckiem Jael jest Joel, jej matkosyn, sześć lat starszy od przyrodniej siostry Hsing, dwa lata młodszy od przyrodniego brata 4-Adami Setha. Każdy ma swoją kwatery. Pojedyncza to półtora pokoju. Pokój to dwadzieścia siedem metrów sześciennych. Standardowe pomieszczenie ma wymiary trzy na cztery na dwa i pół metra, ale ponieważ grodzie są ruchome, można dowolnie zmieniać proporcje wewnątrz przydzielonej przestrzeni. Podwójna kwatery, taka jak 4-5-Liu, zazwyczaj dzieli się na dwie małe komórki sypialne i duże pomieszczenie wspólne. Gdy ludzie łączą się w związki, a każdy z nich ma jedno lub dwoje dzieci, ich kwatery stają się całkiem spore. 3-4-5-Steinman-Adami, czyli Jael, Joel i 3-Adami Manhattan, z którym Jael od lat pozostaje w związku, a także ojcostwa 3-Adami Manhattan, Seth, mają w sumie sto dziesięć metrów sześciennych przestrzeni. Mieszkają w kwadracie czwartym, wraz z wieloma innymi, ludźmi pochodzenia amerykańskiego i europejskiego. Jael, jak zawsze skłonna do dramatyzmu, znalazła pokoje w zewnętrznym łuku, wysokie na ponad trzy metry. „Sufit jest jak niebo! – krzyczy. – Pomalowałam go na jasnoniebiesko. Czujesz różnicę?” – pyta często. To jak wyzwolenie, wolność.

W istocie gdy Hsing odwiedza Jael, źle czuje się w jej pokojach. Wydają się za duże i zimne. Mnóstwo zamalowanej przestrzeni nad głowami. Jael jednak wypełnia je swoim ciepłem, dźwięcznym złotym głosem, jaskrawymi barwami strojów, pełnią istnienia.

Gdy Hsing zaczęła menstruować i uczyć się używania środków zapobiegawczych, a

także zastanawiać nad seksem, Jael i Meiling poinformowały ją, iż urodzenie dziecka to szczęście. Były zupełnie różnymi kobietami, użyły jednak tego samego słowa. „Największe szczęście – powiedziała Meiling. – To takie interesujące. W żadnej innej sytuacji nie używasz całej siebie”. Jael zaś opowiadała o związku łączącym matkę z dzieckiem w jej łonie, o tym, że karmienie noworodka to jakby część seksu, przedłużenie i uzupełnienie. Kobieta ma szczęście, jeśli tego doświadczy. Hsing słuchała, milcząc, skromnie, z niedowierzaniem właściwym dziewczicom. Dojdzie do własnych wniosków we właściwym czasie.

Wielu chi-po z mniej lub bardziej milczącą dezaprobatą przyjęło fakt, iż Yao poprosił kobietę z innego kwadranta, innego pochodzenia, by urodziła mu dziecko. Ludzie z kręgu Jael pytali ją, czy pragnęła egzotycznych przeżyć. Prawda zaś była taka, że Jael i Yao zakochali się w sobie na zabój, ale byli dość dorośli, by zrozumieć, że łączy ich tylko miłość. Jael spytała Yao, czy mogłaby urodzić jego dziecko. Poruszony do głębi serca zgodził się. Hsing była owocem niegasnącej namiętności. Gdy tylko Yao przyprowadzał córkę do matki, Jael chwyciła go w objęcia z tak głęboką, gorącą radością i zachwytem, że jedynie mężczyzna równie zadowolony z życia i siebie samego jak Adami Manhattan mógł uniknąć ataków zazdrości. Manhattan był potężnym, mocno owłosionym mężczyzną. Być może to, iż był o dwadzieścia centymetrów wyższy i miał o piętnaście lat więcej niż Yao, pomogło mu uwolnić się od zazdrości.

Dziadkowie także pozwalali zwiększyć rozmiar kwatery. Czasami krewni, przeważnie rodzeństwo, ich rodzice i dzieci zbierali się razem w jeszcze większych pomieszczeniach. Tuż obok kwatery 4–5-Liu leżała siedziba 3–4–5-Wangów – Kompleks Lotosu. To jedenaście samodzielnych kwater z grodziami ustawionymi tak, by tworzyły wewnętrzny dziedziniec, miejsce stale pełne gwaru i ruchu. Kompleks Piwonii, w którym Meiling spędziła całe swe życie, składał się czasem z ośmiu, czasem z osiemnastu kwater. Ludzie żadnego innego pochodzenia nie żyli w tak dużych grupach.

W istocie w piątym pokoleniu wielu ludzi straciło wszelkie poczucie, czym jest pochodzenie, uznając je za coś nieistotnego. Z dezaprobatą traktowali tych, którzy na pochodzeniu opierali swą wspólnotę i jej zwyczaje. W Radzie mówiono niechętnie o zamknięciu terenu zamieszkanego przez ludzi pochodzenia chińskiego. Krytycy nazywali je separatyzmem z kwadu drugiego, a czasem gorzej, rasizmem. Ci zaś, którzy praktykowali owe zwyczaje – „zachowaniem naszych tradycji”. Chi-po protestowali przeciw nowej polityce administracji szkolnej, nakazującej przeniesienie nauczycieli z kwadrantu do kwadrantu, tak by dzieci uczyli też ludzie innego pochodzenia, z innych społeczności. Zostali jednak przegłosowani.

Bańka

Niebezpieczeństwo, ryzyko.

W szklanej bańce, kruchym świecie, istnieje niebezpieczeństwo rozłamu, spisków, niebezpieczeństwo szaleństwa, obłądki i przemocy. Żadna istotna decyzja nie może zostać podjęta przez jedną osobę bez rady innych. Od samego początku nikomu nie wolno było samotnie zasiadać przy monitorach systemów. Zawsze w pobliżu czekało wsparcie, ktoś obserwował. Mimo to doszło do kilku incydentów, choć żaden nie miał poważniejszych,

trwałych konsekwencji.

Co jest zupełnie normalnym, naturalnym zachowaniem istot ludzkich? Co jest zboczeniem, a co nie?

– Czytajcie historię – mówi nauczyciel. – Historia uczy nas, kim jesteśmy, jak postępowaliśmy i jak powinniśmy się przystosować do innych.

Naprawdę? Historia na książkoekranach, ziemską historię, odrażający zapis niesprawiedliwości, okrucieństwa, niewoli, nienawiści, morderstw – zapis usprawiedliwiany i gloryfikowany przez wszystkie rządy i instytucje. Zapis marnowania ludzkiego życia, życia zwierzęcego, roślinnego, powietrza, wody, planety. Jeśli tacy jesteśmy, czy możemy w ogóle mieć nadzieję? Historia mówi nam, czego powinniśmy unikać. Tacy byliśmy, ale tacy nie jesteśmy. Historia to coś, czego nie powinniśmy powtarzać.

Od plamy słonego oceanu oderwała się bańka. Szybkuje swobodnie w przestrzeni.

By dowiedzieć się, kim jesteśmy, nie należy zaglądać do historii, lecz do sztuki, zapisów najlepszych dzieł sztuki, geniuszy. Stare, smutne holenderskie twarze wyglądają z mroku zagubionego stulecia. Matka o pięknej smutnej twarzy pochyla się nad martwym synem leżącym jej na kolanach. Stary szalony król płacze nad ciałem zamordowanej córki. Nigdy, nigdy, nigdy, nigdy, nigdy. Współczujący z nieskończoną łagodnością mamrocze. To nie trwa, nie może trwać, tak żyć nie można. „Śpij, śpij” – brzmią słowa kołysanek. „Uwolnij mnie” – błagają tęskne pieśni niewolnicze. Symfonie wznoszą się falą dźwięków, blaskiem w ciemności, a poeci, szaleni poeci krzyczą zrodzone straszliwe piękno. Ale to obłąd. Oni wszyscy są starzy i szaleni. Ich piękno jest straszliwe. Nie czytajcie poetów. Oni nie przetrwali, nie mogli przetrwać, tak żyć nie można. Pisali o innym świecie, świecie błota. O zbyt twardym, zbyt solidnym świecie, który zerowi opuścili.

Ti Chiu, Dichew, kula błota, Ziemia, planeta śmieci – to archaiczne słowa, słowa historyczne związane jedynie z obrazami historii. Pojemniki wypełniano „brudem”, śmieciami przesypanywanymi do dużych pojemników, które wywoziły je na „wysypiska” i „wyrzucały”. Co to znaczy – wyrzucały? Gdzie?

Roxana i Rosa

Hsing miała szesnaście lat, gdy przeczytała dzienniki O-Fayez Roxany. Ów badawczy umysł, stale kwestionujący własną uczciwość, był niezmiernie pociągający dla nastolatki. Roxana bardzo przypomina Luisa, myślała Hsing, tyle że jest kobietą. Czasami potrzebowała bliskości kobiecego umysłu, nie umysłu mężczyzny, lecz Lena miała obsesję na punkcie wyników w koszykówce, Rosa stała się aniołem pełną gębą, a babcia umarła. Hsing czytała więc dzienniki Roxany.

Po raz pierwszy uświadomiła sobie, iż ludzie z pokolenia zero, twórcy świata, wierzyli, iż zmuszają swych potomków do niezwykłego, gigantycznego poświęcenia. To, z czego zerowi zrezygnowali, co utracili, porzucając Ziemię – Roxana zawsze posługiwała się tą nazwą – wynagrodziła im ich misja, nadzieja i (Roxana świetnie to rozumiała) ogromna władza, którą dysponowali, tworząc materię życia, środowisko dla tysięcy ludzi z nadchodzących pokoleń. „Jesteśmy bogami »Odkrywcy«. Niech prawdziwi bogowie wybaczą nam naszą arogancję!” – napisała Roxana.

Gdy jednak zastanawiała się nad tym, co dopiero nadejdzie, nie pisała o swych potomkach jak o dzieciach bogów, lecz jak o ofiarach godnych współczucia, bezradnych więźniach pragnień swych przodków. „Czy zdołają nam wybaczyć? Nam, którzy odebraliśmy im świat, nim jeszcze na niego przyszli – odebraliśmy im morza, góry, łąki, miasta, światło słońca, wszystko, do czego mają prawo. Uwięziliśmy ich w klatce, w wielkiej puszcze, w pudełku na okazy, w którym będą żyć i umierać niczym szczury laboratoryjne, i nigdy nie ujrzą księżyca, nie pobiegną przez pole, nie zaznają wolności!”.

Nie wiem, co to jest klatka, puszcza i pudełko na okazy, ale cokolwiek oznacza szczur laboratoryjny, ja nim nie jestem. Biegłam przez V-pole na Wsi. Można być wolnym bez pól, wzgórz i wszystkich tych rzeczy. Wolność to swoboda umysłu, stan duszy, nie ma nic wspólnego z Dichew. Nie martw się, babciu Roxano, wszystko się udało, stworzyliście cudowny świat, byliście mądrym, życzliwym bogiem.

Kiedy Roxana zaczynała opłakiwać los biednych potomków, zwykle oznaczało to, że zaraz zacznie rozpisywać się na temat Shindychew, którą nazywała planetą docelową albo Celem. Czasami dawno nieżyjąca autorka radowała się na myśl o Shindychew, zwykle jednak zamartwiała się, czy planeta będzie nadawać się do zamieszkania, czy będzie na niej życie, jakie życie. Co zastaną tam „osadnicy”. Jak poradzą sobie z tym wszystkim. Czy prześlą informację na Ziemię. To było dla niej niezmiernie ważne. Zabawne, biedna Roxana przejmowała się, jakie sygnały jej dalecy potomkowie wyślą za dwieście lat do „domu”, miejsca, w którym nigdy nie byli! Lecz ów dziwaczny pomysł bardzo ją pocieszał, stanowił usprawiedliwienie wszystkiego, co zrobili. Powód ich istnienia. „Odkrywca” stworzy poprzez przestrzeń olbrzymi, delikatny tęczy łuk łączący dwie planety i powędrują nim prawdziwi bogowie, informacje, wiedza. Bogowie racjonalni. Oto obraz, który często pojawia się w dzienniku Roxany, jej ukojenie.

Hsing z irytacją przyjęła wizję bogów. Ludzie wywodzący się z kultur monoteistycznych nie potrafili się od nich uwolnić. Przyziemne, metaforyczne bóstwa Roxany i tak były lepsze niż pisani dużą literą Bogowie i Ojcowie w historii i literaturze. Ale nie przepadała za żadnym z nich.

Przesłanie

Zawiedziona Roxaną Hsing pokłóciła się z przyjaciółką.

– Rosie, wolałabym, żebyś mówiła o czym innym.

– Chcę po prostu podzielić się z tobą moim szczęściem – odparła Rosa głosem błogości, miękkim, łagodnym i równie ustępliwym jak stalowa belka.

– Kiedyś byliśmy razem szczęśliwe bez wspomnienia o błogości.

Rosa spojrzała na nią z bezmyślną czułością, która obraziła Hsing. Hsing sama nie wiedziała dlaczego, lecz uraza sięgnęła bardzo głęboko. Miała ochotę krzyknąć: „Byliśmy przyjaciółkami, Rosie!”.

– Jak sądzisz, czemu tu jesteśmy, Hsing?

Nie ufając pytaniu, Hsing zastanowiła się chwilę. W końcu odpowiedziała:

– Jeśli pytasz dosłownie, jesteśmy tu, ponieważ pokolenie zerowe nas tu sprowadziło. Jeśli w bardziej abstrakcyjnym sensie, odrzucam to pytanie jako podchwytliwe. Pytanie „dlaczego?” zakłada cel, ostateczną przyczynę. Pokolenie zerowe miało taki cel: wysłać statek na inną planetę. My wykonujemy zadanie.

– Ale dokąd lecimy? – spytała Rosa z ową przejmującą słodyczą, ludzkim uporem, który sprawiał, że Hsing wzdrygała się, przechodząc do defensywy.

– Do Celu, na Shindychem, a gdy tam dotrzemy, obie będziemy starymi babciami.

– Po co tam lecimy?

– Aby zebrać informacje i odesłać je. – Hsing dysponowała tylko odpowiedzią Roxany. Nagle się zawahała. Uświadomiła sobie, że to uczciwe pytanie, a ona nigdy na nie tak naprawdę nie odpowiedziała. – I żeby tam zamieszkać, dowiedzieć się czegoś o... wszechświecie. Jesteśmy wyprawą odkrywczą na „Odkrywcy”.

W tym momencie uświadomiła sobie, skąd wzięła się nazwa świata.

– Aby odkryć...?

– Rosie, takie pytania stawia się w przedszkolu. „A co robimy z tą ładną brzuchatą literką?”. Daj spokój, rozmawiaj ze mną, nie manipuluj.

– Nie bój się, aniele. – Rosa uśmiechnęła się, widząc gniew Hsing. – Nie lękaj się radości.

– Nie nazywaj mnie aniołem. Lubiałam cię, kiedy byłaś tylko sobą, Rosie.

– Nie miałam pojęcia, kim jestem, póki nie zaznałam błogości.

Rosa przestała się uśmiechać. Wypowiedziała te słowa z taką prostotą, że Hsing poczuła jednocześnie i podziw, i wstyd. Ale gdy odeszła, ogarnął ją głęboki smutek. Straciła wieloletnią przyjaciółkę. Jakiś czas nawet ją kochała. Nie założyła związku, gdy dorosną, choć o tym marzyła. Nigdy w życiu nie zostanie aniołem. Och, Rosie, Rosie! Próbowała napisać wiersz, zdołała jednak ułożyć zaledwie dwie linijki:

*Zawsze będziemy się spotykać, lecz nigdy się już nie spotkamy,
Bo nasze korytarze rozeszły się ostatecznie.*

Co znaczy odejść w zamkniętym świecie?

To była pierwsza prawdziwa strata, jaką przeżyła Hsing. Babcia Meiling odwiedzała ich, przepełniała radością. Jej śmierć przyszła tak niespodziewanie, tak cicho, tak gwałtownie, że Hsing nie do końca pojęła, iż Meiling odeszła. Wciąż miała wrażenie, że babcia żyje gdzieś w innym korytarzu. Myśl o niej nie niosła pociechy ani smutku. Lecz Rosa odeszła naprawdę.

Hsing z całą energią i namiętnością młodości rzuciła się w otchłań smutku. Wędrowała w cieniu, jej myśli pochłonał mrok. Ognista niechęć wobec aniołów za to, że odebrali jej Rosę, sprawiła, iż Hsing po raz pierwszy pomyślała, że starsi mają rację. Nie ma sensu próbować zrozumieć ludzi innego pochodzenia. Są inni, obcy, najlepiej ich unikać, trzymać się swoich. Wędrować środkiem, bezpieczną ścieżką. Nawet Yao, zmęczony ciągłymi kazaniami o błogości wygłaszanymi przez współpracowników w laboratorium roślinnym, cytował Starego Długouchego: „Mówią, a nie wiedzą, wiedzą, a nie mówią”.

Głupcy

– A zatem wy wiecie – rzekł Luis, gdy powtórzyła mu ów cytat. – Wy, chi-po.
– Nie, nikt nie wie, po prostu nie lubię kazań.
– Ale mnóstwo ludzi lubi – zauważył Luis. – Lubią je wygłaszać i lubią ich słuchać. Najróżniejsi ludzie.

Nie my, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno. Ostatecznie Luis nie był pochodzenia chińskiego.

– Tylko dlatego, że masz płaską twarz – dodał – nie musisz tworzyć z niej muru.
– Nie mam płaskiej twarzy, to rasistowska uwaga.
– Ależ masz, jak chiński Wielki Mur. Daj spokój, Hsing, to ja, mieszaniec Luis.
– Nie jesteś bardziej mieszańcem niż ja.
– Znacznie bardziej.
– Nie sądzisz chyba, że Jael to Chinka.
– Nie, jest czystą am-po, ale moja matka to pół Euro, pół Indo, mój ojciec jest w jednej czwartej Latynosem, w jednej czwartej Afrykaninem, a w połowie Japończykiem, jeśli czegoś nie poplątałem. Cokolwiek to znaczy, sprowadza się do faktu, iż nie mam pochodzenia, tylko przodków. Ty wyglądasz jak Yao i twoja babcia, mówisz jak oni, nauczyli cię chińskiego, dorastałaś wśród swoich pobratymców, a teraz, w tej chwili, jesteś gotowa dokonać starego aktu separacji chi-po. Twoi przodkowie to najbardziej rasistowski lud w dziejach.

– Nieprawda, Japończycy... Euro... Amerykanie...

Jakiś czas kłócili się pogodnie, przerzucając się szczątkowymi danymi. W końcu uznali, że prawdopodobnie wszyscy mieszkańcy Dichew byli rasistami, a także seksistami, snobami i mieli obsesję na punkcie pieniędzy, owego kompletnie niezrozumiałego, ale wszechobecnego elementu wszystkich dziejów. Potem zeszli na ekonomię, którą próbowali zrozumieć podczas zajęć z historii. Jakiś czas bardzo niemądrze rozmawiali o pieniądzu: skoro wszyscy mają dostęp do tego samego pożywienia, ubrań, mebli, narzędzi, wykształcenia, informacji, pracy i władzy, gromadzenie dóbr nie ma sensu, bo wszystko można dostać na żądanie, a hazard to próżny sport, bo nie ma czego stracić. Bogactwo i bieda stają się ledwie przenośniami: bogate życie, nędza ducha. Jak wówczas można pojąć

znaczenie pieniędzy?

– Naprawdę byli strasznymi głupcami. – Hsing wypowiedziała głośno herezję, do której wcześniej czy później dochodzą wszyscy młodzi ludzie.

– Zatem my też nimi jesteśmy. – Może Luis wierzył w to, może nie.

Hsing westchnęła głęboko, patrząc na fresk na ścianie szkolnej śniadalni. Obecnie był to abstrakcyjny obraz, miękkie różowe krzywizny przeplatające się ze złotymi.

– Och, Luis, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Byłabyś strasznym głupcem.

Skinęła głową.

4-Nova Ed

Luis okazał się zdecydowanie nie taki, jak chciał jego ojciec. I obaj o tym wiedzieli. 4-Nova Ed był mężczyzną, którego sens istnienia skupiał się w genitaliach. Najważniejsze były stymulacja i zaspokojenie, lecz prokreacja także odgrywała w jego życiu istotną rolę. Pragnął syna, by przedłużyć nazwisko i przekazać przyszłości swoje geny. Chętnie pomagał spłodzić dziecko każdej kobiecie, która go o to poprosiła, i uczynił to trzy razy. Ale matki własnego ojcosyna szukał długo i starannie. Studiował każde słowo kilkunastu wykresów zgodności i rozbieżności genetycznych, choć czytanie generalnie nie należało do jego ulubionych czynności. A gdy w końcu uznał, że znalazł tę jedyną, upewnił się, iż ona zgodzi się dokonać wyboru płci.

– Gdybym miał dwoje, może być dziewczynka, ale przy jednym to musi być syn, prawda?

– Chcesz syna, dostaniesz syna – odparła 4-Sandstrom Lakshmi i urodziła mu go.

Była to kobieta aktywna i wysportowana, bardzo źle czuła się w ciąży i żałowała zmarnowanego czasu, toteż nigdy więcej nie powtórzyła już tego doświadczenia.

– Ma twoje wielkie, przeklęte brązowe oczy, Ed. Nigdy więcej. Weź go sobie, jest cały twój.

Od czasu do czasu Lakshmi zaglądała do kwatery 4-5-Nova, zawsze przynosząc zabawkę stosowną do wieku, jaki Luis miał rok wcześniej albo osiągnie za pięć lat. Zwykle uprawiali z Edem seks, który Lakshmi nazywała pamiątkowym, a po wszystkim mówiła: „Zastanawiam się, co ja wtedy myślałam. Nigdy więcej. Ale chyba chowa się dobrze, prawda?”. „Dzieciak jest w porządku – odpowiadał ojciec ze sztucznym zapałem. – Twój mózg, moja aparatura”.

Lakshmi pracowała w ośrodku łączności, Ed był fizjoterapeutą, i to bardzo dobrym. Jak mawiał, jego myśli kryły się w dłoniach. „Dlatego właśnie jestem tak dobrym kochankiem” – powtarzał partnerkom i miał rację. Był też dobrym rodzicem dla dziecka, wiedział, jak je trzymać, jak się z nim obchodzić, i uwielbiał to. Nie bał się niemowlęcia. Nie budziło w nim nieświadomych obaw, które często paraliżują mniej męskich mężczyzn. Niezmiernie cieszyła go kruchość i energia maleńkiego ciała. Przez pierwsze lata kochał Luisa jako krew ze swej krwi, całym sercem, później zaczęły się problemy. Lata mijały i owa czysta radość zniknęła pod ciężarem innych uczuć, urazów i niechęci.

Chłopak, choć milczący, miał silną wolę, był też uparty, nigdy nie ustępował, do niczego nie podchodził lekko. Cierpiał na kolkę, każdy ząb stanowił wyzwanie, miewał napady duszności. Nauczył się mówić szybciej, niż chodzić. Gdy miał trzy lata, swoimi

wypowiedziami zaskakiwał Eda. „Nie kombinuj tak bardzo” – upominał go ojciec. Był zawiedziony synem i wstydził się własnego zawodu. Pragnął towarzysza, sobowtóra, syna, którego nauczyłyby grać w racquetball – Ed był w nim przez sześć lat mistrzem drugiego kwadu.

Luis posłusznie nauczył się grać, choć nie szło mu dobrze. W rewanżu próbował nauczyć ojca gry słownej zwanej gramatyką, która doprowadzała Eda do szału. Świetnie radził sobie w szkole i Ed próbował być z niego dumny. Zamiast ganiać się z dziećmi, Luis zawsze sprowadzał do siebie jedną z chi-po, dziewczynkę Liu Hsing. Zamykali się w pokoju i cicho bawili całymi godzinami. Ed oczywiście sprawdzał, co robią. Nic gorszego niż zwykle dzieciaki, ucieszył się jednak, kiedy przeszli ceremonię i zaczęli nosić ubrania. W szortach i koszulkach wyglądali jak miniatutki dorosłych. Nagość sprawiała, że wydawali się śliscy, nieuchwytni, tajemniczy.

Luis postępował zgodnie ze wszystkimi prawami i zasadami dorastania. Wciąż wolał Hsing od wszystkich chłopców. Często się widywali, nigdy jednak nie zostawali sami za zamkniętymi drzwiami, co oznaczało, że gdy Ed był w domu, musiał słuchać ich rozmów i pracy nad szkolnymi zadaniami. Cały czas tylko gadali i gadali, do diabła, gadali, póki dziewczyna nie skończyła dwunastu lat. Wówczas prawo jej przodków nakazywało, że może spotykać się z chłopcem tylko w miejscach publicznych, w obecności innych ludzi. Edowi bardzo to odpowiadało. Miał nadzieję, że Luis zainteresuje się innymi dziewczynami. Może dołączy do chłopaków. Luis i Hsing istotnie dołączyli do grupy nastolatków z drugiego kwadu, ale zawsze kończyli gdzieś we dwójkę, pogrążeni w rozmowie.

– Kiedy skończyłem szesnaście lat, spałem już z trzema dziewczynami – oznajmił Ed – i kilkoma facetami.

Nie zabrzmiało to tak, jak zamierzał. Chciał zwierzyć się Luisowi, zachęcić go. Zamiast tego można było odnieść wrażenie, że się przechwala albo, co gorsza, czyni mu wyrzuty.

– Ja nie chcę jeszcze uprawiać seksu – odparł chłopak sztywno.

Ed nawet go nie winił.

– To nic takiego.

– Dla ciebie to ważne – rzekł Luis – czyli chyba i dla mnie.

– Nie, nie o to chodzi. – Ed nie potrafił wyrazić, czego pragnął. – To nie tylko zabawa – rzekł w końcu bez przekonania. Chwila ciszy. – I lepsze niż walenie konia.

Luis przytaknął. Najwyraźniej zgadzał się w pełni.

Cisza.

– Chcę po prostu zorientować się, jak to jest. Może, no wiesz, poszukam własnej drogi – powiedział w końcu chłopak wolniej i z większym namysłem niż zwykle.

– W porządku – odparł ojciec i rozstali się ku wzajemnej uldze.

Może i chłopak jest nieco powolny, pomyślał Ed, ale przynajmniej dorósł w kwaterze, gdzie nie brakowało zdrowego, otwartego, radosnego seksu. A to już jakiś przykład.

O naturze

Ed spał z mężczyznami, to ciekawa informacja. Zapewne czynił to w ramach młodzieńczych eksperymentów, bo Luis wiedział, że ojciec nigdy nie sprowadził do domu mężczyzny, ale kobiety – owszem. Prawdopodobnie sypiał z każdą kobietą swojego pokolenia, pomyślał Luis, a teraz przyprowadzał już co starsze piątki. Luis znał na pamięć odgłosy towarzyszące orgazmowi ojca – ostre, coraz głośniejsze ha, ha, ha! Znał też wszelkie możliwe odmiany kobiecych okrzyków, jęków, zawodzeń, westchnień i pomruków rozkoszy. Najgłośniejsze krzyki wydawała z siebie 4-Yep Sosi, fizjoterapeutka z trzeciego kwadu. Odwiedzała ich od czasu do czasu, odkąd Luis pamiętał. Zawsze przynosiła mu ciasteczka gwiazdki, nawet teraz. Sosi zaczynała, wydając z siebie głośne a, a, jak wiele innych kobiet. Potem jednak jej achy stawały się coraz głośniejsze i dłuższe, wznosząc się w nieubłaganym, bezrozumnym crescendo, tak przeszywającym, że kiedyś babcia 2-Wong po drugiej stronie korytarza wzięła to za syrenę alarmową i obudziła wszystkich w kompleksie Wongów. Ed wcale się nie zawstydził, niczego się nie wstydził.

– To przecież naturalne – rzekł.

Było to jego ulubione zdanie. Wszystko, co związane z ciałem, było naturalne. Z umysłem – nie.

Czym zatem jest natura?

Luis rozmyślał nad tym wiele przez ostatni rok liceum i doszedł do wniosku, że Ed ma rację. W tym świecie – na tym statku. Próbował bowiem wyrobić w swym umyśle pewne nawyki. Na tym statku natura sprowadzała się do ludzkiego ciała oraz w pewnym stopniu do roślin, gleby i wody w zbiornikach hydroponicznych, a także bakterii. W pewnym stopniu, ponieważ rośliny, gleba, woda i bakterie były ściśle kontrolowane przez techników, jeszcze ściślej niż ludzkie ciała.

Natura na ich planecie, na ich rodzinnej planecie, oznaczała to, czego nie kontrolowały ludzkie istoty. Natura poprzedzała kontrolę, stanowiła materiał wyjściowy, to, co wymykało się kontroli. Toteż obszary Dichew, na których mieszkało niewielu ludzi, kwadranty zbyt suche, zimne bądź strome, nazywano naturą, naturalnymi, dziczą, rezerwatami natury. Na tych terenach żyły zwierzęta, które także nazywano naturalnymi bądź dzikimi. A zatem wszystkie „zwierzęce” funkcje ludzkiego ciała były „naturalne” – jedzenie, picie, sikanie, sranie, seks, odruchy, sen, krzyki i wycie jak syrena alarmowa, gdy ktoś liże twoją lechtaczkę.

Kontroli nad tymi funkcjami nikt prócz Eda nie nazywał nienaturalną. Zwano ją cywilizacją. Zaczynała wpływać na naturalne ciało tuż po narodzeniu, a wkraczała w nasze życie pełną parą, kiedy kończyliśmy siedem lat, gdy człowiek wkładał ubranie i nie był już dzieciakiem z bandy małych szalonych, nagich dzikusów, ale stawał się obywatelem.

Cudowne światy! Dzicy... szaleni... cywilizacja... obywatel... Nawet ucywilizowane ciało wciąż pozostaje nieco dzikie, nieujarzmione, naturalne. Musi zachowywać swe zwierzęce funkcje, w przeciwnym razie umrze. Nigdy nie da się go w pełni oswoić, w pełni kontrolować. Nawet rośliny – Luis dowiedział się tego od ojca Hsing – choć manipulowane

tak, by maksymalnie wykorzystywały zjawisko symbiozy, nie były do końca przewidywalne i posłuszne, a wśród populacji bakterii wciąż pojawiały się dzikie szczepy, potencjalnie niebezpieczne mutacje. W pełni kontrolować dawał się jedynie świat nieożywiony, materia w stanie stałym, płynnym bądź gazowym.

A kontrolujący, sam twórca cywilizacji, umysł? Czy jest ucywilizowany, czy sam się kontroluje?

Powinien, ale przykłady braku kontroli zapełniały większość lekcji historii. To nieuniknione, pomyślał Luis, bo natura na Dichew była wielka i silna. Na planecie nic nie pozostawało pod prawdziwą pełną kontrolą poza światem V.

O dziwo, dowiedział się tego właśnie z zajęć wirtualnych. Wycinał sobie drogę w tropikalnej dżungli rojącej się od istot żywych, które latały, gryzły, pełzały, kłuły, warczały i szarpały ciało. Z trudem chwycił oddech w upiornym, obezwładniającym wilgotnym upale. W końcu dotarł na otwartą przestrzeń, gdzie wyskoczyli na niego straszliwi ludzie – nękanie chorobami, niedożywieni, pokryci bliznami po samookaleczeniach. Rzucili się na niego z wrzaskiem, strzelali z dmuchawek zatrutymi strzałkami. Wszystko to stanowiło część lekcji i dylematów etycznych, do której pomocą był program V-Dichew o nazwie Dżungla. Na wczorajszej lekcji uczniowie poznali słowa: tropikalny, dżungla, drzewa, owady, żądło, chaty, tatuaże, strzałki. Teraz jednak najważniejszy dylemat etyczny: Czy Luis powinien uciec, próbować rozmawiać, błagać o łaskę, czy odpowiedzieć strzałem? On w wirtualności miał przy sobie śmiertelnościaną broń, okrywał go ciężki strój, który ochronił przed strzałkami – a może nie.

To była bardzo ciekawa lekcja. Później w klasie przeprowadzili długą dyskusję. W pamięci Luisa jednak pozostał przede wszystkim oszałamiający ogrom owej dżungli, dzikiej natury, w której dzikie ludzkie istoty stawały się nieważne, przypadkowe, a istoty cywilizowane pozostawały całkowicie obce. Nie było tam dla niego miejsca, nie było tam miejsca dla nikogo myślącego. Nic dziwnego, że pokolenia przedzerowe miały problem z zachowaniem cywilizacji i samokontroli w obliczu czegoś takiego.

Eksperyment kontrolowany

Choć argumentacja aniołów jednocześnie śmieszyła go i budziła niepokój, uznał, iż w jednej podstawowej kwestii mają rację: cel statku nie jest tak ważny, jak sama podróż. Po zajęciach z historii, po doświadczeniach w dżungli i centrum miasta Luis zastanawiał się, czy pokolenie zero nie chciało dodatkowo stworzyć przynajmniej kilku tysiącom ludzi miejsca, w którym mogliby być wolni od podobnych koszmarów, miejsca, gdzie można kontrolować ludzkie życie, tak jak czyni się to podczas eksperymentu w laboratorium. Eksperyment kontrolowany dotyczący kontroli.

Czy może eksperyment kontrolowany dotyczący wolności.

To największe słowo, jakie znał Luis.

Wyobrażał sobie, że słowa mają rozmaite rozmiary, gęstość, głębię, ciężar. Były niczym czarne gwiazdy – niektóre maleńkie, nudne, nieciekawe, inne ogromne, złożone, otoczone potężnymi polami grawitacji, przyciągającymi niezliczone znaczenia. Wolność była największą z czarnych gwiazd.

Dokładnie wiedział, co oznacza dla niego osobiście. Ataki astmy, choć rzadkie, silnie odcisnęły się w jego umyśle. A kiedyś, gdy miał trzynaście lat, podczas ćwiczeń gimnastycznych w niewłaściwym momencie znalazł się pod wielkim Lingiem, który upadł na niego i wypchnął mu całe powietrze z płuc. Po nieskończonej serii zachłyśnięć Luis zdołał w końcu pochwycić oddech, długi, donośny, przeszywający. Oto wolność. Oddech. Kiedy można oddychać.

Bez oddechu człowiek się dusi, zapada w mrok i umiera.

Ludzie żyjący na poziomie zwierząt mogli iść, dokąd chcieli. Nie znali jednak wolności, bo brakowało im powietrza, którym mogłyby oddychać umysły. Zrozumiał to dokładnie podczas wykładów z historii i zajęć historycznych w V-światach. Miasto 2000 było tak szokujące, ponieważ to nie dzika natura sprawiała, iż ludzie zachowywali się jak szaleni, chorzy, niebezpieczni, niewiarygodnie brzydcy. Sprawiał to ich własny brak kontroli nad teoretycznie cywilizowaną naturą.

Ludzka natura. Dziwne połączenie słów.

Luis pomyślał o mężczyźnie z trzeciego kwadu, który w zeszłym roku brutalnie zgwałcił kobietę, pobił ją do nieprzytomności, a potem sam się zabił, pijąc płynny tlen. Należał do piątek i wydarzenie, które wstrząsnęło wszystkimi w całym świecie, poruszyło zwłaszcza ludzi z tego pokolenia, zadających sobie pytanie: Czy ja mógłbym to zrobić? Czy to mogłoby spotkać także mnie? Nikt nie znał odpowiedzi. Ów mężczyzna, 5-Wolfson Ad, stracił panowanie nad swymi zwierzęcymi naturalnymi potrzebami i w efekcie utracił jakąkolwiek wolność, nie mógł dokonywać wyborów, utrzymać się przy życiu. Może niektórzy nie umieją poradzić sobie z wolnością.

Aniołowie nigdy nie wspominali o wolności. Wypełniali rozkazy, osiągalni błogość.

Co zrobią aniołowie w roku 201? A jeszcze bardziej interesujące jest pytanie: Co robią ludzie z „Odkrywcami”, co stanie się z eksperymentem kontrolowanym, gdy laboratoryjny statek osiągnie swój Cel? Shindychew było planetą – tam znajdą odmienną, dziką i nieujarzmioną naturę. Tym razem nie będą znali żadnych zasad. Ich przodkowie na Dichew byli obeznani z naturą, wiedzieli, jak z niej korzystać, które zwierzęta są

niebezpieczne, jadowite, jak hodować dzikie rośliny i tak dalej. Na Nowej Ziemi nie będą wiedzieli niczego.

Książki wspominały o tym, choć niezbyt wiele. Ostatecznie od Celu dzieliło ich pół wieku lotu. Ciekawe jednak, co właściwie wiadomo o Shindychem. Kiedy Luis spytał o to nauczycielkę historii 3-Tranh Eti, odparła, iż program edukacyjny dostarczy pokoleniu sześć mnóstwa informacji na temat Celu i mieszkania na planecie. Ludzie z pokolenia pięć będą pod koniec podróży tak starzy, że mogą się właściwie nie przejmować tym problemem, choć oczywiście, jeśli zechcą, pozwoli im się lądować. Program nauczania został zaprojektowany tak, by pokolenia środkowe (czyli my – dodała cierpko stara nauczycielka) były szczęśliwe w swoim świecie. „To podejście praktyczne – zakończyła. – Możliwe jednak, iż właśnie z jego powodu wytworzyła się mentalność zwolenników błogości”.

Rozmawiała szczerze z Luisem, swym najlepszym uczniem. On odparł równie szczerze, że nieważne, czy dotrze na miejsce, czy nie, i ile będzie miał lat, chce wiedzieć teraz, dokąd zmierza. Rozumiał czemu, nie musiał rozumieć jak, ale chciał wiedzieć dokąd. 3-Tranh Eti starała się mu pomóc, okazało się jednak, że program kształcenia pokolenia sześć był nieosiągalny. Właśnie był oceniany przez Komisję Edukacji. Inni nauczyciele radzili Luisowi, by skończył szkołę i uczelnię i dopiero potem zajmował się Celem.

Luis poszedł do głównego bibliotekarza, starego 3-Tana, dziadka jego przyjaciela Bingdiego.

– Rozważania na temat naszego Celu – rzekł Tan – oznaczają wzrost niepokoju, niecierpliwości i błędnych oczekiwań. – Uśmiechnął się lekko. Mówił powoli, czyniąc przerwy między zdaniem. – Naszym zadaniem jest podróż, to coś innego niż przybycie na miejsce. – Po chwili dodał: – Lecz czy pokolenie znające tylko podróż może nauczyć swych następców, jak przybyć na miejsce przeznaczenia?

Garan

Luis samotnie wrócił do Dżungli. Oczywiście musiał podążać ścieżką. Choć program pełny rzeczywistości wirtualnej był bardzo skomplikowany, umożliwiał jedynie pewne rzeczy i nic więcej. Był niczym sen, koszmary sen – pozwalał na podjęcie tylko określonych wyborów: Oto szlak, trzeba nim pójść. Szlak doprowadzi do brzydkich, pokrytych bliznami dzikusów, którzy zaczną wrzeszczeć i strzelać zatrutymi strzałkami. Wtedy trzeba podjąć decyzję. Luis metodycznie dokonywał kolejnych wyborów.

Próby rozmów z dzikusami albo ucieczki kończyły się szybko wyciemnieniem oznaczającym oczywiście V-śmierć. Raz, gdy go zaatakowali, wystrzelił i zabił jednego z mężczyzn. Było to straszne, straszniejsze, niż mógł sobie wyobrazić. Uciekł z programu. Tej nocy śniło mu się, że ma tajne imię, którego nikt nie zna, nawet on sam. Jakaś kobieta, której nigdy wcześniej nie widział, podeszła do niego, mówiąc: „Dodaj swe imię do imienia wilka”.

Wrócił do Dżungli, choć nie było to łatwe. Odkrył, iż jeśli nie okaże strachu, zagrozi im bronią, gdy zaatakują, ale nie wystrzeli, mali ludzie niespodziewanie pogodzą się z jego obecnością. Potem pojawił się kolejny wybór: mógł nie chować broni i zmusić dzikusów, by zaprowadzili go do Zaginionego Miasta (teoretycznie właśnie po to wchodziło się do Dżungli), mógł wymusić na nich posłuszeństwo. Zawsze jednak po krótkim czasie wyciemniał się – tubylcy go mordowali. Jeśli natomiast nie okazywał strachu, nie groził i niczego nie żądał, mógł z nimi zostać, zamieszkać w na wpół zrujnowanej chacie. Traktowali go jak szaleńca, wioskowego głupca. Dawali mu jedzenie, pokazywali, jak robić różne rzeczy. Zaczynał poznawać ich język i zwyczaje. Okazały się zaskakująco złożone, sformalizowane i fascynujące. Oczywiście była to tylko V-nauka. Mógł posunąć się do pewnego stopnia i nie dalej. Kiedy wychodził z programu, niewiele z niego wynosił. Rzeczywistość wirtualna ma swoje ograniczenia. Nawet jednak owe wspomnienia wzbogacały umysł Luisa. Zamierzał kiedyś wrócić, dotrzeć do ostatniego wyboru i odmienić swe życie wśród dzikusów.

Tym razem jednak miał inny cel. Tym razem w Dżungli poruszał się jak najwolniej. Przystanął nieruchomo na ścieżce. Nie bał się spotkania z dzikusami. Teraz, gdy ich poznał, mieszkał wśród nich, przykro byłoby patrzeć, jak go atakują z wrzaskiem, próbują zabić. Tym razem nie chciał ich spotkać: byli wirtualnymi istotami ludzkimi stworzonymi przez istoty ludzkie. On przybył tu, by doświadczyć czegoś, co nie ma nic wspólnego z człowiekiem. Stał złany potem, czując w nozdrzach ostre wonie i oganiając się przed istotami, które bzykały wokół i kłuły boleśnie. Nagle pomyślał o Hsing. Hsing nie uznawała przeżyć VR za prawdziwe doświadczenia. Nigdy nie odwiedzała V-Dichew, chyba że wymagał tego nauczyciel. Nigdy nie grała w V-gry, nie spróbowała nawet jednej z nich, naprawdę irytującej, stworzonej przez Luisa i Bingdiego na podstawie *Ogrodu Borgesa*.

- Nie chcę odwiedzać cudzego świata. Chcę być w moim świecie – powiedziała.
- Ale czytasz powieści – zauważył.
- Pewnie, tyle że to ja czytam. Autor przygotowuje dla mnie opowieść, a ja działam, ożywiam ją. Programiści V-rzeczywistości używają mnie do tworzenia swojej historii. Nikt

oprócz mnie nie będzie używał mojego ciała i umysłu, jasne? – Zawsze szybko się zaperzała.

W pewnym sensie miała rację, ale Luisa, stojącego w niewiarygodnie skomplikowanym lesie na wąskiej ścieżce – niczym na huczącym dziwnymi odgłosami korytarzu – i obserwującego coś z mnóstwem nóg odpełzającego w mrok pod wielką rośliną, która, jak odgadł, była drzewem, drzewem leżącym na ziemi, a nie rosnącym, uderzyła nie tylko dławiąca bezcielesna złożoność tego miejsca, element chaosu obecny nawet w odtworzeniu obrazu, programie pól sensorycznych, ale też jego wrogość. Było niebezpieczne, przerażające. Czy odbierał w ten sposób wrogość programisty?

Istniało wiele sadystycznych programów. Niektórzy ludzie szybko się od nich uzależniali. Jak miałyby stwierdzić, czy natura była w istocie równie straszna?

Owszem, istniały programy VR, w których Dichew wydawała się prostsza, bardziej zrozumiała – Wieś albo Spacer po Górach. Oglądając filmy, w których jedynymi odczuciami były wrażenia słuchowe i wzrokowe, można było się przekonać, iż choć chaotyczna, natura bywała także piękna. Niektórzy ludzie uzależniali się także od tych filmów, stale oglądali żółwie pływające w morzu i niebiańskie ptaki fruujące na niebie, lecz patrzeć to jedno, a czuć to coś zupełnie innego, choć to tylko wirtualne czucie.

Jak ktokolwiek mógłby spędzić całe życie w miejscu takim jak Dżungla? Dyskomfort związany z pobytem tutaj nie zniknął ani na chwilę. Upał, groźne stworzenia, zmiany temperatury, szorstkie, brudne, tłuste powierzchnie, niekończące się nierówności... Przy każdym kroku trzeba było patrzeć pod nogi, sprawdzać, gdzie ląduje stopa. Luis przypominał sobie obrzydliwe jedzenie tubylców. Zabijali zwierzęta i zjadali ich fragmenty, kobiety żuły korzeń jakiejś rośliny, wypluwały przeżutą masę do miski, pozwalały, by nieco podgniła, a potem wszyscy ją jedli. Gdyby owe kłujące i gryzące jadowite zwierzęta nie były tylko wirtualne, każdy wychodzący z Dżungli miałby w sobie ogromną dawkę toksyn. A ostatnim wydarzeniem, ostatecznym wyborem, jakiego dokonywało się po przejściu programu życia wśród dzikusów, było położenie ręki na pnączu, które okazywało się jadowitym zwierzęciem pozbawionym nóg. Zwierzę gryzło w dłoń. Po kilku minutach człowiek czuł straszliwy ból i mdłości, potem następowało zaciemnienie. Oczywiście musieli jakoś zakończyć program. Trwał on dziesięć subiektywnych cykli, dziesięć prawdziwych godzin – maksymalną dopuszczalną długość. Kiedy Luis z niego wyszedł, przeżył nie tylko wirtualną śmierć, ale był też naprawdę sztywny ze zmęczenia, głodny, spragniony, wyczerpany i zdenerwowany.

Czy program pokazywał prawdę? Czy ludzie na Dichew istotnie żyli w tak strasznych warunkach? Nie przez dziesięć cykli/godzin, ale całe życie? W ciągłym lęku przed niebezpiecznymi zwierzętami, dzikusami, obawiając się siebie nawzajem, w stałym bólu powodowanym przez ciernie roślin, ugryzienia i użądlenia; bolały ich mięśnie nadwerężone dźwiganiem dużych ciężarów, stopy posiniaczone przez strasznie nierówne powierzchnie. A do tego musieli znosić jeszcze gorsze koszmary: głód, choroby, połamane i zniekształcone kończyny, ślepotę. Żaden z dzikusów, nawet niemowlę i jego matka, nie był czysty i całkiem zdrowy. Ich rany, wrzody, strupy, odciski, przekrwione oczy, wykręcone członki, brudne stopy, brudne włosy stawały się coraz bardziej przykre w miarę, jak poznawał tych ludzi. Cały czas pragnął im pomóc.

I gdy tak stał na V-ścieżce, w ciemności, wśród drzew i długich pnączy epifitów, takich samych, jakie widywał u Yao, tyle że wielkich i splątanych, usłyszał nowy niepokojący

dźwięk. Jakaś istota, jedna z tysięcy niezwykłych istot stłoczonych w Dżungli, kryła się gdzieś blisko. Luis zamarł w bezruchu, przypominając sobie garana.

Wyruszył z wioski wraz z mężczyznami z plemienia. Podobno wybierali się na łowy. Nagle dostrzegli plamę nakrapianego złotego światła. Jeden z mężczyzn szepnął: „Garan”. Luis przypomniał sobie to słowo po powrocie, zajrzał do słownika, ale go nie znalazł. Teraz garan wynurzył się z chaotycznego mroku. Przeszedł przez ścieżkę z lewa na prawo, kilka metrów przed Luisem. Był długi, niski, złocisty w czarne cętki. Kroczył z nieopisaną gracją na czterech miękkich łapach, zniżając głowę. A tuż za nim unosiło się długie, wdzięczne przedłużenie ciała – ogon. Czubek ogona podrygiwał lekko. Zwierzę w absolutnej ciszy zniknęło w ciemności. Ani razu nie zerknęło na Luisa.

On zaś stał oszołomiony. To VR, program, powiedział do siebie w myślach. Za każdym razem, gdy wchodziłem do Dżungli, gdybym tylko powstał tu odpowiednio długo, garan przeszedłby przez ścieżkę. Gdybym był gotów, gdybym zechciał, mógłbym spróbować strzelić do niego z mojej V-broni. Jeśli program obejmuje łowy, zabiłbym go. Jeśli nie, moja broń by nie wystrzeliła. Nic bym nie zdziałał. Garan by odszedł i zniknął w milczeniu, poruszając koniuszkiem ogona. To nie jest dzika głusza. To nie natura. To najwyższy stopień kontroli.

Wyszedł z programu.

Po drodze na salę gimnastyczną spotkał Bingdiego. Razem mieli pobiegać.

– Chcę stworzyć technologię VN – oznajmił.

– Jasne. – Bingdi zastanowił się chwilę i uśmiechnął szeroko. – Zróbmy to.

Dokąd zmierzamy?

Programy, zdjęcia, opisy – wszystkie zarejestrowane wizerunki Dichew były podejrzone, gdyż stanowiły produkty technologii ludzkiego umysłu, były interpretacjami. Ojczysta planeta nie nadawała się do bezpośredniego zrozumienia. Planeta docelowa tym bardziej.

Luis nadal grzebał w bibliotece i zaczął pojmować, czemu pokolenie zero tak bardzo pragnęło informacji na temat Shindychev – bo żadnych nie mieli.

Odkrycie planety terropodobnej w możliwym zasięgu stało się zaczątkiem całego projektu „Odkrywca”. Pokolenia przedzerowe badały planetę z wykorzystaniem wszelkich dostępnych instrumentów. Ale ani analiza spektralna, ani bezpośrednie obserwacje małego, nieświecącego własnym światłem ciała niebieskiego nie mogły udzielić odpowiedzi na najważniejsze pytania. Już wcześniej ustalono, że życie pojawia się wszędzie tam, gdzie występują wymagane parametry, a te, które udało się zweryfikować, wyglądały bardzo obiecująco. Jednocześnie jednak – Luis przeczytał to w starym artykule zatytułowanym „Dokąd zmierzają?” – istniała możliwość, iż bardzo drobna różnica między Ziemią a „Nową Ziemią” mogła sprawić, iż ta druga nie będzie nadawała się do zamieszkania przez ludzi. Chemiczna odmienność miejscowych form życia mogła uczynić ze wszystkiego truciznę. Wystarczy nieco inna równowaga gazów w atmosferze, a ludzie nie będą mogli oddychać. Powietrze to wolność, pomyślał Luis.

Bibliotekarz czytał coś przy pobliskim stole. Luis usiadł obok. Pokazał staremu Tanowi artykuł.

– Piszą tu, że możliwe, iż nie będziemy tam mogli oddychać.

Bibliotekarz zerknął na artykuł.

– Ja z całą pewnością nie – zauważył. Po chwili przerwy wyjaśnił: – Będę martwy. – Uśmiechnął się pogodnie.

– Próbuję znaleźć coś o tym, czego od nas oczekiwali – powiedział Luis. – Co mamy zrobić, gdy tam dotrzemy? Czy istnieją jakieś instrukcje przewidujące różne możliwości?

– Jeśli nawet istnieją, na razie są utajnione.

Luis zaczął coś mówić i urwał, czekając na dalsze słowa Tana.

– Informacja zawsze podlegała kontroli.

– Dlaczego?

– Bo takie były decyzje pokolenia zerowego, a potem decyzje Komisji Edukacji.

– Czemu zerowi mieliby ukrywać informacje dotyczące naszego Celu? Czy są aż tak straszne?

– Może uznali, że ponieważ wiemy tak niewiele, środkowe pokolenia nie muszą się nimi przejmować, a pokolenie szóste samo się dowie i prześle im zebrane informacje. To naukowa wyprawa badawcza. – Spojrzał na Luisa z nieprzeniknioną miną. – Jeśli powietrze nie nadaje się do oddychania albo pojawią się inne problemy, ludzie mogą wyjść na zewnątrz w skafandrach, tak jak techowie. Żyć wewnątrz, badać na zewnątrz. Obserwować, przysyłać informacje do „Odkrywcy” czekającego na orbicie. A później powrót na Dichew – wymówił chińskie słowo prawidłowo, po chińsku. – Koniecznych zapasów starczy na dwanaście pokoleń, nie sześć. To na wypadek, gdybyśmy nie mogli tam zostać albo postanowili, że nie chcemy, i zdecydowali się wracać na Dichew.

Powiedzenie tego wszystkiego zabrało Tanowi sporo czasu. Luis wypełniał przerwy w zdaniach obrazami, zupełnie jakby ilustrował czytany tekst: trajektoria lotu, statek zwalnia, zmierza ku wybranej gwiazdzie, maleńki statkoświat unosi się nad powierzchnią olbrzymiego planetoświata, maciupieńkie postaci w skafandrach wypadają do Dżungli... Wyraźne, nieprawdopodobne obrazy. Wirtualna nierzeczywistość.

– Wrócić? – spytał. – Ale dokąd? Nikt z nas nie pochodzi z Dichew. Wrócić czy lecieć dalej? Co to za różnica?

– Czym różni się tak od nie? Czym różni się dobro od zła? – spytał starzec, patrząc na niego z aprobatą. Jego oczy jednak miały wyraz, którego Luis nie potrafił zinterpretować. Czyżby dostrzegł w nich żal?

Znał ów cytat. Hsing i ojciec Yao byli uczniami 3-Tana, który nie tylko pracował w bibliotece, lecz nauczał też klasycznej literatury chińskiej. Wszyscy troje uwielbiali Starego Długouchego. Luis, który wychował się w kwadrancie drugim, tak często słyszał cytaty z owej książki, iż w końcu, w samoobronie, przeczytał ją w tłumaczeniu. Ostatnio wrócił do tej lektury, sprawdzając, czy cokolwiek ma dla niego jakiś sens. Liu Yao przepisał ją kiedyś całą w starożytnym piśmie chińskim. Zabrało mu to ponad rok.

– Po prostu ćwiczę kaligrafię – rzekł.

Patrząc, jak spod pędzelka Yao wyłaniają się złożone tajemnicze figury, Luis poczuł wzruszenie głębsze niż to wywołane przez tłumaczone słowa, jakby nierozumienie oznaczało zrozumienie.

Obieg

Papier zrobiony ze słomy ryżowej to prawdziwa rzadkość. Niewiele rzeczy zapisywano ręcznie. Yao dostał pozwolenie na zużycie kilkunastu metrów papieru, nie mógł jednak długo zachowywać go poza obiegiem. Podarował fragmenty zwoju przyjaciółom chi-po, którzy wieszali je na ścianach, a po jakimś czasie poddawali recyklingowi. Żaden przedmiot nie mógł przetrwać dłużej niż kilka lat. Ubranie, dzieła sztuki, papierowe kopie tekstów, zabawki – wszystko powracało do obiegu. Czasami towarzyszyła temu prawdziwa uroczystość, jak pogrzeb ukochanej lalki. Kiedy oryginał poddawano recyklingowi, portret dziadka mógł zostać skopiowany do elektronicznych banków pamięci. Sztuka dzieliła się na praktyczną, efemeryczną bądź niematerialną – ślubna koszula, malunki na ciele, piosenka, opowiadanie w magazynie wszechświatowym. Obieg docierał wszędzie. Ludzie z „Odkrywcy” sami byli własnymi surowcami, mieli wszystko, czego potrzebowali, i nie mieli niczego, co mogliby zatrzymać. Bieda w takim świecie mogła być wyłącznie wynikiem utraty bądź marnotrawstwa energii i materii związanej w bezużytecznych przedmiotach lub wyrzucanej w przestrzeń. Albo też, po długim czasie, entropii.

Dawno temu jeden z dermatologów pracujących na zewnątrz przy naprawie niewielkiej rysy kadłuba cisnął pistolet spawalniczy do towarzysza, który go nie złapał. Filmopowieść o zgubionym pistolecie stanowiła dramatyczny moment zajęć z ekologii w drugiej klasie. Dzieci krzyczały ze zgrozą, gdy narzędzie, obracając się lekko, odpływało między gwiazdy, coraz dalej i dalej. „Hej, patrzcie, odlatuje! Odlatuje na zawsze!”.

Światło gwiazd poruszało świat. Pochłaniacze wodoru zasilają niewielkie reaktory napędzające układy elektryczne i mechaniczne, a także akceleratory Fresno, stanowiące trzon silników „Odkrywcy”. Ich mały świat odbierał z zewnątrz jedynie pył i fotony, nie przyjmował niczego poza atomami wodoru. Wewnątrz swej skorupy pozostawał całkowicie samowystarczalny, samoodnawialny. Każda komórka zrzucana przez ludzką skórę, każda drobinka kurzu czy pyłu, każda cząsteczka pary wodnej z liścia bądź płuca trafiała do filtrów i rekonwerterów, gdzie zachowywano ją, łączono na nowo, wykorzystywano ponownie, zmieniano i znów wypuszczano na świat. System pozostawał w równowadze. Na wszelki wypadek istniały rezerwy – ani razu jeszcze do nich nie sięgnięto – a także konieczne zapasy, o których wspominał Tan: częściowo surowce, częściowo specjalistyczny sprzęt niemający duplikatów na statku. W sumie było ich zdumiewająco niewiele, zaledwie dwa magazyny. Efekty działania drugiego prawa termodynamiki w tym niemal zamkniętym systemie zostały sprowadzone praktycznie do zera.

O wszystkim pomyślano, wszystkiego dopilnowano, wszystko załatwiono. Wszystko niezbędne do życia. Czemu tu jestem? Czemu w ogóle jestem? Cel życia, powód – to także próbowali zapewnić im zerowcy.

Wszystkie środkowe pokolenia dwustuletniej podróży łączył wspólny Cel: żyć, być zdrowym, utrzymywać statek w doskonałym stanie i dostarczyć mu nowego pokolenia, tak by mogło wypełnić swą misję, ich misję, ich wspólne przeznaczenie. Cel, który znaczył tak wiele dla zerowców urodzonych na Ziemi – odkrycie, badanie wszechświata, informacje naukowe, wiedza. Wiedza zbyteczna, bezużyteczna, pozbawiona znaczenia dla

ludzi żyjących i umierających w zamkniętym, skończonym świecie statku.

Co jeszcze mogli pragnąć wiedzieć?

Wiedzieli, że życie kryje się wewnątrz: światło, ciepło, oddech, towarzystwo. Wiedzieli, że na zewnątrz nie ma nic, tylko pustka, śmierć. Śmierć – cicha, natychmiastowa, absolutna.

Syndromy

Chorób zakaźnych nie znano, można było o nich poczytać albo obejrzeć okropne zdjęcia na filmach historycznych. W każdym pokoleniu zdarzało się kilka przypadków raka, kilka chorób wrodzonych. Dzieci łamały ręce, sportowcy przesadzali z treningami, serca i inne narządy zużywały się bądź zawodziły. Komórki starzały się i umierały. Ludzie także. Podstawowym obowiązkiem lekarzy było dopilnować, by śmierć nie przychodziła zbyt ciężko.

Aniołowie odebrali im nawet ten obowiązek, cały czas podkreślając ideę pozytywnego umierania, które czyniło ze śmierci wydarzenie ważne dla całej wspólnoty. Umierającą osobę wprowadzano w trans wywołany hipnozą, śpiewami, muzyką i innymi technikami. Samą śmierć witał wybuch ekstatycznej radości. Wielu lekarzy zajmowało się niemal wyłącznie ciążą, narodzinami i śmiercią. Łatwe przyjście, łatwe odejście. Choroby były jedynie słowami w podręcznikach.

Istniały jednak syndromy.

W pierwszym i drugim pokoleniu wielu mężczyzn po trzydziestce i czterdziestce cierpiało na wysypki, ataki senności, bóle stawów, mdłości, osłabienie, niezdolność koncentracji. Syndrom ten nazwano DS – depresją somatyczną. Lekarze oceniali, że ma podłoże psychiczne.

Ze względu na syndrom DS pewne dziedziny, pewne zawody przeznaczano dla tylko jednej płci. Najpierw oczywiście poddano ten pomysł dyskusjom i głosowaniom. Mężczyźni mieli zajmować się naprawami strukturalnymi i dermatologią. Dermatologia – naprawy i dogłębne oglądanie skóry świata w miejscu styku z przestrzenią – była jedynym zajęciem wymagającym wychodzenia na zewnątrz, w kosmos.

Natychmiast odezwały się głośnie protesty. Podział pracy, prawdopodobnie najstarsza i najgłębiej zakorzeniona instytucja, na której opierał się brak równowagi społecznej, to przeszłość. Czy tu, w świecie, gdzie nawet za cenę życia należy zachować rozsądek i równowagę, mamy wprowadzić bezsensowny i nieracjonalny zestaw ograniczeń i przywilejów? Dyskusje w radzie i na spotkaniach kwadrantów trwały bardzo długo. Argumentem przemawiającym za restrykcjami płciowymi było stwierdzenie, że mężczyźni niezdolni do noszenia i rodzenia dzieci potrzebują rekompensaty, czegoś, co wykorzystywałoby ich większą siłę mięśni oraz hormonalną skłonność do agresji i potrzebę sprawdzania się w trudnych warunkach. Wiele kobiet i mężczyzn uznało ten argument za irracjonalny. Nieco większa liczba uznała go za przekonujący. Obywatele przegłosowali ograniczenie prac zewnętrznych wyłącznie dla mężczyzn.

W następnym pokoleniu bardzo rzadko kwestionowano taki układ sił. Zwykle uzasadniano go tym, że ponieważ mężczyźni są biologicznie mniej niezbędni od kobiet, to oni powinni zajmować się niebezpiecznymi pracami. W istocie nikt nigdy nie zginął podczas zadań zewnętrznych, nawet nie został groźnie napromieniowany. Lecz poczucie niebezpieczeństwa dodawało chwały tej pracy. Aktywni, wysportowani chłopcy zgłaszali się na ochotnika do działów dermatologii. Było ich znacznie więcej, niż potrzebowano. Większość zatem trafiała do rezerwy, odbywając regularne treningi. Wyróżniali się strojem: brązowe płócienne szorty, na rękawach starannie wyhaftowany symbol gwiazd

na czarnym tle.

Po jakimś czasie liczba przypadków DS spadła do poziomu minimalnego. Niektórzy twierdzili, iż ma to związek z pracami na zewnątrz statku.

Trzecie pokolenie miało do czynienia z gwałtownym wzrostem samoistnych poronień i narodzin martwych płodów. Nigdy nie wyjaśniono przyczyny tego zjawiska, na szczęście trwało zaledwie kilka lat i wywołało wzrost liczby późnych ciąż i dwudzietych rodzin, aż do osiągnięcia optymalnego poziomu populacji.

W czwartym i piątym pokoleniu pojawił się nowy zespół objawów, być może powiązany z poprzednimi, a z pewnością jeszcze niebezpieczniejszy. Do tej pory nie wyjaśniono jego przyczyn. Nazwano go SNZ – syndrom nadwrażliwości zmysłowej. Cierpiący na SNZ unikali tłumów, nie mogli jadać w refektarzach, skarżyli się, że każdy dotyk sprawia im ból. Nosili ciemne okulary i zatyczki w uszach. Dłonie i stopy chronili tak zwanymi skarpetami. Ponieważ nadal nie znaleziono żadnego wyjaśnienia tych objawów ani lekarstwa, wśród ludzi krążyły mity o środkach zaradczych i wymyślano wciąż nowe domowe kuracje. W kwadzie drugim SNZ występował bardzo rzadko, toteż powszechnie zaczęto stosować dietę chi-po, bogatą w ryż, soję, imbir i czosnek. Samotnicze życie łagodziło objawy, więc niektórzy chorzy na SNZ próbowali trzymać swe dzieci z dala od grup dziecięcych i szkół. Tu jednak zainterweniowało prawo. Decyzja rodziców nie mogła wpłynąć na dobro dziecka i społeczności określane przez konstytucję i zalecenia Komisji Edukacji. Dzieci chodziły do szkoły i nic złego im się nie działo. W liceach zapanowała przelotna moda na ciemne okulary, zatyczki do uszu i skarpety. Syndrom jednak rzadko pojawiał się u ludzi przed dwudziestką. Aniołowie twierdzili, że żaden wyznawca błogości nie cierpi na SNZ i aby go uniknąć, wystarczy nauczyć się radości.

Przodkowie aniołów

0-Kim Jan była najmłodszą z zerowców. W chwili wejścia na pokład miała dziesięć dni. Przez wiele lat pozostawała wpływowym członkiem Rady Centralnej. Miała ogromny talent do organizacji, zachowania porządku, surowej, bezstronnej administracji. Chi-po nazywali ją Panią Konfucjusz.

Późno urodziła syna. 1-Kim Terry prowadził spokojne życie, od czasu do czasu zakłócanie atakami depresji somatycznej. Był programistą sieci wewnętrznej szkół. Działo się tak do śmierci 0-Kim w roku 79. 0-Kim była ostatnią z zerowców pochodzących z Ziemi. Jej śmierć uznano za ważne wydarzenie. Na pogrzebie zjawił się tłum ludzi. Nie mogli pomieścić się nawet w Temenos. Przebieg ceremonii relacjonowano we wszechsieci. Niemal każdy mieszkaniec świata ją oglądał i dzięki temu ujrzał na własne oczy narodziny nowej religii.

Państwo i Kościół

Konstytucja głosiła wyraźnie całkowite oddzielenie wyznania od polityki. W artykule czwartym wymieniano największe religie monoteistyczne obecne w dziejach Ziemi; niektóre z nich kontrolowały rządy wielkich państw w czasie planowania podróży

„Odkrywcy”. Jeśli zostałyby potwierdzone – przez zwołany doraźnie komitet manipulacji religijnej – jakiegokolwiek próby wywarcia wpływu na wybory albo obrady ciała prawodawczego poprzez jawne bądź skryte odwołanie się do zasad i reguł judaizmu, chrześcijaństwa, islamu, mormonizmu czy innego wyznania bądź instytucji religijnej, miały być karane publicznym upomnieniem, utratą urzędu bądź też dożywotnim zakazem zajmowania wyższych stanowisk.

W pierwszych dziesięcioleciach wiele razy rzucono wyzwanie artykułowi czwartemu. Choć planiści świadomie próbowali wybrać załogę „Odkrywcy” tak, by jej członkowie wyróżniali się naukową bezstronnością umysłu, monoteistyczna tendencja ograniczania zrozumienia do prostych, jednoznacznych rozwiązań była głęboko zakorzeniona w samej nauce. Spodziewano się, iż w świadomości heterogenicznej populacji tolerancja okaże się nie tyle zaletą, ile koniecznością. W pokoleniu zerowym jednak po kilkunastu latach podróży ludzie nigdy wcześniej niemyślący o religii bądź uważający ją za anachronizm zaczęli często identyfikować się z mormonami, muzułmanami, chrześcijanami, żydami, buddystami i hinduistami. Przynależność i praktyki religijne pomagały im przetrwać, zaakceptować nagłe, całkowite, nieodwracalne rozstanie ze wszystkimi na Ziemi i z samą Ziemią. Owa epidemia pobożności oburzyła ateistów. Wspomnienia okropieństw towarzyszących czystce fundamentalistycznej, a także historyczne zapisy aktów ludobójstwa czynionych w imię Boga rzucały cień na najbardziej nawet niewinne formy modłów publicznych. Eklektyzm nieśmiało podnosił rękę. Rzucono oskarżenia i wezwania, zwoływano i rozwiązywano kolejne komitety manipulacji religijnych.

Lecz pokolenia następujące po zerowcach nie czuły się wygnane. Żyły tam, gdzie się urodziły. Mieszanie się ras i religii odbierało wszelki sens zasodom przodków. Żydowsko-prezbiteriańskiemu parsowi trudno wybrać surowe reguły, którymi mógłby się kierować. Łatwo też uwolnić się od kompletnie niepasujących do siebie sztywnych przepisów sunnicko-mormońsko-bramińskich.

Gdy 0-Kim zmarła, od lat nie przywoływano już artykułu czwartego. Wciąż istniały praktyki religijne, ale nie religijne instytucje. Praktyki ograniczały się do kręgów prywatnych, rodzinnych. Ludzie praktykowali vipassany bądź zazen, modlili się w podzięce bądź prosząc o wskazówki. Rodzina obchodziła dzień narodzin Jezusa, święto Ganeszy czy Paschy w mniej lub bardziej stosownych dniach pozbawionego miesiący roku. Najprędzej przywołać zapomnianego ducha religii mogły pogrzeby, zawsze publiczne. Wypowiadano piękne stare słowa w pięknych starych językach. Odprawiano obrzędy żałoby i pocieszenia.

Pogrzeb i narodziny błogości

0-Kim była wojującą ateistką. Ludzie potrzebują Boga, tak jak trzylatek potrzebuje piły łańcuchowej. Jej pogrzeb był całkowicie pozbawiony odwołań do wszystkiego, co nadnaturalne, i cytatów ze świętych ksiąg. Ludzie przemawiali krótko – niektórzy nie dość krótko – wspominając o tym, jaki wpływ wywarła na ich życie i życie wszystkich na statku. O jej charyzmie, niezłomnej prawości, potężnej, niemal rodzicielskiej trosce o przyszłe pokolenia. Z prawdziwym wzruszeniem mówili o śmierci „ostatniej z urodzonych na Ziemi”. Potomkowie dzieci oglądających tę ceremonię doczekają wypełnienia misji

ustalonej przez założycieli, dotrą do Celu. A duch Kim Jan będzie im towarzyszył. Wreszcie, jak kazał zwyczaj, potomek zmarłej powstał, by wypowiedzieć ostatnie słowa.

1-Kim Terry wspiął się na podium na oczach tłumu ludzi, a także kamer sieci wewnętrznej. Stał obok katafalku, na którym spoczywało spowite w białą materię ciało jego matki. Poruszał się śmiało, zdecydowanie. Ci, którzy go znali, dostrzegli w nim wyraźną zmianę. Nie był zapłakany ani zdenerwowany, lecz spokojny, pewny siebie. Spojrzał na tłum wypełniający całą salę Temenos. Promieniał, jak wspominali potem ludzie.

– Ostatnia z tych, których ciała zrodziły się na Ziemi, odeszła – rzekł czystym, silnym głosem, który przypominał głos jego matki, znakomitej mówczyni z Rady Centralnej. – Powróciła do chwały, której jej ciało stanowiło jedynie jasny cień. My natomiast oddalamy się od ciała, podróżując w krainę duszy. Jesteśmy wolni, całkowicie wolni od mroku, grzechu, Ziemi. Korytarzami przyszłości niosę wam tę nowinę. Jestem posłańcem, aniołem, a wy, wy także jesteście aniołami, jesteście wybrani, Bóg wezwał was, wezwał każdego po imieniu, zostaliście błogosławieni, jesteście boskimi istotami, świętymi duszami, które wezwano, by żyły w błogości. Pozostaje nam tylko uświadomić sobie, kim jesteśmy, zrozumieć, że jesteśmy mieszkańcami nieba, jesteśmy błogosławieni, zrodzeni w niebie, wybrani, by podróżować na wieki. Każdy z nas jest świętym urodzonym, by żyć w błogości i, umierając, poznać jeszcze większą błogość. – Uniósł ręce w szerokim geście błogosławieństwa nad głowami zaskoczonego, milczącego tłumu.

Przemawiał tak jeszcze przez dwadzieścia minut.

„Rozpacz odebrała mu rozum”, powtarzali ludzie wychodzący z Temenos bądź wyłączający odbiorniki. Cynicy dodawali: „Może to ulga”. Lecz wielu rozmawiało o ideach i wizjach przywołanych przez Kima Terry’ego. Czuli, że dał im coś, czego nieświadomie pragnęli, co sami odczuwali, lecz nie potrafili tego opisać.

Nadejście aniołów

Pogrzeb stał się wydarzeniem przełomowym. Teraz nikt już nie pamiętał planety pochodzenia, nie zastanawiał się też, czy na planecie pamiętają o nich. Oczywiście regularnie wysyłano informacje radiowe opisujące podróż „Odkrywczy”, tak jak nakazywała konstytucja. Czy jednak ktokolwiek je odbierał?

W jednej chwili przebojem stała się sentymentalna piosenka *Sieroty z otchłani* grupy Nubetels z czwartego kwada. I coraz głośniej było o przemówieniu 1-Kima Terry’ego. Ludzie odwiedzali jego kwaterę, by porozmawiać. Niektórzy zatroskani, inni zaciekawieni. Przyjmowali ich 2-Patel Jimmy i 2-Lung Yuko, para z sąsiedztwa. Mówili: „Terry odpoczywa, wieczorem jednak przemówi. Czy wy także poczuliście coś cudownego, gdy przemawiał w Temenos? Widzieliście, jak bardzo się zmienił? Myśmy byli przy tym, jak się zmieniał. Widzieliśmy, jak staje się mądry, promienny, wymowny. Przyjdźcie go posłuchać, wieczorem przemówi!”

Przez jakiś czas słuchanie przemów Terry’ego o błogości było modne. Po statku krążyły dowcipy. Ateiści szydzili z sekciarskiej hysterii i hipokrytycznego egoizmu. Potem niektórzy o wszystkim zapomnieli. Inni wciąż odwiedzali kwaterę Kima, cykl za cyklem, rok za rokiem, przybывая na wieczorne spotkania z Terryem, Jimmym, Yuko.

Organizowali spotkania we własnych kwaterach. Towarzyszyły im skromne uczty, pieśni, medytacje, obrzędy, nazywali je anielskimi biesiadami. Samych siebie nazywali przyjaciółmi w błogości albo aniołami.

Gdy zwolennicy Kima Terry'ego zaczęli poprzedzać swe nazwiska słowem „anioł”, traktowanym jak tytuł, w Radzie Centralnej zapanował niepokój. Doszło do zaciętych dyskusji. Aniołowie zgodzili się, że podobna identyfikacja grupowa może teoretycznie doprowadzić do podziałów. Sam Terry polecił swym zwolennikom nie sprzeciwiać się woli większości. Albowiem, czy to wiemy, czy nie, wszyscy jesteśmy aniołami.

Yuko, Jimmy i synek Jimmy'ego Inbliss mieszkali z Terryem w kwaterze, którą wcześniej dzielił z matką. Co wieczór organizowali spotkania. Kim Terry stopniowo stawał się coraz większym samotnikiem. Przez pierwsze lata od czasu do czasu przemawiał na spotkaniach organizowanych w cyrku kwadrantu pierwszego albo w Temenos. Lecz z upływem lat coraz rzadziej pojawiał się publicznie, przemawiając do swych zwolenników tylko przez sieć wewnętrzną. Tym, którzy przychodzili na spotkania w kwaterze, udzielał błogosławieństw, pojawiał się na chwilę. Ale jego zwolennicy wierzyli, iż obecność cielesna nie ma znaczenia w porównaniu z obecnością anielską, która towarzyszy im stale. Ciało rzuca cień na błogość, przysyłając potrzeby duszy.

– Korytarze, którymi krążę, nie są tymi korytarzami – powiedział Terry.

Jego śmierć w roku 123 wywołała głęboką histeryczną żalobę połączoną z uroczystościami i zabawami, bo zwolennicy Terry'ego, wyznający doktrynę rzeczywistości wedle wskazań energicznego interpretatora słów Terry'ego, 3-Patela Inblissa, uczcili śmierć mistrza jako narodziny w prawdziwym świecie. Statek, statkoświat stanowił jedynie metodę dotarcia do owego świata. Był „pojazdem błogości”.

Po śmierci Terry'ego i rodziców Patel Inbliss mieszkał samotnie w kwaterze Kima. Urządzał tam spotkania, przemawiał podczas domowych biesiad i w sieci wewnętrznej. Opracował i rozpowszechnił zbiór przypowieści i medytacji zatytułowany *Anioł aniołom*. Był człowiekiem ogromnej inteligencji, ambitnym i pobożnym. Był też genialnym organizatorem. Pod jego wskazówkami biesiady stały się mniej chaotyczne i ekstatyczne, znacznie spokojniejsze. Zniechęcał wyznawców do noszenia odmiennych strojów – niefarbowanych szortów i kurtek dla mężczyzn, białych sukien i zawojów dla kobiet. Inne stroje prowadzą do podziałów. Ale czyż wszyscy nie jesteśmy aniołami? Istotnie, pod jego przywództwem coraz więcej ludzi się nimi ogłaszało.

Liczba nawróceń w pierwszych dekadach drugiego stulecia spowodowała niepokój w pewnych kręgach. Powszechnie cytowano artykuł czwarty konstytucji i żądano debaty w sprawie tworzenia sekty religijnej. Grupa ludzi twierdziła, iż Patel Inbliss stworzył i propaguje kult religijny oddający cześć Terry'emu jak bogu, a w ten sposób zagraża władzom świeckim. Rada Centralna nie zwołała jednak komitetu do zbadania tego zarzutu. Aniołowie stwierdzili, iż choć istotnie czczą Kima Terry'ego jak nauczyciela i przewodnika, nie uważają go za kogoś bardziej boskiego niż oni sami. Czyż wszyscy nie jesteśmy aniołami? Patel Inbliss zaś przedstawił przekonujące argumenty, mające świadczyć o tym, iż praktykowanie błogości w żaden sposób nie szkodzi polityce i rządowi świeckim, przeciwnie, wspiera je w każdym szczególe, ponieważ prawa i zwyczaje świata są prawami i zwyczajami błogości. Konstytucja „Odkrywcy” to pismo święte, a życie na statku to czysta błogość, radosne, śmiertelne naśladownictwo nieśmiertelnej rzeczywistości. „Czemu wyznawcy prawa doskonałego mieliby je łamać? – pytał. – Czemu

ci, których raduje porządek anielski, mieliby pragnąć nieporządku? Dlaczego mieszkańcy niebios mieliby szukać dla siebie innego miejsca?”.

Aniołowie faktycznie byli doskonałymi obywatelami, aktywnymi i chętnymi do współpracy ze wszystkimi, gotowymi wypełniać zobowiązania wobec społeczności, niezmordowanymi członkami komisji i rad. Tworzyli ponad połowę Rady Centralnej. Nie byli to serafini ani archaniołowie, jak nazywano często najbardziej oddanych wyznawców bliskich Patelowi Inblissowi, lecz zwykli aniołowie uwielbiający błogi nastrój i przyjacielską atmosferę biesiad. Sam pomysł, że wiara i praktyki błogości mogłyby w jakikolwiek sposób sprzeciwiać się zasadom moralnym, iż bycie aniołem mogło oznaczać bycie buntownikiem, wydawał się śmieszny.

Patel Inbliss miał obecnie dobrze po siedemdziesiątce i – aktywny jak zawsze – wciąż mieszkał w kwaterze Kimów.

Wewnątrz, na zewnątrz

– Może istnieją dwa rodzaje ludzi – rzekł Luis do Hsing. Potem przerwał i milczał tak długo, że powiedziała cierpko:

– Tak, może nawet trzy. Odważni myśliciele twierdzą wręcz, iż ich liczba może sięgać pięciu.

– Nie, tylko dwa. Ci, którzy potrafią zwinąć język w rurkę, i ci, którzy tego nie umieją. Pokazała mu język. Odkąd skończyli sześć lat, wiedzieli, że Luis potrafi zwinąć swój w rurkę i zagwizdać, Hsing nie, i że jest to zdeterminowane genetycznie.

– Jeden rodzaj ma w sobie potrzebę, pragnienie, musi dostawać pewną witaminę, drugi nie – mówił dalej Luis.

– Jaką witaminę?

– Witaminę wiary.

Zastanowiła się chwilę.

– To nie kwestia genetyki – ciągnął Luis – lecz kultury, coś metaorganicznego, lecz dla jednostki równie realnego i wyraźnego, jak niedobory metaboliczne. Ludzie albo potrzebują wiary, albo też nie.

Hsing wciąż się zastanawiała.

– Ci, którzy wierzą, nie potrafią uwierzyć, że inni tego nie potrzebują. Nie wierzą, że istnieją ludzie, którzy nie wierzą.

– Nadzieja – podsunęła z wahaniem.

– Nadzieja to nie wiara. Nadzieja wynika z rzeczywistości, nawet jeśli nie wydaje się zbyt realistyczna. Wiara lekceważy rzeczywistość.

– „Imię, które wymawiasz, nie jest właściwym imieniem” – zacytowała Hsing.

– Korytarz, którym możesz wędrować, nie jest właściwym korytarzem – dodał Luis.

– W czym może szkodzić wiara?

– To niebezpieczne mieszać rzeczywistość z nierzeczywistością – odparł natychmiast. – Mylić pragnienie z władzą, ego z kosmosem. Okropnie niebezpieczne.

Skrzywiła się na tak pompatyczne słowa. Po dłuższej chwili zapytała:

– Czy to właśnie miała na myśli matka Terry’ego, kiedy mówiła, że ludzie potrzebują boga, tak jak trzylatek potrzebuje pił-łań? Ciekawe, co to jest pił-łań.

– Może jakaś broń.

– Kiedyś, nim Rosa stała się serafinem, chodziłam z nią na biesiady. Bardzo mi się podobało. Śpiewają pieśni, pięknie mówią o różnych rzeczach, o zupełnie zwykłych rzeczach. Uważają, że wszystko, co robimy, jest święte. No nie wiem, po prostu mi się podobało – dodała nieco defensywnie.

Luis skinął głową.

– Potem jednak czytali dziwaczne teksty z książki o tym, czym naprawdę jest podróż i co oznacza odkrycie. I to już mi się przestało podobać. Mówiąc w skrócie, twierdzili, że na zewnątrz nie ma nic, że cały wszechświat kryje się wewnątrz. Dziwaczne.

– Mają rację.

– Słucham?

– Taka jest prawda. Na zewnątrz nie ma niczego, próżnia, pył.

– Ale gwiazdy... galaktyki!

– Punkciki światła na ekranie. Nie możemy do nich dotrzeć, nie możemy do nich sięgnąć. Nie my, nie za naszego życia, naszym wszechświatem jest ten statek.

Pomysł wydał jej się tak znajomy, że aż banalny, i tak dziwny, że ją zaniepokoił. Zastanawiała się nad nim.

– A życie tutaj jest doskonałe – dodał Luis.

– Naprawdę?

– Pokój i obfitość, światło i ciepło, bezpieczeństwo i wolność.

No oczywiście, pomyślała Hsing i myśl ta odbiła się na jej twarzy. Luis naciskał:

– Studiowałeś historię. Ludzie tyle wycierpieli. Czy ktokolwiek z pokoleń przedzeryowych żył tak dobrze, jak my? Choć w połowie tak dobrze? Większość z nich cały czas czuła strach, ból, nie znali nauki, walczyli z sobą o pieniądze, z powodów religijnych... Zabijały ich choroby, wojny, brak żywności. Zupełnie jak w Mieście 2000 albo w Dżungli. To było piekło, a tu mamy raj. Anioł Terry miał rację.

Zdumiało ją napięcie brzmiające w jego słowach.

– I co z tego?

– A to, że pojawia się pytanie, czy nasi przodkowie postanowili wysłać nas z jednego piekła do drugiego poprzez niebo. Dostrzegasz potencjalne niebezpieczeństwo kryjące się w takim sformułowaniu?

Hsing zastanowiła się chwilę nad tą przenośnią.

– Może dla szóstek to trochę niesprawiedliwe, ale nam nie sprawi specjalnej różnicy. Podejrzewam, że będziemy zbyt starzy, by wyjść na zewnątrz, choć osobiście chciałabym to zrobić i zobaczyć, jak ten świat wygląda, nawet jeśli ujrzę piekło.

– Dlatego nie jesteś aniołem. Akceptujesz fakt, iż nasze życie, nasza podróż ma Cel poza samą sobą, że do czegoś zmierzamy.

– Naprawdę? Nie sądzę. Mam po prostu nadzieję. Ciekawie byłoby gdzieś dotrzeć.

– Lecz aniołowie wierzą, że gdzieś nie istnieje.

– Zatem kiedy dotrzemy do Shindychew, czeka ich niespodzianka – mruknęła Hsing. – Choć podejrzewam, że wszystkich nas czeka... Posłuchaj, muszę przygotować wykres dla Canavala. Zobaczymy się w szkole.

Byli studentami drugiego roku college'u, mieli po dziewiętnaście lat, gdy przeprowadzili tę rozmowę. Nie mieli pojęcia, iż ludzie w ich wieku zawsze dyskutują na temat wiary, niewiary i celu istnienia.

Słowa z ziemi

Oczywiście od dnia, gdy „Odkrywca” opuścił planetę Dichew, Ziemię, towarzyszyły im wiadomości, wyprzedzały ich, podążały ich śladem. Podczas pierwszego pokolenia odbierano wiele osobistych przekazów. „Potomkowie Ross Betti: wszyscy w Badgerwood trzymają za was kciuki!”. Ale podobne transmisje stawały się coraz rzadsze i w końcu całkiem ustały. Od czasu do czasu następowały potężne zakłócenia odbioru, jedno trwało niemal rok. W miarę wzrostu odległości i z jakichś przyczyn, zwłaszcza w ostatnich pięciu latach, zakłócenia, opóźnienia i częściowe utraty przekazów stawały się normą. „Odkrywca” jednak nie został zapomniany, wciąż przychodziły kolejne słowa, obrazy. Ktoś – może jakiś program – na planecie pochodzenia nadal przesyłał ciągły strumień wieści, informacji, nowinek technologicznych, wierszy, dzieł literackich, czasami całe periodyki bądź tomy komentarzy politycznych, literatury, filozofii, krytyki, sztuki, dzieł dokumentalnych. Tyle że wszystkie definicje uległy zmianie i nikt na statku nie miał pewności, czy to, co ogląda bądź czyta, zostało wymyślone, czy też stanowi zapis rzeczywistości. Bo jak można odróżnić ziemską rzeczywistość od ziemskiej fikcji? Nauka także stanowiła problem, ponieważ tamci przyjmowali pewne odkrycia za coś oczywistego i zapominali zdefiniować terminy, którymi się posługiwali. Pokolenia pierwsze i drugie wiele czasu, wysiłku i pasji poświęcały analizom i interpretacji przekazów z Dichew. W kwadrancie pierwszym i czwartym istniały całe szkoły różniące się opinią na temat raportów dotyczących konfliktu pomiędzy (jak się zdawało) szkołami filozoficzno-religijnymi czy może grupami etniczno-narodowymi, zwanymi po arabsku prawdziwymi wyznawcami i autentycznymi wyznawcami. Tysiące bądź miliony – w transmisjach wspominano miliardy, lecz z pewnością był to błąd bądź wynik zakłóceń – w każdym razie mnóstwo ludzi na Dichew zabijało się i ginęło z powodu tego konfliktu wiary i idei. Na „Odkrywcy” toczono gwałtowne dyskusje na temat tego, czym są owe idee, wyznania, konflikty. Kłótnie trwały wiele lat, lecz nikt z ich powodu nie zginął.

W czasach trzeciego i czwartego pokolenia zawartość przekazów z Ziemi stała się tak tajemnicza, że tylko najwierniejsi miłośnicy wciąż je śledzili, większość ludzi nie zwracała na nie uwagi. Gdyby na Dichew zdarzyło się coś ważnego, ktoś by to zauważył. W każdym razie wszystkie przekazy trafiały do archiwów, a przynajmniej miały tam trafiać.

4-Canaval

Gdy Hsing zjawiała się w college’u, by zapisać się na kursy pierwszoroczne, odkryła, że profesor nawigacji 4-Canaval Hiroshi zapisał ją od razu na drugi rok swego kursu. „A gdybym w ogóle nie zamierzała studiować nawigacji?” – spytała ostro w dziekanacie, oburzona taką samowolą. W gruncie rzeczy jednak pochlebiło jej to. Najwyraźniej Canaval śledził zajęcia z matematyki i astronomii w liceum i zwrócił na nią uwagę. Zapisała się na kurs naw 2.

Nawigacja była zawodem szanowanym, lecz nie podziwianym, nie jak techowie czy artyści z wewnętrznej sieci. Dla wielu ludzi sama idea nawigacji wydawała się groźna. Wyjaśniali to, mówiąc, iż w każdym zawodzie można popełnić błąd i oczywiście spowoduje

on problemy (w szklanej bańce każde wydarzenie wpłynie w końcu na wszystkie inne), lecz w pracach takich jak kontrola atmosfery i nawigacja jedna pomyłka może zabić wszystkich na całym statku. Systemy były pełne zabezpieczeń, backupów i obwodów wtórnych, nie dało się jednak zabezpieczyć nawigacji. Oczywiście komputery były niezawodne, lecz wymagały operatorów, ludzi. Kurs stale wymagał kontroli. Nawigatorzy sprawdzali raz po raz swoje obliczenia i operacje komputerowe, sprawdzali dane wyjściowe i wyniki, sprawdzali i szukali błędów i powtarzali to raz po raz, raz po raz. Jeśli wszystkie obliczenia się zgadzały, nic się nie działo, nic nie groziło. I znów trzeba było wszystko powtarzać.

Nawigacja była równie zajmująca jak badania bakteriologiczne i równie mało popularna. Wymagała też ogromnych zdolności i wykszolenia matematycznego. Niewielu studentów wybierało zajęcia z niej poza pierwszym obowiązkowym rokiem. Bardzo nieliczni się w niej specjalizowali. 4-Canaval szukał kandydatów, czyli ofiar, jak nazywali ich studenci. Jeśli nawet niepopularność przedmiotu wynikała z głębszego dyskomfortu, przerażenia tym, czym się zajmował – podróżą w przestrzeni, ruchami statkoświata, jego kursem i celem – to nikt o tym nie mówił. Lecz Hsing czasami się nad tym zastanawiała.

Canaval Hiroshi, po czterdziestce, niski, wyprostowany, miał gęste czarne włosy i surową twarz. Przypomina z wyglądu mistrzów zen, pomyślała Hsing. Był też dalekim kuzynem Luisa i chwilami Hsing dostrzegała pewne podobieństwo. Na zajęciach bywał niecierpliwy, szorstki, nie tolerował błędów. Studenci się na niego skarżyli. Jedna drobna pomyłka w symulacji komputerowej wystarczyła, by wyrzucił całe zadanie wymagające godzin pracy, lekceważąc je jako bezwartościowe. Był niewątpliwie arogancki i obsesyjnie oddany swej pracy, lecz Hsing broniła go przed zarzutami megalomanii.

– To nie ego – mówiła. – Nie sądzę, by w ogóle miał ego. Ma tylko swoją pracę i obliczenia muszą się zgadzać, nie mogą zawierać błędów. Jeśli zanadto zbliżymy się do studni grawitacyjnej, to ważne, czy będzie to parsek, czy kilometr.

– Zgoda, ale milimetr nic nie zmieni – odparł Aki, którego piękny wykres uznany został właśnie za bezwartościowy.

– Teraz milimetr, za dziesięć lat parsek – odparła z uporem Hsing.

Zobaczyła, jak Aki przewraca oczami, ale się nie przejęła. Nikt inny nie rozumiał podniecenia towarzyszącego temu, co robił Canaval. Cudownego uczucia, gdy wszystko się zgadzało. Nie prawie, ale dokładnie. Doskonałość. To była piękna praca, abstrakcyjna, a przecież ludzka. Kryła się w niej pokora, bo pragnienia człowieka nie miały znaczenia. Nie można się spieszyć, trzeba dopilnować każdego drobiazgu, zadbać o wszelkie szczegóły po to, by osiągnąć wyższy cel. Istniał ustalony szlak, którym należało podążać. Utrzymanie się na nim wymagało stałej, wyteżonej uwagi. Nie było kwestią postępowania wedle własnych życzeń czy woli, lecz poddania się szlakowi, ciągłej czujności, skupienia. Gwiezdna nawigacja, żeglowanie po niebie. Na zewnątrz rozciągała się nieskończoność, przez którą wiodła tylko jedna droga. A jeśli ta świadomość uderzyła ci do głowy, zawsze ktoś natychmiast przypominał, że jesteś całkowicie zależny od komputerów.

Na trzecim roku zajęć z nawigacji Canaval zawsze stawiał przed studentami problem: „Przez pięć sekund komputery nie działają. Wykorzystując podane współrzędne i ustawienia, wyznacz kurs na następnych pięć sekund bez użycia komputerów”. Studenci albo rezygnowali po kilku godzinach, albo też pracowali całe dni, lecz poddawali się w końcu i uznawali, że tylko tracili czas. Hsing nie oddała zadania. Pod koniec roku Canaval

spytał ją o nie.

– Pomyślałam, że zajmę się nim w wakacje.

– Czemu?

– Lubię obliczenia i chcę wiedzieć, ile czasu by mi to zajęło.

– Na razie ile?

– Czterdzieści cztery godziny.

Skinął głową tak lekko, że może w ogóle tego nie zrobił, i odwrócił się. Nie potrafił okazywać aprobaty.

Potrafił natomiast się śmiać, gdy coś uznał za zabawne. Zwykle były to rzeczy proste, niemądre błędy, głupie pomyłki. Jego śmiech przypominał głośne dziecinne „ha, ha, ha”. A potem z szerokim uśmiechem dodawał zawsze: „To głupie, głupie!”.

– Naprawdę jest mistrzem zen – powiedziała do Luisa w śniadalni. – Poważnie, uprawia zazen. Wstaje o czwartej, żeby to robić przez trzy godziny. Żałuję, że ja tak nie mogę, ale musiałabym kłaść się o dwudziestej i nigdy nie poradziłabym sobie z nauką. – Ponieważ Luis nie zareagował, spytała: – A jak tam twój V-trup?

– Sprowadzony do wirtualnego szkieletu – odparł Luis, który wciąż wydawał się nieobecny.

Na trzecim roku studenci wybierali przyszły zawód. Hsing zdecydowała się na nawigację, Luis – na medycynę. Nie mieli już razem zajęć, spotykali się jednak codziennie w śniadalni, sali gimnastycznej, bibliotece. Nie odwiedzali się już w swoich pokojach.

Seks w szklanej bańce

Kochankowie nigdzie nie uciekają (gdzie można uciec?). Spotkania kochanków są sprawą publiczną. Zdolność do prokreacji budzi natychmiastowe zainteresowanie i troskę społeczności. Antykoncepcję gwarantują zastrzyki podawane co dwadzieścia pięć dni. Dziewczęta dostają je od dnia pierwszej menstruacji, chłopcy – od chwili wyznaczonej przez zespół medyczny. Nieobecność w klinice na zastrzyku anty powoduje natychmiastowe publiczne dochodzenie. Ludzie z kliniki pojawiają się w klasie, sali gimnastycznej, sekcji, korytarzu, kwaterze, głośno i wyraźnie wołają człowieka po imieniu i wyjaśniają jego przewinienie.

Ludzie mogą unikać zastrzyków anty po spełnieniu następujących warunków: sterylizacji bądź wejścia w okres pełnej menopauzy, deklaracji czystości seksualnej bądź pełnego homoseksualizmu albo też zgłoszonego oficjalnie przez mężczyznę i kobietę zamiaru spłodzenia dziecka. Kobieta, która złamie postanowienie czystości lub spłodzi dziecko z kimś innym niż zadeklarowany partner, może dostać zastrzyk następnego dnia, potem jednak zarówno ona, jak i jej partner przez dwa lata muszą dostawać zwykłe zastrzyki anty. Nieautoryzowane poczęcia kończą się aborcją. Podczas procesu edukacji wyjaśnia się dzieciom powody genetyczne i społeczne takich działań, lecz wszelkie powody tego świata na nic by się zdały, gdyby można było utrzymać życie seksualne w sekrecie. A nie można.

Wie o wszystkim twój korytarz, twoja rodzina, sekcja, twoi przodkowie. Cały kwadrant wie, kim jesteś, gdzie jesteś, co robisz, z kim to robisz, i wszyscy o tym mówią. Wstyd i honor to potężne narzędzia społeczne. Wzmocnione zaś przez całkowity brak prywatności

i powiązane z racjonalną potrzebą, a nie z hierarchicznymi fantazjami i chęcią dominacji, potrafią bardzo długo stabilizować społeczeństwo. Nastolatek może wyprowadzić się z kwatery rodziców i znaleźć samotnego partnera w innym korytarzu, w innej sekcji, a nawet w innym kwadrancie. Lecz w nowym korytarzu, sekcji i kwadrancie wszyscy będą wiedzieć, kto przekracza czyj próg. Będą uważni i ciekawi, czujni i zainteresowani. Zwykle nastawieni pozytywnie, choć stale złaźnieni skandalu. I będą o tym rozmawiać.

Lab, czyli Labirynt, był pierwszym miejscem, do którego przenosiło się wielu młodych ludzi po opuszczeniu kwater rodziców. Był to układ korytarzy w kwadrancie czwartym, nieopodal college'u, z wyłącznie pojedynczymi kwaterami. Z powodu kształtu obudowy głównego silnika ściany w Labie nie zawsze miały kąty proste i część kwater nie odpowiadała standardom. Studenci przesuwali ścianki działowe, tworząc labirynt boksów i wspólnych przestrzeni. Zawsze panowały tu chaos i hałas, w powietrzu unosiła się woń brudnych ubrań. Tutejsi mieszkańcy sypiali tylko od czasu do czasu, bez zahamowań uprawiali seks, lecz wszyscy zjawiali się punktualnie w klinice na kolejny zastrzyk anty. Luis mieszkał niedaleko Labu w trójce z dwoma innymi studentami medycyny, Tanem Bingdim i Ortizem Einsteinem. Hsing wciąż przebywała w kwaterze w kwadrancie drugim wraz z Yao. Od college'u dzieliło ją dwadzieścia minut marszu.

Po zwykłym nastoletnim okresie eksperymentów, rozpoczynając naukę w college'u, złożyła przysięgę czystości. Oznajmiła, że nie chce, by zastrzyki anty kontrolowały cykle jej ciała, a emocje wpływały na umysł. Nie, póki nie skończy studiów. Luis wciąż co dwadzieścia pięć dni zgłaszał się na zastrzyk. Nie złożył przysięgi, ale nie poszedł do łóżka z żadnym ze swoich przyjaciół, nigdy tego nie robił. Jego jedynymi doświadczeniami seksualnymi były grupowe zabawy z przyjęć nastolatków.

Wiedzieli to wszystko, ponieważ stanowiło to wiedzę publiczną. Gdy byli razem, nie rozmawiali o podobnych sprawach. Ich milczenie było równie głębokie i dodające otuchy, jak rozmowy.

Oczywiście ich przyjaźń także pozostawała publiczna. Przyjaciele zastanawiali się głośno, czemu Hsing i Luis nie uprawiają seksu i kiedy w końcu wylądują w łóżku. Ale pod przyjaźnią kryło się coś, co przyjaźnią nie było: obietnica złożona bez słów, lecz całym ciałem. Brak działania mający daleko idące skutki. Nawzajem gwarantowali sobie prywatność. Znaleźli miejsce, do którego można uciec. Kluczem do niego było milczenie.

To Hsing złamała umowę.

– Sprowadzony do wirtualnego szkieletu – rzekł z roztargnieniem Luis.

Najwyraźniej myślał o czymś innym niż V-zwłoki uczące go anatomii. Kierowany upiornym poczuciem humoru autor programu nakazał zwłokom udzielać wskazówek początkującemu patologowi i upominać go. „Rdzeń, idioto!” – szeptały złowieszczo nieruchome wargi, pozbawiona płuc klatka piersiowa. Albo: „Nie wzięłeś chyba tego za wyrostek robaczkowy?”. Hsing lubiła słuchać, co miały do powiedzenia zwłoki. Jeśli student nie popełniał błędów, od czasu do czasu nagradzały go poezją: „Dusza klaszcze, śpiewa, śpiewa coraz głośniej!” – krzyczały, gdy Luis usuwał krtań. Dziś jednak nie miał dla niej żadnych trupich anegdot. Siedział zamyślony przy stole w śniadalni.

– Luis, Lena... – zaczęła Hsing.

Luis uniósł rękę tak szybko, że umilkła, wypowiedziawszy tylko imię.

– Nie – rzekł.

Zapadła długa cisza.

– Posłuchaj, Luis, jesteś wolny.

Znów uniósł rękę, blokując słowa, broniąc ciszy.

– Chcę, żebyś wiedział – nalegała Hsing.

– Nie możesz mnie uwolnić – stwierdził. Jego głos stał się niższy. Może sprawił to gniew, może inne uczucie. – Tak, jestem wolny, oboje jesteśmy.

– Ja tylko...

– Nie, Hsing, nie. – Przez moment patrzył jej prosto w oczy. Wstał. – Daj spokój, muszę iść.

Odszedł między stolikami. Ludzie mówili: „Cześć, Luis”, ale nie odpowiadał. Ludzie dostrzegli kłótnię. Hsing i Luis pokłócili się w śniadalni. Hej, co się dzieje z Hsing i Luisem?

In-Jang

Młodej kobiecie często trudno oprzeć się zalotom starszego mężczyzny dysponującego władzą bądź wielkim autorytetem. Zwłaszcza jeśli ją pociąga. Najczęściej sama kobieta zaprzecza tym trudnościom, jak i pociągowi, pragnąc zachować swobodę wyboru, kobiecą swobodę. Jeśli pragnienie niezależności jest w niej dostatecznie silne, będzie opierała się z mocą równą jego agresji naciskom jego pożądania i własnej chęci oddania się, przyjęcia go w siebie. Albo może dostrzeże swą wolność właśnie w owym oddaniu. Ostatecznie jej zasada to in, zasada negatywna, owszem, ale to właśnie in mówi „tak”.

Oboje przechodzili intensywne szkolenie w swych zawodach. Luis praktykował w szpitalu centralnym, Hsing wystawała na mostku. Praca ich pochłaniała. Ponownie spotkali się sam na sam w śniadalni po dwóch, trzech dziesięciodniach.

– Zamieszkałam z Canavalem.

– Ktoś mi wspominał.

Ton Luisa wciąż był obojętny i nieobecny niczym miękki szal przykrywający coś twardego, nieustępliwego.

– W zeszłym tygodniu podjęłam decyzję. Chciałam powiedzieć ci o tym sama.

– Jeśli ci z tym dobrze...

– Tak. Dobrze. On chce, żebyśmy się pobrali.

– To dobrze.

– Hiroshi jest... jest jak rdzeń reaktora. Życie z nim jest podniecające.

Mówiła szczerze, próbując wyjaśnić, pragnąc, by zrozumiał. Zależało jej na tym. Nagle Luis podniósł wzrok i uśmiechnął się. Jej twarz gwałtownie poczerwieniała.

– Podniecające intelektualnie, emocjonalnie.

– Hej, płaska buźko, jeśli jest dobrze, to dobrze – odparł.

Pochylił się i lekko pocałował ją w nos.

– Ty i Lena... – zaczęła z nadzieją.

Uśmiechnął się nieco inaczej i odparł cicho, łagodnie, z absolutną pewnością:

– Nie.

Pewność

Hiroshiemu niczego nie brakowało, był pełny i skończony, jednolity. A może właśnie brakowało fragmentów innych Hiroshich, którzy mogli czytać powieści, stawiać pasjanse, czasem pospać dłużej, zrobić cokolwiek innego, być kimś innym niż on sam. Hiroshi robił to, co robił, i praca go definiowała.

Hsing jak wiele młodych kobiet przed nią sądziła, iż jeśli pojawi się w życiu Hiroshiego, poszerzy je, zmieni. Wkrótce pojęła, że to jej życie ogromnie się zmieniło, jego – wcale. Stała się częścią tego, co robił Hiroshi, bardzo ważną częścią. O tak, on przecież robił tylko bardzo ważne rzeczy. Tyle że nigdy do końca nie pojmowała, jakie właściwie.

To zrozumienie bardziej zmieniło jej sposób myślenia i życie niż uprawianie seksu i zamieszkanie z Hiroshim. Nie żeby radość napięcia i odkrycia związane z seksem nie fascynowały jej, nie cieszyły, nie zaskakiwały. Wkrótce jednak przekonała się, że seks podobnie jak jedzenie to cudowne przeżycie fizyczne, przyjemność, wszakże nie pochłania umysłu ani emocji. Te bowiem angażowały się w pracę. A odkrycie, objawienie, które przyniósł jej Hiroshi, nie miało nic wspólnego, przynajmniej z pozoru, z ich partnerstwem. Dotyczyło jego pracy, ich pracy, całego życia, życia wszystkich na światostatku.

– Chciałeś zamieszkać ze mną, abys mógł mnie w to wciągnąć.

Odpowiedział szczerze, bo choć wszystko, co robił, służyło przedłużeniu kłamstwa, starał się nie oszukiwać przyjaciół:

– Nie, nie. Ufałem ci, ale to wszystko upraszczało.

Roześmiała się.

– Dla ciebie. Nie dla mnie! Dla mnie kiedyś wszystko było proste, jasne, teraz stało się podwójne.

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa, potem ujął jej dłoń i łagodnie musnął wargami wewnątrz. Był dosyć sztywnym, lecz uprzejmym partnerem seksualnym i chwile, gdy ostatecznie poddawał się namiętności, zawsze wzruszały Hsing. Wówczas ich miłość łączyła się z radością, cudowną radością. Jednocześnie jednak Hsing wiedziała, iż dla niego jest tylko paliwem zasilającym rdzeń – elementem większej całości, celu, do którego zmierzał. Powtarzała sobie, że nie czuje się wykorzystana ani oszukana, bo już dawno zrozumiała, że dla Hiroshiego wszystko było paliwem – włączając w to jego samego.

Błędy

Byli małżeństwem od trzech dni, kiedy powiedział jej, jaki jest cel jego pracy, co robi.

– Rok temu spytałaś mnie o nieściskości w rejestrach przyspieszeń – rzekł.

Jedli razem posiłek w kwaterze. Nazywano to miesiācem miodowym. Słowo praktycznie pozbawione znaczenia w świecie bez miodu, pszczoł, które mogłyby go zrobić, bez miesiący i wyznaczającego je księżyca. Pozostał jednak miły zwyczaj.

Skinęła głową.

– Pokazałeś mi, że opuściłam jedną współrzędną. Nie pamiętam jaką.

– Fałsz – rzucił.

– Nie, nie to mówiłeś. Stała...

– Moje słowa były fałszywe – przerwał jej. – Świadomie. Po to by cię zwieść, przekonać, iż to ty popełniłaś błąd. Twoje obliczenia były doskonałe. Niczego nie pominęłaś. Istnieją rozbieżności znacznie większe niż ta, którą znalazłaś.

– W rejestrach przyspieszeń? – spytała oszołomiona.

Hiroshi raz jeden skinął głową, przestał jeść. Wiedziała, że gdy mówi tak cicho, jest ogromnie spięty. Była głodna, toteż wepchnęła do ust sporą porcję makaronu. Potem odłożyła pałeczki.

– W porządku. Co chcesz mi powiedzieć? – spytała, przelękając kluski.

Był zdenerwowany, na moment spojrzął jej w twarz. W jego oczach dostrzegła... desperację? błaganie? Coś tak nietypowego dla niego, iż nią wstrząsnęło, podobnie jak jego otwartość podczas seksu.

– Co się dzieje, Hiroshi? – szepnęła.

– Od ponad czterech lat statek zwalnia.

Jej umysł zaczął gwałtownie pracować, analizując kolejne implikacje, wyjaśnienia, scenariusze.

– Co poszło nie tak? – spytała w końcu spokojnie.

– Nic, zwalnianie jest kontrolowane, rozmyślne.

Wbijał wzrok w miskę. Zerknął na Hsing i natychmiast znów spuścił oczy. Uświadomiła sobie, że lęka się jej osądu, boi się jej samej.

– Rozmyślne?

– To decyzja podjęta cztery lata temu.

– Przez kogo?

– Przez czterech ludzi na mostku, później dwoje w administracji. Czterech ludzi w maszynowni i kontroli także o tym wie.

– Czemu?

Miała wrażenie, że przyjął to pytanie z ulgą. Może dlatego, iż zadane zostało spokojnie, bez tonu protestu, wezwania. Zaczął opowiadać swym zwykłym głosem. Dosłyszała w nim pewność siebie, stanowczość wykładowcy:

– Spytałaś, co poszło nie tak. Nic. Wszystko jest, jak trzeba. Cały czas pozostawaliśmy na kursie, bez niemal żadnych odchyień. Pojawił się jednak błąd, niewiarygodny ogromny błąd, który mogliśmy wykorzystać. Błąd to szansa. Dostrzegliśmy go z Chierekiem. Fundamentalny, olbrzymi błąd w przybliżeniach trajektorii, datujący się od czasu przejścia obok studni CG 440 pięć lat temu, w roku 154. Co się wówczas stało?

– Zwolniliśmy – odparła automatycznie.

– Nie, przyspieszyliśmy. – Napotkał jej pełen niedowierzania wzrok. – Wzrost przyspieszenia był tak gwałtowny i niespodziewany, że komputery wzięły go za błąd dziesiątego rzędu i skompensowały. – Zawiesił głos, by upewnić się, że dobrze zrozumiała.

– Dziesiątego rzędu?

– Nim Chierek zjawił się u mnie z danymi i zrozumiałem, że da się je wyjaśnić jedynie jako błąd komputera, przyspieszyliśmy do osiemdziesięciu dwóch setnych, o czterdzieści lat wyprzedzając planowany kurs.

Żart ten oburzył Hsing. Jak Hiroshi mógł tak ją nabierać, mówić takie rzeczy?

– To niemożliwe – odparła zimno.

– Ależ nie! – Hiroshi uśmiechnął się z równym chłodem. – To jak najbardziej możliwe, rzeczywiste. Udało się, przez dziewięćdziesiąt jeden dni podróżowaliśmy z osiemdziesięcioma dwiema setnymi. Wszystko, co wiesz o przyspieszeniu, obliczeniach Gegaarda, ograniczeniu wzrostu masy – to wszystko nieprawda. Tu właśnie kryły się błędy, w podstawowych założeniach. Błąd to szansa. Sama zobaczysz, gdy przejrysz

rejstry i sprawdzisz obliczenia. Kiedy dotrzemy na Shindychew, zawiadomimy o wszystkim fizyków z Dichew, powiemy, gdzie się mylili, wyjaśnimy, jak wykorzystując studnię grawitacyjną, można rozpędzić obiekt do ośmiu dziesiątych prędkości światła. To naprawdę wyprawa pełna odkryć. Mogliśmy dolecieć do celu w osiemdziesiąt lat. – Jego twarz miała triumfalny wyraz, twarz zwycięzcy. – Za pięć lat przybędziemy do układu docelowego. W pierwszej połowie roku 164.

Czuła wielki gniew.

– Jeśli to prawda – rzekła w końcu powoli – czemu mówisz mi o tym teraz? Czemu w ogóle mi o tym mówisz? Przed innymi ukryłeś prawdę, dlaczego?

Właśnie ów zwycięski wyraz twarzy, triumf w głosie bardziej niż szokująca wiadomość wywołały w niej gniew, ów sprzeciw, którego Hiroshi lękał się od początku. Teraz jednak wściekłość żony nie mogła już go dotknąć, pozostał niewzruszony, pewien swego.

– To jedyna władza, jaką mamy.

– My? Czyli kto?

– My, którzy nie jesteśmy aniołami.

Policzenie aniołów

Gdy Luis usłyszał, że program edukacyjny szóstego pokolenia jest niedostępny z powodu wprowadzania poprawek, rzekł:

– Ależ to samo powiedziano mi, gdy poprosiłem o niego osiem lat temu.

Kobieta na ekranie informacyjnym Centrum Edukacyjnego, typ poczciwej matrony, ze współczuciem pokręciła głową.

– Och, on stale jest zmieniany i poprawiany, aniele. Muszą go uaktualniać.

– Rozumiem. Dziękuję. – Luis wyłączył ekran.

Stary Tan zmarł dwa lata wcześniej, lecz wnuk okazał się jego godnym następcą.

– Bingdi, czy spisy obejmują anioły? – zagadnął go Luis we wspólnej kwaterze.

– Skąd miałbym wiedzieć?

– Bibliotekarze zawsze stanowią skarbnice użytecznych ciekawostek.

– Chodzi ci o to, czy wymienia się wszystkich aniołów? Nie, niby po co? Starych religii także nie uwzględniano w spisach. Wprowadzałoby to niepotrzebne podziały. – Bingdi nie mówił tak wolno jak jego dziadek, lecz jego słowa miały podobny rytm. Po każdym zdaniu następowała krótka, pełna namysłu pauza. Takt ciszy. – Przypuszczam, że błogość to także religia, nie wiem, jak inaczej można ją określić. Choć nie mam też pewności, jak definiuje się religię.

– Nie da się zatem w żaden sposób określić dokładnie, ilu jest aniołów? Czy też, ujmijmy to inaczej, nie da się stwierdzić, kto jest aniołem, a kto nie?

– Mógłbyś spytać.

– Istotnie, zrobię to.

– Zacznesz krążyć po korytarzach całego świata, pytając każdą mijaną osobę, czy jest aniołem?

– Czyż wszyscy nie jesteśmy aniołami? – rzucił Luis.

– Czasami tak się zdaje.

– Faktycznie.

– Do czego zmierzasz?

– Martwi mnie to, do czego wszyscy zmierzamy. I to, do czego nie mogę dotrzeć. Na przykład program edukacyjny szóstek.

Bingdi sprawiał wrażenie lekko zaskoczonego.

– Zamierzasz spłodzić małą szóstkę?

– Nie, chcę dowiedzieć się czegoś o Shindychew. Szóstki wylądują na Shindychew. Wydaje się rozsądne, że ich wykształcenie obejmie określone dane, że zostaną poinformowane, czego oczekiwać, jak sobie poradzić z życiem na zewnątrz, jak długo mogą przebywać na powierzchni planety. To przecież będzie ich praca. Zerowcy musieli uwzględnić podobne informacje w programie edukacyjnym. Twój dziadek tak twierdził. Zatem gdzie jest ten program i kto ich tego nauczy?

– Cóż, na razie jest niewiele szóstek. Nie przywdziały jeszcze nawet ubrań – zauważył Bingdi. – Trochę za wcześnie przerażać biedactwa opowieściami o nieznanym świecie, nie sądzisz?

– Lepiej za wcześnie niż nigdy – odparł Luis. – Za czterdzieści cztery lata nadejdzie Dzień Celu. Może nawet sami zechcemy zejść na Shindychew. Pokuśtykać ze starczym uporem, jak to ujęła Hsing.

– W takim razie może zastanowię się nad tym za kilkadziesiąt lat – zaproponował Bingdi. – W tej chwili muszę popracować nad tą użyteczną ciekawostką. – Odwrócił się do swojego ekranu. Po minucie jednak obejrzał się ponownie. – Co to ma wspólnego z liczbą aniołów? – spytał głosem człowieka, który już w chwili zadania pytania dostrzega odpowiedź.

Wrogowie błogości

Nie знаła zbyt dobrze 5-China Ramona, choć należał do kręgu współpracowników Hiroshiego. Od kilku lat był członkiem Rady Centralnej, ale Hsing nie głosowała na niego. Przyznawał się do chińskiego pochodzenia, żył w Kompleksie Górskiej Sosny, zamieszkanym głównie przez Chinów i Lee. Wielu Chinów już na początku zostało aniołami. Ramon, jak to określano, wspinał się wysoko w błogości. Sprawiał wrażenie człowieka bezbarwnego. Podobnie jak wielu aniołów płci męskiej traktował kobiety z dystansem i lekką drwiną, co ogromnie Hsing raziło. Z ogromnym zdumieniem odkryła, że Ramon jest jedną z dziesięciu – obecnie jedenastu – osób mających świadomość, iż statek zwalnia, zmierzając na wcześniejsze spotkanie z Celem.

– Nagrałeś taśmę, nie uprzedzając ludzi, że to robisz? – spytała, nie próbując nawet ukryć pogardy i nieufności.

– Tak – odparł beznamiętnie.

Ramon przeżył kryzys wiary, tak przynajmniej twierdził Hiroshi. 5-Chatterji Uma wyjaśniła to Hsing. Hsing lubiła i podziwiała Umę, błyskotliwą, elegancką kobietę, od czterech lat wybraną na przewodniczącą Rady Centralnej. Musiała jej wysłuchać. Jak tłumaczyła Uma, Ramon został przyjęty do wewnętrznego kręgu zaufanych Patela, jego archaniołów, i to, co tam usłyszał, tak bardzo nim wstrząsnęło, że złamał przysięgę milczenia, sporządził zapiski z ich rozmów i przekazał je Umie. Ona zaniósła raport Canavalowi i pozostałym, a oni zażądali, by Ramon dowiódł swych zarzutów. Dlatego

właśnie podstępnie nagrał sesję archaniołów.

– Jak możecie zaufać komuś, kto zdolny był zrobić coś takiego? – spytała Hsing ostro.

– Tylko w ten sposób mógł dostarczyć nam dowodów. – Uma spojrzała na nią ze współczuciem. – Paranoidalne podejrzania, plotki o spiskach mających na celu przejęcie nawigacji, manipulacje genami, wprowadzenie nieprzetestowanych leków do wody pitnej – ile ich już słyszeliśmy. Tylko w ten sposób Ramon mógł nas przekonać, że nie jest paranoikiem ani nie działa z niskich pobudek.

– Taśmy łatwo podrobić.

– A podróbki łatwo wykryć – wtrącił z uśmiechem 4-Garcia Teo, rosły, kanciasty, sympatyczny inżynier, któremu Hsing nie potrafiła nie ufać, choć bardzo starała się wzbudzić w sobie nieufność wobec wszystkich zebranych. – Ta jest prawdziwa.

– Posłuchaj jej, Hsing – powiedział Canaval, a ona skinęła głową, choć wciąż czuła niechęć w sercu.

Nienawidziła tego wszystkiego, tajemniczości, sekretów, spisków. Nie chciała w tym uczestniczyć, nie chciała siedzieć tu z tymi ludźmi, być jedną z nich, dysponować częścią władzy, którą przechwycili – przechwycili, bo jak twierdzili, musieli to zrobić. Ale nikt przecież nie musi kłamać, nikt nie ma prawa robić czegoś takiego, kontrolować życia innych, nie wspominając im o tym ani słowem.

Głosy na taśmie nic dla niej nie znaczyły – męskie głosy rozprawiające o interesach, których nie rozumiała. Nic jej to nie obchodziło. Niech aniołowie zachowają swe sekrety, niech Canaval i Uma zajmą się własnymi, mnie do tego nie mieszajcie, pomyślała. Nagle w ucho wpadł jej głos Patela Inblissa. Łagodny, stary głos, lecz twardy jak stal, jakże znajomy – słyszała go całe życie. Przez mur oporu, niesmaku i niedowierzania usłyszała ów głos mówiący:

– *Zanim przejdziemy mostek, musimy zdyskredytować Canavala i Chatterji.*

– *I Tranha* – dodał inny głos.

5-Tranh Golo, także członek Rady, z grymasem skinął głową, jakby chciał podziękować.

– *Czy macie jakąś strategię?*

– *Z Chatterji pójdzie łatwo* – odparł kolejny, głębszy głos. – *Jest gadatliwa i arogancka.*

Pogłoski ograniczą jej wpływy. W przypadku Canavala musimy skupić się na jego zdrowiu.

Hsing poczuła dziwny dreszcz. Zerknęła na Hiroshiego. Siedział nieporuszony jak podczas porannych medytacji.

– *Canaval to wróg błogości* – oznajmił starczy głos, głos Patela.

– *Zajmujący wyjątkowo wpływowe stanowisko* – dodał ktoś z pozostałych, na co głęboki głos odparł:

– *Musi zostać zastąpiony na mostku i w college’u. Musimy mieć tam dobrego człowieka.*

Dyskusja trwała dalej. Hsing nie rozumiała większości wypowiedzi, słuchała jednak uważnie, próbując coś pojąć. Kiedy nagranie skończyło się w pół słowa, wzdrygnęła się. Powiodła wzrokiem po pozostałych słuchaczach – Umie, Teo, Golo i Ramdasie, których uważała za przyjaciół, Chinie Ramonie i dwóch kobietach, technolożce i członkini Rady. Znała ich, członków tajnego kręgu, lecz nie uważała za bliskich sobie. I jeszcze Hiroshi, wciąż w pozycji zazen. Zebrali się w kwaterze Umy, umeblowanej w stylu nomadów, wedle najnowszej mody – żadnych mebli, tylko wykładzina i barwne, wzorzyste poduszki.

– Co mieli na myśli, mówiąc o twoim zdrowiu? – spytała ostro. – A potem wspominali coś o zastawkach serca.

– Mam wrodzoną wadę serca – odpowiedział. – Informację o niej można znaleźć w mojej teczce Z.

Wszyscy mieli teczkę Z, zawierała mapę genetyczną, zapisy medyczne, rejestry szkolne, historię pracy. Tylko właściciel dysponował kodem dostępu do niej, nikt nie mógł zajrzeć bez jego pozwolenia. Jedynie współrodzic albo lekarz mógł o to prosić. Dopiero po śmierci człowieka teczka z działu rejestrów trafiała do archiwów. Te osobiste akta otaczała niemal mistyczna aura prywatności. Nie do pomyślenia, by ktoś mógł ukraść kod i zajrzeć do nich bez zezwolenia. Hsing nie widziała teczki Z Hiroshiego, nigdy o to nie poprosiła, bo nie planowali dziecka. Nie rozumiała, czemu o niej wspomniał.

– Pracownicy rejestrów to w dziewięćdziesięciu procentach aniołowie – rzekł Ramon, widząc jej konsternację.

Hsing była na niego wściekła, bo ją popychał, zmuszał, by zrozumiała znaczenie słów Hiroshiego. W ogóle nie znosiła Ramona jako człowieka, jego zbyt miękkiego głosu i napiętej twarzy. Gdy zjawiał się w pobliżu, Hiroshi także się spinał, zaciskał usta trawiony obsesją na punkcie aniołów przejmujących władzę. Teraz Ramon zdobył władzę również nad nią, zmuszając ją do współpracy, wysłuchania taśmy, którą nagrał, zdradzając ludzi darzących go zaufaniem.

Ku swojemu przerażeniu odkryła, że ma ochotę się rozplakać. Nie płakała od lat. Chatterji Uma patrzyła na nią ze współczuciem.

– Hsing – rzekła cicho, gdy pozostali zaczęli rozmawiać. – Kiedy Ramon pokazał mi swoje notatki, kazałam mu wyjść. Potem całą noc wymiotowałam.

– Ale... ale po co mieliby robić to wszystko? – Głos Hsing był piskliwy.

Pozostali odwrócili głowy. Tylko Ramon i Hiroshi odpowiedzieli jednocześnie:

– Dla władzy – rzekł jeden.

– Dla kontroli – rzucił drugi.

Nie patrzyła na nich. Spoglądała na kobietę z Rady. Od niej oczekiwała odpowiedzi, która miałaby sens.

– Ponieważ, jeśli dobrze rozumiem – powiedziała Uma – Patel Inbliss nauczył swych aniołów, że naszym celem nie jest planeta ani żadne inne miejsce.

Hsing się wzdrygnęła.

– Chcesz powiedzieć, że oni sądzą, iż Shindychew nie istnieje?

– Nic nie istnieje poza statkiem. Istnieje tylko podróż.

Powiedz, duszo, czym jest śmierć

Radujcie się podróżą życia z życia ku życiu,

Życiu wiecznemu, wiecznej błogości.

Lecimy bowiem, o aniołowie, lecimy razem!

Wszyscy zebrani odśpiewali ostatnią zwrotkę z radością i zachwytem i Rosa z uśmiechem odwróciła się w stronę Luisa. Siedzieli w rzędzie, Luis, Rosa ze swą córką Jelliką, mąż Rosy Ruiz Jen, trzymający na kolanach swego dwuletniego syna Joya.

Aniołowie byli zwolennikami tak zwanych całych rodzin i prawdziwego braterstwa, par, które razem płodzą i wychowują dzieci obojga partnerów. „Matki miłość słodka, ojca mądry wzrok. Mały chłopiec i dziewczynka razem wciąż krok w krok”. Głowę Luisa przepełniały podobne hasła, powiedzonka i rymowanki. Przez ostatnie cztery dziesięciodni czytał wyłącznie literaturę anielską. Dwa razy przebrnął przez *Anioła do aniołów*, trzy razy przez *Nowe komentarze* Patela Inblissa, a także wiele innych tekstów. Rozmawiał z przyjaciółmi i znajomymi wśród aniołów, a znacznie więcej słuchał, niż mówił. Spytał Rosę, czy mógłby przyjść z nią na biesiadę, ona zaś odparła radośnie, że nic nie mogłoby uszczęśliwić jej bardziej.

– Nie zamierzam zostać aniołem, Rosie, nie dlatego chcę przyjść.

Roześmiała się i chwyciła go za rękę.

– Ależ już nim jesteś, Luisie, nie przejmuj się. Z radością poprowadzę cię ku błogości.

Po pieśniach nadszedł czas sesji pokoju, podczas której uczestnicy siedzą w milczeniu póty, póki jeden z nich nie zapragnie przemówić. Luis bardzo polubił owe sesje. Mówiący krótko dzielili się z innymi radością, lękiem bądź smutkiem, z ufnością oczekując współczucia. Gdy pierwszy raz przyszedł na biesiadę, Rosa wstała, by powiedzieć: „Bardzo się cieszę, bo jest tu mój drogi przyjaciel Luis!”. Ludzie odwracali się do nich, darzyli ich uśmiechami. Oczywiście padały też gotowe przemowy na temat wdzięczności i potrzeby trwania w szczęściu. Często jednak przemawiano prosto z serca. Na ostatnim spotkaniu stary mężczyzna, którego żona właśnie umarła, rzekł: „Wiem, że Ada unosi się w błogości, ale czuję się samotny, wędrując bez niej korytarzami. Jeśli wiecie jak, proszę, pomóżcie mi, bym jej radości nie opłakiwał”.

Dziś ludzie prawie się nie odzywali, wymieniali jedynie konwencjonalne uwagi. Prawdopodobnie dlatego, iż towarzyszył im archanioł. Archaniołowie odwiedzali biesiady domowe bądź sekcyjne, by wygłosić krótką przemowę i nauczać. Niektórzy z nich byli śpiewakami, wykonującymi pieśni oddania. Uczestnicy biesiad słuchali ich w zachwycie. Luisa zainteresowały złożoność i bogactwo muzyczne oraz intelektualne tych pieśni, toteż z ciekawością nadstawił ucha, gdy przedstawiono im 5-Vana Winga.

– Zaśpiewam dziś nową pieśń – oznajmił Wing z anielską prostotą.

Odczekał chwilę i zaczął. Miał mocny, pewny tenor. Śpiewał pieśń oddania, jakiej Luis jeszcze nigdy nie słyszał. Swobodna, ekstatyczna melodia była wyraźną improwizacją zbudowaną na kilku połączonych wzorach. Słowa jednak nie pasowały do muzyki. Były pełne aluzji, krótkie, tajemnicze.

Oko, co widzisz?

Pustkę i czerń.

Ucho, co słyszysz?

Ciszę bez ech.

Duszo, czym jest śmierć?

Czarnym milczącym zewnątrz.

O, oczyszczone życie!

Leć wiecznie ku radości,

Naczynie błogości!

Ostatnie trzy linijki wzniosły się w typowej radosnej kadencji. Pieśń jednak skupiała się na poprzedzających je mrocznych słowach, powtarzając je raz po raz, a śpiewak napełniał je drzeniem grozy, którą Luis odczuł równie mocno, jak pozostali. Był to niezwykle występ, a Van Wing okazał się prawdziwym artystą. Nagle Luis uświadomił sobie, że broni się przed pieśnią, próbuje strywalizować efekt, jaki wywarły na nim te słowa.

Duszo, czym jest śmierć?

Czarnym milczącym zewnątrz.

I kiedy wędrował zatłoczonym korytarzem do swej kwatery w czwórcę, słowa tej mrocznej pieśni nieustannie brzmiały mu w uszach. Gdy obudził się następnego ranka, zrozumiał, co dla niego znaczą.

Siedząc na łóżku, zaczął pisać w pustej książce, którą zrobiła dla niego w prezencie Hsing, gdy mieli po szesnaście lat. Choć korzystał z niej rzadko i oszczędnie, jego zapiski sporządzone drobnym, wyraźnym pismem zapełniły większość kartek od góry do dołu, z jednego boku do drugiego. Pozostało tylko kilka pustych stron. Na pierwszej widniał napis: „Pudełko na myśli Luisa zrobione z miłością przez Hsing”. Swego imienia nie zapisała literami, lecz starożytnym ideogramem. Za każdym razem, gdy otwierał książkę, odczytywał ów napis. Teraz napisał: „Życie/statek/naczynie/przejście: śmiertelne środki wiodące ku nieśmiertelności (prawdziwej błogości). Cel metaforyczny – cel bowiem oznacza los, wszelkie znaczenie jest wewnątrz, na zewnątrz nie ma nic. Zewnątrz jest nicością, negacją, pustką, otchłanią, śmiercią. Życie jest wewnątrz, wyjście na zewnątrz to odmowa, bluźnierstwo”. Długą chwilę przyglądał się ostatniemu słowu, potem sięgnął do ekranu i wywołał na nim wielki słownik języka angielskiego. Jakiś czas studiował uważnie definicję i słowa bliskoznaczne bluźnierstwa, sprawdził „herezję”, „heretycki”, „heretyk”, a potem „ortodoksja”. Przerwał gwałtownie i znów zaczął pisać w pustej książce: „Rodz. ludz. wysoce zdolny do ADAPTACJI! Błogość to psych./metaorganiczna adaptacja do życia w drodze – niemal doskonała homeostaza. Przestrzegaj zasad, żyj wewnątrz, żyj wiecznie. Zła adaptacja do osiągnięcia celu podróży, bo równoważne z fiz./duch./ŚMIERCIA”. Ponownie przerwał i znów zapisał: „Jak przeciwdziałać, wywołując jak najmniej sporów, niepokojów, podziałów?”.

Przestał pisać i długą chwilę siedział zamyślony. Łagodny, niezmienny, nieustający powiew powietrza o temperaturze dwudziestu dwóch stopni Celsjusza z dyszy atmosferycznej poruszył cienkimi kartkami i przewrócił je tak, że znów ukazała się strona tytułowa. „Skrzynka na myśli Luisa”, słowo „miłość”, ideogram oznaczający Hsing, gwiazdę. Naprawdę nie miał nikogo innego, z kim mógłby o tym pomówić.

Nie odpowiedziała na pierwszą wiadomość, a kiedy w końcu się z nią połączył, usłyszał, że jest zajęta. Przeprasza, ale ma w tej chwili mnóstwo na głowie, nie może oderwać się od pracy. Niemożliwe! Nie mogła zrobić się taka ważna. Canaval był bardzo ważny,

zresztą nie bez powodu, ale Hsing nadęta, unikająca kontaktów? Niemożliwe! Zajęta. Czemu tak bardzo zajęta? Co to za praca, która nie pozwala odpowiedzieć przyjacielowi? Pewnie wciąż się go bała. To go zasmuciło. Ów smutek jednak nie był niczym nowym, a ponieważ tak naprawdę bała się siebie, a nie jego, nie był to jego problem, lecz jej. Nie pozwolił się zbyć.

– Przyjdę jutro o dziesiątej – oznajmił i dokładnie o dziesiątej zjawił się przed drzwiami jej kwatery.

Czekała. Canavala nie było. Sprawiała wrażenie skrępowanej. Usiedli naprzeciw siebie na kanapie.

– Czy coś się stało, Luisie?

– Muszę ci powiedzieć, czego dowiedziałem się o aniołach.

Dziwny początek po pół roku milczenia. Luis doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Ale jej reakcja go zdziwiła. Hsing była zaskoczona i przerażona. Szybko się opanowała i zaczęła coś mówić. Urwała, w końcu spytała z wyraźną podejrzliwością:

– Czemu mnie?

– A komu innemu?

– Co według ciebie mam wspólnego z nimi?

Cóż za okrężne pytanie, pomyślał Luis.

– Nic – rzekł. – A to coraz radsze. Ta sprawa jest dla mnie ważna, muszę ją z tobą omówić. Chcę wiedzieć, co o tym sądzisz, poznać twoją opinię. Zawsze myślało mi się najlepiej, kiedy z tobą rozmawiałem.

Hsing nie uspokoiły te słowa. Spięta, czujna, niechętnie skinęła głową.

– Napijesz się herbaty?

– Nie, dziękuję. Będę mówił jak najszybciej. Proszę, przerwij mi, jeśli nie wyrażę się jasno. Powiedz, czy to, co mówię, wyda ci się wiarygodne.

– Ostatnio niewiele rzeczy wydaje mi się niewiarygodnych – odparła cierpko, nie patrząc na niego. – Zaczynaj więc, o dziesiątej czterdzieści muszę być na mostku. Przykro mi.

– Pół godziny wystarczy.

W połowie tego czasu powiedział jej wszystko, co miał do powiedzenia. Zaczął od tego, jak uświadomił sobie, iż komisje i rady edukacji od co najmniej dwudziestu lat pozostają pod kontrolą aniołów. Obecnie nie da się już stwierdzić, jak wyglądał pierwotny plan nauczania przygotowany przez pokolenie zero dla szóstek. Te plany zostały skasowane, może nawet usunięte z archiwów. Za każdym razem, gdy zastanawiał się nad tą ewentualnością, niedowierzanie brało w nim górę. Nie próbował ukryć swych obaw. Hsing nadal nie okazywała po sobie niczego. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie wie tego wszystkiego. Ale jeśli nawet, tego również nie zdradzała. Mówił więc dalej. Programy szkoły podstawowej i średniej niemal nie zmieniły się od czasów szkolnych Hsing i Luisa. Najbardziej uderzającą zmianą było ograniczenie informacji i rozmów na temat Dichew i Shindychew. Obecnie uczniowie niewiele czasu poświęcali na naukę o obu planetach. Opisujący je język był mętny, dziwnie odległy. W dwóch nowych tekstach Luis natknął się na zwrot „hipoteza planetarna”.

– Lecząc za czterdzieści trzy i pół roku przybędziemy na jedną z owych hipotez – dodał. – Co z tym pocniemy?

Hsing znów była wstrząśnięta, przerażona. Luis nie miał pojęcia, co począć z tym fantem. Ciągnął:

– Próbowałem zrozumieć elementy anielskiej teorii lub wiary każącej im odrzucać fakt naszego pochodzenia z jednej planety i tego, iż celem lotu jest druga. Błogość to spójny system myślowy, ma głęboki sens sam w sobie, a także jako wiara dla ludzi żyjących w naszych warunkach. W istocie na tym właśnie polega problem. Błogość to system zamknięty, samowystarczalny, psychiczna adaptacja do naszego życia, życia na statku. Adaptacja do zamkniętego systemu, niezmiennego sztucznego środowiska, nieustannie zaspokajającego wszystkie nasze potrzeby. My, ludzie z pokoleń środkowych, mamy tylko jedno zadanie: pozostać przy życiu i utrzymać statek na kursie. Wystarczy, byśmy przestrzegali zasad, czyli konstytucji. Zerowcy uważali to za ważny obowiązek, coś wzniosłego, ponieważ postrzegali go jako element całej podróży, środek uświęcony przez cel. Ci jednak, którzy nie ujrzą celu, nie widzą w tym nic uświęcającego. Utrzymanie się przy życiu wydaje się zbyt egoistyczne, system jest nie tylko zamknięty, ale i nie pozwala na rozwój. Na tym właśnie polegała wizja Kima Terry'ego. Jak uświęcić środek, podróż. Jak sprawić, by posłuszeństwo zasadom samo w sobie stało się celem. Według niego nasza prawdziwa podróż odbywa się nie tylko w świecie materialnym na zewnątrz, w przestrzeni, lecz także w świecie duchowej błogości – którą osiągniemy dzięki prawemu życiu.

Hsing przytaknęła w milczeniu.

– Przez ostatnie dziesięciolecia Patel Inbliss stopniowo zmodyfikował znaczenie owej wizji. Życie tutaj to wszystko, co mamy. Poza statkiem nic nie istnieje, dosłownie i duchowo nic. Miejsce startu i cel stały się metaforami, przerośniami, nie ma w nich nic rzeczywistego. Jediną rzeczywistością jest podróż, podróż stała się własnym celem.

Hsing nadal siedziała obojętnie, jakby nie mówił jej niczego, czego nie wiedziała. Słuchała jednak.

– Patel nie jest teoretykiem, tylko działaczem. Propaguje swą wizję poprzez archaniołów i ich uczniów. Uważam, że przez ostatnie dziesięć, piętnaście lat aniołowie podejmowali wiele decyzji w Radzie i większość dotyczących edukacji.

Ponownie skinęła głową.

– Szkoły niemal nie wspominają o pierwotnym celu podróży międzygwiazdnej, zbadaniu i być może zasiedleniu planety. W tekstach i programach wciąż można znaleźć informacje na temat kosmosu, mapy gwiazdne, typy gwiazd, powstawanie planet, wszystko, co omawialiśmy w dziesiątej klasie. Rozmawiałem jednak z nauczycielami, którzy twierdzą, iż opuszczają większość materiału. Dzieci „nie są nim zainteresowane”, „stare teorie naukowe wydają im się za trudne”. Zdajesz sobie sprawę z faktu, że niemal wszyscy administratorzy szkół i sześćdziesiąt pięć procent nauczycieli – a dziewięćdziesiąt procent w kwadrancie pierwszym – to wyznawcy błogości?

– Tak wielu?

– Co najmniej. Mam wrażenie, że część aniołów z rozmysłem ukrywa swe przekonania.

Hsing sprawiała wrażenie zniesmaczonej, niespokojnej, ale milczała.

– W naukach archanielskich zewnątrz zrównane jest z niebezpieczeństwem fizycznym i duchowym, z grzechem, złem i ze śmiercią. Poza statkiem nie ma nic dobrego. Wnętrze jest pozytywne, zewnątrz negatywne. Dualizm w czystej postaci. Obecnie niewielu młodych aniołów zajmuje się dermatologią, lecz starsi wychodzą na zewnątrz. Gdy tylko przekraczają próg służby, przechodzą rytuał oczyszczenia. Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Zwany jest odkażaniem. To słowo ze starej teorii naukowej, które obecnie nabrało nowego znaczenia. Dusza zostaje skażona poprzez milczące czarne zewnątrz... No, zostawmy to. Aniołowie chętnie postępują według zasad, ponieważ życie przeżyte w prawości prowadzi nas wprost do szczęścia wiecznego. Chcą, by wszyscy przestrzegali zasad. Żyjemy w statku błogości. Nie możemy błogości uniknąć, chyba że złamiemy nową zasadę, najważniejszą. Statek nie może się zatrzymać.

Urwał. Hsing wydawała się wściekła, jak zawsze gdy się martwiła, niepokoiła bądź bała. Odkrycie zmiany nauk anielskich i stopnia, w jakim aniołowie kontrolowali różne rady, zaniepokoiło Luisa, lecz go nie przeraziło. Postrzegał je jak problem, poważny problem, który należy rozwiązać. Aby to uczynić, należy postawić sprawę jasno, zmusić aniołów, by wyjaśnili swe postępowanie, i uświadomić innym, iż Patel Inbliss próbuje zmienić zasady, uciekając się w tym celu do tajemnych wpływów. Gdy ludzie się dowiedzą, zareagują. Wcale nie musi nastąpić kryzys.

– Mamy czterdzieści trzy i pół roku – oznajmił. – Mnóstwo czasu, by wszystko przedyskutować. To kwestia przywrócenia właściwych proporcji. Bardziej radykalni aniołowie będą musieli się zgodzić, że mamy Cel. Ludzie wyjdą na zewnątrz i muszą zostać do tego wyszkoleni, nie mogą traktować tego jak grzech.

– Jest gorzej, niż sądzisz – powiedziała Hsing. Zerwała się z miejsca, przeszła przez pokój – prosty, surowy, nieprzypominający zabałaganionej dziupli, w której niegdyś mieszkała – i stanęła bez ruchu, odwrócona do niego plecami.

– No tak... – Luis nie rozumiał, co miała na myśli, lecz fakt, iż cokolwiek powiedziała, już był zachęcający. – Wszystkim nam potrzeba szkolenia. Gdy osiągniemy Shindychev, będziemy po sześćdziesiątce. Jeśli planeta nadaje się do zamieszkania, musimy przywyknąć do myśli, że przynajmniej część z nas tam zostanie, osiadzie, a być może inni zawrócą na Dichew... Przy okazji, aniołowie nigdy o tym nie wspominają. Myśli Inblissa podążają w linii prostej stąd w nieskończoność. W jego rozumowaniu jednak kryje się błąd. Uważa, iż materialny statek zdolny jest do wiecznej podróży. Wygląda na to, iż błogość nie uwzględnia entropii.

– Tak – rzekła Hsing.

– To wszystko – powiedział po chwili.

Brak reakcji Hsing zdumiał go i zaniepokoił. Odczekał jeszcze chwilę.

– Myślę, że trzeba o tym pomówić, przyszedłem zatem do ciebie, aby porozmawiać. A ty może zechcesz wspomnieć o tym nieaniołom z zarządzania i mostka. Trzeba zwrócić uwagę na ową zmianę naszej misji. – Zawiesił głos. – Może już o niej wiedzą.

– Tak – powtórzyła. Nie odwróciła się.

Luis miał w sobie niewiele gniewu i rzadko się irytował, poczuł jednak ogromny zawód. Gdy tak patrzył na plecy Hsing i różowy czeong sam, krótkie nogi bez bioder (sama tak opisywała swą figurę chi-po), czarne proste włosy przycięte równo z linią ramion, czuł także ból, ostry, głęboki, przeszywający ból serca.

– W moim rozumowaniu też krył się błąd – powiedział.

Wstał. Odwróciła się. Wciąż wyglądała na zaniepokojoną bardziej, niż się spodziewał. Zrozumienie tego, jak potężne stały się wpływy anielskie, zabrało mu mnóstwo czasu. Teraz w jednej chwili zasypał ją wszystkimi swymi odkryciami, a przecież nic jej nie zaskoczyło. Skąd zatem ta reakcja? Czemu Hsing nie chce o tym mówić?

– Jaki błąd? – spytała. Wciąż nie ufała mu, wycofywała się.

– Nic takiego. Brakuje mi naszych rozmów.

– Wiem. Praca w nawigacji nigdy się nie kończy.

Patrzyła na niego, ale tak naprawdę go nie widziała. Nie mógł tego znieść.

– A więc tak, to wszystko. Po prostu podzieliłem się z tobą moimi troskami, jak mawiamy na sesjach pokoju. Dzięki za poświęcony mi czas.

Był już w drzwiach, gdy się odezwała:

– Luis...

Przystanął, ale nie odwrócił głowy.

– Może pomówię z tobą o tym później.

– Jasne, nie przejmuj się.

– Muszę porozmawiać z Hiroshim.

– Jasne – powtórzył i wyszedł na korytarz.

Chciał pójść gdzie indziej, nie na korytarz czterdzieści cztery, nie na żaden korytarz, w żadne znane mu miejsce. Nie istniało jednak miejsce, którego by nie znał. W całym świecie. Chcę wyjść, pomyślał. Na zewnątrz. W milczące czarne zewnątrz.

Na mostku

– Powiedz swojemu przyjacielowi, żeby nie panikował – rzekł Hiroshi. – Aniołowie nie przejęli jeszcze kontroli. Nie, póki my ją mamy. – Wrócił do swej pracy.

– Hiroshi!

Nie odpowiedział.

Długą chwilę stała obok jego fotela na stanowisku nawigacyjnym. Spoglądała w jedyne okno „Odkrywcy”: ekran wielkości metra kwadratowego, na którym dane z czujników epidermy przedstawiano w formie obrazowej. Czerń, jasne kropki, ciemne kropki, mgiełki. Miejscowe pole gwiazdne i w dolnym lewym rogu fragment odległego dysku galaktyki. Dzieci z trzeciej klasy przyprowadza się tutaj, by ujrzeć okno. Albo raczej przyprowadzało.

– Czy to właśnie mamy przed sobą? – spytała niedawno Tea.

– Nie, część z tego mamy już za sobą – odparł z uśmiechem. – To film, sam go przygotowałem na wypadek, gdyby ktoś coś zauważył. Tak by to wyglądało, jeśli lecielibyśmy według planu.

Teraz, patrząc na ekran, przypomniała sobie określenie Luisa – VN, wirtualna nierezeczywistość. Nie oglądając się na Hiroshiego, zaczęła mówić:

– Luis sądzi, że aniołowie przejmują władzę. Ty uważasz, że wy macie władzę. Ja myślę, że aniołowie was kontrolują. Nie śmiecie powiedzieć ludziom, że o dziesiątki lat wyprzedzamy plan podróży, bo sądzicie, że gdy dowiedzą się o tym, aniołowie przejmą władzę i zmienią kurs, by ominąć planetę. Jeśli nadal jednak będziecie ukrywać prawdę, to gdy tam dotrzemy, istotnie to zrobią. Co zamierzacie powiedzieć? „Jesteśmy na miejscu! Niespodzianka”? Wystarczy, by aniołowie stwierdzili: „Ci ludzie poszaleli, popełnili błąd w nawigacji, a potem próbowali go ukryć. Nie dolecieliśmy do Shindychew, jest o czterdzieści lat za wcześnie. To inny układ słoneczny”. Wówczas przejmą mostek i polecimy dalej. I jeszcze dalej, donikąd.

Minęła długa chwila. Hsing już sądziła, że Hiroshi w ogóle jej nie słuchał, nie usłyszał ani słowa.

– Patel ma mnóstwo ludzi – rzekł cicho. – Tak jak odkrył twój przyjaciel... To nie była łatwa decyzja, Hsing. Nie mamy nic. Możemy polegać tylko na faktach dokonanych. Rzeczywistość kontra pobożne życzenia. Wejdziemy na orbitę i możemy rzec: „Oto planeta, jest prawdziwa, naszym zadaniem jest posadzenie na niej ludzi”. Jeśli jednak powiemy im to teraz... cztery lata wcześniej czy czterdzieści to nie ma znaczenia... ludzie Patela nas zdyskredytują, zastąpią, zmienią kurs i, jak mówisz... polecimy dalej w nicość. Ku „błogości”.

– Jak możesz oczekiwać, by ktokolwiek wam uwierzył, poparł was, skoro chcecie okłamywać ich do samego końca? Zwykłych ludzi, nie aniołów. Jak usprawiedliwiacie niemówienie prawdy?

Pokręcił głową.

– Nie doceniasz Patela. Nie możemy zrezygnować z naszej jedynej przewagi.

– Ja myślę, że to wy nie doceniacie ludzi, którzy by was poparli. Nie doceniacie w stopniu graniczącym z pogardą.

– Zostawmy na boku sprawy osobiste. – Jego głos zabrzmiał ostro.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Osobiste?

Zebranie plenarne rady

– Dziękuję, pani przewodnicząca. Nazywam się Nova Luis. Proszę, by Rada przedyskutowała utworzenie komisji ad hoc do spraw manipulacji religijnych. Niech zbada program edukacyjny, zawartość i dostępność pewnych materiałów w rejestrach i archiwach oraz skład czternastu komisji i ciał decyzyjnych wymienionych na ekranie.

4-Ferris Kim natychmiast zerwał się na równe nogi.

– Zgodnie z konstytucją komisję do spraw manipulacji religijnych można zwołać jedynie w celu zbadania wyborów bądź obrad ciała prawodawczego. Program szkolny, materiały przechowywane w rejestrach i archiwach oraz wymienione komisje i rady nie podpadają pod definicję ciał ustawodawczych. Nie podlegają zatem badaniu.

– O tym zadecyduje komisja konstytucyjna – powiedziała Uma, przewodnicząca spotkania.

Ferris usiadł z zadowoloną miną. Luis ponownie wstał.

– Ponieważ kwestionowaną doktryną religijną jest wyznanie błogości, pozwolę sobie zauważyć, iż przewodnicząca może uznać komisję konstytucyjną za nieobiektywną, gdyż pięciu z sześciu członków wyznaje religię błogości.

Ferris znów wstał.

– Wyznanie? Religia? Co to za nieporozumienie? W naszym świecie nie ma wyznań ani kultów. Słowa te stanowią tylko odbicie historii starożytnej, błędów i podziałów, które już dawno zostawiliśmy za sobą. – Jego głęboki głos złagodniał. – Czy nazwie pan powietrze wyznaniem, bo nim pan oddycha? Czy nazwie pan życie religią, ponieważ pan żyje? Błogość to podstawa i cel naszej egzystencji, wielu z nas raduje się tą wiedzą. Innych radość ta czeka w przyszłości. Tu jednak nie ma religii, nie ma walczących z sobą wyznań. Wszystkich nas łączy braterstwo na „Odkrywcy”.

– A celem wyznaczonym przez konstytucję „Odkrywcy” dla statku i tych, którzy nim podróżują, jest pokonanie fragmentu przestrzeni, dotarcie do pewnej planety, zbadanie jej, skolonizowanie, jeśli to możliwe, i przesłanie bądź przywiezienie z powrotem informacji na jej temat do naszego świata pochodzenia, Dichew, na Ziemię. Wszystkich nas łączy dążenie do owego celu. Zgadza się pan, członku Rady?

– Z pewnością Rada Centralna nie jest miejscem do kłótni na temat teorii lingwistycznych i intelektualnych – odparł Ferris z lekką wzgardą, odwracając się do przewodniczącej.

– Zarzut manipulacji religijnej to coś więcej niż drobny spór członków Rady – stwierdziła Uma. – Omówię tę sprawę z moją radą doradczą. Znajdzie się w porządku następnego spotkania.

Zupa ge, stnieje

– No cóż – rzekł Bingdi. – Niewątpliwie wrzuciliśmy łajno do miski z zupą.

Bingdi przebiegł już dwadzieścia okrążeń, Luis – pięć. Zwalniał, oddychając ciężko.

– Zupa błogości – wydyszał.

Bingdi zwolnił. Luis zatrzymał się, z trudem chwytając powietrze. Zaklął. Ruszyli w stronę ławki, na której zostawili ręczniki.

– Co powiedziała Hsing, gdy z nią rozmawiałeś?

– Nic.

– Wiesz – rzekł po chwili Bingdi. – Ta gruba z mostku i Rada Umy... są równie zamknięci w sobie, jak archaniołowie. Rozmawiają tylko z sobą nawzajem, z nikim innym. Stanowią frakcję, tak jak archaniołowie.

Luis przytaknął.

– A zatem staliśmy się trzecią frakcją – powiedział. – Frakcją łajna. Zupa gęstnieje. Historia starożytna się powtarza.

Wielka biesiada, 88 dnia 161 roku

Dwa dni po tym, jak Rada ogłosiła utworzenie komisji do spraw manipulacji religijnych, która ma zbadać teologiczny nieobiektywizm w tworzeniu programów edukacyjnych oraz ukrywanie i niszczenie informacji w rejestrach i archiwach, Patel Inbliss zwołał wielką biesiadę. Temenos wypełnił gęsty tłum.

– Podobnie musiało tu wyglądać po śmierci 0-Kim – powtarzali wszyscy.

Stary człowiek stanął na podeście. Jego twarz, ciemna, gładka, z kośćmi widocznymi pod cieniutką skórą, widniała na wszystkich ekranach w każdej kwaterze. Uniósł ręce w geście błogosławieństwa. Wielki tłum westchnął. Było to niczym wiatr w lesie, tyle że oni o tym nie wiedzieli, nigdy nie słyszeli szumu wiatru w gałęziach drzew. Nie słyszeli żadnych westchnień ani głosów poza własnymi lub wydawanymi przez pracujące maszyny.

Przemawiał prawie godzinę. Z początku mówił o tym, jak ważna jest nauka i przestrzeganie zasad wyłożonych w konstytucji i nauczanych w szkołach. Z pasją powtarzał, że jedynie skrupulatne przestrzeganie owych zasad może zapewnić sprawiedliwość, pokój i szczęście wszystkim ludziom. Mówił o czystości, recyklingu, o rodzicielstwie, sporcie, nauczycielach i nauce, o badaniach specjalistycznych i znaczeniu niepopularnych zawodów, takich jak praca laboratoryjna, ogrodnictwo, opieka nad dziećmi. Gdy mówił o szczęściu odnajdywanym w „skromnym życiu” (tak to nazwał), sprawiał wrażenie młodszego. Jego ciemne oczy lśniły.

– Błogość można znaleźć wszędzie – rzekł.

To stało się tematem wiodącym jego przemowy: statek „Odkrywca”, statek życia podróżujący poprzez otchłań śmierci, naczynie błogości. Na statku istnieją prawa, zasady i reguły, dzięki którym każda istota śmiertelna dzięki życiu w doskonałej harmonii i szczęściu może poznać drogę ku prawdziwemu celowi.

– Śmierć nie istnieje – powiedział stary człowiek i ponownie przez las istot żywych, stłoczonych w okrągłej sali, przebiegło westchnienie. – Śmierć to nicość. Śmierć to pustka, otchłań. Życie jest wszystkim. Śmiertelne życie podróżuje naprzód, stale naprzód, prosto ku Celowi, ku życiu, wiecznemu życiu, światłu, radości. Pochodzimy z ciemności, bólu, cierpienia. W straszliwej czarnej krainie zła nasi przodkowie w swej mądrości dostrzegli, gdzie kryje się prawdziwe życie, prawdziwa wolność. I posłali nas, swoje dzieci, naprzód, uwalniając nas od ciemności, grawitacji, negacji, abyśmy na wieki podróżowali w świetle.

Pobłogosławił ich znowu. Niektórzy sądzili już, że kazanie dobiegło końca. Wówczas jednak, jakby wypowiedziane słowa dodały mu energii, starzec podjął:

– Nie popełnijcie błędu. Pamiętajcie o celu naszej wyprawy, naszego życia. Nie mylcie symbolu i przenośni z rzeczywistością! Nasi przodkowie nie wysłali nas w tę wielką podróż tylko po to, abyśmy powrócili w miejsce początku. Nie uwolnili nas od grawitacji po to, byśmy w niej zatnęli. Nie uwolnili nas od Ziemi, by skazać na kolejną Ziemię. To czysta dosłowność, fundamentalizm naukowy, przerażająca umysłowa krótkowzroczność. Pochodzimy z planety pogrążonej w ciemności i bólu, o tak. Ale nie to jest naszym przeznaczeniem. Nasi przodkowie mówili o celu jako o planecie, ponieważ nie znali nic innego. Żyli stale w ciemności, brudzie, strachu, w okowach ciężenia. Gdy próbowali wyobrazić sobie błogość, widzieli jedynie lepszy, jaśniejszy świat. Nazwali go zatem Nową Ziemią. My jednak wyraźnie dostrzegamy znaczenie owego tajemniczego symbolu i widzimy ukrytą w nim prawdę: to nie planeta, świat pełen ciemności, strachu, bólu i śmierci, lecz jasna podróż śmiertelnego życia ku życiu wiecznemu. Nieustająca wieczna pielgrzymka ku nieustającej wiecznej błogości. O, moi aniołowie! Nasza podróż jest święta i wieczna!

– Ach...! – westchnęły liście w lesie.

– Ach! – mruknął Luis, który oglądał transmisję w swojej kwaterze wraz z Bingdim i kilkorgiem przyjaciół. Nazywali się Grupą Łajna.

– Ha! – mruknął Hiroshi oglądający transmisję w swej kwaterze wraz z Hsing.

Na mostku, 101 dnia 161 roku

– Diamant pytał mnie wczoraj o anomalie, którą dostrzegł wśród zapisów przyspieszeń. Od kilkudziesięciu dni próbował ją rozgryźć.

– Uspokój go jakoś – polecił Hiroshi, porównując dwa zestawy liczb.

– Nie.

Po kilku minutach spytał:

– Co zrobisz?

– Nic.

Jego ręce śmigały nad konsolą.

– Zostawisz to mnie?

– Jeśli zechcesz.

– Nie mam wyboru.

Pracował dalej. Hsing także. Nagle przerwała czynności.

– Kiedy miałam dziesięć lat, przyśnił mi się straszny sen. Śniłam, że jestem w jednej z ładowni. Krażę bez celu i nagle uświadamiam sobie, że w ścianie, w samej skórze statku jest niewielka dziura. Dziura w świetle. Była malutka, nic się nie działo, ale wiedziałam, że za chwilę wyleci przez nią całe powietrze, bo na zewnątrz jest próżnia. Nicość poza statkiem. Zasłoniłam dziurę ręką. Udało się, zakryłam całą dziurę, lecz gdybym oderwała dłoń, powietrze znów by zaczęło uciekać. Krzyczałam i krzyczałam, ale nikogo nie było w pobliżu, nikt mnie nie słyszał. Aż w końcu pomyślałam, że muszę biec po pomoc. Próbowałam zabrać rękę, ale nie mogłam. Przywarła tam. Przytrzymała ją nicość z zewnątrz.

– Okropny sen – odparł Hiroshi. Słuchał, siedząc naprzeciw niej wyprostowany, z twarzą pozbawioną wyrazu. – Wspominasz go teraz, bo sądzisz, że znalazłaś się w podobnej sytuacji?

– Nie. Sądzę, że ty znalazłeś się w takiej sytuacji.

Zastanawiał się przez moment.

– I dostrzegasz jakieś wyjście?

– Wezwij krzykiem pomocy.

Lekko pokręcił głową.

– Hiroshi, w końcu jeden ze studentów lub inżynierów dowie się, co robicie, i zacznie o tym mówić, nim zdążycie go oszukać, zwerbować albo uciszyć. Sądzę nawet, że już to się dzieje. Diamant zajmuje się tym od pewnego czasu, jakby próbował czegoś dowieść. Jest bardzo inteligentny i nastawiony buntowniczo. Studiowałam z nim. Niełatwo będzie go zwieść czy zwerbować.

Nie odpowiedział.

– W odróżnieniu ode mnie – dodała cierpko, lecz bez wyrzutu.

– Co masz na myśli, mówiąc „wezwij pomocy”?

– Powiedz mu prawdę.

– Tylko jemu?

Pokręciła głową.

– Powiedz prawdę – rzekła cicho.

– Wiem, Hsing, ty uważasz, że przyjęliśmy błędną taktykę. Dziękuję, że tak rzadko mi przypominasz, iż nie zgadzasz się ze mną, i że nie mówisz o tym nikomu innemu. Żałuję, że nie możemy zgodzić się, co jest słuszne, ale nie mogę przekazać władzy nad naszym kursem w ręce okultystów, póki nie będzie za późno, by cokolwiek zrobili.

– Ta decyzja nie należy do ciebie.

– Odbierzesz mi ją?

– Ktoś to zrobi. A kiedy to się stanie, uznają, że od lat ich okłamywaliście, ty i twoi przyjaciele, by dysponować niepodzielną władzą. Co innego mogą pomyśleć? W ich oczach straciecie honor. – Po chwili dodała: – Twoje ostatnie pytanie także było niehonorowe.

– Nie, retoryczne – odparł.

Odpowiedziała mu długa cisza.

– Istotnie, było niehonorowe. Proszę, wybaczyć mi, Hsing.

Przytaknęła. Siedziała bez ruchu, wbijając wzrok we własne dłonie.

– Co proponujesz? – spytał.

– Porozmawiajcie z Tanem Bingdim, Novą Luisem, Gupta Leną – grupą stojącą za zwołaniem komisji nadzwyczajnej. Ci ludzie starają się pokazać ludziom machinacje Patela. Powiedźcie im, jak to się stało, i uprzedźcie, że za trzy lata dotrzemy do celu... chyba że Patel w tym przeszkodzi.

– Albo Diamant – dodał Hiroshi.

Skrzywiła się. Zaczęła ostrożnie tłumaczyć, cierpliwie:

– To nie ludzie tacy jak Diamant są niebezpieczni, tylko fanatyk, który może dostać się na mostek i w dwie minuty zniszczyć sprzęt, wyłączyć komputery kursowe. Zawsze istniała taka groźba. Teraz jednak pojawiła się przyczyna, dla której ktoś mógłby tak postąpić. Teraz chcą, byśmy nigdy nie dotarli do celu. Od czasu przemowy Patela wiadomo przynajmniej tyle. Wszyscy o tym wiedzą, muszą zatem także usłyszeć, iż już

przybywamy, bo potrzebne nam wszelkie możliwe wsparcie, by do tego doprowadzić. Musimy mieć poparcie innych. Nie możesz nadal samotnie zakrywać dłonią dziury w świecie.

W chwili gdy wymieniła nazwisko Nova Luis, poczuła, jak Hiroshi cofa się w swoją skorupę. Mówiąc, rozpędzała się, zapalała. W końcu zaczęła błagać. Czekala. On jednak nie odpowiedział. Jej argumenty i niepokój rozplynęły się w suchej krainie pozbawionej uczuć.

– A może zdołasz tego dokonać – rzekła – ale ja nie będę już okłamywać kolegów i przyjaciół. Odmawiam współpracy, choć nie ujawnię prawdy. Nikomu nic nie powiem.

– To niezbyt praktyczny plan. – Spojrzał na nią z wymuszonym uśmiechem. – Bądź cierpliwa, Hsing, tylko o to proszę.

Wstała.

– Najgorsze jest to, że sobie nie ufamy.

– Ja ci ufam.

– Nie ufasz. Mnie, mojemu milczeniu, moim przyjaciołom. Kłamstwo pochłania zaufanie, wysysa je w pustkę.

Znów nie odpowiedział.

Wstała i opuściła mostek. Jakiś czas szła przed siebie, w końcu uświadomiła sobie, że jest w drugim kwadrancie, przy zakręcie 2–3, i zmierza wprost do starej kwatery, w której teraz samotnie mieszkał ojciec. Chciała spotkać się z Yao. Czula jednak, iż gdyby poszła do niego od razu po tej rozmowie, okazałaby się nielojalna w stosunku do Hiroshiego. Zawróciła. Korytarze wydawały jej się ciasne i wąskie, zatłoczone. Odzywała się do ludzi, którzy pierwsi ją zagadnęli. Nagle przypomniała sobie część starego snu, tę część, o której nie wspomniała Hiroshiemu: dziura w ścianie świata nie została wybita przez coś z zewnątrz, drobiny pyłu bądź skały. Gdy ją ujrzała, zrozumiała, tak jak czasami wie się wszystko we śnie, iż dziura była w tym miejscu od chwili zbudowania statku.

Os`wiadczenie najwyższej wagi, 202 dnia 161 roku

Przewodnicząca Rady Centralnej umieściła w sieci wewnętrznej informację, że o godzinie dwudziestej zostanie ogłoszone oświadczenie najwyższej wagi. Ostatnie podobne oświadczenie zdarzyło się ponad piętnaście lat wcześniej, wyjaśniało konieczność zmiany procentowych podziałów na poszczególne zawody.

Ludzie zamilkli w swoich kwaterach, we wspólnych salach, w miejscach pracy, by wysłuchać oświadczenia. Rada Centralna przerwała sesję. Dokładnie o dwudziestej na ekranie pojawiła się Chatterji Uma.

– Drodzy współpasażerowie statku „Odkrywca”. Musimy przygotować się do wielkiej zmiany. Od dziś nasze życie nie będzie już takie samo. Zmieni się całkowicie. – Uśmiechnęła się, a uśmiech miała czarujący. – Nie lękajcie się. To powód do radości. Wielki Cel naszej podróży, Cel, do którego od początku zmierzamy, jest bliższy, niż mogliśmy sądzić. Nie nasze dzieci, lecz my sami możemy postawić stopę na Nowej Ziemi. A teraz Canaval Hiroshi, główny nawigator, poinformuje nas o wielkim odkryciu, którego dokonał wraz z załogą mostka, powie, co ono oznacza i czego możemy się spodziewać.

Hiroshi zastąpił Umę na ekranach. Jego gęste czarne brwi marszczyły się groźnie, czasem unosiły pytająco. Głos jednak brzmiał pewnie, spokojnie, dodawał otuchy. Najpierw Hiroshi powiedział o tym, co się zdarzyło pięć lat wcześniej, gdy statek przeszedł przez studnię grawitacyjną nieopodal wielkiego pola kosmicznego pyłu. Hsing, która oglądała go samotnie w swojej kwaterze, natychmiast rozpoznała, gdy zaczął kłamać. Nie tylko dlatego, że знаła właściwe daty i liczby; kiedy przestał mówić prawdę, stał się bardziej przekonujący i autorytatywny. Kłamstwa dotyczyły wzrostu przyspieszenia, czasu odkrycia błędu komputerowego i reakcji nawigatorów. Nie wymieniając dokładnych dat, Hiroshi sugerował, iż pierwsze podejrzenie wystąpienia anomalii w przyspieszeniach statku pojawiło się niecały rok wcześniej. Stopniowo odsłaniano ogrom błędu komputerów i jego znaczenie. Nakreślił obraz pełnych niedowierzania, lecz upartych ludzi, wydzierających tajemnice maszynom, których oprogramowanie zmuszało do stawiania oporu próbom korekt pierwotnego błędu. Obraz nawigatorów zmuszonych przechytryć swoje narzędzia, oszukać je tak, by ponownie wyrównały błędnie skorygowane przyspieszenie i spowolniły pędzący z niewiarygodną prędkością statek.

– Do tej chwili – rzekł – walka z maszynami była tak trudna, a nawigatorzy tak niepewni tego, co się stało i dzieje nadal, iż uznaliśmy, że nie należy tego ogłaszać. Zależało nam głównie na uniknięciu paniki, którą mogłoby wywołać przedwczesne bądź błędne ujawnienie danych. Teraz wiemy, iż nie ma powodów do obaw. Żadnych powodów. Nasza operacja się powiodła. Wcześniejsze przyspieszenie przekroczyło wszelkie wyobrażenia. Teraz zaś udało nam się zwolnić, choć nie wydawało się to możliwe. Wciąż nie zesłaliśmy z kursu. Mamy pełną kontrolę nad statkiem. Jedyna zmiana polega na tym, że znacznie wyprzedziliśmy pierwotne plany.

Uniósł wzrok, jakby wyglądał z ekranu. Jego czarne oczy miały nieprzenikniony wyraz. Mówił powoli, ostrożnie, nieco monotonna, czyniąc wyraźną pauzę po każdym zdaniu.

– Wciąż zwalniamy i będziemy tak zwalniać przez następne trzy koma dwa roku.
– Pod koniec roku sto sześćdziesiątego czwartego wejdziemy na orbitę wokół planety docelowej Hsin Ti Chiu albo Nowej Ziemi.
– Jak wszyscy wiemy, wydarzenie to miało nastąpić w roku dwieście pierwszym. Nasza wyprawa skróciła się o niemal czterdzieści lat.
– Jesteśmy pokoleniem szczęścia. Na własne oczy ujrzymy koniec długiej podróży. Dotrzemy do Celu.

– Teraz czeka nas wiele pracy. Musimy się przygotować na dzień opuszczenia tego małego świata i zstąpienia na rozległą planetę. Musimy przygotować nasze oczy i dusze na światło nowego słońca.

Prawdziwa ścieżka

– To nie ma sensu, Luisie – powiedziała Rosa. – Nic nie znaczy. Zerowcy po prostu nie zrozumieli. Jak mogli zrozumieć? Sądzieli, że jesteśmy zbyt grzeszni, by móc wiecznie żyć w niebie. Pochodzili z Ziemi, nie mogli nic na to poradzić. I myśleli, że my także będziemy Ziemianami, ale nie jesteśmy. Przecież urodziliśmy się tutaj, w drodze. Jak mielibyśmy pragnąć innego życia? Uczynili je doskonałym. Posłali nas do nieba. Stworzyli nam świat, abyśmy mogli nauczyć się podążać ścieżką ku wiecznemu życiu w błogości dzięki życiu w

śmiertelnej błogości. Jak moglibyśmy nauczyć się tego w mrocznym ziemskim świecie, poza statkiem, bez ochrony, bez wskazówek? Jak mamy podążać prawdziwą ścieżką, jeśli zejdziemy z prawdziwej ścieżki? Jak osiągnąć niebo, stąpając po ziemi?

– Może masz rację, ale wyznaczyli nam zadanie – odparł Luis. – Posłali nas w drogę, abyśmy dowiedzieli się jak najwięcej o tej ziemi i przekazali im wszystko, czego się dowiemy. Nauka była dla nich ważna. Nasz statek nazwali „Odkrywca”.

– Tak, właśnie. Odkryliśmy błogość. Poznaliśmy prawdziwą ścieżkę. Wiesz chyba, Luisie, że archaniołowie cały czas ślą im wieści o tym, czego się nauczyliśmy. Pokazujemy im drogę. Tak jak na to liczyli. Nasz cel jest celem duchowym. Nie widzisz tego? Osiągnęliśmy go już. Czemu mamy przerwać naszą piękną podróż, by żyć na złej, straszliwej ziemskiej planecie? Nie opuszczajmy statku.

Wybory, 112 dnia 162 roku

5-Nova Luis został wybrany na przewodniczącego Rady Centralnej. Ogólne zaufanie, jakie zdobył sobie w ciągu ostatniego półrocza, gdy nieustannie prowadził negocjacje, zażegnywał spory i działał na rzecz ogólnego spokoju, sprawiło, iż jego wybór był praktycznie nieunikniony. Aniołowie popierali jego kandydaturę. Rok, przez który Luis sprawował urząd, stał się istotnie rokiem uzdrowienia i pojednania.

Śmierć, 205 dnia 162 roku

W wieku osiemdziesięciu siedmiu lat 4-Patel Inbliss doznał rozległego zawału i zaczął umierać do wtóru oszalałych łzawych modlitw i radosnych biesiad. Przez trzynaście dni wyznawcy zajmowali wszystkie korytarze otaczające kwaterę Kim w kwadrancie pierwszym, gdzie Inbliss przyszedł na świat i przeżył całe życie. A gdy tak umierał, wśród żałobników-biesiadników narastała znużenie i napięcie. Ludzie obawiali się wybuchu hysterii i przemocy podobnego do tego, który towarzyszył oświadczeniu o bliskim celu podróży. Wielu mieszkających w kwadrancie nieaniołów wybrało się w odwiedziny do przyjaciół i krewnych w innych kwadrantach. Gdy w końcu archanioł ogłosił, że Ojciec odszedł do wiecznej błogości, na korytarzach rozległ się płacz. Nie doszło jednak do aktów przemocy, poza jednym: 5-Garr Joyful z kwadrantu czwartego pobił na śmierć żonę i córkę, „aby wraz z Ojcem wkroczyły w wieczną błogość”. Siebie jednak nie zabił.

Podczas pogrzebu Patela Inblissa zbity tłum wypełnił Temenos. Wielu ludzi przemawiało w tonie spokojnym, przygaszonym. Patel nie miał dziecka, które mogłoby wygłosić ostatnią mowę. Archanioł Van Wing zakończył ceremonię, śpiewając mroczną pieśń oddania *Oko, co widzisz?* Tłum rozszedł się w milczeniu. Tej nocy korytarze były puste.

Narodziny, 223 dnia 162 roku

Dziecko 5-Canavala Hiroshiego narodziło się z jego żony 5-Liu Hsing i zostało nazwane przez ojca 6-Canaval Alejo. Choć Nova Luis podczas sprawowania urzędu przewodniczącego Rady nie praktykował medycyny, Hsing poprosiła, by asystował jej przy

porodzie, a on się zgodził. Poród przebiegł normalnie. Gdy następnego dnia Luis zjawił się z wizytą u swej pacjentki, posiedział z nią chwilę. Hiroshi był na mostku. Hsing nie miała jeszcze laktacji, lecz noworodek pracowicie ssał jej pierś.

– Po co mnie wzywałaś? – spytał Luis. – Najwyraźniej znacznie lepiej ode mnie umiesz mieć dziecko.

– Chyba się nauczyłam – odparła. – Nauka poprzez działanie. Pamiętasz nauczycielkę Mimi w trzeciej klasie? – Hsing siedziała na łóżku. Wciąż wydawała się zmęczona, ale uśmiechała się triumfalnie, spokojna, zarumieniona. – Jest taki maleńki. Trudno uwierzyć, że należymy do tego samego gatunku. Jak nazywasz to coś, co ze mnie cieknie?

– Siara. To jedyna rzecz, którą jada jego gatunek.

– Zdumiewające.

Delikatnie musnęła palcem czarny puch na główce dziecka.

– Zdumiewające – zgodził się z powagą Luis.

– Och, Luisie... Dziękuję, że tu byłeś. Potrzebowałam cię.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł z powagą.

Dziecko poruszyło się niespokojnie. Odkryli, iż próbowało się wypróżnić.

– Dobra robota, mały. Zostaniesz jeszcze członkiem Grupy Łajna – rzekł Luis. – Daj mi go do przewinięcia. No, no, spójrz tylko! Bobwob. Prawdziwy bobwob. Prawdziwy okaz.

– To gowbondo – szepnęła Hsing.

Dostrzegł łzy w jej oczach. Złożył w jej ramionach dziecko otulone w czystą pieluszkę. Hsing nadal płakała.

– Przepraszam – wykrztusiła.

– Młode matki zawsze płaczą, płaskobużko.

Szlochała gorzko, głośno chwytając powietrze. W końcu się opanowała.

– Luisie, zauważyłeś coś, jeśli chodzi o Hiroshiego...?

– Jako lekarz?

– Tak.

– Tak.

– Co mu jest?

Milczał jakiś czas.

– Nie chce iść do lekarza, więc prosisz mnie o przybliżoną diagnozę, zgadza się?

– Chyba tak. Wybacz.

– Nic nie szkodzi. Czy bywa ostatnio zmęczony?

– Tak. W zeszłym tygodniu dwa razy zemdlał – szepnęła.

– Podejrzewam wrodzoną wadę serca. Wiem o niej dość sporo, ponieważ jako astmatyk też mogę mieć kłopoty z sercem, choć na razie zdołałem ich uniknąć. Można z tym żyć bardzo długo. Istnieją leki, kuracje, różne sposoby radzenia sobie. Poślij go do Regisa Chandry, do szpitala.

– Spróbuję.

– Zrób to koniecznie. Powiedz, że jest to winien swojemu synowi.

Wstał, zbierając się do odejścia. Hsing zatrzymała go.

– Luisie...

– Spokojnie. Nie denerwuj się. Wszystko będzie dobrze. Ten malec tego dopilnuje.

– Luisie, kiedy wylądujemy, wyjdiesz na zewnątrz?

– Oczywiście, jeśli tylko będzie można. Jak sądzisz, czemu upieram się przy szkoleniach

i programach nauczania? Po to, by oglądać na ekranie bandę techów uganiających się w skafandrach?

– Tak wielu ludzi chce tu zostać.

– Przekonamy się, kiedy tam dotrzemy. To będzie ciekawe. Już jest ciekawe. Odkryliśmy, do czego służy cała sekcja w ładowni D. Sądziliśmy, iż zawiera bardzo ciężkie stroje ochronne, ale okazały się za duże. To tymczasowe kwatery. Ustawiasz je i możesz w nich mieszkać. Są tam też nadmuchiwane pierścienie. Bose uważa, że mają za zadanie unosić się na wodzie. To statki. Wyobraź sobie dość wody, by mógł na niej pływać statek! Nie, nie ma mowy, bym zrezygnował z czegoś takiego... Zajrzę do ciebie jutro.

Ankieta

W pierwszym kwartale roku sto sześćdziesiątego trzeciego wszyscy ludzie powyżej szesnastu lat musieli w otwartym rejestrze w sieci wewnętrznej zadeklarować swoje zamiary po przybyciu na planetę. W każdej chwili mogli zmienić swą deklarację. W żaden sposób nie była też ona wiążąca aż do chwili podjęcia ostatecznej decyzji, ogłoszonej po zbadaniu, czy planeta nadaje się do zamieszkania, i przeprowadzeniu wszystkich możliwych testów.

Pytania brzmiały:

– Jeśli planeta okaże się zdatna do zamieszkania, czy zechcesz wejść w skład zespołu udającego się na powierzchnię w celu zebrania informacji?

– Czy zechcesz zamieszkać na planecie, gdy statek pozostanie na orbicie?

– Jeśli statek odleci, czy zechcesz zostać na planecie jako osadnik?

Mieli też wyrazić swe opinie w następujących kwestiach:

– Jak długo statek powinien pozostać na orbicie, wspomagając ludzi na planecie?

I wreszcie:

– Jeśli planeta okaże się niedostępna bądź niezdatna do zamieszkania albo też podróżni zdecydują się zostać na statku, nie odwiedzać ani nie kolonizować planety, czy statek powinien powrócić na planetę pochodzenia, czy też kontynuować podróż w przestrzeń?

Według Canavala i pozostałych podróz powrotna na Ziemię mogła potrwać zaledwie siedemdziesiąt pięć lat, jeśli da się powtórzyć efekt procy wywołany przez studnię grawitacyjną. Niektórzy inżynierowie mieli wątpliwości, lecz nawigatorzy twierdzili, że „Odkrywca” zdoła wrócić na Ziemię w ciągu pokolenia bądź dwóch. Zapewnienia te wywołały entuzjazm niemal wyłącznie wśród nawigatorów.

Wyniki ankiety, nieustannie dostępne w sieci, podlegały interesującym fluktuacjom. Z początku liczba ludzi gotowych odwiedzić planetę lub zamieszkać na niej, podczas gdy statek pozostanie na orbicie – nazwano ich Gośćmi – była spora. Tylko nieliczni deklarowali, że gotowi są zostać, kiedy statek odleci. Ich z kolei nazwano Zewnętrznymi i chętnie przyjęli tę nazwę. Największą grupę stanowili ci, którzy nie chcieli w ogóle lądować na planecie i pragnęli nadal kontynuować podróż, gdy tylko będzie to możliwe. Ponad dwa tysiące ludzi natychmiast zarejestrowało się jako Podróżni. Głosy anielskie były tak liczne, iż nie pozostawiały wątpliwości co do ostatecznej decyzji. „Odkrywca” nie pozostanie na orbicie, nie powróci też na Ziemię, lecz wyruszy dalej, ku wieczności. Argumenty mówiące o wyczerpaniu zapasów, zniszczeniu materiału, wypadkach i entropii przekonały część Podróżnych. Większość jednak nadal trwała w zamiarze życia w błogości i śmierci dla błogości.

Gdy stało się to jasne, liczba ludzi wyrażających chęć pozostania na planecie zaczęła rosnąć i wciąż rosła. Nikt nie wątpił, iż anielska większość, pragnąca kontynuować

uświęconą podróż, nie da się na długo uwiązać do planety. Wielu, postępując zgodnie z naukami archaniołów, próbowało przekonać przyjaciół, iż opuszczenie statku to czyn niewiarygodnie niebezpieczny – nie w sensie cielesnym, lecz jako grzech, uleganie pokusom, dążenie do niepotrzebnej wiedzy kosztem nieśmiertelnej duszy.

Stopniowo liczba opcji zmalała do alternatywy: wyjść na zewnątrz w mrok i tam pozostać albo też kontynuować jasną podróż bez końca. Nieznane lub znane, ryzyko lub bezpieczeństwo, wygnanie lub dom. Liczba osób, które w ciągu roku zmieniły się z Gości w Zewnętrznych, wyniosła ponad tysiąc.

W drugiej połowie roku sto sześćdziesiątego trzeciego żółtą gwiazdę układu Shindychew można już było dostrzec gołym okiem. Uczniowie odwiedzali mostek, by ją obejrzeć w „oknie”. Program nauczania został radykalnie zmieniony, choć nauczyciele aniołowie bez entuzjazmu, a nawet wrogo podchodzili do nowych materiałów. Musieli pozwolić nauczycielom „świeckim” przedstawiać teorie na temat warunków panujących na Shindychew. Programy ze Starej Ziemi – Dżungla, Miasto i tak dalej – podobno zostały skasowane. Uratowano jednak wiele filmów edukacyjnych, inne znaleziono w ładowni, czekające na potencjalnych osadników.

Ci, którzy zarejestrowali się jako Goście bądź Zewnętrzni, tworzyli grupy i wspólnie omawiali owe filmy oraz instrukcje książkowe. Wciąż sięgano po słowniki, by rozstrzygać nieporozumienia bądź spory dotyczące rozmaitych określeń. Czy dolina to smaczny owoc zaspokajający głód, czy też miejsce, w którym ziemia opada, tworząc dziurę? Słownik proponował inne określenia: „jar”, „kotliną”, „wąwóz”, „przepaść”... A zatem obniżenie poziomu podłogi. Owoc zaspokajający głód to malina, ale co to jest w ogóle głód?

Pragmatyk

– Nie, nie zamierzam opuszczać statku.

Luis właśnie odkrył w rejestrze Podróżnych nazwisko Tana Bingdiego. Obejrzał się na przyjaciela, a potem znów wbił wzrok w ekran.

– Nie?

– Nigdy nie miałem takiego zamiaru. Czemu pytasz?

– Nie jesteś przecież aniołem – rzekł Luis niemądrze.

– Nie. Jestem pragmatykiem.

– Ale tak ciężko pracowałeś, by... by to umożliwić...

– Oczywiście. – Po chwili Bingdi wyjaśnił: – Nie lubię sporów, podziałów, wymuszonych wyborów. Uprzykrzają życie.

– Nie jesteś ciekaw?

– Nie. Jeśli zapragnę się przekonać, jak wygląda życie na powierzchni planety, mogę obejrzeć filmy i holo szkoleniowe i przeczytać wszystkie książki w bibliotece opowiadające o Starej Ziemi. Po co mi jednak ta wiedza? Żyję tutaj i podoba mi się to życie. Lubię to, co znam, i dobrze wiem, co lubię.

Luis wciąż patrzył na niego ze zgrozą.

– Ty masz poczucie misji – powiedział z uczuciem Bingdi – obowiązek wobec przodków. „Idźcie, odkryjcie nowy świat”... obowiązek naukowca... „gromadźcie nową wiedzę”... Jeśli otworzą się drzwi, uważasz, iż masz obowiązek przez nie przejść. Ja natomiast zamykam je bez pytania. Jeżeli żyje mi się dobrze, nie chcę niczego zmieniać. A żyje mi się dobrze. – Jak zawsze czynił krótkie przerwy pomiędzy zdaniami. – Będę tęsknił za tobą i za innymi. Znudzą mnie aniołowie. Ty nie będziesz się nudził na swej kuli błota. Ja jednak nie mam poczucia misji i lubię się nudzić. Chcę przeżyć życie w spokoju, nie szkodząc nikomu, ale i nie pozwalając, by ktoś lub coś mogło zaszkodzić mnie. A sądząc z filmów i książek, to chyba najlepsze miejsce we wszechświecie, by właśnie tak żyć.

– W gruncie rzeczy sprowadza się to do kontroli? – spytał Luis.

Bingdi przytaknął.

– My, aniołowie i ja, musimy kontrolować swoje życie, ty nie.

– Niczego nie kontrolujemy. Nikt z nas. Nigdy.

– Wiem, ale tu mamy niezłą namiastkę. VR mi wystarczy.

Śmierć, 202 dzień 163 roku

Po powracających atakach choroby nawigator Canaval Hiroshi zmarł na niewydolność serca. Jego żona Liu Hsing wraz z malutkim synem, a także wielu przyjaciół, wszyscy nawigatorzy i wszyscy członkowie Rady Centralnej uczestniczyli w pogrzebie. 4-Patel Ramdas opowiedział o wspaniałych osiągnięciach zawodowych Hiroshiego i zapłakał. 5-Chatterji Uma mówiła o tym, jak potrafił się śmiać z niemądrych żartów. Opowiedziała jeden z nich. Mówiła, jak bardzo się cieszył, że ma syna, choć znał go tak krótko. W końcu w imieniu dziecka przemówił jeden ze studentów, nazywając Hiroshiego trudnym

mistrzem, lecz wielkim człowiekiem. Potem Hsing poszła wraz z technikami, towarzysząc ciału w ostatniej drodze do Centrum Życia, gdzie poddano je recyklingowi. Podczas pogrzebu nie odezwała się ani słowem. Technicy zostawili ją na moment samą. Wówczas łagodnie położyła dłoń na policzku Hiroshiego, czując pod palcami chłód śmierci, i szepnęła tylko jedno słowo:

– Żegnaj.

Cel

W roku sto sześćdziesiątym czwartym, osiemdziesiątego ósmego dnia „Odkrywca” wszedł na orbitę wokół planety Shindychew, Hsin Ti Chin, Nowej Ziemi. Podczas pierwszych czterdziestu okrążeń wysłane na powierzchnię sondy dostarczyły mnóstwa informacji. Część z nich okazała się nieczytelna bądź ledwie zrozumiała. Wkrótce jednak bez cienia wątpliwości stwierdzono, że ludzie mogą wyjść na powierzchnię bez respiratorów i skafandrów. Istniało coraz więcej dowodów, że planeta może nadawać się do długotrwałego zamieszkania. Ludzie mogli na niej żyć. W roku sto sześćdziesiątym czwartym, dziewięćdziesiątego trzeciego dnia pierwszy pojazd statek-ziemia wylądował z powodzeniem na terenie nazwanym Pod Kwadrantem 8.

Od tego momentu nie ma już tytułów, bo świat się zmienił, imiona się zmieniły, czasu nie mierzy się tak jak wcześniej, a wiatr wszystko porywa

Opuścić statek – przejść przez śluzę do lądownika. To łatwe, to coś, co da się ogarnąć – przerażające, ogromnie podniecające, decydujące, akt wyzwolenia, oporu, potwierdzenia, akt ostateczny.

Opuścić lądownik – zejść po pięciu stopniach na powierzchnię planety. To oznaczało pozostawienie za sobą wszelkiego zrozumienia, szaleństwo. Przeniesieni w język, w którym żadne pojęcia – ziemia, powietrze, wyzwolenie, potwierdzenie, czyn, działanie – nie mają sensu. Świat bez słów, bez znaczenia. Nieokreślony wszechświat.

Hsing cofnęła się, oparła o ścianę, błogosławioną, jakże potrzebną ścianę – bok lądownika, zakrzywiony metal, twardy, ograniczający. Nie chciała widzieć reszty świata, ogromu bez ścian. Mocno tuliła do siebie dziecko, jego twarz do swej piersi.

Towarzyszyli jej ludzie – stali obok, także zwróceni do ściany. Ona jednak niemal ich nie dostrzegła, zdawało się, iż dzieli ich wielka odległość. Słyszała jęki, odgłosy wymiotów. Było jej niedobrze, kręciło się w głowie, nie mogła oddychać. Wentylacja zawodziła. Wiatraki pracowały zbyt szybko. Przykręćcie je! Nagle padło na nią światło reflektora. Czowała na głowie i szyi jego ciepło. Gdy otworzyła oczy, dostrzegła na skórze ściany jego blask.

Skóra ściany, epiderma statku. A zatem wyszła na zewnątrz. To wszystko. Chciała pracować na zewnątrz, gdy była mała. Teraz to zrobiła. Kiedy skończy, będzie mogła wrócić do swego świata. Próbowwała przytrzymać się skóry statku, ale gładka ceramiczna powierzchnia wyslizgiwała się jej z palców. Zimna matka. Twarda matka. Martwa matka.

Hsing ponownie otworzyła oczy, spojrzała w dół ponad jedwabistą czarną główką Aleja na swe stopy i ujrzała, iż stoi w błocie. Chciała wydostać się z błota, bo w błocie nie powinno się chodzić. Powiedział jej to ojciec, gdy była bardzo mała. Nie należy chodzić w błocie. Rośliny potrzebują ziemi, a twoje stopy mogą zranić jedną z roślin. Odsunęła się zatem od ściany, by wydostać się z błota. Wokół jednak rozciągał się wyłącznie ogród pełen błota – błota i roślin. Wszędzie, gdzie tylko postawiła stopę. Jej stopa raniła rośliny,

a błoto raniło podeszwy stóp. Rozpaczliwie szukała ścieżki, korytarza, sufitu, ścian. Odwróciła wzrok od ściany i ujrzała wielki wir zieleni i błękitu skupiony wokół plamy nieznośnego światła. Osłepiona, oszołomiona upadła na kolana. Zapłakała ze wstydu.

Wiatr. Powietrze poruszające się szybko. Mocny wiatr. Nieustanny. Chłodzący ciało tak, że człowiek drży, dygocze jak w gorączce, a wiatr cichnie i zrywa się znowu. Niespokojny, głupi, nieprzewidywalny, bezrozumny, doprowadzający do szału, zniechęcony, męczący. Wyłączcie go, zatrzymajcie!

Wiatr, powietrze poruszające się miękko, wzbudzający lekkie fale wśród traw na wzgórzach, przynoszący odległe zapachy, tak że człowiek unosi głowę i węszy, wciąga w nozdrza dziwny, słodki, gorzki zapach świata.

Szum wiatru w gałęziach drzew.

Wiatr unoszący w powietrzu kolory.

Ludzie, którzy do tej pory niewiele znaczyli, stali się nagle ważni, potrzebni, otoczeni powszechnym szacunkiem. 4-Nova Ed świetnie sobie radził z miotami. Pierwszy odkrył, jak je rozstawiać. Niczym za dotknięciem magicznej różdżki płataniny plastikonu i sznurów podnosiły się i stawały ścianami, ścianami chroniącymi przed wiatrem – pokojami, cudownymi pokojami zamykającymi ludzi w znajomym świecie bliskich powierzchni, niskich sufitów, gładkiej podłogi pod stopami, nieruchomego powietrza, jednostajnego, niemrugającego światła. Posiadanie miotu, własnej kwatery, miejsca, w którym można się schronić, być w środku, wewnątrz, zmieniało wszystko, pozwalało jakoś żyć.

– To namiot – mówił Ed, lecz ludzie usłyszeli znajome słowo i wciąż nazywali je miotami.

Piętnastoletnia Lee Meili przypomniała sobie zasłyszaną w starym filmie nazwę okryć stóp. Wcześniej ludzie próbowali używać skarpet stosowanych przez cierpiących na syndromy, ale okazały się za cienkie, błyskawicznie się zużywały. Lee Meili długo grzebała w Składzie, olbrzymim, stale rosnącym labiryncie zapasów przynoszonych ze statku przez lądowniki, aż w końcu natrafiła na skrzynie z napisem „BUTY”. Buty raniły delikatne stopy ludzi przywykłych do stąpania wyłącznie po miękkich wykładzinach, ale nie kaleczyły tak mocno, jak tutejsza podłoga. Ziemia. Kamienie. Skały.

4-Patel Ramdas – to dzięki jego umiejętnościom „Odkrywca” wszedł na orbitę i pierwszy lądownik usiadł na powierzchni – stanął, trzymając w jednej ręce lampę do czytania, a w drugiej sznur, patrząc bez słowa na ciemną, pomarszczoną powierzchnię wielkiej rośliny, drzewa, pod którym rozbił swój miot. Szukał gniazdka elektrycznego. W jego spojrzeniu krył się bliżej nieokreślony smutek. W końcu Patel wyprostował się i skrzywił z pogardą. Wrócił do Składu, wciąż niosąc lampę.

Trzymiesięczny 5-Lung leżał w blasku gwiazdy, podczas gdy Tirza, jego matka, pracowała przy budowie. Kiedy wróciła, by nakarmić synka, zaczęła krzyczeć:

– Osłepł!

Jego źrenice zmieniły się w małe kropki. Poczzerwieniał z gorączki, twarz i głowę

pokryły mu pęcherze. Dostał drgawek, a potem zapadł w śpiączkę. Umarł tej samej nocy. Musieli poddać go recyklingowi w błocie. Tirza położyła się w błocie w miejscu, gdzie leżało dziecko. Jęczała, przyciskając usta do błota. Po chwili uniosła twarz pokrytą mokrym brązowym brudem, straszną maskę z błota.

Nie gwiazda – słońce. Gwiazdy znaleźliśmy już wcześniej, ich blask jest bezpieczny, łagodny, daleki. Słońce to gwiazda leżąca zbyt blisko. Ta gwiazda.

„Nazywam się Gwiazda – powiedziała w myślach Hsing. – Nie Słońce”. Zmusiła się, by w ciemnocykle wyrzeć z miotu ku gwiazdom – bezpiecznym, łagodnym, odległym, od których wzięła imię. Lśniące gwiazdy, *bing hsing*. Małe jasne punkciki. Wiele, tak wiele. Nie jedna. Lecz każda... Jej umysł odmówił współpracy. Była taka zmęczona. Ogrom nieba, niezliczone mrowie gwiazd. Wczołgała się do środka, do miotu, do workołózka, obok Luisa. Leżał bez ruchu, pogrążony w głębokim śnie, jaki sprowadza wyczerpanie. Przez chwilę nasłuchiwała jego oddechu, cichego, lekkiego. Przytuliła do siebie Aleja, obejmując go mocno. Pomyślała o dziecku Tirzy leżącym w błocie. Wewnątrz kuli błota.

Przypomniała sobie Aleja biegnącego po trawie, w słońcu, krzyczącego z czystej radości biegu. Wzywała go w cień, ale on kochał ciepło słońca.

Luis mawiał często, że zostawił swą astmę na statku, lecz wciąż nękały go migreny. Wiele osób cierpiało na bóle głowy i zatok. Możliwe, że powodem były cząsteczki unoszące się w powietrzu, drobinki błota, pyłki roślin, substancje i wydzieliny planety, jej wydech. Luis leżał w swym miocie przez cały długi upalny dzień, pogrążony w bólu, i myślał o tajemnicach planety, wyobrażał sobie, jak ona oddycha, wypuszcza powietrze, a on wdycha je niczym kochanek, tak jak oddech Hsing. Bierze go w siebie, pije. Staje się nim.

To miejsce na zboczu wzgórza z widokiem na rzekę, ale niezbyt bliską, wydawało się najlepsze na założenie osady. W bezpiecznej odległości od pędzącej naprzód wielkiej masy wody, do której mogły wpadać dzieci. Ramdas zmierzył odległość i oznajmił, iż wynosi jeden przecinek siedem kilo. Ludzie noszący wodę odkryli wkrótce nową definicję odległości – przy takim ciężarze jeden przecinek siedem kilo to daleko. A wodę trzeba nosić. W ziemi nie było rur, z kamieni nie sterczały krany. Dopiero gdy zabrakło rur i kranów, okazało się, jak bardzo niezbędna, niezastąpiona, stale potrzebna jest woda. Jaka jest cudowna, boska, błogosławiona, to błogość nieznaną aniołom. Bez wody odkrywa się pragnienie. Móc pić, gdy jest się spragnionym! I umyć się – być czystym! Takim jak zawsze, nie brudnym, lepiącym się, pokrytym smugami błota, lecz czystym!

Hsing wracała z łąki z ojcem. Yao garbił się lekko, dłonie miał spękane, poczerwiałe, bo ziemia wżarła się w skórę. Gdy pracował w ogrodach na statku, delikatne błoto oblepiało mu palce, przywierało do kostek i paznokci tylko podczas pracy. Później mył ręce i znów stawały się czyste. Co za cudowna rzecz – móc się umyć, gdy jest się brudnym. Cudownie

móc stale pić do woli. Podczas spotkania przegłosowali, by przenieść mioty bliżej rzeki, dalej od Składu. Woda była ważniejsza od rzeczy. Dzieci muszą się nauczyć ostrożności. Wszyscy muszą się jej nauczyć. Trzeba być ostrożnym stale, wszędzie.

Filtrować wodę, gotować wodę. Co za nuda. Ale lekarze byli nieubłagani. Wiele miejscowych bakterii rozwijało się na pożywce z ludzkich wydzielin. Istniała możliwość infekcji. Kopać latryny, budować szamba – co za nuda, co za ciężka praca. Ale lekarze byli nieubłagani. W podręczniku budowy szamb i zbiorników septycznych (wydrukowanym po angielsku w New Delhi dwa stulecia wcześniej) roіło się od niezrozumiałych słów, których znaczenie odgadywali dopiero po kontekście: żwir, warstwa nieprzepuszczalna, przesączanie, odpływ.

Co za nuda – stale zachowywać ostrożność, uważać, postępować zgodnie z zasadami. Nigdy! Zawsze! Pamiętaj! Nie! Nie zapomnij! Bo inaczej...! Bo co? I tak się umiera. Ten świat nienawidzi ludzi. Nienawidzi ciał obcych. Już umarło czworo dzieci i jeden dorosły. Wszyscy leżą pod warstwą błota, w tym samym miejscu, tuż obok maleńkiego dziecka Tirzy, ich przewodnika wskazującego drogę do podziemi. Do wnętrza.

Mieli mnóstwo jedzenia. Kiedy zajrzało się do działu żywności Składu, w głąb labiryntu korytarzy i wielkich ścian zbudowanych ze skrzyń, zdawało się, że zgromadzonego tu jedzenia wystarczy dla tysiąca ludzi na wieki. Hojność aniołów, którzy zostawili im to wszystko, oszałamiała. Potem jednak człowiek spoglądał na ziemię ciągnące się daleko poza Skład i nowe schronienia, na wysokie nieskończone niebo i nagle stos skrzyń wydawał się bardzo mały.

– Musimy nadal poszukiwać wśród miejscowej flory roślin jadalnych – mówił Lin Yao na spotkaniu.

– Powinniśmy zakładać ogrody już teraz, bo pora obro... roku jest najbardziej stosowna, to pora wzrastania – dodawał Chowdry Arvind.

I wtedy człowiek zaczynał rozumieć, że wcale nie ma mnóstwo jedzenia. Może nigdy nie będzie go miał mnóstwo. Może (fasola nie kwitła, ryż nie wynurzył się z błota, eksperymenty genetyczne się nie powiodły) nawet go zabraknie. Z czasem.

Czas nie był tu ciągle taki sam. Tu wszystko miało swoją porę.

5-Nova Luis, lekarz, siedział obok ciała 5-Changa Berta, inżyniera gleby, który zmarł na zakażenie krwi od pęcherza na pięcie. Nagle lekarz krzyknął do kolegów Berta z miotu:

– Zaniedbał go! Wy zaniedbaliście jego! Widzieliście, że wdało się zakażenie! Jak mogliście do tego dopuścić? Myślicie, że jesteśmy w środowisku sterylnym? Nie słuchacie, co się do was mówi?! Nie rozumiecie, że tutejsze błoto jest niebezpieczne?! Sądzicie, że potrafię zdziałać cuda?!

A potem zaczął płakać. Koledzy Berta z miotu stali obok martwego towarzysza i płaczącego lekarza oniemiaли ze strachu, wstydu i żalu.

Stworzenia. Wszędzie było pełno stworzeń. Cały ten świat składał się ze stworzeń. Jedynymi martwymi elementami świata były skały. Cała reszta roła się od stworzeń. Rośliny porastały błoto, wypełniały wody – niezliczone gatunki i odmiany roślin (na widok tych niewyczerpanych bogactw 4-Liu Yao, pracujący w zaimprovizowanym laboratorium, miał czasem ochotę krzyczeć z niewiarygodnej radości poprzez mgiełkę zmęczenia: „Patrzcie! Patrzcie na to!”), ale i niezliczone gatunki i odmiany zwierząt (4-Steinman Jael, jedna z pierwszych zadeklarowanych Zewnętrznych, musiała na stałe wrócić na statek, bo ogromne ilości małych pełzających i latających stworzeń na ziemi i w powietrzu budziły w niej tak nieopanowany strach – strach przed ich widokiem i dotknięciem – iż dostawała ataków drgawek). Z początku ludzie próbowali nazywać miejscowe istoty krowami, psami, lwami – nazwami zapamiętanymi z ziemskich ksiąg i holo. Ci, którzy zapoznali się z podręcznikami, twierdzili, iż wszystkie stworzenia z Shindychev są o wiele mniejsze od krów, psów i lwów i bardziej przypominają tak zwane owady, pajęczaki i robaki z Dichew.

– Tu nikt nie wynalazł kręgosłupa – powiedziała młoda Garcia Anita, zafascynowana tutejszymi istotami inżynier elektryk, studiująca w wolnych chwilach archiwalne materiały z ziemskiej biologii. – A przynajmniej nie w tej części świata. Mają za to cudowne muszle.

Długie na milimetr zielonoskrzydłe istoty, które uparcie towarzyszyły ludziom i lubiły chodzić po skórze, łaskocząc lekko, nazwano jednak psami. Zachowywały się przyjaźnie, a psy były ponoć najlepszymi przyjaciółmi człowieka. Anita mówiła, że smakuje im sól zawarta w ludzkim pocie i nie są dość inteligentne, by być przyjacielskie, ale ludzie nadal nazywali je psami. Ach! Co mam na szyi? A, to tylko pies.

Planeta obracała się wokół gwiazdy. Wieczorami słońce zachodziło. Zabierało z sobą barwy, kolory chmur niesionych z wiatrem. O świcie słońce wschodziło, przynosząc wraz z sobą zmienne, jaskrawe, delikatne odcienie świata, świeże, ożywione, odrodzone. Tu, na planecie, ciągłość nie zależała od istot ludzkich. To ludzie od niej zależeli. Było inaczej.

Statek wyruszył w dalszą podróż. Odleciał.

Zewnętrzni, którzy zmienili zdanie, w większości opuścili planetę w ciągu kilku dziesięciodni. Gdy Rada Centralna, obecnie pod przewodnictwem archanioła 5-Rossa Minha, oznajmiła, iż dwieście pięćdziesiątego szóstego dnia sto sześćdziesiątego czwartego roku „Odkrywca” opuści orbitę, kilkanaście osób z osady poprosiło o przyjęcie na pokład, nie mogąc znieść ostatecznego dożywotniego wygnania bądź trudów życia na zewnątrz. Mniej więcej tyle samo pasażerów poprosiło o przyjęcie do osady – nie mogli znieść myśli o bezcelowej wiecznej pielgrzymce i o władzy archaniołów.

Dziewięćset cztery osoby na planecie postanowiły tam zostać. Umrzeć. Kilkoro z nich już umarło. Niewiele o tym rozmawiali. Nie mieli nic do powiedzenia, bo gdy człowiek cały czas chodzi zmęczony, pragnie tylko coś zjeść, położyć się do workołóżka i zasnąć. Wydawało się, iż odlot statku będzie wielkim wydarzeniem, ale nie. Z powierzchni i tak go nie widzieli. Od wielu dni w radiu i w sieci łączności krążyło mnóstwo rozmów o podróży w błogość i podstępne przypominania ludziom na powierzchni, że są aniołami i powinni

wrócić, by nadal żyć w szczęściu. Potem nastąpił deszcz wiadomości osobistych, błagań, błogosławieństw, pożegnań i statek odleciał.

Długi czas przysyłał do osady wiadomości, informacje o narodzinach, zgonach, kazania, modły i doniesienia o ogólnej radości podróży. Z osady na statek trafiały wiadomości osobiste, a także te same informacje i raporty naukowe, jakie przesyłano na Ziemię. Próby nawiązania dialogu, udzielania odpowiedzi rzadko się udawały, a po kilku latach zaprzestano ich całkowicie.

Posłuszni nakazom konstytucji mieszkańcy osady zbierali i porządkowali gromadzone informacje dotyczące Shindychew i posyłał je na planetę pochodzenia tak często, jak na to pozwalała praca. Zwołano komisję pracującą nad prowadzeniem i przesyłaniem szczegółowych kronik osady. Ludzie przesyłali też własne uwagi i myśli, obrazy, wiersze. Trudno było nie zastanawiać się, czy ktokolwiek tego słucha, ale to żadna nowość.

Przekazy adresowane na statek wciąż docierały do odbiorników w osadzie, bo ludzie na Dichew jeszcze przez wiele lat nie usłyszą o wcześniejszym lądowaniu na miejscu przeznaczenia, a i wówczas ich odpowiedź dotrze na planetę po kolejnych kilkunastu latach. Transmisje nadal pozostawały osobliwe, niemal całkowicie nieciekawe i coraz trudniejsze do zrozumienia z powodu zmian w sposobie myślenia i słownictwie. Czym był wstrzymany E.O. i czemu w Milaku doszło z jego powodu do zamieszek? Czym była technologia podróżna? Czemu powtarzali, że niezmiernie ważne są proporcje pankogenu cztery do dziesięciu?

Oczywiście problemy ze słownictwem nie były niczym nowym. Na statku ludzie ciągle poznawali słowa bez znaczeń, słowa niezwiązane z ich światem, takie jak chmura, wiatr, deszcz, pogoda. Wyrazy poetyckie, których znaczenie tłumaczyły przypisy na dole kartki albo krótkie ilustracje w filmach, czasami też przelotne wrażenia zmysłowe w VR. Słowa, których rzeczywiste odpowiedniki pozostawały wymyślone bądź wirtualne. Tu jednak pojęciem pozbawionym znaczenia, ideą bez realizacji, stało się słowo „wirtualny”. Tu nic nie było wirtualne. Chmury napływały z zachodu. Zachód, kolejna rzeczywistość: kierunek; niezwykle ważny w świecie, w którym można się zgubić. Z pewnego rodzaju chmur padał deszcz, deszcz moczył ludzi, potem wiał wiatr i ludzie marzli, a wszystko trwało dalej, nie urywało się, bo nie było programem. To pogoda. Istniała cały czas. W odróżnieniu od człowieka, chyba że nabrał rozsądku i schronił się przed deszczem. Prawdopodobnie ludzie na Ziemi o tym wiedzieli.

Wielkie, grube, wysokie rośliny, drzewa, zbudowane były z bardzo rzadkiej i cennej substancji – drewna, materiału, z którego zrobiono pewne narzędzia i ozdoby nastatku (jedno słowo: nastatku). Przedmioty z drewna rzadko poddawano recyklingowi, ponieważ nie dawało się ich niczym zastąpić. Plastikowe kopie różniły się jakością. Tutaj plastik był rzadki i cenny, drewno natomiast stało wszędzie wokół, na wzgórzach, w dolinach. Za pomocą osobliwych starożytnych narzędzi umieszczonych w Składzie osadniczym można było zwałone drzewa pociąć na kawałki (znaczenie słów „piła mech.” w podręczniku występujących jako „piła mechaniczna”). Wszystkie fragmenty drzewa były litym drewnem, doskonałym materiałem do budowy, z którego da się także zrobić mnóstwo pożytecznych urządzeń. Drewno można też podpalić i uzyskać ciepło.

Cóż za ogromnie ważne odkrycie! Czy będzie czymś nowym dla mieszkańców Ziemi? Ogień. Na końcu spawarki, aktywna część palnika Bunsena.

Większość ludzi nigdy wcześniej nie widziała ognia. Zbierali się wokół niego. Nie

dotykać! Lecz powietrze było zimne, pełne chmur i wiatrów. Pełne pogody. Ciepło ognia dawało przyjemność. Lung Jo, który zbudował pierwszy generator osady, zebrał kawałki drewna, ułożył stos wewnątrz swego miotu, podpalił i zaprosił kumpli, by się ogrzali. Po jakimś czasie wszyscy wypadli z miotu, krztusząc się i kaszląc. I dobrze, ponieważ ogniowi spodobał się miot równie mocno jak drewno i zaczął pożerać go swymi czerwonożółtymi językami, póki nie zostało nic poza czarnym pogorzeliem w deszczu. Katastrofa (kolejna katastrofa). Mimo wszystko było zabawnie, gdy nagle wszyscy wypadli na zewnątrz, krztusząc się dymem.

Chmura. Dym. Słowa pełne, nafaszerowane znaczeniami. Znaczenia życia i śmierci zwiastujące życie, przywołujące śmierć. Ostatecznie poeci nie przemawiali wirtualnie.

I poszłam sama niczym wiatr...

Jaką pogodę w brodzie masz?

Wietrzną i dziwną, dobrze skrywa twarz...

Szczep owsa 0–2 wykiełkował z ziemi, wystrzelił w powietrze (kwiaty, kwiecień), wypuścił liście i pięknie uginające się pod ciężarem kłosa, które zebrano, gdy żółkły. Ziarno przepływało między palcami niczym błyszczące paciorki, liście padały (listopad) na stos bezcennego jedzenia.

Niespodziewanie ze statku przestały napływać jakiegokolwiek wiadomości i informacje osobiste. Cały program składał się z powtórek trzech nagranych spotkań z Kimem Terrym, kazań Patela Inblissa oraz różnych innych archaniołów i nagrania męskiego chóru. Każdy fragment powtarzał się wielokrotnie.

– Czemu nazywam się 6-Lo Meiling? – Gdy dziewczynka zrozumiała wyjaśnienia matki, spytała: – Ale to było nastatku. My mieszkamy tutaj. Chyba wszyscy jesteśmy zerami?

5-Lo Ana opowiedziała tę anegdotę na spotkaniu. Jej słowa rozbawiły całą społeczność niczym lot stworzenia o przezroczystych trzepoczących skrzydełkach obrzeżonych złotymi nićmi. Na widok tych stworzeń każdy mieszkaniec osady przerywał pracę i mówił: „Spójrz!”. Czasami nazywali je tulipanami i ta wdzięczna nazwa się przyjęła.

W czasie zimowych chłódów, gdy mieli mniej pracy, prowadzili długie rozmowy, dyskutowali o imionach najróżniejszych rzeczy. O nadawaniu imion. Na przykład psy. Ludzie zgadzali się, iż nadawanie imion to sprawa wymagająca powagi. Nie ma jednak sensu zaglądać do archiwów, by odkryć, iż na Dichew mieszkały podobne do owego brązowego stworzenia istoty. Nazwijmy je zatem żukami. Ale to nie były żuki. Powinny mieć własne imię. Włazidrzewa, kłapkłaper, liściożuj. A co z nami? Dziecko Any ma przecież rację, czwórki, piątki, szóstki, co to nas w ogóle obchodzi? Aniołowie mogą sobie

ciągnąć to dalej, do setki... Będą mieli szczęście, jeśli dociągną do dziesiątki... A dziecko Zerina? To nie 6-Lahiri Padma, tylko 1-Shindychew Lahiri Padma... A może tylko Lahiri Padma. Po co ciągle liczyć kolejne etapy? Nigdzie się nie wybieramy. Ona jest tutaj. Tutaj zamieszka. To świat Padmy.

Znalazła Luisa w ogrodach za zachodnim kompleksem. Dziś nie pracował, miał wolne. Był piękny letni dzień. Włosy Luisa lśniły w słońcu. I właśnie dzięki owemu srebrnemu blaskowi go znalazła.

Siedział na ziemi, w brudzie. Wolny dzień odpracował przy doglądaniu systemu nawadniającego złożonego z niewielkich rowków, wykopów i śluz, wymagających stałego, lecz niezbyt ciężkiego doglądania i oczyszczania. Praca nie wymagała wysiłku, jedynie cierpliwości. Przy systemie więc pełnili dyżury ludzie starzy lub chorzy, a także dzieci. Patty rosła najlepiej w mokrej, lecz nie przesadnie mokrej glebie. Bulwy pieczone w całości bądź mielone stały się podstawą wyżywienia osadników, odkąd Liu Yao zdołał wyhodować jadalny szczep. Ludzie mający problemy z trawieniem miejscowych ziaren i nasion świetnie radzili sobie z patty.

Teraz Luis siedział przy śluzie kierującej odnogę zachodniego strumienia do jednego z głównych systemów kanalików. Wyciągnął przed siebie nogi, chude, brązowe. Obok leżała laska. Opierał się na rękach. Dłonie wsparł na czarnym błocie, twarz zwrócił ku słońcu, zamknął oczy. Miał na sobie szorty i luźną znoszoną koszulę. Był stary i chory. Hsing wymówiła jego imię. Mruknął, lecz nie poruszył się ani nie podniósł powiek. Przykucnęła. Po chwili jego usta wydały jej się tak piękne, że je pocałowała.

Otworzył oczy.

– Spałeś.

– Modliłem się.

– Modliłeś?

– Oddawałem cześć.

– Cześć! Czemu?

– Słońcu? – spytał z wahaniem.

– Mnie nie pytaj!

Spojrzał na nią tak jak zawsze z czułością, pytająco, bez zobowiązań, bez cienia rezerwy. Od kiedy skończyli pięć lat, zawsze patrzył na nią w ten sposób. Spoglądał w głąb niej.

– Kogo innego miałbym spytać?

– Jeśli chodzi o modlitwy i oddawanie czci, z pewnością nie mnie.

Usadowiła się wygodnie na brzegu kanału irygacyjnego, naprzeciwko Luisa. Na ramionach czuła ciepłe promienie słońca. Na głowie miała kapelusz, który Luisita niewprawnie uplotła ze słomy.

– Skrzywione słownictwo – rzekł.

– Podejrzana ideologia – odparła.

I nagle ucieszyła się z powodu słów, wielkich słów: słownictwo, ideologia. Zwykle rozmowy mieszkańców składały się z krótkich prostych określeń: jedzenie, dach, narzędzie, węz, zrób, schowaj, życie. Wielkie słowa, których już dawno przestali używać,

długie wyniosłe słowa porwały jej umysł niczym powiew wiatru trzepoczącego skrzydełkami tulipana.

– No cóż, nie wiem. – Luis zastanowił się przez chwilę. Obserwowała go w milczeniu. – Gdy zmiażdżyłem sobie kolano i musiałem leżeć beczynn timer, postanowiłem, że nie ma sensu żyć bez radości.

Po chwili ciszy spytała oschle:

– Błogości?

– Nie. Błogość to forma VN. Chodzi mi o radość. Na statku nigdy jej nie zaznałem. Dopiero tutaj. Dziś, wczoraj. Radość. Chwile bezwarunkowego istnienia.

Hsing westchnęła.

– Zasłużone – zauważyła.

– O tak.

Jakiś czas siedzieli w milczeniu. Wiatr z południa zrywał się i cichł. Znowu zaczynał wiać. Niósł z sobą woń mokrej ziemi i kwiatów fasoli. Hsing znowu usłyszała głos Luisa:

– Ludzie kiedyś mówili: „Kto doczekał wnuków, może się cieszyć błękitem nieba. W innym świecie”.

Jej oddech załamał się w kolejnym głębszym westchnieniu, szlochu. Luis nakrył ręką jej dłoń.

– Alejo poszedł z dziećmi na ryby, w górę strumienia – powiedziała.

Skinał głową.

– Tak bardzo się martwię – dodała. – Zmartwienia zaćmiewają radość.

Ponownie przytaknął. W końcu rzekł:

– Myślałem jednak... Gdy oddawałem cześć, czy co tam robiłem, myślałem o błocie, o ziemi. – Podniósł garść kruchej, ciemnej żyznej gleby i wypuścił ją pomiędzy palcami, patrząc, jak się przesypuje. – Myślałem, że gdybym mógł, wstałbym i tańczył na niej. Zatańcz dla mnie, Hsing, proszę.

Jeszcze chwilę siedziała bez ruchu, potem wstała – trudno się podnieść z niskiego brzegu, kolana nie są już tak sprawne jak kiedyś – i stanęła bez ruchu.

– Czuję się głupio – powiedziała.

Uniosła ręce szeroko, niczym skrzydła. Spojrzała na stopy stojące w błocie. Zrzuciła sandały. Bosa postąpiła krok w lewo, w prawo, w przód, w tył. Tańcząc, zbliżyła się do Luisa, wyciągając ręce. Ujął je, a ona podniosła go z ziemi. Roześmiał się. Ona nawet się nie uśmiechała. Kołysząc się, unosiła z błota bosa stopy i stawiała je ponownie, a on stał, trzymając jej dłonie. W ten sposób tańczyli razem.

Przełożyła Paulina Braiter

Ursula K.
LeGuin
Opowiadanie świata



Przełożyła
Maciejka Mazan

Kiedy Satti wracała na Ziemię w dzień, zawsze widziała wieś. Kiedy wracała w nocy, była to Enklawa.

Żółć trawy, żółć kurkumy i ryżu z szafranem, pomarańcz nagietków, przydymiona pomarańczowa mgielka zachodzącego słońca nad polami, czerwień henny, czerwień męczennicy, czerwień zeschniętej krwi, czerwień błota – wszystkie kolory słonecznego światła. Wiatr niosący tchnienie asafetydy. Trajkotanie ciotki plotkującej na werandzie z matką Motiego. Leżąca nieruchomo na białej kartce smagła dłoń wujka Hurree. Przyjazne świńskie oczka Ganeszy. Trzask zapalanej zapalki i gęsty szary kłęb wonnego dymu kadzidla: oszałamiający, intensywny, ulotny. Zapachy, migotania, echa odzywające się krótko lub dźwięczące w jej pamięci, kiedy szła ulicą, jadła albo odpoczywała po sensorycznym ataku progreali, w których musiała uczestniczyć – zawsze za dnia, pod innym słońcem.

Ale noc wygląda tak samo w każdym ze światów. Brak światła jest niezmienny. A w ciemnościach wracała do Enklawy. Nie, nie we śnie. To nigdy nie był sen. Zawsze była przytomna, tuż przed zaśnięciem lub gdy się budziła, niespokojna i zeszywniała, nie mogąc znowu zapaść w niebyt. Wówczas te sceny ponownie stawały jej przed oczami, nie w słodkich, jasnych mgnieniach, lecz przy pełnej świadomości miejsca i czasu. A kiedy zaczynały się wspomnienia, nie potrafiła ich przerwać, musiała przeżyć je od początku do końca, dopiero wtedy odchodziły. Może to była kara, taka jak w piekle Dantego, kiedy kochankowie musieli wspominać swoje szczęście. Ale oni cierpieli mniej, bo wspominali je wspólnie.

Deszcz. Pierwsza zima w deszczu w Vancouverze. Niebo jak ołowiany sufit nad dachami budynków, wsparte ciężko na szczytach czarnych gór za miastem. Na południe szare wody cieśniny, pod którymi spało stare Vancouver, dawno temu zatopione przez przybierające morze. Czarna wilgoć na lśniących asfaltowych ulicach. Wiatr, ten wiatr, pod którego smagnięciami popiskiwała jak szczenię, kuliała się i drżała z przerażenia, tak był dziki i szalony, ten zimny wiatr prosto z Arktyki, lodowaty oddech białego niedźwiedzia. Przeszywał ją na wylot przez wytarte palto. Za to buty miała ciepłe. Brzydkie, czarne plastikowe buciory, pod którymi rozbryzgiwała się woda w rynsztokach. Tak, dzięki nim zaraz będzie w domu. Dzięki temu zimnu, przeszywającemu zimnu można było się czuć bezpiecznie. Ludzie szli pospiesznie w swoją stronę, nie zwracając uwagi na nikogo, jakby ich nienawiść i namiętność skostniały. Północ była dobra i zimno także, i deszcz, i to piękne ponure miasto.

Ciocia wydawała się tu malutka, malutka i krucha jak motylek. Czerwonopomarańczowe bawełniane sari, cienkie mosiężne bransoletki na owadzych przegubach. W okolicy było mnóstwo Hindusów i Hindokanadyjczyków, ale ciocia nawet pośród nich wydawała się mała i zagubiona, całkiem nie na swoim miejscu. Miała obcy, przepaszający uśmiech. Musiała ciągle nosić buty i pończochy. Jej stopy ukazywały się dopiero tuż przed snem, smagłe stópki pełne wyrazu, które w wiosce pozostawały na widoku tak samo jak jej oczy i dłonie. Tutaj zimno spłoszyło je, okaleczyło, kazało im się ukryć. Ciocia przestała chodzić. Nie biegała po domu, nie krzątała się w kuchni. Siedziała

w dużym pokoju przy grzejniku, owinięta spłowiałym i wystrzępionym włóczkowym kocem – motyl na powrót w kokonie. I stopniowo odchodziła, daleko, coraz dalej, choć nie ruszała się z miejsca.

Satti odkryła, że łatwiej jej rozmawiać z rodzicami, których od piętnastu lat prawie nie widywała, niż z ciocią, choć to w jej ramionach zawsze szukała ucieczki. Z radością poznała na nowo matkę, dobrotliwie dowcipną i inteligentną, obserwowała nieśmiało i niezręczne wysiłki ojca, który pragnął jej okazać uczucie. Rozmawiać z nimi jak dorosły z dorosłym, wiedząc jednocześnie, że kochają ją bezwarunkowo... – o, to było wspaniałe. Rozprawiali o wszystkim, uczyli się siebie nawzajem. A ciocia kurczyła się, schła, wycofywała ukradkiem do wioski, na grób wujka, choć na pozór wydawało się, że nigdzie nie wychodzi.

Nadeszła wiosna, a z nią strach. Tutejsze słońce było blade i srebrnawe. Małe różowe śliwy tonęły w kwieciu po obu stronach ulicy. Ojcowie oznajmili, że Układ Pekijski zaprzecza doktrynie jedyne go przeznaczenia, więc należy go znieść. Należy otworzyć Enklawy, powiedzieli, aby ich populacja przyjęła Święte Światło, szkoły oczyściły się z niewiary, wyzbyły się obcych błędów i deprawacji. Ci, którzy będą trwać w grzechu, zostaną reedukowani. Matka codziennie szła do urzędów. Wracała późno i w złym humorze. To już ostatni cios, powiedziała. Jeśli się stanie, nie będziemy mieli się gdzie podziąć. Chyba w podziemiach.

Pod koniec marca eskadra samolotów z Bożych Zastępów wystartowała z Kolorado do Waszyngtonu, gdzie zbombardowała tamtejszą bibliotekę – samolot za samolotem, cztery godziny wybuchów, które obróciły w nicość setki lat historii i miliony książek. Waszyngton nie był Enklawą, ale ten piękny stary budynek, choć często zamykany i obstawiony strażnikami, nigdy nie był miejscem ataku. Przetrwał wszystkie lata zamętu i wojny, załamania i rewolucji... aż do tej chwili. Czas oczyszczenia. Głównodowodzący Bożych Zastępów ogłosił, że trwające właśnie bombardowanie jest akcją edukacyjną. Istnieje tylko jedno Słowo, tylko jedna Księga. Wszystkie inne słowa i książki są mrokiem, błędem. Brudem. „Niech Pan zabłyśnie!” – krzyčeli piloci w białych mundurach i hełmach z lustrzanymi szybami, kiedy już wrócili do kościoła w bazie Kolorado, patrzyli w kamery twarzami bez wyrazu i śpiewali wraz z ekstatycznym tłumem: „Zmieciemy plugastwo, niech Pan zabłyśnie!”.

Ale Dalzul, nowy poseł, który w zeszłym roku przybył z Hain, odbył z ojcami rozmowę. Zezwolili mu wejść do Sanktuarium. W internecie i „Bożym Słowie” pojawiły się jego progreale, hologramy i zwykłe dwuwymiarowe programy. Okazało się, że to nie Ojcowie przekazali głównodowodzącemu rozkaz zniszczenia waszyngtońskiej biblioteki. Ojcowie nigdy się nie mylili, każdy to wiedział. On sam także nie popełnił błędu. Akcja pilotów była całkowicie samowolna i wynikała z nadgorliwości. Z Sanktuarium padł wyrok: piloci mieli otrzymać karę. Ukarano ich więc: w obecności dostojników, gapiów i kamer odebrano im broń i białe mundury. Zdarto kaptury, obnażono twarze. Zhańbieni, zostali skierowani na reedukację.

Wszystko to można było obejrzeć w internecie, choć Satti nie musiała w tym uczestniczyć; ojciec odłączył wideoceptory. Także w „Bożym Słowie” o niczym innym się nie mówiło. Z wyjątkiem nowego posła. Dalzul był Terraninem. Urodzony na Bożej Ziemi, jak mawiano. Człowiek, który rozumiał ziemski ród jak żaden obcy. Człowiek z gwiazd, który przybył, by uklęknąć przed ojcami i przystąpić do rozmów o pokojowych zamiarach

świętej inkwizycji i Ekumeny.

– Przystojny – zauważyła matka, rzucając na niego okiem. – Biały?

– Wyjątkowo – odparł ojciec.

– Skąd pochodzi?

Tego nie wiedział nikt. Islandia, Irlandia, Syberia... – każdy miał inne wiadomości. Opuścił Terrę, by studiować na Hain, tu się zgadzali. Bardzo szybko zrobił kwalifikację jako obserwator, potem mobil. Wreszcie został odesłany do domu, pierwszy terrański poseł na Terrę.

– Wyjechał dobre sto lat temu – powiedziała matka – zanim unicy przejęli Azję Wschodnią i Europę. Nawet zanim tak się rozprzestrzenili w Azji Zachodniej. Pewnie się nie spodziewał, że jego świat tak się zmieni.

Szczęściarz, pomyślała Satti. O, jakież z niego szczęściarz! Uciekł, schronił się na Hain, uczył się w szkole na Ve, był tam, gdzie istnieje coś poza Bogiem i nienawiścią, gdzie mają historię liczącą milion lat i wszyscy ją rozumieją!

Tego samego wieczora powiadomiła rodziców, że chciałyby wstąpić na studium, a potem zdawać do Kolegium Ekumenalnego. Powiedziała to bardzo nieśmiało; nie spodziewała się, że przyjmą to tak spokojnie, nawet bez zdziwienia. „W dzisiejszych czasach to całkiem dobry pomysł” – uznała matka. Byli tak zadowoleni, że pomyślała: czy nie rozumieją, że jeśli zdam i zostanę wysłana do innych światów, nigdy mnie już nie zobaczą? Pięćdziesiąt lat, sto, kilkaset – rzadko trafiały się krótsze trasy, często nawet dłuższe. Czy nic ich nie obchodzi? Ale dopiero później, kiedy przy stole przyglądała się ojcu, jego poważnej, subtelnej twarzy, pełnym wargom, orlemu nosowi i siwiejącym już włosom, dotarło do niej, że jeśli zostanie wysłana do innego świata, ona także ich więcej nie zobaczy. Pomyśleli o tym, zanim jej to przyszło do głowy. Krótka znajomość, długa nieobecność – to wszystko, co między nimi było. Wykorzystali to do maksimum.

– Jedz, ciociu – powiedziała matka, ale ciocia tylko dotknęła swojej porcji naana palcami przypominającymi owadzie czułki.

– Z takiej mąki nie może być dobrego chleba – odezwała się, rozgrzeszając piekarza.

– Rozpuściłaś się na tej wsi – zażartowała matka. – W całej Kanadzie nie znajdziesz nic lepszego. Pierwszorzędna sieczka i gips.

– Tak, rozpuściłam się – przyznała ciocia i uśmiechnęła się jakby z oddali.

Starsze slogany wykuto na fasadach budynków: „NAPRZÓD KU PRZYSZŁOŚCI”, „PRODUCENCI-KONSUMENCI AKI SIĘGAJĄ GWIAZD”. Nowsze biegły przez budynki jaskrawymi elektronicznymi wstążkami: „REAKCYJNA MYŚL TO TWÓJ WRÓG”. Te zepsute stały się zaszyfrowanymi wiadomościami: „OD TO NA”. Najnowsze, hologramy, unosiły się nad ulicami: „CZYSTA NAUKA USUWA ZEPSUCIE”, „WYŻEJ, DALEJ, LEPIEJ”. Towarzyszyła im muzyka, bardzo rytmiczna i wielogłosowa. „Dalej, dalej, aż do gwiazd” – wyśpiewywał niewidzialny chór nad skrzyżowaniem, na którym stała w korku robotaksówka. Satti włączyła w niej dźwięk, żeby zagłuszyć odgłosy z zewnątrz.

– Przesąd to gnijące ścierwo – odezwał się miły, głęboki męski głos. – Przesądne praktyki deprawują młode umysły. Obowiązkiem każdego obywatela, dorosłego bądź uczącego się, jest informowanie władz o reakcyjnych naukach oraz nauczycielach, którzy

dopuszczają do buntu lub szerzą przesąd i zabobon. W świetle czystej nauki wiemy, że gorliwa współpraca nas wszystkich jest pierwszym warunkiem...

Satti ściszyła dźwięk do oporu. Zza okna buchnął chór: „Do gwiazd! Do gwiazd!”, a robotaksówka ruszyła z szarpnięciem i zaraz stanęła. Jeszcze dwa takie ruchy i przedrą się przez skrzyżowanie.

Przetrząsnęła kieszenie kurtki w poszukiwaniu spożywki, ale nie znalazła już ani jednej. Bolał ją żołądek. Kiepskie żarcie, za długo się nim napycha, wysoko przetworzona karma nafaszerowana proteinami, przyprawami, stymulantami. I za długo stoi w korkach, głupich niepotrzebnych korkach, a to wszystko przez te głupie tandetne samochody, które się ciągle rozwalają, i ten nieustający hałas, slogany, pieśni, postęp, ludzie postępowo ładujący się w każdy błąd znany ludzkości...

Źle. Nie oceniać. Nie poddawać się frustracji, która zaciemnia myśli i ogląd sytuacji. Nie pozwalać sobie na uprzedzenia. Patrz, słuchaj, dostrzegaj: obserwuj. Na tym polegało jej zadanie. To nie jej świat.

Ale jak miała go obserwować, skoro nie mogła się z niego wycofać? Musiała pogodzić się z hiperstymulacją progreali i ulicznym zgiełkiem. Nie potrafiła uciec przed wszechobecnym atakiem propagandy – wyjąwszy mieszkanie, gdzie mogła odciąć się od świata, który przybyła obserwować. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy: nie nadawała się na obserwatora tutejszego środowiska. Innymi słowy, nie wykonała swojego pierwszego zadania. Poseł wezwał ją na rozmowę, z pewnością po to, by jej to powiedzieć.

Była już prawie spóźniona. Robotaksówka poruszała się gwałtownymi zrywami i stawała. Głośniki ryknęły ogłuszająco – było to jedno z obwieszczeń Korporacji, pokonujących nawet najbardziej przykręcone regulatory.

– Ogłoszenie Biura Astronautyki! – zapowiedział energiczny, pewny siebie kobiecy głos.

Satti zatkała uszy.

– Zamknij się!

– Drzwi pojazdu są zamknięte – odezwała się robotaksówka martwym blaszanym głosem, typowym dla mechanizmów reagujących na werbalne polecenia.

Satti dostrzegła dowcip sytuacji, ale nie potrafiła się roześmiać. Ogłoszenie ciągnęło się bez przeszkód, a przenikliwe głosy na zewnątrz zawodziły: „Zawsze wyżej, zawsze lepiej, marsz do gwiazd!”.

Poseł Ekumeny, gołębiooki Chiffewarianin Tong Ov spóźnił się jeszcze bardziej niż ona. Ze śmiechem opowiedział, że zatrzymała go awaria czytnika ZIL.

– Błędnie zinterpretowałem mikronagranie, które chciałem ci dać – wyjaśnił, szperając w dokumentach. – Zakodowałem je, ponieważ oczywiście grzebią mi w aktach, a system nie mógł odczytać kodu. Ale wiem, że to gdzieś tu jest... No, na razie opowiedz, jak ci poszło.

– Tak... – zaczęła i zamilkła. Od miesięcy mówiła i myślała po dowzańsku. Przez chwilę musiała przeszukać własne akta: hindu nie, angielski nie, hainisz tak. – Miałam przygotować raport o współczesnym języku i literaturze, ale podczas mojego tranzytu zaszły tu pewne zmiany... To znaczy... teraz prawo zakazuje mówić czy uczyć się innego języka niż dowzański lub haiński. Nie mogę pracować nad pozostałymi, jeśli nadal istnieją. Co do dowzańskiego, pierwsi obserwatorzy poczynili bardzo szczegółowe analizy lingwistyczne. Mogę dodać tylko drobiazgi i słownik.

– A literatura?

– Zniszczono wszystko, co powstało w starych językach. A jeśli coś ocalało, nie mam

pojęcia co, ponieważ ministerstwo nie dało mi dostępu. Mogłam badać tylko współczesną literaturę auralną. Wszystko jest spisane zgodnie z wymogami Korporacji. Bardzo... standardowe.

Zerknęła, żeby sprawdzić, czy Tong Ov jest już znudzony tym narzekaniem, ale on, choć ciągle szukał zaginionego dokumentu, słuchał jej z żywym zainteresowaniem.

– Ach, auralna?

– Wyjąwszy instrukcje Korporacji, nie drukuje się już prawie niczego. Tylko ulotki dla niesłyszących, elementarze dla początkujących... Kampania przeciwko dawnym ideogramom była bardzo intensywna. A może ludzie nie chcieli używać alfabetu haińskiego? Albo po prostu wolą hałas... To znaczy dźwięk. Wszystko więc, co udało mi się znaleźć, to nagrania dźwiękowe i progrealne, wydane przez Światowe Ministerstwo Informacji oraz Centralne Ministerstwo Poezji i Sztuki. Większość z tych pozycji to głównie materiały informacyjne lub edukacyjne, a nie... hm... literatura, tak jak ja ją rozumiem. Wiele progreali to problemy praktyczne lub etyczne wraz z rozwiązaniami przedstawione w formie dramatu... – Bardzo się starała nie oceniać, mówić bez uprzedzeń, głosem pozbawionym osobistego tonu.

– Nuda – rzucił Tong, ciągle ryjąc w dokumentach.

– Na mnie ta estetyka nie działa. Jest tak dosadnie i... i... i otwarcie polityczna. Oczywiście sztuka jest zawsze zaangażowana politycznie, ale kiedy bez reszty służy celom dydaktycznym, cała jest podporządkowana ideologii. Nie mogę znieść... to znaczy, nie czuję jej wpływu... choć bardzo się staram. Muszę być na nią otwarta, lecz ona na mnie nie działa. Może dlatego, że ta bardzo niedawna rewolucja społeczna i kulturalna kompletnie wymazała ich historię... Oczywiście kiedy mnie tu wysyłano, nie można było tego przewidzieć... ale sądzę, że w tym wypadku wytypowanie kogoś z Terry nie było najlepszym wyborem. My, Terranie, znamy przyszłość ludzi, którzy przekreślili własną tradycję. Żyjemy w niej. – Zamilkła raptownie, przerażona własnymi słowami.

Tong spojrział na nią niewzruszony.

– Nie dziwi mnie to przekonanie, że twoje zadanie jest niewykonalne. Potrzebowałem twojej opinii, więc ta misja była dla mnie warta wysiłku. Ale ciebie znużyła. Zaleca się zmianę. – W jego gołębach oczach pojawił się błysk. – Co powiesz na podróż do źródeł?

– Jakich źródeł?

– To znaczy „do początku”, prawda? Ale tak naprawdę chodziło mi o źródła Erehy.

Przypomniała sobie, że przez miasto przepływała duża rzeka, częściowo zasłonięta chodnikiem i tak ukryta pomiędzy budynkami, że widziała ją tylko na mapie.

– Czyli... mam wyjechać z miasta?

– Tak! – Tong się rozpromienił. – Za miasto! Bez przewodnika! Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat! – Był zachwycony jak dziecko, które znalazło ukryty prezent, cudowną niespodziankę. – Jestem tu od dwóch lat i złożyłem osiemdziesiąt jeden podań o zezwolenie na wysłanie pracownika gdzieś poza Dowzę, Kangnegne albo Ert. Wszystkie zostały grzecznie odrzucone. Proponowali mi kolejną wycieczkę z przewodnikiem na piękne Wyspy Wschodnie. Składałem te podania z nawyku, odruchowo. I nagle sukces! Tak! „Zezwala się waszemu pracownikowi spędzić miesiąc w Okzat-Ozkat”. Albo Ozkat-Okzat. To małe miasto w górach, w pobliżu źródeł rzeki. Ereha ma początek w okręgu Wysokich Źródeł. Prosiłem o ten rejon, Rangma, nie spodziewając się, że coś wskóram, a tu proszę! – promieniał z zachwyty.

– Dlaczego akurat tam?

– Bo tam podobno można spotkać ciekawych ludzi.

– Etniczna populacja? – spytała z nadzieją.

W początkach swego pobytu tutaj, kiedy po raz pierwszy spotkała Tonga Ova i dwóch innych obserwatorów Dowza, dyskutowali o wyjątkowej jednorodności kulturalnej Aki, przynajmniej w największych miastach, jedynych, w których pozwalano mieszkać nielicznym pozaświatowcom. Wówczas byli przekonani, że akańskie społeczeństwo musi mieć regionalne odmiany, i byli zirytowani, że nie mogą ich poznać.

– Raczej sekta. Jakiś kult. Być może żyjący w ukryciu wyznawcy zakazanej religii...

– Ach – mruknęła, usiłując nadal wyglądać na zainteresowaną.

Tong wrócił do przetrząsania dokumentów.

– Szukam tych ochłapów, które udało mi się pozbiierać. Większość podebranych zresztą z państwowych archiwów. Biuro Kulturalno-Społeczne donosi, że gdzieś zachował się zbrodniczy antynaukowy kult... A także kilka plotek i historii o tajnych rytuałach, chodzeniu na wietrze, cudownych lekach, przewidywaniu przyszłości. Norma.

Jeśli jest się spadkobiercą tradycji liczącej trzy miliony lat, niewiele jest rzeczy na niebie i ziemi, które wydają się niezwykle. Hainowie traktowali to lekko, ale musieli czuć ciężar świadomości, że wymyślenie czegoś nowego jest dla nich wyjątkowo trudne, a nawet całkiem niemożliwe.

– Czy materiały, które pierwsi obserwatorzy wysłali na Terrę, nie zawierały czegoś na temat religii? – spytał Tong.

– Ponieważ ocalał tylko raport lingwistyczny, wszystkie informacje dotyczyły jedynie korzystania ze słownika.

– Wszystkie doniesienia tych nielicznych, którym dano nieograniczony dostęp do Aki, stracone przez awarię systemu! – Tong porzucił poszukiwania i powierzył je funkcji. – Straszny pech. Czy to naprawdę była awaria?

Jak wszyscy Chiffewarianie był całkowicie bezwłosy – w slangu Valparaiso „chihuahua”. Aby zminimalizować wrażenie obcości na planecie, gdzie brak włosów wydawał się tak szokujący, nosił kapelusz. Lecz Akanie rzadko wkładali nakrycia głowy, więc w efekcie wydawał się jeszcze bardziej pozaświatowy. Był dobrze wychowany, bezpośredni, szczery. Satti czuła się przy nim na tyle swobodnie, na ile to było możliwe w jej przypadku. Ale Tong, tak dyskretny, nie emanował ciepłem. Sam także wymagał dystansu. To jej odpowiadało. A jego pytanie wydało się jej obłudne. Musiał wiedzieć, że utrata transmisji nie była przypadkowa. Niby dlaczego miała mu to wyjaśniać? Dała mu już do zrozumienia, że podróżuje bez bagażu, tak jak to mają w zwyczaju obserwatorzy i mobile. Nie odpowiadała za planetę, która została sześćdziesiąt lat świetlnych za nią. Nie odpowiadała za Terrę i jej świątobliwy terrorizm. Ale milczenie trwało, wreszcie więc powiedziała:

– Nadajnik Pekinu padł ofiarą sabotażu.

– Sabotażu?

Kiwnęła głową.

– Unici?

– Pod koniec reżimu atakowano większość instalacji ekumenalnych i Enklaw.

– Jak wiele zniszczono? – Chciał ją skłonić do mówienia.

Gardło ścisnęło się jej z wściekłości. Wściekłości i palącego gniewu. Nie odezwała się

jednak, ponieważ nie mogła wydobyć z siebie głosu. Znaczące milczenie.

– Nie mamy więc niczego prócz języka – odezwał się Tong.

– Prawie niczego.

– Potworny pech! – kontynuował z ożywieniem. – Pierwsi obserwatorzy byli Terranami, więc zamiast na Hain wysłali raporty na Terrę. Nic dziwnego, ale to pech. A jeszcze gorsze jest to, że wszystkie transmisje z Terry przeszły bez problemu. Wszystkie informacje techniczne, o które prosili Akanie, dotarły bez ograniczeń. Dlaczego? Dlaczego pierwsi obserwatorzy zgodzili się na tak rozległą interwencję kulturalną?

– Może się nie zgodzili. Może te informacje przysłali unici.

– Po co unici chcieliby wysłać Akę w marsz ku gwiazdom?

Wzruszyła ramionami.

– Może żeby ich nawrócić.

– Czyli przekonać do swojej wiary? Czy postęp technologiczny był elementem religii unitów?

Powstrzymała się przed kolejnym wzruszeniem ramionami.

– A więc w okresie, gdy unici nie zgodzili się na kontakt ze stabilami, zajmowali się... nawracaniem Akan? Myślisz, że przysłali im... jak wy ich nazywacie... misjonarzy?

– Nie wiem.

Nie osaczał jej, nie chciał wciągnąć w pułapkę. Zastanawiał się tylko nad pobudkami Terran i usiłował wydusić z niej wyjaśnienie ich czynów. Ale nie mogła wypowiadać się w imieniu unitów. Zrozumiał to i rzucił pospiesznie:

– Tak, tak, przepraszam. Oczywiście, że nie byłaś dopuszczona do spraw unitów! Ale tak mi przyszło to głowy... Jeśli naprawdę przysłali misjonarzy i w jakiś sposób naruszyli akańską kulturę... Rozumiesz? To by tłumaczyło limitację. – Miał na myśli niespodziewane zarządzenie wprowadzone przed pięćdziesięciu laty i od tej pory pozostające w mocy. Mówiło ono, że na planecie może przebywać jednocześnie tylko czterech pozaświatowców, i to jedynie w miastach. – I zakaz religijnych praktyk kilka lat później! – Rozpromienił się, zachwycony. – Nie słyszałaś, żeby przysłano z Terry jeszcze drugą grupę? – spytał niemal prosząco.

– Nie.

Westchnął i popadł w zamyślenie. Po chwili machnął ręką.

– Jesteśmy tu od siedemdziesięciu lat, a mamy tylko słownik.

Odetchnęła. Wrócili z Terry, była bezpieczna. Ale teraz jeszcze ostrożniej dobierała słowa, a w jej głosie słychać było ulgę:

– Kiedy byłam na ostatnim roku szkolenia, zrekonstruowano fragmenty uszkodzonych nagrań. Obrazy, parę ustępów z książek. Zdawały się wskazywać na niezwykle spójną kulturę z kilkoma centralnymi tematami, dającymi się zaklasyfikować jako religijne. To samo dotyczyło słowników. Ale oczywiście, biorąc pod uwagę obecną sytuację, nie dowiedziałam się niczego o instytucjach stojących nad Korporacją Państw. Nie wiem nawet, dlaczego zakazano religii. Chyba jakieś czterdzieści lat temu, prawda? – Jej ton zabrzmiał fałszywie. Źle.

Tong pokiwał głową.

– Trzydzieści lat po pierwszym kontakcie z Ekumeną Korporacja wydała pierwszy dekret zakazujący praktyk i nauk religijnych. Po kilku latach zaczęła stosować okropne kary... lecz to, co mnie zdziwiło, co mi nasunęło myśl, że inspiracja mogła pochodzić ze

świata zewnętrznego, to fakt, iż słowo „religia” we wszystkich dekretach było zapożyczone z języka hainńskiego. Czyżby nie mieli własnego? Znasz je?

– Nie – przyznała, przypomniawszy sobie nie tylko dowzański, ale kilka innych języków tej planety, których uczyła się w Valparaiso. – Nie znam.

Oczywiście obecnie język dowzański zapożyczył wiele obcych słów wraz z nowoczesnymi technologiami, ale czy to normalne, że sięga się do innego języka, żeby zakazać czegoś, co wyrosło na rodzimym gruncie? To rzeczywiście było dziwne. A ona powinna to zauważyć. I zauważyłaby, gdyby nie zagłuszała tego słowa, myśli, tematu za każdym razem, kiedy się jej nasuwał. Źle. Błąd.

Tong stracił zainteresowanie rozmową. Wreszcie znalazł dokumenty i włączył funkcję dekodującą. To musiało trochę potrwać.

– Akański system pozostawia sporo do życzenia – mruknął, wciskając ostatni klawisz.
– „Wszystko psuje się zgodnie z planem” – odparła. – Jedyne akański dowcip. Szkoda tylko, że to prawda.

– Ale zauważ, jak wiele osiągnęli przez siedemdziesiąt lat! – Poseł usiadł wygodnie, już uspokojony, gotowy do dyskusji, w kapeluszu lekko zsuniętym na bakier. – Słusznie czy niesłusznie, przekazano im plany G86. – W żargonie historyków z Hain było to społeczeństwo o przyspieszonym postępie technologicznym. – I przyswoili całą wiedzę za jednym zamachem. Przetworzyli swoją kulturę, ustanowili Korporację Państw Świata, wysłali statek kosmiczny na Hain – a wszystko w czasie jednego ludzkiego życia! Naprawdę są zadziwiający. Niesłychana dyscyplina!

Satti zgodziła się posłusznie.

– Ale chyba musieli się spotykać z jakimś oporem. Ta antyreligijna obsesja... Nawet jeśli to my ją im zaszczepiliśmy wraz z ekspansją technologiczną...

Okazywał wielką uprzejmość, mówiąc „my”, jakby to Ekumena była odpowiedzialna za terrańską interwencję na Ace. Charakterystyczny dla Hain sposób myślenia: brać odpowiedzialność.

– Mechanizmy kontroli – ciągnął – są tak skuteczne i radykalne, że musiały być ustanowione z myślą o czymś groźnym, nie sądzisz? Na przykład o religii sprzeciwiającej się Korporacji Państw... Tak, rozpowszechnionej w całym kraju dobrze zakorzenionej religii. Stąd gwałtowny zakaz praktyk religijnych. A także wprowadzenie narodowego teizmu jako elementu zastępczego. Bóg jako rozum. Młot czystej nauki. W imię którego burzono świątynie i wypędzono kaznodziejów. Co ty na to?

– To zrozumiałe.

Chyba nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Przez chwilę milczał.

– Stare pisma, ideogramy... – odezwał się znowu. – Potrafisz je płynnie czytać?

– Tylko tego mogłam się nauczyć podczas szkolenia. Siedemdziesiąt lat temu to były jedyne zabytki akańskiej literatury.

– Oczywiście – rzucił pospiesznie z rozbrajającym chiffewariańskim gestem oznaczającym „wybacz biednemu idiotcie”. – Ja przybywam z dystansu zaledwie dwunastu lat, więc nauczyłem się tylko współczesnego pisma.

– Byłoby śmiesznie, gdybym jako jedyna na tej planecie potrafiła odczytać ideogramy. Czasami się zastanawiam, czy tak nie jest...

– Z pewnością nie, choć Dowzanie są bardzo systematyczni. Tak bardzo, że zakazawszy starego pisma, systematycznie zniszczyli wszystkie jego zabytki, wiersze, sztuki, dzieła

historyczne, filozoficzne... Wszystko? Jak myślisz?

Przypomniała sobie własne zdumienie w pierwszych tygodniach w Dowza City, niedowierzenie na widok skąpych zasobów tak zwanych bibliotek, niepowodzenie własnych prób prowadzenia badań, kiedy nadal się łudziła, że gdzieś muszą być jakieś resztki literatury całej planety.

– Nawet jeśli jeszcze znajdują jakieś książki lub podręczniki, na pewno je niszczą – powiedziała. – Jednym z głównych urzędów Ministerstwa Poezji jest Lokalizacja Książek. Znajdują je, konfiskują i rozcierają na miał, służący potem jako materiał budowlany. Stare książki są nawet nazywane przemiałem. Masa papierowa to świetna izolacja. Jedna kobieta z ministerstwa powiedziała, że wysyłają ją do innej filii, ponieważ w mieście nie ma już przemiałów. Jest czyste. Oczyszczone.

Usłyszała ostry ton we własnym głosie. Odwróciła głowę i spróbowała rozluźnić mięśnie karku. Tong Ov pozostał spokojny.

– Cała historia planety stracona, wymazana, jakby w jakiejś potwornej katastrofie. Niebywałe!

– Nic nadzwyczajnego – warknęła.

Źle. Znowu rozluźniła mięśnie, zrobiła wdech i odezwała się z wypracowanym spokojem: – Te nieliczne akańskie wiersze i rysunki, które zrekonstruowaliśmy w Terrańskim Centrum Nadawczym, tutaj byłyby nielegalne. Miałam ich kopie w noterze, ale je wykasowałam.

– Tak. Tak, słusznie. Nie możemy przywozić tu niczego, o czym oni nie chcą wiedzieć.

– Zrobiłam to wbrew sobie. Miałam wrażenie, że z nimi kolaboruję.

– Granica pomiędzy kolaboracją i szacunkiem bywa wąska. Niestety, musimy się z tym pogodzić.

Przez chwilę wydawało się jej, że dostrzegła w nim mgnienie mrocznej powagi. Odwrócił wzrok, utkwił go gdzieś bardzo daleko. Potem znowu na nią spojrział, pełen bezbrzeżnego spokoju.

– Ale nie zapominajmy, że w mieście można znaleźć całkiem sporo fragmentów starych napisów. Bez wątpienia uważa się je za nieszkodliwe, skoro nikt nie potrafi ich odczytać. A miejsca leżące na uboczu mają to do siebie, że zachowuje się w nich wiele ciekawych rzeczy. Pewnego razu wieczorem byłem w dole rzeki... godne nagany, przyznaję, nie powinienem tam iść, ale w tak dużym mieście można się czasem zgubić gospodarzowi. Przynajmniej miałem nadzieję, że się zgubiłem... W każdym razie usłyszałem jakąś niezwykłą muzykę. Drewniane instrumenty. Nielegalne interwały.

Spojrzała na niego pytająco.

– Państwo wymaga, by kompozytorzy stosowali terrańską oktawę.

Zagapiła się na niego bezmyślnie. Tong zaśpiewał interwał oktawy. Satti z wysiłkiem zrobiła inteligentną minę.

– Tutaj nazywają to naukową skalą interwałową – dodał, a nie dostrzegając z jej strony żadnego sygnału zrozumienia, spytał z uśmiechem: – Czy akańska muzyka nie wydaje ci się bardziej znajoma, niż mogłaś się spodziewać?

– Nigdy o tym nie myślałam... Nie wiem... mam drewniane ucho. Nie znam się na nutach.

Tong uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Według mnie tutejsza muzyka brzmi tak, jakby Akanie też mieli drewniane ucho. W

każdym razie w dole rzeki usłyszałem coś kompletnie innego. Zupełnie nie to, co puszczają z głośników. Inne interwały. Bardzo subtelna harmonia. Nazywają to muzyką leków. Wywnioskowałem, że grają ją uzdrowiciele, religijni lekarze. Zdołałem jakimś cudem porozmawiać z jednym z takich uzdrowicieli. Powiedział: „Znamy stare pieśni i lekarstwa. Nie znamy opowieści. Nie możemy ich przekazać. Ludzie, którzy opowiadali, odeszli”. Naciskałem go jeszcze trochę i wreszcie powiedział: „Może niektórzy jeszcze żyją u źródeł rzeki. W górach”. – Tong Ov uśmiechnął się, tym razem tęsknie. – Chciałem usłyszeć coś jeszcze, ale oczywiście sama moja obecność narażała go na niebezpieczeństwo. – Zamilkł na dłuższą chwilę. – Czasami mam wrażenie, że...

– ...że to wszystko przez nas.

– Tak – przyznał po chwili. – Ale skoro już tu jesteśmy, musimy się starać, żeby nasza obecność była dla nich znośna.

Chiffewarianie mieli poczucie odpowiedzialności, lecz nie kultywowali poczucia winy tak jak Terranie. Satti zrozumiała, że źle zinterpretowała jego słowa. Zaskoczyła go. Zamilkła.

– Co miał na myśli ten uzdrowiciel? Chodzi mi o ludzi, którzy opowiadali historie.

Usiłowała myśleć, ale czuła wyraźny opór. Nie mogła już za nim podążać. Przypomniała sobie wyrażenie „na krótkiej smyczy”. Jej smycz była naprężona do ostateczności. Dusila ją.

– Sądziłam, że chcesz mi powiedzieć o przeniesieniu – wykrztusiła.

– Z planety? Nie. Nie, nie – powtórzył łagodnie, zdziwiony i życzliwy.

– Nie powinni mnie tu przysyłać.

– Dlaczego tak mówisz?

– Jestem specjalistą od lingwistyki i literatury. Na Ace został tylko jeden język, a literatura nie istnieje. Chciałam być historykiem. Jak to możliwe w świecie, który zniszczył własną historię?

– To niełatwe – przyznał Tong ze zrozumieniem. Wstał i zajrzał do akt. – Powiedz, trudno ci znieść tutejszą homofobię?

– Spotykam się z nią od dziecka.

– Ze strony unitów.

– Nie tylko.

– Ach, tak. – Przyjrzał się jej, choć siedziała ze spuszczoną głową, i przemówił, ostrożnie dobierając słowa: – Wiem, przeżyłaś wielki przewrót religijny. Dla mnie Terra jest światem, którego historię kształtowała religia. Dlatego według mnie jesteś najbardziej uprawniona spośród nas do badania pozostałości... jeśli takie istnieją... tutejszej religii. Ki Ala nie ma żadnego doświadczenia w tej dziedzinie, a Garru nie potrafi się zdobyć na bezstronność.

Zrobił pauzę. Satti nie odpowiedziała.

– Twoje doświadczenia – podjął – mogą ci utrudniać obiektywną obserwację. Całe życie spędzone w czasach teokratycznych represji, chaos i zbrodnie ostatnich lat unizmu...

Znowu zamilkł. Musiała się odezwać:

– Sądzę, że jestem zdolna obserwować inne kultury bez uprzedzeń.

– Dzięki wykształceniu i temperamentowi – tak. Ja też tak sądzą. Ale presja agresywnej teokracji, jej ogromny ciężar, który czułaś na sobie przez całe życie... To wszystko mogło pozostawić piętno w postaci nieufności, buntu. Jeśli znowu wymagam, żebyś obserwowała

coś, czego nienawidzisz, powiedz mi o tym.

Po zbyt długim milczeniu zdołała się odezwać:

– Naprawdę nie znam się na muzyce.

– Muzyka jest tu bardzo niewielkim elementem większej całości – oznajmił z uśmiechem, gołębioki, nieugięty.

– W takim razie nie widzę żadnego problemu.

Czuła się oszukana i pokonana. Złodowaciała. Bolało ją gardło.

Tong odczekał jeszcze chwilę, po czym pogodził się z jej milczeniem. Wręczył jej mikrokrystaliczne nagranie. Wzięła je odruchowo, nie myśląc.

– Przeczytaj to, wysłuchaj muzyki w tutejszej bibliotece, a potem wykasuj wszystko. Sztuka wymazywania to coś, czego musimy nauczyć się od Akan. Naprawdę! Mówię poważnie. Hainowie chcą zachować wszystko, Akanie chcą wszystko wymazać. Może istnieje coś pośredniego? Mniejsza o to, nadarza nam się pierwsza szansa, żeby wejść na teren, na którym być może nie wymazano historii aż tak skrupulatnie.

– Nie wiem, czy zrozumieję, co znalazłam, jeśli w ogóle coś znajdę. Ki Ala jest tu od dziesięciu lat. Ty sam masz doświadczenie z czterech światów... – Już powiedziała, że się zgadza, że robi, o co ją poproszono, a teraz nagle zaczęła się wykręcać. Źle. Wstyd.

– Nigdy nie przeżyłem wielkiej rewolucji społecznej. Ki Ala też. Jesteśmy dziećmi pokoju. Potrzebne nam dziecko wojny. Poza tym Ki Ala jest analfabetą. Ja także. Ty umiesz czytać.

– Martwe języki w zabronionych książkach.

Tong przyjrzał się jej przeciągle, w milczeniu, z intelektualną bezosobową, ale szczerą czułością.

– Zdaje się, że nie doceniasz własnych zdolności. Stabile wybrali cię jako jednego z czterech reprezentantów Ekumeny na planetę. Musisz przyjąć do wiadomości, że twoje doświadczenie i wiedza mają dla mnie, dla naszej pracy ogromną wagę. Proszę, rozważ to z całą powagą.

Czekał dopóty, dopóki nie odpowiedziała:

– Dobrze.

– Zanim pojedziesz w góry, jeśli się w ogóle zdecydujesz, zastanów się nad ryzykiem. A raczej nad tym, że nie wiemy, jakie niebezpieczeństwo wiąże się z tą podróżą. Akanie nie wydają się agresywni, ale trudno nam to ocenić, skoro żyjemy w takim oderwaniu od rzeczywistości. Nie rozumiem, skąd ta nagła zgoda na wyjazd. Z pewnością władze miały własne powody, ale poznamy je dopiero wtedy, gdy skorzystamy z pozwolenia. – Zamyślił się, nie spuszczając z niej oczu. – Nikt nie wspominał o towarzysztwie dla ciebie, przewodniku, psach obronnych. Możliwe, że będziesz zdana na siebie. A może nie. Nie wiemy. Nikt z nas nie wie, jak wygląda życie poza miastem. Wszystkie różnice czy podobieństwa, wszystko, co zaobserwujesz, co przeczytasz, nagrzasz, będzie dla nas ważne. Już wiem, że jesteś wrażliwym i bezstronnym obserwatorem. A jeśli na tej planecie został jakiś strzęp historii, tylko ty możesz go odnaleźć. Musisz szukać opowieści lub ludzi, którzy je znają. Więc zechciej wysłuchać tych pieśni, zastanów się, a jutro powiadom mnie o swojej decyzji. W porządku?

Ten stary terrański zwrot wypowiedział niezdarne i z wielką dumą z nowego lingwistycznego osiągnięcia. Satti uśmiechnęła się blado.

– W porządku – stwierdziła.

Wracając do domu jednotorówką, nagle wybuchnęła płaczem. Nikt tego nie zauważył. Stłoczeni w wagonie ludzie obserwowali hologram, nad przejściem między krzesłami unosiły się dzieci wykonujące ćwiczenia akrobatyczne, setki dzieci w czerwonych uniformach, skaczące i machające równocześnie nogami do taktu przeraźliwej i optymistycznej muzyki. Wchodząc po schodach do mieszkania, znowu zaczęła płakać. Nie rozumiała, o co jej chodzi. Nie miała żadnych powodów do łez. Ale na pewno był jakiś, tylko nie potrafiła go znaleźć. Pewnie była chora. Nie. To rozpaczliwe doznanie, które ją drażyło, to strach. Ohydny, paniczny strach. Przerażenie. Histeria. To szaleństwo, że chcieli ją wysłać zupełnie samą. Tong chyba zwariował, że się na to zdecydował. Przecież ona sobie nie poradzi. Usiadła przy biurku, żeby wysłać oficjalne podanie o powrót na Terrę. Nie pamiętała haińskiego. Wszystkie słowa brzmiały źle.

Rozboliła ją głowa. Trzeba było coś zjeść. We wnęce kuchennej nie znalazła nic, żadnej potrawy. Kiedy ostatnio jadła? Nie w południe i nie rano. I nie wczoraj wieczorem.

– Co się ze mną dzieje? – spytała pustego mieszkania.

Nic dziwnego, że bolał ją żołądek. Nic dziwnego, że nawiedzały ją ataki histerycznego płaczu i paniki. Jeszcze nigdy w życiu nie zapomniała o jedzeniu. Nawet wtedy, gdy było już po wszystkim, kiedy wróciła do Chile, nawet wtedy gotowała i jadła, dzień po dniu wmuszając słone od łez jedzenie w obolałe, ściśnięte gardło.

– Nie ma mowy – oznajmiła, ale nie wiedziała, co ma na myśli. Postanowiła, że nie będzie już płakać.

Zeszła na parter, pokazała przy wyjściu ZIL. Przy wejściu do najbliższego sklepu Zjednoczone Gwiazdy znowu nim machnęła. Wszystkie potrawy były w opakowaniach – przetworzone, zamrożone, wygodne w użyciu – nic świeżego, nic do gotowania. Na widok rzędów pakunków z oczu znowu trysnęły jej łzy. Wściekła i upokorzona kupiła naleśnik na gorąco przy kontuarze Szybkie Danie. Mężczyzna podający jedzenie był zbyt zajęty, żeby na nią spojrzeć.

Stała przed sklepem, odwrócona plecami do przechodniów, i wepchnęła jedzenie do ust, słone od łez, utykające w ściśniętym gardle, tak jak wtedy, wtedy... Wtedy wiedziała, że musi żyć. Na tym polegało jej zadanie. Żyć w czasach bez radości. Zostawić za sobą miłość i śmierć. Żyć dalej. Żyć samotnie i pracować. A teraz? Teraz chciała prosić, żeby odesłano ją na Ziemię? W objęcia śmierci?

Przeżuła kęs i przełknęła. Z mijających ją pojazdów buchała muzyka i slogany reklamowe. Światła na skrzyżowaniu nieopodal były zepsute, więc ryk klaksonów zagłuszał wrzask muzyki. Piesi, producenci-konsumenci Korporacji Państw, wielu w mundurach, reszta w standardowych spodniach, tunikach, marynarkach, wszyscy w płóciennych butach marki Marsz do Gwiazd, mijali ją tłumnie, wyłaniali się z podziemnych garaży, spieszyli do domów. Połknęła ostatni twardy, słodko-słony gruzel ciasta. Nie wróci. Będzie żyła dalej. Będzie żyła samotnie i pracowała.

Ruszyła do domu, machnęła ZIL-em przy drzwiach i weszła na ósme piętro. Dostała wielkie efektowne mieszkanie na najwyższym piętrze, ponieważ władze uważały, że powinny uhonorować państwowego gościa. Winda nie działała od miesiąca.

Prawie spóźniła się na statek. Robotaksówka zgubiła się w mieście, szukając rzeki. Usiłowała zawieźć ją do Akwarium, potem do Ministerstwa Zasobów i Przetwarzania Wody, wreszcie znowu do Akwarium. Musiała przejąć kontrolę i trzy razy ją przeprogramować. Kiedy wpadła galopem na wybrzeże, załoga już podnosiła trap. Zaczęła krzyczeć, trap opadł i mogła wdrapać się na pokład. Cisnęła bagaże do malutkiej kabiny i wróciła, by przyjrzeć się oddalającemu się miastu.

Z wody wydawało się brudniejsze i cichsze pod górującymi ścianami państwowych wieżowców. Poniżej potężnych betonowych brzegów znajdowały się drewniane doki i pocerniałe ze starości magazyny. Małe łodzie uwijały się tu i tam, bez wątpienia bez zezwolenia Ministerstwa Handlu, a z osiedli mieszkalnych barek, oplecionych pnączami kwitnących winorośli i sznurami łopoczącego prania, dobiegał smród ścieków.

Pomiędzy ciemnymi wysokimi ścianami wił się strumyk wpadający do większej rzeki. Jakiś rybak oparł się o balustradę łukowatego mostka – obrazek z akańskiej książki, której fragmenty uratowali z utraconej transmisji.

Z jakim szacunkiem oglądała owe ilustracje, strofy wierszy, urywki prozy, jakże nad nimi rozmyślała, jeszcze w Valparaiso, usiłując wyobrazić sobie na ich podstawie, jacy ludzie je stworzyli, i marząc, by ich poznać... Wymazanie ich z notera wymagało dużej siły woli i bez względu na to, co powiedział Tong, nadal uważała, że postąpiła niesłusznie, ugięła się przed wrogiem. Przed wymazaniem jeszcze raz przyjrzała się im, z miłością i bólem, sycąc się nimi do ostatka. „I nie ma śladów stóp w pyle, co za nami...”. Pozbywając się tego wiersza, zamknęła oczy. Miała wrażenie, że zabija całą tęsknotę i nadzieję, iż po przyjeździe na planetę zrozumie, o czym mówiły te strofy. Ale zapamiętała cztery wiersze z poematu, a nadzieja i tęsknota pozostały przy niej.

Ciche silniki promu numer osiem mruczały miękko, a nabrzeże z każdą godziną stawało się niższe, starsze, coraz rzadziej przerywane schodami i podestami. Wreszcie rozplynęło się w błocie, trzcinach i krzakach, a Ereha rozlała się szeroko, szeroko, zadziwiająco szeroko na płaszczyźnie zielonych i żółtozielonych pól.

Przez pięć dni statek sunął jednostajnie na wschód tym równomiernym rozlewiskiem pod łagodnym światłem słońca, a łagodne światło gwiazd było jedynym, co widzieli w nocy. Od czasu do czasu na horyzoncie pojawiało się nadrzeczne miasto, w którym zatrzymywali się w starych dokach pod wysokimi nowymi wieżowcami, by zaopatrzyć się w żywność i wziąć na pokład pasażerów. Satti rozmawiała z ludźmi na łodzi i przekonała się, że przychodzi jej to z zadziwiającą łatwością. W Dowza City wszyscy usiłowali odseparować ją od społeczeństwa i odebrać głos. Choć dano pozaświatowcom apartamenty i stosunkową swobodę ruchu, każdy ich dzień był szczegółowo zaplanowany, a rozrywki i praca odbywały się pod nadzorem. Przypadkowe znajomości wydawały się niemożliwe. Mieszkańcy miasta byli tak zajęci, tak zaaferowani, że Satti nie potrafiła się narzucać, zabierać im czasu głupimi pytaniami. Gwałtowny i niezwykle postęp techniczny został osiągnięty dzięki dyscyplinie, przestrzeganej skrupulatnie i z własnej woli przez samych obywateli. Wszyscy pracowali ciężko przez wiele godzin, spali krótko, jedli w pośpiechu. Każda godzina miała swoje przeznaczenie. Pracownicy Ministerstw Poezji i Informacji doskonale wiedzieli, czego chcą od Satti i jak powinna to wykonać, a kiedy zaczęła działać

zgodnie z ich wskazówkami, pospieszyli do własnych zajęć, zostawiając ją swojemu losowi. Z pewnością zalecono im nie rozmawiać z nią dłużej, niż jest to konieczne, aby Korporacja mogła kontrolować wszystkie informacje, jakie uzyskała. I choć Satti poznała wiele osób i tylko nieliczne wzbudziły jej antypatię, po sześciu miesiącach pobytu na planecie nie przeprowadziła niczego, co by zasługiwało na miano rozmowy. Nie знаła prywatnego życia Akan, wyjąwszy oficjalne przyjęcia z urzędnikami wysokiego szczebla.

Technologia i osiągnięcia światów Ekumeny były stawiane Akanom za wzór, lecz czterech jego przedstawiciele nie byli zapraszani do rozmów. Pokazywano ich na publicznych uroczystościach i w progrealach jako sylwetki za stołem bankietowym czy uśmiechnięte postacie u boku jakiegoś dyrektora. Prawdopodobnie ministrowie woleli im za bardzo nie ufać, ponieważ mogli powiedzieć coś więcej, niż im zalecono. Być może zresztą uznali ich za mało efektowną i niezbyt zachęcającą reprezentację wyższej cywilizacji, do której aspirowali mieszkańcy Aki. Przypuszczalnie cywilizacja robi lepsze wrażenie z odległości kilku lat świetlnych.

W każdym razie nie było co marzyć o bliskiej znajomości z kimkolwiek. Nawet wśród ludzi, z którymi widywała się regularnie. Satti nie wyczuwała w tej rezerwie ksenofobii czy jakiegokolwiek innego uprzedzenia. Bo Akanie nie mieli żadnych zastrzeżeń do obcych jako takich. Prawdopodobnie chodziło tylko o biurokrację. Rozmowy odbywały się zgodnie z przewidzianym programem. Na bankietach gawędzono o interesach, sporcie i technologii. W kolejkach do pralni – o sporcie i ostatnich progrealach. Wszyscy unikali tematów osobistych i powtarzali opinie rządu z tak niewolniczą wiernością, że wręcz czuli się obrażeni, kiedy nie zgadzała się z banałami, jakich ich nauczono, o wspaniałej, postępowej, przodującej we wszystkim Terze.

Ale na statku ludzie rozmawiali. Naprawdę rozmawiali. Intymnie, intensywnie, szczerze. Rozmawiali, opierając się o balustradę, siedząc na pokładzie albo stojąc przy stole z kieliszkiem wina w ręku. Wystarczyło jedno słowo albo uśmiech, żeby włączyć ją do ich grona. I zdała sobie sprawę – powoli, ponieważ było to dla niej zupełnym zaskoczeniem – że nie uważają jej za obcą. Wszyscy wiedzieli, że na Ace znajdują się obserwatorzy z Ekumeny, widywali ich w progrealach, cztery bardzo odległe sylwetki bez twarzy pomiędzy ministrami i egzekutywą, marionetki pomiędzy innymi marionetkami. Nie spodziewali się, że spotkają ich pomiędzy zwykłymi ludźmi.

Satti zakładała, że nie tylko zostanie rozpoznana, ale będzie również izolowana i wykluczana z każdego towarzystwa. Nie przydzielono jej jednak żadnego przewodnika i nigdzie nie widziała nadzorcy. Wyglądało na to, że naprawdę zostawiono ją samej sobie. W mieście także musiała sobie radzić sama, lecz zawsze w bańce samotności. Teraz bańka pękła. Otoczył ją świat. Gdyby się nad tym zastanowić, była to dość przerażająca perspektywa, ale Satti nie zamierzała się zastanawiać, ponieważ znakomicie się bawiła. Została zaakceptowana – jako podróżniczka, jedna z tłumu. Nie musiała się tłumaczyć, nie musiała unikać wyjaśnień, ponieważ nikt o nie nie prosił. Mówiła po dowzańsku z nie mocniejszym, lecz raczej słabszym akcentem niż wielu Akan spoza Dowzy, gdzie istniały inne języki narodowe. Jej typ fizyczny – niski wzrost, ciemna karnacja – przekonał ich, że pochodzi ze wschodu kontynentu. „Jesteś ze wschodu, tak? – pytali. – Moja kuzynka wyszła za chłopaka z Turu”. I znowu mówili o sobie.

Słuchała opowieści o ich kuzynach, rodzinach, zajęciach, domach, przepuklinach. Odkryła, że statkiem podróżowali pasażerowie ze zwierzętami, jak puchaty i

sympatyczny kotopies pewnej kobiety, z którym się zaprzyjaźniła. Statkiem podróżowali też ludzie, którzy nie lubili lub bali się latania, co wyjaśnił jej szczegółowo pewien rozmowny starszy dżentelmen. Statkiem podróżowali ludzie, którym się nie spieszyło i którzy lubili opowiadać i słuchać opowieści. Satti usłyszała więcej historii niż oni, ponieważ słuchała, nie przerywając, wyjąwszy okrzyki „Naprawdę?”, „Wspaniale!” albo „Straszne!”. Mogła słuchać bez końca, chłonąć łąpczywie te nudne i drobiazgowo relacje. Dotyczyły wszystkiego, tylko nie oficjalnej literatury i propagandy heroizmu. Gdyby musiała wybierać między heroizmem i przepuklinami, przepukliny wygrałyby w przedbiegach.

W miarę jak zbliżali się do źródeł, na statek zaczęli wsiadać pasażerowie innego rodzaju. Ludzie przyzwyczajeni do podróży drogą wodną z miasta do miasta, które teraz były o wiele mniejsze i nie widywało się w nich wieżowców. Siódmego dnia na pokładzie pojawili się pasażerowie nie z domowymi pieszczołami, lecz z drobiem w koszykach i kozami na sznurkach. Właściwie nie były to kozy, jelenie, krowy czy jakikolwiek ziemski gatunek. Nazywano je eberdynami, ale beczwały i miały jedwabistą sierść, więc Satti w duchu uznała je za kozy. Hodowano je dla mleka, mięsa i wełny. W dawnych czasach, co wywnioskowała z kolorowej strony utraconej w transmisji książki z obrazkami, eberdyny zaprzęgano do wozów, a nawet je ujeżdżano. Przypomniła sobie błękitne i czerwone chorągiewki na wozie i podpisał pod obrazkiem: „W drodze do Złotej Góry”. Nie wiedziała, czy to bajka, czy rzeczywiście gdzieś istniała odmiana większych eberdynów. Te, które widziała, sięgały jej do kolan. Ósmego dnia podróży na pokładzie zrobiło się od nich tłoczno. Podróźni wprost brodzili po kolana w jedwabistych falach.

Tego ranka miastowi ze swoimi zwierzątkami i ci, którzy bali się latać, wysiedli w Eltli, dużym mieście połączonym linią kolejową z wypoczynkowymi miejscowościami w okręgu Wysokich Źródeł. W okolicach Eltli na rzece były trzy śluzy, jedna bardzo głęboka, a ponad nimi zaczynała się inna rzeka – dziksza, węższa, rwąca, już nie bura, lecz zielonkawobłękitna. W Eltli skończyły się też długie rozmowy. Wieśniacy, którzy wchodzili na pokład, bardziej stronili od obcych. Nie okazywali im wrogości, ale rozmawiali głównie ze znajomymi. Ale Satti przyjęła z ulgą odzyskaną samotność. Teraz mogła spokojnie obserwować. Po lewej stronie, tam gdzie strumień skręcał na północ, pojawiały się wieże górskich szczytów, jedna po drugiej, czarna skała, biały lodowiec. Przed nimi nie było widać niczego ciekawego; tereny łagodnie się wznosiły. A prom numer osiem, pełen beczenia, kwakania i ściszonych głosów wieśniaków, cuchnący nawozem, smażonym chlebem, rybami i słodkimi melonami, sunął powoli przed siebie pomiędzy szerokimi skalistymi brzegami i bezdrzewnymi równinami porośniętymi jasną pierzastą trawką. Ciche silniki z wysiłkiem walczyły z mocnym nurtem. Gnające przez niebo wielkie chmury spuszczały na ziemię siekące strugi deszczu i odpływały, zostawiając blask słońca, krystaliczne powietrze i zapach gleby. Noc była cicha, zimna, rozgwieżdżona. Satti zasiedziała się do późna i wstała wcześniej. Wyszła na pokład. Niebo na wschodzie było nadal ciemne, ale świt zapalał wierzchołki odległych gór jeden po drugim, jak zapalki.

Prom zatrzymał się w miejscu, w którym nie było miasta ani wsi, żadnego śladu osiedli. Kobieta w tunice ze zgrzebnej wełny wysiadła na brzeg, ciągnąc za sobą beczące stadko, wrzeszcząc na nie i żegnając się głośno ze znajomymi. Satti długo obserwowała oddalającą się grupę, malejący jasny kleks na srebrnozłotej równinie. Cały dziewiąty dzień podróży

minął w transie światła. Prom poruszał się powoli. Rzeka, czysta jak wiatr, była tak cicha, że statek jakby szybował ponad jej taflą, pomiędzy dwoma niebami. Wokół nich były tylko skały i blada trawa, blade kształty. Góry zniknęły, ukryte za wniesieniem terenu. Ziemia, niebo i rzeka, płynąca od jednego do drugiego.

To długa podróż, pomyślała Satti, znowu stając wieczorem przy balustradzie. Dłuższa niż z Ziemi na Akę. Pomyślała jeszcze o Tongu Ovie, który mógłby sam się w nią udać, ale powierzył tę misję jej, i nie wiedziała, jak mu dziękować. Patrząc, opisując, nagrywając – tak. Ale nie potrafiła nagrać swojego szczęścia. Ten świat sam je niszczył.

Pao powinna tu być, pomyślała. Ze mną. Powinna tu być. Powinniśmy być szczęśliwi.

Niebo pociemniało, woda zatrzymała blask.

Na pokładzie znajdował się jeszcze ktoś. Jedyne oprócz niej pasażer, który wsiadł na prom w stolicy. Milczący mężczyzna około czterdziestki. Państwowy urzędnik w niebiesko-brązowym mundurze. Mundury były wszechobecne. Uczniowie chodzili w szkarłatnych szortach i tunikach: fale, szeregi i małe podskakujące kropki jaskrawej czerwieni na wszystkich ulicach miast, zaskakujący wesoły widok. Studenci nosili zieleni i rudy. Niebieski i brązowy były kolorami Biura Kulturalno-Społecznego, w którego skład wchodziło Centralne Ministerstwo Poezji i Sztuki oraz Światowe Ministerstwo Informacji. Satti często się spotykała z błękitem i brązem. W tych barwach nosili się poeci (to znaczy ci, którzy pracowali dla rządu), producenci taśm i progreali, bibliotekarze i urzędnicy z filii Biura, z którymi Satti miała mniejszy kontakt, jak Czystości Etycznej. Dystynkcje jej towarzysza podróży zdradzały, że pełni on dość wysoką funkcję pełnomocnika. W pierwszych dniach, spodziewając się państwowego nadzoru nad każdym jej ruchem, czekała na jakąś oznakę zainteresowania z jego strony. Nie dostrzegła żadnej. Jeśli ją znał, nie okazał tego. Stronił od wszystkich, posiłki jadał przy kapitańskim stole, zajmował się tylko własnym noterem i unikał grup, do których dołączała Satti. Teraz stanął przy balustradzie kilka kroków od niej. Skinęła mu głową i dalej milczała w przekonaniu, że takie zachowanie jest jak najbardziej na miejscu. Ale mężczyzna zagadnął ją, przerywając ciszę mroczniejszego krajobrazu, gdzie jedynie woda mruczała wytrwale pod dziobem promu.

– Straszny kraj – powiedział.

Dźwięk jego głosu obudził małego eberdyna, przywiązanego do pobliskiego słupa. Zwierzę zabeczało cicho ma-ma! i potrząsnęło głową.

– Jałowy – dodał pełnomocnik – zacofany. Szuka pani oczu kochanków?

– Proszę?

– Oczu kochanków. Klejnotów, drogich kamieni.

– Dlaczego tak się nazywają?

– Prymitywna wyobraźnia. Rzekome podobieństwo.

Ich oczy spotkały się przelotnie. Do tej pory sądziła, że jest nieco sztywny, nudny, może trochę egocentryczny. Nie spodziewała się tak lodowato przenikliwego spojrzenia.

– Znajdują się na brzegach rzeki, na wyżynie. Tylko tam. – Wskazał punkt w górze nurtu. – W jedynym miejscu na planecie. A zatem przywiodło panią coś innego.

Musiał ją znać i sądząc po jego zachowaniu, chciał jej dać do zrozumienia, że nie pochwała jej samotnych wędrówek.

– Przez ten krótki czas, jaki spędziłam na Ace, widziałam tylko Dowza City. Dostałam zezwolenie na małą wyprawę.

– W górę rzeki – dodał z martwym pseudouśmiechem.

Czekał na dalsze wyjaśnienia. Czuła to oczekiwanie, tę presję, jakby uważał ją za swoją podwładną. Stawiła mu czoło. Spojrzał na fioletowe równiny powoli mroczniejące do czerni, potem na wodę, ciągle jakby rozświetloną od środka.

– Dowza to piękny kraj. Żyzne ziemie, prosperujące fabryki, znakomite miejscowości wypoczynkowe. Skoro pani tego nie widziała, po co jechać na pustynię?

– Urodziłam się na pustyni – odparła.

To mu na chwilę zamknęło usta.

– Wszyscy wiemy, że Terra jest żyznym, postępowym światem. – Jego głos był pełen dezaprobaty.

– Pewne rejony mego świata są żyzne. Ale zdarzają się i jałowe. Źle je wykorzystywaliśmy. To cały świat, jest w nim miejsce na różnorodność. Tak jak tutaj.

– Ale woli pani jałowe ziemie i prymitywne środki podróży?

Nie był to już przesadny, frustrujący szacunek, jaki okazywali jej mieszkańcy Dowza City, roztaczając nad nią parasol ochronny, jakby była małym blaszanym bożkiem, który nie może poznać rzeczywistości. W głosie tego człowieka słyszała podejrzliwość. Dawał jej do zrozumienia, że obcy nie powinni samotnie włóczyć się po jego kraju. Pierwszy przypadek ksenofobii na Ace.

– Lubię statki – powiedziała pogodnie – i podoba mi się ta okolica. Surowa, lecz piękna. Nie sądzi pan?

– Nie – warknął.

Znała ten ton, głos państwowego urzędnika.

– A co pana sprowadza w górę rzeki? Poszukiwania oczu kochanków? – rzuciła lekko, nawet żartobliwie, dając mu możliwość zmiany tonu.

Nie skorzystał z niej.

– Interesy.

Wizdiat, najwyższe akańskie usprawiedliwienie, cel niepodlegający dyskusji i zrozumiały dla wszystkich.

– W tych okolicach znajdują się enklawy zacofania i reakcji. Mam nadzieję, że nie ma pani zamiaru wybierać się poza miasto. Tam edukacja jeszcze nie dotarła, a tubylcy są agresywni i niebezpieczni. Ponieważ obszar ten podlega mojej jurysdykcji, jestem zmuszony prosić panią o pozostawanie w kontakcie z moim biurem, zgłaszanie wszelkich nielegalnych praktyk i uprzedzanie o ewentualnych wycieczkach.

– Doceniam pańską troskę i z całą pewnością uczynię zadość pańskiej prośbie – wyrecytowała; dosłowny cytat z *Rozmówek dowzańskich dla zaawansowanych* oraz *Zwrotów dla barbarzyńców*.

Pełnomocnik skinął głową, nie spuszczać oczu z powoli przesuwanego się za burtą mroczniejącego nabrzeża. Kiedy znowu odwróciła głowę, już go nie było.

Cudowna podróż promem sunącym stromo w górę rzeką na pustyni zakończyła się dziesiątego dnia w Okzat-Ozkat. Na mapie miasto wyglądało jak kropeczka pomiędzy płataniną izobar okręgu Wysokich Źródeł. Późnym wieczorem został z niego tylko zamazany biały kształt w krystalicznie zimnych ciemnościach, wysoko położone mroczne okna domów, zapach kurzu, nawozu, zgniłych owoców i słodkiego suchego górskiego powietrza, zgiełk głosów, stukot obcasów na kamieniu. Ruch kołowy prawie nie istniał. Z jakiegoś bardzo wysokiego muru biła łuna słabego pomarańczowego światła, ledwie widocznego ponad ozdobnymi dachami na tle ostatniej zielonkawej poświaty zachodniego nieba. Na nabrzeże dolatywał jazgot obwieszczeń państwowych i muzyki. Satti drgnęła; w ciągu dziesięciu dni cichych głosów i szemrania rzeki zdążyła się odzwyczaić od hałasu. Nie czekał na nią żaden przewodnik. Nikt jej nie śledził. Nikt nie żądał od niej okazania ZIL-a.

Nadal zatopiona w odrętwieniu podróży, potem zaciekawiona, niespokojna, czujna, wędrowała nabrzeżnymi ulicami, aż wreszcie torba zaczęła ją przyginać do ziemi, a wiatr stał się ostry jak nóż. Zatrzymała się przy drzwiach jakiegoś domu w ciemnej, stromo biegnącej w górę uliczce. Były otwarte. Kobieta, która w nich siedziała, zdawała się rozkoszować wieczornym wonnym wietrzykiem.

– Przepraszam. Gdzie znajdę jakiś zajazd?

– Tutaj. – Kobieta była kaleką. Miała nogi wyschnięte jak patyki. – Ki! – zawołała.

Pojawił się mniej więcej piętnastoletni chłopiec i bez słowa zaprosił Satti do domu. Wskazał jej wysoki, obszerny, mroczny pokój wyściełany dywanem. Dywan za to był olśniewający: karmazynowa wełna eberdynów z surowym, skomplikowanym koncentrycznym wzorem w czerni i bieli. Jedynym przedmiotem w pokoju była struktura świetlna – dziwna kanciasta żarówka pomiędzy dwoma wysoko osadzonymi, niedużymi, ale długimi oknami. Jej przewód nikał w jednym z nich.

– A łóżko?

Chłopiec wskazał nieśmiało zasłone w mrocznym kącie.

– Łazienka?

Skinał głową w stronę drzwi. Otworzyła je. Trzy wykładane kafelkami stopnie schodziły do małego pomieszczenia z dziwnymi, choć sugerującymi swoje przeznaczenie urządzeniami z drewna, metalu i ceramiki, połyskującymi w ciepłym blasku elektrycznego grzejnika.

– Bardzo ładnie – powiedziała. – Ile płacę?

– Jedenaście haha – mruknął chłopak.

– Za noc?

– Za tydzień.

Akański tydzień liczył dziesięć dni.

– Ach, świetnie. Dziękuję.

Źle. Nie powinna mu dziękować. Słowa podziękowania były „służalczym nawykiem”. Pozbawione znaczenia rytualne formułki powitania, pożegnania, prośby i obłudnej wdzięczności, relikty prymitywnej hipokryzji, kłody na drodze do szczerości pomiędzy

producentami-konsumentami. Nauczyła się tego w pierwszych dniach po przyjeździe i zdołała się odzwyczaić od tych złych nawyków nabytych na Ziemi. Dlaczego więc nagle popełniła taki nietakt? Skąd jej się wzięło to nieokrzesane „dziękuję”?

Chłopiec wymamrotał tylko coś pod nosem. Musiała poprosić, żeby powtórzył; było to zaproszenie na kolację. Zgodziła się i już nie dziękowała. Pół godziny później wniósł do jej pokoju niski stolik przykryty serwetą we wzory i zastawiony talerzami z ciemnoczerwonej ceramiki. Satti znalazła za zasłoną poduszki i mięsisty śpiwór. Powiesiła ubranie na kołkach, również ukrytych za kotarą. Książki i notesy położyła na lśniącej podłodze pod żarówką, usiadła na dywanie i pogrążyła się w bezruchu. Podobała się jej atmosfera tego pokoju – przestrzeń, wysokość, cisza.

Gdy chłopiec przyniósł jej pieczony drób i warzywa, białe ziarno o smaku kukurydzy i letnią aromatyczną herbatę, zabrała się do jedzenia. Chłopak kilka razy spojrzął na nią w milczeniu, sprawdzając, czy jej czegoś nie potrzeba.

– Przepraszam, jak się nazywa to ziarno? – Nie, źle. Nie przepraszaj. – Ale najpierw powiedz, jak się nazywasz.

– Akidan – szepnął. – To tuzi.

– Bardzo smaczne. Nigdy wcześniej tego nie jadłam. Sami je uprawiacie?

Skinął głową. Miał wyrazistą twarz pełną słodyczy, jeszcze dziecienną, choć kryła się w niej wyraźna zapowiedź męskich rysów.

– Dobre na drewno.

Skinęła głową, udając zrozumienie.

– I pyszne.

– Dziękuję, *joz*.

Joz – termin uznany przez państwo za służalczy nawyk i zakazany co najmniej od pięćdziesięciu lat. Oznaczał mniej więcej znajomego. Satti jeszcze nigdy nie słyszała tego słowa z niczyich ust, wyjąwszy nagrania, z których nauczyła się języka. A czy „dobre na drewno” to także jakiś reakcyjny przeżytek? Postanowiła się dowiedzieć. Może jutro. Dziś zamierzała się już tylko wykapać, rozwinąć poślanie i zasnąć w mroku i błogosławionej ciszy tego wyżynnego kraju.

Ciche pukanie – prawdopodobnie Akidana – zwabiło ją do drzwi, za którymi znalazła czekającą już tacę ze śniadaniem. Składał się na nie duży kawał wydryłowanego owocu, kawałki czegoś żółtego i aromatycznego w miseczce, kruche szarawe ciasto i czarka letniej herbaty, tym razem odrobinę bardziej gorzkiej – smak, który początkowo wydawał się odstręczający, lecz potem przypadł jej do gustu. Owoc i chleb były świeże i delikatne. Żółte kwaśne kawałki zostawiła nietknięte. Kiedy chłopiec przyszedł po tacę, spytała go o nazwę każdego dania, ponieważ potrawy były tu zupełnie inne od tych, jakie jadła w stolicy, a podano je z wielką starannością. Kwaśne kawałki to abid, wyjaśnił Akidan.

– Na poranek – dodał. – Do słodkiego owocu.

– Więc powinnam to zjeść?

Uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Pomaga zrównoważyć.

– Ach, tak. Więc zjem.

Włożyła do ust kwaśną potrawę. Akidan przyjął to z wyraźnym zadowoleniem.

– Pochodzę z dalekiego kraju – dodała.

– Z Dowza City.

– Jeszcze dalszego. Z innego świata. Z Terry.

– Ach.

– Dlatego nie znam waszych zwyczajów. Chciałabym cię spytać o wiele rzeczy. Zgadzasz się?

Wzruszył lekko ramionami, bardzo dojrzały gest. Mimo nieśmiałości był niezwykle opanowany. Cokolwiek mogło to dla niego znaczyć, bez zdziwienia przyjął fakt, iż obserwator z Ekumeny, przybysz z innego świata, który ukazywał mu się tylko jako elektroniczny obraz ze stolicy, zamieszkał w jego domu. Ani śladu ksenofobii, którą zaprezentował mężczyzna z promu.

Ciotka Akidana, która wyglądała, jakby ciągle drażył ją słaby ból, odzywała się rzadko i bez uśmiechu, lecz także odnosiła się do niej spokojnie i tolerancyjnie. Satti postanowiła zostać w jej domu przez dwa tygodnie, może dłużej. Poprzednio zastanawiała się, czy jest jej jedynym gościem. Teraz, kiedy się już rozejrzała po budynku, znalazła w nim tylko jeden gościnny pokój.

W mieście w każdym hotelu i pensjonacie, w każdej restauracji, sklepie, biurze czy urzędzie, przy każdym wejściu i wyjściu musiała pokazywać swój osobisty chip identyfikacyjny, potwierdzenie jej istnienia jako producenta-konsumenta w banku danych Korporacji. ZIL wydano jej po wielu formalnościach w porcie kosmicznym. Ostrzeżono też, że bez niego straci tożsamość. Nie będzie mogła wynająć pokoju, robotaksówki, zrobić zakupów, iść do restauracji czy choćby wejść do jakiegokolwiek publicznego budynku, nie wywołując alarmu. Akanie na ogół nosili swoje ZIL-e wszczepione w lewy nadgarstek. Satti wolała ciasną bransoletkę. Teraz, rozmawiając z ciotką Akidana w jej małym biurze, rozejrzała się za skanerem i podniosła lewą rękę gotowa do wykonania uniwersalnego gestu. Ale kobieta obróciła się wraz z krzesłem ku masywnemu biurku z dziesiątkami szufladek, zajrzała do kilku, znalazła właściwą i wyjęła z niej zakurzoną książeczkę z formularzami. Wydarła jeden, odwróciła się do Satti i wręczyła jej do wypełnienia. Papier był tak stary, że kruszył się pod dotknięciem, ale w rubrykach nie było miejsca na kod ZIL.

– Powiedz mi, proszę, jak się mam do ciebie zwracać, *joz* – powiedziała Satti. Kolejna formułka prosto z rozmówek.

– Nazywam się Iziezi. Powiedz mi, proszę, jak się mam do ciebie zwracać, *joz* i *dejberenduin*.

„Mile widziana pod moim dachem”. Sympatyczne słowo.

– Nazywam się Satti, *joz* i miła gospodyni.

Wymyśliła ten zwrot na poczekaniu, ale okazał się właściwy. Szczupła ściągnięta twarz Iziezi nieco się wygładziła. Kiedy Satti oddała formularz, kobieta uniosła złożone ręce na wysokość mostka i skłoniła głowę – nieznacznie, lecz uroczyście. Zakazany gest. Satti powtórzyła go za nią.

Wychodząc, zauważyła, że Iziezi odkłada książeczkę z formularzami oraz wypełniony przed chwilą dokument do szuflady – innej niż ta, z której je wzięła. Zanosilo się na to, że Korporacja przynajmniej na kilka godzin straci rozeznanie co do miejsca pobytu osobnika EX/HH 440 T 386733849 H 4/4939. Uciekłam z sieci, pomyślała Satti i wyszła na słońce.

We wnętrzu domu panował mrok. Okna były osadzone tak wysoko, że nie ukazywały niczego poza przejmująco błękitnym niebem. Po wyjściu na dwór więc można było dostać zawrotu głowy. Białe ściany domów, lśniące dachówki, strome uliczki z ciemnej kamiennej kostki, na której słońce krzesło oślepiające błyski. A na wschodzie, ponad dachami – co dostrzegła, kiedy wzrok przywykł jej do blasku – niebo zasłaniała zmięta jaśniejąca kotara. Wyteżyła wzrok, zamrugła. Czy to chmura? Erupcja wulkanu? Zorza w biały dzień?

– Matka – odezwał się niski bezzębny mężczyzna koloru ziemi.

Siedział na trzykołowym wózku i uśmiechał się do niej z dołu.

Spojrzała na niego tępo.

– Matka Erehy – dodał, wskazując na jaśniejącą ścianę. – Silong. He?

Góra Silong. Widziała ją na mapie. Najwyższy punkt okręgu Wysokich Źródeł i Wielkiego Kontynentu Aki. Podczas podróży rzeką góra kryła się za wyżyną. Teraz widać było jej górną część, fałdzisty promieniujący blask, falujący, intensywny, nieuchwytny, ostry szczyt na wpeł rozplywający się w złotym świetle. Wiały od niego lodowate podmuchy wiecznego wiatru.

Stała tak w towarzystwie człowieka na wózku, a inni zatrzymywali się, żeby pomóc im patrzeć. Takie miała wrażenie. Wszyscy wiedzieli, jak wygląda Silong, i dlatego mogli jej pomóc ją dostrzec. Powtarzali jej imię i nazywali ją Matką, wskazując migotanie rzeki w dole ulicy. Jeden z nich się odezwał: – Mogłabyś pójść do Silong, *joz*?

Byli drobni, szczupli, o pełnych policzkach i wąskich oczach górników, zepsutych zębach, delikatnych smukłych dłoniach, stopach okaleczonych zimnem i pokrytych ranami. Byli tak samo smagli jak ona.

– Miałabym tam iść?

Uśmiechali się, więc mimo woli odpowiedziała tym samym.

– Dlaczego?

– Na Silong żyje się wiecznie – powiedziała powykręcana kobieta z plecakiem pełnym pumeksu.

– Groty – dodał mężczyzna o żółtawej twarzy poznaczonej bliznami. – Groty pełne życia.

– I seks! – zawołał człowiek na wózku i wszyscy się roześmiali. – Seks przez trzysta lat!

– Ale to za wysoko. Jak można się tam dostać?

Wszyscy roześmiali się po raz drugi.

– Powietrzem!

– Czy można tam wylądować samolotem?

Ochryple śmiechy, kręcenie głową.

– Nigdzie – powiedziała kobieta.

– Nie samolotem – dodał żółty mężczyzna, a człowiek na wózku dorzucił: – Po seksie, który trwa trzysta lat, każdy potrafi latać!

A potem ich śmiech nagle się urwał, a oni zniknęli jak cienie, tylko człowiek na wózku włókł się z wysiłkiem ulicą, a Satti została sam na sam z pełnomocnikiem.

Wydawał się wielki jak wieża. Nie był wysoki, ale tutaj górował nad wszystkimi. Jego skóra, ciało były inne, twarde i gładkie jak plastik, a niebiesko-brązowa tunika i obcisłe spodnie, nieskazitelnie czyste i wyprasowane, rzucały się w oczy jak każdy mundur. Nie pasował do tego miasta tak samo jak ona. On też był obcy.

– Zebranie jest nielegalne – powiedział.

– Nie żebrałam.

Po krótkiej chwili milczenia dodał:

– Nieporozumienie. Nie wolno zachęcać żebraków. To pasożyty na ciele społeczeństwa.

Dawanie datków jest nielegalne.

– Nikt tu nie zebrał.

Skinął głową – doskonale, ostrzeżenie udzielone – i odwrócił się do niej plecami.

– Bardzo dziękuję za tyle serdeczności i pomocy – rzuciła za nim we własnym języku.

Och, źle, źle. Nie powinna sobie pozwalać na złośliwości w żadnym języku, nawet jeśli pełnomocnik nie zwrócił na to uwagi. Nie ucierpiał, ale to jej nie usprawiedliwiało. Skoro ma uzyskać tu informacje, musi pozostawać w dobrych stosunkach z lokalnymi urzędnikami; jeśli ma się czegoś nauczyć, nie wolno jej oceniać. Stare powiedzenie: „Opinia kończy obserwację”. Może ci ludzie naprawdę byli żebrakami i właśnie ją urabiali? Skąd mogła to wiedzieć? Nie знаła tego miejsca, jego mieszkańców. Nie znała tu niczego.

Ruszyła w drogę z pokornym postanowieniem, że nie będzie wyrażać o niczym sądów.

Nowoczesne budynki – więzienie, prefektura, urzędy rolne, kulturalne i kopalniane, studium nauczycielskie, liceum – wyglądały jak ich odpowiedniki w innych miastach: brzydkie i zwaliste. Miały najwyżej trzy piętra, ale górowały nad wszystkim tak samo jak pełnomocnik. Inne budynki były małe, subtelne, brudne, kruche. Niskie ściany, malowane na pomarańczowo lub czerwono, okna wysoko pod okapami, czerwone lub oliwkowe dachówki z wymyślnymi zakrętami wzdłuż krawędzi i fantastycznymi ceramicznymi zwierzętami, trzymającymi rogi dachów w zębatych paszczach. Sklepiki ze ścianami całkowicie pokrytymi na zewnątrz i wewnątrz starymi ideogramami, zamalowanymi białą farbą, ale przezierającymi przez nią bezczelnie. Strome brukowane ulice i schodki wykładane kafelkami, prowadzące do zamkniętych drzwi, czerwonych i niebieskich, lecz zamalowanych na białe. Warsztaty, w których mężczyźni skręcali powrozy lub cięli kamień. Wąskie skrawki gruntu pomiędzy domami, na których stare kobiety kopały, gracowały, wyrywały chwasty i zmieniały nurty miniaturowego systemu irygacyjnego. Kilka samochodów na przystani i pod dużymi białymi budynkami, ale ulicami chodziło się pieszo lub jeździło na wózkach. I, ku uciesze Satti, karawana przybywająca ze wsi: duży eberdyn zaprzęgnięty do dwukołowego wózka z baldachimem obszytym zielonymi frędzlami, a także dwa jeszcze większe eberdyny, dorównujące wzrostem dużym kucom, z dzwonekami przywiązаныmi na wełnianych sznurkach wokół szyi; na każdym z nich jechała kobieta w długim czerwonym płaszczu, nieruchoma w wysokim rogatym siodle. Karawana minęła prefekturę – malutki, kolorowy, hałaśliwy strzęp przeszłości pod nieruchomym spojrzeniem terażniejszości. Z dachu prefektury rozbrzmiewała jazgotliwa muzyka motywacyjna na przemian z hasłami. Satti szła za karawaną przez kilka ulic, aż pochód zatrzymał się u stóp długich schodów. Przechodnie także się zatrzymali, tak samo przyjaźni, jakby naprawdę pomagali jej patrzeć, choć nie odezwali się do niej ani słowem. Wysokie niebiesko-czerwone drzwi otworzyły się, wyszli z nich ludzie i powitali przyjezdnych. Czy to hotel?

Satti weszła do sklepu, który poprzednio minęła w wyżej położonej dzielnicy miasta. Jeśli dobrze rozumiała napis wokół drzwi, można było w nim dostać nalewki, maści, zapachy i użyźniacze. Być może, kupując krem do rąk, zyska dość czasu, by przeczytać choć część inskrypcji pokrywających każdą ścianę od podłogi do sufitu – stary zakazany

język. Na fasadzie sklepu napisy zachlapano białą farbą, na której umieszczono słowa w nowoczesnym alfabecie, ale słowa te spłwiałały na tyle, że leżące pod nimi wyrazy dawały się odczytać. W ten sposób zdołała odcyfrować „zapachy i użyźniacze”. Prawdopodobnie perfumy i... I co? Czym są użyźniacze? Może lekami na płodność? Weszła do środka.

Od progu otoczyły ją zapachy – silne, słodkie, ostre i dziwne. Mroczne, wonne powietrze. Doznała dziwnego wrażenia, że pokrywające ściany czarne i ciemnoniebieskie pikto-ideogramy poruszają się, nie skokami, jak na wpół widoczny druk, lecz równomiernie, regularnie, powiększając się i łagodnie zmniejszając, jakby oddychały. Pomieszczenie było wysokie, z wysoko osadzonymi oknami. Pod ścianami stały rzędy regałów z dziesiątkami szufladek. Kiedy jej oczy przyzwyczaiły się do półmroku, dostrzegła po lewej stronie starego mężczyznę za ladą. Za jego głową na ścianie widniały dwa symbole. Odczytała je automatycznie, przypominając sobie stopniowo niektóre z ich różnorodnych znaczeń: dostojny – szczyt – filcowy kapelusz – spojrzenie w dół – wyskoczyć. I drugi: dwa – podwójność – boki – lędźwie – dzielić.

– *Joz i dejberenduin*, w czym mogę być pomocny?

Spytała, czy dostanie maść lub płyn do suchej skóry. Sklepikarz skinął przyjaźnie głową i zaczął szukać w tysiącu szufladek z tą samą spokojną pewnością, z jaką Iziezi przeglądała biurko. Dzięki temu Satti zyskała czas, by odczytać napisy ze ścian. Ale drażniące złudzenie ruchu liter trwało, przez co ich znaczenie jakoś jej umykało. Nie robiły wrażenia reklam, za które je początkowo wzięła. Były raczej przepisami, zaklęciami lub cytatami. Sporo o gałęziach i korzeniach. Symbol oznaczający krew, ale występujący z innym określnikiem pierwiastka, więc mógł oznaczać limfę lub sok. Formuły w rodzaju „pięć z trzech, trzy z pięciu”. Alchemia? Medycyna? Recepty? Zaklęcia? Wiedziała tylko, że to stare słowa, stare znaczenia, że po raz pierwszy odczytuje prawdziwą przeszłość Aki. I nie rozumiała jej sensu.

Sądząc z miny sklepikarza, znalazł wreszcie odpowiednią szufladę. Zerknął do niej z satysfakcją i wyjął słoje z surowej gliny. Potem podjął delikatne poszukiwania w nieoznakowanych szufladkach, dopóki nie znalazł następnej, której zawartość mu się spodobała. Otworzył ją i także spoglądał w nią przez chwilę. Dopiero potem wyjął z niej pudełko ze złotego kartonu. Z owym pudełkiem zniknął w pokoju na zapleczu. Wreszcie wyłonił się razem z nim, małym dzbankiem z lśniąca polewą oraz łyżką. Ułożył to wszystko rządkiem na ladzie. Wygarnął łyżką nieco zawartości słoja z surowej gliny i przełożył ją do polewanego dzbanka. Wytarł łyżkę czerwoną ściereczką, którą wyjął spod kontuaru, wsypał do dzbanka dwie łyżki miążkiego, podobnego do talku pyłu ze złotego pudełka i wymieszał składniki z tą samą niespieszną cierpliwością.

– Od tego kora robi się bardzo gładka – odezwał się cicho.

– Kora – powtórzyła Satti.

Uśmiechnął się i odłożywszy łyżkę, potarł wierzchem jednej dłoni o drugą.

– Ciało jest jak drzewo?

– Ach – powiedział tylko jak Akidan. Dźwięk oznaczający potwierdzenie, lecz nie całkowite. Tak, lecz niezupełnie. Albo: tak, ale nie używamy tego słowa. Albo: tak, ale nie musimy o tym mówić. „Tak” z marginesem.

– „W zejściu z nieba ciemnej chmury... rozwidlony... podwójnie rozwidlony?” – przeczytała Satti spłwiała, lecz wyrafinowane ideogramy wysoko na ścianie.

Sklepikarz głośno stuknął jedną ręką o ladę, a drugą zasłonił usta. Podskoczyła.

Spojrzeni na siebie szeroko otwartymi oczami. Staruszek opuścił rękę. Mimo gwałtownej reakcji nie wydawał się poruszony. Być może nawet się uśmiechał.

– Nie wolno głośno, *joz* – szepnął.

Satti patrzyła na niego jeszcze przez jakiś czas. Potem zamknęła usta.

– Stare dekoracje – dodał sklepikarz. – Staroświecka tapeta. Kropki i linie, całkiem bez znaczenia. Oni zostawiają te stare dekoracje, nie zamalowują ścian na biało. Biało i cicho. Cisza to śnieg. A zatem, *joz* i szanowna klientko, ta maść pozwala skórze lekko oddychać. Spróbujesz?

Nabrała na palec jasnego kremu i rozprowadziła go na dłoni.

– O, jak miło. I jaki ładny zapach. Jak się nazywa?

– Ten zapach daje zioło o nazwie immimi. Maść jest moją tajemnicą, a ceny nie ma.

Kiedy to mówił, wzięła dzbanek i przyjrzała się mu z upodobaniem. Z pewnością był stary – emalia na grubym szkłe, wytworne dopasowane wieczko – mały klejnocik.

– Och, nie, nie, nie – zaprotestowała, ale staruszek splótł ręce jak Iziezi i skłonił głowę z taką godnością, że nie mogła dalej protestować.

Powtórzyła jego gest. Uśmiechnęła się i spytała:

– Dlaczego?

– ...podwójnie rozwidlone drzewo błyskawicy wyrasta z ziemi – odpowiedział niemal niedosłyszalnie.

Dopiero po chwili podniosła wzrok na inskrypcję i przekonała się, że kończy się ona tymi właśnie słowami. Ich oczy znowu się spotkały. Potem starzec rozpląnął się w mroku zaplecza, a ona wyszła na ulicę, mrugając w oślepiającym blasku i przyciskając do piersi dar.

Szła stromymi, zawilumy uliczkami w stronę gospody zatopiona w myślach. Można było uznać, że mobil, potem pełnomocnik i teraz użyźniacz skaptowali ją szybko i bez kłopotu, wciągnęli w swoje działania i nie wyjaśnili, do czego one prowadzą. Znajdź ludzi, którzy znają opowieści, i złóż mi raport – powiedział Tong. Unikaj reakcyjnych dysydentów i złóż mi raport – rzekł pełnomocnik. A co do użyźniacza... czy dał jej łapówkę za milczenie, czy też nagroził za to, co powiedziała? Miała wrażenie, że to drugie. Ale była pewna tylko jednego: że nie ma dość wiedzy, by dalej tak postępować, nie narażając na niebezpieczeństwo siebie lub innych.

Rząd tego świata wykreślił całą swoją przeszłość, by uzyskać moc techniki i wolność intelektu. Nie mogła lekceważyć wrogości akańskiej Korporacji Państw Świata wobec „starych dekoracji” i ich znaczenia. Dla rządu, który twierdził, że jest wolny od tradycji, obyczajów i historii, wszystkie stare nawyki, wyobrażenia i zachowania musiały być ogniskami zarazy, gnijącymi trupami, które trzeba pochować lub spalić. Pismo, które je zachowywało, powinno zostać wymazane. Jeśli nagrania edukacyjne i historyczne dramaty, które studiowała w stolicy, miały jakieś znaczenie faktograficzne, a tak się jej zdawało, przez ostatnich kilkadziesiąt lat mężczyźni i kobiety ginęli pod ścianami świątyń, płonęli żywcem wraz z księgami, które usiłowali uratować, umierali w więzieniach za reakcyjną ideologię i szerzenie wstecznych nauk. Nagrania i sztuki gloryfikowały wojnę, przeciwstawiając ją gnuśnej przeszłości. Bombardowania, pożary, wyburzania przedstawiały jako heroiczne czyny. Dzielni młodzieńcy i dziewczęta wyrwali się spod kurateli głupich rodziców, kłamliwych duchownych, ograniczonych nauczycieli, reakcyjnych podżegaczy i bez wahania palili siedliska zarazy, a na ich

miejscu sadzili żyzne sady – denuncjowali złego profesora, który chował pod łóżkiem słownik ideogramów, wysadzali w powietrze ohydne ule, w których warzył się jad ignorancji, rozorywali traktorami nikczemne przesądne rytuały, a potem, ręka w rękę, wiedli swych braci producentów-konsumentów w Marszu ku Gwiazdom. Pod warstwą tych bredni i retoryki leżało prawdziwe cierpienie, prawdziwe uczucie. Po obu stronach. Satti była tego świadoma. Tong Ov dobrze ją nazwał, naprawdę była dzieckiem wojny. Ale z największym trudem przychodziło jej przypominanie sobie – z ironiczną goryczą – że ten świat był odwrotnością wszystkiego, co znała. Jak negatyw. Tutaj wierzący nie prześladowali, lecz byli prześladowani. Po obu stronach wiara była prawdziwa. Terroryści rozumu, terroryści wiary – co za różnica.

Jedyne, co wydało się jej zaskakujące w nieustannej propagandzie Ministerstw Informacji i Poezji, to fakt, że bohaterzy wzorcowych opowieści występowali zwykle parami – brat i siostra, narzeczeni lub małżeństwo. W dwóch ostatnich przypadkach chodziło oczywiście o parę heteroseksualną. Rząd Aki miał obsesję na punkcie „dewiacji”. Tong uprzedził ją o tym tuż po jej przyjeździe: „Musimy iść na kompromis. Niemożliwa jest wszelka dyskusja. Jakiegokolwiek doniesienia o seksualnych kontaktach z osobą tej samej płci są uważane za kardynalne przewinienie. To smutne. I takie męczące. Biedni ludzie!” – wzdychał nad cierpieniami bigotów i purytanów, cierpieniami i okrucieństwami.

Nie musiał jej udzielać tego ostrzeżenia. Prawie nie miała kontaktu z poszczególnymi osobnikami, ale, oczywiście, zwiększyła czujność. Było to jej pierwsze bolesne rozczarowanie. Stary język akański, którego nauczyła się na Ziemi, sugerował, iż społeczeństwo tej planety ma tolerancyjny stosunek do seksu i bardzo słabą hierarchię płci. Społeczeństwo jej rodzimego zakątka było nadal skrępowane kastowością płci i pozycji społecznej, później zwyrodniałej i uwydatnionej przez mizoginię i nietolerancję unitów. Żadne miejsce na Ziemi, nawet Enklawy, nie było całkowicie wolne od tego cienia. Postanowiła się specjalizować w języku akańskim między innymi dlatego, iż przeczytała wraz z Pao, że jego specyfika wskazuje na istnienie społeczeństwa, w którym heteroseksualizm nie jest ani obowiązkowy, ani nawet faworyzowany. Niegdyś pewnie tak było, ale w czasie jej podróży sytuacja się zmieniła. Na miejscu okazało się, że znowu czeka ją życie w zakłamaniu, ograniczanie się, powściąganie. I prawdopodobnie niebezpieczeństwo. Mekka lesbijek, pomyślała z nagłą goryczą.

Dlaczego więc wszyscy tak gorliwie starali się ją pozyskać? Nie była niczyją chlubą.

Przyczyny decyzji Tonga były wyjątkowo proste: rzucił się na pierwszą szansę wyprawy bez nadzoru, a wysłał właśnie ją, ponieważ znała stare pismo i język. Ale co miała zrobić, kiedy już natrafiła na zabytki literatury? Były nielegalne. Działalność antypaństwowa. Tong przyznał, że miała rację, wymazując z notera fragmenty starych ksiąg. A teraz chciał, żeby nagrała podobny materiał?

Co do pełnomocnika, z pewnością popisywał się władzą. Urzędnik w średnim wieku musi być zachwycony, jeśli spotka na swojej drodze prawdziwą obcą, prawdziwą obserwatorkę z Ekumeny, i w dodatku może jej wydawać rozkazy: nie rozmawiaj z pasożytami, nie opuszczaj miasta bez zezwolenia, stawaj do raportu przed wielkim panem urzędnikiem...

A użyźniacz? Nie mogła się pozbyć wrażenia, że znał jej tożsamość, a jego prezent znaczył coś więcej niż gest uprzejmości wobec obcokrajowca. Tak, nie miała wątpliwości.

Zważywszy na jej ignorancję, mogłaby narobić poważnych szkód, gdyby pozwoliła któremuś roztoczyć nad sobą kontrolę. Musiała postępować powoli, rozważnie, czekać,

obserwować, uczyć się.

Tong dał jej hasło, którego miała użyć, gdyby znalazła się w niebezpieczeństwie: „przekazuję”. Ale tak naprawdę nie spodziewał się kłopotów. Akanie uwielbiali goście z innych planet, mleczne krowy, źródło zaawansowanej technologii. Nie musiała umierać ze strachu. Okzat-Ozkat to biedne prowincjonalne miasto, ledwie nadążające za ostrym tempem akańskiego postępu, na tyle zapóźnione, że zachowało jeszcze relikty dawnego życia. Być może Korporacja dopuściła tu pozaświatowca, ponieważ ten rejon był tak oddalony od centrum zdarzeń. Nieszkodliwe malownicze zadupie. Tong wysłał ją na poszukiwania śladów tego, co Ekumena ceniła najbardziej: osobistego charakteru ludu, ich życia, historii. Korporacja Państw starała się o tym zapomnieć, ukryć to, zakopać jak najgłębiej. Gdyby Satti wróciła z pustymi rękami, rząd byłby bardzo zadowolony. Ale dni pożarów i morderstw już przeminęły. Prawda? Pełnomocnik puszył się i robił wiele hałasu wokół siebie, lecz chyba nie miał większej władzy. Na pewno nie w odniesieniu do niej. Być może sprawa wyglądała inaczej w przypadku tych, z którymi rozmawiała.

Nie zwracaj na siebie uwagi. Słuchaj. Słuchaj tego, co muszą powiedzieć.

Na tej wysokości powietrze było suche, zimne w cieniu i gorące w słońcu. Satti wstąpiła do kafeterii w pobliżu Studium Nauczycielskiego, gdzie kupiła butelkę soku owocowego. Usiadła przy stoliku na zewnątrz. Z głośników lały się jak zwykle optymistyczna muzyka, dopingujące hasła, doniesienia o zbiorach, statystyki produkcyjne, programy zdrowia. Stopniowo, sama nie wiedząc, jak to się stało, nauczyła się słyszeć to, co krył ten jazgot, dotarła do jego ukrytego znaczenia. Czy jego natarczywość o czymś świadczyła? Czy Akanie bali się ciszy?

Ci, których teraz obserwowała, wyglądali, jakby nie bali się niczego. Studenci w zielonordzawych mundurach. Wielu z nich miało wysokie kości policzkowe i delikatną strukturę kostną starych ulicznych żebraków, ale byli pulchni, promieniali młodością i pewnością siebie, paplali, pokrzykiwali do siebie i wcale jej nie zauważali. Kobiety po trzydziestce były dla nich przybyszami z innego świata. Jedli to samo, czym karmiono ją w stolicy: bogatą w proteiny, słodko-słoną gotową żywność, i pili akakafi, narodowy gorący napój, ochrzczony pseudoterrańską nazwą. Państwowa marka nosiła miano Gwiazdny Pył. Był wszechobecny. Gorzko-słodki, czarny, zawierający wyjątkową mieszaninę alkaloidów, substancji stymulujących i uspokajających. Satti go nie znosiła, ale nauczyła się go przełykać, choć język jej drętwiał, ponieważ wspólne picie akakafi należało do nielicznych legalnych zwyczajów łączących mieszkańców stolicy, a więc było niezwykle ważne. „Kubek akakafi?!” – wykrzykiwali na sam twój widok w domu, biurze, na zebraniu. Odmowa byłaby nietaktem, nawet obrazą. Wiele nieoficjalnych rozmów toczyło się wokół akakafi: gdzie jechać po najlepszy proszek (oczywiście nie Gwiazdny Pył), gdzie znajdują się uprawy i zakłady przetwórstwa, jak powinno się je zaparzać. Przechwalano się liczbą wypitych kubków na dzień, jakby łagodna postać uzależnienia zasługiwała na pochwałę. Ci młodzi nauczyciele pili akakafi litrami.

Przysłuchiwała się im z zawodowego nawyku. Rozmawiali o egzaminach, nagrodach, wakacjach. Nikt nie wspominał o czytaniu czy materiałach naukowych, z wyjątkiem dwojga studentów, którzy wdali się w dyskusję na temat sposobów nauczania przedszkolaków korzystania z toalety. Chłopiec twierdził, że wstyd to najlepszy bodziec. Dziewczyna powiedziała: „Wytrzymaj i uśmiechnij się”, co zirytowało chłopca do tego stopnia, że wygłosił cały wykład o dostosowywaniu się do większości, etycznym wyznaczaniu celów

i istocie higieny.

W drodze do domu Satti zastanawiała się, czy akańska kultura jest oparta na poczuciu winy, poczuciu wstydu, czy też stanowi jakiś odrębny model. Jak to możliwe, że cała ludzkość planety chce podążać w jednym kierunku, mówić tym samym językiem, wierzyć w te same rzeczy? Przez strach przed grzechem czy lęk przed byciem innym?

I znowu wróciła do problemu lęku. Jej problemu.

Kaleka Iziezi siedziała w drzwiach domu. Powitały się dyskretnie, wymieniając nielegalne ukłony.

– Bardzo mi smakowała twoja herbata – odezwała się Satti tytułem nawiązania rozmowy. – Jest o wiele lepsza niż akakafi.

Iziezi nie uderzyła dłonią o kolana i nie zasłoniła ust drugą ręką, lecz drgnęła, a jej „ach!” brzmiało bardzo podobnie jak okrzyk użyźniacza. Potem, po długiej pauzie, ostrożnie skrząc sztucznie stworzoną nazwę, powiedziała: – Ale akafi pochodzi z twojego świata.

– Niektórzy ludzie na Terze rzeczywiście piją coś podobnego, ale nie moi rodacy.

Iziezi zeszywniała. Najwyraźniej wkroczyły na niebezpieczny teren. Skoro każdy temat przypomina pole minowe, nie pozostaje nam nic innego, jak rozmawiać przy huku wybuchów, pomyślała Satti.

– Tobie też nie smakuje? – spytała.

Iziezi skrzywiła się i po chwili nerwowego milczenia wyznała szczerze: – Szkodzi ludziom. Wysusza soki i zakłóca przepływ. Ludzie, którzy piją akafi... widzisz, że ręce im drżą, a serce skacze. Przynajmniej tak twierdzili... dawni ludzie. Wiele lat temu. Moja babka. Teraz wszyscy to piją. To jedna z dawnych prawd. Nienowoczesna. Nowocześni ludzie lubią akafi.

Ostrożność – zakłopotanie – decyzja:

– Z początku nie smakowała mi herbata na śniadanie, ale potem zmieniłam zdanie. Co to takiego? Jak działa?

Twarz Iziezi się wygładziła.

– To bezit. Rozpoczyna przepływ i połączenie. I trochę odświeża wątrobę.

– Jesteś... zielną nauczycielką – zaryzykowała Satti, nie znając akańskiego słowa „zielarka”.

– Ach!

Pierwszy mały wybuch. Małe ostrzeżenie.

– W moim rodzinnym kraju zielni nauczyciele są poważani i szanowani. Wielu jest lekarzami.

Iziezi się nie odezwała, ale stopniowo jej twarz się wypogodziła. Satti odwróciła się, żeby wejść do domu.

– Za parę minut idę na gimnastykę – rzuciła za nią kobieta.

Gimnastyka? – pomyślała Satti, zerkając na bezwładne patyki, nogi Iziezi.

– Jeśli jeszcze nie znalazłaś grupy...

Państwo kładło wielki nacisk na kulturę fizyczną. Wszyscy mieszkańcy Dowza City należeli do jakiejś sportgrupy i uczęszczali na zajęcia ruchowe. Kilka razy dziennie z głośników rozbrzmiewała rześka muzyka i okrzyki „raz! dwa! trzy!”, a wszyscy pracownicy fabryk i biur wysypywali się na ulice lub dziedzińce, by skakać, machać nogami i rękami, robić skłony i przysiady równocześnie i z wigorem. Satti jako

cudzoziemka zdołała do tej pory wykręcić się od uczestnictwa, ale teraz spojrzała w zniszczoną twarz Iziezi i powiedziała: – Bardzo chętnie będę ci towarzyszyć.

Poszła do swojego pokoju, by ustawić piękny dzbanek na honorowym miejscu w łazience i przebrać się z legginsów w luźne spodnie. Kiedy wróciła, Iziezi przechodziła o kulach na niewielki wózek inwalidzki z silnikiem, dzieło Korporacji, model Lot do Gwiazd. Satti pochwaliła jego budowę, co Iziezi skwitowała niechętnym: „Dobry na płaskim” – i ruszyła, podskakując na wybojach.

Satti szła u jej boku, pomagała, kiedy fotel uwiązał w rozpadlinie, co zdarzało się mniej więcej co dwa metry. Celem ich wędrówki był niski budynek z oknami tuż pod okapem dachu i wysokimi podwójnymi drzwiami. Jedno ich skrzydło było czerwone, drugie niebieskie z czerwono-niebieskim motywem chmur powyżej, teraz widmowo sinym i różowym pod białą farbą. Iziezi skierowała wózek prosto w drzwi. Satti poszła jej śladem.

Wewnątrz panowały zupełne ciemności, a przynajmniej tak się jej wydawało. Zaczęła się już przyzwyczajać do nagłych przejść od mroku wewnątrz do oślepiającego światła na zewnątrz, ale jej oczy nadal się buntowały. Za drzwiami Iziezi zdjęła buty i postawiła je na półce obok innych, wszystkich z czarnego płótna, model Marsz do Gwiazd. Następnie zjechała brawurowo po długiej rampie, zatrzymała wózek za ławką i wydzwignęła się na nią. Satti widziała tylko skraj wielkiego pomieszczenia, którego dalsze rejony ginęły w aksamitnej czerni. Tu i tam dostrzegała siedzące na matach postaci. Na ławie obok Iziezi siedział mężczyzna z jedną nogą. Iziezi przyjęła postawę, odłożyła kule i spojrzała na Satti. Lekko dotknęła maty obok siebie. Drzwi sali otworzyły się na krótko i w szarej poświacie Satti zobaczyła uśmiech Iziezi. Był śliczny i wzruszający.

Usiadła po turecku na macie, położyła dłonie na kolanach. Przez długie minuty nic się nie działo. Z pewnością nic tu nie przypominało zwyczajowych ćwiczeń i o wiele bardziej przypadło jej do gustu. Ludzie przybywali cicho, pojedynczo lub dwójkami. Kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do mroku, przekonała się, że sala jest ogromna. Musiała niemal całkowicie leżeć pod ziemią. Długie niskie okna tuż pod sufitem miały szyby z grubego błękitnawego szkła, które rozpraszało promienie słońca. Sufit wyglądał jak niska kopuła lub szereg łuków; dostrzegała tylko ciemne belki. Powściągnęła ciekawość i zmusiła się, by siedzieć nieruchomo, regularnie oddychać i starać się nie zasnąć.

Niestety, z doświadczenia wiedziała, że w jej przypadku medytacja i sen idą w parze. Mężczyzna obok niej zaczął rosnać i maleć, całkiem jak ideogramy w sklepie użyźniacza, co zarejestrowała z sennym zainteresowaniem. Potem ocknęła się nieco i dostrzegła, że mężczyzna unosi wyprężone ramiona, a wierzchy jego dłoni spotykają się nad głową, by opaść w bardzo powolnym, regularnym rytmie oddechu. Iziezi i inni postępowali tak samo mniej więcej w tym samym rytmie. Anielsko spokojne bezgłośnie ruchy, jak pulsowanie meduz w mrocznym akwarium. Satti poddała się rytmowi.

Od czasu do czasu pojawiał się nowy ruch rąk, zawsze rąk, powolny, w rytmie oddechu. Zdarzały się okresy odpoczynku, a potem spokojne powiększanie się i kurczenie, rozciąganie i rozluźnienie, puls i bezwład, i od początku, jedna niespieszna figura za drugą. Ruchom towarzyszyły ciche, cichuteńkie dźwięki, rytmiczny pomruk bez słów, muzyka oddechów, najwyraźniej niemająca źródła. Jakaś postać po drugiej stronie sali powoli unosiła się z ziemi, biaława, falująca; ktoś wstał i nie przerywając ruchów rąk, giął się w pasie w przód i tył oraz na boki. Kilka innych osób podniosło się w ten sam elastyczny, jakby bezcielesny sposób i stało, falując i skłaniając się, na podobieństwo

przytwierdzonych do dna morskiego stworzeń, anemonów, lasów wodorostów, a śpiew, niemal niedosłyszalny, lecz nieustający, pulsował jak szum morza, unosząc się i opadając.

Światło, dźwięk – wrzaskliwy, rozpalony jak wybuch. Nagie żarówki dyndające pod zakurzonym sklepieniem. Satti znieruchomiała, zdjęta zgrozą. Otaczający ją ludzie zerwali się na równe nogi i zaczęli podskakiwać, machać rękami i nogami, a ostry głos wołał: „raz! dwa! raz! dwa! raz! dwa!”. Spojrzała okrągłymi oczami na Iziezi, która podskakiwała na ławie jak marionetka, boksując powietrze pięściami, raz, dwa, raz, dwa. Jednonogi mężczyzna obok niej nabijał tempo, stukając do taktu kulą o ławę.

Iziezi zerknęła na Satti i ostrym gestem poleciła jej wstać. Satti usłuchała, posłuszna, choć pełna niesmaku. Osiągnąć tak wspaniałą medytację i zniszczyć ją jakimś głupim treningiem – co z nich za ludzie?

Po rampie schodziły dwie kobiety w brązach i błękitach, podążające za mężczyzną noszącym takie same kolory. Pełnomocnik. Spojrzał od razu prosto na nią.

Stała pomiędzy innymi, teraz już nieruchomo, w ciszy przerywanej tylko przyspieszonymi oddechami. Nikt się nie odzywał. Zakaz pozdrowień, pożegnań, wszelkich zwrotów stosowanych podczas spotkań i rozstań pozostawił ziejącą lukę w obyczajach. Ludzie żyjący w miastach przywykli do tej nienaturalnej sytuacji i bez wątpienia nie odczuwali już skrępowania, ale Satti nadal czuła się nieswojo, podobnie jak wszyscy wokół niej. Milczenie narzucone przez trzy postaci na rampie wytrącało ich z równowagi. Nie mieli żadnej możliwości obrony. Jednonogi mężczyzna odchrząknął i odezwał się z determinacją: – Zgodnie z instrukcją zdrowia dla producentów-konsumentów wykonujemy higieniczne ćwiczenia aerobowe.

Dwie kobiety towarzyszące pełnomocnikowi spojrzały na siebie kwaśno, znudzone. „A nie mówiłam?” – wyrażały ich miny. Pełnomocnik zwrócił się do Satti, jakby nie dostrzegał w sali nikogo poza nią: – Przyszła pani poćwiczyć aerobik?

– W moim rodzinnym kraju istnieją bardzo podobne ćwiczenia – odparła. Wstrząs i irytacja wyraziły się w nagłym słowotoku. – Cieszę się, że znalazłam grupę, z którą mogę je wykonywać. Gimnastyka daje najwięcej korzyści, kiedy wykonuje się ją z naprawdę interesującą grupą. Przynajmniej tak uważamy w moim kraju na Terze. I oczywiście mam nadzieję, że nauczę się nowych ćwiczeń od moich miłych gospodarzy.

Pełnomocnik niemal natychmiast odwrócił się i bez słowa podążył za kobietami w brązach i błękitach. Kobiety wyszły. On stanął w drzwiach, obserwując ich w środku.

– Dalej! – krzyknął jednonogi. – Raz! Dwa! Raz! Dwa!

Przez następne pięć lub dziesięć minut wszyscy wściekle wymachiwali nogami i młócili pięściami powietrze. Złość Satti była prawdziwa, ale wypaliła się w trakcie tych głupich ćwiczeń. Ogarnęło ją histeryczne rozbawienie. Miała ochotę śmiać się, by rozładować napięcie.

Wepchnęła wózek Iziezi po rampie, znalazła swoje buty pomiędzy innymi. Pełnomocnik nadal stał nieruchomo. Uśmiechnęła się do niego.

– Powinien pan do nas dołączyć.

Spojrzeł na nią pustymi, martwymi oczami. Patrzyła na nią Korporacja odbierająca jej prawo do indywidualności. Poczwała, że wyraz jej twarzy zmienia się wbrew jej woli. Obrzuciła go spojrzeniem pełnym pogardliwej litości, jakby był małym, wstrętnym i godnym politowania potworkiem. Źle! Źle! Za późno. Minęła go, wyszła w chłodny wieczór.

Chwyciła mocno oparcie fotela Iziezi, by pohamować jego dzikie podskoki na wybojach i

słumić szalony wybuch nienawiści, jaki obudził w niej pełnomocnik.

– Rzeczywiście na równym byłoby lepiej.

– Tu... nie ma... nic... równego – wyszczękała Iziezi, kurczowo trzymając się oparc, choć na chwilę oderwała jedną rękę i wskazała rozległe równiny Silong, płonącej białym złotem nad dachami i pagórkami już pogrążonymi w mroku.

W domu Satti odezwała się znowu:

– Mam nadzieję, że wkrótce będę mogła znowu uczestniczyć w zajęciach waszej grupy.

Iziezi zrobiła gest mogący oznaczać grzeczną zgodę lub zrezygnowane przeprosiny.

– Ta spokojniejsza część bardziej mi się podobała.

Iziezi nie zareagowała.

– Chciałabym się nauczyć tych ruchów. Są piękne. Wydawało mi się, że mają własne znaczenie.

Brak odpowiedzi.

– Czy istnieje jakiś podręcznik, z którego mogłabym się ich nauczyć? – Pytanie zabrzmiało idiotycznie ostrożnie, a zarazem strasznie nietaktownie.

Iziezi wskazała wspólny salon, w którym w rogu stał zgaszony monitor realizora. Obok piętrzyły się sterty taśm Korporacji. Nowe nagrania doręczano do każdego domu – dodatek do instrukcji, których zestaw wszyscy otrzymywali regularnie co rok. Taśmy informacyjne, edukacyjne, ostrzegawcze, inspiracyjne. Pracownicy i studenci musieli często zdawać z nich egzaminy podczas specjalnych sesji w szkołach i miejscach pracy. „Choroba nie tłumaczy ignorancji!” – grzmiał aksamitny korporacyjny głos, a obraz przedstawiał robotników w szpitalu z entuzjazmem uczestniczących w progrealach na temat odlewania plastiku. „Bogactwo to praca, a praca to bogactwo!” – śpiewał chór w instruktazowym programie. Większość dzieł literackich, które studiowała Satti, była w takim poetyczno-inspiracyjnym stylu.

Rzuciła niechętnie okiem na stertę nagrań.

– Instrukcja zdrowia – mruknęła Iziezi pod nosem.

– Myślałam o czymś, co mogłabym przeczytać w pokoju. O książce.

– Ach! – Tym razem mina wybuchła bardzo blisko. – *Joz Satti... książki...*

Ciężkie milczenie.

– Nie chcę cię narażać na niebezpieczeństwo. – Satti zorientowała się, że zaczęła konspiracyjnie szeptać.

Iziezi wzruszyła ramionami. Ten ruch mówił: niebezpieczeństwo, cóż, wszystko jest niebezpieczne.

– Pełnomocnik chyba mnie śledzi.

Kobieta zaprzeczyła gestem: nie, nie.

– Często przychodzą na zajęcia. Mamy kogoś, kto obserwuje ulicę, włącza światła. A my... – Ociężale wymierzyła cios powietrzu: raz! dwa!

– Powiedz mi o karach, *joz* Iziezi.

– Za dawne ćwiczenia? Grzywna. Może utrata licencji. Może tylko studiowanie instrukcji w prefekturze lub liceum.

– Za książkę. Za posiadanie, czytanie.

– Starą książkę?

Skinęła głową. Iziezi zwlekała z odpowiedzią. Spuściła wzrok.

– Może być wiele kłopotów – szepnęła wreszcie.

Siedziała w fotelu. Satti stała. Na ulicy zrobiło się zupełnie ciemno. Wysoko ponad dachami ściana Silong płonęła rdzawą czerwienią. Powyżej wierzchołek, odległy i promienny, nadal rozsiewał złoty blask.

– Potrafię czytać stare pismo. Pragnę się nauczyć dawnych zwyczajów. Ale nie chcę narażać cię na utratę licencji. Skieruj mnie do kogoś, kto nie jest jedynym opiekunem twojego siostrzeńca.

– Akidan? – ożywiła się Iziezi. – Och, on by cię zaprowadził prosto do korzenia! – Zasłoniła usta, drugą ręką uderzyła w oparcie fotela. – Tak wiele rzeczy jest zakazane – odezwała się zza dłoni.

Satti dałaby głowę, że w jej oczach błysnęło szelmowskie światełko.

– I zapomniane?

– Ludzie pamiętają... Ludzie wiedzą, *joz*. Ale ja nie. Moja siostra wiedziała. Była wykształcona. Ja nie. Znam ludzi... uczonych... lecz jak daleko chcesz zajść?

– Tak daleko, jak przewodnicy zawiodą mnie w swej dobroci.

Był to cytat nie z *Ćwiczeń gramatycznych dla barbarzyńców*, ale z książki, zniszczonej strony, na której widniał wizerunek mężczyzny z wędką na moście i znajdowały się cztery linijki wiersza:

*Dokąd mnie w swej dobroci przewodnicy wiodą, tam idę, idę lekko
i nie ma śladów stóp
w pyle, co za nami.*

– Ach – szepnęła Iziezi i nie był to wybuch kolejnej miny, lecz przeciągłe westchnienie.

Pełnomocnik ją śledził, więc nie mogła nigdzie iść, niczego się uczyć, jeśli nie chciała ściągnąć nieszczęścia na tubylców, a być może także na siebie. Pełnomocnik przybył tu, by ją obserwować; dał jej to do zrozumienia od samego początku. Gdybyż go pilniej słuchała! Dopiero teraz do niej dotarło, że dostojnicy Korporacji nie podróżują drogą wodną. Mają własne samoloty i helikoptery. Nie przyszło jej do głowy, że ktoś mógłby się jej obawiać, więc nie odczytała jego obecności jako ostrzeżenia. Nie słuchała też tego, co powiedział jej Tong: czy ci się to podoba, czy nie, jesteś ważna. Była reprezentantem Ekumeny na Ace. Pełnomocnik powiedział, a ona nie słuchała, że Korporacja zleciła mu utrudnić Ekumeńczykowi – jej – poszukiwania reakcyjnych praktyk, zgniłej, przestarzałej ideologii. Pies na cmentarzu. Oto jak ją widział. Była dla niego tym psem, którego nie należało dopuszczać do grobu, by go nie rozkopał.

„Jesteś spadkobierczynią anglohinduskiej tradycji – to wujek Hurree z białymi krzaczastymi brwiami i smutnymi gorejącymi oczami. – Musisz znać Szekspira i Upaniszady. *Bhagawadgitę* i Wordswortha”. Więc poznała ich. Znała zbyt wielu poetów. Zbyt wielu poetów, za dużo poezji, więcej żalu, niż ktokolwiek mógł znieść. Dlatego zapragnęła być ignorantką. Przybyć do kraju, gdzie wszystko było dla niej nowe i niezrozumiałe. Odniosła sukces ponad wszelkie oczekiwanie.

Po długim rozmyśleniu w cichym pomieszczeniu, długim wahaniu i niepokoju, nawet kilku chwilach rozpaczony wysłała do Tonga Ova pierwszy raport, który skierowała przypadkiem także do Ministerstwa Pokoju i Bezpieczeństwa, Biura Kulturalno-Społecznego oraz innych urzędów przechwytyjących korespondencję Tonga. Dwie strony pisała przez bite dwa dni. Opisała podróż promem, krajobraz, miasto. Wspomniała o znakomitym jedzeniu i zdrowym górskim powietrzu. Poprosiła o przedłużenie urlopu, który okazał się zarazem miły i pouczający, choć zakłócany przez mającego dobre intencje, lecz nadmiernie gorliwego urzędnika, niedopuszczającego do rozmów i kontaktów z tubylcami.

Rząd Aki, aczkolwiek dążący do kontrolowania wszystkich i wszystkiego, pragnął również zrobić pozytywne wrażenie na gościach z Ekumeny. Tong był ekspertem w wykorzystywaniu tej drugiej skłonności do ograniczania pierwszej, lecz jej list mógł narobić mu kłopotów. Pozwolono mu wysłać obserwatora w „prymitywny” teren, ale wysłano za nim człowieka, który miał obserwować obserwatora.

Potem zaczęła czekać. Stopniowo zyskiwała coraz większą pewność, że władze zmuszą Tonga, by wezwał ją do stolicy. Sama myśl o Dowza City uświadomiła jej, jak bardzo nie chce opuszczać tego miasteczka, tego wyżynnego kraju. Przez trzy dni włóczyła się po okolicy, obchodziła pola i spacerowała wzdłuż brzegu błękitnej jak lodowiec, rwącej i młodej rzeki. Zrobiła szkic Silong ponad ozdobnymi dachami Okzat--Ozkat, wprowadziła do notera przepisy Iziezi na wspaniałe dania, lecz nie poszła z nią na następne „ćwiczenia”. Rozmawiała z Akidanem o szkole i sporcie, ale nie zaczepiała obcych lub bezdomnych. Zachowywała się ostentacyjnie obojętnie, jak turystka.

Od przybycia do Okzat-Ozkat spała dobrze, bez długich ataków wspomnień, które zakłócały jej sen w Dowza City. Ale od kiedy zaczęło się czekanie, każdej nocy budziła się

w mroku i wracała pamięcią do Enklawy. Pierwszej nocy znalazła się w malutkim salonie w mieszkaniu rodziców. Oglądała Dalzula w realizorze. Ojciec, neurolog, miał wstręt do wideoceptorów. „Okłamywanie ciała jest gorsze niż tortury” – warczał, bardzo podobny do wujka Hurree. Już dawno odłączył wideoceptory od ich odbiornika, który od tej pory funkcjonował jako zwykłe holo. Satti, wychowana w wiosce, w której nie posiadano przekaźników bardziej nowoczesnych od radia i starożytnego dwuwymiarowego telewizora w miejskiej świetlicy, nie tęskniła za niczym więcej. Tamtego dnia odrabiała lekcje, ale odwróciła się z krzesłem, żeby spojrzeć na posła Ekumeny stojącego na balkonie Sanktuarium z ojcami w białych szatach po obu stronach. W lustrzanych maskach ojców odbijał się wielki tłum, setki tysięcy ludzi na Wielkim Placu, malutkich jak kropeczki. Na jasnych, zdumiewających włosach Dalzula lśniło słońce. Nazywano go aniołem, bożym posłańcem. Matka parskła gniewnie, słysząc te określenia, lecz obserwowała go uważnie i słuchała jego słów w skupieniu, jak wszyscy unicy, jak cała ludzkość Ziemi. Czy to możliwe, żeby przyniósł nadzieję wiernym i niewierzącym w tym samym czasie, tymi samymi słowami? „Chciałabym mu nie ufać – powiedziała – ale nie mogę. On tego dokona. Da władzę ojcom meliorystom. On nas uwolni”.

Satti uwierzyła w to bez sprzeciwu. Wiedziała dzięki wujkowi Hurree, szkole i własnemu głębokiemu przeświadczeniu, że reguła ojców, pod którą żyła od urodzenia, jest zwykłym szaleństwem. Unizm był paniczną reakcją na klęskę głodu i epidemii, spazmem globalnego poczucia winy i histerycznej potrzeby ekspiacji, która przekształciła się w orgię zbrodni. A tu zjawił się nagle „anioł” i dzięki darowi wymowy zmienił ten szal zniszczenia w miłość, masowe morderstwa – w łagodny uścisk. Kwestia odpowiedniej pory, kwestia równowagi. Mądry mądrością haińskich nauczycieli, którzy w swojej niewyobrażalnie starożytnej historii przeżyli takie epizody po tysiąc razy, wymowny jak jego biali terrańscy przodkowie, którzy przekonali całą ludność Ziemi, że słuszość leży wyłącznie po ich stronie, jednym gestem zdołał zmienić ślepą nienawiść bigotów w ślepą wszechogarniającą miłość. Teraz miały powrócić pokój i rozsądek, a Terra odzyskać miała swoje miejsce pomiędzy miłującymi pokój, rozsądnymi światami Ekumeny. Satti miała dwadzieścia trzy lata i wierzyła w to wszystko bez sprzeciwu.

Dzień Wolności, dzień, w którym otworzono Enklawę: zniesiono restrykcje wobec niewierzących, wszelkie ograniczenia dotyczące komunikacji, książek, kobiecego ubrania, podróży, uczestnictwa w nabożeństwach, wszystko. Mieszkańcy Enklawy wylegli ze sklepów i domów, szkół wyższych i uniwersytetów na deszczowe ulice Vancouver. Nie wiedzieli, co mają z sobą zrobić, tak długo żyli w milczeniu, pokorze, nieufności pod rządami ojców, którzy nauczali, wygłaszali kazania, grzmieli, a funkcjonariusze wiary grozili, karali, konfiskowali, cenzurowali. Zawsze to wierzący gromadzili się w licznych szeregach, wykrzykiwali pobożne słowa, śpiewali pieśni, świętowali, maszerowali. Niewierzący starali się nie rzucać w oczy, nie podnosić głosu. Ale potem deszcz przestał padać, ludzie wynieśli na ulicę gitary, sitary i saksofony i zaczęli grać i tańczyć. Słońce wyjrzało zza sinych chmur, nisko wiszące i złote, a oni ciągle tańczyli. Na placu McKenzie jakaś dziewczyna prowadziła korowód, dziewczyna o czarnych, gęstych, lśniących włosach, kremowej skórze – Chinokanadyjka – roześmiana, hałaśliwa, zbyt hałaśliwa, bezczelna, pewna siebie, ale Satti wmieszała się w jej grupę, ponieważ wszyscy świetnie się w niej bawili, a jeden chłopak znakomicie grał na akordeonie. W jakiejś zaimprovizowanej figurze tańca Satti i czarnowłosa dziewczyna stanęły przed sobą

twarzą w twarz. Wzięły się za ręce. Jedna z nich się zaśmiała; zaśmiała się i druga. I przez resztę wieczoru nie rozłączały już dłoni.

Z tego wspomnienia Satti osunęła się łagodnie i głęboko w sen, spokojny sen, który w tym wysokim cichym pokoju zawsze na nią spływał.

Następnego dnia poszła daleko w górę rzeki i wróciła późno, bardzo zmęczona. Zjadła kolację w towarzystwie Iziezi, przez jakiś czas czytała, a potem rozwinęła śpiwór. A kiedy tylko zgasiła światło, znowu znalazła się w Vancouverze, nazajutrz po Dniu Wolności. Obie wyszły na spacer po Nowym Parku. Ciągłe rosły w nim wielkie drzewa, ogromne drzewa sprzed skażenia. „Świerki – wyjaśniła Pao – świerki i jodły, tak się nazywały i kiedyś zbocza gór były od nich czarne”.

– Czarne od drzew! – powiedziała gardłowym głosem i Satti zobaczyła wielkie czarne lasy i gęste lśniące czarne włosy.

– Urodziłaś się tutaj? – spytała, gdyż chciały wiedzieć o sobie wszystko, a Pao odparła:

– Tak, a teraz chcę się stąd wyrwać!

– Dokąd?

– Na Hain, Ve, Chiffewar, Werel, Yeowe-Werel, Geten, Urras-Anarres, O!

– O, o, o! – zawołała Satti ze śmiechem, bliska łez, słysząc własne marzenie, własną tajną mantrę wypowiedzianą na głos. – Ja też! I wyjadę, wyjadę!

– Uczysz się?

– Na trzecim roku.

– Ja na pierwszym.

– Dogoń mnie.

I Pao prawie ją dogoniła. Zrobiła trzy lata w ciągu dwóch. Pod koniec pierwszego Satti zrobiła dyplom i przez następny rok uczyła studentów gramatyki i haińskiego. Kiedy wyjechała do Szkoły Ekumenalnej w Valparaiso, miała nad Pao przewagę zaledwie ośmiu miesięcy. Wróciła do Vancouveru w grudniu na święta, więc ich rozstanie trwało tylko cztery miesiące, a potem jeszcze cztery i już miały być razem, razem, przez całą szkołę, przez całe życie, we wszystkich znanych światach.

– Będziemy się kochać na planecie, której nikt nie zna, o tysiąc lat stąd! – powiedziała Pao i roześmiała się, śliczny gruchający dźwięk, który zaczynał się w głębi brzucha i rósł tak bardzo, że na koniec kołysał całym jej ciałem.

Uwielbiała się śmiać, uwielbiała opowiadać kawały, uwielbiała ich słuchać. Czasami śmiała się przez sen. Satti czuła i słyszała jej cichy śmieszek w ciemnościach, a rano Pao wyjaśniała, że śniło się jej coś bardzo śmiesznego, i znowu chichotała, usiłując streścić te sny. Dwa tygodnie po Dniu Wolności zamieszkały razem w kochanym obrzydliwym mieszkanku w suterenie na ulicy Souche, ulicy Sushi, jak ją nazywały, bo były na niej trzy japońskie restauracje. Zajmowały dwa pokoje: jeden mieszczący tylko wielki materac od ściany do ściany, drugi – z kuchenką, zlewem i pianinem z czterema zepsutymi klawiszami. Pianino stanowiło wyposażenie mieszkania, ponieważ nie opłacało się go już naprawiać, a wyniesienie kosztowało za dużo. Pao grała na nim szaleńcze walce z głuchymi nutami, Satti gotowała bhaigan tamatar. Satti recytowała wiersze Esnanaridarathy z Darrandy i podkradała migdały, Pao przyrządzała smażony ryż. W szafce kuchennej znalazły miot mysich noworodków. Zaczęły się długie dyskusje nad ich losem. Zawrzały uprzedzenia. Jedna wypominała okrucieństwo Chińczyków, traktujących zwierzęta, jakby nie odczuwały bólu, druga wyśmiewała zakłamanie Hindusów, którzy

karmią święte krowy i skazują dzieci na śmierć głodową.

– Nie będę mieszkała z myszami! – wrzasnęła Pao.

– Nie będę mieszkała z morderczynią! – odwrzasnęła Satti.

Małe myszki stały się dorosłymi myszami i zaczęły plądrować mieszkanie. Satti kupiła używaną pułapkę. Zwabiły myszy kawałkiem tofu, jedną po drugiej, i wypuściły je na wolność w parku. Ostatnią pojmały starą mysz, a uwalniając ją, zaśpiewały:

*Bóg cię obdarzy, matko,
dzieckiem małżonka twego.
Pozostań czysta i wierna,
nie znaj mężczyzny innego.*

Pao знаła mnóstwo unickich hymnów na każdą okazję.

Satti złapała grypę. Choroba ta budziła przerażenie; tak wiele jej odmian niosło śmierć. Satti dobrze pamiętała swój strach, gdy stała w zatłoczonym tramwaju i czuła coraz silniejszy ból głowy, a kiedy wróciła do domu, nie mogła skupić spojrzenia na twarzy Pao. Przyjaciółka czuwała przy niej dniem i nocą, a gdy gorączka spadła, poiła ją chińskimi leczniczymi herbatkami, paskudnymi w smaku. Rekonwalescencja trwała bardzo długo. Satti leżała bezwładnie na materacu, wpatrując się w brudny sufit, osłabiona, bezmyślna, pogrążona w kojącym bezwładzie, i powoli wracała do życia. Ale podczas tej epidemii mała cioteczka znalazła wreszcie drogę do rodzinnej wioski. Kiedy Satti po raz pierwszy po chorobie odwiedziła rodziców, dziwnie było zobaczyć mieszkanie bez cioci. Ciągłe się oglądała, sądząc, że widzi ją w drzwiach lub na krześle w drugim pokoju, w kokonie ze starego koca. Matka dała jej bransoletki cioci, sześć codziennych mosiężnych, dwie złote odświętne, cieniutkie kóleciska, w których jej dłoń nie chciała się zmieścić. Podarowała je Lakszmi dla jej córeczki, żeby je nosiła, gdy urośnie. „Nie przywiązuj się do przedmiotów, gdyż przygniotą cię do ziemi. Zatrzymaj w głowie to, co jest warte zachowania”, mówił wujek Hurree, który lubił pouczać. Mimo to zatrzymała czerwono-pomarańczowe sari z bawełnianej gazy. Złożone można było podnieść na jednym palcu, więc nie obawiała się, że przygniecie ją do ziemi. Teraz także miała je przy sobie, na dnie walizki. Pewnego dnia mogła pokazać je Iziezi. Opowie jej o cioci. Pokaże, jak się nosi sari. Kobiety na ogół uwielbiały je wkładać. Pao także przymierzyła kiedyś szaro-srebrne sari Satti, żeby ją rozbawić podczas rekonwalescencji, ale uważała, że to za bardzo przypomina spódnice, do której noszenia zmuszało ją prawo unitów. Poza tym nie rozumiała, w jaki sposób umocowuje się górę. „Przecież za chwilę piersi mi z tego wyskoczą!” – zawołała i poruszyła ramionami, żeby udowodnić, że ma rację. A kiedy już udowodniła, wykonała godną podziwu wersję hinduskiego tańca klasycznego, jak to nazwała.

Potem Satti znowu przeżyła chwile przerażenia, strasznego przerażenia, gdy odkryła, że wszystko, czego nauczyła się przed chorobą, historia Ekumeny, wiersze, nawet proste słowa języka haińskiego, które znała od lat, nagle wyleciały jej z pamięci, jakby wytarte gąbką. „Co ja teraz zrobię? Co zrobię, jeśli nie będę mogła niczego zapamiętać?” – szepnęła, kiedy wreszcie przerwała milczenie i wyznała, co ją dręczyło. Pao nie pocieszała

jej. Pozwoliła jej wyrazić lęk i rozpacz i wreszcie powiedziała: „Według mnie to powinno minąć. To wszystko do ciebie wróci”. I oczywiście miała rację. Sama rozmowa o tym zmieniła wszystko. Następnego dnia, kiedy Satti jechała tramwajem, *Tarasy Darrandy* zakwitły w jej głowie jak wielki fajerwerk – gorejące, bolesne, precyzyjne słowa. I poczuła, że wszystkie inne także wróciły na swoje miejsce, nie opuściły jej, czekały w ciemnościach, gotowe na wezwanie.

Kupiła wielki bukiet stokrotek dla Pao. Włożyły je do jedyne go wazonu – czarnego plastikowego – i kwiaty wyglądały jak Pao, białe, złote i czarne. Obraz tych kwiatów, intensywna świadomość ciała Pao, jej obecności, nawiedziły ją teraz w tym cichym wysokim pokoju na innej planecie, tak jak nawiedzały ją nieustannie tam, wtedy gdy była z Pao i kiedy z nią nie była, lecz właściwie prawie się nie rozstawały, nie na długo. Nie mogła ich rozdzielić nawet ta długa, długa podróż po wybrzeżach obu Ameryk. Nic nie mogło ich rozdzielić. „Niech związek prawdziwych umysłów nie dopuszcza przeszkód...”.

– O, mój prawdziwy umyśle – szepnęła w ciemnościach i poczuła, że obejmują ją ciepłe ramiona.

Zasnęła.

Nadeszła zwięzła odpowiedź Tonga, wydruk wysłany na adres prefektury i doręczony jej do rąk własnych po sprawdzeniu bransolety z ZIL-em. „Obserwatorka Satti Dass: proszę uważać urlop za początek pracy badawczej. Kontynuować badania, gromadzić osobiste obserwacje stosownie do potrzeb”. Tyle na temat pełnomocnika! Satti, zaskoczona i triumfująca, wyszła na dwór, żeby popatrzeć na szczyt Silong i pomyśleć, co dalej.

Opracowała w pamięci spis niezliczonych zadań: ćwiczenia medytacyjne, drzwi z podwójną chmurą, które widywała w całym mieście, zawsze zamalowane na białe, inskrypcje w sklepach, przenośnie nawiązujące do drzew, nieustannie obecne w rozmowach o jedzeniu, zdrowiu i wszystkim, co ma związek z ciałem, ewentualne istnienie zakazanych książek, istnienie sieci informacyjnej, subtelniejszej niż elektroniczna, niekontrolowanej przez Korporację, dzięki czemu mieszkańcy miasta pozostawali z sobą w kontakcie i wiedzieli o wszystkim, na przykład o niej samej: kim jest, gdzie przebywa, czego chce. Widziała tę świadomość w oczach przechodniów, sklepikarzy, dzieci, starych kobiet uprawiających ogródki, starych mężczyzn siedzących na ulicy na beczkach i wygrzewających się w słońcu. Nie czuła jej naporu, jakby chodziła po wyznaczonych ścieżkach, bez ograniczeń, bez zakazów. Teraz wydawało się jej prawdopodobne, że nie przypadkiem trafiła do Iziezi i użyźniacza, choć nie potrafiła tego wyjaśnić.

Skoro odzyskała wolność, zapragnęła wrócić do sklepu użyźniacza. Weszła pomiędzy wzniesienia miasta i zaczęła się wspinać stromą uliczką. W połowie drogi stanęła twarzą w twarz z pełnomocnikiem. Wyzwolona od konieczności posłuszeństwa spojrzała na niego tak, jak patrzyła na początku podróży rzeką, nie jak upodlony obywatel patrzy na biurokratę, lecz jak człowiek na człowieka. Miał delikatne rysy, choć ambicja, lęk i władza nadały im twardości. Nikt się taki nie rodzi, pomyślała. Dzieci nie mają takich twarzy.

– Dzień dobry, pełnomocniku! – powitała go wspaniałomyślnie.

Usłyszała własny głupio radosny głos. Żle, źle. Takie powitanie musiało mu się wydać

provokacją.

Stał w milczeniu, patrzył jej prosto w oczy. Odchrząknął.

– Otrzymałem rozkaz cofnięcia wydanego pani polecenia informowania mojego urzędu o nawiązanych kontaktach i planach podróży. Ponieważ go pani nie wykonywała, usiłowałem roztoczyć nad panią opiekę. Poinformowano mnie o pani skardze. Przepraszam za wszelkie niewygodności czy przykrości, na jakie naraziłem panią osobiście lub przez działanie mojego personelu.

Mówił zimno, lecz z godnością. Zawstydzona Satti usiłowała coś wtrącić:

– Nie... przepraszam, chciałam...

– Ostrzegam – ciągnął z coraz większym naciskiem, nie zwracając uwagi na jej wysiłki.

– Są tu ludzie, którzy zamierzają panią wykorzystać do własnych celów. Ludzie ci nie są malowniczymi relikwiami przeszłości. Nie są nieszkodliwi. Są źli. Są śmiertelną trucizną – trucizną, która oszalała mój lud od dziesięciu tysięcy lat. Chcą nas znowu sparaliżować, ci bezmyślni barbarzyńcy. Mogą traktować panią uprzejmie, lecz są okrutni, proszę mi wierzyć. Jest pani dla nich łakomym kąskiem. Będą pani schlebiać, okłamywać ją, obiecywać cuda. Są wrogami prawdy, nauki. Ich tak zwana wiedza to fałsz, przesąd, poezja. Ich praktyki są nielegalne, książki i obyczaje zabronione, pani o tym wie. Proszę nie stawiać moich rodaków w bolesnej sytuacji, gdy będą musieli zrozumieć, że naukowiec z Ekumeny wszedł w posiadanie nielegalnych materiałów i uczestniczy w obscenicznych, bezprawnych rytuałach. Proszę panią o to... jako naukowca...

Mówienie przychodziło mu z coraz większym trudem. Spojrzała na niego. Jego emocje wydawały się groteskowe, irytujące.

– Nie jestem naukowcem – odezwała się beznamyślnie. – Czytam poezję. I nie musi mi pan opowiadać o niegodziwościach, jakie może wyrządzić religia. Dobrze je znam.

– Nieprawda. – Zaciskał i rozwierał dłonie. – Nie ma pani pojęcia, jakie mogą być. Jak daleko zaszliśmy. Nie ma dla nas powrotu do barbarzyństwa.

– Czy wie pan cokolwiek o moim świecie? – warknęła. To, co mówił, wydawało się całkowicie niegodne uwagi. Chciała już tylko uciec od tego fanatyka. – Zapewniam, że żaden z reprezentantów Ekumeny nie stanie się przyczyną niepokoju Akan, chyba że zostanie o to wyraźnie poproszony.

Spojrzał jej prosto w oczy i powiedział z niezwykłym uczuciem:

– Niech nas pani nie zdradzi!

– Nie mam zamiaru...

Odwrócił głowę, jakby jej nie wierzył albo poczuł nagły ból. Wyminął ją bez słowa i ruszył w dół ulicą.

Poczuła falę nienawiści, która ją przeraziła.

Poszła swoją drogą, powtarzając sobie, że powinna mu współczuć. Większość fanatyków jest przekonana o swojej racji. Ten głupi, arogancki dureń obwieścił jej wielką nowinę, że religia jest niebezpieczna! Powtarzał propagandę jak papuga. Chciał ją przestraszyć. Akurat! Był zły, bo zwierzchnicy odsunęli go od sprawy. Utrata kontroli nad nią była dla niego tak nieznośna, że stracił kontrolę nad samym sobą. Nie ma potrzeby poświęcać mu więcej myśli.

Ruszyła stromą ulicą, by spytać użyźniacza, co oznaczają drzwi z podwójną chmurą. Mroczne wysokie pomieszczenie ze ścianami pełnymi słów należało do zupełnie innej

rzeczywistości. Podniosła wzrok i odczytała: „W zejściu z nieba ciemnej chmury podwójnie rozwidlone drzewo błyskawicy wyrasta z ziemi”. Wytworny dzbanuszek, prezent od użyźniacza, był ozdobiony motywem, który początkowo brała za stylizowany krzak lub drzewo, dopóki nie dostrzegła, że powtarza kształt drzwi-chmur. Przeniosła go na papier. Kiedy użyźniacz zmaterializował się z mrocznych czeluści zaplecza, położyła kartkę na ladzie i spytała:

– Czy możesz mi powiedzieć, *joz*, co to za symbol?

Przyjrzał się rysunkowi.

– To bardzo ładny obrazek – powiedział suchym, piskliwym głosem.

– Znalazłam go na dzbanuszku od ciebie. Czy ten wzór ma jakieś znaczenie, jakąś treść?

– Dlaczego pytasz, *joz*?

– Interesują mnie stare rzeczy. Stare słowa, stare obyczaje.

Zmierzył ją spojrzeniem wyblakłych oczu, ale nie odpowiedział.

– Wasz rząd... – użyła starego słowa, *biedins*, hierarchia urzędników, zamiast nowoczesnego *wizdestit*, spółka lub korporacja. – Wiem, wasz rząd woli, żeby ludzie nauczyli się nowych obyczajów i nie wracali do przeszłości. – I znowu użyła dawnego słowa – ludzie, nie *rijingdiutii*, producenci-konsumenci. – Ale historycy Ekumeny interesują się wszystkim, czego się mogą nauczyć od bratnich światów. Wierzymy, że w przeszłości tkwią korzenie użytecznych nauk.

Użyźniacz słuchał, życzliwy i obojętny. Ciągnęła:

– Mój zwierzchnik poprosił mnie, żebym poznała wszystkie możliwe stare obyczaje, które w stolicy już nie istnieją, sztukę, zwyczaje obecne na waszej planecie na długo przed nadejściem moich rodaków. Pełnomocnik kulturalno-społeczny zapewnił mnie, że nie będzie ingerować w moje badania.

Ostatnie zdanie wypowiedziała z mściwą satysfakcją. Nadal była wstrząśnięta, obolała po ostatnim spotkaniu, ale mroczne wnętrze sklepu, jego słabe wonie, przezierające spod farby stare napisy niosły tyle spokoju, że nagle to wszystko wydało się jej bardzo odległe.

Cisza. Chudy palec starca zawisł nad rysunkiem.

– Nie widzimy korzeni – przemówił użyźniacz.

Słuchała.

– Pień – ciągnął, wskazując element wzoru, który w budynku stanowił dwuskrzydłowe drzwi – gałęzie i listowie, korona drzewa – wskazał pięciopłatkową „chmurę” unoszącą się nad pniem – są podobne ciążu, *joz*. – Dotknął własnych bioder i boków, poklepał się po głowie, naśladowując palcami ruch trzepoczących liści. Uśmiechnął się blado. – Ciało jest ciałem świata. Ciało świata jest moim ciałem. A więc z jednego dwa. – Palec legł w miejscu rozwidlenia pnia. – A dwa dają po trzy gałęzie, które się łączą, dając pięć. – Palec przesunął się po pięciopłatkowej koronie drzewa. – A pięć daje milion, liście i kwiaty, które giną i wracają, wracają i giną. Stworzenia, istoty gwiazdy. Wszelkie życie. Ale nie widzimy korzeni. Nie potrafimy o nich mówić.

– Korzenie są w ziemi?

– Korzeniem jest góra.

Zrobił piękny oficjalny gest: złożył koniuszki palców obu dłoni, tworząc jakby szczyt, po czym dotknął nimi serca.

– Korzeniem jest góra – powtórzyła. – Oto tajemnica.

Milczał.

– Czy możesz powiedzieć coś więcej? Opowiedz o dwóch, trzech i pięciu.

– Do tego trzeba dużo czasu.

– Mam go wiele. Ale nie chcę marnować twojego lub ci go zabierać. Czy też pytać o coś, czego nie chcesz mi powiedzieć, co powinno się trzymać w sekrecie.

– Teraz wszystko jest sekretem – odparł szeleszczącym starczym głosem – ale wszystko czeka na wyciągnięcie ręki.

Obejrzał się na szeregi szufladek i ściany nad nimi, całkowicie pokryte słowami, zaklęciami, wierszami i formułami. Dziś ideogramy nie poruszały się w oczach Satti, nie nadymały się i nie kurczyły, nie oddychały, trwały bez ruchu na wysokich mrocznych ścianach.

– Dla wielu nie są to słowa, tylko stare gryzmoły. Więc policja ich nie tyka. W czasach mojej matki wszystkie dzieci potrafiły czytać. Mogły rozpocząć czytanie historii. Opowiadanie nigdy nie ustawało. W lasach, górach, wioskach i miastach opowiadały historię, opowiadały ją głośno, czytały bez strachu. Nawet wtedy jednak była to tajemnica. Tajemnica początku, korzeni tego świata, ciemności. Grób. Tam, gdzie się wszystko zaczyna.

A więc jej edukacja się zaczęła. Choć później przyszło jej do głowy, że tak naprawdę rozpoczęła się w domu Iziezi, gdy po raz pierwszy usiadła przy małym stole-tacy i wzięła do ust pierwszy kęs potrawy.

Jeden z darrandańskich historyków powiedział: „Poznawać wiarę bez wiary to jak śpiewać pieśń bez melodii”. Ustępliwość, posłuszeństwo, wiara w słuszność nut, rytmu jest podstawowym warunkiem tłumaczenia i zrozumienia. Ten warunek nie musi być niezmiennym nastawieniem umysłu lub serca. Ale nie jest fałszem. Jest czymś więcej niż zawieszeniem niewiary, koniecznym przy oglądaniu przedstawienia w teatrze, lecz czymś zdecydowanie mniej niż nawrócenie. Tego nauczyli ją wszyscy profesorowie, zebrani z wielu planet w mieście Valparaiso de Chile, a ona nie miała powodu, by podawać ich nauki w wątpliwość.

Przybyła na Akę, by nauczyć się śpiewać jej pieśń, i dopiero teraz, z dala od nieustannego jazgotu miasta zaczęła rozróżniać nuty melodii. Wychwytywała je dzień po dniu – obserwacje tłoczące się jedna za drugą, zaprzeczające sobie nawzajem, wyolbrzymione, złudne, dzika gmatwanina informacji z najróżniejszych dziedzin, zawikłana mapa całej tutejszej zawikości, zamknięta w prymitywnym szkicu fragmentu tej ogromnej polaci, jaką musiała zbadać: sposób życia i rozumowania wypracowywany przez tysiące lat przez całą ludzkość tego świata, ogromny system sprzężonych symboli, metafor, teorii, odniesień, kosmologii, kuchni, ćwiczeń gimnastycznych, metafizyki, fizyki, metalurgii, fizjologii, medycyny, psychologii, alchemii, chemii, kaligrafii, numerologii, ziołolecznictwa, diety, legend, przypowieści, poezji, historii i opowieści. W tej dzikiej płataninie szukała instytucji, którą mogła opisać, idei dających się zdefiniować – czegokolwiek konkretnego, na czym można się oprzeć. Religie przeważnie mają swoistą architekturę; i rzeczywiście, budynki w Okzat-Ozkat z podwójnymi drzwiami w kształcie drzewa były świątyniami, *umjazu* – słowo obecnie zakazane. Co się w nich działo? Cóż, podobno ludzie chodzili tam i słuchali. Czego? Ach, no cóż, historii. Kto opowiada te

historie? Ach, no cóż, *maz*. Oni tam mieszkają. Niektórzy.

Satti domyśliła się, że *umjazu* stanowiły coś pośredniego pomiędzy klasztorami i kościołami, a także bibliotekami. Były to miejsca, gdzie gromadzono i przechowywano książki, a ludzie przychodzili, żeby je czytać, czytać i słuchać innych, którzy je czytali. W bogatszych rejonach znajdowały się wielkie, okazałe *umjazu*, do których pielgrzymowano, żeby ujrzeć skarby bibliotek i „usłyszeć opowiadanie”. Te świątynie zostały zniszczone, zburzone lub wysadzone w powietrze, z wyjątkiem najstarszej i najsłynniejszej spośród nich – Złotej Góry daleko na wschodzie. Satti wiedziała z programów edukacyjnych, które obejrzała jeszcze w Dowza City, że Złota Góra została przemianowana na Korporacyjną Siedzibę Boga Rozumu – miejsce sztucznie stworzonego kultu, nieistniejącego nigdzie poza tym centrum turystycznym i sloganami, publikowanymi bez przekonania przez Korporację. Najpierw jednak świątynia została wypatroszona. Programy ukazywały maszyny wygarniające książki z wielkiego podziemnego archiwum, monstrualne metalowe łapy wrzucające je na wywrotki jak sterty piasku, maszyny zgniatające tomy na trociny. Widzowie realizatorów uczestniczyli w pracy jednego z tych urządzeń przy akompaniamencie energicznej, skocznej muzyki. Satti zatrzymała progreal w połowie sceny, odłączyła wideoceptory i już nigdy więcej nie uczestniczyła w korporacyjnym progrealu, choć codziennie przyłączała moduły za każdym razem, kiedy opuszczała swoją komórkę badawczą w Centralnym Ministerstwie Poezji i Sztuki.

Takie wspomnienia budziły w niej pewne współczucie wobec tej religii czy też innych tematów jej badań, lecz nie zapominając o ostrożności i podejrzliwości, zachowywała wyważone sądy. Musiała wystrzegać się oceniania i teorii, trzymać się dowodów i obserwacji. Wszystko było zakazane, ale ludzie rozmawiali z nią dość swobodnie, ufnie odpowiadali na jej pytania. Bez kłopotu uzyskała informacje o cyklach roku i życia, świętach, postach, odpustach, abstynencji, stosunkach, festiwalach. Te wiadomości, w ogólnych zarysach bardzo przypominające większość znanych jej praktyk religijnych, obecnie oczywiście zeszyły do podziemia, zostały ukryte lub tak subtelnie i przemyślnie wplecione w wątek codziennego życia, że pełnomocnicy nie potrafili ich wskazać i powiedzieć: „To jest zakazane”.

Dobrym przykładem takiego dyskretnego trwania zakazanych praktyk były jadłospisy w restauracjach robotniczych w Okzat-Ozkat. Menu widniało zwykle na tablicy na drzwiach, wypisane w nowoczesnym alfabecie. Oprócz akakafi znajdowały się w nim potrawy zalecane, dystrybuowane i sprzedawane na całej planecie z rozporządzenia Biura Zdrowia i Dietetyki: produkowane w wielkich agrofabrykach, bogate w proteiny i witaminy, w opakowaniu, wymagające jedynie podgrzania. W restauracjach posiadano zawsze kilka sztuk takich potraw, w puszkach lub mrożonych. Zamawiano je rzadko. Przeważnie bywalcy takich barów nie zamawiali niczego. Siadali, witali się z kelnerem i czekali na świeże jedzenie i napoje odpowiednie do danego dnia, jego pory, pory roku i pogody, zgodnie z zasadami diety, której celem było zapewnienie długiego i dobrego życia z dobrym trawieniem. Albo lekkim sercem. Te dwa zwroty oznaczały tu to samo.

Pewnego wieczoru późną jesienią, podczas długich sesji nagraniowych, siedząc na czerwonym dywanie w swym cichym pokoju, zdefiniowała w noterze akański system jako religię typu buddyzmu czy taoizmu, o których uczyła się na Terze: Hainowie, uwielbiający listy i kategorie, nazwali go religią procesu.

– Nie istnieją rdzennie akańskie słowa na Boga, bogów, boskość – powiedziała do notera.

– Urzędnicy Korporacji stworzyli słowo oznaczające Boga i ustanowili narodowy teizm, ponieważ dowiedzieli się, że koncepcja boskiej istoty jest ważna w światach, które przyjęły za model. Zrozumieli, że religia jest użytecznym narzędziem rządzenia. Ale tutaj „bóg” jest słowem, które nie opisuje żadnej istoty. Pisane małą literą. Nie Stwórca, lecz stworzenie. Nie odwieczny ojciec, który nagradza i karze, wynagradza krzywdy, potępia okrucieństwo, daje wybawienie. Wieczność nie jest punktem docelowym, tylko ciągłym procesem. Pierwotny podział istoty na materialną i duchową? Jako dwoje w jednym, jedno w dwóch aspektach. Bez hierarchii Natury i rzeczy nadnaturalnych. Bez dualizmu ciemność–światłość, zło–dobro, ciało–dusza. Nie ma życia po życiu, ponownego przyjścia na świat, nieśmiertelnej duszy. Nie ma nieba, nie ma piekła. Akański system to dyscyplina duchowa z celami do osiągnięcia, choć są to te same cele, do jakich się dąży w celu pozyskania cielesnego i etycznego dobrego samopoczucia. Dobry postęp jest celem samym w sobie. Dharma minus karma.

Przez chwilę była całkowicie zadowolona z siebie. Opracowała definicję akańskiej religii. Potem przypomniała sobie mity, o których opowiadała Ottiar Uming: główny ich bohater, Ezid, dziwna romantyczna postać, która czasami występowała jako piękny i łagodny młodzieniec, a czasem piękna i nieustraszona dziewczyna, był nazywany nieśmiertelnym.

– A nieśmiertelny/nieśmiertelna Ezid? – dodała. – Czy to sugeruje wiarę w życie po śmierci? Czy ta mityczna postać jest jedną osobą, dwiema czy ich zbiorem? „Nieśmiertelny, żyjący wiecznie” zdaje się znaczyć: intensywny, wielokrotnie powtarzany, słynny. Czasami także nabiera specjalnego hermetycznego znaczenia: w doskonałym zdrowiu fizycznym i duchowym, żyjący roztropnie. Sprawdzić.

I znowu to samo: sprawdzić. Słowa się zmieniały, były poprawiane, a potem poprawki znowu poprawiane. Wkrótce definicja przestawała się jej podobać. Była nie tyle niepoprawna, ile niezupełnie ścisła. Słowo „religia” budziło jej niepokój. Zaczęła używać słowa „system”, wielki system. Później nazwała go las, ponieważ dowiedziała się, że w dawnych czasach nazywano ją drogą przez las. Następnie zmieniła nazwę na góra, gdy dowiedziała się, że niektórzy nauczyciele nazywali swoją profesję drogą do góry. Wreszcie znalazła ostateczną nazwę: opowiadanie. Ale to było już po tym, jak poznała Maz Elied.

Długo debatowała nad noterem, szukając jakiegoś dowrzańskiego słowa lub starszego i częściowo niedowrzańskiego, którym posługiwali się ludzie „uczeni”, a które oznaczałoby świętość. Istniały słowa, które tłumaczyła jako „władza”, „tajemnica”, „niepodległe ludziom”, „element harmonii”. Określenia te nigdy nie były przypisane jednemu miejscu czy sposobowi postępowania. Wyglądało raczej na to, że w starym akańskim pojmowaniu świata każde miejsce i uczynek były tajemnicze i potężne, a także potencjalnie święte, jeśli się je odpowiednio postrzegało. A postrzeganie dotyczyło opisywania: opowiadania o miejscu, uczynku, wydarzeniu czy osobie. Mówienie zmieniało je w historię. Historie jednak nie stanowiły ewangelii, nie uważano ich za wyższą prawdę. Były ćwiczeniami w prawdzie, próbami dostrzeżenia świętości. Nie należało w nie wierzyć, tylko słuchać. „Oto jak nauczyłem się tej historii” – zaczynało, przystępując do wygłoszenia przypowieści, dawnej i znanej legendy czy relacji z historycznego wydarzenia. „Oto jak brzmi ta historia”.

W tych opowieściach święci osiąkali świętość – jeśli tak to można było nazwać – na wszelkie możliwe sposoby, z których żaden nie wydał się Satti szczególnie świątobliwy. Nie istniały żadne reguły, jak posłuszeństwo, cnota i ubóstwo, nie słyszano o rozdawaniu

ziemskich bogactw i życia o żebraczym chlebie czy też o pustelniach na szczytach gór. Nierzadko bohater i słynny *maz* był bogaty, wręcz rozrzutny; budował piękne *umjazu*, by mieć gdzie przechować swoje skarby, albo wyruszał z setkami towarzyszy na eberdynach o srebrnych uprzężach. Niektórzy bywali wojownikami, inni przywódcami, szewcami, sklepikarzami. Niektórzy święci z opowieści byli nawet kochankami i historia dotyczyła ich miłości. Nie istniały żadne ograniczenia. Zawsze możliwa była jakaś alternatywna wersja. Opowiadacze – jeśli w ogóle komentowali owe legendy – mogli podkreślić, że to czy tamto było dobrze zrobione, ale nigdy nie mówili o jedynej słusznej drodze. A słowo „dobry” występowało tylko jako przymiotnik: dobre jedzenie, dobre zdrowie, dobry seks, dobra pogoda. Nigdy rzeczownik: dobro. Dobro i zło jako odrębne całości, walczące z sobą siły. Nigdy.

Ten system nie jest w ogóle religią, powiedziała Satti do notera, coraz bardziej zachwycona. Oczywiście ma także wymiar duchowy. Był to duchowy wymiar życia każdej istoty z osobna. Ale na Ace nigdy nie istniała religia jako instytucja wymuszająca wiarę i domagająca się władzy, religia społeczności. Aż do czasów obecnych.

Zamieszkane tereny planety stanowiły jeden wielki kontynent, w którym Dowza leżała najdalej na południowy zachód, a na wschodnim wybrzeżu znajdował się rozległy archipelag. Akanie, zrzeszeni na terenach nierozdzielonych oceanami, stanowili jednorodny fizyczny typ z nieznacznymi lokalnymi odmianami. Zauważyli to wszyscy obserwatorzy, podkreślający brak zróżnicowania etnicznego, społecznego i kulturalnego. Ale nikt do tej pory nie zauważył, że Akanie nie znali cudzoziemców. Nie mieli ich na swojej planecie, dopóki nie wylądowały na niej statki Ekumeny.

Było to proste spostrzeżenie, choć niemal nieprzyswajalne dla terrańskiego umysłu. Społeczeństwo bez obcych. Bez zabójczego poczucia inności, bez nieodwracalnego rozdźwięku między plemionami, nienaruszalnych granic, etnicznych konfliktów hołubionych przez setki i tysiące lat. „Lud” oznaczał tu nie „mój lud”, ale ludzi, całą ludzkość. „Barbarzyńca” nie był obcokrajowcem o szokujących zwyczajach, ale osobą bez wykształcenia. Na Ace wszelkie współzawodnictwo odbywało się w łonie jednego społeczeństwa. Wszystkie wojny były wojnami domowymi.

Jeden z wielkich eposów, jakie usłyszała Satti, wspominał o długotrwałej i krwawej walce o żyzną dolinę, rozpoczętej przez kłótnię brata i siostry o prawo do dziedziczenia. W historii planety znano walki o ekonomiczną dominację pomiędzy regionami i miastami-państwami, nierzadko kończące się zbrojnym konfliktem. Ale wojnami zajmowali się zawodowi żołnierze na polach bitew. Bardzo rzadko się zdarzało – a wówczas historycy odnotowywali to w kronikach jako wielkie nieszczęście, czyn karygodny – że żołnierze napadali na miasta lub wioski i wyrządzali krzywdę ich mieszkańcom. Akanie walczyli z sobą z chciwości i żądzy władzy, ale nie z nienawiści i nigdy w imię religii. Walczyli zgodnie z regułami. Wszyscy je uznawali. Byli jednym narodem. Mieli system filozoficzny i sposób życia obowiązujące na całej planecie. Wszyscy śpiewali tę samą pieśń, choć różnymi głosami.

Ta wspólnota, pomyślała Satti, bardzo często polegała na piśmie. Przed dowzańską rewolucją kulturalną na planecie istniało kilka odrębnych języków i nieskończona liczba dialektów, ale używano zawsze tych samych ideogramów, czytelnych dla wszystkich bez wyjątku. Niezdarne i archaiczne pismo obrazkowe było traktowane z szacunkiem, zachowywano je tak, jak na Ziemi zachowano chińskie ideogramy. Dzięki nim teksty

pisane tysiące lat temu można było czytać bez tłumaczenia, choć wymowa słów zmieniała się nie do poznania. Być może właśnie dlatego dowzańscy reformatorzy postanowili się pozbyć starego pisma: stanowiło nie tylko przeszkodę w drodze do postępu, ale także aktywną siłę konserwatywną. Dzięki niemu przeszłość ciągle żyła.

W Dowza City Satti nie spotkała nikogo, kto by się otwarcie przyznał do znajomości starego pisma. Jej pierwsze pytania na ten temat spotkały się z taką dezaprobatą i gwałtowną niechęcią, że szybko nauczyła się przemilczać, iż sama potrafi odczytywać ideogramy. Urzędnicy nigdy jej o to nie spytali. Stare pismo zostało zakazane wiele lat temu; nikomu nie przyszło do głowy, że Satti może je znać. Nie wierzyła, że jako jedyna osoba na planecie posiada tę umiejętność. Ta myśl budziła jej przerażenie. Jakby przechowywała w pamięci całą historię ludzkości – ludzkości innej planety. Gdyby zapomniała choć jedno słowo, jeden ideogram, jeden znak diakrytyczny, wszystkie te istnienia, całe stulecia myśli i uczuć byłyby stracone na zawsze.

Z ulgą przekonała się, że w Okzat-Ozkat wiele osób, nawet dzieci, nosi w sobie to cenne dziedzictwo. Potrafili odczytać i napisać kilka dziesiątków znaków, może kilkaset. Niektórzy byli w tym całkowicie biegli. W szkole dzieci uczyły się alfabetu i odbierały wykształcenie odpowiednie dla producentów-konsumentów. Ideogramów uczyły się w domu lub na tajnych lekcjach w salkach na zapleczach sklepów, warsztatów, magazynów. Ćwiczyły kaligrafię na małych tabliczkach, które można było wytrzeć jednym ruchem ręki. Rolę nauczycieli odgrywali robotnicy, gospodynie domowe, sklepikarze, zwykli ludzie.

Ci nauczyciele dawnego języka i dawnych obyczajów, „ludzie uczeni”, nazywani byli „*maz*”. „*Joz*” stanowił termin wskazujący na pełną sympatii równość; „*maz*” było wyrazem szacunku. Oznaczało zawód łączący niektóre cechy duchownego, nauczyciela, lekarza i naukowca. Wszyscy *maz*, których spotkała Satti, a w miarę pobytu w Okzat-Ozkat poznała większość z nich, żyli w bardziej lub mniej uciążliwej biedzie. Przeważnie zajmowali się handlem lub mieli jakieś dodatkowe zajęcie, zapewniające im dochód poza tym, co otrzymywali za aplikowanie lekarstw, porady dietetyczne i zdrowotne, odprawianie pewnych uroczystości, jak śluby lub pogrzeby, a także czytanie na wieczornych spotkaniach, zwanych opowiadaniem.

Maz byli biedni nie dlatego, że dawne tradycje ginęły lub cenili je tylko ludzie starzy, ale dlatego, że ludzie, których uczyli, także nie mieli pieniędzy. Okzat-Ozkat było małym miastem bez żadnego kapitału, mimo to mieszkańcy utrzymywali swoich *maz*, płacąc im regularnie miedziami i drobnymi banknotami. Żadna ze stron nie czuła się upokorzona, nie było tu miejsca na hipokryzję: płacono za otrzymywany towar. Na wieczorne opowiadanie przyprowadzano dzieci, które słuchały rozmów lub zasypiały. Do piętnastego roku życia miały wstęp bezpłatny. Potem płaciły tyle samo co dorośli. Młodzi lubili spotkania z *maz*, który specjalizował się w recytowaniu i czytaniu eposów i romansów, na przykład *Wojny o dolinę* i opowieści o nieśmiertelnym/nieśmiertelnej Ezid, a także bardziej energiczne i podnoszące sprawność ćwiczenia fizyczne.

Ale *maz* byli w średnim wieku lub starzy – i znowu nie dlatego, że ich grupa wymierała, ale dlatego, że, jak powiadali, trzeba całego życia, by się nauczyć chodzić po lesie.

Satti chciała się dowiedzieć, dlaczego wykształcenie zajmowało tak wiele czasu, lecz samo zebranie podstawowych wiadomości także zdawało się ciągnąć w nieskończoność. W co wierzyli ci ludzie? Co uważali za święte, najważniejsze? Ciągle szukała rdzenia

prawdy, słów stanowiących duszę opowiadania, świętych ksiąg, które mogłyby przeczytać i zapamiętać. Znalazła je, lecz nie takie. Nie było wśród nich Biblii, nie było Koranu. Dziesiątki *Upaniszad*, miliony sutr. Każdy *maz* dawał jej coś do czytania. Przeczytała więc – lub wysłuchała – nieskończenie wiele tekstów. Wiele lub nawet większość z nich istniała w kilku postaciach i wersjach. Temat opowiadań był niewyczerpany, nawet teraz, mimo że tak wiele tekstów zniszczono.

W początkach zimy wydało się jej, że znalazła główny tekst systemu – zbiór wierszy i traktatów zatytułowany *Drzewo*. Wszyscy *maz* wspominali o nim z wielkim szacunkiem, wszyscy przytaczali cytaty z niego. Wiele tygodni poświęciła studiowaniu tego dzieła. I na ile mogła się zorientować, powstało od stu pięćdziesięciu do tysiąca lat temu w centralnym regionie Kontynentu, w czasach prosperity materialnej oraz artystycznego i intelektualnego fermentu. Stanowiło obszerny zbiór wysublimowanych filozoficznych rozważań nad istnieniem i potencjałem, formą i chaosem, a także mistyczne medytacje nad tworzeniem i stworzeniem, piękne, trudne metafizyczne wiersze o Jednym, które jest Dwoma, Dwoch, stanowiących jedność, a wszystko wzajemnie połączone, splecione, ozdobione i opatrzone skomplikowanymi komentarzami dodawanymi przez stulecia. Siostrzenica wujka Hurree, wzorowa uczennica, przedzierała się w uniesieniu przez tę dżunglę znaczeń, marząc tylko o tym, by w niej zginąć na całe lata. Do opamiętania przywodził ją uprzykrzony zdrowy rozsądek, ściągający ją na ziemię i utyskujący: to nie jest opowiadanie, to zaledwie jego część, jego mała część.

Wreszcie pomoc nadeszła ze strony *maz* Oriena Wii. Wspomniał on bowiem, że *Drzewo*, które Satti studiowała w domu codziennie od miesiąca, jest jedynie częścią tekstu – w wielu miejscach bardzo od niego różną – który on sam widział wiele lat temu w wielkim *umjazu* w Amarezie. Nie istniały teksty poprawne. Nie istniały wersje podstawowe. Nie istniało jedno *Drzewo*, lecz wiele, wiele drzew. Dżungla ciągnęła się w nieskończoność, i to nie jedna, lecz ich nieskończona mnogość, wszystkie płonące jaskrawymi tygrysami znaczenia, tłumem tygrysów...

Satti przeskanowała do notera wersję *Drzewa*, którą dostała od Oriena Wii, odłożyła kryształ, spięła się do działania i zaczęła od nowa.

Bez względu na to, czego usiłowała się nauczyć, wiedza ta nie była religią z wyznaniem wiary i świętą księgą. Nie dotyczyła wierzeń. Wszystkie książki były dla niej święte. Nie dawała się zdefiniować symbolami i pojęciami, choćby były nie wiadomo jak piękne, wieloznaczne i interesujące. I nie nazywała się lasem, choć czasem tak właśnie było, ani górą, choć i tak bywało, lecz przeważnie, jak się Satti wydawało, nazywano ją opowiadaniem. Dlaczego?

„No jak to – odpowiadał zdrowy rozsądek, bezczelny intruz – ponieważ uczeni ludzie w kółko opowiadają różne historie”.

„Rzeczywiście – replikował intelekt z pewną dozą pogardy. – Opowiadają historie i w ten sposób właśnie uczą. Ale czym się zajmują?”.

Postanowiła obserwować jakiegoś *maz*.

Jeszcze na Terze, w czasach gdy studiowała języki Aki, dowiedziała się o istnieniu bardzo szczególnego pojedynczo-mnogiego zaimka, używanego w mowie potocznej do opisanego ciężarnej kobiety, zwierzęcia lub pary małżonków. Spotkała się z nim znowu w *Drzewie* i wielu innych tekstach, które dotyczyły pojedynczo-mnogiego pnia drzewa bytu oraz mityczno-heroicznych bohaterów, którzy zwykle – całkiem jak w propagandowych

opowiastkach Korporacji – występowali w parach. Korporacja zakazała używania tego zaimka pod karą grzywny. W Dowza City Satti nie słyszała go z niczyich ust. Ale tutaj spotykała się z nim codziennie, choć nie publicznie. Zwracano się nim do nauczycieli-kapłanów, *maz*. Dlaczego? Ponieważ *maz* oznaczali dwoje ludzi. Zawsze występowali jako para. Partnerzy seksualni, hetero lub homo, monogamiczni, żyjący z sobą przez całe życie, a nawet dłużej, gdyż owdowiawszy, nigdy nie szukali nowego partnera. Żona użyźniacza, Ang Soty, umarła piętnaście lat temu, lecz on nadal był Soty Ang. Byli dwojgiem i jednością, jednym w podwójnej postaci. Dlaczego?

Poczuła narastające ożywienie. Wpadła na trop głównej zasady systemu: Dwoje, którzy są Jednym. Musiała się skupić, by to zrozumieć.

Maz dali jej wiele tekstów mniej lub bardziej istotnych. Dowiedziała się z nich, że współzależność Dwóch daje początek potrójnym gałęziom, które się łączą, by stworzyć liście, składające się z czterech uczynków i pięciu żywiołów, do których nieustannie nawiązywała kosmologia oraz medycyna i etyka i które zostały wbudowane w architekturę i stały się szkieletem języka, zwłaszcza pisanego... Okazało się, że wchodzi w kolejną dżunglę, bardzo starą i przerażająco bujną. Stała na jej krawędzi i zaglądała do środka, zaciekawiona, lecz ostrożna. Rozsądek skomlał za jej plecami jak pies. Dobry piesek, dobra dharma. Nie weszła do tej dżungli.

Pamiętała, że musi się dowiedzieć, czym naprawdę zajmują się *maz*.

Zajmowali się wykonywaniem czy wprowadzaniem w życie opowiadania. Niektórzy mieli niewiele do powiedzenia. Posiadali książkę, wiersz, mapę czy traktat, które dostali lub odziedziczyli, i przynajmniej raz do roku pokazywali, głośno czytali lub recytowali z pamięci wszystkim, którzy zechcieli przybyć. Tacy ludzie byli grzecznie nazywani uczonymi i szanowano ich za posiadanie skarbu i dzielenie się nim z innymi. Ale nie byli to *maz*.

Maz byli zawodowcami. Uczenie się i dzielenie z innymi tym, co opowiadali, uczynili głównym sensem swojego życia i w ten sposób zarabiali. Niektórzy specjaliści od rytuałów i ceremonii najbardziej przypominali terrańskich duchownych. Odprawiali ceremonie pogrzebowe, ślubne, witali noworodki w społeczności, świętowali piętnaste urodziny, które tutaj były uznawane za ważne i przynoszące szczęście (Jeden plus Dwa, plus Trzy i Cztery, i Pięć...). Ich opowiadania przypominały raczej formuły – zaklęcia, rytuały, recytowanie znanych opowieści o herosach.

Niektórzy *maz* byli lekarzami, uzdrowicielami, zielarzami i botanikami. Tak jak nauczyciele gimnastyki opowiadali o ciele i słuchali go. (Ciało, które jest jak drzewo, które jest jak góra...). Ich opowiadania były rzeczowe, opisujące, medyczne. Inni *maz* specjalizowali się w książkach: uczyli dzieci i dorosłych pisać i czytać ideogramy, nauczali tekstów, pomagali je zrozumieć. Ale głównym ich zadaniem, za które darzono ich szacunkiem, było opowiadanie: głośne czytanie, recytowanie i mówienie o materiale. Im więcej opowiadali, tym bardziej byli szanowani, im lepiej to robili, tym więcej im płacono. Treść ich opowiadań zależała od ich wiedzy, posiadanych materiałów, własnych wniosków i, najwyraźniej, także od nastroju chwili.

Chaos tego wszystkiego mógł doprowadzić do szaleństwa. W dniu robocze Satti uczyła się pracowicie o Dwóch i Jednym, drzewie i liściach, chodziła też co wieczór, by posłuchać, jak *maz* Ottiar Uming opowiada długą mityczno-historyczną sagę o odkryciach Rumaya na Wschodnich Wyspach jakieś sześć lub siedem tysięcy lat temu. Kilka razy w tygodniu

słuchała rano *maz* Imiena Katiana, który opowiadał o początkach i historii kosmosu, nazywał gwiazdy i konstelacje i opisywał ruchy pozostałych czterech planet w Układzie Akańskim, pokazując piękne, dokładne i starożytne mapy nieba. Jak to wszystko może razem współegzystować? Czy istnieją jakieś wspólne elementy pomiędzy tymi rozbieżnościami?

Znużona abstrakcyjnymi rozważaniami filozoficznymi, do których nie miała ani zdolności, ani skłonności, Satti zajęła się czymś, co *maz* nazywali opowiadaniem ciała. Uzdrowiciele mieli wielką wiedzę na temat zachowywania dobrego zdrowia. Poprosiła Soty Ang, by się nią podzielił. Cierpliwie opowiadał jej o leczniczych właściwościach rozmaitych eksponatów z ogromnego herbarium, odziedziczonego po rodzicach Ang Soty, które wypełniały niemal wszystkie szufladki w jego sklepie. Staruszek bardzo się ucieszył, że Satti nagrywa jego słowa noterem. Na razie nie natknęła się na żaden ślad wiedzy tajemnej, żadną świętą tajemnicę, żadną mądrość zastrzeżoną dla nielicznych, by umocnić ich potęgę, świętość czy dochody. „Zapisz wszystko, co ci mówię! – powtarzali nieodmiennie wszyscy *maz*. – Zachowaj to dobrze! Utrwal, by powtórzyć innym!”. Soty Ang, który przez całe swoje dorosłe życie uczył się właściwości ziół i nie miał nigdy własnego ucznia, był wzruszająco wdzięczny Satti za uwiecznianie jego wiedzy. „To wszystko, co mogę dać opowiadaniu” – powiedział.

Nie był uzdrowicielem, lecz aptekarzem i zielarzem. Teoria nie stanowiła jego mocnej strony, a wyjaśnienia przyczyn, dla których to czy inne zioło było skuteczne, brzmiały mocno niewiarygodnie. Ale wydawało się jej, że tutejszy system medyczny był pragmatyczny, zapobiegawczy i skuteczny. Farmacja i medycyna nie stanowiły jedynych gałęzi wielkiego systemu. Niekończące się opowieści *maz* o najróżniejszych rzeczach, wszelkich możliwych rzeczach, wszystkich liściach ogromnej korony Drzewa... Satti nie mogła się pozbyć wrażenia, że musi istnieć jakiś temat przewodni. Czy to etyka? Właściwe postępowanie?

Ona, która dorastała pod rządami unitów, nie mogła zachować naiwnego przekonania, że pomiędzy religią i moralnością musi istnieć związek. Ale z pewnością zaczęła rozróżniać charakterystyczne akańskie zasady etyczne wyrażone we wszystkich historiach, z których wiele było przypowieściami i bajkami z morałem, a także w zachowaniu i rozmowach ludzi z Okzat-Ozkat. Podobnie jak medycyna, etyka była pragmatyczna i zapobiegawcza, a robiła wrażenie bardzo efektywnej. Ogólnie biorąc, zalecała szacunek do swojego i cudzego ciała i zakazywała lichwy.

Częstotliwość, z jaką w opowiadaniach potępiano nadmierne bogacenie się, wskazywała, że zło było głęboko zakorzenione i na tej planecie. W Okzat-Ozkat przestępstwa sprowadzały się do kradzieży, oszustwa, defraudacji. Napaści i pobicia zdarzały się w czasie rabunków lub później, gdy wściekłe ofiary szukały zemsty. Do zbrodni z namiętności dochodziło rzadko. Nie uwznioślano ich, nie szukano dla nich usprawiedliwień. Słowo „morderca” miało ten sam rdzeń co „wariat”. Iziezi nie potrafiła powiedzieć, czy morderców zamykano w więzieniu, czy w domu dla obłąkanych, ponieważ nie słyszała o nikim takim. Przypomniła sobie, że w dawnych czasach kastrowano gwałcicieli, ale nie była pewna, jak obecnie karze się za gwałt, ponieważ nie dotarła do niej wieść o żadnym takim zdarzeniu. Akanie wychowywali dzieci bardzo łagodnie. Iziezi nie mogła uwierzyć, żeby można było źle je traktować; znała jakieś ludowe podania o okrutnych rodzicach i osieroconych dzieciach, których nikt nie chciał przyjąć, ale

skwitowała je słowami: „To bardzo stare opowieści. Ludzie jeszcze nie byli uczeni”.

Oczywiście Korporacja propagowała nową etykę, nowe cnoty – współdziałanie i patriotyzm – znalazła także nowe obszary zbrodni: uczestnictwo w zakazanej działalności. Ale z wyjątkiem urzędników Korporacji i być może studentów ze studium nauczycielskiego Satti nie spotkała w Okzat-Ozkat nikogo, kto uważałby *maz* za zbrodniarzy. Zakazany, nielegalny, zabroniony – były to nowe kategorie określające zachowanie, lecz niemające żadnego moralnego znaczenia, chyba że dla ich twórców.

Czy zatem w dawnych czasach nie znano zbrodni z wyjątkiem gwałtu, morderstwa i lichwy? Może nie istniała potrzeba wprowadzenia innych sankcji. Może system był tak uniwersalny, że nie sposób było sobie wyobrazić życia poza nim, działania wbrew niemu. Może był całym światem.

Wszechobecność systemu, jego starożytność, ogromna siła nawyku uzyskiwana poprzez szczegółowe określenie codziennego życia, jadłospisu, godzin pracy i odpoczynku – wszystko to, powiedziała Satti do notera, może tłumaczyć oblicze nowoczesnej Aki. A przynajmniej wyjaśnia, w jaki sposób Korporacja dowzańska z taką łatwością narzuciła narodowi swoją władzę, zdołała wprowadzić mundury, szczegółową kontrolę ludzkiego życia, jadłospisu, lektury, rozmów, myśli, uczynków... System znajdował się na swoim miejscu. Odwieczny, potężny, na całym Kontynencie i wyspach Aki. Dowza tylko go przejęła i zmieniła jego znaczenie. Wielki układ społeczny, w którym każda jednostka szukała fizycznej i duchowej satysfakcji, przekształcili w hierarchię, w której każda jednostka służyła pomnażaniu majątku narodowego. Z aktywnej homeostatycznej równowagi uczynili aktywną, pędzącą naprzód nierównowagę. „Różnica – powiedziała Satti do notera – jest taka jak pomiędzy kimś siedzącym i rozmyślającym o dobrym posiłku i kimś biegnącym w popłochu do pracy”. Była zadowolona z tego porównania.

Pierwsze pół roku na Ace wspominała z niedowierzaniem i litością wobec siebie i producentów-konsumentów Dowza City. „Na jakie poświęcenia zdobyli się ci ludzie! – zapisała w noterze. – Zgodzili się przekreślić całą swoją kulturę i zubożyć życie w zamian za Marsz do Gwiazd – sztuczny, teoretyczny cel, imitację społeczeństw, które uznali za lepsze od siebie tylko dlatego, że były zdolne do lotów kosmicznych. Dlaczego? Brakuje tu jakiegoś elementu. Musiało się wydarzyć coś, co spowodowało lub przyspieszyło tę ogromną zmianę. Czy to tylko przyjazd pierwszych obserwatorów z Ekumeny? Ale trzeba przyznać, że dla ludzi, którzy nie znali obcych, musiał być to wielki wstrząs...”. I ogromna odpowiedzialność spoczywająca na przybyszach, pomyślała.

„Niech nas pani nie zdradzi”, powiedział pełnomocnik. Ale jej towarzysze, gwiazdni podróżnicy Ekumeny, obserwatorzy tak wystrzegający się interwencji, mieszania się w sprawy planety, przywieźli zdradę na pokładach swoich statków. Byli wśród nich Hiszpanie i wielkie imperia Inków i Azteków zdradzających się, upadających, patrzących, jak ich bogowie i języki odchodzą w zapomnienie... A zatem Akanie sami stali się swoimi konkwistadorami. Oszołomieni zagranicznymi ideami pozwolili się zdominować i zubożyć dowzańskim ideologom, podobnie jak ideolodzy komunokapitalistyczni w dwudziestym wieku i unicy fanatycy w jej czasach zdominowali i zubożyli Ziemię.

Jeśli ten proces naprawdę rozpoczął się od pierwszego kontaktu, być może Tong Ov kierował się poczuciem winy, kiedy kazał jej się dowiedzieć, co pozostało na planecie z czasów przed przybyciem obserwatorów. Może miał nadzieję, że zdoła oddać Akanom to, co odrzucili? Korporacja Państw nigdy by na to nie pozwoliła. *Maz* Ottiar Uming często

powtarzała: „Złota szukaj na śmietniku”, ale nie sądziła, żeby pełnomocnik się z nią zgodził. Dla niego to złoto było gnijącym trupem.

Podczas tej długiej zimy pełnej nauki, słuchania, czytania, ćwiczenia, myślenia i rewidowania poglądów często prowadziła w myślach niekończące się rozmowy z pełnomocnikiem. Był jej workiem treningowym. Nigdy nie odpowiadał, tylko słuchał. Pewnych rzeczy nie chciała nagrywać w noterze, pewnych opinii, którymi się rozkoszowała, ale usiłowała je oddzielić od obserwacji. Należał do nich pogląd, że jeśli opowiadanie było religią, to bardzo się różniło od religii terrańskich, ponieważ całkowicie wystrzegało się dogmatów, fanatyzmu i usankcjonowanej bigoterii. Wszystkie te elementy, bez których Akanie znakomicie się obywali, pojawiły się wraz ze zmianą. Korporacja Państw stała się religią. Dlatego Satti lubiła przypominać sobie niebiesko-brązowy mundur, sztywną postawę i zimne spojrzenie pełnomocnika. Mówiła mu prosto w twarz, że jest fanatykiem, fanatykiem i głupcem, takim samym jak inni jemu podobni, ponieważ chwyta bezwartościowe nowinki, a własny skarb wyrzuca do śmieci.

Prawdziwy pełnomocnik jednak chyba wyjechał z Okzat-Ozkat; od wielu tygodni nie spotkała go na ulicy. Przyjęła to z dużą ulgą. Wołała go widywać w wyobraźni.

Już nie pytała, czym zajmują się *maz*. Każde dziecko to wiedziało. *Maz* opowiadali. Opowiadali wciąż od nowa, czytali, recytowali, dyskutowali, wyjaśniali i tworzyli. Tematy ich opowiadań nie były ustalone i nikt ich nie definiował. Ciągłe się rozrastały, gdyż nie wszystkie teksty były zapożyczane od innych, nie wszystkie opowieści pochodziły z dawnych czasów, nie wszystkie myśli i idee zostały przekazane z pokolenia na pokolenie.

Kiedy po raz pierwszy spotkała *maz* Odiedina Manmę, opowiadał historię o młodzieńcu z wioski u stóp Silong, który śnił, że potrafi latać. Śnił o lataniu tak często i wyraziście, że zaczął je brać za jawę. Opisywał uczucia, jakich doznawał podczas lotu, oraz tereny oglądane z góry. Rysował mapy pięknych nieznanymi krajów, które odkrywał w trakcie podniebnych wędrówek. Ludzie przychodzili do niego, żeby posłuchać o lataniu i popatrzeć na te cudowne mapy. Ale pewnego dnia, schodząc korytem rzeki w poszukiwaniu zabląkanego eberdyna, poślizgnął się, spadł i zabił. Na tym historia się kończyła. Odiedin Manma nie komentował jej, nikt nie zadawał pytań. Do opowiadania doszło w domu *maz* Ottiar i Uminga. Później Satti zaczęła rozmawiać z *maz* Ottiar Uming, ponieważ ta historia wzbudziła jej zdziwienie.

– Manma, partner Odiedina, zginął w wieku dwudziestu siedmiu lat. Byli *maz* tylko przez rok – powiedziała stara kobieta.

– I Manma opowiadał o swoich snach?

– Nie. To jest historia, *joz*. Historia Odiedina Manmy. To on ją opowiada. Resztą jego opowiadania jest ciało. – Miała na myśli ćwiczenia, gimnastykę, w której Odiedin celował.

– Rozumiem – mruknęła Satti i odeszła zamyślona.

Jedno wiedziała na pewno, jednego na pewno się nauczyła tu, w Okzat-Ozkat: słuchać. Słuchać, słyszeć, nieustannie natężyć słuch. Unosić słowa z sobą i wsłuchiwać się w nie na nowo. Jeśli opowiadanie było umiejętnością *maz*, słuchanie stanowiło specjalność *joz*. I, jak wszyscy lubili podkreślać, jedno nie miało racji bytu bez drugiego.

Nadeszła zima, prawie bezśnieżna, lecz przejmująco mroźna. Wichry spadały na ziemię z dzikich gór na wschodzie i północy. Iziezi zaprowadziła Satti do sklepu z używaną odzieżą, gdzie kupiły zniszczony, lecz solidny kozuch z jedwabistego runa. Kaptur był podbity pierzastym futrem jakiegoś zwierzęcia, o którym Iziezi powiedziała: „Wszystkie wyginęły. Za wielu myśliwych”. Wyjaśniła też, że nie jest to skóra eberdyna, jak podejrzewała Satti, lecz minula, zwierzęcia z wysokich gór.

Kozuch sięgał jej do kolan i przykrywał cholewy lekkich, podbitych futrem butów. Były nowe, zrobione ze sztucznych materiałów, przeznaczone do górskich sportów. Ludzie bez sprzeciwu akceptowali nowe technologie i produkty, jeśli sprawdzały się lepiej niż stare, a ich używanie nie wymagało zmiany obyczajów. Satti uznała to za rozsądny konserwatyzm, ale w kraju nastawionym na nieograniczony postęp takie zachowanie wydawało się bluźnierstwem.

I tak Satti zaczęła maszerować po zlodowaciałych ulicach w starym kozuchu i nowych butach. W zimie wszyscy w Okzat-Ozkat wyglądali tak samo – oczywiście z wyjątkiem umundurowanych urzędników, których kozuchy i kaptury były zrobione ze sztucznych materiałów w jaskrawych urzędowych kolorach: fioletowym, rdzawym, niebieskim. Ale oni także w swoim gronie wyglądali jednakowo. Nielitościwy mróz łączył ich w swoistym braterstwie anonimowości. Kiedy wchodziło się do pomieszczenia, błogosławione ciepło dawało ulgę, przyjemność jednoczącą wszystkich bez wyjątku. Iść mroźnym błękitnym wieczorem po stromych ulicach do jakiegoś ciasnego, mrocznego domu, by zgromadzić się wraz z innymi przy kominku – elektrycznym, gdyż w okolicy było niewiele drewna, a ciepło otrzymywano dzięki lodowatym falom Erehy – zdjąć rękawice i rozetrzeć dłonie, nagle robiące wrażenie nagich i wrażliwych, spojrzeć na inne zarumienione od wiatru twarze i mokre od śniegu rzęsy, usłyszeć cichy pomruk bębenka, tabat, tabat, tabat, a potem cichy głos wyliczający nazwy rzek Hoying, miejsca, w których się spotykały, opowiadający historię Ezid i Anamemy z góry Gama bądź opisujący, w jaki sposób rada *maz* zorganizowała armię do walki z barbarzyńcami z zachodu – to właśnie przez całą zimę sprawiało Satti nieodmienną, intensywną przyjemność.

Mianem barbarzyńców z zachodu, teraz to już wiedziała, nazywano Dowzańczyków. Prawie wszystko, co przekazywali *maz*, wszystkie legendy, historie i filozofia przybyły z centrum i wschodu wielkiego kontynentu, a powstały setki, tysiące lat temu. Z Dowzy nie pochodziło nic prócz języka, którym się posługiwali, a i tak znajdowało się w nim wiele słów wywodzących się z pierwotnego języka z tego rejonu, Rangma, a także innych.

Słowa. Świat stworzony ze słów.

Była również muzyka; niektórzy *maz* śpiewali pieśni takie jak ta, którą Tong Ov zarejestrował w mieście. Satti także je nagrywała, jeśli tylko mogła, choć muzyczny antytalent czynił ją całkowicie głuchą na ich walory. Spotykała się też ze sztuką, rzeźbą, malarstwem i tkaninami wykorzystującymi symbole drzewa, góry, postaci z legend i opowieści. Był i taniec, a także rozmaite rodzaje ćwiczeń i medytacji. Ale najważniejsze były słowa.

Kiedy *maz* narzucali na ramiona symbol swojej funkcji – zwykły kawałek czerwonego

lub niebieskiego materiału – nabierali aury uświęconej władzy. To, co wtedy mówili, stanowiło część opowiadania. Potem zdejmowali szal i stawali się zwykłymi ludźmi, nieroszczącymi sobie praw do duchowego przywództwa. To, co mówili, miało taką samą wagę jak słowa innych. Oczywiście niektórzy domagali się permanentnej władzy. I podobnie jak współplemieńcy Satti, wielu Akan pragnęło mieć przywódcę, złożyć odpowiedzialność na cudzych ramionach. Ale jeśli *maz* mieli jakąś wspólną cechę, to była nią uporczywa skromność. Nie marzyli o zaszczytach. *Maz* Imien Katian był najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem, ale kiedy pewna kobieta zwróciła się do niego pełnym czci tytułem zarezerwowanym dla słynnych *maz* z opowieści – *munan* – zareagował wściekłością:

– Jak śmiesz mnie tak nazywać? – A kiedy odzyskał spokój, dodał: – Może za sto lat, *joz*.

Satti sądziła, że ta skromność wynika z faktu, iż wszystko, czym *maz* zajmowali się z urzędu, stało w sprzeczności z prawem. Kiedy jednak wspomniała o tym w rozmowie z *maz* Ottiar Uming, ta pokręciła głową.

– Och, nie. Musimy się ukrywać, trzymać wszystko w sekrecie, tak. Ale w czasach moich dziadków *maz* żyli tak samo jak my. Nikt nie nosił chusty przez cały dzień! Nawet *maz* Elied Oni... Oczywiście w *umjazu* było inaczej.

– Opowiedz mi o tym.

– *Umjazu* to budynki wznoszone tak, by gromadziła się w nich moc. Miejsca pełne życia. Wielu ludzi mówi i słucha. Wiele książek. Kiedyś *umjazu* stały wszędzie. Tutaj, w Okzat-Ozkat, jeden stał tam, gdzie teraz jest liceum, a drugi – w fabryce pumeksu. I jeszcze wiele w drodze na Silong, w wysokich dolinach, przy głównych drogach, wszędzie *umjazu*, miejsca pielgrzymek. A w dole, gdzie ziemia jest żyzna, stały wielkie, ogromne *umjazu*, z setkami *maz*, którzy w nich mieszkali nawet przez całe życie. Trzymali tam książki, pisali je, prowadzili kroniki i opowiadali. Oddawali temu całe życie. Zawsze byli na miejscu. Każdy mógł do nich przyjść, by wysłuchać opowiadania i przeczytać książki z biblioteki. Były procesje z czerwonymi i niebieskimi flagami. Czasami pielgrzymki zostawały na całą zimę. Ludzie oszczędzali latami, żeby zapłacić *maz* i móc wynajmować mieszkanie. Babka opowiedziała mi o swojej wizycie w Czerwonym Umjazu w Tenbanie. Miała jedenaście lub dwanaście lat. Podróż i pobyt zajęły im prawie rok. Rodzice mojej babki byli bardzo bogaci, więc mogli jechać przez całą drogę w wozie zaprzęgniętym w eberdyny. Wtedy nie znano samochodów i samolotów. W ogóle. Ludzie przeważnie chodzili pieszo. Ale wszyscy mieli flagi i wstążki. Czerwone i niebieskie. – Ottiar Uming roześmiała się z zachwytem do swoich wspomnień. – Matka mojej matki napisała historię o tej podróży. Kiedyś ją przyniosę i opowiem.

Jej partner, Uming Ottiar, rozwinął duży, sztywny arkusz papieru na zapleczu sklepu. Ottiar Uming pospieszyła mu z pomocą, kładąc czarny wypolerowany kamień na każdym zawijającym się rogu karty. Zaprosili pięciu słuchaczy, by przybyli, pozdrowili mapę gestem góry-serca i studiowali inskrypcje. Pokazy takie odbywały się co trzy tygodnie, a Satti zjawiała się na każdym przez całą zimę. Było to jej pierwsze oficjalne wprowadzenie w system filozoficzny drzewa na przykładzie najcenniejszego przedmiotu będącego w posiadaniu pary *maz*, podarowanego im przed pięćdziesięciu laty przez nauczyciela cudownej malowanej mapy, mandali Jednego, które jest Dwoma, które daje Trzy i Pięć, i Milion, a Milion znowu Pięć, Trzy, Dwa, Jeden... Drzewo, ciało, góra wpisane w okrąg będący wszystkim i niczym. Subtelne symbole – zwierzęta, ludzie, rośliny, kamienie,

rzeki pełne życia jak migoczące płomienie – tworzyły większe kształty, które się dzieliły, łączyły na nowo, przekształcały w siebie nawzajem i stapiały w całość, jedność z niezliczonych różnorodnych istot, tajemnicę jasną jak słońce.

Satti uwielbiała studiować mapę, czytać inskrypcje i wiersze na jej obrzeżu. Malowidło było piękne, piękne i ulotne były wiersze, cała mapa stanowiła wysublimowane dzieło sztuki, fascynujące, oświecające. *Maz* Uming usiadł i po kilku uderzeniach w bęben zaintonował monotony zaśpiew, jeden z wielu towarzyszących rytuałom i opowiadaniom. *Maz* Ottiar odczytywała inskrypcje i dyskutowała na ich temat; niektóre liczyły czterysta lub pięćset lat. Mówiła cichym, spokojnym głosem. Studenci zadawali pytania cicho i z wahaniem. Ona odpowiadała w ten sam sposób. Potem cofnęła się, usiadła i podjęła brzęczący zaśpiew, a stary Uming, na wpół ślepy, z wymową zniekształconą po wylewie, wstał i zaczął mówić o wierszu:

– Napisał go *maz* Niniu Raying pięć, sześć, siedem setek lat temu... Hm? Znajduje się w *Drzewie*. Ktoś go tam zapisał, dobry kaligraf, ponieważ mówi o tym, jak liście drzewa giną, ale zawsze będą wracać, dopóki je widzimy i opowiadamy. Widzicie, to tutaj: „Słowo, złoto, co nie upada, powraca na gałąź w chwale”. – Uśmiechnął się do wszystkich dobrym, asymetrycznym uśmiechem. – Pamiętajcie, hm? „Życiem umysłu jest pamięć”. Nie zapominajcie!

Roześmiał się, uczniowie także. A przez cały czas w głównym pomieszczeniu sklepu wnuk *maz* puszczał dziarską muzykę, hasła i wiadomości, by zagłuszyć nielegalną poezję, zakazany śmiech.

Szkoda, choć nic w tym dziwnego, zapisała Satti w noterze, że stara dyscyplina kosmologiczno-filozoficzno-duchowa zawiera tak wiele przesądów i stoi na krawędzi tego, co oznaczam w noterze symbolem CM – czary-mary. Potężna dżungla znaczeń miała też swoje moczary i bagna, w których Satti zaczęła grzęznąć. Kilku *maz* twierdziło, że posiadają wiedzę tajemną i nadnaturalne moce. Te przechwałki wydawały się jej nudne, ale wiedziała, że nie może z góry wyrokować, co ma znaczenie, a co nie, więc w pocie czoła zachowywała każdą informację dotyczącą alchemii, numerologii i dosłownego odczytywania symbolicznych tekstów. *Maz* niechętnie dzielili się z nią owymi strzępami tekstów i filozofii, okraszając je ponurymi ostrzeżeniami przed niebezpieczną mocą tej wiedzy.

Satti darzyła szczególną niechęcią dosłowne odczytania tekstów. Były głupie i obraźliwe, a ona wiedziała, że to właśnie przez taką dosłowność i fundamentalizm religia wymyka się swoim twórcom spod kontroli. Mimo to zamieszczała je bez wyjątku w noterze, którego zawartość musiała już dwa razy porządkować w kryształowym banku danych, gdyż nie mogła przesłać takiego chaotycznego zbioru rzeczy ważnych i nieważnych. Ponieważ wszystkie środki komunikacji znajdowały się pod kontrolą państwa, nie mogła spytać Tonga Ova, co powinna zrobić z zebrany materiałem. Nie mogła mu nawet powiedzieć, co znalazła. Problem nie dawał się rozwiązać i rósł coraz bardziej.

Pomiędzy CM znajdowało się zagadnienie spotykane prawdopodobnie tylko na Ace: system tajnego znaczenia, zależnego od linii, z których składały się wyrazy-symbole, a także innych linii i kropek, określający ich czas, przypadek, czynność lub żywioł (gdyż wszystko, dosłownie wszystko dawało się podciągnąć pod którąś z czterech czynności czy któryś z pięciu żywiołów). W ten sposób każdy ideogram starego pisma stawał się szyfrem interpretowanym przez specjalistów, przypominających nieco wróżbitów, których Satti

spotykała we własnym kraju. Odkryła, że wielu mieszkańców Okzat-Ozkat, w tym nawet urzędnicy państwowi, nie podejmowało żadnej ważnej czynności, nie zwróciwszy się uprzednio do „czytającego znaki”, który zapisywał ich nazwisko oraz inne ważne słowa, przepuszczał je przez skomplikowane wykresy i diagramy i wreszcie udzielał rady oraz przepowiedni. „Takie zachowania sprawiają, że zaczynam rozumieć pełnomocnika”, zwierzyła się noterowi. Potem dodała: „Nie. Pełnomocnik właśnie tego chce od własnego CM. Politycznego CM. Oczywiście pod warunkiem że wszystko będzie pod kontrolą, na swoim miejscu. Ale i on oddał swój los w ręce wyższej siły, tak jak oni”.

Wiele tutejszych praktyk miało na Ziemi swoje odpowiedniki. Ćwiczenia takie jak joga i tai-chi, dotyczące ciała i ducha, były dyscypliną przestrzeganą przez całe życie i prowadzącą do wyższej świadomości, transu lub gotowości bojowej, zależnie od zamiarów prowadzącego. Trans był celem samym w sobie, doświadczeniem spokoju i równowagi raczej nieprzypominającym satori czy mistycznych przeżyć. Modlitwa... Zaraz, jak to właściwie jest z tą modlitwą?

Akanie nigdy się nie modlili.

Wydało się jej to tak dziwne, tak nienaturalne, że zaczęła się zastanawiać, czy potrafi określić, czym naprawdę jest modlitwa.

Jeśli prośbą o coś, to Akanie jej nie znali. Nie pozwalali sobie na nią nawet w takim stopniu jak ona. Wiedziała, że jeśli się przestraszy, zawoła: „O, Ram!”, a jeśli będzie w rozpacz, wyszepta: „Proszę, proszę”. Słowa te nie miały żadnego znaczenia, ale były rodzajem modlitwy. Na Ace nigdy się nie spotkała z czymś podobnym. Tutaj ludzie potrafili wyrażać dobre życzenia: „Obyś miał dobry rok”, „Oby twoje interesy szły dobrze”, a także przeklinali: „Oby twoi synowie jedli kamienie”, jak mruknął Diodi, mężczyzna na wózku, na widok urzędnika w niebiesko-brązowym mundurze. Ale były to życzenia, nie modlitwy. Akanie nie prosili boga, by im sprzyjał czy pognębił ich wrogów. Nie prosili bóstwa o wygraną na loterii lub wyleczenie chorego dziecka. Nie prosili chmur, by dały im deszcz, czy ziarna, by rosło. Wypowiadali życzenia, wyrażali nadzieję, ale się nie modlili.

A może...? Jeśli modlitwa jest pochwałą?

Zaczęła rozumieć nawet ich opisy naturalnych zjawisk, spis leków użyźniacza, mapy gwiazd, spisy kruszców i minerałów, zachwyty nad różnorodnością i wyjątkowością, bogactwem i urodą tego świata, uczestnictwo w pełni życia. Opisywali, nazywali, opowiadali o wszystkim. Ale o nic się nie modlili. I nie poświęcali niczego. Oprócz pieniędzy.

Aby zyskać pieniądze, należało je najpierw oddać: od tej zasady nie było odwołania. Przed każdym przedsięwzięciem finansowym zakopywano srebrne i miedziane monety, rzucano je do rzeki lub oddawano żebrakom. Przekuwano złote monety na koronkowe liście, którymi dekorowano nisze, kolumny, nawet całe ściany. Czasem robiono z nich cienkie złote nici i tkano olśniewające szale i szarfy, które dawano w dniu Nowego Roku. Złote i srebrne monety trafiały się rzadko, gdyż Korporacja, pełna odraży do takiego marnotrawstwa, operowała głównie banknotami. A zatem ludzie palili papierowe pieniądze jak kadzidło, robili z nich łódeczki i puszczali rzeką, siekali i zjadali z sałatką. Sam zwyczaj był czystym CM, ale Satti wydał się zachwycający. Podrzynanie gardeł kozom czy synom pierwotnym w celu zjednania mocy robiło wrażenie najgorszej perwersji, ale w poświęcaniu pieniędzy dostrzegła pewien urok. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Kiedy w Nowy Rok spotykano przyjaciela lub znajomego, zapalano banknot i

machano nim jak małą pochodnią, życząc sobie nawzajem zdrowia i dostatku. Widziała nawet, że robili to korporacyjni pracownicy. Była ciekawa, czy pełnomocnik także.

Ludzie naiwni, których poznała na opowiadaniach i w klasach, a także Diodi oraz inni przyjaźni mieszkańcy ulicy wierzyli w czytanie znaków i alchemiczne cuda, w kółko mówili o diecie zapewniającej wieczne życie, ćwiczeniach, dzięki którym starożytni bohaterzy zyskali dość siły, by pokonać całe armie. Nawet Iziezi upierała się przy czytaniu znaków. Ale *maz*, uczeni, nauczyciele nie przypisywali sobie żadnej szczególnej mocy czy osiągnięć. Twardo i nieustępliwie stali na ziemi. „Żadnych cudów!” – zapisała Satti triumfalnie.

Zakodowała notatki, ubrała się w kozuch i wysokie buty i ruszyła w lodowatym wczesnowiosennym wietrze na gimnastyczne zajęcia *maz* Odiedina Manmy. Po raz pierwszy od wielu tygodni widać było Silong, nie ścianę, tylko wierzchołek, wystający jak srebrny pazur ponad sinymi burzowymi chmurami.

Satti chodziła regularnie na ćwiczenia w towarzystwie Iziezi. Często zostawała dłużej, by popatrzeć, jak Akidan i inni młodzi wykonują dwa–jeden, rodzaj gimnastyki pełnej efektownych zwodów i upadków. Odiedin Manma, opowiadacz dziwnej historii o młodzieńcu, który śnił o lataniu, wzbudzał wielki podziw u młodych. To właśnie oni zaprowadzili ją do niego. Organizował surowe w formie, bardzo piękne medytacje. Zaprosił ją do uczestnictwa w swoich zajęciach.

Grupa spotykała się w starym magazynie nad rzeką, o wiele bardziej niebezpiecznym niż była świątynia, obecne liceum, do której chodziła z Iziezi i w której odbywały się legalne zajęcia zalecane przez rząd i służące jako przykrywka właściwych sesji. Magazyn tonął w mroku. Światło wpadało jedynie przez brudne wąskie okna tuż pod okapem dachu. Nikt się nie odzywał, chyba że najcichszym szeptem. Dlatego to, co się tam wydarzyło, wydawało się Satti nieprawdopodobne i, do czego doszła po jakimś czasie, nie do udowodnienia.

Tego ranka koło niej siedział mężczyzna, który wbił w nią wzrok natychmiast, gdy zajęła miejsce na macie. Patrzył na nią uporczywie przez całą pierwszą część gimnastyki. Mrugał do niej, szczyrzył zęby, machał rękami. Nikt tak jej wcześniej nie potraktował. Była coraz bardziej rozdrażniona i zawstydzona, aż wreszcie podczas długiej figury zerknęła na niego i zorientowała się, że jest niespełna rozumu.

Grupa przystąpiła do zestawu ćwiczeń, których jeszcze nie знаła. Obserwowała uczestników i naśladowała. Jej pomyłki i niedokładności zdenerwowały mężczyznę obok niej. Usiłował jej pokazać, kiedy i jak powinna się ruszać, demonstrował gesty z przesadną wyrazistością. Wszyscy wstali, ale ona dalej siedziała, co zawsze było dopuszczalne, lecz bardzo zaniepokoiło biedaka. Poruszył ręką, dając jej znak, żeby się podniosła. Poruszył bezgłośnie ustami, mówiąc: „Wstań!”. Znowu wskazał w górę. Wreszcie szepnął:

– Wstań! O, tak... rozumiesz?

I zrobił krok w powietrze. Postawił stopę na niewidzialnym schodku, dostawił do niej drugą. W ten sam sposób wszedł na drugi stopień. Stał boso jakieś pół metra nad podłogą, spoglądał na nią z góry, uśmiechał się niespokojnie i ponaglał ją gestami do wstania. Unosił się w powietrzu.

Odiedin, szczupły pięćdziesięciolatek ze skrawkiem niebieskiego materiału na ramionach, podszedł do niego szybkim krokiem. Inni spokojnie wykonywali zestaw

ćwiczeń, chwając się na boki jak las wodorostów.

– Zejdź, Uki – szepnął Odiedin.

Wyciągnął rękę i pomógł mężczyźnie zejść po dwóch nieistniejących schodkach na podłogę. Poklepał go delikatnie po ramieniu i poszedł dalej. Uki podjął znowu ćwiczenia, gnąc się i obracając z nieskazitelną gracją i energią. Najwyraźniej już zapomniał o Satti.

Po zajęciach nie miała odwagi zadać Odiedinowi tego pytania. Zresztą jak miało brzmieć? „Widziałeś to samo co ja? Czy ja to widziałam?”. Głupio. Coś takiego nie mogło się zdarzyć, bo wtedy *maz* odpowiedziałby pytaniem. A może nie spytała go ze strachu, że odpowie: tak.

Skoro mim potrafi zakłąć powietrze w kształt klatki, jeśli fakir umie się wspinać po linie przywiązanej do powietrza, dlaczego biedny wariat nie może chodzić w powietrzu? Jeśli siła duchowa może poruszać góry, to czy nie zdoła stworzyć schodów? Stan półtransu. Hipnoza albo sugestia hipnotyczna. Opisała to wydarzenie w swoich notatkach bez komentarza. Stopniowo upewniała się, że musiał tam być jakiś schodek, którego nie zauważyła w mroku, ławka, może pomalowana na czarno skrzynka. Oczywiście coś tam musiało być. Zamilkła, lecz nie dodała nic więcej. Prawie widziała tę ławkę czy skrzynkę. Ale nie do końca.

Za to dokładnie widziała te dwie zniekształcone przez odciski muskularne stopy, wchodzące po niewidzialnej górze. Zastanawiała się, jakie jest w dotyku powietrze, kiedy się po nim chodzi. Chłodne? Sprężyste?

Po tym wydarzeniu uważniej czytała stare opowieści o chodzeniu po wietrze, jeździe na chmurach, podróżach do gwiazd, pokonywaniu wrogich armii uderzeniem pioruna. Takie czyny były przypisywane bohaterom i mądrym *maz* z dawnych czasów i dalekich krajów, choć wiele z nich było obecnie możliwych dzięki nowoczesnym technologiom. Nadal uważała, że są to literackie metafory i nie należy ich brać dosłownie. Nie znalazła żadnych wyjaśnień.

Ale zmieniło się coś w jej nastawieniu. Wiedziała, że nadal niczego nie rozumie, a jej ignorancja jest tak wielka i bezbrzeżna, że odbiera jej szansę zrozumienia czegokolwiek.

„Nie widzisz lasu, bo go zasłaniają drzewa, tratatata – burknął głos wujka Hurree. – Poezja, dziewczyno, poezja. Czytaj *Mahabharatę*. Tam jest wszystko”.

– *Maz Elied* – powiedziała. – Czym się zajmujesz?

– Opowiadam, *joz Satti*.

– Tak. Ale te historie, te wszystkie opowiadania do czego służą?

– Opowiadają świat.

– Jak to?

– Tym się zajmują ludzie. Do tego są.

Maz Elied jak wielu innych mówiła cicho i raczej z wahaniem, robiąc liczne pauzy i zaczynając, kiedy można się było spodziewać, że się już nie odezwie. Milczenie stanowiło część jej wypowiedzi. Była malutka, kulawa i bardzo pomarszczona. Jej rodzina miała mały sklep z artykułami żelaznymi w najbiedniejszej dzielnicy miasta, gdzie prawie nie było budynków z kamienia i drewna, a ludzie mieszkali w zwykłych namiotach, jurtach i pod kocami przykrytymi plastikiem. W sklepie roiło się od bratanków i siostrzenic *maz*. Mały brzdąc raczkował po kątach i z zapalem pożerał uszczelki i drobne śrubki. Na ścianie za ladą wisiała bardzo stara dwuwymiarowa fotografia *Elied* z jej partnerką *Oni*: *Oni Elied* ładna, wysoka, o rozmarzonych oczach, *Elied Oni* malutka, pełna życia, śliczna.

Trzydzieści lat temu aresztowano je za zbrodnię seksualną i szerzenie wstecznych nauk. Wysłano je do obozu reedukacyjnego na zachodnim wybrzeżu. Oni w nim umarli, Elied wróciła po dziesięciu latach, kulawa, bez zębów; nigdy nie powiedziała, czy je jej wybito, czy straciła je przez skorbut. Nie mówiła o sobie, żonie, swoim wieku czy troskach. Dni upływały jej w nieodmiennym rytuale dotyczącym wszystkich cielesnych potrzeb i funkcji: przygotowywanie posiłków, sen, nauczanie, ale przede wszystkim czytanie i opowiadanie, ciche, niekończące się powtórki tekstów, których uczyła się przez całe życie.

Początkowo Satti uznała ją za nieludzką, niedostępną i obojętną jak chmura – miejscowa święta, żyjąca całkowicie we własnym świecie, rodzaj automatu bez emocji i charakteru. Bała się jej. Bała się, że ta kobieta, która tak doskonale ucieleśniała system i która oddała mu całe życie, okaże się histeryczką, ofiarą obsesji, despotką nieznoszącą sprzeciwu – wszystkim, czego się bała i czym nie chciała się stać. Ale kiedy zaczęła słuchać jej opowiadań, ukazała się jej kobieta o zdyscyplinowanym umyśle, choć mówiła o rzeczach niedających się objąć rozumem. Elied mówiła o nich „nierozumne”. Niegdyś, kiedy Satti usiłowała znaleźć myśl łączącą kilka opowiadań, Elied powiedziała:

– To, co robimy, jest nierozumne, *joz*.

– Ale jest w tym mądrość?

– Być może.

– Nie rozumiem zasady. Miejsca, ważnych spraw. Wczoraj opowiadałaś historię o łamaniu i Deberren, ale jej nie skończyłaś, a dziś czytałaś opis liści drzew w zagajniku na Żółtej Górze. Nie rozumiem, co mają z sobą wspólnego. Czy chodzi o to, że określony materiał jest przypisany określonym dniom? A może moje pytania są... głupie?

Elied roześmiała się cicho, wstydliwie, ukazując bezzębne dziąsła.

– Nie. – A po chwili namysłu dodała: – Męczy mnie pamiętanie. Dlatego czytam. To nie ma znaczenia. To wszystko liście jednego drzewa.

– Więc... wszystko... wszystko, co jest w książkach, ma taką samą wagę?

Stara *maz* zastanowiła się poważnie.

– Nie. Tak. – Odetchnęła z trudem. Szybko się męczyła, jeśli nie mogła odpocząć w strumieniu rytualnych zachowań i języka, ale nigdy nie unikała pytań Satti. – To wszystko, co mamy. Rozumiesz? Tak właśnie posiadamy świat. Bez opowiadania nie mamy zupełnie nic. Chwila mija jak woda w rzece. Zginęlibyśmy, gdybyśmy chcieli żyć chwilą. Bylibyśmy jak dzieci. Dzieci to potrafią, ale my byśmy utonęli. Nasze umysły chcą opowiadań, potrzebują ich. Żeby się czegoś uchwycić. W przyszłości nie znajdziemy punktu oparcia. Przyszłość na razie nie istnieje. Jak można nią żyć? Więc wszystko, co mamy, to słowa opowiadające, co się stało i staje, co było i jest.

– Pamięć? – podpowiedziała Satti. – Historia?

Elied skinęła głową z powątpiewaniem, nieusatysfakcjonowana tymi określeniami. Przez jakiś czas siedziała w zamyśleniu i wreszcie oznajmiła:

– Nie istniejemy poza światem, *joz*. Wiesz? Jesteśmy nim. Jesteśmy jego językiem. Więc żyjemy i on także żyje. Rozumiesz? Jeśli nie wypowiadamy słów, czym jest nasz świat?

Dygotała, dłonie i usta drżały jej w spazmach, które usiłowała ukryć. Satti podziękowała jej gestem góry-serca, przeprosiła za zmęczenie, na które ją naraziła. Elied uśmiechnęła się wstydliwym bezzębnym uśmiechem.

– O, *joz*, dzięki mówieniu żyję. Tak jak świat.

Satti odeszła i pogрузzyła się w rozmyślanie. Więc chodzi o język. Zawsze wracała do

słów. Tak jak Grecy mieli Logos, Hebrajczycy Słowo, które było Bogiem. A tutaj słowa. Nie Logos, nie Słowo, lecz słowa. Nie jedno, lecz wiele, wiele... Nikt nie stworzył świata, nikt nie rządził światem. Świat był. Był dzięki ludziom, dzięki nim był światem ludzkim. Dzięki językowi? Opowiadaniu, co w nim się wydarza lub wydarzyło? Wszystko, dosłownie wszystko – opowieści o herosach, mapy gwiazd, pieśni miłosne, opis budowy liści... Przez chwilę wydawało się jej, że zrozumiała.

Zwróciła się z tą na wpół sprecyzowaną wiedzą do *maz* Ottiar Uming, z którą zawsze rozmawiało się jej lepiej niż z Elied. Usiłowała to ująć w słowa, ale Ottiar była zajęta śpiewaniem, więc Satti zaczęła rozmawiać z Umingiem, lecz jej słowa nagle stały się martwe, zniekształcone. Nie potrafiła wyrazić tego, co podpowiadała jej intuicja.

Kiedy tak usiłowali się nawzajem zrozumieć, Uming Ottiar pokazał się jej z nowej strony. Był to chyba pierwszy raz, kiedy spotkała się z goryczą ze strony tych cichych nauczycieli. Mimo kalectwa mówienie przychodziło mu bez trudu, więc zaczął swobodnie, początkowo dość łagodnie:

– Zwierzęta nie mają języka. Mają własną naturę. Rozumiesz? Wiedzą wszystko, wiedzą, gdzie iść i jak, idą za swoją naturą. Ale my jesteśmy zwierzętami bez natury. Hm? Zwierzęta bez natury! Jesteśmy dziwni! Musimy mówić o tym, jak chodzić, myśleć o tym, uczyć się, studiować. Hm? Jesteśmy urodzeni, by być rozumni, więc rodzimy się nierozumni. Rozumiesz? Jeśli nikt nie pokaże małemu dziecku, dwu-, trzylatkowi, jak szukać drogi, jak wygląda droga, wtedy ono zgubi się w górach, prawda? I umrze w nocy, na zimnie. No. No. – Zakołysał się lekko.

Po drugiej stronie małego pokoiku *maz* Ottiar stukala w bębenek, mamrocząc długą kronikę dawnych dni sennemu dziesięciolatkowi.

– Więc bez opowiadania kamienie, rośliny i zwierzęta radzą sobie w życiu, ale nie ludzie. Ludzie błędzą. Nie odróżnią góry od jej odbicia w kałuży. Nie odróżnią ścieżki od przepaści. Krzywdzą się. Gniewają się na siebie nawzajem i robią inne rzeczy. Krzywdzą w gniewie zwierzęta. Kłócą się i oszukują. Zbyt wiele pragną. Zaniedbują obowiązki. Nie sieją. Lub sieją zbyt dużo. Zanieczyszczają łajnem rzeki. Poją ziemię trucizną. Ludzie jedzą zatrutą żywność. Wszystko idzie na opak. Wszyscy są chorzy. Nikt się nie opiekuje chorymi ludźmi, chorymi rzeczami. Ale to bardzo źle, bardzo źle, hm? Ponieważ powinniśmy się opiekować różnymi stworzeniami, to nasze zadanie. Opiekować się stworzeniami, opiekować się sobą nawzajem. Kto to robi, jeśli nie my? Drzewa? Rzeki? Zwierzęta? One są, czym są. Ale my jesteśmy i musimy się nauczyć, jak tu być, jak robić różne rzeczy, jak sprawiać, żeby wszystko szło swoim torem. Reszta świata wie, co do niej należy. Zna Jeden i Milion, drzewo i liście. Ale my potrafimy tylko nauczać. Jak się uczyć, jak mówić, jak opowiadać świat. Jeśli nie będziemy go opowiadać, nie zrozumiemy go. Zgubimy się w nim, umrzemy. Musimy go opowiedzieć, jak należy, opowiedzieć go prawdziwie. Hm? Zająć się nim i opowiedzieć prawdziwie. To właśnie się zepsuło. Tam w dole, w Dowzie, kiedy zaczęli kłamać. Ci fałszywi *maz*, ci *munan*, ci wielcy *maz*. Opowiadali ludziom, że nikt oprócz nich nie zna prawdy, nikt oprócz nich nie może mówić, wszyscy muszą powtarzać te same kłamstwa. Zdrajcy, lichwiarze! Sprowadzili ludzi na manowce dla pieniędzy! Wzbogacili się na kłamstwach ci uzurpatorzy! Nic dziwnego, że świat stanął w miejscu! Nic dziwnego, że policja nami rządzi.

Staruszek poczerwieniał i potrzasał zdrową ręką, jakby trzymał w niej kij. Jego żona wstała, podeszła do niego, włożyła mu w rękę bębenek i pałeczkę, ani na chwilę nie

przerywając brzęczącej recytacji. Uming zagryzł wargę, pokręcił głową, fuknął z irytacją, mocno uderzył w bębenek i podjął recytację od następnej linijki.

– Przepraszam – powiedziała Satti, którą Ottiar odprowadziła do drzwi. – Nie chciałam zdenerwować *maz* Uminga.

– Och, nie szkodzi. Wszystko to się wydarzyło, zanim się urodziłam/urodziliśmy. W Dowzie.

– Nie należeliście do Dowzy?

– My tutaj jesteśmy przeważnie Rangma. Moi/nasi dziadkowie mówili w języku Rangma. Nie znali dowzańskiego, dopóki nie zjawiała się korporacyjna policja i nie nakazała wszystkim się uczyć. Nie lubili go! Starali się mówić z okropnym akcentem.

Uśmiechnęła się wesoło, więc Satti odpowiedziała tym samym, ale odeszła, gubiąc się w domysłach. Tyrada przeciwko „uzurpatorom” dotyczyła okresu sprzed rządów dowzańskiej Korporacji, sprzed przybycia policji, prawdopodobnie nawet sprzed przybycia pierwszych obserwatorów z Ekumeny. Nagle uświadomiła sobie, że te setki historii i opowieści, które słyszała, dotyczyły wydarzeń z całej Aki z wyjątkiem Dowzy i wszystkie rozgrywały się w dawnych czasach. Żadna nie mówiła o przyjeździe pozaświatowców, powstaniu Korporacji Państw czy jakimkolwiek wydarzeniu z ostatnich siedemdziesięciu lat.

– Iziezi – powiedziała Satti tego samego wieczora. – Kim byli wielcy *maz*?

Pomagała swojej gospodynie obierać pewien rodzaj grzyba, który właśnie dojrzał wysoko w górach, gdzie topniał śnieg, na skraju rozmarzającej skorupy lodu. Nazywał się demiedi, powitanie wiosny. Smakował jak śnieg i dobrze pasował do pieprznych pędów banamu i tłustej ryby, dzięki czemu soki pozostawały klarowne, a serce lekkie. Wielu rzeczy tego świata nawet nie zaczęła pojmować, ale nauczyła się, kiedy, dlaczego i jak przyrządzać potrawy.

– Och, to było dawno. W Dowzie, kiedy zaczęli się rządzić.

– Sto lat temu?

– Może i tak dawno.

– Kim jest „policja”?

– Och, wiesz. Niebiesko-brązowi.

– Tylko oni?

– Zdaje się, że wszystkich ich nazywamy policją. Wszystkich stamtąd. Dowzan... Najpierw aresztowali głównego *maz*. Potem zaczęli aresztować wszystkich *maz*. Kiedy wysłali żołnierzy, żeby pojmać wszystkich ludzi w naszym *umjazu*, nazwaliśmy ich policją. *Skuyen* to też policja. A przynajmniej mówi się, że pracują dla policji.

– Kto to są *skuyen*?

– Ludzie, którzy donoszą Dowzanom o nielegalnych rzeczach. Książkach, opowiadaniach, wszystkim... Za pieniądze. Albo z nienawiści. – Przy ostatnich słowach jej łagodny głos się zmienił. Twarz znowu ściągnęła się w grymasie bólu.

Książki, opowiadania, wszystko. To, co gotujesz. Z kim się kochasz. Jak piszesz słowo „drzewo”. Wszystko. Nic dziwnego, że system jest niespójny, fragmentaryczny. Nic dziwnego, że świat Uminga stanął w miejscu. Dziwne, że w ogóle coś pozostało.

Następnego ranka, jakby jej rozmyślania przywołały go z niebytu, pełnomocnik minął ją na ulicy, nie spojrzawszy nawet w jej stronę. Kilka dni później wybrała się z wizytą do *maz* Soty Ang. Jego sklep był zamknięty. Po raz pierwszy, od kiedy tu przybyła. Zagadnęła sąsiada zamiatającego schodki przed domem, czy sklepikarz wkrótce wróci.

– Zdaje się, że ten producent-konsument wyjechał – odparł bez zainteresowania.

Elied pożyczyła jej przepiękną starą książkę – pożyczyła lub dała, Satti nie była tego pewna. „Zatrzymaj ją, u ciebie jest bezpieczna”, powiedziała. Była to stara antologia wierszy ze Wschodnich Wysp, niewyczerpany skarb. Satti zajęła się nią bez reszty, studiując ją i przenosząc jej treść do notera. Po kilku dniach znowu wybrała się z wizytą do użyźniacza. Wspinała się stromą uliczką, której bruk lśnił oślepiająco w blasku słońca. Wiosna pojawiła się na podgórzu późno, lecz wybuchła gwałtownie. Powietrze skrzyło się brylantowo od słonecznych promieni.

Satti minęła sklep i nie poznała go. Kilka metrów dalej stanęła zdezorientowana, wróciła i znalazła sklep. Cały front był zamalowany na biało, ślepa biała ściana. Wszystkie znaki, wyraźne symbole, wszystkie stare słowa zniknęły. Uciszone. Śnieg... Drzwi były uchylone. Zajrzała do środka. Lady poprzewracane, dziesiątki malutkich szufladek wyrwane z szafy. Pokój stał pusty, brudny, zrujnowany. Ściany, na których widziała żywe słowa, słowa, które oddychały, zostały zasmarowane brązową farbą. „Podwójnie rozwidlone drzewo błyskawicy...”.

Kiedy opuszczała sklep, sąsiad znowu wyjrzał. Zamiatał schodki. Chciała się do niego odezwać, ale zmieniła zdanie. *Skuyen?* Skąd mogła wiedzieć?

Ruszyła z powrotem do domu, a potem, widząc rzekę migoczącą w dole ulicy, zawróciła i wyszła z miasta drogą prowadzącą wzdłuż brzegu. Niegdyś przemierzała tę ścieżkę, dawno, dawno temu, wczesną jesienią, kiedy czekała, aż poseł wezwie ją do miasta. Szła wzdłuż brzegu, za krzakami, które wypuszczały świeże listki, i skarłowatymi drzewami. Ereha, pełna topniejącego lodu, miała mlecznobłękitny kolor. W rozpadlinach drogi chrupał lód, ale słońce paliło Satti w kark i plecy. Usta nadal miała suche od wstrząsu. Bolało ją gardło.

Wracać do miasta. Powinna wrócić do miasta. Natychmiast. Z trzema kryształami i noterem pełnym tekstów, pełnym poezji. Oddać wszystko Tongowi Ovowi, zanim pełnomocnik położy na tym łapy.

Nie mogła wysłać swego kłopotliwego bagażu. Musiała zabrać go z sobą. Ale na podróż musiała dostać pozwolenie. O, Ram! Gdzie jej ZIL? Nie nosiła go od miesięcy. Nikt tu nie używał ZIL-ów, chyba że pracował dla Korporacji albo wybierał się do urzędu. Bransoletka leżała w jej walizce w pokoju. Satti musiała skorzystać z telefonu na Dock Street, posługując się przy tym ZIL-em, by połączyć się z Tongiem i poprosić o zezwolenie na powrót do miasta. Samolotem. Popłynąć łodzią do Etlit i tam wsiąść na pokład samolotu. Zrobić to wszystko oficjalnie, otwarcie, żeby wszyscy wiedzieli i nie mogli jej powstrzymać, zwieść w jakiś sposób. Skonfiskować jej nagrania.

Gdzie jest *maz* Soty? Co z nim zrobili? Czy to przez nią?

Teraz nie mogła o tym myśleć. Musiała uratować to, co od niego dostała. Od niego, Ottiar, Uminga, Odiedina, Elied i Iziezi, kochanej Iziezi... Nie, teraz nie mogła o tym myśleć.

Pospiesznie wróciła do miasteczka, znalazła bransoletkę, poszła na Dock Street i poprosiła o połączenie z posłem Tongiem Ovem w Biurze Ekumenalnym w Dowza City. Dowzańska sekretarka odebrała telefon i oznajmiła wyniośle, że poseł jest na zebraniu.

– Muszę z nim mówić, natychmiast – warknęła Satti i nie zdziwiła się, kiedy sekretarka natychmiast powiedziała pokornie, że już go woła.

Po chwili w słuchawce rozległ się głos Tonga.

– Panie pośle – odezwała się Satti w języku haińskim, dziwnie brzmiącym w jej ustach.
– Tak dawno nie mieliśmy z sobą kontaktu, że poczułam, iż pora porozmawiać.

– Rozumiem – odparł Tong i dodał jeszcze parę słów bez większego znaczenia, podczas gdy ona usiłowała znaleźć jakiś sposób, by przekazać mu wiadomość. Gdybyż tylko znał któryś z jej języków, gdybyż znała jego język! Lecz oboje mówili jedynie w haińskim i dowzańskim.

– Ale ogólnie nic się nie dzieje? – spytał.

– Nie, nic szczególnego. Chciałabym jednak przywieźć materiał, który zgromadziłam. Notatki z codziennego życia w Okzat-Ozkat.

– Miałem nadzieję, że zdołam przyjechać, lecz zdaje się, że na razie istnieją ku temu przeszkody. Skoro okno jest tak wąskie, szkoda zasłaniać żaluzje. Ale wiem, że kochasz Dowza City. Jestem pewien, że nie znalazłaś tam nic ciekawego. Więc skoro zadanie skończone, wracaj do nas, do miasta, które ci bardziej odpowiada.

Satti zająknęła się kilka razy, zanim wreszcie wykrztusiła:

– Jak wiadomo, jest tu bardzo... Korporacja Państw posiada bardzo jednolitą kulturę, bardzo silną i całkowicie kontrolowaną, bardzo skutecznie kontrolowaną. Tak, tak, wszystko tutaj jest zupełnie takie samo jak w Dowza City. Ale może zostanę tu jeszcze jakiś czas i skończę... skończę nagrania? Nie są zbyt interesujące.

– Nasi gospodarze, jak wiadomo, dzielą się z nami wszystkimi informacjami, a my rewanżujemy się im tym samym. Dostajemy tu mnóstwo świeżego materiału, bardzo pouczającego i inspirującego. Więc to, co tam robisz, właściwie nie jest aż tak istotne. O nic się nie martw. Oczywiście ja też się o ciebie nie martwię. I nie ma takiej potrzeby. Prawda?

– Nie, tak, oczywiście, że nie ma. Naprawdę.

Opuściła urząd telefoniczny, pokazała ZIL przy wyjściu i pospieszyła do pensjonatu, swojego domu. Wydawało się jej, że rozumie enigmatyczne słowa Tonga, lecz teraz nie potrafiła ich odtworzyć. Miała wrażenie, że usiłował jej powiedzieć, żeby została na miejscu, nie przywoziła z sobą tego, co zebrała, ponieważ będzie musiał to pokazać urzędnikom, którzy to skonfiskują. Tak się jej wydawało, ale nie była pewna. Może naprawdę chciał powiedzieć, że jej zadanie nie jest ważne. Może dawał jej do zrozumienia, że nie może jej pomóc.

Przygotowując obiad wraz z Iziezi, nabrała pewności, że spanikowała, niepotrzebnie niepokoiła Tonga, ściągając w ten sposób uwagę na siebie i swoich przyjaciół. Czuła, że musi być ostrożna, więc nie wspomniała o zbezczeszczonym sklepie. Iziezi znała *maz Soty* Ang od lat, ale także nie wspomniała o nim ani słowem. Nie dała po sobie poznać, że coś się stało. Pokazała Satti, jak należy kroić świeżą numiem, cienko i ukośnie, by wydobyć bogactwo smaku.

Był to wieczór, w który nauczała Elied. Po posiłku z Akidanem i Iziezi Satti wyszła samotnie w dół ulicy Rzecznej do biednej dzielnicy, miasta jurt, gdzie Korporacja nie przyniosła elektrycznego kagańca oświaty i w ciemnościach migotały tylko słabe płomyki lamp naftowych w szałasach i namiotach. Wiało chłodem, ale nie było to przenikliwe, mordercze zimno zimy. Wilgotny, pachnący wiosną chłód, pełen nowego życia. Satti czuła, że serce jej ciąży, gdy zbliżała się do sklepu Elied. Czy i on był zamalowany wapnem, wypatroszony, zrujnowany, zgwałcony...?

Mały uszczelkojad wrzeszczał wniebogłosy, ponieważ ktoś go oderwał od śrubokrętu;

siostrzeńcy i siostrzenice Elied uśmiechnęli się do Satti, gdy szła do pokoju na zapleczu. Zjawiała się zbyt wcześnie. W pomieszczeniu nie było nikogo z wyjątkiem *maz* i cichego chłopca ustawiającego krzesła.

– *Maz* Elied Oni, czy wiesz, że *maz* Soty Ang... zielarz... jego sklep... – wybuchnęła Satti.

– Tak – odparła stara kobieta. – Teraz mieszka z córką.

– Ale sklep... herbarium...

– Przepadło.

– Ale...

Bolało ją gardło. Siłą powstrzymywała łzy wściekłości i oburzenia, które napłynęły jej do oczu w obecności tej kobiety mogącej być jej babką, będącej jej babką.

– To przeze mnie.

– Nie. Nie zawiniłaś. Soty Ang nie zawinił. Nikt nie zawinił. Rzeczy potoczyły się źle. Nie zawsze można czynić dobrze, kiedy jest trudno.

Satti zamilkła. Rozejrzała się po małym pomieszczeniu o wysokim suficie, z czerwonym dywanem niemal niewidocznym pod krzesłami i poduszkami. Wszystko biedne, czyste; bukiet papierowych kwiatów w brzydkim wazonie na niskim stoliku. Chłopiec delikatnie poprawiający poduszki do siedzenia. Stara, bardzo stara kobieta ostrożnie, boleśnie siadająca na cienkiej poduszce przy stole. Na stole książka. Pożółkła, zaczytana.

– Wydaje mi się, *joz* Satti, że było całkiem inaczej. Zeszłego lata Soty powiedział nam, że jego sąsiad chyba poinformował policję o jego herbarium. Potem przybyłaś ty i nic się nie wydarzyło.

Satti usiłowała zrozumieć, co mówi do niej *maz*.

– Byłam ochroną?

– Tak sądzę.

– Ponieważ nie chcieli, żebym zobaczyła... co robią? Ale dlaczego... czemu teraz...

Elied wyprostowała chude ramiona.

– Oni nie uczą się cierpliwości.

– Więc powinnam tu zostać – powiedziała Satti powoli, usiłując zrozumieć. – Myślałam, że będzie dla was lepiej, jeśli odejdę.

– Sądzę, że mogłabyś pójść na Silong.

Nie potrafiła myśleć jasno. Gardło ją bolało.

– Na Silong?

– Jest tam ostatnie *umjazu*. – Po chwili namysłu *maz* dodała: – Ostatnie, o którym mi wiadomo. Może na wschodzie zostały jeszcze inne, na wyspach. Ale tu, na zachodzie, powiadają, że Łono Silong jest ostatnie. Wysłano tam wiele, wiele książek. Dawno temu. Z pewnością jest tam wielka biblioteka. Nie taka jak Złota Góra, nie jak Czerwone Umjazu, nie jak Atangen. Ale to, co ocalono, przeważnie wysłano tam.

Spojrzała na Satti, przekrzywiając głowę – mały stary ptak o przenikliwych oczach. Zakończyła ostrożne osuwanie się na poduszkę i ułożyła fałdy czarnej wełnianej kamizelki – ptak muskający pióra.

– Chcesz nauczyć się opowiadania, wiem o tym. Powinnaś tam pojechać. Tutaj nie ma prawie nic. Resztki, szczątki. To, co mam ja, co ma kilkoro *maz*, to niewiele. Zawsze mniej. Idź na Silong, córko Satti. Może znajdziesz swoją drugą połowę. Zostaniecie *maz*. Hm? – Jej twarz zmarszczyła się w nagłym zachwycającym uśmiechu, bezzębny i

promiennym. Kobieta zatrzęsła się ze śmiechu. – Idź na Silong.

Zaczęli schodzić się ludzie. Elied położyła dłonie na podółku i zanuciła cicho: „Dwa z jednego, jeden z dwu... Zrodzony na wybrzeżach światła milion, który zginie w ciemnościach i powróci...”.

Satti zwróciła się o radę do Odiedina Manma. Mimo enigmatycznych opowiadań, mimo niewiarygodnego wydarzenia podczas zajęć nie mogła nie zauważyć, że spomiędzy wszystkich *maz* jest najbardziej bywały w świecie i zorientowany w polityce. A ona potrzebowała praktycznych wskazówek. Doczekała więc do końca jego zajęć i poprosiła o rozmowę.

– Czy *maz* Elied chce, żebym tam poszła, do tego *umjazu*, ponieważ myśli, że go ocale dzięki mojej obecności? Wydaje mi się, że to nie tak. Wydaje mi się, że... niebiesko-brązowi ciągle mnie śledzą. To tajne miejsce, ukryte, prawda? Jeśli tam pójdę, mogą za mną trafić. Mają najróżniejsze przyrządy namierzające...

Odiedin uniósł łagodnie dłoń, ale się nie uśmiechał.

– Nie sądzę, żeby się śledzili, *joz*. Mają rozkazy z Dowzy, żeby cię zostawić w spokoju. Nie chodzić, nie obserwować.

– Jesteś pewny?

Skinął głową. Uwierzyła mu. Pamiętała o niewidzialnej sieci, którą wyczuła w pierwszych dniach swojego pobytu. Odiedin był jednym z pajaków.

– Poza tym drogę na Silong niełatwo znaleźć. A ty możesz wyjechać bardzo cicho. – Skubnął zębami wargę. Na jego ciemnej surowej twarzy pojawił się cień uśmiechu, bardzo piękny. – Jeśli *maz* Elied zaproponowała, żebyś tam poszła, a i ty tego chcesz, chciałbym wskazać ci drogę.

– Naprawdę?

– Byłem raz na Łonie Silong. Miałem dwanaście lat. Moi rodzice byli *maz*. To były złe czasy. Palono książki. Mnóstwo policji. Mnóstwo zniszczeń. Aresztowania. Strach. Więc wyjechaliśmy z Okzat, poszliśmy w góry, do górskich miast. A w lecie poszliśmy dalej, wokół Zubuam, na łono Matki... Chciałbym tam pójść jeszcze raz, zanim umrę, *joz*.

Satti starała się nie zwracać na siebie uwagi, nie zostawiać „śladów stóp w pyłe”. Powiadomiła Tonga, że przez następne miesiące nie zamierza zajmować się niczym specjalnym, może najwyżej pozwoli sobie na rekreacyjne wycieczki w góry. Nie rozmawiała z żadnym ze znajomych, przyjaciół, nauczycieli z wyjątkiem Elied i Odiedina. Bała się o kryształy – teraz były już cztery, gdyż znowu oczyściła noter. Nie mogła ich zostawić w domu Iziezi, gdzie niebiesko-brązowi szukaliby ich w pierwszej kolejności. Usiłowała rozstrzygnąć, czy ma je zakopać i jak to zrobić, żeby nikt jej nie zobaczył, kiedy Ottiar i Uming powiedzieli od niechcienia, że ponieważ policja ostatnio się ożywiła, na jakiś czas umieszczą mandale w bezpiecznym miejscu, więc jeśli Satti ma coś do schowania... Ta intuicja zdumiała ją w pierwszej chwili. Dopiero potem uświadomiła sobie, że *maz* także należą do sieci, a przez całe życie nauczyli się ukrywać wszystko, co miało dla nich jakieś znaczenie. Dała im kryształy. Powiedzieli jej, gdzie się znajduje owo bezpieczne miejsce.

– Na wszelki wypadek – wyjaśniła Ottiar łagodnie.

Satti powiedziała im o Tongu Ovie i co mu mają przekazać, także na wszelki wypadek. Przy rozstaniu uścisnęli się serdecznie.

Wreszcie powiadomiła Iziezi o długiej wycieczce w góry.

– Akidan idzie z tobą – oznajmiła gospodyni z wesołym uśmiechem.

Były w domu same; jej siostrzeniec wyszedł z kolegami. Jadły wspólnie kolację przy stole w nieskazitelnie czystej kuchni. Była to „noc małego święta”: kilka niewielkich dań, delikatnie intensywne w smaku, otaczało kopczyk kremowego tuzi. Na jego widok Satti przypomniała sobie potrawy z odległego dzieciństwa.

– Smakowałyby ci ryż basmati – powiedziała. Potem dotarł do niej sens słów przyjaciółki.

– W góry? Ale... Możemy długo nie wrócić...

– On tam już był, kilka razy. Tego roku kończy siedemnaście lat.

– Ale jak sobie poradzisz?

Akidan załatwiał wszystkie sprawy, zakupy, zamiatał i sprzątał, dźwigał ciężary, pomagał się jej podnieść, kiedy źle postawiła kulę i upadła.

– Zamieszka ze mną córka mojej kuzynki.

– Mizi? Ona ma sześć lat!

– Jest bardzo pomocna.

– Iziezi, to chyba kiepski pomysł. Może mnie nie być bardzo długo. Mogę nawet zostać na zimę w jakiejś górskiej wsi.

– Kochana Satti, nie jesteś odpowiedzialna za Ki. *Maz* Odiedin Manma kazał mu iść z sobą. Podróż na Łono Silong w towarzystwie nauczyciela to jego największe marzenie. Ki chce być *maz*. Oczywiście musi jeszcze dorosnąć i znaleźć swoją drugą połowę. Może to właśnie zaprzęta mu głowę. – Uśmiechnęła się słabo, bez radości. – Jego rodzice byli *maz*.

– Twoja siostra...?

– Nazywała się *maz* Ariezi Meneng. – Iziezi użyła zakazanej formy czasownika, „nazywała/nazywał/nazywali” się. Jej twarz ściągnęła się w maskę bólu. – Byli młodzi – dodała. Długa chwila milczenia. – Ojciec Ki, Meneng Ariezi... wszyscy go kochali. Był jak dawni herosi, jak Penan Teran, taki przystojny i dzielny... Sądził, że bycie *maz* ochroni go jak zbroja. Wierzył, że nic nie zdoła jej/jego/ich skrzywdzić. Tak było przez jakiś czas. Mniej więcej przez trzy, cztery lata wszystko wyglądało tak jak dawniej. Nie aresztowali nikogo. Nie było już band młodych ludzi wybijających okna, malujących wszystko na białą, krzyżujących... Życie się uspokoiło. Policja nie zaglądała do nas często. Myśleliśmy... myśleliśmy, że już po wszystkim, że wróciło do normy... A potem nagle się od nich zaroilo. Tacy byli. Wpadali z nienacką. Powiedzieli, że w mieście, rozumiesz, zbyt wielu ludzi łamie prawo, czyta, opowiada... Powiedzieli, że je oczyszczą. Zapłacili *skuyen*, żeby donosili. Wiem, którzy wzięli pieniądze. – Miała ściągniętą, twardą twarz. – Aresztowano wiele osób. Moją siostrę i jej męża. Zawieźli ich do Erriak. To daleko stąd, w dole. Może to wyspa. Tak, wyspa na morzu. Centrum rehabilitacji. Po pięciu latach dowiedzieliśmy się, że Ariezi nie żyje. Powiadomili nas. Nie wiemy, co się stało z Menengiem Ariezim. Może nadal żyje.

– Kiedy to...

– Dwanaście lat temu.

– Ki miał cztery lata?

– Prawie pięć. Trochę ich pamięta. Pomagam mu nie zapomnieć. Opowiadam o nich.

Przez chwilę Satti siedziała w milczeniu. Sprzątnęła naczynia ze stołu, wróciła, usiadła.

– Iziezi, jesteś moją przyjaciółką. On jest twoim dzieckiem. Ale jestem za niego odpowiedzialna. To może być niebezpieczne. Oni mogą nas śledzić.

– Nikt nie idzie na górę za ludźmi góry, kochana Satti.

Wszyscy oni mieli tę samą niezłomną, spokojną pewność, kiedy mówili o górach. Nie ma się czego bać. Może musieli tak myśleć, żeby w ogóle jakoś żyć.

Satti kupiła lekki jak piórko, bajecznie ciepły śpiwór dla siebie i drugi dla Akidana. Iziezi protestowała pro forma, ale Akidan przyjął prezent z zachwytem. Cieszył się jak dziecko i do wyjazdu spał tylko w śpiworze, opływając potem. Satti znowu wyjęła wysokie buty i kozuch, spakowała plecak i wczesnym rankiem ustalonego dnia wyruszyła z Akidanem na miejsce spotkania. Była późna wiosna, prawie lato. W zmroku przedświt uliczki nurzały się w błękie, ale na północnym zachodzie wielka skalna ściana była już oświetlona słonecznymi promieniami, a szczyt siał oślepiające blaski. Więc jednak, więc jednak – pomyślała Satti i spojrzała pod stopy, żeby sprawdzić, czy stąpa po ziemi, czy po powietrzu.

Potężne zbocza wznosiły się ku zwisającym płatom lodowców i jasności ukrytych lodowych pól. Ośmioosobowa grupka szła gęsiego, tak maleńka pomiędzy górskimi tytanami, że zdawała się dreptać w miejscu. Wysoko nad nimi krążyły dwa geyma, długoskrzydłe padlinożerne ptaki żyjące wyłącznie w wysokich górach i fruwające zawsze parami.

Wyruszyło ich sześcioro: Satti, Odiedin, Akidan, młoda kobieta imieniem Kieri oraz para *maz* w okolicach trzydziestki, Tobadan i Siez. Po czterech dniach w pewnej górskiej wiosce dołączyli do nich dwaj przewodnicy, nieśmiali, łagodni mężczyźni o ogorzałych twarzach i trudnym do określenia wieku – pomiędzy trzydziestką i siedemdziesiątką. Nazywali się Ieyu i Long.

Wędrowali po falistych wzgórzach przez tydzień, zanim dotarli do tego, co tutejsi nazywali górami. Wtedy zaczęli się wspinać. I wspinali się uparcie, monotonnie, przez jedenaście dni. Świetlista ściana Silong nie przybliżyła się ani na centymetr. Kilka pomniejszych gór na północy, sięgających może pięciu tysięcy metrów, jakby zmieniło miejsce i trochę się skurczyło. Przewodnicy i troje *maz*, uczeni zapamiętywania szczegółów i liczb, potrafili wymienić nazwy i wysokości wszystkich szczytów. Ich miarą był pieng; Satti przypominała sobie, że piętnaście tysięcy pieng równało się pięciu tysiącom metrów, ale ponieważ nie była tego całkowicie pewna, nie starała się przeliczać. Podobało się jej słuchanie o tych wielkich wysokościach, ale nie zamierzała ich zapamiętywać, podobnie jak nazw gór i przełęczy. Przed wyruszeniem postanowiła, że nigdy nie spyta, gdzie się znajdują, dokąd idą ani ile jeszcze drogi im zostało. Udało się jej dotrzymać tego postanowienia tym łatwiej, że otoczono ją opieką jak dziecko.

Z okolicy zniknęły ścieżki, jakie spotykało się w pobliżu wiosek, ale mieli mapy opisujące drogę za pomocą obrazów: „Kiedy północna skarpa Mien osunie się za Uszy Taziu...”. Odiedin wraz z parą *maz* i przewodnikami ślęczeli nad nimi co wieczór. Satti przysłuchiwała się poetyckim frazom. Nie spytała o nazwy maleńkich wioseczek, które mijali. Gdyby Korporacja albo nawet Ekumena zażądały od niej opisu drogi na Łono Silong, mogłaby powiedzieć z czystym sumieniem, że jej nie zna. Nie znała nawet celu ich

wędrówki. Góra, Silong, Łono Silong, Korzeń, Wysokie Umjazu – nazywano go wszystkimi tymi słowami. Być może istniało kilka celów. Nie miała pojęcia. Powstrzymywała ciekawość, potrzebę nauczenia się wszystkich słów. Żyła pomiędzy ludźmi, dla których najwyższym celem było opisywanie świata słowami i którym zamknięto usta. Tutaj, w tej ciszy, gdzie wreszcie mogli przemówić, chciała się nauczyć ich słuchać. Nie pytać, tylko słuchać. Podzielili się z nią słodyczą zwykłego, rozważnie przeżywanego życia. Teraz dzieliła z nimi trudną wspinaczkę na szczyt.

Martwiła się, czy jest w dobrej kondycji na taką wycieczkę. Z górami miała do czynienia tylko przez miesiąc w Ladakh i kilka razy w chilijskich Andach, a i to nie chodziła na wspinaczki, tylko na zwykłe spacerki. Teraz także się nie wspinali, ale niepokoiła ją wysokość. Jeszcze nigdy nie znalazła się wyżej niż cztery tysiące metrów. Na razie, choć z pewnością już dotarli do tej granicy, nie miała żadnych kłopotów z wyjątkiem zadyszki przy wyjątkowo stromych odcinkach drogi. Nawet Odiedin i przewodnicy pokonywali je powoli. Tylko Akidan i Kieri, wytrzymała krępa dziewczyna około dwudziestki, biegali po niekończących się zboczach i tańczyli na granitowych głazach ponad błękitną otchłanią, przy czym nigdy się nie zasapali. Pozostali nazywali ich eberdibi: kózki, cielątka.

Szli przez cały dzień, by dotrzeć do letniej wioski: sześć lub siedem kamiennych kręgów z osadzonymi na nich jurtami pomiędzy stromymi kamienistymi pastwiskami ukrytymi w zakątku ogromnej granitowej ściany. Satti nie spodziewała się, że tak wielu ludzi mieszka w okolicy, w której można żyć chyba samym powietrzem, lodem i kamieniami. Tymczasem jałowe ziemie nad Okzat-Ozkat tętniły życiem, pełne wiosek, pastwisk, małych pól ogrodzonych kamiennymi murkami. Nawet pomiędzy wysokimi szczytami znajdowało się ludzi. Pochodzili z niższych terenów i mieszkali tu aż do pierwszych śniegów, wypasając zwierzęta, rodzaj eberdynów, zwanych minulami. Rogate, prawie nieoswojone, o długich nogach i obfitym jasnym runie najlepiej czuły się w wysokich górach i tutaj rodziły młode. Ich jedwabista sierść była ceniona nawet w czasach sztucznego włókna. Ludzie z wiosek sprzedawali ich runo, pili mleko, wyprawiali skóry, z których robili buty i ubrania, a ich nawozu używali jako opału. Żyli w ten sposób od zawsze. Okzat-Ozkat, prowincjonalne miasteczko, było dla nich metropolią. Wszyscy pochodzili z plemienia Rangma. Ludzie mieszkający u podnóża gór mówili łamanym językiem dowzańskim. Satti potrafiła się porozumieć z Ieyu i Longiem, ale tutaj, chociaż przez zimę poczyniła znaczne postępy, zrozumienie górskiego dialektu sprawiało jej dużą trudność.

Na ich powitanie z jurt wylegli ludzie, tłum brudnych, opalonych i uśmiechniętych twarzy, dokazujące dzieci, ciche niemowlęta w skórzanych kokonach, wiszące na palikach jak myśliwskie trofea, ryczące minule z białymi milczącymi źrebiętami. Życie, kwitnące życie w wysokich pustych górach.

A nad nimi, jak zwykle, krążyły dwa geyma, leniwie poruszające smukłymi ciemnymi skrzydłami na tle oszałamiającego błękitu.

Odiedin i młodzi *maz*, Siez i Tobadan, zajęli się natychmiast błogosławieniem chat, noworodków i stad, leczeniem wrzodów i podrażnionych dymem oczu oraz opowiadaniem. Błogosławienie – jeśli można to było tak nazwać, gdyż słowo, którego używali, oznaczało raczej przyłączanie – polegało na zawodzeniu do rytmu bębenka oraz wręczaniu pasków czerwonego lub błękitnego papieru; na nim *maz* zapisywali imię i wiek delikwenta oraz wszelkie biograficzne fakty, które miały być utrwalone. Na przykład: „Tej zimy wzięłam

ślub z Temazi”, „Zbudowałem dom w wiosce”, „Zeszłej zimy urodziłam syna. Żył jeden dzień i jedną noc. Nazywał się Enu”, „W zeszłym sezonie w moim stadzie urodziły się dwadzieścia dwa minuleta”, „Jestem Ibien. Na wiosnę kończę sześć lat”. Satti stwierdziła, że ludzie z wioski nie potrafili pisać bądź znali zaledwie kilka znaków. Przyjmowali skrawki papieru z czcią i głęboką satysfakcją. Długo przyglądali się im z każdej strony, składali je ostrożnie i chowali do specjalnych sakiewek lub pięknie zdobionych szkatulek w domu czy namiocie. Odiedin, Tobadan i Siez dokonywali rytuału błogosławienia lub przyłączenia w każdej wiosce, która nie miała własnych *maz*. W niektórych opowiadających pudełkach, przepięknie rzeźbionych i zdobionych, znajdowały się setki czerwonych i niebieskich skrawków papieru, mówiących o obecnym życiu, o życiu przeszłym.

Odiedin był zajęty spisywaniem owych karteczek dla pewnej rodziny, Tobadan aplikował zioła i maści innej, a Siez, skończywszy pieśń, usiadł z resztą mieszkańców wioski, by opowiadać. Ten poważny młodzieniec o wąskich oczach w wioskach stawał się niestrudzonym mówcą.

Zmęczona, trochę oszołomiona – dziś weszli jeszcze wyżej – i rozleniwiona popołudniowym słońcem Satti zasiadła po turecku na kamiennym podłożu w półkołu zasłuchanych mężczyzn, kobiet i dzieci.

– Opowiadanie! – zapowiedział Siez dobitnie i głośno. Zrobił pauzę.

Słuchacze wydali ciche westchnienie: ach, ach – i zaczęli szeptać do siebie.

– Opowiadanie historii!

Ach, ach. Szepty.

– Historia o drogim Takiekim!

Tak, tak. Drogi Takieki, tak.

– Teraz historia się zaczyna! Historia się zaczyna, gdy drogi Takieki mieszka ze swą starą matką, dorosły, lecz niespełna rozumu. Jego matka umarła. Była biedna. Zostawiła mu tylko worek fasoli przechowany na zimę. Przybył pan i wygonił Takiekiego z domu.

Ach, ach, zamruczeli słuchacze, kiwając ze smutkiem głowami.

– Więc Takieki poszedł drogą z workiem fasoli na plecach. Szedł i szedł, a za górą spotkał człowieka w łachmanach, który zbliżał się z przeciwnej strony. Mężczyzna powiedział: „Cóż to za ciężki wór niesiesz, młodzieńcze? Pokaż mi, co jest w środku”. I Takieki spełnił jego prośbę. „Fasola!” – mówi obdartus.

– Fasola... – powtórzyło szeptem jakieś dziecko.

– „I jakaż piękna! Ale nie wystarczy ci na całą zimę. Ubiję z tobą interes, młodzieńcze. Dam ci za tę fasolę prawdziwy mosiężny guzik!”. „O, ho, ho – mówi Takieki – myślisz, że mnie oszukasz, ale nie jestem taki głupi”.

Ach, ach.

– I Takieki zarzucił worek na plecy, i ruszył dalej. Szedł i szedł, aż za następną górą spotkał obdartą dziewczynę, która szła z przeciwnej strony. Dziewczyna powiedziała: „Cóż to za ciężki wór niesiesz, młodzieńcze? Musisz być bardzo silny. Pokaż mi, co w nim jest”. I Takieki pokazał jej zawartość worka. „Piękna fasola! – mówi dziewczyna. – Jeśli się nią ze mną podzielisz, pójdę z tobą i będę się z tobą kochać, kiedy tylko zechcesz, dopóki fasola się nie skończy”.

Jakaś kobieta trąciła łokciem inną i uśmiechnęła się do niej.

– „O, ho, ho – mówi Takieki. – Myślisz, że mnie oszukasz, ale nie jestem taki głupi”.

Zarzucił worek na plecy i poszedł dalej. Szedł, szedł, szedł i za następną górą spotkał mężczyznę i kobietę.

Bardzo ciche ach achy.

– Mężczyzna był ciemny jak noc, a kobieta jasna jak dzień i byli ubrani w piękne szaty i klejnoty w jaskrawych kolorach, niebieskim, czerwonym. Spotkali się na drodze i piękni ludzie powiedziała/powiedział/powiedzieli: „Cóż to za ciężki wór niesiesz, młodzieńcze? Pokaż nam, co w nim jest”. I Takieki usłuchał. Wtedy *maz* powiedzieli: „Jakaż piękna fasola! Ale nie wystarczy ci na całą zimę”. Takieki nie wiedział, co ma odpowiedzieć. „Drogi Takieki – mówią mu *maz* – jeśli dasz nam ten worek fasoli, który otrzymałeś od matki, dostaniesz gospodarstwo, które jest za tą górą. Jest tam pięć sąsieków pełnych ziarna, pięć spiżarni pełnych jedzenia i pięć stajni pełnych eberdynów. W domu jest pięć wielkich pokojów, a dach jest cały ze złotych monet. Czeka w nim pani, która pragnie zostać twoją żoną”. „O, ho, ho – mówi Takieki. – Myślicie, że mnie oszukacie, ale nie jestem taki głupi!”. I poszedł dalej, aż za górę, za gospodarstwo z pięcioma sąsiekami, pięcioma spiżarniami, pięcioma stajniami i dachem ze złota, i szedł dalej, dalej, dalej, drogi Takieki.

– Ach, ach, ach! – westchnęli słuchacze z głębokim zadowoleniem i odprężyli się po uważnym słuchaniu.

Zaczęli rozmawiać, przynieśli kubek i dzbanek z gorącą herbatą, by Siez przepłukał gardło, po czym czekali z szacunkiem na to, co miał im jeszcze do powiedzenia.

Dlaczego Takieki jest drogi? – zastanowiła się Satti. Ponieważ był niespełna rozumu? (Bose stopy stojące w powietrzu). Ponieważ był mądry? Ale czy mądry człowiek nie zaufałby *maz*? Z pewnością okazał się głupi, skoro zrezygnował z domu, spiżarni i żony. Czy ta historia ma oznaczać, że dla świętego człowieka dom, spiżarnia i żona nie są warte worka fasoli? Czy też że święci, żyjący w ascezie, są głupi? Ludzie, których poznała, żyli latami w narzuconej wstrzemięźliwości, ale nie podziwiali ascezy. Nie mieli zamiłowania do postów i nie widzieli nic chwalebne w niewygodzie czy biedzie.

Gdyby to była terrańska przypowieść, Takieki najprawdopodobniej oddałby worek fasoli za mosiężny guzik albo w ogóle za darmo, a po śmierci w nagrodę poszedłby do nieba. Ale na Ace nagroda duchowa czy materialna następowała natychmiast. Dzięki wykonywaniu obowiązków *maz* Siez nie powiększał ani swojego stanu posiadania, ani świętości. W zamian za opowiadanie historii otrzymywał pochwały, dach nad głową, posiłek, zapasy na dalszą podróż oraz świadomość wykonanego zadania. Ćwiczenia fizyczne wykonywano nie dla idealnego zdrowia ani długowieczności, lecz w celu osiągnięcia natychmiastowego dobrego samopoczucia i dla przyjemności. Medytacje były nakierowane na terażniejszość i chwilową transcendencję, nie najwyższą nirwanę. Aka kierowała się filozofią gotówki, nie kredytu. Stąd tutaj nienawiść do lichwiarstwa. Uczciwa transakcja i zapłata od ręki.

Ale w takim razie co z dziewczyną, która ofiarowała wszystko, co miała, jeśli Takieki się z nią podzieli? Czy to nie była uczciwa transakcja?

Satti zastanawiała się nad tym przez całą następną opowieść, słynny fragment *Bitwy w dolinie*, którą Siez opowiadał kilka razy w wioskach u podnóży gór. „Mogę ją recytować nawet przez sen”, mawiał. Po namyśle Satti doszła do wniosku, że bardzo wiele zależy od tego, do jakiego stopnia Takieki zdawał sobie sprawę z własnego ograniczenia. Czy wiedział, że dziewczyna może go oszukać? Czy wiedział, że nie potrafi zarządzać wielkim gospodarstwem? Może postępował słusznie, nie chcąc się rozstać z tym, co dostał od

matki, a może nie.

Ledwie słońce zniknęło za ścianą gór na zachodzie, temperatura w gęstym cieniu spadła poniżej zera. Wszyscy schronili się w chatach-namiotach, dławiąc się dymem i smrodem. Ludzie z wioski spali nadzy, brudni, spleceni z sobą pod stertami jedwabistych skór, zatłuszczonych i rojących się od pcheł. Podróżnicy rozbili swoje namioty tuż obok. Satti, ulokowana wspólnie z Odiedinem, rozmyślała o ludziach, którzy ich gościli. „Agresywni, prymitywni”, powiedział pełnomocnik, opierając się o balustradę statku i spoglądając w długą ciemną krzywiznę terenu kryjącego górę. Miał rację. Byli prymitywni, brudni, ciemni, przesądni. Opierali się postępowi, ukrywali przed nim, nie wiedzieli o Marszu do Gwiazd. Kurczowo trzymali swój worek z fasolą.

Jakieś dziesięć dni później w obozowisku rozbitym w długiej i płytkiej dolinie pomiędzy bladymi ścianami lodu Satti usłyszała warkot silnika, samolotu lub helikoptera. Dźwięk był zniekształcony wiatrem i echem. Mógł dobiegać z bliska albo przybyć z oddali, odbijając się od jednej skalnej ściany do drugiej. Nad ziemią wisiała mgła, niebo zasłaniały gęste chmury. Ich ciemnobrązowe namioty mogły być niewidoczne w rozległym krajobrazie, ale równie dobrze z góry mogły rzucać się w oczy z daleka. W chwili gdy wiatr przyniósł odgłos warkotu, wszyscy zastygli w bezruchu.

Ta długa dolina była dziwnym miejscem. Z lodowca spływało na nią mroźne tchnienie, które nieruchomiało na jej dnie. Upiory mgły wiły się po śmiertelnym całunie śniegu.

Ich zapasy żywności były na wykończeniu. Satti podejrzewała, że zbliżają się do celu. Ale zamiast wspinać się w górę, w stronę wyjścia z doliny, zeszli na szerokie zbocze pełne wielkich głazów. Wiatr dał nieprzerwanie i tak gwałtownie, że nieustannie słychać było chrzęst żwiru bębniącego o kamienie. Każdy krok, każdy oddech wymagały wysiłku. Kiedy spoglądali w górę, widzieli Silong niemal na wyciągnięcie ręki, ogromny mur zasłaniający niebo. Ale olśniewający szczyt nadal pozostawał odległy. Tej nocy Satti śniła o głosie, który słyszała, lecz którego nie mogła zrozumieć, o klejnocie, który znalazła, lecz którego nie mogła dotknąć. Nazajutrz zaczęli schodzić stromo w dół na południowy zachód. W oszołomionym umyśle Satti pojawiła się formuła: „Wrócić, by iść naprzód, przegrać, by wygrać. Zejść, żeby wejść, przegrać, żeby wygrać”. Nie mogła się od niej uwolnić, zdanie powtarzało się przy każdym kroku, zejść, żeby wejść, przegrać, żeby wygrać.

Szli ścieżką prowadzącą przez kamieniste zbocze, potem drogą do kamiennej ściany, do kamiennego budynku. Czy to był cel ich podróży? Czy to Łono Matki? Ale okazało się, że to tylko schronisko, przystanek. Przez dwa dni i dwie noce pozostawali w tym cichym domu, odpoczywając i leżąc w śpiworach. Mogli gotować tylko na malutkich kuchenkach. Została im wyłącznie wędzona ryba, którą wydzielali sobie małymi porcjami, mocząc ją w roztopionym śniegu, by przyrządzić coś w rodzaju zupy.

– Przyjdą – mówili.

Nie pytała, kto ma przyjść. Była tak zmęczona, że mogłaby zostać w tym kamiennym domu na zawsze, tak jak mieszkańcy małych kamiennych domków w miastach zmarłych, które widziała w Ameryce Południowej, odpoczywający w pokoju. Jej rodacy palili swoich zmarłych. Zawsze bała się ognia. To było lepsze, ta lodowata cisza.

Trzeciego dnia rano usłyszała odległe dzwonki, słabe pobrzękiwanie.

– Chodź, Satti, zobacz – odezwała się Kieri i pomogła jej wstać, aby wyjrzała przez drzwi kamiennego domku.

Z południa nadchodzili ludzie. Wyłaniali się spomiędzy szarych głazów, wyższych niż oni, ludzie z minulami, obładowanymi bagażami aż po łęki wysokich siodeł. Na przywiązanych do siodeł długich tyczkach trzepotały długie wstążki, czerwone i niebieskie. Wokół białych kudłatych szyj młodych, biegnących za swoimi matkami, brzęczały dzwoneczki.

Następnego dnia ruszyli w drogę w dół wraz z jeźdźcami do ich letniego obozowiska. Szli przez trzy dni, lecz droga była na ogół łatwa. Ich towarzysze nalegali, żeby Satti jechała na grzbiecie jednego z minuli, ale poza nią wszyscy mieli iść pieszo, więc i ona szła. W pewnym miejscu musieli obejść występ skalny, pod którym ziała przepaść. Ścieżka była równa, lecz miejscami szeroka najwyżej na stopę, a śnieg zaczynał topnieć. Jeźdźcy puścili minule wolno i szli za nimi. Powiedzieli Satti, że powinna stawiać stopy w śladach zwierząt. Wybrała więc sobie jednego minula i podążała za nim krok w krok. Obrośnięte wełną pośladki zwierzęcia drgały nonszalancko. Minul szedł niedbale, od czasu do czasu zatrzymując się, by spojrzeć ze znudzeniem w mglistą otchłań. Nikt się nie odezwał, dopóki wszyscy nie znaleźli się na bezpiecznym terenie. Wtedy zaczęto śmiać się i żartować, a kilka osób zrobiło gest góry-serca w stronę Silong.

Z wioski rogaty szczyt był niewidoczny. Dostrzec można było tylko wielki masyw bliższej góry i skrawek ściany od północnego zachodu. Wioska kipiała zielenią, otwarta na północ i południe, doskonale letnie pastwisko, idylla. Nad rzeką rosły drzewa, Odiedin pokazał je Satti. Były wielkości jej małego palca. W Okzat-Ozkat te same drzewa osiągały wielkość krzewów. W parkach Dowza City przechadzała się w ich cieniu.

W wiosce zdarzył się zgon; młody mężczyzna zaniedbał skaleczenie na stopie i umarł z powodu zakażenia krwi. Przechowywano jego zwłoki w śniegu, czekając na pojawienie się *maz*. Skąd wiedzieli, że zbliża się grupa Odiedina? Jak to wszystko zorganizowano? Satti tego nie rozumiała, ale nie łamała sobie głowy. W górach było wiele rzeczy, których nie pojmowała. Na razie była bezradna jak dziecko.

„Bylibyśmy jak dzieci...”. Kto to powiedział? Cieszyła się, że może iść, siedzieć w słońcu, podążać za zwierzęciem. „Dokąd mnie w swej dobroci przewodnicy wiedą, tam idę, idę lekko...”.

Dwaj młodzi *maz* opowiedzieli pogrzeb. Tak się to tutaj nazywało. Jak wszystkie rytuały i ten polegał na narracji. Przez dwa dni Siez i Tobadan siedzieli z rodziną zmarłego – jego ojcem, ciotką, siostrą, przyjaciółmi, kobietą, która od pewnego czasu była jego żoną – i wysłuchiwali wszystkich, którzy chcieli o nim mówić, opowiadać, kim był, czego dokonał. Następnie to oni opowiedzieli o wszystkim od nowa, uroczyście i w ceremonialnych zwrotach przy cichym tabat, tabat bębenka, śląc słowa nad ciałem owiniętym białym, cienkim, ciągle zamarzniętym materiałem. Była to pieśń pochwalna, ubranie życia w słowa, uczynienie go częścią niezmiernego przestworu opowiadania. Potem Siez o pięknym głosie wyrecytował zakończenie historii o Penanie Teranie, mitycznej parze bohaterów, szczególnie ukochanych przez Rangma. Penan i Teran byli młodymi wojownikami z Silong, którzy poskramiali północny wiatr, zjeżdżając na nim z gór jak na eberdynie i rzucając się na nim w bitwę przy furkocie proporców, by walczyć z odwiecznym wrogiem Rangma, ludźmi morza, barbarzyńcami z zachodnich równin. Ale

Teran poległ w walce, a Penan osiodłał południowy wiatr, wiatr od morza, pofrunął na nim w góry, rzucił się z niego w przepaść i zginął.

Ludzie słuchali i płakali, a w oczach Satti pojawiły się łzy. Potem Tobadan uderzył w bębenek tak, jak jeszcze nigdy wcześniej, nie cicho, w rytmie serca, lecz gwałtownie, nagłaco, na co ludzie podnieśli zwłoki i ruszyli z nimi w procesji.

– Gdzie go pochowają? – spytała Odiedina.

– W żołądkach geyma. – *Maz* wskazał na odległe kamienne wieżyce na jednym z potężnych skalnych wzniesień nad wioską. – Zostawią go tam, nagiego.

To lepsze niż leżenie w kamiennym domu, pomyślała, i o wiele lepsze niż ogień.

– Żeby mógł jeździć na grzbiecie wiatru – powiedziała.

Odiedin obrzucił ją spojrzeniem, a po chwili pokiwał w milczeniu głową. Nie był zbyt rozmowny, a jeśli się odzywał, to na ogół sucho i surowo. Ale do tej pory Satti czuła się już zupełnie swobodnie w jego towarzystwie, tak jak on w jej. Pisał na skrawkach niebieskiego i czerwonego papieru, którego niewyczerpane zapasy nosił w plecaku. Zapisywał imię i nazwisko zmarłego dla tych, którzy go opłakiwali, by mogli zabrać karteczki do domu i umieścić je w opowiadających pudełkach.

– Zanim Dowzanie doszli do władzy – odezwała się – zanim zaczęli zmieniać wszystko, tworzyć maszyny, produkować przedmioty w wielkich fabrykach, zamiast robić je ręcznie, wprowadzać nowe prawa... i tak dalej...

Odiedin skinął głową.

– ...minęło niespełna sto lat... odkąd przybyli wysłannicy Ekumeny. Kim do tego czasu byli Dowzanie?

– Barbarzyńcami.

Jako Rangma nie mógł się powstrzymać, by tego nie powiedzieć głośno i wyraźnie. Ale wiedziała, że jest też rozważny i prawdomówny.

– Czy nie znali opowiadania?

Milczenie. Odiedin odłożył pióro.

– Dawno temu nie. W czasach Penana Terana nie. W czasach, gdy pisano *Drzewo*. Potem ludzie z centralnych równin, z Doy, zaczęli ich oswajać. Handlowali z nimi, uczyli ich. Nauczyli czytać, pisać i opowiadać. Ale oni nadal byli barbarzyńcami, *joz* Satti. Woleli walczyć, niż handlować. A kiedy handlowali, to tak jakby walczyli. Pozwalali na lichwiarstwo, szukali wielkich zysków. Zawsze mieli *gobey*, przywódców, którym płacili daninę i którzy nimi rządili. Byli bogaci. Potężni. Kiedy więc zaczęli mieć *maz*, uczynili ich przywódcami, którzy mogli rządzić i karać. Dali *maz* moc nakładania podatków. Wzbogacili ich. Sprawili, że zwykli ludzie stali się nikim. To było złe. Złe od samego początku.

– *Maz* Uming Ottiar o tym kiedyś wspominał.

Odiedin pokiwał głową.

– To były złe czasy. Ale nie takie złe jak teraz – dodał, parszkając krótkim, ostrym śmiechem.

– Ale te czasy... wywodzą się z tamtych. Jak z korzeni. Prawda?

Spojrzał na nią z powątpiewaniem, w zamyśleniu.

– Dlaczego o tym nie opowiadacie?

Brak odpowiedzi.

– Nie opowiadacie o tym. Nigdy nie włączacie tego do historii i podań, które toczą się na

całym świecie we wszystkich wiekach. Opowiadacie o tym, co się zdarzyło w dalekiej przeszłości. I opowiadacie życie tych, którzy żyli w naszych czasach, na pogrzebach, i kiedy dzieci mają swoje opowiadania. Ale nie wspominać o tych wielkich wydarzeniach. Ani słowa o tym, jak zmienił się świat przez ostatnie sto lat.

– To nie należy do opowiadania – rzucił wreszcie Odiedin po długim milczeniu pełnym napięcia. – Opowiadamy o tym, co jest dobre, co idzie dobrze, jak powinno. Nie o tym, co idzie źle.

– Penan Teran przegrali walkę, walkę z Dowzą. To nie poszło dobrze, ale o tym opowiadacie.

Przyjrzał się jej, bez niechęci czy urazy, ale jakby z wielkiej odległości. Nie miała pojęcia, o czym myśli, co może powiedzieć.

– Ach – odezwał się w końcu.

Wybuch miny? Cichy wyraz zgody? Nie wiedziała.

Pochylił głowę i napisał imię zmarłego – trzy śmiałe, eleganckie znaki na skrawku spłowiałego czerwonego papieru. Odłupał kawałek atramentu z bloku, który zawsze przy sobie nosił, zmieszał go z wodą z rzeki w malutkim kamiennym moździerzu. Pióro, którym pisał, pochodziło ze skrzydeł geyma i było szare jak popiół. Równie dobrze mogłby tak siedzieć na kamieniach i trzysta lat temu. Albo trzy tysiące.

Nie powinna mu zadawać tego pytania. Źle, źle, źle.

Przez sześć dni odpoczywali w wiosce w dolinie. Potem znowu ruszyli w drogę z nowymi zapasami i dwoma innymi przewodnikami na północ w górę. W górę, w górę, w górę. Satti straciła rachubę czasu. Nadchodził świt, wstawali, wschodziło słońce, świeciło na nich i niekończące się skalne zbocza, a oni szli. Nadchodził zmrok, rozbijali obóz, szum płynącej wody cichł, gdyż małe strumyki znowu zamarzały, a oni zapadali w sen. Powietrze było rozrzedzone, droga stroma. Po lewej stronie wznosiły się ściany góry. Za nimi na prawo z mgły wyłaniały się kolejne szczyty, nieruchome morze lodowatych fal ciągnących się aż po horyzont. Słońce prażyło białym blaskiem z szafirowego nieba. Była pełnia lata, pora lawin. Starali się zachowywać bardzo cicho pomiędzy chwiejnymi olbrzymami. Milczenie ciągnęło się przez wiele dni, od czasu do czasu przerywane przeciągłym, wibrującym grzmotem, zwielokrotnionym echem, dochodzącym jakby ze wszystkich stron jednocześnie.

Satti usłyszała nazwę góry, na której się znajdowali. Zubuam. Słowo w dialekcie Rangma: Władca Gromów. Nie widzieli Silong od czasu, gdy opuścili wioskę w dolinie. Ogromny masyw Zubuama zasłaniał niebo po zachodniej stronie. Posuwali się powoli naprzód, na północ, pracowicie pokonując gigantyczne fałdy na zboczu góry. Oddychanie wymagało wiele wysiłku.

Pewnej nocy spadł śnieg. Następnego dnia padało nieustannie, słabo, lecz bez chwili przerwy. Odiedin i dwaj nowi przewodnicy przysiedli przed namiotami i naradzili się, rysując na śniegu linie, ścieżki i zygzaki. Następnego ranka słońce wybuchnęło oślepiającym blaskiem nad lodowatym morzem szczytów na wschodzie. Ruszyli mozolnie dalej na północ i w górę.

Pewnego ranka podczas marszu Satti zdała sobie sprawę, że słońce znalazło się za ich plecami. Przez dwa dni szli na północny zachód, powoli przemierzając ogromny masyw Zubuama. Trzeciego dnia w południe okrążyli występ z lodu i kamieni. Przed nimi stanęła gigantyczna ściana na tle świetlistej otchłani nieba: Silong, niczym biała fala

przechodząca z mrocznej głębi do jaśniejszych wyżyn. Dzień rozsiewał brylantowe blaski, olśniewające i ciche. A nad tym wszystkim wznosił się rogaty szczyt, od którego oderwała się cienka jak pajęczna nitka smużka srebra.

Wiał południowy wiatr, ten sam, z którego skoczył Penan, by znaleźć śmierć.

– Już niedaleko – odezwał się Siez, gdy brnęli z trudem na południowy zachód w dół.

– Mogłabym tak iść przez całe życie – odparła Satti, a jej umysł powiedział: „Tak...”.

W czasie pobytu w wiosce w dolinie Kieri przeniosła się do jej namiotu. Przed pojawieniem się nowych przewodników były jedynymi kobietami w grupie. Aż do tego czasu Satti mieszkała razem z Odiedinem. Owdowiały *maz*, milczący, zorganizowany, przestrzegający celibatu, był dla niej źródłem wytchnienia i ukojenia. Nie miała ochoty na zmianę, ale Kieri nalegała. Mieszkała z Akidanem i miała tego dość.

– Ki ma siedemnaście lat – wyjaśniła. – Przez cały czas jest w rui. Nie lubię chłopców! Lubię mężczyzn i kobiety! Chcę z tobą spać. A ty? *Maz* Odiedin może zamieszkać z Ki.

Mówiąc o wspólnym spaniu, miała na myśli połączenie śpiworów.

Satti zdała sobie z tego sprawę i tym bardziej się zawahała, ale bierność, którą w sobie rozwinęła podczas tej podróży, okazała się silniejsza od obaw. Od śmierci Pao seks stracił dla niej znaczenie. Był czymś, czego pragnęli i potrzebowali inni. Choć czasami i jej ciało tęskniło za dotykiem, podnieceniem. Mogła się nim dzielić z kimkolwiek.

Kieri była silna, miękka, ciepła i tak czysta, jak to tylko możliwe w tych warunkach. „Rozgrzejmy się!” – mówiła co wieczór, gdy kładły się do połączonych śpiworów. Kochała się z Satti krótko i energicznie, a potem zasypiała wtulona w jej ciało. Jesteśmy jak dwa polana w płonącym ognisku, spalamy się, pomyślała Satti, osuwając się w ciepłą przepaść snu. Akidan dostąpił zaszczytu mieszkania ze swoim mistrzem i nauczycielem, ale dezercja Kieri zirytowała go lub zawiodła. Wściekał się przez kilka dni, po czym zaczął się zalecać do kobiety, która dołączyła do nich w wiosce. Nowi przewodnicy byli rodzeństwem – długonodzy, o okrągłych twarzach, niestrudzeni. Mieli jakieś dwadzieścia lat, a nazywali się Naba i Shui. Nie minął dzień i Ki wprowadził się do namiotu Shui, a cierpliwy Odiedin zaprosił Nabę, by zamieszkał razem z nim.

Co powiedział Diodi, mężczyzna na wózku, całe wieki temu, na ulicy daleko w dole? „Po seksie, który trwa trzysta lat, każdy potrafi latać!”. Mogę latać, pomyślała Satti, brnąc na południe w dół. Świat składa się tylko z kamienia i światła. Wszystko inne rozplywa się w te dwie rzeczy, kamień, światło, a te znowu w jedno, latanie... I wszystko rodzi się na nowo, zawsze, w każdej chwili, ale przez cały czas istnieje tylko jedno, latanie... Brnęła naprzód przez zachwyty.

Przybyli do Łona Ziemi. I choć wiedziała, że to niemożliwe i głupie, wydawało się jej, że celem ich podróży jest wielka świątynia, tajemnicze miasto na dachu świata, kamienne wieżyce, furkoczące chorągwie, śpiewający duchowni, złoto, gongi i procesje. Wszystkie wizje utraconego świata, Lhasa, Góry Smoka i Tygrysa, Machu Picchu... Wszystkie ruiny Ziemi.

Przez trzy dni szli stromo w dół ku zachodnim krańcom Zubuamu. Było pochmurno i rzadko widzieli ścianę Silong, zasłaniającą niebo, na którym wicher przeganiał kłębiące się chmury i upiorne, niesięgające ziemi zadymki. Przez cały dzień wędrowali za przewodnikami przez chmury i mgłę wzdłuż grani, długiego grzbietu ośnieżonej skały, gwałtownie prowadzącej w dół. Pogoda nagle się poprawiła, chmury zniknęły, słońce zapłonęło. Satti podniosła wzrok, ale nie zobaczyła skalnej ściany zasłaniającej niebo.

Odiedin stanął obok niej.

– Jesteśmy na Silong – powiedział z uśmiechem.

A więc przeszli. Ogromny masyw w dole to Zubuam. Daleko na jego pochyłym zboczu zeszła lawina. Jeszcze długo słyszeli jej głuchy ryk. Gromowładny mówił im to, co miał im do przekazania.

Zubuam i Silong także byli jednym i dwoma. Stare góry-*maz*. Starzy kochankowie.

Podniosła wzrok. Ściany Silong górowały tuż nad nimi, ukrywając szczyt. Niebo było olśniewająco błękitne, ostro zakrzywiony kawał błękitu z północy na południe. Odiedin wskazał na południe. Podążyła spojrzeniem za jego gestem i ujrzała samą skałę, lód, migotanie wody z rozpuszczającego się śniegu. Ani śladu wież czy proporców.

Wyruszyli dalej. Znajdowali się na ścieżce równej i dość szerokiej, od czasu do czasu oznaczonej stertami płaskich kamieni. Na poboczu często pojawiały się suche, gładkie kulki odchodów minuli. Późnym popołudniem wyrosły przed nimi dwie kamienne kolumny, wystawały z góry jak kły. Ścieżka zwązła się stopniowo, aż wreszcie stała się skalną półką przy nagiej pionowej ścianie. Minęli zakręt i stanęli przed dwoma podobnymi do bramy czerwonymi kamiennym kłami, pomiędzy którymi biegła ścieżka.

Tutaj się zatrzymali. Tobadan wyjął bębenek i zaczął w niego stukać. Wszyscy trzej *maz* mówili i śpiewali. Słowa były w języku Rangma, tak stare lub uroczyste, że Satti nie rozumiała ich znaczenia. Przewodnicy z wioski oraz ci, którzy szli z nimi od początku wyprawy, wygrzebali z bagaży małe wiązki patyków obwiązane czerwoną i niebieską nicią. Dali je *maz*, którzy podziękowali gestem góry-serca, stojąc twarzą w stronę Silong. Zapalili je i położyli na ścieżce pomiędzy kamieniami, czekając, aż się spalą. Wydzielały wonny dym jak kadzidło. Wił się leniwie ulotny i błękitny pomiędzy skalnymi kłami wzdłuż ścieżki. Wiatr zawodził, silny porywisty prąd w wielkiej przepaści między dwiema górami, ale oni, osłonięci przez Silong, nie czuli go wcale.

Wzięli bagaże i znowu ruszyli gęsiego między kamiennymi kłami. Ścieżka zawróciła ku zboczu góry; Satti dostrzegła, że prowadzi przez widoczną w oddali półkę, wyciętą w skalnej ścianie zatoczkę w kształcie półksiężyca. W niemal pionowym zboczu o jakieś pół kilometra dalej widać było czarne dziury. W dolinie leżał śnieg, na którym rysowały się zawijasy śladów prowadzących do owych dziur. „Groty”, szepnął w jej głowie Adien, były górnik, który tej zimy zmarł na żółtaczkę. Groty pełne życia.

Powietrze zgęstniało jak żelatyna, zdawało się drżeć i falować. Satti czuła zawroty głowy. Wiatr wył ogłuszająco, przenikliwie. Ale przecież byli przed nim osłonięci, powietrze trwało nieruchomo nad nasłonecznioną doliną. Odwróciła się, zdezorientowana. Gwałtownie podniosła wzrok, gdy rozległ się nad nią przeraźliwy łomot. Jakiś czarny cień przesunął się po niebie, ryk i warkot ogłuszały. Przykucnęła, zasłoniła głowę rękami.

Cisza.

Wstała, rozejrzała się. Inni także stali nieruchomo jak ona, nieruchome posągi w jaskrawym słonecznym świetle, kałuże czarnych cieni u ich stóp. Za ich plecami w kamiennej bramie z czerwonych kłów leżał jakiś zgruchotany kształt. Był czarny jak cień i lśnił oślepiająco. Helikopter. Jego złamane śmigło opierało się o kamienną wieżę.

– O, Ram – szepnęła.

– Matka Silong – mruknęła Shui, zaciskając obie dłonie na wysokości serca.

Ruszyli ku bramie, ku helikopterowi. Akidan biegł pierwszy.

– Poczekaj! – krzyknął Odiedin, ale chłopiec stał już nad wrakiem.

Coś krzyknął. Odiedin ruszył biegiem.

Satti straciła oddech. Musiała się zatrzymać, żeby uspokoić galopujące serce. Starszy przewodnik z wioski u stóp gór, Long – dobry, nieśmiały mężczyzna – stanął obok niej, także dygocząc i łapiąc powietrze. Zeszli w dół, ale ciągle znajdowali się na wysokości osiemnastu tysięcy pieng, jak słyszała, sześciu tysięcy metrów. Rozrzedzone, straszliwie rozrzedzone powietrze. Przez jakiś czas powtarzała te liczby.

– Dobrze się czujesz, *joz* Long?

– Tak. A ty, *joz* Satti?

Ruszyli dalej. Usłyszała głos Kieri:

– Widziałam, obejrzałam się... Nie mogłam uwierzyć... Chciał przelecieć między słupami...

– Nie, ja też widziałem. Był tam, zbliżał się do nas, a potem jakby uderzył go wiatr, stracił równowagę i runął na kamienie! – To był Akidan.

– To jej dzieło – powiedział Naba, mężczyzna z wioski w dolinie.

Trzej *maz* obchodzili wrak. Shui klęczała nieopodal, uderzając w coś kamieniem, wściekle, z zapamiętaniem. Satti dostrzegła szczątki nadajnika. Zemsta ery kamienia, podpowiedział chłodno jej umysł. Wydawał się bardzo zimny, jakby oddzielony od niej, zlodowaciały.

Podeszła bliżej, spojrzała na zgruchotany helikopter. Kadłub był rozplątany w bardzo dziwny sposób. Pilot zwisał bezwładnie, przypięty pasami, niemal do góry nogami. Przesiąknięty krwią wełniany szalik zasłaniał mu prawie całą twarz. Widziała tylko jego oczy, grudki galarety.

Na kamienistym gruncie pomiędzy Odiedinem i Siezem leżał drugi mężczyzna. Jego oczy żyły. Patrzył na nią. Poznała go dopiero po chwili.

Tobadan, uzdrowiciel, szybko i lekko przesuwając dłońmi po jego ciele i kończynach, choć gruba odzież z pewnością wykluczała dokładne badanie. Bez przerwy mówił, jakby nie chciał dopuścić, by mężczyzna zasnął.

– Możesz zdjąć hełm? – spytał.

Po chwili mężczyzna drgnął, zaczął z trudem rozpinać sprzączki. Nie odrywał od Satti tępego, zdziwionego spojrzenia. Jego rysy, zawsze ściągnięte i twarde, teraz zmiękły.

– Jest ranny?

– Tak – powiedział Tobadan. – Kolano. Plecy. Ale bez złamań, tak mi się wydaje.

– Miałeś szczęście – odezwał się na głos zimny umysł Satti.

Mężczyzna patrzył na nią przez chwilę, odwrócił wzrok, słabo poruszył ręką. Odiedin delikatnie przycisnął jego ramiona do ziemi.

– Spokojnie. Czeka. Satti, uważaj, żeby nie wstał. Musimy wyjąć tamtego. Zaraz tu będą.

Obejrzała się w stronę jaskiń i ujrzała małe figurki pędzące ku nim przez śnieg. Zajął miejsce Odiedina, stanęła nad pełnomocnikiem. Leżał bezwładnie na ziemi z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Od czasu do czasu dygotał gwałtownie. Ona także miała dreszcze. Zęby jej szczękały. Oplotła się ramionami.

– Pilot nie żyje – odezwała się.

Nie odpowiedział. Zadrżał. Nagle wokół nich zaroilo się od ludzi. Pracowali szybko i sprawnie. W ciągu kilku minut przypięli pełnomocnika do zaimprovizowanych noszy, unieśli go i ruszyli w stronę grot. Inni nieśli zmarłego. Paru zgromadziło się wokół

Odiedina i młodych *maz*. Cichy szmer głosów wydawał się Satti niezrozumiały jak brzęczenie much.

Rozejrzała się w poszukiwaniu Longa i razem z nim przeszła przez półksiężyc polany. Do góry i jaskiń było dalej, niż się jej zdawało. Nad ich głowami krążyła leniwie para geym. Słońce wisiało tuż nad górskim masywem. Ogromny cień Silong zabarwiał Zubuam błękitem.

Jeszcze nigdy nie widziała niczego, co by przypominało tutejsze jaskinie. Było ich wiele, bardzo wiele, setki, niektóre małe jak lisie nory, inne wielkie jak hangar. Tworzyły koronkowe wzory, zachodzące na siebie w kamiennej ścianie. Wokół każdego wejścia widniały mniejsze otwory, srebrzysty kamień lśnił w kontraście z czernią jak grona baniek w pianie lub mydlinach. Przy jednym z otworów stał płotek. Zerknęła na niego, przechodząc. Odpowiedziało jej spojrzenie ciemnych spokojnych oczu w bielutkim pysku młodego minula. W wydrążonej kamiennej ścianie znajdowały się prawdziwe stajnie. Bił od nich mocny, ciepły, roślinny zapach. Wejścia do grot zostały poszerzone i zrównane z poziomem ziemi, jeśli to było konieczne, ale zachowały okrągły kształt. Ludzie, z którymi szła, zniknęli w jednym z nich. Wchodząc w owe drzwi do góry, obejrzała się przez ramię. Niebo wyglądało jak promienny, idealny krąg w cmentarnej czerni.

Nie było to miasto z proporcami i złocistymi procesjami. Brakowało świątyni, bicia w dzwony, werbli i śpiewów. Było bardzo zimno, bardzo ciemno, bardzo biednie. I cicho. Jedzenie, posłania, olej do lamp, Kuchenki i grzejniki, wszystko, co umożliwiało życie w Łonie Silong, przywożono ze wschodu na grzbietach minuli lub ludzi, stopniowo, w maleńkich karawanach, które nie zwracały na siebie niczyjej uwagi, a szły przez wiele miesięcy. W lecie mieszkało tu trzydzieści lub czterdzieści osób. Żyli w grotach. Niektórzy przynieśli z sobą książki, dokumenty, teksty opowiadania. Zostali tu, by je chronić, dziesiątki tysięcy tomów sprowadzanych od lat z wielkiego kontynentu. Zostali, by czytać i studiować, być z książkami, być w grotach pełnych życia.

W pierwszych dniach pobytu tutaj Satti miała wrażenie, że śni o ciemności. Same jaskinie były zdumiewające: nieskończone komnaty-bańki, łączące się z sobą nawzajem, ciemne ściany, podłogi, sufity przechodzące jeden w drugi w tak mylący sposób, że wydawało się jej, iż fruwa w powietrzu. Dźwięki odbijały się echem, nie sposób było się zorientować, skąd dochodzą. I wiecznie zbyt mało światła.

Jej grupa rozbiła namioty w wielkiej komnacie. Spali, tuląc się do siebie, by się ogrzać. W pobliskich jaskiniach stały inne gromady namiotów. Para *maz* wybrała dla siebie trzymetrową dziurę w ścianie, niemal idealnie okrągłą, i urządziła sobie w niej prywatne gniazdko. Kuchenki i stoły stały w dużej jaskini o płaskim dnie; oświetlały ją słoneczne promienie wpadające przez parę wysokich otworów. Wszyscy spotykali się w niej w porze posiłków. Kucharze sprawiedliwie rozdzielali żywność. Zawsze trochę za mało, w kółko to samo: słaba herbata, gotowana fasola, twarde ser, suche listki yoty, podobnej do szpinaku i ostrej w smaku. Zimowe jedzenie, choć było lato. Żywność dla korzeni, dająca wytrzymałość.

Maz, uczniowie i przewodnicy pochodzili z północy i wschodu, wielkich górzystych krajów i równin z centrum kontynentu – Amarezy, Doy, Kangnegne. Pochodzili z miasta i byli o wiele bardziej uczeni i wyrafinowani niż ci, których znała Satti. Nauczeni intelektualnej, cielesnej i duchowej dyscypliny, spadkobiercy ogromnej tradycji, niewyobrażalnie wspaniałej nawet teraz, gdy została zniszczona i zakazana, wydawali się jakby pozbawieni własnej osobowości, choć była z nich wielka godność. Nie udawali mędrców, ale nawet najzyczliwsi byli otoczeni rodzajem aury – Satti nie znosiła tego słowa, choć go używała – narzucającej dystans. Byli łagodni, roztargnieni, pochłonięci bez reszty opowiadaniem, księgami, skarbami jaskiń.

Następnego ranka po ich przybyciu powitali ich *maz* Igneba i Ikak, którzy zaprowadzili ich do Biblioteki, jak ją nazwali. Pokazali im mapę jaskiń; numery na niej odpowiadały numerom nagryzmołonym odblaskową farbą nad wejściami do poszczególnych pomieszczeń. Osoba, która zgubiła się w skalnym labiryncie – co wcale nie było takie trudne – mogła kierować się malejącymi numerami, dzięki czemu zawsze trafiała do wyjścia. Mężczyzna, Igneba Ikak, miał elektryczną latarkę, ale jak wiele akańskich produktów często się psuła. Ikak Igneba niosła lampę oliwną. Kilka razy zapalała od niej lampy wiszące na ścianach, by oświetlić jaskinie życia – okrągłe pomieszczenia pełne słów, gdzie spoczywało w milczeniu ukryte opowiadanie. Pod kamieniem, pod śniegiem.

Książki, tysiące książek, oprawne w skórę, materiał, drewno i papier, manuskrypty w rzeźbionych i malowanych szkatułkach i wysadzanych klejnotami puzdrach, migoczące złotymi listkami urywki starych pism, zwoje w futerałach i skrzynkach lub po prostu związane sznurkiem, książki z cielęcej skóry, pergaminu, papieru z przemiału, pisane ręcznie, drukowane, książki na podłogach, w małych skrzynkach, na niskich półkach zbitych z byle jakiego drewna. W jednej wielkiej jaskini książki stały na wrytych w skalnej ścianie dwóch półkach, na wysokości pasa i oczu. To kosztowało wiele pracy, wyjaśniła Ikak. Wyrzeźbili je *maz*, gdy było to jeszcze całkiem małe *umjazu* z biblioteką mieszczącą się w jednym pomieszczeniu. Ci *maz* mieli czas i środki, by oddać się takiej pracy. Teraz mogli tylko zdobywać plastikowe płachty, by książki nie leżały na gołej ziemi czy skale. Mogli je uporządkować do pewnego stopnia i dbać o ich bezpieczeństwo. Chronić je, strzec, a w wolnym czasie także czytać.

Ale nikt nie zdołałby przeczytać choćby części ze zgromadzonych tu książek, nawet gdyby poświęcił całe życie na zgłębienie tego zniszczonego labiryntu słów, tej okaleczonej, przzerwanej, niezmierzonej historii ludu i świata liczącej setki, tysiące lat.

Odiedin siedział na podłodze w cichej, mrocznej jaskini, w której książki stały rzędami jak skoszona trawa, niknąc w ciemnościach. A on, pomiędzy dwoma rzędami, trzymał na kolanach małą książeczkę w zniszczonej płóciennej oprawie. Po policzkach płynęły mu łzy.

Wszyscy mogli swobodnie wchodzić do jaskiń z książkami. W ciągu następnych dni Satti coraz bardziej zagłębiała się w labirynt, wędrując przy słabym światełku oliwnej lampki. Siadała i czytała. Miała przy sobie noter, do którego skanowała wszystkie teksty, czasami nawet całe książki, których nie miała czasu przeczytać. Czytała błogosławieństwa, protokoły z ceremonii, przepisy, sposoby leczenia wrzodów oraz recepty na osiągnięcie podeszłego wieku, historie, legendy, roczniki, żywoty wielkich *maz*, żywoty zwykłych kupców, świadectwa ludzi, którzy żyli tysiące lat temu i całkiem niedawno, filozoficzne i matematyczne traktaty, medytacje, herbaria, bestiariusze, prace anatomiczne, geometrię rzeczywistą i metafizyczną, mapy Aki, mapy wymyślonych światów, historie o starożytnych krajach, wiersze. Wszystkie wiersze świata.

Uklękała przy drewnianej skrzynce pełnej papierzysek i zniszczonych, robionych ręcznie książek, ocalałych z jakiegoś małego *umjazu* lub miasta, uratowanych przed buldożerami i ogniem, niesionych przez wiele dni trudnej drogi, by były bezpieczne, by przetrwały, by opowiadały. Przy mdłym płomyku lampy otworzyła jedną z nich, elementarz. Ideogramy były duże i bez znaków określających ich odmianę, nastrój, liczbę i żywioł. Na jednej stronie widniał prymitywny drzeworyt przedstawiający mężczyznę łowiącego ryby z mostu. „Góra jest Matką Rzeki”, głosiły ideogramy pod rysunkiem.

Czytała, dopóki słowa martwego świata, głucha cisza, zimno, otaczający ją pęczek ciemności nie stawały się zbyt niesamowite. Wtedy wracała ku dziennemu światłu i żywym głosom. Teraz już wiedziała, że wszystko, co jej opowiedzieli *maz*, stanowiło zaledwie źdźbło tego, co należało znać. Ale tak było dobrze, tak powinno być. Pod warunkiem że istniało miejsce takie jak to.

Jedna para *maz* sporządzała katalog książek w akańskim odpowiedniku notera. Schodzili do jaskiń od dwudziestu lat. Satti rozmawiała z nimi i obiecała spróbować połączyć oba notery, by sporządzić kopię katalogu. Choć *maz* traktowali ją z nieskazitelną uprzejmością i szacunkiem, rozmowy były przeważnie oficjalne, a nierzadko utrudnione. Wszyscy musieli mówić w języku, który nie był ich mową ojczystą. Choć wszyscy Akanie

publicznie posługiwali się językiem dowzańskim, nie myśleli w nim ani nie opowiadali. Był to język wroga. Przeszkoda. Satti zdała sobie sprawę, że bardzo się zbliżyła do mieszkańców Okzat-Okzat od czasu, gdy nauczyła się dialektu Rangma. Kilku *maz* z Biblioteki znało haiński, którego nauczano na uniwersytetach i uważano za dowód prawdziwego wykształcenia. Tutaj nie przydawał się do niczego, z wyjątkiem jednej rozmowy, którą Satti odbyła z młodą *maz* Unroy Kigno.

Pewnego razu wyszły na przechadzkę, by odetchnąć świeżym powietrzem i zamieść ścieżki. Ponieważ helikopter zapuścił się tak blisko – pierwszy raz w historii – teraz z większą dokładnością zacierano ślady na śniegu, mogące zwrócić uwagę pilotów. Przez jakiś czas zamiatały lekki, suchy puch, a potem usiadły na kamieniach koło stajni.

– Czym jest historia? – odezwała się niespodziewanie Unroy w języku haińskim. – Kim są historycy? Jesteś jednym z nich?

– Hainowie tak twierdzą – odparła Satti i zagłębiły się w długą i zapalczywą lingwistyczno-filozoficzną dyskusję, zastanawiając się nad tym, czy historia i opowiadanie mogą być rozumiane jako to samo zjawisko, czy też zjawiska pokrewne bądź wcale z sobą niezwiązane. Czym zajmują się historycy. Czym zajmują się *maz* i dlaczego to robią.

– Wydaje mi się, że historia i opowiadanie to to samo – powiedziała wreszcie Unroy. – To sposób uświęcenia różnych spraw.

– Co to jest świętość?

– Święte jest to, co jest prawdziwe. To, co sprawiało cierpienie. To, co jest piękne.

– Więc opowiadanie szuka prawdy w wydarzeniach. A może w bólu lub pięknie?

– Nie ma potrzeby jej szukać. Świętość po prostu jest. W prawdzie, w bólu, w pięknie. I opowiadanie też jest uświęcone.

Jej partner Kigno znajdował się w obozie w Doy. Został aresztowany i skazany za nauczanie ateistycznej religii i reakcyjnych antynaukowych dogmatów. Unroy wiedziała, że pracuje w ogromnej walcowni razem z innymi więźniami. Jakakolwiek komunikacja nie wchodziła w grę.

– W centrach rehabilitacji są setki tysięcy ludzi – rzuciła Unroy. – Korporacja obniża koszty produkcji.

– Co zrobicie z więźniem?

Unroy pokręciła głową.

– Żałuję, że nie zginął jak tamten. Jest problemem, którego nie umiemy rozwiązać.

Satti zgodziła się z nią w milczeniu i z goryczą.

Pełnomocnik został otoczony troskliwą opieką; kilku *maz* było zawodowymi uzdrowicielami. Położono go w małym namiocie, dbano, by było mu ciepło i by nie głodował. Umieszczono w grocie pomiędzy siedmioma lub ośmioma namiotami przewodników i stajennych. Zawsze ktoś miał na niego oko i ucho, jak to określali. Nie było obawy, że zdoła uciec, dopóki nie wyleczy obrażeń.

Odiedin odwiedzał go codziennie. Satti nie mogła się do tego zmusić.

– Ma na imię Yara – powiedział *maz*.

– Ma na imię Pełnomocnik – odparła pogardliwie.

– Już nie. Ścigał nas z własnej woli. Jeśli wróci do Dowzy, wyślą go do centrum rehabilitacji.

– Do obozu pracy? Dlaczego?

– Urzędnicy nie mogą się kierować własną wolą.

– To nie był helikopter Korporacji?

Odiedin pokręcił głową.

– Był prywatną własnością. Pilot woził nim zapasy żywności ludziom, którzy wspinali się dla rozrywki. Yara go wynajął. Żeby nas znaleźć.

– To dziwne. Więc mnie szukał?

– Byłaś jego przewodnikiem.

– Tego się obawiałam.

– A ja nie – westchnął. – Korporacja jest taka wielka, a jej organa tak nieporadne, że my, szaraczkowie, nie ściągamy na siebie uwagi. Przemykamy się przez oka sieci. A przynajmniej tak było przez wiele lat. Dlatego się nie martwiłem... Ale on nie jest z policji. Działał w pojedynkę. Fanatyk.

– Fanatyk? – Parsknęła śmiechem. – Wierzy w slogany? Kocha Korporację?

– Nienawidzi nas, *maz*, opowiadania. Boi się ciebie.

– Jako obcej?

– Wydaje mu się, że przekonasz Ekumenę, żeby poparła *maz* przeciwko Korporacji.

– Dlaczego tak sądzi?

– Nie wiem. Jest dziwny. Powinnaś z nim porozmawiać.

– Po co?

– Żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Odkładała to, lecz sumienie nie dawało jej spokoju. Odiedin nie był uczonym mędrcem jak ci z nizin, ale miał czysty umysł i serce. Podczas długiej podróży nauczyła się całkowicie mu ufać, a kiedy zobaczyła, jak płacze na widok książek w Bibliotece, zrozumiała, że go kocha. Chciała spełnić jego prośbę, nawet jeśli chodziło o rozmowę z pełnomocnikiem. Może powinna także powiedzieć, co sama miała do powiedzenia. W każdym razie wcześniej czy później musiała się z nim spotkać. I zastanowić się, co z nim zrobić. Spytać, czy jej obecność nie ma czegoś wspólnego z jego przybyciem.

Następnego dnia przed wieczornym posiłkiem zjawiała się w pieczarze, w której go położono. Kilku stajennych grało przy świetle latarni, rzucając znaczone patyki. Na ścianie widniał czarny znak, symbol drzewa, wykuty przez *maz* setki lat temu: pojedynczy pień, dwie gałęzie, pięć liści. W wyłobionych liniach nadal lśniło złoto i migotały okruchy kryształu, agatu i kamienia księżycowego. Oczy Satti przyzwyczyły się już do ciemności. Przyćmione światło małej lampki elektrycznej wydawało się jej jasne jak promienie słońca.

– Gdzie przybysz? – spytała grających.

Jeden skinął głową w stronę oświetlonego namiotu.

Wejście do niego było zasłonięte klapą. Satti stała przez chwilę niezdecydowana. Wreszcie się odezwała:

– Pełnomocniku...

Klapa się uniosła. Satti zajrzała ostrożnie do środka. W namiocie było ciepło i jasno. Pełnomocnik spoczywał na łóżku z przymocowaną podpórką pod plecy, dzięki której pólleżał. W zasięgu ręki miał sznurek od klapy wejściowej, elektryczną lampkę z korbką, malutki grzejnik olejowy, butelkę wody i mały noter. Podczas upadku odniósł wiele

obrażeń. Fioletowoczarne siniaki pokrywały całą prawą stronę jego twarzy, prawe oko było opuchnięte i na wpół zamknięte, na obu rękach rozlewały się ogromne brązowosine plamy. Satti nie patrzyła na niego, tylko na notera.

Weszła do namiotu na czworakach, wzięła urządzenie i przyjrzała mu się uważnie.

– To nie nadajnik – odezwał się pełnomocnik.

– Tak mówisz – mruknęła i uruchomiła noter. Po chwili dodała ironicznie: – Przepraszam, że grzebię w prywatnych plikach. Nie interesują mnie, ale muszę sprawdzić, co z tym można zrobić.

Nie odpowiedział.

Urządzenie było zwykłym noterem, dość efektownym, lecz niepozbawionym kilku poważnych błędów konstrukcyjnych, jak wiele akańskich produktów. Nie miało funkcji nadajnika ani odbiornika. Odłożyła go w miejsce, z którego pełnomocnik nie mógł go dosięgnąć.

Zaniepokojenie nieco zelzało, ale pozostało zażenowanie i rozdrażnienie, jakie budziła w niej konieczność przebywania w zamkniętym namiocie z tym człowiekiem, wymuszona fizyczna bliskość. Myślała tylko o tym, żeby zaznaczyć dystans między nimi. Mogła to osiągnąć jedynie za pomocą słów.

– Co chciałeś zrobić?

– Śledzić cię.

– Twój rząd ci tego zakazał.

– Nie mogłem się na to zgodzić – powiedział po chwili milczenia.

– Trybik mądrzejszy od maszyny, co?

Nie odpowiedział. Od chwili jej wejścia nie zrobił żadnego ruchu. Ta sztywna postawa prawdopodobnie oznaczała ból. Przyjrzała mu się beznamiętnie.

– Co byś zrobił, gdyby helikopter się nie rozbił? Wróciłbyś do Dowzy i zdał raport... co? Że w górach są groty?

Brak odpowiedzi.

– Co wiesz o tym miejscu?

Już zadając to pytanie, zdała sobie sprawę, że pełnomocnik nie widział niczego z wyjątkiem tej groty, kilku stajennych i *maz*. Mógłby się nie dowiedzieć, gdzie trafił. Mogli zawiązać mu oczy... prawdopodobnie nawet nie musieli. Wystarczy, jeśli go stąd usuną, kiedy tylko będzie w stanie się ruszać. Na razie widział jedynie obóz wędrowców. Nie miał nic, o czym mógłby zaraportować.

– To Łono Silong – powiedział. – Ostatnia Biblioteka.

– Dlaczego tak sądzisz? – rzuciła zła i rozczarowana.

– Ponieważ tu przybyłaś. Biuro Czystości Etycznej od dawna szuka tego miejsca. Miejsca, w którym chowają książki. To tutaj.

– Kim są „oni”?

– Wrogami państwa.

– O, Ram! – parsknęła. Cofnęła się jak najdalej i objęła kolana. – Przejęliście wszystkie nasze błędy, ale nie przejęliście żadnego z prawdziwych osiągnięć. Żałuję, że tu przybyliśmy, ale ponieważ już się stało, gdyż dopuściliśmy do tego, zadufani w sobie, powinniśmy przynajmniej odmówić wam informacji, o które prosiliście, albo powiedzieć wam o terrańskiej historii. Ale oczywiście i tak byście nas nie wysłuchali. Nie wierzycie w historię. Własną wyrzuciliście jak śmieć.

– Bo była śmieciem.

W miejscach pomiędzy czarnymi siniakami jego skóra była szara jak popiół. Mówił ochryple, z trudem. Cierpi i jest bezradny, pomyślała bez współczucia i wyrzutów sumienia.

– Wiem, kim jesteś – powiedziała. – Jesteś moim wrogiem. Fanatykiem. Cnotliwym obywatelem ze słuszną misją. Jednym z tych, co skazują ludzi za czytanie, a książki palą. Co wysyłają ludzi do więzienia za to, że inaczej się gimnastykują. Niszczą herbaria i sikają na nie. Naciskają guziki, które uruchamiają bomby. I kryją się w bunkrach, żeby nic się im nie stało. Zawsze pod opieką Boga. Albo państwa. Czy jakiegoś innego kłamstwa, które ukrywa ich zazdrość, chciwość i tchórzostwo. Dobrze się na mnie poznałeś. Wiedziałeś, że jestem twoim wrogiem. Że nie należę do was, cnotliwych ludzi. Skąd to wiedziałeś?

– Wysłali cię w góry. – Do tej pory patrzył nieruchomo przed siebie, ale teraz z trudem odwrócił głowę, by spojrzeć jej w oczy. – Tam, gdzie mogłaś spotkać *maz*. Nie chciałem, żeby zrobili ci krzywdę, *joz*.

Na chwilę odebrało jej mowę.

– *Joz!* – powtórzyła.

Znowu odwrócił głowę. Spojrzała w jego obrzmiałą, nieprzeniknioną twarz. Sięgnął zdrową ręką po lampkę i kilka razy zakręcił korbką. Po chwili zabłysło słabe światelko, a Satti po raz setny zastanowiła się mimochodem, dlaczego Akanie produkują kanciaste żarówki. Teraz jednak ważniejsze były dla niej gniew, uraza i nienawiść.

– Czy twoi rodacy wysłali mnie do Okzat-Ozkat jako przynętę? Miałam być narzędziem? Mieli nadzieję, że ich tu doprowadzę?

– Tak myślałem – odezwał się po kolejnej chwili milczenia.

– Ale kazałeś mi się trzymać z daleka od *maz*!

– Sądziłem, że są niebezpieczni.

– Dla kogo?

– Dla... Ekumeny... Mojego rządu... – użył starego słowa i zaraz się poprawił: – Dla Korporacji.

– To bez sensu.

Puścił korbkę. Znowu zapatrzył się w pustkę przed sobą.

– Pilot powiedział „są” i skierowaliśmy się nad ścieżkę. Potem krzyknął i zobaczyłem ciebie. A za tobą dym, dym powstający ze skał. Nagle rzuciło nas w bok, na górę. Na kamienie. Ktoś nas rzucił. Popchnął. – Ścisnął zdrową ręką poranioną lewą dłoń. Usiłował opanować drzenie.

– Zabłąkany podmuch wiatru, *joz* – odezwała się cicho po chwili. – I zbyt duża wysokość dla helikoptera.

Skinał głową. Pewnie powtarzał sobie to samo. Wielokrotnie.

– To miejsce jest dla nich święte – dodała. Dlaczego użyła tego słowa? Dlaczego się nad nim znęcała? Żle, źle. – Słuchaj, Yara... Tak się nazywasz?... Nie daj się wciągnąć w te reakcyjne przesady. Matka Silong nie zwraca na nas uwagi.

Pokręcił głową w milczeniu. Może to także sobie powtarzał. Nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby mu powiedzieć. Zapadła długa cisza.

– Zasługuję na karę – rzucił niespodziewanie.

Udało mu się nią wstrząsnąć.

– Otrzymałeś ją – mruknęła – i to pewnie jeszcze nie koniec. Co z tobą zrobimy? Trzeba będzie się nad tym zastanowić. Lato się już kończy. Za kilka tygodni mieliśmy stąd odejść. Do tego czasu możesz sobie odpuścić. I staraj się chodzić, bo nie sądzę, żebyś zdołał stąd odlecieć na południowym wietrze...

Spojrzał na nią najwyraźniej przerażony. Czymś, co powiedziała? Ponieważ sądził, że zasługuje na karę? Czy też tylko dlatego że przebywanie w tym stanie między wrogami budziło w nim strach?

Skinał głową, ostrożnie, z grymasem bólu.

– Kolano wkrótce się zagoi.

Kiedy wracała przez jaskinie, przyszło jej do głowy, że było w nim coś z dziecka, aczkolwiek groteskowego. Coś czystego i prostego. Prostackiego, skorygowała się natychmiast, i co, do cholery, znaczy to „czyste”? Święty, niewinny i tak dalej? Prostak, fanatyk, jak powiedział Odiedin. Terrorysta. Czysty i prosty.

Ta rozmowa zepsuła jej humor. Żałowała, że się z nim spotkała. Rozdrażniona, rozjątrzona, straciła cierpliwość do przyjaciół.

Kieri, z którą dzieliła namiot, lecz ostatnio już nie śpiwór, była wesoła i czuła, ale jej prymitywna pewność siebie mogła budzić niechęć. Wiedziała wszystko, co chciała wiedzieć. Interesowały ją tylko historie i przesady. Nie chciała się uczyć od *maz*, nigdy nie zaglądała do jaskiń z książkami. Przyszła tu dla samej przygody. Z kolei Akidan padł ofiarą uwielbienia nieszczęśliwie zmieszanego z pożądaniem. Shui tuż po przybyciu na miejsce wróciła do wioski i Akidan został sam. Natychmiast zakochał się w *maz* Unroy Kigno. Włóczył się za nią jak małe minule za matką, spoglądał na nią rozkochanym wzrokiem, zapamiętywał każdej jej słowo. Niestety, *maz* byli jedynymi ludźmi, których życie seksualne podlegało ścisłym regułom starego systemu. Byli zobowiązani do bezwarunkowej wierności jednemu partnerowi, nawet jeśli byli z nim rozdzieleni. *Maz*, których znała Satti, przestrzegali tej reguły bez żadnych wyjątków. Akidan, chłopiec bardzo szlachetny, nie zamierzał jej podważyć. Po prostu zadurzył się po uszy, nieszczęsna ofiara hormonów i uwielbienia.

Unroy współczuła mu, ale nie dała mu tego odczuć. Odtrąciła go brutalnie, kwestionując jego opanowanie i zdolności do bycia *maz*. Kiedy zanadto zdradził się ze swoimi uczuciami, zacytowała znany wers z *Drzewa*: „Dwoje, co są jednym, nie są dwojgiem, lecz jeden, co jest dwojgiem, jest jednym...”. Była to dość łagodna reprimenda, ale Akidan pobladł ze wstydu i cofnął się gwałtownie. Od tego czasu chodził jak struty. Kieri rozmawiała z nim często i chyba nabrała ochoty, żeby go pocieszyć. Satti miała nadzieję, że tak zrobi. Nie chciała być świadkiem wybuchów niedojrzałych emocji. Tęskniła za radą kogoś dorosłego, za pewnością płynącą z doświadczenia. Czuła, że musi iść przed siebie, ale znalazła się w ślepej uliczce. Musiała podjąć decyzję, lecz nie wiedziała, czego ona dotyczy.

Łono Silong było całkowicie odcięte od świata. Nie dopuszczano tu żadnych przekaźników, by nie wykryto choćby najslabszego sygnału. Wieści przynosili ludzie ze wschodu lub z południowego zachodu, przychodzący tą samą trudną i długą drogą, którą pokonała grupa Satti. Lato się kończyło i nie spodziewano się już nowych gości; tak jak powiedziała pełnomocnikowi, raczej wszyscy rozmawiali już o wyruszeniu w drogę powrotną.

Przysłuchiwała się tym dyskusjom. Zwyczaj nakazywał, by grupy liczyły po kilka osób, a na rozstajnych drogach rozchodziły się w przeciwne strony. Wówczas mogły dołączać do

małych karawan ludzi z letnich obozowisk, wracających do wiosek u podnóży gór. W ten właśnie sposób pielgrzymi od czterdziestu lat odwiedzali Łono Silong, nie budząc niczyich podejrzeń. „Teraz już za późno – powiedział Odiedin – by wracać drogą na południowy zachód, którą tu przyszli”. Przewodnicy z wioski w dolinie odeszli, a i tak na Zubuamie szaleją burze i śnieżyce. Mogli zejść do Amarezy, górskiego regionu na północny wschód od Silong, a potem obejść okręg Wysokich Źródeł i dojść do Okzat-Ozkat. Pieszko zajęłoby to im kilka miesięcy. Odiedin sądził, że powinni korzystać z ciężarówek, choć w tym celu musieliby się podzielić na pary.

Wszystko to wydawało się jej zbyt trudne i przerażające. Wspinaczka z przewodnikami, wędrówka tajną ścieżką przez chmury do świętego miejsca to jedna rzecz, błaganie kierowców o podwiezienie, bez możliwości obrony i w wielkim obcym kraju, to zupełnie co innego. Tak, ufała Odiedinowi, ale okropnie tęskniła za kontaktem z Tongiem Ovem. Poza tym, co zrobią z pełnomocnikiem? Wypuszczą go, żeby doniósł ministerstwu o ostatnim wielkim skarbcu zakazanych ksiązek? Może i doznałby niełaski, ale zanim szefowie wysłaliby go do kamieniołomów, z pewnością wysłuchaliby tego, co ma do powiedzenia.

A właściwie co powiedziałyby Tongowi, gdyby się z nim skontaktowała? Zlecił jej odnalezienie historii Aki, zaginionych, zakazanych informacji, jej prawdziwego życia. Znalazła je. Co teraz? *Maz* wymagali od niej jednego: miała ocalić ich skarb. Tylko to wydawało się pewne w wirze uczuć i myśli, który ją ogarnął po rozmowie z pełnomocnikiem.

Ona sama chciała – chciałyby, gdyby to było możliwe – zostać tutaj. Mieszkać w jaskiniach życia, czytać, słuchać opowiadania w tym miejscu, gdzie nadal było kompletne lub prawie kompletne, jedna nienaruszona historia. Żyć w lesie słów. Słuchać. Do tego była stworzona, tego pragnęła i tego nie mogła osiągnąć. Tak jak wszyscy *maz*.

– Byliśmy głupi, *joz* Satti – powiedziała Goiri Engnake, *maz* z wielkiego miasta Kangnegne w głębi kontynentu, specjalizująca się w filozofii. Przez czternaście lat pracowała w rolniczym obozie za szerzenie reakcyjnej ideologii. Była sterana, twarda, szorstka. – Zanieśliśmy wszystko aż tutaj. Powinniśmy to rozsiać wszędzie. Zostawić książki z ich posiadaczami i zrobić ich kopie. Przepisywać wszystko, co się da, zamiast przynosić w jedno miejsce, żeby tamci mogli je zniszczyć za jednym zamachem. Ale widzisz, jesteśmy staroświeccy. Myśleliśmy, że kopiowanie zajmuje dużo czasu, a tajne drukarnie są łatwe do wykrycia. Nie spojrzeliśmy nawet na urządzenia, które zaczęła produkować Korporacja – te, co powielają książkę w ułamku chwili. Nie wiedzieliśmy, że w komputerze mieszczą się całe biblioteki. I przenieśliśmy nasz skarb w miejsce, gdzie nie możemy skorzystać z technologii. Nie możemy tu przynieść komputerów, a nawet gdyby nam się udało, jak mielibyśmy je zasilać? I ile by nam zajęło powielenie tego wszystkiego?

– Wiele lat... z akańską technologią. Z tym, co jest dostępne Ekumenie, może jedno lato. Spojrzała na Goiri i powoli dodała:

– Gdybyśmy dostali zezwolenie... od Korporacji... I stabilów Ekumeny...

– Rozumiem.

Znajdowały się w „kuchni”, jaskini, w której gotowano i spożywano posiłki. Została uszczelniona do tego stopnia, że panowało w niej przyjemne ciepło. Ludzie zbierali się w niej i godzinami prowadzili rozmowy. Satti i Goiri zjadły już śniadanie i popijały teraz bardzo słabą herbatę bezit. „Rozpoczyna przepływ i połączenie”, szepnęło wspomnienie Iziezi.

– Czy poprosiłabyś posła, by postarał się o takie zezwolenie, *joz*?

– Tak, oczywiście – powiedziała Satti, a po namyśle dodała: – To jest: poprosiłabym, gdyby uznał to za możliwe lub sensowne. Gdyby taka prośba naprowadziła rząd na trop Biblioteki, z pewnością by ją zniszczono, *maz*.

Goiri uśmiechnęła się pod nosem, słysząc dobór słów. Rozmawiały oczywiście po dowzańsku.

– Ale może fakt, iż wiesz o Bibliotece, a Ekumena się nią interesuje, mógłby ją ocalić. Może nie przysłałiby policji, żeby ją zniszczyła.

– Może.

– Egzekutywa bardzo szanuje Ekumenę.

– Tak. I zezwala jej posłom na kontakt wyłącznie z ministrami i biurokratami. Przekazują im wiele użytecznych informacji oraz mnóstwo bezużytecznej propagandy.

Goiri zastanowiła się głęboko.

– Skoro o tym wiecie, dlaczego na to pozwalacie?

– Ekumena jest dalekowzroczna. Tak bardzo, że zwykłym ludziom trudno to znieść. Podstawowym założeniem jest to, iż ukrywanie wiedzy zawsze stanowi błąd – na dłuższą metę. Mówimy więc o wszystkim, jeśli ktoś nas zapyta. Pod tym względem przypominamy *maz*.

– Już nie – mruknęła gorzko Goiri. – My naszą wiedzę ukrywamy.

– Nie macie wyboru. Wasi urzędnicy są niebezpieczni. To fanatycy... – Satti pociągnęła łyk herbaty. W gardle jej zaschło. – W moim świecie, w czasach, gdy dorastałam, istniała bardzo wpływowa grupa fanatyków. Wierzyli, że ich poglądy są jedynie słuszne, że nie istnieje inna droga. Atakowali agencje informacyjne, niszczyli biblioteki, uczelnie na całym świecie. Oczywiście nie zniszczyli wszystkiego. Zdołano coś odratować. Ale... zło się stało. Takie zło jest czasem jak zawał. Na ogół odzyskuje się zdrowie, ale do pewnego stopnia. Zresztą wy też to wiecie.

Zamilkła. Powiedziała zbyt wiele, głos jej drżał. Za bardzo się zbliżyła do niebezpiecznego tematu. Nie powinna podchodzić tak blisko. Źle.

Goiri także była wstrząśnięta.

– Wiem o twoim świecie tylko to, że...

– ...podróżujemy w statkach kosmicznych, niosąc oświecenie zacofanym światom – warknęła Satti. Potem uderzyła jedną dłonią w stół, a drugą w usta.

Goiri otworzyła szeroko oczy.

– W ten sposób Rangma przypominają sobie, żeby trzymać buzię na kłódkę – wyjaśniła Satti z uśmiechem. Ręce jej drżały.

Przez chwilę obie siedziały w milczeniu.

– Myślałam, że wy... wy z Ekumeny... jesteście bardzo mądrzy... nieomylni. Jakie to dziecinne – odezwała się Goiri. – Jakie niesprawiedliwe.

Znowu cisza.

– Zrobię, co w mojej mocy, *maz*. Jeśli i kiedy wrócę do Dowza City. Chyba nie powinnam kontaktować się z moim telefonem. Mogłabym najwyżej powiedzieć, z myślą o podsłuchu, że zgubiliśmy drogę, usiłując dostać się na Silong, i wyszliśmy wschodnią ścieżką. Ale jeśli zatelefonuję z Amarezy, gdzie nie wolno mi przebywać, będę musiała się tłumaczyć. Mogę milczeć, lecz chyba nie potrafię kłamać. To znaczy, w przekonujący sposób... No i pozostaje problem pełnomocnika.

– Tak. Chciałabym, żebyś z nim porozmawiała, *joz* Satti.

„I ty, Brutusie?” – odezwał się wujek Hurree, unosząc sarkastycznie brwi.

– Dlaczego?

– Ponieważ należy do, jak to nazywasz, fanatyków. I jak mówisz, jest przez to niebezpieczny. Powiedz mu to, co mnie, o Ziemi. Powiedz mu więcej niż mnie. Powiedz, że wiara jest raną, którą leczy wiedza.

Satti dopiła ostatnie krople herbaty. Była gorzka i delikatna.

– Nie pamiętam, gdzie to słyszałam. Nie przeczytałam tego. Ktoś mi opowiedział.

– Słowa Terana do Penana. Kiedy został ranny w walce z barbarzyńcami.

Teraz sobie przypomniła: kółko żałobników w zielonej dolinie pod wielkimi masywami kamienia i śniegu, ciało młodego mężczyzny w cienkim, białym jak śnieg całunie, głos *maz* opowiadającego historię: „Teran, umierając, rzekł: »Mój bracie, mój mężu, moja miłości, połowo mego ciała, obaj wierzyliśmy, że pokonamy wroga i sprowadzimy pokój na kraj. Ale wiara jest raną, którą leczy wiedza, a śmierć zaczyna opowiadanie naszego życia«”. Wtedy zmarł w ramionach Penana.

„Grób, *joz*. Tu wszystko się zaczyna”.

– Przekażę tę wiadomość – odezwała się Satti po chwili. – Choć fanatycy mają małe uszy.

Jedynym źródłem światła w namiocie był nikły płomyk grzejnika. Kiedy Satti odchyliła klapę, pełnomocnik zaczął kręcić korbką latarni. Trzeba było trochę czasu, zanim się rozświetliła mdłym i migotliwym blaskiem.

Satti usiadła po turecku blisko wejścia. Twarz pełnomocnika nie była już opuchnięta, choć nadal znaczyły ją ciemne sińce. Podpórkę pod plecy uniósł tak wysoko, że prawie siedział.

– Leżysz tu w ciemnościach dniem i nocą – odezwała się. – To chyba bardzo dziwne wrażenie. Jak deprywacja sensoryczna. Odmienny stan świadomości. Jak zabijasz czas?

– Śpię. Myślę.

– Ach, czyżby? Powtarzasz slogany? Wyżej, dalej, lepiej? Myśl reakcyjna twoim wrogiem?

Nie odpowiedział.

Obok posłania leżała książka. Satti zajrzała do środka. Był to szkolny podręcznik, zbiór wierszy, historii, życiorysów i tak dalej, przeznaczony dla dzieci z klas młodszych. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że patrzy na ideogramy, nie litery. Prawie zapomniała, że w świecie pełnomocnika, w nowoczesnej Ace, posługiwano się literami, a ideogramy były zakazane, nielegalne, wykluczone z życia, zapomniane.

– Potrafisz to czytać? – rzuciła ostro, nie wiadomo dlaczego wytrącona z równowagi.

– Dostałem ją od Odiedina Manma.

– Potrafisz to czytać?

– Powoli.

– I kiedyż to nauczyłeś się tego prymitywnego, zacofanego, reakcyjnego pisma?

– W dzieciństwie.

– Kto cię nauczył?

– Ludzie, z którymi mieszkałem.

– Czyli kto?

– Rodzice mojej matki.

Odpowiadał zawsze po chwili milczenia, cicho, prawie szeptem, jak zawstydzony chłopiec wezwany przed oblicze dyrektora. Nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Policzki zaczęły ją palić, zaszumiało jej w uszach. Źle, znowu źle. Gorzej niż źle.

Po paru minutach niezręcznej ciszy powiedziała spokojnie:

– Przepraszam, nie powinnam tak do ciebie mówić. Nie podobał mi się sposób, w jaki mnie traktowałeś, na statku i w Okzat-Ozkat. Zaczęłam cię nienawidzić, ponieważ winiłam cię za zniszczenie herbarium *maz* Soty, dumy jego życia. I za prześladowanie moich przyjaciół. Oraz mnie. Nienawidzę fanatyzmu. Ale staram się nie nienawidzić ciebie.

– Dlaczego? – Miał zimny głos, tak jak zapamiętała.

– Nienawiść ma dwustronne ostrze – zacytowała znany tekst z opowiadania.

Siedział nieruchomo, jak zwykle spięty. Za to ona poczuła ulgę. Wyznanie uwolniło ją nie tylko od wstydu, ale i rozpaczliwej nienawiści, którą zawsze odczuwała w jego obecności. Ułożyła nogi w wygodniejszej pozycji półłotosu, wyprostowała plecy. Wreszcie

zdołała spojrzeć mu prosto w oczy. Przez jakiś czas przyglądała się jego zlodowaciałej twarzy. Pełnomocnik nie mógł albo nie chciał z nią rozmawiać, ale ona nie zamierzała zwracać na to uwagi.

– Mam z tobą pomówić – oznajmiła. – Mam ci powiedzieć, jak wygląda życie na Terze. Opowiedzieć o tych smutnych i brzydkich prawdach, jakie na was czekają pod koniec Marszu do Gwiazd. A wszystko po to, żebyś zadał sobie to niemiłe pytanie: czy wiem, co robię? Choć pewnie ci się nie zechce... Ja zaś jestem ciekawa, jak wygląda życie kogoś takiego jak ty. Dlaczego ludzie stają się pełnomocnikami. Wyjaśnisz mi to? Dlaczego mieszkałeś z dziadkami? Dlaczego uczyłeś się starego pisma? Masz mniej więcej czterdzieści lat. W czasach twojego dzieciństwa to pismo było już nielegalne, prawda?

Pokiwał głową. Odłożyła książkę. Wziął ją i spojrział na faliste znaki tytułu na okładce: „Drogocenne owoce z Drzewa Nauki”.

– Opowiedz – powtórzyła z naciskiem. – Gdzie się urodziłeś?

– W Bolow Jeda. Na zachodnim wybrzeżu.

– I nazwali cię Yara. Silny.

Pokręcił głową.

– Nazwali mnie Azyaru.

Azya Aru. Czytała o nich kilka dni temu w *Historii o zachodnich krajach*, którą Unroy pokazała jej podczas kolejnej wyprawy w labirynt Biblioteki. Para *maz* żyjących jakieś dwieście lat temu. Azya Aru byli założycielami i apostołami opowiadania w Dowzie. Pierwsi wielcy *maz*. Bohaterzy dowzańskiej kultury... przed nadejściem nowych czasów. Pod rządami Korporacji bez wątpienia przedstawiono ich jako czarne charaktery, a wreszcie wymazano z historii, wykasowano, a ślad po nich zamalowano białą farbą.

– Więc twoi rodzice byli *maz*?

– Dziadkowie. – Ścisnął książkę tak mocno, jakby to był talizman. – Moim pierwszym wspomnieniem jest dzień, w którym mój dziadek uczył mnie pisać słowo „drzewo”. – Narysował palcem na okładce ideogram z dwóch kresek. – Siedzieliśmy na ganku, w cieniu, w oddali widzieliśmy morze. Nadpływały rybackie łodzie. Bolow Jeda leży na wzgórzach nad zatoką. Największe miasto na wybrzeżu... Dziadkowie mieli piękny dom. Na ganku rosła winorośl aż po dach, gruba łodyga i żółte kwiaty. Codziennie organizowali opowiadanie. Wieczorami szliśmy do *umjazu*.

Użył zakazanej formy czasownika *szedł/szła/szliśmy*. Chyba nie zdaje sobie z tego sprawy, pomyślała Satti. Głos mu się zmienił, stał się miękki, ochrypliwy, zamyślony.

– Moi rodzice byli nauczycielami. Nauczyli mnie nowego alfabetu, ale stary podobał mi się bardziej. Lubilem pismo, książki. Te, z których uczyli mnie dziadkowie. Uważali, że jestem urodzonym *maz*. Babcia mówiła: „Och, Kiem, daj się dziecku pobawić”. Ale dziadek wolał, żebym się uczył, a ja zawsze chciałem go zadowolić. Poznawać wszystko... Babcia uczyła mnie rzeczy mówionych, opowiadania, z którym zapoznawano dzieci. Ale pismo podobało mi się bardziej. Umiałem je kaligrafować tak, że wyglądało pięknie. I zostawało na długo. Słowa ulatywały z wiatrem, trzeba było je ciągle powtarzać, żeby żyły, a pismo pozostawało i można było się nauczyć, jak je kaligrafować, żeby wyglądało jeszcze lepiej. Jeszcze piękniej.

– Więc mieszkałeś z dziadkami. Uczyłeś się od nich?

Odpowiedział po krótkiej pauzie, w zamyśleniu, jakby we śnie:

– Kiedy byłem mały, wszyscy mieszkaliśmy razem. Potem ojciec został szkolnym

administratorem, a matka zaczęła pracować w Ministerstwie Informacji. Przeniesiono ich do Tambe, potem do Dowza City. Matka musiała dużo podróżować. Oboje szybko awansowali. Stali się ważnymi urzędnikami. Aktywistami. Moi dziadkowie powiedzieli, że będzie lepiej, jeśli pozostanę z nimi, skoro rodzice muszą tak często wyjeżdżać i ciężko pracować. Więc zostałem.

– I chciałeś zostać?

– Och, tak – powiedział z prostotą. – Byłem szczęśliwy.

Dźwięk tych słów wstrząsnął nim, wytrącił go z transu. Odwrócił głowę gwałtownym ruchem, który przypominał jej plastycznie chwilę na ulicy w Okzat-Ozkat, gdy zwrócił się do niej gniewnie i prosząco, mówiąc: „Niech nas pani nie zdradzi!”.

Przez jakiś czas się nie odzywali. W Grocie Drzewa panowała cisza. Nikt nie rozmawiał, nie rozbrzmiewały kroki. Głuche milczenie Łona Silong.

– Dorastałam w wiosce – odezwała się Satti. – Z wujkiem i ciocią. Tak naprawdę to byli moi cioteczni dziadkowie. Wujek Hurree był chudy i bardzo śniady, miał białe rozwichrzone włosy i krzaczaste brwi... straszne brwi. Kiedy byłam mała, wydawało mi się, że z tych brwi sypią się iskry. Ciocia wspaniale gotowała i zarządzała domem. Potrafiła wszystko zorganizować. Nauczyłam się gotować, zanim zaczęłam czytać. Ale wujek wreszcie zdecydował się mnie uczyć. Był profesorem na uniwersytecie w Kalkucie. To wielkie miasto w mojej części Terry. Uczył literatury. Mieszkaliśmy na wsi w pięciopokojowym domu, a wszędzie były książki, z wyjątkiem kuchni. Ciocia nie pozwalała trzymać ich w kuchni. Poza tym były w moim pokoju, pod ścianami, pod łóżkiem, pod stołem. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Bibliotekę, przypominał mi się mój pokój.

– Twój wujek nauczał w wiosce?

– Nie, ukrywał się. Wszyscy się ukrywaliśmy. Moi rodzice byli gdzie indziej. W bezpiecznym miejscu. Wybuchła rewolucja, taka jak u was, lecz chodziło o coś dokładnie przeciwnego. Ludzie, którzy... ale wolałabym słuchać ciebie. Powiedz, co się wydarzyło. Musiałeś opuścić dziadków? Ile miałeś lat?

– Jedenaście.

Teraz ona słuchała, a on mówił:

– Moi dziadkowie też byli aktywistami – powiedział z trudem, ponuro, choć bez wahania. – Ale nie jako producenci-konsumenci. Zostali przywódcami bandy działaczy reakcyjnego podziemia. Podzegli przeciwko państwu, szerzyli wsteczne nauki. Ja tego nie rozumiałem. Zabierali mnie na zebrania. Nie wiedziałem, że są nielegalne. *Umjazu* zostało zamknięte, lecz nie wyjawili mi, że to policja je zamknęła. Nie wysłali mnie do państwowej szkoły. Trzymali mnie w domu, uczyli zabobonów i zboczonej moralności. Wreszcie ojciec zorientował się, co się dzieje. On i moja matka żyli już w separacji. Nie widział mnie od dwóch lat, ale po mnie przysłał. Przybył jakiś człowiek. W nocy. Słyszałem, jak babcia mówi bardzo głośno, z gniewem, jak nigdy wcześniej. Wstałem i poszedłem do dużego pokoju. Dziadek siedział w fotelu, bez ruchu, nie spojrzał na mnie, nie odezwał się. Babcia i ten mężczyzna stali po obu stronach stołu, naprzeciw siebie. Spojrzeli na mnie, potem mężczyzna spojrzał na nią. Powiedziała: „Ubierz się, Azyaru, ojciec chce się z tobą spotkać”. Ubrałem się, a kiedy wróciłem, wszyscy byli w tych samym miejscach: dziadek w fotelu, jak stary, głuchy i ślepy starzec wpatrujący się przed siebie, babcia z pięściami opartymi na blacie stołu, obcy mężczyzna naprzeciw niej. Zacząłem płakać. Powiedziałem, że nie chcę jechać, chcę tu zostać. Wtedy babcia mnie objęła, ale

potem popchnęła mnie w stronę mężczyzny. Powiedział: „Chodź”. A ona powiedziała: „Idź, Azyaru!”. I... poszedłem z nim...

– Dokąd? – spytała szeptem.

– Do mojego ojca w Dowza City. Chodziłem tam do szkoły. – Długie milczenie. – Opowiedz mi o... twojej wiosce... Dlaczego się ukrywaliście...

– Dobrze, coś za coś. Ale to długa historia.

– Wszystkie historie są długie – mruknął.

Użyźniacz także powiedział kiedyś coś podobnego. „Krótkie historie to tylko fragmenty dłuższej”, tak właśnie to brzmiało.

– Trudno mi wyjaśnić, kim w moim kraju jest Bóg.

– Znam Boga – powiedział natychmiast.

Musiała się uśmiechnąć. Na chwilę jej twarz się rozświetliła.

– Na pewno. Ale tutaj trudno zrozumieć, kim Bóg jest tam, u nas. Tutaj jest tylko słowem, niczym więcej. W twoim państwie teizm oznacza to, co jest dobre, słuszne. Mam rację?

– Bóg jest rozumem, tak – przyznał dość niepewnie.

– Na Terze słowo „Bóg” ma ogromne znaczenie dla tysięcy osób, wielu narodów. I zwykle nie oznacza rozumu, ale tajemnicę. To, co niepoznawalne. Istnieje więc wiele wyobrażeń Boga. Jednym z nich jest to, że Bóg stworzył wszystko i jest odpowiedzialny za wszystkie istoty i zdarzenia. Jest takim wszechświatem, wieczną Korporacją.

Słuchał uważnie, lecz ze zdumieniem.

– W wiosce, w której dorastałam, znaliśmy takiego Boga, ale mieliśmy jeszcze wielu innych. Miejscowych. Całe tłumy. Choć tak naprawdę byli do siebie dość podobni. Byli wśród nich wielcy, lecz jako dziecko nic o nich nie wiedziałam. Tylko o tych, z którymi wiązało się moje imię. Pewnego razu ciocia wyjaśniła mi, skąd się wzięło. Spytałam: „Dlaczego nazywam się Satti?”. A ona powiedziała: „Sati była żoną boga”. Więc spytałam, czy Ganeszy. Ponieważ Ganeszę znałam najlepiej i lubiłam go. Ale ona powiedziała: „Nie, żoną Śiwy”. Wtedy wiedziałam tylko, że Śiwa ma długie tłuste włosy i jest najlepszym tancerzem na świecie. Tańcząc, przywołuje światy do życia i odsyła je w niebyt. Jest bardzo dziwny, brzydki i zawsze pości. Ciocia powiedziała, że Sati kochała go tak bardzo, iż wyszła za niego wbrew woli swojego ojca. Wiedziałam, że w tamtych czasach to było prawie niemożliwe, więc pomyślałam, że Sati była bardzo odważna. Ale potem ciocia powiedziała, że Sati poszła spotkać się z ojcem, który wyrażał się obraźliwie o Śiwie i zachowywał się wobec niego wyjątkowo niegrzecznie. Sati zaś była tak rozgniewana i zawstydzona, że umarła. Nie zrobiła niczego, tylko... umarła. I od tego czasu wierne żony, które umierają razem ze swoim mężem, nazywane są tak jak ona. Kiedy ciocia mi to opowiedziała, spytałam: „Dlaczego nazwałaś mnie imieniem takiej głupiej kobiety?”. Wujek przysłuchiwał się nam i powiedział: „Ponieważ Sati jest Śiwą, a Śiwa jest Sati. Jesteś tą, która kocha i która oplakuje. Jesteś gniewem. Jesteś tańcem”. Wtedy uznałam, że skoro muszę być Sati, to nią będę, pod warunkiem że będę także Śiwą...

Spojrzała na Yarę. Słuchał jej z zapartym tchem, kompletnie zdezorientowany.

– No, nieważne. To strasznie skomplikowane. Ale wydaje mi się, że łatwiej mieć mnóstwo bogów niż jednego. Na poboczu pewnej drogi pomiędzy korzeniami wielkiego drzewa mieliśmy boży kamień. Ludzie z wioski pomalowali go na czerwono i karmili masłem, żeby zrobić mu przyjemność... jemu i sobie też. Ciocia codziennie składała u stóp

Ganeszy stokrotki. To był taki mały metalowy bóg z głową zwierzęcia. Stał w mniejszym pokoju. Był synem Śiwy, o wiele miłszym od niego. Ciocia recytowała przed nim różne teksty i śpiewała mu pieśni. To *pooja*. Ja też jej pomagałam. Śpiewałam niektóre pieśni. Lubiłam zapach kadzidła i stokrotki... Ale ludzie, o których mam ci opowiedzieć, przed którymi się ukrywaliśmy, nie mieli małych bogów. Twierdzili, że ich Bóg jest najlepszy. Wielki Bóg. Jeśli ktoś się z nimi nie zgadzał, mówili, że ich Bóg go potępia. Wierzyło im wielu ludzi. Nazwali się unitami. Jeden Bóg, jedna Prawda, jedna Ziemia. I... i narobili mnóstwo kłopotów. – Ostatnie słowo zabrzmiało irytująco prymitywnie, głupio, wręcz dziecinnie. – Widzisz, my wszyscy, mam na myśli Ziemiaków, zniszczyliśmy naszą planetę, wykorzystaliśmy ją, zakazaliśmy. Przez wiele lat panowały na niej głód, zaraza i bieda. Ludzie pragnęli pociechy i pomocy. Chcieli wierzyć, że robią coś słusznie. Kiedy wstępowali do unitów, zyskiwali wiarę, że racja jest po ich stronie.

Skinął głową. Najwyraźniej to rozumiał.

– Ojcowie unicy powiedzieli, że całe zło ściągnęła na nas zła wiedza. Gdyby nie ona, ludzie byliby dobrzy. Złą wiedzę należało zniszczyć, żeby zrobić miejsce dla dobrej wiary. Nienawidzili nauki, edukacji, wszystkiego z wyjątkiem tego, co było w ich książkach.

– Jak *maz*.

– Nie. Nie, to nie tak. Nie zauważyłam, żeby opowiadanie wykluczało jakąkolwiek wiedzę czy nazywało cokolwiek złą wiedzą. To prawda, że nie wspomina o tym, czego Akanie nauczyli się w ciągu ostatniego stulecia dzięki kontaktowi z innymi cywilizacjami. Tak, rzeczywiście. Ale to chyba dlatego że *maz* nie mieli czasu, by zacząć sobie przyswajając nowe informacje. Korporacja Państw zajęła ich miejsce jako główna społeczna instytucja, zastąpiła ich biurokratami, a potem zakazała opowiadania. Musieli zejść do podziemia, gdzie nie mogli się już rozwijać. To Korporacja nazwała opowiadanie złą wiedzą. Nie rozumiem, dlaczego państwo uważało, że konieczna jest taka brutalność, taka przemoc.

– Ponieważ *maz* mieli wszystkie bogactwa, całą władzę. Trzymali ludzi w ciemności, otumaniali ich przesądami i zabobonami.

– Nieprawda, nikogo nie trzymali w ciemności! Czymże jest opowiadanie, jeśli nie uczeniem każdego, kto tylko zechce słuchać?

Zawahał się, potarł wargi dłonią.

– Może tak było... dawniej. Kiedyś. Ale nie zawsze. W Dowzie *maz* uciskali biednych. Wszystkie ziemie należały do *umjazu*. Uczyli tylko wstecznych, zacofanych idei. Zakazywali nowej sprawiedliwości, nowej nauki...

– Siłą?

Znowu się zawahał.

– Tak. W Belst tłum reakcjonistów zabił dwóch urzędników Korporacji Państw. Wszędzie nieposłuszeństwo, bezprawie.

Potarł twarz ręką, choć posiniaczona skroń i policzek musiały pulsować bólem.

– Tak było – ciągnął. – Potem przybyliście i przywieźliście nowy świat. Obietnicę, że nasz także może się zmienić, stać się lepszy. Chcieliście nam ją dać. Ale ludzi, którzy pragnęli takiego świata, powstrzymali inni, zwolennicy dawnego porządku. *Maz* mamrotali w kółko o rzeczach, które się wydarzyły przed dziesiątkami tysięcy lat, i twierdzili, że wiedzą wszystko. Nie chcieli się nauczyć niczego nowego, nie pozwalali się nam wzbogacić, zabraniali rozwoju. Byli źli. Samolubni. Lichwiarze wiedzy. Trzeba było ich usunąć, żeby zrobić miejsce dla przyszłości. A skoro upierali się stać nam na drodze,

trzeba było ich ukarać. Musieliśmy pokazać innym, że *maz* są źli. Tak jak moi dziadkowie. Byli wrogami państwa. Nie chcieli tego przyznać. Nie chcieli się zmienić.

Zaczął spokojnie, ale pod koniec z trudem łapał powietrze i zaciskał dłonie na książeczce, wbijając przed siebie martwy wzrok.

– Co się z nimi stało?

– Wkrótce po moim wyjeździe zostali aresztowani. Przez rok byli w więzieniu w Tambe.

– Długie milczenie. – Do Dowza City przywieziono wielu reakcjonistów na publiczny proces. Ci, którzy się wyrzekli swoich poglądów, zostali skierowani do pracy rehabilitacyjnej w korporacyjnych gospodarstwach rolnych. – Jego głos nie wyrażał żadnych emocji. – Tych, którzy się nie zgodzili, skazano na egzekucję. Wykonali ją producenci-konsumenci Aki.

– Rozstrzelali ich?

– Przyprawiono ich na Wielki Plac Sprawiedliwości. – Urwał raptownie.

Satti przypomniała sobie ten plac, wielką połąć asfaltu otoczoną czterema masywnymi budynkami Sądu Centralnego. Zwykle roili się na niej piesi i stały sznury samochodów.

Yara podjął opowiadanie, wpatrując się przed siebie, w to, o czym mówił: – Wszyscy stali na środku placu otoczeni liną, pilnowani przez policjantów. Ludzie przybyli zewsząd, żeby zobaczyć, jak się dokonuje sprawiedliwość. Na placu były tysiące osób. Otaczały przestępców. Stały na ulicach prowadzących na plac. Ojciec zabrał mnie z sobą, żebym to zobaczył. Były tam sterty kamieni, kamieni ze zburzonego *umjazu*, wielkie sterty wokół placu. Nie rozumiałem, dlaczego je przywieziono. Potem policja wydała rozkaz i wszyscy zaczęli się przeciskać do przestępców, rzucali w nich kamieniami. Ramiona podnosiły się i opadały... Mieli ich ukamienować, ale było ich zbyt wielu. Setki policjantów i ci wszyscy ludzie... Więc zatłukli ich na śmierć. Długo to trwało.

– A ty musiałeś patrzeć?

– Ojciec chciał mi pokazać, że byli źli.

Mówił dość spokojnie, ale zdradziły go dłoń i wargi. Nigdy nie przestał patrzeć przez okno wychodzące na plac. Do końca życia miał pozostać dwunastolatkiem stojącym przy tym oknie. Sprawiedliwość wieku kamienia.

Dowiedział się więc, że jego dziadkowie byli źli. Czego jeszcze musiał się dowiedzieć?

Znowu milczenie. Obopólne. Zakopać ból głęboko, głęboko, żeby się go nie czuło. Zakopać pod wszystkim, jakby go nie było. Bądź dobrym synem. Bądź dobrą dziewczynką. Omiń te groby, nie patrz na nie. Ale tam nie było grobów. Zmasakrowane twarze, pęknięte czaszki, zlepione krwią siwe włosy na stercie ciała. Odpryski kości, wybite zęby, rozerwane ciała, smród gazu. Swąd spaleniźny w ruinach na deszczu.

– Potem mieszkałeś w Dowza City... i pracowałeś dla Korporacji. W Biurze Kulturalno-Społecznym.

– Ojciec wynajął mi nauczycieli, żeby naprawili krzywdy, jakie mi wyrządziła tamta edukacja. Dobrze zdałem egzaminy.

– Jesteś żonaty?

– Byłem. Dwa lata.

– Miałeś dzieci?

Pokręcił głową. Ciągle patrzył daleko przed siebie. Siedział sztywno, bez ruchu. Śpiwór nad jego kolanem unosił się na rodzaju rusztowania, które skonstruował Tobadan, by unieruchomić nogę i zmniejszyć ból. Tuż obok jego dłoni leżała książeczka.

Pochyliła się, żeby odciążyć mięśnie ramion, znowu się wyprostowała.

– Goiri chciała, żebym ci opowiedziała o moim świecie. Może to możliwe, ponieważ w pewnym stopniu moje życie nie różniło się tak bardzo od twojego... Wspomniałam już o unitach. Przejęli rządy nad naszą częścią kraju. Przystąpili do oczyszczania, tak to nazywali. Groziło nam coraz większe niebezpieczeństwo. Ludzie mówili, że powinniśmy ukryć nasze książki, utopić je w rzece. Wujek Hurree umierał. Mówił, że serce mu się zmęczyło. Prosił ciocię, żeby się pozbyła jego książek, ale tego nie zrobiła. Umarł wśród nich. Potem moi rodzice zdołali wydostać z Indii ciocię i mnie. Wysłali nas na drugi koniec świata, inny kontynent, na północ, do miasta, gdzie w rządzie nie było duchownych. Istniało kilka takich miast, na ogół tam Ekumena założyła szkoły nauczania haińskiego. Unici nienawidzili Ekumeny i usiłowali nie dopuścić przybyszy na Ziemię, ale bali się zrobić to otwarcie. Dlatego zachęcali do aktów terrorystycznych na Enklawy, instalacje nadawcze i wszystko, za co były odpowiedzialne pozaziemskie demony.

Użyła angielskiego słowa „demon”, ponieważ w języku dowzańskim nie istniało takie pojęcie. Zamilkła, zaczerpnęła powietrza w płuca. Yara siedział nieruchomo, skupiony i uważny.

– A więc poszłam do liceum i na studia, zaczęłam się przygotowywać do pracy dla Ekumeny. Mniej więcej wtedy Ekumena przysłała na Terrę nowego posła, niejakiego Dalzula, który urodził się na Terze. Przybył, by zdobyć poparcie ojców unitów. Wkrótce rzeczywiście mu się poddali, przyjmowali jego rozkazy. Twierdzili, że jest aniołem... czyli posłańcem Boga. Niektórzy zaczęli mówić nawet, że jest Zbawicielem i... – ale Akanie nie znali słowa „modlić” się – ...padali przed nim na twarz, wychwalali go i błagali, żeby był dla nich dobry. I byli mu absolutnie posłuszni, ponieważ sądzili, że tak być powinno – należy przyjmować rozkazy Boga. Bo wydawało im się, że Dalzul mówi do nich w imieniu Boga lub nawet nim jest. I tak w ciągu jednego roku skłonił ich, by rozwiązali reżim teokratyczny. W imię Boga. Większość dawnych regionów czy państw wróciła pod demokratyczne rządy – to znaczy, że same wybierały swoich przywódców. Na nowo przywrócono Wspólnotę Terrańską i powitano ludzi z Ekumeny. To były wspaniałe czasy. Wspaniałe było patrzeć, jak unizm rozpada się na kawałki, sypie w gruzy. Fanatycy wierzyli, że Dalzul jest Bogiem, ale byli też tacy, którzy uznali go za... Jego przeciwieństwo, wcielone zło. Niektórzy, tak zwani pokutnicy, chodzi w procesjach, posypywali sobie głowy popiołem i smagali się batami, żeby ukarać się za to, że nie zrozumieli intencji Boga. Była też duża grupa, która odcięła się od wszystkich pozostałych i ustanowiła własnego Zbawiciela, ojca unitów lub przywódcę terrorystów. Byli niebezpieczni. Dalzulici chcieli bronić Dalzula przed antydalzulitami, którzy zamierzali go zabić. Wszędzie podkładali bomby, gotowi poświęcić własne życie, byleby tylko wypełnić misję. Wszyscy. Ich wiara usprawiedliwiała zabijanie, więc zabijali. Sądzili, że Bóg nagrodzi tych, którzy uwolnią świat od niewierzących. Przeważnie jednak zabijali się nawzajem, rozszarpywali się na strzępy. Nazywali to świętymi wojnami... To były straszne czasy, choć wydawało się, że nie mamy się czym przejmować. Unizm sam sobie zadawał śmierć.

Ale zanim do tego doszło, kiedy wyzwolenie dopiero się zaczynało, moje miasto zostało oswobodzone. Tańczyliśmy na ulicach. Zobaczyłam pewną tańczącą kobietę. I zakochałam się w niej.

Zamilkła.

Do tej chwili było łatwo. Poza tę granicę jeszcze nigdy nie wyszła. Historia, którą opowiadała samej sobie przed snem, kończyła się w tym punkcie. Gardło zaczęło się jej ścisnąć, boleć.

– Wiem, uważasz, że to coś złego.

– Ja... – zaczął, zawahał się i dodał: – Ponieważ z takiego związku nie rodzą się dzieci, Komitet Higieny Moralnej ogłosił...

– Wiem, ojcowie unicy ogłosili to samo. Ponieważ Bóg stworzył kobiety na naczynia dla nasienia mężczyzn. Ale po wyzwoleniu nie musieliśmy się ukrywać ze strachu, że zesłają nas do obozów odrodzenia. Tak jak *maz*, których wysyłacie do centrów rehabilitacji.

Spojrzała na niego wyzywająco. Nie podjął wyzwania. Przyjął do wiadomości jej słowa i słuchał dalej. Nie mogła się wykręcić, nie mogła tego ominąć. Musiała wszystko wyjawić.

– Żyliśmy z sobą przez dwa lata – mówiła tak cicho, że lekko pochylił się w jej stronę. – Była o wiele ładniejsza ode mnie i bardziej inteligentna. I miłsza. I lubiła się śmiać. Czasami śmiała się przez sen. Miała na imię Pao. – Z imieniem pojawiły się łzy, ale zdołała je powstrzymać. – Byłam od niej starsza o dwa lata, w szkole wyprzedzałam ją o rok. Zostałam w Vancouverze jeden rok, żeby być razem z nią. Potem musiałam rozpocząć naukę w Centrum Ekumenalnym w Chile. To daleko na południu. Pao miała do mnie przyjechać, kiedy tylko skończy studia. Zamierzałyśmy razem pracować jako obserwatorki. Razem poznawać nowe światy. Bardzo płakałyśmy, kiedy musiałam wyjechać, ale w końcu okazało się, że nie jest tak źle. Tak naprawdę wcale nie było źle, bo mogłyśmy rozmawiać przez telefon i internet, a poza tym wiedziałyśmy, że w zimie znowu się spotkamy, a na wiosnę Pao miała do mnie przyjechać i od tej pory miałyśmy się nie rozstawać. Byłyśmy razem. Byłyśmy jak *maz*. Dwie, ale jak jedność. Nawet tęsknota była przyjemna, ponieważ ją miałam, ponieważ miałam za kim tęsknić. Ona też to czuła, bo powiedziała w zimie, kiedy ją odwiedziłam, że będzie tęsknić za tą tęsknotą... – Płakała, lecz łzy nie sprawiały jej bólu. Pociągnęła nosem, wytarła oczy i nos. – Na święta przyjechałam do Vancouveru. W Chile panowało lato, ale tam była zima. I... uściskałyśmy się, ucałowałyśmy i zrobiłyśmy obiad... poszłyśmy do moich rodziców i rodziców Pao, spacerowałyśmy po parku, gdzie rosły wielkie drzewa, stare drzewa. Padało. Tam często pada. Kocham deszcz. – Łzy przestały płynąć. – Pao poszła do biblioteki w centrum. Chciała znaleźć coś potrzebnego do egzaminu, który zdawała po świętach. Miałam zamiar z nią pójść, ale się zaziębiłam, więc powiedziała: „Zostań, tylko się przemoczysz”. A ja miałam ochotę poleżeć i poleniuchować, toteż zostałam w mieszkaniu i zasnęłam.

Była taka grupa, która nazywała się uzdrowicielami Ziemi. Uważali, że Dalzul i Ekumena są sługami anty-Boga i zasługują na śmierć. Wielu z nich należało do armii unitów. Mieli broń, którą gromadzili ojcowie. Celem ich świętej wojny były szkoły. – Słyszała własny głos, równie suchy i wysilony, jak głos Yary. – Ostrzelali szkołę pociskami. Wystrzelili je z Dakoty, o setki kilometrów od Vancouveru. Ukrywali się pod ziemią. Naciskali guzik i wysyłali pociski. Wysadzili w powietrze szkołę, bibliotekę, wiele ulic i domów wokół. Zginęły tysiące ludzi. Coś takiego przydarzało się bez przerwy. Pao była tylko kolejną ofiarą. Nikim, niczym, jedną osobą. Mnie tam nie było. Słyszałam huk.

Gardło ją bolało, jak zawsze. Już na zawsze. Przez chwilę nie mogła powiedzieć nic więcej.

– Czy twoi rodzice zginęli? – spytał Yara cicho.

Wzruszył ją. Znalazł temat, o którym mogła mówić.

– Nie. Nic im się nie stało. Przez jakiś czas z nimi mieszkałam. Potem wróciłam do Chile.

Siedzieli w milczeniu. W łonie góry. W jaskiniach pełnych życia. Satti była śmiertelnie zmęczona. Na twarzy Yary także widziała zmęczenie, zmęczenie i ból. Po tylu słowach milczenie było kojącym balsamem, zasłużonym błogosławieństwem.

Po jakimś czasie usłyszała ludzkie głosy i otrząsnęła się z odrętwienia. Przed namiotem odezwał się Odiedin.

– Wejź – zaprosił go Yara.

Satti odsłoniła klapę.

– Ach – mruknął *maz*.

W słabym świetle latarni jego smagła twarz o wysokich kościach policzkowych wydawała się twarzą dobrego goblina.

– Rozmawialiśmy – wyjaśniła Satti.

Wyczołgała się z namiotu, stanęła obok Odiedina, przeciągnęła się.

– Pora na ćwiczenia – zwrócił się *maz* do Yary, klękając w wejściu.

– Kiedy będzie mógł chodzić?

– Na razie nie może chodzić o kulach, ponieważ uszkodził sobie mięśnie pleców. Niektóre muszą się zrosnąć. Ale robimy, co w naszej mocy.

Wszedł na czworakach do namiotu. Odeszła, lecz po chwili zawróciła. Nie mogła odejść bez słowa po takiej rozmowie.

– Jutro przyjdę znowu – rzuciła.

Yara powiedział coś cicho. Wyszła, przyglądając się ścianom groty, widocznym przy słabym świetle z innych namiotów. Nie widziała drzewa na ścianie w głębi, zaledwie parę maleńkich migoczących klejnotów w jego koronie.

Grota Drzewa miała wyjście na zewnątrz, nieopodal namiotu Yary. Droga wiodła przez mniejszą jaskinię do krótkiego korytarza, który kończył się otworem tak niskim, że trzeba było z niego wpełzać na czworakach. Wyszła tą właśnie drogą, podniosła się z klęczek. Włożyła ciemne okulary, spodziewając się, że światło ją osłepi, ale słońce, przez całe popołudnie kryjące się za ścianą Silong, zachodziło lub już zaszło. Świetliste niebo nabrało fioletowego odcienia. W ciągu kilku ostatnich godzin spadł lekki śnieg. Półksiężyc skalnej półki, przypominający scenę widzianą od strony kulis, rozciągał się jasny i nieskalany. Tu, pod osłoną góry, panowały cisza i spokój, ale na skraju półki, jakieś sto metrów dalej, wiatr podrywał i porzucał lekki śnieżny pył, krążący w nieustających wirach.

Satti tylko raz podeszła do krawędzi płaszczyzny. Skalna ściana spadała pionowo w dół, przepaść była głęboka na pół kilometra. Od samego patrzenia kręciło się w głowie, a wiatr chwycił zdradziecko za ubranie i popychał w plecy.

Teraz podziwiała niezmordowany taniec śnieżynek nad przepaścią. Zubuam był blady, ledwie widoczny. Długo patrzyła, jak zapada zmrok.

Od tej pory codziennie po południu rozmawiała z Yarą, wróciwszy z dalszych części Biblioteki, gdzie pracowała z *maz*, którzy tworzyli katalog książek. Nigdy nie nawiązywała do tego, co powiedzieli w czasie tej pierwszej rozmowy, ale wszystko leżało

pomiędzy nimi jak mroczny fundament. Raz spytała go, czy wie, dlaczego Korporacja zgodziła się na prośbę Tonga, dlaczego wypuścili przedstawiciela Ekumeny z chronionego środowiska Dowza City.

– Byłam egzemplarzem eksperymentalnym? Może przynęta?

Z trudem pokonywał nawyk urzędnika: osiągać władzę dzięki zatrzymywaniu informacji tylko dla siebie oraz udawaniu, że wie nawet to, o czym nie miał pojęcia. Przez całe dorosłe życie stosował się do tej reguły i pewnie nie zdołałby jej złamać, gdyby jako dziecko nie poznał opowiadania. A i teraz odpowiadał z wyraźnym trudem. Satti obserwowała go ze skruchą. Leżał bezwładny, okaleczony, zdany na łaskę wrogów, nie zostało mu nic poza milczeniem. Odrzucenie go, swojej ostatniej ucieczki, wymagało prawdziwej odwagi.

– Mój departament nie został poinformowany – zaczął, przerwał i po chwili ciągnął: – Sądzę, że podjęto... – I wreszcie, ochryple, z wyraźnym przymusem, szukając pomocy w oficjalnym żargonie: – Od kilku lat odbywały się dyskusje na wysokim szczeblu dotyczące polityki zagranicznej. Ponieważ statek akański zmierza na Hain, a zostaliśmy poinformowani, że statek Ekumeny ma przybyć w przyszłym roku, niektórzy członkowie Rady sugerowali rozpoczęcie polityki odprężenia. Podobno otworzenie się na wzajemny przepływ informacji miało zaowocować znacznymi zyskami. Inni twierdzili, że dysydenci są zbyt niebezpieczni, by można było doradzać odprężenie. W końcu... obie strony dyskusji osiągnęły pewien... kompromis.

Satti dokonała szybkiego tłumaczenia skomplikowanych konstrukcji.

– Tym kompromisem byłam ja? A zatem eksperyment. A ty zostałeś wyznaczony do obserwowania mnie i składania raportów.

– Nie – rzucił z nagłą desperacją. – Sam o to poprosiłem. Pozwolono mi. Początkowo. Myśleli, że kiedy zobaczysz nędzę i zacołanie, wrócisz do miasta. Ale kiedy zamieszkałaś w Okzat-Ozkat, Egzekutywa nie wiedziała, jak ma sprawować nad tobą kontrolę, nie obrażając Ekumeny. Mój departament znowu musiał ustąpić. Nawet zwierzchnicy nie chcieli czytać raportów, które im wysyłałem. Rozkazali mi wracać. Nie słuchali tłumaczeń. Nie wierzyli w potęgę *maz* w miastach i wsiach. Uważają, że opowiadania już nie ma!

Mówił z rozgoryczeniem i bólem, uwięziony w matni złożonego, nieuleczalnego bólu. Satti nie wiedziała, co mu odrzec. Siedzieli więc w milczeniu, coraz mniej krępującym.

– Miałaś rację – odezwała się wreszcie.

Pokręcił głową niecierpliwie, z pogardą. Ale kiedy wyszła, mówiąc, że jutro znowu do niego zajrzy, szepnął: – Dziękuję, *joz* Satti. – Służalczy nawyk, pozbawiony znaczenia rytuał. Prosto z serca.

Od tej chwili ich rozmowy stały się łatwiejsze. Yara chciał słuchać o Ziemi, ale zrozumienie przychodziło mu z trudem, a często, choć wydawało się jej, że pojął, zaprzeczał.

– Opowiadasz tylko o zniszczeniach, okrutnych ludziach, niepowodzeniach. Nienawidzisz swojej Ziemi.

– Nie – zaprotestowała.

Spojrzała na płócienną ścianę namiotu. Ujrzała zakręt drogi tuż przy wjeździe do wioski, piasek, w którym bawiła się z Motim. Czerwony piasek. Moti pokazał jej, jak się robi małe wioski z błota i kamyków obsadzone wokół kwiatami. W palących promieniach wiecznego

lata kwiaty wędły w mgnieniu oka. Omdlewały, osuwały się na ciemnoczerwone błoto, wysychające na jedwabisty piasek.

– Nie, nie – powtórzyła. – Mój świat jest nieopisanie piękny i kocham go. Usiłuję ci wyjaśnić, dlaczego twój rząd powinien najpierw sprawdzić, kim jesteście, zanim zaczął nas naśladować. I powinien się przekonać, czego dokonaliśmy, co uczyniliśmy samym sobie...

– Ale tu przybyliście. I wiedzieliście o wiele więcej od nas.

– Wiem, wiem. W naszym przypadku tak samo było z Hainami. Usiłowaliśmy ich naśladować, dorównać im od pierwszej chwili, gdy nas znaleźli... Może unizm był także protestem przeciwko temu. Domaganiem się danego nam przez Boga prawa, by być zadufanymi w sobie przesądnymi głupcami i postępować zgodnie z naszymi okrutnymi obyczajami.

– Lecz my musieliśmy się uczyć. I sama twierdzisz, że Ekumena potępia ukrywanie jakiegokolwiek wiedzy.

– Tak. Ale historycy usiłują się dowiedzieć, jak należy uczyć, żeby ludzie zyskali prawdziwą wiedzę, nie oderwane fragmenty, które do siebie nie pasują. Istnieje taka haińska przypowieść o lustrze. Jeśli tafla jest cała, odbija cały świat, ale rozbita ukazuje tylko fragmenty i rani dłonie, które je trzymają... Terra podarowała Ace kawałek zbitego lustra.

– Może to dlatego Egzekutywa odesłała legatów.

– Kogo?

– Ludzi z drugiego terrańskiego statku.

– Z drugiego statku? – powtórzyła, jednocześnie przypominając sobie ostatnią rozmowę z Tongiem Ovem. Spytał wtedy, czy według niej ojcowie unicy mogli wysłać misjonarzy na Akę, nie informując o tym Ekumeny. – Opowiedz mi o tym. Nikt z nas nie wie o tym statku.

Zauważyła, że odrobinę się cofnął, wyraźnie walcząc z oporami. Musiała to być tajna informacja, znana tylko urzędnikom wysokiego szczebla i niewłączona do oficjalnej historii Korporacji. Ale oczywiście Akanie uważali, że wysłannicy Ekumeny o tym wiedzą.

– Ten statek wrócił na Ziemię?

– Można się tego spodziewać.

Spojrzała z desperacją na jego wyniosły profil. Och, nie stawaj się znowu biurokrata! Nie odezwała się. Po chwili dodał: – Istnieją nagrania tej wizyty. Ja ich nie widziałem.

– Co ci powiedziano o statkach z Terry? Możesz mi to zdradzić?

Zamyślił się.

– Pierwszy przybył w roku trzydziestego szanca. Siedemdziesiąt dwa lata temu. Wylądował pod Abazu, na wschodnim wybrzeżu. Na jego pokładzie było osiemnaścioro ludzi, kobiet i mężczyzn. – Zerknął na nią, skinęła głową. – Rządy prowincji, które wówczas jeszcze dzierżyły władzę, dały obcym swobodę ruchów. Przybysze powiedzieli, że przybyli, żeby nas poznać i zaprosić do Ekumeny. Opowiadali o Terze i innych światach, ale przybyli nie jako opowiadacze, lecz słuchacze. Jako *joz*, nie *maz*... Zostali przez pięć lat. Przyleciał po nich statek, z którego wysłali na Terrę opowiadanie o tym, czego się o nas dowiedzieli. – Znowu na nią spojrzał, szukając potwierdzenia.

– Większość tego opowiadania zaginęła.

– Czy wrócili na Terrę?

– Nie wiem. Opuściłam ją sześćdziesiąt lat temu, teraz już sześćdziesiąt jeden. Jeśli wrócili w czasach rządów unitów albo świętych wojen, mogli trafić do więzienia albo zginąć... Ale potem przyleciał drugi statek?

– Tak.

– Ekumena sponsorowała wysłanie tego pierwszego, ale nie miała nic wspólnego z drugą ekspedycją. Unici przejęli rządy. Ograniczyli łączność z Ekumeną do absolutnego minimum. Zamykali porty kosmiczne i centra nauczania, straszili przedstawicieli Ekumeny wygnaniem, pozwalali, by terroryści niszczyli nadajniki. Jeśli ten statek przybył z Terry, należał do unitów. Nigdy o nim nie słyszałam. Z pewnością nie informowano o tym zwykłych ludzi.

Przyjął to do wiadomości.

– Przybyli dwa lata po pierwszym statku. Na pokładzie było pięćdziesiąt osób z wielkim *maz*, przywódcą. Nazywał się Fodderdon. Wylądowali w Dowzie, w południowej części. I od razu skontaktowali się z Egzekutywą Korporacji. Powiedzieli, że Terra przekaże Ace swoją wiedzę. Przywieźli wszelkie możliwe informacje, techniczne, technologiczne. Pokazali nam, że możemy porzucić dawne zacofane życie i zmienić myślenie, nauczyć się nowego. Przywieźli plany, książki, inżynierów i teoretyków. Mieli na statku przekaźnik, więc mogli ściągać z Terry wszelkie potrzebne wiadomości.

– Wspaniały kufer z zabawkami – szepnęła.

– Od tej pory wszystko się zmieniło. Korporacja urosła w siłę. To był pierwszy krok Marszu do Gwiazd... a potem... – zamilkł – potem nie wiem, co się stało. Powiedziano nam tylko, że Fodderdon i inni początkowo dawali nam wszystkie informacje, a potem zaczęli je racjonować i wyznaczyli za nie nieuczciwą cenę.

– Wyobrażam sobie.

Spojrzał na nią pytająco.

– Zażądali waszej nieśmiertelnej części – dodała.

Akanie nie znali pojęcia „dusza”. Yara milczał wyczekująco.

– Sądzę, że powiedział coś w rodzaju: „Musicie zacząć wierzyć. Wierzyć w Boga Jedynego. Musicie wierzyć, że ja, ojciec John, jestem Bożym Głosem. Tylko moje historie są prawdziwe. Jeśli będziecie posłuszni Bogu i mnie, opowiemy wam wszystkie wspaniałości świata. Ale cena za nasze opowiadanie jest wysoka. Bardzo wysoka. Nie da się jej spłacić pieniędzmi”.

Yara zamyślił się.

– Fodderdon rzeczywiście powiedział, że Egzekutywa ma być posłuszna jego rozkazom. Dlatego nazwałem go wielkim *maz*.

– Którym był.

– Nie wiem nic więcej. Powiedziano nam, że wystąpił konflikt interesów i statek z legatami wrócił na Terrę. Ale... nie jestem pewien, czy to prawda... – Poruszył się niespokojnie i długo się zastanawiał nad następnymi słowami. – Znałem w Nowej Alyunie inżyniera, który pracował na „Ace 1”. – Był to statek, który Aka wysłała na Hain przed pięciu laty, duma Korporacji. – Powiedział, że wzorowali się na terrańskim statku. To mogło znaczyć, że mieli jego plany. Ale zabrzmiało to tak, jakby naprawdę go widział od środka. Zresztą nie wiem, był pijany.

Pięćdziesięciu misjonarzy-konkwistadorów prawdopodobnie znalazło śmierć w korporacyjnych obozach pracy. Teraz sama Dowza została zdradzona za zdradę reszty

planety. Ta historia przejęła ją smutkiem do głębi serca. Wszystkie stare błędy powtarzane ciągle od nowa. Westchnęła głęboko.

– Więc nie mogąc odróżnić legatów od obserwatorów Ekumeny, od tej pory traktowaliście nas z najwyższą nieufnością... Wiesz, wasi przywódcy postąpili mądrze, odrzucając propozycję ojca Johna. Być może wydawało im się, że to tylko próba sił. Nie tak łatwo dostrzec, że nawet dar wiedzy ma swoją cenę.

– Tak, oczywiście. Ale nie znamy tej ceny. Dlaczego ją ukrywacie?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Nie mam pojęcia. Nie zdawałam sobie sprawy... Muszę się nad tym zastanowić.

Yara opadł ciężko na podpórkę za plecami. Potarł oczy, zamknął je.

– Darem jest błyskawica – powiedział cicho, najwyraźniej cytując zdanie z opowiadania.

Przed oczami Satti stanęły piękne łukowate ideogramy na zacienionej białej ścianie. „Podwójnie rozwidlone drzewo błyskawicy wyrasta z ziemi...”. Zobaczyła zniszczone smagłe dłonie Soty Anga stykające się w kształcie górskiego szczytu na wysokości jego serca. „A ceny nie ma...”.

Siedzieli pogrążeni w myślach. Minęło sporo czasu, zanim się odezwała:

– Znasz opowieść o drogim Takiekim?

Zwrócił na nią spojrzenie szeroko otwartych oczu. Skinął głową. Najwyraźniej było to wspomnienie z dzieciństwa, które musiał przywołać z niepamięci.

– Znam.

– Czy drogi Takieki rzeczywiście był głupcem? Wiesz, w końcu ten worek dała mu matka. Może miał rację, nie chcąc go oddać, choć mógł mieć za niego wszystko.

Yara zamyślił się głęboko.

– Tę historię opowiedziała mi babka. Powiedziałem... pamiętam, że bardzo chciałem wędrować jak on, żeby nikt mnie nie szukał. Byłem jeszcze mały, dziadkowie nigdzie mnie nie puszczali samego. Więc powiedziałem, że pewnie pragnął wędrować dalej. Nie chciał się osiedlić w gospodarstwie. A babcia spytała: „Ale co by zrobił, gdyby skończyło mu się jedzenie?”. A ja odparłem: „Może zamierzał handlować. Oddać *maz* trochę fasoli i przyjąć kilka złotych monet. Wtedy mógłby iść dalej i miałby za co kupić jedzenie na zimę”.

Uśmiechnął się blado, ale wyraz strapienia nie zniknął z jego twarzy.

Ta twarz zawsze była strapiona. Pamiętała ją z czasów, gdy była także twarda, zimna, zamknięta. Ale miał powody do zmartwienia. Chodzenie ciągle sprawiało mu duże kłopoty. Kolano nie mogło utrzymać ciężaru ciała dłużej niż przez kilka minut, a obrażenia pleców wykluczały bezpieczne używanie kul. Odiedin i Tobadan ćwiczyli z nim codziennie z anielską cierpliwością. Yara znosił to z zaciśniętymi zębami, nieodmiennie znękany.

Dwie grupy już opuściły Łono Silong. Ludzie wymykali się przed świtem z parą obładowanych minuli. Nie było karawan z łopoczącymi proporcami. Życie w jaskiniach rządziło się demokratycznymi prawami. Satti zauważyła, że wszyscy skrupulatnie unikają podkreślania hierarchii. Wspomniała o tym w rozmowie z Unroy.

– To właśnie było błędem przed przybyciem Ekumeny – wyjaśniła *maz*.

– Wielcy *maz* – powiedziała Satti niepewnie.

– Wielcy *maz* – potwierdziła Unroy z uśmiechem. Nieodmiennie śmieszył ją slang, którego używała Satti, oraz archaizmy Rangma. – Dowrzańska reformacja. Hierarchia władzy. Walka o władzę. Wielkie bogate *umjazu* nakładające podatki na wioski. Finansowe i duchowe lichwiarstwo! Przybyliście w złych czasach, *joz*.

– Statki zawsze pojawiają się w złych czasach – mruknęła Satti.

Unroy zerknęła na nią z zaciekawieniem.

Jeśli można było znaleźć kogoś zarządzającego Łonem Silong, należeli do nich *maz* Igneba i Ikak. Po osiągnięciu ogólnej zgody to oni podejmowali konkretne decyzje i czuwali nad wykonaniem zadania. Jedną z takich decyzji było wyznaczenie dnia i godziny wyjazdu dla poszczególnych grup. Pewnego wieczora w czasie kolacji do Satti podeszła Ikak.

– *Joz* Satti, za pozwoleniem, twoja grupa wyjedzie za cztery dni.

– Wszyscy z Okzat-Ozkat?

– Nie. Ty, *maz* Odiedin Manma, Long i Ieyu. Mała grupa z jednym minulem. Będziecie szli szybko i zejdziecie, zanim nastaną jesienne chłody.

– Dobrze. Serce mi pęka, że zostawiam te książki nieprzeczytane.

– Może wrócisz. Może ocalisz je dla naszych dzieci.

Ta pałaca, nagłaca nadzieja, którą wszyscy czuli, nadzieja pokładana w niej i Ekumenie! Za każdym razem, gdy ujawniała swoją moc, Satti miała ochotę uciec.

– Spróbuję tego dokonać – powiedziała. – Ale... co z Yara?

– Trzeba go nieść. Uzdrowiciele mówią, że przed zmianą pogody nie zdoła iść o własnych siłach. Dwoje waszych młodych znajdzie się w jego grupie, oni i Tobadan Siez, dwaj nasi przewodnicy i trzy minule z poganiaczem. Duża grupa, ale nie da się tego uniknąć. Wyjdą jutro rano, dopóki utrzymuje się pogoda. Szkoda, że nie wiedzieliśmy, iż nie będzie mógł chodzić. Wysłalibyśmy ich wcześniej. Ale pójdą Ścieżką Reban, najłatwiejszą.

– Co z nim zrobicie?

Ikak rozłożyła ręce.

– Co możemy z nim zrobić? Będziemy go więzić! Musimy! Mógłby doprowadzić policję prosto do grot. Wysłaliby tu swoich, podłożyli materiały wybuchowe, zniszczyli wszystko. Tak jak zniszczyli Wielką Bibliotekę Marang i wszystkie inne. Korporacja nie zmienia polityki. I nie zmieni, dopóki ich nie przekonasz, *joz* Satti... Niech zostawią książki w spokoju... żeby ludzie z Ekumeny mogli je badać i ocalić. Jeśli tak się stanie, oczywiście go wypuścimy. Ale nawet wtedy aresztują go za samowolne działanie. Biedak, nie czeka go nic dobrego.

– Więc możliwe, że nie pójdzie na policję.

Zaskoczona Ikak spojrzała na nią pytająco.

– Wiem, że uparł się znaleźć i zniszczyć Bibliotekę. Uznał to za swoją prywatną misję. Prawdę mówiąc, to obsesja. Ale... wychowali go *maz* i... – Zawahała się. Nie mogła zdradzić Ikak jego tajemnicy, tak jak nie mogła wyjawic swojej. – Musiał się stać tym, kim się stał – dodała tylko. – Sądzę jednak, że tak naprawdę rozumie opowiadanie. Wydaje mi się, że do niego wraca. Na pewno nie życzy źle Odiedinowi ani nikomu z tu obecnych. Może mógłby zamieszkać w Amarezie? Nie jako więzień. Z dala od wszystkiego.

– Może – powiedziała Ikak nie bez współczucia, ale i bez przekonania. – Tylko, *joz* Satti, trudno jest ukryć kogoś takiego. Ma wszczepiony ZIL. I jest bardzo ważnym urzędnikiem,

przydzielonym do śledzenia obserwatora Ekumeny. Będą go szukać. A kiedy go znajdą, zmuszą do wyznania wszystkiego, choćby nawet nam sprzyjał.

– Może mógłby się ukrywać w wiosce przez zimę. Niech nie schodzi do Amarezy. Muszę mieć czas, poseł musi mieć czas, żeby porozmawiać z innymi w Dowza City. A jeśli w następnym roku przybędzie statek, tak jak zostało zaplanowane, możemy porozmawiać przez przekaźnik ze stabilami z Ekumeny. Ale trzeba nam czasu.

Ikak pokiwała głową.

– Porozmawiam z innymi. Zrobimy, co będzie można.

Zaraz po kolacji Satti poszła do namiotu Yary. Zastała tam Akidana i Odiedina. Akidan przyniósł ciepłe ubrania, których Yara potrzebował na czas podróży. Odiedin zapewniał go, że wszystko będzie dobrze. Akidan nie mógł usiedzieć w miejscu, ożywiony przed podróżą. Satti ze wzruszeniem przekonała się, że zwracał się do Yary z prawdziwą serdecznością. Jego przystojna młodzieńcza twarz promieniała.

– Nie martw się, *joz* – mówił poważnie. – Droga jest łatwa, a my mamy bardzo silną grupę. Za tydzień będziemy na dole.

– Dziękuję – mruknął Yara głosem bez wyrazu. Jego twarz znowu przypominała maskę.

– Będzie z tobą Tobadan Siez – dorzucił Odiedin.

Yara skinął głową.

– Dziękuję – powtórzył.

Nadeszła Kieri z ocieplanym poncho, którego zapomniał Akidan, i wcisnęła się do namiotu, nieustannie trajkocząc. Wewnątrz panował straszny ścisk. Satti uklękła w wejściu i położyła rękę na dłoni Yary. Do tej pory nie dotknęła go ani razu.

– Dziękuję za to, co mi powiedziałaś – odezwała się zażenowana i niepewna. – I za to, co pozwoliłeś mi powiedzieć. Mam nadzieję, że jeszcze... że będzie dobrze. Do widzenia.

Podniósł na nią oczy, skinął szybko głową i odwrócił wzrok.

Wróciła do siebie. Była zaniepokojona, ale czuła, że z serca spadł jej ciężar.

W namiocie panował potworny bałagan. Kieri wyrzuciła wszystkie swoje rzeczy na sam środek, przygotowując je do spakowania. Satti nie mogła się już doczekać, kiedy wróci do Odiedina, do spokoju, porządku, celibatu. Była zmęczona. Przez cały dzień pracowała nad katalogiem. Zawodne, zawieszające się akańskie programy nie ułatwiały zadania. Poszła spać, postanawiając wstać bardzo wcześnie i pożegnać przyjaciół. Zasnęła, ledwie zamknęła oczy. Prawie nie słyszała Kieri krzątającej się przy pakowaniu. Wydawało się jej, że minęło najwyżej pięć minut, po czym lampa znowu zapłonęła i Kieri zaczęła się ubierać. Satti wygrzebała się ze śpiwora.

– Zjem z wami śniadanie – wymamrotała.

Ale kiedy dotarła do kuchni, nie zastała w niej członków odchodzącej grupy. Nikt nie spożywał gorącego śniadania, by dobrze rozpocząć dzień. W grocie znajdował się tylko Long, na którego przypadał dziś dyżur przy gotowaniu.

– Gdzie są wszyscy? – spytała z nagłym niepokojem. – Chyba jeszcze nie wyszli?

– Nie.

– Coś się stało?

– Tak mi się zdaje, *joz* Satti.

Był wyraźnie strapiony. Skinął głową w stronę zewnętrznych jaskiń. Zrobiła parę kroków w stronę wyjścia. Z przeciwnej strony nadchodził Odiedin.

– Co się stało?

– Och, Satti... – Odiedin zrobił niedokończony, rozpaczliwy gest.

– Co?

– Yara...

– Ale co?

– Chodź ze mną.

Poszła za nim do Groty Drzewa. Minął namiot Yary. Wokół niego stało wiele osób, ale jego samego nie było wśród nich. Odiedin przemierzył całą jaskinię, skręcił w krótki korytarz prowadzący na zewnątrz i wypełził na czworakach na dwór. Wyprostował się. Satti wyłoniła się z jaskini tuż za nim. Zostało jeszcze wiele czasu do wschodu słońca, ale po bezdennej czerni grot blade niebo wydawało się cudownie promienne.

– Zobacz, gdzie poszedł – odezwał się *maz*.

Spojrzała tam, gdzie wskazywał. Na płaszczyźnie w kształcie półksiężyca leżał świeży śnieg do kostek. Ślady butów prowadziły do jego krawędzi i z powrotem, ślady trzech osób, pomyślała.

– Nie patrz na ślady butów – powiedział Odiedin. – Są nasze. On czołgał się na czworakach. Nie mógł chodzić. Nie rozumiem, w jaki sposób zdołał się dowlec tak daleko. Z tym kolaniem...

Teraz je zobaczyła, ślady na śniegu, głębokie podłużne bruzdy. Wszystkie ślady butów trzymały się na lewo od nich.

– Nikt go nie słyszał. Musiał wyjść po północy.

Blisko skały, gdzie na czarnym kamieniu leżała cienka warstwa śniegu, dostrzegła zamazany ślad dłoni.

– Na krawędzi zdołał się podnieść – odezwał się Odiedin – żeby skoczyć.

Z krtani wyrwał się jej cichy dźwięk. Osunęła się na ziemię, przykucnęła, kołysząc się w przód i tył. Nie uroniła ani jednej łzy, ale gardło ją bolało, bardzo ją bolało i nie mogła złapać oddechu.

– Penan Teran – wykrztusiła.

Odiedin nie zrozumiał.

– Na wietrze.

– Nie musiał tego robić. – Głos *maz* był głuchy z bólu. – Tak nie wolno.

– Jemu się wydawało, że tak trzeba – powiedziała.

Korporacyjny samolot, który zabrał ją z Soboy w Amarezie do Dowza City, nabral wysokości nad wschodnim okręgiem Wysokich Źródeł. Wyrzała przez okienko wychodzące na zachód i ujrzała wielką skalistą, surową i kostropatą górę – Zubuam, a za nią biel ściany Silong, kryjącej gdzieś w oślepiającej jasności półkę w kształcie półksiężyca i jaskinie życia. Ponad pofałdowaną krawędzią ściany, mniej więcej na wysokości jej oczu, wznosił się szczyt, białozłoty pazur na tle błękitu. Tym razem wreszcie widziała go w całości, wyraźnie. Północny wiatr zwiewał ze szczytu cienki welon śniegu, wieczny proporzec.

Podróż na południe okazała się trudna, zajęła dwa tygodnie. Szło im się dobrze, ale pogoda była kiepska prawie przez cały czas, a w Soboy nie mogli wypocząć. Policja obserwowała każdą drogę wychodzącą z okręgu Wysokich Źródeł. Urzędnicy, bardzo grzeczni, bardzo spięci, powitali ich grupę tuż za granicami miasta. „Poleca się niezwłocznie skierować obserwatora do stolicy”. Zażądała rozmowy telefonicznej z posłem; pozwolono jej zadzwonić z lotniska.

– Przybywaj jak najszybciej – powiedział Tong. – Było dużo hałasu. Wszyscy się cieszymy, że wróciłaś bezpiecznie. Akanie i obcy. A zwłaszcza ten obcy.

– Muszę dopilnować, żeby moim przyjaciółom nic się nie stało.

– Przywieź ich z sobą.

I tak Odiedin i dwaj przewodnicy z podgórskiej wioski zasiedli wraz z nią w samolocie. Nie miała pojęcia, co z tego zrozumieli Long i Ieyu. Odiedin wyjaśnił im coś, a może tylko uspokoił; weszli bowiem na pokład całkiem bez emocji. Wszyscy czworo byli nieprzytomni ze zmęczenia.

Samolot skierował się na wschód. Kiedy znowu spojrzała w dół, ujrzała żółcień beśniężnej ziemi, srebrną nitkę rzeki. Ereha. Córka Góry. Kierowali się za srebrną nicią, która stopniowo rozlewała się i przygasiała, a koło Dowza City stała się szara jak popiół.

– Kultura podstawowa, poza wpływami dowzańskimi, nie jest wojownicza, agresywna ani postępową – powiedziała Satti. – Jest oparta na handlu, dyskusji i homeostazie. Wydaje mi się, że w czasach kryzysu do niej wracają.

„Napoleon Bonaparte nazwał Anglików narodem sklepikarzy”, powiedział w jej pamięci wujek Hurree. Może to nie takie złe?

Za dużo chodziło jej po głowie. Za dużo, by mogła to powiedzieć Tongowi. Za dużo, by go wysłuchać. Mieli dla siebie nieco ponad godzinę. W każdej chwili mogli się zjawić członkowie Egzekutywy i ministrowie.

– Układ? – spytał mobil. Rozmawiali po dowzańsku, ponieważ przysłuchiwał się im Odiedin.

– Są nam coś winni.

– Winni?

Kultura chiffewariańska nie była ani wojownicza, ani oparta na handlu. Pewnych

rzeczy, mimo całej rozległości doświadczeń i wnikliwości umysłu, Chiffewarianie po prostu nie rozumieli.

– Będziesz musiał mi zaufać.

– Ufam ci. Ale proszę, wyjaśnij mi, choćby w skrócie, na czym polega ten układ.

– Jeśli zgadzasz się ze mną, że powinniśmy bronić Biblioteki Silong...

– Tak, oczywiście, ogólnie rzecz biorąc. Lecz to oznacza ingerencję w akańską politykę...

– Ingerujemy w nią od siedemdziesięciu lat.

– Ale czy możemy samowolnie odmawiać im informacji, skoro nie możemy anulować tego pierwszego wspianego daru danych technicznych?

– Chodzi o to, że to nie był dar. Wyznaczono za niego cenę: nawrócenie.

– Misjonarze – mruknął Tong, kiwając głową. Wcześniej, podczas pospiesznej rozmowy okazał normalne ludzkie zadowolenie na wieść, że jego podejrzenia się potwierdziły.

Odiedin słuchał, poważny i skupiony.

– Akanie uznali to za lichwiarstwo. Nie zgodzili się zapłacić tej ceny. Od tej pory dawaliśmy im więcej informacji, niż nas prosili.

– Chcąc im pokazać, że istnieją metody inne niż rabunkowe.

– Chodzi o to, że zawsze dawaliśmy im to za darmo, jako dar.

– Oczywiście.

– Ale Akanie zawsze płacą za otrzymywany towar. Gotówką, natychmiast. Według nich nie zapłacili za plany Marszu do Gwiazd i wszystko inne. Czekali latami, aż im powiemy, ile są nam winni. Dopóki tego nie zrobimy, nie będą nam ufać.

Tong zdjął kapelusz, podrapał się po brązowej, lśniącej niczym atlas głowie i nasadził go głębiej na czoło.

– Więc w zamian poprosimy ich... o informacje?

– Otóż to. Daliśmy im skarb. Oni zaś mają skarb, którego my pragniemy. Coś za coś, jak mówimy na Ziemi.

– Ale dla nich to nie skarb! To relikty przeszłości, reakcyjne przesady. Nie?

– Cóż, tak i nie. Chyba jednak wiedzą, że to skarb. Gdyby nie wiedzieli, dlaczego by z takim uporem go niszczyli?

– Nie musimy więc im tłumaczyć, że Biblioteka Silong jest cenna?

– Chcemy, żeby wiedzieli, iż jest równie cenna, jak wszystkie informacje, które im daliśmy. A jej wartość zależy od tego, czy będziemy mieli do niej swobodny dostęp. Taki sam, jaki oni mieli do wszystkich naszych informacji.

– Ktoś za coś – powiedział Tong, pojmując ideę, choć nie sam zwrot.

– Chcę powiedzieć jeszcze, to bardzo ważne, że nie chodzi tylko o książki z Łona Silong, ale wszystkie, wszędzie, i wszystkich ludzi je czytających. Chodzi o cały system. O opowiadanie. Muszą je na powrót zalegalizować.

– Satti, oni się na to nie zgodzą.

– W końcu się zgodzą. Musimy spróbować. – Spojrzała na Odiedina, wyprostowanego i czujnego obok niej. – Mam rację, *maz*?

– Może nie wszystko naraz, *joz* Satti – powiedział. – Po kolei. Będzie więcej rzeczy do wymiany.

– Parę złotych monet za trochę fasoli?

Chwilę potrwało, zanim odpowiedział:

– Mniej więcej – przyznał w końcu z niejakim powątpiewaniem.

– Jakiej fasoli? – spytał poseł, spoglądając kolejno na nią i Odiedina.

– To cała historia. Musimy ci ją opowiedzieć – odparła.

W sali konferencyjnej pojawili się już pierwsi urzędnicy. Dwaj mężczyźni i dwie kobiety, wszyscy w błękitach i brązach. Oczywiście nie było powitań, żadnych służalczych nawyków; mimo to trzeba było dokonać prezentacji. Gdy wymieniano ich nazwiska, Satti spoglądała w każdą twarz z osobna. Twarze urzędników. Twarze ludzi u władzy. Pewne siebie, gładkie, twarde. Zamknięte. Niezliczone odmiany twarzy pełnomocnika. Ale przed oczami stała jej nie twarz pełnomocnika, lecz Yary.

Jego życie, oto co za nią stało, gdy przystąpiła do negocjacji. Jego życie, życie Pao. Nienaruszalne, niepoliczalne wartości. Pieniądze spalone na popiół, rozrzucone złoto. Ślady stóp na wietrze.

Spis treści

Wszystkie strony świata

Naszyjnik Semley

Kwiecień w Paryżu

Mistrzowie

Skrzynka ciemności

Magiczne słowo

Prawo imion

Królowa Zimy

Udana wycieczka

Dziewięć śmierci

Rzeczy

Wycieczka do głowy

Szerzej niż imperia i wolniej

Gwiazdy pod ziemią

Pole widzenia

Kierunek drogi

Ci, którzy odchodzą z Omelas

Dzień przed rewolucją

Rybak znad Morza Wewnętrznego

Wstęp. O nieczytaniu fantastyki naukowej

Pierwszy kontakt z Gorgonidami

Sen Newtona

Wejście północną ścianą

Kamień, który wszystko zmienił

Kerastion

Opowieść szobów

Zatańczyć do Ganamu

Jeszcze jedna opowieść albo Rybak znad Morza Wewnętrznego

Cztery drogi ku przebaczeniu

Zdrady

Dzień Przebaczenia

Człowiek ludu

Wyzwolenie kobiet

Wiadomości o Werel i Yeowe

Antropolog w kosmosie

Urodziny świata

Słowo wstępne

Dojrzewanie w Karhidzie

Kwestia Seggri

Niechciana miłość

Górskie ścieżki

Samotność

Dawna Muzyka i niewolnica

Urodziny świata

Raje utracone

Opowiadanie świata

1

2

3

4

5

6

7

8

9